

POWIEŚĆ O TYCH, KTÓRZY
NIE PODDALI SIĘ NIKOMU



LEGION

Elżbieta Cherezińska

Elżbieta Cherezińska

Legion



Dedykacja

Frankowi

Część I

ROZWAŁKA

Stacja Zborna Oficerów, Pińsk. 20 września 1939 roku

- Tak się zastanawiam, panie kolego... - Mundur źle leży na wydatnym brzuchu emerytowanego oficera. - Panie kolego? A, przepraszam, pan śpisz. To może pan, panie kolego? Bo tak się zastanawiam, właściwie...

- Koniaczku, doktorze? - Z polowego łóżka naprzeciwko podnosi się szczupły, lecz za to całkiem siwy oficer rezerwy. Utyka.

- Nie odmówię, nie odmówię. Frontowe jedzenie mi nie służy.

- To po maluchu! Za wolną Polskę!

- Za aliantów!

- Za świętej pamięci Marszałka!

- To może po jeszcze jednym? Ja stawiam! - przyłącza się pięćdziesięciolatek z końca sali. Rozpiętą bluzę munduru nosi z elegancją tużurka. - Sawicki jestem. W cywilu botanik. A koniak dobry, francuski!

- To za Francuzów, żeby się pospieszyli!

- Za Anglików, niech nie piją herbaty, tylko idą z Hitlerem wojować!

- Tak się właśnie zastanawiam, tak chciałem się panów kolegów poradzić... - kontynuuje ten, który zaczął rozmowę. - Załuski jestem, z wojskowej komendy uzupełnień, no, już na emeryturze, ale wiadomo, wojna, nie wypadało się nie zgłosić...

- A ja się nie pchałem! - przerwał mu szczupły i siwy. - Gdyby nie wezwanie, bym nie poszedł. Wojna, panowie, jest dla młodych!

- No to ja w tej kwestii - odważył się emerytowany z komendy uzupełnień. - Jak się panom widzi, lepiej nam będzie poddać się Niemcom czy Sowietom?

Bocznica kolejowa w Złotnikach, poznańskie. 30 sierpnia 1939 roku

- Panie poruczniku! Mógłbym przymierzyć pański płaszcz?

Porucznik Jaxa - lat 33. Szczupły blondyn o trudnej do zapamiętania twarzy. W cywilu inżynier, współwłaściciel Zakładów Instalacyjnych Urządzeń Zdrowotnych Józef Kamler i Ska i Wytwórni Maszyn Pralniczych DKM. Zaręczony.

- Przymierzaj, Wacek, jak ci nie gorąco.

Jaxa leży na plecach w mundurowych spodniach i podkoszulku. Słońce w ostatnim dniu sierpnia praży niemiłosiernie. Major Majewski, jego dowódca w Dywizjonie Pociągów

Pancernych, podaje butelkę ciepłego piwa. Stukają się. Jaxa nie mruży oczu przed słońcem. Przeciwnie, patrzy w nie, a potem powoli przymyka powieki, jak jaszczurka.

- Opalimy się jak na wczasach. Żony nie uwierzą, że na wojnie byliśmy. No, pan, poruczniku, masz narzeczoną, to może ci jakoś ujdzie. Ale moja mnie wypowiada jak nic - sennym głosem zagaja major.

- Panie poruczniku - Wacek, młodszy mechanik, okręca się w czarnym skórzanym płaszczu Jaxy. - Pasuje mi? Trochę jak niemiecki, co? Tylko okulary na motor by się jeszcze przydały... - Wacek zerka na Jaxę i Majewskiego, widząc, że oficerowie nie zwracają na niego uwagi i dalej opalają się z zamkniętymi oczami, pręży się pod pancerniackim płaszczem i robi sobie dla żartu Heil Hitler. Zawstydzony wkłada ręce do kieszeni, pyta: - To z przydziału oficerom takie płaszcze dają?

- Zamówiłem sobie na miarę, jak zaczęli gadać, że wojna będzie. Buty też...

- Panie majorze! - Jak spod ziemi wyrasta przy nich adiutant i trzaska obcasami nad opalającymi się. - Dzwonią ze sztabu z Poznania! Że nas znaleźli. To znaczy, że my się zgubiliśmy, chciałem powiedzieć! Strasznie klną, każą panu majorowi w te pędy się w dowództwie zameldować!

- O wojnie coś mówili? Będzie? - Major Majewski podnosi się z trawy powoli, leniwie otrzepując spodnie.

- Nie, nie mówili. Sztabowiec tak się darł, że radiotelegrafista odmeldować się zapomniał.

- To nieładnie. Nagana. - Majewski dopina guziki munduru.

- Tak jest, panie majorze! Tak właśnie mówili: nagana!

- Dla radiotelegrafisty nagana, gamoniu. Słuchaj, jak dowódca do ciebie mówi.

Adiutant stropił się.

- Tamten, co dzwonił, to też był dowódca, panie majorze...

- Ale nie twój, gamoniu, tylko mój. Z kim ja muszę pracować. - Wzdycha flegmatycznie major i prosi: - Jedź pan ze mną, poruczniku, dla podniesienia poziomu.

Po chwili Jaxa wskakiwał już do kosza motocykla. Majewski ruszył, pył wyschniętej drogi uniósł się tumanem i opadł za nimi.

- O rany! Prawdziwa wojna... - westchnął z podziwem major, kiedy zatrzymali się przed komendą w Poznaniu. Miasto było jednym wielkim obozem wojskowym. W parkach i na placach rozbite namioty. Żadnych rozpiętych mundurów, żadnych włóczących się żołnierzy. Pełna mobilizacja.

- Gdzieście się podziewali, do jasnej cholery! - wrzeszczał dowódca komendy. - Żeby

pociąg pancerny się zgubił? Dziecinada, nie wojsko!

- Melduję, że po manewrach dostaliśmy rozkaz udania się na bocznice - spokojnie odpowiedział niewzruszony major. - I rozkaz wykonaliśmy.

- Na most na Borownicy, dopływie Orli, przy granicy w Zdunach pociąg pancerny odprowadzić! Natychmiast!

- Tak jest, panie pułkowniku!

W drodze powrotnej z motocykla wycisnęli więcej. Pociąg pancerny do Zdun też jechał jakby szybciej. Maszynista w podkoszulku i wojskowej czapce. Pot po plecach. Z mijanych po drodze pól chłopci spędzają bydło.

- Zaminować most!

- Tak jest. Zaminować!

- Melduję, że po drugiej stronie rzeki widać zgromadzenie niemieckich ciężarówek.

- Wojsko?

- No tego nie widać, panie majorze!

- To czekamy.

- Poruczniku Jaxa! Poruczniku! Niech się pan zbudzi! Przyszedł rozkaz. Jest wojna!

- Wojna, Wacek?

- Tak jest! Wojna!

- No i z czego się cieszysz, głupi? - Jaxa oprzytomniał szybko.

- A, bo myślałem, że tak po próżnicy będziemy tu stali.

Potem poszło szybko. Artyleria pociągu pancernego ostrzelała ciężarówki po drugiej stronie Obry. W porannym słońcu okazało się, że wojska tam żadnego nie było, sam tabor. Dobre i to. Zaminowanego mostu wysadzić nie pozwolili.

Rozkaz: „Wycofać pociąg na Warszawę”. Krotoszyn, Jarocin, Września, Kutno.

Za Kutnem samoloty niemieckie bombardują stację. Lecą nisko, gubią bombę za bombą. Major Majewski ordynuje:

- Maszynista! Cała naprzód i cała wstecz! Będziemy się bujać w przód i w tył, to nas łązy nie trafią!

Bomby spadają na tory, na nasypy, na pola po bokach pociągu. Gruba, pancerna gąsienica unika trafień. Samoloty znikają.

- Melduję, panie majorze, że nie pojedziemy. Tory zniszczone. Znajdują dróżnika, który klnąc Niemców, reperuje tory. Spluwa przy tym raz po raz, gwizdże cicho i się modli. Udało się. Pancerny kolos wolno rusza po załatanych torach. Lokomotywa puszcza parę, dróżnik macha na pożegnanie.

- Panie majorze! Przed nami Sochaczew, ale dalej nie pojedziemy!

- Bo co?

- Bo zator na parę kilometrów. Pięć pociągów, w tym cztery pasażerskie utknęły, ich lokomotywowom zabrakło wody.

- Daj mi się wykazać, majorze. - Jaxa zapiął pas. - Jestem inżynierem od pomp. To znaczy w cywilu byłem.

- Idź, poruczniku. A jak nas odkorkujesz, stawiam piwo. Zimne! Jaxa ze swoim plutonem ochrony pociągu wyskoczył ze składu.

- Co to jest? Wojna czy piknik? - Jęknął na widok pasażerów z pociągów osobowych, którzy wylegli z wagonów przed nimi i obsiedli pobliską łąkę z koszami pełnymi jedzenia. Pokręcił głową.

- Pompy ręczne! - krzyknął, zajmując się swoją robotą.

To nie było trudne. Wsadzili pompy do płynącej obok Bzury. Tendry pociągów napełniały się wodą. Jeden po drugim, pociąg po pociągu, ze świstem pary, ruszały.

Pasażerowie w pośpiechu zbierali manatki i dzieci, biegnąc z krzykiem do swoich wagonów.

- Pan poczeka chwilę! - krzyczała do maszynisty kobieta w kapeluszu, której uciekł synek.

Na łące zostały pojedyncze zagubione koce, garstka śmieci i klatka z zapomnianą przez kogoś papugą. Po uwolnionych torach toczyły się pociągi. Pancerny ruszył z basowym sygnałem lokomotywy.

- Jaxa, twoje piwo! - Major Majewski dotrzymał słowa. - Szkoda cię na wojnę, poruczniku. W rozładowywaniu zatorów jest pan nie do zastąpienia. Może powinienes pan karierę robić w zarządzie kolei?

- Za co toast? - Jaxa stuknął się z majorem piwem.

- Za błyskawiczną wojnę, oczywiście! Pod Ożarowem pociąg pancerny stanął.

Tym razem są bez szans. Tory zapchane. Tunel trasy średnicowej uszkodzony, nie pojedą dalej. Gdzieś z Błonia dochodzą strzały, odległe odgłosy bitwy. Majewski bierze garść żołnierzy i spieszy na pomoc.

- Jaxa, jesteś dowódcą plutonu ochrony pociągu. Ty musisz zostać! Pilnuj tu wszystkiego, a ja biegnę wygrać wojnę!

Wieczorem porucznik Jaxa zakłada swój czarny skórzany płaszcz, bo ciągnie chłodem. O zmroku przybiega zdyszany oficer łącznikowy, mówiąc:

- Major Majewski rozkazał, by wziął pan ludzi i czekał na niego rano na rozwidleniu

dróg, pod krzyżem.

- Walczycie? - z zazdrością pyta Jaxa.

- Walczymy! - śmieje się oficer i znika.

Rano ich nie ma, odgłosów bitwy też. Nawet pojedyncze strzały nie dochodzą od strony Błonia. Żołnierze leżą w rowie, pod krzyżem, na rozwidleniu dróg, podsypiają. W południe następnego dnia Jaxa wie, że Majewski nie przyjdzie.

- Idziemy do Warszawy! - podrywa chłopców. Z dziesięciu zostało dwóch.

- Gdzie reszta?

- Zwiali - kiwają głową w stronę krzaków.

Idą przez Młociny, bo na głównej drodze Niemcy.

Warszawa hałaśliwa, gwarna. Wszędzie grupki żołnierzy. Większość zmierza w tym samym kierunku, do Komendy Miasta Warszawy. Ewakuowana na Pragę. Tramwaje nie chodzą. Telefony nie działają. Dziewczyny ładne, jak miesiąc temu.

- Proszę meldować się w Mińsku Mazowieckim - tak mówią w Komendzie na Pradze.

- Do Mińska!

Drogi zapchane, bo ten sam rozkaz usłyszeli wszyscy zdolni nosić broń. Furmanki, bryczki. Pojedyncze samochody. Rowery. Jakaś dama konno. Wygląda, jakby jechała na polowanie. Pył. Skwar. Śmiechy.

- Pan porucznik do Mińska? - Szofer polskiego fiata zatrzymuje się przed Jaxą. - Chętnie podwiozę.

W Mińsku już po ewakuacji; meldować się trzeba w Siedlcach.

W Siedlcach bombardowanie, komenda w schronach, zgłoszeń nie przyjmuje.

- Do pułku piechoty się pan zgłosi - pobladła urzędniczka tylko uchyliła drzwi. - Stacjonują w lesie.

- W którym lesie? - Jaxa czuje, jak narasta w nim złość.

- Nie mogę powiedzieć, to tajemnica wojskowa. - Drzwi zamykają się szybko.

Bomba spada trzy ulice dalej. Szyby lecą z okien.

- Czy ktoś wie, w którym lesie stacjonuje pułk piechoty?! - wrzeszczy Jaxa na całą ulicę. I robi mu się niedobrze, bo pierwszy raz w życiu przeklął w myślach.

Spod murów kamienic odrywają się ludzie, patrzą w niebo. Nie widząc samolotu, ruszają w swoją stronę. Nikt mu nie odpowiada.

- Czy ktoś...

- Ja wiem, proszę pana oficera, i ja chętnie zawiozę. - Żyd dorożkarz cmoka na chudą kobyłkę, uchylając czapki. - I drogo nie wezmę - zastanawia się chwilę i uśmiecha szeroko -

albo i nic nie wezmę, ku chwale Ojczyzny!

Jaxa wskakuje do dorożki, przeciera spocone czoło.

- Jedź! - mówi. - Byle szybko.

I myśli zdruzgotany: Przecież ja jestem antysemitą...

Mijają rogatki, Żyd zręcznie manewruje na pełnej ludzi drodze. Przerzedza się, powietrze chłodne od majaczącego w dali lasu. Przed nimi na drodze patrol. Mundury piechoty. To już? Uff, nareszcie wojsko.

Jaxa wyskakuje z dorożki, Żyd uchyla czapki, uśmiecha się i, jak obiecał, nie bierze zapłaty.

- Niech ta panu poruczniku będzie na zdrowie! Wio!...

Ale nos miał krzywy, bardzo krzywy - myśli Jaxa na pocieszenie.

- I uśmiechał się tak jakoś. Chytrze? Uhm. Chytrze. Może to szpieg? - przychodzi mu nagle do głowy. - Może szpieg, który wywiózł mnie niby do naszych, a prosto w ręce Ruskich?

- Stój, kto idzie? - zatrzymuje go ostro dowódca patrolu.

Podporucznik Jakub - lat 27. Blondyn o atletycznej sylwetce i nieodpornej na słońce karnacji. W cywilu nauczyciel matematyki. Teraz dowódca patrolu.

- Stój, kto idzie? - zatrzymuje Jaxę ostro dowódca patrolu.

- Swój - odpowiada Jaxa niepewnie i podejrzliwie patrzy na zbudowanego niczym bokser blondyna o czerwonej twarzy.

Legitymują go, dowódca patrzy na Jaxę spode łba.

- Szef ochrony pancernego pociągu? Tutaj? - pyta nieufnie blondyn. - Proszę poczekać.

- Na co? - stara się opanować Jaxa. - Na co mam czekać? Dowódca nie odpowiada, bo właśnie od strony zabudowań nadbiega goniec, drąc się:

- Alaaarm! Alaaarm! Nieceemce idą, Nieceemce! Będziemy się bić!

- No nareszcie! - uśmiecha się do żołnierzy Jaxa i mówi:

- Postrzelam sobie, bo wojna trwa w najlepsze, a jakoś nie było okazji... Co jest? Panowie, co jest?

W jego pierś wycelowane cztery karabiny.

- Żądam oddania broni - mówi dowódca patrolu, mrużąc bardzo niebieskie oczy w bardzo czerwonej twarzy. - Uwaga pana porucznika wydaje mi się podejrzana.

Jaxa nie wierzy, że to się dzieje naprawdę. Ale żołnierze nie opuszczają luf, a dowódca wyciąga rękę po jego rewolwer takim ruchem, jakby chciał wyprowadzić prawy

sierpowy.

Zgodnie z regulaminem wojskowym ma tu władzę. Jaxa oddaje mu rewolwer, kręcąc głową.

- Alarm odwołany! Odwołaaany! Niemce nie idą! Nie idą! Nie będziemy się bić! - wrzeszczy nowy goniec, choć kto wie, może to ten sam?

- Odprowadzić tego szemranego porucznika do dowódcy, ale pod bronią - mówi blondyn, ściągając brwi z powagą.

Jaxa ubliża mu w myślach.

Całą noc trzech gamoni prowadzi go po lesie. Zmylili drogę, tak się złożyło. I to nie raz, niestety. Ale do dowódcy trafiają w porze śniadania.

- Pan wybaczy, poruczniku, młode, gorące głowy - uśmiecha się kapitan znad jajecznicy. - Dużo dezertarów się kręci, mętów różnych. Ostrożności nigdy za wiele, wojna jest!

Oddaje Jaxie rewolwer. Wyciera usta.

- Panu trzeba się zameldować w Brześciu. Ale od nas w południe rusza ciężarówka, nie będzie pan z buta szedł, no i zawsze to jakieś towarzystwo. Oni też z pociągów pancernych, ino z Puszczy Niepołomickiej. Spod Siedlec się wymknęli, a dalej, jak i pan, tory mieli potrzaskane w drzazgi. Będziecie jechać wolno, za pułkiem. No, to z Bogiem! - Macha mu na pożegnanie pajdą chleba z masłem.

Wśród pancerniaków z ciężarówki Jaxa jest najwyższy stopniem. Dostaje miejsce w szoferce. Kierowca pali papierosa za papierosem, a szyby w oknach się zacięły. Silnik na wolnych obrotach rżęzi, ale jadą, jak przykazano, za pułkiem piechoty.

- Jedź i jakby co, mnie budź. - Jaxa wymyka się na tył wozu. Odespać noc spędzoną na błędzeniu w lesie, uciec od papierosowego smrodu. Układa się między śpiącymi pancernikami.

Ale budzi się sam. Cisza, śpiew ptaków. Słońce praży przez plandekę ciężarówki.

Co jest, u licha? - myśli i zimny pot zalewa mu czoło, bo nie słyhać warkotu silnika. Wyskakuje.

Kierowca oparł głowę o okno. Śpi, czapkę zsunął na oczy. Rozpiął mundur. Na drodze pusto. Gdzie zniknął pułk piechoty? Jaxa budzi chłopaka waleniem w drzwi.

- Do Brześcia! Człowieku! Do Brześcia!...

Kierowca otwiera oczy, nieprzytomny i odpala silnik. Jaxa wskakuje w bieżący.

W Białej nie ma wojska. Za to zostały magazyny wojskowe. Szturmuje je ludność. Potem bombardowanie szosy, skręcają w las, ostro, w ostatniej chwili chowając się przed

lejącymi nisko samolotami.

- Stój! Hamuj! - krzyczy Jaxa, gdy nieprzytomny kierowca skaczącą na leśnej drodze ciężarówką omal nie najeżdża na śpiących ludzi.

Bo na polanie biwak. Cywile, mężczyźni z żonami.

- Idziemy do Brześcia - machają im wesoło. - Bo było wezwanie, by każdy zdolny do służby stawiał się tam, w komendzie!

Samoloty ucichły, wracają na szosę.

W Brześciu tłum mężczyzn w różnym wieku i wszyscy stoją pod komendą miasta. Komenda ewakuowana.

- Trzeba się meldować w Pińsku! - krzyczy ochrypla już kobieta w granatowej garsonce i kapeluszu. - Takie było polecenie odjeżdżającego komendanta! Wszyscy do Pińska, proszę państwa! Do Pińska!

Po drodze Kobryń, komenda przejściowa. Pułkownik Epler prosi Jaxę.

- Pan porucznik ma ciężarówkę, wróci pan do Brześcia, bo psia jucha, w twierdzy mieli wielki zapas paliwa, a nic, psia jucha, nie wzięli i my tu uziemieni, psia...

- To rozkaz? - upewnia się Jaxa.

- A jakże, rozkaz! - pułkownik Epler gładzi wąsy. Wracają. Ale benzyny w twierdzy nie ma.

- Była, ino rozkradli, jak tylko wojsko wyjechało - kiwa głową stróż. Nie zna tych, co rozkradli.

Na opuszczonej stacji benzynowej Jaxa zdobywa jeden kanister. Wiozą ją do Kobrynia. Pułkownik Epler z komendy przejściowej gładzi wąsa.

- Nie, już mi nie trzeba, weźmie ją pan porucznik do Pińska. Bo porucznikowi teraz się trzeba odmeldować do Pińska. Do Pińska.

Kierowca prowadzi i śpi, jednocześnie.

- Bo jak nie palę, to zaraz zasypiam - tłumaczy się Jaxie. Jaxa kaszląc, mówi:

- To już lepiej pal, wieziemy galon benzyny.

Pińsk. 20 września 1939 roku

Jaxa melduje się w Komendzie Miasta.

- Kierowca zostaje do naszej dyspozycji, z ciężarówką i paliwem - mówi podpułkownik Nowak, albo Kowalski. - A pan, jako że oficer, zgłosi się na stację zborną oficerów, to pod miastem.

Jaxa zbiega po schodach komendy. Nad Pińskiem przelatuje samolot. Ludzie przywierają do murów. Nie zrzuca bomb. Jest szary i na skrzydłach ma czerwone gwiazdy.

Czerwone gwiazdy?! Jaxa przeciera oczy, ale nie, wzrok go nie myli.

- Czy ktoś wie, gdzie jest stacja zborna oficerów? - krzyczy w opustoszałą nagie ulicę.

Cisza. Po chwili przechodnie widząc, że samolot odleciał, odrywają się od murów.

Każdy rusza w swoją stronę.

- Czy ktoś wie... - krzyczy zrezygnowany Jaxa.

- Ja pana oficera zawiozę - mlaszcze Żyd, podjeżdżając furką. - I nie wezmę za to ani grosza...

Déja vu - myśli Jaxa, wskakując na wóz. Siada na koźle, obok Żyda, ale odsuwa się trochę.

-...bo mi jest po drodze... - Woźnica zacina konia.

Samolot na horyzoncie. Leci coraz niżej i niżej. Znów szare skrzydła i czerwona gwiazda.

- To tutaj! Ten duży dom. Pan oficer wyskakuje, bo ja uciekam!...

- trwożliwie krzyczy Żyd, patrząc w niebo.

Jaxa wchodzi do szkolnej kiedyś sali. Rzędy łóżek polowych, taborety. Siwowłosi oficerowie rezerwy w porozpinanych mundurach. Siedzą w grupkach na łózkach. Układają pasjanse, grają w brydża, popijają z metalowych kubków. W grupce najbliższej wejścia jeden pyta:

- Jak panowie koledzy uważają, lepiej nam będzie poddać się Sowietom czy Niemcom?

*

Obóz polowy pod Klwowem. 8 września 1939 roku

Świt. Senna, poranna krzątania. Ordynans niesie do namiotu sztabowego dzbanek z gorącą kawą. Żołnierze budzą się. W gęstych zaroślach ktoś śpiewa. Przybyli ułani. Kończy śpiewać, wychodzi i zapina rozporek. To porucznik Dor.

Porucznik Zub-Zdanowicz, pseudonim Dor - lat 27. Prawnik z praktyką w Izbie Skarbowej. Przed wojną powołany do służby czynnej w korpusie oficerów żandarmerii. Wysoki brunet, z wąsem. Blizna na lewej brwi nadaje połowie jego twarzy wyraz nieustannego zdziwienia. Chociaż jeśli spojrzeć na twarz z prawej strony, może здаwać się, że to grymas złości. Raczej przystojny. Kawaler. Dziewczyny myślą o nim „do wzięcia”.

- Dzień zapowiada się pogodny, panie poruczniku! - mówi ordynans, wychodząc z namiotu. - Kawę podałem, więc może póki ciepła...

- A gazeta jest? - żartuje Dor.

- Major ma wczorajszą...

Seria z broni maszynowej przerywa wypowiedź. Ordynans pada, ale tylko ze strachu. Z pobliskich świerków sypią się drobne gałęzie.

- Jezuuu! Niemcy!!! - wrzeszczy sierżant, biegnąc w stronę sztabu. - Nieceemcyyy!

Dor chwyta go za kołnierz.

- A co byś chciał, sierżancie? Ruskich?

- Nieee... - sierżant jest przerażony, biegnie w miejscu. - Niemcy strzelają do nas jak do kaczek!

Przystojną twarz porucznika wykrzywia grymas. Dor ma problem z cierpliwością. Błyskawicznie wyjmuje rewolwer i przystawia do skroni wierzgającego sierżanta.

- Milcz. Bo za sianie defetyzmu kula w łeb. Jesteś od przekazywania informacji, nie od wywoływania alarmu, zrozumiano?

- Tak jest. - W jednej chwili uspokaja się sierżant. - Tak jest.

- To do namiotu dowódcy biegiem marsz! - Dor kopnąłby go w tyłek na drogę, ale sierżant naprawdę był szybki i ruszył, gdzie mu kazano.

- Głuchowski! - krzyknął Dor do nadchodzącego kaprała. - Chodź ze mną na zwiad!

Ruszyli w stronę, z której dochodziły strzały. Z boku ustawione równo na polanie wozy taborowe, motocykl z koszem i sportowa skoda porucznika, wymalowana na białoczerwono. Mitek, kierowca Dora, z niepokojem nadsluchiwał strzałów.

- Żeby mi lakieru nie porysowały szkopiska - splunął. Jakies sto metrów do krańca lasu drzewa rosły coraz rzadziej. Gdzie, u diabła, jest warta? - pomyślał Dor i natychmiast dostał odpowiedź. Z niskich, ale gęstych krzaków wystawały buty żołnierzy. Pochowali się.

I jak mamy w miesiąc wygrać tę wojnę? - przeszło mu przez głowę.

Na szczęście nie musiał w tej chwili się zastanawiać. Kolejne serie z niemieckich automatów siekały drzewa. Padli z Głuchowskim na ziemię i podczołgali się do znaczącej brzeg lasu grubej sosny. Przed nimi pole, kraj wsi i trzy niemieckie samochody pancerne.

- W koła - szepnął Dor do Głuchowskiego, który mierzył w skupieniu. Równocześnie dali po serii. Niecelnie.

- Idę za tamtą brzozę - powiedział Głuchowski i nim Dor zdążył zaprotestować, wstał.

- Padnij! - ryknął Dor, widząc składających się do strzału Niemców.

Najpierw o ziemię uderzyła oderwana gałąź, potem kaprał.

- Już dostałem, panie poruczniku - powiedział cicho i zupełnie normalnie.

Z poszarpanej nogawki czystych spodni trysnęła krew.

Chyba w tętnicę, pech! - jęknął w duchu Dor i ze złością posłał serię z automatu do Niemców. Poczuł coś na kształt satysfakcji, gdy zobaczył padającego na plecy szkopa. Ale za

trafionym wylegli następni, pięciu, piętnastu; samochody pancerne ruszyły w stronę Dora, rozgniatając kołami nierówne bruzdy zaoranego pola.

Trzeba stąd spadać - pomyślał porucznik, podnosząc się.

- Nie zostawiaj mnie, wodzu. - Proszący ton w głosie Głuchowskiego wydał mu się nienaturalny. Wziął go na plecy, uważając, by nie urazić otwartej rany, w lewą rękę chwycił jego kabeka. Poczuł ciepło krwi na plecach.

Wiem, powinienem zatamować krwotok - myślał, biegnąc na ugiętych nogach - ale nie zdążę, Niemcy już są.

Kolejne serie świstały między drzewami. Rykoszety odbitych od pni kul. Dwadzieścia, może trzydzieści susów do obozu.

Dlaczego tu tak cicho? Polana, białoczerwona skoda.

- Mitek?! Pomóż mi!

Kierowca biegnie, bierze rannego od porucznika.

- Gdzie wozy taborowe? Gdzie pluton? - krzyczy Dor.

- Uciekli, panie poruczniku. Po tej drugiej serii.

- A pułkownik Oziewicz? - Dor czuje, jak jeżą mu się włosy na głowie. Jest szefem bezpieczeństwa sztabu. Jeśli jego dowódca coś się stanie...

- Pułkownik bezpieczny, wycofuje się. Jezu, ile krwi w jednym kapralu! Co z nim?

- Do samochodu i gaz. Uciekamy spod ostrzału!

- Tapicerkę szlag trafi... - jęczy Mitek pod ciężarem Głuchowskiego. - A tam, w końcu wojna. - Ładuje go do środka.

Dor wskakuje na zderzak, w aucie nie ma już dla niego miejsca. Mitek rusza, piach polnej drogi w mig brudzi białoczerwony lakier.

Kto maluje wojskowe auto na takie kolory? - myśli Dor.

Jadą do Białobrzegów. Tam dowiadują się, że 29 Dywizja Piechoty przestała istnieć. Oziewicz ranny, ale sztab wyrwał się z kotła. Rozkaz generała DąbBiernackiego: wraz z niedobitkami przekroczyć Wisłę i meldować się w Lublinie.

- Panie pułkowniku - Dor siada przy rannym dowódcy. - Niech pan mi powie, ale szczerze. Jakie mamy szanse przy takim chaosie dowodzenia?

Oziewicz zachował niewzruszony wyraz twarzy.

Trzy dni wcześniej, rano, generał DąbBiernacki kazał im przekroczyć Pilicę. Gdy byli w trakcie przeprawy, zawrócił ich. Dwa bataliony rozbite przez Niemców, którzy mieli niezłe używanie, myśląc, że dywizja piechoty robi sobie „manewry na rzece pod nieprzyjacielskim ostrzałem”. W nocy znów dostali rozkaz sforsowania rzeki, tym razem zdążyli go wykonać.

Nazajutrz generał kazał im przeprowadzić się przez Wisłę koło Maciejowic. Potem zaś zmienić miejsce przeprowy na Dęblin. Na szczęście ten rozkaz do nich nie dotarł. Znerwicowanych ciągłymi zmianami rozkazów żołnierzy z łatwością wystraszył atak pancernego zagonu niemieckiego XIV Korpusu. Panika wybuchła wśród szeregowców nocą na drodze. Zwiewali w krzaki, rzucając broń pod nogi. Wtedy właśnie Dor odkrył, iż coś nie gra z jego cierpliwością, czuł, że jeśli nie opanuje histerycznie uciekających żołnierzy, to chyba sam ich wystrzela. Morale rzucanej bez sensu z miejsca na miejsce dywizji było żadne. I dzisiejsze poranne okrążenie dowództwa w lesie, ucieczka wart, rozpierzchnięcie ludzi, wszystko to w połączeniu z decyzjami apodyktycznego, nie lubianego w wojsku generała Dąb-Biernackiego sprawiało, iż Dorowi odechciało się wojny.

Pułkownik Oziewicz z kamiennym wyrazem twarzy podsunął prostą, metalową piersiówkę.

- Pij, poruczniku.

- To rozkaz? - Zub-Zdanowicz nie przepadał za alkoholem.

- Owszem.

Porucznik pociągnął łyk.

- I daję go panu - kontynuował pułkownik - by dostał pan choć jeden sensowny rozkaz.

Dor poczuł ciepło w żołądku.

Dobre - pomyślał zaskoczony i znów przystawił piersiówkę do ust.

- Starczy. - Pułkownik odebrał mu ją zdecydowanym ruchem. - Mówilem, że sensowny będzie tylko jeden rozkaz. A teraz proszę iść i wykonać polecenie generała. Mam nadzieję, że spotkamy się w lepszych czasach.

Dwa tygodnie później pułkownik Oziewicz zostanie internowany przez Sowietów na Litwie. Jego ostatnie życzenie spełniło się jeszcze dwa razy. Nie do końca się spełniło. Po prostu się spotkali.

Zub-Zdanowicz melduje się w Lublinie. Stamtąd wysyłają go do Chełma. Jest w zgrupowaniu generała Olbrychta. Jeszcze walczą z Niemcami, już wiedzą o Sowietach. Ludność białoruska i ukraińska podjudzana przez Armię Czerwoną dokonuje samosądów. Hajże na Lachiw, budem ich rizaty! Zub-Zdanowicza, jako szefa plutonu żandarmów, wysyłają z wyprawą karną. Na ukraińskich chłopów, na baby. Ich kwieciste chustki rozsiane między żytem jak maki. A po wsiach łuki tryumfalne dekorowane flagami. Czerwonymi flagami.

NIECH ŻYJE ARMIA CZERWONA!

To znów porucznik pilnuje Niemców zamkniętych w stodole. Pierwsi jeńcy bitwy pod Cześnikami. I ostatni, bo kleszcze okrażenia zaciskają się. Odwrót, odwrót. Nocne wycofanie wojsk. Gubią tabory.

Sprzeczne rozkazy dowództwa. Jakiś szeregowiec buntuje się i siada na poboczu drogi w strugach deszczu.

- Zastrzelcie mnie, nie idę! Z przodu Niemcy, z tyłu Niemcy! Nie idę!...

- Chodź, chłopaku. - Tym razem Dor nie wyciąga rewolweru. - Chodź, bo z boku są Sowiety.

Podnosi kabeka szeregowca, wciska mu w garść.

- Do tego pada, siadłeś w kałuży, dupa ci zmoknie i będziesz sikał krwią.

Szeregowiec daje się prowadzić, jak dziecko.

Walki o Krasnobród, dwa dni. Nie udaje się zdobyć miasta. Oddziały topnieją. Rannych zostawiają we wsi. Piechota zmęczona.

Znów wycofanie. Kolejny dzień marszu.

Kolumna wojska, wychodząc z lasu, niespodziewanie trafia na niemiecką zmotoryzowaną piechotę. I czołgi. Gdzie, u licha, była szpica? Ogień niemieckich cekaemów. Sieją na kilometr. W mgnieniu oka wszystko staje w miejscu.

- Jakby przestrelili zegar - mówi ktoś obok Dora.

W oddali wieś. Przed nimi droga pełna zabitych ludzi. Baterie dział z wystrzelanymi końmi. Kopyta sztywno wyciągnięte. Lufy sterczą w niebo.

- Ale działa są całe - przerywa ciszę ten sam głos.

Podporucznik Fenix - lat 26. Do niedawna podchorąży rezerwy. Ciemnowłosey. Melancholijną urodę włoskiego amanta psuje nos, nadmiernie spłaszczony.

- Fenix - przedstawia się śniady podporucznik. - Zdeterminowany.

Obyś nie był Głuchowskim - myśli trzeźwo Zub-Zdanowicz, a głośno mówi: - Dor, nadterminowy. Gotów?

Fenix kiwa głową. Wyskakują zza samochodu i biegną do dział.

- Gdzie są artylerzyści? - krzyczy Dor.

- Artylerzyści! - powtarza za nim Fenix. - Do dział!

- Artylerzyści - pohukują krzaki i las. - Artylerzyści do dział!

Próbują przygotować armatę. Ostrzał trwa.

- Bofors wz. 36 - mówi Fenix, nastawiając armatę. - Z pół kilometra przebije pancierz czołgu. Tylko nie wiem, jak ją uzbroić.

- Ja wiem! - W długich susach dopada do nich młody chłopak, bez czapki. - Kanonier

Maliniak.

- W samą porę!

- Pięciu ludzi normalnie potrzeba, żeby Boforsa obsłużyć, ale we trzech damy radę - mówi zdyszany Maliniak. - Jak ją załadujemy, odda dziesięć strzałów. To bestia, nie armata.

- A gdzie artylerzyści? Wszystkich poza tobą wystrzelali?

- Nie. - Maliniak szykuje pocisk. - Tam siedzą - ruchem głowy wskazuje na pobliskie domy, nieco oddalone od wsi. - Pierwsi dopadli chałup i pochowali się.

Ile razy można przegrać jedną wojnę? - myśli Dor.

- Jezusku, co się panu porucznikowi stało? - Maliniak zastyga wpatrzony w jego brew.

- Nic, taki się urodziłem. Skrzywiony - kłamie Dor i daje kanonierowi sygnał, by strzelał. Fenix nastawia wizjer.

- Ładuj! - krzyczy Dor po pierwszej serii i pomaga kanonierowi. - Pal!

Cekaemy milkną.

- Czołg! Poruczniku! Pierdolnęliśmy w czołg!

I co z tego.

Skoro dzień później dowództwo musiało podjąć rozmowy o kapitulacji. Generał Olbrycht zdążył jeszcze Zub-Zdanowicza, Fenixa i kanoniera Maliniaka przedstawić do Virtuti Militari.

Za taką akcję - myśli Dor - pochwalilibym żołnierzy, ale żeby od razu order?

Nie mówi tego jednak głośno, zresztą komu?

27 września pod Terespołem kapitulacja całego zgrupowania.

Przez tłum zdających broń przeciska się ku niemu znajoma sylwetka. Wiktor?

- Dor? Brat!

Młodszy Zub-Zdanowicz jest saperem. „Mam bombową robotę” - mówił dziewczynom na pierwszej randce i to z jakichś powodów zapewniało mu drugą i trzecią rundę. Jeśli panna była oporna, dorzucał do tego bombonierkę. „Rozbrajasz mnie” - szeptały mu potem do ucha, a on zastanawiał się, jak długo uda mu się stąpać po polu minowym między Joasią, Zosią i Alinką. Dla zabezpieczenia nie używał imion, do każdej mówił „kochanie” i jak na razie nie było detonacji.

- Poddajemy się? - pyta Wiktor Dora, gdy bracia Zdanowicze wleką się w kolumnie, która z wojskowej stała się jeniecką.

- Skaczemy w bok, jak dojdziemy do tamtych krzaków.

- Tak jest! Po starszeństwie zawsze masz rację! - oczy Wiktora lśnią i Dor myśli przez chwilę, że jego brat naprawdę ma w sobie to „coś”, na co tak lecą dziewczyny.

- Jasna dupa! - klnie po trzech minutach saper Zdanowicz. - Musiałeś wybrać krzak głogu na miejsce naszej wielkiej ucieczki?

Nad ranem odnajdują rozbitków 22 Pułku Ułanów.

- Witam w improwizowanej Grupie Kawalerii „Chełm”. Nazywam się Płonka i ja tu dowodzę. Pułkownik Płonka.

- Melduję improwizowaną grupę braterską Zub-Zdanowiczów w składzie porucznik żandarmerii i saper.

- Może być. Sopera jeszcze nie mamy. - Płonka potrząsa dłonią Wiktora i ledwie odwraca głowę w stronę Dora. - A, żandarm... Żandarm zawsze się przyda.

Wiktor puszcza do brata oko. Znów sopera na wierzchu. Na widok koni wybacza nawet głóg.

- Zawsze chciałem do ułanów! - śmieje się pełną gębą, gdy pułkownik Płonka przyjmuje ich w szeregi. Bez zbędnych ceregieli zresztą.

- Ojciec miał stajnię w Polanówce - mówi Dor i to wystarcza, by dostali konie i broń. Przemykają konno przez szosę TarnopolJanów, tuż pod nosem Niemców.

- Na razie kierujemy się na San, a stamtąd na Węgry - mówi na popasie pułkownik Płonka. - Jedziemy w małych grupach, staramy się nie włączyć Niemcom w oczy. Za granicą połączymy się z grupami pułkowników Filipkowskiego i Koca. Jest nas więcej, takich, co nie pójdą w niewolę.

- Żołnierz to może by się i poddał, posłuchał rozkazu - śmiejąc się, mówi ordynans pułkownika. - Ale koń, panie poruczniku, koń nie pójdzie. Koń po niemiecku rozkazu nie posłucha, a bolszewickie siano mu nie smakuje.

- Koń swój rozum ma! - klepie kasztanka Dor.

- A ułan swój honor! - dopowiada pułkownik.

To samo powtarza nazajutrz, gdy natykają się na niemiecki oddział we wsi Dzwola.

- Mieliliśmy unikać nieprzyjaciela, ale nie uciekać. Ułan swój honor ma.

Przeciwpancerni, lekko nie będzie - myśli Dor. - Ale przynajmniej walczymy.

Mają kilka armat Bofors.

- Z pół kilometra rozwalą czołg - mówi.

- Porucznik żandarmerii strzelał z armaty? - pozycja Dora w oczach dowódcy natychmiast rośnie.

Mruga do Wiktora.

- Weź, nie rób do mnie tak tym krzywym okiem - wścieka się zdegradowany saper.

- Stanowiska ogniowe! Pal!

Rozkazy nikną w huk, dym, smród. Kwik koni. Serie z automatów prosto w głowy wychylających się celowniczych. Godzina. Amunicja się kończy. Strzały od strony wsi milkną, milkną jak na komendę. Niemcy poddają się. Poddają się!

Improwizowana grupa wygrała potyczkę.

- Jesteśmy zdziesiątkowani - beznamiętnie stwierdza pułkownik Płonka. - I wygraliśmy.

- Zajmujemy wieś?

- Zajmujemy, pozbierajcie rannych.

Nie zajęli. Od strony Frampola jeden po drugim przyszły patrole radzieckie.

- Wycofać się na Krzemień! - rozkaz był błyskawiczny.

Dor zawracał konia; w tej samej chwili zauważył, że jadący za nim młody podchorąży zsuwa się z siodła. Ranny? Zemdlął? Zeskoczył i złapał go. Chłopak miał postrzał w dłoń, zdawało się niegroźny. I drugi w nogę.

- Utrzymasz się na koniu?

- Chyba nie - z trudem przełknął ślinę. - Pan mnie zostawi, panie poruczniku, uciekajcie...

- Zgłupiałeś? Bolszewikom mam cię zostawić? - Dor obrócił się i zobaczył, że koń podchorążego uciekł w stronę wsi. - Dawaj! - stęknął i pomógł mu wsiąść na swojego. Sam wskoczył na siodło za nim. Koń ruszył wolniej, z trudem niosąc dwóch jeźdźców. Dogonił Improwizowaną przed wsią.

- Żyjesz?

- Żyję.

- Widzisz ten zagajnik? Muszę cię zsadzić. Dojdiesz tam?

- Dojdę.

Podchorąży był śmiertelnie blady. Dor pomógł mu stanąć na ziemi.

- Uciekaj do lasu, chłopcze, czerwona zaraza nadciąga! - Z powrotem wskoczył na siodło, widząc, że Improwizowana w Krzemieniu nie zdążyła zsiąść z koni. Piechota z czerwoną gwiazdą szła od zabudowań, ostrzeliwując ich gęsto. Zaciął konia.

Spiczaste czapki. Szarobrazowe szynele, poszarpane. Pod nimi rubaszki. Kierzowe bezkształtne buty, karabiny uwieszone na sznurku!

- Jezu Chryste! Proletariacka cywilizacja! - Splunął, ładując broń. Już zrównał się ze swoimi.

Ale tamci to był tylko pierwszy szereg, który niczym brudna piana przy brzegu jeziora rozpełzał się po wsi. Za nimi szli oficerowie, a pomiędzy zabudowaniami już pojawiali się

czerwoni kawalerzyści.

- Wyprzemy ich! - krzyknął Dor i wymierzył w oficera prowadzącego natarcie. Strzelił. Trafił. I wyparli.

- Chryste, Dor! - drze się Wiktor. - W końcu wygraliśmy bitwę!

- Nie bitwę, dzieciaku, tylko utarczkę. A właśnie. Dzieciak. Podchorąży. - Zdanowicz przypomniał sobie o rannym chłopaku odesłanym w las. Wskoczył z powrotem na konia i pojechał.

Znalazł go w zaroślach na skraju lasu. Podchorąży leżał na brzuchu, w pozycji strzeleckiej z przygotowanym do strzału karabinem. Nie żyje - pomyślał Dor, pochodząc do niego. Żył, ale zemdlął z upływu krwi. Mech, na którym leżał, wchłonał ją niczym gąbka. Ciemne, głębokie plamy.

- Poruczniku Zub-Zdanowicz! - mówi pułkownik, gdy bracia piją wodę z menażki zabitego w natarciu kolegi. - W uznaniu zasług mianuję pana oficerem łącznikowym. I przepraszam, że początkowo wyżej oceniłem zalety pańskiego brata. Nie sapera nam trzeba, ale kogoś takiego jak pan, kto umie podejmować decyzje. No, to komu w drogę, temu czas! - ściska mu rękę.

- Pan pułkownik gdzieś się wybiera? - Dor ledwie łapie oddech, woda ścieka mu po brudnej twarzy.

- Ja? Skądże. Ja teraz zajmuję kwaterę, a pan, jako mój oficer łącznikowy, jedzie do podpułkownika Kopcia, z rozkazami ode mnie. Oczywiście sapera może pan wziąć ze sobą!

Klną i oni, i zmęczone konie.

- Wskoczyłbym nawet w głóg, byleby zasnąć - jęczy Wiktor.

Nad ranem odnajdują kwaterę pułkownika Kopcia. Oddają rozkazy. Wiktor szuka miejsca do snu. Jest mu wszystko jedno gdzie, głogu nie ma, ale goła ziemia jest.

- Wstawaj! - Dor podciąga brata za kołnierz. - Chciałeś do kawalerii? To masz! - Wciska mu w rękę uzdę. - Oporządkuj konia, to będziesz się mógł położyć.

- Sytuacja jest beznadziejna - mówią dowódcy po południu na odprawie oficerskiej. - Cztery korpusy armii niemieckiej obsadziły dostęp do Sanu. Niemców mamy od zachodu, południa i północy. Ze wschodu nadciągają Rosjanie.

- No raczej - mruknął Dor. - A skąd mają iść?

Pułkownik Kopeć gniewnie spojrzał na swego ulubieńca. I dokończył:

- Musimy rozważyć poddanie się.

Koń do Niemca nie pójdzie - powtórzył w myśli Dor za ordynansem, ale jakoś nie zaryzykował, by powiedzieć to na głos.

- Ponieważ, jak to mówią, koń do Niemca i tak dalej, poddaję pod dyskusję opcję poddania się Sowietom - oznajmił Kopec.

- Koń jak koń - wszedł w zdanie pułkownik Zieleniewski, z „drugiej improwizowanej”. - Ale my mamy na sumieniu rozstrzelanie niemieckich jeńców. No co? - patrzy na Dora. - Wolno mieliśmy puścić czy parami prowadzić za oddziałem? Więc obawiam się, że Wehrmacht zrobi z nami to samo.

- A bolszewik za to przyjmie nas chlebem i solą! - nie wytrzymał Zub-Zdanowicz.

- Sarkazm porucznika żandarmerii jest nie na miejscu w obecnej sytuacji - powiedział Kopec i wyrzwał przez okno na dźwięk silnika. - Proszę o opuszczenie pokoju. Zostaje tylko dowództwo. A pan, poruczniku, niech się tak nie krzywi, to wygląda niestosownie.

- Taki się już urodziłem - odwarknął Dor, poruszając lewą brwią. Zdanowicze wychodząc, minęli się z radzieckim komisarzem.

- Dokąd idziemy? - Jak zawsze w takich chwilach Wiktor przypominał sobie o starszeństwie brata.

- Do stajni - odpowiedział Dor.

Ale zatrzymali ich na podwórzu wzburzeni oficerowie.

- Panowie widzieli? To my się teraz będziemy Sowietom poddawać? Co mówili w dowództwie? Co mówili?

Nim bracia zdążyli przekazać, że opcja niemiecka nie wchodzi w grę, z kwatery wybiegł kapitan z pobladłą twarzą.

- Warunki negocjują! Ja się poddawać nie będę! Kto ze mną?

- Ale dokąd? - niepotrzebnie zapytał Dor.

- Dokądkolwiek. - Odpowiedział kapitan, biegnąc w stronę lasu.

- Byle nie do bolszewików.

- Brat, to co robimy? - pociągnął go za rękaw Wiktor. - Co?

Drzwi znów się otworzyły i stanął w nich komisarz z czerwoną opaską.

- Odpalać? - spytał go kierowca.

Komisarz wyjął z kieszeni papierosy i zapalki.

- Sam sobie odpalę! - odpowiedział. Kierowca zgasił silnik.

- Żartowniś - zauważył Zub-Zdanowicz.

- Panie komisarzu... - jeden z oficerów, którzy przed chwilą deliberowali, podszedł do Rosjanina.

- U nas nie ma panów - zaciągnął się dymem komisarz. - Mów do mnie „towarzyszu”.

- Prędzej zdechnę - szepnął oficer, ale bardzo cicho. A głośno spytał: - Co się stanie z

oficerami, jeśli się wam poddamy?

- Nie „jeśli”, tylko „gdy”. - Sztachnął się machorczaikiem, puścił dym. - Nic. Do domu pójdziecie. Odpalaj! - rzucił niedopałek i przydeptał butem.

Zaterkotał silnik.

- Ja im nie wierzę - powiedział któryś z oficerów.

- Panowie! - przed kwaterę wyszedł pułkownik Płonka. - Uspokójcie się. Dzisiejsi bolszewicy to regularna armia. To nie ta sama hołota, co w tysiąc dziewięćset dwudziestym. To wojsko. Warunki złożenia broni mamy uzgodnione. - Odetchnął ciężko.

- Ale panie pułkowniku!...

- A co? Do Niemców pójdziemy? Dostaniemy serią w pierś! - zdenerwował się Płonka.

- Takiej miny nawet ja nie rozbroję - rozłożył ręce Wiktor i poszli się przejść.

Udali się w stronę stajni. Tam weszli wprost na szeroką pierś rotmistrza Flatau. Na posłaniu na słomie leżał blady podchorąży z opatrzoną ręką i nogą.

- Panie poruczniku! - uniósł się na zdrowym ramieniu. - Chciałbym podziękować. Uratował mi pan życie.

- Co z tego, chłopcze, skoro właśnie negocjują oddanie nas do niewoli? - zachnął się rozdrażniony Dor.

- Jakiej? - ściągnął brwi podchorąży.

- Sowieckiej - splunął Wiktor - psia proletariacka mać. Chłopak wyraźnie odetchnął.

Widać i on z tych, co wierzą, że Sowieci krzywdy im nie zrobią - kwaśno pomyślał Dor.

- Ja z Wołynia - powiedział podchorąży, jakby się tłumacząc. - Mirek Petelicki, panie poruczniku.

Zdanowicz kiwnął mu głową i skierował się w stronę boksów dla koni.

- Konie są własnością pułku. Nie możecie ich samowolnie wziąć!

- oznajmił Flatau, widząc ich zamiar.

- Ale panie rotmistrzu! Nie boli pana serce, że jeszcze dzisiaj te konie będą w rękach bolszewików? Nie żal ich panu?

Argumenty Wiktora trafiały w próżnię.

- Mam rozkaz pilnować koni, bo o piętnastej jadę z pułkownikami Kopciem i Płonką poddać się. I panowie też podlegają rozkazom.

- Przeciwnie - Dor przemówił metalicznym głosem porucznika żandarmerii. - Byliśmy oficerami łącznikowymi między Kopciem a Płonką. Ponieważ pułkownicy ci spotkali się,

nasza funkcja skończona i odmeldowuję nas. I konie też.

I na oczach zdumionego rotmistrza wyprowadził ze stajni dwa wypoczęte kasztany.

- W życiu nie słyszałem, żebyś tak czekał - z podziwem jęknął Wiktor, gdy oddalali się poza zasięg krzyku wściekłego rotmistrza.

- Widzisz? Czegoś nas w tej żandarmerii nauczyli - śmiał się Dor.

-...to niesubordynacja!... - gonił ich coraz cichszy krzyk Flataua.

- Ty, brat, ale to z tym odmeldowaniem to jest zgodne z regulaminem?

- A jak sądzisz, saperze?

- Nie wiem. Tak czekałeś, że ci uwierzyłem. Ale teraz to już nie wiem.

- A jakie to ma znaczenie? Wolisz być dezterem czy bolszewickim jeńcem?

Wiktor miał taką minę jak w dzieciństwie, gdy nie chciał jeść ani szpinaku, ani marchewki. Dor nie rozczulał się nad młodszym bratem i dodał:

- A jeśli chcąc być żołnierzem, trzeba złamać rozkaz?

Pułkownik Płonka, pułkownik Kopeć i rotmistrz Flatau trafili do obozu jenieckiego w Starobielsku. Zamordowani w Charkowie Dzień później bracia dotarli lasami do Krzemienia, gdzie kwaterowali już „czerwonoarmiejcy”. Wycofali się w las. Dor kazał bratu zsiąść z konia i rozebrać się do pasa.

- Ale weź, przecież jest zimno... - Posłusznie wykonywał polecenie Wiktor.

- A teraz zobaczmy, czy twój saperski urok zadziała na dziewczuchy z Krzemienia. Grzejesz do wsi, nie włączysz czerwonym w łapy. Znajdujesz jakąś miłą, godną zaufania pannę i załatwiasz cywilne ubrania. Dwóch polskich oficerów konno to zły pomysł, jeśli chcemy się prześlizgnąć między Niemcami i Ruskimi.

- Nie żał tak, bez mundurów? - skrzywił się Wiktor. - To już całkiem jak dezercja.

- To załatw mundury szeregowców - zażartował Dor.

Po nie więcej niż pół godzinie Wiktor wrócił. Policzki miał zaczerwienione.

- Zmarzłeś? - trochę pożałował go Dor, widząc, że taszczy spore pakunki.

- Nie, to od całowania. Wiesz, nie obyło się. Głupio tak jakoś brać za darmo. No co tak patrzysz?

- Mundury... - wykrztusił Dor, z niedowierzaniem rozkładając zawiniątko. - Mundury szeregowców...

- No przecież mówiłeś, że szeregowców mogą być. Tylko nie grymas, nie będę tam wracał, bo już zapomniałem, jak jej było. Kaśka? Może Kaśka... Dała też upieczoną kurę, tam w tobołku. Ruscy kazali sobie żarcie szykować, to zwinęła. I butelkę samogonu dorzuciła.

- A jednak się wrócisz - oznajmił Dor, przeglądając tobołki.

- Po co?

- Nie widzę ogórków.

Wiktor zastygł, zapinając kurtkę. Dor klepnął go w plecy i roześmiał się.

- Żartowałem! Ach, ci saperzy! Wciąż tacy podminowani, za grosz poczucia humoru.

Kończ się ubierać i uciekamy stąd.

Jednak nie było to takie proste. O ile nocą udało im się konno przemknąć przez szosę i wymknąć poza kocioł trzech wsi obsadzonych przez Sowietów, o tyle później omal nie wpadli na Niemców. Dwa dni przesiedzieli wraz z końmi w kępie zarośli między Żułonicami a Błążkiem w sąsiedztwie większych oddziałów niemieckich. Kurę objedli doszczętnie, samogon wypili. Konie wyskubały całą trawę między krzakami. Dopiero trzeciej nocy wymknęli się stamtąd i dotarli do nie obsadzonej przez żadne wojsko wsi Batorz. W ciemnościach majaczyła wieża kościoła. Prowadząc konie, szli przez opustoszałą wieś. Naprzeciw nich z mroku wyłoniła się zwalista sylwetka w sutannie.

- Niech będzie pochwalony! - jak na komendę powiedzieli bracia.

- Na wieki wieków... Zub-Zdanowicze? Wszelki duch Pana Boga chwali...
Zub-Zdanowicze!... To ja! Władek!

- Władek? - Dor przyjrzał się księdzu. - Jaki Władek?

- Władek Dalewski, wasz druh drużynowy. Przez sutannę mnie nie poznaliście! Wikaruję tutaj, w Batorzu! Ależ dobrze was widzieć, chłopaki! A to się matka ucieszy, że żyjecie! A tobie co się w tę brew stało? Upiornie wygląda...

- Ćśśś... Władek, jest okupacja, Ruscy oficerów szukają.

- A to nie szkodzi, my jesteśmy pod okupacją niemiecką! Chodźcie na plebanię, no dalej.

Władek dał im dobrą kolację, a potem na ile potrafił, na tyle nakreślił im na mapie linię frontu. Gdzie Ruscy, gdzie Niemcy.

- Ruscy najpierw szli jak burza, zajmowali wieś za wsią. Ale potem w kilku miejscach wymienili się z Niemcami. Parafianie mówili, że o tak, ręce sobie podali. Swołocz. Czwarty rozbiór Polski. Chwała Bogu, że idziecie na Węgry, przedrzecie się na Zachód i z aliantami wróćcie nas wyzwalać.

Dor zdjął z palca sygnet. Patrząc na mapę wykreśloną przez wikarego, nie miał złudzeń: jeśli uda im się cało wymknąć z Polski, to będzie cud.

- Władek, mam prośbę. Odeślij go naszej matce. To rodowy, po ojcu.

- Ale chłopcze - wikary pobladł. - Jak matka dostanie sygnet, pomyśli, żeś zginął.

- Niech go przechowa. Jeśli któryś z nas przeżyje, odbierzemy. Nie wyobrażam sobie,

żeby ktokolwiek, Rusek czy Niemiec, ściągnął go... Wiktor nic nie mówił, a Dor, w tej jednej chwili, był pewien, że nie przeżyją.

Po raz pierwszy od ponad miesiąca spali w prawdziwej pościeli i w łóżkach. Rankiem przybiegł wikary, ale minę miał nieszczególną.

- Słuchajcie... okropna sprawa. Proboszcz kazał mi wypowiedzieć wam kwaterę. Boi się, że mu Niemcy albo bolszewicy spalą plebanię. Poszukam wam czegoś we wsi...

- Daj spokój, Władek. - Dor już przecierał zaspane oczy. - Czy bohaterski proboszcz przyjdzie nam to powiedzieć?

- Nie, kazał przekazać, że nie wyjdzie do was, bo ma chore serce... Chłopaki, strasznie mi głupio, nie spodziewałem się...

Gdy odjeżdżali ze wsi, Wiktor poklepał kasztanka po szyi.

- Przynajmniej konie się nażarły księżowskiej koniczyny!... Ruszyli w stronę Starej Wsi, byli naprawdę niedaleko Opola Lubelskiego, tak blisko od domu. Wszystko to znajome im tereny.

- Nie, nawet o tym nie myśl! - Dor stanowczo hamował Wiktorowi ochotę odwiedzenia matki.

Przed Starą Wsią wielki łuk tryumfalny, ozdobiony gałązkami i wstążkami.

- „Niech żyje Armia Czerwona” - odczytali napis cyrylicą ze wstęgi.

Obok dziewczynki goniły stadko gęsi.

- Kto zrobił to чудо? - spytał je Wiktor.

- Żydzi, panie żołnierzu - odpowiedziały grzecznie dziewczynki. - W całej okolicy Żydzi się cieszą, że przyjdzie Czerwona Armia.

- A widzieliście już jakiegoś Ruskiego? Są w Starej Wsi żołnierze?

- Nie, proszę pana.

- Jezu - jęknął Dor, zerkając na mapę. - Oni są pod okupacją niemiecką!

- Biedni Żydzi, nie zorientowali się, kogo witają. Bardzo mi ich żal, kurwa mać.

Jakiś gospodarz zgodził się ich przenocować w stodole, choć wyglądał na bardziej zatroskanego losem koni niż Zub-Zdanowiczów. Wczesnym rankiem okazało się, że zniknęły ich kurtki mundurowe, buty i oba kasztanki.

- Ja nic nie wiem, panie! - rozkładał ręce gospodarz. - Ja nic nie wiem... łapcie jakieś wam mogę dać, niech będzie moja szkoda, i koszulinę dołożę, ale ja nic nie wiem...

Wzięli ze złością łapcie i niczym dwa wiejskie dziady ruszyli piechotą. Teraz nie mieli wyjścia, bez koni i bez ciepłych ubrań nie przejdą granicy. Musieli pomaszerować do Opola Lubelskiego, do matki.

- Duch!... W imię Ojca i Syna... Dwa duchy! - jęknęła Maria Zub-Zdanowicz, z domu DuninJuniewicz, ich rodzona matka. - Duchy moich synów poległych idą ku mnie w łachmanach... - pobladła i osunęła się na stopnie dworku.

- Mamo, nie! To my, prawdziwi! Mamo kochana, nie mdlej, my żyjemy! Wiktor, zrób jakąś sztuczkę, żeby rozbawić mamę!...

*

III Kolumna Samochodowa Marynarki Wojennej, Oksywie. 14 września 1939 roku

- Ale cisza, co nie, Grzmot? - Władek podaje przyjacielowi menażkę.

Bosman Władek Kołaciński - 26 lat. Służba zasadnicza w marynarce wojennej. Okręt macierzysty ORP „Burza”. Przed wojną pracownik Polskich Linii Lotniczych „Lot”. Kawaler. Jeszcze miesiąc wcześniej miał zamiar pozostać nim jak najdłużej, korzystając z atencji, jaką dziewczyny obdarzały „niedawno marynarza, a teraz prawie lotnika”. Nie tłumaczył im, że pracuje w biurze napraw. Szatyn, zielone oczy. Znaków szczególnych (jeszcze) nie posiada.

- Dwa tygodnie ognia z lądu, powietrza i wody, to teraz można od tej ciszy ogłuchnąć.
- Grzmot zanurza łyżkę w zupie i bierze się do jedzenia.

- Cicho! Nie siorb tak! Bo wali po uszach! - Władek siada obok Grzmota i je. - Niemcy już w Gdyni. Słyszałem, jak w dowództwie mówili o kapitulacji.

- Daj ty spokój. A alianci? Nie chcą czekać na Brytyjczyków? Francuzów? Przecież lada dzień ruszą...

- Do wojny przystąpili tydzień temu, więcej. I jakoś jeszcze nie ruszyli. Grzmot, a jeśli to będzie tak, że nasi kapitulują, a my, w sensie ty i ja, za całą wojaczkę będziemy mieli te dwa tygodnie śmigania ciężarówkami pod obstrzałem? Jak mnie dziewczyna zapyta: „A pan bosman Władzio to w czasie wojny gdzie walczył?”, to co ja jej powiem?

- Która dziewczyna? Ta blondynka?

- Którakolwiek. Blondynka, brunetka!

- Powiesz, że w marynarce wojennej, zgodnie z prawdą. - Grzmot dzwonił łyżką o puste dno menażki.

- Tak, na ciężarówce! - zachnął się nieszczęśliwy Władek.

- Tylko pamiętaj, każdej mów to samo, żebyś się nie pomylił. Zamilkli. Ciszę przerywał podniecony głos nadbiegającego kolegi.

- Słyszeliście? Porucznik Zwoliński montuje ochotniczą kompanię szturmową! Chłopaki już się zgłaszają.

Władek i Grzmot poderwali się jednocześnie.

- Gdzie?!

Nazajutrz Władek Kołaciński, jako dowódca plutonu, wraz ze swoimi ludźmi zajął pozycje. Kompania ochotnicza, kompania saperów i trzecia, piechoty, mają rozkaz wzięcia szturmem osiedla Kaczy Dół. Władek patrzy przed siebie. Osiemset metrów, nie więcej, dzieli ich od Niemców. Przeciwnik zieleje ogniem artyleryjskim. Jazgoczą karabiny maszynowe i granatniki ustawione na Kamiennej Górze. Osiemset metrów odkrytej przestrzeni zalanej ogniem. Ogłuszający huk.

Po co mi to było? - myśli. Nie pamięta o dziewczynach i sławie wojennej. Nie pamięta o aliantach, którzy mają ruszyć na Niemców. Nie pamięta, jak to się stało, że się tu znalazł. I że na ochotnika, o tym też nie. Jedyne, co czuje, to strach. Suchość w ustach i strach przed wejściem w płynny ogień. Ale ten na chwilę ustaje i Władek krzyczy:

- Bagnet na broń! Naprzód! Huraaa!

I choć jeszcze przed momentem nie sądził, by był w stanie zrobić choć krok, biegnie. Biegnie co sił, a za nim jego pluton. I Grzmot, który drze się:

- Huraaa!

Więc Władek krzyczy jeszcze głośniejszym głosem:

- Naprzód! Naaaprzód!

Dobiegają do niewielkiego wzniesienia. Przypadają do ziemi, na jedną chwilę osłonięci. Odwraca się, liczy ludzi. Chyba wszyscy. Chyba przeszli wszyscy. Co dalej? Są już w połowie drogi. Dlaczego nieprzyjaciel umilkł? I wtedy z lewego skrzydła podnosi się żołnierz. Marynarz, taki, co jak Władek i Grzmot nie załapał się na okręt wojenny. Zwykły mat, kapral marynarki, dwie belki. Niski o nijakiej twarzy. Bosman nie pamięta, by go wcześniej widział. Zrywa się do biegu. W prawej ręce granat, w lewej karabin z bagnetem.

- Gdzie on leci? - Grzmot z trudem łapie oddech. Władek wychyla się za nim i już wie.

- Chce zniszczyć gniazdo karabinów maszynowych. O, tam - pokazuje Grzmotowi. - Z naszej strony nie było go widać.

- Krzak zasłania.

Władek i Grzmot składają się do strzału, by osłonić bieg marynarza. Ale on już rzucił granat.

- Kurwa, co on robi?... - szepce bosman Grzmot.

Marynarz nie padł na ziemię, jak powinien po rzuceniu granatem. Biegnie dalej wprost w obłok dymu. Nawet nie mogą ostrzelać gniazda, bo wybuch je przysłonił. Podciągają się wyżej, gotowi do strzału. Dym rozwiewa się.

- Rany... - jęczy Grzmot.

Marynarz tyłem do nich walczy na bagnety z wyższym od siebie Niemcem. Wszystko dzieje się szybko, nawet snajper nie byłby w stanie oddać celnego strzału. Niemiec odskakuje w tył i błyskawicznym zamachem karabinu wbija bagnet w bok marynarza. Gdzieś między żebrami a biodrem. Mat w tej samej chwili z całych sił dźga Niemca bagnetem w pierś i puszcza karabin. Wielki napastnik chwieje się i z rozłożonymi ramionami leci w tył, upada na plecy, z piersi sterczy mu kolba. Marynarz kuca. Bosman Grzmot robi znak krzyża, żegnając bohatera, szepce:

- Ku chwale Ojczyzny...

Po niemieckiej stronie zaczynają grzać karabiny. Władek krzyczy:

- Naprzód! Naprzód! Huraaa!

Podrywa pluton do skoku na nieprzyjaciela. Biegną. Nagle ogień milknie. Przez cichnące pobojuwisko przechodzi z ust do ust powtarzany rozkaz:

- Nie strzelać! Niemcy poddali się! Nie strzelać! Poddali się! Kaczy Dół zdobyty!

Żbik wstrzymuje ludzi, stoją teraz pośrodku pola, które przed kilkoma minutami było polem walki. Z okopów powstają żołnierze w mundurach Wehrmachtu. Twarze umorusane, ręce podniesione do góry, miny takie, jakby sami nie wierzyli w to, co robią.

Przed nimi, naprzeciw Władka i Grzmota, idzie marynarz. Ten mat, zwykły kapral, dwie belki. Bok munduru ma mokry od krwi. W ręku erkaem zabrany wielkiemu Niemcowi. Wraca, jakby nigdy nic. Rozgląda się. Widzi, że jest na linii swoich. Siada na ziemi, zdejmuje skórzaną torbę i lornetkę. Odkłada erkaem i grzebie w przebitym boku. Patrzą na niego oniemiali, jak na ducha, który przed chwilą ożył. On skupiony nie widzi ich. Kończy sam sobie robić opatrunek.

Wieczorem bosman Kołaciński dostaje rozkaz objęcia dowództwa całej kompanii.

- Ja? Dlaczego ja, panie majorze? - odchrząkuje, chrypi. Gardło ma zdarte. „Huraaa!”.

- Bo pana pluton spisał się w boju na medal. - Klepie go po plecach major. - A poza tym wasz dowódca jest ciężko ranny, ktoś go musi zastąpić. Wojna jest. Jak się czuje nasz bohaterski marynarz?

- Opatrzyli go, doktor mówi, że będzie dobrze. Tylko słuch mu nie wrócił. Nie wiemy, czy ogłuchł przed czy po swoim wyczynie.

- To się zdarza w artylerii. Jak odzyska słuch, powie mu pan, że do Krzyża Walecznych go przedstawiłem. Albo nie. Pokaże mu pan rozkaz dowódcy, to sam sobie przeczyta. Bo wzrok ma?

- Ma - chrząknął Władek. - Ma.

- A pan co, poruczniku? Głos stracił?

Trzy dni później bosman odzyskał normalny głos, ale na niewiele mu się to zdało, bo w kwestii pójścia do niewoli nikt go nie pytał o zdanie. Tysiące jeńców długą kolumną ciągnęły drogą do obozu w Stargard Pommern. Bosmani Władek i Grzmot wśród wielu innych przeszli przez jego bramę.

- Bardzo przyjemnie - oznajmił ożywionym głosem Władek, gdy rozkwaterowano ich do dużych wojskowych namiotów. - Jak na obozie harcerskim, bym powiedział. I drużyny drużynowe też są, widziałem za tamtym ogrodzeniem kobiety.

- Tobie się nigdy nie przestaje chcieć? - Grzmot miał nogi obdarte od długiego marszu. Rzucił się na łóżko polowe.

- To, że jest wojna i że ją przegrywamy z kretelem, nie sprawia jeszcze, że tracę ludzkie odruchy. Chce mi się golonczki z piwem, ciepłej kąpieli i pogawędki z Zosią. Alinką. Albo inną Lalą.

- Podziwiam cię - mruknął Grzmot.

- A tak, przyjacielu. Z jakiegoś powodu zostałem dowódcą ochotniczej kompanii szturmowej, choć niby jesteśmy równi stopniem. Ktoś u góry dostrzegł moje zdolności!

- Zaczynam żałować, że głos ci wrócił. Byłeś lepszym kumplem, jak nie mogłeś tyle gadać. - Grzmot przewrócił się na plecy i jęknął. - Czy ty nie widzisz, że cudu trzeba, żeby się z tego ambarasu wydostać?

- Jak potrzebujesz cudu - wściekł się Władek - to przypomnij sobie naszego marynarza! No, przypomnij sobie. Włazł w ogień, dostał bagnetem i co? I nic. To był cud na naszych oczach objawiony! Grzmot westchnął i zamknął oczy. Władek ukucnął przy łóżku i wyszeptał mu do ucha:

- Słuchaj, stary. Co się stało, to się nie odstanie. Byłem marynarzem, byłem prawie lotnikiem. Jeńcem jeszcze nie byłem. A ile się nasłuchałem w dzieciństwie o obozach bolszewickich i japońskich! Teraz mam jedyną w swoim rodzaju okazję sprawdzić, jak jest naprawdę. I zamierzam być jeńcem ze wszystkimi tego przywilejami. Konwencja genewska nad nami czuwa i Czerwony Krzyż...

- Chwała Bogu, że nie czerwona gwiazda.

- No widzisz? Mój optymizm jest zaraźliwy.

- Apel! Wszyscy na apel!

Władek podał rękę Grzmotowi i szarpnął go z łóżka.

Na apelu okazało się, że Niemcy zamierzają poszeregować jeńców na wszelkie możliwe kategorie. Osobno szeregowcy, osobno oficerowie. Potem zaczęli odławianie według narodowości. Beznamiętnie, ale systematycznie dzielili żołnierzy na Polaków,

Ukraińców, Żydów. Wyciągali tych, których nazwiska brzmiały z niemiecka. A na komisjach, przed którymi później więźniowie stawali, pytano i o wyznanie.

- Chcą podzielić jednolitą armię na mniejszości - powiedział stojący przed Władkiem w kolejce do lekarza atletycznie zbudowany blondyn. - Zachowanie klasyczne dla przedstawicieli systemów totalitarnych.

- Porucznik może w cywilu politolog? - zagadnął go Władek.

- Nie, matematyk. - Uśmiechnął się blondyn i przedstawił: - Jakub.

- Bosman Władek Kołaciński. - Podali sobie ręce. - Przed wojną prawie lotnik. Nie, żartowałem. Biuro obsługi Polskich Linii Lotniczych LOT.

- Wie pan, co będzie dalej? Podzielią nas na grupy, zgodnie ze stopniem wojskowym, wykształceniem, narodowością, a nawet wyznaniem. A zaraz potem zaczną grać ambicjami, szcuć jednych na drugich. Najgorzej zaś będą mieli komuniści i Żydzi, bo naziści to jak nasz ONR. - Porucznik matematyk splunął z pogardą.

- O, panie Jakubie! Jeśli tak, to nie mamy się czym przejmować!

- powiedział wesoło Władek, patrząc na jasną czuprynę i błękitne oczy rozmówcy. Ale w tej samej chwili ugryzł się w język. Na szczęście wypadła jego kolej i wszedł do gabinetu lekarskiego.

Zza parawanu wystawała głowa ubierającego się poprzednika.

- Proszę się nie martwić, wpiszę to jako świerzb narządów płciowych - usłyszał Władek i odruchowo chwycił się za własne. - I dam panu skierowanie na izbę przyjęć. Będziemy panu pomagać. Pański lewy prosty wart jest wszelkich poświęceń, panie Fenixie! Jak pan temu Ruskowi przywalił w trzydziestym czwartym, to mówię panu, myśmy się z kolegą upili do nieprzytomności! A jak go sędzia liczył!... O rany! To były czasy! No, proszę się nie martwić! Świerzb narządów płciowych to niezwykle zaraźliwe! Do widzenia! Do widzenia!

Zza parawanu wyszedł muskularny mężczyzna o urodzie włoskiego amanta. Dopinał rozporek. Skrzywił się do Kołacińskiego.

- Następny proszę! - głos doktora wezwał Władka za parawan. - Rozbieramy się i badanie.

Żbik najpierw zobaczył, że lekarz nie ma rękawiczek, potem że w gabinecie owszem stoi blaszana miska z wodą, ale doktor z pewnością z niej nie korzystał. Poczul skurcz w żołądku.

- No już, bardzo proszę, spodnie też. Powinien się pan bosman przygotować do badania. - Lekarz nie patrzył na niego, tylko zerkał w kartę, idąc ku niemu i wyciągając ręce,

które przed chwilą dotykały bardzo zaraźliwej choroby. Władek cofnął się.

- Kołaciński Władysław? Brat Ignacego? - doktor oderwał wzrok od karty i spojrzał na niego.

- Tak - niepewnie potwierdził bosman. - Brat Ignacego...

- Nie poznajesz mnie? Jestem Kaziu Gosiewski! Medycynę z Ignacem kończyliśmy!

- Poznaję! - skłamał Władek i wylądował w rozłożonych ramionach Kazia. Serce biło mu jak młotem i odważył się spytać: - Czy to naprawdę tak zaraźliwe? Ręce... doktora ręce...

- Mów mi „Kaziu”, chłopie, co ja z twoim bratem przeszedłem! - Doktor Gosiewski klepał sztywnego z obrzydzenia Władka po plecach. - No daj pyska!

- Nie! - krzyknął Władek i odskoczył. - Twoje ręce... ten gościu przede mną, no wiesz, świerzb narządów...

- A! - Kaziu otarł dłonie o fartuch. - Nie, daj spokój! To nic takiego. No, powiedz, co ci może dolegać?

- Jestem jeszcze zdrowszy jak ryba. - Wciąż niepewnie patrzył na ręce Gosiewskiego.

- To niedobrze, mój drogi, to niedobrze. W obozie warto mieć jakąś poważną przypadłość, bo lądujesz na izbie chorych, ja cię leczę, rozumiesz, miesiąc, dwa, a potem, jako nieuleczalnie chorego posyłam na komisję wojskową i, jak Bóg da, a Hitler pozwoli, jako inwalida wojenny wychodzisz do domu! Proste? Jak drut! Ignac by mi nie wybaczył, gdybym cię puścił jako zdrowego. Jakieś zasady obowiązują!

- Po pierwsze nie szkodzić... - przełknął ślinę Władek. - Mówisz, że ten świerzb fiuta to niegroźne?

- Przestań się tak wszystkim przejmować! Na początek daję cię do izby, jako chorego na serce, a potem się będziemy martwić! No, pamiętaj, jesteś ciężko chory na serce, zgarb się trochę i szoruj na izbę, to w końcu korytarza. Odwiedzę cię wieczorem! Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że się spotkaliśmy! Daj pyska jeszcze raz, bo wiesz, potem to już będę „pan doktor” i w życiu cię wcześniej na oczy nie widziałem! Wychodząc z gabinetu, minął się z chyba jednak komunistą, Jakubem; porucznik matematyk rzucił mu ciężkie spojrzenie spod blond czupryny. Władek nie odpowiedział, bo w tej chwili dość miał własnych zmartwień. Ruszył w stronę końca korytarza i po trzech krokach przypomniał sobie, że ma się zgarbić i być chorym na serce.

Poszurał.

- Władziu? Co z tobą? - złapał go za rękę Grzmot stojący w osobnej kolejce do zapewne innego doktora.

- Mam chore serce - wyszeptał zbolalym głosem do przyjaciela.

- I kto wie, czy czegoś nie złapałem.

- Co ty gadasz? Odwiedzę cię!

Izba chorych była dopiero organizowana i chwilowo zakaźnych oddzielano od zwykłych tylko parawanami, więc pierwszy tydzień był dla Władka prawdziwą męczarnią. W życiu tak często nie mył rąk jak wtedy. Z daleka migała mu ciemna czupryna tego całego amanta, Fenixa, czy jak mu tam. Większość chorych bardzo sobie chwaliła pobyt na izbie, bo w obozie dopiero rękami jeńców stawiano baraki i jak na razie wszyscy spali w namiotach, co przy chłodnych nocach i coraz częstszych jesiennych deszczach przestało być „obozem harcerskim”. Kaziu, jako „doktor Gosiewski”, odwiedzał go często i okazało się, że dla Władka pobyt tutaj nie będzie, w przeciwieństwie do reszty chorych, przyjemną odmianą.

- Po pierwsze, poćisz. Jesz tylko raz dziennie i to tak, żeby nikt nie mógł stwierdzić, że odmawiasz posiłków, jasne? Musisz stracić jakieś dziesięć kilo wagi, na początek. Po drugie, dwa razy dziennie sanitariusz poda ci to. - Tu wsadził mu w rękę metalowy kubek z jakimś ciemnym płynem, strasznie cuchnącym.

- Co to?

- Odwar z tytoniu - szepnął mu na ucho Kaziu. - Najlepszy, żeby osłabić serce. W trzy tygodnie powinien z atlety zrobić inwalidę. No, pij. Na zdrowie.

Właściwie wszystko rozgrywało się samo. Władek wcale się nie rwał „na chorego”; gdy przybyli do obozu, miał szczerzy zamiar być jeńcem i zobaczyć, co dalej.

Salka szpitalna miała okratowane okna, on był chorym leżącym, wiecznie i wściekle głodnym na dodatek. Leżał i gapił się w niebo przecięte kratami. Słuchał odgłosu komend padających na apelach, esesmańskiego szczekania komendanta. Od ścian ciągnęło wilgocią i zimnem. Grzmot wpadał dwa razy w tygodniu i to, co mówił, było przygnębiające.

- Blitzkrieg, bracie, nie ma co! Sowieci dobrali nam się do tyłka ze wschodu, Niemcy z zachodu, rząd uciekł na Węgry. Żarcie w obozie okropne. Jest możliwość pójścia do pracy za druty, ale trzeba się zrzec statusu jeńca wojennego.

- Nie daj się nabrać. Nie podpisuj.

- Dobrze ci mówić, bo leżysz tu jak na wczasach! A ja jestem głodny! Jak pójdę do roboty, dostanę miskę zupy więcej.

- Grzmot. Za miskę zupy wyrzekniesz się Ojczyzny?

- Nie Ojczyzny, tylko statusu jeńca wojennego.

- To to samo. Jesteś polskim żołnierzem, a ja twoim dowódcą. Zakazuję ci, rozumiesz? I nadstaw czapkę. Tutaj, gamoni, pod moją poduszkę.

Władek dyskretnie przesypał mu spod poduszki suchary. Bosman Grzmot aż

poczerwieniał.

- Nie, no, bracie, żebyś ty sobie od ust odejmował dla mnie...

- Bierz, nie marudź.

- Ale to nie po jakimś zmarłym? - upewniał się Grzmot.

- Nie, tutaj jest szpital, nas tu leczą.

- Uhm. Ciebie to nie wiem na co. Miesiąc temu, jakeśmy się wlekli spod Gdyni, wyglądałeś lepiej niż po tym szpitalu. Kiedy wyjdiesz? Nie mógł nic powiedzieć nawet Grzmotowi, choć ufał mu jak sobie samemu. Ale Gosiewski przestrzegł go, że po szczęśliwym zwolnieniu „na inwalidztwo” Niemcy mogą na wyrywki brać na przesłuchanie jego dawnych znajomych.

- Nie wiem, stary, nie wiem. Odnowiła mi się taka dawna przypadłość i teraz widzisz...

- Słuchaj. - Grzmot przysunął się do jego ucha. - Z tą robotą za drutami to jest tak, że planujemy ucieczkę. Mam kilku fajnych chłopaków. Tylko że trzeba się zdecydować teraz, bo jak spadnie śnieg, to już będzie za późno. Pogadaj z tym tutaj doktorkiem i daj mi znać, czy cię szybko wypuszczą.

No to się wpakowałem - pomyślał Władek po wyjściu Grzmota.

- Oni tam planują ucieczkę, a ja gniję, pracując na osłabienie mięśnia sercowego.

Na wszelki wypadek podpytał Gosiewskiego podczas wizyty, nie wspominając rzecz jasna o planowanej ucieczce.

- Nie, no w życiu. Do pracy za drutami Niemcy biorą tylko zdrowych. Pobyt w izbie chorych na przewlekłą chorobę cię skreśla. Nie kwalifikujesz się. Zresztą... - Kaziu usiadł koło niego i szepnął:

-...z tym twoim sercem też nie idzie mi tak, jak powinno. Od miesiąca pijesz tytoń i nic. Każdy by się już przekręcił, a ty jak byłeś zdrow, tak jesteś. Bardzo się o ciebie martwię.

W tej sytuacji martwić zaczął się także Władek. W dodatku nasiliły się niemieckie kontrole medyczne i tylko długiemu wstrzymywaniu oddechu przed kontrolnym badaniem zawdzięczał, że jego serce kołatało jakoś nierówno i choć Niemcy kręcili głowami, kwalifikowali go jako chorego dalej.

W połowie listopada przyszedł Grzmot. Oczy mu lśniły.

- Słuchaj. Pojutrze pryskamy. Jeśli uda ci się do tego czasu wymknąć, będzie dla ciebie miejsce. Dogadałem się z takim jednym z grupy remontowej, bo my jako budowlańcy wychodzimy do roboty, że da ci swoje miejsce. Naopowiadałem mu o twoim bohaterstwie, że Kacze Doły własną piersią zdobywałeś, a on miał tam kiedyś ciocię, czy stryjenkę, no wiesz,

po uczuciach rodzinnych mu pojechałem. Tylko musisz być pojutrze o piątej rano u nas w namiocie. Wcześniej nie, bo alarm zrobią, że się stan nie zgadza.

- Zrobię, co w mojej mocy, ale nie mogę narazić doktora, rozumiesz?

- Jeśli cię nie będzie, pójdziemy sami. Jak Bóg da, dotrę do domu i zostawię wiadomość u twojej rodziny. Znajdziemy się. Aha, i jak będziesz zmykał, to jedna sprawa: weź tych sucharów ile wlezie, mogą być nawet po zmarłych, ja tam nie jestem obrzydliwy. Przydadzą się w drodze.

Władek nie spał całą noc. Zastanawiał się, czy może wystawić Gosiewskiego, który przecież odpowiada przed Niemcami za stan chorych. Z drugiej strony, wizja ucieczki rozpalala jego wyobraźnię. Przecież po to się tyle nasłuchiwał o obozach! Dzielni jeńcy zawsze uciekali swym oprawcom. Przecinali druty kolczaste. Właśnie... czy Grzmot pomyślał o nożycach do drutu? Nie, przecież uciekać będą z robót budowlanych... Bijąc się z myślami, zasnął.

A raniem przyszedł do niego pobladły Gosiewski i nim Władek zdołał mu coś powiedzieć, zaczął:

- Mamy problem. Jutro komisja lekarska. Psiakrew, myślałem, że mamy jeszcze ze dwa tygodnie! Czy ty naprawdę musisz mieć takie końskie zdrowie? Ignac, twój brat, to samo! Na studiach piliśmy razem, łeb w łeb, a tylko ja miałem kaca! Szanowni rodzice was mlekiem prosto od krowy karmili, czy jak?

- Kozim, doktorze, kozim. Krowie szło na sprzedaż, żeby tę gromadę wyżywić. A dla nas zostawało tylko kozie.

- Jak będę miał kiedyś dzieci, to też będę im dawał kozie. Chłopie, po dwóch prawie miesiącach picia odwaru z tytoniu i tych proszkach, co ci dorzucałem, masz, psiakrew, serce jak dzwon. No nie możesz iść na komisję, bo mnie do obozu koncentracyjnego wsadzą jak nic.

- Przepraszam... - Władek poczuł się winny -...ale przynajmniej schudłem...

- A czekaj, czekaj! Mam pomysł! No tak! Że też wcześniej na to nie wpadłem... na zakażny cię damy, że niby do choroby serca przyplątała się jakaś żółtaczką! A do kolejnej komisji będziesz chory jak złoto! Pakuj się.

Władek nie zdążył powiedzieć Gosiewskiemu, że „zakażnych” boi się bardziej niż Niemców. I dopiero gdy zamknięto za nim drzwi izolatki, przekonał się, że stąd z całą pewnością do jutra rana nie zwieje. Izolatka była bowiem trzyosobową celą.

- Taki brunet, wie pan, uroda włoskiego amanta filmowego - podpytywał potem sąsiada z łóżka obok o źródło swoich wcześniejszych fobii.

- A, był taki, był. Świeć, Panie, nad jego duszą! Co ten biedaczyna się namęczył! Żaden chłop nie chciałby przechodzić przez coś takiego. Mało mu przyrodzenie nie odpadło, tak cierpiał. Wywieźli go gdzieś, mówią, że na leczenie, ale bo to kto wie? A to bohater wojenny, jak on nam tu opowiadał, ile to Niemców natłukł we wrześniu...

- Ale nie leżał tu, na tym łóżku, co ja teraz? - upewniał się Władek.

- Nie, on na tej drugiej izolatce.

Władek nim usnął, zdał się na los. Bo i cóż mu pozostało w sytuacji, w której jego najbliższy druh właśnie uciekał z niewoli, podczas gdy jego zamknięto na zasuwę w więziennej trzyosobowej celi? W każdej chwili mógł przyjść jakiś odporny na zarazy esesmański doktor, zbadać go i stwierdzić, że ani żółtaczki, ani chorego serca nie ma i wpakować do - jak powiedział Gosiewski - obozu koncentracyjnego. O tych ostatnich dużo mówiono, ale wszystko to były opowieści tak fantastyczne, że właściwie nikt nie umiał w nich wyłowić prawdy.

A jednak, jak się okazało, miał szczęście. Na komisję go nie wzięto, a nim przyszedł czas na kolejną, do opróżnionej z innych chorych izolatki doktor Kaziu przyprowadził skrzywionego, ogolonego niemal na zero mężczyznę o ziemistej cerze.

- Panie Janku - powiedział do gościa, kiedy dokładnie zamknął drzwi. - To jest właśnie pan. Nazywa się pan Władysław Kołaciński i ma pan dwadzieścia sześć lat.

- Tak jest, panie doktorze. Nazywam się Władysław Kołaciński i mam dwadzieścia sześć lat - matowym głosem wyrecytował skrzywiony.

- Ale... - zaprotestował Władek, zrywając się z łóżka. Doktor powstrzymał go ruchem dłoni. Mężczyzna kontynuował:

- Na serce choruję od wczesnej młodości. Po ostatnio przebytej żółtaczce stan mój się pogorszył.

- I proszę zrobić przysiad - zakomenderował ostro doktor. Władek chciał wykonać go natychmiast, ale Gosiewski powstrzymał go ruchem ręki.

- Nie pan, pan Kołaciński Władysław ma zrobić przysiad.

Władek pomyślał, że odwar z tytoniu zamiast na serce, zaszkodził mu na głowę. I wtedy stała się rzecz straszna. Mężczyzna, zgodnie z poleceniem doktora, zrobił chwiejny przysiad, ale próbując wstać, zachwiał się i upadł, głucho uderzając głową o kant metalowego łóżka. Leżał chwilę bez ruchu, a potem podniósł się, stękając i rozcierając czoło.

- Doktorze! On krwawi! - jęknął Władek do zupełnie nie przejętego Gosiewskiego.

- Panie Kołaciński! Jak się pan czuje? Czy często miewa pan takie zawroty głowy?

- Melduję, że bardzo często, proszę pana doktora.

- Dobrze, teraz sanitariusz położy pana do łóżka, a ten tu pan zrobi miejsce. Proszę wyjść ze mną - powiedział do osłupiałego Władka doktor i otworzył drzwi.

- To rzadki przypadek schizofrenii - szeptał na ucho Władowi, gdy wyszli na korytarz. - Facet poddaje się sugestii bycia kimś, o kim mu się opowie; a że sam jest rzeczywiście chory niemal na wszystko, mam nadzieję obsłużyć nim niejedną komisję lekarską i niejednego takiego żbika jak ty. Teraz zgolimy ci łeb, skrzywisz się jak on, i wsadzę cię do sali, gdzie mam kilku psycholi. Tylko nie gadaj z nimi za bardzo, sam nie wiem, czy oni są naprawdę chorzy czy tylko symulują, wiesz, medycyna to tylko z pozoru nauka ścisła. I módl się, chłopcze, za powodzenie akcji.

- Co będzie, jak go zdemaskują?

- Jego? A niby jak? On będzie teraz Kołaciński Władysław. Ty się martw o siebie, bo póki co jesteś Nowolipski Maciej, chory psychicznie. A dla tych nazistowska doktryna przewiduje tylko jeden sposób leczenia: zastrzyk fenolu. To, że mam ich jeszcze na stanie, to ciągle gra na zwłokę, albo w rosyjską ruletkę, na jedno wychodzi.

Władek już raz zdał się na los.

Teraz ten los podsuwał mu coraz bardziej niebezpieczne odsłony. A co będzie, jeśli ten skrzywiony przejdzie komisję pomyślnie i zamiast wrócić do sali i roli Nowolipskiego Macieja, zaprze się, że jest Kołaciński?

Codził przez zęby dwa słowa: „zastrzyk z fenolu” i to, wraz z trzema dobami w sali wariatów, sprawiło, iż czwartego dnia gotów był sam iść na komisję, pewien, że teraz to już ma chore serce. Piątego dnia przyszedł po niego sanitariusz i bez słowa poprowadził do łaźni.

No to koniec - pomyślał Władek - myją mnie, żeby na czystych zwłokach przeprowadzać eksperymenty medyczne. Cholerny kumpel Ignaca! Trzeba mi było wiać z Grzmotem!

Stał sam. Sanitariusz wyszedł. Zerknął w stronę okratowanego okienka pod sufitem. To był lufcik. On wprawdzie schudł na diecie Gosiewskiego, ale nie aż tak. Nagle drzwi otworzyły się i zaraz zamknęły.

- Słuchaj - zjawił się doktor we własnej osobie. - Nowolipski jest już u wariatów, trochę mu się jeszcze myli, na co jest chory, ale wezmę go na dwie, trzy wizyty i będzie. A ty dzisiaj karetką więzienną wyjedziesz z obozu. Zabiorą cię do szpitala w Szczecinie, tam trafisz do doktora Raubergera. To mój dobry przyjaciel, pracuje dla podziemia. Rauberger wystawi ci papiery na inwalidę wojennego i będziesz wolny. Papiery chronić będą cię przed poborem do każdej armii świata, no chyba że coś się zmieni i kaleki zaczną brać do wojska. Krótko mówiąc, bosmanie Kołaciński, będziesz mógł znów walczyć dla Ojczyzny.

- Walczyć? Ale jak, Kaziu, jak?

- A, przepraszam, bo ty nic nie wiesz, w szpitalu byłeś! - Doktor podrapał się w czoło.

- Mówię ci, od tych wariatów to sam się gubię. Generał Sikorski został premierem i Naczelnym Wodzem. Odtwarza polskie siły zbrojne na Zachodzie. A tu, w kraju, montujemy państwo podziemne. I konspiracyjne wojsko. Taki jak ty, młody, zdrow jak byk inwalida wojenny jest potrzebny Polsce. - Klepnął go z całej siły w plecy. - Żebyś nie myślał, że ja ciebie tak tylko po znajomości uwolniłem, z powodu koneksji rodzinnych. Państwo, mój drogi, służba krajowi na pierwszym miejscu! No, to do izolatki!

Część II

UKŁADANKA

Siedziba dawnej Wytwórni Maszyn Pralniczych DKM, Warszawa, Generalne Gubernatorstwo. Jesień 1939 roku

- Panie dyrektorze, ktoś do pana - sekretarka ostrożnie zajrzała do gabinetu Jaxy.

Jaxa - w kampanii wrześniowej dowódca ochrony pociągu pancernego. Później rzucony z miejsca na miejsce. Zbiegł z obozu jenieckiego w Radomiu. Inżynier. Szczupły blondyn o trudnej do zapamiętania twarzy.

- Niemiec? - niepewnie spytał dyrektor Jaxa.

- Nie. Jakiś taki czarniawy. Dziwny. Bardzo się naprasza, mówi, że jest przyjacielem pana dyrektora.

- Czarniawy? Ja mam wyłącznie białych przyjaciół. - Zdziwił się Jaxa.

- Źle się wyraziłam - roześmiała się sekretarka. - Brunet. Za nic nie chciał podać imienia ani nazwiska. Kulawy czy coś? Tak dziwnie chodzi.

- A! Trzeba było tak od razu! Pani Zosiu, prosić gościa do mnie! Zaskoczona sekretarka wyszła i po chwili do gabinetu wszedł, utykając, Otmara.

Otmara Wawrzakowicz - lat około 30. Przed wojną pracował w handlu drewnem. W wojsku nigdy nie służył. Ciemnowłosy jak Tatar, jasnooki jak Niemiec. Złudnie niepozorny, gdy milczy. Gwałtowny, kiedy zabiera głos. Utyka.

- Otmara! Miło zobaczyć w końcu kogoś żywego! Siadaj, siadaj, przyjacielu!

Otmara zręcznie pokuśtykał do krzesła i usiadł, elegancko zakładając nogę na nogę. Wyjął papierośnicę i nie patrząc na grymas Jaxy, zapalił. Zaciągnął się dymem i niczym karabin maszynowy wyrzucił z siebie nazwiska:

- Iłakowicz, Salski, Gostomski, Gluzińscy starszy i młodszy.

- Co? - nie zrozumiał intencji Otmara Jaxy.

- Żyją.

- Chwała Bogu!

- Martini w sowieckiej niewoli. O reszcie nic na razie nie wiem. Namierzyłeś kogoś z nestorów?

- Tylko Witolda Kozłowskiego.

Pani Zosia weszła do gabinetu z tacą. Jaxa skinieniem głowy pokazał sekretarce, by zostawiła tacę i wyszła.

- To już coś. Kozłowski to więcej niż Zakon.

Jaxa syknął. Zawsze drażniła go ostentacja i pewność siebie Otmara. Nie powinien używać nazw zastrzeżonych w samej organizacji przy obcych. Pani Zosia dyskretnie zamknęła za sobą drzwi, udając, iż nic nie słyszała. Albo jeśli nawet, to zrozumiała „zakon karmelitów”. Otmar wzruszył ramionami i zmienił temat.

- Jak tam na wojence ładnie?

- Mówię ci, wojna jest dla młodych. Powinien istnieć limit wieku w powoływaniu oficerów rezerwy.

I opowiedział Otmarowi o starszych panach, którzy w Pińsku najpierw debatowali do jakiej pójść niewoli, a potem zarządzili głosowanie.

- I co zdecydowali? - zaciekawiał się kurtuazyjnie Otmar.

- Poszli do Sowietów.

- Zawsze mówiłem, że demokracja to przeżytek. Każda zbiorowość potrzebuje wodza.

- Otmar lubił wygłaszać partyjne frazesy. - Jeśli poszli do Ruskich, to internowano ich. Są informacje, że w Kozielsku i Putywlu Sowietci zbudowali duże obozy jenieckie. A ty? - mówił szybko i szybko zmieniał tematy.

- Uciekłem na wojnę.

- Walczyłeś? Bitwy, ordery, odznaczenia?

- Pod Kockiem rozbiliśmy Niemców niemal doszczętnie. Wreszcie czułem, że jestem na wojnie, a nie w, za przeproszeniem, wioskowej partyzantce. Wygraliśmy bitwę i generał podpisał kapitulację. Okazało się, że mamy magazyny opróżnione z amunicji, więc ze swoim zwycięstwem nic nie możemy zrobić. Na dodatek Warszawa już kapitulowała. Uciekłem nad ranem z kilkoma innymi, żeby nie iść do niewoli, ale Niemcy złapali nas i odstawili do obozu w Radomiu. Wymknięcie się stamtąd było tylko trochę trudniejsze niż skok na lewą przepustkę.

- Z Sowietami też walczyłeś?

- A co? To przesłuchanie? - krzywo uśmiechnął się Jaxa. - Tak. Zaatakowali nas na rzece Pinie, bo nie chcieliśmy się dać dobrowolnie rozbroić. Ostrzelaliśmy ich wściekle i wycofali się, więc my, rozumiesz, pełni animuszu idziemy naprzód. Wchodzimy do Ratna, to nieduże miasteczko. A tam strzelają do nas Żydzi.

- Ach - cyknął Otmar. - Spisek Żydów i masonów, mówiłem. - Zrobił palcami spirale wokół uszu i szybko przyłożył dłoń do ust. - Opowiadaj, już nie przerwę!

- Sowietci dali im broń i zadanie, że mają nie wpuścić polskiego wojska. Ale wystarczyło wziąć ich na ostro i poddali się. W miasteczku domy na czerwono udekorowane,

a jakże! „Witamy Armię Czerwoną”. Potem poszliśmy pod Szack, tam stały ruskie czołgi. Dowództwo zaplanowało nocny atak. Tyle że jak czołgi zaczęły ostrzelać, to nasi uciekli.

- Żołnierze uciekli?

- Tacy to byli żołnierze jak z... Zmobilizowani cywile. Otmar, ja zanim trafiłem do Grupy Polesie generała Kleeberga, byłem w samych „improwowanych zgrupowaniach”. I dlatego mówię ci: wojna nie jest ani dla starych, ani dla cywili.

- Dobra. Trzeba odtworzyć Organizację. Nie ma na co czekać. Wróg nam się panoszy w Warszawie.

- Czekaj, czekaj. A ty jak się wydostałeś z Lwowa? Otmar uśmiechnął się tajemniczo.

- Samochodem. Spakowałem się i wyjechałem, zanim jeszcze na dobre zaczęło się niemieckie oblężenie. Piątego września.

- Chcesz powiedzieć, że przejechałeś jak gdyby nigdy nic ze Lwowa do Warszawy, w czasie kiedy cała Polska broniła się przed atakami z lądu, powietrza i wody?

- Nie, no, Niemcy zatrzymywali mnie ze trzy razy. Raz nawet chcieli mi zarekwirować samochód. Ale wiesz - klepnął się w marynarkę na piersi i roześmiał - przypadkiem miałem zawsze na podorędziu listy Baldura.

Baldur von Schirach - Gruppenführer SA. Od 1933 roku przywódca Hitlerjugend.

- Nie! - z oburzeniem krzyknął Jaxa.

- Tak - spokojnie odpowiedział Otmar. - Każda broń jest dobra. Jaxą zatrzęsło z oburzenia. Nie tolerował faszyzujących członków Organizacji. O ile w końcu lat dwudziestych i początku trzydziestych faszyzm był modny wśród zbuntowanej młodzieży i Jaxa potrafił zrozumieć zachłyśnięcie totalizmem niektórych ze swych przyjaciół, o tyle od połowy lat trzydziestych, odkąd Hitler, jako najgłośniejszy spadkobierca faszyzmu wyraził się wprost przeciw Kościołowi i - jeszcze nie wprost, ale pośrednio - przeciw Polsce, tępil w Organizacji takie fascynacje. Po wrześniu każdy akt sympatii traktowali bezwzględnie - jako zdradę. Otmar był jednym z tych, którzy na fali uniesienia brunatną rewolucją kombinowali, jak by tu przeszczepić niektóre z osiągnięć faszystów na grunt polski. Szczególnie inspirowały go metody patriotycznobojuowego wychowania i paramilitarne organizacje młodzieżowe. Na to konto prowadził przez jakiś czas korespondencję z Baldurem von Schirachem, którą nazywał na wyrost „wymianą doświadczeń”.

- Każda broń była dobra, Otmarze Wawrzkowicz. Była i już nie jest. Hitler jest naszym wrogiem numer jeden, von Schirach jest jego psem i wsadź te listy do pieca, dobrze ci radzę.

Otmar zrobił minę, która mogła wyrażać wszystko, i zgrabnie pokuśtykał do wyjścia.

Umówili się na spotkanie u nestora.

- Panie dyrektorze - sekretarka odrobinę niepewnie zajrzała do gabinetu po wyjściu Otmara - pańska narzeczona była tu przed chwilą. Nie chciała przeszkadzać, powiedziała, że przyjdzie później.

- Dobrze. - Jaxa skinął głową z zadowoleniem.

Był służbistą. Tak jak szczerze kochał swą narzeczoną, tak nie tolerował tych wszystkich nieroztropnych posunięć: odwiedzin w czasie pracy, miłosnych bilecików z odciskiem szminki. To dobre dla rozwydrzonej młodzieży, nie dla poważnego mężczyzny z zasadami. Jazzu też nie znosił.

- Panie dyrektorze. - Teraz z kolei przyszedł inżynier Lipski, specjalista od systemów grzewczych. - Mamy masę wezwań do napraw zbombardowanych instalacji. Żeby to wszystko wykonać, musiałbym zatrudnić ze dwudziestu nowych robotników.

- Proszę tak zrobić. Firma musi działać.

W każdym razie tak długo, jak się da - pomyślał Jaxa. - Niemcy chcąc się rozlokować w Warszawie, będą musieli pozwolić na najpilniejsze odbudowy.

Oba zakłady, w których był współwłaścicielem, były mu teraz niezbędne, i Instalacje Urządzeń Zdrowotnych Kamler i Ska, i Wytwórnia Maszyn Pralniczych DKM. Bo odkąd tylko wrócił do Warszawy, myślał, że muszą zacząć pracę konspiracyjną, a wtedy obie firmy staną się dla niej dobrą przykrywką.

Nestor Witold Kozłowski przyjął Jaxę i Otmara w swoim mieszkaniu na Koszykowej. Gdy zasiedli w wygodnych fotelach gabinetu inżyniera, ten patrząc w okno, powiedział:

- Państwo Polskie powinno być organizacją zbrojną Narodu, w którym...

Otmar zerwał się i stanął na baczność. Jaxa, nie bardzo wiedząc, jak powinien się zachować, także wstał.

-...duch żołnierski przenika Naród, a duch narodowy armię, służba wojskowa zaś stanowi zaszczytny obowiązek każdego Polaka i najważniejszy etap wychowania narodowego. - Skończył cytować deklarację programową Obozu NarodowoRadykalnego.

Deklarację, w którą każdy z nich wierzył, jak w Tróję Świętą.

Kozłowski zawiesił głos, spojrzał wreszcie na nich. Usiedli. A on dodał zupełnie innym tonem:

- Kapitulacja była nieunikniona. I nie czas po temu, by roztrząsać, kto winien...

- Nie my! - przerwał mu Otmar, szybko jak karabin maszynowy. - Winni są oni! Piłsudscy. Sanacja. Rząd. Gdybyśmy byli u władzy, państwo polskie byłoby organizacją zbrojną, jak pan powiedział.

- Powiedziałem, że nie czas roztrząsać, kto winien - z naciskiem powtórzył inżynier i spojrzał na Otmara tak, iż ten zamilkł. Przynajmniej na chwilę.

- Dzisiaj punktem startowym w rozważaniach o narodzie - kontynuował Kozłowski - jest naród po tragedii wrześniowej. Naród sfrustrowany, który nie był psychicznie przygotowany na klęskę, który był gotów walczyć do krwi ostatniej o wolność, niepodległość i honor. Jestem pewien, że naród polski nie dorósł do kapitulacji, choć z punktu widzenia państwa była ona, jako rzekłem, nieuniknioną.

Jaxa niezauważalnie, ale z całej siły nadepnął Otmarowi na stopę. Ten, o dziwo, zrozumiał i nic nie odpowiedział. Gospodarz mówił dalej:

- I oto mamy następującą sytuację: Hitler uderzył na Polskę, Sowieci uderzyli na Polskę. Alianci wypowiedzieli wojnę Hitlerowi i póki co nie robią nic. Niemcy i bolszewicy dokonali czwartego rozbioru Rzeczypospolitej, a świat przygląda się temu, strosząc dyplomatyczne piórka. Jaki z tego wniosek?

- Spisek żydokomuny i liberałów! - zawyrokował Otmar. Kozłowski spojrzał na niego z czymś w rodzaju politowania.

- Pan, panie Wawrzkowicz powinien być pójść do Falangi, jak mniemam. Tam znalazłby pan ujście dla swej niepospolitej energii i odnalazł pejsatego Żyda pod każdym kamieniem. Ale pozwoli pan, że przypomnę, iż Organizacja nasza szczyciła się od dnia powstania tym, iż w przeciwieństwie do nazistów, którzy swe kadry zasilali wprost z ulicznego rynsztoka, my stawialiśmy wyłącznie na elity. Oenerowiec to najwyższa klasa Polaka katolika. Narodowego ideowca. A pan, panie Jaxa, jak ocenia sytuację?

Falanga - właściwie Ruch NarodowoRadykalny. Skrajnie nacjonalistyczna organizacja, która w 1935 oderwała się od Obozu NarodowoRadykalnego. W swych bojówkach skupiała głównie młodych, zdecydowanych radykałów. Zorganizowana na wzór partii wodzowskiej, pod przywództwem Bolesława Piaseckiego. Wsławiła się zdecydowanym, wojującym antysemityzmem i terrorem politycznym. Po wojnie, o dziwo, weszła w komitwę z komunistami. PAX.

Jaxa poczuł się jak na egzaminie. Wydukał:

- Alianci nie mogą stać bez końca na Linii Maginota - bąknął. - Trzecia Rzesza połknąwszy Polskę, zwróci swój apetyt przeciw nim. Będą musieli odpowiedzieć. Wówczas - rozkręcał się, widząc, iż inżynier Kozłowski słucha go z uwagą - Polacy powstaną i ruszą do boju.

- Wyzwalać Francję? - ironia w głosie inżyniera uświadomiła mu, że nie zgadł. - Otóż moim zdaniem, panowie - przeszedł do kontrofensywy gospodarz - ta dziwna wojna, której

staliśmy się pierwszą ofiarą, nie ujawniła jeszcze swego prawdziwego oblicza. Sowietci, zajmując wschodnie tereny Polski, tylko z pozoru skorzystali z okazji, a miłosny uścisk sierpa i młota ze swastyką nie będzie trwał długo. Najprostsze prawo fizyki mówi, iż minus z minusem się odpychają. Dwa wielkie systemy totalitarne, faszyzm i komunizm, nie mogą koegzystować. Stalin tak długo będzie przyjaźnie uśmiechał się do Hitlera, aż ten wykrwawi się na froncie zachodnim, i wówczas zaatakuje. Wróćmy na chwilę do wydarzeń sprzed roku.

Umysł Jaxy pracował na wysokich obrotach. Kalkulował, o co teraz zapyta inżynier.

- Zlikwidowanie Komunistycznej Partii Polski - zaskoczył go oczywiście Kozłowski. - Czy panowie zastanawiali się, dlaczego Stalin zamknął lub wymordował kierownictwo swojej własnej przybudówki w Polsce? I nie powołał nowego?

I wtedy Jaxę olśniło:

- Stalin nie potrzebuje komunistycznej partii w Polsce, bo przewiduje włączenie Polski do ZSRS! - wyrwał się z odpowiedzią, niczym Otmar. Ten natychmiast spojrzał na niego, zdumiony.

- Otóż to - pochwalił Kozłowski. - Otóż to. Jestem pewien, że ta wojna nie będzie tak błyskawiczna, jak się dzisiaj powszechnie wydaje. Hitler zagra o wszystko, a Stalin wyczeka na właściwy moment i odegra się na Hitlerze. Dzisiaj Europa dyskutuje o tym, co się stało, wycierając sobie usta raz po raz Anglikami i Francuzami. A ja sądzę, że to nie będzie wojna naszych zachodnich pseudosprzymierzeńców. Jestem pewien, że to będzie wojna, którą wygra Stalin. Anglicy i Francuzi nie sprzymierzą się z Hitlerem przeciw Stalinowi, bo komunizm to nie ich problem. Prędzej sprzymierzą się z Sowietami za cenę pokonania Hitlera.

Jaxa poczuł, jak robi mu się gorąco. „Jak panowie sądzą, komu lepiej się poddać, Niemcom czy Sowietom?”. W tajnych od samego powstania strukturach Organizacji Kozłowski zajmował jedno z miejsc naczelnych. Był mentorem i filozofem ruchu. Jeśli wygłasza, to co mówi...

- Nie poradziliśmy sobie z jednym wrogiem - Jaxa mówił ostrożnie - jak mamy walczyć z dwoma?

- Nie zrozumiał mnie pan - spokojnie odpowiedział Kozłowski.

- Ja nie powiedziałem, że mamy walczyć z dwoma. Przeciwnie, uważam, iż my, w Polsce, nie będziemy mieli wpływu na los wojny.

- To co? - nie wytrzymał dłużej Otmar. - Mamy siedzieć i czekać? Poddać się i nic nie robić? Dać się wyłapać jak kaczki i wsadzić do obozów hitlerowskich czy sowieckich łagrów? O czym pan mówi, inżynierze? Co pan ma na myśli?

- Nasza oficjalna, choć nielegalna, Organizacja, Obóz NarodowoRadykalny, powstała

po to, by ochronić najcenniejszą tkankę narodu, młodzież, przed deprawującym ją systemem sanacji. Samodoskonalenie, wychowanie patriotyczne, budzenie ducha narodowego, przygotowanie do służby Narodowi i Ojczyźnie, to były nasze cele jawne. I przypomnę panom, że dzięki ich realizacji, wychowaliśmy tysiące działaczy najwyższej próby. I ten cel pozostaje niezmienny. Ja wiem, że każda partia w Polsce już przystąpiła do tworzenia własnych struktur konspiracyjnego wojska. Zaraz się dowiemy, że ludowcy mają jakieś, pożałujcie Boże, chłopskie wojsko, endecja swoje, sanacja własne i tak dalej. Taka jest polska mentalność partyjna: każdy sobie.

A z kogo oni będą tworzyć to wojsko? Z młodych, gorących głów. Powstanie listopadowe nie nauczyło niczego powstańców styczniowych. Pierwsza wojna nie nauczy drugiej. Młodzi, nasze jedyne pokolenie niepodległej Polski, wciągnięci w konspirację skończą z wyrokami śmierci. I gdy wolność nadejdzie, w Ojczyźnie pozostaną kobiety, dzieci i starcy.

- Do czego pan zmierza, inżynierze? - w głosie Otmara zabrzmiała nieco niegrzeczna nuta.

- Do tego, że cały wysiłek Organizacji powinien być podporządkowany zachowaniu najcenniejszej tkanki społecznej - pokolenia młodych. Jeśli oni zginą, naród polski nie przetrwa tej próby.

Inżynier Kozłowski wstał, podszedł do okna, przeszedł się po gabinecie i stając za ich plecami, położył Jaxie dłoń na głowie.

- Nastaje wasz czas, panowie. My, stary ONR, odchodzimy w cień historii. Teraz wy będziecie szansem, który obronić musi Ojczyznę i naród.

Jaxa dyskretnie spojrział w bok. Tak. Kozłowski trzymał rękę tylko na jego głowie.

- Wyzwał mnie od fałangistów, słyszałeś? - sapnął Otmar, zręcznie kuśtykając po schodach. - Ty masz rację, Jaxa, wojna nie jest dla starych. Oni się do tego nie nadają.

- Ale rację ma. Co za umysł! Jak brzytwa! - Jaxa był pełen podziwu dla Kozłowskiego, który wbrew opinii publicznej, zawieszanej na Anglii i Francji, widział wojnę w odmiennych kategoriach.

- Starych, przepraszam, „nestorów”, poza Kozłowskim już nie ma. Zostaliśmy my. - Entuzjazmował się Otmar. - Ja się spotkałem z kilkoma, jak powiedziałaś, „brzytwami” nie tylko z Zakonu, ale i z Komitetu. Tyle że to, bracie, przedwojenne brzytwy i ni mniej, ni więcej, stępiły się. Starzy nie radzą sobie z wojną. Siedzą, mędrkują, kalkulują. A wojna, bracie, to wojna! Trzeba działać. Co on sobie myślał? Że „zachować młodzież” znaczy zamknąć ją w słoiki i odstawić do spiżarni na „po wojnie”? Toż zamknięta młodzież się

zepsuje. Sanacja, endecja, ludowcy, komuniści, wszyscy tworzą konspiracyjne bojówki i co, my, prawdziwi radykałowie, mamy tego zaniechać? Bo co? Kozłowski dzisiaj mówi, że wojna potrwa długo. Ale on tego nie wie, on tylko tak przypuszcza. A jeśli się myli i wojna będzie błyskawiczna? Historię piszą zwycięscy, czyż nie tak, panie inżynierze? - Otmar kuśtykając i gestykulując gwałtownie, pędził przed siebie. Nie zwrócił uwagi na Jaxę.

A Jaxa stanął i przeprowadził błyskawiczną umysłową kalkulację. Otmar to gorąca głowa. Umysł błyskotliwy, ale filozofem nie był i nie będzie. Salski, Iłakowicz, inni. Zrobił szybki przegląd kolegów, którzy zostali na placu boju wraz z nimi. I zrozumiał, że wśród nich on sam jest kimś szczególnym. Jest tym, który widzi więcej i może więcej.

- Zostałeś w tyle! - wrócił po niego Otmar.

Zatrzymał się zdumiony, widząc Jaxę stojącego na środku ulicy, w rozwianym płaszczu.

- Przeciwnie - powiedział Jaxa do Otmara uroczyście. - Właśnie stanąłem w awangardzie. Może i przed wojną w ONR nie było dla nas pierwszych miejsc. To nie my tworzyliśmy tajny Komitet. Ale jestem pewien, że Kozłowski właśnie przekazał nam władzę.

- Przekazał? - Otmar zamrugał tymi niemożliwie jasnymi oczami.

- Starzy nigdy nie oddają władzy po dobroci. - Zrobił jakiś nieokreślony ruch pięściami wbitymi w kieszenie płaszcza.

- Nie takim narwańcom jak pan, panie Wawrzkowicz. Ale tak godnym zaufania ludziom jak ja powierzą ją z ufnością. Trzymaj się mnie, Otmar, i rób, co mówię. Bądź mi najwierniejszym z wiernych, a sprawię, że ja i ty będziemy ścisłym kierownictwem nowych narodowych radykałów.

- Co mam robić? - Otmar wyjął ręce z kieszeni. Był narwańcem, fakt, ale był także błyskotliwy i w lot zrozumiał swą szansę.

Jaxa wyciągnął z płaszcza notes. Z notesu kartkę. Napisał na niej ołówkiem kilka nazwisk, od razu w porządku alfabetycznym, i dał Otmarowi.

- To lista zaproszonych. Powiadom wszystkich bez wyjątku i przyjdźcie do mnie jutro wieczorem.

Potrzebował czasu, by dobrze przemyśleć strukturę i rozkład akcentów. I by odwiedzić na chwilę narzeczoną. Owszem, piękna Aleksandra nie była dzisiaj w centrum jego myśli, lecz cenił sobie słowność, a przecież obiecał, że przyjdzie. Złożył więc jej wizytę, z drobnym bukietem chryzantem. Wypili razem herbatę i z lekkim roztargnieniem ucałował jej dłoń na pożegnanie. A potem pobiegł do domu i przewertował Encyklopedię Staropolską w poszukiwaniu nazwy.

LISTA ZAPROSZONYCH (ALFABETYCZNIE)

Iłakowicz Olgierd* - lat 31, bankowiec po studiach w Belgii, Szwajcarii i Anglii. mistrz Polski w brydżu sportowym. Działacz ONR.

Ja (Marcinkowski Władysław) - Jaxa.

Salski Tadeusz - lat 30, działacz ONR, prezes Narodowego

Todleben Tadeusz - lat 32, inżynier elektryk. Autor rozprawy

Ty (Otmar Wawrzkowicz) - przyjaciel.

* powiedz mu, żeby nie zabierał ze sobą Ireny.

* (nie zaproszona) Irena Iłakowiczowa z domu Morzycka, była żona księcia Kurdystanu, obecnie żona Olgierda. Alpinistka. Blondynka o szafirowych oczach. Najpiękniejsza kobieta jaką znał Jaxa, Otmar i cała reszta. Niepospolicie inteligentna. Poliglotka znająca sześć języków, w tym perski.

- Panowie! - Jaxa przywitał przybyłych. - Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz! Prawdziwy narodowiec w chwilach próby oddaje Ojczyźnie całe swoje życie i majątek. W chaosie i lęku, któremu ulega społeczeństwo pod niemiecką i sowiecką okupacją, musimy być światłem nieulekłym. Musimy dać przykład. Nasi starsi koledzy z Organizacji pragną, byśmy wzięli sprawy w swoje ręce. Od dzisiaj to my jesteśmy nie tylko Zakonem, ale i Tajnym Komitetem.

Iłakowicz, Salski, Todleben patrzyli na niego z podziwem. Otmar, który wiedział, w czym rzecz, był bardziej konkretny.

- Potwierdzą to w Organizacji?

- Tak. Dziś ponownie spotkałem się z inżynierem Kozłowskim - Jaxa zerknął, czy Otmar umie docenić wagę tego stwierdzenia - i dostałem od niego wytyczne.

- Na piśmie? - wyrwał się nieco zdezorientowany brakami w swym wtajemniczeniu Otmar.

- A od kiedy w naszej Organizacji dostaje się coś na piśmie? - pobłażliwie zbył go Salski.

- Otóż to, tajność i wielopoziomowość struktur zostaje zachowana - potwierdził Jaxa. - Mamy dokooptować do Zakonu kilku godnych zaufania, energicznych ludzi. Oczywiście, ich kandydatury będę konsultował z Organizacją poprzez inżyniera Kozłowskiego.

- To znaczy, że nasze nazwiska już sprawdziłeś? - upewnił się Todleben.

- Tak. Każdy z was ma poparcie najwyższej Organizacji. Jednocześnie, z racji na warunki konspiracyjne i fakt, iż nasi nestorzy, działacze pierwszego przedwojennego szeregu, są na liście poszukiwanych przez gestapo, aż do odwołania Organizacja nie będzie spotykać

się w pełnym gronie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że mamy wolną rękę i kredyt zaufania bez nadzoru? - odezwał się Hłakowicz, bankowiec.

- Owszem, zaufanie i wolną rękę tak. Nadzór nad nami, jako nowym Zakonem, sprawować będzie jednak Organizacja. Ale przecież nie zamierzamy przekroczyć wytycznych samej góry, więc nie mamy się czym martwić.

- Nie? - ironicznie przerwał Otmar. - A „zachować młodzież” to co, nie wytyczne może?

Jaxa, by utemperować kolegę, nie odpowiadał na jego pytanie przez dłuższą chwilę. Przeszedł się po pokoju, spokojnie, z namaszczeniem. I dopiero wtedy powiedział z naciskiem:

- Podczas mojej dzisiejszej rozmowy z nestorem poruszyliśmy ten temat ponownie. I udało mi się przekonać Kozłowskiego, że „zachowanie najcenniejszej ideowo młodzieży” może dojść do skutku wyłącznie poprzez zaangażowanie jej w konspiracyjną walkę.

- Nie wierzę! - roześmiał się Otmar. - Stary, przepraszam, nestor, wczoraj mówił dokładnie co innego!

- Wy tłumaczyłem inżynierowi, że młodzież oderwana od czynu straci swą ideową czystość.

- Wczoraj też mu próbowaliśmy tłumaczyć i jakoś nie docierało - dąsał się, nie dowierzając, Otmar.

- Bo wczoraj nie wiedzieliśmy jeszcze, że sanacyjna Służba Zwycięstwu Polski już wciąga młodych w konspiracyjne bojówki. Dzisiaj, kiedy mogłem mu przedstawić na to dowód, gdy mogłem powiedzieć:

„Pięciu naszych wspaniałych młodych chłopców, studenckich działaczy Legii Akademickiej, wstąpiło się do SZP, bo własna Organizacja nie daje im szansy na czynną walkę”, zgodził się ze mną. I powiedział:

„Twórcie najlepsze tajne wojsko, na jakie stać ten udręczony kraj”. Koledzy spojrzeli na niego z podziwem.

- To nie wszystko, panowie! To nie wszystko. Mamy także objąć pion polityczny i propagandowy nowej organizacji.

- Chcesz przez to powiedzieć, że całość władzy w nasze ręce?

- Całość, pod dyskretnym nadzorem samej góry naszej macierzystej Organizacji.

- Będziemy mieli ONR w nazwie? - Otmar już przechodził do szczegółów.

- Nie ma takiej potrzeby. Zresztą przypominam, że ONR został przez sanację

zdelegalizowany zaraz po założeniu i na dodatek był tylko jedną z kilku inicjatyw naszej tajnej Organizacji.

- Jest nowy rząd i nowe warunki. Teraz wszyscy są w konspiracji przed nowym wrogiem. Czy to nie dobry moment, by oficjalnie wrócić do chlubnej nazwy?

- Nie widzę takiej potrzeby - uciął Jaxa.

- A ja sądzę, że nawet lepiej dla nas, jako nowego Zakonu, zacząć z nową nazwą - poparł go Salski. Pozostali zgodzili się.

- Jakież propozycje? - Otmar potrzebował przyspieszenia.

- Tak, moja - oznajmił Jaxa - jak sądzę, najbliższa czasom, w których przyszło nam działać. Związek Jaszczurczy.

- Dobrze! - pochwalił Otmar bez namysłu. - Cichociemne, ukryte, jadowite!

- Historyczne - zgasił go Salski - bardzo polskie. Szlacheckie.

- Antyniemieckie - pochwalił Hłakowicz - i kiedyś wpływowe.

- Ale co? - Otmar nie orientował się za bardzo.

- Związek Jaszczurczy powstał pod uciskiem krzyżackim, by dążyć do zjednoczenia ziemi chełmińskiej z Polską. Średniowieczna konspiracja, która z podziemia wyszła ku jawności.

- Parę głów przy tym spadło na grudziądzkim rynku - dodał Hłakowicz.

- Krzyżackich? - z nadzieją zapytał Otmar.

- Nie, polskich. Szlacheckich.

- Kiepski prognostyk - skrzywił się Wawrzkowicz.

- Przeciwnie. Poświęcili wiele, a jeszcze więcej zyskali. Król ich tak bardzo cenił, że razem z nim podpisywali pokój brzeski. Od konspiracji do legalizacji.

- Dobra - ta wizja przypadła nieco Otmarowi do gustu. - Ale który król?

- Władysław Jagiełło.

- E, taki on polski król. Narodowo nie był czysty. Gdyby przyjąć wobec niego takie kryteria, jakie my mamy w ONR, do czwartego pokolenia, to by nie przeszedł.

Spojrzeli na Otmara jednocześnie. Akurat w jego ustach ta uwaga była niestosowna. O tym, że sam ma przodków włoskich i tatarskich, wiedzieli wszyscy, przy czym nikt nie miał pojęcia, jakim cudem przeszedł narodową weryfikację w Organizacji. Ale przeszedł ją.

- Związek Jaszczurczy od dzisiaj zaczyna działalność. - Oznajmił Jaxa, by zakończyć jałowe rozważania. - Ja, jako jedyny z doświadczeniem wojskowym w naszym gronie, przyjmuję na siebie zadanie utworzenia ramienia zbrojnego. Wy zajmiecie się polityką i propagandą. Zadanie pierwsze: dotrzeć do przedwojennych działaczy. Zadanie drugie:

tworzymy struktury w terenie. Zadanie trzecie: pozyskujemy do swych szeregów młodych, ideowych członków. Obowiązują wszystkie dawne założenia Organizacji.

Gdy został sam, opadł z niego uśmiech i entuzjazm. Zgasił światło i usiadł w fotelu przodem do okna. Myślał.

Myślał o drugim dnie wszystkiego, co powiedział. Drugie dno. Trzecie i czwarte. Ile ich było? Cała ich Organizacja była niczym szkatułka otwierana w szkatułce. ONR legalny czy zdelegalizowany przez sanację był tylko parawanem do prawdziwej pracy. I jednocześnie sitem, które łowiło najcenniejszych działaczy, by zaproponować im wewnętrzny awans. Organizacja Polska, tajna, nigdzie nie występująca pod swą nazwą, była istotą ich stowarzyszenia. Ale i w niej, poziom po poziomie budowano sieć wtajemniczeń. Zakon, Komitet Wykonawczy i Komitet Polityczny. A struktury poziome? Równoległe do tej pnącej wzwyż organizacyjnej, inwestowali w struktury łączące ludzi tej samej profesji. Prawników, inżynierów jak on, lekarzy, profesorów, robotników. Nestor miał rację, przypominając o pracy ideowej i jej efektach. Przed wojną, gdy sanacja, endecja, ludowcy i socjaliści wykształcili całą klasę politycznych nierobów - wziętych polityków, którzy nie mieli w społeczeństwie pozycji ani zawodowej, ani osobistej, oni, narodowcy, odwrotnie. Mieli szeregi ludzi z wyższym wykształceniem, z tytułami naukowymi, mieli najlepszych specjalistów w każdej z branż, którzy od początku przesiąknięci byli myślą, że praca społeczna to obowiązek wobec narodu, a nie odskocznia do jakiejś, pożałuj Boże, kariery. Tym bardziej że najważniejsi spośród nich, z racji zajmowanych stanowisk, nigdy nie ujawniali publicznie swej przynależności partyjnej.

To w tej chwili najbardziej zajmowało Jaxę. Miał świadomość, że nestor Kozłowski w dniu, w którym położył rękę na jego głowie, powiedział tylko połowę tego, co miał do powiedzenia.

„Nasza oficjalna, choć nielegalna Organizacja, Obóz NarodowoRadykalny, powstała po to, by ochronić najcenniejszą tkankę narodu, młodzież, przed deprawującym ją systemem”.

I dalej mówił wyłącznie o młodzieży i tym, że czas, by oni przejęli władzę. Ale mówił o oficjalnej organizacji. To jej wytyczał bieżące cele.

A co z nieoficjalną?

Struktura pionowa była do tej pory tak skonstruowana, że poziom niższy nie wiedział o istnieniu wyższego. Ale wypełniał jego zalecenia. Zatem w każdej strukturze niższej musiał być ktoś z wyższej, ktoś, kto wiedział, co jest nad nimi. Nieustanne doskonalenie i pięcie się wzwyż. Wydaje ci się, człowieku, że już doszedłeś do kresu marzeń. Jesteś w Komitecie swej organizacji. Aż któregoś dnia dowiadujesz się, że jeśli będziesz nad sobą pracował mocniej,

to osiągniesz więcej, bo nad tym, co zdawało ci się, że jest samą górą, jest kolejna góra, krąg wtajemniczenia, o którym nie miałeś pojęcia.

W gęście Kozłowskiego była nić ukrytych znaczeń. Wszak z nich dwóch to Otmar był - teoretycznie - wyżej w organizacji. W ostatnich przedwojennych wyborach trafił do samego Komitetu Wykonawczego, podczas gdy Jaxa był poniżej, w Zakonie Narodowym. Ale jednocześnie, w tym samym czasie, nestorzy dawali Jaxie do zrozumienia, że ma stanąć w strukturze i nie iść wzwyż. Czyżby już wtedy wiedzieli, że organizacja stanie przed zupełnie inną rzeczywistością? Rzeczywistością wojny?

Czyżby ze swą prowadzoną od lat nieformalną logiką trzymali Jaxę na boku, by dać mu w odpowiednim momencie zaistnieć? Tak to rozumiał.

To jego naznaczył nestor na twórcę nowej, wojennej emanacji ruchu. I on ten ruch właśnie utworzył.

Ale czy będą kierować nim z ukrycia, ci, którzy stoją nad Kozłowskim?

Wstał, zapalił lampę naftową. Wyregulował jej płomień.

- To się okaże - powiedział do siebie. - Związek Jaszczurczy to ja. Sięgnął do biblioteki. Wyjął opasy tom Zoologii. Przeszukał działy. Herpetologia. Znalazł hasło i przeczytał je sobie na głos.

Autotomia - zdolność obronna charakterystyczna głównie dla jaszczurek i większości bezkręgowców. Polega na umiejętności odrzucenia własnego organu lub części ciała w sytuacji zagrożenia życia.

*

Biłgoraj, Generalne Gubernatorstwo. Początek 1940 roku

Na ulicy zabudowanej drewnianymi domami ruch. Wszyscy gdzieś się spieszą, brnąc przez śnieżne zasy. Kobiety okutane chustami. Gdzieś żółta żydowska opaska na ramieniu. Na rogu ulicy granatowy policjant przytupuje, by się zagrzać. W ulicznym chaosie pojawia się pewna prawidłowość: mężczyźni przemykający pojedynczo do bramy pod numerem 40. Przed wejściem rozglądają się uważnie, ale policjant ich nie widzi. Jako ostatni w bramę wchodzi Jakub.

Podporucznik Jakub - lat 27. Po kampanii wrześniowej znalazł się w obozie jenieckim Stargard Pommern, skąd wydostał się dzięki wszczępieniu mu przez doktora Gosiewskiego wirusa żółtaczkę typu B. Na wolności i z mocnymi papierami cudownie ozdrowiał i mimo ciężkiej choroby pozostał atletycznie zbudowanym blondynem. Przed wojną nauczyciel matematyki.

- Co tak późno? - witają go koledzy z pretensją. - Zebranie miało się zacząć o

szesnastej!

Jakub nie przejmując się wymówkami. Strząsa z płaszcza śnieg.

- Wezwali mnie na gestapo - odpowiada w końcu. W sali zapanowała cisza.

- Szukają nas? - zapytał ktoś nerwowo.

- Szukają profesorów z Lublina. Mieli uzupełnioną listę proskrypcyjną o uczonych, którzy mają rodziny w Biłgoraju i okolicy.

- To kolejny przypadek - skwitował brunet w niechlujnym swetrze.

- Nie, to nie przypadek - z naciskiem poprawił go Jakub - to zaplanowana akcja.

- Co im powiedziałaś? - dopytywał ktoś z głębi sali.

- Gówno - odrzekł Jakub i koledzy zawtórowali śmiechem.

- Cisza! Koledzy, cisza! - ponad męskie głosy wdarł się kobiecy alt. - Otwieram zebranie formacyjne lewicy nauczycielskiej! Po pierwsze, kultura. Nie życzę sobie takich słów w naszym gronie, nawet z ust towarzysza Jakuba. Po drugie, ja prowadzę zebranie, a ewentualne wolne wnioski na końcu. Po trzecie...

Była wysoką, korpulentną blondynką, nieco przed czterdziestką. Bez makijażu, bez cienia kokieterii w stroju. Gdyby chociaż miała jakąś apaszkę, odrobiną szminki, koledzy z pewnością mogliby powiedzieć o niej „przystojna”. Lecz Marina, bo taki nosiła pseudonim w organizacji, ostentacyjnie nosiła się antykobieco.

-...nie wolno nam odrywać postulatów niepodległościowych od społecznych. Bo naszym zadaniem jest nie tylko walka z hitlerowskim najeźdźcą!

- Z radzieckim także? - zapytał przekornie Jakub. Marina zbombardowała go wzrokiem.

- Ta kwestia pozostaje do osobnego wyjaśnienia i zapewniam towarzyszy, iż nasze odgórne czynniki pracują nad tym - odpowiedziała lodowato. - Zaś naszym zadaniem jest nie tylko walka z hitlerowskim najeźdźcą, ale także walka ideologiczna! - Marina, niczym genialna chórzystka, powtarzając przerwane zdanie wpadła w ton doskonale identyczny. - Bo czyż nie jest istotne, o jaką niepodległą Polskę walczymy? Czyż gdyby nie wady ustrojowe sanacyjnego systemu, doszłoby do klęski wrześniowej? Odpowiedzmy sobie na to pytanie, towarzysze! - zawiesiła głos i odpowiedziała sama, niczym wprawna nauczycielka, którą zresztą była. - Nie! Nie i raz jeszcze nie! To sanacja doprowadziła kraj do ruiny, to nieodpowiedzialna polityka piłsudczyków i innych RydzówŚmigłych skazała nas na porażkę...

- O RydzuŚmigłym sam marszałek mówił, że żołnierz z niego dobry, ale jako polityk pierdoła absolutna - szepnął do ucha Jakuba brunet w swetrze. Zachichotali jak uczniowie w

ostatniej ławce, Marina jednak rozkręciła się i nie zwróciła na nich uwagi.

-...kto wie, może i narodowcy tworzą własną podziemną organizację albo i, co gorsza, falangiści! Radykalnym narodowcom musimy postawić kres, bo oni nigdy nie dopuszczą idei socjalizmu do głosu!

- A ludowcom?

- Wolne wnioski, jak skończę, a ja dopiero zaczęłam - ucięła Marina. - Nadszedł dla nas czas pracy u podstaw. Nauczyciele są po to, by nauczać. Tworząc szeregi nowej organizacji, pójdziemy w lud...

- A więc jednak!...

-...każdy z nas tu obecnych ruszy na wieś, spotykać się z ludnością chłopską, uświadamiać ją, że burżuazyjne hasła „świętej zgody narodowej” uderzają w jej interesy, spychając sprawy społeczne w niebyt. A rewolucyjna jedność narodu to zryw narodowowyzwoleńczy ku nowej, wolnej Polsce. Polsce sojuszu robotniczo-chłopskiego. Pytajcie ich: „Czy chcecie powrotu panów? Wyzysku? Czyż owi panowie nie uciekli z kraju i nie osierocili narodu?”. Ponadto naczelnym zadaniem na dziś jest pozyskanie młodzieży do pracy w konspiracji. Nadejdzie czas, że z ich szeregów utworzymy oddziały, rewolucyjne bojówki, które wyprą z Polski Niemca wraz z resztkami starego systemu. Historię piszą zwycięzcy, towarzysze! A my musimy być w pierwszym szeregu, gdy nadejdzie chwila ostatecznego pokonania wroga. Wtedy będziemy mogli powiedzieć narodowi: oto rewolucyjna siła dała wam wolność i co robi naród? Powie: „Rządzcie nami!” - Marina wzięła oddech, odetchnęli i słuchacze.

- No, koniec. Już się bałem, że się kobieta udusi... - szepnął Jakub, ale był w błędzie. Marina zaczerpnęła powietrza i ruszyła.

- Kluczem do naszej pracy jest młodzież. Należy ją pozyskiwać ze szczególną uwagą i wytrwałością. Należy wychowywać ją i prowadzić. Nie zrażać się brakiem wykształcenia, zupełnym brakiem wyrobienia politycznego, lecz troskliwie pracować nad świeżymi jeszcze i nie spaczonymi umysłami. Polecam towarzyszom przytaczanie przykładu tak zwanej zbędności młodzieży w Drugiej Rzeczypospolitej, to jest coś, co trafi do ich serc. Przypominać bez przerwy przypominać o tragicznej sytuacji młodych za sanacji, gdy nie było dla nich miejsca ani w szkole, ani na rynku pracy. Bezrobocie...

- Proponuję o „braku miejsc w szkole” akurat nie mówić, bo to mija się z prawdą - Jakub wstał, powiedział szybko i usiadł.

- Ale bezrobocie jest faktem, a wolne wnioski na końcu - uciszyła go Marina i jak rozpędzony parowóz mknęła dalej, niczym zręczny muzyk, bezbłędnie wracając do tonu w

którym przerwała. - Bezrobocie, marazm, czasy, gdy młodzi pozostawali na garnuszku rodziców, o ile ci nie znaleźli dla nich pracy we własnych, maleńkich warsztatach. Podkreślać wielką bliskość, jaka łączy robotnika i chłopa, ich braterstwo i wiodącą rolę lewicowej inteligencji, oraz przypominać, iż w naszych postulatach zawsze było miejsce na bezpłatne nauczanie wyższe. Polska Partia Socjalistyczna od pierwszych dni hitlerowskiej agresji czynnie włączyła się w obronę kraju. W Gdyni ochotnicze oddziały Czerwonych Kosynierów, w stolicy Robotnicze Brygady Obrony Warszawy! Przypominajcie o tym młodzieży, przypominajcie o tym chłopstwu, utrwalajcie w świadomości mas te chlubne nazwy. My, skupieni wokół Lewicy Nauczycielskiej, nie zdefiniowaliśmy jeszcze ostatecznych decyzji co do przynależności, ale mam nadzieję, że na kolejnym spotkaniu kolektywnie podejmiemy stosowną uchwałę. Sytuacja na lewicy wygląda następująco: Polska Partia Socjalistyczna Wolność Równość Niepodległość stanowi większość. Lewicą lewicy jest dzisiaj organizacja o nazwie Polscy Socjaliści. Za przeproszeniem, prawicą lewicy jest Robotnicza Partia Polskich Socjalistów, a skrzydło stricte komunistyczne reprezentuje RPPS, tylko wybaczcie, nie dostałam informacji, czy „R” znaczy „Radykalna” czy „Rewolucyjna”, czy „Robotnicza”. W każdym razie inne „R” nie wchodzi w grę. Cieszę się, że zapamiętaliście wszystko - Marina zerknęła na zegarek - bo na dzisiaj koniec. Wzywają mnie do Lublina - w jej tonie zabrzmiała nuta tajemnicy.

- A wolne wnioski? - z pretensją odezwał się Jakub.

- Nie starczyło czasu - odpowiedziała Marina. - Gdybyśmy nie czekali na towarzysza tak długo, może i czas by był. Na następnym zebraniu omówimy wasze wolne wnioski. Są pytania? Nie ma. Zatem do widzenia, towarzysze!

Brunet w niechlujnym swetrze chciał jej podać płaszcz, ale wyjęła mu go z ręki, obrzucając pobłażliwym spojrzeniem, i skarciła głosem, który w jej ustach zabrzmiał niemal kokieterijnie:

- Ach, te wasze burżuazyjne nawyki, czas z tym skończyć, kolego Janku!

Spod drzwi rzuciła jeszcze:

- Wychodzić wedle instrukcji, w odstępach.

- Tak jest, pani profesor! - odpowiedzieli chóralnym szeptem, kiedy zamknęły się za nią drzwi. Odczekali jeszcze chwilę. Jakub, by mieć pewność, że nie podsłuchuje, wyjrzał za nią. I gdy kiwnął głową do kolegów, wybuchł długo tłumiony śmiech i gwar, ponad którym przebił się głos Janka, tego w niechlujnym swetrze:

- Żeby baba nami rządziła!...

„Café Bodo”, Foksal 17, Warszawa, Generalne Gubernatorstwo. Początek 1940 roku

W „Café Bodo” trudno o wolny stolik, choć drogo. Ale tych, którzy chcą słono zapłacić za to, by przez chwilę poczuć się jak przedwojenni i przy okazji zjeść miniaturowe ciastko, jest zawsze więcej niż miejsc. Fenix siedzi przy stoliku sam, obraca krzesło tak, by widzieć salę.

Fenix - lat 26. Przedwojenny bokser Żydowskiego Klubu Sportowego „Makkabi”.

W kampanii wrześniowej „porucznik Fenix”, który z Zub-Zdanowiczem obsługiwał armatę Bofors. Z obozu jenieckiego wyszedł na lewych papierach od doktora Gosiewskiego na „świerzb narządów”. Ciemnowłosy. Melancholijną urodę włoskiego amanta psuje nos, nadmiernie spleaszczony.

Fenix jest duży, nieco niezgrabny, strąca zawieszony na sąsiednim krześle pakunek. Młoda, elegancko ubrana dziewczyna i mężczyzna, który jej towarzyszy, bledną.

- Niech pan uważa! - syczy kobieta.

Fenix podnosi pakunek i podaje jej, wzruszając ramionami:

- Nic się nie stało, przecież to nie bomba!

Mężczyzna i kobieta wymieniają spojrzenia, które mogłyby oznaczać „pan jest kretyn, bo to jest bomba”, gdyby Fenix je widział. Ale on wpatruje się w drzwi wiodące do zaplecza i gdy wychodzi przez nie dziewczyna w stroju kelnerki, natychmiast się prostuje. Dziewczyna podchodzi do stolika Fenixa.

Pola - lat 23. Szatynka, nadzwyczaj zgrabna i łudząco podobna do Lody Halamy.

- Co podać? - w jej głosie czuć irytację.

Fenix uśmiecha się do niej, jakby tego nie słyszał. Trzyma głowę lekko przechyloną, bo wie, że w tej pozycji jego nos nie wydaje się aż tak płaski.

- Na początek, czy mógłbym prosić, by podała pani swoje imię? - mówi niskim, uwodzicielskim głosem.

- Mam wezwać kierownika i powiedzieć, że gość jest namolny? - ostro odpowiada Pola i wskazuje głową na drzwi. - Tam stoi kolejka oczekujących na stolik. A pan przychodzi tu codziennie i marudzi przy jednej kawie z koniakiem, bez ciastka.

- Jeśli zamówię ciastko, to kierownik będzie z pani bardziej zadowolony?

Pola nie odpowiada, ale jej mina mówi „tak, mam słabe obroty, kierownik traci do mnie cierpliwość, a kolejka dziewczyn, które chcą dostać pracę, jest długa”.

- Wobec tego proszę dwa ciastka, dwie kawy i dwa koniaki, i imię...

Kelnerka wciąż ma minę nieprzychylną. Fenix nieznacznie dotyka kieszeni, jakby sprawdzał, czy portfel jest na miejscu. Ten gest, łudząco podobny do sprawdzania broni,

budzi popłoch u mężczyzny i kobiety przy sąsiednim stoliku. Fenix uśmiecha się bohatersko:

- Zaszaleję dla pięknej kobiety! Cztery ciastka! Pani?...

- Polu. - Przedstawia się z ujmującym uśmiechem Pola.

- Wiedziałem! Wiedziałem, że skądś panią znam! Pola Negri! Klienci odwracają się ku nim.

- Niech się pan nie wygłupia. - Ucisza go zmieszana dziewczyna.

- Ale zgadłem, jest pani aktorką, tak?

- Tak... - szepce. - Tu pracują wyłącznie aktorki. Idę po pańskie zamówienie.

- Jeszcze chwilę - przytrzymuje ją za rękę Fenix, ale puszcza, bo Pola mierzy go wzrokiem bazyliuszka.

- Ja panią widziałem na scenie, pani jest znacznie, znacznie lepsza od Poli Negri, to bez dwóch zdań! Dobry impresario w miesiąc zrobiłby z pani hollywoodzką gwiazdę...

- Ale ja nie chcę być hollywoodzką gwiazdą. Jestem wielbicielką teatru eksperymentalnego, u Osterwy nie ma miejsca na bezmyślne gwiazdorzenie na deskach. - Z wyrzutem i wyższością patrzy na Fenixa.

- Tak, ja to czuję - amant w lot zmienia zdanie. - Tyle że mam pewność, iż widziałem panią na scenie rewijowej. Rzecz jasna, odsłaniała tam pani znacznie więcej... - dwuznacznie patrzy na zgrabne nogi Poli. Dziewczyna rumieni się.

- Zaraz, zaraz - Fenix czuje, że ma przewagę - czy to nie była Roxy i jej drużyna?

- Była, ale tylko raz. Zastępstwo za chorą koleżankę.

- Ta spódniczka w kratkę, ten kapelusik z piórkiem, ja tego do końca życia nie zapomnę - szepce rozentuzjasmowany Fenix - białe podkolanóweczki, ummm... ja przez panią spać nie mogłem...

Pola wzdycha z politowaniem; odzyskuje rezon.

- Pan mnie myli z Lodą Halamą. To ona była w podkolanóweczkach. Idę po cztery ciastka, dwie kawy i dwa koniaki, pan wybaczy, jestem w pracy.

Fenix nie odrywa wzroku od odchodzącej dziewczyny. Chłonie sprężysty i zmysłowy chód tancerki.

- Grlaska... - szepce namiętnie - może sobie kochać Osterwę i te nudy z Reduty, ale ja czuję, że w niej jest potencjał...

- Fenix? Wykidajło nie chciał mnie wpuścić. Zapomniałeś mu powiedzieć, że mamy stół? Nie mogłeś chociaż patrzeć na drzwi, żeby mnie wyłowić? - Tuptuś mówi powoli, flegmatycznie, przez co każdy jego wyrzut trwa dłużej. Siada przy stoliku z niezadowoloną miną.

Tuptuś - Kazio Komorowski, krewny BoraKomorowskiego, późniejszego dowódcy Armii Krajowej.

-...a w ogóle to dlaczego spotykamy się w „Café Bodo”? - ciągnie bardzo wolno Tuptuś. - Mamy tyle spraw do obgadania, a tutaj spokojnie pomówić nie można...

- To, że dałem ci się wypowiedzieć do końca, znaczy, że można - kwituje z uśmiechem Fenix.

-...i na dodatek tu jest drogo... - dopiero teraz kończy Tuptuś.

- Ale ja stawiam, przyjacielu! Poza tym niedługo będzie nas stać na „Café Bodo” codziennie! Mam nowy pomysł. Szmugiel to dobre na krótką metę. Słonina, kartofle, kasza, bimber, mnie to już nudzi, Kaziu, duszę się. Przecież jesteśmy do wyższych celów stworzeni, prawda? Pomyślałem, że powinniśmy się zająć sztuką!

Do stolika podchodzi Pola z wielką tacą. Tuptuś patrzy zaskoczony na cztery talerzyki z ciastkami.

- Ty stawiasz? - upewnia się.

Pola uśmiecha się ironicznie. Fenix nie zwraca uwagi na przyjaciela, wpatrując się w kelnerkę rozmarzonym wzrokiem.

- Ten koniak wypiję, myśląc o pani... Za pani wielką karierę, panno Polu...

- Panno? - złośliwie przyłapuje go Pola. - Skąd ta pewność?

Tuptuś tylko mówi wolno, ale już się zorientował, co się święci.

- Nie widzę obrączki. A poza tym gdyby była pani mężatką, to ja...

- On jest bokserem - potwierdza Tuptuś. - Bardzo dobrym.

- Widzę - w końcu uśmiecha się promiennie Pola. I odwracając od ich stolika, wskazuje na nos Fenixa.

- Co za kobieta! - nie może od odchodzącej oderwać wzroku Fenix.

- To Loda Halama? - pyta Tuptuś.

- Nie, stary! Loda Halama to już przeszłość przy tej małej... wróżę jej kapitalną karierę...

- Jeśli u twego boku, to przypominam, że każda poprzednia miała tak samo wielką karierę, jak i spektakularny nokaut. Przejdźmy do interesów. No bo chyba nie masz na myśli... - Tuptuś cedząc powoli słowa, patrzy niepewnie na Fenixa.

- Nie, nie. Panna Pola to moje życie osobiste.

- Przejdźmy do zawodowego. Nie jesz ciastek?

- Możesz brać, Tuptuś, ty chudy jesteś. Czekaj, niech no się skupię - Fenix wychyla kieliszek koniaku, jakby pił wódkę. - Dobra. Musimy uporządkować interesy. Nie może być

tak, że ty i ja tyramy od rana do rana jak osły i mamy na głowie wszystko, bo się zaharujemy, a nie dopilnujemy. Wisła zamarzła, transport wodny odpada. Furmanki Niemcy kontrolują i odkąd wprowadzono kartki na żarcie, to chłopu nie wolno przewieźć więcej niż dwa kilo mięsa i dziesięć ziemniaków. Toż to detal! Jestem za tym, żeby podzielić się na specjalizacje i rejony a przyjaciół naszych, którzy do tej pory odpowiadali za zdobywanie żywności w terenie, uczynić...

-...kierownikami pionów? - wszedł mu wolno w zdanie Tuptuś.

- Tak jest. Bardzo ładnie, „kierownikami pionów”. I tak: z Rembertowa wozimy tytoń. Z Jabłonnej wódkę. Niech pieczę nad tym wezmą Andrzej i Wicio. Piaseczno to chleb i mąka i niech zostanie przy Frani. Ale korona pracy naszej trudnej, Karczew, musi dostać nowego kierownika pionu, kogoś, kto wycisnie z „Prosiakowa” więcej rąbanki, słoniny, a może nawet i schab.

- Schab trzeba odłożyć dla policjantów, bo inaczej każdy nasz kurier wpadnie.

- Jestem przeciwny takiemu rozpuszczaniu granatowej policji. Tym bardziej że schab jest potrzebny dla kolejarzy. Warszawskie Koleje Wschodnie i Zachodnie to moja nowa recepta na sukces.

- Masz tam kogoś? To czego dopiero teraz mówisz?

- Bo mam dopiero od kilku dni, geniuszu! - roześmiał się Fenix.

- Słuchaj, siatkę wciągniętych w interes kolejarzy zgrywamy z siatką szmuglerów, mrówek. Ale nie mam tu na myśli dotychczasowego ciułania po siatce ziemniaków czy dziesięć kilo boczku pod jesionką. Nie! Na produkty sypkie: skrzynki w siedzeniach. Bimber w bańki od mleka i pomiędzy mlekiem będzie jeździł, niczym czarna owieczka schowana w stadzie białych, tytoń w paczkach w wagonie pocztowym. A to, na co czeka cała głodna Warszawa, czyli mięsne bogactwa Karczewa, zwanego „Prosiakowem”, król królów wśród pomysłów twego przyjaciela Fenixa - tendry!

Fenix czekał na reakcję Tuptusia. Doczekał się zdumionego spojrzenia jasnych oczu.

- A tak, bracie w golonce i rąbance! A tak! Otóż mój nowy znajomy z kolei wyjaśnił mi, iż tendry można podzielić, rozumiesz, zrobić porządną metalową przegrodę. I tak w jednej części jak pan Bóg przykazał, będzie zasobnik wody, a w drugiej schab, słonina, wędzonka i reszta dóbr Karczewa. Przewidywana ładowność: cztery świniaki. Ha! Oszalałeś?

- Oszalałem - potwierdził flegmatycznie Tuptuś. - Tylko nie rozumiem tu czegoś. Oto bowiem, kiedy przyszedłem na spotkanie, oznajmiłeś mi, że kończymy ze szmuglem, a tymczasem plan twój, Fenixie, jest zwarty, sensowny i wysokodochodowy.

- I w tym właśnie rzecz, przyjacielu! - radośnie oznajmił Fenix.

- Przestajemy się bawić w „Kiercelak”. Nas interesuje tylko bezpieczne dostarczenie towaru z podwarszawskich spiżarni do stolicy. Opłacamy szmuglerów, kurierów, kolejarzy i granatową policję. Ale tylko do momentu dostarczenia towaru do lepkich rąk Tola F., rekina „Kiercelaka”. Sprzedajemy mu wszystko hurtem, oczywiście bez zniżek. I niech się sam buja dalej. Bo wiesz, co ja myślę? Ja myślę, że Niemiec jest leniwy. I zamiast szukać wiatru w polu po wsiach i dedukować, jak sprytni warszawiacy przewożą towar do stolicy, będzie wolał zasadzić się na ostatnie ogniwo, czyli sprzedawców. Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, to w najbliższych miesiącach „Kiercelak” będzie miejscem nieustających obserwacji, łapanek, rewizji i Bóg wie czego jeszcze. Po co nam to? Czy nasze szlachetne oblicza warte są tego, by ktoś nas ze zwykłym ulicznym handlem kojarzył?

- Nie są - potwierdził Tuptuś, gapiąc się w złamany nos Fenixa. - Ale ani ty, ani ja w życiu nic osobiście nie sprzedaliśmy. Więc i z tym kojarzeniem przesadzasz.

- Nie, nie przesadzam. Wyczytałem w konspiracyjnej gazetce, że o szmuglerach piszą „bohaterowie Warszawy”, i ty wiesz, Tuptuś, ja się z tym zgadzam. Ja zapragnąłem być bohaterem, który ze wsi sprowadza do stolicy mąkę, bimber, kiełbasę i tytoń. Ale na tym koniec, sprzedażą niech się zajmie kto inny.

- Stracimy nieco. Najwyższy narzut zawsze jest na końcu. - Tuptuś wyjadł ostatnie okruszki sernika.

- Owszem, trochę stracimy. Ale cóż to znaczy wobec dobrego imienia, przyjacielu? Poza tym mam dla nas na oku nowe zajęcie. - Fenix z rozognioną twarzą pochylił się ku Tuptusiowi. - Warszawa dzisiaj kipi sztuką. Obrazy, bibeloty, biżuteria, futra, aparaty fotograficzne...

- Od futer dalej to już tylko dobra luksusowe - sprostował Tuptuś.

- Zwij, jak chcesz, w witrynie sklepu powiesimy obrazy. Nazwę też wymyślimy taką artystyczną bardziej. „ArtDeco” może?

- Aaa... - z podziwem przytaknął Tuptuś. - Wchodzę.

- A widzisz. Wciągniemy kilku przyjaciół do spółki. Artystów, naukowców, bracie, trzeba ratować warszawską inteligencję, bo ona głowy nie ma do szmuglu, talentu im brakuje!

- Talentu nie brakuje, tylko smykałki. Czesio jest historykiem sztuki, przebranżowi się na wycenę antyków. - Tuptuś przy swym zewnętrznym flegmatyzmie był naprawdę operatywny. - Joasia, jeszcze jako żona świętej pamięci pułkownika, zawsze gustowała w futrach, więc też się nada, poza tym z czasów gdy jej drugi mąż był attaché kulturalnym w Budapeszcie, ma naprawdę dobre stosunki.

- O tak - uśmiechnął się nieco bezwstydnie Fenix - stosunki Joasia ma bez zarzutu!

Tuptuś zganiał go wzrokiem i dopiero teraz sięgnął po swój koniak.

- Fenixie - powiedział uroczyście. - Moja kolej. - I upił nieco ze znużeniem.

Fenix jednak zamiast na przyjaciela, patrzył niespokojnie na salę, szukał wzrokiem Poli; nie mógł się skupić. Tuptuś kontynuował, coraz bardziej ścisząc głos:

- To, że wiążemy jakoś koniec z końcem i przy okazji bohatersko zaopatrujemy stolicę w żywność, to, że wielu warszawiaków choć tego nie wie, zawdzięcza nam życie, bowiem ratujemy ich od strasznej śmierci głodowej, to jedno. A drugie, że czas przejść do walki na cichym froncie.

- Co mówiłeś? Nie usłyszałem - przerwał mu Fenix i w tej samej chwili wypatrzył Polę przy stoliku w odległym kącie sali.

- Na cichym froncie - szeptał Tuptuś. - To znaczy dostaliśmy zaszczytne zaproszenie do konspiracji. Rozumiesz? - mrugnął do Fenixa.

Fenix nie widział i tego; denerwował się, bo miał wrażenie, że Pola rozmawia z jakimś gościem, i to wcale niemłodym, zbyt poufale. Nie mylił się, dziewczyna śmiała się do siwego faceta i zalotnie przekrzywiała głowę.

- Tak, rozumiem - potwierdził Tuptusiowi mechanicznie. - I co dalej? Ile z tego wyciągniemy?

- Jeśli chodzi o zagrożenia - wolniutkim szeptem snuł Tuptuś, a Fenix nie słuchał go, tylko z całych sił starał się zrozumieć, o czym tak beczelnie i wesoło Pola rozmawia z klientem - to wiadomo, że za konspirację wyciągniemy więcej niż przy szmuglu. Pawiak i kara śmierci, na początek. Ale na polecenie Londynu powstaje całe podziemne państwo polskie, i ty, Fenixie, i ja, mamy w nim swoje miejsce. Zgadzasz się?

Fenix wyprostował się gwałtownie, bo Pola, z wciąż jeszcze radośnie roześmianą twarzą, odeszła od stolika siwego mężczyzny i szła ewidentnie ku nim. Chciał ukryć przed kelnerką swe wzburzenie, więc całą uwagę zwrócił na Tuptusia.

- Co mówiłeś?

- Pytałem, czy się zgadzasz - uroczyście oznajmił Tuptuś.

- Oczywiście, przyjacielu!

Pola zatrzymała się przy stoliku obok, mężczyzna od nerwowej kobiety z pakunkiem regulował rachunek. Zerknęła przelotnie na Fenixa. Zobaczył to i natychmiast zwrócił się ku niej tym lepszym, dla swego nosa, profilem.

- Możemy panią prosić? - zapytał głośnym i głębokim, z pozoru niedbałym tonem.

- Zaraz podejdę - kiwnęła głową obojętnie. Tuptuś potrząsał dłonią Fenixa uradowany.

- Znakomicie. Wiedziałem, że się na tobie nie zawiodę.

Pola podeszła do nich z rachunkiem i Tuptuś zerknąwszy jej przez ramię na kwotę, dopytał:

- Ty płacisz?

Fenix wyjął gruby portfel, spojrzał na Polę, czy widzi. Ona jednak zamiast podziwu, uznania i szacunku obdarzyła go pogardliwym wyděciem najpiękniejszych na świecie ust. Tuptuś dostrzegł przykrość, jaką sprawiła przyjacielowi, i postanowił coś dla niego zrobić.

- Panno Polu - powiedział po swojemu, wolniutko. - Czy panna obecnie występuje w jakimś dobrym przedstawieniu? Czy mogłaby nam pani coś polecić?

- Grlaski fikają nogami każdej nocy w „Adrii”, dla Niemców i Polaków, którzy nie wstydzą się kolaborować z wrogiem - wyniośle odpowiedziała Pola. - Jak miemam, panowie takich podniet szukają i z tego, co widzę, stać panów.

- A pani lubi tańczyć? - flegmatycznie drążył Tuptuś, jakby nie usłyszał obelgi. Poczerwieniały ze wstydu Fenix schował portfel i milczał.

- Owszem, ale jeżeli nawet zdarzyło mi się w zastępstwie koleżanki - mówiła z naciskiem, celowo nie patrząc na Fenixa - tańczyć w trykocie w Roxy i jej drużynie, to nie dlatego, by pokazywać swoje wdzięki, ale by zarobić na studia aktorskie w „Reducie”. Panowie tego jednak nie potrafią zrozumieć, bo bogaty szemrany bokser nie jest w stanie wczuć się w sytuację biednej, ambitnej dziewczyny z prowincji! - skończyła z wyrzutem, obrzydzeniem nawet. Zdawała się bliska łez. Wzięła pieniądze położone przez Fenixa i starannie, co do złotówki, wydała resztę.

- Mam nadzieję, że panom smakowało - powiedziała służbowym głosem i uśmiechnęła się równie służbowo. Odeszła.

- Ambitna, porządna i uczciwa - zawyrokował Tuptuś i poklepał Fenixa po ramieniu. - Nie masz szczęścia, stary.

Zaczęli się zbierać. Fenix po chwili wahania zostawił jednak na stoliku całą resztę, która miała być sowitym napiwkiem Poli.

- Dzisiaj wieczorem u mnie w domu - powiedział Tuptuś - mamy spotkanie w tej sprawie, o której mówiłem.

- W jakiej sprawie? - oprzytomniał Fenix, patrząc to na Tuptusia, to na zostawiony przez parę ze stolika obok pakunek. - Dziwne, tak im na nim zależało. - Wzruszył ramionami. - To w jakiej sprawie?

- Konspiracyjnej - wyszeptał Tuptuś, a głośniej dodał, patrząc na Polę, która mignęła im w głębi sali: - Wystrzałowa dziewczyna.

Fenix ponuro pokiwał głową i tym razem zręcznie wyminął wiszący na krześle

pakunek.

*

Obóz szkoleniowy w Coëtquidan, Francja. Początek 1940 roku

Bracia Zub-Zdanowicze piją wino w wojskowej kantynie.

- Za udaną podróż! - uniósł szklankę Wiktor.

- Za Włochy i Mussoliniego, który zafundował nam bilety kredytowe do polskiej armii! - dokończył Dor.

Saper parsknął śmiechem.

- Nie wylewaj wina, chłopcze. - Udał powagę starszy Zdanowicz.

- Wojna okazała się czasem paradoksów. Skoro można było dojechać pociągiem na wojnę, na koszt sojusznika Hitlera, żał nie skorzystać. Koleje włoskie nie są takie złe.

- Bileterki też niczego sobie! - wypił zdrowie pięknych Włoszek Wiktor. - Komu mamy przekazać te bilety kredytowe?

- Nie czytałeś awiza? „Państwo Polskie zapłaci po skończonej wojnie”.

- No to za przydziały! - uspokoił się Wiktor i wzniósł kolejny toast.

- Za przydziały! Kto wie, kiedy się teraz spotkamy. Ty pójdziesz grzecznie do saperów, a ja...

- A ty jak zawsze zostaniesz żandarmem!

Dor poruszył gniewnie rozciętą na pół lewą brwią. Po przedarciu się do Francji walczył jak lew o przydział do Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich i dostał go. Ale w brygadzie znów mianowano go dowódcą plutonu żandarmerii i szefem ochrony sztabu. Miał natrętne przeczucie, że się nie nawalczy.

- Dziwna ta wojna - pociągnął mały łyk ze szklanki, bo wina też nie lubił.

- Za to Francuzki jak laleczki! - zaśmiał się Wiktor. - Wiesz, jak jest „saper” po francusku?

- Saper, miner, inżynier. Uczyłem się francuskiego dłużej niż ty, geniuszu.

- Ale wymowę masz fatalną. Mów po francusku: sapeur, mineur, ingénieur, rrr...

- Schowaj język, jesteś obsceniczny. Pirotechnik! - prychnął pogardliwie Dor.

- A, technikę pana Wiktora też bardzo chwała! Victorieux!... Zobacz, jak je rozbrajam.

- Wiktor chciał chwycić brata za guziki na wojskowej kurtce, ale ten mu przerwał.

- Zabieraj łapy! Będę w ochronie Naczelnego Wodza podczas defilady, sztandar nam będą wręczać - powiedział niewesoło.

- Pozdrów generała Sikorskiego od nas. Powiedz, że saperzy nie potrzebują sztandaru. Pot, łzy i druty naszą dewizą. Dobra, nie wkurzaj się na mnie. Daj pyska, bracie, bo kto wie,

czy i kiedy się jeszcze spotkamy. Wy jedziecie do Malestroit, my gdzieś pod Paryż. Masz rację, dziwna ta wojna. Jakaś taka spacerowa, bym powiedział. W elegancko odprasowanych mundurach i tak dalej. Nudna.

- Wiesz, Wiktor, chwilami mam wątpliwości. Gnaliśmy tu na złamanie karku. W Polsce był kocioł, pamiętasz, jak dwa dni leżeliśmy w krzakach, bo nie było jak uciec? Z jednej Niemcy, z drugiej Sowietów, strzelali do ludzi jak do kaczek. A potem? Już na Węgrzech w więzieniu częstowano nas szampanem. Kabaret czy co?

- Nie załamuj się. Jeszcze sobie powalczymy.

Miesiąc później Dor właśnie z taką nadzieją słuchał komunikatu o ataku Niemiec na Norwegię. Z jeszcze większą drugiego, o udzieleniu Norwegom wsparcia przez Francję i Wielką Brytanię. Zaraz po tym jego żandarmom przydzielono piękne nowe motocykle. Z entuzjazmem ładował je na transportowiec „Chenonceaux”, którym Brygada Strzelców Podhalańskich pod osłoną francuskich i brytyjskich niszczycieli płynęła do Norwegii. A jednak po zacumowaniu na wyspie Hinnoy, gdy tylko generał SzyszkoBohusz powierzył mu funkcję oficera kwaterunkowego, jego zapał ostygł. Bo poza dozorowaniem wyładunku z transportowca, wartowniczą służbą żandarmerii i organizacją stanowiska dowodzenia dla generała nie działo się nic. Podhalańczycy sfrustrowani. Meldował:

- Trzy samouszkodzenia, jedno zbiegostwo, jedno samobójstwo, dwie grabieże.

- Grabieże czego? - dopytywał dowódca, jakby to miało znaczenie.

- Alkoholu. Piją, bo czują się niepotrzebni. Dowódca unikał jego wzroku. Sam się tak czuł.

Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy alianci zaczęli przygotowywania do bitwy o Narwik. Ale tylko dla podhalańczyków wysłanych do ataku na skalisty półwysep Ankenes. Gdzieś tu, niedaleko, w składzie Royal Navy, polskie niszczyciele ORP „Burza” i „Błyskawica” patrolowały fiordy. „Grom” zbombardowany, „Orzeł” zatopił niemiecki transportowiec i zaginął. ORP „Wilk” staranował niemiecki okręt podwodny. Działo się. Wojna na całego. Ale Dor, zgodnie z przydziałem, osłaniał sztab generała SzyszkoBohusza i mógł się napawać bitwą tylko przez pryzmat meldunków i rozkazów na stanowisku dowodzenia. W dodatku po fantastycznym zwycięstwie i zepchnięciu Niemców do Szwecji przyszła decyzja aliantów.

- Wycofujemy się - beznamiętnym głosem oznajmił SzyszkoBohusz, oddając słuchawkę telefonu adiutantowi. - Generał Bethouart podziwia męstwo polskich żołnierzy i gratuluje wygranej, ale w tej chwili Norwegia przestała być priorytetem. Teraz liczy się obrona Francji. Niemcy dotarli do kanału La Manche, a w Dunkierce rusza ewakuacja wojsk

brytyjskich.

- Panie generale - odezwał się jeden z pułkowników spod Narwiku - skoro Brytyjczycy już się ewakuują z Dunkierki, to o jakiej obronie Francji mówimy?

- Taki dostałem rozkaz - twardo odpowiedział Szyszko. - A jak skończymy posiedzenie sztabu, to mogę panu prywatnie powiedzieć, co myślę.

Dor wściekły poszedł do swoich żandarmów i kazał przygotować motocykle do transportu.

Załadowali się na kuter, z niego na niszczyciela, potem na pełnym morzu przeszli na liniowiec transoceaniczny „Ormonde”. Pod osłoną alianckich okrętów wojennych dopłynęli do wybrzeża Szkocji. I tu nastąpiła kolejna runda, przy której brew Dora poruszyła się gwałtownie.

- Nie możemy wylądować brygady w Szkocji - oznajmił generał po powrocie z kolejnej interwencji. - Sprzeciw aliantów ze szczególnym naciskiem Francuzów. Obecność nasza tutaj jest niewskazana. Mamy rozkaz płynąć do Francji.

- Tam, skąd ewakuują się Anglicy? - upewnił się bezczelnie Dor.

- Tak, panie poruczniku Zub-Zdanowicz, właśnie tam. I niech pan nie rusza na mnie tą brwią!

- Proszę o wybaczenie. Taki się już urodziłem. A tak przy okazji: alianci mają świadomość, że cały nasz ciężki sprzęt został w Norwegii?

- Tak, poruczniku, mają. Przecież to był ich rozkaz.

Po tygodniu od wypłynięcia z Norwegii zawinęli do Brestu. Tak jak się domyślali, w porcie kłębił się tłum ewakuowanych na wyspy brytyjskich żołnierzy.

- Machają do nas? - spytał Dora młody podporucznik żandarmerii, gdy wpływali do portu. - Bo to raczej nie są znaki „uciekajcie”?

- A ty byś się nie cieszył, podporuczniku, gdybyś mógł wrócić do domu? Bierzemy beznadziejną zmianę, a oni wsiądą na nasz statek i spłyną na herbatkę o piątej.

- Ja nie mam domu, panie poruczniku. Niemcy mi go zbombardowali z ojcem, matką i czteroletnią siostrą.

- Przepraszam.

Takich jak ten młody mamy w brygadzie ponad połowę - pomyślał Dor. - Sieroty po Polsce, które nie mają dokąd wracać i nade wszystko na świecie pragną zemsty.

Ta druga, mniejsza część, to Polacy rezydenci francuscy. Dawna emigracja zarobkowa. Wcielono ich do polskich wojsk we Francji niemal na siłę i kontestują to na każdym kroku. Są sfrancuziali, niektórzy ledwie mówią po polsku i tylko patrzą, jak

czmychnąć z armii.

Mimo iż Anglicy się wycofywali, Francuzi uprosili generała SzyszkoBohusza, by podhalańczyków posłał na front. „Walka z niemieckim agresorem!” - krzyczeli. I generał zgodził się, bo nie bardzo miał wyjście, ale wraz z resztą sztabu trafił go jasny szlag, gdy okazało się, że natychmiast po tym, jak Polacy zaczęli obejmować pozycje obronne, Francuzi błyskawicznie wycofali swoje własne wojska. Walka z niemieckim agresorem nie dla Francuzów. Nowym premierem pięknej Francji został marszałek Pétain.

- Obejmuje pan kontrolę żandarmerii nad ruchem w porcie - usłyszał rozkaz Dor. - I proszę uważać, bo włóczą się tam bandy pijanych żołnierzy francuskich. Dezerterów, którzy porzucili oddziały i broń.

W przeciwieństwie do dezerterów, którzy porzucają Francję w majestacie prawa - skomentował w myślach Dor, ale nic nie powiedział. Przecież dowództwo też musiało wiedzieć, że dzielny Pétain poprosił Berlin o zawieszenie broni.

Po kilku godzinach były nowe wieści z dowództwa:

- Posterunki będziemy pełnić tylko wtedy, gdy Francuzi dostarczą nam obiecaną broń i amunicję. Tym, co mamy, to sobie możemy miewy postraszyć.

Następnego dnia, zaraz po tym jak BBC nadało odezwę generała Charles’a de Gaulle’a wzywającą do „obywatelskiego nieposłuszeństwa” i kontynuowania walki, Dora i jego żandarmów rzucono do Plougastel, gdzie stacjonowała już część brygady ze sztabem. Rozkaz: powstrzymać falę dezercji wśród podhalańczyków rezydentów. Ale ci, którzy zdążyli uciec, mieli gdzieś wezwania de Gaulle’a. Poszli w jasną cholerę i szczerze mówiąc, pośród iście francuskiego burdelu, Dor nie umiał mieć do nich pretensji. SzyszkoBohusz pozwolił ich zwolnić do domów. A wieczorem stało się jasne, że Francuzi obiecaną broń podhalańczykom nie dadzą, bo zmierzają prostą drogą ku kapitulacji. Wobec tego generał nakazał ewakuację brygady do Anglii. Zub-Zdanowicz zabrał żandarmów i wrócił do Brestu.

- Nie możemy wpuścić uzbrojonych Polaków do portu - oznajmiły mu grzecznie francuskie władze, zamykając szlaban i ustawiając przed nim własnych żandarmów z bronią.

- Mamy rozkaz - nieustępliwie naparł na nich Dor.

- My również. Jeżeli złożycie broń, wpuścimy was. Ale motocykle muszą zostać przed szlabanem.

- Jaja sobie robicie z wojny?! - wściekł się Zub-Zdanowicz i odbezpieczył rewolwer, kierując go w pierś zagradzającego mu drogę francuskiego żandarma.

Ten zbladł, zaś jego koledzy zrobili to samo co Dor - wycelowali broń w podhalańczyków. Dor był wściekły, pomyślał szybko, że ginąć na francuskim szlabanie

portowym to byłby wstyd i porażka, ale zrobił kolejny krok naprzód, celując do Francuzów.

- To chociaż połowę broni... - szybko zaproponował wysłannik mera.

- Jedną czwartą i zabieramy nasze motory - utargował Dor i szlaban poszedł w górę.

- Zrzucajcie tylko te karabiny, do których i tak nie mamy amunicji - rozkazał po polsku swoim żołnierzom.

W porcie panował zgiełk i trudny do opisania ścisk. Przeważali cywile usiłujący dopchać się na jakikolwiek statek. Podhalańczycy nie mieli zapewnionego miejsca na żadnym z okrętów, rozkaz mówił wyraźnie: przedzierać się na własną rękę. Widząc ich z bronią, twardo rozpychających się motocyklami na nadbrzeżu, z brytyjskiego kontrtorpedowca „Broke” zawołał ku nim oficer:

- Polacy? Narwik? Zapraszamy do nas! Motocykle też!

Sprawnie załadowali się na pokład i w zamian za gościnę i transport do Anglii podjęli obowiązki wartownicze na „Broke”.

- Uważajcie, bo ci Francuzi są jacyś dziwni - powiedział Dorowi kapitan - wczoraj wrzucili nam na pokład odbezpieczony granat.

- I co?

- I nic. Marynarz kopnął go do wody. Nie wybuchł.

- Na pewno był francuski. Dlaczego nie odpływamy? Kapitan roześmiał się dyplomatycznie.

- Powiem panu później, obiecuję.

Następnego dnia wieczorem zaczęły się niemieckie naloty. W porcie zapanował jeszcze większy chaos. Mimo to kapitan tylko wycofał okręt za molo i nadal zwlekał z odpłynięciem. Dor stał na pokładzie, nasłuchując odległych odgłosów detonacji, kiedy zobaczył biegnącą ku nim grupę komandosów. Powiadomił kapitana. Ten uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- To nasi. Wbrew stanowisku Francuzów poleciłem im wysadzić w powietrze urządzenia portowe. Odpływamy!

Zub-Zdanowicz z ulgą odbijał od brzegów Francji. Nie stracili jej jeszcze z oczu, gdy natknęli się na francuski holownik ciągnący dwie łodzie podwodne. Kapitan „Broke” przez radio powiedział im, że Brest już w rękach niemieckich.

„Tak, wiemy o tym - brzmiała isticie francuska odpowiedź. - Płyniemy się poddać”.

„Nakazuję wam zawrócenie w kierunku Anglii i kontynuowanie walki pod rozkazami sił alianckich”.

„Odmawiamy. Chcemy się poddać”.

„Wobec tego poddajecie się mi”.

„Pan nam grozi, kapitanie?”.

- Wycelujcie w nich działa! - krzyknął kapitan i kazał nadać przez radio odpowiedź:

„Tak. Aresztuję obie łodzie i holownik”.

- O la la! - zakończył Dor.

- Jak znam Francuzów, to jeszcze nie wszystko - powiedział kapitan i miał rację.

Obrażone zaaresztowane łodzie podwodne i jeszcze bardziej obrażony holownik owszem, zawróciły, ale sabotowały rejs żółwim tempem. „Broke” krążył wokół nich, strasząc wycelowanymi działami.

- Teraz rozumiecie, dlaczego tak ich nie lubimy? - mówili Polakom Anglicy.

20 czerwca dobili do Plymouth. Brytyjczycy przyjęli rozbitków serdecznie i już dwa dni później podhalańczycy byli przetrzuceni do Szkocji i zakwaterowani pod Glasgow.

- Co tu, u licha, ma być, panie poruczniku? - spytał podwładny Dora, patrząc na zielone błonia, które wyznaczono im na miejsce pobytu.

- Amfiteatr. Nie marudzić, dostaliśmy namioty. Lato w Szkocji jest piękne. A to teren wystawy światowej.

- Z którego roku?

- Sprzed wojny. - Zamknął dyskusję Dor.

Nie było dobrze. Było fatalnie. Podhalańczycy, którzy bohatersko walczyli o Narwik, nie mogli przeżyć porażki Francji i upokorzenia chaotycznej ewakuacji. A kiedy jeszcze dołączyli do nich przewiezieni bezpośrednio z Norwegii szeregowi mulnicy, zaczęły się prawdziwe kłopoty. Większość z nich to byli francuscy rezydenci, tacy jak ci, których generał pozwolił we Francji wypuścić do domów. Nie mogli odżałować, że im taka szansa umknęła sprzed nosa.

- Żądamy przeniesienia nas do oddziałów Wolnych Francuzów! - oznajmił ich prowodyr, sierżant zwany Monsieur Kapusta. - Czujemy się Francuzami i chcemy walczyć pod generałem de Gaulle'em.

Za pierwszym i drugim razem dowództwo brygady próbowało z nimi negocjować. Monsieur Kapusta namówił kamratów mulników i zaczęli ostentacyjnie mówić wyłącznie po francusku. Owszem, szeregowi podhalańczycy ich nie rozumieli, ale kadra oficerska rozumiała doskonale. Gdyby jeszcze mieli jakiekolwiek zadania bojowe, byłaby szansa rozładowania napięć, ale pozbawiona zajęcia armia psuła się od ogona.

- Poruczniku Zub-Zdanowicz. Pańscy żandarmi to jedyny oddział, który nie uległ rozkładowi. Liczę, że z pana stanowczością i talentem do ludzi poradzi sobie pan i z

dyscypliną wśród mulników. Ten Sałata działa całemu sztabowi na nerwy.

- Kapusta - poprawił przełożonego Zdanowicz.

- Tak, Kapusta.

- To rozkaz, panie pułkowniku? - upewnił się.

- Tak, ale taki, wie pan, niepisany. - Pułkownik znacząco przyłożył palec do ust.

- Rozumiem.

Talent do ludzi? - zastanawiał się Dor. - Ja mam talent do ludzi? Nie miałem pojęcia.

Dość szybko miał okazję się o tym przekonać, bo Monsieur Kapusta urządził wraz z mulnikami strajk. Nie wyszli na poranną zbiórkę.

- Melduję panie poruczniku, że leżą w namiotach, rzną w karty i grają na organkach.

- Co grają?

- Marsylianę.

Dorowi uniosła się brew.

- Pluton do mnie! - krzyknął do swoich żandarmów i po chwili wmaszerowali do namiotu mulników.

Na linie biegnącej przez środek namiotu suszyły się gacie. Szeregowcy leżeli na polowych łózkach, z ramionami założonymi pod głowy. Kilku rzeczywiście grało w remika. Na stołku pod suszącymi się gaciami siedział Kapusta i grał na organkach.

- Proszę natychmiast przerwać grę! - tonem żandarma powiedział Dor.

Kapusta zerknął na niego i grał dalej.

- Natychmiast przerwać grę! - powtórzył Dor głośniejszym głosem. Nic.

- Przerwać grę! - rozkazał po raz trzeci.

- O la la, jaki groźny... - szepnął złośliwie ktoś za plecami grajka, na co Kapusta zaczął głośniejszym głosem dmuchać w organki.

Dor błyskawicznie wyjął rewolwer i wymierzył w niego. Strzelił. Kapusta zląkł się i ruszył głową. Organki poleciały na ziemię, a kula utkwiła w policzku sierżanta. Mulnicy zerwali się z łóżek w jednej chwili i stanęli na baczność.

- Odprowadzić ранego do punktu opatrunkowego. A wy biegiem marsz na plac apelowy! - rozkazał Dor oniemiałym szeregowcom.

Ruszyli bez jednego słowa. Jęczącego Kapustę wyprowadzili żandarmi.

Może to i prawda, że mam talent do ludzi - pomyślał Dor - ale cierpliwości mi chyba brakuje.

- Poruczniku Zub-Zdanowicz - poprosił go do siebie dowódca.

- Rozformowują nas. Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich w obecnym

stanie kadrowym nie ma racji bytu. - Mina pułkownika sugerowała, że połknął żabę.

- Czy to ma coś wspólnego z moim talentem do ludzi?

- Hmm... - odchrząknął -...zatuszowaliśmy sprawę Kapusty. Na papierze pana interwencja nie wygląda tak drastycznie. Jako żandarm jest pan, jakby to ująć, bezwzględnie skuteczny. I respekt wobec pana zaczyna być wręcz przysłowiowy.

- To komplement?

- Hmm... w pewnym sensie. W każdym razie dowództwo jest panu zobowiązane, bo mulnicy chodzą jak w zegarku. I, tytułem awansu, po rozformowaniu brygady pozostaje pan dowódcą plutonu żandarmerii. W takim charakterze dostaje pan przydział do 3 Brygady Kadrowej Strzelców.

- Ale panie pułkowniku - Zub-Zdanowicz jęknął - ja nie chcę być żandarmem! Wnoszę o przeniesienie mnie do jednostki liniowej.

- Ależ pan jest urodzonym żandarmem! Pan ma talent.

- Ja mam masę nie odkrytych talentów, pułkowniku. Chcę walczyć. Zwariuję. Proszę o przeniesienie.

- Zgodnie z rozkazem Naczelnego Wodza przenoszenie między jednostkami jest zabronione. Musimy okiełznać chaos w wojsku. Pan, jako żandarm, powinien to najlepiej zrozumieć.

- Nie zawiedzie się pan na mnie, jako na żandarmie - powiedział jakimś zmienionym głosem Dor - ale jestem pewien, że za pół roku sam mnie pan będzie przenoślił na front w trybie pilnym.

- Pan mi grozi? - pułkownik niespokojnie spojrzał na poruszającą się rozciętą brew Zdanowicza.

Przenosili go z miejsca na miejsce, zgodnie z planem obrony Wielkiej Brytanii. Nie był lotnikiem. W podniebnej bitwie o Anglię nie było dla niego miejsca. Nie był też marynarzem, by wzięli go do walk o Atlantyk. W spisie kadrowym był żandarmem i pod koniec 1940 roku wylądował w małym górniczym miasteczku Cowdenbeath na wschodnim wybrzeżu Szkocji. Trwała wojna. Ojczyzna była pod okupacją niemieckosowiecką. A on i jego podwładni każdego dnia staczali bój na śmierć i życie z jednym jedynym wrogiem żołnierza, który rwie się do walki: depresją. Dor pisał listy do wszystkich kolegów będących w Anglii, szukając jakiegokolwiek jednostki, w której mógłby mieć gwarancję, że pójdzie na front. I jednocześnie wypełniał obietnicę złożoną pułkownikowi. Jako żandarm w Cowdenbeath był nienaganny. Był tak nienaganny, że aż nie do zniesienia. W sennym szkockim miasteczku przestępczość nie istniała. Ale on tropił ją bez wytchnienia. I znalazł.

Dwóch bigamistów i jednego ekskomunistę. Gdy zabrał się za pijaków, mer poprosił go do siebie i błagał, by „sir SuSanowisz” dał odetchnąć prześladowanym mieszkańcom. Porucznik żandarmerii był nieugięty. Wykrył pokątnie prostytutującą się kobietę, złodzieja rzepy oraz złośliwca, który wylewał mu mleko na wycieraczkę.

Pod koniec roku jeden z jego kolegów oficerów popełnił samobójstwo. Dostał wiadomość z Polski, że jego żonę rozstrzelano w ulicznej łapance, która była odwetem gestapo za odbicie więźnia. Polacy w Anglii żyli w schizofrenii. Wiedzieli, że ich rodziny codziennie zmagają się z prawdziwym obliczem wojny. Wiedzieli, że mimo klęski w bitwie o Anglię Hitler dusi kontynent. I codziennie powtarzano im, że dla dobra Ojczyzny muszą być posłuszni rozkazom, nawet jeśli, jak w przypadku Zub-Zdanowicza, były to polecenie utrzymania porządku w cholernie spokojnym miasteczku. Na początku 1941 roku po kolejnych interwencjach mera Dorowi odebrano dowództwo plutonu żandarmerii i przeniesiono w inne miejsce. Zasypywał dowództwo podaniami o zmianę przydziału. Aż w końcu mieli go dosyć i dopiął swego: dostał się do tak zwanej kanadyjskiej Brygady Kadrowej. Tam już czekał na niego Wiktor saper.

- Bracie! Nareszcie sobie powalczymy!

*

Piekary, wieś pod Piotrkowem, Generalne Gubernatorstwo. Połowa 1940 roku

- Stary! Z tymi papierami na kalekę to ty jesteś gość! Urządzony do końca wojny! Ileś za to zapłacił? - Bosman Grzmot, który z obozu uciekł wraz z grupą remontową, musiał co rusz zmieniać nazwiska, więc z zazdrością patrzył na Władka.

Bosman Władek Kołaciński - Marynarka Wojenna. W kampanii wrześniowej obrona Oksywia. Po wyjściu z obozu jenieckiego Stargard Pommern - inwalida wojenny.

- Własnym zdrowiem zapłaciłem - kaszlnął Władek, któremu dopiero po wyjściu z obozu zaczęła wychodzić bokiem kuracja tytoniowa doktora Gosiewskiego. - Co robimy?

- Jak to co? Konspirujemy!

- To jasne, ale pytałem o szczegóły. Jest jakaś organizacja? Jakies podziemne wojsko? Bo doktor mi mówił, że jest. Złożyłem nawet przysięgę.

- No to jak już przysięgałeś, to czego się pytasz?

- Doktorowi złożyłem obietnicę. Że w zamian za wyciągnięcie mnie z obozu wezmę się do roboty.

- Ach, to mogłeś tak od razu, a nie mnie tu kołujesz. Jest, organizacja jest. Ale na początek musimy ci wyrobić lewą kenkartę. Bo wiesz, jako inwalida jesteś w porządku, ale musisz gdzieś na niby pracować. Chociaż nie, może ty byś właśnie legalnie pracował?

Zastanowię się nad tym, a ty się zorganizuj, rozejrzyj po okolicy.

Pierwsze, o czym Władek dowiedział się po powrocie do domu, to że jego najstarszy brat, Józef, jest w Oświęcimiu.

- Wpadł za sabotaż na kolei - powiedziała Wanda, starsza siostra. Władek był najmłodszym z piątki rodzeństwa. Był jeszcze Ignac, lekarz, i Piotr, który zajmował się pozostałym po rodzicach gospodarstwem.

- I nie chcę cię martwić, ale mamy złą opinię u niemieckich władz - skończyła informacje Wanda. - Ignacego podejrzewają o potajemne leczenie rannych w akcjach dywersyjnych, choć jeszcze go nikt na gorącym uczynku nie złapał, Piotra o celowe zaniżanie kontyngentów dla Niemców, a mnie o tajne nauczanie młodzieży. Tylko ty jeden masz jeszcze nieskażoną opinię. Ale jeśli chodzi o robotę, to przewiduję kłopoty, bo koleżanka, która pracuje w gminie, słyszała, jak wójt się odgrażał, że zniszczy całą naszą rodzinę. Darł się ponoć, że tak da popalić Kołacińskim, iż odechce się nam Polski.

- Co to za wójt, że nas tak wyzywał? Stary Nowacki?

- Braciszku - Wanda uśmiechnęła się do niego smutno - stary Nowacki nie żyje. Teraz jesteśmy w Generalnej Guberni i mamy wójta Niemca. Mayer. Nazywa się Mayer.

Rekonesans po wsi także nie wypadł pomyślnie, bowiem pierwszą rzeczą, którą Władek zobaczył, była Kasiulka, córka chrzestna jego brata Józefa. Kasiulka, która prowadziła się z niemieckimi żołnierzami. Poszedł do gospodarstwa jej rodziców i złapał pannę wieczorem za stodołę.

- Jak ci nie wstyd? To twój ojciec chrzestny w obozie koncentracyjnym siedzi, a ty się z wrogiem zadajesz?

- Puść mnie! - syknęła poczerwieniała Kasiulka. - Ja tylko...

- Co? W kontaktach z wrogiem nie ma „tylko”. Jest albo, albo.

- Albo co? - beczelnie odpowiedziała dziewczyna. - Wróciłeś z wojny i ci się wydaje, że możesz mi mówić, jak mam żyć? A co ty wiesz o życiu młodej dziewczyny na wsi? Co?

- To wiem, że puszczać się z Niemcem to zdrada.

- Hans nie jest Niemcem. Jest Austriakiem.

- Jest najeźdźcą. Nie rozumiesz tego? Wbij sobie do głowy, pannico, że jeśli jeszcze raz cię zobaczę ze szkopem, to popamiętasz!

- Puszczaj!

- Ja cię teraz puszczę, ale biada, jeśli ty się będziesz puszczała!

Kasiulka odbiegła w mrok podwórza i gdy była już poza jego zasięgiem, zagrała mu na nosie i krzyknęła:

- Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić!

Władek tłukł się po gospodarstwie rodziców. Na rolnika zadatków nie miał. Wójt Mayer skutecznie dbał, by żadnej pracy w okolicy nie znalazł. Kasiulka nadal się puszczała, a Grzmot przepadł jak kamień w wodę. Kiedy się wreszcie zjawił, Władek rzucił się na niego:

- Muszę coś robić, bo zwariuję. Gdzieś ty był?

- Zadania w terenie. Wiesz, konspiracja.

- Ja też chcę. Ani dnia dłużej bezczynności nie zniosę.

- Uspokój się, bo rzucasz się jak żbik - zażartował niepotrzebnie Grzmot. - Zabieram cię dzisiaj na nasze spotkanie.

- Będę żył! - odetchnął z ulgą. - Co to za organizacja?

- Narodowa.

- Domyślałem się, że nie niemiecka. U czubków byłem tylko trzy dni, nie straciłem głowy.

- Narodowa, w sensie, że „narodowców”.

- A! - zrozumiał Władek. - Moi rodzice byli za Piłsudskim i sanacją, przeciw endecji, trzej starsi bracia w legionach. Ale ja jestem apolityczny. A są jeszcze jakieś inne? - zawahał się chwilę.

- Jest Związek Walki Zbrojnej, sanacyjny, rządowy, ale u nas w powiecie działają bardzo słabo. Jest chłopska Chłostra. I komuniści też coś już mają.

- Nie, za komunistów dziękuję. Idę z tobą. Przyjmą mnie?

- Z otwartymi ramionami. Zrobiłem ci rekomendację bohatera wojennego, poza tym wiesz, oficerowie są wszędzie mile widziani... - nim bosman skończył, Władek rzucił mu się na szyję.

- Daj spokój, udusisz mnie - jęknął Grzmot. - Na początek będziesz montował sekcje w terenie.

- Co to jest? - skakał podekscytowany jak dziecko Władek.

- Nasze najmniejsze komórki, no wiesz, sześć plus jeden. Zresztą, wtajemniczą cię w robotę na spotkaniu.

- Sześć plus jeden równa się siedem! Moja szczęśliwa liczba!...

- No i pomyśl o pseudonimie. Choć kiedy widzę, jak się rzucasz, to samo się nasuwa...

- Żbik?! Pasuje mi. Z pazurem!

Wieczorem tego samego dnia złożył przysięgę.

...Bogu i tu obecnym, poświęcić swe siły, majątek, a nawet życie w walce z najeźdźcami i odbudowie Niepodległej Polski Narodowej.

Przysięgam tajemnic organizacyjnych wiernie dochować i rozkazy przełożonych ściśle wykonywać. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Męka Jego. Amen.

- Witamy w Narodowej Organizacji Wojskowej, bosmanie Żbik.
- Uścisnął mu rękę porucznik Jastrzębiec.

Część III

KONSPIRA

Restauracja „Maxim”, plac Napoleona, Warszawa, Generalne Gubernatorstwo. Jesień 1940 roku

Przy fortepianie wirtuoz w nienagannym garniturze. Z semicką melancholią gra szlagiery Fogga. Ruch. Wszystkie stoliki zajęte. Fenix i Pola szepczą namiętnie i śmieją się. Na oparciu krzesła przy sąsiednim stoliku paczka, która znów może być bombą. W restauracji sporo podobnych paczek, choć mogą w nich być i książki i cokolwiek innego. Na jednym z krzeseł fagot bez futerału.

Fenix - lat 27. Przedwojenny bokser Żydowskiego Klubu Sportowego „Makkabi”. W kampanii wrześniowej „porucznik Fenix”. Obecnie konspirator, co nie przeszkadza mu w posiadaniu udziałów w spółce zajmującej się szmugłem żywności oraz sklepie z antykami, który jest przykrywką do handlu dziełami sztuki. Ciemnowłosy. Melancholijną urodę włoskiego amanta psuje nos, nadmiernie spleaszczony.

Pola - lat 23. Aktorka. Kochanka Fenixa. Dzięki niemu już nie musi być kelnerką. Nie orientuje się w konspiracyjnej działalności ukochanego, myśli, że Fenix jest wyłącznie człowiekiem interesu. Szatynka, nadzwyczaj zgrabna i łudząco podobna do Lody Halamy.

-...jest zimno i potrzebujesz futra. Nie może tak być, by mojej dziewczynie było zimno.

- Fenix, jesteś dziecinny! Dzisiaj futra noszą tylko niemieckie kurwy i kolaborantki! Jak ty to sobie wyobrażasz? Tylko dlatego, że chcesz sprawić mi prezent, narazisz mnie na szykany? W jakim świecie ty żyjesz?

- No to sprawię ci futerko futerkiem do środka! - Fenix miał minę chłopca, który spletał figla.

Pola pokręciła głową z dezaprobatą.

- Znów zapomniałeś powiedzieć wykidajle - z wyrzutem usłyszeli nad sobą powolny głos - że ja przyjdę i że jest dla mnie miejsce przy stoliku... - Tuptuś nagle orientuje się, że stół jest dwuosobowy i miejsca nie ma.

Tuptuś - Kazio Komorowski, krewny BoraKomorowskiego, późniejszego dowódcy Armii Krajowej. Przyjaciół i wspólnik Fenixa. Jego przełożony w konspiracji.

- O, dobrze cię widzieć, Kaziu! - Pola wita się z Tuptusem serdecznym pocałunkiem.
- Ja już zmykam, mam próbę w teatrze!

Pola okręca się, całuje Fenixa w czoło i wybiega.

- W teatrze? - krzywi się Tuptuś. - Chcesz powiedzieć, że twoja dziewczyna jest kolaborantką, która gra dla Niemców?

- Przeciwnie. Moja dziewczyna jest tak antyniemiecka, jak tylko może być prawdziwa Polka. Nawet futra nie chce nosić. Obawiam się, że niedługo odmówi też pończoch, uważając je za niewłaściwy w czasie okupacji zbytek! - Fenix skrzywił się. - Gra na tajnej scenie. Wiesz, patriotyczne przedstawienia z widownią na pięć osób.

- O, to się chwali. Może byśmy poszli?

- Potrzebujesz Kordiana, żeby się zagrzać do walki? Mnie wystarczy wódeczka. A Polę wolałem w wersji rewiowej, wiesz, Roxy i jej drużyna, trykociki, obcasiki, ale, jak sam kiedyś powiedziałeś, nie mam szczęścia i trafiła mi się ambitna dziewczyna. Po wódeczce?

- Ty stawiasz?

- Jak zawsze.

- To może i coś przekąsimy przed akcją?

*

Pola wyszła z „Maxima” i owinąwszy się zbyt cienkim płaszczem, szła, stukając obcasami po zmarzniętym chodniku. Zatrzymała się przy kiosku z gazetami. W ogonku stały cztery osoby. Ostatnia z nich, młody mężczyzna w samochodowej kurtce, bryczesach i oficerkach, trzymał w ręku paczkę, do złudzenia podobną do tych, których pełno było w knajpie.

- Czy mogę prosić o ogień? - zapytała go.

- Przepraszam bardzo, palę tylko fajkę - odpowiedział.

Pola spojrzała na niego niepewnie. Zreflektował się, zaczerwienił i powiedział jeszcze raz:

- Bardzo przepraszam, jak jest zimno, palę tylko fajkę.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się z ulgą. On zaś z zakłopotaniem odstawił pakunek tuż przy jej nodze. Kolejka przesunęła się i ktoś zza pleców Poli krzyknął:

- Się do pięknej pani nie mizdrzy, tylko posuwa! Piękna pani takich rumianych chłoptasiów nie pyta, ja mam ogień i chętnie odpalę! - jegomość w brudnym szaliku szarmancko podawał jej ogień. - Dla pani Lody wszystko!

Pola zręcznie przesunęła paczkę czubkiem buta, a facetowi w szaliku posłała uśmiech Halamy. Poprosiła o gazetę i odchodząc od kiosku, zabrała ze sobą paczkę. Nie rozglądając się na boki, szła pewnie przed siebie. Po chwili dogonił ją ten w szaliku.

- Może pomogę? - uśmiechnął się, pokazując dziurę po dolnej czwórce, i wyciągnął

rękę w stronę paczki.

- Może nie. - Wciąż jeszcze grzecznie odpowiedziała Pola.

- Pani Lodo, ja dla pani bym wszystko...

Pola zatrzymała się gwałtownie i uśmiechnęła:

- Obiecuję pan?

- Tak!

- To spadaj, frajerze, i niech więcej nie widzę twojej szczerbatej gęby! - syknęła.

Okrągła twarz wydłużyła się i oparła na szaliku.

- Patrzcie ją! - prychnął. - Myśli, że jak podobna do Lody Halamy, to może proletariatem poniewierać!

Rozejrzał się, szukając sojuszników, ale ponieważ zza rogu wyszło dwóch granatowych policjantów, wbił pięści w kieszenie i odszedł skąd przyszedł.

Pola szła dalej, zręcznie mijając ludzi. Zatrzymała się przed jedną z bram i udając, że poprawia pantofel, rozejrzała się, czy nikt jej nie śledził. Weszła w bramę. Na schodach nie stukwała obcasami. Zapukała do drzwi z tabliczką, na której wydrapano dawne nazwisko i pozostał tylko napis „dentysta”.

Otworzył jej brunet w niechlujnym swetrze. Ten od lewicy nauczycielskiej z Biłgoraja.

- Wszystko w porządku? - zapytał, odbierając paczkę.

- Tak, Janku, tak. Pozdrów Jakuba. Będę w czwartek. Wyszła z powrotem na ulicę i rozmyślała się w tłumie.

*

Fenix i Tuptuś siedzieli przy stoliku z pozoru pogrążeni w wesołej pogawędce. Każdy z nich kontrolował inną część sali. Lokal, który nie był „nur für Deutsche”, w miarę upływu wieczoru wypełniał się szemranym towarzystwem. Niemieccy oficerowie w towarzystwie pięknych kobiet. Niemieccy oficerowie w towarzystwie innych niemieckich oficerów. Urzędnicy. I kwiat warszawskiej szulerni, mężczyźni o zapitych oczach, rozpoznawalni po wywatowanych ramionach drogich marynarek. Melancholijnego wirtuoza fortepianu zastąpił wirtuoz gwizdania szlagierów. Właśnie skończył numer i kłaniał się publiczności.

- Brawo, Aleksander! - zerwał się Fenix, wywołując nieliczne z początku oklaski wśród biesiadujących.

Aleksander Łapuszek - artysta kabaretowy specjalizujący się w wirtuozerskiej grze na harmonijce ustnej oraz pokazach gwizdania. Przed wojną jedna z gwiazd wytwórni płytowej Syrena Elektro. Współpracuje z konspiracją.

- Brawo, Aleksander! - Fenix, który od niedawno stał się kierownikiem artystycznym Łapuszka, dbał o interesy podopiecznego. Rozejrzał się po sali. Przybywało samotnych oficerów Wehrmachtu. Dał więc artyście znak, że czas na „polkę zwierzynięcką”, dla rozruszania. Wszystko było dopracowane jak w szwajcarskim zegarku. Kelnerzy od chwili gdy zabrzmiała polka, lali Niemcom nieco więcej wódki.

Z garderoby wyszły fordanserki i światła na sali skierowały się głównie na nie, zostawiając w lekkim półmroku stoliki. Fenix omiół swą część restauracji gospodarskim okiem. Wszystko gra. Po chwili przytłumione śmiechy przy niemieckich stolikach były sygnałem, że czas na Piccolo walc i dziewczęta.

Łapuszek zręcznie przeszedł jednym akordem na harmonijce ustnej ze skocznej polki do nastrojowego walca, a zza kontuaru, w jego rytmie, wyłoniła się Lusia. Fordanserki tańczyły. Lusia w niemożliwie wydekoltowanej sukni, o wciąż zsuwającym się ramiączku, przeszła krokiem profesjonalistki przez salę, pozdrawiając od niechcienia jednych niemieckich oficerów, a omijając innych. W padającym na nią bokiem świetle reflektorów wyglądała jak lwica. Każdy z siedzących przy stolikach Niemców wykręcał głowę, by móc na nią patrzeć dłużej. Bardzo jasna karnacja, idealnie blond włosy, oczy nadzwyczaj niebieskie, wszystko to czyniło ją kobietą pożądaną przez germańskich chłopców.

- Co ona robi? Sturmbannführer Handke jeszcze nie przyszedł, a Lusia już wyszła na łowy? - Tuptuś zaniepokoił się.

- Wszystko pod kontrolą - mrugnął do niego Fenix. - Opracowałem z naszą Matą Hari nowy system. Patrz i ucz się, jak się zarządza zespołem!

Na salę zdecydowanym krokiem wszedł Sturmbannführer Pauler znany z tego, że przed wojną rywalizował na wyścigach konnych ze Sturmbannführerem Handke. Pauler rozejrzał się po sali i skierował energicznie do baru. Lusia znalazła się tam także. Pauler zamówił, kelner podał mu kieliszek. Pauler zauważył Lusię, której znów zsunęło się ramiączko. Zamówił drugi kieliszek i ruchem głowy pokazał kelnerowi, że to dla damy. Dama spojrzała na niemieckiego majora. On przesiadł się do niej i w tej samej chwili na salę wszedł oczekiwany przez Tuptusia i Fenixa bohater wieczoru, Sturmbannführer Handke. Łapuszek z harmoniki wydusił waleczne tango. W jego rytmie Handke, który jak można się było spodziewać, będzie rywalizował o dziewczynę rywala, stawiał przed Lusią puchary wymyślnych deserów. Gdy niezawodny Łapuszek przeszedł do walca wiedeńskiego, Handke w towarzystwie zdobytej przy barze Lusi udawał się do zacisznego stolika w głębi sali. Fordanserki też miały przerwę, więc, niczym ptaszki, rozbiegły się między stolikami, przysiadając na kolanach niemieckich oficerów.

Jeden z warszawskich szmuglerów, gruby Ed, próbował zaczepić którąś z dziewcząt, ale Fenix interweniował błyskawicznie.

- Panie są w pracy. Łapy przy sobie.

- Ja chętnie zapłacę! - roześmiał się spocony Ed. - Ile pan alfons życzy?

Fenix prócz boksu trenował i zapasy. Pochylił się nad grubym Edem nisko i obejmując go za szyję, szepnął:

- Nie będę cię bił, ale będę dusił. Jak mówię, że panie są w pracy, to znaczy, że wykonują moje polecenia, nie twoje. A jeśli ci się wydaje, tłusciochu, że państwo podziemne nie zna twych zapapranych interesów z gestapowcami, to jesteś w błędzie. Mylisz się także, sądząc, że nie znamy wszystkich pięciu twoich melin. Więc bądź grzeczny i nie fikaj. Ed zacharczał z nosem w śledziu i cebulce. Fenix spokojnie wrócił na miejsce.

- Wszędzie chamstwo! - sapnął do Tuptusia, siadając.

- Słuchaj, kierownictwo chce, abyś nawiązał kontakt z granatową policją. Musimy mieć wśród nich zaufanych ludzi i to szybko. - Pojęcie „szybko” w ustach cedzącego słowa Tuptusia brzmiało zawsze wyzywająco. - Najlepiej, by to był ktoś w stopniu kapitana, bo jest szansa, że będzie wiedział o akcjach okupanta w mieście. Organizacja ponosi coraz większe straty w wyniku...

- Czekaj, bo zaraz my poniesiemy straty! - przerwał mu Fenix, niespokojnie patrząc na stolik w świetnym punkcie niespodziewanie zajęty przez nieznanego mu mężczyznę w garniturach. Z pewnością to nie byli Niemcy.

- Spokojnie, spokojnie. To nasi - uciszył go Tuptuś. - To znaczy, nie do końca nasi, ale też z konspiracji.

- No to się zdecyduj, mam ich bić, wyrzucić czy zasalutować. To stolik, przy którym zwykle siada ten tajniak gestapo, wiesz, Chudy Blady.

- Chudy Blady nie pojawia się od tygodnia, a chłopaki są z Zetjotu.

- Nie znam - zdziwił się i skrzywił nieufnie Fenix. - My jesteśmy SZP.

- Nie, nie. My teraz jesteśmy ZWZ, bo się Służba Zwycięstwu Polski przekształciła w Związek Walki Zbrojnej. A to są narodowcy.

- A, NOW. Kapuję.

- Nie, nie, nie kapujesz - cierpliwie dukał Tuptuś. - Narodowa Organizacja Wojskowa to jest dawna endecja. A Zetjoty to dawny ONR.

- Aha, aha. - Dalej nie rozumiał Fenix i uważnie obserwował obcych. Zachowywali się porządnie. Na razie.

- Ale oni nam podlegają? - upewnił się po chwili.

- Nie, nie podlegają. Czasami współpracujemy, staramy się sobie w drogę nie wchodzić. Zetjoty mają dobry wywiad zachodni, to ci powiem.

- Aha, aha. To zapamiętam. Czyli mamy się dzielić rewirem? - nie był zachwycony.

- Nie, dziewczyny są nasze, Łapuszek twój, a knajpa miejsce publiczne. Każdy konspirator ma prawo tu działać, ku chwale Ojczyzny.

- Ale ONR to ja nie lubię - otwarcie wypalił Fenix.

- Oni pewnie ciebie też - przyznał Tuptuś filozoficznie. - Ale zawsze lepsi narodowcy niż komuniści, między nami mówiąc.

- Znałem jedną komunistkę - pochwalił się Fenix. - W łóżku fantastyczna, ale jako kobieta to nie tego... Wolę normalne dziewczyny. To jak oni się nazywają?

- Związek Jaszczurczy. Zetjoty.

- Bardzo ładnie - zaśmiał się Fenix i mimo półmroku na sali zauważył coś jeszcze: - Przyznasz, że ten jeden jaszczurka to bardzo czarniawy.

Tuptuś zmierzył Fenixa krytycznym wzrokiem.

- Jak na narodowca... - wytłumaczył się Żyd, bokser. - No dobra, my tu gadugadu, a ja muszę na obchód, bo mi dziewczyny zmarzną.

Ruszył do garderoby, idąc poza zasięgiem głównych światel, tak że właściwie był niewidoczny. W garderobie było pięć z dziewięciu fordanserek.

- Witam moje panie! - uklonił się grzecznie. - Gdzie reszta pięknych dam?

- Lola i Zizi poszły na solo, Karina jeszcze na kolankach, a Evita ma rozwolnienie.

- Coś poważnego? - zaniepokoił się Fenix.

- Nie, szefie, wszystko w porządku! - Evita weszła właśnie do garderoby. - Kelner dał mojemu Niemcowi bigos z tego lewego kotła i mnie się sięgło. Nic takiego, ryzyko zawodowe.

- Masz tu węgiel - Fenix miał w kieszeniach różne rzeczy - połknij, żeby cię nie goniło. Praca czeka, wieczór się dopiero zaczyna. Co dla mnie macie?

Dziewczyny dały mu kawałki wosku z odcisniętymi kluczami. Fenix metodycznie je opisał, by nie pomylić próbek. Robiły odciski w czasie obściskiwania się z Niemcami; klucze były zawsze potrzebne.

- Papierów żadnych? - trochę był rozczarowany, gdy dały mu wszystko.

- Nie, nic. Może Lola i Zizi coś przyniosą.

Wszelkie notatki z kieszeni niemieckich oficerów były cenne. Nazwiska, telefony, daty. Wywiad robił z tego użytek.

- No dobra, to odpocznijcie i za piętnaście minut druga runda.

- Panie kierowniku - podeszła do niego Misia, niewysoka krągła brunetka. - Czy ja bym mogła dzisiaj nie iść na solo, bo jestem niedysponowana.

- Szkoda, tak ładnie wyglądasz! Ale cóż, siła wyższa. To idź tylko na kolanka i zrób kreta po kieszeniach. Przyniesiesz mi coś ciekawego, to puszcze cię i nie będę żałował.

- Dziękuję! - Na jego policzku wylądował całus Misi. - Kierownik jest kochany! - Dziewczyna zręcznie wytarła szminkę chusteczką.

- No już dobrze, dobrze. Wyjdź teraz na salę i sprawdź, jak tam nasza gwiazda, bo powinienem wracać.

- Lusia już idzie! - uprzedziła Misię Evita, która zerknęła przez kotarę.

Do garderoby wkroczyła lwica.

- Ciao! - mruknęła do Fenixa zmysłowym, niskim głosem. - Daj mi wódki, szefie.

Opadła na krzesło przed lustrem. Fenix polał jej i zafascynowany patrzył na przemianę lwicy w wyliniałą kotkę. Lusia bowiem, jak na kobietę swej profesji, wcale nie była młoda. Miała około czterdziestki, nikt przecież jej dokładnie lat nie liczył. W światłach sceny oraz blasku świec na stolikach wyglądała jak bogini. W jasnym oświetleniu garderoby widać było zapadłe pod maską makijażu policzki z dziurami po ospie, bladą niezdrową skórę i zaczerwienione oczy. Wypiła kieliszek wódki jednym haustem i otarła usta, nie rozmazując szminki.

- Od koniaku mam zgagę - oznajmiła.

- Moje ty biedactwo! Jakżesz ty tyrasz dla dobra Ojczyzny!

- Żebyś wiedział, szefie! - głos Lusi, kiedy nie była „w światłach”, przybierał coraz niższe i coraz mniej zmysłowe tony. Zakaszła. - Dasz mi papierosa? - zażądała władczo.

- Przecież wiesz, że doktor zabronił ci palić. Masz gruźlicę, kotku!

- Każdy coś musi mieć. Nie denerwuj mnie, tylko daj zapalić po robocie!

Wzdychając, podał jej otwartą papierośnicę. Zaciągnęła się dymem, przestała kaszleć i sięgnęła do kieszonki sprytnie wszytej przez krawcową w fałdy sukienki na chorobliwie szczupłym brzuchu.

- Masz i daj mi premię. - Wręczyła Fenixowi jakiś świstek. Pochylił się nad nim. Podrapał się po głowie. Czyż to możliwe?

- Myślisz, że to nie jest podpucha? - zapytał Lusię, bo nie chciało mu się wierzyć, że ma w ręku listę nazwisk przeznaczonych do aresztowania działaczy podziemia.

- Ja nie jestem od myślenia, szefie. Ja jestem od roboty.

- Nie zorientuje się, że mu to zabrałaś? Jeśli to naprawdę to, co myślę...

- Był tak pijany, że pokazał mi swoje zdjęcie jako bobaska na bujanym koniku -

grubym, chrypiącym głosem beznamiętnie relacjonowała Lusia. - A kelnerowi zostawił napiwek wyższy niż rachunek. Zamawiał koniak na butelki, bo chciał być lepszy niż ten tam, Pauler. Ale słowa o Palmirach nie pisał, choć go podprowadzałam, że mam matkę staruszkę we wsi przy szosie modlińskiej. Nic. Jak będziesz chciał, to mogę sprawdzić, czy ten Pauler nie jest bardziej rozmowny.

- Będę chciał, moja ty lwico wywiadu, ale nie dzisiaj. Dzisiaj masz wolne. Żadnych klientów, żadnej lewizny. Jasne?

- A premia?

- Ach tak, oczywiście. - Wyjął z kieszeni zwitek banknotów i odliczył. - Na razie zaliczkowo, a jak nasi potwierdzą, że informacje są prawdziwe, dostaniesz więcej.

Zakręcił się i wrócił na salę. Celowo przeszedł obok stolika zajętego przez narodowców, żeby się przyjrzeć nowym. Dosiadła się do nich kobieta, tak piękna, że Fenix zapatrzył się w nią i omal nie przewrócił.

- Kto to? - sapnął do Tuptusia, kiedy dotarł do stolika.

- Ich agentka wywiadu. Niezła, co? Ale nawet nie próbuj, nie do wzięcia. Mężatka. I hrabianka. No i wiesz, Polki dla Polaków - mrugnął Tuptuś. - Nie masz szans.

- Ja to nie mam szczęścia! - Nalał sobie kieliszek i przypomniał, co ma w kieszeni. - A może wręcz przeciwnie? Zobacz, co upolowała lwica. - Podał Tuptusiowi kartkę i powtórzył relację Lusi.

- Trzeba to niezwłocznie - także to słowo w ustach Tuptusia brzmiało niezłe - zanieść do Oddziału II. Ty pilnuj sali, a ja lecę.

- Czekaj. Muszę ci dać nową przepustkę, Niemcy zmienili formularze.

Gdy Fenix został sam, upewniwszy się, że na sali wszystko gra, poszedł do szatani. Szatniarzem w „Maximie” był volksdeutsch. Przed wojną nazywał się Ogórek, teraz kazał do siebie mówić Herr Gurke. Nie wyglądał na klasyczną, wojenną kanalię, ot jeszcze jeden z tych, co wiedzą, z której strony wieje wiatr.

- Wszystko w porządku, panie Herr Gurke?

- Tak - odburknął volksdeutsch, czując kpinę w głosie Fenixa.

- Żona zdrowa? Dzieci się chowają?

- Tak.

- A widzi pan, panie Herr Gurke, dzieci się chowają, bo się wstydzą.

- Żadna praca nie hańbi - burknął Gurke i wypolerował i tak nieskazitelnie lśniąca ladę.

- A, i tu jest pan w błędzie, panie Herr Gurke. Bo nasze dziewczęta to przy panu jedna

w jedną dziewczynę Marie. Pan jest wierzący?

- Tak.

- Ja także - skłamał Fenix. - I pamiętam, że pan Jezus to nawet Judaszowi wybaczył.

- Ja nikogo nie sprzedałem! - szepnął, trwożliwie rozglądając się na boki. Byli sami.

- I znów jest pan w błędzie, panie Herr Gurke. Ojczyznę pan sprzedał, matkę Polskę. Za lepsze kartki na żarcie, za ochronę przed wywózką. A tysiące Polaków w więzieniach, w obozach. O Palmirach pan słyszał, Herr Gurke?

- Słyszałem - ściszył głos szatniarz.

Fenix wyjął z kieszeni amerykańską zapalniczkę i bawił się nią, zapalając i zdmuchując płomień.

- O masowych egzekucjach i ukrytych w lesie grobach? Pawiak, areszt przy Daniłowiczowskiej, więzienie mokotowskie, piwnice na Szucha. Mam mówić dalej?

- Nie... Ale co ja mam z tym wspólnego? - trwożliwie zapytał Gurke.

- W świetle prawa należy pan już do narodu zbrodniarzy i oprawców. A w świetle wojennego prawa za sam ten fakt grozi kulka w łeb. Zwłaszcza jeśli ktoś, jak pan, wysługuje się katom.

- Ja się nikomu nie wysługuję! Na litość boską, dajcie mi święty spokój! - Gurke był przestraszony.

- Bo co? Bo się poskarżysz gestapo? Twój poprzednik też tak zrobił i jak widzisz, nie pomogło mu to w niczym. Słuch po nim zaginął.

- O kim pan mówi? Ja nic nie wiem. Ja nic nie słyszałem.

- Nie słyszałeś, Herr Gurke, bo twoi Niemcy nie mają w zwyczaju nagłaśniania porażek. A poza tym jaka to by była zachęta dla innych Herr Gurków, by się na volkslisty pchać, co?

- Panie, ja mam żonę i dzieci, ja nic złego nikomu w życiu nie zrobiłem...

- Nic dobrego również. - Fenix schował zapalniczkę do kieszeni i niby przypadkiem przeciągnął się, by Gurke zobaczył broń ukrytą pod marynarką. Szatniarz zbłądł.

- Ja... ja... - zaczął się jękać.

- Ty mi tu po niemiecku nie pierdol, bo wezmę to za sabotaż.

- Ja... ja... chciałem powiedzieć, że ja mogę współpracować z wami, z organizacją...

- A, to ze strachu tak śpiewasz, ptaszynko. Jak jest po niemiecku „ptaszek”? Der Vogel. Raz Herr Gurke, raz Herr Vogel. Farbowany lis. Jak jest „lis”?

- Fuks... proszę pana...

- A! Fuks powiadasz. No to masz dzisiaj fuksa, bo pan Fenix jest w dobrym humorze.

- Dziękuję panu bardzo, dziękuję - szatniarz kłaniał się nisko i drżącymi rękami chwycił za serce.

- Podziękujesz, jak popracujesz. Od jutra dostaniesz do pomocy chłopaka. Wyuczysz go tego skomplikowanego szatniarskiego fachu. A chłopak ci pokaże swój fach. Będziecie sobie tu pracować we dwójkę, ty będziesz mówił wszystkim, że to twój syn, i jako Ignacego Gurke go zarejestrujesz u kierownika restauracji.

- Skąd pan wie, że mojemu młodszemu Ignacy? - dopiero w tej chwili dotarło do szatniarza, że wszedł na drogę, z której nie ma odwrotu.

- Ty nie chcesz wiedzieć, co ja jeszcze wiem! Będziesz tu sobie z synkiem w szatni gospodarzył i w sprawach jego fachu słuchał się go. A pan Fenix będzie cię miał na oku i będzie ci za każdy dzień lojalnej pracy wystawiał ocenę.

Szatniarz potakiwał z każdą chwilą coraz bardziej przerażony.

- Na gestapo nie pójdziesz, bo bałbyś się, że twoja żona, Marta, może wpaść pod tramwaj, albo córeczka, jak jej tam? Mówicie jej Joasia czy Joana?

- Jo... Jo...

- O tę właśnie mi chodzi, ładna dziewczynka i taka grzeczna. Ale nawet grzecznym dzieciom zdarza się przypadkiem polać kwasem solnym na ulicy, nawet jak idą za rękę ze starszym bratem. Bo z Ignacem teraz nie będzie chodziła, on od jutra z tobą pracuje w szatani. No, to cieszę się, że się dogadaliśmy, Herr Ogórek.

Fenix wrócił na salę dość z siebie zadowolony. Polował na volksdeutscha od dawna, bo taki volksdeutsch to dobry nabytek dla organizacji. Zwłaszcza kiedy siedzi w szatni, w królestwie esesmańskich płaszczy i rewolwerów pozostawionych nonszalancko w kieszeniach. Na ostatnim spotkaniu z kolegami z ZWZ ubolewano na brak broni i brak niemieckich mundurów do akcji dywersyjnych. Pan Fenix wziął więc sprawy w swoje ręce.

Poszedł jeszcze na zaplecze, odebrał urobek od Zizi, Loli i Kariny. Tę ostatnią wypuścił na fuchę. Sprawdził, czy na jutro wszystko gotowe. Wypłacił gażę wirtuozowi harmonijki ustnej i napił się z nim po kieliszku wódki. Rozliczył z kelnerami nadlany Niemcom alkohol.

Goście opuszczali knajpę, dochodziła druga w nocy. Czarniawy z Zetjoty wychodząc, przyglądał mu się uważnie. Fenix wyzywająco patrzył mu w oczy i myślał o pewnym bokserze, który w 1934 odmówił stawania z nim na ringu. Na szczęście sędzia był bystry i uznał odmowę za walkower. Wygrał bez walki. Zetjoty ukłonili mu się, a ich agentka obdarzyła go przelotnym spojrzeniem szafirowych oczu.

Czarniawego bym powalił jednym palcem - oszacował ideologicznego przeciwnika

Fenix, ale po spojrzeniu kobiety doszedł do wniosku, że właściwie jest tolerancyjny. Narodowcy mu nie przeszkadzają. Zwłaszcza ci płci przeciwnej.

Kolejna noc pracy dobiegała końca. Kelnerzy sprząтали ostatnie stoliki. Fenix zmęczony potarł czoło, wygrzebał z pliku papierów właściwą przepustkę i z przyjemnością pomyślał o Poli, która czeka na niego w łóżku.

Gdy wychodził, szatniarz uklonił mu się.

- Dobranoc, panie Ogórek - powiedział do niego grzecznie Fenix.

- Dobranoc. Mam jedno pytanie, jeśli wolno. - Ogórek rozejrzał się, ale w szatni byli tylko oni dwaj.

- Wolno, ale szybko. Spiesz mi się do domu.

- Ten chłopiec, którego mam jutro wziąć do pracy...

- Pański syn?

Ogórek przełknął ślinę.

- No... tak... oczywiście. Mówił pan, że on fachowiec. Można spytać, w jakim rzemiośle? - Spojrzał na Fenixa niepewnie i dodał: - Muszę coś powiedzieć kierownikowi, jak będę go rejestrował do pracy.

- Ignac? To zawodowy złodziej, pierwsza klasa! - uśmiechnął się szeroko Fenix. - Ale nie notowany, więc jak by to rzec, urzędowych referencji nie ma. Kierownikowi musi wystarczyć pańska rekomendacja. Słowo volksdeutscha. - Mrugnął żartobliwie do znów pobladłego Ogórka.

*

Gospodarstwo rodziców Jakuba, Lelków, wieś pod Biłgorajem, Generalne Gubernatorstwo. Jesień 1940 roku

Nad wsią unosi się zapach dymu z ognisk i butwiejących liści. Chłopi, zbici w niewielkie grupki, stoją przy płocie gospodarstwa. Po pustym podwórzu krząta się Jakub.

Podporucznik Jakub - przed wojną nauczyciel matematyki. Obecnie działacz socjalistycznej konspiracji.

Zagląda do stodoły, obory. Jego ruchy są chaotyczne, jakby nie wiedział, co robić. Nagle chłopi odwracają się.

- Sołtys przyjechał! - krzyczy kobiecina w chuście, a mężczyźni rzucają się do otwierania bramy.

Jakub wychodzi przed dom. Ma bladą, zaciętą twarz, a oczy raczej sine niż niebieskie. Na środek podwórza wjeżdża wóz ciągnięty przez chudego, ochwaconego konia. Z kozła zeskakuje sołtys.

- Niech będzie pochwalony! - Zdejmuje czapkę i wyciąga rękę do Jakuba. Ten kiwa mu tylko głową na powitanie.

- Jak to było? - pyta sucho Jakub.

Sołtys ogląda się na ludzi stojących za płotem.

- Żandarmeria przyjechała nocą, w trzy motory. Podjechali na raz, do mnie, do Aleksyuków i do Floriana, znaczy twego ojca. Do mnie mówią: ukrywacie oficerów i Żydów. I że za coś takiego to mogą spalić całą wieś. Ja w zaparte, że nikogo nie ukrywamy. Pomyślałem, że o Florianie to ludzie więcej wiedzą, ale o Aleksyukach to nie.

- Wszystkie wiedzieli o Aleksyukach! - ponuro krzyknął jakiś chłop zza płotu. - Ja im sam trzy razy mówił, że z tego będzie nieszczęście!

- Skąd wiedziała żandarmeria? - spytał Jakub. Sołtys wzruszył ramionami.

- A bo to mało szpicli? Judasz się wszędzie znajdzie - dodał dużo głośniejszym głosem i odwrócił się, patrząc na ludzi.

- To nikt ze wsi! - odkrzyknęła mu kobiecina w kraciastej chuście. - Nawet grzech tak mówić!

- Grzech!

- I obraza! - zaszemrali ludzie.

- Ja nie rzekłem, że z naszej wsi - odwarknął im sołtys.

- Więc kto? - nastawał twardo Jakub.

- Nie wiem. Gdyby nie to, że Aleksyuki prawie Ukraińcy, to bym powiedział, że jakiś Ukrainiec - sołtys zerknął w bok.

Jakub podążył za jego spojrzeniem. Z boku, z dala od mieszkańców zgromadzonych przy płocie, stał wyrostek, może czternastoletni.

- Młody Pawliszcze? - cicho zapytał sołtysa. - Niemożliwe, znam ich. Jego ojcu załatwiłem pracę w Biłgoraju. Nie, nie wierzę, że to oni.

Sołtys wzruszył ramionami.

- To ja nie wiem. Dalej było tak, że mnie pod bronią wywalili na podwórze. Ustawili pod stodołą razem z Maćkiem, moim starszym. Pomyślałem: „Jezu Chryste! Jak wałną z automatu, to przestrzelą i stodołę, a ja tam mam siano. Puszczą nas z dymem”. Oni pytają: „Kto przechowuje Żydów? Kto ukrywa polskich oficerów?” Ja w zaparte, że nic nie wiem. Moja ślubna w koszuli, w bek i do nóg im padła. I błaga, że my niewinne, nic nie wiemy. Ten jeden żandarm kopnął ją, że poleciała w tył i jakoś wtedy usłyszeliśmy strzały. Pomyślałem: „Po Aleksyukach”, bo szły spod lasu. Żandarmi się wtedy zaciekawili, jeden trzymał nas z karabinem, a tamci dwaj wsiedli na motor i pojechali. Wrócili za jakieś trzy kwadransy i

mówią tak: „Winni zostali ukarani, ale odtąd cała wieś jest na naszym oku”. Jak jeszcze raz coś przeszkrobiemy, to podłożą dym pod wszystkie chałupy.

- To nie słyszałeś strzałów stąd, a słyszałeś od Aleksiuków?

- Od Aleksiuków szła seria z maszynowego. A twoich chyba z rewolweru zastrzelili - sołtys przeżegnał się. - Możesz zobaczyć, bo nie zabijaliśmy trumien.

Widziałem - pomyślał Jakub. - Widziałem i mówisz prawdę.

- A co z tym oficerem, którego rodzice ukrywali?

- Zabrali go. Ja ci nie powiem, bo mnie trzymali na podwórzu. Ale Pyskowska widziała. Pyskowska! - wywołał sołtys.

Drobna kobieta bez chustki, z siwym warkoczem z przerzedzonych włosów owiniętym wokół głowy, weszła, utykając, na podwórze. Popatrzyła na Jakuba ciepłymi, wyblakłymi oczami.

- Aleś wyrósł, synku - szepnęła i oczy zaszyły jej łzami. - Matka zawsze była z ciebie taka dumna!

Jakub zacisnął szerokie szczęki. Bał się, że za chwilę sam wybuchnie płaczem. Tkliwość kobiety wzruszała go.

- Pani Pyskowska, pani widziała?...

- Tak, synku. I słyszałam, jak mordowali twoich. To były tylko dwa strzały i żadnych lamentów. Twoja matka i ojciec to dzielni ludzie. - Łzy kobiety znów popłynęły. - A oficera wzięli do kosza motocykla i pojechali. On był bardzo wymizierowany, bo on był chory. Twoja matka go leczyła.

- Pani wie, kto to był?

Pyskowska nie odpowiedziała. Kiwnęła tylko głową, leciutko. Jakub pomyślał, że powinien powiadomić rodzinę tego człowieka. Kobieta niespodziewanie dla niego otworzyła ramiona i przycisnęła Jakuba do siebie.

- Niech ci Pan Bóg błogosławi, synku... Łagodnie wyswobodził się z jej objęć.

- Ksiądz przyjechał!

- Ksiądz! - poinformowali ludzie zza płotu.

Chłopi jak na komendę zdejmowali czapki, a przez bramę wjechał rowerem wikary z sąsiedniej wsi.

- Niech będzie pochwalony! - powiedział, zsiadając i odstawiając rower pod płotem.

- Na wieki wieków! - odpowiedzieli chórem ludzie.

- Czy możemy zaczynać? - spytał sołtysa. - Mam jeszcze dzisiaj dwa pogrzeby. Pan Bóg ciężko nas doświadcza.

- Ksiądz? - zdziwił się Jakub. - Ja nie wzywałem księdza. Jestem ateistą.

Pyskowska ujęła Jakuba za rękę i powiedziała łagodnie:

- Ale twój ojciec i matka byli wierzący. - Uniosła na niego zapłakane oczy.

- Otóż to - pokiwał głową wikary. - To pogrzeb pana rodziców, oni nie życzyliby sobie bezbożnego pochówku. Znałem Floriana i Apolonię osobiście.

- A zna ksiądz osobiście judasza, który wydał ich, jak rozumiem, chrześcijański postępek udzielenia schronienia potrzebującemu? - gwałtownie zaatakował Jakub. - Ksiądz zna wszystkich, więc zdrajcę też!

- Nie oceniaj pochopnie, synu. Nikt z nas nie jest bez grzechu. Ja w rozmowach z wiernymi podkreślam, że w obliczu tego, co się stało, wszyscy jesteśmy braćmi, chrześcijanie i Żydzi. Ale nikt nie wie, przed jakim wyzwaniem postawi go Pan. A człowiek jest w swej istocie słaby.

Jakub zachnął się na księżowską mowę. Pyskowska przytrzymała jego dłoń, mówiąc:

- W Nowej Wsi był taki przypadek, że rodzina na przednówku przymierała głodem. Ojciec ukradł sąsiadowi ziemniaki z kopca. Niedużo, kilka, żeby rodzinę nakarmić. Niemcy go zaaresztowali. Chcieli, by donosił, co i jak na wsi. On się nie zgodził i go zastrzelili. Sąsiad, ten okradziony, zaopiekował się jego rodziną. I się okazało, że on, tamten zastrzelony, w piwnicy trzymał Żydów. No to ten drugi przejął opiekę nie dość, że nad rodziną, ale i nad tymi Żydami. Miał już trzy gromadki do wykarmienia. I też go zaaresztowali. On nie miał wyjścia, zgodził się donosić, bo wiedział, że jak jego zabraknie, to trzy rodziny z głodu pomrą. Ale za jego donosy rozstrzelano innych. I kto tu jest winny, synku? Rozsądź.

Jakub wypuścił głośno powietrze.

- Winni są Niemcy. Zaczynajmy. Trumny stoją w stodole.

Chłopi nieśmiało wchodzili, by pomóc przenieść trumny na wóz sołtysa. Po chwili smętny korowód wyruszył. Wikary szedł przodem, Jakub za wozem. Babiny drżącymi głosami zaintonowały:

- Dobry Jezu, a nasz Paaanie, daj im wiececzne spoczywaaanieeee... Na końcu korowodu szedł parobek i prowadził rower księdza.

*

Siedziba dawnej Wytwórni Maszyn Pralniczych DKM, Warszawa, Generalne Gubernatorstwo. Jesień 1940 roku

- Czy ja mogłabym już iść do domu, panie dyrektorze? Moja córka jest chora, sąsiadka się nią zajmuje, ale nie chciałabym...

Jaxa podniósł nieprzytomny wzrok znad papierów.

Jaxa - założyciel i komendant Związku Jaszczurczego, konspiracyjnego zbrojnego ramienia ONR. Inżynier. Szczupły blondyn. Właśnie zapuścił wąsy, by zmienić trudną do zapamiętania twarz w coś poważniejszego.

- Tak, pani Zosiu, proszę już iść. Ja jeszcze posiedzę. - Potarł zmęczone powieki, usiłując sobie coś przypominąć. - Czy moja narzeczona?...

- Panna Aleksandra oczekuje pana z kolacją.

- Ach tak, oczywiście...

- Kwiaty w wazonie za moim biurkiem - uśmiechnęła się sekretarka.

- Kwiaty? Jakie kwiaty?

- Dla panny Aleksandry i jej matki. Rodzice narzeczonej będą na kolacji.

- Jest pani nieoceniona, pani Zosiu. Dziękuję. Proszę nie zamykać drzwi.

Gdy sekretarka wyszła, z niepokojem skontrolował godzinę. Czekał na Otmara, mieli omówić kilka najpilniejszych spraw ZJ. Papiery przed nim piętrzyły się i oczywiście nie były to dokumenty spółki ani projekty napraw instalacji grzewczych. To były dokumenty o kapitalnym znaczeniu dla powstających w brawurowym tempie struktur Związku. Rok temu nawet nie śmiał przypuszczać, że będą się rozrastać tak szybko, tak rozległe. Nie, sam siebie nie musi kokietować, oczywiście, że się spodziewał. Hitlerowska okupacja wzmocniła czynnik narodowy w narodzie. Oczywiście, nie całym! Komuniści, szczęśliwi, że Sowiety zajęły pół kraju i robią kolejną republikę, współpracują z Niemcami, jak Stalin przykazał. Społeczeństwo zniechęcone do sanacyjnych elit, które przegrały wojnę, szukało innej drogi w wielkiej ojczyźnianej konspiracji. No właśnie, wielkiej. Zerknął w raport służb kontrwywiadu ZJ. Związku Jaszczurczego. Lubił powtarzać tę nazwę. No więc, kontrwywiad donosi, że w Polsce działa niemal sto różnych organizacji podziemnych. Większość oczywiście wcielili się do ZWZ, pokorne cielęta, którym Naczelnny Wódz z emigracji kazał. Ale cała reszta działa na obrzeżach. I niech sobie działają, on, Jaxa, nikomu nie odmawia prawa do działania, choć najlepiej by było, gdyby wszyscy poza komunistami połączyli się pod kierownictwem jego Organizacji. Sęk w tym, że im mniejszy konspirator, tym więcej robi wokół siebie szumu. Chłopcy w bryczesach i oficerkach, młodziankowie paradujący po ulicach, zwracają uwagę gestapo. I już dwie akcje jego ludziom popsuli, bo niepotrzebnie przyciągnęli uwagę żandarmerii. Galimatias.

- Panie inżynierze...

Jaxa jak oparzony podniósł głowę znad biurka. To nie był głos Otmara.

- Panie inżynierze...

W drzwiach jego gabinetu stał przeraźliwie chudy mężczyzna w znoszonym

garniturze. Jaxa skądś znał tę twarz, ale nie mógł sobie przypomnieć.

- Tak? - spytał, starając się nadać głosowi spokojne, uprzejme brzmienie.

- Pan mnie nie poznaje - cicho powiedział mężczyzna. - Trzy lata temu kupił pan ode mnie kompresor. Dwa kompresory...

- Ach, tak! Inżynier Rotblaum! - przypomniał sobie w jednej chwili Jaxa i przeprowadził gorączkową kalkulację. Żyd. Getto. Co on tu robi? Zaraz przyjdzie Otmar.

Wstał i podszedł do nieproszzonego i niespodziewanego gościa.

- Niech pan siada, inżynierze. Jest pan głodny?

- Nie... Nie w tym rzecz. - Rotblaum usiadł, rozglądając się niespokojnie.

Jaxa zamknął drzwi gabinetu na klucz.

- Ktoś pana widział?

- Nie.

Zapadła chwila wyjątkowo niezręcznej ciszy. Po czym Rotblaum zaczął mówić składnie i szybko.

- Mam świetne papiery i nie najgorszy wygląd. Nie poszedłem do getta, ukrywam się. Ale nie mam z czego żyć. Niemcy zablokowali wszystkie konta mojej firmy. Zajęli fabrykę, mieszkanie, majątek. Nie spodziewałam się, że tak będzie. Wysłałem żonę i córkę do rodziny na Węgry. Ja zostałem w Warszawie, bo sądziłem, że zdołam cokolwiek dopilnować, ocalić. Tak się jednak nie stało. Ukrywałem się u Polaka, który był u mnie w fabryce portierem, to dobry chrześcijanin, dobry człowiek. Ale już dłużej nie mogę. On z rodziną ledwie wiąże koniec z końcem, a ja, bogacz, nie mam nic. Ostatnie złote dolary przejedliśmy w zeszłym tygodniu. Pan wie, ile na czarnym rynku kosztuje kilo chleba. A na mnie nie dostali kartek, choć mam papiery naprawdę dobre.

Jaxa poczuł zimno w żołądku.

„Portier dobry chrześcijanin”. To wyzwanie, rzucone mu w twarz. Przecież to on, Jaxa, jest dobrym chrześcijaninem! Na studiach był w sodalicji mariańskiej. Aleksandra, jego narzeczona, też. Sam definiował naród polski w duchu włącznie katolickim. Ale na Boga, miał na myśli narodowy katolicyzm! Wspólny dla wszystkich członków narodu związek duchowy, jedność psychiczną, świadomość historycznej wspólnoty losów! Katolickie państwo wyznaniowe było tym, ku czemu dążył. Kościół, rodzina, szkoła, armia... To chyba naturalne, że zakładał także wynikającą z tego konieczność usunięcia Żydów z Polski. Podpisywał w 1938 memoriał organizacyjny pod wszystko mówiącym hasłem „Likwidujemy Żydów”. Rzecz jasna, nie przewidywał i nie dopuszczał przy tym przemocy fizycznej, bo tym się brzydził. Proponował cywilizowane rozwiązania, legalizację wyjazdów. Na rany

Chrystusa, dlaczego ten Żyd przychodzi do niego po pomoc?!

- Ja wiem, że pan, inżynierze, jest narodowym radykałem - cicho powiedział Rotblaum. - Ale ja po prostu nie mam się do kogo zwrócić. Wszyscy, których znałem, którym ufałem, są w getcie.

A gdybym tak - pomyślał szybko Jaxa - zaproponował mu pieniądze? Dałbym mu tyle, by mógł...

- Rozumiem - odpowiedział w końcu nieproszonemu gościowi.

- Mam dla pana propozycję.

Nie wierzę, nie wierzę, że to mówię - jęczał w duchu Jaxa, a na głos kontynuował:

- Wciągnę pana na listę zatrudnionych w moim zakładzie. Dzięki temu dostanie pan kenkartę i kartki na żywność. Będę panu płacił wynagrodzenie, jak innym pracownikom. I...

Nie rób tego - szeptało coś w Jaxie.

-...i zamelduję pana w jednym z mieszkań służbowych. Oczywiście, do pracy przychodzić pan nie musi, by się nie narażać.

- Panie Jaxa! - Rotblaum zerwał się z miejsca, by uściskać jego dłoń. - Wiedziałem, że się na pana nie zawiodę. Że przez pana przemówi prawe chrześcijańskie serce! Dziękuję, dziękuję panu. Ja to panu po wojnie wynagrodzę, może być pan pewien!

- Nie, nie robię tego dla wynagrodzenia... Robisz to wbrew sobie! - huczało w nim.

-...ja po prostu nie potrafię panu odmówić pomocy - powiedział Jaxa i to było prawdą. Głos wewnętrzny umilkł.

Rotblaum stał z zaczerwienionymi oczami, patrzył z wdzięcznością. Głos wewnętrzny w Jaxie odezwał się znowu, tym razem polubownie: Nasza tajna rada adwokacka też pomaga żydowskim mecenasom, choć w jej składzie większość to antysemita.

- My, inżynierowie - zawtórował swemu głosowi wewnętrznemu Jaxa - musimy się wspierać. Proszę przyjść jutro rano, tu, do biura. Załatwimy wszystko. Do widzenia, inżynierze.

- Do widzenia. Jestem panu niewymownie wdzięczny. W takich chwilach wierzę w potęgę człowieczeństwa.

- Tak. - Zasepił się Jaxa. - Ja też.

Gdy Rotblaum wyszedł, Jaxa był kompletnie rozbity. Sam zaparzył sobie herbatę. Wyszła jakaś słaba, niedobra. Drżały mu ręce, kiedy stawiał filiżankę na biurku.

Od początku wojny Organizacja zdecydowanie potępiała działania Niemców wobec Żydów. Ani tajny Obóz Polski, ani on w Związku Jaszczurczym nie brali pod uwagę najmniejszego choćby wspierania okupanta w jego antysemitkich wystąpieniach. Wobec

okropności wojny aspekt oczyszczania życia politycznego z elementów obcych zszedł na plan dalszy. Gdy falangiści z Piaseckim na czele dali się podpuścić Niemcom i urządzili wiosną w Warszawie „pogromy wielkanocne”, Jaxa i wszyscy członkowie Organizacji jednoznacznie ich potępił, jako pacholków gestapo. W tak ważnych kwestiach nie było miejsca na jakąkolwiek samowolkę, a falangiści kompromitują się od lat na własny rachunek i to ich sprawa.

Wszystko to jasne. A mimo to Jaxa zderzony z osobistą tragedią Rotblauma poczuł się podle.

- Przepraszam za spóźnienie! - Otmar wtargnął do niego całą energią swego jestestwa.
- Ale mieliśmy akcję!
- Jaką akcję? - Jaxa po raz pierwszy pobłogosławił niepunktualność Wawrzkowicza.
- Specjalną! Pamiętasz? Mówiłem ci, że planujemy akcję „Cukier”.
- Tak, tak - nie mógł sobie nic przypomnieć Jaxa.

Jego umysł błądził wokół wychudzonej twarzy Rotblauma. Gdy trzy lata temu zamawiał u niego te kompresory, żył w innym świecie. Rotblaum palił wtedy takie wonne cygara. Częstował go, ale Jaxa odmówił, bo tytoń szkodzi na serce. Pamiętał gabinet Rotblauma, mahoniowe biurko, obraz Grottgera na ścianie. Jakiś powstańczy obrazek. Cholera, czy Grottger też nie był Żydem? Rozmawiali, o czym to oni rozmawiali wtedy? O jakimś odłamie mistycznego żydostwa, do którego zdaje się należał Rotblaum. Jakie to ma teraz znaczenie?

-...no i słuchaj, nasze biuro fałszerstw zasługuje na specjalną nagrodę, bo te papiery ani razu nikomu nie podpadły!

- Jakie papiery? - ocknął się Jaxa.
- Jak to jakie? Na cukier. Kwity do fabryki na pobranie cukru. Fałszywki jak złoto. Tydzień, cały tydzień chłopaki jeździli ciężarówkami i odbierali na te kwity przydziały cukru w wytwórni. Raz jako taka wytwórnia, raz jako inna. I dzisiaj, w ostatni dzień, nasi pakują ten cukier na ciężarówkę jako Zakłady Południowe. Kończą prawie, a tu na podwórzu wjeżdża ni mniej, ni więcej, tylko prawdziwa ciężarówka z Zakładów Południowych. Nasi jakby jej nie widzieli, kończą załadunek, kierowca na gaz i z piskiem opon wyjeżdżają z terenu zakładu. I wtedy wartownik się skapnął, ale tak oniemiał, że dopiero jak przejechaliśmy bramę...

- Czekaj - przerwał mu nagle Jaxa. - Powiedziałeś „przejechaliśmy”? To ty osobiście wzięłeś w tym udział?

- Tak! - radośnie oznajmił Otmar.
- Nie - pokręcił głową Jaxa. - Przecież tobie, jako człowiekowi z kierownictwa, nie

wolno!

- Oj, Jaxa, nie bądź taki zasadniczy! Musiałem. Jak się chce mieć wpływ na ludzi, którzy się narażają w akcjach, to trzeba raz i drugi pójść z nimi i pokazać, że się nie boisz. No bo jakby ci w przeciwnym razie ufali?

- Otmar, ale regulamin... - Jaxa był pewien, że Otmarowi chodziło nie o zaufanie, ale o adrenalinę. - No dobra, stało się. Opowiadaj dalej.

- My gazu w miasto. Patrzymy, a po chwili za nami jedzie pędem niemiecki samochód. Pościg. Kierowca dusi gaz, ile się da. Ale my ciężarówką, tamci osobówką. I w pewnej chwili kierowca chcąc zmylić pościg, skręcił w prawo, pod prąd na jednokierunkowej. A Niemcy... - Otmar zaniósł się śmiechem jak czkawką. - A Niemcy, rozumiesz... - aż bulgotał -...nie chcieli złamać przepisów i pojechali naokoło.

Jaxa roześmiał się po raz pierwszy tego dnia.

- Dowieźliśmy cukier do naszego magazynu. Jest tego razem jakieś tysiąc worków. Teraz puścimy to przez podstawionych ludzi na rynek i zobaczysz, ile będzie dochodu dla Organizacji!

- Gratuluję. Dramatycznie potrzebujemy pieniędzy. ZWZ dostaje z Londynu, do nas ani grosz z tego nie trafia. Choć powiem ci, że jest pewna szansa na zasilenie kasy z dotacji rządowych.

- Legalnie? Nie wierzę. Rząd londyński daje tylko swoim.

- Prawda, ale mamy zachęcające wyniki wywiadu. I jeśli nasze informacje, za pośrednictwem ZWZ prześlemy do Londynu, to może dostaniemy trochę funduszy.

Otmar skrzywił się.

- Ja bym im nie ufał. Nasi zdobędą informacje wywiadowcze z narażeniem życia, a ZWZ przekaże je do Londynu jako własne.

- Negocjujemy. Irena, Hłakowicza żona...

- To jest babeczka!

- Nie mów tak, nie wypada.

- Co ty taki sztywny, Jaxa? Kij połknąłeś?

- Sztywny? Odkąd to dobre wychowanie jest sztywne?

- Dobra, nie kłóćmy się. Co z tą Ireną?

- Pojechała do Berlina. Ma obiecujące kontakty.

- Taka babka wszystko ma obiecujące - rozmarzył się Otmar. - No dobra, serio, miałeś doskonały pomysł, żeby tworzyć struktury wywiadu na Zachodzie. Chwalę i jeszcze raz chwalę. Tak lepiej?

Otmar poza wszystkimi swymi wadami miał też zalety. W oczach Jaxy, największą z nich była lojalność. Miał wobec Otmara wielkie plany, w które należało go powoli wprowadzać.

- Stosujemy różne sposoby pozyskiwania informacji. Nieocenione są kontakty z naszymi pomorskimi i wielkopolskimi działaczami. Otóż dwaj nasi agenci pochodzą z ziem zachodnich. Starszy brat jednego z nich podczas pierwszej wojny był w armii niemieckiej.

- I takich ludzi nazywasz dobrymi działaczami?

- Słuchaj, paliwodo, i ucz się - poskromił go łagodnie Jaxa. - Brat ten po wojnie został na terenie Rzeszy, bo miał tam po rodzicach majątek, a nasz agent, Krzysztof, którego od tej pory znać będziesz jako kapitana Konrada...

- Młodszy brat - usłużnie podpowiedział Otmar, pokazując, jak szybko się uczy.

- Tak, młodszy, kapitan, przeniósł się do Polski. I kiedy Niemcy mobilizowali armię, to...

- To wzięli starszego!

- Tak, ale dokąd?

- Do wojskowych służb cywilnych, bo na front za stary - strzelił Otmar i trafił.

- Obecnie brat ów pracuje w samym Ministerstwie do spraw Wojskowych - dokończył tryumfalnie Jaxa.

- O rany.

- I, formalnie, jest obywatelem Rzeszy, co ważne. To nie wszystko i teraz się skup, bo zmieniam nieco temat. Aresztowania na początku roku w Kielcach.

Otmar zrozumiał, że to zadanie, i odpowiedział:

- Trzech młodych chłopaków kolportujących „Szaniec”. Na szczęście nie byli zorientowani w Organizacji. Przeprowadziłem wtedy błyskawiczne chowanie czułek, bo jeden z młodych był bratem naszego człowieka, tu z Komendy Głównej ZJ. Wymieniliśmy ludziom papiery i po czterech miesiącach wznowiliśmy działalność na tamtym odcinku. Dalszych aresztowań nie było.

- Nie było, racja. Wczoraj przyszedł do mnie Sędek starszy, bo o tych braciach mówimy, i powiedział, że młodszego gestapo wypuściło.

- Uuu. Jak gestapo wypuszcza, to zwykle podpuszcza.

- Tak samo myślę i ja. Sędek młodszy ma nam coś do powiedzenia, coś specjalnego. I chcę, byś ty go przesłuchał.

Otmarowi rozbłysły jasne oczy. Zerwał się z krzesła.

- Już?

- Już. Wybierz moment. Najpierw pogadaj z nim sam, bez świadków. A potem weź kilku zaufanych ludzi i przesłuchaj go jeszcze raz, z protokołem. Czekają w lokalu B12.

Otmar wybiegł, kuśtykając. Jednak po chwili cofnął się i wsadził głowę do gabinetu Jaxy.

- Zapomniałem ci powiedzieć.

- Co?

- Kwestia żydowska rozwiązała się sama. Niemcy ostatecznie i nieodwołalnie zamknęli getto. Od wczoraj nikt z niego nie może wyjść. To koniec. - Wyszczерzył zęby.

- To smutne - powiedział Jaxa, myśląc o Rotblaumie.

- Smutne? To jedyne, za co po wojnie podziękujemy Hitlerowi.

- Zapomniałeś? - zripostował Jaxa. - Po wojnie z Hitlerem czeka nas wojna z bolszewizmem. Idź do roboty, idź już, proszę.

Wawrzkowicz poszedł zadowolony. Jaxa był ciekaw, jak też Otmar zinterpretuje zeznania młodego Sędka, bo sam rozmawiał z nim już wczoraj. Chłopak powiedział mu, że zabrano go na osobne przesłuchanie do radomskiego gestapo, do oficera o nazwisku Fuchs. Ten, po rozpoznawczej rozmowie, w której subtelnie dał młodemu odczuć, iż wie o działalności jego brata w ONR przed wojną, zasugerował, iż w gestapo jest specjalna komórka, która zajmuje się ni mniej, ni więcej, tylko współpracą z brytyjskim wywiadem. Opowiadał chłopakowi bajki o tajnym planie Brytyjczyków i Niemców sprzymierzenia się przeciw ZSRS w celu likwidacji światowego komunizmu. Jednym słowem grał na uczuciach młodego. Ale sygnał, choć niejednoznaczny, był oczywisty. Niemcy wiedzą o ZJ. I próbują dowiedzieć się więcej. W gąszcz konspiracyjnej Polski podziemnej chcą wpuścić krety. Wstrętne, wredne, nazistowskie krety.

Jaxa myślał o odpowiedzialności, jaka spadła na jego barki. I poczuł się z nią dobrze, bo wiedział, że sprostą wymogom swej Organizacji. Pomyślał też, że gdyby nie wojna, być może nigdy nie zaszedłby tak wysoko, no, w każdym razie nie tak szybko. I pomyślał jeszcze ze smutkiem o nestorach, którzy choć przyzwyczajeni do tajności, bo w Organizacji wszystko się na niej opierało, nie sprostali sytuacji. Wojna była nie dla nich. Szlachetne dusze nie potrafiły się w jej gąszczu odnaleźć. I pomyślał o wielu innych, ważnych rzeczach. Aż przypomniał sobie z trwogą, że pół godziny temu powinien być na kolacji u Aleksandry. Złapał płaszcz i wybiegł z biura. Wrócił po kwiaty.

*

Piekary, wieś pod Piotrkowem, Generalne Gubernatorstwo. Zima 1940 roku

Noc. Światło księżycy odbija się od białych połaci śniegu. W chałupach ciemno.

Gdzieś daleko szczeka pies. Głośny oddech i skrzypienie śniegu pod butami. Dziewczyna okutana w chustkę idzie w stronę majaczącego w oddali kościółka. Otwiera bramę cmentarza, nim wejdzie, rozgląda się trwożliwie i robi znak krzyża. Nie oliwiony zawias niedomkniętej przez nią furtki skrzypi jeszcze, gdy opiera się na nim męska, szeroka dłoń. Ktoś cicho zmierza po śladach dziewczyny. Ona sama biegnie już do szopy przy ogrodzeniu, śnieg spod butów pryska w mrok. Dopada szopy w kilkunastu susach.

W środku płonie świeca i czeka na nią żołnierz w niemieckim płaszczu. Chucha w zamarznięte ręce. Dziewczyna całuje go na powitanie w czerwony od mrozu policzek. On podaje jej zawiniątko.

- Słonina, konserwy i ten tabletki, co prosiła - mówi łamaną polszczyzną.

- Hans - tuli się do niego dziewczyna. - Długo jeszcze potrwa ta wojna?

- Ja nie wiem, Hitler wie. Jak się skończy, zabiorę Katrinę do domu, do Austrii.

Będziemy gospodarzyć.

Przyciąga dziewczynę do siebie. Wkłada rękę pod jej chusty. Ona przytula się do niego.

- Hans, tylko uważaj, żeby nie było dziecka - instruuje go w ostatniej chwili.

- Ja, ja - śmieje się Hans. - Dziecko po wojnie.

Nim jednak żołnierz zdążył dobrać się do zakutanej dziewczyny, drzwi szopy otworzyły się i stanął w nich Żbik, krzycząc:

- Ręce przy sobie, nazistowska świni!

Porucznik Żbik - w kampanii wrześniowej bosman Władek Kołaciński, brał udział w obronie Okisywa. Z obozu jenieckiego wyszedł na „inwalidę wojennego”. Obecnie komendant konspiracyjnych placówek Narodowej Organizacji Wojskowej w trzech ościennych gminach.

- Aaa! Wujcio! - krzyknęła przerażona dziewczyna i natychmiast przeszła do kontrataku, zasłaniając Hansa własną pierś. - Tyle razy mówiłam, żeby się wujcio nie wtrącał!

- A ja cię ostrzegałem, żebyś się ze szkopami nie puszczała!

- To jest porządna dziewczyna - wystąpił w jej obronie Hans. - Ona się nie puszcza.

- Nie odzywaj się, nazistowska świni! - pouczył go Żbik. - A przed chwilą to co?

Kwiatki wachaliście?

- My się kochamy - powiedziała Kasiulka. - To nie jest puszczenie.

- Miłość nie wybiera - potwierdził Hans. - Zabiorę ją po wojnie do Austrii.

- Jeszcze czego! Wysziedacie nas, przesiedlacie jak bydło i wydajecie się wam, że z

naszymi kobietami to samo? Kaśka, ubieraj się i do domu, bo zastrzelę tego palanta.

Do dziewczyny dopiero w tej chwili dociera, że Żbik trzyma w ręku broń. Hans, na poły schowany za nią, sięga do swojej kabury. Kasiulka jeszcze nie podjęła decyzji, patrzy to na jednego, to na drugiego.

- Wujciu - próbuje negocjować - przecież ja nikomu krzywdy nie robię, zakochałam się, on nie jest Niemcem, jest Austriakiem. Hitler tak samo zajął Austrię jak Polskę...

- Ty jesteś głupia i nieodporna na propagandę - warczy Żbik. - Zapytaj tego szkopa, czy wie, co to Oświęcim. No - celuje do Hansa - Auschwitz... mówi ci to coś? Hans kręci przecząco głową.

- To obóz koncentracyjny, w którym zabili twego ojca chrzestnego, a mego brata - mówi, nie spuszczając Hansa z oka. - Tacy sami jak on. Wiesz, za co? Za to, że nie zgodził się na, jak powiedziałaś, zajęcie Polski. A ty, Hans, zgodziłeś się na zajęcie Austrii? W referendum zrobiłeś krzyżyk za „Anschluss”? Nas nikt nie pytał o zdanie. Kaśka, do domu!

- Wujka Józka zabili? - Kasiulka zasmuciła się. - Nie wiedziałam, jak Boga kocham, nie wiedziałam.

Złapała zawiniątko z jedzeniem, które przyniósł dla niej Hans, i powiedziała do niego czule:

- Muszę już iść. Sam widzisz.

Żbik wypchnął ją za drzwi i w tej samej chwili Hans wyjął rewolwer, celując w niego. Mierzyli do siebie.

- Chcesz mnie zabić, potem zgwałcisz Kaśkę i jej też strzelisz w łeb? - butnie zapytał Żbik. Hans pokręcił głową i opuścił broń. Wtedy Żbik doskoczył do niego i wyrwał mu rewolwer.

- No i schluss, panie Anschluss. - Żbik na wszelki wypadek asekurował się zdobyczym rewolwerem, wychodząc. Zamknął szopę na kołek i popędził za dziewczyną przez cmentarz. Gdy przechodzili bramę, słyszeli, jak Hans tłucze się w szopie.

- Musiał go wujek zamykać? - z pretensją oznajmiła Kasiulka. Musiałem - pomyślał Żbik i odetchnął z ulgą. Jego własny rewolwer był nie nabity i w dodatku niesprawny. Ot, atrapa, rupieć. Tak więc sukces akcji był taki, że zdobył broń. Odstawił dziewczynę do domu i tam pokazał jej pismo z obozu w Auschwitz informujące o śmierci Józka. Swastyki na pieczęciach zrobiły na niej wrażenie. Chlipnęła.

Pewności, że powstrzyma się od amorów z Hansem, nie miał. Nos mu podpowiadał, że jego świętej pamięci brat trzymał do chrztu puszczałską. Na szczęście Hansa przeniesiono do innej jednostki, karząc go za zgubienie broni. Chwilowo miał z Kaśką spokój.

Nie miał go jednak z Mayerem, niemieckim wójtem gminy. Ten, po otrzymaniu urzędowego zawiadomienia o śmierci Józka w Oświęcimiu, otoczył rodzinę Żbika specjalną opieką. Nie było tygodnia, by nie mieli jakiejś kontroli w prowadzonym z wysiłkiem przez średniego brata, Piotra, gospodarstwie. Jednej nocy, gdy Żbik nie mogąc zasnąć, próbował zapalić papierosa, szukał zapalek i jak na złość lampa naftowa wciąż gasła, wpadli do chałupy z oskarżeniem, że „nadaje Morse’em”. Wyśmiał żandarmów, dali mu spokój. Ale wcześniej przetrząsnęli dom. Przestało mu być do śmiechu, gdy wypełniając obowiązki konspiracyjne, jeździł do Woźnik, Parzniewic czy Krzyżanowa i za każdym razem musiał się nieźle nakłuczyć, by zgubić ogon. W domu już nie mógł przechowywać żadnych materiałów. Z Grzmotem i innymi chłopakami z organizacji zaczął się spotykać wyłącznie w terenie.

- Panowie, musimy zwiększyć opiekę nad wysiedlonymi - powiedział porucznik Jastrzębiec na spotkaniu komendantów. - Wciąż mamy za mało lokali, żywności i wszystkiego. Zima załazła za skórę miejscowym gospodarzom, a co dopiero tym biedakom.

- Niemcy wysiedlili Polaków z ziem wcielonych do Rzeszy i wrzucili do nas, do Generalnej Guberni. Żydów pozamykali w całej Polsce w gettach. Więc mamy nieco wolnych lokali żydowskich, poza tymi, rzecz jasna, które od razu zajęli Niemcy.

- U mnie w większości już zasiedlone - zdał relację Żbik, który był przewodniczącym Komitetu Opieki nad Wysiedlonymi w swoich gminach. - Wolne mam w dwóch miejscowościach jakieś cztery, pięć domów, ale nie nadają się do zamieszkania. Wszystko, co najlepsze, zajęli volksdeutsche.

- Trzeba wyremontować te domy. No nie patrzcie tak na mnie, nie wiem, jak i czym.

- Własnymi siłami - wyrecytowali dotychczasową formułkę swego przełożonego komendanci.

- Otóż to! - pochwalił. - Własnymi siłami! Obowiązkiem każdej rodziny jest pomóc wysiedlonym. To nie kwestia życzliwości, tylko obowiąz...

- Ku! - chórem podchwycili komendanci.

- Tak jest.

- Byleby do wiosny - stwierdził Żbik. - Potem już jakoś pociągniemy.

- Cieszcie się, że zostaliśmy po tej stronie granicy. Po sowieckiej dwieście albo trzysta tysięcy Polaków straciło domy. Powieźli ich gdzieś na Syberię czy w inne Kazachstany.

- Ja wiem, z czego tu się cieszyć - rzekł Żbik. - Pół narodu na Sybir, drugie pół przymiera głodem i gnije w katowniach. A Anglicy co? Są jakieś wieści?

- Tak - smutno pokiwał głową porucznik Jastrzębiec. - Żadne. Obronili Anglię przed inwazją lotniczą, walczą na Atlantyku, ale żaden nasłuch, ani niemieckich, ani brytyjskich

radiostacji nie daje odpowiedzi na pytanie, kto wygrywa na morzu. A, ruszyła jakaś kontrofensywa brytyjska w Afryce.

Atlantyk, Afryka, może jeszcze Madagaskar? - ponuro pomyślał Żbik. - A Polska?

- A jakie są najnowsze dyrektywy rządu londyńskiego?

- Organizować siatki konspiracyjne, szkolić się i być gotowym. Na razie nie mamy podejmować żadnych działań zbrojnych. Trzeba czekać.

- Na co? - wyrwało się jednocześnie Żbikowi i porucznikowi Zimnemu z Piotrkowa.

- To nie są moje dyrektywy, tylko naczelnego wodza - odwarknął im Jastrzębiec. - Nie ja to wymyśliłem. Ale jako oficer Narodowej Organizacji Wojskowej muszę słuchać jego rozkazów. A wy moich.

- Poruczniku. Zgodnie z rozkazem tworzę bojówki. Biorę chłopców w las i szkołę. Strzelanie, zasady konspiracji, wiadomo. Ale oni mnie pytają: „Kiedy pójdziemy na akcję?” Co mam im odpowiedzieć? Że trzeba czekać?

- Tak, że trzeba szkolić się i czekać.

Żbik wyszedł ze spotkania przygnębiony. Miał ręce pełne roboty, to prawda. Ale wiedział, że organizacją opieki nad wysiedlonymi mogliby się z powodzeniem zajmować inni. On był oficerem, chciał walczyć. A kazali czekać. Poważnie rozważał, czy nie przekraść się jakoś na Zachód. Afryka, Atlantyk, daleko jak diabli, ale zawsze to wojsko.

Royal Navy powinna mnie przyjąć - myślał desperacko. - W końcu byłem w marynarce wojennej! ORP „Orzeł”! - powtarzał sobie w myślach jak zaklęcie.

ORP „Orzeł” zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach 25 maja 1940 roku na wodach Morza Północnego, na zachód od Skagerrak.

Tydzień po spotkaniu z Jastrzębcem przyszła wiadomość z Piotrkowa, że porucznik Zimny aresztowany.

- Zaczepił go jakiś volksdeutsch, chciał go ciągnąć na gestapo, pewnie coś wiedział - relacjonował Grzmot. - Zimny miał przy sobie broń, nerwy mu puściły i strzelił.

- Jasny gwint! - pozazdrościł Zimnemu Żbik.

- Jak spod ziemi wyrosła żandarmeria i Zimny uciekając, zabił żandarma.

Żbik wiedział, że to wbrew rozkazom, ale z całej siły trzymał teraz z Zimnym.

- I prawdopodobnie to była prowokacja, bo nim zdążył przebiec parę kroków, podjechało samochodem gestapo. Wciągnęli go do środka i zawieźli na przesłuchanie.

- Zimny nie będzie sypał - bez przekonania powiedział Żbik.

- Nie będzie, bo jest, za przeproszeniem, zimny - zrobił minę Grzmot i podrapał się po piersi, jakby oblażło go jakieś robactwo. - Połknął cyjanek. Nie wiem, skąd miał.

- Jasna cholera!

- To nie wszystko. Gestapo wściekle, że nic z niego nie wyciągnęli, urządziło uliczną łapankę. I za gorącą krew Zimnego zabili dziesięć niewinnych osób.

- Jasna dupa! - zakończył siarczyście Żbik i poszedł poszukać wódki.

Napili się.

Za Zimnego. I na pohybel każdemu, od volksdeutschów, przez gestapo, na Hitlerze i Stalinie kończąc. Ta wódka miała jednak gorzki smak ofiar. Jakby odbijał im się rozkaz „szkolić się i czekać”. Czym innym jest narażać siebie samego, kolegów z organizacji. A czym innym zapłacić za to krwią niewinnych ludzi. Żbik solennie przyrzekł sobie, że będzie czekał, tak długo, jak każą.

Nieoczekiwanie jednak przyszedł inny rozkaz. A wraz z nim papiery na nowe nazwisko.

- Przenoszą cię do Częstochowy. Tutaj jesteś spalony. Nasz człowiek w gminie podsłuchał rozmowę piotrkowskiego gestapo z wójtem Mayerem.

- Piotrkowskiego? Więc...

- Na to wygląda - pokiwał smutno głową Grzmot - że Zimny wyspał cię, nim zdążył się otruć.

*

Warszawa, Generalne Gubernatorstwo. Wiosna 1941 roku

Wnętrze przestronnego mieszkania. W salonie ustawiono dwanaście krzeseł, w trzech rzędach. Naprzeciw nich stół, na nim świecznik i dwa ładne tapicerowane krzesła. Krząta się między nimi Pola.

Pola - aktorka, kochanka Fenixa, w tajemnicy przed nim współpracownica lewicowej konspiracji. Szatynka, nadzwyczaj zgrabna i ładna podobna do Lody Halamy.

Podchodzi do niej młody, zabójczo przystojny mężczyzna. Coś szeptem Poli na ucho, ona się śmieje. Mężczyzna zapala świecę. Pukanie do drzwi. Pola chwytając go za rękę, wybiegają do drugiego pokoju.

W korytarzu czuwa starszy dystyngowany pan. Otwiera. W drzwiach stoją dziewczyna i chłopak. Młodzi, nie mają więcej niż piętnaście lat, uderzająco podobni do siebie. Oboje rudowłosi, zapewne bliźnięta. Kłaniają się starszemu panu i chłopak pyta:

- Księżę jest w zamku?

Starszy pan kiwa głową, mówiąc:

- Jest, lecz o tej porze bardzoście wasze poselstwo spóźnili.

I wpuszcza młodych do środka. Pokazuje wieszak w przedpokoju, chłopak pomaga

dziewczynie zdjąć płaszcz. Rozlega się kolejne pukanie. Dziewczyna nieco spłoszona. Starszy pan otwiera.

- Książę pan na zamku? - pyta nowy gość. Starszy pan gniewnie marszczy brwi.

- Przepraszam, to z nerwów - szepce gość i poprawia się: - Książę jest w zamku?

- Jest, lecz o tej porze bardzoście wasze poselstwo spóźnili - kiwa głową uprzejmie starszy pan i wpuszcza gościa. To młody chłopak w bryczesach, oficerkach i samochodowej kurtce, z jej kieszeni wystaje fajka. Starszy pan obrzuca jego ubiór krytycznym spojrzeniem. Chłopak rumieni się.

Rudowłosi wchodzą do salonu, siadają z boku, nieco wstydliwie. Dziewczyna poprawia spódniczkę, rozgląda się. Słysząc kolejne pukanie do drzwi. W odstępach co siedem i pół minuty przybywają kolejni goście. Rząd drugi i trzeci już zajęte. Pozostały tylko miejsca w pierwszym. Publiczność siedzi cicho, z uwagą nad słuchując kolejnych hasel i odzewów. Przez szparę w drzwiach z sąsiedniego pokoju zerka Pola. Ma tremę. Po następnym pukaniu wchodzi elegancki mężczyzna w garniturze, o spokojnej i nijakiej twarzy i dystygowana młoda dama. Kobieta ma przy kapeluszu skromną, białą stokrotkę przypiętą broszą w kształcie srebrnej jaszczurki.

- Aleksandro, pozwól tędy. - Jaxa prowadzi żonę do pierwszego rzędu.

Jaxa - założyciel i komendant Związku Jaszczurczego, konspiracyjnego zbrojnego ramienia ONR. Inżynier. Szczupły blondyn. Do wąsów właśnie zapuścił brodę, by zmienić wygląd i zmylić wszystkich tych, którzy go śledzą. Ewentualnie.

Mija przepisowe siedem i pół minuty i nie rozlega się pukanie do drzwi. Każda z dziesięciu osób na widowni sprawdza zegarek z niepokojem. Robi to też Pola, jej przystojny towarzysz, i starszy pan u drzwi. Po dziesięciu minutach rozlegają się szmery na sali. Po trzynastu - chrząknięcia.

Pola szepce do swego towarzysza:

- Może trzeba odwołać?

Po piętnastu minutach rozlega się pukanie i wszyscy wstrzymują oddech.

- Ćśśś - mówi przystojny do Poli. - Nie denerwuj się, pan Leon jest przygotowany na każdą ewentualność.

Pan Leon otwiera.

- Książę jest w zamku? - bardzo powoli pyta gość. Podejrzanie powoli.

- Jest, lecz o tej porze bardzoście wasze poselstwo spóźnili. - Odpowiada pan Leon z rezerwą.

- To moja wina, panie starszy, najmocniej przepraszam i chętnie to panu wynagrodzę.

- Drugi z gości wyjmując gruby portfel, z niego banknot. Usiłując go włożyć Leonowi do kieszeni. Pan Leon zamyka im drzwi przed nosem.

- To twoja wina - mówi pod drzwiami Tuptuś do Fenixa.

Tuptuś - Kazio Komorowski. Konspiracyjny dowódca Fenixa. Prywatnie przyjaciel.

Fenix - przedwojenny bokser Żydowskiego Klubu Sportowego „Makkabi”. Obecnie konspirator, niekoronowany król knajp. Pozbył się udziałów w szmuglu żywności, ale zostawił je w spółce handlującej dobrami luksusowymi. Kochanek Poli.

- No przecież powiedziałem, że moja - złości się Fenix. - Zrób coś!

- Nie odzywaj się - instruuje go Tuptuś. Puka do drzwi jeszcze raz. Pan Leon otwiera.

- Zaraz, natychmiast - mówi wolno Tuptuś z powagą patrząc na pana Leona - choć w spóźnioną porę, Litaworowi o posłach doniesienie; niebezpieczeństwo na moją głowę biorę, a wy dla znaku pierścienia tylko weźcie.

Pan Leon kiwa głową z zadowoleniem i odpowiada:

- Nie trzeba więcej: skoro ujrzeliśmy godło, pozna, kto jestem i co nas przywiodło.

Wpuszcza Fenixa i Tuptusia, i podczas gdy oni zdejmują płaszcze, mówi:

- Proszę się pospieszyć, po deklamacji przewidziana jest dyskusja z publicznością, a godzina policyjna obowiązuje wszystkich.

- Mam przepustki, mogę wystawić - wyrwało się Fenixowi.

Na szczęście tego pan Leon nie dosłyszał. Jego wiek ma swoje prawa. Wchodzą do salonu, przeciskają się do pierwszego rzędu. Wreszcie siadają. Otwierają się drzwi sąsiedniego pokoju i wchodzi przystojny młodzieniec.

- Dobry wieczór państwu!

- Dobry wieczór! - odpowiada głośno Fenix.

Orientuje się, że coś nie tak, bo nikt więcej nie odpowiedział. Tuptuś szepce do niego ostrzegawczo:

- Nie odzywaj się.

- Grażyna Adama Mickiewicza to niezwykle, pełen zagadek poemat... - mówi młodzieniec.

Rudowłosa dziewczyna rumieni się tak mocno, że jej identycznie rudowłosy towarzysz chwytając ją za rękę, jakby dla dodania otuchy.

- Grażyna to opowieść... - ciągnie przystojny.

Rudowłosa zarumieniła się jeszcze bardziej i skuliła w sobie. Jaxa potakuje głową z powagą. Jego narzeczona uśmiecha się lekko. Młodzieniec kończy przemowę i można klaskać. Tak przynajmniej robią wszyscy. Fenix lekko naburmuszony nie klaszcze. Ale kiedy

otwierają się drzwi i wychodzi z nich Pola, Fenix zrywa się z miejsca i entuzjastycznie bije brawo. Młodzieniec w bryczesach i z fajką poprawia włosy, prostuje się i rumieni. Też nie spuszcza oka z Poli. Ona ubrana jest skromnie, w białą bluzkę i granatową spódniczkę. Kłania się publiczności i oboje z młodzieńcem zajmują miejsca przy stoliku. Pola usiłuje nie patrzeć na Fenixa. Fenix patrzy tylko na Polę. Gdy dziewczyna zakłada nogę na nogę, wydaje mu się, że ma kabaretki i różowe podwiązki. To bzdura. Pola ma spódniczkę do połowy łydki. Młody, zabójczo przystojny i ona czytają na zmianę. Publiczność zasłuchana. Narzeczona Jaxy wzruszona, szuka w torebce chusteczki. Cichutko, oczywiście. Fenix zmęczony, skończył dyżur w knajpie nad ranem. Przysypia. Śni mu się Pola w lśniącym brokatowym staniku.

- Na tętent koni zbiegli się strażnicy, Chcąc bliżej poznać i męża i stroje.

Pierwszy mąż jechał w zupełnej zbroicy, Jaką zwykł Niemiec przywdziewać na boje;

Po sali przeszło westchnienie. Słuchacze poczuli grozę. Poczuli geniusz wieszczka i obecność wielkiej poezji we własnym życiu. Każdy z nich zobaczył żołnierza Wehrmachtu w okularach na motocyklu albo gestapowca kroczącego władczo warszawską ulicą. Fenix ocknął się i zasłuchał. Aktorzy czując elektryzującą więź z publicznością, w natchnieniu deklamowali wspólnie:

- I krzyż miał czarny na białej kapicy, I krzyż na piersiach u złotej pętlicy...

- Widzisz, Aleksandro - szepnął poruszony do głębi Jaxa do swej towarzyszki. - To Krzyżacy, odwieczny wróg polskiej ziemi. Widzisz, jak trafnie nazwałem organizację Związkiem Jaszczurczym?

- Tak - westchnęła Aleksandra.

- Trąbkę na plecach, kopiję u toku - w uniesieniu deklamowała Pola.

- Różaniec w pasie i szablę u boku - zakończył przystojny.

- A nie, jak z różańcem, to bojówka ONR - szepnął Fenix do zasłuchanego Tuptusia. - Widziałem taką przed wojną na uniwerku.

- Cicho - zgromił go ten.

Publiczność w emocjach biła brawo. W oczach Poli zalśniły łzy. Przystojny aktor zaczął dalej:

- Na trudach naszych w potęgę urasta:

Od Fińskich zatok po Chazarów morze

Wszystkie pod siebie zagarnął już miasta...

Sam w jakim mieście, w jakim siedzi dworze!

- Pieprzony Adolf - syknął Fenix i tym razem Tuptuś go nie uciszał.

Potem jednak Fenix nie mógł znaleźć w utworze żadnych współczesnych odwołań i

zajął się w obserwację sali. Jego uwagę przykuli rudowłosi. Gapił się na nich ze zdumieniem.

- A to co za lichy? - szepnęła i trącił Tuptusia. - Odbici na powielaczu? Ty widzisz czy ja mam halucynacje? Kropla w kroplę...

Kaziu nie reagował, słuchał.

- Była naonczas książęciu zamężną

Córa na Lidzie możnego dziedzica, Z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica, Zwana „Grażyną”, czyli „piękną księżną”;

Rudowłosa spłoniła się i uśmiechnęła. Chłopak spojrzał na nią, szepcząc:

- Jak o tobie, Grażynko.

- Nie daj Boże takich do konspiracji - plotkował cicho Fenix, zasłaniając usta chusteczką.

- Kogo? - spytał zniecierpliwiony Tuptuś.

- No te marchewki. Raz spojrzysz, zapamiętasz na całe życie. Wiesz, tacy charakterystyczni...

Tuptuś z irytacją spojrzał na spłaszczony nos Fenixa. Bokser nudził się dalej.

- Iglę, wrzeciono, niewieście zabawy

Gardząc, twardego miała oręża;

Często, myśliwa, na żmudzkim rumaku, W szorstkim, ze skóry niedźwiedziej kirysie, Spiąwszy na czole białe szpony rysie, Pośród strzelczego hasała orszaku;

Rudowłosa szepnęła do chłopca:

- A ty bronisz mi do bojówek. Żebyś wiedział, że pójdę!

Fenix fantazjował o Poli w kostiumie ze strusich piór. Dorzucił jej do niego spięte na czole białe szpony rysie. Pola niepokojąco falowała biodrami i piórami. Dorzucił jej różę w zębach. W jego fantazję wkradł się intruz w białym obcisłym brokatowym stroju, który brał Polę w ramiona. Fenix z przerażeniem otworzył oczy.

- „Zapalcie zgliszcze!” - Palą - ogień bucha.

- Ach! - krzyknął, bo zobaczył, że prawdziwa Pola, w białej bluzce i granatowej spódnicy, trzyma się z młodzieńcem za rękę. Odłożyli książki i recytowali z pamięci:

- A książkę dalej: „Wiecieli wy, czyje

Zwłoki na stosie giną?” - Cichość głucha -

„Niewiasta, choć ją męska zbroja kryje.

Niewiasta z wdzięków, a bohater z ducha!

Ja się zemściłem, lecz ona nie żyje!”

Rzekł, bieży na stos, upada na zwłokach, Ginie w płomieniach i dymu obłokach.

- Brawo! Brawo! - zerwał się Fenix i rzucił do Poli, by oderwać jej rękę od dłoni młodzieńca. Dziewczyna spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. On ukląkł i pocałował ją w dłoń.

Pan Leon oznajmił:

- Prosimy o nie klaskanie. Prosimy o nie wznoszenie okrzyków. Uhonorowaniem aktorów będzie państwa wymowne milczenie.

Fenix wrócił na miejsce i wymownie milczał przez całą dyskusję o klasycystycznym poemacie epickim, homeryckiej tradycji kalokagiaty oraz doktrynie czucia i wiary. Nie wypowiadał się także w kwestii cieni romantycznych ani bajronicznych. Przysłuchiwał się z uwagą, jak rudowłosa dziewczyna czerwieniąc się po czubki uszu, dyskutowała o ideale kobiety - obywatelki rodem z Plutarcha. Co jakiś czas nerwowo spoglądał na zegarek. Przeliczał w myślach liczbą lewych blankietów przepustowych, które miał w kieszeni, na liczbę ludzi obecnych na sali. W końcu pan Leon ogłosił koniec spotkania i wyszedł z eleganckim, obitym satyną pudełkiem.

- Prosimy o symboliczne wpłaty na potrzeby konspiracyjnych scen Warszawy - uklonił się i postawił pudełko na stoliku.

Pola i przystojniak uklonili się raz jeszcze i szli ku drzwiom zamkniętego pokoju. Fenix wyjął portfel i wpakował do pudełka plik banknotów. Pola cofnęła się i odwołała go na bok.

- Kochanie, wracaj sam. Ja muszę jeszcze chwilę zostać. Mamy próbę przed jutrzejszym Kordianem. Podobało ci się?

- Ty mi się podobałaś. Jesteś zachwycająca nawet w homeryckiej tradycji.

- Głuptas - pocałowała go szybko w policzek, tak by nikt tego nie widział.

- Ale poczekam na ciebie. Bardzo się wciągnąłem w sztukę.

- Nic mi nie będzie. Wrócę sama.

- Polu, Poleczko...

- Obiecałeś, że będę mogła pracować! - zrobiła do niego minę kokieterijną i groźną. - Ciesz się, że nie idę na barykady!

- Żałuję, że obiecałem. Ale pójdę. Będę smutny, samotny, ale pójdę. Tylko ten młodzieńca i ty będziecie na próbie?

- Nie, zaraz przyjdą aktorzy. Czekają tylko, aż wy wyjdziecie. Pan Leon czuwa - mrugnęła do niego. - No, nie przeciągaj, Feli, bo wszyscy na ciebie czekają. - Cmoknęła go w powietrze i zniknęła za drzwiami pokoju.

Fenix powlókł się za Tuptusiem.

Dziesięć minut po tym, jak publiczność partiami opuściła mieszkanie, z łazienki wyszedł młodzian w bryczesach. Pan Leon pokręcił głową, ale wskazał mu drzwi pokoju - garderoby.

W środku Pola i jej przystojny towarzysz rozdzielali stosy ulotek, układając je równo.

- Poznajcie się - wprowadziła Pola młodzieńca w bryczesach.

- Straszny - przedstawił się aktor.

- Groźny - uściśnął mu rękę młodzian w bryczesach i zaczerwienił się. - Gratuluję.

Grażyna była porywająca.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Pola. - Daj mi to, bo musimy jeszcze ze Straszny przygotować bibułę. Mamy mało czasu, dyskusja się przeciągnęła. Bardzo ambitna publiczność.

Groźny niezgrabnie wyjął z kieszeni fajkę i podał Poli.

- Wie pani, jak to wyjąć? - spytał.

- Daj spokój z tą panią, mów mi Pola. - Zapomniała, że gdy się do niego uśmiecha, peszy go jeszcze bardziej. - Rozkręcić cybuch?

- Tak... mikrofilmy są w środku. Nie powinno być żadnych kłopotów.

Pola z uwagą przyglądała się fajce. Schowała ją do torebki i klepnęła młodziana w plecy.

- Och, gdzie ja mam głowę! Jeszcze czekoladki! - przypomniał sobie natychmiast. Podał jej małą, elegancką bombonierkę.

- Uuu - Pola otworzyła ją i sięgnęła po jedną. - Belgijskie!

- Nie!... - Chwycił ją za rękę. - To znaczy belgijskie, ale proszę nie jeść. W środku są ampułki z cyjankiem...

Pola cofnęła rękę i roześmiała się.

- Apetyczne! - zatrzasnęła pudełko i odłożyła.

- Jakby co, to wie pani... wiesz, Polu, jak mnie znaleźć. - Młodzian gapił się na nią.

- Wiem. Trzymaj się, Groźny. Do zobaczenia.

Wyszedł speszony, oglądając się za siebie. Straszny zaśmiał się, gdy tylko pan Leon zamknął za nim drzwi.

- Albo młodziak widział cię w Roxy, albo ma fantazje! Nie pozbędziesz się uroku Lody Halamy, to nieuleczalne!

- Przestań. Wiesz, jak nie znoszę takich porównań.

- Dobra, dobra. Ale powiedz komu trzeba, żeby zakazali młodziakom chodzić w oficerkach i bryczesach. Toż to z daleka pachnie konspiracją. „Groźny”! Ale pseudonim to

sobie dopasował!

- Tak jak ty - zgromiła go cynicznie Pola. - Straszny.

*

Elliock w hrabstwie Dumfries, Szkocja, miejsce stacjonowania 4 Brygady Kadrowej Strzelców, pułkownika Sosabowskiego. Wiosna 1941 roku

Żołnierze kręgiem otaczają dwóch zawodników zmagających się w zapasach stylem klasycznym. Ktoś przyjmuje zakłady.

- Stawiam piwo na grubego! - oferuje Wiktor.

- A ja dwa przeciw tobie - przebija go Dor.

Porucznik Zub-Zdanowicz, pseudonim Dor - wraz z bratem Wiktorem wy dostał się z Polski po kampanii wrześniowej. Dowodził ochroną generała SzyszkoBohusza w czasie kampanii norweskiej. Wraz w Samodzielną Brygadę Strzelców Podhalańskich ewakuowany z Francji do Anglii. Przez dłuższy czas pełnił obowiązki szefa żandarmerii w szkockim miasteczku Cowdenbeath. Po wielu staraniach przeniesiony do 4 Brygady Kadrowej Strzelców, tzw. kanadyjskiej. Jako żandarm zasłynął „talentem do ludzi”. Jego brat jest saperem. Ma talent wyłącznie do ładunków wybuchowych i kobiet.

- Tęskniłem za tobą! Nie miałem się z kim kłócić! - Wiktor przekrzykuje dopingujących.

- A ja przeciwnie. Kłóciłem się ze wszystkimi. Gruby klepie! Wygrałem! - Dor uderza brata w plecy i egzekwuje piwo.

Żołnierze rozchodzą się.

- Wiesz, że już nie będziemy „brygadą kanadyjską”? - mówi Wiktor.

- Dlaczego? - Dor spina się, bo długo walczył o ten przydział.

- Bo jakoś rodacy z Kanady nie chcą zasilić naszych szeregów.

- Co za pech! - splotuwa Dor. - Akurat kiedy ja tu przyjechałem?!

- Widzisz, jaki jesteś sławny? Sierżant Kapusta zrobił ci propagandę w Kanadzie!

Sierżant Kapusta - wywodzący się z żołnierzy pochodzenia polskiego, ale rezydentów francuskich, przywódca buntu mulników we Francji i Szkocji. Postrzelony przez Dora w policzek podczas dyscyplinowania.

- Bardzo trafiony dowcip. - Dor krzywo poruszył brwią.

- Poczekaj - uspokoił go Wiktor i podprowadził za łokieć w ustronne miejsce. - Coś się kroi. Kilku chłopaków od nas, z saperów, było jesienią na kursie dywersyjnym w Inverlochy. Wyobraź sobie, że organizatorem kursu było SOE.

SOE, Special Operations Executive - Kierownictwo Operacji Specjalnych. Tajna

agenda rządu brytyjskiego powstała na bazie MI R, sekcji sabotażu Ministerstwa Wojny oraz zespołu do spraw propagandy. W zakresie jej działań było prowadzenie dywersji i wspieranie ruchu oporu w okupowanej Europie.

- I co? - niecierpliwił się Dor.

- I nic. Jedni wrócili ze szkolenia, pojechali następni. A ci, którzy wracają, jakby nabrali wody w usta. Nic, ani słowa. Ale wiesz, miny mają takie, że mówię ci, coś się kroi.

- Wiesz, wiesz... - przedrzeźniał brata Dor. Po chwili zaczął poważnie: - Wiesz, zastanawiałem się, czy nie przedostać się do kraju. Mówię serio. My tu gnijemy w bezczynności, w pozorowanych koszarach, na pozorowanych manewrach, a tam okupant robi z kraju miazgę. Wiesz, ile jest konspiracyjnych organizacji?

- Słyszałem, że nawet Naczelnny Wódz wszystkich nie zna.

- No właśnie. Tam jest wróg, więc jest z kim walczyć.

Zub-Zdanowicze nie byli na szczęście jedynymi, którym pilno było do walki. W sztabie aż kipiało, albowiem Polacy po to byli siłami zbrojnymi na Zachodzie, by wspomóc aliantów w wyzwaniu Ojczyzny. A gdy losy wojny okazały się iść zupełnie innym torem niż prosto pod Warszawę, każdy szukał sposobu, jak pomóc okupowanemu krajowi. W krótkim czasie Brygadę Kadrową Strzelców przekształcono w 1 Samodzielną Brygadę Spadochronową i rozpoczęto szkolenie skoczków. Rzeczywiście odbywały się one pod tajemniczym nadzorem SOE. Dor tak bardzo nie chciał być żandarmem, że wyzbył się wrodzonej niechęci do latania i zgłosił na kurs spadochronowy.

Ringway - ośrodek szkolenia spadochronowego. Wiosna 1941 roku

- Spadochron składa się z czaszy, uprząży i dwóch pokrowców. Czasza spadochronu wykonana z najwyższej jakości jedwabiu ma powierzchnię pięćdziesięciu metrów kwadratowych, co oznacza, iż średnica czaszy ma około ośmiu metrów...

Dor podsypiał na wykładach, co szybko zauważył siedzący obok niego, na oko czterdziestoletni kapitan, z charakterystycznie spłaszczonym nosem i nieodłączną fajką w zębach.

-...uprząż spadochronu składa się z dwóch prawych i dwóch lewych szelek nośnych, szelki siedzeniowej, dwóch szelek piersiowych, dwóch udowych, plecowych i zamka...

Kapitan robił notatki, a kiedy wychodzili na przerwę, wydarł z zeszytu kartkę, złożył na pół i podał Dorowi.

- Masz, poruczniku, bo po przerwie cię spytają i wylecisz z kursu - pyknął przy tym z fajeczki i uśmiechnął się krzywo.

- Dziękuję, kapitanie - wzruszył się Dor. - Już nadrabiam. Otworzył kartkę i zdębiał.

Rysunek przedstawiał wielkiego zająca z wąsami identycznymi jak nosił Dor. Zając spał w najlepsze, wisząc na rozłożonym spadochronie. Dor już miał się zachnąć, gdy dostrzegł, iż spadochron jest rozrysowany schematycznie i każda z części została nazwana. Szelka piersiowa, nośna, siedzeniowa. Rozejrzał się za kapitanem. Nigdzie go nie było.

Nie wrócił także na drugą część zajęć, która zaczęła się od odpytania Dora.

-...siedzeniowej, dwóch szelek piersiowych, dwóch udowych, plecowych i zamka wyrecytował bezbłędnie.

- Bardzo ładnie - pochwalił go wykładowca. - A teraz nauczę panów o pokrowcu.

Tym razem Dor nie spał, robił notatki. I kiedy wieczorem spotkał kapitana z fajką, wręczył mu kartkę.

- To dla pana. Rewanż.

Kapitan otworzył i obejrzał rysunek pakowania spadochronu. Z wnętrza pokrowca - koperty pykała fajeczka. Kapitan uśmiechnął się i podał Dorowi rękę.

- Kontrym.

- Zub-Zdanowicz.

- Co się panu stało w lewą brew? - zapytał kapitan bez ogródek.

- Pewnie to samo, co panu w nos - odpowiedział Dor.

- Pewnie nie - wyszczerzył zęby Kontrym. - Za młody jesteś, synku, na to samo.
Centrum Wyszukolenia Żandarmerii w Grudziądzu?

- Tak, a wcześniej Centrum Wyszukolenia Kawalerii, ale i tak co przydział, to żandarmeria.

Kapitan miał niezwykły uśmiech: nie wypuszczał fajki z zębów i wyglądał, jakby się jednocześnie śmiał, krzywił i chciał gryźć. Dor poczuł do niego sympatię.

- Słyszałem w sztabie, że trafił do nas słynny żandarm z Cowdenbeath.

Teraz Dor się skrzywił.

- A o moim talencie do ludzi też mówili?

- Różne rzeczy gadali, ale o talentach nic nie było. Coś o pełnej kartotece.

- Kartotece? To chyba źle pan kapitan słyszał. Jestem pewien, że to były pochwały przełożonych.

- Jak dla kogo - uśmiechnął się zębami Kontrym. - Gdybym ja był pana przełożonym, poruczniku, wziąłbym to za pochwały.

- To co z tym nosem, panie kapitanie? - chciał zrównoważyć siły Dor.

- Przed wojną z bolszewikami pracowałem w wywiadzie. Potem musiałem się ewakuować, pozorując własną śmierć. Po wojnie byłem komendantem posterunku straży

granicznej w Rubieżowiczach. Ruscy porwali mi jednego podwładnego. Ująłem się za nim i w odwecie uprowadziłem całą załogę ich posterunku. Nie chciałem strzelać, to miała być pokojowa zamiana. - Kontrym poruszył złamanym nosem.

- Wolałem się bić.

- Jest pan wzorem dowódcy. Takie oddanie wobec podwładnych.

Po tej wymianie komplementów zawarli przyjaźń. W pierwszych dniach jej trwania odkryli także, iż w czasie gdy Dor studiował na KULu, Kontrym służył w Lublinie w policji. Kurs spadochronowy przeszli obaj z wynikiem pozytywnym i w dniu jego zakończenia zostali poproszeni na indywidualne rozmowy do dowództwa.

Zub-Zdanowicz czuł, że coś się święci, kiedy zobaczył w gabinecie pułkownika Sosabowskiego dwóch nieznanych sobie oficerów.

- Panowie są z Oddziału VI.

Oddział VI - Samodzielny Wydział Krajowy przy Sztabie Naczelnego Wodza, zwany także oddziałem specjalnym. Komórka o szerokim spektrum działania skierowana na utrzymanie łączności z okupowanym krajem i wsparcie tworzących się pod auspicjami Naczelnego Wodza struktur Związku Walki Zbrojnej.

- Poleciałem panom pańską kandydaturę - dodał Sosabowski i Dorowi wydawało się, że to wielki komplement.

Po kilku okrągłych zdaniach padło coś bardziej konkretnego.

- Szukamy ludzi odpowiednio zdeterminowanych do walki - powiedział wyższy z oficerów.

- Jestem do panów dyspozycji - odpowiedział Zub-Zdanowicz.

- Odpornych na stres, obdarzonych odwagą osobistą, zdolnych do najwyższych wyrzeczeń, potrafiących pracować w warunkach konspiracji oraz posiadających pewne dodatkowe zdolności.

- Pozwolę sobie przypomnieć, iż mój dowódca w brygadzie podhalańskiej zauważył u mnie talent do ludzi.

Oficerowie wymienili się spojrzeniami i odchrząknęli.

- Tak. Mamy tu różne adnotacje. Myślę, iż w tej sytuacji istotną informacją będzie, że jeśli przystanie pan na naszą propozycję, pańska kartoteka, poruczniku, zostanie wyczyszczona.

Dor chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego sam odchrząknął.

- Rozumiem - odrzekł krótko. - Mogę poprosić o sedno panów propozycji?

- Skok do kraju - powiedział z powagą ten wyższy. A drugi z nich wyjaśnił:

- Przygotowujemy specjalnie wyszkolone grupy skoczków, których przetransportujemy do kraju i zrzućmy. Na miejscu podejmą pracę w strukturach konspiracyjnej armii polskiej zwanej Związkiem Walki Zbrojnej.

Zub-Zdanowicz pomyślał, że choć to niemożliwe, to jednak Wiktor miał rację.

- Na czym będzie polegała moja praca?

- Zostanie pan specjalistą od zadań bieżących, takich jak dywersja czy sabotaż. Ponieważ jest pan dobrym oficerem sztabowym, jeżeli takie będzie zapotrzebowanie czynników krajowych, mogą skierować pana do tworzenia struktur w terenie. Podlegałby pan bezpośrednio dowódcy w kraju, bo tylko tam, na miejscu, mają rzeczywistą wiedzę w kwestii realnych potrzeb. Z naszej strony zapewniamy skoczkom wszechstronne wyszkolenie.

Dor miał na końcu języka pytanie w rodzaju „czy to niebezpieczne”, ale rzecz jasna nie zadał go, bo wydawało mu się niewłaściwe, czy raczej dziecinne. Zastanawiał się chwilę nie tyle nad podjęciem decyzji, bo wiedział, co zrobi. Myślał tylko nad tym, czy ten rodzaj pecha, który prześladuje go od pewnego czasu, nie spowoduje, że kiedy trafi do Polski, to prawdziwa wojna wybuchnie na Zachodzie.

- Program, o którym rozmawiamy z panem, jest szeroko zakrojoną akcją przygotowania zbrojnego powstania w kraju i objęty jest ścisłą tajemnicą wojskową. Nie wolno panu o naszej rozmowie mówić z kimkolwiek. Ewentualnych przyszłych kolegów pozna pan dopiero na kursie przygotowawczym. Ponieważ zadanie jest ryzykowne, jeśli zdecyduje się pan, należy złożyć nam pisemne oświadczenie.

- Mogę je podpisać od ręki - oświadczył Dor.

- No wiadomo, że nie na maszynie! - zażartował wysoki oficer i natychmiast wyciągnął blankiet.

Na kursie spotkał kogo?

Oczywiście Kontryma. Kapitan wyszczerzył do niego zęby.

- Witam w klubie miłośników Sienkiewicza!

- Tak jest! Dołączymy do szeregu dobrych mołojców, którzy wskoczą w każdą awanturę, która ma kryptonim „Ojczyzna”!

Jednak nim dane im było wskoczyć w awanturę, musieli przejść zaawansowany kurs spadochronowy. Już nie było o uprzężach, szelkach i czaszy, były prawdziwe skoki. Równolegle z nimi małpi gaj w Largo Haus, o którym mówiono „życzenie śmierci 1” i nie było to przesadnie żartobliwe. Gdyby nie to, iż przełożonym na kursie był major Józef Hartman, większość z nich, z Dorem na czele, wzięłaby jakieś zwolnienie lekarskie z zajęć.

Józef Hartman - major, później pułkownik. Przed wojną osobisty adiutant prezydenta

Mościckiego. Polski komendant ośrodka szkoleniowego kursów walki konspiracyjnej w Audley End. Szef polskiej sekcji SOE, później w sekcji Secret Intelligence Service. Przez żołnierzy zwany „Tatą”.

O ile treningi sprawnościowe prowadzili Polacy, o tyle specjalistyczne szkolenie spadochronowe wzięli na siebie angielscy instruktorzy z RAF. Powtarzano z ust do ust rzekome słowa Szkota, podpułkownika RoperCaldbecka, dawnego adiutanta króla Jerzego, który był angielskim komendantem kursu: „To, co się tu wyprawia, to czyste szaleństwo. Ale skoro nasi mili przyjaciele Polacy sobie tego życzą, my jesteśmy tu po to, by im pomóc”.

Dor miał jednak od samego początku kłopot z instruktorem skoków, porucznikiem Richardem V. Tulletem. Ten, jeszcze nim rozpoczęli zajęcia, zwrócił uwagę Dorowi, by nie marszczył brwi, kiedy słyszy rozkaz, a zaraz potem, wiedziony jakimś szóstym zmysłem, wyczuł, że Zub-Zdanowicz boi się skakania.

- Nazwisko? - spytał na pierwszych zajęciach Tullet.

- Zub-Zdanowicz. Ząb Zub-Zdanowicz, Dor.

Wysoki i szczupły Richard V. Tullet spojrzał na niego nieprzychylnie i sam uniósł brwi.

- To jest jakiś żart, tak? - spytał uprzejmie, widząc, iż Kontrym i reszta kolegów Dora śmieje się cicho.

- Nie, panie poruczniku. To moje nazwisko i zawołanie rodowe oraz pseudonim - spokojnie wyjaśnił Dor. Dlaczego przyszło mu do głowy dobić Anglika zawołaniem rodowym? A, jakoś tak.

- Rozumiem. I zapraszam na rusztowanie. - Tullet chłodno skinął głową.

Po sufitem hali na specjalnym rusztowaniu zamontowane były uprząże, na których musieli wisieć i uczyć się operowania linkami spadochronu. To jeszcze nie było takie złe. Dużo gorsze przyszło tydzień później i nosiło nazwę „skok z wieży spadochronowej”. Tullet, który nie przyjął do wiadomości, iż „Ząb Zub-Zdanowicz, Dor” nie jest żadną złośliwością skierowaną ku niemu osobiście, wysłał Dora jako pierwszego do skoku z wieży. Dor skoczył. Raz, drugi i trzeci. I kiedy wydawało mu się, że upierdliwość porucznika V. Tulleta wyszła mu na zdrowie i pomogła wyzbyć się lęku przed skakaniem, przy czwartym skoku uderzył w ziemię tak pechowo, że potłukł się boleśnie. Przez kilka kolejnych dni obite żebra uniemożliwiały mu wzięcie oddechu.

- Cholerny Anglik! - pieklił się Dor. - Zrobił to celowo! Chciał mi się odgryźć! A co ja jestem winien, że nazywam się Zub-Zdanowicz, a ród się woła „Ząb”?

- Spokojnie, bo się udusisz - łagodził Kontrym, który mimo iż był najstarszy w ich

grupie, przez wszystkie skoki przeszedł znakomicie.

- Mam dla ciebie dwie wiadomości.

- Zaczynij od dobrej - jęknął potłuczony.

- Tullet nie będzie prowadził z nami skoków nocnych z balonu.

- Chwała Bogu!

- Odwołali go, bo parę dni temu, podczas ćwiczeń zabił się Kazik.

- Co?

- Miał pecha. Nie otworzył mu się spadochron. Nie ma w tym żadnej winy Tulleta, ale zawieszono go do wyjaśnienia sprawy.

- Kazik?

- Tak.

Do skoków nocnych mieli jeszcze kilka dni. Dor doszedł do siebie i był w dobrej formie. Ale wciąż myślał o tym, że śmierć na ćwiczeniach jest chyba najgorszą rzeczą, jaka się może im przytrafić. I kiedy nadeszła noc próby, skoki nocne, nazwane „życzeniem śmierci 2”, gdy kierujący skokami instruktor nie wyczytał jego nazwiska z listy, wziął to za rodzaj przesłania.

- Ty masz nie próbować nocnych skoków, Dor - powiedział sobie.

- Ty po prostu skoczysz, jak nadjedzie czas zrzutu.

Kurs mu zaliczono i nikt jakoś do sprawy nie wracał. Tulleta nie widział więcej, zresztą wkrótce przerzucono ich na inną placówkę.

- Co wy tak ciągle gdzieś jeździcie? - pytał zirytowany Wiktor, a Dora obowiązywała tajemnica wojskowa. - Przepraszam, ale zachowujecie się jak jacyś cichociemni.

- Daj spokój, bracie. Powiedz lepiej, co w saperach słychać - zmienił temat rozmowy Dor. Nie mieli na nią zresztą zbyt wiele czasu, bo Dor wieczorem wyjeżdżał na kurs walki konspiracyjnej i atakowania obiektów do Audley End. Uczono ich zasad radiotelegrafii i szyfrów, nadawania i odbierania depesz, atramentów sympatycznych i innych, równie sympatycznych czynności. A w ramach zajęć praktycznych mieli zdobywanie obiektów i wysadzanie tychże. Wszystko na serio, tylko ładunki były nieuzbrojone. Jeździli z miejsca na miejsce, a to do Glasgow, zobaczyć, jak się wysadza fabryki, a to na wybrzeże, by pokazać, jak skutecznie zablokować port.

Potem, jako rodzaj sprawdzianu, mieli przeprowadzić symulowane ataki na obiekty w okolicy, oczywiście w uzgodnieniu z miejscową policją, ale i w całkowitej konspiracji. Okazało się wówczas, że system obrony cywilnej Wielkiej Brytanii jest nadzwyczaj skuteczny.

Oto bowiem, gdy cichociemni, ucharakteryzowani na „prawdziwych Anglików”, szli zrobić napad na pocztę w sąsiednim miasteczku, rozbroili ich urzędnicy tejże poczty przy pomocy petentów, nim zdążyli wyjąć broń.

- Panno Mary! - krzyczała piskliwie leciwa dama do kogoś w rodzaju starszej siostry. - Trzymaj szpiega!

I ile sił w chudych ramionach trzymała Dora za nogi. Gdyby to był mężczyzna, nawet miły Anglik, Dor jednym delikatnym kopniakiem wyswobodziłby się. Ale kopnąć kobietę, która mogłaby być jego babką?! Ta druga złapała w pasie Kontryma, niczym pasek z wielką klamrą siwej głowy. Kapitan wznosił oczy do nieba i myślał o czymś podobnym jak Dor. Więcej szczęścia miał Bocian, bo jego okładała parasolką młoda dziewczyna, wyrwał więc jej narzędzie zbrodni i nie widząc, co dalej, przydusił dziewczynę do siebie w uścisku. Tymczasem starszy referent pocztowy wzywał policję.

Równie spektakularnie zakończyła się akcja pozorowanego ataku na stację kolejową. Wystarczyło, iż weszli na peron, a zawiadowca zatrzymał ich, oznajmił, że są aresztowani, i w mig zawiadomił władze.

Seria pozorowanych ataków sprawdzających na obiekty cywilne w Wielkiej Brytanii była z założenia skazana na porażkę.

Wieczorem na kwaterze wytłumaczył im to jeden z kucharzy.

- U nas każde dziecko, kobieta i mężczyzna wiedzą, że gdy zobaczą na ulicy nieznanych w miasteczku mężczyzn, zwłaszcza w grupie większej niż trzech, należy bezzwłocznie zawiadamiać policję! To jest prawdziwie obywatelskie zachowanie w czasie wojny! - pisał się kucharz. - U was, w Polsce, jest inaczej?

- U nas, synku, jest okupacja niemiecka - odpowiedział mu Kontrym. - Ale ty pewnie nie do końca rozumiesz, co to znaczy.

- Przeciwnie, kapitanie! Ja jestem chłopak z Wysp Normandzkich!

- wypiął pierś jak do orderu. - Jak Niemcy zajmowali Francję, zajęli i nasze wyspy. Chcieli pokazać nieugiętym Brytyjczykom, że mogą zagrozić ich terytorium. Bo my, choć przy wybrzeżu normandzkim, podlegamy Wielkiej Brytanii. Większość mieszkańców ewakuowała się do Anglii, ale ja nie zdążyłem na statek, zresztą nieładnie byłoby się tak przepychać, przed kobietami i dziećmi. Zostało nas może z pięciuset na wyspie. I jak przybyli Niemcy, od razu utworzyliśmy ruch oporu przeciw okupantowi.

- O! - zaciekawił się Dor. - Możesz coś opowiedzieć?

- Jasne! Wiele by gadać, powiem na przykład, że Niemcy wypędzili jedną rodzinę z hotelu.

Polacy spojrzeli po sobie, nie bardzo rozumiejąc, o co kucharzowi chodzi.

- O tak! - pokiwał głową ze smutkiem. - To byli właściciele luksusowego pensjonatu na wyspie. Przyszedł oficer Wehrmachtu i powiedział, że zajmuje hotel na kwatere dowództwa, a oni mają się przenieść do prywatnego mieszkania. Takie coś!

- Aha... to taką okupację masz na myśli?

- No przecież mówię. Represje. Wiele by gadać, ale na przykład, raz ja z kolegą zrobiliśmy akcję dywersyjną i na murach domów na głównej ulicy napisaliśmy w nocy farbą... - kucharz zniżał głos konspiracyjnie, zmierzając do wielkiego finału -...napisaliśmy „V” jako „Victory”, rozumiecie, zwycięstwo. Na znak, że my tę wojnę kiedyś i tak wygramy...

- Ojej - przerwał mu z powagą Dor. - A ile razy napisaliście „V”?

- Dwa - z dumą pokiwał głową kucharz. - I na drugi dzień okupant szukał sprawców. Solidarnie nikt się nie przyznał, bo nawet ci, którzy nie byli w ruchu oporu, trzymali z nami. I wiecie, co się stało?

- Ojej!... Nie wiemy - niemal nie udławił się Dor. - Mów, mów szybko.

- Nastąpiły represje. Niemcy przykładnie ukarali wszystkich mieszkańców!

- Jak? - Kontrym zagryzł zęby na fajce.

- Zgasili światło!

- O la la! - jęknął Dor, ale nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- Co mu jest? - zdziwił się normandzki kucharz.

- To z nerwów - zełgał, dławiąc się, Kontrym.

- Widzisz, a myśmy to przeżyli. Serio, wyłączyli prąd na całej ulicy. Na dwa dni. - Kucharz podrapał się za uchem zamyślony. - A co się mojej siostrze przytrafiło pod okupacją! Jechała rowerem z chłopakiem i trzymali się za ręce. Żandarmom niemieckim to się nie podobało! Zatrzymali ich... - chochlą wymierzył jak z karabinu.

- I?... - z nadzieją zapytał Kawa.

- I wykręcili im wentyle z kół! - dokończył historię zbrodni hitlerowskich kucharz.

Szkolenie zaczęło przyspieszać.

- Będziemy mieli kurs, na którym zamienią nas z żołnierzy w konspiratorów! - oświadczył Kontrym. - W przyszłym miesiącu.

- To jest ten od jedzenia korzonków? - spytał Bocian, jeden z ich szóstki.

- Nie, korzonkowy będzie teraz, latem.

- Coś w stylu harcerskiej sprawności na „trzy orle pióra”? - dopytał Kawa.

- Coś w tym stylu, tylko dłużej niż trzy dni samemu w lesie.

- A wypuszczą nas wszystkich jednocześnie? Co będzie, jak się przypadkiem w lesie spotkamy?

- Mamy się nie spotykać - uśmiechnął się Kontrym, który był ich nieformalnym dowódcą.

- Ale jeśli się zdarzy, że będziemy chcieli zapolować na jednego i tego samego królika?

- Panowie! - przerwał rozprawy cichociemnych oficer sztabowy, który wszedł szybkim krokiem. - Mam nadzwyczajną informację. W dniu dzisiejszym Niemcy zaatakowały Związek Radziecki. Wojna wkroczyła na nowe tory!

- Czy to znaczy, że nasz zrzut do kraju zostanie przyspieszony? - zapytał Kontrym.

- W tej chwili wszelkie dywagacje są przedwczesne. Sztab opracowuje dyrektywy dla nowego teatru wojny. Choć nie ukrywam, że wzajemne wyniszczenie dwóch naszych śmiertelnych wrogów na terenie jednego z nich byłoby wymarzoną przebiegiem wojny.

- Chłopaki! Wojna! - cieszyli się cichociemni, gdy sztabowiec wyszedł.

- Hitler dostanie w dupę! Może i ze Stalinem by wygrał, ale z „generałem Mrozem” nigdy!

- Albo jedni i drudzy wykrwawią się, a zjednoczone siły aliantów wkroczą i przypieczętują dwie kapitulacje: Hitlera i bolszewików!

- Jestem pewien, że nasza misja jest bliżej niż dalej - zagryzł fajkę Kontrym - bo jedno nie podlega dyskusji: Polska jest terenem, przez który atakująca Związek Radziecki armia niemiecka będzie przerzucała wojska, sprzęt i wszelkie posiłki. To wymarzone pole działania dla dywersji.

Byli w gorącej wodzie kąpani, a angielska flegma ostro dała się im już we znaki. Teraz, gdy bolszewicy przyjęli atak hitlerowców, wojna zdawała się iść pełną parą. Cichociemni przykładali się do kursów jeszcze bardziej niż wcześniej, jeździli na nartach, pływali, skakali, wysadzali, minowali, nadawali i odbierali. I czekali.

Ale na razie jedynym obserwowalnym efektem walk na froncie wschodnim był gwałtowny wzrost rusofilii wśród Brytyjczyków i jednoczesny spadek miłości do Polaków.

- Już przestaliśmy być jedynym sprzymierzonym.

- Czerwony Niedźwiedź przy wykrwawionym Białym Orle zdaje się Anglikom królem puszczy!

Ośrodek szkoleniowy odwiedzili politycy. Mikołajczyk, a potem sam premier i wódz naczelny, generał Sikorski. Wicepremiera Mikołajczyka żołnierze przyjęli chłodno. Podał każdemu rękę, pogratulował odwagi w wyborze i rzucił kilka okrągłych zdań, gdy zapytali go

o ustrój Polski po wojnie.

Sikorski zaś, może wiedząc o porażce spotkania z Mikołajczykiem, postanowił być mniej formalny. Zaprosił cichociemnych do parku, by posiedzieli wspólnie na trawie i porozmawiali.

- Panie generale - zapytał Kontrym - jak pana zdaniem będzie wyglądał finał wojny?

Odkąd Niemcy zaatakowali ZSRS, wszyscy wiedzieli, że wojna skończy się szybko, to nie podlegało akurat dyskusji.

- Najlepiej by było - odpowiedział Sikorski - gdyby kapitulacja została podpisana w czasie stacjonowania wojsk niemieckich na wschód od naszej granicy. Wsadzi się ich w pociągi i przewiezie przez Polskę koleją do Reichu.

- Jakie jest stanowisko naszego rządu w sprawie powojennych granic? - zapytał Dor. - Czy jako wynagrodzenie za zniszczenia kraju dostaniemy granicę na Odrze i Nysie?

- A pan porucznik co, z przedwojennego ONR? - uważnie przyjrzał mu się generał.

- Nie, skądże - zachnął się Dor.

- Stąd, że politycy narodoworadykalni już wystąpili z taką propozycją. Co wy myślicie? Że rządzenie państwem to jest to samo, co usiąść gołą dupą na blachę? Jak ja mogę żądać granicy na Odrze i Nysie? Co ja zrobię z milionami Niemców, którzy tam mieszkają?

Gdy ochłonęli po efekcie, jaki „dupa” z ust Naczelnego Wodza zrobiła na skoczkach, ruszyli do ataku.

- A dlaczego mielibyśmy żałować Niemców, panie generale? Za to, co zrobili nam we wrześniu? Hitler wysiedlał Polaków i nie przejmował się, gdzie będą mieszkali i z czego żyli!

- Nie, to nierealny postulat. Nikt nam nie da Odry i Nysy. Ja będę żądać Prus Wschodnich, Śląska Opolskiego i wyrównania granicy zachodniej gdzieś na Kołobrzegu, ale nic więcej.

- A granice wschodnie? - dopytywał Kontrym. - Co będzie, jeśli Stalin nie będzie chciał nam oddać terenów zaanektowanych w trzydziestym dziewiątym?

Sikorski nie odpowiedział od razu. Myślał chwilę.

- Nie biorę takiej ewentualności pod uwagę - odpowiedział w końcu - lecz muszę przyznać, iż ze Związkiem Radzieckim będziemy mieli problem. Brytyjczycy są pod wielkim wpływem Stalina już dzisiaj. Gorąco liczą na to, że gdy Rosja zwiąże siły Niemców na wchodzie, oni bez problemu będą odbijać zachód Europy.

- Chce pan powiedzieć, generale, że Brytyjczycy pragną mieć Stalina za sojusznika, alianta?

- Tak. Nie zwiążą się z Hitlerem przeciw Stalinowi, bo dla nich problem komunizmu

nie istnieje.

- W przeciwieństwie do nas - zagryzł wargi Dor.

- Proszę nie demonizować, poruczniku - uspokoił go Sikorski.

- Czarno to widzę - zwierzał się Zub-Zdanowicz, gdy generał odjechał. - Ruscy nie będą chcieli oddać tego, co raz chapnęli.

- Tfu, czerwona zaraza - sekundował mu Kontrym i pocierał złamany nos. - Mamy dwóch wrogów, nie ma o czym mówić.

W grudniu wybuchła kolejna bomba: do wojny włączyły się Stany Zjednoczone. Zapanała euforia. Pokonanie Hitlera było już tylko kwestią czasu.

- Na froncie wschodnim wykrwawia się wzajemnie nasi wrogowie, na zachodnim zwyciężą alianci!

- Panowie! - Kontrym wznosił toast szklaneczką szkockiej. - To najlepszy czas na skok do kraju! Hitler kapituluje, Sowietów nie podniosą się po klęsce. Przyszłość Polski będzie zależała od Polaków. Jedyne, czego nam trzeba, to wracać i być tam, na miejscu, w kraju!

Na początku 1942 skierowano ich na kurs odprawowy. To zdawało się wieszczyć rychły skok. Mieli przeszkolenie z organizacji konspiracyjnych w kraju.

- Liczba wszystkich organizacji waha się od pięćdziesięciu do stu - zerknął w kartkę oficer szkoleniowy - ale organizacją główną, podległą rządowi w Londynie jest Związek Walki Zbrojnej, który teraz, rozkazem naczelnego wodza zostanie przemianowany na Armię Krajową. Rozkaz generała Sikorskiego ma na celu centralizację wysiłku społeczeństwa w kraju na jednej, wspólnej organizacji, która będzie scalała wszystkie dążenia niepodległościowe. A w niedalekiej przyszłości Armia Krajowa stanie się podstawą odrodzonego Wojska Polskiego. Komendantem AK jest generał Grot-Rowecki.

- A co będzie, jeśli mniejsze organizacje nie będą chciały wejść w szeregi AK? Jeszcze do niedawna w kraju panowała niechęć do organizacji podległej rządowi.

- Sytuacja się zmienia. Muszą mieć panowie świadomość, że nieufność do ZWZ brała się z obaw, iż będzie on obsadzony przez sanacyjnych dowódców, których społeczeństwo oskarża o klęskę wrześniową.

Ale kapitulacja Francji uświadomiła Polakom, że wrzesień trzydziestego dziewiątego nie był wyłącznie winą nieudolnego dowodzenia, a raczej skuteczności taktyki Blitzkriegu. A w kwestii zjednoczenia podziemnego wojska: każda partia ma teraz własne bojówki. Ale utworzenie Armii Krajowej położy temu kres. - Szkoleniowiec uśmiechnął się. - Jeśli zaś organizacje nie będą chciały oddać się pod komendę AK, wódz naczelny wystosuje rozkaz integracyjny i sprawa zostanie rozwiązana.

- Co z komunistami? - spytał Dor.

- Zachowali się nadzwyczaj chytrze - wyjaśnił oficer polityczny. - W trzydziestym dziewiątym socjaliści z PPS utworzyli swoją Gwardię Ludową. A komuniści trwali w jakimś przyczajeniu, nie wiedząc pewnie, co mają robić, skoro ich ukochany Stalin też najechał na Polskę. Teraz zaś PPR przemianowało swoje dotychczasowe bojówki na Gwardię Ludową, czyli socjalistom podkradli nazwę już istniejącej organizacji. Zapewne w celu przejęcia mniej wyrobionych ideologicznie struktur w terenie. To dla was istotne, po skoku nauczą was rozróżniać jednych od drugich. Poza tym musicie wiedzieć, że komuniści zagarniają w swe szeregi niedobitki Żydów.

- Ja sobie przypomnę łuki tryumfalne w miasteczkach, to wiem, że nie muszą się za bardzo starać - powiedział Dor, mając w pamięci dekorowane kwiatami i wstęgami budowle, które widzieli z Wiktorem.

- Sytuacja zmieniła się diametralnie. Dziewięćdziesiąt procent polskich Żydów zamkniętych jest w gettach i poddawanych systematycznej eksterminacji poprzez pracę, głód i choroby. Nieliczni, którzy zdołali uciec z gett, lub w inny sposób znaleźli się poza nimi, często nie mają wyboru. Komunistyczna partyzantka zasila nimi swe szeregi, a oni idą do nich, bo po akcjach wysiedleńczych nie mają oparcia w społeczeństwie. Tak naprawdę dopiero po skoku, w okresie aklimatyzacji, zrozumiecie, jakie jest dzisiejsze społeczeństwo.

- Skaczemy na główkę do nieznanej wody? - zakpił ktoś z sali.

- W pewnym sensie. Społeczeństwo w kraju, poza komunistami oczywiście, ma pełną świadomość, iż mamy dwóch wrogów - Hitlera i Stalina. Ale pierwszym był Hitler i odkąd Armia Czerwona podjęła z nim walkę, nic już nie jest takie oczywiste. Nasi sojusznicy...

- Tak, wiemy!

- Słyszemy to na każdym kroku: Stalin jest wspaniały, Rosjanie odważni, Armia Czerwona ma największy potencjał zbrojny!

- Niedługo Brytyjczycy zaczną się uczyć słów Międzynarodówki! - parsknął śmiechem Kontrym, nie wypuszczając z zębów fajeczki.

- Wyklęty powstań ludu ziemi! - zahuczeli kursanci. - Jak to będzie po angielsku?

- Cisza! - zgromił ich surowo oficer. - I proszę o wyeliminowanie takich dowcipów z życia publicznego. Zwłaszcza gdy przebywają panowie w towarzystwie Anglików. Czy muszę przypominać, że korzystamy z ich gościnności?

- W zamian za niewykonane obowiązki sojusznicze z września! - krzyknął Dor.

- Muszą panowie popracować nad emocjami. Skoczek dywersant jest jednocześnie emisariuszem politycznym rządu do okupowanego kraju. Zapewniam panów, iż przy takim

podejściu wasza misja stanie pod znakiem zapytania. - Chłodno zakończył szkolenie oficer.

Jednak nie było żadnych znaków zapytania przy nazwiskach najaktywniejszych. Wszyscy zostali zakwalifikowani do skoku. Dowódcą grupy Zub-Zdanowicza był Kontrym, a znalazło się w niej łącznie sześciu skoczków: Kawa, Bocian, Lak, Kra, no i oni dwaj. Wyplacono im sześciomiesięczne pobory i kazano czekać. Dorowi i Bocianowi, po wcześniejszych awansach z podporuczników na poruczników, nie uwzględniono kolejnych.

- Przepisy nie pozwalają na dwukrotne awansowanie żołnierza w ciągu roku - oznajmiono w kadrach.

- Ale przepisy nakazują awans za skok do kraju - kłócił się wciąż jeszcze porucznik, choć spodziewany rotmistrz, Dor.

- Dostanie pan awans w przyszłym roku i wyrównamy panu pobory.

- Ale jak mi wyrównacie, skoro ja będę w kraju, a pobory tu? - denerwował się Dor, bo wiedział, iż z własnych pieniędzy musi kupić część rzeczy potrzebnych mu do skoku.

- Panów pobory będzie pobierał Oddział VI, bo jesteście już w jego składzie kadrowym.

- To zostawię upoważnienie dla brata. Proszę wypłacić Wiktorowi Zub-Zdanowiczowi należne mi wynagrodzenie.

- Nie ma takiej możliwości. Brat to nie żona, a więc nie rodzina. W świetle przepisów, oczywiście.

- No i gadaj tu z takim urzędasem! - Dor trzasnął drzwiami.

Była pełnia lata. Najlepszy czas na skok do kraju. Dowództwo kazało im się przygotować na taką ewentualność, iż po zrzucie przez dłuższy czas mogą przebywać w ukryciu. Należało zaopatrzyć się w cywilną ciepłą odzież. Dor przeliczył swoje skromne fundusze, klnąc raz jeszcze regulamin wojskowy i ruszył na zakupy. Nieprzemakalne skórzane buty, ciężka i bardzo ciepła jesionka. Kapelusz i porządne ubranie. Kalesony.

- Latem nie prowadzimy sprzedaży zimowych kalesonów. - Oznajmił uprzejmie angielski sprzedawca. - Zapraszam do naszego sklepu jesienią.

- Ale ja potrzebuję teraz.

- Przykro mi, nie mogę panu pomóc.

Mam pracować nad emocjami - policzył w myślach do dziesięciu Dor i poprosił sprzedawcę:

- Przecież ma pan magazyn w piwnicy, proszę zejść i przynieść mi kalesony.

- Skąd pan wie? - zaniepokoił się sprzedawca.

- Bo wszyscy macie magazyny w piwnicy.

- Nie mam kluczy. Na lato nie noszę kluczy od zimowego magazynu.

Strzelę mu w ten rudy łeb - pomyślał Dor i policzył do piętnastu.

- Drogi panie Smith. Zaufam panu. - Ściszył głos. - Jestem żołnierzem i zostałem odkomenderowany do polskiego wojska w Rosji. Wyjeżdżam za parę dni, nie mogę czekać do jesieni, aż pan zmieni klucze. Rozumie pan? Związek Radziecki, Stalin. W Rosji nawet latem jest potwornie zimno.

- Ach, trzeba było tak od razu! - ucieszył się Smith i z wewnętrznej kieszeni kamizelki wydłubał zardzewiały kluczyk. - Rosja! Stalin, nasz wielki sojusznik! Trzeba było tak od razu, już lecę, proszę minutkę poczekać i wszystko panu przyniosę!

Dor zdenerwował się na dobre dopiero teraz, ale na szczęście pan Smith zniknął w czeluściach piwnicy. Wrócił po chwili wystarczająco dłużej, by złość przeszła.

- Proszę, uprzejmie proszę - rozkładał na ladzie kalesony. - Pan sobie wybierze. Najcieplejsze, najlepsze. Anno! - W drzwiach prowadzących z wnętrza domu stanęła pani Smith. - Anno! Pan jest żołnierzem, wprawdzie Polakiem, ale jedzie na front do Rosji!

- Och! - Pani Smith zarumieniała się. - Proszę poczekać! - Wybiegła do domu i wróciła znacznie szybciej niż jej mąż z piwnicy. Pod jedną pachą nosła olbrzymi szal zrobiony na drutach, pod drugą pudełko.

- Proszę to przyjąć. To ciastka, sama pieklam, świeżutkie. A to szal... - W oczach pani Smith zaśniły łzy. - Przyda się panu. I proszę powiedzieć, tam, w Rosji, że my ich wszystkich bardzo wspieramy w walce z Hitlerem.

- A drugie kalesony w prezencie od firmy! - mrugnął pan Smith. Dor chciał jak najszybciej uciec stamtąd, bo widział, iż kroi się manifestacja. Sklepikarze gotowi byli zaraz wezwać sąsiadów i zrobić publiczną zbiórkę. Stanęli wzruszeni na baczność i odchrząknęli.

- Kalinka, kalinka, kalinka maya - drżącym głosem zaintonowali państwo Smith.

Potrzebował kilku sekund, by zrozumieć, co śpiewają. Pan Smith zasalutował i dalej śpiewali odważnie:

- F sadu yagoda malinka, malinka maya. Zabrał zakupy i uciekł.

Mieszkali na stacji oczekiwania STS 18 w rejonie Knebworth. Na małej fermie czekały na skok trzy ekipy po sześciu skoczków każda. Czas włókł się niemiłosiernie.

Kontrym dochodził do siebie po operacji plastycznej nosa, którą zrobiono mu, kiedy wywiad krajowy przekazał informację, iż charakterystyczna twarz kapitana znana jest wrogim służbom z racji tego złamanego szczegółu. Systematycznie odwiedzali ich oficerowie Oddziału VI i major Perkins z brytyjskiego wywiadu. Ulubionym zajęciem znudzonych cichociemnych było wyciąganie z majora informacji, których nie mógł im przekazać.

- Podobno macie swoich ludzi w otoczeniu Stalina? - podpuszczali Perkinsa.
- Ale wiecie, że Łubianka to też blisko Stalina, a jednak nie to samo?
- A ilu macie wywiadowców wśród oficerów Abwehry?
- A czy to prawda, że każdemu zamiast pseudonimu nadajecie numer?

Perkins nie dawał się wciągnąć w te zabawy. Na zakończenie miłej pogawędki powiedział jednak:

- Być może w swojej pracy spotkają się panowie z naszymi głęboko zakonspirowanymi agentami. Najlepsi z nich są krzyżowo powiązani z różnymi strukturami. Aby pomóc wam we wstępnej identyfikacji podamy panom w odpowiednim momencie hasło. Jednak jeszcze nie dziś. Czy major Perkins mówił prawdę, czy tylko chciał im się odgryźć za dowcipy, nie dowiedzieli się. Dwa dni później zespół Kontryma dostał rozkaz do rozpoczęcia operacji „Smallpox”. Nadszedł wyczekiwany czas skoku. I było to 1 września, równo trzy lata od rozpoczęcia wojny. Ekipę numer 11 przewieziono na lotnisko.

- Czy ja zawsze muszę mieć cholernego pecha? - sapnął Dor, próbując się ubrać.

Kombinezon żadną siłą nie chciał wejść na cywilne ubranie, zimową jesionkę i kamizelkę wypchaną pieniędzmi.

- Pomogę ci - Kontrym pykał z fajki wprost w twarz Dora i próbował upchać przyjaciela.

- Zamówiłem rozmiar, zapominając o jesionce i cichociemnej kamizelce - przyznał się Zub-Zdanowicz. - I nie widziałem, że wsadzą nam do niej pół banku!

Kamizelki miały zaszyte na brzuchu rulony złota, a na nerkach papierowe banknoty. Żaden z nich nie wiedział, ile wiezie pieniędzy, kwitował ich odbiór, a później miał pokwitować przekazanie pieniędzy Armii Krajowej. Ważyły po kilka funtów, a w połączeniu z jesionką i porządnym angielskim wełnianym ubraniem były strojem co najmniej niewygodnym. Ale Kontrym posłuchał się nawet spadochronowy kombinezon i po dziesięciu minutach Dor był wprawdzie zlany potem, ale upchany. Na plecy spadochron, na głowę hełm gumowy, na udzie saperska łopatką. Elegancki kapelusz złożył i wcisnął w zewnętrzną kieszeń. Nóż i dwa kolty także. Wsiedli do samolotu. Kontrym, Kawa, Bocian, Lak i Kra stali w skupieniu przy małym okienku, patrząc na nocny Londyn. Zub-Zdanowicz leżał niczym baleron na dnie samolotu. Ugotowany i skrępowany. Gdyby nie to, że nie mógł się ruszać, skakałby z radości, że leci do Polski.

Część IV.

POLSKA WALCZĄCA

Warszawa, Generalne Gubernatorstwo. Lato 1941 roku

Jest wczesny wieczór, do godziny policyjnej pozostało nieco czasu. Ludzie gromadzą się przy słupach ogłoszeniowych, na których rozplakatowano wiadomość o inwazji Niemiec na ZSRS. Trzej mężczyźni w garniturach i kapeluszach z zadowoleniem studiują plakat i ruszają przez plac Napoleona. Jeden z nich, znacznie niższy od dwóch pozostałych, stepuje.

- Olo, ty wzrost masz mizerny, ale nogi olbrzymie! - mówi wolno jeden z nich.

- Jaki rozmiar butów, przyjacielu, jeśli wolno wiedzieć? - ciekawi się drugi.

- Dziewiątka, ale śmierdzą jak piętnastka! - odpowiada, nie przerywając stepowania, trzeci.

Tuptuś - Kazio Komorowski, krewny Bora Komorowskiego, późniejszego dowódcy Armii Krajowej. Konspiracyjny dowódca Fenixa. Prywatnie przyjaciel.

Fenix - przedwojenny bokser Żydowskiego Klubu Sportowego „Makkabi”.

Obecnie konspirator, niekoronowany król knajp. Pozbył się udziałów w szmuglu żywności, ale zostawił sobie w spółce handlującej dobrami luksusowymi. Impresario Aleksandra Łapuszka.

Aleksander Łapuszek - artysta kabaretowy specjalizujący się w wirtuozerskiej grze na harmonijce ustnej oraz pokazach gwizdania. Przed wojną jedna z gwiazd wytwórni płytowej Syrena Elektro. Współpracuje z konspiracją.

Wchodzą do „Maxima”. Wita ich szatniarz, volksdeutsch Herr Gurke. Zza jego pleców daje im jakieś znaki chłopak, zwany Ignacem.

- Dobry wieczór, panie Ogórek! - Fenix podaje mu płaszcz. - Coś pan taki kwaszony?

- Chryste na niebie - szepce poblady szatniarz. - Za współpracę z wami i tego tu nicponia, który udaje mego syna, wkrótce mogą być konserwowy. Panie Fenixie, na sali są Niemcy.

- No naturalnie, że są Niemcy! Wszyscy jesteśmy w pracy, panie Ogórek.

- Nie, panie Fenixie, to nie są tacy Niemcy co zawsze, to jacyś inni. Nie znamy ich.

- Nawet ja! - wyrywa się konfidencko zwany Ignacem kieszonkowiec. - I nic panom o nich nie powiem, bo materiału do analizy nie zostawili!

- W płaszczach siedzą? - wtrącił się Tuptuś. - To bardzo nieelegancko. Może na kogoś czekają?

- Może na nas? - mrugnął Fenix i na wszelki wypadek wyjął spod marynarki broń i podał wraz ze swym kapeluszem szatniarzowi.

Herr Gurke zbladł i szybko oddał „gorący” pakunek Ignacowi.

- Bardzo słusznie - wydukał Tuptuś i wyrecytował formułę organizacyjną: - Używaj cyjanku zamiast rewolweru.

- Raz kozie śmierć, idziemy! - zawyrokował Fenix, który nie znoślił gadania o cyjanku. Za każdym razem, kiedy Tuptuś przynosił mu ampulkę, Fenix brał ją, a następnie na wszelki wypadek wyrzucał. Zresztą jak mógł trzymać truciznę w mieszkaniu, które dzielił ze słodką Polką?

Ledwie jednak weszli na salę, podeszło do nich dwóch identycznych oficerów gestapo, w płaszczach.

- Pana dokumenty poproszę - odezwał się po niemiecku ten z prawej.

- I miei documenti? - zapytał swoim wyuczonym włoskim akcentem Fenix. - Ecco qua, gentilmente! - Jednocześnie sięgnął do wnętrza marynarki i palcem odliczył po guzikach odpowiednią kieszonkę. Pierwsza: polskie, druga: rumuńskie, trzecia: włoskie. Wyjął dokładnie te, które trzeba, i z uśmiechem podał oficerowi. - Prego!

- Giuseppe Santucci - odczytał gestapowiec. - Co pan robi, panie Giuseppe, w Warszawie?

- Mieszkam, cóż począć! - przeszedł na niemiecki Fenix. - Mio padre era italiano, mamusia Polka. Oboje nie żyją, dolore, a ja włoski temperament, zajmuję się sztuką! Pozwolą panowie, że przedstawię, mój podopieczny Aleksander Łapuszek! Gwiazda estrady!

Gestapowcy spojrzeli na niego i na siebie. Oddalili się o dwa kroki i naradzili.

- Musimy sprawdzić pana dokumenty. - Wrócili po kilku szwargotach na boku. - Kim jest pański drugi towarzysz? Nie wygląda na artystę.

- To mój księgowy, commercialista, panowie rozumieją! Ktoś musi pilnować wydatków.

Tuptuś zrobił urażoną minę i sam w razie czego odliczał kieszonki w myślach. Pierwsza: monter instalacji, druga: urzędnik, trzecia: księgowy.

Ale jego wygląd ani osoba nie budziły zainteresowania Niemców. Oficer z lewej wziął papiery Fenixa i wyszedł, oficer z prawej zaproponował:

- Może usiądziemy i porozmawiamy?

- Z przyjemnością! - skłamał z szerokim uśmiechem Fenix. - Zapraszam do mojego służbowego stolika. Aleksandrze, proszę, idź do garderoby i przygotuj się do pracy. A ty... - zapomniał na chwilę, jakie imię nosi Tuptuś jako księgowy -...ty, mój drogi, idź na zaplecze i

sprawdź rachunki.

Godzinę pocił się z gestapowcem przy stoliku, zachwalając Mussoliniego i przyjaźń dwóch wielkich wodzów. Był spokojny, że Łapuszek poinstruuje dziewczyny, by nie robiły tego wieczora nic poza pracą na scenie. W końcu ten drugi, choć identyczny z pierwszym, wrócił. Oddał mu papiery i powiedział:

- Wszystko w porządku, panie Giuseppe. Poza kontaktami z prostytutkami nic nie mamy na pana.

- Ach, prostytutka! Belle donne! - Wymusił na sobie coś w rodzaju zawstydenia. I tak było mu gorąco, więc miał nadzieję, że się właśnie rumieni. - To nie jest zakazane, prawda?

- Nie. - Bez przekonania odparł ten, co z nim siedział i nagle wyszeptał: - Mógłby pan nam jakąś polecić?

- Oczywiście, z przyjemnością! Trypra się panowie nie boją? Spojrzeli po sobie niepewnie.

- Bo za to nie mogę ręczyć - smutno rozłożył ręce Fenix. - Scusate...

- Do widzenia panu! - oświadczyli i wyszli. Zamówił dużą wódkę.

Uff. Jego charakterystyczny wygląd musiał prędzej czy później narobić mu kłopotów. Nad ranem, kiedy wrócił do domu i czekającej na niego Poli, wciąż to jeszcze przeżywał.

- Daj spokój, Feli - pocałowała go i rozpięła mu rozporek. - Dobrze, że nie zdjęli ci spodni. Miałbyś identyfikację w minutę i szlag by trafił Giuseppe w Warszawie... - mruczała mu do ucha.

Pola - aktorka tajnych scen warszawskich. Szatynka, nadzwyczaj zgrabna i łudząco podobna do Lody Halamy. Działaczka socjalistycznej konspiracji, w konspiracji przed Fenixem.

- Niby tak, choć mam jeszcze z zanadru legendę o operacji stulejki w dzieciństwie. W klinice w San Remo! A tobie jak minął dzień, skarbie?

- Dobrze - powiedziała Pola. - Próby do Dziadów, jedno czytanie Ballad i romansów...

Ucieczka przed żandarmerią, która obstawiła lokal, powiadomienie całej siatki o kotle, przepakowanie ulotek w torby z brudną bielizną, przewiezienie dwóch rewolwerów i amunicji w wózku spacerowym wraz z dzieckiem koleżanki - wyliczała w myślach to, czego nie mówiła Fenixowi. Kochała go takim, jakim był, i nie chciała obciążać swoją prawdziwą działalnością. Kto mniej wie, lepiej śpi - myślała - a Feli ma na sen niewiele czasu. Interesy pochłaniają go bez reszty. Fenix wskoczył do łóżka. Zaczęli się całować. Pola po chwili wyrwała mu się z objęć i powiedziała:

- Rozstrzelali dzisiaj na ulicy trzech Żydów, uciekinierów z getta. Tam się dzieje coś

złego, jak się słucha tych wszystkich plotek...

- To nie słuchaj - pogłodził ją po nagich plecach Fenix.

- Boję się. Feli, a jeśli odkryją, że ty?... Jeśli zabiorą mi ciebie do getta?

- Daj spokój, skarbie. Giuseppe Santucci to mocne papiery. A żydowski to naprawdę jedyny język, którego nie znam.

- Ale jest wielu, którzy ciebie znają. Wielu pamięta cię z ringu. Jesteś charakterystyczny i wcale się ze swoim nochalem nie kryjesz!

- Podobieństwo Giuseppe do Fenixa jest doprawdy przypadkowe. Pracowałem na włoską legendę od początku konspiracji i to moja najpewniejsza tożsamość. No już, całujemy się i przechodzimy do rzeczy - przygarnął do siebie Polę. - A gdyby mi się coś stało, to pod naszym łóżkiem jest skrytka, a w niej nieco gotówki. Uspokojona?

- Uhm - całowała go Pola, choć w istocie nie była ani trochę bardziej spokojna.

Jednak po incydencie z wylegitymowaniem na jakiś czas zniknął z knajpy. Tym bardziej że dostał rozkaz bliższego zajęcia się kapitanem Tolligiem. Kierownictwo ZWZ było pewne, że jako kapitan Abwehry Tollig miał za zadanie werbowanie Polaków do działalności antykomunistycznej. Fenix już miał na koncie sukces w relacjach z Tolligiem, bowiem pracował nad nim od roku, lecz dopiero teraz, po inwazji Niemiec na ZSRS, ówczesne informacje zostały należycie docenione. Wcześniej meldunek Fenixa, iż kapitan Tollig przewiduje czerwcową wojnę Hitlera ze Stalinem, wzięto za efekt kompletnego pijaństwa. Prawda, Fenix upił Niemca, ale sam mógł łać w siebie wódkę litrami bez wyraźnego efektu, natomiast Tollig miękł w krzyżu już po kilku setkach. Niemniej jednak tamten proroczy meldunek poczytano Fenixowi na konto zbytniego upojenia źródła, a teraz polecono wznowić kontakt na poczet przyszłych wiadomości. Fenix brał sobie do serca rady przełożonych, ale aby rozmawiać z Tolligiem musiał pić. Albowiem oficer Abwehry był w cywilu doktorem filozofii i nijak na trzeźwo nie mogli się dogadać. Dzięki niemu poznał niejakiego Scholtza, volksdeutscha, starszego dystygowanego pana.

- Herr Scholtz handluje materiałami budowlanymi, jest zainteresowany poszerzeniem działalności na tereny Lwowa.

A nasza organizacja jest zainteresowana zebraniem danych wywiadowczych z tego samego obszaru - pomyślał Fenix i wyjął z kieszeni butelkę koniaku.

Dalej poszło szybko. Tuptuś przejął knajpę, a Fenix wraz z dwoma nowymi towarzyszami, Leonem i Jurkiem, pana Scholtza.

Na początek kupili od niego cudownego chevroleta, model 1939, po czym zawiązali nieformalną spółkę. Scholtz wkładał do niej swą bezcenną aparycję i bezpieczne papiery

volksdeutscha. Jurek, przedwojenny kierowca rajdowy, i Leon, mechanik samochodowy, stanowili ekipę techniczną. A Fenix pod przykrywką handlowca miał wykonywać działania wywiadowcze. Oczywiście te ostatnie pozostawały poza okiem robiącego własne interesy Scholtza. Najpierw ruszyli do Lwowa, ale zaraz jak tylko Niemcy umocnili się w Wilnie, szefostwo skierowało ich na Wileńszczyznę. Przekonanie volksdeutscha do nowego kierunku nie było trudne, bo jeśli nos ich nie mylił, elegancki pan Scholtz był zwykłym oszustem. Leon słyszał nie raz, jak oferował sprzedaż materiałów budowlanych i brał za to sowite zaliczki. O realizacji zamówień z pewnością nie myślał i widać było, iż wyjazd do Wilna jest mu na rękę.

W Wilnie Fenix nawiązał kontakt z panem Z., oficerem WP, który cudem uniknął kataklizmu z rąk jednego i drugiego wroga. Jurek zaś w chwilach wolnych od grzebania pod maską samochodu romansował z córką polskiego kolejarza, piękną panną Marią Nowak. Ponieważ kończyły im się fundusze, a panna Nowak, za zgodą rodziców, zaproponowała kwatery u siebie, przyjęli zaproszenie z ulgą. Scholtz został w hotelu, ale jego było stać, brał w końcu zaliczki! Zostali w Wilnie jeszcze dwa tygodnie, realizując zadanie tworzenia łączności między tutejszymi komórkami konspiracyjnymi a komendą w Warszawie. Czas był wracać. Fenixowi cknęło się za Polą. Panna Maria łkała. Jurek przysięgał, że wróci, a Scholtz pytał, czy zgodzą się jeszcze tu wrócić.

W Warszawie Tuptuś miał dla niego smutną wiadomość, że „komórka knajpiana” w „Maximie” na razie zawiesiła działalność.

- Nie martw się, dziewczyny z głodu nie zginą, Łapuszek też.
- Ale my zginiemy! - martwił się Fenix. - Rynek zalany towarami wszelakimi. Do wyboru, do koloru! Łatwiej kupić dzisiaj dwunastokaratowy diament niż kilo wędzonki! Słuchaj, Kaziu, może powinniśmy wrócić do spożywki?
- Wykluczone, wykluczone. Organizacja ma dla nas poważne zadania.
- Ja rozumiem i się nie uchylam, ale wiesz, mam kobietę na utrzymaniu. Ona na tych Kordianach nie zarabia!
- Uspokój się już. Idziesz na akcję.
- Jaką? - zainteresował się Fenix.
- Włamanie i kradzież.
- To może dam ci Ignaca, wiesz, tego z szatni.
- Wykluczone. - Tuptuś zrobił się jakiś bardziej władczy. - To nie akcja dla kieszonkowca. Idzie kasiarz, ślusarz i ty z Jurkiem jako ochroniarze.
- To co my będziemy jakiś bank robić?
- Willa gestapowca. Polka, sprzątaczką, nadała nam tę robotę. Cholerny Hans się upaś!

na okradaniu Żydów z getta.

- Że niby co, na lojalność mnie bierzesz? - wciąż jeszcze burczał stęskniony za swą knajpą Fenix.

- Organizacja potrzebuje funduszy, a najuczciwszym sposobem na zdobycie środków jest okradanie Niemców.

Dzień później poszli na akcję. Fenix i Jurek w pończochach na twarzy wyglądali paradnie, ale i zawodowo. Uzbrojeni w granaty i parabelki weszli jako pierwsi. Rozkład mieszkania rozrysowała im wcześniej sprzątaczką. Gestapowiec, jego żona i siostra siedzieli w salonie i przy trzech odrębnych stolikach karcianych układali pasjanse. Byli tak zaskoczeni, że nawet nie pisnęli. W czasie gdy Fenix obezwładniał mężczyznę, Jurek zdążył związać obie panie. Oczywiście zakneblowali ich, nie polegając wyłącznie na poczuciu przyzwoitości napadniętych. Jednak kasiarz i ślusarz okazali się zbędni, bo sejf w miejscu wskazanym przez sprzątaczkę był otwarty na oścież.

- Pewnie sobie lubią do pasjansa popatrzeć na brylanty, skurwysyny.

- Ty złodzieju! - warknął Fenix, kopiąc gestapowca i wkładając do torby całe garście złotych papierośnic.

- O rany! - krzyknął z kuchni kasiarz. - Musicie to zobaczyć!

W kuchennych szafkach, za woreczkami z mąką i ryżem stały słoje.

- Ale się kurwy jedne zawekowały! - jęknął Jurek.

Słoje były pełne starannie posegregowanych precjozów. W jednym złote obrączki, w drugim kolczyki, w trzecim pierścionki. Osobno zegarki, kolie.

Zagarniali ich zawartość wprost do przyniesionej ze sobą walizki.

- Idę do łazienki! - zdecydował Fenix.

- Musisz się odlać?

- Nie, ale chcę sprawdzić, co trzymają razem z pastą do zębów. Nos go nie zwiódł i po chwili wołał chłopaków, pokazując im puszkę brylantów i drugą diamentów. Jurek sięgnął za proszek do prania i wyjął kolejną, pełną krwistych rubinów.

- Ktoś sprawdzał lodówkę?

- Ja - krzyknął ten, który miał być ślusarzem. - Jest pełna, ale samo żarcie.

- Może być - wtrącił się Fenix. - Ja nic nie jadłem.

- To sobie weź łososia - otworzył mu lodówkę ślusarz. - Przynajmniej coś wyniesiesz z akcji.

Co prawda, to prawda - pomyślał Fenix, nawet nie próbując szacować, ile warte są kosztowności, które stąd wyprowadzą. - Wszystko pójdzie do organizacji.

I żeby nie wyjść tak, o gołym pysku, podciągnął pończochę i zjadł łososa, puszkę czarnego kawioru i pęto kielbasy. Koledzy obrobili resztę. Tylko jajka zostawili, bo nie mieli czasu gotować. Choć, jak już wracali, Fenix trochę żałował tych jajek. Mogli je przecież wypić.

Łup odstawili, przy nich Tuptuś spisał protokół, podliczając wszystko, parałowali się i Fenix dostał 120 złotych.

- Nie, no dziękuję. - Schował banknoty do kiedyś grubo wypchanego portfela. - Wiadomo, żadna praca nie hańbi.

- To nie za akcję. To twój żołd.

- Co? - nie zrozumiał Fenix.

- Żołd. Miesięczny.

- Kaziu, ale ty mi dałeś sto dwadzieścia złotych! Na miesiąc?!

- Ludzie za tyle żyją - oznajmił filozoficznie Tuptuś.

- Ja rozumiem i współczuję ludziom, ale ja umiem sto dwadzieścia złotych wydać w jeden wieczór. I to naprawdę nie muszę się starać. Potrafię coś takiego i już.

- Nie musiałeś, ale teraz musisz. No weź się w garść, nie zawsze może być kawior. Organizacja nie ma pieniędzy - powiedział, pakując przyniesione przez Fenixa i zespół precjoza. - Zresztą dostaniemy niedługo fundusz reprezentacyjny na nowe zadanie. Będzie tak, jak lubisz, Feli. Napijesz się w pracy i najesz.

- Nie martw się, kochany! - pocieszała go Pola w łóżku. - Ja naprawdę nie mam dużych wymagań.

- No, złotko, jeśli cztery razy na noc to są dla ciebie małe wymagania, to strach cię samą choćby na dwa dni zostawić!

- Głuptas - powiedziała, dosiadając Fenixa. - Zresztą ja też mogę pracować - mówiła, robiąc to, co robi kobieta, kiedy jest u góry.

- Lubię pracować. - Ramięczko jedwabnej halki spadło i odsłoniło kształtną pierś Poli. Poruszała się coraz szybciej i szybciej. - Mogę pracować i się uczyć, jednocześnie...

- Uczyć? - zatrzymał ją Fenix, mocno łapiąc za biodra i przewracając na plecy.

- Nie zdążyłam ci powiedzieć, ale jak byłeś w Wilnie, zapisałam się na tajne kursy aktorskie.

Pola zręcznie wymknęła się Fenixowi i ułożyła go na boku, pokazując, co ma robić.

- Jak dobrze pójdzie, skończę też reżyserię - powiedziała, kierując jego ręką.

Czy ja zawsze muszę mieć pecha i trafiać na ambitne dziewczyny - pomyślał Fenix i poddał się reżyserce po raz piąty.

- Idziemy do kasyna! - oznajmił Tuptuś na kolejnym spotkaniu.

- No wiesz? - zganił przyjaciela Fenix. - Ludzie żyją za sto dwadzieścia złotych miesięcznie, a ty chcesz do kasyna? Przecież tam chodzą agenci gestapo i szumowiny.

- W tym rzecz. Nie idziemy tam dla przyjemności, tylko na akcję. Rozpoznawczą.

- Aha - Fenix był zawiedziony.

Kasyno w alejach Szucha czynne było od czwartej po południu do północy. Nikt nie pytał kreatur, które w nim brylowały, skąd mają przepustki pozwalające wracać po godzinie policyjnej. Tysiące złotych przepływały codziennie przez jego kasę, a może i setki tysięcy? Jedno było pewne, nie były to pieniądze czyste. Lecz organizacja potrzebowała ich bardzo, w myśl zasady, iż najuczciwiej jest pozyskiwać do walki z okupantem brudne pieniądze. Zadaniem zespołu, na czele którego stanęli Tuptuś i Fenix, było ni mniej, ni więcej, tylko obrobienie kasy speluny. Taka akcja, tuż pod nosem gestapo, musiała być perfekcyjnie zaplanowana. Przyjaciele, ubrani należycie, udali się więc na rekonesans.

- O raju... - jęknął Fenix, kiedy około dziesiątej wieczorem wkroczyli na salę. - A mnie się wydawało, że u nas w „Maximie” to był ruch!

W kasynie panował ścisk. Kilkuset gości, gwar, szum, wesołe śmiechy. Mnóstwo świateł. Zaczęli przepychać się przez tłum. Fenix kupił żetony za kilkaset złotych. Obchodzili różne stoły, stawiali, nieco grali.

- Pan Giuseppe z księgowym! - przywitał ich wylewnie ktoś, kogo twarz nic im nie mówiła. Dopiero gdy przy boku gościa zobaczyli drugiego, jota w jotę podobnego, przypomnieli sobie gestapowców legitymujących Fenixa.

- Bez mundurów nie poznałem! Buonasera!... Panowie wybaczą! - ukłonili się z Tuptusiem i pozęglowali w inną stronę.

- Tego księgowego to ci nie mogę darować! - sapnął Kaziu, ale niczym zawodowiec przeszedł do rzeczy. - Plan pomieszczeń mamy. Trzeba jednak obmyśleć, jak dobrać się do forsy.

- Wydaje mi się, że wynoszą przenośne kasy do tych drzwi z lewej. Widzisz, siedzą sobie w kasachboksach, liczą forszę, wkładają do kas i co? I noszą kasy do biura - powiedział Fenix, zaciągając się wypożyczonym na tę okazję cygarem.

- Tylko tak pykaj, nie pal - przestrzegał go Kaziu. - Musi nam starczyć jeszcze na akcję. I pij wolniej, bo mnie rozliczają z funduszy reprezentacyjnych.

- Jak jeszcze raz mi zwrócisz uwagę - ostrzegł Fenix - to do końca życia będę mówił na ciebie „księgowy”. Potrzebujemy wsparcia stąd, od krupierów, szatniarza i kasjera. Przydałoby się też mieć kilku swoich gości.

- Nie wiem, czy organizacja przełknie takie pompowanie budżetu - biadolił Tuptuś, udając, że pali, i udając, że nie pije. - Przemnoż wkład kilku chłopaków razy żetony, razy alkohol...

- I policz zyski! Przecież mówimy o zgarnięciu setek tysięcy, sknero! A poza tym przyprowadzanie tu na raz grupy naszych, chłopaków nawet jako szastających pieniędzmi graczy - powiedział to, z rozmysłem przeciągając, ku przerażeniu Kazia - mija się z celem. Zobacz, tu wszyscy się znają. Gdyby naszych facjat nie kojarzyli z „Maxima”, też by nas stąd wyprowadzono prędko. Mam na myśli pozyskanie kilku prawdziwych, stałych klientów. Zobacz tego tłściocha przy pokerku. To przecież Ed, Edek król szmuglerów. Mógłbym mu przemówić do uczuć patriotycznych.

Tuptuś zgodził się, bo przeliczył, że skorzystanie z szantażu było tańsze.

Dali sobie czas na dojście sposobem perswazyjnym do kilku krupierów i kasjera. Ci pierwsi mieli proste zadanie: kiedy akcja się zacznie i wybuchnie panika, mają kierować gości zgodnie do głównego i pierwszego bocznego wyjścia, uniemożliwiając jednocześnie wychodzenie zapasowymi drzwiami z zaplecza, które miały być przeznaczone dla konspiratorów. Kasjer główny miał zadanie nie zamykać drzwi biura na klucz. Edek po kilku seansach z Fenixem zgodził się współpracować. Kelnera i szatniarza wciągnięto do akcji bez użycia przemocy.

Plan był taki: wchodzi do lokalu dwie godziny przed północą w sobotę, bo wtedy i frekwencja i kasa murowane. Fenix udaje, że gra, Tuptuś mu towarzyszy, wybierając dogodny moment, czyli gdy kasy wydawać się będą pełne. Kasjer nie domyka drzwi biura. Fenix idzie do szatni, wyciąga z kieszeni potężną latarkę i w tym momencie szatniarz robi spięcie. W lokalu gaśnie światło. Na ten sygnał Ed i jego towarzysze rzucają na podłogę żabki, małe petardy potęgujące panikę. Tuptuś, Fenix i trzech innych z organizacji szturmują w tym czasie kasy i biuro, świecąc sobie latarką. Krupierzy kierują uciekających w popłochu gości, oczyszczając zapasowe wyjście, którym wybiegają konspiratorzy. Czeka na nich i na worki pełne pieniędzy samochód pięknie podrobiony na policyjny. Na sygnale odjeżdżają w siną dal.

- Czekaj, czekaj - zatrzymał wizję Tuptuś. - A kto ma worki na pieniądze?

- My. Każdy, kto robi kasę, ma w kieszeni worek.

- Ale to duży worek - zastanowił się Tuptuś. - Będzie widać wypchane kieszenie.

- To sobie je obwiążemy w pasie pod koszulą. Pasuje?

Powtórzyli plan jeszcze raz. Kiedy Fenix doszedł do „szturmują kasy”, Tuptuś przerwał.

- Zatrzymaj się, przyjacielu. A co będzie, jeśli kasjer nawali i zamknie drzwi biura?

- Wtedy rzucamy się do kas i rozwalamy przepierzenia. W lokalu będzie krzyk paniki uciekających, nikt nie zwróci na to uwagi. Zabierzemy forszę z kas. Jak ta już będzie pewna, rozwalimy jednym strzałem drzwi biura i zgarniemy resztę banku.

- Ale czym rozbijamy przepierzenia?

- Ja mam latarkę. Powinna wystarczyć. Dobra, możemy w szatni zbunkrować dwa, trzy łomy. Lepiej?

- Dobra, Fenix, to powtórzmy.

-...w lokalu gaśnie światło. Ty, ja i trzech chłopaków...

- Czekaj, czekaj. Ty masz latarkę i idziesz z szatni. A ja z chłopakami przebijam się po ciemku.

- Noż właśnie mówię!

- A jak się potkniemy?

- Wiesz, Kaziu, jak pracowaliśmy w lokalu z agentami gestapo, dziewczynkami i wyszynkiem, to ty byłeś intelektualną petardą. A jak sączysz jeden koniak przez pół nocy, to ci, za przeproszeniem, nie staje. Kaziu dotknięty do żywego chlusnął resztę alkoholu na raz. A potem zamknął oczy i wyrecytował:

- Prosto, lewo, lewo, uważać na stół z ruletką, prawo poker, lewo brydż, prosto i już kasa. Widzę to.

- Jak chcesz, to potrafisz - pochwalił go Fenix i byli gotowi.

Najbliższa sobota została naznaczona kryptonimem „Blakjack”. Wszystko szło jak w zegarku. Tłok jak na zawołanie, nastroje wśród graczy - na oko - wyśmienite. Alkohol lał się strumieniami, pieniądze płynęły do kas, kasy zaś do biura, czyli drzwi po lewej. Tuptuś i Fenix, znani jako Giuseppe i księgowy, trzymali się razem. Reszta chłopaków z organizacji rozrzucona była po sali. Tuż przed północą zaczęło się. Fenix wstał i ruszył do szatni. Po drodze zauważył kasjera wychodzącego z biura. Bardzo ładnie. Gruby Ed, widząc Fenixa kroczącego ku szatni, wsadził łapę do kieszeni, po żabkę. Grunt to dobry plan - pochwalił się w myślach Fenix i stojąc przed kontuarem, poprosił o swój płaszcz. Szatniarza nie było. W tej samej chwili zza wieszaków wyskoczył niemiecki żandarm i celując mu prosto w pierś z rewolweru, szczerknął:

- Hande hoch!

Fenix uniósł ręce i zrobił w myślach błyskawiczny przegląd kieszeni: dokument na Giuseppe, przepustka nocna na Giuseppe. Parę złotych, bo kasę trzyma Tuptuś. Cyjanku nie ma, wyrzucony. Klucz od domu. O rany!... Pola...

- Panowie, to jakaś pomyłka! Errore! Giuseppe Santucci... - zaczął swoim włoskim głosem. Żandarm wywołał zza wieszaków przerażonego kelnera.

- To ten? - spytał go, dźgając Fenixa lufą w pierś.

- Nie, to nie ten - oznajmił pobladły kelner.

Fenix nie werbował kelnerów. Nie miał pojęcia, czy wystraszony chłopak jest ich, czy „to nie ten”.

- Jesteś pewny? - natarł na niego żandarm.

- Tak... nie... nie wiem, proszę pana, ale raczej jestem pewien...- jękał się.

- Proszę się ubrać i idzie pan z nami. Gestapo ostatecznie ustali, co z pana za ptaszek.

- Ależ ja mogę pokazać dokumenty, nazywam się Santucci...

- Nic mi pan nie będzie pokazywał. Proszę założyć płaszcz.

Jak na zawołanie otoczyło go kilku ubranych po cywilnemu mężczyzn. Fenix wolno zapinał płaszcz. Za nic w świecie nie da się zaprowadzić na gestapo. Gdy tylko wyszli na ulicę, wsadził rękę do kieszeni i chwycił swoją wielką, kwadratową latarkę. Wyszarpnął ją i drąc się: „Verrecke!” - co było życzeniem śmierci po niemiecku - rzucił nią o bruk, udając, że to granat.

Dwaj, którzy szli po obu jego bokach i ten za nim, padli na chodnik. Dwaj z przodu obrócili się ku niemu i jeden dostał prawym sierpem, a drugi tylko kopniaka. Fenix skoczył w bok i przypomniał sobie, jak przed wojną robił rekord na setkę. Strzały usłyszał, biorąc zakręt. Biegł po życie. Dokąd? Nie może pościgu prowadzić do domu. Jest noc, bramy kamienic zamknięte na głucho. W dodatku spadł pierwszy śnieg. Fenix zostawia za sobą ślady, jak wizytówkę. Dorożka. Z nieba spadła mu dorożka.

- Ozłocę pana... tylko prędko... - podał adres rzadko używanej meliny na Podwalu.

- Już się robi, złociutki. A co się tak spieszy, już i tak po godzinie policyjnej... - Dorożkarz odwrócił się i spojrzał na niego. - Fenix? Pan Fenix? Byłem portierem w „Makkabi”, pan mnie nie pamięta?

- Józio? Pan Józio? To pan nie w getcie? - Fenix poznał portiera po krzaczastych brwiach. Dwóch siwych strzechach, spod których nie widać było oczu.

- Ano nie. - Westchnął dorożkarz i zaciął konia batem. - Mam dobre papiery i trochę przyjaciół. Tak jak i pan.

- Szybciej, panie Józiu, szybciej, błagam pana!

- Się robi!

Fenix zastanawiał się, kto wsypał, co zawiodło. Przypominał też sobie, pod którą z donic ma być klucz od meliny. I przypomniało mu się jeszcze jedno: jest bez grosza,

wszystkie pieniądze ma Tuptuś.

- Panie Józiu, nie mam pieniędzy - przyznał, gdy dojeżdżali na Podwale.

- A co to ja, Żyd? - zażartował sobie dorożkarz. - Do zobaczenia w lepszych czasach, panie Fenixie!

Fenix spocony otworzył drzwi, zamknął za sobą na klucz, sprawdził, że broń jest w schowku, i padł na łóżko. Nie spał do rana. Skoro świt wstał, przebrał się w zapasowe ubranie, które wprowadzie było na niego za duże, ale za to nie przypominało tego z kasyna, i poszedł do budki telefonicznej. Wykręcił numer Tuptusia pewien, że od jego żony usłyszy tragiczne wieści.

- Halo? - odezwał się znajomy flegmatyczny głos po drugiej stronie.

- To ja, Krzyś! - niemal krzyknął w słuchawkę umówione hasło, szczęśliwy, że Tuptuś jest cały i zdrow.

- Krzyś? Przyjechałeś z Krakowa?

- Tak, bez cioci, bo zachorowała!

- Trudno, to spotkajmy się bez cioci. Wpadnę do ciebie.

Gdy Tuptuś stanął w drzwiach meliny, Fenix rzucił mu się na szyję.

- Bałem się, że nie żyjesz!

- To ja bałem się, że ty nie żyjesz. Gówniana sprawa. Na kolejną akcję nie zabieramy młodziaków.

- Wiesz, co się stało? Kto wydał?

- Sami się wydali. Mieli być obstawą na nieprzewidziane okoliczności, a sami je stworzyli.

- Ale kto? - nie rozumiał nic Fenix.

- No nie mówiłem ci, bo to taka zasada konspiracji. Mamy nowe wytyczne z centrali, żeby ci, co ubezpieczają, nie byli znani zaangażowanym w akcję, wiesz, kto mniej wie i tak dalej. Dwóch młodych chłopców na sali, grali w blakjacka. I jeden wygrał. A to było po jedenastej. Tak się rzucił na wygraną, że mu rewolwer zza paska wyleciał na podłogę.

- Nie! - jęknął Fenix.

- Tak. - Smutno pokiwał głową Tuptuś. - I zauważył to kelner, który uśmiechnął się do młodziaka. Ten głupek pomyślał, że to nasz kelner, zawołał go, kazał mu podnieść spluwę i zanieść do szatni. I podał...

- Nie! - wrzasnął Fenix.

- Tak - potwierdził Tuptuś. - Podał mu twój numer wieszaka. No, musiał znać numer, bo wieszak i latarka to był klucz akcji. Kelner zaniósł rewolwer do kierownika kasyna,

kierownik zawołał Niemców i resztę już znasz. Gdyby chociaż młodziak dał nam znać, to było dość czasu, by się wycofać bez szwanku.

- W kasynie jestem spalony.

- Ale na mieście jeszcze nie całkiem - pocieszał go Tuptuś. - Tylko musisz dostać papiery na inne włoskie nazwisko. Albo może teraz będziesz Rumunem, co?

- Sam sobie bądź Rumunem, geniuszu! Ja chcę do Poli!

- Nie płacz, przyniosłem ci kanapki.

Tuptuś musiał wiedzieć, jak cierpi konspirator, któremu grozi dekonspiracja. I starał się strzelać fajerwerkami pomysłów.

- Wiem! Zoperujemy ci nos. Z porządnym nosem będziesz nie do poznania!

- O nie. Prędzej pozwolę sobie zoperować przyrodzenie niż nos! Tuptuś błysnął okiem.

- Nie! - wrzasnął Fenix. - Żartowałem.

- A ja nie! Jest taki doktor, mówi na to „rekonstrukcja” i trochę to kosztuje, wiesz, teraz gdy uszczelnili getto to bardzo na czasie zabieg...

- Odwal się od mojego przyrodzenia i nosa. Nos mi tatuś zafundował, jak zdobyłem mistrzostwo Polski juniorów. Z kauczuku. Kształtny nie jest, ale nie chcesz wiedzieć, jak wyglądał przed operacją, gdy zlażłem z ringu. Tatuś nie żyje, to jedyna pamiątka, jaką po nim mam.

- Nie jedyna. To drugie też masz po tatusiu. - Kazio oskarżycielsko wyciągnął palec w stronę rozporka Fenixa.

- To drugie chwilowo należy do Poli - bronił się Fenix.

- O nie, mój drogi. Do Poli na razie nie możesz wrócić. Ale jeśli będziesz grzeczny, możemy ją tu przyprowadzić.

- I co jej powiem? Że się zamelinowałem, bo mnie Niemcy na handlu przyłapali? Stuknij się, przecież to jest porządna dziewczyna, ona pojęcia nie ma o konspiracji!

- Przeczekał tu tydzień, dwa. Zobaczymy, co w tym czasie się będzie działo na mieście. Będziemy obserwować wasze mieszkanie na Brackiej. Jeśli cię szukają, dowiemy się.

Siedział i puchł z nudów. Dwa razy dziennie wpadała Hanka, łączniczka, i przynosiła mu coś do zjedzenia.

- Hanuś, słońce moje, powiedz mi, czy wojna trwa jeszcze? - jęczał.

- No przecież! - odpowiadała, uśmiechając się aż po dołeczki w policzkach.

- A Niemcy dostają w dupę u wujka Stalina?

- No przecież, że nie! Na razie wujek Stalin bierze klapsy od wujcia Hitlera.
- A czy przypadkiem nie znieśli kartek na cukier?
- No przecież ty siedzisz tu dopiero trzy dni i myślisz, że to wystarczy, by wojna się skończyła?

- No przecież! - udzieliło mu się haneczkowe gadanie. Po dwóch tygodniach przyszedł Tuptuś.

- Wygląda na to, że nikt cię nie szuka. Możemy cię próbnie wypuścić na miasto. Ja jestem zajęty, ale przyjdzie po ciebie jutro Jurek i pójdziecie sobie na taki spacer, zajrzycie na początek do jakiejś knajpy, ale nie do nas, tylko może coś przy Nowym Świecie? „Gastronomia” będzie w sam raz, ludzi sporo, kto ma cię zobaczyć, zobaczy. Pokażesz się i jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziesz mógł wrócić do domu. Papiery na Rumuna są prawie gotowe.

- Ja mam w domu na Rumuna - przypomniał mu Fenix.

- Nie, tamte słabe. Wydział fałszerstw ostatnio wzmocnili i robią dokumenty jak złoto. Zamówilem dla ciebie nowe.

- A jak się będę nazywał?

- Ceausescu albo inne „escu”. Jakoś tak.

- Dobra. - Fenix był tak szczęśliwy, że wybawienie blisko, że mógł być nawet Rumunem.

Jurek przyszedł następnego dnia po południu. Przyniósł mu porządne ubranie, Fenix wystroił się i ruszyli na miasto. Lekki mróz działał na niego ożywczo.

- Ty widzisz? - trącił Jurka, gdy uszli kilka kroków.

- Co?

- Nikt się na mnie nie gapi.

- No przecież - wzruszył ramionami Jurek i zarumienił się.

- Mam cię! Randkujesz z Haneczką! A panna w Wilnie płacze, oj, płacze!

Weszli do „Gastronomii”, zajęli stolik. Kelner przyjął od nich zamówienie i Fenix z radością znów trącił Jurka.

- Widzisz? Wszystko w porządku, mogę wracać do domu. Nie jestem spalony!

- No przecież! - odpowiedział Jurek i znów się zmieszał. - Wiesz, jak jest, Fenix. Krew nie woda, co z oczu, to z serca - tłumaczył się.

- I nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka, tyle ci powiem w tej kwestii - dyplomatycznie zakończył dyskusję Fenix.

W tej samej chwili do restauracji wkroczyło czterech żandarmów z karabinami

maszynowymi wycelowanymi prosto w ich stolik. To nie była przypadkowa łapanka. Nie chcieli żadnych dokumentów, nic.

- Wstać. Ręce do góry. - Fenix poczuł twarde dotknięcie lufy na plecach.

- Do samochodu i nie radzę próbować żadnych sztuczek. Wyprowadzili ich na zewnątrz. Ruchliwy i gwarny chwilę temu Nowy Świat był pusty, jak wymieciony. Przed lokalem stały dwa wojskowe samochody. Jurka popchnięto do jednego, Fenixa do drugiego. Obok niego usiadło dwóch żandarmów z bronią gotową do strzału. Samochody ruszyły z piskiem opon.

*

Mieszkanie Jaxy i Aleksandry, Warszawa, Generalne Gubernatorstwo. Jesień 1941 roku. Rok przed skokiem Zub-Zdanowicza do Polski

Aleksandra stoi przy fortepianie i zamyślona patrzy przez okno. Trzyma dłoń na płaskim brzuchu. Wzdycha. Odchodzi od okna, bierze ramki ze zdjęciami. Poleruje je białą chusteczką. Zdjęcie ślubne. Zdjęcie porucznika pociągów pancernych w czarnym skórzanym płaszczu. Zdjęcie trojga dzieci. Zatrzymuje się nad nim. Na fotografii dziesięcioletnia, wyjątkowo piękna dziewczynka w białej sukience, z kokardą nad lewym uchem. Do jej ramienia tuli się dwu, może trzyletnia dziewczynka o wyrazistych rysach twarzy. Z boku siedzi siedmio, ośmioletni chłopiec i on jest najbardziej intrygującą postacią na zdjęciu. Ma na sobie krótkie spodenki, białą koszulę z szerokim kołnierzem, pod nim wielką połyskliwą kokardę. Jasne, faliste i nadzwyczaj bujne włosy sięgają mu za ucho. Równie ucięta grzywka. Spod niej patrzą prosto w obiektyw wielkie, uparte oczy dorosłego. Chłopiec odznacza się uderzającą urodą, tak intensywną jak na obrazach szesnastowiecznych włoskich mistrzów pędzla. Długie włosy, kokarda, kołnierz, towarzystwo siostr, nic nie jest w stanie odebrać mu bijącego z twarzy uporu, siedmioletniej męskości. Aż chce się dotykać fotografii, wpatrywać w nią do bólu. Na szkło pokrywające zdjęcie spada łza. Aleksandra wyciera ją chusteczką.

- Nie czekaj na mnie z obiadem, wróć przed samą godziną policyjną - mówi Jaxa, wchodząc do salonu z krawatem w ręku. - Pomożesz mi?

Jaxa - komendant główny Związku Jaszczurczego, konspiracyjnego zbrojnego ramienia ONR. Inżynier. Szczupły blondyn o trudnej do zapamiętania twarzy. Zrezygnował z brody, bo nie podobała się jego młodej żonie, Aleksandrze.

Aleksandra wiąże krawat, wpatrując się w jego twarz. Szuka na niej śladu uderzającej urody chłopca z fotografii.

- Może byś zgolił i wąsy? - pyta delikatnie.

- Nie, tak jest dobrze. - Jaxa całuje żonę w czoło i wychodzi.

Bar kawowy przy ulicy Wspólnej. Godzinę później

Przy stoliku w kącie sali nestor, Witold Kozłowski, i Jaxa.

- Na stanowisko rządu londyńskiego należy odpowiedzieć spokojnie i z rozwagą, bez unoszenia się i pokrzykiwania w stylu, proszę wybaczyć, Otmara. - Kozłowski mówi, Jaxa słucha. - To, że generał Sikorski nie widzi nas w składzie rządu i poprzestaje na „Grubej Czwórce”, nie oznacza, że jego stanowisko nie ulegnie zmianie w miarę rozwoju sytuacji międzynarodowej. Wznowienie przez Sikorskiego stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Radzieckim też nie jest wieczne, bo dokonało się pod przymusem ze strony Churchilla.

Gruba Czwórka - cztery partie wchodzące w skład rządu londyńskiego: Stronnictwo Narodowe, Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Pracy i Polska Partia Socjalistyczna.

- Na razie jest tak, jak pan przewidział dwa lata temu. Tyle że to Niemcy Sowietom wypowiedzieli wojnę i to oni w niej zwyciężają.

- Proszę nie dać się nabrać pozorom. Ja i Organizacja postawiliśmy na pana, liczymy bowiem na pański realizm. - Inżynier Kozłowski mówi cicho, lecz dobitnie. Bierze łyk kawy, odstawia filiżankę.

- Tak, wiem - tłumaczy się Jaxa. - „Generał Mróz” jeszcze nie przystąpił do akcji.

- Otóż to. Jestem człowiekiem głęboko religijnym, zatem nie powiem: „Wierzę w Stalina”. Lecz jako racjonalista powiem: „Rosyjska zima przełamie Hitlera”. W tej sytuacji możliwe są dwa rozwiązania. Pożądanym pozostaje to, by od zachodu uderzyli na niego alianti i to oni wkroczyli pierwsi na tereny Rzeczypospolitej. Ale należy także przygotować się na najgorsze, mianowicie pogoń wojsk bolszewickich za niemieckimi. Straszliwą pogoń, która przetoczy się przez nasz kraj. Każdy członek Związku Jaszczurczego musi mieć świadomość, że Polska ma dwóch wrogów - hitlerowskie Niemcy i stalinowską Rosję, niezależnie od tego, co podpisał Sikorski i Majski. Przy czym pierwszy z nich musi przegrać wojnę, bo koalicja aliantów zachodnich i wschodnich przeważy. A drugi z nich ma w planach utworzenie z Rzeczypospolitej siedemnastej republik Kraju Rad. Dzisiaj nie partyzantka jest naszym celem, panie Jaxa. Lecz obrona narodu, który może zginąć pod terrorem obu tych wrogów. Działania wojenne na froncie wschodnim sprowadzą na nas klęskę głodu i przemocy ze strony okupanta niemieckiego. Kto wie, czy nie zarządzi on przymusowej branki do wojska. Dlatego młodzież w wieku poborowym należy chronić wszelkimi siłami.

- Jednym ze sposobów jest ukrycie jej w lesie, w zakonspirowanych batalionach partyzanckich.

- Wiem i wyraziłem swą bolesną, lecz aprobującą opinię. Tyle że musi pan wziąć na

siebie brzemień utrzymania tych ludzi w ryzach. Chłopcy, których wyszkoli Związek Jaszczurczy, nie mogą brać udziału w nieprzemyślanej partyzantce. Bo kogo będą bić? Niemca? Niech dadzą Niemcom spokój i pozwolą, by Niemcy i Sowietci wyniszczali się nawzajem.

- ZWZ podejmuje akcje dywersyjne przeciw niemieckim pociągom jadącym na wschód.

- Wiem o tym i nie widzę w tym sensu. Osłabiając Niemców, wzmacniają Sowietów.

- Ale nie możemy tkwić w bezczynności, inżynierze.

- Nigdy nie mówiłem o bezczynności. Ale wołę dalekowidzów od krótkowidzów.

Jaxa zrozumiał, iż to wyzwanie. Zastanowił się chwilę, nim odpowiedział.

- Myśli pan o wzmacnianiu struktur na zachodzie kraju. Kozłowski skinął głową. Jaxa kontynuował:

- O tym, by przygotować się do polityki faktów dokonanych?

- Tak. To, że Sikorski nie widzi szans na granice na Odrze i Nysie, nie oznacza, iż mamy zaniechać naszych odważnych politycznych planów. Koniec wojny będzie wyłącznie polityką faktów dokonanych. Jeżeli w odpowiednim momencie wyjdziemy z podziemia i zajmiemy ziemie zachodnie nie tylko w trybie wojskowym, ale i jednocześnie obsadzając je przygotowaną zawczasu polską administracją, alianci będą musieli to uznać. Rokowania pokojowe w tej wojnie odbędą się kosztem Niemiec, a nie kosztem ZSRS.

- Tworząc struktury Związku Jaszczurczego, budujemy je od razu na płaszczyźnie cywilnej i wojskowej. Mamy w terenie swoje głęboko zakonspirowane komórki Komisariatu Cywilnego, które w odpowiednim czasie będą gotowe do przejęcia administracji...

- Za pozwoleniem, przerwę panu. Chciałbym zwrócić uwagę, iż odrobina elastyczności nie zaszkodzi.

Jaxa był zbity z tropu. Nie rozumiał, o co chodzi Kozłowskiemu. Ten jednak, jak przystało na ludzi z najtajniejszego poziomu Organizacji, nie kwapił się z wyjaśnianiem. Po prostu czasami stwierdzał fakt i już. Między rozmówcami zapanowało milczenie, każdy z nich wziął po kilka łyków kawy. W lokalu jednak wrzało. Szepty, śmiechy, zgiełk rozmów, muzyka z lekko zacinającego płyty gramofonu.

To osttt nia niedziela, jutttt się rozsttt...

Dwóch mężczyzn kłóciło się zaciekle, wyzywając się nawzajem od endeków i sanatorów.

-...Polska dla Polaków... i jak jeszcze raz obrazisz Dmowskiego...

-...gdyby Marszałek żył, to byśmy wojnę wygrali... prawdziwy Polak to legionista...

Kozłowski przyglądał się im z naukowym skupieniem.

- W tym rzecz - powiedział, odwracając głowę od obu. - Jeden prawdziwy Polak nie rozumie, dlaczego społeczeństwo zawrzało przeciwne wyborowi Narutowicza na prezydenta i udaje, że Bereza Kartuska nie istniała. A drugi prawdziwy Polak udaje, iż nie widzi swej roli w tworzeniu atmosfery, która doprowadziła do zabójstwa tegoż Narutowicza.

Jaxa przełknął ślinę. Najwyraźniej inżynier postanowił podnosić mu dzisiaj poprzeczkę.

- A w sprawie sugestii generała Sikorskiego, by wszystkie organizacje podziemne zjednoczyły się pod auspicjami ZWZ, należy ustalić warunki.

- Dwukrotnie rozmawiałem z przedstawicielami Roweckiego. - Jaxa odetchnął, iż w końcu wie, o czym ma mówić. - Niestety, spotkania te nie należały do udanych.

- Spodziewam się.

- Ze strony ZWZ pada polecenie: „Proszę pokazać wasze OdeB”.

OdeB, Ordre de Bataille - plan organizacji wojsk wraz z dokładnym schematem organizacyjnym.

- Urocze - zaśmiał się Kozłowski i w tej samej chwili spowaźniał.

- Tym bardziej musi pan doskonalić zmysł dyplomatyczny. I zacząć poszukiwanie lidera.

Jaxa miał nadzieję, że inżynier nie widzi jego poruszenia. Że nie wyszedł mu na policzki żaden rumieniec ani nic równie kompromitującego. Serce biło mu szybko. Tak, w jakimś sensie bał się, że ta chwila nastąpi. Że przyjdzie moment, w którym dadzą mu do zrozumienia, że to nie jego widzą w roli wodza. Zaufanie, poparcie i taki cios. Ale spodziewał się go, wręcz czuł, że to się stanie.

- To zrozumiałe - odpowiedział i był dumy, iż jego głos zabrzmiał naturalnie i lekko.

- Widzimy się za tydzień, o tej samej porze - pożegnał się sucho inżynier, odsuwając krzesło. Jaxa wstał, by podać mu rękę.

- Tak - powiedział Kozłowski. - Organizacja jest z pana zadowolona.

I poszedł.

Jaxa biegł na spotkanie z Otmarem. Wawrzkowicz siedział w pokoju, nie zdejmując płaszcza i poruszał nogami, jakby stepował.

- Co ci, zimno? - zażartował Jaxa, patrząc na zasłonięte tekturą okna.

Otmar podniósł na niego swe bardzo jasne oczy, jak zawsze niepokojące przy jego śniadej twarzy.

- Sonderkommando ZJ - oświadczył.

- Więc jednak?

- Tak. Specjalna komórka gestapo wyłącznie do badania działalności Związku Jaszczurczego. Obawiam się o naszych zachodnich agentów.

- Niedobrze. I to akurat teraz, kiedy dostaliśmy pierwsze pieniądze za ich pracę.

- Nie mówiłeś - zaniepokoił się Otmar.

- Bo nie rozmawialiśmy przez tydzień, a wiadomość jest świeża. ZWZ przyjął kuriera z Londynu z gotówką na działalność konspiracyjną. Z tych pieniędzy zapłacą nam za Africa Korps.

Otmar skrzywił się i zaczął nerwowo kuśtykać po pustym pokoju.

- Ciekawe ile! Informację o dacie lądowania Africa Korps w Trypolisie przekazaliśmy im ponad rok temu, a dopiero teraz dostajemy za to wynagrodzenie. I to, jak się spodziewam, wydziela nam działkę jak alfons dziwce.

- Otmar! - zdyscyplinował go Jaxa.

- No co, jesteśmy sami! Chociaż tobie mogę powiedzieć, co myślę! Nie, tak nie będziemy pracować! Powinniśmy samodzielnie przekazywać informacje wywiadowcze do Londynu!

- Stój. I posłuchaj. Trzech naszych kurierów nie żyje. A to byli świetni ludzie. Nie stać nas na dzielenie sił tylko po to, żeby przekazywać urobek wywiadowców rządowi w Londynie osobiście. Niech to robi ZWZ swoimi kanałami. Zapłacą nam, dobrze. Nie zapłacą, będziemy pracować dalej. Czy to jasne?

- Jasne - warknął Otmar i poprawił się: - Jasne.

- Niedługo pojedzie do Londynu nasz kurier polityczny i on dodatkowo przekaze naczelnemu wodzowi, co w osiągnięciach wywiadu leży po naszej stronie. Jeśli ZWZ sobie przypisuje nasze zdobycze, będą się mieli z pyszna. Pomyśl, jak ochronić naszych ludzi w Niemczech. Czy nie powinienes niektórych wywiadowców odwołać.

- Pomyślę - uspokoił się już Otmar.

- Mam za to dobre wiadomości z terenu. W szeregach ZJ mamy już około czterech tysięcy ludzi.

- Ale potęga! To jest coś, z czym można ruszyć do walki!

- Poczekaj, gorąca głowo. Plan jest taki: powiązać ludzi, zorganizować w konspiracyjne komórki i stopniowo przechodzić do przerabiania ich w struktury wojskowe. Nie odwrotnie. Utrzymać kontakty, tworzyć sieć łączności, wyznaczać dowódców terenowych. I równolegle tworzyć struktury cywilne.

- A można bez wiązania? - zaśmiał się Otmar. - Sznura nie wystarczy.

- Można - poklepał go po plecach Jaxa.

- Tyle ludzi! I pomyśl, przyszli do nas, do organizacji, która nie dostaje forsy z Londynu, ani broni, ani żadnego wsparcia. To jest coś!

- Tak. Młodzież rwie się do walki, nie chce siedzieć bezczynnie. Dmowski kiedyś dobrze kombinował...

- Daj spokój, Dmowski to przeżytek. Już pod koniec lat dwudziestych utracił kontakt z rzeczywistością. Otoczył się pochlebcami i dworem, przez który nikt się nie mógł przedostać. Młodzież chce nas, radykałów narodowych...

- Stój - osadził go Jaxa i poprawił: - Narodoworadykalnych.

- No przecież mówię.

- Nie. Nie myl kolejności, bo przez podobnych tobie narwańców wciąż mamy kłopoty. Na pierwszym miejscu jesteśmy narodowi, czyli polscy. A radykalni później, bo przewidujemy radykalne zmiany na lepsze.

Otmara udawał, że nie wie, o co chodzi. Jaxa udawał, że nie chodzi indywidualnie o Otmara. Rozstali się więc w zgodzie.

Jaxa myślał nad Organizacją. Jeśli Niemcy utworzyli Sonderkommando ZJ, to znaczy, że mają rozpoczętych wiele spraw. System trójkowy, którego ze szczególną troskliwością przestrzegali na wszystkich ziemiach wcielonych do Rzeszy, dawał gwarancję, że szeregowi członkowie znają tylko tego, który ich wprowadził do organizacji, i tego, kogo sami do niej wprowadzili. To zmniejszało ryzyko wsypy. Ale Niemcy interesowali się nimi w sposób podejrzanie aktywny, nazbyt skrupulatny jak na organizację nie związaną z rządem londyńskim. I jeszcze ta prowokacja w Kielcach, ten gestapowiec, Fuchs. Po ataku Niemiec na ZSRS jego rewelacje o zniszczeniu komunizmu nie wydają się już takie nierealne.

- Nie - zaprzeczył na głos. - Nie. Churchill zadeklarował Stalinowi miłość i wierność, więc mowy nie ma o odwrotnej konfiguracji.

Jednak zdejmował go niepokój, gdy myślał o ziemiach wschodnich. Skupiając całą swą uwagę na zachodniej Polsce, nawet tej, która dzisiaj była częścią Rzeszy, mogli przeoczyć coś ważnego na wschodzie, a Jaxa stawiał sobie za punkt honoru, by niczego nie przeoczyć.

Potrzebował kilkunastu dni, by zorganizować podróż. On i Otmara ruszyli do Lwowa, jako dwaj przedsiębiorcy w branży instalacji systemów grzewczych, co w przypadku Jaxy było prawdą, a w przypadku Otmara półprawdą. Wawrzkowicz bowiem potrafił błyskawicznie adaptować się do każdej sytuacji. Gdy zatrzymała ich żandarmeria, by sprawdzić papiery, Otmara z takim zjawstwem mówił o ogrzewaniu parą, iż Jaxa zdębiał.

- Zdziwiasz mnie, przyjacielu - powiedział z uznaniem. - Twój niemiecki akcent też jest ujmujący. Nikt ci nie proponował nigdy volkslisty?

- A wiesz, że nie!

W drodze nie korzystali z żadnych kontaktów Związku Jaszczurczego. Mieli świadomość, iż mogą być namierzani, i chcieli być czysti. Zamówienie na elementy grzewcze do niemieckiego magistratu przygotował im wydział fałszerstw, zwany „Legalizacją”. Były bez zarzutu. We Lwowie spędzili tydzień na prawdziwych rozmowach z dostawcami. I gdy upewnili się, że nikt nie siedzi im na karku, zabrali się za jaszczurczą robotę. Odnaleźli kilku przedwojennych działaczy ONR i zainicjowali ZJ okręg lwowski. Wszystko szło na tyle dobrze, że gdy w drodze powrotnej zatrzymała ich żandarmeria w Biłgoraju, Jaxa się specjalnie nie przejął.

- Panowie pozwolą do naszego samochodu - powiedział żandarm dość uprzejmie. - Bez obaw, panów auto zostanie u nas, na posterunku. Odbiorą je panowie po powrocie.

- Po powrocie skąd? - spytał Otmar swoim wyniosłym, nonszalanckim niemieckim.

- Z gestapo - grzecznie odpowiedział żandarm.

W samochodzie rozmawiali ze sobą po niemiecku, jakby ta procedura nieco ich zirytowała, ale nie zdenerwowała.

- Szacuję, że wymiana rur w magistracie zajmie dwa tygodnie, o ile zima nie będzie mroźna - zaczął Jaxa.

- Jeżeli konwertery ze Lwowa dojadą do Warszawy w ciągu tygodnia, jak nam obiecano, Oberstfrontführer Letzcke będzie zadowolony - podjął Otmar.

- A jeśli nie - westchnął Jaxa - to już nie nasza wina.

- Panowie pracują dla organizacji Todta? - spytał konwojujący ich oficer.

Organizacja Todt, Organization Todt - miała za zadanie budowę obiektów wojskowych na potrzeby III Rzeszy. Zatrudniała inżynierów i robotników z krajów okupowanych przez Niemcy oraz niemieckich robotników niezdolnych do pełnienia służby wojskowej.

- Owszem - nonszalancko potwierdził Otmar i wrócił do rozmowy o obiegu wymuszonym i przekroju rur.

Zatrzymali się przed siedzibą gestapo. Wprowadzono ich do czegoś w rodzaju poczekalni.

- Proszę spocząć - jakoś miękko zaproponował oficer, który wysiadł z nimi z samochodu. - Muszą panowie chwilę poczekać, Obersturmführer ma rozmowę, lecz zaraz zajmie się wami.

Sam usiadł na krześle naprzeciw nich i uśmiechnął się nieśmiało. Skoro ma zająć się nami jakiś porucznik - pomyślał Jaxa - to nie jest tak źle.

Za chwilę jednak pożałował przedwczesnego optymizmu, bo zza ściany obok dał się słyszeć charakterystyczny wrzask niemieckiego służbisty.

- Odpowiedcie za dywersję i szpiegostwo! - krzykowi towarzyszył odgłos wywracanego krzesła, równoczesne z nim głucho uderzenie ciała o podłogę. - Szpiegostwo! Szpiegostwo! - Każde oskarżenie mogło być kopnięciem, bo szedł za nim jęk.

Chociaż nie - Jaxa zastanowił się w przerażeniu. - Kopany tak długo człowiek powinien zemdleć.

Spojrzał na oficera, który ich tu przyprowadził. Siedział sztywno, patrzył w okno, jakby nic tam się nie działo. W końcu zza ściany padło:

- Zabierzcie to ścierwo! - i drzwi otworzyły się z hukiem. Dwóch funkcjonariuszy wywlokło mężczyznę, trzymając go za ramiona. Był atletycznie zbudowany. Bardzo jasna czupryna odcinała się od czerwonosinej twarzy.

Skąd ja go znam? - pomyślał Jaxa i w pierwszej chwili skojarzył więźnia z kimś z ZJ. Zjeżyły mu się włosy na głowie. - Ktoś z naszych zdradził...

Mężczyzna zakaszłał, odpluł krwią pod nieskazitelne trzewiki Jaxy i otworzył oczy. Były jasnoniebieskie i gniewne.

Dowódca tego cholernego patrolu, który mnie aresztował pod Siedlcami! - przypomniał sobie Jaxa.

Podporucznik Jakub - przed wojną nauczyciel matematyki. Obecnie działacz lewicowej konspiracji.

Jaxa szybko odwrócił głowę, by mężczyzna go nie rozpoznał. Otmar przeciwnie, wpatrywał się w niego z jakąś fascynacją. Więzień wyszarpnął się funkcjonariuszom i chwiejnie stanął o własnych siłach.

- Sam pójde - warknął i otarł krew z rozbitej brwi. Potoczył przytomnym wzrokiem po poczekalni. Jaxie zdawało się, że zatrzymał na nim wyjątkowo niebieskie, w czerwonej twarzy, oczy. Szurnął nierówno i ruszył przed siebie, ale po dwóch krokach znów wypłuł krew. Tym razem trafił pod nogi Otmara. Dopiero gdy ich mijali, dostrzegli, że w miejscu ucha miał krwawą miazgę.

- Dalej! - popchnęli go policjanci i zniknęli na korytarzu.

- Ty widziałeś? - szepnął po polsku Otmar. - Dostał tyle razy i szedł o własnych siłach. To jakiś atleta!

- Przestań - zganił go Jaxa. - Podnieca cię to?

Ich oficer wszedł do gabinetu sadysty, którego popis słyszeli przez ścianę, wrócił po nich po chwili.

- Proszę panów za mną - powiedział, unikając ich wzroku.

Jaxa wszedł krokiem zdecydowanym, choć po tym, co zobaczył, było mu niemal słabo. Otmar zaś kuśtykał z najbezczelniejszym ze swych wyrazów twarzy.

Obersturmführer był człowiekiem młodszym od nich, wyglądał na dwadzieścia kilka lat. Spocony i nerwowy, oglądał ich dokumenty.

- Więc po co panowie podróżują po kraju? - spytał niecierpliwie.

- Po części do instalacji grzewczej w magistracie. W Warszawie - odpowiedział twardo Jaxa.

- Tam ma pan wszystko napisane - najwstrętniejszym ze swych głosów prychnął Wawrzkowicz.

Obersturmführer podniósł głowę i spojrzał wyraźnie zaskoczony jego impertynencją.

- Pan myśli, że ja nie znam tych waszych fałszowanych papierów?

- odszczeknął się Otmarowi.

- Proszę ważyć swoje słowa, Herr...?

- Obersturmführer SS Moltke - odruchowo przedstawił się gestapowiec.

Otmar wyjął z kieszeni płaszcza notesik i podniósł z jego biurka ołówek.

- Mogę? - bardziej stwierdził, niż spytał.

Gestapowiec szeroko otworzył oczy. Otmar zanotował: „SSObersturmführer Moltke”.

- Poproszę o imię - dodał, unosząc wzrok znad notesu. - Co się pan dziwi, Moltke to dość pospolite nazwisko.

- Heinrich - wyszeptał zdumiony.

- Heinrich - dopisał Otmar. - Dziękuję - i oddał ołówek.

- Czy ja panów powinienem znać? - zapytał Moltke niepewnie.

- Pan nas znać nie musi. Wystarczy, że my znamy kogoś, kto zna pana.

Molke otrząsnął się i wracał mu rezon.

- Dobra, dobra. Każdy tak mówi, a mnie potem rozliczają. Polacy!

- prychnął i zajrzał w ich papiery. - „Otmar” - przeczytał i uniósł brwi. - To germańskie imię...

- Główkuj, główkuj, Herr Moltke - poklepał się po piersi Wawrzkowicz.

- Nie - jęknął Jaxa.

- Tak! - zdecydowanym głosem powiedział Otmar.

- Nie rozumiem...

- W Hitlerjugend pan był, Herr Moltke? - spytał Otmar.

- Nie - jęknął Jaxa.

- Nie ciebie pytam, przyjacielu, tylko pana - zerknął do notesika.

- Obersturmführera SS Moltke Heinricha pytam.

Po czym nastąpiło to, za co Jaxa zganił już Otmara kilka razy. Wawrzkowicz wyjął z kieszeni na piersi listy Baldura von Schiracha, ucałował je jak świętość i pokazał Moltkemu.

- Niech pan nie dotyka! Może pan popatrzeć, to wszystko! - zastrzegł.

- Najmocniej panów przepraszam... najmocniej panów przepraszam... to dla mnie wielki, niespodziewany zaszczyt... czy mógłbym ugościć panów, zaprosić na kolację?...

- Mógłby pan nam zatankować bak, bo o tej porze nie dojedziemy do stacji - władczo oznajmił Otmar i wykuśtykał z gabinetu. Jaxa szedł za nim, zapinając płaszcz i myśląc, jak po tym wszystkim ma oddziaływać na Otmara wychowawczo.

- Odwiozę panów swoim samochodem, jeśli wolno...

- Nie wolno, tylko szybko! - rozkazał Otmar. - Dość już czasu straciliśmy.

- Oczywiście, oczywiście.

- Nadal będziesz się upierał, że mam wyrzucić listy Baldura von Schiracha? - spytał niewinnie Otmar, gdy ujechali spory kawał.

Jaxa milczał, ale postawił mu kolację. Gdy dojechali do Warszawy dzień później, był skonany. Jednak zanim poszedł do domu, do słodkiej Aleksandry, musieli wejść do lokalu konspiracyjnego. Tam czekała na nich wiadomość, która była niczym grom z jasnego nieba.

- Inżynier Witold Kozłowski został aresztowany przez gestapo.

- Kiedy?!

- Dwa tygodnie temu. Śledztwo było krótkie. Od wczoraj jest więźniem Oświęcimia.

Jaxa wszedł do domu w zadumie. Aleksandra spała, wpólsiedząc w fotelu, nie budził jej. Usiadł w salonie, zapalił lampę naftową. Szum gramofonu uświadomił mu, że żona zasnęła czekając na niego.

„Zacząć szukać lidera” - zadźwięczał mu w głowie głos Kozłowskiego. Wziął to do siebie, a teraz stwierdzenie inżyniera zabrzmiało złowieszczo i pożegnalnie. Zerwał się z krzesła.

- Głupstwa - skarcił sam siebie szeptem. - Kozłowski był geniuszem, ale przecież nie jasnowidzem...

Podszedł do gramofonu i machinalnie nastawił płytę, przy której zasnęła jego żona.

To osttttnia niedziela, jutttt się rozstttt...niemy...

Lokal konspiracyjny, Warszawa, Generalne Gubernatorstwo. Luty 1942

Na podłodze leżą trzy młode dziewczyny. Między nimi Pola. Przy nich klęczą mężczyźni.

- Bardzo proszę, panowie pamiętaj! Odciągamy brodę i delikatnie odchylamy głowę osoby nieprzytomnej... - Bardzo szczupła kobieta, o włosach związanych w zbyt ścisły węzeł stuka miarowo obcasami, przechadzając się wokół. - Lilko! - karci jedną z dziewcząt, która zachichotała. - To zajęcia z pierwszej pomocy, a nie romansowanie. Groźny! Nie bój się, Pola nie gryzie!

Groźny, młodzian w bryczesach i oficerkach, jest zawstydzony, jak zawsze w obecności Poli. Pochylił się nad nią i trzęsą mu się ręce. Pola jest blada.

- Gdy odciągniemy brodę i upewnimy się, że drogi oddechowe są wolne, zaczynamy sztuczne oddychanie! No nie! Koledzy i koleżanki, jesteście skrajnie niepoważni! A jak będzie powstanie, to co? Chłopcy będą ratować tylko chłopców, a dziewczęta dziewczynki? Groźny! - Tupie tak niespodziewanie tuż przy nim, że przerażony Groźny łapie Polę za brodę zbyt mocno. Pola krztusi się, przekręca, wywraca Groźnego, kaszle. Groźny czerwony ze wstydu. Pola zrywa się i biegnie do łazienki. Wymiotuje.

Ten sam lokal, godzinę później. Instruktorzy sanitariuszki już nie ma, pozostałych też mniej.

Została tylko Lilka i jej partner, przybył zabójczo przystojny aktor, Straszny. Rozmawia z Polą. Groźny trzyma się z boku, unika wzroku dziewczyny. Do lokalu wchodzi brunet w swetrze pod wyświechtanym kożuskiem.

- Janku! - wita go Pola. - Już baliśmy się, że coś ci się stało.

- Nie - odpowiada chmurnie Janek.

- Wszystko w porządku? - dopytuje Pola.

- Nie. - Siada z nimi. - Komuniści nam z nieba spadli.

- Ojejku! - zachichotała Lilka. Janek patrzy na nią spode łba.

- Nie słuchaj jej, ona jeszcze przed chwilą była nieprzytomna - tłumaczy Pola i chwytając się za żołądek. - No mów!

- Już powiedziałem. Sowieci zrzucili do Polski spadochroniarzy.

- Ojejku, to naprawdę z nieba spadli! - odkryła Lilka i zastanowiła się. - Ale przecież komuniści, jako ateści, nie mogą z nieba...

- Przepraszam, zamknę Lilkę - tłumaczy jej chłopak i robi dziewczynie ustausta.

- Nie znamy nazwisk, to znaczy nie znamy wszystkich nazwisk skoczaków. Z tych, co działali przed wojną, na pewno Nowotko i Finder. Tak czy siak, to kukulcze jajo...

- Zniesione przez NKWD - zrehabilitowała się Lilka.

- Tak jest - pochwalił ją Janek. - Wyszukoleni u Sowietów, z instrukcjami z Moskwy, przylecieli podburzać ludzi i konstruować od dołu przyszłą siedemnastą republikę sowiecką, tfu! Na dodatek mają radiostację.

- Jak na ruskich podzespółach, to szybko się dzieje. - Chłopak Lilki był specjalistą.

- To im z Moskwy przysłał nową, nie ciesz się. Tak czy siak, mamy problem.

- My? Przecież to ich radiostacja. - Lilka lubiła być aktywna.

- Pójdą w teren i po pierwsze zaczną węszyć. Po drugie knuć. A po trzecie donosić. Centrala ostrzega, że będą się podszywać pod nas w celu przejęcia struktur, Lilka, milcz! - ostrzegł Janek.

- Chciałam tylko powiedzieć - nie dała się łatwo uciszyć i była obrażona - że przecież każdy głupi gołym okiem odróżni nas, socjalistów, od nich, komunistów.

- Lilka dobrze mówi - zaryzykowała Pola. - Teraz, jak jesteśmy w ZWZ...

- W AK - poprawił ją Janek.

- No tak, jeszcze się nie przyzwyczaiłam.

- Właśnie! Ty się nie przyzwyczaiłaś, a jesteś w Warszawie. A tam, na dole? W terenie? Byłem w Biłgoraju, spotkałem się z członkami organizacji. Oni są przekonani, że nadal jesteśmy Gwardia Ludowa PPS WRN. Mówię, że się scaliliśmy z ZWZ, czyli jesteśmy w AK. A oni zaskoczeni.

- Ale przecież dostaliśmy pochwałę od Komendy Głównej AK za wzorowe wcielanie się w szeregi - odważył się odezwać Groźny.

- Wszystko inaczej wygląda tutaj, a inaczej tam. Im głębiej w teren, tym bardziej ludzie skupieni na robocie, a mniej zorientowani w polityce. Właściwie to miałem wam powiedzieć: niedługo wyjeżdżam. Piątkę przejmie po mnie kto inny.

- Znam? - spytała Lilka.

- Przyprowadzę zastępcę za tydzień. Macie być czujni, zrozumiano?

- Tak! - jako jedyna odpowiedziała Lilka. Pola wyszła odprowadzić Janka do drzwi.

- Jedziesz do Biłgoraja?

- Nie mogę powiedzieć.

- A czy możesz... - zawahała się -...czy masz jakieś wieści od Jakuba? Nie odpowiada na listy.

- Postaram się czegoś dowiedzieć. Przepadł jak kamień w wodę. Ale nie martw się. Jest wojna, ludzie znikają i odnajdują się w cudownych okolicznościach. - Cmoknął Polę w policzek.

- O ile ktoś wierzy w cuda - skrzywiła się na pożegnanie.

Ona sama wierzyła w nie kiedyś, lecz odkąd aresztowano Fenixa, wiara w niej podupadła. Wydawało się bowiem, że ktoś taki jak on jest niezniszczalny. Król szmuglerów, knajp i pan życia. Szastał pieniędzmi na prawo i lewo, nie bawił się w żadne konspiracje. Dlaczego go zamknęli? Tuptuś odwiedził ją raz, powiedział, że Fenix siedzi na Pawiaku, bo oskarżyli go o szpiegostwo.

- Szpiegostwo? Jego? Przecież on tylko handlował.

- Właśnie - tłumaczył Tuptuś - tylko handlował. Dlatego pod żadnym pozorem nie wysyłaj mu paczek, nie chodź tam i nie dopytuj. W ten sposób mu pomożesz. Bo jak ktoś tylko handlował, to nie ma się co o niego martwić. Ja muszę zniknąć, rozumiesz sama, pół Warszawy wiedziało, że razem robimy interesy.

- Ale jak on tam sobie da radę? Bez paczek? Pomyśli, że o nim zapomniałam. Tuptuś, zlituj się.

- Haneczka mu wysyła paczki.

- Kto to?

- No, nasza taka pracownica jakby, socjalna. I mówi mu, że czekasz na niego i kochasz.

- Ale na pewno mówi?

- No przecież! - obiecał jej Tuptuś i tyle go widziała.

- Odprowadzę cię - zaproponował po zebraniu Straszny. - Pogadamy o spektaklu. Dlaczego nie było cię na próbie?

- Źle się czułam - wymijająco odpowiedziała Pola. - A teraz się spieszę. Nie gniewaj się, widzimy się jutro!

Groźny z głębi korytarza patrzył na nią z troską. Gdy Pola wyszła, ruszył za nią. Dogonił na drugiej stronie ulicy.

- Chciałem przeprosić - wydukał.

- Nie ma sprawy. - Szła szybko, nie zwracała na niego uwagi.

- Wydaje mi się, że potrzebujesz pomocy.

- Przestań, już po kursie - zaśmiała się sztywno.

- Jesteś w ciąży, Polu.

- Skąd wiesz? - Zatrzymała się nagle i spojrzała na niego tak gniewnie, jakby to była jego wina.

- Nie chciałem cię urazić... przepraszam.

- Skąd wiesz? To widać? - spytała rzeczowo.

- Ja widzę.

- Pomożesz mi w razie czego? Nie mam męża, mój kochanek to typ spod ciemnej gwiazdy i na dodatek w więzieniu. Mogą mnie usunąć z organizacji za złe prowadzenie się. - Pola mówiła spokojnie i konkretnie. Miała to przemyślane, tylko do dziś nie wiedziała, że proponuje oficjalne ojcostwo Groźnemu.

- Pomogę ci, oczywiście - przełknął ślinę i próbował się uśmiechnąć.

Pola złapała go pod ramię, tak naturalnie, jakby robiła to od zawsze, i ruszyli.

Groźny był sztywny. Szczęśliwy i wystraszony jednocześnie. Zatrzymali się pod bramą Poli. Do godziny policyjnej było już niewiele czasu.

- Dobrze. Przy kolejnym spotkaniu ustalimy szczegóły - oznajmiła Pola i wypuściła jego ramię. - No co tak stoisz? Pocałuj mnie. W policzek!

Po schodach szła wolno, z trudem łapiąc oddech. Mieszkali na trzecim piętrze. Na pierwszym uchyliły się drzwi i wyjrzała przez nie pani Nowacka, w wałkach i chustce.

- O, pani Pola! Co za zbieg okoliczności, że panią widzę! - zaszczebiotała.

Jakbyś nie czyhała na mnie pod drzwiami, klępo - pomyślała Pola, a na głos powiedziała równie piskliwie jak sąsiadka:

- O, pani Nowacka! Będę miała miły wieczór, bo zawsze jak panią widzę, to coś miłego się mi przydarza!

- O, pani Polu! Jakby pani zgadła! Gościa ma pani!

Serce podeszło Poli do gardła, a cholerne ciężowe mdłości zaraz za nim. Powstrzymała się.

- Kogo?

- A, chłopiec jakiś siedzi pod waszymi drzwiami i czeka. A jaki dobrze wychowany, a jaki ładniutki, wypisz wymaluj pan Fenix! Może to jakiś jego, no wie pani...

- Nie, nie wiem, pani Nowacka.

- No wie pani - sąsiadka mrugnęła - nieślubny...

- Ojjoj - udała zgorszenie Pola. - A widywała go pani wcześniej?

- Ja? A co to ja jestem? Kapo jakież!

- Niech się pani nie obraża, sąsiadeczko! Idę, zobaczę, co to za jeden. - Ruszyła z trudem w górę.

- A pan Fenix to za konspirację siedzi? - ze współczuciem rzuciła za nią Nowacka. Pola nie odwracała się. - A ten chłopak, co panią odprowadzał dzisiaj, to co, brat?

Wygołę te sukę, jak nic! - jęknęła w duchu Pola. - Jakby gestapo było mądre, to by werbowało na donosicieli Nowackie i jej podobne.

Pod drzwiami siedział chłopiec, może sześćioletni. Spał z głową opartą na kolanach.

- Ej, ty - trąciła go w ramię. - Kto ty jesteś?

- Polak mały - odpowiedział, budząc się natychmiast. - Pani Pola?

- Tak.

- Mam wiadomość dla pani. Mogę wejść?

Mały był schludnie ubrany. I był podobny do Fenixa. Wystarczył rzut oka, by domyślić się Żyda, ale nie na tym polegało podobieństwo.

- Proszę - otworzyła drzwi zaintrygowana.

Gdy tylko weszli do środka i Pola przekreśliła klucz w zamku od wewnątrz, mały zdjął buty i płaszcz. Nieproszony wszedł do pokoju. Poszła za nim, chciała zapalić światło.

- Zasłoni pani okna - poradził. Zrobiła to. Włączyła lampę.

- No, mów.

Zdjął pasek od spodni, rozłożył go na stole.

- Mogę prosić ostry nóż?

Przyniosła mu. Mały przeciął pasek w miejscu szycia i wyjął z niego kartkę; podał Poli. Jednak gdy tylko spojrzała na nią, wiedziała, że to nie gryps od Fenixa.

POLU!

Nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić. Do getta trafiłam z całą rodziną. Moi rodzice już nie żyją, Szymon też. W listopadzie urodziłam córeczkę i wiem, że ona też umrze. Jak i ja. I jak Aaron, jeśli Ty mu nie pomożesz. Polu, błagam Cię na kolanach, przyjmij go i zaopiekuj się nim. On jeden z nas wszystkich ma szansę, ja muszę tu zostać z małą Lonią. Zaklinam Cię na pamięć tych kilku lat, które było nam dane spędzić razem.

Twoja ROSA

Przebiegła kartkę wzrokiem po raz drugi. Zrobiło jej się niedobrze i poszła zwymiotować. Umyła twarz zimną wodą. Stała przed lustrem i przez chwilę marzyła, że to się nie stało naprawdę. Że Pola o twarzy zmęczonej Lody Halamy to nie jest ta sama Pola, która przed chwilą dostała kartkę z getta. Jak na złość zobaczyła siebie i Rosę, obie w białych bluzkach w dniu egzaminu aktorskiego. I jak potem, szczęśliwe, paliły papierosy w parku. Jak razem piły pierwsze w życiu wino i jak...

- Zrobimy duet, co ty na to? „PolaRosa” taniec i śpiew! Ja dam słowiczy głos, ty wywijasz tymi zgrabnymi nogami! - Rosa była lepszą śpiewaczką niż aktorką. „Polarosa” to mogło się udać, to się prawie udało, ale Rosa spotkała Szymona i zaszła w ciążę.

- Będziesz matką chrzestną?

- Nie! Jestem niewierząca, wariatko.

- A ja tak. Moi rodzice przechrzcili się, wiesz? Szkoda, że nie możesz.

- Ale przysięgam, że dla twojego dziecka będę jak matka chrzestna, tylko wiesz, bez tych kościelnych ceregieli...

Usłyszała pukanie do drzwi łazienki. Jak to możliwe, że minęło tyle lat? Jak ten dzieciak wyrósł. Znów ogarnęły ją mdłości. Znów umyła twarz. I chłopiec ponownie zapukał do łazienki. Zrobiła głęboki wdech i wydech i wyszła.

- Jest pani w ciąży. - Aaron przyjrzał jej się. - Moja mama też rzygała, jak była w ciąży z Lonią. Ale tylko na początku, to potem przechodzi, się pani nie martwi.

Pola chciała coś powiedzieć, ale zaschło jej w ustach. Stała i stała.

- Jesteś głodny? - spytała w końcu.

- Tak, ale najpierw musimy dokończyć.

- Co?

- Bierze mnie pani?

- A mam inne wyjście? Za ucieczkę z getta grozi ci śmierć.

- Za ukrywanie Żydów też.

- No to zabiją nas razem. Jestem zmęczona i głodna. - Zrobiła krok w stronę kuchni.

- Jeszcze coś - pociągnął ją za rękę do pokoju.

Na stole leżał jego pasek, teraz był cały rozcięty wzdłuż. Aaron wyjął ze środka cztery złote pięciodolarówki. Podał je Poli.

- To na moje utrzymanie.

Kiwnęła głową, wzięła pieniądze i schowała do pudełka na komodzie.

- Chodźmy coś zjeść - powiedziała i poszła do kuchni.

Siedzieli przy pustym stole. Pili herbatę w słomkowym kolorze i jedli konserwowe ogórki.

- Przepraszam cię, zapomniałam o zakupach. No i nie wiedziałam, że będę miała gościa - uśmiechnęła się do Aarona po raz pierwszy.

- Nic nie szkodzi. Bardzo lubię ogórki. Ale pani to się musi lepiej odżywiać, jest pani w ciąży.

- Uhm.

- Mama mówiła, że będziemy musieli wszystko ustalić. Kim jestem, jak się mam zachowywać. - Wstał od stołu i umył talerze po ogórkach. Wylał rękę o spodnie.

- Uhm.

- Odziedziczyłem po mamie talent aktorski. - Zerknął w małe lusterko, przy którym Pola malowała rano rzęsy.

- Uhm.

- Szybko się uczyć. - Odłożył lusterko. Poprawił nierówno zamkniętą szufladę. Usiadł i rozejrzał się po kuchni, szukając czegoś do roboty.

- Fenix też nie znosi ciszy - uświadomiła sobie na głos Pola - też ciągle coś robi, gada. I planuje. A ta szuflada zawsze go irytuje.

Aaron spojrzał na nią niepewnie. Chciał coś powiedzieć, ale zaniechał. Podrapał się za uchem, tak samo jak Fenix.

- No to kim jestem? - zapytał.

- Moim chrześniakiem - odpowiedziała Pola. - Na imię ci Arek. Arkadiusz. Może być?

*

Częstochowa. Wiosna 1942 roku

Gwarne targowisko miejskie. Używane ubrania, żywe kury, cebula, obrazki z Matką Boską. Co jakiś czas w tłumie miga mundur granatowego policjanta. Między przekupkami stoi dwóch mężczyzn, jeden ma na szyi wianuszek czosnku.

Krzyczy monotennie:

- Na choroby, na zdrowie! Na choroby, na zdrowie!

- Długo tak będziemy pajacować? - pyta go towarzysz.

- Na choroby, na zdrowie! - nie przestaje krzyczeć tamten, a szeptem dodaje: - Aż przyjdzie moja łączniczka. Czego się czepiasz, Żbik, i tak nie masz nic lepszego do roboty.

Porucznik Żbik - do niedawna komendant konspiracyjnych placówek Narodowej Organizacji Wojskowej w trzech gminach w radomskim. Po wyspie wysłany do dyspozycji okręgu częstochowskiego.

- W tym sęk - jęczy Żbik. - Wysłaliście mnie tutaj, bo u nas byłem spalony. A tu zameldowałem się u komendanta okręgu, on do mnie: „A tak, wiemy”. Dał mi dwa adresy, jeden rodziny Majewskich, u której mam mieszkać, a drugi lokalu konspiracyjnego, notabene u chyba osiemdziesięcioletniej staruszki, Abramowicz. I kazał czekać na przydział.

- No to czekaj. Na zdrowieeee!

- Grzmot, nie denerwuj mnie. Ile można beczynnie czekać? U nas to przynajmniej wiedziałem, co się dzieje, a tutaj? Nic.

- Dzieje się, dzieje. Nasi negocjują scalenie z AK. Pewnie dlatego robota stanęła.

- A co tu jest do negocjowania? Niech się scalą i fertig!

- Na choooroby!... To nie takie proste, jak ci się wydaje. Jak wejdziemy w skład AK, to będziemy musieli wypełniać dyrektywy rządu. A te, od paktu MajskiSikorski, są nie do przyjęcia. Kazał nam nie deptać Ruskim po piętach i całować w rękę. Na zdrooowie!

- Żartujesz?
- Nie żartuję.
- Nasi się na to zgodzą?
- Pytaj się mnie!

Tydzień później zaświeciło słoneczko dla Żbika. Przydzielono go roboty w powiecie Włoszczowa.

- Maciej - powitał go tamtejszy komendant.
- Żbik. Mam pytanie. Czy już jesteśmy w AK? Bo ja bym nie chciał Ruskich cmokać w rękę.

Porucznik Maciej klepnął go w plecy.

- No to będzie nam się dobrze pracowało! Idziesz w teren, poruczniku Żbik, i montujesz bojówki w systemie sześć plus jeden. Rozumiem, że przy takim doświadczeniu nie będziesz miał problemu z tym, by chłopców wyszkolić?

- Nie. A broń?
- Mamy trochę z wykopków powrześniowych, granaty, broń krótką, kilkanaście karabinów.
- Maszynowe?
- Nie. Jak dobrze wyszkolimy chłopców, resztę broni sami zdobędą.
- Pasuje mi. - Żbik przyjął zadanie.

I wykonał. Wyposzczony po zbyt długim siedzeniu na tyłku ruszył w teren. W każdej wsi byli młodzi chłopcy, przed dwudziestką, tacy, których nie objął pobór w 1939 roku i którzy dość już mieli kłaniania się Niemcom. Przemierzał powiat wzdłuż i wszerz. Omijał posterunki żandarmerii, usiane co kilkanaście kilometrów. Pilnie przyglądał się ludziom, bo to były czasy, gdy jednego dnia szpicel włączył się od wsi do wsi w przebraniu żebraka, by drugiego wdziać palto i najczystsza polszczyzną mydlić ludziom oczy. Wieśniacy wydoskonalili w sobie ów szósty zmysł, który pomagał im odróżnić swoich od obcych, choć nie raz wyglądało to tak, że po prostu unikali wszystkich, których nie znali. Żbik jednak, co wyszło teraz niezbiecie, miał w sobie coś, co sprawiało, iż dla nich był swój. Swój chłop. Nawet matki, zwykle trzymające synów pod skrzydłami, mówiły:

- Weźmie pan Staśka do lasu, panie Żbiku, moresu nauczy. Bo całkiem się nam chłopak zmarnuje. Ino na żniwa niech go pan odda, no i na sianokosy.
- Oddam, oddam, pani kochana, trzymał go nie będę!

Bo też i metoda była taka, że zabierał chłopców na szkolenie do lasu, a potem puszczał do domów, ustanawiając łączników. Robił z nich leśne wojsko z koszarami na wsi.

Po dwóch miesiącach miał dziesięć bojówek, czyli sześćdziesięciu ludzi, przeszkolonych w obchodzeniu się z bronią i po dwóch ostrych strzelaninach. Zorganizowanie tego ostatniego było zresztą najtrudniejsze, ale znalazł w końcu las ostatecznie głęboki i odległy od ludzi.

Gdy wracał z chłopcami do wsi, matki czekały na nich przy płotach.

- Bardzo się cieszę, panie Żbiku kochany! Odkąd Józio jest u pana, to całkiem inny chłopak. Baków nie zbija, uczynny się zrobił. Młodszego by mi pan nie wziął na trochę?

- A ile ma lat, pani Wielgusowo?

- Trzydzieści, ale wyrośnięty.

- To niech jeszcze trochę u mamy posiedzi. Takiego młodego nie mogę. No i wie pani, idą sianokosy!

- Poruczniku Żbik - zacierał ręce jego przełożony, Maciej - mam dla pana dobrą nowinę!

- Hitler miał atak padaczki, a Stalin kipnął na zawał?

- No nie, nie aż tak dobrą. Zresztą jakby Stalin kipnął na zawał, to NKWD podałoby tę wiadomość dopiero po dwóch latach. Został pan mianowany komendantem dywersji i egzekutywy powiatu włoszczowskiego.

- O rany. Dziękuję. Co będę robił?

- Co będzie trzeba. Wyroki i egzekucje na konfidentach i szpiclach. Akcje specjalne. Pieniądzy nam trzeba, bo z centrali nic nie dostaniemy.

- A wcześniej dostawaliśmy? - uśmiechnął się Żbik, na co Maciej zrobił nieokreślony ruch ręką.

- Secesja! Londyn żeby przyspieszyć scalanie podziemia, obiecał „Grubej Czwórce”, że jak się ich organizacje wojskowe podporządkują AK, to każda dostanie po dziesięć tysięcy na działalność.

- Fiu! - gwizdnął Żbik. Porucznik Maciej skrzywił się.

- Dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie piechotą nie chodzi. Ale co tam. Nasi się podzielili i część weszła do AK, a część nie.

- My nie weszliśmy?

- A jak! Okręg kielecki, radomski, lubelski, rzeszowski i częstochowski były przeciwne. Pod wodzą pułkownika Oziwiczka zostaliśmy secesjonistami. Nie, poruczniku Żbik, my tu mamy bolszewików zbyt blisko, żeby nam ktoś wmówił, że to jest sojusznik.

- To co my teraz jesteśmy? W sensie: jak się nazywamy?

- Tak jak wcześniej: Narodowa Organizacja Wojskowa.

- No dobra, jako komendant egzekutywy powinienem wiedzieć.

- I dywersji - dodał Maciej.

- Tak jest, i dywersji!

Komendant egzekutywy i dywersji Włoszczowa, porucznik Żbik, dostał przełożonego komendanta egzekutywy i dywersji Częstochowa, porucznika Esmana. Różnili się wszystkim, ale ponieważ Żbik był „swoją chłopą”, nie stanęło to na przeszkodzie w szybkim zaprzyjaźnieniu się. Esman był mistrzem rysunku technicznego, wirtuozem schematów i planów sytuacyjnych. Nawet najmniejsza akcja nie miała dla niego sensu, jeśli nie została przedtem należycie rozrysowana. Na szczęście talenty swe rozwijał jedynie we wspólnych akcjach, a na początku współpracy Żbik dostał do zrealizowania szereg zadań indywidualnych, rzecz by można: gminnych.

Przede wszystkim rabunki. Rabunki chwalebne, patriotyczne, czyli krótko mówiąc, obrabianie kas niemieckich przedsiębiorstw. Pieniądze szły na organizację, która na skutek honorowej secesji nie dostawała już żadnych środków z zewnątrz i zarówno broń, jak i wszystko inne, musiała sobie zdobyć sama. Kłopot był jednak w tym, że Żbik, choć przyniósł w zębach do dowództwa całą masę gotówki, przymierał głodem. Owszem, organizacja opłacała jego mieszkanie - pokój u Majewskich, zapewniała fikcyjną kenkartę i papiery, by udając pracownika raz tej, raz tamtej firmy, mógł się bezpiecznie poruszać po terenie, ale poza tym niewiele więcej. Dostawał parę złotych żołdu, lecz na życie nie starczało. Kiedy więc usłyszał u Majewskich przypadkiem, że w szpitalu świętej Barbary brakuje krwi do transfuzji, nie zastanawiał się. Płacili 6 złotych za centymetr.

- Proszę mi pobrać kilkaset centymetrów - oznajmił przystojnej lekarce. - Jak ma pani na imię, pani doktor?

- A pan, panie krwiodawco?

- Ja? Żbik.

- Rozumiem. Wobec tego ja mam na imię święta Barbara. Proszę leżeć i się nie ruszać.

- Mam pytanie. Ta krew - spojrzał na swoje podłączone do przewodu ramię - czy przetaczacie ją później tylko Polakom?

- A co, chce pan zrezygnować?

- Nie, no ale fatalnie bym się czuł, gdyby moja krew zmieniła narodowość.

- Niech pan leży spokojnie.

Wąska, chłodna dłoń lekarki dotknęła jego czoła. Żbikiem wstrząsnął dreszcz.

- Słabo panu? - pochyliła się nad nim i przez ostrą, szpitalną woń do nozdrzy Żbika wdarł się ciepły, słodki zapach kobiety.

- Tak - skłamał gładko.

Ciemne brwi pani doktor poruszyły się z troską. Wyjęła z kieszeni słuchawki i rozpięła guziki koszuli na piersi Żbika. Jego serce dudniło i ona to słyszała zwielokrotnione przez stetoskop. Po prawej i lewej stronie leżało kilku takich jak on, podłączonych do przewodów. Przez otwarte drzwi wpadał z korytarza metaliczny dźwięk toczonych wózków. Żbik oddychał szybko i głośno, patrząc prosto w oczy lekarki.

- Nie miał pan nigdy wcześniej zdiagnozowanych problemów z sercem? - Wyjęła z uszu słuchawki i znów dotknęła jego czoła.

- Aż do dzisiaj nie - wyszeptał - ale teraz czuję, że bardzo mnie boli...

Zarumieniła się, jakby dopiero w tej chwili dotarło do niej, że leży przed nią mężczyzna, nie pacjent.

-...i jeśli pani mi nie pomoże, to będę się męczył i panią męczył i...

- Kończę pracę o szóstej - powiedziała i nie patrząc mu w oczy, odeszła od łóżka.

Na szczęście pieniądze wypłacali przy wyjściu, zdążył pobiec po kwiaty. Kolacja kosztowała pięćdziesiąt centymetrów krwi, ciągle jeszcze było go stać na więcej. Ale rozmawiając z piękniejącą w jego oczach z minuty na minutę lekarką, panicznie myślał: „Co dalej?”. Gdzie zakończyć wieczór? Do Majewskich jej nie weźmie.

- Mam taki niewielki zakonspirowany lokal - szepnął, podając pani doktor płaszcz. I pobłogosławił w myślach pani Abramowicz, osiemdziesięcioletniej właścicielce jednej z tajnych siedzib NOW, która była nadzwyczaj uprzejmą starszą damą, chodzącą spać o zmierzchu i w dodatku całkowicie głuchą.

Sprawdził, czy wszystko w porządku, tak jak robił to za każdym razem, nim przekręcił klucz w zamku. Pelargonia w oknie na piętrze stała, potwierdzając, że lokal konspiracyjny jest wolny. Po raz pierwszy dostrzegł, że pelargonia ma intensywnie różowe kwiaty. Zamknął drzwi od wewnątrz i spuścił rolety.

- Kiedyś był tu sklep, dzisiaj... - Nogą przesunął piętrzące się na podłodze kartony i wtedy uświadomił sobie, że prócz fotela, okrągłego stołu i dwóch chybottliwych krzeseł nie ma tu więcej mebli. I nigdy wcześniej nie było. Zagryzł zęby, pomyślał: „Partyzantka!”. I wyciągnął ręce po płaszcz kobiety. Rozpinała guziki, patrząc na niego spod na wpół opuszczonych powiek.

- Oddał pan dzisiaj pół litra krwi - powiedziała i ostatnie słowo zalśniło na jej wargach.

- Tak - odłożył płaszcz na krzesło, chwycił ją za rękę i położył sobie jej dłoń na piersi - proszę sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku.

Kobieta zręcznym ruchem wsunęła palce pomiędzy guziki jego koszuli.

- Serce panu bije, więc chyba...

- A puls? A ciśnienie? - Oplótł ją ramionami i przycisnął biodra lekarki do siebie. - Jakaś diagnoza, recepta, zastrzyk... - mruczał, całując jej włosy i szyję.

Roześmiała się i bez cienia skrępowania spytała, zdejmując buty:

- Jest pan fetyszystą?

- Faszystą? Jak pani może! - Chwycił szczupłe biodra kobiety i uniósł ją w górę. Zatrzymał się nagle tknięty jakimś koszmarnym przeczuciem. - A pani może?...

- Ćśś... - ugryzła go lekko w dolną wargę. - Porucznik Igła, poruczniku Żbik.

- Aha - usiadł na fotelu i posadził sobie Iglę na kolanach - a pani porucznik jest skąd?

- Z AK. - Zatrzymała palce przy pasku jego spodni i spojrzała na Żbika wyczekująco.

- To w porządku - zełgał odrobinę secesjonista - bo ja z NOW i usiłujemy się z wami scalić. - Chciał pomóc jej rozpiąć swój pasek od spodni, ale pokręciła głową.

- Poradzę sobie nawet z narodowcem - szepnęła i nie miał wątpliwości, że ma rację. - To co, wypełnimy rozkaz Naczelnego Wodza?

- Scaleniowy? Z rozkoszą!

- Mam nadzieję, poruczniku Żbik! Ummm!...

- Dla pani porucznik zostałbym nawet członkiem... Znów ugryzła w pół słowa jego wargę.

- Członkiem sama się zajmę. Wystarczy mi pana gotowość, poruczniku!

Zręcznie usiadła na stojącym na baczność, a Żbik zdał sobie sprawę, iż wybierając fotel, sam oddał aktywność pani doktor. Próbował unieść się, trzymając kobietę za biodra, zmienić pozycję. Zatrzymała go władczym ruchem ręki i nie przestając poruszać się rytmicznie, instruowała Żbika:

- Nie, nie, nie! Pan oddał dzisiaj pół litra krwi, musi pan odpoczywać, uuunikać wysiłku fizycznego... To zazazalecenia! Ach!...

Żbik szczytował z Iglą.

- Mogę dla pani krew oddawać codziennie... - jęknął w jej pierś, gdy skończyli.

- Nie może pan częściej niż raz na dwa miesiące - odpowiedziała, poprawiając bluzkę.

- Mogę!... I zaraz to pani udowodnię! - Zerwał się, posadził panią doktor na fotelu i rozsunął jej nogi. Patrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Nie powinnam... - jęknęła, oddając mu się. - Pan musi odpoczywać...

- Proszę zapomnieć, że jest pani lekarzem...

Odchyliła głowę do tyłu, przyciągnęła jego pośladki do siebie. Nagle zeszytywniała,

znieruchomiła i usiłowała się odsunąć.

- Ależ pan mnie okłamał! Przecież kielecka NOW wypowiedziała posłuszeństwo AK!

Tylko nie teraz! - pomyślał Żbik i nie przestawał.

- Niemożliwe! - jęknął, pokonując opór pani porucznik. Odnalazł ten rytm, w którym czuła się najlepiej. - Niemożliwe!

- Tak! - westchnęła. - Tak! Tak!...

Znów skończyli jednocześnie. Osunął się na kolana i położył głowę na ciepłym udzie Igły.

- Pani porucznik - wyszeptał, gdy już uspokoił oddech - wie pani, jak jest. Góra z górą się nie zejdzie, ale my, szeregowi żołnierze Polski Podziemnej, zawsze możemy ze sobą współpracować.

- Ku chwale Ojczyzny - powiedziała i znów wciągnęła Żbika na siebie.

- Poruczniku Żbik! - Esman, komendant egzekutywy i dywersji Częstochowa, uściśnął mu rękę i zaprosił do stołu zasłanego notatkami. - Sprawa jest pilna i delikatna, proszę siadać! Chodzi o kobietę! Żbik zaniepokoił się. Oddawał krew regularnie, czyżby ktoś zwrócił na to uwagę?

Esman wygrzebał jakąś nie do końca zarysowaną kartkę i mówiąc, bazgrolił coś ołówkiem. Po kilku minutach położył przed Żbikiem rysunek kobiety o wydatnym biuście, talii osy, długich nogach i falistych, modnie obciętych włosach. Żbik odetchnął z ulgą. Igła miała długie włosy zawsze upięte w kok.

- Anna Kaczmarek - oskarżycielsko postukał ołówkiem w czoło narysowanej Esman - wtyczka gestapo, kurwa i konfidentka. Ma na sumieniu szesnastu naszych ludzi i wciąż sypie!

- W sensie „donosi” czy „się pieprzy”?

- Jedno i drugie! Wczoraj dostała wyrok, który musi zostać wykonany bez zwłoki. Wybierz czterech swoich ludzi i puknijcie ją! - Esman stuknął ołówkiem pomiędzy narysowane obfite piersi.

- Nie, no poruczniku - skrzywił się Żbik - nie będę się z konfidentką za przeproszeniem... - Dopiero teraz do niego dotarło, jakie puknięcie ma na myśli Esman. Skrzywił się po raz drugi. - Kobietę?

- Nie, nie kobietę. Donosicielkę! Szesnastu ludzi! O tym myśl, a nie o dupie i cycach.

- To porucznik narysował cyci, nie ja - obraził się Żbik. - A w ogóle jak to się stało, że ona zna naszych ludzi, co?

- No źle się stało, nie ma o czym gadać. Krakowska sześć, to jej adres.

- Esman już wyciągał nową kartkę i zaczynał kreślić. - O dziesiątej rano Kaczmarek

zwykle idzie na śniadanie do kawiarni naprzeciwko, musicie wziąć ją przed śniadaniem. Czasami przychodzi po nią gestapowiec, jej kochanek. Czasami w mieszkaniu jest ich dwóch, bo drugi jest kochankiem jej przyjaciółki... - Esman szkicował zarysy postaci.

- To mam załatwić dwie kobiety i dwóch gestapowców?

- Nie. Masz załatwić tylko Kaczmarek. Nasza głowa w tym, by była w domu sama. Najpierw przeszukacie mieszkanie, bo mamy informacje, że nim zaczęła swój kurewski proceder przywłaszczyła sobie mienie pożydowskie... - Esman szkicuje futra, zegarki, pierścionki. - Wszystko to zabierzecie - zręcznie rysuje pękate walizki - gotówki nam trzeba. Potem odczytasz jej wyrok i... - Ołówek porucznika dokonał egzekucji.

Czterech chłopców z Kurzelowa. Śmigły, Jeleń, Kukułka i Tadzio. I Żbik. Wszyscy w płaszczach, bo pod nimi po granacie i po dwa pistolety. Upał jak na złość od samego rana. Podjeżdżają dorożkami na plac Zygmunta. Kukułka myli się i zamiast zatrzymać dorożkę po przeciwległej stronie placu i dopiero w bramie na Krakowskiej 6 połączyć się z kolegami, wysiada w jednym miejscu z nimi. Kwiaciarka na rogu patrzy badawczo. Uhm. Pięciu młodych mężczyzn w płaszczach, równie dobrze mogliby nie chować broni! Żbik klunie, ale jest za późno. W rękach walizki, na to mienie pożydowskie. Chłopcy się pocą. Wszystko z nimi przegadał, każdy plan A, plan B, C i niewypał. Broń przestrelali. Są sprawdzeni. Ale jeszcze nie robili takiej akcji w mieście. I nie mieli wyroku na kobietę. Drewniane schody skrzypią przeraźliwie. Na znak Żbika wyciągają pistolety spod płaszczy. Celują w drzwi. On puka. Otwiera kobieta w jedwabnej różowej piżamie. O rany! - myśli Żbik. - Ale ładna!...

- Panowie? - szeptem przerażona, patrząc na wycelowaną w swoją pierś broń.

- Zaraz wszystko wyjaśnimy. - Żbik nie czekając na zaproszenie, wchodzi. Kobieta cofa się. Jeleń zamyka za nimi drzwi. Kukułka jednym susem dopada otwartego okna, domyka je szczelnie.

- Pani Anna Kaczmarek? - pyta Żbik, nie spuszczając lufy visa z kobiety. Celuje w jedwabną piżamę, w to miejsce między dwiema okrągłymi piersiami, które Esman szkicował z takim znanstwem. Czyżby?...

- Tak... - szeptem przerażona kobieta. Ma szeroko otwarte niebieskie oczy. Blond włosy zakręconymi kosmykami spadają jej na policzki.

Ale ładna - powtarza w myślach Żbik. - Ale, kurczę, ładna.

W pokoju czuć delikatną woń perfum, ich flakon ozdobiony różowym chwościkiem stoi na rogu stołu. Przez kwiecisty parawan przewieszona sukienka, na oparciu krzesła wiszą pończochy.

- Kim jesteście? Co znaczy ta broń? O co chodzi? - powtarza pobladła Kaczmarek.

Żbik zauważa ostro zarysowane pod jedwabiem sutki.

Przed chwilą ich nie było widać - myśli, choć to bez znaczenia.

- Pusto! - mówi Tadziu. - Nikogo nie ma. Ale łóżko jeszcze ciepłe i brudne kieliszki w kuchni. Dwa kieliszki!

- Gdzie są rzeczy pożydowskie? - pyta Żbik.

- Ja... to jakaś pomyłka... - mruga dziewczyna i Żbik przez chwilę myśli z ulgą, że tak, że to jednak pomyłka.

- Anna Kaczmarek, tak? - wspiera go nieoczekiwanie Kukułka.

- Tak, ale...

No nie, mamy na nią wyrok - myśli Żbik, z żalem patrząc w wystraszone, błękitne oczy dziewczyny.

...ja nie... stróż i sąsiedzi, oni brali różne rzeczy, jak wysiedlono Żydów, ale ja nie... panowie mają złe informacje...

- Jeśli tak, to przepraszamy panią - mówi Żbik. - Chłopcy, sprawdźcie szafy!

Kaczmarek blednie. Jeleń otwiera pierwszą z brzegu i wyrzuca na podłogę lisy. Srebrne, rude, białe. Etola z norek, futra. Tadziu z kuchennych szafek przynosi pudełka.

- Sam zobacz - podnosi wieczko kryjące łupy.

- To moje... - bez przekonania szepce Kaczmarek. - To moje...

- To też? I to? I to? - chłopcy systematycznie wyrzucają z szaf coraz to nowe skarby.

Kobieta jest przerażona, nic nie mówi. Spuszcza głowę.

- Ładujcie to i zmiatajcie - mówi Żbik. Chłopcy tak, jak było umówione, pakują walizki.

- Czy możemy pożyczyć? - sapie Kukułka, wskazując na stojącą w szafie walizkę Kaczmarek. - Naszych nie starczyło.

Kobieta kiwa głową mechanicznie. Wszystko jej jedno. Są gotowi. Żbik daje im znak, by wyszli. Kukułka naciąga daszek czapki na oczy i na pożegnanie gwizdże marsza żałobnego Chopina. Kobiecie trzepocą powieki, jakby chciała sobie przypomnieć, co to za melodia. Zostaje tylko Jeleń, on ma być egzekutorem. Zgłosił się na ochotnika, ale Żbik widzi, że chłopak najchętniej wycofałby się w tej chwili.

Gdy zamykają się za nimi drzwi, do kobiety dociera, że to nie wszystko. Cofa się w stronę okna.

- O co chodzi? - szepce. - Już nic więcej nie mam.

- Ma pani, nieczyste sumienie. I my też coś dla pani mamy. - Żbik wyciąga z kieszeni papier i czyta: - W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej za wydanie szesnastu członków Polskiej

Organizacji Podziemnej, za usiłowanie zdekonspirowania innych, za zbrodniczą współpracę z wrogiem, za zdradę główną, wyrokiem sądu z dnia...

Podnosi na nią wzrok, bo powinien patrzeć jej w oczy, odczytując wyrok. Zaczyna się, bo jedyne, co przechodzi mu przez głowę, to „jaka ona ładna”. Wraca więc do kartki i czyta:

-...skazana na karę śmierci.

Rzuca okiem na Jelenia. Jest tak samo blady jak ona. Celuje do jedwabnej piżamy z visa, ale tylko celuje, nie strzela.

Kaczmarek wykorzystuje tę chwilę zawahania. Rzuca się w stronę okna, jakby chciała je otworzyć i wyskoczyć. Tylko nie to. Trup na ulicy. Zbiegowisko. Żbik zagraża jej drogę. Kaczmarek niczym oszalała kocica biega po mieszkaniu. Potrąca stół, flakon perfum spada na podłogę.

- Strzelaj! - krzyczy Żbik do Jelenia. - No, kurwa, strzelaj! Kobieta zatrzymuje się nagle. Unosi ręce do twarzy, jakby chciała się zasłonić.

- Już! - krzyczy Żbik do skamieniałego Jelenia. - Już! Chłopak zaciska powieki i pociąga za spust.

Wystrzał. I charczenie skazanej. Pada na podłogę.

- Spudłowałeś. - Żbik zgodnie z instrukcją pochyla się nad nią.

- Przestrzeliłeś ręce i gardło. - Stara się mówić spokojnie, musi opanować i ją, i Jelenia. - Nie denerwuj się. Popraw.

Kaczmarek porusza się konwulsyjnie. Z szyi płynie krew, zalewając miękkie dywan. Charczy.

Jeleń strzela. Kobieta nieruchomieje.

- Tak giną zdrajcy - mówi Żbik, przypominając sobie, co kazał mu po wykonaniu wyroku powiedzieć Esman. - Ich nikczemne imiona szczyną bez śladu.

Tak jak dywan wchłania krew kobiety, tak powietrze w mieszkaniu wypełnia duszna woń rozlanych perfum. Żbik dusi się nią, popycha stojącego sztywno Jelenia.

- Schowaj broń i łap walizę! Biegniemy!

Wyskakują na schody. Na klatce cisza, ale gdy zbiegają, jedne za drugimi otwierają się drzwi. Twarze starszych kobiet, mężczyzn. Wszyscy kiwają głowami. Ktoś szepce do nich:

- Jeszcze Polska...

-...należało się...

W cieniu bramy czekają Tadziu, Kukułka i Śmigły. Żbik syczy:

- Mielicie iść do swoich dorożek!... Kurwa mać!...

Chłopcy zdenerwowani, teraz im się przypomniało, że źle zrobili. Wyskakują w pięciu na ulicę. Jeleń potyka się i waliza puszcza. Na chodnik sypią się srebrne noże, widelce, jedwabne pończochy. Złote lisie futro wpada w rynsztok. Przechodnie stoją w blasku skąpanej słońcem ulicy. Patrzą w osłupieniu. Żbik i Śmigły pomagają Jeleniowi załadować walizę. Zgarniają z chodnika wszystko. Złote łańcuszki i śmieci. Zamek nie chce trzymać.

- Pończochą zwiąż!

Zza węgła wychodzi granatowy policjant. Zastaje ich nad zamykaniem walizy. Żbikowi pot zalewa oczy.

- Panowie, co tu się... - pyta przerażony.

Żbik odsłaniając visa ukrytego pod płaszczem, syczy:

- Zmiataj pan stąd, ale już!

Policjant nie protestuje. Znika w bramie. Przechodnie też udają, że nic się nie stało. Waliza opanowana. Pięciu ludzi idzie środkiem placu do czekających dorożek. Ruszają. Jadą koło posterunku gestapo przy Kilińskiego. Może kochanek Anny Kaczmarek jest właśnie w pracy? Jeleń siedzi w dorożce ze Żbikiem. Szepce:

- Ależ ona była ładna...

- Ładna! Ładna! - dwa dni później rzuca się Esman. - To nie ma nic do rzeczy! Spartaczyliście robotę i tyle! Kaczmarek przeżyła, leży w szpitalu pilnowana przez gestapo i sypie dalej! - Esman staje i porusza nosem, jak królik. Tak, Żbik też wciąż czuje te rozlane perfumy.

- Niemożliwe! Pierwszy strzał owszem, nie był dokładny - tłumaczy się. - Ale drugi tak. Sprawdziłem, poruczniku. Może gestapo nas podpuszcza? Liczą, że pójdziemy do szpitala dokończyć egzekucję, i nas przyskrzynią?

- Stary jest wściekły, przekazał mi, że rzekomo zabita Kaczmarek sypie nazwiskami!

- W którym szpitalu?

- Świętej Barbary.

- Dowiem się. Mam tam kogoś zaufanego. Nie! - przerwał Esmanowi, który sięgał po kartkę. - Wiem, jak trafić, wszystko wiem!

Czekał na doktor Iglę po skończonym dyżurze. Nie był na tyle głupi, by pchać się na oddział.

- O, jaka niespodzianka - zaróżowiły jej się policzki na widok Żbika. - Idziemy do mnie czy do ciebie?

- Muszę cię o coś prosić - szepnął zdenerwowany.

- Proś, lubię, jak prosisz. - Pani doktor był gotowa do flirtu.

- Chodzi o pewną kobietę... właściwie prostytutkę... Igła przyjrzała mu się z zainteresowaniem.

- Hmm... wszystko zależy od szczegółów, nie jestem pruderyjna...

- Przysuwa nos do jego ramienia, wdycha zapach i unosi brwi, pytająco.

- Nie w tym rzecz, moja droga. Słuchaj, czy dwa dni temu nie przywieźli do was na oddział postrzelonej kobiety? W szyję i w dłoń. I w piersi, ale tego ostatniego nie jestem już pewien...

- A! Rozumiem. - Igła poprawiła zsuwającą się z ramienia torebkę. - Miałam o tobie lepsze mniemanie. Ta osoba wyglądała jak ofiara spartaczanej egzekucji.

- Wyglądała? - Żbik chwycił się tego słowa. - Żyje czy nie?

- Nie. Zmarła dzisiaj rano.

- A wcześniej? Czy było przy niej gestapo? Czy coś mówiła? Igła spojrzała na Żbika kpiąco.

- Ona miała przestreloną krtani. Jedyne, co zdołała wycharczeć, to że było ich pięciu i że akcją dowodził Żyd. Więc chyba nie miała na myśli ciebie, Żbiku. - Nieoczekiwanie dotknęła paska jego spodni. - Czy coś zmieniło się od naszego ostatniego pobierania krwi? Obrzezałeś się?

- Nie! - krzyknął uradowany Żbik. - Nie!

*

Ilza, Generalne Gubernatorstwo. Lato 1942 roku

Ładna, skromnie ubrana dziewczyna i chłopak, dobrze zbudowany jasny blondyn. Idą pod ramię, ona niesie kosz, jak na piknik. Z daleka wydają się na parę narzeczonych. Dziewczyna śmieje się, chłopak ją zabawia. Dopiero z bliska widać, że oboje są sztywni, a śmiech dziewczyny jest niczym tik: nerwowy, urywany.

- Ten z rowerem naprzeciw nas to volksdeutsch. Donosi. Pobił moją siostrę. Jak go będziemy mijać, to...

Chłopak nie pozwala jej dokończyć, przytula zaborczo. Volksdeutsch wpatruje się w nich tak intensywnie, że kołem roweru zahacza o latarnię. Przewraca się. Chłopak doskakuje do niego i chwyta za klapy marynarki.

- Co się gapisz na moją narzeczoną, co?

- Ja? - jęczy volksdeutsch, masując zbite kolano. - Weź się, człowieku, odczep - rzuca niechętnie.

- Odczep? To ty na nas wpadłeś! - Chłopak stawia go na nogi. Mężczyzna pochyla się, by podnieść rower, ale ląduje na wyprowadzonym z dołu ciosie, fachowym lewym na tułów.

- Auuu! - zwija się, trzymając za żołądek. - Herr Gott!
- Und auf Wiedersehen! - spluwa chłopak i pociąga dziewczynę za rękę.
- Coś ty narobił! Zgłupiałeś? Teraz będę miała kłopoty!
- Powiesz, że masz zazdrosnego narzeczonego.
- Osioł! - Dziewczyna jest zła, nie pozwala się chwycić za rękę.
- Wszyscy jesteście osły! Narobić hałasu, pobić Niemca i nie zastanawiać się, co będzie dalej! Wszyscy jesteście tacy sami! - Ogląda się, czy nikt za nimi nie idzie. Ulica jest pusta. Uspokaja się, wygładza sukienkę.

- Przepraszam - mówi chłopak po chwili i wyciąga rękę. - Jestem Jakub.

Porucznik Jakub - przed wojną nauczyciel matematyki, w kampanii wrześniowej dowódca patrolu. Działacz lewicowego podziemia. Właśnie wypuszczony z więzienia w Biłgoraju.

- Janka - mówi dziewczyna niechętnie. - Z Poznania.
- Z Poznania? Co tu robisz?
- Wyszli nas zimą czterdziestego roku. - Poprawia włosy. - Ojciec zmarł na zawał, w drodze. Serce nie wytrzymało. Matka rozchorowała się ze zgryzoty i poszła za nim. Byli sobie bardzo oddani.

- Zostałaś sama? - z troską pyta Jakub.

- Nie, mam starszą siostrę. Mieszkamy na pokoju u krewnych - śmieje się nerwowo, jakby miała czkawkę - dalekich krewnych. Wiesz, myśleliśmy, że nas to ominie. Że tylko Żydów wysiedlą z Kraju Warty. Ale tuż przed Bożym Narodzeniem załomotali do drzwi. Żandarm podał nam papier i kazał pokwitować odbiór. Ojciec zawołał Klarę, moją siostrę. Powiedział: „Czytaj, nie widzę dobrze bez okularów”. Tam było napisane, że mamy dwadzieścia minut na opuszczenie domu. Rozumiesz? Dwadzieścia minut, żeby spakować całe życie. I wyjść. I... - Twarz Janki wykrzywiła się w czymś, co mogło być uśmiechem. - I na dole, drobnym drukiem było dopisane, że zamykanie szaf i zabieranie kluczy jest zabronione... rozumiesz? Że to zabronione! - zaśmiała się, albo zaszlochała, bez łez. - Zabronione! Klucze mieliśmy zostawić w drzwiach!...

Jakub zacisnął pięści. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Podobno do naszego domu wprowadził się łotewski Niemiec. Heim ins Reich! Witajcie w Rzeszy! Jak sądzisz, czy on karmi kanarki mojej matki? Bo kanarków też nie mogliśmy zabrać.

- Na pewno karmi - Jakub był kiepskim kłamcą. - Ziarenkami, czy tym czymś, co się daje kanarkom.

Janka westchnęła głośno. Potrząsnęła głową.

- To tutaj. Doprowadziłam cię bezpiecznie. Wrócę po ciebie za dwie godziny. W końcu narzeczone odprowadzają narzeczonych na dworzec, prawda? Kto ci tak załatwił ucho?

- Heinrich Moltke. Bęwał z gestapo.

- Ha, ha, ha - śmieje się po swojemu Janka.

Jakub po wyjściu z więzienia był chwilowo spalony w Biłgoraju. Gestapo nic na niego nie miało i po miesiącu bicia wypuścili. Ale organizacja postanowiła go przechować na wsi pod Ilżą, póki sprawa nie przyschnie. Przyjechał się zameldować u dowódcy okręgu.

Przy wejściu do mieszkania stał chłopak i palił papierosa. Jakub wymienił z nim hasło i chłopak niedbałym ruchem uchylił drzwi.

- Porucznik czeka - powiedział tak wolno, jakby ziewał.

Usłyszał znajomy dźwięk powtarzalnych uderzeń. W środku, tyłem do niego, niski szczupły mężczyzna w podkoszulku boksował wypchany czymś worek po ziemniakach. Jakub stanął zdumiony i patrzył. Znał kogoś, kto tak świetnie balansował, zwinnego jak... ale to niemożliwe. W tej samej chwili bokser zręcznie odwrócił się, stanęli twarzą w twarz. I zawołali jednocześnie:

- Jakub?

- Łokietek?

- Druhu! Ktoś ci w końcu skancerował twarz? Biłgoraj?

- Tak - mówi Jakub, śmiejąc się. - Uczyli, żeby nie oddawać ciosów w czasie przesłuchania. To ty tu dowodzisz?

- Chwilowo. - Łokietek wytarł czoło podkoszulkiem. - Nie mam pewności, czy wytrwam w sojuszu z AK. Śmierdzi mi to sanacją. Tak, tak. Dostaliśmy kogoś z Biłgoraja na przechowanie, ale nie domyśliłem się, że Jakub to Jakub! Co za spotkanie!

Siadają, Łokietek wyciąga butelkę samogonu, dwie brudne szklanki. Stukają się, piją.

- A może zostaniesz u nas? Poznałeś już naszą łączniczkę, Śmieszkę.

- Masz na myśli Jankę? Chyba mnie nie lubi.

- Tego jakiegoś Jakuba myślałem odesłać na wieś, pod Ilżę. Ale swojego przyjaciela nie odeślę. Przydasz mi się, planujemy akcję na Niemców, ale taką wiesz, trochę poza okiem dowództwa. No, taka lewizna na lewicy.

- Rozumiem. Zbierasz spady?

Łokietek podrapał się po brzuchu pod brudnym podkoszulkiem.

- Wiesz, jak jest. To całe scalenie z AK - splunął. - Tego nie wolno, tamtego nie wolno. A jak mam wiadomość, że stu pięćdziesięciu Niemców będzie urządziło w majątku

garden party, to mój przełożony mówi: „Nie, bo wy sobie postrzelacie jak do kaczek, a oni potem zemszczą się na cywilach”. Ja mu na to, że taka jest wojna, a on, bracie, marudzi swoje. Jak się będziemy zastanawiać, co oni na to, to po raz drugi przegramy tę wojnę.

Jakub obracał mętnym płynem w szklance. Wziął łyk i powiedział:

- Ale twój dowódca ma rację. Za każdego zabitego żołnierza Niemcy liczą dziesięć.

Łokietek zachnął się.

- No i co z tego? Partyzantka, jak fabryka, musi być efektywna! Ja nie będę stał, kurwa, z bronią u nogi! Akcja i w las. Naszych nie złapią. A...

-...a wiejskie baby rewolucji nie robią? To chciałeś powiedzieć? Nic się nie zmieniłeś, Łokietek. Waga kogucia i kogucia zadziorność.

- A ty jak byłeś półśredni, tak jesteś półśredni - z lekceważeniem wypluł Łokietek. - O jaką Polskę walczymy, co? O jaką?

Jakub wypił do końca.

- O całą, brachu. Ja chcę walczyć o całą Polskę. Łokietek wytarł usta i zupełnie poważnie odpowiedział:

- Ja też. Ale nie powiesz mi, że zależy ci na tej Polsce, co przegrała w trzydziestym dziewiątym?

- Nie. Tylko czy to ma dzisiaj znaczenie?

- Ma, Jakub. Ma. Bo pozbyć się Niemców to jedno. A zbudować nowy ustrój to drugie. I wiesz, że nie chodzi mi o siedemnastą republikę! Ale o przyzwoity kraj przyzwoitych ludzi. O równe szanse.

- Dobra, starczy. Jesteśmy po tej samej stronie - zakończył polubownie Jakub i wstał. - Choć wciąż w innych kategoriach wagowych. Masz drugie rękawice? Dawno nie boksowałem. A tobie pewnie znudził się już ten kukurydziak! - Z całej siły przywalił w worek.

Leśniczówka Antoniów, trzy kilometry od Chwałowic, powiat iłżecki, Generalne Gubernatorstwo

Na dobrze ukrytej w lesie polanie kręci się około stu partyzantów. Z furmanek wydobywają niemieckie mundury. Łokietek przynosi Jakubowi mundur i rzuca.

- Załatwiłem nam miejsce na ringu! Idziemy w grupie szturmowej jako Niemcy.

Przebierają się. Spodnie są za długie na drobną figurę Łokietka. Jakub śmieje się.

- Weź się podwiń!

Łokietek wcale nie jest rozbawiony. Nożem obcina nogawki spodni.

- Nas będzie pięćdziesięciu, wchodzimy na teren nadleśnictwa Chwałowice. Tam jest

sztab dywizji niemieckiej i tam, w ogrodzie, szkopy się dzisiaj goszczą. Sześćdziesięciu ludzi, już bez mundurów, będziemy mieli w odwodzie, a czterdziestu jest rozproszonych tutaj w lesie, w razie gdyby zaszła konieczność wsparcia. Dostajemy granaty, żeby tak na imprezę nie wpadać z pustymi rękami!

- Co to za oddziały? - spytał Jakub, na którym niemiecki mundur leżał idealnie.

Łokietek spojrzał na niego i gwizdnął.

- No, bracie, z tą blond czupryną i niebieskimi oczkami to ty jesteś bardziej aryjski od szefa gestapo! Tylko to brzydkie ucho zakryj!

- Przestań! Ten dowcip mnie nie śmieszy. Więc co to za ludzie?

- Część z Batalionów Chłopskich, ale nieoficjalnie, wiesz, cicho sza. A reszta to oddziały niezrzeszone. Ten wysoki ze szramą to Ośka. Dowodzi Baca, tamten z wąsem. Pozostali to wolne grupy, mówimy na nich luzaki. Alosza, Wiślicz, Wrzos, Zryw.

- Dobra i tak nie zapamiętam. Alosza to?...

- To Alosza - uciął Łokietek. - Co, chcesz się rozmyślić? Przebrani w niemieckie mundury ruszyli zwartą kolumną. Gdy mieli jakieś czterysta metrów do wartowni, Baca kazał śpiewać Ein Heller und ein Batzen, ale i tak równo wychodził im tylko refren:

- Heidi heido heida!

Wartownicy pozdrowili oddział i otworzyli bramy. Wmaszerowali na podwórze ze śpiewem na ustach. W głębi ponad setka prawdziwych Niemców, w porozpinanych bluzach od mundurów, z kuflami piwa usiłowała śpiewać:

- Es ist so schön Soldat zu sein, Rosemarie, Nicht jeder Tag bringt Sonnenschein, Rosemarie...

Ale równo im wychodziło tylko Rosemarie, mimo tłustego kaprała, który usiłował dyrygować nabitą na widelec kielbasą. Słyszac porządne Heidi heido, feldwebel zasalutował kielbasą i zmienił Rosemarie na „heidi” partyzantów. Nim zdążyli wmaszerować pomiędzy nich, całe podwórze śpiewało razem. Baca dał znak, by nie zmieniając marszowego kroku, rozeszli się z dwuszeregu w szereg i okrążyli podwórze. Sam stał na wprost feldwebla i uśmiechając się, jechał w kółko:

- Heidi heido heida!

Partyzanci maszerowali w miejscu i śpiewali równo z Bacą. Feldwebel dał znak widelcem, że starczy, nadgryzł kielbasę i zaintonował ponownie Rosemarie.

- Es ist so schön Soldat zu sein, Rosemariiiiiee... - wył tłusty kaprał.

Baca skrzywił się, najwyraźniej nie znał tej niemieckiej pieśni. W mgnieniu oka wyszarpnął pistolet i wypalił do kaprała z bliska.

- Koniec, kurwa. My nie przyszliśmy tu śpiewać, tylko zabijać! Widelec z kielbasą zrobił salto w powietrzu i upadł pod nogi Jakuba.

Rozpętała się strzelanina. Chłopcy rzucali na środek granaty. Niemcy byli zaskoczeni, podpici. Większość nie mogła znaleźć pasów z bronią rozrzuconych w nieładzie po ławkach i stołach. Erkaemy w równych seriach tatadam, tatadam zdawały się przedrzeźniać śpiewane wcześniej piosenki. Rozbryzgiwały się kufle z piwem, Niemcy bezładnie i niemal bezbrinnie padali na trawnik.

Łokietek pociągnął Jakuba w bok, do budynku. Wbiegli do kancelarii. Był tam już Alosza i Wiślicz.

- Bierzcie kartony i wynoście! - Alosza wskazał im chaotycznie wrzucane przez siebie papiery. - Do lasu z nimi, na moją ciężarówkę!

Brama stała otworem, samochody partyzantów podjeżdżały z piskiem opon. Karton za kartonem wynosili archiwum dywizji. Z podwórza dochodziły pojedyncze strzały, chłopcy nosili zabraną Niemcom broń.

- Zdejmijcie im mundury! - komenderował Baca. - I buty! Żarcie będzie na końcu! - zdyscyplinował chłopaków, którzy wpychali sobie do ust ociekające tłuszczem kielbasy.

Jeden szedł z uśmiechem, niosąc na szyi przewieszone dwie pary butów, a między nimi wyjątkowo dorodne pęto kaszanki. Na głowie miał dwie niemieckie czapki. Nucił:

- Heidi heido heida!

Po chwili całemu uwijającemu się oddziałowi udzielił się radosny nastrój.

- Heidi heido heida! - pogwizdywali wszyscy.

Ustawili się w dwuszeręg, gotowi do wymarszu. Alosza wskoczył na ciężarówkę z archiwum i zaintonował:

- Wyklęty powstań ludu ziemi! Powstańcie, których dręczy głód.

Samochód ruszył, a chłopcy, czy to nie dosłyszeli, czy nie znali dobrze słów, czy byli zajęci pałaszowaniem zdobycznej kielbasy, nie odpowiedzieli. Alosza nie ustawał i coraz wścieklej śpiewał sam:

- Ruszemy z posad bryłę świata!...

Chłopaki, jeden z drugim, kończąc w marszu jeść, bekali i pogwizdywali. Ale wyraźnie nie Międzynarodówkę, tylko tryumfalne, zadowolone z siebie Heidi heido.

Alosza darł się, czerwieniejąc:

- Bój to jest nasz ostatni!

W tym samym momencie z przodu padły strzały i we wznoszących się na drodze tumanach kurzu zobaczyli niemieckie ciężarówki.

- No i, kurwa, wykrakał! - krzyknął chłopak maszerujący przed Jakubem.

Rozpętała się strzelanina. W stronę Niemców poleciały ostatnie, niewykorzystane na garden party granaty. Ciężarówka z Aloszą, zdobyczną bronią i archiwum ostro skręciła w pole i uciekała w stronę pobliskiej wsi. Partyzanci przestrelili koła niemieckich samochodów i unieruchomili je na drodze. Przez huk wystrzałów przebiegał się głos Bacy:

- Tylko nie strzelajcie do swoich!

W zamieszaniu i kurzu było to nie lada wyzwanie, by odróżnić partyzantów przebranych za Niemców od Niemców. Ale przez serię wystrzałów z lasu usłyszeli nadbiegające posiłki. Pół godziny i było po wszystkim. Zebrali resztę broni, trochę butów i pobiegli w stronę leśniczówki. W rozliczeniu za akcję Jakub dostał nowiutkiego, niemieckiego Schmeisera MP 38 z amunicją. Cacko.

Wieczorem siedzieli na kwaterze z Łokietkiem i pili.

- Dokąd pojechał Alosza z archiwum Wehrmachtu? - spytał w pewnej chwili Jakub.

- Do swoich.

- To wiem. Pytam, czy do swoich swoich, czy do naszych swoich.

- A co to za różnica? - zdenerwował się Łokietek.

- Taka sama jak... - zaczął Jakub, ale po chwili machnął ręką. - Napijmy się.

- Heidi heido heida! - zagwizdał Łokietek i roześmiali się razem. - To była udana akcja! Sam widzisz, Jakub! Tak trzeba działać. Zbierają się ludzie sprawni, gotowi na wszystko, szastprast i załatwione. Przecież myśmy rozwalili dwie setki Niemców, licząc z tymi na drodze.

- A jak twój dowódca się dowie? Łokietek wzruszył ramionami.

- Mnie tam nie było. To byli partyzanci przebrani za Niemców. Szukaj wiatru w polu! A szczerze? Męczy mnie to. Bataliony Chłopskie to miała być lewicowa siła. I co się z nami stało?

- Jak to co - parsknął Jakub i wyciągnął obolałe nogi. - Znow służymy panom! Panom z AK. Zamiast być w akcji na górze, ktoś zrobił salto i wylądowaliśmy w reakcji.

- Właśnie. Do dupy z taką wojną. Panowie z AK zastanawiają się, czy wobec wojny sowieckoniemieckiej nie należałoby przypadkiem poczekać.

- Na co? - Jakub wciąż miał jeszcze luki w najnowszych wiadomościach. W Biłgoraju siedział jednak kilka miesięcy.

- Na to, by się Sowietci i Niemcy sami ze sobą wytłukli. Kto wie, może niedługo usłyszymy, że bijąc Niemców, pomagamy Armii Czerwonej. A co to za różnica, komu? Ważne, że łoimy szkopom dupska!

- Rzec w czym innym, Łokietku - poważnie powiedział Jakub.

- Rzec w tym, kto będzie nas od Niemców wyzwalał.

Lokal konspiracyjny w Jasieńcu Iłżeckim. Tydzień później

- Rzec w tym, że jeśli wyzwalać nas będą alianci zachodni, to wraz z nimi przyjdzie sanacyjny rząd londyński. Ten sam rząd, który haniebnie opuścił kraj i przegrał w trzydziestym dziewiątym. - Wiślicz, ten, który wraz Aloszą opróżniał kancelarię w czasie niedawnej akcji, prowadził zebranie Rewolucyjnej Grupy Inteligencji Socjalistycznej „Świt”.

- Istniejemy od niedawna - wtajemniczył go Łokietek po tygodniu obserwacji Jakuba.

- Nadajesz się. Jesteś politycznie wyrobiony, wykształcony, intelektualnie bez zarzutu, no i dowiodłeś sprawności bojowej.

Jakub zaś, po akcji „Heidi heido”, nabrał zaufania do ludzi i ochoty na więcej. Po raz pierwszy przechodzili od zebrań, kolportowania ulotek i uświadamiania ludu pracującego do czynu.

- Plan jest taki - mówił Wiślicz. - Na razie cicho sza. AK daje nam przeszkolenie wojskowe pod swoim parasolem. Niech chłopaki skorzystają, pokończą kursy podchorążych. A każdy z was rozmawia z zaufanymi spośród nich. Nie burząc oddziałów, w jakich jesteście, twórcie szóstki, które w miarę rozwoju sytuacji wtajemniczajcie. Ale z umiarem, tylko tyle, ile trzeba i kogo trzeba. Jak będziemy przygotowani, wyprowadzimy z AK gotowe wojsko.

- I szlag trafi całe piękne scalenie organizacji! - przyklasnął zadowolony Łokietek.

- Pod jakim szyldem będziemy działać? - spytał Jakub.

- Wszyscy wywodzimy się z ruchu ludowego, większość szła do Batalionów Chłopskich. Ale ponieważ dowództwo nasze upiera się przy scaleniu, znajdziemy sobie nową nazwę. To tylko szyld.

- Mnie się podoba „Świt”. Samodzielna, postępową, antylondyńska organizacja wojskowopolityczna! - krzyknął Łokietek.

- Nie, „Świt” to słaba nazwa na wojsko - zaprzeczył Wrzos. - W nazwie musi być „armia” i „Polska Ludowa”.

- Armia jest póki co na wyrost. Bataliony Chłopskie były w sam raz.

- Ale to już ustaliliśmy. Becha zostaje przy organizacji. My potrzebujemy nowej nazwy. Rewolucyjnej.

- Czerwone brygady!

- Nie! Czerwone to za sowiecko!

- Socjalistyczny Batalion! W skrócie SB! Esbe!... to ma w sobie jakąś moc!

- Mocz! Esbe, sresbe...

- Niech będzie Lewa Brygada! Rechot. Lewizna na lewicy.

- A co to za różnica? Nie za dużo tego bicia piany o nazwę?

- Nie - powiedział spokojnie Jakub. - Nazwa jest ważna, tak samo jak oczekiwania wobec przyszłej Ojczyzny. Żeby nie było, że chcemy wolnej Polski Ludowej, a obudzimy się w siedemnastej republice.

- Stosunek do Kraju Rad też będzie trzeba ustalić - wyraźnie zaznaczył Wrzos. - Ale nie musimy tego robić dzisiaj.

- Stosunek? Jaki stosunek? Niech oddają, co zagarnęli na wschodzie, i będziemy kwita.

- To chyba jasne - uspokoił Wiślicz - braterstwo wymaga ustępstw.

- Ale wyklucza grabież - rzucił Jakub.

- Wyklucza.

Wiślicz wyjął notes i podał Jakubowi, mówiąc:

- Spisuj postulaty.

- Reforma rolna bez odszkodowania, upaństwowienie banków, fabryk i wszystkich innych środków produkcji.

- Sojusz robotniczo-chłopski.

- Powszechny dostęp do oświaty.

- Do oświaty i kultury! Biblioteki otwarte dla wszystkich. Studia wyższe... - rozkręcali się Świtowcy. - Boisko w każdej wsi!

- Wspólne kobiety! - zakrzyknął Łokietek i wyciągnął zza pazuchy kolejną butelkę.

- Tak! - Jakub trzepnął go w plecy. - Jak kobiety będą wspólne, to opieka medyczna stanie się obowiązkowa!

Ryknęli śmiechem. Zebranie kończyli nieformalnie. Okazało się, że każdy, prócz Jakuba, miał jakąś flaszkę w zanadrzu.

- Wolne wnioski! - ryczeli, otwierając następną.

Wiślicz przypomniał sobie jednak o czymś i spytał Jakuba.

- Mówiłeś, że prowadziliście agitację we wsiach pod Biłgorajem. Z jakim skutkiem?

- Różnie. Do partyzantki chłopcy garnęli się chętnie. Z politycznym wyrobieniem słabo. A że był zakaz walk, to sam rozumiesz, rozłaziło się w rękach.

- Masz tam zaufanych ludzi?

- Mam.

- Wróć do nich. Zrób to samo, co my tutaj. Zajmij się wyszkoleniem i czekaj na znak od nas. Świat się zmienił, możesz im to powiedzieć. Niedługo będziemy potrzebowali

prawdziwych, rewolucyjnych bojówek.

- Szukaj takich wsi - wtrącił się Wrzos - gdzie będzie można pozyskać większą część ludności, tak aby mieć oparcie w całych wioskach.

- To mrzonka. W całych wioskach to oparcie ma pleban albo wikary - zachnął się Jakub.

- Dobrze, to pracuj tak, aby większa część wsi była po naszej stronie. Reszta niech chodzi do księdza.

- Nie oderwiecie chłopów od kościoła - powiedział Jakub, wspominając pogrzeb swoich rodziców.

- Krok po kroku, bracie. Krok po kroku - położył mu rękę na ramieniu Wiślicz. - Jakoś ten ich pleban, i ten ich Pan Bóg od Niemca nie ochronił. Esesmani z psami polują na ludzi, pacyfikują wsie. Z czasem nawet w ciemnych chłopskich sercach odezwie się zew pomsty za krzywdy. A mściciel to najlepszy żołnierz.

- Gotowy na wszystko - dodał poważnie Wrzos. - I oddany bez reszty sprawie, za którą walczy.

Łokietek, pijany, strącił ze stołu szklanki. Pochylił się, by je zebrać, i kiedy wstawał, wyglądał jak człowiek, którego olśniło. Odchrząknął i powiedział powoli:

- W naszym interesie jest robić takie akcje jak „Heidi”. Bo jeśli ceną za nie będzie pacyfikacja jednej czy drugiej wsi, to ci, którzy z niej wyjdą cało, są nasi.

- Zamknij się - warknął na niego Jakub. - Jesteś pijany, bredzisz!

- Nie. Myślę tak jasno i czysto jak nigdy dotąd - odpowiedział Łokietek i Jakub zobaczył, że nie żartuje. Miał ten sam zacięty i skupiony wyraz twarzy, który Jakub podziwiał u niego na ringu.

Zapanowała cisza.

- Owszem, zginą ludzie, ale taka jest wojna. Jednak ci, co przeżyją, ci, co widzieli śmierć swoich żon i matek, to są nasi żołnierze. Nasi na śmierć i życie, na wieki wieków...

- Amen! - udał kościelny zaśpiew nie odzywający się wcześniej Róg. - Nie, no żartuję, przecież my tu wszyscy ateści!

- Jak jeden mąż! - zawołał Wiślicz i polał im.

Jakub patrzył na Łokietka i trawił jego słowa. Ten jednak nie miał już w sobie cienia powagi sprzed chwili. Pił, śmiał się i opowiadał dowcipy.

- Niedobrze jest być trzeźwym wśród pijanych - mruknął do siebie Jakub i wypił duszkiem szklankę mętnego samogonu.

Ulica Bracka, Warszawa. Późne lato 1942 roku

Pola w widocznej ciąży, z trudem idzie wzdłuż chodnika. W ręku niesie kosz, jest jej ciężko. Podbiega do niej Groźny, usiłuje pocałować w policzek. Dziewczyna nieznacznym ruchem okazuje mu zniecierpliwienie. Chłopak zabiera od niej kosz i podaje ramię, by się na nim oparła.

- Spóźniłeś się - mówi z wyrzutem Pola.

- Przepraszam, ale...

- Ale co?! Taki sam z ciebie pieprzony bohater, jak z was wszystkich! Poleciałeś na strzelanie, tak? Nie rozumiesz, że mam gdzieś wasze strzelanie?!

- Ćśśś, Pola! - Groźny rozgląda się po dość tłocznej ulicy. - Uspokój się.

Chłopak nie jest już tak nieśmiały jak kilka miesięcy temu. Wygląda, jakby wyrósł, zmężniał i zhardział. Nadal patrzy na Polę z uwielbieniem, ale już nie paraliżuje go lęk.

- Muszę ci coś powiedzieć - mówi.

- Ja tobie też. Nie mam na mieszkanie.

- Organizacja proponowała ci inne lokum, mogłaś się wyprowadzić. Zapłacilibyśmy czynsz. Na Bracką nas nie stać.

- Nie wyprowadzę się z mieszkania Fenixa. On siedzi w więzieniu, a ja mam go zostawić? Ty słyszysz, co mówisz?

Groźny wzrusza ramionami.

- Sama wybrałaś. A twój Fenix nie wróci, pogódź się z tym. Jak ktoś siedzi od roku na Pawiaku, to nie wyjdzie inaczej niż przez Palmiry, albo...

Pola staje w miejscu, wyrywa ramię Groźnemu.

- Nie od roku, tylko od ośmiu miesięcy! I nie waż się tego mówić po raz drugi! - Tupie wściekła i zaczyna biec. Ale po kilkunastu krokach staje. Chwyta się za brzuch. Groźny dobiega do niej.

- Uspokój się, Polu, jesteś w ciąży - gładzi ją po plecach.

- Nadzwyczajne! Teraz to odkryłeś? - syczy wściekła Pola. - Tak, jestem w ciąży, nie mogę grać, nie mogę dostać pracy w żadnej knajpie, nie mam z czego żyć. Mam jedno żydowskie dziecko na utrzymaniu i za chwilę urodzę drugie! Coś jeszcze chcesz mi powiedzieć o mnie, czego sama nie wiem?

- Przepraszam, ale muszę. - Groźny obejmuje ją łagodnie i prowadzi do ławki, na której siedzi jakaś para. Widząc ciężarną Polę, wstają, robią miejsce. Pola siada, Groźny przy niej.

- Mów.

- Wywożą Żydów z getta. Na Umschlagplatz siedzą setki, tysiące ludzi, czekając na transport.

Pola przejechała dłonią po twarzy. Była blada. W jej oczach, zamiast wściekłości sprzed chwili, pojawił się strach.

- Dokąd?

- Do Treblinki. Kobiety, dzieci, starców. Mężczyzn. Wszystkich jak leci. Zostawiają tylko tych, którzy mają robotę w szopach.

- Rosa... ona na pewno nie ma pracy, bo ma małe dziecko... - Pola wczepia się w rękaw Groźnego, on przysuwa się do niej, wpatruje w jej twarz. Chce ją przyciągnąć do siebie.

- Przytul się - mówi ze współczuciem. Pola odpycha go.

- I co z tą Treblinką? Tam jest obóz pracy, tak?

- Też - mówi Groźny i kładzie rękę na jej kolanie. Bliskość Poli porusza go. - KL Treblinka I działa od roku, ale tam nie wysyłali Żydów. Niedawno uruchomiono KL Treblinka II, niewiele o nim wiadomo, ale nasz wywiad...

- Rany, Groźny, zacząłeś, to mów, nie cedź!

Groźny jest skonfundowany. Żałuje, że zaczął rozmowę. Nie może oderwać oczu od Poli; oczywiście patrzy na jej twarz, omija wzrokiem wydatny brzuch. Chyba sądził, że będzie mógł ją bezkarnie pocieszać, nie przewidział, że Pola się wścieknie i zamiast tulić się i płakać, będzie zła.

- Wygląda na to, że prosto z wagonów prowadzą ich do komór gazowych.

Pola marszczy brwi.

- Wymyśliłeś to?

- Nie - mówi poważnie Groźny. - Jak mógłbym wymyślić coś tak potwornego?

- To irracjonalne - Pola przełyka ślinę i pociera palce - a Niemcy są racjonalni. Komory gazowe? Groźny, ktoś ci nagadał głupot, a ty w to wierzysz. I co? Mają tam kuchenki z gazem i ich trują?

- Nie kuchenki. Prysznice. Pola wykrzywia się i śmieje.

- Ty się słyszysz? Ciebie popieprzyło bez reszty! Prysznice z gazem!

- Uderza go otwartą dłonią w czoło. - Lecz się! Wywożą ich, rozumiem. Do obozu koncentracyjnego. To też rozumiem. Polacy też giną w obozach, zaharowują się przy pracy ponad siły. Idę do domu, mały na mnie czeka.

Wstała i rozmasowując plecy, ruszyła w stronę bramy. Groźny siedział. Oparł czoło na kolanach na chwilę. W końcu zerwał się i pobiegł za nią.

- Tylko ani słowa przy Arku - szepnęła mu gniewnie, gdy wchodzili w bramę.

Na schodach robiła przystanek co kilka stopni. Groźny szedł za nią z koszem i mimowolnie patrzył na jej łydki, pośladki, plecy. Pola z tyłu wyglądała, jakby nie była w ciąży.

Otworzyły się drzwi na półpiętrze i wychynęła z nich głowa w chustce.

- A, pani Nowacka! Dzień dobry - powiedziała, sapiąc, Pola.

- Dzień dobry, Poleczko, dzień dobry - przeżegnała się sąsiadka.

- Słyszała pani? Żydów wywożą.

- A dokąd, pani Nowacka? - zatrzymała się na chwilę Pola.

- Z Umschlagplatz, wagonami towarowymi.

- Tyle też słyszałam. - Pola obejrzała się na Groźnego. - Pytam, dokąd ich wywożą?

- A co to ja kapo jakieś jestem, żebym wszystko miała wiedzieć? - zachnęła się sąsiadka. - Na śmierć, to pewne. Tyle ludzi - pokręciła głową i znów się przeżegnała.

- Jak pani nie wie dokąd, to skąd pani wie, że na śmierć? - spytała karcąco Pola, patrząc nie na nią, ale na chłopaka.

- No chyba że nie na wczasy! - obraziła się Nowacka na chwilę.

- Pani lepiej tego chrześniaka pilnuje.

- A co? - zbladła Pola. - Przeskrobał coś?

- Nie. Ale lichy nie śpi, moja droga, lichy nie śpi!

Co za wredne babsko - pomyślała Pola, wdrapując się coraz wyżej. Było jej słabo i duszno. Bolał ją brzuch. Według jej wyliczeń dzień porodu mógł nastąpić w każdej chwili. Powinna być miłsza dla tego gówniarza, Groźnego. Tylko on jej został. Powinna, ale nie potrafi!

Przed drzwiami wypadły jej klucze. Groźny pochylił się po nie i przypadkiem dotknął jej łydki.

Co za palant! - pomyślała i zagryzła zęby, żeby czegoś nie powiedzieć. - Jeśli mu się wydaje, że kobietę w dziewiątym miesiącu ciąży podniecają takie duperele to jest w błędzie. Podniecałby mnie widok zastawionego stołu. Pieczeń cielęca. Szarlotka na kruchym spodzie. A nie te jego sztubackie zaloty.

- Otwórz - powiedziała na głos. - Nie mam siły.

Groźny przekręcił klucz i nacisnął klamkę. W mieszkaniu panował chłód, tak przyjemny po duchocie ulicy. Uśmiechnęła się mimo woli, patrząc na chodniczek w przedpokoju. Gdy się wprowadziła do Fenixa, chodnik leżał w poprzek korytarza i nieustannie się na nim potykała. Ilekroć przesunęła go, układając wzdłuż, Fenix przekładał go

po swojemu. Jak połknął go Pawiak, Pola przestawiła chodnik tak, jak jej było wygodnie. Lecz odkąd jest z nią mały, chodnik znów leży w poprzek. Chłopiec układa go tak samo jak Fenix.

- Aaron! - zawołała cicho.

Mieli swoją umowę. Aaron chował się do szafy na dźwięk klucza w zamku i wychodził dopiero, gdy Pola dała mu znać. Przybiegł, niezadowolonym wzrokiem obrzucił Groźnego, ale przywitał się grzecznie.

- Dzień dobry panu.

Po czym podszedł do Poli, wspiął się na stół i pocałował ją w policzek.

- Jak minął dzień? - zapytał.

- Cudownie. Udzieliłam pięciu wywiadów, pozowałam do zdjęć i podpisałam kontrakt w amerykańskiej wytwórni filmowej. A pan?

- Ja napisałem dla pani muzykę do kolejnego szlagieru. Cała Warszawa nie będzie śpiewać nic innego, a za autograf na zdjęciu mężczyźni będą się zabijać. - Aaron zeskokczył ze stołka i uklonił się komicznie. - Masz coś do jedzenia? Jestem głodny.

- Ja też - przyznała się Pola. - Ale mam coś!

Groźny był nieco zawstydzony, jakby wiedział, że nie jest im do niczego potrzebny. Wniósł kosz do kuchni, postawił na stole.

- Pomogę ci, obiorę ziemniaki... - powiedział.

- W tym domu gotuję ja - oznajmił mały. - Ale właściwie obrać ziemniaki pan może, panie Groźny.

- Muszę się położyć, na chwilę - powiedziała Pola i zostawiła ich. Zdjęła buty, bosą poszła do sypialni. Chciała rozpiąć sukienkę, ale guziki były z tyłu, sięgnęła tylko do dwóch i bezradnie opuściła ręce. Aaron pomagał jej ostatnio we wszystkim, nie chciała go jednak wołać.

Chciała pobyć sama. Sama.

- Polu?

Podskoczyła. Groźny wszedł tak cicho, że nie usłyszała.

- Wystraszyłeś mnie. Idź już, proszę. Jestem bardzo zmęczona. Przyklękł przy niej. Położył rękę na jej kolanie.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Nie powinnaś zostawać sama, gdy rozwiązanie może nastąpić w każdej chwili.

- Nie jestem sama. Arek jest ze mną.

- Poślesz go po lekarza? Z jego urodą...

Westchnęła. Czuła się osaczona. Groźny zrobił wiele, by ją od siebie uzależnić. Jedyna przyjaciółka, jaką miała, matka Aarona, może już nie żyje, a mężczyźni? Zawsze są tacy sami. Widzą w niej Łodę Halamę, nogi, loki i nic więcej! Wie, że ten sztubak najchętniej poszedłby z nią do łóżka, nie bacząc, że jest w ciąży. Pieprzony Fenix siedzi w więzieniu, ona zaraz urodzi jego dziecko, jest okupacja, ma na utrzymaniu Aarona i ani grosza przy duszy!... Ukryła twarz w dłoniach.

- Polu, nie martw się. Chcę ci pomóc. - Groźny wstał z kolan, usiadł za nią na łóżku i zamiast objąć, zaczął głaskać jej plecy.

Nie ruszała się. Groźny wziął to za przyzwolenie i jeden po drugim rozpiął guziki jej sukienki. Palce mu drżały. Poczuela jego oddech na plecach. Odwróciła się nagle, odpychając go.

- Wynoś się stąd! Wynoś się w tej chwili! Nie chcę cię więcej widzieć! Won!

- Polu, źle mnie zrozumiałaś... - próbował się tłumaczyć.

- Tu nie ma nic do rozumienia. Zaproponowałam ci czysty układ. Nie było w nim mowy o tym, że wolno ci!...

Groźny zaciął usta, wstał.

- Nie poradzisz sobie sama - wycedził przez zęby.

- Pola nie jest sama - oznajmił dobitnie Aaron, stając w drzwiach.

- A pan się chyba u nas zasiedział. Proszę, odprowadzę pana do drzwi. Groźny chciał coś jeszcze powiedzieć, ale machnął ręką i poszedł. Usłyszała dźwięk klucza przekręcanego w zamku od środka. Było jej wszystko jedno. Wszystko jedno. Padła na łóżko i popłakała się. Aaron przyszedł do niej, wskoczył do łóżka i przygarnął Polę.

I wtedy jej się przypomniało. Leżała z Fenixem, tak samo jak teraz.

„A gdyby mi się coś stało, to pod naszym łóżkiem jest skrytka, a w niej nieco gotówki”.

- Arek, wstawaj! Natychmiast! Pomóż mi!

Odsunęli łóżko. Zakurzona, zmięta koszula Fenixa. Przycisnęła ją do piersi.

- Och! - Aaron pokazał palcem odstającą deskę.

Pod nią była skrytka, jak mówił Fenix. Wewnątrz metalowa puszka po kawie. Pola nie puszczając koszuli z ramion, otworzyła puszkę. Wypełniał ją zwitek banknotów. Spojrzeli na siebie.

- Przelicz - podała mu, siadając po turecku i przyciskając koszulę do ust. Była brudna, ale pachniała Fenixem.

- Trzy tysiące złotych w papierkach i pięć złotych świnek. W getcie taka świnka to

była mocna waluta. Szkoda, że twardych nie ma.

- Twardych? - Pola знаła kanciarski slang, od Fenixa, rzecz jasna. Ale chciała posłuchać małego.

- Złote dolary to „twarde”. Złote ruble to „świnki”, są na drugim miejscu, ale nie szkodzi. „Miękkie” idą dopiero potem. No wiesz, papierowe. Dalej idą fałszywki, biżuteria, złoto, złom metalowy. - Aaron podał jej puszkę. - Jesteśmy obrzydliwie bogaci.

Roześmiała się.

- Obrzydliwie bogaci... No, w każdym razie mamy za co żyć.

- Na ile nam starczy? - Aaron był w sposób naturalny praktyczny i w tym też przypominał jej Fenixa.

- Nie wiem. Za chleb dałam dzisiaj trzydzieści złotych. Liczył coś na palcach.

- To mamy na tysiąc chlebów! - powiedział po chwili z podziwem.

- Nie na tysiąc, tylko na sto - poprawiła go Pola. - O ile cena nie skoczy.

- Na sto chlebów. To też dużo. A świnki na czarną godzinę. Nie możemy wszystkiego przeżyć, zawsze trzeba się jakoś ubezpieczyć.

Pola była szczęśliwa. „Uspokojona?” - zabrzmiał w jej głowie głos Fenixa z tamtej nocy, kiedy mówił o skrytce.

Tak, uspokojona, Feli - odpowiedziała mu w myślach. - Mamy na sto chlebów...

- O rany, Arek! Coś jest nie tak! - jęknęła, czując, że siedzi w mokrej kałuży. - Co, u licha?

- Odeszły ci wody. Mama też tak miała. Zaraz będziesz rodzić. Wstawaj, chyba nie chcesz tak na podłodze. - Podał jej rękę, ale był za mały, zbyt drobny, by pomóc jej się podnieść.

- Co ja mam robić? - zapytała go bezradnie.

- Połóż się.

Poczuła coś, co pewnie było skurczem, a w każdym razie zaboląło jak kopniak w podbrzusze.

- Co mama robiła, jak jej odeszły wody?

- Wezwała lekarza. Sąsiad był doktorem.

No tak - pomyślała z jakąś głupią pretensją Pola - w getcie mieli lekarzy, muzyków i aktorów pod dostatkiem.

Skarciła się za takie myśli.

- Słuchaj, Arek - sapnęła - a jak to długo trwało, pamiętasz? Od odejścia wód do doktora i narodzin Loni? Ile to mogło być?

Mały podrapał się za uchem.

- Dziesięć godzin - zawyrokował.

- Auuu! Nie wytrzymam! - jęknęła Pola. - Chyba się pomyliłeś, jak z tymi chlebami!

Może dziesięć minut?

- Może się pomyliłem - przytaknął. - Ale wody odeszły wieczorem, a urodziła rano.

- O matko, jak boli! - zawyła Pola. - Rosę też tak bolało?

- Uhm. Darła się. I przeklinała tatę. No wiesz, od brzydkich słów. Też sobie poklnij.

Mamie było od tego lżej.

- O kurwa!... - dała sobie upust Pola wraz z kolejnym skurczem.

- Nie, tak nie mówiła - skrytykował.

Pola zmierzyła go złym spojrzeniem i zacisnęła zęby.

- Podpowiem ci. Mówiła „siusiak”, tylko brzydko.

- O jasny chuj! - krzyknęła Pola.

- Nie. To było trochę mniej brzydko. Próbuj, do rana mamy czas - zachęcił ją Aaron. -

Przyniosę ci wody.

- Po co?! - wycharczała Pola.

- Akuszerka kazała przynieść mamie wody, w misce.

- O rany! Nic nie mówiłeś o akuszerce! Mówiłeś tylko o doktorze!... O jasny...

- Nie mówiłem? Przepraszam, to z nerwów. Akuszerką była Bergmanowa, ta starsza.

- Arek. Idź pod piątkę, do Nowackiej. - Pola z bólu szarpała kołdrę.

- Do tej, na którą mówisz KK, „klępa kapo”?

- Tak!... Ale nie mów jej tego. Powiedz, że rodzę i błagam, nie... uuu... proszę o pomoc.

- Dobra. Tylko schowam nasze pieniądze, co?

Gdyby nie to, że Rosa poza Szymonem świata nie widziała - przemknęło przez myśl Poli - byłabym pewna, że Arek jest nieślubnym synem Fenixa.

Usłyszała, jak przekręca klucz, otwiera i zamyka drzwi.

Nowacka jest KK, nie ma co, ale i tak wie o małym, a mojej ciąży przed nikim nie ukrywałam - myślała w panice, wcale nie będąc pewna, czy dobrze robi. - Nie mam wyjścia! Do szpitala nie pójde, bo kto się zajmie Arkiem?

I nagle przypomniała jej się jakaś ciotka, biuściasta i umalowana, jak śmiała się z kuzynki: „Wiedziałaś, jak zajść, będziesz wiedziała, jak urodzić!”.

- Auuu! - rozdarła się w pustym mieszkaniu. - Fenix, ty fiucie!...

Obudziła się w środku dnia. Słońce wpadało przez okno. Przez chwilę wiedziała,

gdzie jest, ale nie wiedziała, co się stało. Zamrugła. Naprzeciw niej leżał Arek. Spał. A między nimi okutany w kocik mały, czerwonic Fenix. Obolała wyciągnęła rękę i dotknęła dziecka.

- Masz spłaszczony nos, jak twój ojciec - powiedziała z czułością.

- Wszystkie dzieci są takie brzydkie. - Arek otworzył oczy. - Nie przejmuj się, nasza Lonia też była brzydka, a potem wyładniała. Naprawdę.

- Gdzie Nowacka?

- Poszła do siebie. Mówiła, że wpadnie dzisiaj. I że spisałaś się na medal.

- Dlaczego on śpi? Wydawało mi się, że dzieci cały czas płaczą. - Pola niespokojnie przyjrzała się czerwonicemu.

- Płakał w nocy, teraz się zmęczył i śpi, jak niewiniątko. Jak się obudzisz, masz go nakarmić. Tak mówiła Nowacka.

- Czym?

Aaron zrobił minę i wskazał na jej pierś. Dopiero teraz Pola zobaczyła, że ma na sobie rozpiętą koszulę nocną i że jej naga pierś bezwstydnie leży przed nią.

- Przepraszam - powiedziała i usiłowała ją zakryć.

- No co ty, normalna sprawa. Jak się czujesz?

- Dobrze. Tylko wszystko mnie boli. - Spróbowała usiąść. - Chyba jestem głodna.

- Zrobię śniadanie. Może zostać z dzieckiem?

Poli udało się wstać, nieco chwiejnie, ale zrobiła kilka kroków.

- Nie, no co ty. Jak zaczniesz płakać, usłyszymy. Chodź do kuchni. Umyła się, przebrała i po chwili siedzieli przy stole.

- Jak mu damy na imię? - spytał Aaron.

- Fenix - oświadczyła Pola. - Fenix.

- Nie, imię po ojcu przynosi pecha, nie słyszałaś? Wymyśl coś innego.

- To może Feliks. Pasuje? Aaron pokiwał głową.

- Pasuje. Zjedz jeszcze. Należy ci się, spisałaś się na medal...

- Jak mówi Nowacka - roześmiała się Pola. Aaron patrzył w kuchenne okno.

- Wiesz - powiedział po chwili - śniła mi się mama i Lonia.

- Tak?

- Uhm. Śniło mi się, że biorą prysznic, z którego nic nie leci. Mama trzymała Lonię na rękach. O tak, nad głową.

Pola zamarła. Zamrugła. Z trudem przełknęła. Z głębi mieszkania doszło do nich kwilenie.

- Chodź - powiedział spokojnie Aaron. - Feluś płacze. Musisz go nakarmić.

Leżeli na łóżku. Feluś ssał pierś Poli, Aaron patrzył na nich. Wyciągnęła do niego rękę i pogłaskała ciemne, kręcone włosy.

- Chcę, żebyśmy wyjechali z Warszawy - powiedziała. - Ty, Feliks i ja.

- Dokąd?

- Do mojego brata, na wieś. - Westchnęła po chwili: - Właściwie wszystko mi jedno, byle dalej stąd.

Część V

POLSKA SIEDZĄCA

Więzienie śledcze gestapo na Pawiaku, Warszawa, Generalne Gubernatorstwo.
Marzec 1942, pół roku przed narodzinami Feliksa

Fenix leży na brzuchu na sienniku ułożonym na gołej podłodze. Wygląda, jakby spał. Granatowa, opuchnięta twarz, od której odbija się ciemnożółty nos. Obrzmiałe powieki, posklejane krwią z rozbitej brwi. W czteroosobowej celi prócz niego jest dziesięciu mężczyzn i jeden młody chłopak. Tylko dwa sienniki. Na jednym leży Fenix, na drugim nieprzytomny więzień. Pozostali siedzą na podłodze, nieruchomo. Śledzą lot muchy.

Chłopak wyciąga powoli rękę. Mucha podlatuje do niego, ale rozmyśla się. W ostatniej chwili skręca. Wznosi się wysoko, pod wilgotny sufit i nagle, jakby pikując, osiada na sienniku przed twarzą Fenixa.

- Jeden zero dla mnie - mamrocze Fenix, z trudem otwierając sklezione powieki.
 - Pan Fenix ma zawsze szczęście. - Oznajmia beznamiętnie starszy mężczyzna w okularach ze stłuczonym szkiełkiem.
 - Chodź do tatusia - mruczy Fenix - opowiedz, co na świecie.
 - Ona nic nie wie, ona jest niewinna - wyręcza muchę chłopak.
 - Ona wszystkiemu zaprzecza. Ich bestraite - inny z mężczyzn wyrecytował formułkę, którą każdy z nich powtarzał podczas przesłuchań.
 - Ona nigdzie nie była, nic nie widziała i nie wie, dlaczego tu siedzi.
- Fenix podnosi się z siennika powoli. Wstaje na chwiejnych nogach.
- No, ja to sobie dzisiaj nie posiedzę - jęknął. - Jasna dupa.

Szczęknięta zasława w drzwiach. Chłopak zerwał się z pryczy. Do celi wniesiono na noszach mężczyznę.

- Proszę nie rzucać! - błagalnie jęknął chłopiec. - Ja zdejmę... Fenix i czterech mężczyzn szurając i kuśtykając, pospieszyli młodemu z pomocą. Ciało mężczyzny było tak skatowane, że nie mogli go przenieść na siennik, nie naruszając ran. Ale był nieprzytomny, może nie czuł bólu. Drzwi za strażnikami zamknęły się.

- Panie Edelstein, łóżko jest pana - kulturalnie zaproponował Fenix. Mieli umowę, że sienniki są dla pobitych.

- Tato? - chłopak uklęknął przy mężczyźnie. - Tato, słyszysz mnie?

„Życie jest sztuką. Śmierć jest ucieczką” - przeliterował Fenix napis wydrapany w

murze nad głową Edelsteina.

- Panie Edelstein, daj pan jakiś znak, że żyjesz - poprosił ten w okularach.

Mężczyzna poruszył wargami.

- Żyje! - ucieszył się syn. - Widzieliście? Żyje!

Ale jak długo jeszcze? - pomyślał Fenix, patrząc na czarne bezkształtne ciało Edelsteina. - Syna aresztowali, żeby zmiękczyć ojca, a ten pary z gęby nie puszcza. Żyd, członek PPS i na dodatek ożeniony z katoliczką. - Fenix nie raz powtarzał sobie historię współwzięnia ku pokrzepieniu serca i myślał: Może ja, jako Żyd, bokser, członek AK i kochanek Poli też nie jestem bez szans? Tylko zdaje się, że Pola nie jest katoliczką.

Począł po misce z wodą i wraz z młodym zaczęli okładać ciało Edelsteina zimnymi kompresami. On etap kompresów i bycia ludzką galaretą miał już za sobą. Ostatnio znęcali się nad nim coraz słabiej, co zawdzięczał frontowi wschodniemu, a jakże.

Ale po kolei.

Jak ich zwinęli z Jurkiem z „Gastronomii” - przed jedzeniem - co zapisuje na poczet okrucieństwa gestapo, wzięli ich na Szucha i to był ostatni raz, kiedy się widzieli. Od razu przypomniał sobie instrukcje konspiracyjne.

Przyznawać się do tego, co wiedzą.

Chyba że może to zaszkodzić organizacji.

Wtedy nie przyznawać się do niczego.

Wszystkim, co się da, obciążać tych, co już nie żyją.

Używać cyjanku zamiast rewolweru!

Punkt ostatni, będący mottem Tuptusia nie wchodził w grę. Fenix rzecz jasna wyrzucił kapsułkę z cyjankiem, jak tylko ją dostał. Punkt 4 też był do niczego, bo z tego, co było mu wiadomym, nikt z ludzi, z którymi współpracował, nie przeniósł się na tamten świat. Przyjął postawę zasluchaną, by z pytań gestapowców wyłowić prawidłowe odpowiedzi. Bo że było za co go aresztować, to pewne. Ale za co konkretnie ich przyskrzynili, to drugie. Stawiał rzecz jasna na kasyno; „Maxima” dając na drugiej pozycji. Rozczarował się w pierwszej chwili, gdy padło jego nazwisko. Jego prawdziwe nazwisko i przedwojenny adres.

Nie ma co świrować z Giuseppe. Znają adres sprzed września, wiedzą, że boksowałem w „Makkabi”, wiedzą, że jestem Żydem. Getto za rogiem. Witaj w życiu, Fenixie P.!

Ale nie wiedzą o Poli, o mieszkaniu na Brackiej. I o czym jeszcze? Na tym skończyła się pierwsza audycja na Szucha, wsadzono go do budy wraz z kilkoma innymi i przewieziono na Pawiak. Pytania zaczęły się na kolejnej.

- Do jakiej organizacji należysz?

- Do której komórki?
- Gdzie znajduje się lokal?
- Jak często odbywały się konspiracyjne spotkania?
- Kto brał w nich udział?

Zaprzeczył wszystkiemu, dostał parę razy w mordę i pomyślał, że jakoś to będzie.

Trzecia audyencja mniej więcej wyłuszczyła problem.

- Do jakiej organizacji należysz?
- Do żadnej.
- Do której komórki?
- Do żadnej.
- Gdzie znajduje się lokal?
- Znam tylko lokale gastronomiczne. Uderzenie w twarz.
- Jak często odbywały się konspiracyjne spotkania?
- Nie jestem członkiem konspiracji.
- Kto brał w nich udział?
- Nie jestem członkiem...

Uderzenie w twarz, z tej samej strony.

- Na czyje zlecenie nawiązałeś kontakty wywiadowcze w ZSRR?
- Co?!

W tym miejscu czas się dla niego zatrzymał. I cofnął. Błyskawicznie przeanalizował sytuację. Aresztowali go wraz z Jurkiem. Z Jurkiem i Leonem oraz volksdeutschem Scholtzem odbyli podróż chevroletem do Wilna i Lwowa. Czyli „nawiązali kontakty wywiadowcze w ZSRS”. Wszystko jasne.

- Nie mam żadnych kontaktów wywiadowczych z Sowietami. Komunistów nienawidzę z całego serca - odpowiedział zgodnie z prawdą.

- Co robiłeś w Wilnie?

- Interesy. Założyliśmy nieformalną spółkę budowlaną z Herr Scholtzem. Zbieraliśmy zamówienia na materiały.

- Maria Nowakas - odczytał gestapowiec z notatnika. - Mówi ci to coś?

- Nie.

- Kiedyś nazywała się Maria Nowak. Jej ojciec podpisał niedawno volkslistę.

O jasna dupa! - zaklął w duchu. - Córka kolejarza z Wilna. Mieszkaliśmy u nich. Jurek puknął pannę kilka razy, a potem „krew nie woda, no przecież!”.

- Tak, Marię Nowak przypominam sobie.

Co Jurek mógł jej nagadać w chwilach uniesień? Nie miał specjalnych kłopotów z uwiedzeniem dziewczyny, więc może nie dorobił nam legendy asów wywiadu. Ale na pewno dał pannie do zrozumienia, że jest kimś więcej niż kierowcą chevroleta. A by go!...

W sumie jednak odetchnął z ulgą. Ten fragment jego działalności nie był taki zły. Ciągnął za sobą Leona, bo Jurka przecież wsadzili razem z nim. Volksdeutsch Scholtz, cokolwiek powie, nie będzie robił z nich konspiratorów, bo wsypałby sam siebie.

- Od kiedy prowadzisz działalność wywiadowczą na rzecz Rosji Sowieckiej?

- Nie prowadzę. Jestem antykomunistą.

Zaciął się na tym. Dostał w pysk od eleganckiego kapitana i wyprowadzono go do sąsiedniego pokoju. Stolik, dwa krzesła i coś w rodzaju łóżka.

Po chwili wszedł inny oficer gestapo z czerwonym pejczem w ręce. Fenix przeklął natychmiast wszystkie swe seksualne fantazje. Pejcz zakończony był ołowianą kulką. Ręce zakuli mu za oparciem krzesła. I zaczęło się.

Nic nie powiem - zaciął się po pierwszym uderzeniu. Nicniepowiem. Nicniepowiem. Nicniepowiem.

Najgorsze było to, że z bólu przychodziły mu do głowy wszystkie nazwiska, fakty, adresy. Nawet te, o których nie przypuszczał, że mógł je zapamiętać.

Nicniepowiem.

A najśmieszniejsze, o ile w tej sytuacji cokolwiek śmieszyło, to fakt, że oskarżano go nie o to, co robił.

Próbował brać wdech racjonalnie, jak w boksie.

Ale boks jest walką, a to było zwykłe, ohydne maltretowanie. Wozili go w te i z powrotem dwa razy. Potem trzy dni spokoju.

I znów.

Najgorszy był „słupek”, uwieszenie za ręce wykręcone do tyłu. Duszenie zepsutą maską gazową. I moment, w którym odkryli, że nie mogą mu złamać kauczukowego nosa. Kilka razy wracał na noszach, jak teraz Edelstein. Czasami, czekając na przesłuchanie na Szucha w „tramwaju”, celi z krzesłami ustawionymi przodem do ściany, nie mógł siedzieć. Miał wrażenie, że pękła mu kość ogonowa. A z rozkręconego na cały głos radia leciało żywo „Heidi heido heida”. W końcu z pytań sformułowano akt oskarżenia.

-...do listopada 1942 pełnił funkcję oficera łącznikowego między nielegalną Armią Krajową a Rosją Sowiecką.

Ruszały mu się zęby, bolała wybita żuchwa. Wybełkotał:

- Nie jestem szpiegiem. Proszę o kontakt z kapitanem Tolligiem.

Hauptmann Tollig - przed wojną doktor filozofii. Kapitan Abwehry. Fenix miał z nim kontakt na zlecenie ZWZ. Upijał go regularnie. Dzięki niemu poznał volksdeutscha Scholtza.

To był strzał w dziesiątkę. Na gestapo zapanował popłoch.

- Hauptmann Josef Tollig, z Abwehry - powtórzył Fenix i zastanowił się, dlaczego wpadł na to dopiero teraz. Odstawiono go do celi. Miał tydzień spokoju, trochę się podkurował z pomocą współwięźniów.

W końcu znów zawitał na Szucha. Tym razem jednak trafił do zupełnie innego pokoju przesłuchań. Czekają na niego dwóch Niemców, w cywilu.

Abwehra - pomyślał.

- Proszę usiąść - grzecznie wskazano mu krzesło. - Papierosa? Znał to. Jeśli weźmie, dostanie w pysk, że śmiał wziąć. Jak odmówi, uderzą go, że śmiał odmówić. A niech to. Wziął i czekał. Siedzą grzecznie. Zaciągnął się.

Zakręciło mu się w głowie lepiej niż po wódce. Przyglądali mu się. Postanowił iść za ciosem.

- Dlaczego nie przyjechał z panami kapitan Tollig? - spytał. Wymienili się spojrzeniami.

- Na czym polegała twoja praca dla Abwehry? - odwrócił pytanie jeden z nich.

- Na wypełnianiu poleceń kapitana Tolliga.

- Jakich?

- Kazał mi znaleźć mechanika i kierowcę. Przedstawił mi pana Scholtza i kazał pełnić rolę jego przewodnika i ochroniarza w podróży do Wilna i Lwowa.

- To pan Scholtz spełniał zadania wywiadowcze?

- Tak. Ja miałem dbać o to, by nikt mu nie przeszkadzał. Ani Polacy, ani Litwini, ani Ukraińcy.

- Na czym polegały zadania wywiadowcze Scholtza?

- Nie wiem. Kapitan Tollig nie wtajemniczał mnie w szczegóły. Miałem chronić Scholtza.

Zapisywali wszystko. A Fenix ze zdumieniem odkrył, że jego opowieść trzyma się kupy. Cała nadzieja w tym, że Jurek mówi coś w tym samym guście.

- A kierowca?

- Kierowca i mechanik nie byli wtajemniczeni. Domyślali się co nieco, ale ja nic im nie mówiłem. Takie było życzenie kapitana Tolliga.

- Z jakiego powodu podjąłeś współpracę z Abwehrą?

- Nienawidzę komuny. Sowiety to dzicz, Niemcy to kulturalny naród.

Przesłuchania powtarzały się, ale już bez bicia. Fenix powoli dochodził do siebie. Odważył się nawet po miesiącu na atak nerwowy.

- Dlaczego nie ma tu kapitana Tolliga?! To ja narażałem dla niego życie, a on mnie teraz zostawił? Tak można polegać na słowie oficera Abwehry?

Za to ostatnie dostał w pysk. Odwrócił się i kolejny cios wylądował mu na łuku brwiowym. Ale zaraz przyszła nagroda.

- Prowadzimy poszukiwania kapitana Tolliga.

- Żeby przez trzy miesiące nie znaleźć wysokiego oficera w Warszawie? Podałem panom jego adres! - usiłował utrzymać się w roli.

Oni też. Przyłożyli my dwa razy i odpowiedzieli grzecznie.

- Owszem. Ale kapitan Tollig został skierowany na front wschodni. W obitym łbie Fenixa zagrały tryumfalne fanfary. Front wschodni! Niech żyje towarzysz Stalin! Niech żyje „generał Mróz”! Wyklęty powstań ludu ziemi! W wyobraźni ucałował czerwony sztandar, sierp i młot. Zawieźli go do celi. Wiedział, że póki nie znajdą Tolliga, a nie znajdą, powinien mieć święty spokój. Zaczęło się dla niego inne życie. Takie bardziej spokojne. Pomagał Edelsteinowi opiekować się ojcem, pocieszał współwięźniów. Gadał z muchą. Zaczął nawet dostawać grypsy.

JUREK ZWOLNIONY.

BĄDŹ SPOKOJNY. NIE ZAPOMINAMY O TOBIE. LEONA NIE ZNALEŻLI.

POLA CZUJE SIĘ DOBRZE.

Pola. Dopóki był poobijany, nie miał fantazji. Ale jak zostały mu tylko sińce, wszystko wróciło. Roxy i jej drużyna. Ach, jakże tęsknił za Polą... Pióra, cekiny, podwiązki. Pola nawet czytając Mickiewicza, wyglądała seksownie.

Dlaczego Pola nie grypsuje do niego? Czy Pola wie, że siedzi na Pawiaku? Czy Pola wie, że nie siedzi za prostytutki, „Maxima” i szmugiel?

Nagle przyszło mu do głowy, że jego dziewczyna może myśleć, iż on jest zwykłym cwaniakiem. Że jak gruby Ed żyje ze szmuglu i rozbija się po knajpach, że puszcza pieniądze w kasynie. Zrobiło mu się słabo. No ładnie. Na taką legendę pracował całą konspirację i jeśli zgnije na Pawiaku, to jego ukochana za cwaniakiem nawet nie zapłaci.

Tuptuś. Nie, Tuptuś by mu tego nie zrobił. Na pewno dba o Polę, daje jej dwuznacznie do zrozumienia, że Fenix jest kimś, i trzyma ją z daleka od więzienia, żeby nie narażać.

Jeszcze zanim wymyślił Tolliga, zrozumiał, iż gestapo nijak nie kojarzy go z Giuseppe i księgowym. Te dwa życiorysy musiały być w aktach zupełnie niezależnie. To dawało mu poczucie bezpieczeństwa, gdy myślał o Poli. Ale pewnym było, że po wpadce i Tuptuś musiał

zniknąć. Księgowy bez Giuseppe nadto rzucałby się w oczy w Warszawie. A skoro zniknął, to kto opiekuje się Polą? No chyba nie ten amant, Straszny czy Groźny, czy jak mu tam, gładki aktorzyna.

POLA CZUJE SIĘ DOBRZE.

Czytał chyba ze sto razy, co i tak nie uspokajało go w chwilach zwątpienia.

- Gdybyż mój ojciec miał cokolwiek z kauczuku. - Młody Edelstein opiekował się starym. - A pan skąd ma ten nos, panie Fenixie?

- Holender mi go zrobił, a tatuś zafundował.

- Doktor Holender?

- Nie, mistrz Holandii w boksie. Van Klaveren się nazywał i roztrzaskał mnie pokazowo.

- Bolało?

- Po „słupku” nie pamiętam żadnego wcześniejszego bólu - powiedział i ugryzł się w język. Starego Edelsteina wieszali do bicia kilka razy.

Wczesnym latem wywieźli go. Więźniowie mówili, że na Palmiry i że wsadzili go do bagażnika osobowego samochodu. Nie powtarzano tego synowi. Zresztą młodego zabrano dzień później. Fenixa też, ale do pracy.

- Będzie pan pracował w kolumnie sanitarnej - oznajmił mu doktor Śliwiński, od którego wcześniej dostał grypsy.

A kiedy zostali sami, dodał:

- Pan jest C.I. Szpiegostwo, dywersja, konspiracja. Pozostaje pan do dyspozycji Wehrmachtu, nie gestapo.

- To lepiej czy gorzej? - spytał Fenix. Doktor filozoficznie ruszył brwiami.

Dla Fenixa zaczął się kolejny pawiacki etap. Nie wzywano go na przesłuchania, co jak sądził, zawdzięczał poszukiwaniom Tolliga na froncie wschodnim. Całymi dniami czyścił i dezynfekował klozety, sprzątał cele i korytarze. Na plecach nosił pojemnik z karbolem i rozpylaczem. Pod nim upchane miał grypsy. Po miesiącu roboty dostał ksywę „listonosz”. Celę i robotę dzielił z Zygmuntem, Apolinarym i Stefanem. Wszyscy trzej, jak i on, byli w zawieszeniu „do wyjaśnienia”, na sanitarnym przebywali dłużej i wdrożyli go w pracę.

- Uważaj na Bürckla, Schuhmachera, Millera. To zwyrodnialcy. A z czasem będziesz czyścił także ich prywatne, gestapowskie kible.

- Doktorzy Loth, Śliwicki i Leon Wanat, ten który przyjmuje więźniów, to ludzie oddani podziemi. Można im zaufać.

- Najważniejsze grypsy z miasta przynoszą tak zwani specjaliści, wiesz, lekarze

wzywani na konsultacje.

- Listy od więźniów przekazujemy do szpitala. Doktorzy wynoszą je dalej.

W Pawiaku Polska Podziemna trzymała się mocno. Grypsami płynęły w obie strony linie zeznań, listy konfidentów, ostrzeżenia przed kapusiami, pseudonimy zagrożonych. Wiadomości prywatne, polityczne i konspiracyjne mieszały się ze sobą. Czasami wysyłano kolumnę sanitarną do kobiecego oddziału więzienia, na tak zwaną Serbię. Fenix zaciskał pięści, widząc wychudzone pobite kobiety, stare, młode i ledwie dorosłe dziewczęta. Bywali tacy, co pękali. Nikogo nie oceniał. Widział na oddziale chłopca całego w czarne cętki. Przypalony papierosem kilkaset razy. Ponoć pary z gęby nie puścił. Raz mu się zdawało, że na Serbii mignęła mu Zizi, fordanserka z „Maxima”. Ale pewności nie miał. Socjaliści, ludowcy, akowcy, narodowcy - na Pawiaku byli wszyscy. Polska siedząca była solidarna, jak jeden mąż. Dyskusji politycznych nikt nie toczył. Ważniejsze było „przeżyć” od „jak żyć”. Od czasu do czasu przedostawały się wieści z getta, w końcu Pawiak był na terenie wydzielonym z dzielnicy żydowskiej.

Latem gruchnęła wiadomość o wysiedleniach. Powtarzano „Umschlagplatz” i „Treblinka”. Fenix udawał, że nie myśli o tym, czy lepiej być Żydem na Pawiaku czy za drutami getta. W każdej chwili mógł się znaleźć po tamtej stronie. Żył z dnia na dzień. Czekał, aż wezwą go na przesłuchanie. Wierzył - za przeproszeniem - w Stalina; w to, że Tollig z frontu wschodniego nie wróci. Zwłaszcza że Tollig nie umiał porządnie pić wódki. Po dwóch setkach otwierał się jak dziewica przed spowiednikiem, po czterech spadał pod stół. Ale Fenix liczył się i z tym, że jego oprawcom znudzi się trzymanie go w więzieniu i dadzą mu wysyłkę. Dokąd? Palmiry? Oświęcim? Majdanek? Czy Treblinka, jak ci z getta?

Lato minęło, mówili, że w getcie została garstka ludzi. Fenix w robocie zaczął popadać w rutynę. Czyścił klozety na „jedyńce” i potem prywatne kible gestapowców. Szprycował dokładnie karbolem, jak zawsze. Wytarł i wysuszył, jak zawsze. Ale zamyślił się, bo przyszło mu do głowy, że prawie, prawie dziewięć miesięcy nie widział Poli. I, jak nigdy, zapomniał o wytarciu jednej deski.

Kilkanaście minut później po korytarzu przetoczył się ryk. Dziki, opętańczy ryk. Ludzkie wycie. Tyle że nawet najbardziej męczeni więźniowie nigdy nie mieli siły, by drzeć się aż tak głośno. Po Fenixa przybiegł wachtmajster z bronią i pogonił go w tamtą stronę.

Przed gestapowskim kibelem stał zastępca komendanta więzienia SS-Oberscharführer Franz Bürckl, zwany zwyrodnialcem, i trzymał się za dupę. Darł się, co drugie słowo wołając: „Scheisse!” i Fenix w mgnieniu oka zorientował się, że nie chodzi mu tak dosłownie o gówno.

- Idiot! Polnischen Schweine!

Zrobiło mu się słabo. Poparzył komendantowi dupsko karbolem.

- To był przypadek - zaczął się tłumaczyć.

Doktor Śliwiński, który nadbiegł, słysząc opętańcze krzyki, próbował mu pomóc.

- Panie komendancie, to ja odwołałem więźnia do innej pracy...

- To sabotaż! - darł się SS-Oberscharführer Bürckl, sięgając do kabury, i Fenix był tak zdesperowany, że chciał tuż przed śmiercią oświadczyć coś w rodzaju: „Jestem Żydem i Polakiem. Ku chwale Ojczyzny poparzyłem panu dupę. Mam nadzieję, że będzie długo bolało!”. Zobaczył jednak, że w tłumie Niemców, który zebrał się za plecami komendanta, co drugi tłumi śmiech. Bürckl opanował się natychmiast.

Lekko zarzucając nogą, pokuśtykał do pechowego kibla.

- Proszę - powiedział do Fenixa.

- Nie, nie. Dziękuję. Nie mam potrzeby. Fizjologicznej...

- Szpryca! - rozkazał Bürckl.

Fenix zrozumiał, że ma jeszcze raz, pokazowo wyczyścić kibel na oczach szacownego zgromadzenia. Opryskał deskę, aż się z niej lało.

- Ja, gut - pochwalił komendant.

Ale gdy Fenix sięgał po szmatę, by wytrzeć i wypucować, zaprzeczył.

- Nein, nein. Ściągaj gacie.

- Ale mi się nie chce, panie komendancie... - do Fenixa docierało, chyba docierało, co go czeka.

- Nie szkodzi - odpowiedział uprzejmie Franc Bürckl i popchnął Fenixa.

- Sssss... - zasyczał Fenix, gdy jego nagie uda zetknęły się z polaną karbolem deską. Przez pierwszą sekundę współczuł komendantowi tego, co tamten przeszedł wcześniej. Ale w drugiej już nie. Bo zwyrodnialec Bürckl wyrwał jednemu z oficerów szpicrutę i uderzył nią Fenixa po stopach raz i drugi, by po chwili radośnie zacząć go po nich obijać tak, aby Fenix „tańczył” nogami w powietrzu i tym samym całym ciężarem ciała opierał się na parzącej desce.

Prosto z gestapowskich kibli Fenix wylądował w szpitalu. Doktor wysmarował mu tyłek i uda wazeliną.

- Skóra będzie schodziła przez kilka tygodni. Dam panu gazę, koledzy na noc niech założą kompresy.

Apolinary i Zygmus, by uczynić ponizające cierpienie znośniejszym, układali mu w nocy wierszyki.

- Komendanta Franca Bürckla dupa Wrząca była niczym zupa z trupa. Fenix -
bojownik karbolem...

- Dajcie spokój. Kompresy wystarczą. A rymy się wyczerpują.

- Możemy powtarzać: dupa - pupa.

- To nawet na miejscu, bo poparzone tyłki były dwa.

- PP - prychnął na nich Fenix. - Poeci Pawiaka!

- PPPP! - kumple mieli dobrą zabawę. - Polscy Patriotyczni Poeci Pawiaka.

- Ejże, ale chyba nie opowiadaliście tego nikomu? - Fenix poczuł, że ta głupia sprawa
wymyka się spod kontroli.

- Nikomu? Nie...

Ledwie doszedł do siebie, to znaczy mógł spać na plecach, gdy jak grom z jasnego
nieba spadła na nich informacja o przeprowadzce. Wachtmajster wszedł do celi wieczorem,
kazał się spakować i być gotowym. Zbledli. Przeprowadzka najczęściej oznaczała: Palmiry.
Na rozstrzelanie zwykle wywozili nocą. Apolinary, Stefan i Zygmus padli na kolana i zaczęli
się modlić. Fenix stał ogłuszony. W zasadzie był wierzący, choć niepraktykujący. Kręcił się
przy pryczy, niezdeterminowany, co robić. Żarliwy szept towarzyszy kierował jego myśli ku
ostateczności. Pomyślał: Panie Boże, toś wyrwał mnie z rąk SS-Oberscharführera Bürckla,
oprawcy i rzeźnika, toś pomógł mi wykurować poparzoną karbolem dupę, przepraszam,
siedzenie, po to, by mnie na rozstrzelanie skierować? Panie Boże? Czy to jest w porządku?

Zamiast odpowiedzi usłyszeli ciężkie buty wachmanów na korytarzu. Zygmus
poderwał się z kolan i zbierając rzeczy, zaczął:

- Idźmy wolność zdobyć zgonem, Idźmy zgon nasz okryć chwałą! Apolinary i Stefan
włączyli się:

- Wprzód, nim kula pierś przewierci, Nim z żył krwi strumienie bryzną, Fenix, który
na Morituri te salutant Felińskiego uwodził Polę, złapał wieczorną porcję chleba i ryknął:

- Ci, co idą szukać śmierci, Pozdrawiają Cię, Ojczyzno!

Drzwi otwarto. Wywołano ich na korytarz. Szeptali dalej:

- My się śmierci nie ustraszym... - kiedy wyczytywano nazwiska. Ale wczytano
Zygmunta, Apolinarego i Stefka. Fenix gotów na wszystko zapytał:

- A ja?

- Zurück zur Zelle! - usłyszał.

Wrócił. Padł na łóżko. Drzwi, zasuw. Kroki na korytarzu oddalające się od celi.

- Panie Boże! Ich zabrałeś, a mnie nie! Czy to jest w porządku?

I popłakał się zamiast odpowiedzi. Po raz pierwszy, odkąd pamięta. Od naprawdę

bardzo dawna. Fenix był przecież chłopakiem, nie płakał. Ale to go przerosło. Szykował się do „kula pierś przewierci”. To nie znaczy, że był gotów na śmierć, ale ona była tak blisko. Wyszedł do niej na korytarz. Czuł ją. I?...

Nazajutrz wezwano go do więziennej kancelarii. Niemiecki generał przedstawił mu się jako jego wojskowy obrońca. Obrońca? Więc przyjęli tę wersję o Abwehrze?

- Zostanie pan przewieziony do Berlina, do więzienia Moabit. Czekaj pana sąd wojenny.

- A kapitan Tollig? Czy spotkam go tam?

- To wszystko, co mam panu do powiedzenia - oświadczył generał i kazał go odprowadzić.

Moabit. Panie Boże! - jęknął Fenix. - To nie mogłeś mnie wysłać na śmierć wczoraj z kolegami, tylko będziesz mnie włókł aż do Berlina? Czy to jest w porządku?

Wieczorem przyszedł do niego doktor Śliwicki.

- Pan zgłaszał gorączkę.

- Nie... - wyrwało się Fenixowi, ale wzrok lekarza uświadomił mu, w czym rzecz. Poprawił się: - Nie gorączkę, tylko temperaturę wysoką... bo nie wiem, czy to już gorączka, czy...

Doktor machnął ręką i podał mu termometr.

- Proszę zmierzyć. Poczekać.

Strażnik stał w drzwiach, ale nie interesował się nimi. Śliwiński pochylił się nad Fenixem i wsunął mu w rękę coś małego.

- Połknij pan to, gdy będą pana wieźli przez miasto. Ani wcześniej, ani później - szepnął i dodał na głos, odbierając od niego termometr:

- Stan podgorączkowy. Sądzę, że wyjdzie pan.

Fenix spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami. Lekarz mrugnął.

- Sądzę, że wyjdzie pan z tego. Do widzenia.

To była tabletka. Mała, biała tabletki. Nie kapsułka z cyjankiem potasu. Jakaś tabletki.

Chcę mnie otruć, żebym nie posypał się na procesie - pomyślał. - Trudno. Mam już dosyć. Wezmę to i po sprawie.

Ale na drugi dzień wezwano go normalnie do pracy w kolumnie sanitarnej. Następnego dnia tak samo. Poszedł nawet na Serbię i tym razem gdy dezynfekował toalety, mignęła mu kobieca twarz, tak piękna, że choć to nie była Pola, wiedział, iż gdzieś ją widział. Odebrał grypsy od roznoszącej jedzenie pani Zosi, schował i spytał:

- Kim jest ta nowa? Zdaje mi się, że ją skądś znam.

- Irena Iłakowiczowa.

Irena Iłakowiczowa - agentka wywiadu Związku Jaszczurczego ONR, żona Olgierda Iłakowicza, jednego z założycieli ZJ. Alpinistka, była żona księcia Kurdystanu. Poliglotka. Jedna z najpiękniejszych kobiet przedwojennej Warszawy. Aktywna w wywiadzie „Z” (Zachód).

- Z AK? - spytał Fenix.

- Nie, z NSZ.

- NSZ? To jakaś nowa organizacja? Nie znam.

- Zetjot - szepnęła konfidentycznie pani Zosia i odsunęła się od Fenixa, bo do korytarzyka, w którym rozmawiali, wszedł wachman. Zetjot! Jaszczurki! - Fenixowi odświeżyła się pamięć. - Wieczór w „Maximie”, trzech facetów, w tym jeden czarniawy, i ta niezwykła kobieta. W „Maximie” miała szafirowe oczy. Z bólem pomyślał o tym, jak wyglądają kobiety po kolejnych przesłuchaniach. Nad tym jednak nie dane mu było zastanawiać się dłużej, bo wieczorem wywołano go i poprowadzono do kancelarii.

- Proszę pokwitować odbiór rzeczy osobistych - powiedział Leon Wanat, który przyjmował go na stan więzienia. - No, panie Fenix! Prawie rok. Prawie rok. To się rzadko zdarza.

- Co teraz będzie?

- Najpierw przewiozą pana na Szucha, kogoś tam doładują. Potem zabieracie jeszcze ludzi z więzienia mokotowskiego i nach Berlin! Dobry zegarek. - Podał mu rzeczy, a wśród nich „patka”. - Powodzenia, panie Fenixie!

- Powodzenia - mruknął Fenix, wsiadając do samochodu zwanego Czarną Marią. Obsiedli go milczący żandarmi. Było inaczej, niż mówił Wanat. Najpierw pojechali pod mokotowskie, dopiero potem na Szucha. Pamiętał o tabletkach, tylko zastanawiał się kiedy. „Jak będziecie jechać przez miasto, ani wcześniej, ani później”. Chociaż kiedy wpakowali go do Czarnej Marii, kiedy poczuł świeże powietrze, obudziła się w nim przekora.

Dlaczego mam brać tę tabletkę?

Pary z gęby nie puścił, gdy dyndał w „słupku”, gdy usiłowali rozwalić mu nawet kauczkowy nos. Dlaczego ma dobrowolnie zgadzać się na śmierć i to zadaną własną ręką? Bo biała tabletkę może być trucizną. Może to cyjanek, tylko jakiś inny? A jeśli się myli? „Przypuszczam, że pan wyjdzie” i mrugnięcie doktora.

Do licha! - pomyślał desperacko. - Niech się dzieje, co chce! Połknął, gdy zatrzymali się pod siedzibą gestapo w alejach Szucha.

Żandarmi obcesowo wyprowadzili ich z samochodu. Pogonili do piwnicy. Na schodach poczuł, że robi mu się słabo. Upadł i dorwały go mdłości. Zaczął wymiotować. Zbiegli się ludzie w mundurach gestapo. Ostatnie, co pamięta, to siebie rzygającego Niemcom na lśniące buty i wyprasowane w kant spodnie.

Ocknął się w celi. Był przy nim lekarz i dwóch żandarmów. Doktor obmacywał mu brzuch.

- Boli? - pytał.

- Boli - jęczał Fenix.

Potem nosze, chłodne, listopadowe powietrze. Ambulans. Czysty, sterylny zapach. Samochód zatrzymał się. Sanitariusze wynieśli go i był na tyle przytomny, że zorientował się, iż jest w szpitalu na Żelaznej.

No i stało się - jęknął w duchu - jestem w getcie!

Po chwili jednak, jakimś nadludzkim wysiłkiem umysłu dotarło do niego, że szpital Świętej Zofii na Żelaznej jest wyłączony z getta i pełni rolę szpitala więziennego. A zaraz po tym ciałem Fenixa wstrząsnął nowy skurcz i zwymiotował na nosze, sanitariusza z przodu i siebie.

- Tutaj, tutaj - usłyszał słodki kobiecy głos i jakieś dobre ręce zajęły się nim.

Ocierano mu twarz, chłodzono głowę kompresami. Za mgłą migwały twarze pielęgniarek. Jedna miała prezencję Lusi, lwicy „Maxima”, druga szafirowe oczy agentki Zetjotu. Fenix bardzo chciał uśmiechnąć się do nich. Odpowiedziały mu śmiechem. Z daleka usłyszał zalotny głos:

-...całe pośladki oblażyły mu ze skóry...

A potem rozstąpiły się i podszedł do niego anioł w bieli, zamiast pielęgniarskiego czepka miał przepaskę z różowych cekinów i pióra. Pola? Pola, ładną podobną do Lody Halamy...

- Roxi i jej drużyna - szepnął w zachwycie, a anioł gigantyczną strzykawką zrobił mu zastrzyk.

Ciemność.

- Gdzie ja jestem? - wychrypiał Fenix, usiłując otworzyć oczy. W ustach miał przeraźliwą suchość.

-...dzie...a...stem?...

- Proszę się nie bać - powiedział męski, głęboki głos. Fenix dojrzał cień, który zbliżał się do niego, mówiąc:

- Proszę się nie bać.

Pochylił się nad nim Żyd w koloratce. Fenix zadygotał.

No i doigrałem się! Jestem w piekle... - pomyślał, choć jego głos sparaliżował lęk. - Panie Boże, dlaczego mi to robisz? Mogłem umrzeć jak bohater w Palmirach z kolegami, to nie! Igrasz ze mną, Boże! Najpierw Moabit, teraz getto, szpital, tabletka na rzyganie i Żyd przebrany za księdza! Czy to wypada, panie Boże, taki cyrk?! Czy nie dość się wycierpiałem?!

- Pan czuwa nad tobą - wyszeptał Żyd.

Fenix zatrzepotał rękami, jakby chciał zerwać się ze szpitalnego łóżka.

- Nazywam się Tadeusz Puder, byłem rektorem na Freta, u świętego Jacka...

- Jezu! - jęknął Fenix i poczuł się tak głupio, że ze wstydu znów zasnął.

Tadeusz Puder - jedyny znany w przedwojennej Polsce Żyd - ksiądz katolicki. Objął parafię świętego Jacka po księdzu Stanisławie Trzeciaku, najsłynniejszym antysemicie w sutannie. Cała Warszawa знаła incydent spoliczkowania księdza Pudra w czasie mszy, gdy szedł z ołtarza na ambonę. Jego chrześcijańska postawa przysporzyła mu spontanicznej popularności. Ale narodowcy nie mogli przeżyć semickiego księdza. Rzucali w niego kamieniami, krzycząc: „Puder Żyd”.

Czyste łóżko i wykrochmalona pościel wróciły Fenixa do życia. Ze wstydem uporał się szybko. On i ksiądz Puder byli jedynymi pacjentami szpitalnej celi. Zaprzyjaźnili się błyskawicznie. Dwóch ochrzczonych Żydów, ksiądz i bokser. Pasuje.

- Szpitala pilnuje granatowa, polska policja - wtajemniczał go ksiądz Tadeusz. - Starają się nie być gorliwi, ale cóż powiedzieć! Człowiek jest istotą grzeszną i obciążoną słabością. Nie można mieć do nich żalu, mają rodziny, boją się. Lecz z racji na położenie szpitala zniknięcie stąd bez szerokiego wsparcia z zewnątrz jest niemożliwe.

- Planuje ksiądz ucieczkę? - domyślił się Fenix.

- Ja zdaję się na Opatrzność Bożą - wymijająco odpowiedział Puder - i panu też to radzę.

Wieczorem Fenix widział, jak granatowy policjant przekazuje księdzu gryps i coś szepcą. Odważył się zapytać:

- A temu można ufać?

- Ja ufam każdemu człowiekowi, panie Fenixie. Tylko nie każdemu powierzyłbym własne życie.

- A temu by ksiądz powierzył?

- W pewnych okolicznościach, na które czekam od jakiegoś czasu, owszem. Mam wyrok śmierci, jest to pewnie panu wiadomym.

- Ja właściwie też - współczująco podzielił się Fenix. - Jak wyzdrowieję, wiozą mnie do Moabitu na sąd wojenny.

- Jak wyzdrowiejesz. - Puścił mu oko ksiądz Tadeusz. - A nim to nastąpi - odezwał się po dłuższej chwili - śpij mocno. Będę się za ciebie modlił, synu.

- Ja mógłbym się za księdza bić, bo z modlitwą to mam takie kłopoty. Niewyjaśnione sprawy z Panem Bogiem.

- Chcesz się wypowiadać?

Fenix zadumał się. Ostatni raz robił to... nie pamięta kiedy. Bycie Żydem, katolikiem, niepraktykującym, kochającym życie, kobiety, wino, śpiew, kobiet więcej...

- Chcę. Któż mnie lepiej wypowiada niż drugi Żyd?

- Zwłaszcza tu, na Żelaznej - poważnie powiedział ksiądz Puder - gdy za murami szpitala getto, w którym umierają nasi bracia i siostry.

Po spowiedzi Fenix spał głęboko i mocno. Rano obudził go hałas i szczekanie gestapowców. W nocy ksiądz Tadeusz Puder uciekł z ich wspólnej szpitalnej celi. Zostało uchylone okno, z wyjętą kratą.

Fenix był tak zdumiony, tak nie umiał ukryć żalu za otwartym oknem, że zespół gestapopolicyjny badający okoliczności ucieczki księdza dał mu święty spokój. Ptaszek nie wyfrunął, ptaszek jest niewinny. Przeniesiono go do innej celi. Przy okazji namieszał w głowie gestapowcom, pytając o Tolliga, front wschodni i o to, czy są dla niego jakieś listy. Ponieważ nikt nie umiał mu udzielić odpowiedzi, obraził się widowiskowo, jak niewinny. Wieczorem wszedł do jego celi przodownik policji, zupełnie inny niż ten, któremu „owszem” ufał ksiądz Puder. Za nim stało dwóch funkcjonariuszy.

- No, koniec tych fochów, panie Fenix! - powiedział głośno. - Doktory uznali, że się pan do podróży nadajesz, to się nadajesz. Jutro jedziesz pan na sąd! Do Berlina! Kierowca prosił, żebyś mu pan sanitarki nie zarzygał, ha, ha, ha!

Fenix spojrzał na niego nieźyczliwie. A policjant mrugnął i zasłaniając zwalistym cielskiem funkcjonariuszy stojących w drzwiach, podał mu miniaturową kartkę.

- Zjedz pan, co masz dzisiaj - powiedział głośno. - Bo na drogę dostaniesz pan suchy prowiant.

Gdy tylko wyszli i Fenix upewnił się, że pod zakratowanym okienkiem celi nikogo nie ma, rzucił się na kartkę.

Piękna 6, I piętro, dentysta.

Nie spał całą noc. Kartkę zjadł, jak kazał policjant. Piękna 6, I piętro, dentysta.

Rano ten sam przodownik wyprowadzał go z celi.

- No, trzecia po południu. Za dwie godziny będzie ciemno. Uważajcie na drodze, bo to może być ślizgawica.

Gdy nikt nie słyszał, szepnął:

- Zwiewaj pan, jak tylko otworzą samochód. Pamięta adres?

Fenix kiwnął głową i nie zadawał pytań. Sam miał ich zbyt dużo. Nadzieja i lęk mieszały się ze sobą. Teraz już wiedział, że rozpoczęta tabletką na Pawiaku akcja jest zaplanowana i ktoś nad nią czuwa. Tuptuś. Któż by inny. Tuptuś.

Wsadzili go do samochodu, obok jeden cywil i jeden policjant. Gdy zbliżali się Marszałkowską do Koszykowej przełknął ślinę. Na wysokości Pięknej, przed samochodem gwałtownie zatrzymała się niewielka ciężarówka. Wskoczyli z niej mężczyźni z rewolwerami. Serce podeszło mu do gardła. Piękna 6, I piętro. W kilku susach dopadli samochodu, otworzyli drzwi i lufy skierowali w eskortę. Odepchnął się od cywila i wyskoczył na ulicę. Nie oglądał się za siebie. Biegł, jakby to miał być rekord w sprincie. Za sobą słyszał strzały, przed sobą widział biegnących mężczyzn w płaszczach. Wiedział, że to ubezpieczenie. Jednemu z nich spadł z głowy kaszkiet. Miał wyjątkowo rude włosy.

Cholera - stanął mu przed oczami wieczór w konspiracyjnym teatrzyku Poli. - Toż to ten odbity na powielaczu, co miał siostrę marchewkę bliźniaczkę!

Zatrzymali się przed bramą. Piękna 6.

Wskoczył w czeluść klatki, nie pobiegli za nim. Tabliczka „Lekarz Dentysta”. Ledwie łapał oddech. Drzwi otworzyły się same. Mężczyzna w białym kitlu wciągnął go do środka, poprowadził do gabinetu i wepchnął na fotel.

- Proszę otworzyć usta - powiedział zdenerwowany. Wetknął mu ligninę pod policzki. A potem wziął do ręki pędzel i brzytwę.

- Muszę zgolić panu wąsy.

Ręce mu się trzęsły, Fenix pomyślał, że facet pewnie lepiej rwie, niż goli. Nadśłuchiwali obaj. Ale na schodach panowała cisza. Dentysta skończył golenie.

- Proszę do łazienki, tam jest ubranie dla pana.

Przy najlżejszym stuknięciu Fenix zamierał. Wszystko działo się szybko, wciąż jeszcze nie wierzył, że to się uda. I co dalej?

- Nazywa się pan Jan Prosty. Pójdzie pan na Francuską 32, mieszkania 1. Tam powiedzą, co dalej. To proszę wziąć pod pachę. - Wetknął mu w rękę „Nowy Kurier Warszawski”.

Fenix wybiegł z mieszkania. Szedł, nie patrząc ludziom w oczy. Na moście Poniatowskiego posterunki niemieckie, jak rok temu. Boże, rok! Nikt go nie zatrzymywał,

nikt go nie poznawał, daszek czapki osłaniał twarz.

- Proszę - powiedziała kobieta, wpuszczając go do mieszkania. - Zaraz ktoś pana odbierze.

Zaprowadziła go do kuchni i nic nie mówiąc, postawiła przed nim szklankę bimbrowa i dwie kromki chleba. Wypił i przegryzł. Siedział, nie zdejmując płaszcza, czekał, aż alkohol znieczulił lek. Po chwili usłyszeli ciche pukanie do drzwi. Kobieta wprowadziła go do kuchni dziewczynę.

- Baśka, łączniczka. - Podała mu rękę.

- Od Tuptusia? - spytał.

Położyła palec na ustach i dała znak głową.

- Idziemy.

Na dole czekała na nich dorożka. Wsiedli. Serce wciąż waliło mu mocno. Zatrzymali się na Starym Mieście. Rycerska 1.

- To tutaj - powiedziała łączniczka i zaprowadziła go do mieszkania na poddaszu.

Pokój był skromny. Czyste łóżko, szafa, stół. Zlew. Trochę jedzenia. Klasyczny lokal konspiracyjny. Z okien mansardy widać było szerokie płaszczyzny dachów. Mógłby nimi biec w nieskończoność.

- Ubikacja na półpiętrze. - Wyjaśniła lakonicznie i pochyliła się, zaglądając pod łóżko.

Fenix po raz pierwszy w życiu patrzył na wypięte kobiece pośladki i nie miał żadnych życzeń. Nawet skojarzeń. Nic.

Baśka wyjęła spod łóżka parabellum i pudło amunicji. Dała mu nową kenkartę. Zdjęcie bez wąsów, sprzed Pawiaka.

- Zygmunt Zabielski - odczytał swoje nowe personalia. Kiwnęła głową i wyciągnęła do niego rękę.

- Do widzenia.

- Ale...

- Żadnych pytań. Wkrótce wszystkiego się pan dowie. Proszę odpoczywać. - Uśmiechnęła się zdawkowo i zamknęła za sobą drzwi.

Fenix padł na łóżko.

W nocy budził się na każdy szmer dochodzący z korytarza. Wśród żelaznego zapasu żywności nie było wódki, nie miał czym się znieczulić. Nad ranem usłyszał raban na półpiętrze, jakby się ściana waliła. Wskoczył na korytarz.

W półmroku dostrzegł kobiecą sylwetkę.

- Obudziłam pana? - spytała zalotnie, chwiejąc się lekko na nogach.

- Nie, myślałem, że dom się wali.

Zaśmiała się perliście i oparła o futrynę wychodka.

- Dom nie, ale kibel tak! Może pan hydraulik? Co?

- Niestety nie. Ale mogę spróbować, rano. Była młoda, niespecjalnie zepsuta szminką.

- Wprowadził się pan dzisiaj?

- Tak, przyjechałem z prowincji, roboty szukam...

- Robota się zawsze znajdzie, jak ktoś chce pracować! - mrugnęła.

- A pani? - spytał.

- Mów mi Lola i nie pani, tylko panienka! - Puściła do niego oko nieco już rozmazane.

- Ale nie przyprowadzam klientów do domu, pracuję na mieście!

Fenix przyjrzał się jej z uwagą, ale twarz Loli nikogo mu nie przypominała.

- Ciężka, odpowiedzialna praca - pokiwał głową, uśmiechając się do dziewczyny.

- A jak! Zwłaszcza że przebieram. Nie dla chama polska dama! Rozumiesz? Obsługuję patriotycznie, tylko Polaków. Choć nie ograniczam się do rodzonych warszawiaków - znów puściła mu oko. - No, jestem po pracy. Chcesz do mnie na kielicha?

- Chcę - oświadczył Fenix i poczuł, że wyszedł z więzienia.

W „Maximie” nie miałyby szans - myślał, patrząc, jak Lola krząta się po kuchni. Brakowało jej iskry fordanserek. Była zwyczajną, miłą dziewczyną o nieco ciężkiej sylwetce i słabo przypudrowanych bliznach po ospie.

- To za co pijemy? - spytała, a kosmyk włosów filuternie spadł jej na policzek.

Pięknije z każdym łykiem - pomyślał Fenix trzeźwo.

- Za spotkanie, Lolu! Za miłe sąsiedztwo. - Wychylił kieliszek czegoś, co w zamyśle było wiśniówką. Poczuł przyjemne ciepło w żołądku. W brzuchu. W podbrzuszu.

- A ty jak masz na imię, chłopaku z prowincji? - Lola uniosła podbródek i przekrzywiła głowę tym cudownym ruchem, który Fenix tak lubił u prostytutek.

Jeśli oprze brodę na nadgarstku - pomyślał - zwariuję.

- No, przyznaj się Loli. - Zrobiła to, o czym marzył, i przymrużyła oczy, gratis.

- Zygmunt.

- Zyyyymuuunt? - powtórzyła i aż przeszedł go dreszcz.

Przez chwilę pomyślał o Poli, o tym, że od roku nie był z kobietą, potem o tym, że Pola i Lola nie mają ze sobą nic wspólnego. Potem Lola siedziała mu na kolanach.

Rozpinając spodnie, chichotała słodko.

- Powitalny poczęstunek!

- Lolu - oderwał się od całowania jej szyi, bo uczciwość nakazywała mu pewne

sprawy uściślić. - Lolu, ja nie mam ani grosza...

- Ćśśś... miałam dzisiaj okropny dzień, a ty mi wyglądasz na nagrodę pocieszenia...

Wypuszczony Fenix nagrodził Lolę jakieś pięć razy. Za ostatnim jęczała cicho.

- Gdzie ta prowincja, na której się ukrywałeś, co? Mogłabym się od sąsiada uczyć...

- Jakoś się dogadamy - obiecał Fenix, nim skończył.

I choć po wszystkim chciało mu się spać, natychmiast naciągnął spodnie, licząc, że ten drobny szczegół umknął uwadze rozkosznie mruczającej Loli. Pożegnali się przyjacielsko.

- Postaram się naprawić ten klozet - powiedział na pożegnanie.

- Klozet? - Lola była nieprzytomna. - Ach, klozet! Jebał go pies, Zygmus... - Przeciągnęła się słodko.

Wrócił do swojej mansardy. Oczywiście natychmiast dopadły go wyrzuty sumienia, że mógł się zdekonspirować. To jednak dość głupie, że pierwszą rzeczą, jaką zrobił po uwolnieniu z Pawiaka, było akurat to. Ale pomyślał, że o to już Tuptuś będzie go lżył, i zatęsknił za przyjacielem.

Pewnie go dzisiaj zobaczę, muszę się wyspać - pomyślał i zapadł w sen.

Późnym popołudniem usłyszał pukanie do drzwi. Otworzył. W drzwiach stała Baśka, łączniczka, i nieznajomy mężczyzna.

- Proszę - powiedział Fenix.

- Zostawiam jedzenie i nie przeszkadzam panom - powiedziała Baśka i może nawet się uśmiechnęła.

Skądś go znam - Fenix uparczywie wpatrywał się w twarz mężczyzny. - Widziałem go gdzieś. Gdzieś niedawno.

- Do widzenia! - Łączniczka zamknęła za sobą drzwi.

Facet był wysoki, o wysportowanej sylwetce. Ciemne włosy miał gładko zaczesane do tyłu.

- Pan mnie nie poznaje - stwierdził i uśmiechnął się kącikiem ust. - Przypomnę się.

Załóżył kaszkiet, zsunął lekko na oko, wyjął zza pazuchy rewolwer i wcelował w bok, obok Fenixa.

Przypomniał sobie od razu. Nie zważając na rewolwer, rzucił się na gościa i uściskał go serdecznie.

- Jestem pańskim dłużnikiem! Brawurowa akcja!

To był mężczyzna, który wczoraj uwolnił go w drodze ze szpitala Świętej Zofii. To on zatrzymał samochód i celował do policjanta w mundurze.

Schował rewolwer, zdjął kaszkiet i z szerokim uśmiechem podał rękę Fenixowi.

- Zacharewicz.

- Fenix. Ach, pan to przecież wie! Myślałem, że przyjdzie Tuptuś...

- Tuptuś? - zdziwił się Zacharewicz. - Nie znam. Teraz Fenix zaniepokoił się.

- To nie Tuptuś stał za moim uwolnieniem? Czy też może to nie mnie mieliście uwolnić? - roześmiał się nerwowo.

- Bez obaw. To pan był celem naszej akcji. Dość długo czekaliśmy na dogodny moment. Decyzja o wywiezieniu pana do Berlina przyspieszyła wszystko, wiedzieliśmy, że teraz albo nigdy.

- Herbaty? - zaproponował Fenix. - Przepraszam, ale nie mam wódki.

- Ja mam! - Zacharewicz wyjął z kieszeni niewielką, płaską butelkę.

- Co z Tuptusiem? Skoro nie on zorganizował moje zniknięcie, zaczynam się bać.

- O niego czy o siebie? - zażartował gość.

- Kaziu Komorowski, mówi tak charakterystycznie, wooolnooo.

- A, to trzeba było od razu mówić, że chodzi o Kaaaziaaa! Tak, Kaziu jest z nami.

- No to jesteśmy w domu! Po maluchu?

- Po maluchu!

- Pana zdrowie, panie Zacharewicz! Za udaną akcję, odzyskaną wolność i AK!

Zacharewicz wstrzymał kieliszek przed wypiciem.

- Muszę coś panu powiedzieć.

- Bardzo dobra wódka! - Fenix otarł usta dłonią i otrząsnął się. Dopiero teraz zorientował się, że gość nie wypił.

- My nie jesteśmy z AK. Jesteśmy z NSZ. Fenix zbladł.

- Związek Jaszczurczy? - zapytał nieśmiało.

- Tak.

- Obóz NarodowoRadykalny? - dopytał Fenix, polewając sobie szybko drugi kieliszek.

- Tak. Połączone siły zbrojne NarodowoLudowej Organizacji Wojskowej, Polskiego Obozu NarodowoSyndykalistycznego, Zakonu Odrodzenia Polski, Korpusu Obrońców Polski, Organizacji Wojskowej „Wilki”, Narodowej Konspiracji Niepodległości, Polskiej Organizacji Zbrojnej. O czymś zapomniałem? A, o największym: Narodowej Organizacji Wojskowej.

- Jezu Chryste... - jęknął Fenix i wypił.

- Tak. Walczą szalone, wściekle lwy - zaśpiewał Zacharewicz. - To NSZ. To my.

- Boże... - Potarł dłonią czoło i zerwał się. Parabelka była pod łóżkiem. Nie, nie będzie się wygłupiał. Po prostu się przyzna i już. Ale Panie Boże, czy to jest w porządku?

- Teraz ja muszę panu coś powiedzieć, panie Zacharewicz. Bo chyba przeoczyliście jeden szczegół. Jestem Żydem.

- Wiem - wzruszył ramionami Zacharewicz. - I był pan w AK. Wszystko wiem.

- Zatem odbiliście mnie z Pawiaka świadomie?

- Jak najbardziej.

- Żeby mnie dręczyć?

Zacharewicz wypił pierwszy kieliszek i teraz sam sobie polał.

- Piotr. - Przeszedł na „ty”. - Słuchaj, Fenix. Chcemy, byś z nami współpracował. Jesteś oddanym, dobrym Polakiem. Na dodatek, jak słyszę, wierzącym, choć powiem ci, że w ogóle tego nie braliśmy pod uwagę.

- Chcecie, żebym ja wstąpił do NSZ?

Fenix pod stołem, tak aby Piotr nie widział, szczypał się w udo.

- Tak.

- Możemy się napić jeszcze po jednym? - spytał słabo Fenix.

- Jasne. Na zdrowie! - Stuknęli się i Zacharewicz wyłuszczył mu, na czym stoi.

- Listy gończe z twoim rysopisem, nazwiskiem i zdjęciem już rozlepiają na słupach. Jesteś poszukiwany przez żandarmerię, gestapo, policję jawną i tajną. Nie wyłączając granatowej, volksdeutschów i niezidentyfikowanych kapusiów. Nie możesz opuścić tego lokalu przez kilka, kilkanaście tygodni. W tym czasie będziemy pracowali nad nową tożsamością i - zrobił niewyraźny ruch ręką - twoim wyglądem. Wąsy, broda, farbowanie. Zobaczymy, co się da zrobić. Nie wolno ci nawiązywać kontaktu z nikim sprzed Pawiaka. Twoja dziewczyna, przyjaciele, wszyscy będą wzywani na gestapo i wszyscy będą pod obserwacją. Nikomu nic nie grozi, bądź spokojny. O ile się nie ujawnisz, rzecz jasna.

- Żywy trup - pokiwał głową Fenix nad perspektywą roztoczoną przez Piotra.

- Ale żywy! Jutro dojechalibyście do Berlina. Proces rozpocząłby się w ciągu kilku tygodni. Zostałbyś skazany na śmierć. A tak żyjesz, będziesz pracował dla Polski i za jakiś czas, kiedy przestaniesz być podobny do tego gościa, którego niezidentyfikowani sprawcy odbili z transportu, odzyskasz normalne życie.

- Pasuje - bez wahania oznajmił Fenix. - I dziękuję. Co mam robić?

- Poprowadzisz „referat pawiacki”. Jesteś jedynym żyjącym, który przesiedział rok na Pawiaku.

Zacharewicz mówił, a Fenix zamyślił się. Uświadomił sobie, że to prawda. Że z jakiegoś powodu miał to szczęście. Że na tyle nieudanych prób odbicia więźniów, jego zakończyła się pomyślnie.

-...opracujesz dla nas plan więzienia. Rozkład pomieszczeń, cele, korytarze, kible, izba chorych, wszystko. Godziny zmian wachmanów, ich sylwetki, charakterystyki. Zwyczaje więzienne. Każdy nawet najdrobniejszy fakt, który pomoże nam w opracowaniu ucieczek.

- Chodzi wam o tę piękną kobietę?

- O Irenę? Tak. Ale nie tylko. Pawiak wciąż pochłania nowych ludzi. Irena jest dla nas bardzo cenna.

- Widziałem ją.

- Naprawdę? Jak się czuje? Jak wygląda?

- Dobrze. Jeszcze jej nie zmiękczała. Zresztą to taka kobieta, co zawsze wygląda świetnie... Przepraszam, nie powinienem.

Zacharewicz roześmiał się.

- Krążą o niej legendy! Nie, nic z tych rzeczy. Jest przykładną żoną. Ale wcześniej, przed wojną, była alpinistką. W Alpach szwajcarskich wyciągnęła ze szczeliny górskiej kolegę, no, raczej jego zwłoki. I sama, motocyklem, uciekała z Teheranu, od męża, który był synem księcia Kurdystanu. Zresztą, on jej w tej ucieczce pomógł. To silna i sprawna kobieta. Powinna wytrzymać śledztwo.

- Nie wiem, co na nią mają, i nie będę cię pytał. Ale skoro miała międzynarodową przeszłość przed wojną, to pewnie działa w waszym wywiadzie. Jeśli tak, będą bezlitośni. Wybacz, że ci to mówię, ale jak sam stwierdziłeś, z Pawiaka niewielu wychodzi. Potrzymają ją w dziesięcioosobowej celi z pięćdziesięcioma więźniarkami. Bez sienników, bez materacy, goła podłoga. O kocach i prześcieradłach zapomnij. Paczki nie dostanie. Będzie jadła zupełnie palcami. Mycie raz na dwa albo trzy tygodnie, bez zmian ubrania. Jest koniec listopada, widziałem ją w sukience. Ciepłej odzieży nie dostanie. Pluskwy i wszy w celi, w zupie robaki z grochu albo kapusty. Jak zachoruje, zabronią do niej dostępu pani doktor. Wachman Ukrainiec będzie stał nad nią, gdy pójdzie do kibla. Potem parę przesłuchań, miękkie bicie. Nic nie powie, bo jest twarda. Więc dostanie prawdziwe bicie. Jak straci przytomność, poleją ją lodowatą wodą. Jeśli uznają, że trzeba ją upokorzyć jeszcze bardziej, będą ją przesłuchiwać nago. Potem władują do izolatki. Bez okien, bez światła. Nawet z tym, który przyniesie jej jedzenie, nie będzie mogła zamienić słowa. Z izolatki na bicie. Wmówią jej, że wszystko o niej wiedzą, że współpracownicy ją sypnęli. Ma dzieci?

- Ma - powiedział cicho Piotr.

- To jeśli nie ukryliście ich dobrze, znajdą i przywiozą. Będą przesłuchiwać ją w obecności dzieci.

- Dziecka. Ma małą córkę.

- Wszystko jedno. Matka, siostra, brat, ojciec, córka. A jak nie znajdą rodziny, to powiedzą jej, że nie żyje. Że organizacja zabiła jej bliskich, bo, tu coś wymyślą, żeby wzbudzić w niej chęć zemsty i poczucie, że nie ma dla kogo żyć.

- Starczy - powiedział Piotr. - Co możemy zrobić, zanim ją stamtąd wyciągniemy?

- Okup. Nie umiem ci powiedzieć, ile to dzisiaj kosztuje. Ale dużo. Za łapówkę można uwolnić od brutalnego śledztwa. Tylko że nigdy nie ma pewności, na jak długo. W dodatku czasami współwięźniowie jakimś cudem dowiadują się o tym i traktują takiego wykupionego jak podstawionego kapusia.

- Jezu.

- Chciałeś wiedzieć. Ja bym na waszym miejscu myślał o czym innym. O łapówce, która skieruje ją wprost na Majdanek.

- Chyba nie wiesz, co mówisz, Fenix!

- Narodowcu, jak już uwolniłeś Żyda, to go posłuchaj. Transport do obozu daje możliwości. Ciężarówka, pociąg. Trzeba zacząć śledzić wyjazdy z Pawiaka. Znać trasę, słabe i mocne punkty.

- Dobra. Jeszcze jedno. Jak sądzisz, czy możliwym jest zorganizowanie powstania więźniów?

- Myślałem nad tym przez większość dni między przesłuchaniami. Wygląda na niewykonalne, ale...

- Ale?

- Daj mi trochę czasu. Przydałby się papier, ołówek, muszę gdzieś spisywać myśli, żeby zobaczyć, czy nie są zupełnie głupie.

- W porządku. Baśka przyniesie ci wszystko. Muszę lecieć, przekazać swoim, co powiedziałeś. Mamy mnóstwo roboty, Fenix. Dzisiaj Irena, a kogo Pawiak wciągnie jutro? Zostawiam ci resztę wódki, postaram się o kolejną. Trzymaj się.

- Cześć.

Zacharewicz wyszedł pośpiesznie. Fenix został sam. Tej wódki za wiele nie było, wlał ją w siebie duszkiem.

- Oto ja, przeciwnik ONR, gett ławkowych, faszyzmu i nazizmu, stałem się oficerem Narodowych Sił Zbrojnych! Boże, coś Żydów przez tak długie wieki, wodził cierpliwie ku klęskom i chwale, wybacz!

Zasalutował Bogu. Siadł na krześle i zagapił się w pogrążoną w wiecznym mroku Warszawę. I coś mu się jeszcze przypomniało.

- Panie Boże, czy to jest w porządku?

*

Wnętrze halifaxa, obszar powietrzny nad Warszawą. Noc z 1 na 2 września 1942 roku
Cichociemni: Kawa, Kra, Bocian, Lak i Kontrym tłoczą się przy okienkach samolotu.
Zub-Zdanowicz śpi.

- Te ognie w dole nie wyglądają na sygnalizację.

- Nie, to pożary. Przypuszczam, że płonie Warszawa.

- Kurwa.

- Nie klnij, synu, jak wracasz do Ojczyzny - skarcił Bociana Kontrym. - To tylko kilka
ogni, pewnie po sowieckim bombardowaniu. Nas zrzucają na placówkę „Rogi”, 16
kilometrów na północny wschód od Grójca. Zaraz będziemy, budźcie Dora.

Zub-Zdanowicz potrzebował chwili, żeby się pozbierać.

- To już? - pytał nieprzytomny. - Dlaczego mnie nie obudziliście wcześniej?

- Bo spałeś.

- Już, już! - pyknął z fajki Kontrym i spokojnie poprawił szelki spadochronu. - No,
chłopcy, za kilka minut ucałujemy polską ziemię! Gotowi?

- Tak jest! - odpowiedzieli chórem. I ustawili się wokół wylotu.

Dor skakał ostatni. Ze wzruszeniem powtórzył za kapitanem: „Ucałujemy polską
ziemię” i skoczył.

W tej samej chwili dotarło do niego, że skacze w ciemno, bo:

NIE WIDZI NIC

NIE ODBYŁ ŻADNEGO SKOKU NOCNEGO

INSTRUKTOR RICHARD V. TULLET GO NIE LUBIŁ

Uderzył w ziemię, zrobił przewrót, zarył. Pełną gębą piachu ucałował polską ziemię.

Gdy tylko udało mu się odzyskać oddech, zawył.

Ból w lewej nodze nie pozostawiał wątpliwości, że jest złamana i to porządnie.
Halifax zniknął z nocnego nieba. Cisza, ciemność.

Poprzez potworny ból nogi przewijały się informacje z kursu.

„Zawsze może się zdarzyć zasadzka. Zamiast naszych mogą czekać na was Niemcy.
Po skoku zwinąć spadochron i natychmiast ukryć się. Czekać na ludzi z placówki. Strzelać do
każdego, kto nie poda hasła”.

Spróbował wstać. Był bez szans. Wyszarpnął kolta z kieszeni, odbezpieczył i czekał.
Raz, dwa, trzy. Minuty wlekły się niemiłosiernie. W końcu usłyszał kroki, trzaskanie gałązek
rozgniatanych butem. Na polanie pojawił się ktoś w jasnym, przeciwdeszczowym płaszczu.
Podbiegł do leżącego. Dor wycelował.

- O Jezusie! Ale się pana naszukałem! - wysapał radośnie chłopak w płaszczu. - Co się stało?

- Złamałem nogę - jęknął Dor.

- Cholera! Może pan wstać?

- Nie.

- Ale się cieszę! Nie, nie... z tego, że pana znalazłem! Tamtych już mamy. Zabiorę spadochron i przyjdę z kolegą, przeniesiemy pana. Oj, w brew też coś się panu stało? - zagapił się przez chwilę w twarz Zub-Zdanowicza.

- Nie, tylko w nogę.

Chłopak sprawnie zwinął spadochron i zniknął. Dor nie chował kolta, bo zdał sobie sprawę, że przez głupie zamieszanie z nogą nie wymienił z chłopakiem hasła. Nadrobił to, gdy przybiegli we dwóch, i upchnął broń do kieszeni.

- Weźmiemy pana na „stołeczek”, proszę nas chwycić za szyję. Miał świadomość, że w jesionce, kombinezonie i kamizelce z pieniędzmi waży tyle, co oni dwaj. Nim donieśli go do dogasającego ogniska, byli zasapani. Z daleka rozpoznał sylwetkę Kontryma.

- Richard V. Tullet powiedziałby: „A nie mówiłem?”.

- Daj spokój, kapitanie - jęknął Dor.

- Dobra, ważne, że żyjesz. Jest tu delegat z Warszawy, przyjechał po forszę. Zdejmuj kamizelkę i oddaj mi broń. No, nie krzyw się tak, wszyscy zostajemy tylko na dokumentach. Nie mogąc chodzić, pistoletem długo się nie obronisz. Jak cię zatrzymają, będziesz tłumaczył się według legendy. W ostateczności masz cyjanek.

- A wy?

- Już oddaliśmy kolty. Idziemy na stację kolejki, rano będziemy w Warszawie na adresach kontaktowych. Tam się spotkamy. Poczekaj, pogadam z delegatem.

Dor oswobodzony z kombinezonu i kamizelki ze złotem poczuł się lepiej. Klął złamaną nogę, klął Richarda V. Tulleta. Klął skoki nocne i swojego upiornego pecha.

Lak, Bocian, Kawa i Kra podeszli do niego, by się uściskać i pożegnać. Po chwili dołączył do nich Kontrym z delegatem AK.

- Zostanie pan pod opieką tutejszej placówki. Cztery kilometry stąd mamy lokal, chłopcy przeniosą pana. Jak tylko noga pozwoli, pojedzie pan do Warszawy i przydzielimy panu zadania. Musicie już iść, żeby zdążyć przed świtem.

Do Zub-Zdanowicza dotarło, że skoczyli w sam środek okupowanego kraju. Radość, że jest w Polsce, nie dała się z niczym porównać. Ale jednocześnie uświadomił sobie, że może już więcej nie spotkać ani chłopaków, ani Kontryma. Kapitan musiał myśleć o czymś

podobnym, bo pochylił się nad nim, wyjął fajkę z zębów i uściskali się mocno.

Na „stołeczku” ze złożonych rąk młodych akowców ruszył w las. Chłopcy zmęczeni się szybko, choć nie miał już złotej kamizelki. Wizja dotarcia do lokalu przed świtem rozmywała się w powietrzu.

- Co to za zabudowania? - spytał, wskazując na skraj lasu.

- Leśniczówka - wysapał chłopak w jasnym płaszczu.

- To weźmy podwodę z leśnictwa.

- Nie, nie możemy.

- Dlaczego?

- Bo leśniczy nie jest z AK.

- A z czego?

- Z Narodowych Sił Zbrojnych.

- A oni wiedzieli, że na nas czekacie?

- Wiedzieli.

- A wiedzą, że dzisiaj zeskoczyliśmy? Chłopcy spojrzeli po sobie.

- No, wiedzą.

- Aha. Czyli ściśle tajne i cichociemne?

- Nie, no pan porucznik wie, jak jest - tłumaczyli akowcy. - Tu wszyscy się znają.

- To nie ma nad czym mędrkować. Idźcie po podwodę.

I poszli. Leśniczy sam zaprzągnął i przyprowadził konie. Wszystko razem, z dojazdem do wsi, zajęło godzinę. Lokal był w domu komendanta AK we wsi Prażmów. Jego nie było, ale żona zajęła się skoczkiem troskliwie.

- Kompres panu zrobię. Doktora nie mamy, ale jest stary Zawistowski, taki nasz, powiedzmy, znachor.

- Znachor? - poruszył brwią Dor. - Dobra, niech będzie i znachor.

Żona komendanta posłała po Zawistowskiego i dała Dorowi coś do zjedzenia.

Po chwili do domu wszedł starszy mężczyzna w dziwacznej szubie i czapie.

- Pochwalony! - powiedział. A Dor uklonił się i pokazał:

- To moja noga.

- A to moja! - odpowiedział zaskoczony mężczyzna i klepnął się w udo.

- Oj, to nie znachor! To komendant! - pisnęła żona komendanta, odwracając się od kuchni, i w tej samej chwili do środka wszedł inny mężczyzna o surowej twarzy, a za nim dwóch ludzi obstawy, z bronią wystającą spod płaszczy.

Zub-Zdanowicz poczuł się dziwnie.

- To nie jest komendant? - wskazał na faceta z obstawą.

- Nie, to znachor.

Cyrk - pomyślał. - Znachor wygląda jak komendant i chodzi z obstawą, komendant wygląda jak znachor. NSZ wie o akcjach AK. I na dodatek złamałem nogę.

- Witajcie w kraju! - szerokim gestem powitał go komendant. Znachor był autorytarny i nie znosił sprzeciwu. Obmacał nogę i oświadczył:

- To nie złamanie, to tylko zwichnięcie. Nastawię razdwa. - Po czym władczym gestem wskazał tym dwóm z obstawy, że mają trzymać delikwenta. - Będzie bolało - oznajmił.

I bolało, jak jasna cholera.

- Noga jest złamana! - krzyknął Dor. - Czuję przesuwające się kości!

- Noga jest zwichnięta, bo ja tak mówię. A kości się przesuwają, bo ja je nastawiam. Trzymać osobę.

Znów złapali go za barki, a zatroskany komendant zdjął czapę i szybko wlał kieliszek wódki w usta unieruchomionego Dora.

- Ja nie piję! - parsknął alkoholem Zub-Zdanowicz.

- A ja owszem - oświadczył znachor i przerwał nastawianie. - Puśćcie osobę.

Chlapnął sobie porządnego kielicha i dodał:

- Nastawiłem. Jak coś osoba zepsuje, to już nie moja wina. Po czym wyszedł, a obstawa za nim.

Przez resztę nocy Dor chciał być miły i opowiadał gospodarzom o Anglii. Słowem nie skrytykował znachora, choć czuł, że noga puchnie. Tak bardzo starał się być grzeczny, że komendant i jego żona zasnęli z głowami na ławach.

Nazajutrz okazało się, że przynajmniej pół wsi wie o pobycie skoczka, a drugie pół dowie się przed obiadem.

- Trzeba pana gdziesik odtransportować, gdziesik ukryć dobrze, byle nie w Prażmowie - drapał się po głowie komendant. - Ino gdzie? No niech mi pan powie, gdzie?

Zub-Zdanowicz nie miał pewności, czy to pytanie, czy taka retoryka komendanta, ale widząc jego frasunek i czując, jak niebezpieczny może być pobyt tutaj, spytał:

- A ten leśniczy, który mnie przywiózł?

- Ooo! - wystraszył się komendant i ściszył głos. - On jest NSZ!...

- Ale wie o mnie, więc co to za różnica? Współpracujecie czasami?

- Ano, współpracujemy. Nawet często. Ale wie pan, skoczek z Anglii, sprawa honorowa, po prostu nie wypada...

- Panie komendancie. Jak ja wpadnę w łapy Niemców to ani honor dla mnie, ani dla pana.

- Ano, to ja pójde po leśniczego.

Leśniczy zaproponował dom w Zalesiu, który był placówką NSZ. Przewieźli tam Zdanowicza wieczorem następnego dnia, a nim minęła doba, okazało się, że w Prażmowie węszy żandarmeria niemiecka.

- Tu jest pan bezpieczny - pocieszali go właściciele domu.

Kilka razy w tygodniu wpadali do nich partyzanci NSZ. Przyglądał się im. Wyglądali tak samo jak ci z AK, więc próbował wciągnąć swych gospodarzy w pogawędkę.

- Czym wy się właściwie różnicie od AK?

- Tym, że oni są legalne podziemne wojsko, a my nielegalne. Oni mają pieniądze z Londynu, my nie.

- Mają pieniądze, bo wypełniają rozkazy Naczelnego Wodza, są przedłużeniem polskich sił zbrojnych na Zachodzie - tłumaczył Dor.

- I wypełniają rozkazy przedwojennej władzy - odpowiedział gospodarz. - A narodowców nie ma w rządzie, ot co.

- Z tego, co wiem, Sikorski wydał rozkaz, by podziemie się scaliło.

- My się chcemy połączyć, ale nie bezwolnie podporządkować. Mamy znaczne siły, jesteśmy dobrze zorganizowani w terenie i nasi ludzie są bezwarunkowo oddani sprawie. Dlaczego mamy oddać to wszystko AK? Jak nas wciągną w szeregi na równorzędnych zasadach, to pójdziemy. A jak nie, to będzie jak do tej pory.

- Jak?

- Razem, czyli osobno.

Po dwóch tygodniach łącznik AK zabrał Zub-Zdanowicza do Warszawy. Motocyklem z koszem.

- Na Mokotowie mamy lokal konspiracyjny, u pani Dowgiałło. Bardzo miła kobieta!

Gdy Dor wkuśtykał na trzecie piętro i gdy po pukaniu łącznika otworzyły się drzwi mieszkania, zwątpił, czy dobrze trafili.

- Cichociemny? O nie, nigdy więcej! - zatrzasnęła im drzwi przed nosem bardzo miła kobieta.

- Jest pan pewien, że to tutaj? - spytał szeptem łącznika.

- No tak...

- To wal pan do drzwi, bo ja o własnych siłach z tych schodów nie zejde.

Dowgiałło otworzyła przerażona i wyglądając na klatkę, czy nikt ich nie widział,

brutalnie wciągnęła Dora do środka.

- Cholera by was wzięła, skoczkowie! Nic, tylko zamieszanie robicie! Jak dwa tygodnie temu przyszli tamci, to pukali od dołu do góry, szukając mieszkania! Tacy z was cichociemni, że na całej Natolińskiej wiedzieli, że u Dowgiałło goście! No już, co pan tak skacze, jeszcze się pan nie naskakał?

- Pani Stefo - łagodził łącznik - pan ma poważnie złamaną nogę.

- Jezu Nazareński! Skoczek i kaleka! Dlaczego akurat na mnie to spada? I głodny pewnie?

- Nie, dziękuję bardzo. Mogę żyć powietrzem - grzecznie odpowiedział Dor. - Muszę tylko gdzieś usiąść, rozumie pani, kaleka.

Dowgiałło była energiczną panią w średnim wieku. Gdy łącznik poszedł sobie, zajęła się Dorem, może nie serdecznie, ale fachowo.

- Noga na taboret. Herbaty? No naprawdę, ekipę jedenastki będę długo pamiętać! Pańska noga wygląda paskudnie. Widział to jakiś lekarz?

- Znachor. Oświadczył, że jest zwichnięta i że mi ją nastawił.

- Ciemnota ludzka nie zna granic. Na szczęście jest pan w stolicy. Doktora załatwię.

Słyszał, jak idąc do kuchni, gderała pod nosem:

- Bo jak mu tej nogi nie wyleczą, to w życiu się go nie pozbędę. Następnego dnia sama zorganizowała transport do szpitala Świętego Ducha, a tam już lekarze załamywali nad nim ręce.

- W ostatniej chwili. Jeszcze kilka dni i byłoby po nodze!

Założyli mu gips i po tygodniu pobytu w szpitalu poczuł ulgę. Noga nie puchła więcej i zaczęła wracać do normalnego rozmiaru. Gdy usłyszał, że lada dzień go wypuszczą, struchlał. Wolał nie wracać do pani Dowgiałło.

- Bez obaw! Musi być pan pod opieką specjalisty. Złamanie jest wyjątkowo pechowe. Uzgodniliśmy, że zabiorę pana do siebie - oświadczył mu doktor Jacek. Dor odetchnął.

Był w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. Marzył o powrocie do Polski po to, by działać. Przeszkolony i zrzucony do pracy dywersyjnej, z powodu pechowej nogi stał się dla organizacji ciężarem. Pod koniec października odwiedził go Kontrym w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

- Poznajcie się. Skoczek Dor, major Doktor.

- Pamiętam pana, majorze - zaświtało Dorowi. - Pan był dowódcą 1 Pułku Strzelców Konnych, przed wojną. Major Grocholski, tak?

- Tak jest, poruczniku.

- No, chyba już rotmistrzu? - Dor poruszył brwią. Kontrym chrząknął.

- Nie przyszła jeszcze decyzja z awansem dla ciebie. Ale już monitowałem w tej sprawie, bądź spokojny.

- Żał nam pana, poruczniku. Żał nam materiału ludzkiego, który się marnuje. Postanowiliśmy z kapitanem Kontrymem włączyć pana do roboty od razu. Póki jest pan unieruchomiony, będzie pan skrzynką kontaktową. Doktor Jacek mówił, że za tydzień może pana wypuścić spod skrzydeł. Dostanie pan przydział do innego lokalu. Pani Maria to bardzo miła kobieta.

Dor przewrócił oczami. Miłe kobiety źle mu się kojarzyły.

- Kapitan Kontrym zostanie dowódcą III Odcinka Wachlarza. Życzy sobie, żeby pan był w jego oddziale.

Wachlarz - tajna organizacja wydzielona w strukturach Armii Krajowej. Cel: dywersja na tyłach armii niemieckiej walczącej w ZSRS ze szczególnym uwzględnieniem dywersji na szlakach komunikacyjnych.

- Odcinek III?

- Polesie - powiedział Kontrym. - Nie krzyw się. Na razie, z racji na nogę, zostaniesz w Warszawie i będziesz łącznikował. Ja pojadę do Pińska i rozeznam się na miejscu, co i jak. A pani Maria naprawdę jest w porządku. Przedwojenna dziennikarka, z Wilna.

To akurat okazało się prawdą. Zajął się intensywnie rehabilitacją Dora.

- Należą się panu „ciotki”, rotmistrzu. Pomówię, z kim trzeba, to podeślę je do pana. Nie, nie! Proszę się nie denerwować! To panie, które są specjalnie przygotowane do udzielania skoczkom pomocy w aklimatyzacji w kraju. W pana przypadku przydałaby się też rehabilitantka.

Na szczęście poza „ciotkami” odwiedzali go koledzy z ekipy 11 i Kontrym. W lokalu pani Marii i Dora urządzano odprawę.

- Dowódcą III odcinka jest Wania. Kończył pierwsze kursy skoczków. Pamiętasz go z Anglii?

- Nie. To pewnie było, jak ja jeszcze żandarmowałem w Szkocji.

- Słyszałeś o nim. Wania był w tej ekipie, którą omyłkowo zrzuciono nie w GG, tylko prosto w ręce Grenschutzu.

- A, już sobie przypominam! To ci, co sami musieli wystrzelać niemiecki oddział, by przedrzeć się do Warszawy.

- Pomyłki się zdarzają - zakończył temat Wani major Doktor. - Plan jest taki, by Wanię wraz z drugim cichociemnym i jednym członkiem Wachlarza wysłać pod Pińsk w celu

wysadzenia torów kolejowych.

- Panie majorze - zaprotestował Kontrym - jaki jest sens narażania trzech wartościowych ludzi dla kawałka mało istotnej linii kolejowej? Ja rozumiem, gdyby chodziło o najważniejszy szlak aprowizacyjny. Ale ten kawałek pod Pińskiem jest do natychmiastowego zastąpienia innymi torami! Okupant nie odczuje szkody, a my wystawiamy ludzi.

- Wszystko, co szkodzi Niemcom, jest istotne.

- Nie zgadzam się - wtrącił się Dor. - Trzeba z góry przeliczać zyski i straty. Poza tym czy na pewno jest w interesie narodowym przeszkadzanie Niemcom w wybicciu Sowietów?

- Pan sieje defetyzm! - zagotował się Doktor. - Niepotrzebnie pytałem was o zdanie! Zresztą, kapitanie Kontrym, ja potrzebuję do najnowszego raportu do Anglii jeszcze jednego wybuchu i to na szybko. Koniec dyskusji.

Na efekty nie trzeba było czekać. Wysadzili linię kolejową. I w krótkim czasie wpadli w ręce Niemców, Wania też. W tej sytuacji Kontrym przejął dowództwo III Odcinka i ruszył na ratunkowy rekonesans do Pińska.

Zub-Zdanowicz przy pomocy „ciotek” usiłował kuśtykać po Warszawie. Zwłaszcza że pani Maria załatwiła mu świetną kenkartę na nazwisko Pyszkowski Leon. Jedno się tylko nie zmieniało: czuł się nie jak skoczekzrzutek, ale jak wyrzutek. Przydzielono mu nową terapeutkę, młodsiutką, rudą niczym marchewka, Grażynę.

Grażyna - dziewczyna, która z bratem bliźniakiem była wśród publiczności na konspiracyjnym czytaniu „Grażyny” w wykonaniu Poli i Straszego.

- To „ciotki” mogą być niepełnoletnie? - przywitał ją uprzejmie, krzywiąc brew.

- Mam osiemnaście skończonych - bąknęła nieśmiało na swoją obronę.

- Niech się panienka nie obraża, nie będę sprawdzał.

- Proszę podwinąć... nogawkę... - mówiła cichutko i najwyraźniej peszyła ją ta praca.

Nie wiem, co lepsze - pomyślał Dor - znachor dyktator czy rehabilitantka pensjonarka.

Tak czy inaczej, w tajemnicy przed Grażyną trenował nogę nieco mocniej, niż mu pokazywała.

Pod koniec grudnia przyjechał Kontrym z gościem, instruktorem z Largo Haus, małpiego gaju.

- Ponury? - uściskał gościa Dor. - W życiu nie myślałem, że się kiedyś ucieszę na twój widok!

- Patrząc na twoją nogę, myślę, że mogłem cię bardziej gnębić. Za słabo ci docisnąłem śrubę, Dor! Jak tam? Będziesz jeszcze chodził?

- Nie, do końca życia zostanę cichociemnym kuternogą. Kontrym weźmie mnie do oddziału i będę biegał, wołając: „Chłopak, poczekajcie”!

- Fantastycznie! - pochwalił Ponury. - Poczucie humoru to ty masz. Szkoda, planujemy z Kontrymem akcję, myślałem, że wejdiesz w skład.

- Celowo robicie narady przy mnie - jęknął Dor. - Żeby mnie poniżyć i upokorzyć. Koledzy to świnię.

- Słuchaj, może coś podpowiesz. Chcemy odbić Wanię i jego ludzi z więzienia w Pińsku.

- To, że wam się uda, nie jest pewne, ale to, że Niemcy w zamian za próbę odbicia więźniów przejadą się po cywilach, gwarantowane.

- Wiem. - Skinął głową Ponury. - Dlatego chcemy zrobić maskaradę. Najlepiej przebrać się za sowieckich partyzantów.

- Masz ludzi, którzy mówią po rosyjsku?

- Mam. Musimy tylko skompletować trochę fantów. Parę czapek, ruską zdezelowaną broń.

- Pomysł przedni. Ale musicie dać trochę czasu, żeby nie skojarzyć napadów na czerwonych z akcją na więzienie.

- I przede wszystkim trzeba powstrzymać gadulstwo akowców - zagryzł fajkę Kontrym. - Ja rozumiem, że każdy się chce czymś pochwalić, ale nie podoba mi się to, co się tu dzieje. Wyjdiesz na ulicę i możesz w ciemno wskazywać chłopców w bryczesach i oficerkach. Młodzi, gniewni i żądni sławy. A działalność konspiracyjna wymaga spokoju i ciszy. Ciszy!

O tym, że Kontrym ma rację, przekonał się Zub-Zdanowicz na własnej skórze. W styczniu kuśtykał całkiem zręcznie i poruszał się po stolicy coraz pewniej. Spotkał kilku przedwojennych znajomych, z wojska i ze skarbówki. Wszyscy działali w konspiracji i wszyscy jak jeden mąż mrugali do niego, dając do zrozumienia, iż wiedzą, że jest skoczkiem z Anglii.

- Konspiracja na pełne majtki! - wkurzał się Dor. Ciotki uśmiechały się zalotnie.

Pod koniec stycznia urządzono u niego kolejną odprawę. Ponurego nie było, po udanej akcji w Pińsku zamelinowano go. Był Kontrym i komendant Wachlarza, major Doktor, przełożony ich obu.

- Fantastycznie! Cóż za brawura! - chwalił Ponurego Doktor. - Zamelduję do Londynu sto procent skuteczności. Więźniowie odbici...

-...zakładnicy wzięci! - ostro zareagował Kontrym. - Gestapo aresztowało trzydziestu

cywili.

- No cóż. Jest wojna, muszą być starty. Teraz trzeba pomyśleć, jak wykorzystać sukces propagandowo. Mam pomysł: artykuł do prasy podziemnej! - ekscytował się Doktor.

- Co?! - jednocześnie krzyknęli Dor i Kontrym.

- Pan zwariował, majorze? - Kontrym nie powstrzymał się. - Przecież po to Ponury z oddziałem udawał sowieckich partyzantów, by ochronić ludność. By odsunąć od cywilów podejrzenia. A pan chce się teraz tym chwalić w prasie?

- No przecież, że nie w „Kurierze”, tylko w podziemnej prasie. Rodacy muszą mieć coś ku pokrzepieniu serc. Jak będą myśleli, że naszych odbili Ruscy, to co ich będzie krzepić?

- Panie majorze, podziemną akowską prasę czytają na gestapo tak samo, jak oficjalne dzienniki. - Dor nie wierzył, że to, co słyszy, jest prawdą.

- Przesadzacie, poruczniku. Siedzicie w chałupie i z nudów wam się w głowie ten, tego.

Kontrym i Dor byli wściekli. Doktor obstawał przy swoim. A jak następnego dnia przyszła wiadomość, że Niemcy już rozstrzelali tę trzydziestkę zakładników, nic nie mogło powstrzymać komendanta od pochwalenia się sukcesem akcji. Tym razem wzbogacił argumenty:

- Skoro zakładnicy zginęli, niech ludzie przynajmniej wiedzą, że nie na darmo!

I zaraz po tym w „Biuletynie Informacyjnym” wysmarowali artykuł. Represje były równie szybkie jak kolportaż „Biuletynu”. Niemcy rozpoczęli masowe aresztowania. Brali jak leciało, zupełnie niewinnych i członków AK.

- Muszę zmienić mieszkanie - wpadł do Zub-Zdanowicza Kontrym. - Przez tę dziecinadę zaczynają węszyć nawet w Warszawie.

- Pójdę z tobą - zaoferował Dor.

- O, już tylko utykasz - pochwalił Kontrym, gdy wyszli na ulicę.

- Staram się kapitanie, jak mogę. Choć powiem ci, że nie podoba mi się to, co się tutaj dzieje. Całkiem mi się nie podoba. Czy ja mogę wnioskować o przydział do jakiejś partyzantki? Ta konspiracja po warszawsku mnie wykończy.

- Stój - szepnął Kontrym i udając, że wiąże but przyjrzał się komuś po drugiej stronie ulicy.

Ciemnowłosa, raczej śniady mężczyzna o wyrazistych, jasnych oczach kuśtykał znacznie zręczniejszy i szybciej od Dora. Jednocześnie gestykulował, nie wyjmując rąk z kieszeni płaszcza. Zniknął w tłumie.

- Co jest?

- Nic. - Kontrym wstał. - Myślałem, że ktoś nas śledzi, albo ciebie udaje. Masz rację, konspiracja po warszawsku jest frustrująca. Słuchaj. Ponury zabiega u dowództwa o zgodę na utworzenie oddziału w terenie. Poczekaj trochę, wylecz się do końca. Może się załapiesz do niego.

- A ty? Jako dowódca III Odcinka nie powinieneś jechać na Polesie?

Kontrym pyknął z fajeczki jak smok.

- Powinienem. Ale nie dostaję rozkazu. Bo widzisz, to jest tak: jak chcą coś przeskrobać, to się nas radzą, żeby potem w raporcie do Londynu było, że w naradzie udział brali skoczki. A jak my mamy własną wizję działania, to dowództwo mówi: nie, brak wam rozeznania w warunkach lokalnych. Ja na to odpyskowałem majorowi, że jeśli nie puści nas w teren, to w życiu nie zyskamy tego rozeznania. Ale jak grochem o ścianę. Niby w przyszłym miesiącu mamy jechać na Polesie, lecz jak patrzę na to wszystko, to wątpię, by doszło do wyjazdu.

- Odwiedzili mnie znajomi z NSZ - przyznał się Kontrymowi Dor. - Wiesz, ci, u których byłem na melinie w Zalesiu.

- Próbuja cię przekabacić?

- Dać mi robotę.

- I?

- Co „i”? Odmówiłem. Czytałeś ich gazetę?

- „Szaniec”? Czytałem - przyznał kapitan.

- To powiedz, co myślisz.

Gryzł fajkę i puszczał ładne kółka. W końcu westchnął i wycedził przez zęby.

- Jak porównam „Biuletyn” akowski z eneszetowskim „Szańcem”, to tak, jakbym czytanke wychowawczą dla dzieci zestawiał z pismem rewolucyjnym.

- Otóż to. - Dor myślał nad tym od dawna. - Niezależność od rządu londyńskiego daje eneszetowcom wolne ręce. Powiem to, co ty myślisz, kapitanie, a czego ci nie wypada z racji stanowiska przyznać: londyńskoakowska polityka wobec Sowietów jest pomyłką. Akcje Wachlarza są niepotrzebne. Zamiast tracić ludzi i narażać cywilów na takie represje jak ostatnio, trzeba skonsolidować siły na prawdziwej walce z wrogiem. My tu będziemy im czyścić tyły, a oni w tym czasie skomunizują nam wschodnią Polskę. Do dupy taka współpraca.

- Do dupy. - Splunął Kontrym. - Ale też nie można zachować bierności wobec wojny sowieckoniemieckiej. Tyle że gdyby to ode mnie zależało, ustawiłbym inne priorytety. Nie wysadzać niemieckich transportów na front wschodni. Przeciwnie, pozwolić Niemcom tłuc

Sowietów. A samemu zająć się ochroną ludności polskiej i nękaniem szkopów tu, na miejscu.

Kolejne tygodnie pogłębiały rozdarcie Zub-Zdanowicza. Z nogą było nieźle, ale roboty nie dostawał. Ponieważ wcześniej eneszetowcy odwiedzali go kilkakrotnie w Warszawie, postanowił pojechać do Zalesia i podziękować za opiekę po skoku. Na miejscu zastał gospodarza i kilku innych, których twarze pamiętał z pobytu w leśniczówce. Myślał, że są sąsiadami czy znajomymi właścicielami domu, więc kiedy przedstawili mu się powtórnie, usiadł ze zdumienia.

- Porucznik Julian - przywitał się ten, który odwiedzał go w Warszawie. - Szef Oddziału OświatowoWychowawczego.

- Kapitan Wacław - podał mu rękę drugi z eneszetowców, o którym wcześniej sądził, że jest po prostu sąsiadem. - Szef Oddziału Operacyjnego NSZ.

- O rany. - Grzecznie zareagował Dor i niepewnie zerknął na gospodarza.

- Major Aleksander, adiutantura dowództwa NSZ. Mam panu przekazać pozdrowienia od komendanta głównego Narodowych Sił Zbrojnych, pułkownika Oziewicza.

Pułkownik Ignacy Oziewicz - w kampanii wrześniowej dowódca 29 dywizji piechoty. Po zatargu z generałem DąbBiernackim odesłany na Litwę. Tam internowany przez Sowietów; pełnił funkcję komendanta obozu dla polskich oficerów w Kołatowie. Dzięki staraniom księdza Trzeciaka (patrz: ksiądz Tadeusz Puder) zwolniony i przeniesiony do Warszawy. Aż do końca 1941 roku najwyższy stopniem i stażem wojennym oficer pozostający w okupowanej Polsce. Pierwszy dowódca Narodowych Sił Zbrojnych. Dor w kampanii wrześniowej ochraniał pułkownika i jego sztab.

Myślałem, że mieszkam u szeregowych działaczy, a to prawdziwe gniazdo jaszczurek z Zetjotu - pomyślał. Oczywiście nie powiedział tego głośno, tym niemniej zapytał:

- To lokalny komendant AK nie wiedział, że przekazuje mnie w ręce takich szych?

- Kto mniej wie, krócej będzie męczony. - Uśmiechnęli się wyrozumiale. - Zdecydował się pan, rotmistrzu Zub-Zdanowicz?

- Nie mogę, panowie. Organizacyjnie podlegam AK i przynależność mnie zobowiązuje. Nie wiedziałem, że pułkownik Oziewicz był w ONR.

- Bo nie był - oświadczył major Aleksander. - Dowodził NOW, Narodową Organizacją Wojskową, czyli zbrojnym ramieniem Stronnictwa Narodowego. W czasie, kiedy pan skakał do kraju, AK usiłowało wcielić w swe szeregi NOW. Część organizacji się zgodziła, a część, pod dowództwem pułkownika Oziewicza, dołączyła do nas.

- Wybaczcie, panowie, powinienem chyba wziąć korepetycje z tajnych organizacji wojskowych oraz tego, kto z kim gdzie, a kto przeciw komu. Trudno się połapać - przyznał

się Zub-Zdanowicz.

Głośno nie dodał już tego, że rolę edukatorek przyjęły akowskie „ciotki”, lecz ich relacja zupełnie odbiegała od rzeczywistości i jak się szybko przekonał, była nad wyraz życzeniowa.

- Rozpoczynają się kolejne tury rozmów scaleniowych między nami a AK, pod auspicjami pułkownika Oziewicza - powiedział major Aleksander.

- Rozumiem, wobec tego nie mam co się uczyć, bo za chwilę moja wiedza może być nieaktualna?

- Nie w tym rzecz, rotmistrzu. Miałem raczej na myśli szerszy zamysł. Otóż jeśli scalenie NZS i AK stanie się faktem, to będzie pan mógł wnioskować o przeniesienie do nas w ramach jednej organizacji.

- Ciekawe. - Poruszył brwią Dor. - A jeśli tak tu sobie konferujemy, oczywiście bez zobowiązań, to co mógłbym u was robić?

- Trzy miesiące temu komendant Oziewicz wydał rozkaz o powołaniu Akcji Specjalnej NSZ. Budujemy partyzantkę. Między innymi w Lubelskiem.

- Hmm. - Zręcznie ukrył swe nadzwyczajne zainteresowanie i dopytał: - Przeciw komu?

- Przeciw wszystkim, którzy niszczą Polaków, panie rotmistrzu. Nasza doktryna zakłada ochronę ludności cywilnej. Bandy sowieckie, ukraińskie, a nawet żydowskie rabują, niszczą i zabijają, nie licząc się zupełnie z konsekwencjami. Brak także skutecznej ochrony przed okupantem niemieckim. Chcemy stworzyć szeroko zakrojony system zabezpieczania społeczności lokalnych. Jednak, jak pan wie, rozróżniamy bezmyślne atakowanie Niemców od obrony ludności. Nie chcemy sprowadzać represji na cywilów.

- Tak. To kiedy to scalenie?

- Rozmowy w toku.

Szkoda - pomyślał Zub-Zdanowicz. - Włączyłbym się od razu.

- No cóż, muszę wracać do Warszawy. Jeśli mógłbym coś dla panów zrobić, tak, powiedzmy, nieformalnie, to proszę mówić.

Spojrzeni po sobie i major Aleksander zaproponował:

- Mamy paczkę fałszywych kenkart, trzeba je szybko dostarczyć do naszego współpracownika w Warszawie, jeśli to nie kłopot.

- Żaden - powiedział Dor i zabrał przesyłkę.

Dopiero gdy nazajutrz dostarczył ją pod wskazany adres, notabene do mieszkania dawnego ministra komunikacji, pułkownika Ulrycha, dowiedział się, że to kenkarty dla

ukrywających się pod skrzydłami narodowców Żydów. Miał coraz więcej do przemyślenia.

Tymczasem zarówno jemu, jak i Kontrymowi skończyły się pieniądze. Jeszcze jesienią, zaraz po przybyciu do Warszawy, posłał przez łącznika część swoich poborów matce, w lubelskie. Jak przydzielono go do Wachlarza, dostawał żołd, około 1000 złotych okupacyjnych. Starczało na opłacenie pokoju, ale na wyżywieniu już musiał ostro oszczędzać. Ponieważ i on, i Kontrym, wciąż pozostawali w Warszawie, z teoretycznym przydziałem do III Odcinka, ale praktycznie bezrobotni, postanowili znaleźć jakieś źródło utrzymania.

- Mam! - radośnie oznajmił wczesną wiosną Kontrym. - Nielegalna destylarnia spirytusu potrzebuje konwoju i ochrony.

- Doskonała robota dla abstynentów! Ile zarobimy?

- Po pięćset złotych na łebka, miesięcznie. Nic lepszego nie znalazłem.

- Bierzemy, kapitanie, nie będziemy wybrzydzać.

Klęli jednak od pierwszego dnia pracy. Bo w istocie wysługiwali się jakimś szemranym typom, personom, które na wojnie umiały ubić interes.

- I na to nam było kursy w Anglii kończyć!

- Konspiracyjne, przygotowawcze, spadochronowe, korzonkowe i wszystkie inne!

- Ja ci mówię, kapitanie! To mój cholerny pech! Pewnie Wiktor Zdanowicz saper teraz coś minuje albo rozbija, a ja wódę wożę!...

- Podobno odtwarzają w podziemiu 1 Pułk Strzelców Konnych. Popytam Doktora, może by nas tam przesunął?

- Gdziekolwiek, kapitanie Kontrym, byleby do wojskowej roboty!

Frustrację bezrobotnego skoczka pogłębiły wiadomości z frontu wschodniego.

- Sowieci zmusili armie Osi do kapitulacji w kotle stalingradzkim.

- Ruszają z kontrofensywą na szwabów!

A czary goryczy dopełniło powstanie w getcie warszawskim i incydent, którego stał się mimowolnym świadkiem.

Wracał tłoczną ulicą z roboty, gdy nagle usłyszał w tłumie kobiecy okrzyk:

- Jude! Jude!

Umundurowana Niemka stała nad włazem do kanału, z którego wystawała głowa brudnego, kilkuletniego chłopca. W tej samej chwili rozległ się strzał z rewolweru, krew dziecka bryzgnęła i właz się zatrzasnął.

Wszystko trwało ledwie kilka minut, mgnienie oka. Wystarczyło, by dobitnie pokazać mu, że cała ta jego warszawska stabilizacja jest ułudą, iluzją, a wojna toczy się na ich oczach.

- Idź do Ponurego - poradził mu Kontrym. - Dostał pozwolenie na utworzenie

partyzantki w Kieleckiem. Niech cię weźmie ze sobą. Ja napiszę rekomendację.

Jednak ani pierwsza, ani druga rekomendacja Kontryma nic nie dała.

- Słuchaj, Dor. - Ponury, porucznik AK, skoczek i przedwojenny partyzant, miał minę, jakby połknął cyjanek. - Dowództwo dało mi zgodę tylko dla dwóch cichociemnych, już wcześniej przydzielonych do okręgu kieleckiego. Kontrym mówił, że Jaszczurki ci proponują partyzantkę w Lubelskiem.

Zdanowicz potwierdził skinieniem głowy.

- Skoro NSZ daje ci dobrą robotę, bierz to. Ja będę w Kieleckiem, ustanowimy kontakt przez Wisłę i chrzanić polityków. Nie ma się co na nich oglądać, trzeba iść w teren i działać ponad podziałami.

- Łatwo ci mówić, Ponury. Jeśli przejdę teraz, AK weźmie to za dezercję.

- Pogadaj z Kontrymem. Może on coś wymyśli. Mnie się twój pomysł podoba, stworzymy wojsko bez względu na partie polityczne. Jedno jest ważne: niech to będzie wojsko polskie.

Oliwy do ognia dołało spotkanie dawnego kolegi z KUL i z 29 dywizji piechoty, Staszka Żochowskiego, w towarzystwie Juliana, tego z NSZ, który najczęściej odwiedzał Dora w Warszawie.

- Panowie się znają? - nie mógł wyjść z podziwu Julian. - Nadzwyczajne! To musi być jakiś znak. Majorze - zwrócił się do Staszka - może pan przekona rotmistrza Zub-Zdanowicza, bo ja pracuję nad nim, ale wciąż bezskutecznie.

Wstąpili na kawę, już bez Juliana.

- Jesteś w NSZ? - spytał Dor.

- Tak. A ty? A, rozumiem. Niezdecydowany.

- Zdecydowany. Ale nie mogę tak sobie zmienić przydziału, tylko dlatego, że mi się obecny nie podoba. Nie dręcz mnie, Stachu. Lepiej opowiedz, co u ciebie.

Stanisław Żochowski - major dyplomowany. Absolwent Wyższej Szkoły Wojennej. W kampanii wrześniowej kwatermistrz 29 dywizji piechoty pod dowództwem Oziewicz. Obecnie jego pierwszy zastępca i szef sztabu NSZ.

- Może innym razem o sobie. Dzisiaj pogadajmy o Polsce. Powiem ci coś, o czym nie dowiesz się od swoich tak szybko. Bez urazy - uprzedził jego skrzywienie Staszek. - Radio Berlin, a przed nim Agencja Transocean podali informację o odkryciu masowych mogił polskich oficerów w lesie katyńskim. Ludność miejscowa pokazała Niemcom, gdzie NKWD wywoziła trupy.

- Co ty opowiadasz?!

- Na razie mówi się o dziesięciu tysiącach. Doły szesnaście na dwadzieścia osiem metrów, zwłoki poukładane warstwami, normalnie, w mundurach. Ale jeszcze nie zaczęli komisijnego badania mogił.

- Staszku, mów konkretniej! Dziesięć tysięcy ludzi?!

- Słuchaj, od początku sowieckiej inwazji trwały poszukiwania internowanych oficerów. Cisza. Wiosną czterdziestego roku ślad po nich się urywał. Żadnych listów, wiadomości, nic. Już wcześniej były przypuszczenia, że Sowieci ich zamordowali, ale nikt nie chciał wierzyć w to, że można bez śladu ukryć ciała tylu ludzi. Dopiero jak Niemcy weszli na tereny wschodnie, zaczęło się przedostawać to i owo. Z początku wywiad brał pod uwagę ewentualność niemieckiej prowokacji. Ale teraz Niemcy chcą powołać międzynarodową komisję.

- Żochowski sięga po wodę, wypija łyk. - Ciała zachowane, bo tam wiesz, taki grunt, że zmumifikowało. Znaleźli na przykład generała Smorawińskiego, z Lublina. Znałem go.

- Z Lublina - powtórzył niczym echo Zdanowicz. - Ja też... Jezus Maria - jęknął, jakby się nagle przebudził. - Nie wierzę... Pułkownik Płonka, Kopeć, rotmistrz Flatau... Wszyscy poszli poddać się Sowietom, cała improwizowana grupa kawalerii Chełm. Rany boskie! Tylko brat i ja nawialiśmy stamtąd... Nie. Nie mogę w to uwierzyć!

- A jednak. Ty i Wiktor, dlaczego nie poszliście do niewoli?

- Nie ufaliśmy bolszewikom. Daj spokój, Staszek...

- Ale dostałeś rozkaz iść do niewoli? - drążył major.

- Dostałem.

- I złamałeś rozkaz, tak?

- Tak.

- Gdybyś go posłuchał, byłbyś wraz z saperem w zbiorowej mogile. A, nie powiedziałem ci: wszyscy mają ręce związane na plecach. Zabili ich strzałem w tył głowy. Tacy są „sprzymierzeńcy naszych sprzymierzeńców”. Coś jeszcze w kwestii rozkazów?

- Nie mam więcej pytań.

Pierwszym, do którego poszedł Dor, był Kontrym. Gryzł fajkę.

- Każdy z nas ma kogoś, kto poszedł do sowieckiej niewoli. Nie wierzę bolszewikom, ale nie wierzę też niemieckiemu śledztwu. To będzie dla nich tylko młyn na wodę propagandy.

- Wiem. Jeden kat oskarża drugiego. Ale to jest pewne: znaleziono dziesięć tysięcy ciał. Jeśli Niemcy przedstawia niezbite dowody, że za zbrodnią stoi NKWD, może alianci się otrząsną, co?

- Nie sędzę. Pamiętasz, jak pokochali Sowietów? Widzieliśmy to na własne oczy, w Anglii. - Westchnął. - Zapomniałem, synu. Komenda Główna ponownie odrzuciła wniosek o skierowanie cię do oddziału Ponurego. W zamian za to proponują ci utworzenie komórki bezpieczeństwa i kontrwywiadu w Warszawie.

- A NSZ proponuje mi partyzantkę w Lubelskiem.

- Dopóki organizacje się nie scalą, to będzie samowolka. - Kontrym nie znosił niesubordynacji. - Spotkaj się z łącznikiem AK i dopytaj o szczegóły.

- Szczegóły są takie - wyjaśnił młody łącznik - że zbierze pan trzydziestu ludzi, godnych zaufania. Zorganizujcie samochody i będziecie wykonywać egzekucje zdrajców zgodnie z wyrokami KG AK.

Nazajutrz w robocie konwojenci spirytusu dyskutowali o tym.

- To jakaś fanfaronada, nie propozycja - trzeźwo ocenił Kontrym. - Ani nie znasz ludzi w Warszawie, żeby ich wiarygodnie werbować...

- Ani na samochodach się nie znam. Wiem, kapitanie. Dali mi cokolwiek, żebym przestał ich dręczyć.

- Sprawdziłem twego twojego znajomego z NSZ.

- Staszka Żochowskiego?

- Tak. Jest zastępcą Oziewiczza. Więc możesz się czuć połączony, konferuje z tobą sama góra. Brak im zawodowych oficerów, a taki jak ty, wyszkolony w Anglii, to gratka.

- Nie ułatwiasz mi, kapitanie.

- Nie zamierzam, rotmistrzu. Sowietci zerwali stosunki dyplomatyczne z rządem londyńskim.

- Katyń?

- Katyń. Sikorski zażądał oficjalnego dochodzenia i wyjaśnień.

- Jest zmiana polityki wobec Sowietów?

- Nie ma.

Eneszetowcy też mu nie odpuszczali. Żochowski pofatygował się osobiście.

- Pułkownik Oziewicz obiecał, że jako twój były dowódca sam się zajmie sprawą przeniesienia. Zależy nam na czasie, bo w Lubelskiem robi się niebezpiecznie.

Zub-Zdanowicz, który miał tam matkę, był oczywiście czuły na takie wezwania.

- Partyzantka komunistyczna, zasilona przez żołnierzy Armii Czerwonej zbiegłych z niewoli niemieckiej, przybiera na sile. Do tego szaleją bandy „koguciarzy”, wszelkiego gatunku mętów, którzy nie mają żadnych celów niepodległościowych, a jedynie chodzi im o rabunek majątków. Komuniści wprost zachęcają chłopów, by grabili panów. Na ile są to

spontaniczne akcje podziemia komunistycznego, a na ile inspirowane przez NKWD? Nie wiemy. Faktem jest, że cierpi ludność. Znasz naszą doktrynę dwóch wrogów?

- Znam. - Dor lubił sobie poczytać eneszetowski „Szaniec”. - I zgadzam się z nią.

- Masz, poczytaj sobie.

Niemcy już przegrały wojnę, chwila ich nieuchronnej katastrofy zbliża się. Zwycięstwo Sowietów w tej grze, tzn. wejście do środkowej Europy przed Anglosasami, oznaczałoby dla Polski kompletną katastrofę. Dlatego musimy zrobić wszystko, co jest w naszej mocy, żeby do tego nie dopuścić. A już przede wszystkim - nie wolno nam uczynić niczego, żeby dopomóc Sowietom. Dlatego też musimy się chwilowo powstrzymać od szerszej akcji przeciw Niemcom, która by ułatwiła zadanie Armii Czerwonej.

Koniecznością dnia dzisiejszego jest czyn, którego naczelnym zadaniem jest, przed wybuchem powszechnego powstania, oczyszczenie terenu Polski ze stanowiących „drugą okupację” partyzanckich oddziałów i band komunistycznych. Zadanie to spełnią nasze własne polskie oddziały partyzanckie zorganizowane przez Narodowe Siły Zbrojne.

Zdanowicz wziął numer „Wielkiej Polski” pod pachę i poszedł do Kontryma.

- Nie wiadomo, czy eneszetowcy się scalą z AK - przekazał mu złe wieści Kontrym. - Z tego, co mówi się u nas, marne szanse. Narodowcy są hardzi, akowcy nieugięci, rząd londyński zakazuje otwartych wystąpień antysowieckich, koło się zamyka.

- Nie ułatwiasz mi, kapitanie - jęknął Zdanowicz.

- Przeciwnie, synku. Żeby ci ułatwić, wziąłem na siebie drugą robotę. Będę robił te cholerne egzekucje i likwidacje. Tworzę osobny oddział. Nie będą nam mogli zarzucić, że mój podkomendny odrzucił ofertę, obraził się i poszedł do NSZ.

- Co ty mówisz, Kontrym?

- To, co słyszysz. Pisz do KG AK oficjalne wyjaśnienie w sprawie swojego przejścia.

- A ty? Będiesz za mnie nadstawiał karku?

Kontrym uśmiechnął się najpiękniejszym ze znanych Zdanowiczowi uśmiechów - samymi zębami i fajką.

- Nie za ciebie, synku. Za Ojczyznę. No pisz, co, mam ci podyktować?

-...z powodu nie otrzymania zadań bojowych adekwatnych do mojego wykształcenia oraz na wezwanie dowódcy z kampanii wrześniowej, pułkownika Oziewicz, obecnie komendanta głównego NSZ...

- Dobrze? - pokazał papier Kontrymowi.

- Mnie pasuje. Jeszcze pseudonim.

- Co?

- Zmień pseudonim i oficjalnie powiadom Komendę. Wiesz, skoczek, zrzutek, cichociemny. Pseudonim był przypisany do akcji. No dalej, nie zastanawiaj się. Jak chcesz się teraz nazywać?

- Ząb Zub-Zdanowicz.

- To jakiś żart? - uśmiechnął się samą fajką kapitan, przedrzeźniając Richarda V. Tulleta.

- Jak panu wiadomo, kapitanie, ja nie znam się na żartach - poważnie odpowiedział Zdanowicz.

- Owszem. A mi brak poczucia humoru - potwierdził Kontrym.

- Zawołanie rodowe Zdanowiczów „Ząb”. To będzie mój pseudonim.

- Zobaczymy się jeszcze, kapitanie?

- A co, sentymenty cię biorą, synku?

- Nie. Gdzieżby. Daj pyska.

- Trzymaj kciuki, jak się scala, to sprawa się rozejdzie po kościach. Jak nie, to ktoś ci się kiedyś dobierze do tyłka. A co będzie, to się okaże.

- Jak to co, kapitanie? Polska będzie!

- Ty już raz przez niesubordynację wygrałeś życie, Zdanowicz. Kto wie, może z nas dwóch masz więcej rozumu?

- Rozumu? Kapitanie, nie śmiałbym!...

Bolesław Kontrym - utworzył projektowany oddział specjalny „Podkowa - Sztafeta”. Wykonał 25 egzekucji. Czterokrotnie ranny w powstaniu warszawskim. Zbiegł z obozu jenieckiego do I Dywizji Pancerniej generała Maczka. Do Polski wrócił w 1947 roku. Inwigilowany i aresztowany. Potrwającym cztery lata śledztwie i torturach skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano prawdopodobnie w styczniu 1952 roku.

- No dobra, niech ci będzie, Zdanowicz: masz więcej szczęścia. Ząb!

*

Pociąg relacji Warszawa-Lublin. Marzec 1943 roku

Pola z małym Feliksem przy piersi, obok niej Arek o włosach rozjaśnionych na blond. W jasnych lokach wygląda niczym chudy cherubinek. Naprzeciw nich kobieta o twarzy chytrej wieśniaczki.

- Paniusia tak sama, z dziećmi? - zagaduje.

- Co robić! - wzdycha Pola, niechętna pogawędkom.

- A mąż gdzie?

- Zginął na froncie - wyręcza Polę Arek - we wrześniu.

- O, to chyba w tym roku - sprytnie uśmiecha się kobieta. - Bo dzieciak malutki. A jak w tym roku, to w jakiej walczył armii, co?

- Ćśśś, ciociu - poufale szepce Arek. - To trudne sprawy. Tatuś poległ w trzydziestym dziewiątym. A ten tutaj mały to bękart...

Pola niepewnie patrzy na Arka. Chłopiec łapie jej spojrzenie, głaszcze ją po łokciu i mówi do baby:

- Mamusia nie lubi o tym mówić, ciociu. - Pochyliła się do niej. - Mamusię zgwałcił niemiecki żołnierz, ale nie usunęła, bo jest katoliczką. Ja też! - dodaje od razu i robi znak krzyża. - No i wychowamy dziecko na Polaka. Cóż robić, ciociu.

Kobiecina kiwa głową. Łza jej się w oku kręci. Grzebie w koszu i podaje Arkowi pęto kiełbasy. Pola zamyka oczy, udaje, że śpi.

- Masz, synuś, schowaj, biedne dziecko!

- Niech Najświętsza Panienka cioci wynagrodzi. I Jezusek.

- A, weź jeszcze chlebka. No weź, nie wstydź się. Masz jakąś butelkę? To ci mleka odleję, będzie dla mamy, albo dla tego dzieciaka.

- Mam, ciociu, dwie. To mi wlej do obu. A ciocia z Lublina?

- Na wiosce mieszkam, tak sobie dorabiam.

- Daleko cioci wioska od Lublina? - Arek organizował im życie dalej, ale przerwał mu szum w wagonie. Gdzieś od strony lokomotywy dało się słyszeć strzały, potem krzyki.

- Dzieciaka nam obudzą! - zachnął się oburzony Arek.

- Ćśśś, mały, teraz to lepiej udawać, że nas tu nie ma. - Kobieta wcisnęła się w róg ławki. - Partyzanci.

Arek osłonił sobą Polę i dziecko, ale przyglądał się ciekawie. Dwóch młodych chłopaków przebiegło przez wagon, za nimi gonili żandarmi.

- Halt! Halt!

Podróżni, jak „ciocia”, udawali, że są niewidzialni. Arek zobaczył przez brudne okno wagonu, jak partyzanci koziołkują po kolejowym nasypie. Żandarmi strzelali za nimi, ale czy trafili, wątpliwe.

Kilkanaście minut później dojechali do Lublina.

- I co dalej? - spytał Arek, gdy stali na pustoszejącym peronie.

- Teraz musimy jakoś dojechać do Biłgoraja. - Pola zawinęła chustą małego, bo wiał chłodny, marmowy wiatr. - Na drugi raz nie rób znaku krzyża. Katolik nie żegna się na potwierdzenie, że jest katolikiem.

- Nie? - Arek wzruszył ramionami. - Ale zadziało. Czeka tu, rozejrzę się za czymś

dalej.

Pola popatrzyła za nim, gdy szedł w głąb stacji, i pomyślała, że było warto zdobyć dla niego nowe papiery. To była ostatnia rzecz, jaką dla niej załatwił Groźny. Zapłaciła mu tym, czego pragnął, swoim ciałem. Brzydziła się Groźnym, brzydziła się sobą, gdy musiała to zrobić. Ale metryka jej syna, Aarona - Arka, była tak samo dobra jak ta prawdziwa, Felka. Obaj mieli ojców „NN”. „Jak przystało na dziwkę” - powiedziała sobie, kiedy Groźny zaproponował, iż on może poświadczyć ojcostwo. „Nie trzeba, Groźny. Wolę zostać potwierdzoną urzędowo puszczałką”. Czy był zadowolony odbierając od niej zapłatę? Ma nadzieję, że nie.

Z odrapanego budynku szedł Arek z zawiadowcą za rękę.

- Mamulku! - krzyczał z daleka. - Wujcio zawiezie nas furmanką do Biłgoraja, tylko musimy zaczekać.

- Fortuński - przedstawił się zawiadowca, uchylając czapki. - Wspaniałego ma pani syna.

- Tak, to moja jedyna podpora. - Pola wołała mówić ogólnikowo, bo Arek robił do niej miny, z czego zrozumiała, że w grę wchodzi jakaś nowa historia.

- I takie nieszczęście! - pokiwał głową Fortuński.

- Opowiedziałem wujciowi, jak nam się dom spalił w czasie nalotu. I jak tatusia w gruzach zasypało... Nie gniewaj się, mamulku, że powiedziałem, ale wujcio chciał wiedzieć, czemu my się sami tułamy.

- Ja wprawdzie miałem tylko do Kraśnika jechać, ale co tam! Pomóc kobiecie z dziećmi to chrześcijański obowiązek.

- Jezusek wujciowi wynagrodzi - zamaszycie przeżegnał się Arek. - I Panienka.

Brat dał jej adres w Biłgoraju, na który kazał im się zgłosić. On sam miał do nich dołączyć, jak tylko dostanie wiadomość, że dotarli. Pożegnali Fortuńskiego, Arek dostał od niego suszone gruszki i woreczek kaszy.

W mieszkaniu przyjęła ich jakaś młoda dziewczyna. Pola przez chwilę pomyślała, że może to przyszła bratowa, ale była zbyt zmęczona, by się nad tym zastanawiać.

- Jestem Ewka, łączniczka. Dam znać pani bratu, że jesteście. Skromnie tu mamy, ale łóżko czyste i zaraz zrobię coś do jedzenia.

- Jezusek cioci wynagrodzi - zaczął Arek.

Pola uszczypnęła go w ramię. Ewka uniosła brwi.

- No to proszę do pokoju - powiedziała zmieszana.

- Teraz przestań z Jezuskiem - szepnęła mu Pola - aż do odwołania. Rozumiesz?

- Nie.

- Przyjaciele mojego brata są raczej niewierzący.

- Komuniści?

- Socjaliści, mój ty polityku!

Położyła Fela na łóżku, delikatnie rozwinęła chusty.

- Mam jeszcze jakąś czystą pieluchę? - spytała Arka.

- Ostatnią. To jak mam do ciebie teraz mówić? Mamusiu czy ciociu, czy jak?

- Trzymajmy się wersji z metryk. Mów „mamo”, ale póki nie ustalę szczegółów z bratem, wstrzymaj się od naszych perypetii rodzinnych.

- Dobra - powiedział Arek, choć widać, że było mu trudno.

Ma talent aktorski, to pewne - pomyślała z uznaniem Pola. - Po Rosie. Kielbasy i chleba od cioci z pociągu też nie wyjmował, jak zobaczył, że gospodyni przygotowała kolację. On, jak Fenix, lubił zabezpieczać wszystko na czarną godzinę.

- Pyszna zupa - powiedział. - Ciociu Ewo, wspaniale gotujesz. Pewnie i ciasto umiesz upiec, co?

- Nigdy nie próbowałam. Właściwie nie lubię gotować - powiedziała zawstydzona łączniczka. - Moja mama to piecze ciasta! Serniki, szarlotki.

- Szarlotki? Naprawdę? Ciociu Ewo, ja cztery lata szarlotki nie jadłem! A bardzo lubię. Bo mamusia jest wspaniała, jak ty, ciociu. Ale też gotować nie umie.

- Arek! - zganiała go Pola.

Feli zapłakał z pokoju. Poszła do niego. Gdy wróciła, Arek kończył wycierać naczynia po kolacji.

- Świetny chłopak, ten twój syn - uśmiechnęła się Ewka.

Spali długo. Feli budził się w nocy kilka razy, Pola tuliła go do siebie i płakała. Z żalu za opuszczoną Warszawą? Ze strachu przed nieznanym? Z tęsknoty za Fenixem? Z radości, że dotarli szczęśliwie? Ze wszystkiego po trochu.

Rano, ledwie zdążyła ogarnąć dzieci i siebie, jak usłyszała pukanie do drzwi. Ewka otworzyła i po chwili Pola wpadła w ramiona brata.

- Pola!

- Jakub!

Porucznik Jakub - nauczyciel matematyki, bokser. W kampanii wrześniowej dowódca patrolu. Uczestnik akcji „Heidi”. Działacz Rewolucyjnej Grupy Inteligencji Socjalistycznej „Świt”.

Brat zmęźniał. Zawsze miał wysportowaną, atletyczną sylwetkę boksera. Teraz

schudł, miał pokancerowaną twarz, co ją wzruszało, bo przypominało Fenixa. Zmienił się, spoważniał, choć przecież nigdy nie był wesółkiem.

- Opowiadaj! - poprosiła gdy już usiedli. - Kiedy ostatnio byłeś w Lelkowie?

- Po wiadomości od ciebie. Pojechałem ogarnąć dom. Tam was umieszczę, w Biłgoraju nie jest bezpiecznie.

- A mnie po wyjeździe z Warszawy wydaje się, że tu jak u Pana Boga za piecem...

- Hmm... - przerwało jej chrząknięcie Arka.

Zapomniała o chłopcach, gdy zobaczyła brata. Spojrzała teraz na Arka, który robił miny i kładł palec na ustach. Roześmiała się.

- „U Pana Boga za piecem” to takie powiedzonko - wyjaśniła mu.

- Niereligijne. Idź sprawdzić, co robi Ewa, może jej w czymś pomożesz?

Gdy zostali sami, powiedziała to, czego nie mogła napisać w liście.

- Według metryki jest moim synem. Ojciec „NN”. - Wzięła głęboki wdech. - Jest Żydem. To syn Rosy. Pamiętasz Rosę?

Jakub kiwnął głową.

- Co z nią?

- Sądzę, że nie żyje. Urodziła w getcie córkę, a Aarona, to znaczy Arka, przemyciła za mur. Wsadziła mu w kieszeń list do mnie i co miałam zrobić? Odesłać do dzielnicy śmierci? Nie umiałam.

- A niemowlę?

- To mój syn. Jego ojciec też nie żyje, jak sądzą.

- Nie wiesz tego?

Pola wzruszyła ramionami.

- Półtora roku temu posadzili go w Pawiaku. Od tamtej pory nie dał znaku życia. To mam dwa wyjścia: albo nie żyje, albo wyszedł, żyje i nie kontaktuje się ze mną.

- Zostawiłaś mu wiadomość, wyjeżdżając z Warszawy?

- Tak list pożegnalny, bukiet róż i bombonierkę - skrzywiła się.

- Daj spokój, Jakub. Nigdy nie miałam szczęścia do facetów. Usunęłabym ciężę, ale było za późno. Feli jest moim synem, ale czasami myślę, że jest kulą u nogi. Arek jest moim przyjacielem, ale i dzieckiem - bombą z opóźnionym zapłonem. Jak ktoś go kiedyś rozpozna jako Żyda? Jest obrzezany.

- Ćśśś - uspokoił ją Jakub. - Wygląda dobrze.

- Rozjaśniłam mu włosy perhydrolem.

- Nieważne jak, ważne, że skutecznie. Wymyślimy dobrą historię do braku męża.

Wiesz, w Lełkowie baby wiejskie będą gadać.

- W historyjkach jest dobry Arek. Ma ich całe mnóstwo. - Uśmiechnęła się przez łzy Pola. - Jakub, dziękuję.

- Za co? - Jakub wzruszył ramionami. Wstał, podszedł do Poli i przytulił ją.

- Jesteśmy tylko ty i ja. To wszystko, co zostało z rodziny. Usłyszeli pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziała Pola.

- Czy państwo mają ochotę na szarlotkę? - Arek wsadził blond głowę. - Ciocia Ewa upiekła. Przepyszna!

*

Mieszkanie Jaxy i Aleksandry, Warszawa. Kwiecień 1943 roku

Aleksandra stoi przy oknie. Patrzy na pąki na drzewach. Jest starannie ubrana i uczesana. Odwraca się w stronę pustego pokoju. Patrzy na stojący zegar. Wzdycha. Idzie do sypialni, siada przy uporządkowanej toalecie i rozplata włosy. Przechyla głowę na bok. Jasne pukle odsłaniają gładką szyję. Przesuwa po niej palcami. Zegar w salonie bije dwunastą w południe.

W tym samym czasie

Lokal konspiracyjny Związku Jaszczurczego w dawnym zakładzie Jaxy

Jaxa stoi przy oknie. Patrzy na pąki na drzewach. Drzwi otwierają się z hukiem i wbiega Otmar.

Jaxa gwałtownie odwraca się od okna. Dopiero teraz widać, że twarz ma napiętą.

- I? - wrywa się w stronę Otmara.

- Zgilotynowali ich! - krzyczy Wawrzkowicz. Na jego czole perli się pot.

- Jeuthego?!

- Tak! I tamtych!

Stanisław Jeuthe - czołowy agent i szef wywiadu zachodniego Związku Jaszczurczego. Aresztowany wraz z 80 wywiadowcami w grudniu 1941. Osadzony w Berlinie w więzieniu Moabit i sądzony w tzw. procesie berlińskim. Skazany wraz z 30 innymi na śmierć.

- No to pod niemieckim toporem poległ nasz wywiad zachodni - grobowo powiedział Jaxa.

- Odrodzimy się - twardo zaprzeczył Otmar. - Irenę Hłakowiczową odbiliśmy. Nałęcz uciekł. Krzysztofa, to znaczy Kapitana Konrada, nie ujeli.

Nałęcz, Witold Gostomski - szef wywiadu NSZ. Aresztowany w grudniu 1942 roku w czasie zatrzymań całej siatki wywiadu zachodniego. Przełożony Stanisława Jeuthe.

Kapitan Konrad, Krzysztof - wywiadowca ZJ, którego starszy brat pracował w Ministerstwie do spraw Wojny III Rzeszy.

- O czym ty mówisz, Otmar? Irena jest spalona. Z jej urodą i sławą nigdzie się nie może pokazać. Konrad z bratem w więzieniu nic nie znaczy! A ucieczka Nałęczu zamiast cieszyć, niepokoi mnie. Dlaczego tylko jemu się udało?

Otmar kopął nogę stołu. Przestał.

- Był genialnym wywiadowcą - powiedział powoli. - Na tym polegała jego praca, żeby mu się udało.

- Wiem i nie chcę rzucać fałszywych oskarżeń. Ale muszę zadawać pytania. Trzeba spotkać się z Nałęczem.

Otmar pokręcił głową.

- Ukrywa się. Nikt nie ma do niego dostępu. Jeśli Abwehra ma go na oku albo, jeszcze gorzej, jeśli jak sądzisz, wystawiła go nam celowo...

- Tego nie powiedziałem. Odłóżmy to o tydzień, dwa, ale nie dłużej. Wierzę, że ty coś wymyślisz.

Wawrzakowicz zrobił szybkie okrążenie wokół pokoju, nagle założył ręce za plecy.

- Zgłaszają się do mnie nowi ludzie z Pomorza. Przynajmniej tam siatkę można będzie odbudować.

- Ostrożnie. Jest pewne, że Jeuthe w śledztwie nikogo nie zdradził, wziął wszystko na siebie. Lecz nie wiemy, co powiedzieli inni.

- No tak, Jaxa, ale przy tajności w tajności to nie ma znaczenia dla Organizacji. To my znaliśmy Jeuthego, on nie znał nas.

- Tak. Ale znał Nałęczu, który uciekł.

- Powstanie w getcie - zmienił temat Otmar.

- Niemcy odbijają się po kotle stalingradzkim - skontrował Jaxa.

- Chyba odbija im się - przerwał Otmar.

- To na pewno. Gadzinówki zaniżają straty, ale według naszego sztabu poległo jakieś dwieście tysięcy wiernych żołnierzy Hitlera.

- Nie podniosą się - zawyrokował Otmar i zaczął szukać czajnika.

- Weź garnek. Czajnik się spalił.

Otmar skrzywił się, ale nastawił wodę. Jaxa kontynuował.

- No właśnie ci mówię, że już się odbijają. Odbili Charków.

- E, na chwilę.

- Nie lekceważ ich, Otmar. To, że przegrają wojnę, to prawie pewne. To, że wygrają ją

Sowieci, staje się coraz bliższe. Ale wciąż są mocni i dla nas, Polaków, bezwzględni. Wróćmy na krajowe podwórko.

Zobacz, co Niemcy robią na wschodzie Polski - nie reagują na bolszewickie bandy partyzanckie, bo bandy grabią ludność cywilną. Musimy tam wejść i zareagować ostro. Budowaliśmy struktury na zachodzie kraju, gotowe do przejęcia władzy, gdy Niemcy będą ustępować. A teraz nie tracąc zachodu, musimy skupić się na wschodzie.

- No wiem. Cholera jasna! - Otmara poparzył się wrzątkiem. Strząsał wodę z butów.

- Przejęliśmy tam dobre, zwarte oddziały, secesjonistów z NOW. Tworzymy własne. Ale AK na tym terenie też się aktywizuje. Trzeba nam kogoś, kto zrobi z tym porządek. Prawdziwe leśne, eneszetowskie wojsko.

Otmara odstawił garnek, ale omal nie stracił szklanki z herbatą. Próbuje ją chwycić, znów się poparzył.

- Ja się do tego nie nadaję! - jęknął.

- Wiem, ty jesteś chłopak z miasta. Ciebie nie można wpuszczać do lasu. - Jaxa zupełnie ignorował wrzącą przygodę Otmara. - Tam trzeba wojskowych, ludzi z praktyką w służbie, z przeszkoleniem, którzy chłopców ujmą w karby, nie pozwolą im się rozbijać bez sensu. Bo wiesz, naszą największą siłą jest... - Spojrzał na Otmara, który teraz z kolei usiłował się napić gorącej herbaty z gorącej szklanki. - Naszą największą siłą jest ideowość wojska. Trzeba kolportować do oddziałów leśnych „Szaniec”, zobowiązać dowódców do pogadanek, do szkolenia chłopców w zakresie nie tylko wojskowym, ale równocześnie patriotycznym.

- Mamy już podchorążówki NSZ w Warszawie - wzruszył ramionami Otmara.

- To za mało. Warszawa to stolica, a tam są prości chłopcy po szkole powszechnej.

- Żeby chociaż.

- No nie chcesz mi powiedzieć, że do oddziałów przyjmują jak leci, bez selekcji? - Na nijakiej twarzy Jaxy odmalowało się bezgraniczne zdumienie.

- Nie wiem. Wiem tylko to, co ty, że stany osobowe rosną szybko. Komuniści gadają na nas „pańskie wojsko”, ale młodym to nie przeszkadza. Idą do NSZ, bo przynajmniej mają pewność, że to polskie siły.

- Dobra, koniec pogaduszek. Idę na spotkanie z Oziewiczem.

Pułkownik Ignacy Oziewicz - pierwszy dowódca Narodowych Sił Zbrojnych. Dołączył do nich, przechodząc z NOW (Narodowej Organizacji Wojskowej) wraz z tą częścią organizacji, która nie chciała wejść w skład AK.

- Ja z tobą? - spytał Wawrzakowicz.

- Nie, ty pijesz herbatę.
- No i dobrze. Nudzą mnie te rozmowy. Scalanie, łączenie, jednoczenie. Pieprzenie.
- Otmar! - skarcił go Jaxa, ale odwracając się po płaszcz, parsknął śmiechem.
- To chyba jasne, że AK nawet jeśli nas połknie, to nie strawi. Przecież jak oni mówią o nas „element wybitnie aktywny”, to i tak myślą „warcholstwo”. Nie mam racji?
- Masz - z gładką powagą oświadczył Jaxa.
- No to może sobie odpuść, co? Zostajesz?
- Nie. Idę negocjować.

Pułkownik Oziewicz nie ufał lokalom konspiracyjnym, nie ufał też mieszkaniom służbowym, które oferowali mu w ramach NSZ. Sam sobie znalazł lokum na Bielanych u swego przyjaciela, profesora Sołowjowa, lecz jego adres znali tylko nieliczni. Każdorazowo do kontaktu wyznaczał inne miejsce. To rzecz jasna utrudniało, ale Jaxa wołał iść mu na rękę, niż znosić fochy pułkownika. Tym razem umówili się nieopodal kościoła Kamedułów i spacerowali po lasku bielańskim.

Oziewicz w cywilu, w płaszczu i eleganckim kapeluszu, wyglądał niczym profesor. Zdradzał go jedynie chód, wciąż sprężysty, nagle przystanięcia i zwroty, niemal w miejscu.

- Raporty z kraju do naczelnego wodza idą via AK - mówił. - A to oznacza, że Grot melduje generałowi Sikorskiemu, co chce i kiedy chce. Mam głębokie przekonanie, że spowalnia całą akcję scaleniową, licząc, iż poniesie nas temperament.

- Uważa pan pułkownik, że Grot chce nas sprowokować do jakiegoś nerwowego ruchu?

- Tak. Przecież jest oczywistym, iż NSZ pragnie scalenia z AK, bo wysiłek zbrojny w kraju musi być jednolity. Tylko polityczne warcholstwo i skrajna nieodpowiedzialność mogłyby chcieć dzielić, nie łączyć.

- Oczywiście - przytaknął Jaxa, nie patrząc na pułkownika. - Tym niemniej Związek Jaszczurczy stoi na twardym stanowisku. Nie zgadzamy się na wchłonięcie naszych sił w struktury AK. Równorzędne połączenie i uznanie dorobku narodowców to nasze warunki scaleniowe, od których nie ma ustępstwa.

- Wiem, wiem. Panowie nazbyt często mi o tym przypominają. Pułkownik Kurcysz, którego przydzieliliście mi niczym anioła stróża, czuwa nade mną, jakby bał się, iż ustąpię akowcom zbyt wiele.

- Nie - zaprzeczył grzecznie Jaxa. - Gdzież byśmy śmieli panu pułkownikowi dawać anioła stróża.

Oziewicz jednak nie dał się nabrać na elegancję Jaxy. Zrobił w tył zwrot w miejscu i

podniesionym tonem dokończył:

- Wydawało mi się, iż moja twarda postawa podczas negocjacji NOW - AK będzie dla was wystarczającym gwarantem.

- Oczywiście. Proszę pamiętać, iż Związek Jaszczurczy poparł pana kandydaturę jako komendanta NSZ.

- Więc dlaczego bez ustanku patrzycie mi na ręce? - spytał rozdrażniony pułkownik.

Jaxa nie odpowiedział. Oziewicz zdenerwował się jeszcze bardziej.

- Dlaczego nie powołaliście na to stanowisko swojego? Pułkownik Kurcysz wydaje się być całkowicie wobec panów dyspozycyjnym! Jaxa znów nie odpowiadał dłuższą chwilę. Przetrzymał wybuch Oziewicza i spokojnie odrzekł:

- Pułkownik Kurcysz nie wydobrzył jeszcze po powrocie z więzienia. Stan jego zdrowia nie pozwala na pełnienie tak pierwszorzędnej funkcji, jaką zaoferowaliśmy panu. Poza tym, o czym pan akurat wie, istnieją pewne przeszkody formalne.

- Ponoć także pułkownik Skokowski zabiegał o względy panów. I ponoć usunęliście go ze swych szeregów dość bezwzględnie.

Zaletą twarzy Jaxy, tej twarzy, która sprawiała, że trudno go zapamiętać, była umiejętność nie okazywania wzruszeń i wzburzeń.

- To przesłuchanie? - zapytał bez cienia ironii.

- Niech pan to nazwie, jak sobie życzy - pułkownik był zirytowany i nie krył się z tym.

- Jestem dowódcą NSZ i chcę wiedzieć, na czym stoję.

- Oczywiście. Ale w tej kwestii nie sędzę, by miał się pan z kim porównywać. Pułkownik Skokowski wstąpił do Związku Jaszczurczego. Powierzyliśmy mu, z racji doświadczenia, prowadzenie szkoleń podchorążych. Lecz w kwestii świadomości narodowej od samego początku pozostawiał wiele do życzenia. W przeciwieństwie do pana, pułkownika. I nasze przypuszczenia okazały się słuszne. Już prowadzi rozmowy z komunistami.

Oziewicz zaniepokoił się. Nie wiadomo jednak, czy tym, iż Skokowski negocjuje ze znieawidzonymi przez wszystkich pachółkami Moskwy, czy tym, że ZJ już o tym wie.

- Coś jeszcze powinienem panu wyjaśnić, pułkowniku? - grzecznie spytał Jaxa.

- Nie - twardo odrzekł Oziewicz i znów zrobił w tył zwrot.

- Wobec tego pozwolę sobie przekazać jeszcze jedną sugestię do rozmów z generałem Grotem. Nalegamy na oczyszczenie akowskiego Biura Informacji i Propagandy z wpływów komunistycznych. Zbyt liczny udział członków i ukrytych sympatyków Stronnictwa Demokratycznego w BIP nie będzie odpowiadał członkom NSZ po scaleniu.

Oziewicz stanął i zmarszczył brwi.

- To wy jednak chcecie tego scalenia? - spytał zdumiony.

- Naturalnie, pułkowniku. Tylko polityczne warcholstwo i skrajna nieodpowiedzialność mogłyby chcieć dzielić, nie łączyć - tak pan powiedział i ja się w pełni z tym zgadzam.

*

Częstochowa, Aleja Najświętszej Marii Panny. 20 kwietnia 1943 roku

Piękna wiosenna pogoda. Alejki pełne spacerujących ludzi. Przeważają dzieci, młode dziewczyny, kilku starszych panów. Na jednej z ławek młody chłopak flirtuje z dziewczyną. Na kolanach ma futerał od skrzypiec. W futerale sten. Blondyneczka poprawia mu płaszcz. Przesadnie ostrożna, przecież nie widać, by wystawała spod niego broń. Środkową alejką spaceruje zatopiony w lekturze książki porucznik Esman. Pali fajkę. Pod marynarką ma granat i dwa pistolety. Podbiega do niego chłopiec.

- Proszę pana! A mi mamusia nie pozwala do góry nogami czytać! Esman zawstydzony odwraca książkę. Każdemu się może pomylić. Na chodniku nieopodal głównego wejścia do Banku Emisyjnego przechadza się Żbik. Pochlebia mu, że dziewczyny, zwłaszcza te ładne, oglądają się za nim. Prostuje plecy, przygląda włosy i wąsa. Żałuje, że piękne częstochowianki nie widzą pistoletu pod marynarką.

Nie, już nie żałuje. Od strony ulicy Kilińskiego, od budynku gestapo, wyszło dwóch żandarmów z psem. Spacerują leniwie, pies ziewa. Żbik sprawdza godzinę. Za dwie jedenasta. Cholera, samochód powinien lada chwila nadjechać.

Z placu Biegańskiego, kilkadziesiąt metrów od banku, dobiega dźwięk ulicznych szczekaczek. Stroją je. Żandarm mijający Żbika zerka na zegarek.

- Oho, już jedenasta. Chodź, Hans, pójdziemy popatrzeć na paradę.

Przyspieszają, mijając go, ciągną psa. Wilczur niechętny.

Od placu dobiegają pierwsze dźwięki marsza. Żandarmi znikają z pola widzenia. Żbik oddycha z ulgą. Mali chłopcy na ulicy odwracają się w stronę dźwięków, ale matki patriotki ciągną dzieciaki w przeciwną.

- Jeszcze tego brakowało, Adasiu, żebyś patrzył na urodziny Hitlera.

- Hitler kaput! - piszczy Adaś, ale wrywa się, żeby popatrzeć. Zza zakrętu wyjeżdża półciężarówka pełna niemieckich żołnierzy.

Żbik oddycha z ulgą. Nareszcie są. Wycofuje się na pozycję. Ubezpiecza ich.

Samochód zajechał wolno, zgrzytnęły hamulce. Jeszcze się toczył, gdy zeskoczyli żołnierze i dwóch cywilów z walizkami. Kierowca został w aucie. Szybkim marszem idą do głównego wejścia banku. Żołnierze ubezpieczają cywilów. Żbik i Esman dyskretnie

ubezpieczają ubezpieczenie. Na ulicy nawet pół żandarma, nie licząc przebierańców. W alejkach poruszenie. Wszyscy wpatrują się w grupę.

Portier kłania się nisko tak szacownej obstawie. Z szacunkiem patrzy na walizki. Uprzejmie wpuszcza ich do banku.

Nic więcej z ulicy nie widać.

Żbik żałuje, że nie mógł wziąć ze sobą „chłopców z Kurzelowa”. Ależ by im się ta robota podobała! Cóż jednak, za wysokie progi!

Na tę akcję sprowadzono bojówkę z Radomska. Dowodzi nią ten w cywilu, porucznik Zagłoba. Z częstochowskich są tylko Esman, Janusz - ten, co flirtuje, i Żbik, wypożyczony zresztą z rejonu Włoszczowy, ale akurat w Częstochowie korzystają z niego nadzwyczaj często. I pomyśleć, że rok temu narzekał, iż się nudzi! Ho, ho! Teraz ma dwie peruki i trzy pary wąsów. Jedne angielskie, te zresztą przykleił sobie na akcję, drugie a la Valentino i trzecie patriotyczne, na „Zagłobę”. Tych nie brał, bo jak mu Esman powiedział, że skokiem na bank dowodzi Zagłoba, to pomyślał, że nieładnie się pod głównego przebierać. Ludzi z Radomska poznał dopiero dzisiaj i oczywiście okazało się, że Zagłoba żadnych wąsów nie ma.

Zerka na zegarek. Są już w banku jakieś dziesięć minut. Przypomina sobie wykresy Esmana.

Częstochowski komendant dywersji i egzekutywy kreślił mu je tyle razy, że mógłby wejść z zamkniętymi oczami do środka i wiedziałby, co się dzieje.

- Mają dzwonki alarmowe połączone z siedzibą gestapo i granatowej policji. Kasy zamykane elektrycznie. Przed wojną próbował tu swoich sił Szpicbródka!

- I co?

- I nie dał rady! - Esman poprawił szkic, by wydawało mu się, że niesymetrycznie narysował kasy.

- A my damy? - Żbik nie chciał siać defetyzmu, chciał tylko wiedzieć.

- Kwestia motywacji! - Esman elegancko wykończył rysunek.

- Szpicbródka chciał obrobić bank, żeby mieć na futra dla swoich laleczek, a my potrzebujemy na patriotyczną działalność! Broń, prasa podziemna, pomoc rodzinom uwięzionych i zaopatrzenie oddziałów! Wiesz, jak jest! Już jako NOW nie mieliśmy kasy, a teraz, jak jesteśmy w NSZ, to nawet nie mamy na co liczyć.

- Ale mówią, że się z AK połączymy? - Żbik zawsze był zwolennikiem jednego podziemia.

- Nie filozofuj, tylko się skup. Jak tylko wpłyną do banku, Okoński bierze się za

portiera volksdeutscha. Terroryzuje go bronią i nie spuszcza z niego lufy, aż wyjdą. Chłopaki biegną do przycisków alarmowych i telefonów. Tu, tu i tu. - Esman dziurawił ołówkiem swój dokładny rysunek. - Blokują je. Zagłoba informuje klientów i pracowników, że to napad, żeby się nie denerwowali. Prosi grzecznie dyrektora o pomoc w otwarciu kas. Proste?

- Proste. Ale czekaj, a czy nasi w banku nadal udają Niemców?

- Nie, no co ty. Każda maskarada ma swoje granice. Takie tam zwroty grzecznościowe jak „Hände hoch” to jeszcze, ale nie ma się co spinać, bo aż takie głupie, żeby nas wziąć za szkopów, to nawet gestapo w Częstochowie nie jest. Skup się - kreśli długie strzałki. - Potem wychodzą z walizkami pełnymi pieniędzy, do ciężarówki i odjazd. My zostajemy, pilnujemy porządku na ulicy aż do czasu, gdy ciężarówka ruszy. Po wszystkim na tydzień, dwa, zapadamy się pod ziemię. Oczywiście, o ile się uda.

- Bo jak się nie uda, to zostajemy na chodniku, martwi i na leżąco, albo lądujemy w piwnicy gestapo. Daleko nie mamy, to dwieście metrów od banku.

- Tak jest! Z jedną różnicą. Jak nas nie dobiją, to cukiereczek z cyjankiem. Piwnica nie wchodzi w grę.

Musi się udać - myśli teraz Żbik, spacerując przed bankiem.

Z środka nie dochodził odgłos strzałów. Uszy ranił marsz płynący z głośników na placu Biegańskiego. Defilada z okazji urodzin Hitlera rozkręcała się.

Musi się udać - powtarzał w myślach dla zabicia czasu.

Na wszelki wypadek dotknął kieszonki kamizelki. Cukiereczek jest. Wstrząsnął się z obrzydzeniem. Chciał powiedzieć „prędzej zdechnę, niż wezmę”, ale dotarło do niego, że to niezręczne sformułowanie.

Dwadzieścia po jedenastej.

Widzi zaniepokojone spojrzenie Esmana znad książki. Janusz pewnie po raz setny powtórzył dziewczynie, że ma piękne oczy. Na ulicy spokój. Spokój.

A jak się nie uda? - odezwał się w nim jakiś inny, mniej pewny siebie Żbik. Udawał, że go nie słyszy.

Serce biło mu szybciej na widok każdej przechodzącej matki z dzieckiem, a te z wózkami martwiły go jeszcze bardziej. Chciał do nich krzyknąć: „Kobiety, uciekajcie stąd”, ale to nie wchodziło w grę.

Wymienił spojrzenia z kierowcą ciężarówki. Ten ocierał pot z czoła. Pół godziny. Co, u licha, tak długo?

Według wyliczeń Esmana wszystko miało trwać piętnaście minut, nie więcej. Ale strzałów nie słyszał, alarmu nie słyszał.

Jakaś damulka zbliża się do wejścia. Żbik podchodzi do niej.

- Bank chwilowo nieczynny, proszę pani. Zapraszamy po południu. Konserwacja urządzeń elektrycznych.

- Nie szkodzi, ja do męża - odpowiada z niemieckim akcentem.

- A mąż pani?

- Jest portierem. - Mierzy Żbika wyniosłym spojrzeniem.

- Wobec tego, że się tak wyrażę, pani mąż też jest nieczynny. I konserwowany.

Damulka marszczy brwi, wzrusza ramionami i usiłuje wyminąć Żbika. by wejść do środka.

- Czy pani nie rozumie po polsku? - chwyta ją ostro za łokieć. - To może po angielsku? Get out!

W tej samej chwili drzwi otwierają się. Pierwszy wypada Okoński, prowadząc za ramię portiera z przyłożoną do pleców lufą.

- Josef! - krzyknęła damulka. - Tyle razy cię prosiłam, żebyś się w nic nie mieszał!

Żbik miał ułamek sekundy na podjęcie haniebnej decyzji. Uderzył damulkę w twarz i odepchnął z całych sił.

Zaraz za Okońskim biegł Zagłoba z walizką, otoczony przez zwarty szyk ośmiu umundurowanych żołnierzy. Dopiero teraz Żbik dostrzegł, że każdy z chłopaków ma inny mundur. Furażerki, czapki oficerskie, hełmy. Jeden miał nawet spodnie z lampasami, inny, dla którego nie starczyło zdobycznego umundurowania, portki w kratkę. Kierowca odpala ciężarówkę, silnik wyje. Portier wrywa się Okońskiemu i biegnie w stronę budynku gestapo, drąc się:

- Napad! Desant! Napad! Anglisy!

Jego żona podnosi się z chodnika, poprawia kapelusz i na obcasikach usiłuje biec za nim.

- Josef! Poczekaj! Ja tu jestem!

Zagłoba wrzuca walizkę do szoferki, chłopaki w mundurach wskazują na ciężarówkę, kierowca rusza. Żbik gorączkowo rozgląda się po ulicy. Żadnych żandarmów. Mają wyraźny rozkaz, by nie strzelać, jeśli nie będzie takiej potrzeby. Okoński też nie mierzy do volksdeutscha portiera. Zresztą, już go dopadła żona. Zdumieni przechodnie biją brawo. Ciężarówka rusza z piskiem opon, ale jedzie piekielnie wolno.

Co jest?! Do Żbika dociera, że to samochód napędzany gównianym holzgasem, paliwem drzewnym.

Ja pierdziele - myśli - toż więcej jak czterdzieści na godzinę nie wyciągnie.

Teraz naprawdę robi mu się gorąco. Z alejek biegą spacerowicze, kobiety, chłopcy, dzieci, krzyczą:

- Niech żyje Polska!

Z placu Biegańskiego dochodzi przez głośniki skoczne „Heidi, heido, heida!”. A z szoferki jadącego pełną mocą, ale majestatycznym tempem samochodu wychyla się Zagłoba.

- Panie, panowie! - krzyczy. - Proszę się rozejść! Za chwilę będzie tu policja!

- Niech żyje polskie wojsko! - piszczą dziewczyny. Zagłoba zdejmuje kapelusz i robi zamaszysty znak krzyża:

- Błogosławie was dzieci moje w imię Ojca i Syna...

Ciężarówka skręca w Kilińskiego, za chwilę przetoczy się pod budynkiem gestapo. Zdumiona damulka przytrzymuje wyrwywającego się w stronę siedziby policji męża portiera.

- Ty się do niczego nie miesza, Josef! Dość już dzisiaj nabroileś!

Na znak Esmana Janusz opuszcza dziewczynę, a Żbik stanowisko pod bankiem. Z jego wnętrza nikt nie wychodzi. Zagłoba miał na odchodnym powiedzieć, że przez dwie godziny bank będzie obstawiony, najwyraźniej obsługa posłuchała.

Biegają, każdy w swoją stronę. Żbik ogląda się za siebie, nim zniknie w bramie. Widzi nadbiegającą niemiecką policję.

- To nie wiedziałeś, że Zagłoba jest księdzem? - mówi mu Esman dwa tygodnie później. - Proboszczuje w... no, powiedzmy, „w okolicy”. Był w AK, potem w NOW, teraz w NSZ.

- Kapelanów to znałem różnych, ale księdza obrabiającego bank jeszcze nie. Myślisz, że to grzech?

- Myślę, że Pan Bóg jest patriotą - odpowiedział wymijająco Esman.

- Ta ciężarówka mnie przeraziła.

- Nic lepszego nie udało się zdobyć. - Wzrusza ramionami komendant. - No, teraz to co innego, jesteśmy bogaci! Trzy i pół miliona okupacyjnych złotych!

- Jak oni tym gratem umknęli ucieczce? - Żbik drążył temat. - Pod czym wezwaniem jest parafia Zagłoby? Może Duch Święty nad nimi czuwał? Tyle pieniędzy...

- Świętego Mikołaja! Za Częstochową zatrzymali prywatnego mercedesa. Wyrzucili z kierownicy Niemca, przepakowali się i Zagłoba odwiózł kasę na plebanie, a chłopcy wzięli pościg na siebie. Trochę się postrzelali z gestapo, ale jak skoczyli w las, Niemcy woleli czekać na posiłki. No i nasi się rozleźli, ślad po nich zaginął. Śledztwo z ramienia gestapo prowadzi niejaki Laubner. Kwiat intelektu to on nie jest.

- Esman pociąga nosem, jakby sam pachniał. - Zatrzymał elektryka z banku, że niby

nam pomagał, ale już go wczoraj puścili. Właściciel ciężarówki zeznał, że został pobity i sterroryzowany przez mówiących po angielsku łotrów. Zdaje się, że Laubner na poważnie bierze ten trop pod uwagę. - Esman wyciągnął w miarę pustą kartkę i ołówek.

- No tośmy wyprawili Hitlerowi urodziny!

- Dobra, dobra, nie ma się co klepać po dupciach, czas na rewanż.

- Rewanż? To co, będziemy teraz okradać gestapo?

- Oj, dobry to ty jesteś, ale gdyby nie ja, to byś intelektualnie poległ. - Esman po napadzie na bank przyzwyczaił się do fajki i pykał ją z wyższością. - Mecz i rewanż, u siebie i na wyjeździe! Kapujesz? Pojedziesz do Radomska, chłopakom podziękować, z fasonem. Oni nam w banku pomogli, ty im wójta gminy zrobisz. Gminy Wielgomłyny!

Na kartce wyrosło coś, co mogło być budą dla psa, ale Żbik szybko się domyślił, że chodzi o siedzibę wójtostwa.

- Mają tam dwóch bęcwałów: sekretarza, kolaboranta i zwyrodnialca, co maltretuje miejscowych, i wójta, volksdeutscha, niewiele lepszego niż ten pierwszy.

Dwie schematyczne postacie o bardzo brzydkich gębach narysował Esman ustawione od razu z rękami do góry.

- Egzekucja? Toż Niemcy nie darują tego ludności, nawet jak pluton będzie na gościnnych występach - zmartwił się Żbik.

- Dlatego strzelisz tylko do sekretarza, a wójtowi udzielisz nagany, ostrzeżenia i trzydziestu razów bykowcem. Na tego masz wyrok Narodowych Sił Zbrojnych. - Na schemacie Esmana jeden z ludzików został już skreślony. Drugiemu komendant dorysował łzy jak wodotryski. - Bijesz tego. I najważniejsze! Wszystko ma się odbyć z fasonem, z paradą i jak na odpuście. Żadnego cichociemnego sprawiania. Na pokaz! Tak, aby ludność gminy Wielgomłyny wiedziała, że jeszcze Polska nie zginęła, my czuwamy i mamy wszystko na oku.

- Ku pocrzepieniu serc?

- A jak!

Potrzebował trochę czasu. Po pierwsze posłał do domu po swój marynarski mundur. Po drugie zebrał trzydziestu ludzi, którzy we Wielgomłynach nigdy w życiu nie byli i nie mają tam nawet najdalszych krewnych. Po trzecie z reszty oddziałów ściągnął i skompletował mundury i polówki z orłem. To jest wojsko! Po czwarte uprzedził ich, że za zbędne użycie broni będzie surowo karał, przeszkolił dokładnie, oczywiście bez szkicowania schematów.

Chłopcy do tej pory szli na akcję ubrani, jak się dało. Gdy założyli polskie mundury, spoważnieli. Rozkazy wykonywali, nim Żbik zdążył je wypowiedzieć do końca.

Ludność Wielgomłynów była zachwycona. Opanowanie posterunku granatowej policji, gminy i poczty oraz ubezpieczenie szosy na Radomsko zajęło im kilka minut. Tym razem nikt nie krzyczał do ludzi: „Rozejść się!”. Przeciwnie, dla nich było to widowisko. Kilka salw w powietrze wystarczyło, by dwóch policjantów i reszta urzędników uniosła ręce w górę, jak na szkicu Esmana.

Okazało się, że wójt volksdeutsch chadzał z parabelką pod marynarką. Zarekwirowali broń jemu, policjantom i jeszcze jeden karabin maszynowy znaleziony w skrytce pod biurkiem.

- Wyrokiem sądu Narodowych Sił Zbrojnych za znęcanie się nad ludnością cywilną zostaje pan ukarany trzydziestoma batami - odczytał wójtowi wyrok. - Kto nie chce patrzeć, do domu!

Tłum zafalował. Wszyscy chcieli.

Wójtowi zdjęto portki i dostał na gołą, a miejscowi liczyli głośno:

-...dwa, trzy, cztery...

- Ale się spaś! na naszej krzywdzie! - baby nie omieszkaly zauważyć, iż goła była niemała. - I trzysta batów nie byłoby dość!

- A lej pan, panie żołnierzu, tak żeby nie mógł usiąść!

- Za mojego starego, co go ten łajdak zadenuncjował, że niby kontyngent zaniża! Za mojego starego to błagam pana komendanta dodać mu chociaż dziesięć!

- Nie. Wyrok to wyrok, nie żaden samosąd. Miało być trzydzieści, jest trzydzieści. Podciągaj pan gacie i nie grzesz więcej! Sekretarza tu dajcie. Wywlekli spod ściany pobladłego mężczyznę, nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat.

- Za szczególnie nieludzkie traktowanie mieszkańców gminy i za wielokrotną kolaborację z niemieckim okupantem, która równa jest zbrodni zdrady, kara śmierci przez rozstrzelanie.

Zapadła cisza. Żbik odbezpieczył pistolet.

W tej samej chwili z tłumu wyrwała się zgięta w pół staruszka i przypadła mu do nóg.

- Panie komendancie! - uniosła na niego załzawione oczy. Twarz miała chudą, zapadłą, pokrytą bruzdami. - Błagam o litość...

Powykręcane, spracowane dłonie chwyciły go za kolana.

- To jedyny mój syn... Żbik poczuł, że nie może.

- Mnie zabijcie, żem go źle wychowała, żem nie upilnowała, że do Niemca poszedł służyć...

Co ma robić? Ma wyrok do wykonania. Ale ta kobieta. Ma zastrzelić syna na jej

oczach? To nieludzkie.

- Znacie tę kobietę? - zapytał ludzi.

- Znamy... - odezwały się pojedyncze głosy. - Wdowa... Jezu, nie dość, że jedynak, to jeszcze wdowa. Sama nie przetrwa.

- Zabierzcie ją - wydał polecenie ludziom. - No dalej, zabierzcie!

Dwóch starszych mężczyzn podniosło kobietę z kolan, odciągnęło. Łkała.

Żbik przystawił pistolet do skroni sekretarza.

- Matka dwa razy dała ci życie, człowieku - powiedział głośno. - Raz, jak cię urodziła, drugi, jak o ciebie błagała. Biorę was wszystkich na świadków, że jeśli sekretarz znów będzie donosił i znów będzie się nad wami znęcał, wrócę tu. Wrócę i zastrzelę.

Schował broń. Popchnął bladego jak ściana mężczyznę.

- Nie wiem, czy jesteś wart takiej matki. Nie chcę cię widzieć. Załadowali na wóz maszynę do pisania. Chłopi pomogli im ładować wełnę, prawie trzysta kilogramów gotowego do odstawienia kontyngentu. Żbik wystawił papierek.

Kwituję odbiór wełny, maszyny do pisania i trzech sztuk broni na rzecz NSZ.

I podpisał się:

Komendant Egzekutywy i Dywersji

Żbik

Esman najpierw go zrugął za niewykonanie rozkazu. A potem powiedział:

- Nie przejmuj się. Sekretarz ma też wyrok z AK. Sprawiedliwość go dopadnie prędzej niż później. Słuchaj, nie zauważyłeś niczego podejrzanego koło swoich lokali?

- Nie. Bo co?

- Coś mi gadają chłopaki, że jeden z twoich śmierdzi.

- Kto? - Żbik był czuły na punkcie honoru stworzonych przez siebie oddziałów.

- Cenek.

- Uff. Cenek jest twój, zapomniałeś? Dałeś mi go dwa, trzy razy na akcję. Ja go nie werbowałem.

- Mój? - Esman zakaszłał. Z fajką jeszcze nie szło mu zawodowo.

- A, może masz rację.

- U Majewskich śpię rzadko, ale fakt, tam rodzina duża, zawsze się ktoś kręci. A u pani Abramowicz spokój. Staruszka ma osiemdziesiąt lat, spać chodzi z kurami i dzięki Bogu głucha.

- No właśnie chłopaki mi mówią, że parę razy zastali Cenkę, jak się kręcił koło domu Abramowiczowej. On wie o radiostacji?

- Ode mnie nie. O radiostacji wiesz ty, ja i Bronio. O kwaterze wszyscy, którzy tam przychodzili na odprawy.

- A Abramowiczowa?

- No przecież mówię, że głucha.

- Ale nie ślepa. Ty się jej przyjrzyj.

- Dobra, ale za kilka dni. Wyjeżdżam do Włoszczowy. Podobno chłopcy rozłazą się na samowolki. Ja tu tyram ku chwale Częstochowy, a okręg samopas chodzi.

- A przed chwilą się zachnąłeś, jak ci na ambicję wjechałem.

- Esman, znów zapomniałeś, że Cenek jest twój? Tytoń ci szkodzi.

- Ty się nie mądrz, tylko posłuchaj. Jest nowe zalecenie w sprawie cyjanku. Zaszyć w róg kołnierzyka od koszuli. Jakby co, można odgryźć nawet ze skutymi rękami.

Żbik specjalnie poszedł na noc do pani Abramowicz. Ale nic podejrzanego nie zauważył. Nikt się pod domem nie kręcił, spokój i cisza.

- Pani gospodyni, chciałbym spytać... - zaczepił starszą panią.

- Co? - krzyknęła do niego. - Mówi głośniej, bo ja słabo słucham.

- Czy obcy się tu jacyś nie pytali o mnie?

- Co u mnie? A, Bogu dziękować, jakoś leci! - pokiwała głową. Zaniechał przesłuchania. Nazajutrz wyjechał do Włoszczowy. Gdy wrócił, poszedł prosto z dworca do Abramowiczowej. Otworzył swoim kluczem sklep i ledwie wszedł do środka, jak żwawo nadbiegła gospodyni.

- Panie Żbiku kochany, musi pan uciekać! Gestapo tu było wczoraj, pana Bronia zabrali i maszyny do pisania i te gazetki.

- Jezus Maria, co też pani mówi?

- Cicho, niech pan tak nie krzyczy, bo jeszcze ktoś usłyszy! Przesłuchiwali mnie, ale tu, w domu, bo powiedziałam, że z łóżka już nie wstaję. Wszystko zeznałam, jak trzeba, że pana nie znam, że tylko pan Broniu tu przychodził, no bo jego już mieli. Że o radiostacji nic nie wiem i że jestem ślepa i głucha. A gazetkę jedną ocalałam przypadkiem, bo dzień wcześniej, jak tu sprzątałam, to sobie wzięłam do poczytania. Bardzo ciekawa. Jakby pan chciał, to u mnie, w bieliźniarce. No ale pan musi uciekać, jak nic. Jedzenie na drogę panu zrobić?

- To radiostacji nie zabrali? - Już nie pytał, skąd staruszka wie wszystko.

- No nie, bo najpierw aresztowali pana Bronia, a potem dopiero robili rewizję, to ja radio szybko zatachałam do komórki. Ale musi pan je zabrać, bo się trochę boję.

- Pani Abramowiczowa, jest pani nadzwyczaj dzielna! Lecę po chłopaków,

zabierzemy to radio jeszcze dzisiaj.

- A, to ja może jedzenie potem. Bo wy wszyscy tacy chudzi jesteście, aż żal.

Pobiegł do Esmana. Komendant sięgnął po ołówek i papier.

- Zmiłuj się, chłopie, nie teraz! Tam radio i starsza pani! A Bronek już siedzi! Bierzmy chłopaków i lećmy!

Nim jednak doszli, było już po wszystkim. Życzliwa sąsiadka czatowała na nich dwie ulice wcześniej.

- Przyjechali żandarmi i kazali Abramowiczowej sklep otwierać. Ona, że nie słyszy, nie widzi i kluczy nie ma. To kolbami drzwi roztłukli. Wyciągnęli radio, a ją zaaresztowali. Pan się tam nie może pokazać, panie Żbiku kochany!

- Staruszkę aresztowali? - Żbik przeraził się.

- Nic jej nie będzie, to stara gwardia. - Z powagą pokiwała głową sąsiadka. - Ona za powstanie styczniowe u cara siedziała!

- To chyba jako dziecko - wtrącił się rzeczowy Esman.

- Może za inne powstanie, ale siedziała. Wyjdzie z tego. Pana Żbika zna cała ulica, lepiej żeby się tu nie pokazywał.

Umknęli chyłkiem.

- Do Majewskich też nie pójde - oświadczył Esmanowi. - Znajdź mi jakieś zastępcze lokum. Jutro wracam do Włoszczowy.

- Przed wszystkim zmień wygląd, odklej to - pociągnął go za wąsy Esman.

- Auuu! To prawdziwe!

- To leć do fryzjera naprzeciwko. Zgól, ostrzyż się ładnie, potem wracaj do mnie. A jutro, masz rację, najlepiej zniknij.

- Panowie wybaczą! - przeprosił dwóch starszych jegomości którzy czekali w kolejce.

- Bardzo mi się spieszy. - Zręcznie wskoczył na zwolniony w tej samej chwili fotel. - Golenie i strzyżenie na szybko!

- Jak pan szanowny uważa! - skłonił się golibroda i razdwa zasmarował mu gębę pianą.

Drzwi zakładu otworzyły się. Wszedł niepozorny facet i stanął pod piecem.

Żbik układał sobie w głowie, co się stało. Bronek aresztowany. Gospodyni aresztowana. Jezus Maria, osiemdziesięcioletnia kobieta w więzieniu! Znów skrzypnęły drzwi. Żandarm z psem.

Psa będzie strzygł? Fryzjer położył mu ręcznik na twarzy i zbierał nim resztki piany. Gdy zdjął, w zakładzie było już dwóch żandarmów i dwa psy. Żbik patrzył na nich odbitych

w lustrze. Oni patrzyli na niego. Psy dyszały. Golibroda zorientował się, w czym rzecz, i zbladł. Chciał mu jakoś pomóc i raz po raz wycierał mu ten sam punkt na brodzie ręcznikiem.

- Jeszcze kolońska! - zawołał drżącym głosem i wylawszy sobie jej na dłonie zbyt dużo, oklepywał Żbika po gębie.

Żandarm podszedł i położył mu łapsko na ramieniu.

- Fertig. Strzyżenie nie będzie potrzebne.

- O co chodzi? - spytał, udając, że nie wie, Żbik.

- Wstawaj. Ręce do góry!

Obmacał go, wyjął kenkartę, rzucił okiem, schował do kieszeni.

- Idziemy.

- Zaraz, tylko zapłacę.

Spod drzwi rozległ się tępy rechot drugiego żandarma.

- He. He. Hehe. - Jakby się klozet zapchał.

- Nie, nie. To na koszt firmy - odpowiedział złęknioty fryzjer i z grobową miną zdjął mu pelerynkę.

- Nie próbuj sztuczek, za próbę ucieczki kula w łeb. No, Herr Żbik! Doigrałeś się! - obcesowo poklepał go po ramieniu, a ten drugi wziął na muszkę i na potwierdzenie zarechotał.

- He. He. Hehe.

- Karl, jak będzie Żbik po naszymu? - spytał żandarm niepozornego faceta pod piecem.

- Wildkatze, panie sierżancie - odpowiedział tamten.

- Ja, gut. No to, Herr Wildkatze, idziemy na gestapo. Sam komendant czeka na pana niecierpliwie.

- He. He.

*

Warszawa. Czerwiec 1943 roku

Przestronne, ale wręcz ubogie mieszkanie. Stół, dwa krzesła, jeden fotel. Puste blaty komody. Żadnych bibelotów i ozdób. Na ścianach ciemne miejsca po wiszącej tu kiedyś broni. Uwagę szczególnie przykuwa cień, ślad po skrzyżowanych szablach.

- Panie pułkowniku - Jaxa zwrócił się do Kurcysza ostrożnie. Nie był pewny, w jakim stanie jest gospodarz. Starszy pan siedział w fotelu, zdawał się drzemać z otwartymi oczami. Mimo upału jego kolana przykryte były kocem.

- Panie pułkowniku, mam do zakomunikowania smutną wiadomość.

Gospodarz z trudem odwrócił głowę w stronę Jaxy. Popatrzył na niego przytomnie.

- Od dawna nie słyszałem dobrych wiadomości, więc kolejna zła mnie nie dobieje - uśmiechnął się słabo.

- Pułkownik Oziewicz został aresztowany przez gestapo. Kurcysz nie zareagował. Jaxa powtórzył:

- Dowódca NSZ pułkownik Ignacy Oziewicz został aresztowany.

- Ja rozumiem, co pan do mnie mówi - ostro przerwał mu starszy pan. - Ja myślę.

- Nasz kontrwywiad przeanalizował sprawę. Nie wygląda to na żadną większą akcję, ale musimy mieć się na baczności.

- Oziewicz też miał się na baczności. Bezustannie zmieniał miejsca pobytu, spotkań. I widzisz pan, co mu z tego przyszło. - Pokręcił głową kilka razy i miękko pytającym tonem dodał: - Może trzeba zbierać pieniądze?

W sierpniu poprzedniego roku aresztowano Kurcysza. Był wtedy w AK szefem wydziału komunikacji KG. Ale AK nie chciała, czy nie mogła, pomóc w oswobodzeniu go. Odmówili przekazania pieniędzy na wykup. A nie było to trudne, Kurcysza aresztowało Kripo, nie gestapo. Jego żona, z pochodzenia Niemka, zbierała po znajomych pieniądze. Jaxa, który poza komendantowaniem w Związku Jaszczurczym działał na rzecz Organizacji w grupie skupiającej inżynierów, zebrał z kolegami resztę. Taki był zwyczaj: solidarność zawodowa. A Kurcysz to inżynier, z francuskim dyplomem. Wykupili go pół roku temu. Pułkownik od tamtej pory miał głęboką niechęć do AK, pogłębianą jeszcze i tym, że gdy wyszedł z więzienia, został przez Grota przeniesiony do rezerwy kadrowej. Właściwie mieli prawo, miał ponad sześćdziesiąt lat. Ale w kraju było tak niewielu wojskowych wysokich stopniem, a Kurcysz był wśród nich wszystkich najwyższy starszeństwem, więc naprawdę mogli sobie darować. Pułkownik Kurcysz wycofał się na boczny tor i zbliżył do powstałego wtedy NSZ.

Nie, broń Boże, Jaxa nie myślał o tym w kontekście wdzięczności pułkownika za uratowanie życia. Powiedzmy: każdy chce się czuć potrzebny. A oni dali mu miejsce...

- Proszę się nie kłopotać pieniędzmi, panie pułkowniku. - Nawiązał do pytania o wykup Oziewicza. - Organizacja nie zostawi swego komendanta na pastwę losu. Pracujemy nad tym. Chwilowo pieniądze nie wchodzi w grę, ale znajdziemy sposób, by wyciągnąć pana Oziewicza z gestapo.

- Jaki? - przez głos Kurcysza przebrzmiewało współczucie, natrętna, niecierpliwa myśl o tym, że podzielili podobny los.

- Czasami nie można załatwić tego wprost, zwłaszcza gdy chodzi o tak wysoko

postawione osobistości. Ale można zapłacić za skierowanie śledztwa na inne tory, za... - Jaxa zawahał się.

- Proszę mówić.

- Za skierowanie więźnia do obozu koncentracyjnego.

Pułkownik kiwnął głową. Jego twarz pozostawała nieruchoma, niczym maska.

- Tak, tak. Słyszałem, jakżeście odbili tę damę. Brawurowa akcja. Czy prawdą jest, że pani Iłakowiczowa nie wiedziała, że jest odbita? Małżonka moja mówiła - cedził słowa wolno i cicho - że ponoć agentka zegnała się z życiem.

- Owszem. Oddział NSZ z Pomorza, przebrany w niemieckie mundury, przyjechał do obozu na Majdanku i zażądał wydania jej na śledztwo w Warszawie. Pokazali dokumenty zrobione przez nasz wydział fałszerstw. Władze obozu nie miały żadnych wątpliwości, przekazały więźniarkę. Nie chcieli jej nic mówić, póki nie będą bezpieczni, więc rzeczywiście, myślała, że to prawdziwi Niemcy i że wraca na Pawiak.

- Co z nią teraz?

- Pracuje dla nas dalej. Zajmuje się rozpoznaniem ekspozytury sowieckiej w kraju.

- Bardzo słusznie. Utalentowana osoba.

- Panie pułkowniku. - Jaxa chciał przejść do rzeczy. - Mam dla pana propozycję.

- Tak? - Kurcysz poruszył palcami dłoni ułożonych równo na kolanach. - Słucham.

- Chcielibyśmy zaproponować panu objęcie naczelnego dowództwa NSZ.

Pułkownik zamarł. A potem poczerwieniał i zaczął głośno oddychać. Jaxa wystraszył się, ale Kurcysz zapytał nagle ożywiony:

- Proponuje pan to w imieniu osieroconego NSZ czy w imieniu pana tajnej Organizacji?

- W imieniu NSZ za zgodą i gorącą aprobatą. Pułkownik odwrócił się w jego stronę i zmarszczył brwi.

- Rozumiem, ale pytam także o wiadomą nam Organizację - powtórzył z naciskiem.

- Tak. Pańska kandydatura jest zaakceptowana. Jeśli się pan zgodzi, przejmie pan obowiązki od razu. Zwłaszcza że jako doradca Oziwicza jest pan we wszystko wtajemniczony.

Nie umknęło uwadze Jaxsy, że w pułkownika wstąpiło nagłą falą życie. Jakże mogło być inaczej, skoro z bocznego toru mógł nagle wejść na główny?

- Pozostaje pewien szkopuł kadrowy. Jestem w rezerwie personalnej AK. - Mówiąc to, skrzywił się. - Pobieram uposażenie. Symboliczne, ale dla mnie to ważne pieniądze, rozumie pan. - Wskazał głową puste ściany mieszkania. - Moja żona wyprzedala wszystko, co

mieliśmy, na okup.

- To naturalne. Proszę sobie tym nie zaprzętać głowy, sprawę bierzemy na siebie. Od kiedy mógłby pan podjąć obowiązki?

- Od zaraz - wyciągnął do niego dłoń stary pułkownik.

Kilkanaście dni później Jaxa czekał na Otmara w lokalu konspiracyjnym na Starówce.

Wawrzkowicz wkuśtykał na drugie piętro bez zadyszki.

- Nałęcza sprawdziłem na wszystkie sposoby.

- Przez siebie też? - uśmiechnął się rozluźniony Jaxa.

- Przez siebie na początek! - potwierdził Otmar. - Nasz szef wywiadu jest czysty jak łąza. Może wracać do roboty. A kapitan Konrad wykręcił Niemcom numer tysiąclecia! - Wawrzkowicz zaniósł się tym urywanym śmiechem, który do złudzenia przypominał czkawkę.

- Policz sobie do pięciu, weź oddech i mów - poradził Jaxa.

- No, no, eh, eh... pięć. Słuchaj, Krzysiek, znaczy kapitan Konrad wytoczył Niemcom proces!

- Co? Czy ty jesteś niepoważny?

- Śmieję się, ale to nie znaczy, że wiesz... - Otmar przybrał minę specy wywiadu. - W procesie berlińskim, gdzie głowę dał kwiat naszego wywiadu i tak dalej, ścieli też nieodżałowanego brata Krzysztofa, tego, co nam wprost z Ministerstwa Wojny wynosił papiery. A Krzysiek, jako że jego brat był obywatelem Niemiec, wystąpił z zarzutem o niesłuszne aresztowanie i zażądał rewizji procesu.

- Nie... - pokręcił głową Jaxa.

- Tak, tak! Ale najlepsze jest to, że Niemcy się zgodzili. Dali Krzysztofowi dostęp do akt, bo takie jest prawo, on akta przeczytał, wniósł rewizję w trybie nadzwyczajnym, bo sąd wojenny i te tamte duperele, i...

- I? No mów, nie krztuś się!

- I wbrew oczywistym faktom Trzecia Rzesza w majestacie prawa uniewinniła naszego agenta, a swego obywatela!

- Jak? Otmar, jak? Przecież mieli twarde dowody.

- No, mieli. Ale prawnicy Krzysztofa znaleźli błędy formalne w procesie. I z tego tytułu, zgodnie z prawem, wyrok uznano za nieważny. Niestety, wykonany. - Odchrząknął Otmar, bo przecież głowa tego człowieka spadła w Moabie. - Kapitan Konrad vel Krzysiek zamierza iść na całość i wystąpić o odszkodowania. Skoro Niemcy to taki praworządny kraj.

- Zwariuję z wami - szepnął Jaxa, ale cicho.

Wawrzkowicz już się uspokoił, napił herbaty, która zdążyła ostygnąć, i jak tylko zrobił jedno kółko wokół pokoju, przypomniało mu się coś kolejnego.

- Zgłosił się do mnie taki jeden, z Pomorza. Interesujący.

- Dlaczego?

- Dlaczego się zgłosił czy dlaczego interesujący?

- Jedno i drugie, przyjacielu.

- O, słyszę, że pan komendant w dobrym humorze! Przyjaźń mi wyznaje...

- Nie błażnij, mów.

- Tak lepiej. - Błysnął jasnymi oczyma Otmar. - Niepewnie się czuję, jak jesteś dla mnie miły. Ten nowy, Tom, perfekcyjnie mówi po niemiecku, pochodzi z Pomorza i świetnie zna tamte tereny. Ale mówi, że u siebie jest spalony, chce działać poza Pomorzem, najchętniej w Warszawie. Wiadomo, stolica!

- Jeśli nie masz nic na niego, to go bierz. Po stracie całej siatki potrzeba nam nowych wywiadowców.

- No właśnie to jest dziwne. - Otmar nie znośił siedzieć w miejscu. Już wstał i kuśtykał po pokoju. - Ja nic na niego nie mam.

- A, to rzeczywiście zaskakujące. Ty nawet u świętego znajdziesz brud za paznokciami.

- Brud już mu znalazłem. Mówi, że był oficerem dywersji bojowej w obwodzie Biłgoraj, okręg Lublin, AK. Twierdzi, że usunęli go za wyroki na komunistach. Pytałem u znajomych z AK, to twierdzą, że oni się go pozbyli i nie za rozwalanie komunistów, ale za malwersacje. Wydali na niego wyrok śmierci, ale się ponoć wyslizgnął. Potem się kręcił przy Pacholczyku ze Stronnictwa Narodowego, ale Pacholczyk się do niego nie przyznaje. Pseudonimów ma z pięć. I przeczuwam, że nie podaje prawdziwych danych.

- To go pogoń. U nas nie ma miejsca na niepewnych. Niepotrzebnie mi głowę zawracasz? - To ostanie było pytaniem i tak też zabrzmiało.

Otmar łąził po pokoju z rękoma wbitymi w kieszenie marynarki i poruszał nimi poprzez te kieszenie. Cmoknął.

- Coś w nim jest, w tym Tomie. Coś w nim jest. Dałbym mu jakieś zadanie na próbę, wiesz, chciałbym zobaczyć, jak się sprawdzi. Pozwalasz mi? - Wyjął ręce z kieszeni i założył sobie za plecy.

Niepozwalanie Otmarowi skończyłoby się tym, że zrobiłby coś na własną rękę, niepotrzebnie. Jaxa skinął głową.

- Tylko przez papierek i ostrożnie.

- Ostrzeżenie przyjęte! - uśmiechnął się Wawrzkowicz szelmowsko. - Co tam u starego pułkownika? Jak się miewa nowy komendant? Nasz pies na AK!

- Jezu, twoje żarty mnie wykończą - jęknął Jaxa.

- No co? Sam powiedziałeś, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Już żałuję.

- Oziewicz był za miękki - zmienił temat Otmar. - Cackał się z tym Grotem. AK to, AK tamto, generał Sikorski to, generał tamto. A tu krótka piłka, chcecie nas przyjąć jak równych sobie, to wchodzimy. Nie chcecie? To czasu szkoda. Ale wiesz, oni tylko tak ściemniają. Wchłonęli wszystkie organizacje, które im uległy. Po PPS śladu nie ma. Ta część NOW, która im uwiereżyła, już zapomniała, że kiedyś była „narodowa”. Póki trwają negocjacje, są grzeczni, konsultują to, tamto. A jak podpiszemy umowę, to, bracie, po nas! Każą nam kochać Sowietów i wierzyć, że Stalin chce dla nas dobrze. W dupie mam takie certolenie. Prywatnie każdy akowiec ci powie, że bolszewicy to swołocz gorsza niż naziści. Ale politycznie, nie! Będą brać wodę w usta i bąkać o sojusznikach naszych sojuszników, aż w dupie strzyka.

- Urodzony polityk z ciebie, Wawrzkowicz. Idź na naczelnika!

- Jednego naczelnika już mieliśmy, dziękuję bardzo. - Otmar podszedł do sprawy zaskakująco serio. - Ja tam za demokracją nie jestem, parlament też się w Polsce nie sprawdził. - Chodził po pokoju i przestawiał krzesła. Dosunął ostatnie wolne do stołu. - Ale żeby była jasność: dyktatury nie znoszę. No dobra, co robimy?

Jaxa nie zdążył odpowiedzieć.

Rozległo się znajome pukanie do drzwi. Ktoś swój. Otmar otworzył.

- Panie komendancie - zameldował się Jaxie łącznik. - Gestapo aresztowało komendanta głównego AK, generała GrotaRoweckiego.

*

Warszawa, Stare Miasto. Lipiec 1943 roku

- Katastrofa w Gibraltarze! Katastrofa w Gibraltarze! - chłopcy wymachiwali gadzinówką. - Generał Sikorski nie żyje! - „Nowy Kurier Warszawski” rozchodził się z rąk do rąk.

Na murku siedział zakonnik, kapucyn. Między złożonymi palcami przesuwiał różaniec. Podeszło do niego dwóch mężczyzn.

- Czy można się przysiąc? - spytał jeden z nich, wolno cedząc słowa.

- Chodź, synu, będę cię rozgrzeszał! - odpowiedział zakonnik i szeroko otworzył ramiona.

- Fenix!

- Tuptuś!

- Dobra, nie ściskajcie się tak, bo zwracacie na siebie uwagę! - upomniął ich ten trzeci, Piotr Zacharewicz.

- Milcz, żołnierzu. - Fenix dobrze sobie radził w habicie. - Ja przyjaciela dwa lata nie widziałem! No, no, Tuptuś, aleś zmężniał!

- Ładnie ci w sukience, tylko nochal, nochal wciąż masz paskudny. Po tym nochalu to bym cię w każdym przebraniu poznał. - Tuptuś też się cieszył ze spotkania, tylko powoli.

- Że też nic mi nie powiedziałeś, że się do narodowców wybierasz! To ja gniłem na Pawiaku, a tyś politykę uprawiał, co?

- Rok cię nie było, to kawał czasu. Oj, Fenix, wszystko się zmienia! Najważniejsze, że jesteś wśród żywych.

- Co z Polą? Podobno wyprowadziła się z mieszkania na Brackiej. Słuch po niej zaginął? Nie wierzę, żebyście nie mogli znaleźć mojej dziewczyny!

- No, hamuj się, ojcie zakonniku, nie uchodzi! - próbował obrócić w żart jego pretensje Zacharewicz.

Tuptuś rozłożył ręce.

- Sąsiedzi mówią, że się wyniosła do rodziny, na wieś. Nazwisko zmieniła. Co robić!

Fenixa drażnił ten ich brak inicjatywy w poszukiwaniu Poli. Na własną rękę prawie nic nie mógł zdziałać, wciąż był poszukiwany i kolejne fałszywe papiery niewiele mogły mu pomóc. Charakterystycznej twarzy nie dało się ukryć. Gdyby nie kapucyńskie przebranie, Zacharewicz nadal nie pozwoliłby mu wychodzić z domu. A przecież to już pół roku od ucieczki z Pawiaka. Czuł bezsilną wściekłość.

- Panowie - powiedział otwarcie. - Dajcie mi jakąś robotę, bo zwariuję. Duszę się w mieszkaniu! Wszystkie przedpawiackie kontakty zerwałem! Gdyby nie Lola, moja sąsiadka...

- Dobrze, dobrze - uspokoił go Tuptuś. - Pracujemy nad tym. A dzisiaj bal powitalny, u ciebie na Rycerskiej!

Przyszedeł Jurek, ten, z którym Fenix jeździł na Wileńszczyznę i przez którego nieostrożne romanse wpadli. Jurek, przedwojenny kierowca rajdowy, miał maniery dżentelmena. Przed wojną studia w Paryżu i Londynie, kilka par eleganckich spiczastych butów, wąziutkie nienagane spodnie. Równiutki przedziałek i uśmiech. Gdyby nie fakt, iż był doskonałym kompanem, byłby stuprocentowym snobem. Przyszedeł też Zacharewicz i Tuptuś. Tuptuś przyniósł ze sobą dwa żywe żółwie.

- Nawieźli tego z Grecji i teraz cała Warszawa je żółwie - wycodził i położył je na

stole.

- Nie wstyd ci? Akurat w twoim przypadku to kanibalizm!

- Toż ja ich nie będę zabijał. Fenix niech je tego, ten... - Zrobił nieokreślony ruch ręką i zerknął w stronę miniaturowej kuchni w mansardzie Fenixa.

- Ja? W życiu! Ja nawet nie wiem, czy żółwie są koszerne.

- A od kiedy to jesteś żydem religijnym? - dopytał Tuptuś. - Tak dużo się zmieniło w dwa lata?

- Napijmy się! - polecił Fenix. - Pomysł się znajdzie! Ale zaraz, zaraz! Czy nam wolno pić z bliskim krewnym nowego komendanta głównego AK?!

Generał Tadeusz Komorowski, pseudonim Bór - został w lipcu 1943 mianowany Komendantem Głównym Armii Krajowej w miejsce aresztowanego generała Stefana Grota-Roweckiego.

- Daj spokój, nie dokuczaj mu - wziął Tuptusia w obronę Jurek.

- W rodzinie jak w kraju. Jeden w AK, jeden w NSZ. A czasem trzeci komunista...

- To nie u nas! Komorowscy nie komunizują! - Tuptuś przymykając oczy, wypił wódkę. - No to co z zupą żółwiową?

- Jeszcze po jednym! - podkreślał tempo Fenix. Był głodny, a wiedział, że po kilku głębszych któryś z kolegów zdecyduje się zabić żółwie.

- Tęsknię za prawdziwymi damami! - wyznał Jurek. - Nie, żebym miał coś przeciw naszym koleżankom. Wszystko to równe dziewczyny. Ale tylko dziewczyny!

- Mam pomysł! - zaczęli jednocześnie Fenix i Tuptuś. Przy czym nim Kaziu skończył, Fenix już ciągnął dalej, puszczając dyskretnie oko do Tuptusia. Rozumieli się jak przed Pawiakiem, świetnie. - Mamy z Kaziem taką przyjaciółkę, madame...

- Roztworowska - wciął się Tuptuś.

- Z tych Rostworowskich? - zaciekał się Jurek.

- Z tych, z tych! Moglibyśmy cię ewentualnie przedstawić. Ale nic za darmo. Madame jest wybredna. Musiałbyś zaimponować jej...

-...zupą - obliznął się Kaziu, też widocznie głodny -...żółwiową.

- No ale co? Mam teraz ugotować zupę, a wy skoczycie po damę?

- Jurek już wstał, gotowy na wszystko.

- Nie, nie. Ty chyba prawdziwych dam nie znasz. Teraz ugotuj zupę, na próbę. A jak się sprawdzisz, my w nagrodę zorganizujemy kolacyjkę z damą. Ugotujesz drugą, żółwi w Warszawie dostatek.

- Dobra! - zdjął marynarkę Jurek. - Zaraz zaszlachtuję gadziny i do gara. Ale, ale?

Gdzie są żółwie?

Rzeczywiście, zniknęły ze stołu.

Na szczęście nie uciekły daleko. Jurek dopadł je pod łóżkiem. I nie zważając na protesty kolegów, zastrzelił z browninga pod kołdrą.

- Ależ jest napalony - poklepał się po brzuchu Tuptuś.

- Cholera, odłamkiem skorupy sobie skaleczyłem palec. - Jurek wyciągnął brzydko wyglądające żółwie spod kołdry. - Krew przelałem za madame, musicie dotrzymać słowa!

Poszedł do kuchni, a Zacharewicz i Tuptuś zajęli się dalszym losem Fenixa.

- Referat pawiacki zrobiłeś na medal. Ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: w Warszawie jesteś spalony. Musimy cię wysłać na prowincję. Im dalej, tym lepiej.

- Na prowincję? - jęknął Fenix. - Ja jestem chłopak ze stolicy...

- Chcesz tu siedzieć zawekowany do końca wojny? - tłumaczył mu Tuptuś. - Wychodzić w habicie, albo wcale? No pomyśl, przyjacielu, co to za życie?

- NSZ organizuje na dużą skalę partyzantkę w Kieleckiem, Lubelskiem. Bandy komunistyczne nie dość, że szerzą sowiecką propagandę, nieudolnie zresztą, to brutalnie grabią ludność, rozboje i gwałty są na porządku dziennym.

- Do lasu? Chcecie mnie posłać do lasu?

- Cicho, nie płacz! - pocieszał go Tuptuś.

- Nie, nie całkiem do lasu. Dostałbyś podwójne zadanie. Z jednej strony zająłbyś się zbieraniem dla nas informacji o wszystkich działających tam grupach partyzanckich. Dowództwo potrzebuje sprawować cichą kontrolę nad oddziałami, także naszymi.

Fenix zmarszczył się.

- Mam donosić? Na swoich? - „Swoich” oznaczało w tej sytuacji „NSZ”, ale zawsze gdy nie musiał, nie używał nazwy.

- Nie donosić, tylko kontrolować. Oddziały w terenie są pod opieką komendantów Okręgów. Ale wiesz, NSZ powstało ze zrzeszenia szeregu różnych narodowych organizacji. Jedni z NOW, inni z ZJ, inni przeszli z AK...

- Inni z innych - wymijająco wytłumaczył Tuptuś. - I rzecz w tym, że komendanci Okręgów zawsze będą swoich bronili. A Warszawa potrzebuje niezależnego źródła, by wiedzieć, jak jest naprawdę.

- No dobra. - Przełknął gorzką pigułkę Fenix. - A to drugie?

- Oficjalnie zostaniesz sekretarzem w jednym ze sprzyjających nam majątków. Takim ekonomem, powiedzmy. Będziesz miał jak u Pana Boga za piecem. Będziesz kontrolował zaopatrzenie leśnych oddziałów w żywność.

- To mi pasuje. Nie znam się na ekonomii, ale czuję, że mam do tego talent.

- Tylko pamiętaj. Tak samo ważne jest, byś pilnował swoich, jak i obcych. Potrzebować będziemy szczegółowych raportów na temat wszystkich działających w terenie grup partyzanckich.

- Dużo ich tam?

- Trochę jest. AK, Bataliony Chłopskie, bliżej nie zidentyfikowane grupy lewicowe. Te ostatnie interesują nas zresztą najbardziej.

- W porządku - uspokoił się Fenix.

Wizja „kontrolowania swoich” nie przypadła mu do gustu. Zawsze wolał wywiad od kontrwywiadu. Ale teraz poczuł się jak agent na całe lubelskie. Uściskali sobie z Zacharewiczem i Tuptusiem dłonie.

- Co za sprawa z tym Sikorskim! - przeszli do polityki. - Żeby samolot sam spadł do wody?

- Sam nie spadł, nie ma głupich. Pytanie tylko, kto za tym stoi.

- Samolot był brytyjski - wolno powiedział Tuptuś to, co wszyscy wiedzieli. - A Angole ponoć są spenetrowani przez sowieckich agentów, jak dziurawy grzyb przez robaki.

- Co z zupą? - dopytał Zacharewicz, bo zapach w mansardzie rozchodził się dość przyjemny.

- Gotowa! - uśmiechnął się elegancko Jurek. - Nie wiem tylko, jak to robili w restauracjach, że podawali bez skorupy.

- Ugotowałeś żółwia w mundurku? - skrzywił się Fenix.

- A jak. Moja babka tak robiła, wiem, że żółw szedł do gara w skorupie, a na talerzach już było tylko mięso. U mnie nie rozebrał się sam, że tak to ujmę.

- Ja nie jestem taki głodny - powiedział Zacharewicz.

- Ja też - dołączył Fenix.

- Ja jestem głodny, ale się brzydzę - uczciwie wyznał Tuptuś. - One tak tu chodziły po stole, tymi łapkami stukały, patrzyły tak jakby mądrze...

- Ale umówiliśmy się! - Jurek był wściekły. - Obiecaliście mi kolację z madame Roztworowską!

- Słowa dotrzynamy! - zasalutowali.

Oczywiście mowy nie było, że znali jakąś prawdziwą Roztworowską. Obaj mieli na myśli Madame, ale to był pseudonim pewnej prostytutki z Chmielnej. W epoce „Maxima” brali ją czasami na zastępstwo. Dziewczyną nie była już dawno, ale też, jak na swój fach, wcale nie emerytka. Tuptuś przyprowadził ją na Rycerską godzinę przed planowaną kolacją.

- No tak - pokiwał głową Fenix i zasłonił okna. - To będzie, moja droga, kolacja przy świecach.

- Im mniej świec, tym lepiej! - fachowo ocenił Tuptuś, a na ucho wyszeptał do Fenixa:
- Dwa lata temu była młodsza.

- Też odkrycie! Moja droga. Nazywać się będziesz Madame Klaudyna Roztworowska.

- Pasuje! - nonszalancko odpowiedziała dama.

- Będziesz udawać prawdziwą arystokratkę, zwłaszcza przy stole. Bo później to już się nie musisz aż tak spinać.

Madame wyszczerzyła zęby w dość lubieżnym uśmiechu.

- Tak nie rób! - zakazał jej Tuptuś. - Damy tak nie robią. Popatrz - siadł przy stole, założył nogę na nogę, skromnie, pokazał, jak trzymać łokcie przy sobie.

- No dobra, kapuję - nudziła się dama. - Ale potem jak zwykle?

- Tak, ale nie nastawiaj się, że musi być jakieś potem. Nasz kolega może chcieć tylko z tobą zjeść kolację, porozmawiać...

- A co, ciupciać nie może?

- Na litość boską, nie mów „ciupciać”! Damy nie używają takich prymitywnych słów! Najlepiej mów tylko „tak”, „nie”, uśmiechaj się elegancko, płacimy za kulturę osobistą.

Pokręciła głową.

- Zrobię to dla was, chłopaki, po dawnej przyjaźni, bo normalnie to wzięłabym za numerek i zrobiła numerek. A tu jakieś dziwactwa...

- Dobry wieczór pani! - Jurek w najlepszym ze swoich bardzo dobrych garniturów skłonił się, by ucałować dłoń damy.

- Madame - przedstawiła się.

- Madame Klaudyna Roztworowska - uzupełnił Tuptuś. Migotliwy blask świec działał na jej korzyść. Kolacja zaczęła się.

Jurek dwoił się i troił. Wypytywał o Paryż, o Oksford. Madame zgodnie z instrukcją odpowiadała „tak /nie” i z pomocą wina szło dość gładko. Niestety, chociaż oni dwaj pilnowali, by nie lać Madame zbyt dużo, Jurek zajął się jej kieliszkiem, a ona nie umiała odmawiać.

W Zacharewicza zaś wstąpił jakiś zły duch i wśród historii, którymi ich zabawiał, co jedna to bardziej ryzykowna.

- Pamiętasz, Kaziu, jakeśmy nakryli kapusia? Posłuchajcie. Przyszedł raz do nas facet. Ściemniał, że adres mu dali tacy czy inni, a śmierdział...

- Jakby się w skurwysyna pluton wojska odlał? - dodała domyślnie Madame.

Jurek zeszywniał. Piotr ciągnął dalej. Fenix próbował pod stołem nadepnąć damie na pantofelek.

- Kapusiem śmierział - uzupełnił Tuptuś. - I Piotr kazał mu iść do wanny się odmoczyć.

- Tak było. Hotel mu nawet załatwiliśmy.

- Jaki? - ożywiła się Madame. - Jak niedrogi, to jestem zainteresowana.

- Niedrogi. Facet wlażł do wanny, a my mu do niej włączyliśmy prąd...

- I dobrze tak chujowi! - ucieszyła się dama.

Jurek westchnął głęboko. Spojrzał ciężko na Tuptusia i Fenixa. Oni zrobili przepraszające miny i rozłożyli ręce. W tym czasie Zacharewicz polewał Madame kolejny kieliszek.

- No to chluśniem, bo uśniem! A jak walniemy, to powstaniemy! I ty, sztywniaczku, też! - Wskazała na Jurka i radośnie zakończyła swą arystokratyczną karierę dama.

Dwa dni później z jedną walizeczką i kenkartą „Jana Poźniaka” Fenix wsiadł do pociągu jadącego do Lublina.

*

Willa na obrzeżach Warszawy

Wnętrze mieszkania. Przy owalnym stole siedzi sześciu mężczyzn i Jaxa. W pierwszej chwili wydaje się, że Jaxa referuje. Jednak nie, on tylko słucha. Mężczyźni rozmawiają między sobą, jakby Jaxy tam nie było.

- Sytuacja wygląda niekorzystnie. Po śmierci generała Sikorskiego brak wojskowego z takim zapleczem politycznym, by mógł, jak jego poprzednik, wywierać wpływ na rząd. Rozdzielenie funkcji naczelnego wodza i premiera pomiędzy generała Sosnkowskiego a Mikołajczyka prędzej czy później spowoduje tarcia w rządzie i brak jednoznacznego stanowiska.

- W naszym ujęciu przegra Sosnkowski. Ma za małe plecy w rządzie.

Twarze mężczyzn w cieniu. Od czasu do czasu mignie zegarek, jasny mankiet koszuli, światło prześlizguje się po deseni krawata.

- Tymczasem Stalin oplata nas mackami coraz mocniej, a jego propaganda wśród aliantów zaczyna zakrawać na bezczelność. I Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki! Opiekę polityczną sprawuje nad nią NKWD, zupełnie się z tym nie kryjąc. Kadre stanowią oficerowie sowieccy i nawet protest attaché wojskowego w Stanach Zjednoczonych, że to jednostka Armii Czerwonej, a nie Wojska Polskiego, został puszczony przez światową opinię publiczną mimo uszu.

- W zamian za to w prasie amerykańskiej ukazał się artykuł kpiący z Katynia.

- Cóż pan mówi, Profesorze?

- Mówię o rysunku satyrycznym ukazującym rzekomego polskiego oficera poległego „jak mówią Polacy” w Katyniu.

Wieczne pióro toczy się po pustym stole. Cisza.

- Chwała Bogu, że generał Anders zdążył wyprowadzić armię z tej nieludzkiej ziemi.

- Z drugiej strony, chciałbym zwrócić panów uwagę, że dla wielu tysięcy naszych rodaków, którzy nie mogli wyjść z armią Andersa, rekrutacja w szeregi kościuszkowców jest jedyną szansą na ujście z Sowietów.

- Panie Doktorze, mamy świadomość tej bolesnej sytuacji. Ale jednocześnie musimy liczyć się z tym, że właśnie to wojsko będzie sztandarem sowieckiej propagandy. Że tą dywizją Stalin będzie sobie wycierał usta, a nam je zamykał na arenie międzynarodowej! Związek Patriotów Polskich - to w każdym języku będzie brzmiało dobrze...

Cisza. Szelest kartek.

- Informacje z terenu są alarmujące. Ilość skoczków sowieckich, którzy pojawiają się, zwłaszcza na południowym wschodzie, jest coraz większa. Wspierają już istniejącą partyzantkę komunistyczną, tworzą nowe bandy.

- Nie stronią przy tym od zasilania szeregów zbiegłymi z niemieckiej niewoli jeńcami sowieckim, żydowskimi wyrzutkami i mówiąc wprost, pospolitymi bandziorami, których zamiarem bynajmniej nie jest walka z hitlerowskim okupantem, lecz chęć wykorzystania bezhołwia i grabienie niewinnej ludności.

- Do tego sytuację komplikuje wygrywanie przez obu okupantów aspektów etnicznych. Hitlerowcy wspierają UPA. Sowietci zaś tylko z pozoru walczą z ukraińskimi nacjonalistami.

- To znaczy walczą z nimi, ale wyłącznie w zakresie ochrony własnych interesów. Wydaje się, że wspierają lub stymulują wrogi stosunek UPA do ludności polskiej.

- Są symptomy wskazujące na to, że za aresztowaniem generała Grot-Roweckiego stała agentura sowiecka w postaci rodzimej komuny. O byłym komendancie głównym AK można wiele złego powiedzieć, ale w sprzyjającym komunistom środowisku BIP był nastawiony antysowiecko.

- Oczywiście na ich tle.

- Tak jest, Mecenasiu. W każdym razie są pewne poszlaki, iż to sowiecka agentura prowadząc grę polskim podziemiem, wydała generała w ręce gestapo.

- Należy się spodziewać, iż Bór-Komorowski będzie niestety tak sterował Armią

Krajową, by iść na rękę Sowietom.

Stuk fajki o mahoniowy stół.

- Pan sugeruje, Profesorze?

- Nie. Ale znam Bora od lat i wiem, że ma słabość do Rosji. A wielu polskich intelektualistów wciąż myli słuszny szacunek dla dorobku Rosji z zaufaniem do Stalina. To się nazywa w psychiatrii „syndrom przeniesienia”. Tak więc obawiam się, iż nowy przywódca Armii Krajowej nawet wbrew stanowisku Naczelnego Wodza w Londynie będzie pokładał zbyt wielkie zaufanie w Sowietach. Jeśli moje przewidywania są słuszne, wróżą katastrofę. Panie Jaxa, czy w kręgach Komendy Głównej AK mówi się więcej o „powstaniu powszechnym”?

Jaxa, dotąd milczący, po raz pierwszy został przez nestorów poproszony o zdanie. Odpowiedział, zgodnie z prawdą:

- Tak. Choć jednocześnie dowódcy AK mają świadomość, iż nowy wódz naczelny, generał Sosnkowski, jest temu przeciwny. Jednak zwiększają nacisk na scalenie NSZ, a to sugeruje, iż chcą przygotować wielki front do wystąpienia przeciw okupantowi.

- Narodowe Siły Zbrojne to nasze najsilniejsze dziecko - jednoznaczny ton Profesora był sygnałem, iż teraz słuchać ma Jaxa. - Nie możemy go oddać w nieodpowiedzialne ręce.

- To nie podlega dyskusji - oświadczyli pozostali.

- Jednocześnie trzeba zwielokrotnić wysiłki na gruncie partyzantki. Musimy dać radykalną odpowiedź sowieckim skoczkom, bandom i wszelkiego rodzaju komunistycznym demagogom. Jeśli tego nie uczynimy z pełną mocą, grozi nam indoktrynacja dołów społecznych i poczucie krzywdy ze strony pozostawionej samej sobie ludności cywilnej. Do tego dopuścić nie wolno. Społeczeństwo cierpiące, umęczone wojną, zastraszone, jest zbyt dobrą pożywką dla ideologicznej gry komunistów. To społeczeństwo musimy wesprzeć.

- Nie tylko wojskowo, panowie. Zwracam uwagę na nasze drugie, jak powiedział pan Profesor, dziecko - Cywilną Służbę Narodu. Otóż należy zaktywizować jej działaczy tak, aby każda z dziedzin życia cywilnego była objęta oddolną opieką naszej Organizacji. Sytuacja w kraju stała się tak dynamiczna, iż godzina próby może wybić w każdej chwili.

- Wracając na chwilę do kwestii inwigilacji podziemia przez NKWD. Czy wiadomym są dalsze losy generała Żymierskiego?

- Pan wybaczy, Doktorze. Mówmy o tej osobie bez nadwerężania „generała”. W tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym został zdegradowany do szeregowca za malwersacje i póki co, wyrok ten jest w mocy. Komendancie Jaxa?

Jak tylko padło nazwisko Żymierskiego, Jaxa wiedział, że padnie i pytanie. Był

przygotowany do odpowiedzi.

- Już mamy pewność, że Żymierski jest agentem sowieckim. Nie tylko w ZJ i NSZ szukał kontaktów. Zwracał się także do AK z taką samą prośbą, jak do nas - o przyjęcie w szeregi. Odmówiono mu w AK, tak jak i my odmówiliśmy. AK ma podejrzenia, iż dwaj bracia zdegradowanego generała, choć są w ich szeregach, działają w jakimś bliżej nie sprecyzowanym kontakcie z agenturą sowiecką.

- To dlaczego ich nie strzelą? - krewko przerwał Profesor.

- Ponieważ brakuje im dowodów. Możliwe, iż NKWD pozyskało ich do współpracy już w czterdziestym, kiedy bracia pracowali jako kurierzy między rządem we Francji a krajem. Na razie odsunięto ich na boczny tor i są obserwowani. Natomiast w sprawie interesującego panów byłego generała Żymierskiego, który tak bardzo zabiegał o przyjęcie w szeregi NSZ, to z naszych ustaleń wywiadowczych wynika, iż nawiązał już kontakt z PPR. Pozostaje niejawnym członkiem partii i bierze udział w formowaniu Gwardii Ludowej. Jego związek z agenturą NKWD nie ulega już najmniejszym wątpliwościom.

Skinęli mu głowami. Jaxa wciąż nie mógł się pozbyć tego natrętnego uczucia, iż cokolwiek mówi, to oni i tak już o tym dawno wiedzą. Kurz zatańczył w smudze światła, która wdarła się do pokoju przez szczelnie zasłonięte okna.

- Nie wolno nam dopuścić do tego, by komuniści przejęli partyzantkę. A są na dobrej drodze, zwłaszcza że w kwestii dezinformacji nie mają sobie równych. Z dzisiejszego punktu widzenia było błędem, iż odpowiednio nie nagłaśnialiśmy informacji o skoczkach sowieckich, którzy beczelnie podszywali się pod emisariuszy Andersa i nawoływali, rzekomo w imieniu generała, do zbrojnego wystąpienia przeciw okupantowi. Musimy bardziej pracować nad świadomością społeczną. Ludzie są skołowani okupacją, ale mimo to należy ich informować, kto jest kim.

- Ma pan rację, Mecenasiu. O tej sprawie należy przypomnieć. Uczulić naród, iż kwestia powszechnego powstania jest w swej istocie chwalebna, ale w realizacji może okazać się dla Polaków katastrofalną. Propaganda stalinowska już chce odtrąbić koniec wojny, a mimo ich niewątpliwych sukcesów na froncie wschodnim, do tego jeszcze daleko. Ogólnopolska akcja antyniemieckiej dywersji, czy jak mówią inni, powszechnego powstania, mogłaby zakończyć się wykrwawieniem. Śmiertelnym wykrwawieniem narodu. Zwłaszcza że w interesie Sowietów jest, by naprzeciw Niemców stanęły najgorętsze patriotyczne elementy narodu, te, których nie uda im się skomunizować. Na to, jako jego obrońcy, nie możemy pozwolić. To wbrew naszej racji stanu.

- Święte słowa, Przeorze.

- Panie komendancie Jaxa. Proszę przygotować dla pułkownika Kurcyusza właściwe instrukcje. Dowódca Narodowych Sił Zbrojnych musi bez zbędnej zwłoki wydać stosowne rozkazy.

- Oczywiście - skinął głową Jaxa.

Część VI

LAS

Lasy Janowskie. Początek lipca 1943 roku

Ząb Zub-Zdanowicz kręcił się po lesie od ponad tygodnia. Na odprawie u komendanta Okręgu Lublin, wraz z rozkazami, dali mu łącznika - przewodnika, który miał doprowadzić Zęba do leśnego oddziału. Chłopak miał na oko szesnaście lat, łeb podgolony jak rekrut i był gadatliwy.

- Chciałem sobie wziąć pseudonim „Kmicic” - mówił - ale się okazało, że „Kmiciców” jest trzech. Na „Zagłobę” jestem za chudy i za głupi, tak powiedział porucznik, zresztą „Zagłoba” też już jest w oddziale. No to pomyślałem „Bohun”. Ryzykowne, ale takie, wie pan rotmistrz, zadziorne. To mnie chłopaki wyśmiali.

- Cicho - uciszył go Ząb. - Słyszysz?

- Nie słyszę. Ale to nie nasi. Znaków nie ma. No to chciałem się nazywać „Michał”, że niby od Wołodyjowskiego. I wtedy właśnie te wszy nas napadły, zgoliłem głowę, żeby się nie miały gdzie załęgąć, bo wszy to trudno wyplenić, pan rotmistrz wie? Miał pan kiedyś, za przeproszeniem, wszy, panie komendancie?

- Czy możesz zamilknąć, chłopcze? - grzecznie poprosił Ząb.

- Jak sobie pan komendant życzy. - Obrzął się tylko na chwilę.

- I w ten sposób, łobuzy, przezwali mnie „Rzędzian” i jak każde złośliwe, przyjęło się od razu. A ja sobie pomyślałem, że Rzędzian nie był taki zły i też się koniec końców bohatersko wykazał, prawda, panie rotmistrzu?

Ząb wyłączył się już wcześniej ze słowotoku chłopaka. Potrzebował skupić się na zadaniach, które były przed nim. Znaleźć jakiś własny punkt widzenia na sytuację. Zwłaszcza że komendant okręgu, Bogucki, przedstawił mu ją raczej oszczędnie:

- Tępimy bandy rabunkowe, sowieckie i polskie probolszewickie. Z AK współpracujemy. Z BCh ostrożnie. Przez ostatnie pół roku sytuacja zaogniła się, jesteśmy po krwawych zajściach w terenie, ale to już opowiedzą panu sami partyzanci. Ponieważ oddziały tworzyły się niemal samorzutnie, jako forma samoobrony przed złodziejską działalnością band, więc ich organizacja pozostawia wiele do życzenia. Dołączy pan do najsilniejszego z miejscowych, oddziału podporucznika Stepa, i przejmie pan nad nim dowództwo, działając jednocześnie na rzecz zorganizowania silnych, zwartych oddziałów w całym regionie. Jako szef Akcji Specjalnej Okręgu III NSZ ma pan wolną rękę. My nie będziemy się wtrącać.

Jedyna trudność na początek to poznanie tutejszych stosunków.

I zdobycie zaufania miejscowych - dodał w myślach Zub-Zdanowicz to, czego nie powiedział komendant. Sam teren był mu z grubsza znany. Przecież w Opolu Lubelskim mieszkała jego matka.

Jednak poszukiwanie oddziału Stepa, do którego miał dołączyć, okazało się nie lada wyzwaniem. Wszędzie, gdzie przychodzili, okazywało się, że „właśnie wyszli” albo „mieli być, ale nie doszli”. Jedni mówili: „Są na kieleckim brzegu Wisły”. Inni „Chyba już przeszli na naszą stronę”. I tak w kółko. Ząb, który na dobre po wyleczeniu złamanej nogi chodzić zaczął dopiero od stycznia, od tego ganiań po lesie miał już zdarte pięty.

- No, to prawie jesteśmy, panie komendancie! - oświadczył Rzędzian, gdy doszli do kolejnej gajówki. - Placówka Brzoza.

Dla niepoznaki rzecz jasna - mruknął do siebie Ząb, bo polana, na której stała, w całości porośnięta była brzoza.

- „Ja Brzoza, ja Brzoza. Widzę cię” - Rzędzian udawał głos radiotelegrafisty, wkładając do uszu dwa spore, zwinięte w trąbkę zielone liście.

Zub-Zdanowicz spojrział na chłopaka z politowaniem. Szkoda, że na Zagłobę za głupi - pomyślał.

Z gajówki wyszedł mężczyzna.

- Pochwalony! - uśmiechnął się, widząc łysego wyrostka. - A kogo to nam Rzędzian prowadzi?

- Specjalnego gościa! Kaprału Morus, czy oddział porucznika Stepa jest u was? - Rzędzian prężył się i stopnie wojskowe wymieniał z namaszczeniem.

- Jeszcze nie. Ale spodziewam się niebawem.

Zub-Zdanowicz przewrócił oczami. Policzył do trzech, bo czasu mu było szkoda, i zapytał Rzędziana:

- Kapral Morus to łącznik?

- Tak - z dumą napiął się młody - prowadzi placówkę Brzoza, nazwaną tak od...

Zdanowicz wyciągnął do kaprała rękę.

- Rotmistrz Ząb, nowy komendant Akcji Specjalnej Lublin.

Morus wyrwał rękę Zębowi, wyprężył się jak struna i zasalutował.

- Kapral Morus melduje placówkę łącznikową Brzoza.

- Spocznij, w cywilkach nie salutujemy. Szukam porucznika Stepa od dwóch tygodni.

- Melduję, że musiał przenieść się na drugi brzeg w ramach odwrotu przed niemiecką operacją pod kryptonimem „Wehrwolf”. I melduję, że już wrócił, powinien zjawić się tu jutro,

może pojutrze. A w każdym razie niebawem.

- Czy może pan, kapralu, skontaktować się z oddziałem i przekazać, że na nich czekam?

- Mogę! - znów wyprężył się Morus. - Ino musiałbym was samych na placówce zostawić.

- Szeregowy Rzędzian zna ludzi? Poradzi sobie?

- Oczywiście, panie komendancie!

- Broń jakąś macie?

- Dwa mauzery, jeden vis i parę sztucerków myśliwskich. A, i mosiny, jeszcze z wojny polskobolszewickiej - pochwalił się wątpliwym arsenałem Morus. - Jedzenie też jest.

- Świeższe niż broń? - niepotrzebnie zawstydził go Zdanowicz.

Pogoda była piękna. Las też. Rzędzian zaproponował, że weźmie wartę na skraju lasu. Najpierw stał, sprawdzał, czy Ząb go widzi. Potem usiadł sobie. Położył się. Słońce przyjemnie grzało. Zasnął.

Zdanowicz w pierwszej chwili chciał obudzić chłopaka, w końcu machnął ręką. Zdjął buty i boso, by dać odpocząć piętom, przeszedł się po lesie. Stąpał cicho, nie dlatego, żeby się skradał. Po prostu szedł ostrożnie, aby nie ranić obolałych stóp. Między zielonymi listkami dojrzał poziomki. Schylił się.

Jakieś sto metrów dalej zamajaczyło między krzakami coś kolorowego. Sukienka. Dziewczyna leżała na ziemi. W pierwszej chwili wystraszył się, że znalazł zwłoki. W drugiej zobaczył, że dziewczyna ma w ręku wojskową lornetkę. W trzeciej, że lustruje przez nią teren wokół gajówki.

Nie prostując się, najciszej jak potrafił, zaszedł ją od tyłu. Wyjął zza paska spodni rewolwer i wymierzył jej w plecy.

- Kim jesteś i co tu robisz? - zapytał ostro.

Zerwała się od razu na równe nogi, zwinna jak wiewiórka. Spojrzała na wymierzoną w siebie lufę ze strachem.

- Jestem tutejsza - odpowiedziała hardo. - A pan nie.

- Dlaczego szpiegujesz?

- Nie lubimy tu obcych.

- „My”? Jacy „my”?

- Kim pan jest? - odwróciła pytanie pytaniem. Patrzyła mu prosto w oczy. Była drobna, jak dziecko. Zapewne ładna, bo dziewczyny w tym wieku zwykle są ładne. Ciemne, krótkie włosy wysunęły jej się zza ucha. Zastanawiał się, co dalej, przecież nie może trzymać

jej na muszce bez przerwy. Zaaresztować ją? Zobaczył, że na chwilę spuściła oczy.

- Muszę cię zatrzymać - powiedział, robiąc krok w przód. W tej samej chwili dziewczyna skoczyła w bok, za gęsty krzak leszczyny. Osłonięta nim zaczęła uciekać. Słyszał tylko trzask gałązek pod jej nogami.

Cholerna wiewiórka! - jęknął i rzucił się w pościg.

Pożalował tego w pierwszej chwili. Za leszczyną kłębiły się jeżyny. Całe zwoje, niczym zasieki z drutów kolczastych.

- Psiakrew! - zaklął i delikatnie próbował oswobodzić bose nogi.

- Psiakrew!

- Podporucznik Step melduje oddział w składzie dwudziestu ludzi, w tym dwóch członków egzekutywy powiatowej, podporucznik Zagłoba i podporucznik Cichy.

- Pod pańskimi rozkazami? - zdziwił się Ząb, bo egzekutorzy zwykle podlegali samej Centrali.

- Nie, na gościnnych występach.

Step był szczupłym mężczyzną o niezwykle żywych oczach. Ciemnokasztanowa wypielęgnowana broda nadawała mu jakiegoś wschodniego rysu. Ząb zdążył naciągnąć buty na obolałe stopy i przebrać się w mundur polowy, który dostał od komendanta okręgu. Przyjął więc swoich nowych podkomendnych nie jako cywil, ale jako rotmistrz.

- Spocznij. Oficerów proszę na odprawę, oddział rozejść się. Patrzył na tych chłopców. Mieli po osiemnaście, dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat. Szare, znoszone polówki. Niektórzy w zdobycznych niemieckich mundurach z zerwanymi dystynkcjami. Za duże spodnie ściskali paskami, zamiast bluz wojskowych mieli swetry, na nich pasy z ładownicami. Zauważył u kilku niemieckie czarne ładownice, często tylko pojedyncze, no tak, pewnie amunicji nie mieli zbyt wiele. Młode, ale ponure twarze z kilkudniowym zarostem, który potrzebował ostrej brzytwy. Wody i mydła.

Na odprawę stawilo się czterech. Zagłoba i Cichy, z egzekutywy, Step, dowódca oddziału, i młody podporucznik.

- Kret - przedstawił się, a Zub-Zdanowicz ściskając mu dłoń, pomyślał, że gdzieś już się spotkali.

Młodzi oficerowie patrzyli na Zęba spode łba.

Lubią mnie - rozweselił sam siebie. - Pewnie się zastanawiają, po kiego diabła mnie im przysłano. Na pewno sami wszystko wiedzą lepiej i czują się partyzantami, że hej.

- Jaka jest sytuacja oddziału? - zapytał.

- Niemcy zrobili na nas obławę. „Wehrwolf” - powiedział spokojnie Step, ale słysząc

było nutę dumy. - Najpierw patrol Zagłoby wpadł w zasadzkę i stracili dwóch ludzi. Połączyli się z nami i wspólnymi siłami rozbiliśmy niezidentyfikowany oddział, najprawdopodobniej jakiś zagubiony niedobitek SS, na którym zdobyliśmy dwa erkaemy, suchary i buty, zabijając sześciu Niemców. Potem jeszcze rozbroiliśmy konwój żandarmów. Wiadomo, to nie SS ani gestapo, pozrywaliśmy kable w samochodach i kazaliśmy w galotach, na piechotę wracać, skąd przyszli. Broń trafiła do oddziału.

- Opowiedzcie mi o Rzeczycy Księżej.

- Skąd pan komendant wie? - Oko Stepa błysnęła ponuro.

- Od Boguckiego.

- Dostaliśmy rozkaz: powiększać oddziały. Znicz, mój zastępca, znalazł siedmiu chłopaków spod Zakrzówka. Młodzi, przedpoborowi. Szli do nas, stacjonowaliśmy w „stolicy”.

Ząb na „stolicę” uniósł brew.

- W Borowie mają majątek rodzice podporucznika Kreta - wskazał głową tego, co się wydawał Zębowi znajomy. - Mamy tam swoją bazę, to mówimy „stolica”.

- Aha.

- Znicz był w mundurze, chłopcy po cywilnemu, dopiero szli do oddziału. - Stepowi, gdy mówił, miarowo poruszały się policzki, od zaciskanych szczęk. - W Rzeczycy zatrzymali ich chłopci, znają nas tam. Znicz szedł pewnie, dopiero kiedy chłopci wylegli na drogę, zorientował się, że to nietutejsi. Ni stąd, ni zowąd wyciągnęli zza pasków broń. Między nimi był sowiecki major. Znicza puścili, kazali mu odejść. A chłopaków zatrzymali. Wieczorem na naszą kwaterę przybiegł chłop z Rzeczycy. Powiedział, że wszystkich zarąbali siekierami i zakopali pod lasem. Matki wykopywały ciała gołymi rękami, bo sowiecki oficer stał nad nimi, nie pozwolił dać łopat. Poznawały dzieciaków po ubraniach, twarze mieli zmasakrowane. Moi chcieli iść na odwet, ale powstrzymałem.

- Dlaczego?

- Tego nie zrobili chłopci z Rzeczycy. Tych z Rzeczycy wina, że nie uprzedzili o zasadzce, ale mówią, że nie wiedzieli. Może i wiedzieli, ale się bali. - Kopnął kępkę trawy. - Co? Pójdę zabijać wieśniaków? Wieś przeciwko wsi? Tylko tego nam brakowało.

- Tego właśnie chcą Sowietci - odpowiedział Ząb. - Dobrze zrobiłeś, poruczniku, że nie pozwoliłeś na odwet. Ale bandę trzeba było ścigać.

Stepowi znów załśniły oczy.

- Ścigaliśmy. Załęgło ich się tu w ostatnich miesiącach zbyt dużo. Mnożą się jak wszy. Bandy zmieniają przywódców, łączą się, rozdzielają.

- Atakują Niemców?

- Nie, chyba że ich Niemcy złapią na rabunku, to tyle, żeby się bronić. - Splunął Step.

- Chodzą na szaber. Jak chłopci nie dadzą po dobroci, biorą siłą. Kwitów na rekwizycje nie zostawiają. Więc chłop dostaje w dupę dwa razy. Raz od bandy, jak go okradają, drugi raz od Niemca, że nie oddał kontyngentu. Gównu ich obchodzi, że rodzina zdechnie z głodu na przednówku. - Uniósł na Zęba zmrużone oczy. - Wie pan, panie komendancie, ilu chłopów zginęło w obronie rodzin i obejścia? I żeby to jeszcze przed Niemcem... A ilu ludzi padło z głodu tej zimy? Jeszcze takiej nie było. Jest tu majątek, niedaleko. Dwadzieścia pięć napadów rabunkowych na jeden folwark! - Wziął głębszy wdech, uspokoił się. - My jesteśmy u siebie. Mamy kłopoty z aprowizacją, to jasne. Ale siłą nie bierzemy, bo to tak, jakbyśmy ojca czy matkę okradali. A bandy sowieckie, złodziejskie czy żydowskie, bo i takie mamy, traktują ludzi gorzej niż bydło.

- Ilu jest Polaków w bandach?

- Pan rotmistrz daruje - na policzki Stepą ponad zarostem wyszedł ciemny rumieniec - ale dla nas to nie są Polacy. Jak ktoś wchodzi do wsi, kradnie, bije albo nawet zabija, żeby zdobyć żarcie, a wychodząc ze wsi z kurą pod pachą, jeszcze kobietę, co kury broniła, zgwałci, to to jest Polak?! Dla mnie nie.

- Większość z nich to przedwojenni kryminaliści, z wyrokami - spokojniej odpowiedział Kret. - Wyszli za amnestią, we wrześniu. Inni to rozbitkowie, tacy, co im Niemcy albo Ruscy rodziny wymordowali. Takim też wszystko jedno. Nie mają nic do stracenia.

- I sumienia! - zachnął się Step.

- A komuniści?

- Oni się podpisują pod GL. Ale czy oni są komuniści, czy tylko kryminaliści, to ja panu nie powiem.

- Komuniści ich wyłapują - wyjaśnił Zagłoba - i zabierają do oddziałów. Najczęściej wygląda to tak, że dowódca sowiecki skoczek, paru zbiegłych jeńców bolszewickich, zabłąkani żydzi, którym rodziny Niemcy wymordowali w gettach. I do kompletu dobierają sobie chłopców ze wsi, chętnych do bandytki. Ale miejscowych rzadziej, częściej obcych bandziorów, co tu przyszli na robotę. Najślynniejsza w okolicy jest banda niejakiego Liska.

- Dobra. Mniej więcej rozumiem. A wy jak werbujecie ochotników?

Spojrzeni po sobie. Nie zrozumieli pytania.

- Czy mówicie im, że idą do polskiego wojska?

- No tak. Narodowe Siły Zbrojne, to chyba jasne.

- Co im mówicie, że wybierają was, a nie AK albo BCh? Tamto to też polskie wojsko.
- Jedni idą do AK, inni do nas - wymijająco odpowiedział Step i wyprostował się.
- Mówimy im, że idą do „Stepa” - wyjaśnił Kret. - A Stepą w tym głowa, by mieć taki szacunek wśród tutejszych, by chcieli do niego.

- Aha - uśmiechnął się Ząb i poczuł się wsadzony na minę. Ale tylko przez chwilę, zaraz bowiem przypomniał sobie, że ma talent do ludzi. I, na straszaka, wyobraził sobie, że został w Warszawie i wciąż odbywa spacer z „ciotkami” po stolicy. Kuśtyk, kuśtyk, na prawo most, na lewo most.

- No dobrze. Chciałbym zrobić krótką odprawę oddziału, a potem, w małym składzie, może tylko z wami, ruszyć w teren.

- To może najpierw do Borowa - zaproponował Kret.

- Do stolicy? Dobrze - niechętnie zgodził się Ząb. W planach miał raczej coś przeciwnego, wołał do partyzanckiej stolicy dotrzeć, gdy zgromadzi już jakąś wiedzę o terenie.

- Wspaniale. Rodzice się ucieszą! Na pewno pragną pana poznać!

- uściskał mu rękę Kret.

- Żołnierze Rzeczypospolitej Polskiej! Mielście zaszczyt wdziąć mundur żołnierza polskiego w momencie, gdy Matka Polska jest powalona przez wroga na kolana... - mówił na przeglądzie do chłopców w swetrach, chłopców o ponurych twarzach.

- Może pan komendant na wóz wsiądzie, Rzędzian mówił, że ma pan poobdzierane nogi? - pyta Step.

Maszerują do Borowa.

- Dziękuję, mogę iść.

- Waszym zadaniem jest Matkę podźwignąć...

- Ale może jednak? Pan komendant nie odmawia, w partyzantce nogi najważniejsze.

- Dziękuję, żołnierzu, nic mi nie jest. - Paliły go, jakby w oficerkach ktoś podłożył ogień. Ale nie będzie dowódcą, jeśli pierwszego dnia siądzie na wóz. Widzi, jak na niego patrzą,

- Na pomoc wam przyjdą nasze Polskie Siły Zbrojne stworzone na Zachodzie. Zanim one nadciągną, macie baczyć, aby drugi wróg, który czyha od Wschodu, nie przyczynił się do zmiany jednej niewoli na drugą. Z hitlerowskiej na komunistyczną!

Stali wyprostowani, gdy do nich mówił. Słuchali go, ale wiedział, że jest między nimi bariera. Że ich dowódcą jest Step. Bo z nim przelewali krew i chowali towarzyszy broni. Co ich obchodzi, że Ząb złamał nogę i ledwie ją wyleczył? Znow jest „zrzutkiem”. Znow musi

zapracować na swoje miejsce.

- Jan PorayWybranowski, pseudonim Radosz - przedstawił mu się wysoki, postawny mężczyzna w ciemnym garniturze.

- Major jest naszym duchowym ojcem - powiedział Step o gospodarzu, a ten nie zaprzeczył.

No to ładnie - pomyślał Ząb i starał się nadać swej twarzy ten miły, elegancki wyraz. Państwo PorayWybranowscy, rodzice Kreta, przywitali go na stopniach skromnego dworu. Oczywiście oni stali na tych wyższych stopniach.

- Moja żona, Ghandi.

- Elżbieta PorayWybranowska - podała mu drobną dłoń kobieta, która całe życie była damą i została nią, nawet teraz w znoszonych trzewikach i skromnej sukience.

- Moje córki. - Radosz zrobił gest, jakby teraz ze schodów miały zejść księżniczki. Jednak nikt nie zszedł. Za plecami gospodarzy stała jeszcze pokojówka. - Moje córki! - z przyganą powtórzył gospodarz. Trzasnęły drzwi sieni i z domu wybiegła dziewczyna o ciemnozłoty warkoczach. Niedbale dygnęła przed Zębem i zeskakując ze schodów, rzuciła się na szyję Stepowi. Jej matka uśmiechnęła się czule, a ojciec odchrząknął.

- Hanna PorayWybranowska. Pseudonim Hajduczek.

- Bardzo mi miło - powiedział do pleców ściskającej Stepą dziewczyny Ząb.

- I Maria! - zaanonsował ojciec już zniecierpliwiony. - Maria PorayWybranowska, wystąp!

Tym razem drzwi otworzyły się bez trzaskania. Przy rodzicach stanęła drobna, krótkowłosa dziewczyna.

- My się już znamy! - oświadczył Ząb, poznając „wiewiórkę”, która podglądała gajówkę w lesie.

- Jak pańskie nogi? - z paskudną wyższością zapytała dziewczyna.

- Doskonale, dziękuję - skłamał Ząb i uśmiechnął się, jak mu się zdawało, też ładnie.

- No to proszę na obiad! - Na szczęście matka była przemiłą osobą. - Bo synków naszych już pan poznał?

Ciekawe, w jakim stopniu jest mamusia. Bo po tych hajduczkach to się już wszystkiego mogę spodziewać - myślał i z całych sił starał się nie zrażać.

- Tylko Kreta - odpowiedział, kojarząc, dlaczego Kret wydawał mu się znajomy. Cholernie podobny do tej wiewiórczej siostry.

- No tak, Kazia! - głos jej się załamał. - Jest jeszcze Józio, Świder. AK próbuje go wykupić z Treblinki. - Uniosła głowę i uśmiechnęła się, ocierając łzy. - Jesteśmy dobrej

myśli.

- Państwo pochodzą z tych stron? - spytał, chcąc zmienić temat.

- Nie pamiętam sprzed wojny.

- Nie, z poznańskiego. Mieliliśmy rodzinny majątek, Obra, to w wolsztyńskim. Niemcy wysiedlili nas do Generalnej Guberni i mąż wziął Borów w dzierżawę. A pan, rotmistrzu?

- Urodziłem się na Wołyniu, w Popowcach. Matka, z domu DuninJuniewicz, miała tam majątek. Potem ojciec mój, Meliton Zub-Zdanowicz, został dyrektorem Syndykatu Rolniczego w Opolu Lubelskim i tam się przenieśliśmy. Skończyłem wydział Prawa i Nauk Społecznych na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

- A kariera wojskowa? - zagrmiał tubalnym głosem gospodarz, w końcu major.

- Szkoła Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu, potem 1 Pułk Strzelców Konnych Raszyńskich.

- Garwolin? - upewnił się major Radosz.

- Tak jest. Następnie Centrum Wyszukolenia Żandarmerii.

- Przebieg służby? - odpytywał go Radosz.

- Janie - łagodnie skarciła męża żona. - Może zaczniemy jeść?

- Barszcz nie zając - wyraził się jasno najstarszy stopniem.

- 29 Dywizja Piechoty, dowódca plutonu żandarmerii, szef ochrony sztabu pułkownika Oziewicza.

Na dźwięk nazwiska dowódcy NSZ przy stole zapanowała cisza.

- A pan wie, że Oziewicza aresztowało gestapo?

- Wiem - odpowiedział Zęb i nic nie dodał o swoim pechu.

- I co dalej? - bez taryfy ulgowej przepytował go Radosz.

- Improvizowana Grupa Kawalerii Chełm, z której oddaliłem się samowolnie wraz z bratem, nie wypełniając rozkazu o poddaniu się Sowiecom. Następnie Polskie Siły Zbrojne we Francji, potem Narwik, Szkocja, Anglia. Samodzielna Brygada Spadochronowa generała Sosabowskiego, kurs dywersyjny dla skoczków i wreszcie zrzut do kraju.

- Cichociemny! - jęknęła Hajduczek i nagle przestała się gapić na Stepa. - A nam nie powiedzieli, że pan jest skoczkiem z Anglii! Jezus Maria rany boskie!

- Zachowuj się, dziecko - odchrząknął z powagą Radosz. - No, Elżbieto! Możesz polewać zupę! Będziemy pana gościć, czym chata bogata! Kret, rusz się po nalewkę! Marysiu, podaj kieliszki, migiem!

- Ja podam! - wyrwała się Hajduczek i stawiając kieliszek obok Zęba, dygnęła. - Chciałabym pana uściskać! Ale teraz to się wstydzę...

Step posłał mu przez stół spojrzenie, które mówiło o jakiejś zemście, czy czymś takim. Maria „Wiewiórka” PorayWybranowska siedziała ze spuszczoną głową.

- Zdrowie gości! - Radosz wstał i uniósł kieliszek.

- Zdrowie!

Ząb za nic w świecie nie przyznałby się teraz, że nie pije.

- Ale nam się przyfariło! - pisała Hajduczek i nalala sobie do kieliszka soku. -
Opowie pan o bitwie o Anglię?

- Pan nie jest lotnikiem, pan jest żandarmem - twardo odpowiedziała Maria.

Maria PorayWybranowska pseudonim „Wredna” - pomyślał Ząb i wychylił kieliszek.

- Ach tam! Wszystko, co pan opowie, będzie ciekawe! Jak nastroje w Anglii? Jaką mają armię? Uzbrojenie? Umundurowanie? Kiedy przybędą? - Hajduczek zdawała się jednym wielkim ciągiem pytań.

- Obawiam się, że muszę państwa rozczarować. Brytyjczycy mają za swego głównego alianta Stalina.

- Co pan mówi? - obrazila się Hajduczek. - Pan żartuje? Pan nie żartuje!

- Elżbieto, powiedz swojej córce, żeby się uspokoiła, bo jak nie, to ja jej to powiem - zagrmiał major. Hajduczek ucichła. Maria patrzyła na niego spode łba, jakby to była Zęba wina, że Anglicy kochają Sowietów.

- Nastroje są takie, że Niemcy muszą przegrać tę wojnę, ale nikt nam nie zagwarantuje, że nasz kraj będą wyzwalać alianci zachodni. Prawdą bowiem jest, iż Anglicy w tej kwestii bardzo liczą na Stalina.

- Uważa pan, że mogliby nas sprzedać? - z niedowierzaniem zapytała pani Elżbieta. -
Po tym wszystkim, co nasi żołnierze dla nich zrobili?

- Obawiam się szanowna pani, że w wojnie totalnej to prawo silniejszego bierze górę, a nie prawo honoru. Brytyjczycy zaś są szalenie pragmatyczni.

Przy stole zapanowała cisza. Radosz pokazał synowi, że ma pociągnąć drugą kolejkę. Przy trzeciej Zub-Zdanowicz odmówił. Maria Wredna wstała i błysnęła oczami.

- Zawsze wam mówiłam, że nie mamy na co liczyć!

- Przeciwnie, panienko - zaproponował Ząb. - Możemy liczyć na siebie.

- I za to się napijmy! - podchwycił major Radosz. - To znaczy ja się napiję.

*

Więzienie na Zawodziu, Częstochowa. Sierpień 1943 roku

Stół. Na nim wyrysowana szachownica, pionki z chleba rozstawione do damki. Na dwóch żelaznych łóżkach leży komenda celi - starzy więźniowie o cerach szarych jak koce.

Na sienniku pobity Maniek.

- Maniek, sekretarz kancelarii parafialnej Świętego Zygmunta. Falszerstwa metryk.

Pod miniaturowym okienkiem na barłogu Lonek.

- Lonek, organista ze Świętego Zygmunta. Lewe metryki i akty zgonu. Chwilowo nie wystawiam. - Rozciąga w uśmiechu usta. W ustach nie ma zębów.

Obok niego zgięty w pół dziewiętnastolatek.

- Majchrzak, egzekutywa AK. Wyroki, egzekucje. - Podrywa się nagle i pada, bo ma przetrącone kolana. - Ta kurwa mnie poznała! Wyśpiewała wszystko! Pokazała palcem, drąc mordę: „To on mi zięcia zabił! Aaa...!”.

Osobno kuca blady i chudy, z przyschniętymi strupami.

- Krysiak. Jedyny komunista. - Pręży się z obolałą dumą. - Brat tego Krysiaka, co zastrzelił szkopa przed posterunkiem policji! My, prawdziwi komuniści, wszystko mamy wspólne. Winę też. Pójdę za brata na rozstrzelanie.

- Nowak, urzędnik magistratu. Za współpracę z podziemiem.

- Którym?

- Każdym. Od prawa do lewa. Urzędnik osoba publiczna.

Obok kiwa ręką facet, którego musieli wrzucić do celi w garniturze. Spod łacha, który mógł być niegdyś marynarką, wystaje poszarpany kołnierzyk.

- Kazio, zięć właścicielki restauracji z Rynku Wieluńskiego. Za sabotaż bigosem. - Poprawia już nieistniejące mankiety. - Musiał się Niemiec nażreć potem czego innego, u nas bigos ubogi, ale porządny. Sraczki dostał i siedzę za jego rozwolnienie.

Spod ściany odwraca się strzep człowieka z osmalonymi od przypalania brwiami.

- Hanulak z Radomska - szepce. - Znaleźli u mnie pas z koalicyjką... sztandar z orłem w koronie... i dwa numery „Szańca”.

- Narodowiec?

- Do krwi ostatniej - pada na twarz.

Jeszcze dwa cienie, w tym samym kącie co komunista. Śniade, krzywonose, odrzucone.

- Ajzerman - bąka pierwszy i chowa się.

- Sznajdel - wzdycha drugi, przekładając z ręki do ręki zużytą talię kart. - Obaj na rozstrzelanie. Będą nas tu trzymać, aż powiemy, gdzie pochowaliśmy kosztowności. Każdy dzień życia drogi. Trzymamy się dzielnie. A może, jak się uda, wcale im nie powiemy? No pomyśl pan, jaki to byłby okrutny żart. Tyle bicia w nas włożyli, a my nie powiemy.

- Słusznie - pochwalił Żbik i postanowił się przedstawić. - A ja jestem...

- Nie trzeba! - zaszemrali ci, co mogli mówić. - To dla nas honor siedzieć z panem, komendancie Żbik!

- Choć karty mi mówią, że za długo razem nie posiedzimy - szepce Sznajdel.

- Żyd kabałę stawia - informuje Żbika organista. - Jak dotąd ani razu się nie pomylił.

- Karty karmią się moją śmiercią - mruży oczy Sznajdel. - Odkąd mam wyrok, one mówią prawdę. Są tylko trzy układy: wolność, śmierć i obóz koncentracyjny. Powróżyć?

Dwa miesiące później. Noc

Tory. W ciemności znika ostatni wagon pędzącego dokądś pociągu. Po obu stronach nasypu las. Zapada cisza.

W majaku wraca cela na Zawodziu. Sznajder rozkłada karty. Żbik chce dojrzeć, co wyciągnął. Nie widzi.

Pociąg cofa się, niczym film puszczone od tyłu. W jego wnętrzu stłoczeni więźniowie. Pół tamtej celi. Krysiak komunista, Hanulak narodowiec z opalonymi brwiami. Młody Majchrzak egzekutują AK.

- Oświęcim... Matko Boska, do Oświęcimia nas wiozą... W rogu Ajzerman. Szepce do ucha Żbikowi.

- Niemcom nie powiedziałem - chichocze jak obłąkany - ale panu komendantowi powiem. - Wylicza na chudych, brudnych palcach. - Ulica Strażacka, dom numer 5, pod fundamentem od strony okna w blaszanej puszcze złoto. Katedralna 13, w oficynie pod strychem podwójny sufit, ale w korytarzu. Zegarki, dolary w złocie. Zapamiętał pan? A Niemcom nie powiem... - Obraca suchym językiem po spierzchniętych wargach.

- Są tylko trzy układy: wolność, śmierć i obóz koncentracyjny - mówi ten drugi Żyd, wróżbita Sznajdel.

- Boję się kabały - odpowiada szczerze Żbik. - Boję się śmierci.

- I będzie się pan bał nadal - szepce Sznajdel, unosząc na niego oczy. - Bo panu nie śmierć pisana, lecz wolność. Wolność, panie Żbik.

Tory. Ciemność. W ciszy słyszeć jęk. W ciemności majaczy postać. Ktoś leży na torach. Próbuje się podnieść, upada. Powstaje. I tak w kółko. W oddali słyszeć gwizd nadjeżdżającego pociągu. Tory przenoszą daleki stukot kół. Dźwięk coraz bliższy. Nagle na skraju lasu błyskają światła lokomotywy. Postać zrywa się z torów i skacze w stronę nasypu. Rozpędzony pociąg, na platformach czołgi z pięknie lśniącymi czarnymi krzyżami na białym tle. Balkenkreuz. Raz, dwa, trzy, cztery... Pociąg znika. Znow cisza. Postać gramoli się spod nasypu. Otrzepuje ubranie, rozciera krew z rozbitego nosa.

- Wolność, panie Żbik!

Komendant dywersji i egzekutywy powiatu Włoszczowa na chwiejnych nogach zmyka w las.

*

Gospodarstwo po rodzicach Jakuba i Poli, Lelków, wieś pod Biłgorajem, Generalne Gubernatorstwo. Lato 1943 roku

Pod krzywą jabłonką, w cieniu, kołyska. W niej mały Felek. Arek kręci korbą studni, usiłuje wyciągnąć wiadro z wodą. Po zaniedbanym podwórzu krząta się Pola. Co weźmie coś do ręki, rzuca. Potyka się, jest zniecierpliwiona.

- Nakarm Fela! - krzyczy do niej Arek.

Pola posłusznie idzie do kołyski, z której słychać kwilenie. Wyciąga małego. Siada na trawie, przystawia go do piersi. Ma na sobie kwiecistą sukienkę, karmiąc synka zzuwa buty. Bose, brudne stopy kładzie na trawie. Odchyła głowę w tył, przymyka oczy.

Arek z trudem taszczy wiadro do domu. Po chwili wraca, siada obok Poli.

- Musimy zdobyć pieniądze na kury - mówi do niej. - Kury nioski. Najpierw jajka, potem rosółek. Feli powinien pić rosółek.

- Skąd wiesz? - pyta Pola, nie otwierając oczu.

- Ciocia Pyskowska mi powiedziała. Że niedługo możesz stracić pokarm, a wtedy mogiła. Feli musi jeść rosółek, mleko i jajka.

Milczą. Po zaniedbanym podwórzu chodzi kilka brudnych gęsi.

- A z nich nie możemy zrobić rosółku? - Pola przekłada małego do drugiej piersi.

- Dopiero na jesień. Na świętego Marcina leci gęsina.

- To też wiesz od cioci Pyskowskiej?

- Uhm. Inni nie chcą ze mną gadać. - Arek skubie trawę. - Ale nie bierz tego tak do siebie, pracuję nad tym. Powinniśmy zacząć chodzić w niedzielę do kościoła. To by poprawiło naszą pozycję.

- Jezu, Arek, daj mi spokój. Nie będę z siebie robiła widowiska. Jestem niewierząca - rzuca mu prawie gniewnie. Felek zaczyna płakać.

- To twoja prywatna sprawa. Ale...

- Więc odczep się. Cicho, malutki, cicho...

-...ale jesteśmy na wsi, Polu. Tutaj każdy, kto nie chodzi do kościoła, podpada. Nie dość, że masz dwoje dzieci, bez męża... - Arek poprawia małemu Felkowi kaftanik, który go dusił, dzieciak przestaje płakać. - A nie wiem, dlaczego tutaj o tatusiu poległym we wrześniu się nikomu nie spodobało. Nie rozumiem - chłopiec wzrusza ramionami - wszyscy się na to brali.

Pola wstała, żeby odłożyć Fela do kołyski, odwróciła się tyłem.

- Bo to zabita dechami wiocha, w której mieszkają tępi, czarni chłopcy, którzy... - Pola mówi z furią.

Arek próbuje ją szturchnąć w nogę, ona tego nie czuje. Przed nimi, jak spod ziemi, wyrósł sołtys.

- Mamunia to sobie lubi pożartować - tłumaczy szybko Arek. - Dzień dobry, wujku.

- Pochwalony - mówi sołtys wolno i mrużąc oczy, patrzy na odwracającą się Polę.

- Niech będzie Jezus Chrystus na wieki wieków amen! - wyręcza ją błyskawicznie Arek. - Ile kosztuje kura nioska, wujku? Mamunia chciała spytać.

- Pan Jakub w domu? - pyta Polę sołtys, ignorując małego.

- Nie - odpowiada hardo dziewczyna i zapina guzik sukienki odsłoniętej przed chwilą do karmienia.

- Chciałem się rozliczyć za łąkę - odpowiada zmieszany mężczyzna. - Za dzierżawę.

- Będzie za dzień, dwa. Poślę syna do pana, jak wróci.

Sołtys kiwnął głową i z powrotem założył czapkę. Odwrócił się w stronę rozwalonej bramy.

- Mamuniu, to ja pójdę na cmentarz, pomodlić się za dziadków - powiedział Arek i potruchtał za sołtysem. - Pokaże mi wujcio, gdzie cmentarz? Mamusia by poszła - usiłował złapać sołtysa za rękę, ale ten akurat wsadził ją do kieszeni - ale nie może, bo mój młodszy brat bardzo płacze. Chyba z głodu...

Pola odetchnęła z ulgą, gdy zniknęli. Nareszcie została sama. Felek spał, poszła do domu.

W sypialni wielkie łóżko. Nad nim ślubne zdjęcie rodziców. Florian i Apolonia uśmiechnięci, gołąbek z wydrapanym okiem. Matka pochodziła z tak zwanej dobrej rodziny. Ale tylko tak zwanej, bo biednej aż piszczy. Zakochała się w młodym, żarliwym socjaliście. Skandal. Gdy uciekała z domu, już była w ciąży. Ślub wzięli kościelny, Florianowi to nie przeszkadzało. Nazywał matkę „dewotką”, ale to było czułe, czy nawet pieszczotliwe. Oboje nauczyciele, z zacięciem jak z Żeromskiego. Chcieli kaganek oświaty nieść między wiejskie dzieci. Zamieszkali w Lelkowie z rodzicami ojca. Ani ona, ani Jakub dziadków nie pamiętają. Rodzice jeszcze coś tam uprawiali, było parę krów, prosiaki, dwa konie. Pola od dziecka marzyła, by uciec do miasta i zostać wielką aktorką. Błoto na podwórzu, smród obory i kurze gówna zawsze ją brzydziły. Wyjechała po kłótni z matką i nigdy się nie pogodziły. Nie zdążyły. Czy żałuje? No tak, tak, żałuje. Ale czy mogłaby się teraz matce wypłakać? Chyba nie. Za nieślubne dziecko Apolonia by jej nie zrugła, sama przecież zaszła z Jakubem jako

panienka. Przerwane studia, wątpliwa aktorska kariera, to nie Poli wina, lecz wojny.

A jednak Pola chodzi po tym domu i wciąż czuje się obserwowana, krytykowana. Gdyby wierzyła w duchy, pomyślałby, że matka ją straszy. „Posprzątaj pokój”. „Złóż bieliznę. Nie tak! Co z ciebie za dziewczyna?”. „Kurom podsyp”. „Kaszy nie przypal”.

- Mogłabyś tu posprzątać - w drzwiach stanął Jakub. Pola podskoczyła.

- Wystraszyłeś mnie!

Pocałował siostrę w policzek i zajrzał do garnków. Skrzywił się, bo puste.

- Zachowujesz się tak samo jak ojciec - skrzykowała go.

- A ty dokładnie odwrotnie niż matka - odgryzł się. - Jak sobie radzisz?

- Jak widzisz. Świetnie.

Wyrzała przez brudne okno. Felek machał rączkami z kołyski. Wyszła po niego. Kiedy wróciła, Jakub gryzł suchą skórę od chleba.

- Polu, ja nie będę mógł tutaj z tobą siedzieć. Muszę iść w las.

- Na długo? - zapytała i nieoczekiwanie zadrżał jej głos.

- Nie wiem, zależy, jaki będzie rozkaz. Pomożesz mi, zrobimy tu skrzynkę kontaktową, od czasu do czasu któryś z chłopaków coś przyniesie, ty to przechowasz.

- Rozmawiaj ze mną jak z dorosłą - zachnęła się słabo. Nie chciała krzyczeć synkowi nad uchem. - Przecież pracowałam w organizacji.

- Wiem, wiem. Ale to co innego. Teraz to bojówka, nie zabawa.

- A wychowanie dzieci, myślisz, że zabawa? Jeśli tak, to zamieńmy się zabawkami. - Wepchnęła Felka osłupiałemu Jakubowi w rękę i wybiegła z domu.

Mały się popłakał.

- Ćśśś, ćśśś... - prosił go Jakub. - No nie becz.

Feli chyba nie zrozumiał, bo darł się coraz głośniejszymi głosami. Jakub nie miał pojęcia, co dalej. Zrobił głupią minę. Poskutkowało.

- No widzisz, zuch chłopak - pochwalił siostrzeńca i uśmiechnął się, aż załśniły jego niemożliwie niebieskie oczy. Nie o to chodziło. Feli znów ryknął.

- Widziałem, że pan przyjechał. - W drzwiach stanął sołtys. - To zaszedłem rozliczyć się za łakę.

- Na przyszły rok też chce pan dzierżawić? - spytał Jakub i wykrzywił się, by rozbawić Felka.

- Jak Bóg da - wymijająco odpowiedział sołtys. - Kawał głosu - wskazał na dzieciaka.

- A tak. Niestety. Panie Rzepecki, ja mam robotę w Biłgoraju, nie mogę tak często przyjeżdżać. Ale siostra zostaje. Mógłby pan mieć na nią oko? Pomóc jej trochę w

gospodarskich sprawach? Kręcą tu się tacy różni.

Sołtys chwilę milczał.

- Jak przyjdzie i poprosi, to nie odmówię. Obcemu bym pomógł, to swojemu tym bardziej. Ale za resztę wsi głowy nie daję.

- Dlaczego oni krzywo na nią patrzą? Sołtys wzruszył ramionami.

- Na pogrzebie matki, ojca nie była, z domu wyjechała panienką, a wróciła z dwójką dzieci. Do kościoła nie chodzi, do ludzi też się nie odzywa. Dziwisz się pan?

- Oni też się do mnie nie odzywają - oznajmiła Pola, wchodząc do domu i odbierając Jakubowi dziecko. - Nic od nikogo nie chcę, niepotrzebnie się wtrącasz - skarciła Jakuba. A w stronę sołtysa rzuciła: - I prosić się nie będę.

Rzepecki wyjął banknoty i z nabożeństwem odliczył, ile trzeba. Położył na stole i wychodząc, rzucił przez ramię:

- Jak się wejdzie między wrony, trzeba krakać tak jak one. Inaczej zadziobią i nawet ja tu nie pomogę. Zostańcie z Bogiem.

- Grozi mi - zachnęła się Pola i mocniej przytuliła Felka.

- Niepotrzebnie się stawiasz, siostra. Rzepecki chce dobrze. Zostanę z tobą kilka dni, pomogę ci uporządkować dom i gospodarstwo, a potem pójdę w las.

- Wujcio! - Arek wbiegł do domu i rzucił się Jakubowi na szyję.

- Cześć, mołojcu! Co u ciebie?

- Byłem na cmentarzu, na grobach dziadków. No, waszych dziadków. Chciałem powiedzieć waszych dziadków i rodziców. Czy to jest normalne, że na mogiłach rosną kwiaty, czy to jakieś cudotwórstwo?

Parsknęli śmiechem.

- Stawiam na Pyskowską - orzekł Jakub. - Po co poszedłeś na groby?

- Bo Pola nie chce się zgodzić, żebyśmy chodzili do kościoła. A trzeba się gdzieś z miejscowymi poznać, co nie?

Jakub pokiwał głową, robiąc do Poli minę „A nie mówiłem?”. Poklepał Arka po plecach. Ten jednak zauważył banknoty. Ucieszył się.

- O, pieniądze. Trzeba odłożyć na kury nioski. Sołtys nam sprzeda i obiecał, że drogo nie weźmie, a kogutka, tyle że małego, dorzuci. A po co nam kogutek? On też znosi jajka? A, już wiem, żeby stał na płocie i nas budził. Kukuryku!...

- Ty się słuchaj Arka, Polu, a wszystko będzie dobrze. Chłopak ma łeb na karku. Pieniądze są dla was, ja wezmę trzysta złotych, reszta zostaje. Tyle że to na jesień i zimę nie wystarczy. Trzeba się rozejrzeć za jakąś robotą.

- Pytałem wujcia sołtysa - wtrącił się Arek - to mówił, że na parobka jestem za mały. Ale powiedział, że krawcowa by się na wsi przydała, bo kiedyś moja babcia była za krawcową i baby do niej szycie nosiły.

Jakub zmierzwił małemu czuprynę.

- Zapomniałem! Ty masz rację, przecież nawet maszyna do szycia po mamie została. Czekaj, zaraz ją wyjmujemy.

- To ja mam być tą krawcową? Ja nie umiem... - Pola była wystraszona. - Nigdy nic nie szylam.

Złapała Felka na ręce, choć leżał grzecznie, jakby chciała się dzieckiem zasłonić przed pomysłem Arka i Jakuba.

- Singer - pochwalił Arek, włączając pod stół maszynę i dłubiąc przy czymś. - Dobry, żydowski wynalazek. To nie jest trudne, nauczysz się. Moja mama... Rosa szyla. Czasami jej pomagałem.

Kręcił się wokół maszyny, próbując założyć nitkę. Otarł nos rękawem raz i drugi.

- Dla Loni uszyła takie kaftaniki, czy coś...

Pola patrzyła na niego. Łzy popłynęły jej po policzkach. Odłożyła Felka i podeszła do Arka. Ukucnęła i przygarnęła go do siebie.

- Przepraszam cię - powiedziała cicho. - Jestem samolubna i głupia. Wezmę się w garść, obiecuję.

Arek stał sztywno. Otarł nos, odwrócił się i uśmiechnął do niej. Pochylił głowę. Pola ucałowała ją. Chłopiec postukał się w czubek głowy.

- Z tych pieniędzy odłóż też na rozjaśniacz do włosów. Odrastają mi całkiem czarne.

*

Łosowo, majątek ziemski niedaleko Janowa Lubelskiego, w połowie drogi między Biłgorajem a Kraśnikiem, Generalne Gubernatorstwo. Lato 1943 roku

Niewielki dwór polski, podniszczony, ale wciąż jeszcze jasną plamą odbijający się od ścian zieleni. Duże, zadbane podwórze. Dalej zabudowania gospodarcze. Porządna obora na jakieś pięćdziesiąt krów, stajnia, chlewnia. Na polach końcówka żniw, przez otwarte drzwi stodoły słyszeć pracującą młocarnię. Nagle coś się zacina. Słyszeć chłopięcy głos:

- Wio, koniki! No dalej! O jasna dupa by to... Ze stodoły wybiega chłopak i krzyczy:

- Panie Fenixie! Panie Fenixie!

Fenix opalony, w kolorowej koszuli wybiega ze dworu.

- Co tam, Wacuś?

Wacek - w kampanii wrześniowej młodszy mechanik w pociągu pancernym, pod

rozkazami porucznika Jaxy i majora Majewskiego. Zadekowany na wsi, jako parobek - mechanik.

- No nie da rady, panie kochany! Znowuż się franca rozkraczyła!

- skarży mu się Wacek. - Bez nowego pasa transmisyjnego nie pociągniem! Jakby pan ekonom do Landratsamtu pojechał, to załatwi, panu Fenixu to nie odmówią!

- Próbowałeś naciągnąć? - Fenix drapie się w głowę, widać, że mu się nie chce do Landratsamtu.

- A bo to raz! No nie ujadę, jak babcię Kocham, nie ujadę ja i koniki też nie uciągną tego kieratu! Pasa nam trzeba!

- Dobrze, dobrze, tylko już nie ujadaj, Wacuś. Gdzie pan Czaykowski?

Dzidek Czaykowski, pseudonim Ataman - główny zarządca majątku w Łosowie. Wraz z żoną Krystyną i dwójką dzieci schronił się tu po wpadce w Krakowie. Status organizacyjny niepewny. Wciąż mu się wydaje, że jest w ZWZ. Istnienia AK, NSZ i innych organizacji nie przyjął do wiadomości. Toleruje, ale wydaje mu się, że to jakieś żarty. Tylko komunistów nie lubi.

- Ano, ostatnio żem go widział, jak do obory szedł.

Znaczy się podkradł Krysi flaszkę, upił się i śpi - skonstatował Fenix i wchodząc do obory, pustej o tej porze, bo zwierzęta na pastwisku, jak Pan Bóg przykazał, krzyknął po niemiecku:

- Herr Czaykowski, kontyngentu pan nie oddałeś! Żandarmeria czeka!

W żłobie zakotłowało się i wyskoczył z niego nieduży, kiedyś przystojny mężczyzna.

- Ja wohll! - odpowiedział nieprzytomnym głosem.

- Ubieraj się, przyjacielu, jedziemy do Kraśnika.

- Na posterunek? - Ataman otrząpywał się.

- Nie wiem. Gdzieś, gdzie załatwimy pas transmisyjny do młockarni.

- A kontyngent? Ach, ty łotrze! - do Dzidka dotarło, że Fenix zabawił się jego kosztem. - Zawsze musisz mi to robić? - zapytał z wyrzutem, wyciągając resztkę słomy z oficerek.

- Tylko wtedy, gdy pijesz sam, w godzinach pracy, kiedy twój dzielny ekonom tyra niczym wół.

- Bawół! Bawół! Bawół! - Pięcioletni synek Dzidka wbiegł do obory. Fenix porwał go i wsadził sobie na barana.

- Jestem groźnym bawołem! - ryknął i ruszył z małym na plecach na ojca. - Chcesz pojechać z wujkiem do miasta?

- Chcę!

- No to dalej, zbieramy się!

- Nie, nie, nie! Krzysio zostaje w Łosowie! - Dzidek zrobił się poważnym ojcem i odesłał małego z płaczem do domu.

- Dlaczego nie może z nami jechać? Miałby jakąś rozrywkę. Czaykowski stuknął się palcem w czoło.

- Będzie pił wódkę z nami i niemieckim starostą w Landratsamcie?

- Dobra, dobra. Nie znam się na wychowywaniu dzieci. Ale lubię Krzysia. O rany, Dzidek. - Fenix zatrzymał się w pół kroku. - Ty chcesz pić z Niemcami? Krysia mówiła, że tobie nie wolno, bo pijaku bijesz Niemców jak leci.

- Ty będziesz pił, a ja będę się uśmiechał. Nic się nie bój, grzejemy!

Niektóre majątki ziemskie były wprost zarekwirowane i obsadzone niemieckim zarządem. Inne, jak Łosowo, jedynie podlegały ścisłej kontroli Treuhändera, powiernika niemieckiego. Lekko nie było, normy kontyngentów wyśrubowane, a sam majątek Niemcy traktowali jak przedsiębiorstwo pracujące na potrzeby Rzeszy. Fenix, jako sekretarz, Dzidek i jego żona, jako zarządcy, byli na skromnej pensji. Teoretycznie nic się nie dało skubnąć. Ale wiadomo, tak jak Krysia Dzidkowa w ogrodzie hodowała warzywa na własne potrzeby, tak i czasami wyszło to i owo na sprzedaż. A Fenix i Ataman z przydziałowych nawozów robili wielkie rozmnożenie i na lewo sprzedawali, ile się dało. W krótkim czasie Fenix zorientował się, co i jak, chociaż na początku pan sekretarz nie odróżniał kaczki od gęsi, a żyta od jęczmienia.

- Ale byka z profilu zawsze poznam! - szczyił się.

Niemniej jednak wchodzące w skład jego obowiązków kontakty z kierownictwem niemieckim zawsze napawały go lękiem.

- Nic się nie bój, jakby co, śpiewaj Oczy czornyje, a ja będę tańczył!

- Dzidek nie miał wątpliwości, że uroda Fenixa łapie się na słowiańską. - Wiesz, jak jest ze szkopem, trzeba być pewnym siebie. A jak przypadkiem nadepniesz takiemu na nogę, to zamiast przeproszać, musisz krzycheć.

- Landratsamt zamknięty - oznajmił urzędnik, pokazując na zegarek.

- Ale pan pracuje? - dopytał Fenix.

- Nie, właśnie wychodzę.

- Niemożliwe! Niemiecki porządek nie obowiązuje?

- Co?

- Są żniwa, nasz folwark pracuje dla dobra III Rzeszy.

- Ja, gut - pochwalil urzédnik i zabral sié do zamykania kolejnego zamka.

- I nasz folwark w tej chwili przestaje pracowac, bo nie mamy pasa transmisyjnego - oznajmil Fenix.

- Proszé przyjsic jutro, otwieramy o siódmej.

- Jutro to zarzadca majatku i ja, jego biedny sekretarz, bedziemy musieli zglosic sié na posterunek zandarmerii i zameldowac sabotaz.

- Jaki sabotaz? - urzédnik niecierpliwie spojrzal na zegarek.

- Sabotaz pracy nam powierzonej. Sa zniwa, musimy robic, az bedzie zrobione. A nie mozemy, bo pan nie chce nam wydac pasa transmisyjnego.

- Och - jeknal urzédnik i zaczal otwierac zamki, tak jak je zamykal, od dolu do gory.

Weszli za nim, jeszcze czekalo ich otwieranie magazynu czésci zamiennych, potem kwity i po godzinie sprawa byla zalatwiona.

- A na drugi raz niech sié psuje przed osiemnastá! - Pogrozil im palcem. - Auf Wiedersehen.

- To chce pan powiedziec, ze ten pas jest wadliwy? Ze znów sié zepsuje?

Dzidek pociagnal go za rékaw i zanieśli pas transmisyjny na furé.

- Daj spokój, przyjacielu, starczy. Uwinélimy sié zgrabnie i nic nie wydalismy na lapówké! Trzeba to uczcié! - cmoknal. - Jedziemy do gospody!

- Ale tam Wacús czeka na ten pas. - Fenix byl bardziej obowiazkowy od Dzidka. - I Krysia bedzie zla.

- Krysié bioré na siebie - oblizal sié Dzidek. - W calosci. A Wacús tak sié ucieszy z pasa, ze zapomni, która godzina. No, Fenix, nie bádź glupi! Wziélimy piécset złotych na lapówké, to mamy je do domu przywiezc? Krysia nigdy wiécej nam nie da na reprezentacyjne. W gospodzie byl tlók, chociaz do jedzenia zamowic mozna bylo tylko chleb z marynowaná cebulká. Spod lady wyskakiwala taca, a na niej grube kieliszki z samogonem.

- Po maluchu! - Dzidek trzymal po jednym w kazdej réce i chlusnal szybko, jak zongler.

- No brawo! Co za sztuczka! A wolniej potrafisz?

- Potrafié, ale umówilismy sié, ze wskakujemy na szybkiego. Pani Zyto, rewanz z zagrychá!

I znów Dzidek pokazal, jak pija atamani.

- Muszé za potrzebá - zwierzy mu sié Fenix. - Siedz tu i nie rob glupot. Pani Zyto, niech pani ma oko na to boze dziecie.

Leciwa bufetowa pusciła oko do Fenixa i poruszyła nosem jak zawodowa

gorszycielka.

- Dla pana ekonoma zawsze!

O rany, „Maximie”, przybywaj! - zawołał w duszy Fenix.

Ruszył na tyły gospody. Porządny krzak jałowca, zbrązowiały od dołu, potwierdził, że to tutaj. Z wiadomych powodów nie lubił sikać w towarzystwie obcych, wszedł za krzaczek. Niski, przysadzisty blondyn właśnie kończył. Fenix przestępując z nogi na nogę, czekał grzecznie. Blondyn odwrócił się.

- Pan pozwoli - grzecznie chciał zamienić się z nim miejscami Fenix. - O rany! - jęknął, patrząc w twarz blondyna. - To ty?!

Rok 1934, hala sportowa w Białymstoku. Pojedynek bokserski „Makkabi Warszawa: Jagiellonia Białystok”. W wadze średniej Fenix kontra Jakub. Połowę trybun zajmują białostoccy Żydzi. Dopingują swojego. To znaczy goja Jakuba w barwach Jagiellonii. Gdy Fenix wyprowadza swój naprawdę dobry lewy sierpowy, gdy jego rękawica ląduje na kłacie Jakuba, z trybun gwizd.

A potem cholerni Żydzi z Białegostoku skandują:

- Jagiellonia!

- Jaaagiellonia! Bij Żyda! Bij Żyda!

- Makkabi to chuje! Makkabi to chuje! Jagiellonia Pany!

- Lewy prawy, lewy prawy, Warszawiaki do Warszawy! Uuuu!...

Fenix przegrywa walkę.

Jakub, jakby to było najmielsze wspomnienie w jego życiu, rzuca się Fenixowi na szyję.

- Co za spotkanie! - ściska go.

- Poczekaj, bo się zesikam z radości - mówi serio Fenix i nie musząc przed dawnym rywalem ukrywać wiadomo czego, załatwia się.

- O rany! - śmieje się Jakub. - Co ty tu robisz? Nie sądziłem, że cię jeszcze zobaczę!

- W getcie w Białymstoku nie było dla mnie miejsca - mściwie przypomniał się Fenix.

- No daj spokój, kolego! Było minęło! Dziesięć lat! I nochał masz jakby prostszy.

- Nie podlizuj się. Co tu robisz? Już nie w barwach czerwonożółtych?

- Nie, nie. Jestem stąd. W Białymstoku pracowałem kilka lat, w szkole, ot, wszystko.

Mieszkam na wsi pod Biłgorajem. A ty?

- W Łosowie robię za ekonoma.

- Fiuuu! - gwizdnął z podziwem Jakub. - Tłusty majątek! Rozumiem, że jesteś na lewych papierach?

- A pokaż mi faceta w naszym wieku, który żyje na własnych? - mrugnął do niego Fenix. Jakub odmrugnął.

- Fenix! - Zza węgła wylania się Ataman na chwiejnych nogach.

- Pani Zyta o ciebie pyta!

- Wyobraź sobie, że na sikaniu spotkałem kumpla z dawnych lat. Poznajcie się, Dzidek - Jakub.

- Bliska znajomość? - czka Dzidek. - A, to przepraszam...

- Raczej twarda - uśmiecha się Jakub. - Spotkamy się jeszcze? - Patrzy na Fenixa znacząco.

- Ja przygody nie szukam - odpowiada poważnie Fenix. - Mam własne.

- Zaproś przyjaciela do Łosowa! - Dzidek po wódce jest wylewny i agresywny wyłącznie wobec Niemców. - Powspominacie dawne czasy!

- Oj, ja to wołałbym zapomnieć! - Fenix chciał jeszcze zażartować, że Żydzi z Białegostoku powinni byli zasilić bojówki ONR, ale przypomniał sobie własną aktualną przynależność i odpuścił. - Ale oczywiście, wpadaj! To był ring, a życie to życie. Zapraszam serdecznie!

Uścisnęli sobie dłonie i Fenix zajął się pakowaniem Dzidka na wóz.

- Wio! - Strzelił za bata, a z gospody wybiegła pani Zyta zawiedziona. - Do zobaczenia królowo! - pomachał jej.

Ataman chrapnął, zwinąwszy się na wozie obok pasa transmisyjnego. Koń znał drogę. Zmierzchało, a Fenix stwierdził, że Wacusz i tak nie czeka, nie popędzał więc szkapiny.

- Ale życie jest zaskakujące! - powiedział sam do siebie, myśląc o spotkaniu z Jakubem.

- Stój! - Nagle z krzaków wyskoczyło pięciu mężczyzn.

- Prr... - Oszacował siły. - Do dupy.

Spod marynarek kanciasto wystawała im broń.

- Czego panowie sobie życzą? - zapytał, zaciskając szczęki.

- Podwoły. - Odpowiedział niski, cherlawy.

Dlaczego odzywa się na oko najslabszy? - przemknęło mu przez myśl.

- Niestety, nie jest moją własnością.

- To tym bardziej nie będzie ci żal.

Forsę pewnie Dzidek wydał w gospodzie co do grosza. Nie mamy się czym wykupić.

- Koń i wóz są na stanie majątku, w którym pracuję - usiłował negocjować. - Jeśli je zgubię, dam głowę.

- Wysługujesz się Niemcom? - zaczępnie szczerknął inny, też chudy, ale wyższy.

Żyd - skonstatował Fenix. - Kurwa, gdybym się w dzieciństwie nauczył jidysz, mógłbym mu przysolić wiąchę.

- Przeciwnie, przyjacielu. - Fenix wciąż potrafił nadać głosowi ton koncyliacyjny, zresztą nie bardzo miał wyjście. Dwóch ruszyło na tyły wozu. - Ciężko pracuję na chleb, bez masła.

- Koniec gadania, wyskakuj - zarządził ten cherlawy.

- Lisek, na wozie jest jeszcze jeden. Pijany jak bela!

- Wodku u was jest'? - spytał ogorzały, który wyglądał na najsilniejszego.

- Użе niet' - odpowiedział Fenix.

- Zsiadasz po dobroci, czy mam zmarnować kulki? - Cherlawemu się spieszyło. Zmierch zmierzchem, ale w czasie żniw ludzie krążą między polami, lada chwila ktoś mógł się napatoczyć.

- Już, tylko obudzę przyjaciela.

- Bez sztuczek! Ręce do góry! - Żyd był ostrożny.

Kisz mir in toches - przypomniało się wreszcie Fenixowi, ale mógł sobie pokląć w duchu. - Pocałuj mnie w dupę.

- Dzidek, wstawaj. Mamy kłopoty.

- Niemcy?! A my bez broni! - Ataman miał jakąś szczególną zdolność budzenia się w gotowości.

- Nie Niemcy - z naciskiem odrzekł Fenix. - Miła międzynarodowa grupa. Panowie proszą nas grzecznie o konia i wóz.

- Tylko nie panowie!

- U nas panów niet'! - ze śmiechem oświadczył Ruski.

- Towarzysze! - przemówił Ataman, stojąc na wozie. - Ulitujcie się! Chcecie rekwirować, chociaż kwit zostawcie, bo inaczej dla nas śmierć.

Jeden z tych, co zaszli wóz od tyłu, wyjął spod marynarki zdezelowany karabin i wymierzył w Dzidka.

- Skacz jeden z drugim.

- Ale pas bierzemy! - zarządził Ataman. - Wam i tak on na nic. Do karabinu za duży!

- Nawet do czołgu nie w rozmiarze - mruknął Fenix.

- Szto eto? - zainteresował się Ruski.

- Pas transmisyjny do młockarni - odpowiedział Ataman.

- A, to bieri. - Stracił ciekawość bolszewik.

Po chwili stali na drodze, jak sieroty. Bez wozu, bez konia, z wielkim jak słoń pasem.

- A nar git, a kliger nemt - szepnął Fenix.

- Co mówisz?

- „Głupi daje, mądry bierze”. Rychło w czas mi się przypomniało, rychło w czas.

- Co chcesz, przysłowia są mądrością narodu.

- No to mądry Polak po szkodzie - jęknął Fenix, przerzucając pas przez plecy.

- Nigdy więcej bez broni. Taka jest nauka.

*

Lasy Janowskie, Generalne Gubernatorstwo. Lipiec/sierpień 1943 roku

Kret i Znicz przeszukują ciała dwóch niemieckich lotników. Zabierają amunicję, broń. Ząb liczy w duchu. Do pięćdziesięciu.

- Nigdy we wsi! Ci ludzie mogą stracić domy, bydło i życie. Widzieli was?

Stoją w osłoniętym, zadrzewionym miejscu. Ząb wygląda przez krzaki. Dwieście metrów dalej chałupy, kręci się trochę ludzi.

- Kto chciał, to widział, panie komendancie. Myśmy się nie afiszowali.

- Wolałaby pan komendant, żeby pana strzelili?

Gdy pół godziny wcześniej rotmistrz Zub-Zdanowicz rozmawiał we wsi z leśniczym, Kret i Znicz ubezpieczali go. Nagle na drodze do wsi pojawiło się dwóch niemieckich żołnierzy. Co mieli robić?

- Dobra. Znicz, idź, przyprowadź tu sołtysa.

- Tak jest, panie komendancie.

Od kilkunastu dni krążył z ludźmi po okolicy. Oddział biwakował w głębokim lesie, a Ząb przeprowadzał rekonesans terenu. To się mogło zdarzyć prędzej czy później.

- Jak się nazywa sołtys? - spytał w ostatniej chwili Kreta.

- Jankowski.

- Panie Jankowski - powitał Zub-Zdanowicz starszego mężczyznę przyprowadzonego przez Znicza.

- Jezus Maria! - przeżegnał się sołtys, patrząc na leżące na ziemi ciała.

- Pójdzie pan na posterunek żandarmerii i zgłosi, że obcy bandyci zastrzelili pod wsią dwóch żołnierzy. Pan ich nie zna, wcześniej nie widział...

-...i mówili po rusku? - domyślił się Jankowski.

- Oczywiście, jak wszyscy bandyci.

- To może oni ich zastrzelili tam, łoj? - Sołtys wskazał ręką inne zarośla, jeszcze dalej od wsi.

- Tak mogło być - zaaprobował Ząb. - Proszę przenieść ciała, tylko nie ciągnąć ich, bo ślady będą.

- Zara skoczę po chłopaków.

- Nie „zara”, tylko za chwilę, najpierw my odejdziemy.

Jankowski pociągnął nosem, patrząc na ciała lotników, przestąpił z nogi na nogę i spytał:

- Mogę? Bo i tak miałem pana komendanta szukać po lesie.

- Proszę bardzo. Tylko wie pan, sołtysie, raczej musimy załatwić to szybko. - Rotmistrz poruszył brwią w stronę niemieckich trupów.

- No tak, nie mogą tu tak leżeć, jak ich tam, łoj, zastrzeli. Streszczę się. Kłopoty mamy, panie komendancie. U mnie we wsi to już nikt nie ma zegarka.

- Jest godzina... - Zdanowicz zerknął na nadgarstek i zorientował się, że głupio zrobił.

Sołtys wspaniałomyślnie nie zauważył tego. Mówił dalej:

- Nachodzą nas zbóje z bandy Liska. Ponoć sam Lisek pociągnął gdzie indziej, ale bandytów od niego jakiś inny oddział przejął, sam nie wiem, jak się nazywa. Nie chcemy wołać niemieckiej żandarmerii na pomoc, ale ja już nie wiem, co mamy robić. Jak wy nas nie obronicie, to ostatnią koszulę z grzbietu człowiekowi zedrą. Pal licha już te zegarki, chociaż mój był po tatusiu, pamiątkowy znaczy się.

- Zajmiemy się nimi, panie Jankowski. Jeśli się znów pojawią, to umyślnego do mnie posłać jak najszybciej.

- Ano tak. Do widzenia, panie komendancie.

- Do widzenia, panie Jankowski. Zostańcie z Bogiem.

Wieczorem dotarli do obozowiska.

- Panie komendancie - zameldował Step. - Był łącznik z AK.

- Spocznij, kolego. - Ząb usiadł, zdjął czapkę, położył ją sobie na kolanach. Uśmiechnął się do Step. - No, mów.

- Ponoć żandarmeria w Kraśniku wypuściła dwunastu Żydów. Posłali ich w teren, żeby szpiegowali podziemie.

- Brzmi dość głupio - skrzywił się Ząb. - Ale właśnie dlatego może być wiarygodne. Coś więcej akowiec powiedział?

- Tak. Ruszyła obława. Iwan z kraśnickiej GL zastrzelił jednego. Twierdził, że Żyd miał w kieszeni listę nazwisk ludzi z podziemia.

- Ich czy naszego?

- Zbieraną. Ponoć Żyd dostał ją od agenta gestapo. Nazwisk Iwan nie ujawnił.

- No jasne. Jeśli znalazł tam nasze, to sam ma połowę roboty z głowy. Akowcy kogoś ujęli?

- Jeszcze nie, ale polują.

- Gdzie Zagłoba? - Ząb najpierw zapytał, a zaraz potem sam się domyślił.

Wprawdzie Zagłoba i Cichy, ci dwaj z egzekutywy, wtapiali się w oddział, ale ponieważ byli tu na własną rękę, wolno im było działać.

- Poszli.

- Rozumiem. Zawołaj Kreta.

Ząb wiedział, że w warunkach zagrożenia trzeba brać pod uwagę przede wszystkim gorsze warianty. Albo i najgorsze. Szkoła żandarmerii, choć nienawidził jej szczerze, wbudowała w jego system reagowania cały szereg elementów, których, o dziwo, nie dostrzegał w regularnym wojsku. A w każdym razie nie dostrzegał ich zalet. Zakładając, iż informacja od łącznika AK jest prawdą i zakładając, że to GL zabiła pierwszego podejrzanego, i nawet zakładając, co jednak czynił z wielką rezerwą, iż człowiek ten miał przy sobie listę nazwisk, to w efekcie w niebezpieczeństwie był Borów, czyli stolica. I rodzina PorayWybranowskich.

- Weźmiesz trzech ludzi i pójdziesz do domu - oznajmił Kretowi.

- Miejcie tam wszystko na oku, zwłaszcza włóczęgów i tym podobne osoby, których wcześniej nie było. Za kilka dni podejdziemy bliżej z oddziałem, muszę tylko zakończyć tutaj, co zacząłem.

- Tak jest, panie komendancie!

- Są jacyś Żydzi w Borowie? Kret zamrugał.

- Nie pytam o tych, których chowacie we dworcu - roześmiał się Zdanowicz.

- Pan komendant wie? - zdziwił się Kret, a w drugiej chwili zezłościł: - Hajduczek, niech zgadnę?

- Lekcja pierwsza: konspirator nie ujawnia źródeł. - Ząb wstał i poklepał Kreta po ramieniu.

O ileż miłszy ten chłopak od jednej z siostr - pomyślał.

- Jest jedna rodzina, mieszkają we wsi. Syn, wyrostek i dwie córki.

- Jakim cudem się uchowali? Ludzie nie wiedzą, że to Żydzi?

- Mówi się, że może Żydzi, może nie, wie pan komendant, takie ludzkie gadanie. My też nie stąd, więc przedwojennych stosunków nie znamy dokładnie.

- Przyjrzyj się im. Niemcy mają piekielnie dokładne listy, do czwartego pokolenia wstecz. Jeśli zostawili, to po co? Miej ich na oku, zwłaszcza ewentualnych gości, którzy tam

do nich zajdą na dniach.

Zub-Zdanowicz nie mógł jeszcze wracać do Borowa. Miał kilka spraw. Pierwsza to nawiązanie przyjaznych, jak z góry założył, stosunków z Armią Krajową. Umówił się z Wartą, miejscowym komendantem AK, a przy okazji chciał się dowiedzieć o Ponurego, który według tego, o czym gadali w Warszawie, miał operować w Kieleckiem.

Drugie to - powiedzmy - szkolenie pogładowe, które zaplanował dla chłopców z oddziału.

Miał wiadomość, iż nazajutrz szosą KraśnikBiłgoraj jechać będzie urzędnik z Krasnegostawu, Kreishauptmann, jak się tu beczelnie jeden z drugim nazywali.

- Po pierwsze: w przypadku akcji zaplanowanych nie rzucamy się z motyką na słońce, bo motyki szkoda. Lepiej w pięciu małych akcjach zdobyć dwadzieścia karabinów, niż w jednej dużej stracić dwudziestu ludzi. Po drugie: nie zabijamy w domu, ani swoim, ani ofiary. Zawsze, jeśli tylko da się tego uniknąć, oczywiście. Urzędnik z Krasnegostawu w podróży służbowej to cel bardzo dobry. Tutejsi nie są z nim blisko związani, więc tropić nieznanych sprawców nie będą gorliwie, a ci z Krasnegostawu źle się będą czuli w naszych lasach. Zasadzkę urządzamy jak najdalej od ludzkich siedzib, żeby nie ściągać podejrzeń na nikogo. Wziął wszystkich chłopców, ale z góry zastrzegł, że do takiej roboty wystarczy pluton. Kiedy już ułożyli się w lesie przy drodze, jeszcze przypomniał sobie, iż dowódca bardzo młodego oddziału nie powinien nigdy myśleć, że są „sprawy oczywiste”.

- Pierwszy powinien zgiąć kierowca. Żebyście jak najkrócej strzelali do ruchomego celu. Ranni mogą ostrzeliwać się z broni krótkiej. Nie wiercie tym, którzy już wyglądają jak trupy, póki nie macie pewności, że nimi są.

Patrzył na ich twarze milczące, skupione. Młodzi, ponurzy chłopcy, którzy już strzelali do ludzi. Najpierw chcieli mu pokazać, że dla nich to nie pierwszozna. Potem widział, że starają się nie okazywać emocji. Dopiero gdy zapadła cisza, gdy pochyleni nad karabinami wpatrywali się w drogę, dojrzał, że jeden, drugi i trzeci bezgłośnie szepcą.

Ojcie nasz? Zapewne.

Sam stał z boku i nieco z tyłu. Nie wtrącał się. To miała być lekcja.

- Zdaliście celująco! - pochwalił trzy godziny później, gdy pospiesznie oddalili się z miejsca akcji, zostawiając na szosie płonący samochód.

- Szkoda, że nie mogliśmy wziąć autka! Cacuszko!

- Na wodę nie pojeździ. W lesie najchudszy koń jest więcej wart niż samochód.

Kreishauptmann podróżował w obstawie trzech ludzi. Zdobyli więc trzy mauzery i broń krótką. Nie zapomnieli o butach i pasach. Step wynalazł w bagażniku jeszcze lornetkę.

Przyniósł ją Zębowi, ale ten pokręcił głową.

- Jest twoja. Tak samo jak oddział.

Młody podporucznik spojrzał na Zęba pytająco, ale nic nie powiedział. Zdanowicz uznał, że po jego stronie leży załatwienie tej sprawy.

- Nie mam zamiaru odbierać ci, podporuczniku, ani chwały, ani oddziału. Chcę zorganizować większą jednostkę partyzancką, złożoną z oddziałów takich jak twój. Będziemy operować na coraz szerszym terenie, musimy zbudować oddziały, ujednolicić wyszkolenie, zdobyć uzbrojenie i przechodzić do zadań - oczyszczania terenu z wrogich band. Tu jest roboty dla dziesięciu Stepów i tylu samo Zębów. Jasne?

- Jasne - odpowiedział Step, a Zub-Zdanowicz czuł, że i tak nic między nimi się nie zmieniło.

Rozłożyli się w lasach nieopodal Borowa. Kończyli budować obozowisko, gdy zjawił się Zagłoba.

- Jednego mamy, panie komendancie. Ewidentnie kapuś. Dopadliśmy go w Janiszowie, ukrył się na strychu. Ja wykonałem egzekucję. - Zagłoba stwierdzał fakt. Nie chwalił się.

- Żyd?

- Tak jest, panie komendancie.

- Jaki masz dowód, że to szpicel nasłany przez Niemców?

- Dowód? - egzekutor zmarszczył brwi. - Uciekał przed nami. Tłumaczył się, że szuka krewnych.

- Nie przyszło ci do głowy, że uciekał, bo się bał? Nie egzekucji, ale uzbrojonych Polaków? Antysemitów narodowców?

- Przyszło, panie komendancie. Dlatego go najpierw pytałem.

- Coś zeznał?

- Coś kręcił. Raz, że z Kraśnika z getta uciekł, a tam już dawno getta nie ma. Potem, że rodziny szuka. A jak go spytałem, jakim cudem ominął posterunki żandarmerii, to nic nie odpowiedział. Śmierdział.

- Każdy śmierdzi, kiedy się boi. Nie, nie potępiam cię. Uczulam. Znicz skinał głowę.

- Zakopaliśmy go w lesie. Ja, panie komendancie, zawsze pytam, nim strzelę.

Słyszałem - pomyślał Ząb. - Mówili, że masz ciężką rękę, jak pytasz. Ale może to i dobrze? Panienki nie nadają się do takiej roboty.

- Egzekutor musi być twardy - powiedział głośno. - I wykonywać rozkazy.

Następnego dnia kazał chłopcom dyskretnie patrolować okolice i nie tylko te

najbliższe, a sam poszedł odwiedzić majora i jego przemiał żonę.

Majora nie było. Córeczki owszem.

- Obowiązki - westchnęła pani domu. - Musiał wyjechać.

- Do Kielc! Tatuś jest w sztabie okręgu! No co? - Hajduczek zobaczyła, że matka i starsza siostra przewracają oczami. - Przecież i tak pan rotmistrz by się dowiedział. Tatko będzie jego przełożonym.

- Formalnie nie. - Ukłonił się Ząb. - Podlegam pod Lublin. Ale uznaję wyższego stopniem.

- Zje pan z nami i proszę nie odmawiać. Skromnie, bo skromnie, ale za to serdecznie. Fala, Hajduczek, nakryjcie do stołu! - Pani Elżbieta poprowadziła Zub-Zdanowicza.

Aha. Maria PorayWybranowska, zwana przez niego Wredną, to Fala. Może jeszcze strzelać potrafi?

- Dziękuję, że pan nam Kreta posłał, bo naprawdę, ostatnio dziwni jacyś się tu kręcą. Bez mężczyzny w domu nieswojo. - Uśmiechnęła się tak ładnie, choć smutno, że Zdanowicz zrozumiał, iż cały wdzięk i czar w tym rodzie poszedł na matkę.

Przy obiedzie Fala torpedowała go spojrzeniami spode łba. Hajduczek gadał.

- Chleba napieczemy dla oddziału, dziewczyny ze wsi skrzyknę, to pranie zrobimy, bo czułam, oj, czułam, że już trzeba. Do chorych przyjdziemy z Falą jutro, opatrzymy! Jak dobrze, że jesteście w domu!

Pożegnał się z uroczą gospodynią i pannami. Ledwie uszedł kawałek, jak usłyszał za sobą:

- Pan poczeka!

I zobaczył biegnącą Falę.

- Słucham? - przybrał ton służbowy.

- To nie ma sensu, panie rotmistrzu - mówiła zziębnięta, nie patrząc na niego. - Nie możecie tak tu przychodzić... Mam na myśli, że nie ma sensu z każdym jednym rannym do Borowa... Nie to chciałam powiedzieć, że nie ma sensu, tylko że...

Oho! Gadane to u nich rodzinne - pomyślał bez satysfakcji.

- Tak?

Wzięła wdech i spojrzała na rotmistrza:

- Proszę o przyjęcie mnie do oddziału. Jako sanitariuszkę. Nigdy w życiu - pomyślał, a głośno powiedział:

- Odmawiam.

- Ja nalegam. Potrzebna wam sanitariuszka.

- Potrzebna nam, panno Mario, kobieca opieka. Pranie, gotowanie, pieczenie chleba. Ale tu, w Borowie. Nie widzę dla pani miejsca w oddziale. To nic osobistego, rzecz jasna. Mam na myśli kobiety, ogólnie. Czyli krótko mówiąc: nie.

- Zobaczymy - powiedziała mściwie.

- Oczywiście. - Skinął głową na pożegnanie i poszedł.

Step był zmęczony. Stał przez Zębem na chwiejnych nogach.

- Panie komendancie, melduję, że w nocy natknęliśmy się na niewielki oddział niezidentyfikowanej orientacji.

- Spocznij. Gdzie to było?

- Dwa kilometry na północ od Zaklikowa.

- Niepokojąco blisko. Mówił pan z nimi, poruczniku?

- Twierdzili, że czekają na zrzuty.

- Kiedykolwiek wcześniej były jakieś zrzuty w tej okolicy?

- Nie. Wszyscy wiedzą, że to eneszetowska stolica. - Step był zmęczony i niespokojny. Dodał: - Mieli mundury, ale na moje oko to wojenna bandytka.

- W takim razie proszę ogłosić gotowość w oddziale. Zwiększyć warty.

- Tak jest. - Nawet jeśli Step miał ochotę spotkać się z Hajduczkiem, to nie poprosił o przepustkę.

Kilka godzin później wpadł Zagłoba.

- To sowieciarze. GŁowcy od Słowika. Jestem pewien, panie komendancie. Banda Słowika ma już swoją sławę w okolicy, nie muszę mówić jaką. Jeszcze trochę i przebiją bandę Liska. Jednak nigdy wcześniej nie zapuszczali się tak blisko stolicy. Znaczą się Borowa. Twierdzą, że czekają na zrzut. Jak spytałem o organizację, to odpowiedzieli ogólnie „grupa wojskowa”. Zaproponowali spotkanie.

- Gdzie?

- Tu niedaleko jest taka przesieka.

- Dobra. Idziemy we dwóch. Z ubezpieczeniem, rzecz jasna.

Ząb wiedział, że się wystawiają, ale nie miał innego wyjścia. Musiał zyskać pewność, z kim ma do czynienia. Na pewno nie AK, ale luźnych grup, nie zrzeszonych, też nie brakuje. Jeśli to nie Słowik, a jakieś wiejskie chłopaki, może wciągnie ich do oddziału?

Zmienił zdanie, jak tylko na nich spojrział. To nie były „chłopaki”. W przesiece czekało na nich dwóch mężczyzn, w mundurach.

Orzelki bez korony. Mimo to podał im rękę.

- Kogo witam? - spytał.

- Sęp i Słowik.
- Skąd?
- A może my też o coś spytamy? - odpowiedział ten, który nazwał się Słowikiem.
- Może później. To nasz teren, jak się idzie w gości, wypada się przedstawić.
- Dowodzimy grupą wojskową. Nie podlegamy rządowi londyńskiemu.
- To za mało, bym się poczuł usatysfakcjonowany.

- Nasz oddział nie ma zamiaru poddać się pod rozkazy władz emigracyjnych. Przeciwnie. Liczymy na zmianę stosunków politycznych w kraju. Rychłą zmianę. Armia Czerwona na froncie wschodnim kosi hitlerowców jak zboże.

Ząb poruszył brwią, tą przeciętą, mimowolnie. Po raz pierwszy w życiu zobaczył komunistów w polskich mundurach. Patrzył na nich dłuższą chwilę, nic nie mówiąc. Może liczył? Musiałby chyba do stu, żeby mu pomogło. W końcu odezwał się w nim wychowawca.

- Nie wstyd wam, panowie? Macie na sobie polskie mundury, wprawdzie z orłem z gołą głową, ale nasze. I nie wstyd wam takie rzeczy wygadywać?

Obruszyli się.

- A kim pan jest, że będzie nam pan mówił, co wolno, a co nie wolno? - odszepnął Sęp.

- Rotmistrz Ząb, komendant oddziału Narodowych Sił Zbrojnych.

- Bardzo ładnie - zaśmiał się Słowik. - I słucha pan rotmistrz rozkazów tych, co już raz wojnę przegrali?

- To demagogia. Daję wam szansę. Zrzucacie z mundurów tego orła. Przychodźcie do mnie. Szkolę was, składacie przysięgę i dostajecie prawdziwego, polskiego orła w koronie. Jeszcze nie jest za późno, by stanąć po stronie narodu, przeciw sowieckiemu okupantowi. Czekam na was trzy dni. Wystarczy?

- Wystarczy. - Wzruszyli ramionami i odeszli z przesieki pierwsi.

- Panie komendancie, oni nie przyjdą do nas. A nawet jeśli przyjdą, to chłopaki ich nie będą chcieli przyjąć.

- Poruczniku Zagłoba. Każdy ma prawo zgrzeszyć i się nawrócić.

- Komuniści nie wierzą w Boga, nie wierzą i w rozgrzeszenie.

- Ale ja wierzę. I pan zapewne też.

Oczywiście, że nie wierzył - w tych dwóch z przesieki. To byli oficerowie i to bardzo pewni swego.

Nazajutrz do obozu zaczęli przychodzić łącznicy z okolicznych wsi. Mówili, że ci od Słowika gardłują przeciw „pańskiemu wojsku”. Zagłoba nie mógł tego słuchać.

- Panie komendancie, wezmę chłopaków i zrobimy ich.

- Nie zgadzam się. Nie wiemy, jakimi siłami naprawdę dysponują. W gruncie rzeczy Zagłoba nie musi mnie słuchać. Ani on, ani Cichy - myślał Zub-Zdanowicz. Wiedział jednak, że ludzi z egzekutywy jest tu, w Borowie za mało, by samodzielnie ruszyli na Słowika. Jednocześnie czuł, że ta banda osacza ich i celowo robi to demonstracyjnie.

Sprawy natychmiast nabrały tempa. Ledwie skończył rozmawiać z łącznikami, gdy nabiegł Rzędzian. Włosy odrosły mu nieco i już tak nie straszyl łysym łbem.

- Panie komendancie! Soweciarze na zwiad przyleźli! - wysapał, łykając słowa, ale na baczność.

- Spocznij, chłopcze. Trzy spokojne oddechy. Liczymy: raz, dwa, trzy. Teraz mów.

- Sześciu przyszło, że niby pogadać chcą. Porucznik Step zaprosił do ogniska, bo akurat śniadanie zrobiłem. Jajecznice na maśle, bo panna Hajducek przyniosła świeżych jajek i masła i chleb taki prosto z...

- Stój. Melduj o gościach. O śniadaniu pomiń.

- Tak jest. Niby że Ruscy to, a tamto, że Stalin polskie wojsko robi, a Armia Czerwona to nasz sojusznik. Porucznik Step grzecznie im powiedział, że agitacji sobie nie życzy, a do mnie mrugnął i ja wtedy w lot zrozumiałem, po prostu w lot, że mam do pana rotmistrza lecieć odmeldować.

- Zuch chłopak. Nadzwyczaj bystry. Poruczniku Kret! Natychmiast zbiórka. Tylko bez hałasu. Rzędzian, przygotuj sznury.

Rozłożeni byli podobozami tak, że od Stepą dzieliło ich jakieś pięćset, może sześćset metrów. W pięć minut miał dwudziestu chłopców z bronią.

- Pięciu zostaje w obozie. Reszta za mną.

Miał niewiele czasu, by przemyśleć, co dalej. Jednego był pewien: ludzie Słowika nie przyszli zmienić barw, przeciwnie, przyszli na zwiady. Już widział ich przez ostatnie zarośla. Siedzieli przy ognisku, śmiali się. Pokazał Kretowi, by z połową ludzi okrążył polankę. Tym razem to nie mogła być akcja szkoleniowa. Cokolwiek się zdarzy, dowodzi on.

Wyszedł z lasu z bronią gotową do strzału.

- Panie poruczniku - zwrócił się do Stepą. - Proszę aresztować gości. Za wrogą agitację w obozie narodowym.

W tej samej chwili pokazali się ludzie Kreta. Soweciarze nie próbowali uciekać. Rozbrojono ich razdwa.

- A teraz pójdziemy z rewizytą - oświadczył im Ząb. - Prowadźcie do dowódcy. Poruczniku Step, proszę wziąć swoich ludzi i iść za mną.

Mignęła mu zacięta twarz Zagłoby.

Szli może dwa kilometry, nie dalej. Zdanowicz kazał trzymać jeńców, a sam ze Stepem i Kretem poszedł na rozpoznanie.

- Ja z wami - zgłosił się Zagłoba.

- Naliczyłem osiemnastu - szepnął Step, gdy przez gęste zarośla podglądali obóz.

Partyzanci siedzieli przy ognisku, jedni czyścili broń, inni buty. Część była na boso.

- W szałasie jest przynajmniej trzech - dodał Zagłoba.

- I jeszcze dwóch. - Zdanowicz wskazał wartowników, którzy stali po drugiej stronie, jakby od tej nie spodziewali się ataku. - Pójdziemy tyralierą. Ja rozbiję tego grubego, kolega niech weźmie tamtego. Jak wejdziemy na polanę, będę z nimi rozmawiał, a wy okrążycie. Rozbrajamy i wiążemy.

- I? - zapytał Zagłoba.

- I zobaczymy - uciął Ząb.

W ostatniej chwili, gdy już dochodził do wartownika, przypomniał sobie, że nie powiedział chłopakom, iż mają się zachowywać godnie. Żadnego bicia, przeklinania i poniżania jeńców. Za późno. Ale może sami to wiedzą?

Wartownika ogłuszył uderzeniem w głowę. Zobaczył, że Step położył tego chudszeo i wszedł na polanę.

- Nie przyszła góra do Mahometa, musiał Mahomet do góry! - zawołał do siedzących przy ognisku. - Gdzie Słowik?

- Tam - jeden z partyzantów wskazał szałas. Zagłoba i Cichy skoczyli w tamtą stronę.

- O co chodzi?

- Kim jesteście? - Partyzanci podnosili się zaniepokojeni. Dopiero po gwałtownym ruchu Zagłoby zorientowali się, że coś jest nie tak.

- Narodowe Siły Zbrojne - powiedział Zdanowicz, celując do pytającego. - Proszę złożyć broń.

Nie mieli szans, nawet nie próbowali stawiać oporu. Dwadzieścia karabinów było wycelowanych prosto w nich i to z małej odległości.

- Związać ich, tylko porządnie. Każdemu odebrać dokument, jeśli jakiś ma. Broń pozbierać. Buty też. I przyprowadźcie tu naszych przewodników. Chcę mieć ich wszystkich razem.

Tymczasem z szałasu Cichy wyprowadził Słowika, a Zagłoba Sępa.

- Czekaliśmy na panów, czekaliśmy - powiedział Ząb. Słowik strzyknął śliną.

- Pańskie pacholki!

Zagłoba uderzył go w twarz.

- Nie będziesz munduru oficera polskiego plugawił!

- Starczy, poruczniku - uspokoił ich Zdanowicz. - Zdecydowaliście się porzucić okupanta i przystąpić do nas?

- Armia Czerwona wygrywa wojnę - warknął Sęp. - Ona nas wyzwoli.

- Wyzwoli? To Hitler też nas wyzwolił we wrześniu?

- Czy wam się podoba czy nie - Słowik wyrwał się Cichemu jak pies na łańcuchu - koniec z wami! Rządy reakcji idą na śmietnik historii! Nastaną czasy wolności i równości społecznej!

- Jak się nazywa polska sekcja NKWD? - spytał drwiąco Ząb. - To oni was szkolili? - odwrócił się w stronę powiązanych partyzantów - Żołnierze, jeszcze możecie zmienić zdanie. Jeśli chcecie razem z nami walczyć o wolność Ojczyzny, o wolność od każdego okupanta, niemieckiego i sowieckiego!

Stali, patrząc to na Słowika, to na Sępa. Nie odezwał się żaden.

- Mówicie po polsku? Jesteście Polakami? - Zdanowicz w jednej chwili zwątpił.

- Ja niet' - powiedział głośno jeden o wydatnych kościach policzkowych.

- Odstaw go na bok - nakazał Rzędzianowi.

- Ktoś jeszcze jest innej narodowości niż polska? - zapytał Ząb o trzy tony głośniej i natarczywiej. - Przyznać się, na litość boską!

Cisza. Zdążył policzyć do pięciu.

- I wszyscy, jak tu stoicie, uważacie, że Sowietci chcą nas wyzwolić?! Czyście nie słyszeli o Katyniu? O tysiącach pomordowanych oficerów Wojska Polskiego?! Ludzie?!

- To byli oficerowie sanacji! - odkrzyknął Słowik. - Polski lud chce sprawiedliwości dziejowej! Koniec z wyzyskiem!

- Oficerowie NSZ, proszę na sąd polowy - spokojnie powiedział Ząb.

Zagłoba i Cichy przekazali Słowika i Sępa w ręce chłopaków z oddziału.

- Tylko pilnujcie psów - warknął Zagłoba.

Zdanowicz skierował się do szałas, z którego wyciągnęli Słowika. W środku znalazł jakąś propagandówkę, po rusku. Przeszukiwał raportówkę leżącą na ławie, ale nic szczególnego tam nie było.

- Pan zerknie tutaj, panie komendancie. - Step podał mu puszki stojące na drewnianej półce.

Kilkanaście zegarków, obrączki, jakieś łańcuszki. Ubogie łupy. Jak się okrada biednych, to się zbiera biedą. Wziął w palce srebrny krzyżyk, odwrócił.

Niech Cię Maryja prowadzi. Kochanemu Alkowi - matka. Lublin 1939.

Napis był wyraźny, brud wtarł się w grawerkę. Wrzucił krzyżyk z powrotem do puszek.

- O rany! - jęknął Zagłoba, który penetrował tyły szalasu. - Panie komendancie!

Zdanowicz i pozostali podeszli do niego i zajrzeli mu przez ramię.

- Poświećcie latarką - powiedział rotmistrz.

W ziemi wygrzebana była jama, jej boki wyłożono starannie gałęziami, a górę zabezpieczono klapą. We wnętrzu tej prymitywnej skrytki leżały poskładane kozuchy, niektóre prawie nowe, ale większość znoszona, wytarta nawet. Obok nich buty.

Zagłoba bez słowa wskoczył do jamy i wyciągał z niej łupy. Pierzyny, poduchy, kapy. Wełniane chusty, czapki, kamizele, z dziesięć par spodni. Ozdobne ramy osierocone ze zdjęć - ślubnych czy chrzcielnych, nie wiadomo, bo fotografii nie było. W przybrudzonym pudełku sztucze: srebrne widelce noże i łyżki, a każda inna. Na końcu zaś wyjął dwie pary dziecięcych butów, prawie nie znoszonych, i mały barani kozuszek.

Zagłoba wyskoczył z jamy i otrząpał ręce.

- AK nie ma jeszcze sądów specjalnych przy komendzie w Lublinie - powiedział wolno Zub-Zdanowicz i skończył: - A w partyzantce nie ma miejsca na jeńców.

- Strzelamy ich - gorączkował się Zagłoba.

- Ale też nie ma miejsca na samosady. Z mocy dowództwa otwieram obrady sądu polowego. Za zdradę Ojczyzny i za bandytyzm wojenny dla dowódców śmierć.

- Śmierć - powtórzyli jego oficerowie.

- A co z resztą? Chce ich pan komendant z powrotem na bandytkę puścić? Ile takich pozwolimy im uzbierać? - Step obracał w ręku zardzewiałą puszkę.

Kochanemu Alkowi - matka. Lublin 1939.

Zdanowicz pochylił się, wziął dziecięce buty i wyszedł z szalasu.

Szedł prosto do Słowika. Ten odwrócił głowę, szukając Sępa. Rotmistrz uniósł buty w górę, tak, aby widzieli je wszyscy - i jeńcy, i jego oddział.

- Nastaną czasy wolności i równości społecznej! - Zdanowicz głośno powtórzył to, co Słowik mówił, gdy ich pojмали, i rzucił butami w twarz „dowódcy”.

Ruchem głowy pokazał, by obu, Sępa i Słowika, przeprowadzono na bok.

- Poruczniku Zagłoba, czytaj wyrok.

- Za podwójną zdradę: Ojczyzny i narodu. Za zamiar oddania Rzeczypospolitej Polskiej we wrogie ręce sowieckiego okupanta jest tylko jedna kara - śmierć. Za niszczenie narodu polskiego przez kradzieże, gwałty i rabunki, poniżanie munduru - śmierć.

Rotmistrz wyjął broń i kierując ją w pierś Słowika, powiedział:

- Koniec z wyzwyskiem! - strzał.

- Polski lud chce sprawiedliwości dziejowej! - strzał.

Schował broń i nie patrząc na trupy hersztów, odwrócił się do Stepa.

- Poruczniku, proszę wystawić warty, to potrwa dłużej. Zagłoba, Cichy! Przesłuchiwać ich kolejno, kim są, co robili w bandzie. Jak skończycie, to mnie zawołajcie. Poruczniku Kret! Pójdzie pan ze mną, w szafasie muszą być jakieś papiery.

- Panie komendancie. - Cichy wsadził głowę do szafasu po godzinie. - Jeden chłopak nie należy do bandy. Przylazł odwiedzić kolegę, szczył, czternaście lat. I jest ten jeden Ruski, z obozu jenieckiego nawiał. Słowik włączył go do bandy przed kilkoma dniami. Reszta rozpoznana.

Zdanowicz kiwnął głową i spakował całe liche archiwum, jakie znalazł, do pustej raportówki, która leżała na ławie. Wyszedł z Cichym.

- Wyprowadźcie przed szereg żołdata. Jak ci na imię?

- Kola. - Patrzył spode łba. Miał wyschnięte usta. Czuł, że to jego ostatnia minuta.

- Rozwiąż go - powiedział Ząb do Rzędziana. - Jesteś wolny, Kola. Zmiataj stąd.

Żołdat nie wierzył. Patrzył to na Zęba, to na wyciągniętą broń egzekutorów.

- Idź stąd - powtórzył Ząb. - Polski żołnierz ci w plecy nie strzeli. Nie podlegasz wyrokowi, bo my sędzimy za bandytyzm i zdradę Ojczyzny. Ty nie jesteś Polakiem. Uciekaj.

Kola cofał się niepewnie, tyłem. Bał się odwrócić. Potknął się. Podniósł. W końcu zaczął biec. Zniknął w lesie.

- Tego dzieciaka, co przyszedł w odwiedziny, też wypuścić.

- Panie komendancie - nagle z lasu wypadł wartownik. - Chyba Niemcy idą!

- Chyba czy idą? Pilnujcie ich - rzucił przez ramię i skoczył za wartownikiem w las.

Kola nawet gdyby był mistrzem olimpijskim, nie zdążyłby sprowadzić żandarmerii. Jeśli naprawdę szli tu Niemcy, to musiał być przypadek albo? Albo ludzie Słowika mieli w okolicy rozstawione czujki. Ściągnęliby Niemców? Czemu nie. Wystarczy, że podrzucili wiadomość któremuś z kapusiów.

- Tam! - chłopak wskazał majaczącą na polnej drodze grupę. Ząb przyłożył lornetkę do oczu.

- To chłopci. Idą w drugą stronę.

- Przepraszam, panie komendancie...

- Lepiej raz zrobić niepotrzebny alarm, niż przeoczyć coś ważnego. Dobrze zrobiłeś. Szeregowy?...

- Kmita - wyprostował się chłopak.

- Trzymaj wartę, szeregowy Kmita. Ja wracam.

Na polanie bez zmian. Jego chłopcy kręgiem otaczali jeńców, trzymając ich pod lufami. W jednej chwili dotarło do niego, że gdyby doszło do przypadkowej strzelaniny, gdyby któryś z jeńców próbował uciec, to jego ludzie wystrzelają się nawzajem w chaosie. Zrobiło mu się gorąco.

- Jeńcy, padnij! - rozkazał. - Dalej, kłaść się na ziemię.

- Są Niemcy? - spytał Kret.

- Nie...

W tej samej chwili trzech GŁowców rzuciło się do ucieczki, każdy w inną stronę. Zdanowicz bez zastanowienia strzelił za jednym z nich. Trafił.

I posypała się seria.

W samą porę kazał jeńcom paść na ziemię. Tylko trzy minuty, nie więcej, dzieliło ich od wystrzelania siebie nawzajem. Przeładował broń, strzelił za ostatnim z uciekających. Spudłował. Skokiem ruszył za nim Step. Obaj zniknęli w lesie.

- Kret! Biegnij za dowódcą - krzyknął Ząb.

Z lasu słychać było dwa strzały. Cichy wciąż siał serią z karabinu maszynowego po jeńcach.

- Przestań! Przestań! Opanuj się! - przekrzykiwał hałas Ząb.

- Nie bezcześć zwłok! - zawołał do przyjaciela Zagłoba i wtedy Cichy skończył strzelać. Wzrok miał nieprzytomny. Ukucnął.

- Za wrzesień, za Katyń, Za gwałty, za krew. Zapłaci Cichego piechota.

Chłopcy patrzyli to na zakrwawione trupy jeńców, to na Zdanowicza, to na siebie nawzajem, jakby nie wierzyli, że to się stało. Już. Nie może pozwolić im na zwątpienie.

- Za szalasem są saperki - powiedział normalnym głosem. - Połowa zakopuje ciała, połowa robi porządek. Mamy nie więcej niż godzinę.

Zagłoba obszukiwał kieszenie obu dowódców. Po chwili podszedł do Zęba.

- Panie komendancie, pan zobaczy na to. - Podał mu papiery, które znalazł. - Sęp to kapitan ze sztabu okręgowego GL. A między nimi musiał być też oficer politycznowychowawczy. Tu ma pan rozkaz z jego pseudonimem i stopniem. Ciekawe który? Nie przyznał się.

- Stanis - Zdanowicz odczytał niestaranne pismo.

- Taki z niego wychowawczy, że słowem nie pisał. Na polanę wrócili Kret i Step. Szli wolno.

- Melduję, że mi uciekł, panie komendancie - powiedział Step.
- Nam uciekł - poprawił go Kret.
- Nie wam, tylko nam - oznajmił Ząb. - Rozejrzyjcie się po polanie, czy coś jeszcze nie zostało.

- Co z fantami? - spytał Zagłoba, wskazując na szałas.
- Przekażcie do kościoła. Niech tam wikary dyplomatycznie powie, że ma parę rzeczy do oddania. Tylko poproście, żeby nie robił tego z ambony. I przez łączników puście wiadomość do okolicznych wsi. Dwadzieścia sześć ciał. Spojrzał na płaski, długi grzbiet piaszczystej mogiły.

Zebrał oddział wokół niej.

- W przypadku akcji zaplanowanych - zaczął tak, jak przed zasadzką na Kreishauptmanna - nie rzucamy się z motyką na słońce i nie strzelamy blisko ludzkich siedzib, tym bardziej blisko domu. Ale na wojnie nie każda akcja może być zaplanowana. Wtedy nie ma wyjścia - reagujemy błyskawicznie. Każdy nie oddany strzał mści się, pamiętajcie o tym. Jeśli nie my ich, to oni nas. Żałuję, że to musiało się stać tak blisko waszej, naszej stolicy. Żałuję, że ci ludzie nie chcieli zawrócić ze źle obranej drogi. Żałuję, że nie mogę powiedzieć „cześć ich pamięci”. To ja wydałem rozkaz i odpowiedzialność za niego biorę na siebie. Dla żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych jest tylko jeden cel: wolny naród i wolna Ojczyzna. - Przerwał i dodał po chwili: - Jeśli ktoś z was chce się pomodlić, to teraz. Za pięć minut ruszamy.

Późnym wieczorem, kiedy siedzieli w milczeniu przy niewielkim ognisku, podszedł do niego Step. W chwiejnym blasku jego twarz wydawała się jeszcze bardziej pociągła i wschodnia; tak jak przecięta brew Zdanowicza, która wyglądała jak urwana w połowie. Step kucnął przy nim.

- Panie komendancie - szepnął - gdyby pan w porę nie wydał rozkazu, mielibyśmy dwie mogiły. Nie miałem pojęcia, że trzeba było tamtych położyć...

Zub-Zdanowicz spojrzał w oczy porucznika, wyczekał, aż skończy pohukiwać puszczyk, i odpowiedział szczerze:

- Ja też. Egzekucji nie uczą na żadnych kursach. Nawet w żandarmerii Rzeczypospolitej.

*

Gajówka w lasach nieopodal Skorkowa, powiat włoszczowski, Generalne Gubernatorstwo. Sierpień 1943 roku

Stół przy kuchennym oknie. Przy stole śliczna, młoda dziewczyna i trzech mężczyzn.

Dwóch wpatruje się w nią rozanielonym wzrokiem. Jeden z nich ma posiniaczoną i pokancerowaną twarz. To Żbik. Uciekł z transportu do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

- Oko! Jako brat najpiękniejszej dziewczyny w powiecie pewnie nie możesz się odpędzić od kandydatów na szwagrów, co? - Żbik z trudem rozciąga w uśmiechu usta.

Oko przeciąga się i przekłada długie warkocze Marysi na plecy.

- Udała mi się siostra, prawda! Ale ty, cudem ocalony nasz kochany komendancie, nie mylisz chyba opieki, jaką cię Marysia otacza, z uczuciem, co?

Trzeci z mężczyzn, przystojny i wysoki blondyn zarechotał i wyprężył pierś. Marysia spuściła oczy. Żbik nie.

- Moja siostra już taka jest - kontynuował Oko, jej brat. - Jak byliśmy mali, to zdechłe wróble przynosiła do domu, chuchała na nie, dusiła w tych małych rączkach, aż im życie wróciło.

- Ej, ej! Nie pozwalaj sobie. Ja nie jestem zdechły wróbel, choć... jakby mnie tak panna Marysia wydusiła w tych słodkich rączkach, to szybciej bym do zdrowia wracał, fakt!

- Pan Żbik ma końskie zdrowie - odezwała się grzecznie Marysia.

- Inny na pana komendanta miejscu to by nie wytrzymał. Na nerkach to ma pan takie ślady!... ale i to się wygoi...

- Panna Marysia po nerkach cię... leczy? - niespokojnie spytał wysoki blondyn i zwrócił się do brata dziewczyny: - Na twoim miejscu, Oko, ja bym ich tu samych nie zostawiał. Zresztą mam dla Żbika nowe lokum.

- Jak pan będzie kiedyś w potrzebie - cichutko pisnęła śliczna Marysia i zarumieniła się - to ja pana Zdzisława wyleczę, oby jednak to nigdy nie było potrzebne, bo szkoda pana Zdzisława...

- A mnie nie szkoda? - domagał się uwagi Żbik, bo zobaczył, że Marysia o niego się troszczy, ale rumieni na blondyna.

- Każdego szkoda, nawet wróbelka... Przepraszam, dopilnuję obiadu.

Odsunęła się w głąb kuchni. Zdzisław, szef wywiadu Komendy Okręgu Częstochowa, i Żbik odwrócili za Marysią głowy. Oko chrząknął.

- To chcesz posłuchać dalej o Cenu?

- Tak, tak. - Żbik wrócił do zaczętej wcześniej rozmowy. - To mówiłeś, że Cenek grał przyjaciela, planował odbicie mnie z gestapo, a koniec końców zdradził.

- Prawdopodobnie Niemcy go aresztowali kilka dni przed tobą - wyjaśnił Zdzisław - i prawdopodobnie, bo tego się już nie dowiemy, złamali go w śledztwie. Pewne jest jedno,

zniknął kilka dni przed tym, jak zgarnęli ciebie, a pojawił się znowu zaraz po tym. Posypał Włoszczowę, Kurzelów i jeszcze kilku z terenu. My mu ufaliśmy, bo nikt go nie podejrzewał. I gdyby nie Szach, chłopak z częstochowskiej bojówki od Esmara, to by ofiar było więcej.

- Ja powiem, bo byłem przy tym. Siedzieliśmy u braci Batorskich, w Kurzelowie. Sami swoi, z piętnastu nas było. Bimberek, rozumiesz. Nagle przyjechał Cenek, na rowerze, a z nim dwóch innych. Przedstawił, że to koledzy z częstochowskiego oddziału. Szklaneczka, szklaneczka i Cenek zaproponował, żeby cię odbić z więzienia. Że cię będą wtedy i wtedy przewozić. Zapalili się do roboty wszyscy, „Żbik” podziało na chłopaków jak wyzwanie.

- Bimber też - skrzywił się Żbik.

- Wiadomo. Na to wszystko wszedł Szach. Pokręcił się, popatrzył, posłuchał i kiwnął na mnie: „Oko, chodź pójdziemy jeszcze po butelkę, bo zaraz będziecie o suchym pysku siedzieć”. A jak wyszliśmy, to on do mnie, że zna tych dwóch od Cenka i jeden z nich to na pewno żandarm z Częstochowy.

- Siostra Szacha pracuje w kuchni na posterunku żandarmerii, Szach bywał u niej, to widział. Wstawiliśmy ją do tej roboty i jak widać słusznie - wtrącił Zdzisław, pociągając nosem, bo z kuchni szedł zapach młodych ziemniaków i zielonego kopru.

- Dalej już wiesz, bo ci wcześniej mówiłem. Zamiast wracać do Batorskich, pobiegliśmy do komendanta placówki, mówić mu, co się stało, i szybko zorganizować chłopaków.

- No tak, a chłopaków nie było, bo pili u Batorskich.

- Zanim pozbieraliśmy kilku, trwało. Cenek w tym czasie wyciągnął wszystkich od Batorskich i pojechali do komendy powiatu we Włoszczowie. A tam...

- A tam otworzyli ogień. Cenek i ci dwaj wystrzelali całą komendę.

- Gdyby chciał zawrócić z drogi zdrady, mógł to zrobić wtedy - ponuro stwierdził Żbik. - Jeśli ci dwaj, co byli z nim, pilnowali go, wystarczyło, by w zamieszaniu zastrzelił ich, a nie naszych.

- Najgorsze, że Cenek uciekł - zakończył Zdzisław.

- A ja życie zawdzięczam Szachowi. Gdyby mnie nie wyciągnął, pojechałbym z Cenkiem i tamtymi do powiatu, rozwaliliby i mnie.

Marysia postawiła przed nimi miskę ziemniaków i talerze.

- Jeszcze tylko maślanka. - Z dzbankiem w ręku wyglądała jak z obrazka. Zrobiła kilka kroków świadoma, iż na nią patrzą. Pchnęła drzwi do sieni i krzyknęła: - Och!...

Dobiegł stamtąd rumor, Marysia wypuściła dzbanek z ręki i przykucnęła.

- Nic się panu nie stało? Oj, krew... zaraz to wytrę... przepraszam najmocniej...

Oko wstał od stołu i podszedł do siostry. Żbik i Zdzisław za nim. W sieni leżał dziad, żebrak, z rozbitej głowy ciekła mu krew.

- Tak mi przykro. - Marysia pomagała mu wstać.

- A co pan tutaj robił? - spytał Oko.

- Za chlebem, panie dobry, za chlebem... - wyjęczał dziad.

- Proszę, proszę. - Marysia już prowadziła go do kuchni - O, tu sobie dziadzius usiądzie, przy piecu, a ja dam jeść. No tak mi przykro...

- Panienka złota się nie obwinia, to przypadek... ja pukać do drzwi miałem, panienka złota jak raz drzwi otworzyła i ot, stało się.

Jadł łapczywie, jakby się bał, że miskę mu zaraz odbiorą. Żbik, Oko i Zdzisław stali pod oknem i patrzyli na niego nieufnie. Marysia dostrzegła to i pokręciła z dezaprobatą głową. Dziad najadł się, oddał miskę, podziękował.

- No to w drogę, dziękuję ci, złota panienko!

- Z panem Bogiem - Marysia wepchnęła mu w rękę zawiniątko z chlebem.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, wpatrując się w chwiejną sylwetkę żebraka, widoczną na drodze do Skorkowa, Żbik odezwał się:

- Podejrzany jakiś.

- E, od strony lasu przyszedł i tyle. Dlategośmy go nie widzieli - mruknął Oko.

- A jeśli podsłuchiwał? I od jak dawna? - pociągnął Zdzisław. - O, tu miał łeb rozbity, czyli co? Nachylał się i gapił przez dziurkę od klucza?

- No chyba nie myślicie... - Marysia pokręciła głową.

- Trzeba go wybadać. Gdzie masz rower? - zdecydował Zdzisław i ruszył.

Po chwili wrócił z wystraszoną dziadem.

- Papiery ma w porządku - stwierdził Oko i podał Żbikowi.

- Ja za chlebem, za chlebem - jęczał żebrak.

- Zamknij go w komórcie - rozkazał Zdzisław Oku.

- Rozstrzelałbym go i zakopał w lesie. Dziad podsłuchiwał i tyle. A wasza gajówka do tej pory była czysta. Dość już ludzi niepotrzebnie straciliśmy. - Zdzisław był zdecydowany.

Żbik i Oko nie.

- A jeśli to naprawdę niewinny dziad?

- To już nie jest niewinny. Zatrzymaliśmy go, pytaliśmy. Nawet jeśli nie podsłuchiwał, to już wie, że w gajówce urzędują ludzie z podziemia. Ja bym go rozstrzelał.

Na to weszła Marysia. Oczy jej błyszczały. Nieśmiałość dziewczyny została tylko w rumieńcu.

- Nigdy w życiu i po moim trupie. Nie pozwolę zabić biedaka tylko dlatego, że wam się wydaje, że jest winny.

- Panno Marysiu - próbował tłumaczyć Zdzisław. - Ja wiem, że panna wrażliwa, dobra, ale w konspiracji trzeba dobroć od naiwności oddzielać grubą linią.

- Nie pozwalam. To mój dom i nie będzie zabijania biedaków. - Zrobiła duży krok w stronę Zdzisława i uniosła hardo głowę. - Jest głód, dziadów po wsiach i gościńcach włóczy się dużo. Co? Wszystkich żebraków będziecie strzelać? Takie to jesteście wojsko?

Żbik zrozumiał, że z sympatii Marysi do wysokiego blondyna z powiatu nie zostało nic. Sam nie był zdecydowany, czy dziad winny, czy nie. Żał mu go było.

- Dobrze - skrzywił się Zdzisław. - Może się mylę. Obyście to wy mieli rację, bo to wy zostajecie w gajówce.

Marysia poszła do komórki, wypuściła dziada, przeprosiła i pomachała mu na pożegnanie.

- Żbiku, na ciebie jeszcze dzisiaj czekają w Ługach Zbyszewskich. Majątek pod lasem, na uboczu. Niemcy właściwie tam nie zaglądają. Takiej panny Marysi tam nie znajdziesz, ale zajmą się tobą. Ja przyjadę za parę dni z rozkazami, albo pojedzie Oko.

No to wyrównaliśmy szanse - pomyślał Żbik, żegnając się ze Zdzisławem. Przez chwilę miał nadzieję, że może nawet przechyli je na swoją stronę, jak ten pojedzie, ale panna Marysia była zła i tę złość przeniosła i na niego, choć wiedziała, że nie chciał strzelać do żebraka.

Pożegnał się ze opiekunką, Oko odprowadził go i przekazał w ręce gospodarzy folwarku.

Pani domu, surowa i starsza, załamała ręce na widok jego pokancerowanej twarzy, a Żbik ostatecznie pogodził się z myślą, iż piękną opiekunkę to już miał.

Kilka dni później przyjechał rowerem Zdzisław.

- Panna Marysia, Oko i jego narzeczona nie żyją - oznajmił Żbikowi na boku, by nie słyszeli jego gospodarze.

- Psiakrew!

- Przyjechałem do gajówki trzy dni po naszym spotkaniu. Leżeli na podwórzu, rozstrzelani z broni maszynowej. I musieli tak leżeć przynajmniej dobę. Kilku ludzi widziało niemiecką ciężarówkę z żandarmami na drodze z gajówki do Skorkowa.

- Czyli żandarmi przyjechali na drugi dzień po nas. Psiakrew! Miałeś rację. Trzeba było strzelić dziada.

Zdzisław popatrzył w oczy Żbikowi z wyrzutem. Nic nie powiedział. Żbik usiłował

wyobrazić sobie piękną Marysię żywą, taką, jaką widział ostatnio. Zamiast tego widział leżącą na podwórzu, z rozrzuconymi warkoczami, z sukienką poszarpaną kulami.

- Każdy nie oddany strzał się mści - powiedział ponuro.

*

Lokal konspiracyjny, Kraśnik, Generalne Gubernatorstwo. Sierpień 1943 roku

Przy maszynie do pisania siedzi ładna dziewczyna w białej bluzce i okularach. Przepisuje jakiś tekst z odręcznego pisma. Obok, przy biurku, mężczyzna, na oko trzydziestoletni z ołówkiem za uchem. Usiłuje się skupić, ale jego wzrok wciąż wędruje do dziewczyny i skupia się wyłącznie na oglądaniu jej sandałów na szczupłych stopach. Dziewczyna kończy pisać, wykręca papier z maszyny. Starannie oddziela kalkę od oryginału i kopii. Podaje mężczyźnie. Ten czyta z uznaniem i kiwa głową zadowolony. Do pokoju wchodzi Jakub.

Porucznik Jakub - matematyk i bokser. Brat Poli. Uczestnik akcji „Heidi” w leśniczówce Antoniów. Członek Rewolucyjnej Grupy Inteligencji Socjalistycznej „Świt”. Obecnie w Gwardii Ludowej.

- Pochwalony! - mówi Jakub.

Dziewczyna w okularach patrzy na niego zgorszona, a mężczyzna zza biurka krzywi się.

- Coś ci się, towarzyszu, pomyliło? - pyta zgryźliwie.

- Nie, chciałem sprawdzić wasze poczucie humoru. Ale widzę, że się wygłupiłem.

- Owszem, owszem - kwaśno kiwa głową mężczyzna - wygłupiliście się.

Jakub rozgląda się, udając, że szuka czegoś obok siebie.

- Jest nas dwóch? - pyta poważnie.

Dziewczyna w okularach parska. Jakub puszcza do niej oko.

- Wygłupiłem się, myśląc, że posiadacie poczucie humoru - uściśla swą poprzednią wypowiedź Jakub. - No, towarzyszu Kruk, co tam nowego przygotował kraśnicki wydział propagandy GL?

Dziewczyna podaje mu kopię tego, co napisała na maszynie.

Dwudziestu sześciu żołnierzy polskich z Oddziału Gwardii Ludowej im. Jana Kilińskiego 9 sierpnia 1943 roku w lesie koło Borowa pod Kraśnikiem zamordowanych zostało z ręki zdradziecko nasłanych przez reakcję zbirów. Zginęli:

dowódca oddziału porucznik Sęp, zastępca dowódcy podporucznik Słowik, szef oddziału Bohun, instruktor polityczny Stanis oraz dwudziestu dwóch gwardzistów, a wraz z nimi czterech chłopów polskich, co przyszli do oddziału, by serca zmęczone długą niewolą

widokiem swych obrońców - żołnierzy polskich uradować. Nieśli swe życie w ofierze, by walczyć z niemieckim zaborcą - padli od zdradzieckiego ciosu. Krew ich odrodzi się w walce tysięcy bohaterów, żyć będzie wieczną pamięcią w wolnej Polsce. SKŁADA IM HOŁD NARÓD I OJCZYŻNA.

Jakub skończył czytać ulotkę i się skrzywił.

- Co, towarzyszu? - zapytał go Kruk, szef wydziału propagandy.

- Znowu się coś nie podoba?

- Nie radzę wam tego rozrzucać w okolicy Borowa - jasno wyraził się Jakub. - Ludzie tego nie kupią. Tam wszyscy wiedzą, co robiła banda Słowika. W najlepszym przypadku będą sobie waszą ulotką podcierali... - Spojrzał na dziewczynę i urwał.

- Nie banda, tylko oddział - poprawił go Kruk i spojrzał na Jakuba krytycznie. - Wy się, towarzyszu, naprawdę do propagandy nie nadajecie.

- I nie zamierzam tego roznosić po wsiach, żeby była jasność. - Jakub porządkował swoje rzeczy na drugim, wolnym biurku.

- Gdyby nie poparcie towarzysza Łokietka, to Łysy by was z oddziału wyrzucił - powiedział mu Kruk na odchodnym, ale Jakub tylko wzruszył ramionami.

- Idę właśnie do Łysego. Zapytam, czy już mam się pakować.

Szczerze mówiąc, sam by się z oddziału wyrzucił, gdyby nie, właśnie, gorące zapewnienia Łokietka, że „GL oczyści własne szeregi, nim stanie do walki”. Wystąpił z PPS, gdy socjaliści wcielili swe bojówki do AK. Nie po to serce biło mu całe życie po lewej stronie, żeby miał teraz słuchać rozkazów z Londynu. Nie miał wyboru, została mu Gwardia Ludowa, choć zawsze podkreślał, że jest socjalistą, nie komunistą.

- Druhu! Oto idzie nowe! Chcesz walczyć z nami czy służyć starym? - Łokietek miał dar przekonywania i tym sposobem Jakub wciągnął w szeregi GL kilkunastu chłopaków, których wcześniej pozyskał dla organizacji. Łokietek był u siebie, w Iłży, a z Jakubem w Biłgoraju i Kraśniku obchodzono się na wyraźnie specjalnych zasadach, odkąd do tutejszej komendy przedostały się wieści, iż brał udział w słynnej akcji na leśniczówkę.

W drodze do kwatery Łysego spotkał Janka.

Janek - przystojny brunet w swetrze. Na początku okupacji był z Jakubem w lewicy nauczycielskiej. Razem działali w PPS i w należącej do PPSWRN Gwardii Ludowej (zanim komunistyczna bojówka „zapożyczyła” sobie tę nazwę). Łącznik między organizacją w Biłgoraju a Warszawą, gdzie spotykał się z Polą. Wraz z organizacją wszedł w skład AK.

Janek łypnął na niego krzywo i przeszedł na drugą stronę ulicy. Jakub dogonił go.

- Cześć. Po sweterku cię poznałem. Ciągle ten sam.

- A ja cię nie poznałem - skrzywił się Janek. - Kto ci tak twarz załatwił? Nowi towarzysze?

- Nie. Ten bęćwał Moltke z gestapo. Masz słabe informacje, dawny przyjacielu. Siedziałem za PPS.

- A wyszedłeś za poręczeniem towarzyszy sowieckich?

- Nie. Wyszędłem, bo nic ze mnie nie wytłukli.

- I co? Nie szkoda ci teraz duszę bolszewikom zaprzedać?

- A tobie nie żal służyć oficerom sanacji? Taka z was teraz lewica, jak ze mnie dziewica.

- Przynajmniej walczymy o Polskę, a nie o siedemnastą republikę!

- Miałem cię za bystrego - zatrzymał się nagle Jakub i spoważniał - ale jesteś bezmyślny, jak oni. Klepiesz, czego cię wyuczyli. Gazetki z Londynu też wam przysyłają? Ze słynną doktryną stania z bronią u nogi?

Janek poczerwieniał. A Jakub napierał na niego rozzłoszczony.

- Armia Krajowa was wykorzysta.

- A was Armia Czerwona. Nie widzisz różnicy? Po wojnie osądzą was jako zdrajców Ojczyzny.

- Jesteś pewien, że nas? - odpowiedział twardo Jakub i zawrócił w swoją stronę.

W ten sposób, nim doszedł do kwatery dowódcy GL, był wściekły podwójnie.

- Humorek porucznikowi dopisuje! - powitał go Łysy. - Siadajcie, pogadamy. Mam dla was misję specjalną. W związku z Borowem.

- Kruk był tu przede mną? - Jakub zaczynał czuć, że ten dzień się nie skończy.

- Nie, a co?

- Nic.

- Mów, mów towarzyszu. Ja na waszym zdaniu polegam podwójnie.

- To może najpierw pan porucznik mi powie. To z pewnością ciekawsze.

- E, nie wiem, czy ciekawsze - samokrytycznie stęknął Łysy. - Gówniana sprawa.

- Skoro tak, to nie do mnie. Ja znam się na matematyce i boksie. Szamba to nie moja specjalizacja.

- Humorek, jak mówiłem - porucznik przeciągnął dłonią po rzadkich włosach. - Chciałbym was w teren wysłać. Z zadaniem nazwijmy to, politycznowychowawczym. O mordzie pod Borowem słyszeliście...

- O tym, że ludność pobliskich wsi ze łzami w oczach dziękowała narodowcom? Że łupy Słowika odbierali z plebanii? Tak, o tym też słyszałem.

Łysy spojrzał Jakubowi w oczy i pokiwał głową.

- Nie możemy sobie pozwolić na istnienie dzikich band na naszym terenie. Całą robotę nam psują. Wy, towarzyszu, macie tu poważanie wśród ludności, zaufanie i słusznie wam należy szacunek. Pójdziecie, poszukacie bandziorów. I przeprowadzicie z nimi rozmowy wychowawcze. Albo porzucą swój zbójcki proceder i przejdą na naszą stronę, albo zagroziecie, że ich rozbroimy.

Jakub zaśmiał się nieprzyjemnie.

- A oni się nas wystraszą! Ha, ha, ha! Trzeba było do oddziału Sępa nie przyjmować spadów z bandy Liska, to może i by Borowa nie było. Liska zresztą też ktoś od was chciał już wcielać i cywilizować, na długo nie starczyło. Poruczniku, kto raz zaznał życia z bandytki, łatwego chleba i bezkarności, ten w dupie będzie miał wyzwolenczą partyzantkę. Tyle wam powiem, skoro pytaliście mnie o zdanie.

- Nie pytałem - odrzekł Łysy. - Źle mnie zrozumieliście, poruczniku. To był rozkaz.

*

Łosowo, majątek ziemski niedaleko Janowa Lubelskiego, w połowie drogi między Biłgorajem a Kraśnikiem, Generalne Gubernatorstwo. Lato 1943

Noc. We dworze ciemno. Za to z obory dochodzą wesole głosy. Jest duszno, wrota otwarte. W środku przy lampie naftowej czterech mężczyzn gra w brydża, siedząc na niskich stołkach służących za dnia do dojenia krów.

- Szkoda, że pani Krysia już śpi - marudzi chudy o piegowanej łysinie, zaglądając w karty siedzącemu obok muskularnemu w podkoszulku.

- Ksiądz proboszcz oszukuje! - zachnął się Fenix.

- Ja? - dziwi się chudy z piegową łysiną. - Wstyd, chłopcze, duchowną osobę oskarżać. Zwłaszcza jak się wie, że duchowna osoba ślubowała pokorę, czyli że się bronić nie będzie.

- Właśnie! Nie mów fałszywego świadectwa! - broni proboszcza Dzidek, który gra z księdzem w parze.

- A po co księdzu proboszczowi pani Krysia? - pyta Wacuś, pomocnik gospodarski.

- Przekąsiłbym coś. Jak gram, to się robię głodny - bezradnie przyznał się proboszcz.

- To ja może skoczę po coś do kuchni? I tak już z panem Fenixem przegraliśmy z kretelem. Na następny raz ja się zapisuję na parę do księdza proboszcza.

- Lizus - rzucił pogardliwie Fenix do wstającego Wacka.

- Tylko po cichu! Jak Krysię obudzisz, to wszyscy pójdziemy spać i skończy się granie! - przestrzegął go Dzidek.

- Mówią, że u nas w parafii jest moda na długowieczność - zaczął ksiądz Fenix, bo nie mógł darować mu swojej przegranej.

Dzidek w tym czasie wyjął zakamuflowaną w bańce na mleko małą bańkę z bimbrem i polewał.

- Daj, Panie Boże, zdrowie moim parafianom! - Proboszcz Prokop udawał, że nie wie, o co chodzi. Wziął od Dzidka mały metalowy kieliszek i przymykając oczy, chlupnął sobie.

- Dobra - otrząsnął się. - Zimna.

- W lodzie trzymana! - sam siebie pochwalił Dzidek i też się napił. - O co chodzi z tą długowiecznością?

- O cennik szlachetnego proboszcza naszego, Prokopa. - Fenix wypił i nie wstrząsnęło nim wcale. - Za pogrzeby liczy podwójnie, to ludzie ze strachu, że ich nie stać, nie umierają. I w naturze nie przyjmuje.

- No trudno, żeby od nieboszczek ksiądz brał w naturze. - Z głębi obory wynurzył się Leon, parobek, mlaskając do tego lubieżnie.

Leon miał krótkie, kabłąkowate nogi, głowę straszną i wątpliwą sławę. „Największy jebaka w okolicy” - powtarzał, co o nim mówiono, głośno i chętnie. Na dodatek nie krył się ze swoim zamięrowaniem do płci przeciwnej i, co najbardziej dziwiło, kobiety mimo jego oczywistej brzydoty ulegały mu chętnie.

- Faj, Leonie! Wstydź się! - wstrząsnął się Prokop.

- Ja? A co ja mam z księdza pazernością wspólnego? - Kolejną cechą Leona, wynikającą zapewne z ciągłego obcowania z bydłem rogatym, był niewyparzony język i brak taktu. - Państwo piją w oborze, bo pani Krystyna w domu nie pozwala? Dobrze, zgadzam się, tylko nie naświńcie. Fircyk bardzo brudu nie lubi. I papierosów nie palcie, bo tu słoma raz, a dwa, że Fircykowi to szkodzi.

Fircyk to był ich skarb, byk rozplodowy o wylupiastych, przekrwionych oczach, kościstym zadzie, rogach złowieszczo ostrych i wielkim wiadomo czym. Jakby na potwierdzenie słów Leona Fircyk stojący w rogu obory kopnął w ścianę.

- Ja nie palę - wyniośle odpowiedział proboszcz.

- A ja sobie wyjdę przed oborę - obraził się Dzidek. Ledwie jednak przestąpił jej próg, cofnął się.

- Ktoś kręci się wokół dworu - syknął do Fenixa.

- Wacuś poszedł do kuchni - oblizał się Prokop - i długo nie wraca.

- Jeśli to Wacuś, to chyba się rozdziwił. Fenix nie czekając, skoczył w stronę Fircyka.

- Trzymaj go! - krzyknął do Leona i zanurkował w żłobie pod samym pyskiem byka.

Odwrócił się, by sprawdzić, czy parobek odciągnął zwierzę, i dopiero wtedy się wynurzył. W ręku trzymał rewolwer.

- W imię Ojca i Syna - jęknął ksiądz, a Fenix odbezpieczył broń i schował za plecami.

W tej samej chwili do obory weszli mężczyźni w mundurach.

- Co za spotkanie! - krzyknął na powitanie idący z przodu.

Fenix poznał go po cherlawej sylwetce i głosie. To ten sam, który zabrał im konia i wóz, gdy wracali z Kraśnika. Lisek, tak na niego mówili. Zaklął w duchu. Sam im powiedział, że pracują w majątku Łosowo.

- Nie wiedziałem, że panowie w wojsku służą! - poznał ich także Dzidek. - A w jakim, jeśli wolno spytać?

- W polskim - powiedział ze wschodnim akcentem chudy i smagły Żyd, który wtedy na trakcie był najbardziej natarczywy.

- Kisz mir in toches! - przypomniało się rychło w czas Fenixowi. Jidysz to piękny język.

Żyd nerwowo skierował lufę zdezelowanego karabinu w pierś Fenixa. Lisek wstrzymał go i spytał:

- Co on powiedział?

- „Pocałuj mnie w dupę, panie komendancie”.

- Nieprawda - zaprzeczył Fenix i wciąż trzymał za plecami rękę z rewolwerem. - Tylko „pocałuj mnie w dupę”.

- Dobra, popieścicie się później. Teraz załatwimy interesy. Mój oddział jest głodny.

- Mój syn też - wyrwało się Dzidkowi i w tej samej chwili pożałował tego, co powiedział.

- Eto twój syn? - spytał Ruski, który był wtedy z nimi na trakcie, i wprowadził Wacka z rękoma związanymi na plecach.

- Tak! - krzyknęli jednocześnie Dzidek i proboszcz.

- A gdzie spiaszczu żenu?

- Żenu niet' doma - oznajmił Dzidek i zbladł.

Fenix szacował siły. Lisek, który jest tu hersztem, Rusek, Żyd, dwóch z tyłu, którzy się nie odzywają. Tych zresztą nie pamięta z traktu. A raczej pamięta, że zamiast nich byli inni. Ilu zostało na podwórzu? Próbował to odczytać z oczu Wacka, ale chłopak był przerażony tym, że Rusek trzyma za jego plecami lufę. Lisek podszedł do zaimprovizowanego stołu brydżowego. Wziął z niego paczkę papierosów Dzidka i zapalił. A gdyby tak Leon spuścił Fircyka? Byk rzeczywiście reagował na dym tytoniowy, bo sapnął

gniewnie. Lisek przeszedł się po oborze.

- Na bogato - poklepał Fircyka w zad.

Pewnie taki z niego rolnik jak ze mnie - skonstatował Fenix, bo po miesiącu na wsi dobrze wiedział, że żaden rasowy chłop tak by nie zrobił.

- Towarzysze! - Dzidek zaskakująco dobrze pamiętał, że u nich „panów niet”. - Wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Wy pod okupacją, my pod okupacją. Nie róbcie nam krzywdy, coś tu do jedzenia dla was znajdziemy, ale bydła, błagam, nie zabierajcie! Dla nas to kulka w łeb.

- To samo mówił ty na drodze, jakeśmy konia brali - odezwał się Żyd - a jakoś żyjesz. Swołocz kłamliwa! Pacholek germański! - splunął, a Fenix poczuł, że chyba staje się antysemitą. Zaciskał palce na rewolwerze i odwracał się lekko, by łażący po oborze Lisek nie zwrócił na niego uwagi.

Fircyk znów kopnął w ścianę i Fenix pomyślał, że być może cała nadzieja w nim. Jednocześnie szarża byka i trzy strzały, bo tyle miał kul w rewolwerze.

- Jakoś się dogadamy - powiedział w stronę Liska, a potem odwracając się, dodał: - Leonie, odwiąż tę krowę, która się tak panu komendantowi podoba.

Parobek pojął, w czym rzecz, i ruszył do Fircyka. Odwiązał go i szarpnął celowo mocno, natychmiast przekazując linkę, na której był uwiązany, w ręce Liska.

Ten, nieświadom, że prowadzi bestię, zaciągnął się papierosem i roześmiał. W tej samej chwili Fircyk wypuścił parę z nozdrzy.

- Lisek! Eto byk! - krzyknął Rusek i Lisek błyskawicznie odskoczył w bok.

Fircyk, zamiast wziąć na rogi winowajcę, wybiegł z obory w mrok. Fenix wyciągnął zza pleców rewolwer i bez namysłu strzelił do Żyda. Odwrócił się i chciał wycelować w Liska, ale ten, zwinnie niczym kot, skoczył za bykiem na podwórze. Rusek odepchnął Wacka i jednym susem przypadł do Fenixa, przykładając mu do skroni rewolwer.

- Orużie! - charknął mu prosto w twarz i Fenix oddał broń. Kątem oka Fenix widział, że Żyd leży na ziemi w kałuży krwi. Pozostałych trzech wymierzyło do księdza, Dzidka i Wacka. Leon gdzieś zniknął.

No to po nas - przemknęło Fenixowi przez głowę. - Przeżyłem Pawiak, zginę w oborze.

- Złożyć broń. Jesteście otoczeni! - usłyszał w tej samej chwili znajomy głos. Nie mógł skojarzyć, skąd znajomy, i zobaczyć też, bo Rusek trzymał go twarzą w stronę żłobów, nie wrót. Poczuł, że uścisk żołdata słabnie. Zobaczył, że ten opuszcza broń. Powoli się odwrócił. U wejścia do stodoły stał Jakub. Goj, który spuścił mu łomot na ringu w

Białymstoku. Jasny blondyn. Waga półśrednia.

- To ty? - jęknął Fenix.

- A co, nie cieszysz się? - wesoło zagadał Jakub, podczas gdy jego ludzie kończyli wiązać tych, co przed chwilą trzymali ich na muszce.

- Chyba się zesikam z radości - powiedział poważnie Fenix to, co wtedy, na zapleczu gospody. - Czy wy zawsze musicie pojawiać się parami?

- Nie rozumiem. Mogę się poczęstować? - spytał o papierosy Dzidek.

- Jak najbardziej, niech pan bierze wszystkie! - Dzidek był wniebowzięty.

- Tego dnia, cośmy się spotkali za gospodą, ci tutaj zatrzymali nas na trakcie i zabrali konia z wozem.

- To banda Liska. - Skrzywił się Jakub. - Ale herszta nie widzę.

- Byk go pogonił! - zeznał Wacek. - O Jezusie! Byk! - Wyrwał z obory szukać skarbu Łosowa.

- A ty co? - spytał Fenix, przyglądając się uważnie Jakubowi. - Dla niepoznaki nosisz taki sam mundur jak oni?

- Odwrotnie. To Lisek ubiera swoich w mundury Gwardii Ludowej i podszywa się pod nas.

- A skąd je ma? - dopytał drwiąco Fenix.

- Jak to skąd? Z bandytki. - Wzruszył ramionami Jakub. - Możesz być pewien, że w GL nie jest. U nas nie ma miejsca na zbójów.

- W Borowie wikary co innego mówił - odezwał się odważnie Prokop.

- Ale teraz, gdy uratowaliśmy was od Liska, chyba będziecie pewni, że my rabunków nie tolerujemy - twardo odpowiedział Jakub.

- To czemu ich nie zastrzelicie? - dopytywał Prokop. - Przecież nakryliście bandziorów na gorącym uczynku.

- Zaprowadzę ich do dowództwa. Niech ich jeszcze wybadają. Dzidek przejął inicjatywę.

- Pan komendant wybaczy... czy ja mogę mówić do pana pan? Czy towarzyszu?

Jakub wzruszył ramionami, więc Dzidek ciągnął dalej.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni, bo uratowaliście nam życie. Pan komendant wybaczy moim towarzyszom, ale Gwardia Ludowa ma złą opinię w okolicy, to znaczy: miała. Krowy wam dać nie mogę, ale mleka, jaj trochę...

- Nie zrobiliśmy tego dla jaj - odpowiedział Jakub poważnie.

- Doskonale! Pan komendant żartowniś! No to po maluchu! - Dzidek skoczył do

podwójnej bańki i wyjął resztę bimbru. Jakub wypił i podał dalej, swoim ludziom.

- Wacek! - zarządził Dzidek. - Synu mój, cudownie ocalony! Bierz się za dojenie, mleko prosto od krowy dla panów towarzyszy gwardzistów!

- Tak - wzruszył ramionami Wacek, sprzątając karty ze stołka do dojenia - jak na rozwałkę, to mnie pan Czaykowski adoptował, a jak po strachu, to do krów.

- Dziękuję ci - Fenix podał Jakubowi rękę.

- Jesteśmy kwita?

- Nie, znów ty prowadzisz. Tamto to tylko ring, a dzisiaj to życie. Jakub zaciągnął się kolejnym papierosem wspaniałomyślnie posuniętym mu przez Dzidka.

- Poruczniku! Ktoś idzie! - zameldował mu jakiś młodziutki kapral.

- Stój! - krzyknęli ludzie z oddziału.

Ale „ktoś” nie stanął. Bo to był Leon, prowadzący na sznurku Fircyka.

*

Lasy w okolicy Janowa Lubelskiego, Generalne Gubernatorstwo. Sierpień 1943 roku

Na leśnej polanie krząta się około sześćdziesięciu partyzantów. Większość w mundurach, ale część ma ubrania cywilne. Zasypują ogniska, zwijają obóz. Rotmistrz Zub-Zdanowicz kończy czytać jakiś papier.

- Nowe rozkazy panie komendancie? - Step staje przy nim. - Co piszą?

Ząb podaje mu papier lekceważącym ruchem.

- Laurka. Brakuje tylko kwiatków.

Step parska śmiechem i przebiega wzrokiem pismo.

- Dowództwo z nas zadowolone, chwali, zadania przydziela, oddziały każe rozbudowywać, a pieniędzy nie daje - mruczy.

- Błąd, kolego! - Zdanowicz ma całkowicie poważną twarz. - Dowództwo wprowadzić nie daje, ale wskazuje, iż sami mamy je zdobyć. No to idziemy! - Klepie się w uda i wstaje. - Kierunek Janów Lubelski. Komunalna Kasa Oszczędności! No, nie martw się, kolego! Nie będziemy oszczędzać, tylko wybierać!

Dwie godziny później

Opustoszałe uliczki Janowa. Pojedynczy przechodnie kryją się w bramach. Pod ubezpieczającym ostrzałem Zęba, Step a i oddziału cofa się Kret i Zagłoba, przy nich dziesięciu ludzi, wszyscy w cywilu. Napiera na nich tyle samo żandarmów. Jeden z partyzantów dostał w plecy. Pada. Kret cofa się po niego. Chłopak macha ręką, żeby go zostawili, uciekali, ale Kret gwizdże i dwaj kolejni wracają, biorą rannego pod pachy. Ząb zwiększa ostrzał z erkaemów. Żandarmi wystraszeni ogniem na chwilę wycofują się, chowają

w cieniu kamieniczek.

- Odwrót! - krzyczy Ząb w tej krótkiej chwili przerwy między jednym magazynkiem a drugim. Step przyskakuje do niego.

- Moglibyśmy... teraz jesteśmy w przewadze...

- Odwrót - rozkazuje Ząb. - Za chwilę dojadą posiłki żandarmerii.

Biegną w las, jak najgłębiej. Niemcy nienawidzą wchodzić między drzewa.

- Miasta wasze, lasy nasze! - krzyczy Kret, nie wiadomo, czy szczęśliwy, czy wściekły.

W końcu stają zdyszani. Plutonowi liczą ludzi.

- Potrzebujemy lekarza, szybko. Stach się wykrwawia.

- Załóżcie mu opatrunki. - Zdanowicz wie, że na długo nie pomogą.

- We młynie jest lekarz, panie komendancie - melduje Kret.

- Daleko?

- Dziesięć kilometrów.

- Poślij dwóch ludzi.

- Tak jest.

- Przydałaby się nam sanitariuszka, na stałe - wtrąca Step.

- O nie! Tylko nie to! Baby nam tu nie trzeba! Co my byśmy z nią robili w lesie? - Rotmistrz krzywi się okropnie.

- Nie my z nią, ale ona z nami, panie komendancie. Opatrunki i takie tam. Nic innego nie miałem na myśli. I niech pan komendant nie mówi „po moim trupie”, bo właśnie o to chodzi, żeby nie po trupie.

- Filozof leśny! - ofuknął Stepą Ząb i zmienił temat na Komunalną Kasę Oszczędności.

- No cóż, za każdym razem udaje się tylko na filmach - skwitował Zagłoba, dołączając do nich.

- Tak. Musimy znaleźć inną skarbonkę. Oddział nam się rozrasta. Broń zdobędziemy na Niemcach, albo na GŁowcach, ale szczerze mówiąc, dramatycznie potrzebujemy pieniędzy.

- O wilku mowa! - syknął Zagłoba, widząc, że ogniomistrz Lampart, który pełnił wartę, prowadzi do nich mężczyznę w koszuli i rozpiętej kurtce munduru.

- Łap - krzyknął Lampart i rzucił Zagłobie broń odebraną gościowi, a rotmistrzowi zameldował: - Prosi o rozmowę z panem komendantem.

Nie był wysoki, ale zdawał się dobrze zbudowany. Brudny blondyn; na zaciśniętych,

kwadratowych szczękach kilkuniedniowy zarost. Patrzył prosto w oczy Zębowi.

- Widziałem go kilka razy. Chadzał z Liskiem - szepnął Zagłoba rotmistrzowi.

- Czego chcesz? - spytał Zdanowicz.

- Zemsty - odpowiedział krótko. Ponieważ Zub-Zdanowicz milczał, przyglądając się mu, po chwili dodał: - Zemsty na GL.

- Wymordowali ci rodzinę? Zgwałcili żonę? Zabrali ostatnią kurę? Czy może nie zgadzasz się z linią ideologiczną? - w głosie Zęba czuć było ledwie uchwytną drwinę.

- Nie - odpowiedział twardo. - Chcę zemsty za zdradę.

- Gwardia Ludowa cię zdradziła? - Zdanowicz wzmocnił ironię.

- A jak? Obiecali, że będziesz walczył o Polskę Ludową, a kazali ci świnie kraść po wsiach?

- Odwrotnie. Kradłem z Liskiem świnie po wsiach, a oni obiecali nam ochronę. I kiedy przystaliśmy do nich, zastrzelili Liska.

Jasna dupa, ale szczerzy! - zaklął w duchu Zdanowicz. Na polanie zapanowała cisza. Jego ludzie patrzyli na przybysza jak na zjawę.

- Co to znaczy, że obiecali wam ochronę? - spytał głośno.

- Włączyli nas do swojego oddziału. Wchodziliśmy do wsi jako partyzanci. A potem robiliśmy swoje. Łupem dzieliliśmy się pół na pół. I nagle coś przestało im pasować. Wpadł taki jeden do obozu, poszemrał z dowódcą i zabrał Liska w las. Strzelił go.

- A ty?

- Uciekłem. Wróciłem po zmroku, żeby pochować ciało, bo zostawili go w lesie jak jakieś ścierwo.

Głos nieznacznie mu się załamał.

- Jak cię wołają?

- Orzeł.

- Z koroną czy bez? - zadrwił ktoś z tyłu. Ząb nie zareagował, ale zapytał:

- A ty wiesz, Orle, do kogo przyszedłeś?

- Tak, wiem. - Odwrócił się lekko w bok i spojrzał za plecy Stepa.

- Szukałem Znicza.

Znicz wyszedł z tyłu i stanął przed nim. Orzeł powiedział prosto do niego:

- Znam tych, co zarabiali chłopaków w Rzeczycy. To nie byli chłopci. To byli GLowcy. Chełpili się tym przy wódce. Pomogę ci ich wytropić.

- Zaraz, zaraz - przerwał Zdanowicz. - Jeszcze się z pomocą nie wrywasz. Ty masz swoją prywatną zemstę, a ja nie wiem, czy chcę byś załatwiał ją naszymi rękami. Pilnujcie

go!

Step, Znicz, Kret, Zagłoba i Cichy stanęli z rotmistrzem na uboczu.

- Jestem winien zemstę matkom tych chłopców - powiedział Znicz.

- Ja bym go strzelił. - Zagłoba był przewidywalny. - Po co nam przyjaciel Liska? A jeśli to zasadzka?

Pozostali milczeli. Zdanowicz spytał:

- Cichy?

- Strzeliłbym.

- Step?

- Ja bym zostawił. Zgadzam się ze Zniczem, powinniśmy pomścić tamtych chłopców.

- Dwa na dwa - skostatował Zdanowicz i powiedział, co myśli:

- Zostawimy go. Zemsta to raz, ale ważniejsze, że jeśli go puścimy, to będzie rabował dalej, bez Liska, na własną rękę. Nie ma nic do stracenia i jest zdeterminowany. Jest jak wilk, który nie patrząc na skutki, będzie zabijał, aż osiągnie cel. Wokół takiego Orła zbiorą się następni i zanim się obejrzymy, w miejsce zlikwidowanej bandy Liska i Słowika urośnie nam banda Orła. Zostanie u nas, ale opiekę nad nim weźmie nie Znicz, lecz Zagłoba. Zaczynij od tego, że każ mu się ogolić i umyć. A za najmniejszy ślad niesubordynacji kula w łeb. Jasne?

- Jasne, panie komendancie!

- Dziękuję - powiedział Znicz, nim się rozeszli.

Rankiem do obozu dotarł lekarz.

- Podporucznik Żar - zameldował się rotmistrzowi. - Doktor nauk medycznych. Mam złe wiadomości, panie komendancie. Tych dwóch chłopców, których pan po nas posłał, nie żyje. Niemcy. - Pokiwał głową. - Ledwie umknęliśmy z pościgu, ale po ciała nie mogłem wrócić.

- Umknęliśmy? To nie jest pan sam, doktorze?

- Z żoną. Poszła już do ranego. - Żar, widząc, że komendant wykrzywił brwi, dodał szybko: - Jest pielęgniarką, sanitariuszką. Zaprzysiężona, pseudonim Irtysz. Placówka we młynie spalona. Nie mamy dokąd wracać, panie komendancie.

- Zostaniecie z oddziałem. I witam serdecznie.

No to sprawa bab rozwiązała się sama - pomyślał. Po kilku dniach wyszło na jaw, że się myli.

- Nie leczone otarcia z dnia na dzień pogarszają stan stóp pańskich żołnierzy. Chłopcy, zwłaszcza ci nowi, chcą grać chojraków przed starszymi i się nie przyznają. Jak tak dalej pójdzie, za dwa tygodnie to będzie oddział kalek - oświadczył mu doktor i natychmiast miał

gotowe rozwiązanie: - Moja żona mogłaby przeszkolić kilka dziewcząt na sanitariuszki. Podporucznik Kret mówił, że jego siostry...

Jezu? To już obie się tu wybierają?! - pomyślał w panice Zdanowicz i szybko zareagował.

- Dobrze, dobrze, doktorze. Zaczniemy od szkolenia samych żołnierzy. Partyzant musi sam dbać o swoje nogi.

Oddział rósł. Po akcji pod Borowem stale napływali ochotnicy. Synowie okolicznych gospodarzy, błogosławieni na drogę przez ojców i matki. Jeszcze kilku z dawnej bandy Liska, którzy szli, szukając Orła. Rozdzielił ich między różne plutony. Piętnastu Gruzinów, dezertków z armii Własowa, czy też raczej ROA, którzy tak samo nienawidzili Niemców jak Sowietów. Ci byli przeszkoleni, karni i zorganizowani. A między nimi jeden okazał się dobrym kucharzem. Kolejni byli sowieccy żołnierze, uciekinierzy z obozów jenieckich, którzy mając do wyboru partyzantkę narodową albo ludową, bez wahania wybrali tę pierwszą, tłumacząc tak samo jak Gruzini:

- Dla nas Gitler i Stalin odin diabol.

- Joseph Vendrix - przedstawił się kolejny z ochotników.

- Francuz? - Zdanowicz starał się nie uprzedzać do nieznanego.

- Nie, Belg.

- A, to serdecznie witamy! Belg? Skąd Belg w Polsce?

- Wcielili go siłą do Wehrmachtu. Nawiał z transportu na front wschodni - wytłumaczył Vendrixa Lampart, który go przyprowadził. - Uczy się polskiego, na razie słabo mu idzie, ale „bić Niemca” powtarza z zapamiętaniem.

- Muszę zameldować dowództwu o wszystkich nowych - powiedział Ząb do Stepa, patrząc z oddali na szkolącego ich Zagłobę. - Mam nadzieję, że nie zmienią nam nazwy z Narodowych na Międzynarodowe Siły Zbrojne.

- To się pan wstrzyma jeszcze, panie komendancie.

- A co?

- A, bo to nie wszystko. Zwiadowcy przyprowadzili rano jeszcze jednego. Właściwie to przynieśli, bo był zbyt wycieńczony, żeby iść o własnych siłach. Uciekinier z transportu do obozu śmierci, młody chłopak. Doktorowa Irtysz wzięła go w swoje ręce.

- Mamy Gruzinów, Rosjan i Belga. A nowy to kto?

- Żyd, panie komendancie. Tylko że moi chłopcy jeszcze mu nie powiedzieli, że my jesteśmy NSZ. Był taki słaby, bali się, że może z nerwów zemdleć.

- Aleksander Szandcer - przedstawił się chłopak, gdy Zub-Zdanowicz odwiedził go w

szałasie, który służył za izbę chorych.

- Nie wstawaj, co się wyrywasz - uspokoił go Ząb, ale chłopak, widząc polski mundur, koniecznie chciał stanąć na baczność. Był chudy. Tak przeraźliwie chudy, że Irtysz odwracała głowę i wycierała płynące jej po policzkach łzy.

- Ile masz lat?

- A ile powinienem mieć, żeby mnie pan komendant przyjął do oddziału?

- Zuch. Masz w sam raz tyle, ile trzeba. I jesteś dobry z matematyki - pochwalił go rotmistrz. - Powiedz coś o sobie. I usiądź, na miłość boską.

- Powiem - wyszeptał - ale nie usiądę. Żołnierz nie może siedzieć, gdy dowódca stoi.

Irtysz podsunęła Zębowi stółek, mimo to chłopak nie chciał usiąść.

- Moich rodziców wywieźli z getta warszawskiego do Trebinki dwa tygodnie przede mną. Uciekłem z transportu. Włóczyłem się po lasach od kwietnia. Weźmie mnie pan do oddziału?

Czarne, wielkie oczy chłopca były jak w gorączce.

- Wezmę, jak się podkurujesz. Na razie broni byś nie uniósł.

- Panie komendancie! Dziękuję panu!

- Chłopak szybko dochodzi do siebie - pogładziła go po włosach Irtysz.

- Tak? - ucieszył się Ząb. - No to słuchaj, Aleksander. Jak tylko doktor pozwoli, zostaniesz żołnierzem Narodowych Sił Zbrojnych... Twarz chłopaka, jeszcze przed chwilą rumiana od wzruszenia, zbladła. W jego oczach odbił się paniczny lęk, nogi się pod nim ugięły i zemdlął.

- Psiakrew! - podnosił go z ziemi rotmistrz. - On chyba się nie nadaje do partyzantki.

- Nadaje się - oświadczyła sanitariuszka, kładąc chłopca na polowym łóżku. - Tylko, za przeproszeniem, pan komendant nie ma zmysłu dyplomacji.

- Ja? Ja mam talent do ludzi! - oburzył się Zdanowicz, a chwilę potem zadumał.

A co, jeśli wraz z czyszczeniem mojej kartoteki przed skokiem ujęto mi ten cenny dar?

Kilka dni później przyszedł do nich zwarty, trzydziestoosobowy oddział spod Biłgoraja.

- Ojciec Jan - przedstawił się dowódca, krępy porucznik i widząc pytające spojrzenie Zdanowicza, dodał: - Osoba świecka.

- NSZ?

- Nie. Najpierw NOW, potem w tej części organizacji, która podporządkowała się AK. Podlegałem pod Okręg Rzeszów. Ale tutaj, w biłgorajskim, nie miałem kontaktów z

dowództwem. Dowiedziałem się, że koncentruje pan oddziały, i doszedłem do wniosku, że oddam się pod pańską komendę.

- A co będzie, jeśli AK upomni się o pana? Ojciec Jan wzruszył ramionami.

- To się im zamelduję. Bierze nas pan, rotmistrzu?

- Biorę.

Ponad setką ludzi Zub-Zdanowicz ruszył na południowy wschód. Dzień później musiał odbyć podobną rozmowę.

- Wachmistrz Tarzan i oddział Kawalerii Zawichojskiej - zameldował mu się kolejny ochotnik. - Z porucznikiem Stepem już niejedną akcję wspólnie zrobiliśmy.

- Zawichost? - zdziwił się Zdanowicz. - To pan przeprawiał się z lewej strony Wisły?

- Tak jest, panie rotmistrzu. Jak to mówią, sława pana wyprzedza. Chcę oddać się pod pana rozkazy. Wprawdzie, jak Ojciec Jan, jestem w NOW, tej, co została wcielona do AK, ale wie pan, jak jest, panie rotmistrzu; w Warszawie coś ustalą, a w terenie nie tak prosto zorganizować, jeszcze nie oddałem się pod rozkazy. Zresztą ponoć połączenie AK i NSZ to kwestia dni, więc co za różnica? Bierze nas pan, panie rotmistrzu?

Uśmiechnięta twarz Tarzana podobała mu się bardzo. Ale odpowiedział:

- Nie biorę.

- Dlaczego? Panie komendancie... - Step wstawił się za Tarzanem.

- Wziąłbym, ale nie mogę. Po kieleckiej stronie operuje oddział AK Ponurego. Proszę dołączyć do tego oddziału. Tarzan był niepokieszony.

- Ale ja chcę do pana rotmistrza! Znam Ponurego, on taki cichociemny...

Step parsknął śmiechem i poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Nasz pan rotmistrz bardzo ceni sobie dyplomację. Nie zdałeś.

- O co chodzi? Ja nie rozumiem...

- Chodzi o to... - zaczął Step, ale rotmistrz mu przerwał.

- Chodzi o to, że jeszcze w Warszawie umówiłem się z Ponurym, że ja będę operował po lubelskiej, a on po kieleckiej stronie. I umówiliśmy się na współpracę. Nie mogę mu teraz przejąć tak zacnego oddziału jak pana, wachmistrzu Tarzanie.

- A, rozumiem. Ale czy skoro panowie są w tak świetnych stosunkach, to nie mógłby mnie pan rotmistrz wziąć pod swoje dowództwo? Polubownie? Proszę.

- Nie mogę. Jak pan widzi, panie kolego, zmierzamy do tego, by utworzyć regularne, leśne wojsko. A wojsko ma swoje zasady. I jak się ich nie będzie przestrzegać, to wojsko się co?

- Rozlezie! - smutnym chórem powiedzieli oficerowie Zęba, już dawno po szkoleniu

taktycznym.

- Tak jest. Rozlezie. A tego nie chcemy. Nawet jeśli pańska obecność, i Kawalerii Zawichojskiej, jest nam bardzo miłą. I proszę ode mnie pozdrowić porucznika Ponurego.

- Tak jest - odpowiedział Tarzan, jakby mówił coś przeciwnego.

- Zagłoba! Jak tam się sprawuje nasz Orzeł? - zaczął rotmistrz odprawę oficerską.

- Nie lata - krótko zameldował porucznik.

- A dziobie? - dopytał Kret.

- W sensie, że po wsiach nie lata, trzyma się oddziału, niesubordynacji nie stwierdziłem, choć chciałem. Nie modli się - znalazł jednak coś na jego niekorzyść Zagłoba.

- Teraz to chyba obowiązku nie będzie - wtrącił dość kwaśno Kret i zrobił minę, która miała być isticie żydowska.

- A antysemityzm kolegi jest ideologiczny czy to coś osobistego? - spytał go Zdanowicz z naukowym zainteresowaniem. Wiedział przecież, że w majątku jego matka i siostry ukrywają Żydów i że Kret im w tym pomaga.

- Chodzi o orła - poważnie odpowiedział Kret.

- Mój Orzeł jest narodowo w porządku, tylko właśnie ideologicznie niewyrobiony - zaoponował Zagłoba. Zdanowicz zauważył to „mój”.

- O orła na mundurze. - Wyprostował się Kret. - Jakeśmy uciekali Sowietom we wrześniu, w sensie, wyrwaliśmy się z kilkoma kolegami tuż przed rozbrojeniem i szliśmy na Lublin, to w Rejowcu wyszło naprzeciw nam kilku Żydów. Wszyscy już mieli czerwone opaski na rękawach i uzbrojeni byli przez ruskich. Jeden, rudy jak nieszczęście, podchodzi do nas i mówi do mnie: „Zdejmij te gąsie”. Ja go nie zrozumiałem, co on tam fafluni. To on mi jaśniej: „Gąsie zdejmij!” i pokazuje, panie komendancie, na mojego orzelka, com go miał na polówce. Chryste na niebie, nie wytrzymałem. Jak odwinąłem mu w pysk, to kozła w powietrzu wyciął i karabin mu z ręki wypadł. Na to się zrobił szum i w jednej chwili piętnastu nas pod bronią trzymało. I pod ścianę, że niby nas rozstrzelają. Na szczęście tak długo rudy kolegów instruował, że jak wydawał dyspozycje, na rynek wjechał patrol sowiecki. Starszyna, dowódca patrolu, zamiast Żydka, mnie spytał: „Szto eto?”. Ja po rusku mówię słabo, ale się postarałem i mówię do niego: „Wy żołdat?”. On kiwa, że tak. „Ja tożę żołdat”.

I pytam go: „Kak by was Jewrej w mordu bił, to wy by tak patrzeli?”. Starszyna na to: „Uch, to ja by jego ubił!”. I widzę, że on zrozumiał, co tu się stało. Poczerwieniał i ryknął na Żydów, dalej ich rozpędzać. A oni skarżą: „Nie, to bandytnik, my jego rozstrzelamy!”. I to go rozsierdziło jeszcze bardziej. Gwizdnął na swoich, na samochodzie, oni wycelowali w Żydów. Kazał nam wskakiwać na pakę. Dopiero jak wyjechaliśmy za Rejowiec, spojrzeliśmy

po sobie, że chyba z deszczu pod rynnę.

- I co? I co było dalej?

Kret wzruszył ramionami i zarumienił się nieśmiało.

- Zatrzymali samochód pod wsią Brzoza. Usiedliśmy w rowie. Starszyna wyjął wódkę, jeden z moich kolegów wyjął drugą wódkę. Soldaty wyciągnęli słoninę i chleb i...

- Z Sowietami piłeś!

- Uhm. - Kret spojrzał na nich zawstydzony, ale odpowiedział twardo: - Z Sowietami piłem, bo nam życie prawdopodobnie uratowali. A tego, żeby mnie Żyd miał rozstrzelać, to bym nie zniósł!

- Tak po prawdzie, to byś nie musiał - wtrącił się, dusząc ze śmiechu, Step, a Kret miał ochotę mu przylać, ale się powstrzymał, przy komendancie.

- W każdym razie od tamtej pory z Żydami mam na pieńku.

- Skoro mi pan komendant kazał się opiekować Orłem, choć go chciałem strzelać - wszyscy wiedzieli, do czego zmierza Zagłoba - to pewnie Kretowi da pan komendant pod opiekę tego młodego Żydka.

- Nie, on jeszcze za słaby. Mógłby służby u porucznika Kreta nie znieść. No dobrze, koledzy oficerowie, okropnie niepoważne z was wojsko. Wyjaśniliśmy sobie parę spraw, czas na konkrety. Poruczniku Znicz, weźmie kolega Orła i ruszy z powrotem w kraśnickie. Będziecie ścigać zabójców spod Rzeczycy. I przy okazji liczę na rekrutację do oddziału.

- Tak jest! - W oczach Znicza zapaliły się iskry. Zdanowicz zauważył to i dodał całkowicie poważnie:

- Nie pomył anioła z demonem. Znicz zastygł. Spojrzał na rotmistrza.

- Zemsta jest złym przewodnikiem.

Każdy z nich o czymś pomyślał i po chwili Zdanowicz skończył:

- My ruszamy na południe. Ludność musi wiedzieć, że jesteśmy i że mogą na nas liczyć. A poza tym dozbroić się trzeba!

Kilka dni później klął w duchu, że przy jego pechu nawet dobre uczynki się mszczą. Owszem, liczebność i sprawność oddziału robiła wielkie wrażenie na miejscowych. Ale i budziła głupców. W jednej z wsi komendant miejscowej placówki NSZ, zwany Grubym Maćkiem, co nie było złośliwe, a tylko dosadne, tak się podekscytował, widząc ponad setkę partyzantów, że przybiegł wraz z kilkoma ludźmi do Zdanowicza i gardłował:

- Panie rotmistrzu! Jak to dobrze, że pan do nas przyszedł! U nas, w Kuryłówce, jest posterunek niemiecki!

- W każdej większej wsi, panie Gruby Maćku, jest posterunek niemiecki - uspokoił go

Zdanowicz łagodnie.

- No tak, ja wiem! Ale jak pan, panie komendancie, ma tyle wojska, to, panie komendancie, trzeba skorzystać z okazji i zrobić tych Niemców!

Zdanowicz milczał, bo byli w większym gronie i nie chciał przy podwładnych Grubego Maćka rugać. Milczał.

- Oj, panie rotmistrzu! A co się panu w brew stało?! Wstał, ujął Maćka pod gruby łokieć i zaproponował:

- Przejdziemy się kawalek? - I choć uściśnął go za ten łokieć mocno, Maćka to nie otrzeźwiło.

- Oj tak, zrobić tych Niemców, zrobić!

Odeszli wystarczająco daleko, by nikt ich nie słyszał. Wtedy spytał uprzejmie:

- Panie Gruby Maćku, czy pan na pewno jest komendantem wsi Kuryłówka?

- Oj tak, jestem, jestem!

- I pan, jako komendant wsi, mówi do mnie: zrobić tych Niemców. A jak ja ich zrobię, to co pan robi jutro, kiedy ja odejdę, a Niemcy prześlą do Kuryłówki posiłki? Co?!

Maciek zamrugął. Powieki też miał jakby grube. Zub-Zdanowicz uniósł głos jeszcze bardziej.

- A najbardziej mnie interesuje, co zrobią Niemcy w odwecie za to, że ja ich zrobię?!

- Spalą wieś... - wystękał Gruby Maciek.

- Otóż to, panie Maciek. Otóż to. I dlatego, panie Maciek, ja tych Niemców robić nie będę!

- Tak jest, panie komendancie! - wrzasnął gruby komendant wsi Kuryłówka i zwiął.

A Ząb ze smutkiem pomyślał, że ten też na Zagłobę za głupi. Choć w sam raz gruby.

*

Lokal konspiracyjny GL, Kraśnik, Generalne Gubernatorstwo. Sierpień 1943 roku

Dziewczyna w okularach wybiega z pokoju, trzymając w ramionach plik papierów. Jest przerażona. Jakub stoi przy oknie, patrzy na ulicę. Kruk, szef propagandy, nerwowo stuka w blat stołu. Łysy, komendant kraśnickiej GL, poczerwieniały na twarzy. Przypomina syfon, który za chwilę wybuchnie. Widać, że na coś jeszcze czekają. Kruk nadśluchuje głosów z korytarza. Napięcie w Łysym rośnie. Jakub udaje, że najbardziej na świecie interesuje go widok z okna. Słysząc stuk obcasów na korytarzu. Dziewczyna wbiega z butelką wódki i jedną szklanką. Stawia je na biurku i ucieka.

Kruk wstaje, polewa pół szklanki wódki, wręcza Łysemu. Ten pije jednym haustem. Spuszcza powietrze. I ryczy:

- Ja wam zleciłem działalność oświatowowychowawczą, a wy mnie, kurwa, nie zrozumieliście! Tacy niby kształceni! Tacy niby inteligencja socjalistyczna! A może wy głusi jesteście?! Co?! Głusi!

Krzyczy do Jakuba. Jakub odwraca głowę od okna.

- Gestapo mi ucho naderwało, ale nie urwało. Dobrze słyszę. Jeśli jednak towarzysz komendant życzy sobie, żeby i inni słyszeli, to proszę krzyczeć, proszę się nie krępować.

- Ty mnie, towarzyszu „świtowcu”, nie pouczaj! Wódki! Wódki, bo oszaleję!

Kruk szybko dolewa mu i Łysy znów jednym haustem wypija. Uspokaja się na chwilę.

- Jak ja wam zleciłem polityczne uświadamianie band rabunkowych, wcielanie ich w nasze szeregi, ideologiczną resocjalizację, to co tu jest, kurwa, do spieprzenia?! A jednak można! Uczyć ich mieliście, nie strzelać! Jasna cholera! Kruk!...

Kruk dolewa dowódcy. Ten tym razem pije po łyeczku, jak syrop. Siada ciężko na krześle, pociera głowę dłonią.

- Pomyliliście, towarzyszu Jakubie, taktykę walki czynnej PPR, która ma tworzyć nastroje rewolucyjne wśród ludności, z czynnym, kurwa, zabijaniem! Co wy, towarzyszu, żandarmem jesteście czy innym, za przeproszeniem, prawym i sprawiedliwym? Ja pierdolę, z kim ja pracuję... Przecież nam teraz żaden z dzikich band nie zaufa, do nas, kurwa, nie przyjdzie!

- Towarzyszu komendancie - odzywa się Kruk - a ja widzę w czynie towarzysza Jakuba polityczny potencjał.

Jakub podnosi na niego wzrok. Jest zaskoczony, bo do tej pory był przekonany, że Kruk to idiota.

- Należy teraz rozgłosić, że GL rozprawiło się z hersztem bandy złodziejskiej Liskiem. Co będzie prawdą, bo towarzysz Jakub go strzelił. Tytuł widzę taki:

ZA BANDYCKĄ SAMOWOLĘ GWARDIA LUDOWA KARA KULĄ W ŁEB!

- Nie, to powinno być grubym drukiem.

ZA BANDYCKĄ SAMOWOLĘ GWARDIA LUDOWA

KARA STANOWCZĄ KULĄ W ŁEB!

- I niżej, coś w rodzaju:

W NASZYCH SZEREGACH NIE MA MIEJSCA NA RABUSIÓW I GWAŁCICIELI.

KTO NIE CHCE NAWRÓCIĆ SIĘ...

- Przepraszam, przejęczyłem się. Oczywiście „zawrócić”.

KTO NIE CHCE ZAWRÓCIĆ ZE ŹŁE WYBRANEJ DROGI, MUSI ZGINĄĆ, BO

LUADOWA OJCZYZNA BRONI SWYCH SYNÓW I OBYWATELI...

Jakub zapina marynarkę, idzie do wyjścia. Przed drzwiami staje i mówi do Łysego:

- Ja tu nie pracuję w propagandzie. Będziecie mieli kolejne zadanie, to wiecie, gdzie mnie szukać.

Otwiera drzwi ostrożnie, by dać odskoczyć podsłuchującej dziewczynie.

*

Lasy pod Małogoszczą, Generalne Gubernatorstwo. Wrzesień 1943 roku

Żbik z przyjemnością patrzył na dwanaście zdobycznych karabinów maszynowych. Kazał je ułożyć równiutko. Ale z jeszcze większą radością patrzył na drugie tyle mauzerów. Pierwsza akcja z jego nowym oddziałem, rozbrojenie Niemców na posterunku w kolonii Marianów. Wraz z awansem na porucznika i przydziałem oddziału leśnego od Komendy Powiatu Włoszczowa dostał rozkaz:

- Wyszkolić, dozbroić, zorganizować i do roboty.

I rozkaz wykonał. W części „dozbroić” i „do roboty” wykonał od ręki. Czas na „wyszkolić”, no bo już ma na czym.

- Mauzer K98 - powiedział Żbik do swoich, od miesiąca, ludzi - jedyna rzecz, oprócz piwa i Marleny Dietrich, która się Niemcom udała absolutnie. Jeśli komuś w miłości przeszkadza narodowość, niech zapomni, że mauzer jest Niemcem. I pokocha. Jak się będziecie z nim dobrze obchodzić, to prędzej dziewczyna was zawiedzie, niż ten karabin. Ładowanie! - Wziął od strzelca Sowy naboje i pokazał. - Dzięki naprzemiennemu układaniu amunicji, co całkowicie umiejscawia pestki w łożu broni, nie wystaje z niej żaden magazynek.

Pokazał chłopcom, że mają się odsunąć z linii strzału, i przyłożył mauzera do obojczyka.

- Celowanie! Teoretycznie odpowiada za nie matka natura - puścił im oko - ale kilka drobnych podpowiedzi pomoże oszukać i ją.

Wystrzelił. Przeładował. Wystrzelił. Przeładował.

- Jak się będziecie do siebie zanadto tulić w czasie strzelania, to towarzysz może dostać łuską w policzek, ale to nic takiego. Zęba nie wybije. Czasami, no, nawet często, kulka się blokuje. Dlatego warto załadować nie pięć, a trzy, co drugą.

- Ale to potem dłużej trwa, panie komendancie - jęknął szeregowy Torpeda. Nie, to był szeregowy Jeż. Żbik za punkt honoru miał zawsze zwracać się do chłopców osobiście.

- Szeregowy Jeż. Zanim zostaniesz u mnie starszym strzelcem, będziesz tak szybko ładował mauzera, że żadna to dla ciebie nie będzie różnica, czy zrobisz dwa razy po trzy czy

raz po pięć. Zrozumiano?

- Tak jest! - poczerwieniał Jeż, ale z dumy.

- Kapralu Tygrys! Poprowadź szkolenie.

- W chowanego? - spytał piegowaty niczym indyjskie jajo Tygrys i uśmiechnął się szelmowsko.

- W chowanego! - pochwalił domysłność Żbik.

Jak się nudzili na Oksywiu z Grzmotem, to rozkładali trzy różne typy karabinów, mieszała ze sobą części, nakrywali kocem i po omacku, tylko na dotyk składali na czas. To oczywiście była niezła sztuczka, ale nie widział powodu, dla którego jego żołnierze nie mieliby się tego nauczyć.

Odczekali w lesie jeszcze dwa dni, ale kiedy łącznicy z kolonii Marianów donieśli, że Niemcy skończyli przeszukiwania, ruszyli w stronę Małogoszczy. Tam pod lasem był folwark, Żbik znał dobrze rodzinę właścicieli jeszcze z czasów sprzed gestapo i spodziewał się serdecznego przyjęcia.

Drzwi i okiennice były szczelnie zamknięte.

- Pani Katarzyno! - grzecznie zapukał Żbik. Cisza.

- Pani Katarzyno! - załomotał. Cisza.

- Pani Kasiu, to ja! Ja!

- Jaki ja? - usłyszał zduszony męski głos zza zamkniętych drzwi.

- Romek? - poznał syna gospodarzy. - Romek, to ja.

- Jaki ja? Kto przyszedł?

- Wojsko Polskie! - radośnie oznajmił Żbik.

W środku zapanował rumor, coś jak barykadowanie.

- Nie! - gniewnie i z lękiem krzyknął zza drzwi Romek. No na pewno Romek, co to nie pił z nim?

- Romek, do diabła, otwieraj, to ja, Żbik! Szepty, naradzanie. Kobięcy głos, pani Kasi.

- Pan Żbik? To niech pan pokaże twarz. Tu, do dziury w okiennicy. Jezu, ale maskarada. Uśmiechnął się do szpary.

Gwałtowny hałas. Odsuwanie barykad, otwieranie drzwi i pani Kasia, ze łzami w oczach, wyskakuje, prosto na szyję Żbika.

- Panie Żbiku kochany! Jezus, Maria, jak dobrze pana widzieć! Co myśmy tutaj przeszli!

I ściska go, i dusi, i całuje. Płacze i śmieje się na przemian.

Siadają w kuchni, w salonie, w dawnym salonie, okropny bałagan.

- Jeszcześmy nie zdążyli uprzątnąć. Romuś cały dzień tę zasuwę zbijał - pokazuje na coś w rodzaju drugich drzwi.

- Przyszli w nocy, mówili, że są Wojsko Polskie. Mama otworzyła, a jakże. Znasz mamę, Żbik. Chleb, sól, całowanie, bo nareszcie polskie mundury...

- Orły mieli?

- Mieli, a jakże! Co mieli nie mieć. A oni ledwie weszli, jak na nas, z mordami...

Pani Kasia grozi Romkowi palcem.

- Synku, to, że oni wulgarnie mówili, nie znaczy, że tobie wolno takie rzeczy powtarzać.

- Mamuś, jak ja przekleństwa wytnę, to niewiele zostanie z tej ich przemowy.

- Pan Żbik się domyśli. Hamuj się, Romuś, bo nie jesteś chamem. Romek robi oczy do Żbika, Żbik potakuje. Pani Kasia tu rządzi.

- Najpierw wiesz, to co mama nie pozwala powtarzać, potem burzuje, skończyło się wasze panowanie, potem przekleństwa, koniec z wyzyskiem, przekleństwa, przekleństwa, przekleństwa.

- Brali jak leci. - Pokręciła głową pani Kasia i znów łzy jej popłynęły po policzkach. - Portret mojego męża, wie pan, ten z wąsami, to kolbą karabinu rozbili, ja pokażę. - Wstaje i wyciąga do Żbika rękę.

- Później, mamuś, później. Zabrali dwie ostatnie pary koni, wóz, wszystkie krowy, kury, gęsi i świnię. Jak mama na kolanach błagała, żeby zostawili te zapisane, wiesz, na kontyngent, to skur... taki jeden uderzył mamę.

Pani Kasia odchyła piękne blond włosy z czoła. Żbikowi zaciskają się pięści.

- I jeszcze, jakby im było mało, z powrotem do domu wrócili i do komód, do szaf. Dlatego w salonie taki bałagan. Garnitur stołowy, co go w posagu wniosłam. Wie pan, obrus ze stołu ściągnęli i w ten obrus załadowali. A potem po pokojach i do sypialni, i kołdry, i poduszki, i ubrania i z tego wszystkiego to nawet moją bieliznę osobistą zabrali. - Pani Kasia uniosła się gniewem i ryknęła płaczem. - Po kiego diabła partyzantom moje jedwabne, koronkowe majtki?!

- Mamo! Nie wypada! - zaczerwienił się Romek. - Panowie wybaczą, to wzburzenie.

- Zrobimy tak. Rozłożę ubezpieczony obóz tu, w lesie. Zaczaimy się dzień, dwa, może wrócą - oznajmił Żbik.

- Wrócą, wrócą. Najważniejszego nie zdążyłem powiedzieć. Ten starszy, co dowodził, kazał zebrać dziesięć tysięcy złotych kontrybucji i powiedział, że przyjdą po nie.

- Uff. Od tego trzeba było zacząć. No dobra, to my znikamy, żeby nie przepłoszyć

ptaszków.

Rozstawił posterunki nie tylko przy drodze wiodącej do majątku, ale i od strony lasu. Nawet sarna, gdyby oczywiście miała ochotę się tu zapuścić, nie prześlizgnęłaby się. Nad samym ranem plutonowy Ryś przyprowadził do niego dwóch osobników. Starszy i młodszy, w mundurach Korpusu Ochrony Pogranicza. Tylko buty mieli cywilne.

- Skradali się, panie komendancie, od wschodniej strony, przez tę dróżkę w lesie.

- Od kogo jesteście? - spytał Żbik, świecąc im latarką po oczach.

- Polska Walcząca! - krzyknęli jak na komendę.

- Czego szukacie?

- My się dowiedzieli, że tu stoją partyzanty, to my się chcieli dołączyć - odpowiedział starszy.

- Oddział. Pseudonim dowódcy. - Błysnął im po oczach.

- Polska Walcząca! - jęknął ten młodszy.

- Nazwiska - warknął Żbik.

- Jałocha.

- Kościołek.

- Gdzie mieszkacie?

- W Koniecznie.

Żbik spuścił latarkę i zahukał. Strzelec Sowa przybiegł natychmiast.

- Sowa, ty jesteś z Konieczna?

- Tak jest.

Żbik poświecił po „Polsce Walczącej”.

- Znasz ich?

- Stary to Jałocha. A młodszy, zdaje się, Kościołek, panie komendancie.

- Dobra, prowadźcie „wojsko polskie” do majątku.

Romek nie miał wątpliwości, choć obaj przyłapani krzywili pyski wręcz niemożliwie. Tak ich latarka raziła.

- To oni. Ale było ich więcej. Ten - wskazał na Jałochę - rozbił głowę mamie. I najwięcej kłął. Jak chcesz, mogę powtórzyć jak, mama nie słucha.

- Nie trzeba, Romuś, nie trzeba. Jesteś pewien, że to oni?

- Jak Boga kocham.

Pani Kasia potwierdziła.

- Kapralu Bem, kapralu Dąb. Weźcie każdego do osobnego pokoju i wybadajcie, co to za „Polska Walcząca”.

Po godzinie mieli zeznania.

- GL, banda rabunkowa Garbatego. Przyznali się do osiemnastu napadów rabunkowych. Mamy wszystko, miejsca i daty napadów, nazwiska obrabowanych gospodarzy i ziemian. Wydali trzy meliny, gdzie trzymają zrabowane łupy.

- Ja nie... panie komendancie... ja nie... - płakał Jałocha. - Ja mam żonę i dzieci, ja przysięgam, że nigdy więcej... ja z biedy to robiłem, Garbaty mnie zmusił...

- Panie komendancie, litości, ja będę się za pana komendanta do końca wojny modlił, przysięgam... mam czwórkę drobnych dzieci... - zebrał zmiłowania Kościółek.

Żbik odwrócił się i wyszedł przed dwór. Już było jasno i chłodno.

Ja się do tej roboty nie nadaję - pomyślał, odpalając papierosa. - To samo było w Wielgomłynach, jak miał zrobić tego sekretarza gminy. Przyszła matka staruszka i jej łzy sprawiły, że nie wykonał wyroku. A ta Kaczmarek, kurwa i konfidentka? Jak na niego popatrzyła tymi oczami, to gotów był...

Ale nie wolno mu. Za kilkanaście napadów z bronią w rękę? Ma ich zeznania, ma świadków. Kiedy to egzekutorzy w czasie wojny mają taką komfortową sytuację? Ile razy strzelają niepewni, czy do właściwego sprawcy? Każdy nie oddany strzał się mści - macha do niego wesoło przez mgłę poranka dziad żebrak z gajówki.

Zdeptał papierosa.

- Ryś, Tygrys, Bem, Lisowski, Dąb, Henryk i kto tam stoi?

- Strzelec Jacek! - wyprężył się łagodny, niski brunet.

- I strzelec Jacek, proszę za mną.

Zamknął się z nimi w pokoju. Odczytał zeznania.

- A teraz weźcie kartki i napiszcie, według własnego sumienia.

„Tak” znaczy śmierć. „Nie” to wolność. I wrzucicie do mojej czapki.

- A pan komendant? - zapytał Lisowski. Lisowski zawsze o wszystko lubił się dopytać.

- Ja już podjąłem decyzję.

Siedem razy „tak” - odwijał kartki przy nich.

Wyrok wykonali następnej nocy, w lesie, podczas przemarszu.

- Zawsze, kiedy tylko to jest możliwe, jak najdalej od ludzkich siedzib. I od miejsca, w którym popełniono przestępstwo. Zakopcie ich. Ja idę pisać raport.

*

Lokal konspiracyjny, Warszawa, Generalne Gubernatorstwo

- Otmar, ty znasz tego Zub-Zdanowicza?

Jaxa jest zdenerwowany. Wawrzkowicz kuśtyka wokół stołu i to rozprasza Jaxę jeszcze bardziej.

- Przeszedł do nas z AK. Skoczek z Anglii. Żochowski go zna dobrze i pułkownik Oziewicz. Był u niego szefem ochrony sztabu, czy coś.

- Oziewicz w obozie.

- Wiem. - Otmar zatrzymał się na chwilę. - Mówisz, jakby to była moja wina. Co jest?

- Idę się tłumaczyć. Pechowa sprawa. Zdanowicz z oddziałem Akcji Specjalnej NSZ zlikwidował w Lubelskiem bandę rabunkową złożoną w większości z członków GL.

- To wiem. Dobrze zrobił, od tego jest Akcja Specjalna. Egzekutywa, wyroki.

- Tak. Sądził ich i skazał za zdradę Ojczyzny. Zwolnił jednego Ruskiego, jako niewinnego zdrady. Wypuścił go.

- Szkoda. - Zmartwił się Otmar. - To nie mógł go gdzieś puknąć na boku?

- No nie. Zub-Zdanowicz jest prawnikiem z wykształcenia i uznał, że Sowiet za zdradę nie będzie sądził, bo nie należy. A ów Sowiet okazał się radiotelegrafistą. I to, że tamtejsza Gwardia Ludowa narobiła rabanu, to jedno. Ale Sowiet nadał meldunek wprost do swoich i Stalin się wściekł. Wywrócił to do góry nogami i w rozmowach z Churchilllem zrobił z nas „Polskich faszystów, którzy mordują sojuszników oraz rodaków w bratobójczej wojnie”. Churchill chodzi, jak mu Stalin zagra, i objechał Naczelnego Wodza. Naczelnym do Bora, Bór do nas. Złożyliśmy odpowiedni meldunek i na razie przyszło.

- To czemu się martwisz? Mało mamy roboty? Może tylko trzeba dać wytyczne dołom, by na drugi raz wspaniałomyślnie nie ułaskawiały.

- Nie podoba mi się użycie zwrotu „polscy faszysci” - powiedział poważnie Jaxa. - Są rzeczy, które jak raz przylgną, trudno zeskrobać.

Otmar Wawrzkowicz zaczął się śmiać.

- Jaxa, ale to jest tak bezdennie głupie, że chyba sam nie wierzysz, by ktokolwiek wobec NSZ mógł choćby tak pomyśleć! Poszczekają, poszczekają i przestaną.

- Nie, przyjacielu. Z gabinetu towarzysza Stalina wychodziły jeszcze bardziej irracjonalne rzeczy i od razu stawały się objawioną prawdą. Nic, co raz przyszło mu do głowy, nie zginie. Będzie tym szastał tak długo, aż...

- Aż co?

Jaxa zatrzymał się, popatrzył na Otmara i roześmiał sucho.

- Nie, masz rację. To głupie.

*

Lasy biłgorajskie. Wrzesień 1943 roku

- Podporucznik Sęk, Kompania Warszawska AK - wysapał spocony mężczyzna w polówce.

- Spocznij, spocznij. Gonił nas kolega z AK, że taki umęczony? - troskliwie zapytał Ząb.

- Nie... goniłem... szukałem...

- To jest komendant Kompanii Warszawskiej - szepnął Zębowi na ucho Step. - Komendant największego zgrupowania AK pod Biłgorajem.

- Rzędzian! Wody panu komendantowi podaj! - krzyknął Ząb, który wziął Rzędziana na ordynansa. - Długo nas kolega komendant szukał? - z zaciekawieniem dopytał Sęka.

Ten spojrzał nad niego znad kubka wody i nie odpowiedział.

- Proszę się nie przejmować. To вина porucznika Stepa. Jak przyszedłem objąć oddział, to dwa tygodnie go szukałem.

- Mówili panu „właśnie wyszli” albo „powinni być jutro”? - odprężył się Sęk.

- Albo „mieli być za tydzień, ale wczoraj poszli gdzie indziej” - współczuł mu Ząb.

- Się panowie komendanci cieszą, bo zawsze mogło być, że „jesteśmy po kieleckiej stronie Wisły” - obruszył się Step.

- Ależ my się cieszymy. To największy komplement dla oddziału partyzanckiego, że jest ruchliwy. Laurka.

- Laurka. - Kiwnął sam sobie głową Step.

- No dobrze, kolega komendant się napił, czekamy.

- Kapitan Żegota prosi pana rotmistrza Zęba o pomoc w akcji.

- Co to takiego?

- Planujemy uwolnić więźniów z biłgorajskiego gestapo. Jutro przed południem rusza konwój.

- Jutro? Mało czasu. Nie mogliście dać znać wcześniej? - Rotmistrz ruszył brwią i skojarzył. - Ach tak, przepraszam. Próbowaliście. No dobrze, oczywiście wchodzę w to. Ma pan szczegółowe rozkazy?

- Tak. Akcja jest wspólna, zaangażowaliśmy cztery oddziały AK: Woyny, Norberta, Podkowy i Podlaskiego. Do tego moja Kompania Warszawska i wy. Całością dowodzi kapitan Żegota. My, z oddziałami AK, zaatakujemy miasto od wschodu, wy ubezpieczycie od zachodu. I jeszcze chciałbym prosić o odkomenderowanie do mnie jednej drużyny z bronią maszynową, do ochrony naszych taborów. Gdybym mógł, wskazałbym na „stepowców”, bo z nimi jeszcze przed czasami pana rotmistrza niejedną akcję zrobiliśmy.

- Step, dasz panu kapitanowi swoich ludzi?

- Dam.

- Wybierz dobrych. Ale ty sam zostaniesz z nami.

W nocy dotarli na miejsce koncentracji oddziałów AK, Zub-Zdanowicz przekazał im drużynę Stepa i pociągnął eneszetowców na pozycje. Rozbili biwak w lesie pod Ujściem i, zgodnie z ustaleniami, czekali na wiadomość od Żegoty. Łącznik nie nadszedł.

Mimo to Ząb wyprowadził ludzi na miejsce umówione wcześniej z Żegotą. Zajęli pozycje w zasadzce przy szosie Krzeszów-Biłgoraj i czekali. Łącznika nie ma.

Około południa Zub-Zdanowicz wiedział, że coś poszło nie tak.

- Ale być może nawaliła tylko łączność - powiedział do Zagłoby.

- Mielśmy w tym miejscu ubezpieczać uciekającego po akcji Żegotę, albo interweniować, gdyby Niemcy zmienili plany i tą szosą wywozili więźniów. O tej porze powinno być już po wszystkim. Więc albo opóźnili atak, bo Niemcy opóźnili wywożenie więźniów, albo?...

- Nie było słyhać strzałów. Więc raczej to pierwsze. Chyba że odwołali akcję, a nas nie powiadomili. - Spojrzeli na siebie z niedowierzaniem.

Po kolejnych godzinach prawdopodobieństwo, że zawiódł system łączności, zamieniło się w pewność. Ani pół niemieckiej wojskowej ciężarówki, ani trzy czwarte odległego strzału. Nic, spokój i cisza. Zdanowicz zostawił w zasadzce pluton z najlepszą bronią maszynową, jaką miał, i z najlepszym strzelcem, ogniomistrzem Lampartem. I z najszybszym łącznikiem. Resztę wycofał w las, w którym poprzednio rozbili biwak.

- Wystaw warty, a reszcie chłopców pozwól się zdrzemnąć - zarządził Ząb. - Szli całą noc, a nos mi mówi, że i ta najbliższa będzie nieprzespana. I ty też, Kret, połóż się. To rozkaz.

Chłopcy położyli się, jak stali. Ledwie się położyli, zasnęli, zmęczeni. I kiedy tylko zasnęli, od strony szosy i zostawionego tam plutonu Lamparta usłyszeli strzały. Przez dwie minuty pojedyncze serie z karabinów maszynowych, a potem pięć, może sześciominutowy huragan.

Po chwili Lampart i jego ludzie dobiegli do biwaku.

- Odjechali, panie komendancie, ale musieliśmy zmiatać.

- Więźniowie byli?

- Nie. Trzy ciężarówki. Pierwszą załatwiliśmy, płonie na drodze. Drugą postrzelaliśmy tak, że daleko nie pojedzie. Ale trzecia była wypchana wojskiem. Zmiotli nas ogniem i zarządziłem odwrót.

- Dobrze. A oni odjechali?

- Tak, aż się kurzyło. Jechali z Biłgoraja na Krzeszów. W tej samej chwili nadbiegł

Kret.

- Panie komendancie. Wachmistrz Knoll wypatrzył Niemców. Idą lasem w naszą stronę.

- Lasem?!

Był wieczór. Zaczynał zapadać zmierzch. Niemcy o tej porze nie zapuszczają się w las.

- Idą tyralierą. Knoll mówi, że dużo ich.

- Więc to obława. A ci, których poszczerbił Lampart na szosie, byli jej częścią. - Zębowi poruszyły się obie części przeciętej brwi, jakby każda żyła własnym życiem. Uśmiechnął się. - Odważyli się wejść w las, poniosą tego konsekwencje. Zagłoba! Weźmiesz główne siły i zataczając koło, pociągniesz Niemców za sobą na bagna.

- Oj, jak ja lubię te bagna... - przeciągle odpowiedział Zagłoba.

- Kret, twój pluton będzie strażą tylną. Na nas skupi się ogień nieprzyjaciela.

- Na nas?

- Tak. Bo Step i ja zostajemy z tobą. No, już. Kto nie wykorzystał tamtych siedmiu minut na sen, ten tańczy kolejną noc! - oczy Zęba lśniły.

- To nie było siedem minut panie komendancie - radośnie odpowiedział Kret. - To było sześć minut. I mówię panu, wystarczy!

Niemcy szli między drzewami ostrożnie, jakby się bali cieni wielkich sosen. Mech tłumiał kroki, a szybko zapadający w lesie zmierzch krył jednych i drugich, tropiących i tropionych. Choć w tym wypadku kto jest kim, nie było oczywiste. Zagłoba udał się w stronę rozciągających się za torfowiskami bagien Obary. Ząb, z plutonem Kreta, szedł na samym końcu. Widzieli i słyszeli tropiących ich Niemców. Ci też mogli przeczuwać ich bliską obecność, ale nie doważyli się oddać jeszcze ani jednego strzału. To było jak zabawa w podchody, Zdanowicz chciał wciągnąć ich głębiej, jeszcze głębiej. Chciał być niczym to bagno, które wpuszcza chętnie, ale raz na zawsze. Od czasu do czasu spłoszony gdzieś, przez podążającego na szpicy Zagłobę, ptak, krzyczał głośno i milkł. Gdyby nie to, że Zdanowicz był człowiekiem trzeźwego, przytomnego umysłu, mógłby przysiąc, że słyszy szepczących trwożliwie „Mein Gott”. Gdy coraz częściej między sosnami zaczęły pojawiać się olchy, gdy ich suche, brązowe orzeszki złowieszco kiwały się na gałązkach, Zdanowicz wiedział, że już czas. Byli wystarczająco blisko bagna. Nie musiał szukać wzrokiem ludzi Zagłoby, zresztą i tak by ich nie dojrzał, wiedział, że robią to, co rozkazał - rozpraszają się po suchym gruncie, otaczając grząskie granice bagna. Zatrzymał się. Począł na Kreta, Stepę i resztę plutonu. Rozdzielili się, puścił ich na prawo, sam poszedł na lewo. Otworzyli korytarz do chłonnych

mokradeł, które czekały, by wstąpili w nie Niemcy.

Począł, aż ustawia karabiny maszynowe. Na stopach czuł zaborną wilgoć przedzierającą się przez buty. Twarz zwrócił do skradających się w mroku wrogów. Gdy usłyszał chłopot wody, ziemistej mazi wokół ich butów, szepnął:

- Nasz jest las.

Odbezpieczył broń. Wymierzył spokojnie i wolno. Jeszcze czekał. Pięćdziesiąt kroków. Strzelił. Dowódca niemieckiej żandarmerii nie zdążył krzyknąć. Miękkim chłupnięciem padł w pływający mech.

Walka trwała godzinę. Przez godzinę serie z karabinów maszynowych cięły mrok, topiąc w mokradłach Niemców. Nie przestawali, nawet gdy słyszeli, że ci przestają się odstrzeliwać. Drzewa, las. Mogą skryć jednych i drugich.

- Mamy dwóch żywych, panie rotmistrzu! I pięćdziesiąt trupów. Chłopcy zbierają broń, pasy, buty. Oczywiście tam, gdzie są w stanie dojść.

- Kim są jeńcy? - spytał Żab.

- Jeden to granatowy policjant. Drugi volksdeutsch.

- Daj ich tu. Poddali się czy czekali?

- Policjant się poddał, mówi, że współpracuje z podziemiem. Volksdeutsch uciekał.

Pierwszego wypuścili, drugi zawisł. Szybkim marszem ruszyli w Lasy Janowskie.

Puszcza Solska. Dwa dni później

Na polanie ołtarz polowy. Do mszy służą partyzanci. Mszę odprawia ksiądz Dalewski.

Partyzanci NSZ i AK na zmianę szepcą psalmy. Kapitan Żegota i Rotmistrz Zub-Zdanowicz wspólnie idą do komunii.

Władek Dalewski - wikary z parafii w Batorzu. Druh drużynowy Wiktora i Żęba; udzielił im gościny we wrześniu 1939, choć jego proboszcz był przeciwny.

Prócz partyzantów na polanie są uwolnieni z biłgorajskiego więzienia cywile. Niektórzy starsi. Doktor Żar i Irtysz zajmują się rannymi. Pomagają im sanitariuszki AK. Zdanowicz przygląda się im i coś mamrocze pod nosem.

- Z tego, co pan mówi, rotmistrzu - zwraca się do niego Żegota - wynika, że Niemcy musieli wiedzieć o koncentracji naszych oddziałów pod Biłgorajem. Dlatego przełożyli transport więźniów, na który czekaliśmy. Najpierw wypuścili oddział i trzy ciężarówki, które rozbił ogniomistrz Lampart, a potem na odsiecz im następnych i to były te siły, które pan wciągnął i załatwił na bagnach.

- Myśmy ich widzieli - wtrącił się towarzyszący Żegocie oficer - jak pędzą przez Biłgoraj. Mój kolega powiedział: „Dobrze, będzie ich mniej”. Siedzieliśmy wtedy na

pozycjach przed uderzeniem na więzienie. Oni pojechali na was, a myśmy wzięli prawie ogołocony z żołnierzy garnizon.

- No to się nie skoordynowaliśmy, ale wyszło wszystkim na zdrowie.

- Oprócz Niemców!

- Niechby się już tam nasi na górze dogadali w sprawie scalenia, to byśmy byli jedno wojsko.

- Nasi się chcą dogadać - kiwnął głową Żegota. - Bez urazy, panie rotmistrzu, to NSZ nie chce. - Zrobił ręką zręczny ruch śmigającej jaszczurki.

- No i taka z wami robota - zaśmiał się Zdanowicz. - Póki walczymy, jest dobrze, a jak przychodzi do gadania, to z NSZ robicie pierwszego chuligana.

- Nie, nie! Źle mnie pan zrozumiał. Chciałem powiedzieć... ach, co tam. Właściwie, rotmistrzu, co to za różnica, skoro możemy razem pracować? Farley, jak się dowiedział o szczegółach akcji, zasugerował, byśmy wystosowali petycję do władz politycznych i wojskowych. Wspólną akowskoeneszetowską petycję o zjednoczenie.

Farley - Ludwik Ehrlich. Jeden z uwolnionych w tej akcji z więzienia w Biłgoraju. Szef BIP AK na Zamojszczyznę. Światowej sławy profesor prawa. Po wojnie opracuje doktrynę odpowiedzialności niemieckiej za zbrodnie popełnione w Polsce, przyjętą i stosowaną przez Trybunał Norymberski. Będzie także biegłym w procesach niemieckich zbrodniarzy wojennych.

Jego córka, Emilia Ehrlich, urszulanka, będzie słynną „bibliotekarką papieża”. Oczywiście, Polaka. Na razie jednak jest 9-letnią dziewczynką.

Rzędzian stanął przy oficerach i zameldował:

- Pan profesor zaprasza.

Wstali i poszli, bo większość partyzantów już zgromadziła się na centralnej części polany, gdzie Ehrlich miał wykład. Zdanowicz szedł z ciekawością; w czasie, kiedy studiował prawo na KULu, Ehrlich był już profesorem katedry prawa międzynarodowego na uniwersytecie we Lwowie. Żegota przed akcją nie mówił mu, kogo będą odbijać. Obok niego stał Kret i słuchał, przygryzając wargi.

- Jakiś problem, poruczniku? - pochylił się ku niemu Zdanowicz.

- Nie, skądże.

- Ale gdyby pan wiedział, kogo uwalniamy, to nie poszedłby pan, kolego, na akcję?

Kret przygryzł wargi jeszcze mocniej.

- Poszedłbym, dobrze pan wie, rotmistrzu. - Milczał chwilę, ale dodał: - Jest pan złośliwy.

- Jestem - pochwalił się Ząb.

Za to odchuchany przez Irtysz Szandcer, chłopak z warszawskiego getta, teraz partyzant pełną gębą, pseudonim Dzik, chłonał każde ze słów profesora - Żyda. Gdy Ehrlich skończył, Dzik przyszedł do Zub-Zdanowicza i powiedział:

- Po wojnie pójdę na prawo, panie komendancie.

- No to nie bądź frajerem, chłopaku! Leć do profesora, niech cię zapamięta. Ale już, to rozkaz!

Na zdumione spojrzenie oficerów Zdanowicz wzruszył ramionami.

- A co ma mu być gorzej niż mnie? Ja nie miałem takiego szczęścia, żeby sobie jakiegoś profesora wyzwolić.

Zebrani oficerowie ZWZ, NSZ, NOW proszą o jak najszybsze odgórne scalenie wysiłku wojskowego tych organizacji wojskowych oraz o skierowanie tego wysiłku zarówno przeciw Niemcom, dotychczasowemu wrogowi nr 1, jak i PPR i bolszewikom, którzy z wroga nr 2 w obecnej sytuacji politycznej i wojskowej wysuwają się na plan pierwszy.

*

Gospodarstwo po rodzicach Jakuba i Poli, Lelków, wieś pod Biłgorajem, Generalne Gubernatorstwo. Jesień 1943 roku

Feliks okutany w chusty stawia pierwsze kroki po kuchni. Arek ubrany w czapkę i dwa swetry, w tym jeden Jakuba, o dużo za duży, pilnuje go. W kuchni jest chłodno, z ust ulatują obłoczki pary. Pod blachą w piecyku wygasło. Arek jest niespokojny. Kręci się, czegoś szuka, jednocześnie zerka na małego. W końcu bierze pasek od spodni i sznurek.

- Słuchaj, Felek, nie może tak być, że my się tu bawimy, a pod kuchnią wygaśnie. Zobaczysz, mama przyniesie kartofle i będzie taki obiad, że w życiu jeszcze takiego nie jadłeś. Tylko musisz zrobić, co ci każę. Jasne?

- Gu, gu! - odpowiada Felek i wali rączką w taboret.

Arek obwiązuje małego paskiem, do paska przywiązuje sznurek. Przypina dzieciaka do nogi od kuchennego stołu.

- Gu - zgodził się Felek.

- Ty tu zostajesz, a ja idę po drewno. - Arek sprawdza, czy w zasięgu rąk małego i na długość sznurka nie ma nic, czym mógłby sobie zrobić krzywdę. Potem wspina się na krzesło stojące u drzwi wyjściowych i z ukrytej nad futryną półki wyciąga siekierę. Macha Felkowi i starannie zamykając za sobą drzwi, wychodzi.

Rozgląda się po pustym i już nieźle uporządkowanym podwórzu. Obok pieńka do rąbania kilka zostawionych jeszcze przez Jakuba kawałków drewna. Rąbie jeden z nich.

- Ej ty! - krzyczy do niego ktoś od strony drogi. - Ty!

Arek podnosi głowę. Przy płocie stoi chłopak, nieco starszy od niego, przez ramię ma przerzuconą brudną płachtę. To Pawliszcze, syn ukraińskich gospodarzy. Jego ojcu Jakub załatwił przed wojną robotę w Biłgoraju, przypomina sobie szybko Arek.

- Co? - pyta, podchodząc do płotu. - Ty jesteś młody Pawliszcze, tak?

- Nie - mówi chłopak i przekrzywia głowę. - Ja jestem mały Pawliszcze. Młody to mój starszy brat.

- A ja jestem Arek - przedstawia się.

- Wiem. - Wzrusza ramionami tamten. - Po co rąbiesz? Nie prościej po chrust skoczyć? Chodź, ja idę.

Arek ogląda się niepewnie na dom, ale zostawia siekierę i rusza za Pawliszcze.

- A jak ci na imię? - pyta.

- Alek.

- Ha, ha! To dobre, co? Arek i Alek! Czemu do mnie nie przyszedłeś wcześniej, Alek?

- Mama mówi, żebym nie łąził po wsi.

- Moja też! - śmieje się Arek.

- Nu. My tu jak obce. Wy też.

- Nie, my nie. Moi dziadkowie tu mieszkali...

- Ale twoja matka obca. - Alek ma zaciętą twarz dziesięciolatka.

- Ja się tu urodziłem, a na wsi mówią, że ja obcy.

- Bo wy Ukraińcy - tłumaczy mu Arek.

- Kiedyś byli jeszcze Żydzi - mściwie dodaje Alek. - Ale już ich nie ma.

- Co się z nimi stało? - Arek nie patrzy na Alka, patrzy sobie pod nogi.

Alek chwyta go nagle za ramię i przystawia mu do głowy pistolet z palców. Udaje, że strzela.

- Pifpaf!

Arek upada na ziemię. Udaje, że ma drgawki. Potem podnosi się, otrzepując spodnie.

- Dobra, gdzie ten chrust? Muszę wracać do domu.

Alek pokazuje mu, co zbierać, pożycza swoją płachtę, bo Arek nic nie wziął.

- A ty? - pyta Arek. Chłopiec wzrusza ramionami.

- Przyjdę jeszcze raz. I tak nie mam co robić.

Wieczór

Połamany i poukładany chrust stoi w koszu obok pieca. Felek śpi, ledwie się mieści w swojej dawnej kołysce. Arek nakrył go swetrem Jakuba, sam krząta się po kuchni, wypatrując

Poli. Zgarnął jakieś ulotki i przegląda je. Niektóre wkłada od razu do pieca.

Czyta dość równo, prawie nie sylabizuje.

- Dla polskich ośrodków politycznego kierownictwa istnieje inny, niż dla kierownictwa Sowietów, rachunek polskiej krwi... Felek, nie pamiętasz, czy to przyniósł wujek Jakub czy sołtys? E, do pieca.

Wybiera następną.

-...Dziś ta... zgraja pańska, odziewszy płaszczyki narodowe, nawołuje, szuka głupich ze świecą w biały dzień, by jeszcze swoje panowanie po upadku Niemiec zaprowadzić... Świeca to by się i nam przydała, powiem ci, mały. Upadek Niemiec też. - S pluwa i czyta dalej: - Tymczasem wypowiedzieli nie Niemcom, a Ludowi walkę na śmierć, w obronie swych majątków czy posad. To chyba Jakuba, bo jest o ludzie. Szkoda, dobry papier, taki gruby, to się lepiej pali. Szczują na zorganizowaną siłę ludową i napuszczają Niemców, puszczają w ruch i ambony, byle zohydzić nas w oczach społeczeństwa. Ale powiem ci, Feluś, że nie wiem, czy my to tak powinniśmy w domu trzymać. Tu źle piszą o księżach, a wiesz, jak to u nas na wsi.

Arek ładuje ulotkę do pieca i patrzy, jak się ładnie pali. Z podwórza dobiega szczekanie psa. Biegnie do okna. W drzwiach staje Jakub.

- Cześć, mołojcu!

- Ćśśś... Feluś śpi.

- Poli nie ma?

- Poszła kopać ziemniaki, sołtys ją wziął.

Jakub zdejmuje czapkę i plecak, podaje go Arkowi.

- Masz, rozpakuj.

Sam rozciera ręce nad ciepłą, kuchenną blachą. Jest niespokojny. Znów słychać szczekanie psa. Jakub wyskakuje na dwór.

Arek w tym czasie wyciąga z plecaka kawałek słoniny, sięga ręką po kolejny pakunek i widzi na dnie plecaka rewolwer. Cofa dłoń. Do domu wchodzi Pola i Jakub.

- Jak tu ciepło! - Pola idzie prosto do kołyski, ale zagląda do niej tylko przelotnie. Widzi poukładany chrust, porządek w kuchni. Przytula Arka.

- Nie masz jakiegoś starszego brata? Wyszłabym za takiego, zanim by zdążył mnie o rękę poprosić. - Całuje go w czoło i mierzwi mu czuprynę.

- Nie możesz - mówi poważnie Arek. - Papiery masz na moją matkę.

Jakub stawia w kącie kosz z ziemniakami, które przyniosła Pola. Dziewczyna myje ręce w misce.

- Więcej ci Rzepecki nie dał? Sknera. - Krzywi się Jakub.
 - Powiedział, że da worek. Mógłbyś podskoczyć do niego jutro, żeby się nie rozmyślił.
 - Pójdę. - Jakub sięga do plecaka porzuconego przez Arka. - Mam coś dla Felka.
- Wyciąga małe, dziecięce buty. Arek ogląda je i mówi:
- Jeszcze za duże.
 - Skąd? - pyta Pola, wycierając ręce.
 - Znajomy jest tu niedaleko sekretarzem majątku. Zarządca ma syna, może pięć lat.

Powiedziałem, że jakby mieli jakieś ubrania po nim, to się przydadzą. - Jakub bierze do ręki ulotki, których Arek nie zdążył spalić.

Nazywają nas komunistami, bolszewikami i co im tylko ślina na język w plugawej mordzie przyniesie, bo plują na siłę ludową. Gdy się przekonali, że lud nie wierzy w ich bajdy i nie boi się bolszewików, a garnie się gromadnie do oddziałów partyzanckich Armii Ludowej, wtedy zbrodniarze pańscy, którzy tyle łez wyleli nad oficerami w Katyniu, urządzili dla żołnierzy Armii Ludowej stokroć ohydniejszy mord pod Borowem. Dnia 9 VIII 1943 r. w czasie przyjacielskiej konferencji ich przedstawiciele z naszymi gwardzistami otoczyli zdradziecko nasz oddział im. „Kilińskiego”, rozbili, powiązali sznurami i siekierami wymordowali. Oddział (GL) składał się z samych Polaków.

Komitet PPR w Kraśniku

- O rany, to się towarzysz Kruk wysilił. - Sam wkłada ulotkę do pieca. - Skąd to macie?

- Myślałem, że to twoje, wujku - z ulgą oddycha Arek.

Jakub drapie się w głowę i robi jakiś nieokreślony ruch ręką. Pola unosi głowę i przypomina sobie.

- Dziewczyna jakaś roznosiła. Wzięłam, żeby ci pokazać, jakie gówna można teraz wypisywać bezkarnie. A te buty dobre, na przyszły rok. Popytaj, proszę, jeśli coś jeszcze mają, to ja potrzebuję wszystkiego.

Arek obiera kartofle, Pola zmęczona siada przy stole.

- Próbowałam z tym szyciem. Ale baby ze wsi są na mnie tak zawzięte, że chyba musiałabym za darmo im szyć, żeby chciały coś ode mnie brać. Naprawdę, próbowałam. Na następną wiosnę będę mądrzejsza. Posieję to czy tamto. Będziemy mieć swoje warzywa. Kury są. Gęsi. Arek, właściwie dlaczego my mamy na zimę zabijać te gęsi?

- Żeby ich nie karmić.

- Aha. Mleko dostaję od sołtysa. Jakub - Pola ścisza głos - boję się zimy...

Brat kładzie rękę na jej głowie. Arek ustawia garnek ziemniaków na kuchni, wyciera

ręce.

- Poznałem dzisiaj Alka od Pawliszczów - mówi. - Pokazał mi, jak zbierać chrust. Wujku, a kto to „polscy faszysci”?

Pola i Jakub spojrzeli na siebie z niepokojem, a Arek dopytał:

- A jak piszą „to ścierwo należy wytępić razem z okupantem”, to o czyje ścierwo chodzi?

Kilka dni później. Noc

Jakuba nie ma. Felek i Arek śpią. Pola siedzi w kuchni i szyje przy słabym świetle. Jest zimno, na dłoniach ma rękawiczki bez palców, a na głowie grubą, wiejską chustkę. Niemal nie widać spod niej twarzy. Słychać odległe szczekanie psów. Unosi głowę, psy milkną. Wraca do szycia. Ktoś puka do okna. Wstaje, jest wystraszona. Pukanie ponawia się, natarczywiej. Bierze w rękę siekierę znad drzwi. Czeki.

- Proszę otworzyć. Mamy rannego. - Głos z podwórza jest spokojny.

- Kim jesteście? - pyta.

- Wojsko Polskie.

Patrzy w stronę kołyski z Felkiem, otwiera.

Do kuchni wchodzi czterech mężczyzn w mundurach. Prawdziwych, polskich, przedwojennych! Jeden, w stopniu rotmistrza, ma krew na rękawie. Najmłodszy postrzelone ramię. Sadzają go na krześle.

- Potrzebujemy wodę i bandaż.

Pola zgarnia ze stołu robótkę, rzuca w kąt. Szybko nalewa wodę do miski i podaje. Trzęsą jej się ręce.

- Proszę się nie bać - mówi rotmistrz i zdejmując czapkę. - Nic pani nie grozi. Jesteśmy żołnierzami Narodowych Sił Zbrojnych.

Pola błędnie. Nie może oderwać oczu od przeciętej na pół brwi rotmistrza. NSZ. Nic jej nie grozi. O rany, byleby Jakub teraz nie wrócił, bo po nich!

- Bandaże! - warknął oficer obmywający rękę młodego żołnierza. Pola oderwała wzrok od tej okropnej brwi i ruszyła do pokoju. Po chwili wraca z ręcznikami, drze je na paski. Kątem oka próbuje dojrzeć, czy przy piecu nie leżą ulotki.

Młody żołnierz syczy z bólu.

- Rzędzian, nic ci nie będzie. Do wesela się zagoi! A pani mąż w domu? - Oficer odwraca się do niej.

- Nie - odpowiada krótko Pola. - Dzieci w domu.

- A mąż gdzie? - pyta rotmistrz.

- Nie żyje.

- Sama pani tak tu gospodarzy?

Pola milczy. W panice myśli, co odpowiedzieć. Powie, że brat, to spytają, gdzie brat. Nie ma mężczyzn bez przynależności. Każdy jest albo tu, albo tu. A Jakub, do cholery, jest nie tam, gdzie nocni goście.

- Nie sama! - odzywa się nagle głos i Arek rozespany człapie do kuchni. - Ja mamusi pomagam.

Mogłaby przysiąc, że nie śpi od dawna. Jezu, żeby tylko nie zaczął gadki o tatusiu poległym we wrześniu. Padnie pytanie o jednostkę i leżą. Pola pochyła się szybko nad Arkiem i zdejmując z głowy chustę, okrywa go.

- Idź spać, wracaj do łóżka.

- Chciałem zobaczyć Wojsko Polskie.

- Jak masz na imię, zuchu? - śmieje się rotmistrz.

Na imię ma Aaron i jest Żydem, panie narodowcu - myśli rozgorączkowana Pola, przytulając go.

- Arek. Jak tylko dorosnę pójdę do was, do oddziału - pręży chudą pierś.

Pola wstaje i mocno wypycha go z kuchni.

- Ale teraz idź spać, bohaterze. - Odwraca się szybko do żołnierzy. Bez chusty.

- O rany! - szepce Rzędzian.

Gapią się na nią. Wygląda jak Loda Halama, która dawno nie była u fryzjera.

- Ja chyba panią skądś znam? - pyta rotmistrz i porusza brwią.

*

Łosowo, majątek ziemski niedaleko Janowa Lubelskiego, w połowie drogi między Biłgorajem a Kraśnikiem, Generalne Gubernatorstwo. Październik 1943 roku

Na polach wykopki. Wacuś zwozi ziemniaki na podwórze folwarku. Fenix zapisuje worki. Niektóre odstawia na bok. Pojawia się Dzidek, idą do obory.

- Fircyk jeszcze nie wrócił? - pyta Dzidek, zaglądając na miejsce buhaja.

- Nie, Leon powiedział, że zostaną na noc po robocie. Wiesz, tam przyjechała jakaś kuzynka czy ktoś.

Dzidek widząc, że byka nie ma, zapala papierosa.

- Ale kto jest, u diabła, na robocie? Fircyk czy Leon?

- Fircyk obrabia stado naszej drogiej sąsiadki, a Leon jej kuzynkę - uściśla Fenix. - Słuchaj, tak nie może być. Każdy właściciel majątku upodobał sobie jakiś oddział, który żywi, a innych nie chce widzieć, więc jak jego oddział pójdzie gdzieś na kilka tygodni, to mu

inni siłą obrabiają majątek. Trzeba to jakoś uporządkować.

- Ale jak? Sowociarzom nikt z własnej woli nie chce dawać. Jeszcze czego. Czytałeś? „Zgraja pańska, odziewszy płaszczyki narodowe”. To o nas, jak byś nie wiedział.

- Wiem. I „ścierwo, które należy wytępić razem z okupantem” to też o nas. Tylko rzecz w tym, Dzidek, że ja nie chcę dać się wytępić, rozumiesz? Chcę przeżyć. I chcę, abyś ty przeżył, i Krysia, i Krzysio twój mały. Krzysio najbardziej. A jak słyszę, że Sowiety wygrały pod Stalingradem i odparły Niemców spod Łuku Kurskiego, to powiem ci, Dzidek, czarno to widzę. - Fenix w nerwach bierze od Atamana papierosa. Pociąga, kaszle. - Ty sobie możesz być porządnym człowiekiem, ja mogę być porządnym człowiekiem. A potem przyjdą Sowiety nas wyzwalać i się okaże, że jesteśmy ścierwo do wytępienia z okupantem. Słyszałeś, dla GŁowców to my jesteśmy germańskie pacholki. Kurwa mać.

- To nie byli GŁowcy. To była banda rabunkowa Liska. Prawdziwy gwardzista to ten towarzysz Jakub, co nam uratował tyłki. Skąd on jest?

- Z Lelkowa.

- To niedaleko, dwadzieścia kilometrów stąd. Moglibyśmy wpaść do niego z wizytą, wytłumaczyć to i owo.

- Ataman! - Fenix potrząsa przyjacielem. - Ocknij się! Na jakim ty świecie żyjesz, cholerny romantyku! Może jeszcze Sienkiewicza czytasz, kurwa, wieczorami, co?! Nie widziałeś GŁowskich gazetek? Tacy ludzie jak Jakub nie piszą tego ścierwa. Obawiam się, że jak przyjdzie co do czego, to komuniści go odstrzelą na pierwszym miejscu, bo za dużo wie o ich brudzie za paznokciami.

- A co, mam czytać „Szaniec”, jak ty?

- Nie. Masz czytać wszystko. Ja tak robię. Musimy zorientować się na współpracę ze wszystkimi, rozumiesz?

- Nie damy rady, Fenix - smutno pokręcił głową Ataman. - Nawet taki folwark jak Łosowo nie wyrobi na wszystkich. U nas jest partyzantów jak drzew w lesie.

- Toż mówię ci, człowieku, że trzeba znaleźć sposób. Właściwie... sposób to ja mam. Brakuje mi tylko stosunków.

- Mnie też. Krysia nerwowa, spać chodzi z kurami.

- Stosunków lokalnych, towarzyskich. - Stuka go w głowę Fenix. - I ty, mój Atamanie, musisz o nie zadbać.

Tydzień później

W pięknej jadalni dworu w Łosowie siedzą właściciele i zarządcy kilkunastu majątków. Tylko Polacy. Obok Dzidka i Fenixa ksiądz Prokop, tym razem w sutannie. Krysia

podaje herbatę.

- Każdy spośród tu siedzących był choć raz obiektem dzikiego rabunku. Bandy, które napadają na majątki, zwykle przedstawiają się jako wojsko polskie, podziemie polskie, polscy partyzanci. - Dzidek mówił spokojnie i dobitnie.

- U mnie - wtrąciła się pani Potocka - było takie „wojsko polskie”, co po polsku ani słowa nie umiało powiedzieć.

- Wiadomym jest, choć nikt o tym nie mówi głośno, iż każdy majątek ma „swoich partyzantów”, których żywi, niejako za ochronę. Ale w związku z rozwojem sytuacji na froncie coraz częściej będzie się zdarzało, że „własny oddział” nie będzie na miejscu, gdy przyjdą „obcy”. Należy się także spodziewać zaostrzenia rygoru kontyngentowego ze strony okupanta. Mój sekretarz, wybitny ekonomista, pan Fenix, znalazł na to pewne rozwiązanie, które chcielibyśmy szanownym naszym gościom przedstawić.

Wybitny ekonomista, wcześniej bokser, wstał i uklonił się. Poczul, że ma tremę. Patrzyli na niego potomkowie dawnej polskiej szlachty. I portrety ze ścian łosowskiego dworu.

- Hmm - odchrząknął. - Hmm. - Zamrugął.

- Może wody? - zapytała pani Potocka, co onieśmieliło go jeszcze bardziej. Wydawało mu się, że patrzą na jego złamany nos i czarne oczy.

- Mój przyjaciel był więźniem Pawiaka - pospieszył na pomoc Ataman - i nabawił się tam chronicznego nieżyty gardła.

- Ojej. - Załamała ręce pani Krasnogórska i spojrzała na niego tak życzliwie, jakby w jej oczach wyprzystojniał w jednej chwili. - Na nieżyt gardła to najlepsza dereniówka. Przypadkiem wzięłam ze sobą buteleczkę. - Uśmiechnęła się pięknie i wyjęła z torebki coś, co mogło być butelką dla niemowlęcia. Widząc, że rozmiar zwrócił uwagę Fenixa, uspokoiła go: - Wszystko dla pana, no proszę się nie krępować, zażyć od razu.

Po chwili Fenix poczuł ciepło w żołądku. Uklonił się pani Krasnogórskiej z wdzięcznością i ruszył, jak z kartki:

- System zaopatrzenia oddziałów partyzanckich sterowany centralnie. Solidarnie robimy wspólną listę płodów rolnych, które przeznaczamy dla oddziałów. Następnie, z tej listy wydajemy kwatermistrzom produkty. I w zamian żywione przez nas oddziały otrzymują listę majątków, które są pod ich wspólną ochroną.

- Doskonałe! - pochwalił ksiądz Prokop.

Zgromadzeni w większości potakiwali. Jednak starszy pan Rozwadowski zapytał, unosząc oskarżycielsko palec.

- Czy to aby nie jest komunizm? Tak wszystko wspólnie? - Skrzywił się nieufnie.

- Nazwałbym to raczej „spółdzielnią”.

- A, to co innego - uspokoił się Rozwadowski. - A co, za przeproszeniem, z Gwardią Ludową?

- To nasz największy problem.

- Ja soweciarzom nie daję! - oświadczyła twardo Potocka.

- Nie rozmawiamy teraz o sprawach osobistych - przerwał jej grzecznie Dzidek. - Ale o spółdzielni.

- Dla GL jesteśmy wrogiem numer jeden. Obszarnikami i tak dalej, nie będę cytował, państwo słyszeli i są świadomi. Dlatego łupienie dworów jest dla GL naturalnym sposobem zdobywania żywności. Pomyślałem, że powinniśmy naszą spółdzielnię objąć także GL.

- O nie! Ja nie daję! - wsparła Potocką Krasnogórska.

Goście zaszemrali. Już Fenix nie wydawał im się taki przystojny jak po Pawiaku.

- I właśnie o to chodzi - wszedł jej w zdanie - że jeśli sporządzimy centralną listę płodów rolnych, a potem centralne przydziały dla poszczególnych oddziałów, to jednocześnie nieco się wykupimy z łap GL, ale równocześnie nic im, osobiście, nie damy.

- Wilk syty i owca brzemienna! - podsumował Dzidek.

- No tak, tylko Bataliony Chłopskie się same wyżywią - westchnął ktoś z końca stołu.

- Gdy zaś jakiś jeden, wybrany oddział GL będzie otrzymywał od nas jakieś, niewygórowane przecież, dostawy, to jednocześnie od tego oddziału zażądamy ochrony przed dzikimi rabunkami. Oni teraz chcą zadbać o opinię.

Goście szemrali wokół stołu niezadowoleni. W końcu wyprowadzili z równowagi nawet księdza Prokopa.

- Moi drodzy! Czy ja mam wam przypomnieć nazwiska tych właścicieli majątków, którzy stracili życie?

- A jaką mamy gwarancję, drogi księżu plebanie, że mimo zrzucania się na GL my też go nie stracimy?

- Żadną - odpowiedział szczerze Ataman. - Ale przynajmniej spróbujemy.

- System powiadamiania o konfiskatach trzeba zachować, jak było do tej pory - ciągnął Fenix, ale pan Rozwadowski wszedł mu w zdanie, unosząc wysoko białe brwi.

- Nie rozumiem.

- Powiadamiania partyzantów o terminie odbioru konfiskat.

- Można jaśniej? - poprosił starszy pan i wszyscy zrozumieli, że albo w jego majątku tego nie praktykowano, albo i owszem, ale akurat właściciel o tym nie wiedział.

- Gdy świnka lub krówka jest już, za przeproszeniem, odpasiona, kilka dni przed terminem wyznaczonym przez Niemców jako oddanie zakolczykowanego bydła lub trzody powiadamia się o tym fakcie swoich zaufanych partyzantów. Oni wówczas zabierają rzeczzone zwierzę i w zamian zostawiają kwit, że oddział taki a taki zarekwirował, a my z tym kwitem...

- I z płaczem! - uzupełniła pani Krasnogórska.

-...idziemy na właściwy posterunek żandarmerii i zgłaszamy zaginięcie bydła.

- Lub trzody.

- Oni na nas psioczą, my na partyzantów i sprawa przysycha.

- Doskonale! - rozpromienił się pan Rozwadowski i natychmiast zawstydył, bo odkrył, że on jeden w tym zgromadzeniu tego nie praktykował.

- Jak miałam chrzciny Pawełka - powiedziała nieśmiało pani Potocka - to poprosiłam dowódcę oddziału, kapitana hmm... hmm... i wystawił mi zaświadczenie, że zarekwirował cielaka. A ja mogłam dzięki temu dziecku wyprawić uroczystość i ksiądz Prokop skorzystał.

- U nas na wsi - odezwała się po raz pierwszy szczupła kobieta o smutnej, jakby ciągle zapłakanej twarzy - to partyzanci płacą częścią skonfiskowanego wcześniej na asygnatę bydła za mąkę, chleb, nabiał. Ale to wszystko mało. Mało. Za mało dla nich, dla chłopów, dla nas. I ten lęk, że przyjdą, załomocą w okno... Sądzę, że pomysł pana Fenixa, choć ryzykowny, ma pewne szanse powodzenia. W każdym razie ja chciałabym spróbować. Zgłaszam swój majątek do pańskiej spółdzielni.

Za nią poszli następni i koniec końców dogadali się solidarnie. Jednego tylko nie przewidział Fenix. Że jego wybiorą prezesem, zarządcą i głównym księgowym.

- Kolczykowy - kpił z niego Dzidek, gdy zostali sami i w tajemnicy przed Krysią dopijali nalewkę.

Fenix milczał. Przyszedł czas, by zaczął wypełniać powierzone mu w Warszawie przez NSZ zadanie. Miał opracować dane na temat tutejszych oddziałów partyzanckich wszystkich organizacji. Zostając ich zaopatrzeniowcem, będzie mógł to zrobić, jak nigdy wcześniej.

*

Obóz leśny Żbika w Czarnej Rózdze, pogranicze powiatu włoszczowskiego. Późna jesień 1943 roku

Kryte słomą szałas. Ściany ze świerkowych gałęzi. Wszystko zamaskowane przed patrolem z powietrza. Część chłopców pod okiem piegowatego Tygrysa ćwiczy „chowanego”. Inni czyszczą broń. Plutonowy Jurek uczy psa czołgać się pod gałęziami.

Żbik kończy się golić, nucąc: „Wlaź kotek na płotek”. Pod ścianą jego szałas siedzi

brudy i nieogolony mężczyzna. Ma skępowane ręce i ponurą twarz. Wpatruje się w brzytwę odłożoną przez Żbika na pień. Nagle na polanę wbiega trzynastoletni chłopak. Rozgląda się w panice, widzi Żbika i leci do niego.

- Panie komendancie, panie ko...men...dancie... Niemcy idą! Pięć...dziesięciu! Lasem idą... furmankami przyjechali, Jezu...

- Obóz na wozy! - krzyczy Żbik.

Po piętnastu minutach pierwszy pluton jest już w ataku. Grają erkaemy. Drugi dobiega na tyły pierwszego. Żbik dogania ludzi i widzi, co się dzieje.

Niedobrze.

Pluton Rysia leży na stanowiskach ogniowych za grubymi sosnami. Przed nimi poręba leśna, z której atakują Niemcy. Nieprzyjaciel jest ukryty za ściętymi potężnymi pniami. Jednych od drugich dzieli polana.

- Dąb! - Żbik szuka wzrokiem kaprała. - Zajdziemy Niemców z prawej, pod osłoną lasu.

- Tak jest!

- Jurek! Przekaż Rysiowi, że wspieramy z prawej. Idziemy!

Gdy zbliżyli się, przeskakując lasem na skuteczną odległość, dał znak Dębowi. Ostre serie, jedna za drugą zdezorientowały Niemców. Pierwsi zabici, krzyk rannych.

- Dobrze tak skurrr... - drze się podekscytowany Dąb i dostaje w nogę. Karabin wypada mu z ręki. Żbik dopadł do niego.

- Nic ci nie będzie, tylko siedź tu, druhu. - Wpycha mu karabin w rękę.

Chłopców rozsierdziło trafienie plutonowego. Walą serie ze zdwojoną siłą. Z mauzera po piętnaście strzałów bez ładowania. Psiakrew. Zagotowali się i nie wiedzą, że strzelają na pusto.

- Bij! Zabiiiij! - krzyczą jeden przez drugiego.

Niemcy wycofują się w zabudowania stojące za porębą gajówki.

- Stać! - krzyczy Żbik. - Nie strzelać na pusto! Nie strzelać na oślep!

Może sobie krzyczeć. Większość z nich nie słyszy. Pada kilku rannych. Jęki towarzyszy tym razem otrzeźwiają ich skuteczniej niż jego rozkazy. Jakies trzysta metrów za gajówką są pierwsze wiejskie chałupy.

Jeśli tam się Niemcy wycofają, to jesteśmy bez szans - myśli.

- W drużynach skokami! Strzelać tylko do celu! Oszczędzać amunicję! - krzyczy rozkazy. - Skokami!

Jeśli wycofają się do wsi, to po akcji. Mogą się stamtąd ostrzeliwać do rana. My

wioski nie ruszymy i oni to wiedzą. Osłonili się silnym ogniem broni maszynowej i pod własną ochroną wycofują się sprawnie i zdyscyplinowanie równymi skokami. Pieprzony porządek.

Niemieckie erkaemy terkocą bez ustanku. Plują żelazem.

- Stać! Staaać! Wstrzymać natarcie!

Nie popchnę chłopaków pod ten ogień. Co on robi?! O cholera, co?! Długi, starszy strzelec Długi, a za nim kilku zapaleńców oderwało się od oddziału i podczołgują się pod stodołę, za którą skryli się Niemcy. Długi wyciąga granat. Odbezpiecza.

- Długi! Stój! Zawisza! Stój! - Żbik krzykiem przedziera się przez terkot erkaemów.

- Wycofać się! Wycofać się!

Widzi, że Długi i Zawisza zastygli z granatami w ręku. Widzi, że nie mają zamiaru posłuchać rozkazu. Plutonowy Jurek puszcza do nich psa; Reks biegnie, przywierając do ziemi. Jednym długim susem ląduje przy Zawiszy. Nie szczeka, warczy.

- Wycofać się, bo usunę z oddziału! - woła jeszcze Żbik.

Poskutkowało.

Godzinę później, obóz w Czarnej Róźnie

Pod szalą Żbika siedzi wciąż ten sam mężczyzna. Wciąż ma związane ręce.

- Nie, bo nie! - krzyczy Żbik. - Jeśli ktoś z was przyszedł do oddziału, bo mu się chciało powojować, to won! Znajdźcie sobie watażkę, który na to pozwoli, ale ja nie! Ile razy mam powtarzać, że nie jesteśmy w lesie dla siebie, tylko po to, by bronić ludzi? Jak akcja nie ma znamion powodzenia - znikamy. Wycofujemy się i basta! Tu nie ma nic za wszelką cenę! Niemiec zabity we wsi równa się?...

- Panie komendancie - nieśmiało wdziera się między jego gniewne warczenie wartownik. - Jasińscy przyszli...

Na polanę wtacza się wóz. Obok niego gajowy Jasiński, jego żona, dwie córki, nie, trzy córki, bo jedna idzie za wozem, i dorosły syn. I młodszy też, to ten wyrostek, który przybiegł z wiadomością, że „Niemcy idą”.

Na wozie dobytek. I uwiązane do niego trzy krowy.

- Panie komendancie - lamentuje gajowy. - Ratuj nas pan! Weź nas pan do oddziału, bo dla nas już nie ma ratunku! Pan wiesz, co nam Niemcy zrobią!...

- Przygotować się do wymarszu! Zmieniamy miejsce postoju! - rozkazuje Żbik. - Jasińscy, idźcie z nami.

Lasy Kurzelowskie, nowy obóz Żbika

Dwie z córek Jasińskiego roznoszą parującą zupę. Starszy syn wtopił się w oddział.

Młodszy, ten wyrostek, ćwiczy składanie broni. Reks, pies Jurka, siedzi, czekając na swoją porcję.

- Dobrze, że starą Jasińską komendant wysłał do młyna. Jezu, ale jęczało to babsko. - Plutonowy Ryś wodzi wzrokiem za roznoszącymi zupe.

- Córnia też niezgorsza. Mówię o tej starszej, co z matką poszła, bo te dwie równe dziewczyny. - Tygrys uśmiecha się, biorąc do ręki łyżkę. - A Jasińskiego komendant puścił z powrotem na gajówkę, słyszałeś?

- Tak - siorbie Ryś. - Ale na próbę. Mówią, że żadnych represji na wioskę nie było, ale trzeba jeszcze odczekać. Niemiec czasem nierychliwy.

- Nie bluźnij - gani go Tygrys. - To Pan Bóg nierychliwy.

- Pomyliło mi się.

Pod świeżo wybudowanym szalasem komendanta siedzi ten sam mężczyzna co poprzednio.

Żbik chce się ogolić. Namydlił twarz, nie może znaleźć brzytwy. Mężczyzna wyjmuje ją z kieszeni i pokazuje Żbikowi.

- Złodziej - bierze od niego brzytwę Żbik.

- Tak jest - mówi mężczyzna. - Pan komendant mnie chwycił za kradzieże.

- Tak? Już się przyzwyczaiłem, że tu siedzisz, i zapomniałem. Myślałem, że za paskudą gębę cię tu trzymam.

To nieprawda, Żbik dobrze wie, dlaczego złapał tego typa. Tylko nie ma pewności, dlaczego jeszcze go trzyma. Bandzior ma dwa wyroki śmierci, jeden z NSZ, drugi z AK, oba za napady z bronią w ręku. Śmierć, wiadomo. A jednak nie posłał go z egzekutorem w las, coś powstrzymało Żbika. Może to, że bandzior nie błagał o litość? Że nie zasłaniał się żoną i czwórką dzieci? Coś było w tym jego paskudnym pysku, nie, nie w pysku, w oczach. I to coś mówiło: poczekaj, Żbik. Włókł go na sznurku za taborowym wozem z miejsca na miejsce. A gdy zostawał w obozie sam, tak jak dwa tygodnie temu, w Czarnej Rózdze, gdy oni bili się z Niemcami pod gajówką, nie nawiał. A mógł. W klatce go nie trzymali.

- Po co ci była moja brzytwa? - pyta, przykładając ją do policzka.

- Chciałeś się ogolić? Auu!... - Żbik zaciął się i zdumiony patrzy na bandziora. - Naostrzyłeś ją?

- Tak, o kamień.

- Dlaczego nie przeciąłeś sznura?

- Chciałem. Ale pomyślałem sobie, że jak wam ucieknę, to będę dalej kradł. Życie takiego jak ja nie ma żadnej wartości.

Żbik przestał się golić. Wylał twarz i patrzył na bandziora. Tamten mówił spokojnie:

- Wiem, co mnie czeka, bo wiem, że robiłem źle. Jestem gotów na śmierć, a życie już dawno mi zbrzydło. - Wziął głęboki wdech. - Jeśli pan może, panie komendancie, odroczyć wykonanie wyroku, to niech pan to zrobi, a ja oddam panu moje życie.

Żbik poczuł, że coś łapie go za gardło. Ale odchrząknął i splunął, udawał, że go to nie bierze.

- Bo zmarnujecie na mnie kulkę to raz, a dwa, że któryś z tych chłopaków będzie musiał mnie strzelić i potem pewnie będzie się tym gryzł. A jak mnie pan weźmie do oddziału, to ja dla pana zastrzelę jeszcze kilku Niemców, zanim mnie zabiją. Ja mam na sumieniu tak dużo, że nie liczę na żadne odkupienie win.

- Jesteś z wrześnieowej amnestii?

Kiwnął głową.

- Siedziałem za napad z rabunkiem, wyszedłem, bo wszystkich nas puścili i w czasie gdy wy walczyliście z Niemcami, ja wróciłem do swojej roboty. Tak tu sobie siedziałem i myślałem. Że nie ma sprawiedliwości, panie komendancie. Ten młodzik, coście go pochowali po gajówce, albo ten postrzelony Jacuś, co już nie będzie chodził. Ja się przed wojną śmiałem z tych młodych patriotów i w czasie wojny się z nich śmiałem. I teraz ja siedzę na sznurku, oni w ziemi. Weź mnie, komendancie, i zrób z mojego życia jakiś użytek.

Żbik rzucił mu brzytwę i kiwnął głową, że ma przeciąć więzy. Zrobił to błyskawicznie. Wstał, rozprostował nogi i chciał oddać mu brzytwę.

- Nie. Najpierw się ogól, doprowadź do porządku. Widziałeś u mnie w oddziale taki zakazany pysk jak twój? - Podsunął mu miskę z wodą.

Bandzior ochlapał twarz.

- Masz jakiś pomysł na pseudonim?

- W więzieniu czytałem taką jedną książkę, grubą. Był tam taki facet, który dopiero jak nagrzeszył, to zrozumiał, co to jest Ojczyzna i...

- A więc Kmicie.

- Pan komendant też to czytał? - Twarz bandziora po raz pierwszy wyrażała jakieś emocje.

- I oni wszyscy też. Jacuś, i ten młodzik, cośmy go pochowali pod Czarną Różgą. Na tej wojnie jest więcej Kmiciców, niż ci się wydaje. Bohunów, Zagłobów, Małych Rycerzy, Podbipiętów, ach, w cholerę z tym wszystkim...

Gajowy Jasiński bębni po okolicy o wszystkim, co się dzieje w Pana oddziale, kto jest w nim z ludzi, i grozi zameldowaniem o tym, i o miejscu postoju Pańskiego oddziału

żandarmerii. Placówki chwyciły go w drodze na posterunek żandarmerii w Przedborzu. Czekam na rozkazy.

Sierż. Wilk, komendant Placówki Żbik przeczytał meldunek dwa razy.

- Bem! Kapralu Bem!

- Jestem, panie komendancie.

- Cicho. Masz, czytaj. Goniec przyniósł to przed chwilą.

- O, do diabła. - Bem był nadzwyczaj spokojnym, opanowanym żołnierzem. - Niedobrze, panie komendancie. Jasiński wie o nas bardzo dużo.

- Tak. Mamy sporo chłopaków w oddziale z tej okolicy. Jak puści to żandarmerii, to rodziny już siedzą w areszcie. Jasna cholera! Słuchaj, Bem. Idź do wsi. Pogadaj z ludźmi. Jeśli to prawda, że Jasiński miał ozorem, spisuj zeznania. Ja nie mogę tak ot, dać Wilkowi rozkazu na Jasińskiego, ja mam jego synów i córki w oddziale...

- A żonę we młynie. Ja wszystko wiem, panie komendancie. Już idę.

Zeznania, które przyniósł ze wsi Bem, pogrążyły Jasińskiego. Żbik spakował je i wraz z meldunkiem wysłał gońcem do Komendy Okręgu. Dwa dni później dostał wiadomość, że wyrok na Jasińskim wykonano.

- Na wsi powiedzieli mi, że Jasiński już wcześniej był upominany i przez naszych, i przez AK. Dostał nawet parę razy regulaminowe bicie. Miał kiepską opinię, ale jego żona też ma nie najlepszą. Kobiety ze wsi mówią, że ona ponoć wredniejsza od męża.

- No to mamy kłopot.

- Dzieci nie wiedzą? - spytał Bem, wskazując głową na córki Jasińskiego, które śmiały się, gotując kaszę.

- Nie.

Żbik pomyślał, że musi z nimi porozmawiać, szczególnie z Sowiczem, starszym synem, który wtopił się w oddział i miał zadatki na naprawdę dobrego żołnierza. Ale nie było kiedy. A to przyszedł sołtys i prosił, żeby mu pomóc porządek na wsi zrobić.

- Bo pan, panie komendancie, jest dla nas jak policja i wojsko.

A to, przy przekraczaniu szosy z małym oddziałem, gdy szli po zamówioną u chłopca kontyngentową świnie, napatoczyły im się ciężarówki. Zdobyli je, nie wiedząc, co zdobywają. I dopiero gdy wskoczyli na pakę, okazało się, że...

- To wódka, panie komendancie! Trzy samochody wódki!

Oddział zafalował, jakby go ktoś podłączył do prądu. Szybko ściągnęli z pobliskiej wsi podwozy, przeładowali wódkę i ruszyli z nią do obozu. Do pilnowania furmanek wyznaczył samych abstynentów. I wydał kategoryczny rozkaz:

- Nie wolno pić wódki, zanim nie pozwolę. Dopiero w obozie. Zwłaszcza że znaczną jej część planował sprzedać. Taki zastrzyk finansowy dla oddziału! Posłał patrol do chłopca, dał zaświadczenie na świniaka i umówił się, że czeka na nich we wsi. Wystawił czujki i czekali. Godzinę, dwie, trzy. Patrol nie wraca. Wyszedł z Rysiem sprawdzić, co się dzieje, i jak raz rozszczeły się kundły. A od strony, z której miał iść patrol, strzały. Ale jakieś bezładne, pojedyncze.

Noc jasna, księżycowa. Wyskoczyli z Rysiem w tę stronę.

- A gdzie, u licha, czujka?

- O rany, panie komendancie, czujka to nic... tam pan patrzy.

- Środkiem oświetlonego księżycem ścierniska szło czterech partyzantów. Prowadziła ich świnia, na postronku. I ona jedna, jedyna, była trzeźwa. Dwóch trzymało się sznurka, na którym była uwiązana, a dwaj pozostali szli po bokach, zakosami, jeden celował z karabinu do gwiazd, drugiemu karabin majtał się na ramieniu...

Żbika zalała krew. Wyszepiał w duchu tak sakramencką wiąchę, że na głos w życiu takiej nie słyszał.

Wyskoczył z Rysiem ku pijakom.

- Stać! Nie strzelać. To ja, Żbik. Przekazać świnię plutonowemu Rysowi.

- Ooo, pan kom...kom...kom...

-...dant!... patrol bacz...bacz...

Żbikiem zadygotało z wściekłości. Usłyszał, jak szczękają mu własne zęby. Wciągnął powietrze ze świstem i ile miał siły w pięści, wyrzucił mu w pysk.

- Rozbrój ich, bo ja chyba pozabijam - warknął przez zaciśnięte zęby do Rysia. - Rozbrój ich i doprowadź do wsi.

Czujki też były pijane. Lewa i prawa. Przednie i tylne trzeźwe. Żbik myślał, co robić.

Raport karny? Za mało. Służba poza kolejną? Źle, żołnierz musi być wypoczęty, w każdej chwili gotowy do walki, inaczej staje się obciążeniem dla oddziału. Kulą u nogi lub bombą z opóźnionym zapłonem. Stójka pod karabinem? Dobra, ale kiedy? Wróć do obozowiska i zaraz ruszają dalej, to partyzantka, nie koszary. Psiakrew. A gdyby w czasie swawolnego spaceru ze świnią spotkali Niemców? I gdyby przyprowadzili ich, tak jak szli, od prawej strony, gdzie warta pijana spała pod drzewem? Jezus Maria. Zamiast wsi byłyby już zgłiszczka. Piętnaście rodzin... Zebrał ich wszystkich razem. I resztę oddziału. Kazał zdjąć mundury, rozebrać się do kalesonów. Pijani, majtali się, przewracali. Wyrwał sztachtę z płotu i bił ich. Bił ich, gdzie popadło. A jak pękła sztacheta, lał ich pięścią.

- A teraz wracajcie do domów. Nie ma dla was miejsca w oddziale. Zza płotów

przyglądała się temu na wpół rozbudzona wieś.

- Panie komendancie - Bem zameldował, gdy wrócili do obozu. - Stara Jasińska tu była. Powiedzieli jej we wsi, że Jasiński dostał wyrok. Zabrała obie córki, zabrała młodego. Sowicz był z wami, to on jeden nie wie. Odgrażała się, że wszystko Niemcom powie.

- Cholera jasna. Co ja jestem? Oddział karnowychowawczy? Dobra, gdzie poszła?

- Chyba na wieś.

Znalazł ją, kręciła się koło gajówki. Kasia i Mania, te dwie dziewczuszki, co jakiś czas były z oddziałem, zapłakane. Najstarszej córki nie widać. A Jasińska wściekła jak osa.

- Powiem! Co mam do stracenia, powiem! Nic mi nie zostało przez was! Nic! I starego mi zabiliście, co ja z dziećmi bez chłopa pocznę?

- Pani Jasińska. Dostał wyrok, bo groził, że wyda oddział.

- Ale nie wydał! A wyście go zabili!... Nienawidzę was... on was nie wydał, a ja was...

- Jasińska. - Żbik wyjął i odbezpieczył broń. Wycelował prosto w pierś kobiety. Kasia i Mania zamarły. W drzwiach gajówki stanęła trzecia z córek. - Jasińska, jeszcze jedno słowo, a zginiecie wszyscy. To jest wojna, tu nie ma miejsca na ploty przy płocie. Czy to jasne?

- Jasne - szepnęła przerażona.

- Kobieto, masz pięcioro dzieci. Masz dla kogo żyć. Ale przysięgam, że jak dowiem się, że kłapiesz gębą, to przyjdę i zastrzelę. Rozumiesz?

- Rozumiem...

- Wyjedziecie stąd. Umieszczę was w pewnym majątku. Tam nikt was nie zna i możecie zacząć od nowa. Będę wam pomagał. Ale wystarczy jedno słowo, a ściągniesz na siebie i dzieci wyrok.

Kiwnęła głową.

- Pakujcie się - rozkazał Żbik. - Wieczorem przyjdą po was ludzie i odprowadzą.

Odwrócił się, chowając broń, bo w oczach Mani i Kasi zobaczył, że nie są same. Dwadzieścia kroków od gajówki stał Sowicz. Najstarszy syn Jasińskiej, żołnierz od niego z oddziału.

- Józio... - jęknęła Jasińska.

- Przyszedłem się pożegnać - powiedział Sowicz. Żbik wyciągnął do niego rękę.

- Przyszedłem się pożegnać z matką i siostrami. Ja zostaję u pana komendanta, w oddziale.

Żbik do końca wojny finansowo wspierał Jasińską i jej rodzinę. Mówił na to „alimenty na Jasińskich”.

Leśny obóz oddziału Zęba, nieopodal wsi Batorz. Jesień 1943 roku

Doktor Żar kończy składać złamaną nogę partyzanta. Irtysz obok zmienia opatrunki postrzelonemu w ramię. Przed ich szalasem - izbą chorych siedzi kolejka oczekujących. Zdanowicz patrzy na tę kolejkę i łowi spojrzenie doktorowej. Dobrze wie, co chce mu powiedzieć.

- Panie komendancie... - Staje przed nim niewysoki chłopak. - Mam coś do zameldowania. - Głos mu się łamie. - To ja zabiłem szeregowego Irgę. Ja... ja myślałem, że to Niemiec. On miał niemiecki płaszcz, zdobyczny...

Cholera - myśli Ząb, patrząc na załamanego chłopaka. Irgę stracili w akcji dzień wcześniej. - Nie chciałbym być na jego miejscu.

- Ktoś o tym wie? - pyta go. Chłopak potrząsa głową.

- Nie. Chyba nie. Tam była taka jatka, każdy patrzył na siebie.

- Posłuchaj mnie, bo to rozkaz. Nie mów o tym nikomu, nigdy.

- Panie komendancie! - Rzędzian biegnie ku nim. - Proboszcz pana szuka.

- Proboszcz? Jaki proboszcz?

- A tu, łój, z parafii. Ze wsi Batorz. Aż do obozu się sam pofatygował, ale Lampart go zatrzymał i nie wpuścił. Wartownicy go trzymają.

- Już idę. - Klepnął jeszcze w plecy chłopaka, który przed chwilą wyznał mu swą winę. Proboszcz ze wsi Batorz, a to dobre!

- Niech będzie pochwalony, panie komendancie! Ja to już trzy razy ministranta posyłałem, żeby pana komendanta i oficerów zaprosić do mnie, na plebanię, w gościnę! O, w całych Lasach Janowskich o nikim innym się tak dobrze nie mówi jak o panu komendancie! Wielki to będzie dla mnie honor i dla moich parafian.

- A od kiedy ksiądz tu jest proboszczem? - spytał przebiegły Zdanowicz.

- Od początku świata! Nie, no żartuję. Ale ze dwanaście lat to już będzie.

- A na serce już proboszcz nie choruje? - poruszył brwią.

- Na serce? Nie...

- No to chwała Bogu. Bo jak tu byłem cztery lata temu, równo, z bratem moim, to ksiądz nam odmówił i gościny, i pomocy. No, bo jak powiedział wikary Dylewski, miał ksiądz chore serce. Wtedy nas ksiądz wyprosił, a teraz zaprasza...

Proboszcz zmieszał się bardzo, a Zub-Zdanowicz przeciwnie. Uśmiechnął się nadzwyczaj ładnie i poklepał proboszcza po ramieniu.

- Ja to mam taki kłopot, że mam dobrą pamięć, proszę księdza. Więc jeśli się ksiądz nie pogniewa, to ja za tę dzisiejszą gościnę dziękuję uprzejmie. Z Bogiem.

Uklonił się i poszedł. Dogonił go Rzędzian.

- Jezusie. Ja to bym nie chciał podpaść panu komendantowi.

Ty to mi podpadłeś już na samym początku - pomyślał Ząb. - Przez to, że zasnąłeś na warcie, Maria PorayWybranowska wpuściła mnie w jeżyny. Bosymi nogami w kolce. Ale jakoś tobie szybciej wybaczyłem.

Zwinęli obóz, wracali do stolicy. Pod Borowem Zdanowicz wyznaczył miejsce zgrupowania wszystkich podległych sobie oddziałów. Tam miał dołączyć do niego Znicz, wcześniej wysłany w kraśnickie. Zaproszenie proboszcza z Batorza to nie był pierwszy, ale kolejny z sygnałów, że wojsko rotmistrza jest znaczną siłą w okolicy. Latem zaczynał z oddziałem Stepa od dwudziestu, trzydziestu ludzi. Teraz miał ponad trzystu pod swoim dowództwem, nie licząc tych, których przyprowadzi ze sobą Znicz, a już wiedział, że może być ich koło setki. To o dużo za dużo na oddziały Akcji Specjalnej. Ale też wciąż pamiętał, że dali mu wolną rękę i kazali działać. No to działał. Miał wśród ludzi takich chłopców jak ten, co niechcący zabił Irgę. Prostych, uczciwych, wrażliwych. Dla nich planował zrobić leśną podchorążówkę. Miał świetnie wyrobionych oficerów - Kreta, Stepa, Cichego, Zagłobę, Znicza. Każdego z nich mógłby zrobić swoim zastępcą i dowódcą większego zgrupowania. Miał ideowców, którzy przyszli do oddziału, by walczyć za Ojczyznę, takich, co wiedzieli, o jaką Ojczyznę z nim walczą. Obok nich, równie zaangażowani, romantycy. Mundur, broń, patriotyzm, wnukowie Sienkiewicza, równie dobrze mogli pójść do AK. A szli do niego, bo chcieli walczyć „w oddziale rotmistrza Zęba”. I jeszcze zbieranina spalonych w terenie, których tylko kilka kroków dzieliło od partyzantki do pospolitej bandytki. Brał ich, jak kiedyś Orła, bo wiedział, że daje im szansę albo może, jeszcze bardziej, że uwalnia od nich tę czy inną wieś. W oddziale nakarmieni, ubrani, zajęci od rana do nocy i pilnowani. Nigdy nie dawał ich do jednej drużyny, rozdzielał.

Niektórzy dość szybko nasiąkali leśnym patriotyzmem, inni nie, ale jako żołnierze byli bez zarzutu. Choć zdarzali się i tacy, co do oddziału przyszli boso, w jednej koszuli na grzbiecie, a znikali z niego natychmiast po tym, jak dostali buty.

Przed nimi zima. Zima, której wojsko bez koszarów nie przetrwa. Zanim nadejdzie, zdążą jeszcze zrobić niejedną akcję, zdążą zgrać się i żyć jeszcze bardziej. Nim rozpuści oddziały na zimowe leże, musi zrobić dla nich coś, po czym poczują się naprawdę jak polskie wojsko.

Leśny obóz pod Borowem. Październik 1943 roku

Gruzini urządzają polową kuchnię. Dzik pomaga Irtysz w szalasie dla chorych. Partyzanci w cywilu prowadzą pojedynczo swoje konie do Borowa, rozdzielając je po

gospodarskich stajniach. Z boku kilku żołnierzy coś wykuwa w niewielkich kawałkach blachy. Podchodzi do nich rotmistrz.

- Tak będzie dobrze, panie komendancie? - Jeden z nich podaje mu blachę. - Boki się utnie, tu się podszlifuje, otwory na łańcuszek. Zdanowicz ogląda ryngraf. Orzeł w koronie z Matką Boską na piersi.

- Słuchaj, Józek - mówi Ząb, wpatrując się w ryngraf. - Bardzo ładnie, ale wydaje mi się, że ja tę matkę boską skądś znam...

Józek rumieni się, chłopaki rechoczą.

- Oryginał ma krótkie włosy - pogrąża Józka kolega.

- Ale imię się zgadza. Maria panna Wybranowska.

- Przestańcie - błaga Józek. - To nie tak, panie rotmistrzu... o rany, chyba pan im nie wierzy... no to przynajmniej niech mnie pan nie wyda...

Szałas, kwatera dowódcy

- Cichy, obejmiesz dowództwo całego oddziału. Weźmiesz tych ludzi z okolic Janowa Lubelskiego.

- Tak jest, panie komendancie! Dziękuję.

- To się jeszcze okaże - pogratulował mu Ząb.

W wejściu do ziemianki stanął Znicz. Najpierw się zameldował, a potem przywitali się.

- Przekazywali, że zbudowałeś duży oddział, ale sam mów, jak duży.

- Prawie setka ludzi - oświadczył Znicz. Oficerowie gwizdnęli. Zdanowicz zaśmiał się:

- Cudowne rozmnożenie. Jak tam się spisał Orzeł?

- ORP Orzeł. Tak na niego mówiliśmy, jak was nie było.

- W porządku, ale ktoś dał znać tym zbirom, że ich tropimy, bo kilku się pochowało. Zlikwidowaliśmy sekretarza PPR z Bystrzycy i rozbiliśmy oddział złożony z byłych sowieckich jeńców i rodzimej komuny. Trochę broni wyciągnęliśmy od chłopów, ale mówię panu, panie komendancie, czasami to już nie mam cierpliwości. Proszę jak kogo dobrego, żeby oddali broń. Chłop, że to jego. Ja mu mówię, jaka twoja, człowieku, jak ty syna nie masz, w wojsku nie byłeś, bo wiem od sąsiadów, że zakopał broń, którą mu zostawili żołnierze we wrześniu. A on dalej, że to jego i nie wyda. Jak do dobrego: oddaj, bo leży w ziemi i za chwilę do niczego się nie nada, a ja tymi karabinami was bronię. Chłop na to, że on też się musi bronić i nie odda. To ja mu daję do ręki mój karabin i mówię: „Przeładuj, pokaż, jak strzelasz”. On z nogi na nogę, oczy w ślup. W życiu karabinu w ręce nie miał. I ja jeszcze

cierpliwie, że skoro nie potrafi używać, to po co w ukryciu trzyma, a on na to...

- „Nie oddam!” - wchodzi mu w słowo Kret.

- Tak właśnie. I mi się cierpliwość kończy i lańsko mu spuszcza jak dzieciakowi.

Chłop pokorniej, prowadzi do stodoły, tam w rogu ma piwniczkę, a w piwniczce...

-...trzy zdezelowane mauzery, tak?

- Nie! W piwniczce ma arsenał! Dziesięć mauzerów, rewolwery, osiem pełnych mundurów, ładownice, mapnik...

-...i mały czołg.

- Nie, a szkoda, co? Ale amunicji od cholery i skrzynkę granatów. A jak już musiał oddać, to po złości jeszcze trzech sąsiadów wydał, którzy mieli mniej, ale też mieli. Ja tak sobie myślę, panie komendancie, że jakby każde jedno gospodarstwo przeszukać, to można by pułk wojska kompletnie uzbroić.

- Uhm, z jednej wsi. Oj, chłop polski to swój rozum ma. Dla nas nieodgadniony. No dobra. Dostałem wiadomość, że z Komendy Głównej NSZ wysłali nam nowych oficerów z zadaniem zorganizowania leśnej podchorążówki.

- To my już panu rotmistrzowi nie wystarczamy? Nasz korpus oficerski, sześciuosobowy?

- Nie błażnij, Znicz, bo to nie jest śmieszne. Poza w sumie osobnym oddziałem Ojca Jana, jak się teraz policzymy, to będzie ze czterystu ludzi. Muszę to okiełznać organizacyjnie, podzielić na mniejsze grupy, nie ma o czym gadać - potrzebujemy oficerów.

- Panie komendancie - Rzędzian wszedł do ziemianki - już czas. Rotmistrz zmarszczył brwi, bo nie pamiętał, na co czas.

- Pani Elżbieta czeka z obiadem i córkami na oficerów - szeptem przypomniał ordynans.

- O rany, mama! - Kret zerwał się z ławy i natychmiast usiadł, bo zrobiło mu się głupio.

- O rany - powtórzył Zdanowicz. - Idziemy.

W domu PorayWybranowskich było ciepło. Haftowany obrus, pani Elżbieta, Hajduczek i Maria w sukienkach.

- PPR zaczęło ostrą agitację, jak tylko wyszliście. Zarzucili wsie gazetkami, ulotkami, czym się dało. - Ponieważ nie było majora Radosza, gospodyni ważne rzeczy mówiła bezpośrednio przy obiedzie.

- Co jedna, to lepsza. - Hajduczek potrafiła jeść i ścisnąć Stepa za rękę pod stołem. - Mało brakowało, a kanonizowaliby Słowika.

- Tu akurat się mylisz, córeczko, komuniści są niewierzący. Ale prawda, „wymordowaliście oddział prawdziwych gwardzistów”.

- Siekierami - uzupełniła Fala.

Ząb nie musiał na nią patrzeć, by potwierdzić, że Józek na niej wzorował ryngraf. Kiedy on zdążył się tak przyjrzeć dziewczynie? Cały czas był z oddziałem.

- Nie jest dobrze, panie rotmistrzu - powiedział poważnie miejscowy komendant placówki, także zaproszony przez gościnną gospodynię. - Wypuścili w teren agitatorów, którzy mają zapewniać chłopów, że sowiecki sojusznik pomoże GL. Złapaliśmy jednego, który miał przy sobie meldunek. Takie, wie pan, sprawozdanie z przeprowadzonych rozmów. Wynotowane w punktach. „Zapewniłem wszystkich chłopów, że ZSRR nam pomoże wytępić AK i NSZ równocześnie z okupantem”.

Elżbieta PorayWybranowska przeżegnała się.

- Co chłopci na to?

- W to, że banda Słowika to byli „przyzwoici gwardziści”, nikt nie uwierzył, bo ludzie osobiście swoje rzeczy z plebanii odbierali. Ale chłopci są zmęczeni wojną, terrorem, kontyngentami. Są tacy, dla których argument „wytępić panów, bogaczy i wyzyskiwaczy” ma swoją moc. Poza tym zaczęli używać zwrotu „polscy faszyści”.

- O kim? - Ząb uniósł obie brwi i odłożył łyżkę.

- O panu, komendancie - uświadomiła go Fala.

Zdanowicz parsknął z niedowierzaniem. Komendant placówki dokończył:

- Może jednak teraz, kiedy pan rotmistrz ściągnął tu z dużym wojskiem...

- To ludzi pokrzepi, naprawdę - twardo oświadczyła gospodyni.

- Miałbym do pań prośbę, wielką prośbę. Właśnie w tej sprawie. Czy mogłyby panie uszyć sztandar? Polski sztandar dla całego oddziału.

- Sztandar się wyszywa, nie szyje - chłodno zwróciła mu uwagę Fala.

- No właśnie, to dowód, że ja się na tym nie znam, a panie znają się doskonale!

- Tak jak na praniu, cerowaniu i gotowaniu, tak? - zaatakowała go najmniej ujmująca z Wybranowskich.

- O co ci chodzi, córeczko? Pan komendant ma rację, znamy się na kobiecych sprawach. A w kwestii sztandaru to przecież sama mówiłaś o tym wcześniej, czyż nie? Przecież nawet srebrne nici załatwiłaś, wypruwałyście razem z Hajduczkiem z tego starego, coście...

Zdanowicz z przyjemnością widział, jak Fala się rumieni. A dobrze jej tak, niech się wstydzi.

- Bardzo panience do twarzy z rumieńcem - powiedział i ponieważ wszyscy zamilkli, zrozumiał, że przez przypadek powiedział to głośno. Rozmowa zeszła na inne tory, rotmistrz się zamyślił. Hajduczek śmiała się z czegoś głośno.

- Tak, Fala najpierw chciała iść na medycynę, potem postanowiła, że będzie dentystką...

- Zmieniłam zdanie - oświadczyła głośno i wyraźnie Fala. - Nie będę zębów leczyć.

Zapanowała cisza.

- Wolę już być weterynarzem - dokończyła.

- A w sprawie tego sztandaru to jak będzie? - zagadnął Ząb, żeby zmienić temat na mniej osobisty.

- Zrobimy. Tylko proszę powiedzieć, na kiedy.

- Chciałbym na jedenastego listopada. Zależy mi na przygotowaniu dużej uroczystości dla oddziału.

- Będzie ciężko - oszacowała Hajduczek. - Ale czego się nie robi z miłości!

Fala wyszła za nimi. Wiedział, że musi z nią porozmawiać i że „po moim trupie” już nie wchodzi w grę. Doktor Żar powiedział, że potrzebuje minimum jedną sanitariuszkę na pięćdziesięciu partyzantów. Wyszło na jej.

- Przejdziemy się? - zaproponował.

- No przecież idziemy.

Jest okropna - pomyślał po raz nie wiadomo który. - Okropna.

- Jest panienka bardzo ładna - powiedział.

- To dobrze czy źle? Dla sanitariuszki?

- No właśnie, ja w tej kwestii. Zmieniłem zdanie.

- A ja nie.

- O rany - jęknął Zub-Zdanowicz. - Jak ojciec z panienką wytrzymuje? A, wyjechał, rozumiem! To musi być dla niego smutne, żona taka miła, przyjemna kobieta, a córka...

- A córka co?

- Wie pani co, panno Mario? Jest panna tak okropna, tak wredna, że na złość pannie poprosiłbym ją o rękę!

- To jest warunek?

- Jaki warunek?

- Przyjęcia mnie do oddziału.

Do Zdanowicza dotarło, co powiedział. I że ona wzięła to na serio. I że właściwie to on... Dowódca musi podejmować błyskawiczne decyzje.

- Tak. To jest warunek.

- Dobra. Przyjmuję. Kiedy złożę przysięgę?

- Mażeńską?

- Nie, żołnierską.

- Jest panienka okropnie interesowna - powiedział, zatrzymując ją w szczerym polu.

Popatrzył na jej drobną twarz. Na oczy. Podbródek z upartym dołkiem w środku. Ciemnokasztanowe włosy. Jak można mieć tak mały nos? Nosek?... Pochylił się. Pocałował ją.

Zamrugła. Pocałował ją w usta.

- A pierścionek? - spytała cicho.

Klepnął się po kieszeniach. Nie miał nic. Nic. Stał obok krytego stogu. Wyciągnął ścięty kłos, zakręcił.

- Czy mogę prosić panią o rękę?

Wyciągnęła dłoń. Jak można mieć tak małe dłonie?

- Przepraszam, źle wymierzyłem rozmiar. Chwileczkę. - Zakręcił jeszcze raz. Wsunął jej na palec. Podniosła dłoń i przyjrzała jej się.

- Bardzo ładny - uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy, odkąd się poznali.

Kwaterna dowódcy. Nazajutrz

- Mamy kłopoty, panie komendancie.

- To jakaś nowość, panie kolego. Zaciekawilem się.

- Patrol z oddziału Cichego pod dowództwem Orła...

-...mściciela, krążownika ORP Orła - podkreślił Zdanowicz.

- Pan komendant ma taki dobry humor, czy coś się stało?

Kret i Step, którzy wiedzieli, co się stało, zrobili miny, ale Ząb zaprzeczył i Znicz mówił dalej:

- Zastrzelili dwóch GŁowców, jednego powiesili, a potem zrobili jeszcze nalot na melinę bandy i ją zlikwidowali.

- To same sukcesy - pochwalił Ząb.

- Ale dostaliśmy wiadomość z terenu, że członkowie bandy prowadzonej przez Lonkę zamordowali leśniczego Kowalczyka i jego dwie córki. To była nasza placówka.

- Odwet za tych zabitych przez Orła?

- Nie. Lonka od dawna nie jest w GL, przeciwnie, to GL poluje na Lonkę.

- Chcesz powiedzieć, że mamy jakiś wspólny cel z gwardzistami?

- A da mi pan komendant skończyć?

- Co to za banda? - spytał już poważnie Ząb, a odpowiedział Kret.
- Polskokułaińskożydowska. Po swoich występach z zeszłego roku zniknęli. Jeśli wrócili w nasze okolice, to musimy być czujni.
- Po kolei, co to za występy?
- W Janiszowie był obóz etapowy dla Żydów. Rok temu Gwardia Ludowa postanowiła zaatakować obóz, bo dowiedzieli się, że jest strzeżony tylko przez jednego esesmana i polską i żydowską granatową policję. Rozgłosili najpierw, że będą ratować Żydów...
- „Chronić ich przed śmiercią” - uzupełnił Step. - U nich najwięcej etatów jest w wydziale propagandy, nie pierdną nawet, by tego nie ogłosić światu.
- Akcją dowodził oficer GL, niejaki Grzegorz. Wszystko poszło gładko, obóz odbili, oswobodzili kilkadziesiąt osób i przy okazji uwolnili z kasy obozu jakieś pół miliona złotych.
- Nie licząc biżuterii i ubrań.
- Po czym wcielili do swojego oddziału kilku młodych i zdrowych Żydów, a resztę zostawili na pastwę losu. Kobiety, dzieci, starców, czyli tych, którzy nie byli im przydatni. Część się rozbiegła, większość zginęła, bo to był listopad. Towarzysz Grzegorz zostawił część zdobytej kasy i kosztowności pod opieką kilku gwardzistów, a sam z resztą oddziału poszedł do Skarżyska kupić broń, stać go było. W tym czasie inny towarzysz, pseudonim Sokół, połasił się na kasę. Skrzyknął Ukraińca Lonkę, tych młodych Żydów, co ich Grzegorz wcielił do oddziału, i kogoś tam jeszcze. I spółka Sokoła zamordowała dawnych kumpli, ograbiła kasę i zwała w Lasy Janowskie. Przy czym jeden stróż im uciekł i dotarł do Grzegorza. I się zaczęło.
- Represje spadły w pierwszej części na Żydów, bo byli w grupie Sokoła...
- ...i ukradli ukradzione sobie wcześniej skarby.
- Nie, no najpierw to Żydów okradli Niemcy, potem GL, potem oni GL...
- Kret - uspokoił go rotmistrz. - Ja nadążam.
- Tak jest. Więc najpierw sympatycy PPR wyrzucili z domów Żydów, których przechowywali. Potem, albo w tym samym czasie, GLowcy urządzili obławę na Żydów ukrywających się w lasach, część z nich to byli ci wcześniej uwolnieni. Wybili grantami chowających się w ziemiankach. A na koniec zwabili w zasadzkę partyzantów żydowskich Głajchera i ich też zabili. Potem dopadli Sokoła i uciekł im tylko Lonka, który odbudował sobie oddział.
- I to ten Lonka przyszedł teraz i zamordował Kowalczyka?
- Z córkami.
- Rany boskie. - Skrzywił się Zdanowicz. - Oprócz bandy Lonki, co się ulęło w

okolicy, jak nas nie było?

- Tak zwana banda Mazurów. Wywodzi się z bandy Dziadka Kielbasy.

- Dobra, starczy. I tak będę miał koszmary. O Dziadku Kielbasie opowiecie mi, chłopcy, innym razem. Cichy, Kret, weźcie oddział i idziecie szukać Lonki.

Grzegorz, Grzegorz Korczyński, właściwie: Stefan Kilanowicz - oficer GL odpowiedzialny za mord na Żydach. Po wojnie współpracownik Ministerstwa Bezpieczeństwa Wewnętrznego do spraw operacyjnych. Aresztowany w 1950 roku, oskarżony o mordy na ludności żydowskiej i polskiej. W czasie procesu na jaw wyszedł nie tylko rozmiar zbrodni w Ludmiłowce (ponad sto osób), ale i jej brutalność - gwałty na zabitych Żydówkach. Skazany na dożywocie. Wyszedł w ramach odwilży 1956. Błyskawicznie awansował na stopień generała i wiceministra obrony narodowej. Grób na Powązkach, w Alei Zasłużonych.

Las pod Borowem. 14 listopada 1943 roku

Słychać daleki śpiew: Ojczyznę wolną racz nam zwrócić, Panie. Drzewa. Zeschłe liście. Aleksander Szandcer Dzik stoi na warcie. Bezgłośnie powtarza słowa pieśni. Dalej inni, cały las otoczony czujkami. Po policzkach wartowników płyną łzy. Coś zaszemrało w krzakach. Wartownik błyskawicznie kieruje tam mauzera. Pociąga nosem. Z krzaków wyskakują zajac. Zawiał wiatr, śpiew jeszcze głośniejszy, opadają liście. Polana w lesie. Tłum ludzi. Sześćset, może więcej.

Wojsko Zub-Zdanowicza ustawione w równych szeregach, na piersiach ryngrafy z orłem w koronie i Matką Boską. Mały oddział AK. Okoliczni mieszkańcy. Sporo dziewczyn.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie Przed ołtarzem polowym właśnie kończącej się mszy ksiądz święci sztandar. Potem rotmistrz Zub-Zdanowicz klęka i całuje go. Kolejno podchodzą oficerowie. Step, Kret, Znicz, Zagłoba, Cichy.

Wszystkie trzy PorayWybranowskie płaczą. Fala ma na palcu pierścione z łodygi zboża. Zdanowicz z poczem sztandarowym robi przegląd wojska.

- Żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych! Na imię mi „Legion”. bo nas jest wielu... Dzisiaj przysięgacie na ten poświęcony sztandar 1 Pułku Partyzanckiego Legii Nadwiślańskiej. Od dzisiaj to my jesteśmy Legion i ile sił w piersiach służyć będziemy Rzeczypospolitej! Walczyć o nią, aż po odzyskanie wolności, a gdy dzień ten nastąpi, nasz pułk partyzancki wejdzie w szeregi odrodzonego Wojska Polskiego!

Wróc nowej Polsce świetność starożytną

I spraw, niech pod Nim szczęśliwą zostanie

Noc. Las. Ktoś biegnie po zeschłych liściach. Wartownik woła:

- Stój! Kto idzie?
- Komendant - słysząc głos Zdanowicza.
- Czołem, panie komendancie!
- Czołem, żołnierzu Legii Nadwiślańskiej.

Kroki oddalają się, wartownik przysłuchuje się im i wyraźnie słyszy, że to nie pojedyncze kroki komendanta. Uśmiecha się pod nosem i poprawia czapkę.

- Mario? - głos rotmistrza jest zduszony, czuły.
- A komendant ma jakieś imię? - pyta Fala.
- Leonard. Cisz.
- To będę mówiła do pana „komendancie” albo „rotmistrzu”.
- Jako moja narzeczona nie możesz do mnie mówić „pan”. Słysząc brzęk rozpinanego pasa.

- No chyba... - Szelest liści jest coraz intensywniejszy, głos Marii coraz niższy, coraz bardziej przytłumiony, oddech szybszy -...nie wyobraża sobie pan... ach... że będę przy oddziale... ach... mówiła do niego na „ty”...

Zrywa się wiatr, szumią drzewa, chmury rozpędzone podmuchem odsłaniają księżyc. W jego świetle rotmistrz i Fala, nadzy, okryci płaszczem. Dziewczyna ma zamknięte oczy, rozchylone usta. Zdanowicz całuje ją. Pohukuje sowa. Fala otwiera oczy i mówi:

- Lasy żyją.

*

Lasy olesińskie, niedaleko gajówki Wysoka Góra. Grudzień 1943 roku

Okolony z jednej strony moczarami, z drugiej rzeką Czarna, pagórek. Wszystko przyprószone lekkim pierwszym śniegiem. Jest go niewiele. Od wschodu do pagórka wiedzie ścieżka, przed nią ustawiony patrol. Dwóch mężczyzn w cywilu, konno. Patrol zatrzymuje ich, po chwili wartownik salutuje i puszcza.

Od zachodu wiedzie wąska droga, którą powoli jedzie wóz ze ściętymi okrągłakami. Na koźle dwóch partyzantów i pies, kundel Jurka, Reks. Słysząc stuk siekier i młotków. Jak na zawołanie zjawia się kilku następnych i wyładowują wóz, niosąc drewno na zalesiony szczyt pagórka.

Tam trwa budowa. Długi barak już stoi. Podwójne ściany z okrągłaków, przestrzeń między nimi wypełniona sianem. Okrokwiony dach, kryty słomą. Wewnątrz baraku legowiska dla setki ludzi, pośrodku wąskie przejście. Ludzie wnoszą przywieziony właśnie żelazny piecyk.

W drugiej części pagórka kuchnia, mała stajnia i magazyn.

Żbik zeskakuje z rusztowania w magazynie, pokazuje Kmicicowi, jak ma skończyć robotę, i wychodzi. Kmicic, ogolony i umyty, ze śrubokrętem w ręce, nie przypomina bandziora. Na podwórzu leśnej bazy czekają na Żbika ci dwaj, którzy przyjechali konno.

O rany...

Człowiek, którego zna, to Kwas, komendant powiatowy NSZ z Przedborza, Żbik podaje mu rękę, ale nie może oderwać wzroku od tego drugiego. Żołnierze też zbijają się w grupki, wpatrując w przybysza. No bo i jest na co patrzeć. Niewysoki, ale mocnej budowy mężczyzna o aparycji jaskiniowca. Zarośnięta, niczym u pustelnika twarz. Na głowie galowa czapka piechoty z orłem i okuciami. Niemieckie, artyleryjskie buty, znoszone, skórzane spodnie, brudna, rozpięta pod szyją polska kurtka mundurowa i niemiecki wyglancowany Bergman. Włochata pierś wystająca spod rozpiętej kurtki przyciąga uwagę Żbika. Tatuaż?...

- Grzmot? Bosman Grzmot? Rany boskie, panie komendancie, aleś mi pan prezent przywiózł!

Bosman Grzmot - przyjaciel Żbika z walk na Oksywiu w 1939. Uciekł z obozu jenieckiego na „ekipę remontową”, gdy Żbik leżał na izbie chorych, czekając na wynik starań doktora Gosiewskiego. Spotkali się w Piekarach i tam Grzmot wciągnął Żbika do konspiracyjnej Narodowej Organizacji Wojskowej. Stracili kontakt po tym, jak Żbik spalony w Piekarach został przekazany do Okręgu Częstochowa.

- Żbiku - mówi Grzmot - przepraszam, komendancie Żbiku! Ty tu urządziłeś normalne koszary! Ja cię...

- Cicho. Uczę moich podwładnych kultury. Nie klniemy w oddziale. Ale wyglądasz...

- To kamuflaż.

- Jak do mnie trafiłeś?

- Wpadka organizacji w Piekarach. Dostałem przydział do Częstochowy. Tam spotkałem niejakiego Esmana. Raz czy drugi wspomniał o Żbiku, kiedy nam przy kieliszeczku opowiadał swoje ulubione akcje. Niby Żbików w partyzantce jak psów, tylko chyba Kmiciców więcej, ale coś mi podpadło. Oczywiście porucznik Esman nie chciał powiedzieć. Tajemnica, konspiracja, pseudonim, żadnych nazwisk. Ale podpuściłem go i mi tego Żbika narysował...

- Jezu! To mój Esman! Masz ten portret pamięciowy?

- O nie, mój drogi! Esman zniszczył go natychmiast. Zacząłem poszukiwania, co nie było trudne, bo w okolicy wszyscy wiedzą, kim jest Żbik, a dziewczyny szczególnie, ale już znaleźć was to inna sprawa. Dobrze sobie tu okoliczną ludność wychowałeś, nie ma co! Wody w usta nabrali i gdyby nie komendant Kwas i droga urzędowa oraz skierowanie z

rozkazem do twojego oddziału od Esmana, to w życiu bym nie trafił. To jak, komendancie Żbik? Przyjmiesz mnie na służbę?

- Gadanie! Kmicic! - zawołał do wychodzącego z magazynu. - Zaprowadź podporucznika Grzmota do kaprała Bema, niech da mu przydział. I pożycz bosmanowi brzytwę!

Dał mu tę brzytwę, bo odegrała swoją rolę w odroczeniu wyroku, i Kmicic nosił ją na pamiątkę na szyi, niczym szkaplerz.

Kwas rozejrzał się po obozie i zapytał:

- Stajnia taka mała?

- Zostawiłem tylko dwie pary koni taborowych. Resztę rozpuściłem po chłopskich stajniach na zimę, nie mam furażu, nie chcę się, jak spadną śniegi, martwić jeszcze o konie.

- Większość dowódców leśnych oddziałów rozpuszcza swoich ludzi na zimowe meliny. Pan zrobił odwrotnie. Duża odwaga. Wyżywić to, przeżyć na tym zimnie...

- Ja też część rozpuściłem, zostawiłem sobie tylko setkę ludzi. Ale widzi pan, panie komendancie, do domów mogłem puścić tylko okolicznych, żeby każdy był u siebie. Reszty nie dam na kwaterunek do chłopów, bo wieś ma za dużo atrakcji. Wódka, dziewczyny. Prędzej czy później pobiją się o którąś. Albo z tego czy innego powodu wyjmą w jakiejś sprzeczce broń i nieszczęście gotowe. Jak ich będę miał przy sobie, to upilnuję. Nie mogę chłopom dać takiego prezentu pod dach, bo cholera wie, co z tego wyniknie. Pamiętasz pan, co było z dziećmi?

- Nic mi nie mów komendancie, do dziś się boję, że ta sprawa się sypnie. A Kowalik co mnie widzi, to narzeka.

Mieli takie małżeństwo konfidentów, Sobczyków. We dwójkę rozpięli w powiecie siatkę szpiegowską i donosili na gestapo aż furczało. Wpadło przez nich kilkunastu ludzi, a na kolejnych kilkudziesięciu z całymi rodzinami mieli już gotowe donosy, kiedy ludzie Żbika do nich dotarli. Dostali wyrok, trzeba ich było zlikwidować. Ale co zrobić z trójką małych dzieci? Co dzieci winne? Oddali ich na wychowanie do Kowalika. Kowalik to porządny chłop zaprzysiężony w organizacji. Dzieciaki płakały za ojcem i matką, a najstarszy zaczął się odgrażać, że jak rodzice nie wrócą, to on pójdzie na gestapo i powie. Nazwisk może by i mały nie znał, ale z twarzy rozpoznać mógł kilkanaście osób, które nie wiedząc o szpiegowskim procederze Sobczyków, przychodziły do nich. Chłop Kowalik zamiast w pole do roboty, w chałupie siedział i pilnował, żeby dzieciaki nie narozrabiały, zwłaszcza, odkąd tego najstarszego w drodze na gestapo Kowalikowa złapała. Okropna sprawa. Od tamtej pory podwójnie uważali na to, by chłopów swoją robotą dodatkowo nie obciążać.

- A, byłbym zapomniał - klepnął Żbika w ramię Kwas. - Doktora mam. Chcecie?

- Lekarza? Z pocałowaniem ręki! Kwas coś tam odchrząknął i dopytał:

- Ale zajmiecie się nim porządnie? W terenie spalony, póki co u mnie siedzi, a tak sobie pomyślałem, że panu by się tu lekarz przydał.

- Zadbam jak o własnego brata! - obiecał Żbik, co było prawdą, bo Józek, jego starszy brat, był lekarzem.

- No, to podeślę go tutaj za dzień czy dwa.

Jeszcze tego samego dnia, po zmroku wartownicy przyprowadzili do Żbika wysokiego, barczystego mężczyznę.

- O, pan doktor! Tak szybko? - przywitał się Żbik.

- Nie. Ja nie doktor. Ja pilot. - W akcencie przybysza słychać było obcą nutę. - Anglik. Royal Air Force, pilot officer. Richard V. Tullet alias Harry. Proszę o przy...przyjęcie do Żbik Division.

- Harry jest z oddziału Piotra, NOW - wytłumaczył Anglika Lisowski. - Zestrzelili go nad Holandią i trafił do oflagu, stamtąd uciekł, przedostał się do Warszawy, a z Warszawy do lasów. Walczy u Piotra gdzieś od pół roku.

Harry kiwał głową, że to się zgadza, ale na końcu zaprotestował.

- Harry za mało walczy u Piotra. Dlatego Harry chce do Żbik Division.

- To bardzo uprzejme, ale czy twój dowódca o tym wie? - Żbik miał już na pieńku z Piotrem, bo z jego oddziału wcześniej przeszło do Żbika kilku ludzi. Zbiegli się właśnie i witali z Harrym przyjacielsko. Miał też w oddziale chłopaków od Marcina z AK. Tak to właśnie wyglądało w terenie - dla partyzantów barwy klubowe były na drugim miejscu. AK, NOW czy NSZ, wszystko jedno, byleby nie do sowieciarzy. Szli za dowódcą, który się wsławił w okolicy. Tutaj do wyboru mieli jeszcze oddziały Sowy i Jana z Batalionów Chłopskich, albo Garbatego, okrytego czarną sławą w GL.

- Dowódca wie, Harry się odmeldował. Dowódca się nie cieszy, ale Harry bardzo zadowolony.

- No dobrze. Wobec tego witam serdecznie. Poznamy się lepiej, jak pójdziemy razem na akcję. A teraz zapraszam do bazy!

- Harry może iść na akcję nawet dzisiaj!

Jednak nie posłał z najbliższym patrolem Harry'ego, chciał mu się przyjrzeć w bazie. Posłał plutonowego Rysia. Sam zajął się organizacją życia w bazie olesińskiej. O siódmej pobudka, bieg do strumienia. Zimna woda budziła błyskawicznie. Potem gimnastyka, na rozgrzewkę. Śniadanie, skromne - czarna kawa i chleb. Przed jedzeniem modlitwa. Dwie

godziny ćwiczeń, głównie bojowych. Czyszczenie broni. Obiad. Drobne prace gospodarskie w bazie. I zapadał szybki zimowy zmierzch. Na kolację kawa i chleb, rzadziej coś do chleba. Potem grzali się przy żeliwnym piecyku w baraku do spania. Patrole w teren wypuszczał niemal ciągle. Nie mogli zamknąć się w bazie jak w obronnym zamku i nie wiedzieć, co się dzieje.

Obiecany przez Kwasa doktor przybył kilka dni po Harrym. Wystarczył rzut oka, by Żbik domyślił się, dlaczego lekarz jest „spalony w terenie”.

Był spłoszony, niepewny i nieufny.

Żbik, chcąc uspokoić gościa, zaproponował:

- Przejdźmy się po lesie. - I wzięwszy doktora pod ramię, wyprowadził poza bazę.

Gdy odeszli jakieś sto kroków i Żbik zatrzymał się, doktor Kamiński był blady.

- Piękny las, prawda? Cisza, od ludzi daleko. Na dobrą sprawę nawet kilka wystrzałów nie dobiegnie do najbliższych siedzib ludzkich. Gajówki nie liczę, bo wiadomo, gajowy jest nasz.

- Czy może pan to zrobić, bez gadania? - Spytał doktor i dopiero w tej chwili Żbik zorientował się, że zamiast uspokoić, śmiertelnie przestraszył Kamińskiego.

- Co pan, doktorze? Ja nie... Chciałem powiedzieć, że bardzo się cieszę, że mi pana przysłali. No dobra, wiem, że jest pan Żydem, i przysięgam, że póki żyję, włos panu z głowy nie spadnie.

- A oni? - Doktor niespokojnie zerknął w stronę bazy. - Wy przecież narodowcy, antysemita.

- E, tam. Nie taki narodowiec straszny, jak go malują. Niektórzy może i tak, ale wie pan, doktorze, jest wojna. A to znaczy, że bijemy wrogów. Niemców, Sowietów, konfidentów i komunistów. Łapie się pan na coś z wymienionych?

- Nie.

- I o to chodzi! Jeśli ktoś z nas zabił Żyda, to nie dlatego, że pejsaty. Ale że kapuś niemiecki albo sowiecki. Co ja poradzę na to, że wielu pana pobratymców pokochało nauki Stalina? Jeśli dostają w łeb, to za działanie na szkodę Ojczyzny, innej filozofii tu nie ma. Jasne?

- Jasne, panie komendancie - odetchnął doktor. - Ale czy dla pańskich ludzi...

- To żołnierze, będą słuchali mojego rozkazu, to raz. A dwa - lekarz potrzebny w oddziale od zaraz. Mam kilku przeziębionych, parę starych kontuzji, jest co robić. Wraca pan ze mną do bazy, doktorze?

Wieczorem okazało się, że są i nowi ranni. Do bazy dotarł plutonowy Ryś.

Wystarczyło rzucić na niego okiem, by wiedzieć, że coś się stało. Żbik przebiegł sylwetki tych, co wrócili. W mroku nie był pewien twarzy. Kogoś jednak brakowało.

- Kto? - zapytał.

- Zawisza, panie komendancie.

O rany - pomyślał Żbik. - Tylko nie Zawisza. - A zaraz potem przysła mu do głowy myśl, czy są lepsi i gorsi?

- Zatrzymaliśmy się w Wydartuchach. Kwatera wydawała się bezpieczna, ale miejscowi komuniści zadenuncjowali nas żandarmerii. Rankiem Niemcy zaatakowali patrol z trzech stron. Pozostała nam jedna droga ucieczki - rzeka. Żeby do niej dopaść, musieliśmy przebiec przez łąkę. Łąka była pod ostrzałem. Zawisza osłaniał nas ogniem z karabinu maszynowego. My się przeprawialiśmy przez rzekę, on grzał z erkaemu. Pierwszy postrzał dostał w nogę, już nad samą rzeką. Mimo to wskoczył do wody, sięgała mu po pas. Nie przestawał strzelać.

- Chcesz wódki? - spytał Żbik, a Ryś kiwnął głową.

- Drugi raz trafili go w ramię. Krzyczeliśmy, żeby się wycofał. Wystrzelał pięć magazynków...

Sto kul - pomyślał Żbik. - To była jatka.

- Założył szósty. I dostał w brzuch. Zwinął się, padł na ręce i krzyczy do nas: „Dostrzelcie mnie!”. Ja nie mogłem. Tygrys i Owies płakali jak dzieci i oni też nie... sam się dobił. Przetawiał skrzydełko na ogień pojedynczy i strzelił się. Pobiegliśmy w las, Owies był ranny, Jurek też. Niemcy odeszli, wróciliśmy po Zawiszę, jak się ściemniło. Pochowaliśmy go w lesie. - Ryś płacze, wyciera nos rękawem. - Zanim się zastrzelił, krzyknął: „Pomścicie mnie! Zameldujcie Żbikowi, że ginę dla Ojczyzny!”. No to melduję, panie komendancie.

Apel poległych. Reks, kundel rannego Jurka, ćwiczony w tym, by nie szczekać, waruje na końcu szeregu. Żbikowi drżał głos, gdy odczytywał rozkaz pożegnalny przed oddziałem. Nazwał kaprała „Zawiszą naszych czasów” i wystąpił do dowództwa o pośmiertny awans.

Przez kilka dni łazili po bazie jak struci.

Dopiero Harry przerwał żalobną passę. Okazało się, że od jakiejś z wielu dziewczyn, z którymi się spotykał, złapał świerzba. Chodził, drapał się po tyłku, aż wreszcie poszedł z tym do doktora Kamińskiego.

- Kollery jassny. Sso ja srobić? Sso?

A ponieważ Żbik dał mu w bazie fuchę magazyniera, żeby się szybciej polskiego uczył, więc Harry z każdym, kto przychodził, dzielił się okropną nowiną. Po kilku dniach

drapali się wszyscy. Doktor tłumaczył im, że choroba przenosi się z jednego na drugiego, bo kiepskie warunki higieniczne i tak dalej. Ale Harry był dociekliwy i postanowił znaleźć źródło zakażenia. Wypraszał u Żbika przepustki, chodził na wieś i szukał. To dochodzenie, skąd oddział ma świerzb, tak zajmowało chłopaków, że śmierć Zawiszy jakoś odeszła w cień.

Zresztą zbliżało się Boże Narodzenie i prócz świerzb, szkorbutu, owrzodzeń i wszy, Żbik musiał pomyśleć o tym, by jakoś zorganizować swoim chłopcom święta. Tamta wódka dawno sprzedana i wypita. Wywiad zameldował, że w Kłomnicach pod Radomskiem są dwa dobrze zaopatrzone magazyny. Daleko, ponad sześćdziesiąt kilometrów. Ale napad na magazyn, choć zawsze obarczony dużym ryzykiem, mógł też zapewnić oddziałowi zapasy na dłuższy czas. Żbik zdecydował się. Wzięli dwa swoje wozy, dwa kolejne od chłopów w drodze. Zaspy, śnieg i na domiar złego, śnieżycy.

- Harry nie może przeboleć, że musiał zostać w bazie - śmiał się Wandal. - Bardzo chciał poznać dziewczyny z Kłomnic!

- Apetyt Anglika jest nie do zaspokojenia.

- E, panie komendancie, on mówi, że to kwestia kobiet. Bardzo mu się Polki podobają.

- A to prawda, że Angielki takie niezbyt? Że brzydkie znaczy się?

- dopytywał Tarzan.

- Pogadaj z Harrym, to ci powie. „Harry kocha Ola”.

- E, niedawno było „Harry kocha Krysia” - wtrącił Zagłoba. - Czy to jest sprawiedliwe, panie komendancie, że dziewczyny tak na niego lecą?

Zagłoba był mały, raczej lichej urody. Pryszczaty. Wandal patrząc na niego, odpowiedział szczerze:

- Sprawiedliwe.

- A pan komendant to ostatnio do młyna ciągnie, co? - podpytywali go po chwili. - Panna Sonia apetyczna jak obwarzanek...

- Tobie się, Wandal, młyn z piekarnią pomylił - zamknął temat Żbik. Panna Sonia śliczna jak kwiat, gdzie ją do obwarzanka porównywać!

Wozy raz po raz grzęzły w śniegu. Jechali najślabszymi, okrężnymi drogami. Wyskakiwać, wyciągać z kolein, popychać i dalej. O poranku dotarli do majątku należącego do ojca jednego z żołnierzy. Zatrzymali się tam na cały dzień, by o zmroku ruszyć na magazyny.

- Dwa kilometry od magazynu jest stacja kolejowa i posterunek Bahnschutzu. Wandal, Zagłoba, Sekunda, Stella, Cygan i Bocian, wysuniecie się pod sam posterunek jako ubezpieczenie. Reszta pod moją komendą robi magazyn. Wcześniej zarekwirujemy

ciężarówkę, bo wozami po tych zaspach nie uciekniemy.

Wszystko było jasne i proste. Obezwładnienie strażników magazynów nie przedstawiało szczególnego kłopotu. Samochód załadowali błyskawicznie. Cztery metry cukru, mąka, tysiące jaj, wódka i kilka skrzyń masła.

- Gotowi! Czarny, ściągać ubezpieczenie. Wiejemy. - Wydał rozkaz Żbik i w tej samej chwili usłyszeli strzały od strony stacji.

- Tarzan! - krzyknął Żbik do kierowcy. - Gaz! Szybko musimy wyjechać za miasto! Tam do nas dołączą.

Czekali jakieś pół godziny. Wrócili Bocian, Cygan, Stella i Sekunda. I nikt więcej.

- Strzelanina była ostra, zaatakowali nas pierwsi. Chyba mieli cynk, panie komendancie, że partyzanci w mieście. Było ich za dużo, musieliśmy się wycofać. Ale Wandal i Zagłoba zginęli. Nie miałem jak po nich wrócić - meldował dowódca plutonu.

- Cygan widział, jak Wandal dostał. Stella mówi, że Zagłoba padł jeszcze wcześniej. Ale to wszystko, co wiemy.

- No to wesołych świąt! - kłął Żbik. - Cholera! Czy to warto? Za tych kilka placków?! Jedziemy. Nie ma na co czekać. Okoliczne posterunki żandarmerii za chwilę będą nas ścigać - opanował się i wydał rozkaz.

Tarzan był dobrym kierowcą, mimo to przeładowana ciężarówka skrzypiała i chwiała się na ośnieżonych koleinach. Wyskakiwali z samochodu, by wypchnąć go z dziury, znacznie częściej niż przy furmankach. Zacinał drobny, ostry śnieg. W okolicy Kurzelowa ciężarówka wjechała jednym kołem w zamrzniętą kałużę i ugrzęzła na dobre. Motor wył, oni pchali, a samochód stał. Żbik miał serdecznie dosyć świąt. Myślał o tych dwóch, którzy polegli na stacji. I modlił się, by naprawdę polegli, by Niemcy nie wzięli rannych żywcem. A poprzedniej nocy na tej drodze Zagłoba martwił się, że wszystkie panny lecą na Harry'ego. Wandal przygadywał mu Sonię z młyna. Pieprzone życie.

Wigilijny wieczór był mroźny. Śnieg skrzył się na dachu mieszkalnego baraku. Stoły ustawili wokół ogniska. Z młyna mieli białe obrusy, z folwarku Niemojewskiego pachnące siano pod nimi. Chleby, barszcz, ciasta. I dużo jajek. Padał spokojny, gęsty śnieg. Żbik przypomniawszy sobie wszystkie dawne Wigilie. Ojca, dzielącego opłatkiem. Potem najstarszego z braci, Józka, co go zamordowali w Oświęcimiu. Dzisiaj pewnie w rodzinnym domu z opłatkiem stoi Ignacy. Chciał coś powiedzieć, do swoich ludzi. Do tych chłopców, co stali wokół ogniska, daleko od swych domów i rodzin. Widział między nimi twarze tych, których już pochował.

Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...

Reks, pies Jurka, zaskamlał. Żbik obszedł z opłatkiem wartowników. Nie mógł jeść. A jak dostał od żołnierzy w prezencie ryngraf, to się popłakał.

- Miejsce dla wędrowca przy stole jest? - rozproszył ciszę przyprowadzony przez wartownika gość. - Porucznik Czech, z Częstochowy - przedstawił się, gdy Żbik poprosił go obok siebie. Wyjął z kieszeni papier i podał mu. - Mam rozkaz od kapitana Hiszpana, komendanta powiatu.

Żbik rzucił okiem i w pierwszej chwili myślał, że się przewidział. W drugiej się zdenerwował, a w trzeciej pomyślał, że to dobrze.

- Skoro taki jest rozkaz - powiedział spokojnie - przekazuję panu porucznikowi komendę oddziału.

Od teraz to on się będzie o wszystko martwił. Harry, Lampart i Lis nie mają butów. Śnieżyca, Dziecioł i Czarny bez płaszczy. Świerzb szaleje, cały oddział zawszawiony. Konie marzną w stajni i chorują na zołzę. Nie ma mięsa. Brakuje ciepłych ubrań, a mróz coraz większy. Szpicle węszą. Dwie akcje się nie powiodły, w okolicy łeb podnoszą złodzieje. Z terenu nadchodzą meldunki o koncentracji Niemców, dwie egzekucje do wykonania. Brak uzbrojenia, jakby musiał cały oddział wystawić do walki, połowę miałby z kosynierów. Amunicji gorzej niż mało. Proszę bardzo! Witamy nowego dowódcę!

Ludzie się wściekli. Nie chcieli przyjąć do wiadomości zmiany dowództwa. Chodzili i po kątach bazy spiskowali.

- Ja przyszedłem tu, do Żbik Division. A co to takiego, że on jest Czech? Ja jestem Anglik i się nie walę!

- Chwałę - poprawiali Harry'ego koledzy. - Mówi się chwałę. Ignorowali rozkazy nowego dowódcy. Żbik nie mógł na to pozwolić i wziął ich wszystkich na stronę.

- Co wy wyprawiacie? Jesteście banda czy wojsko?! W wojsku się wykonuje rozkazy! Nie możecie obrażać Czecha tylko dlatego, że został nowym dowódcą. To może być świetny żołnierz. Nie będę tego tolerował, jasne?

- Jasne, panie komendancie.

- Nie mówicie do mnie komendancie!

Spokój trwał dzień, może dwa. Oddział wrócił do normalnych zajęć. Musztra, ćwiczenia. Żbik miał chwilę czasu, by zrobić paczkę dla Jasińskich i puścić ją przez umyślnego. Widział, że spotykają się w magazynie, u Harry'ego. A następnego dnia przynieśli pokazać mu pismo, jakie przesłali do Komendy Okręgu. Zażądali w nim przywrócenia dowództwa Żbika pod groźbą wystąpienia wszystkich z oddziału. Nazajutrz mieli w bazie wizytację.

- Komenda Okręgu nie wydała żadnego rozkazu na temat zmiany dowództwa - oświadczył porucznik Maciej. - Dowódcą oddziału jest porucznik Żbik. A porucznik Czech został do was przysłany jako oficer szkoleniowy.

- Ale ja mam to na piśmie - zaczerwienił się Czech. - Podpisanym przez kapitana Hiszpana.

- Kapitan stanął do karnego raportu i oświadczył, że został przez pana zmuszony - uciął dyskusję Maciej. - Podobno odmówił pan przyjęcia jakiegokolwiek stanowiska, które czyniłoby pana podwładnym Żbika.

- Jesteśmy - bąknął Czech - równi stopniem...

- Pan jest spalony w Częstochowie i tylko dlatego Hiszpan zgodził się na tę nędzną mistyfikację. Bał się, że pan wróci do Częstochowy i pociągnie za sobą ogon. Na razie zostanie pan w oddziale komendanta Żbika. O ile komendant wyrazi się o tym pozytywnie. Za parę dni poszukamy dla pana innego miejsca pobytu, bo nie wydaje nam się, by mógł pan z tymi żołnierzami przeprowadzać szkolenie.

- Jeśli o mnie chodzi, porucznik może zostać - oświadczył Żbik i pomyślał, iż był bardzo naiwny, licząc, że ktoś zdejmie z niego odpowiedzialność za oddział.

Sylwester

Jasny, wyzywający księżyc. W Bazie Olesińskiej ruch. Płonie ognisko, w kotle bigos. Harry tańczy z blondynką okrytą żołnierskim płaszczem. Żbik z Sonią z młyna. Są jeszcze cztery pary. Razem sześć dam. Tarzan, Cygan, Sekunda i Ryś udają chór rewelersów, śpiewając na rewiową nutę partyzanckie piosenki. Dyryguje nimi bosman Grzmot. Widząc, że Żbik próbuje przytulić Sonię, zmienia nutę na rzewną.

Rozszumiały się wierzby płaczące...

Gdy jego rewelersi śpiewają w najlepsze, woła:

- Odbijany! - i kradnie Harry'emu pannę Olę.

Pozostali idą w jego ślady. Jedynie Żbik i Sonia pozostają bez zmian.

- Pan komendant ma ścięcie! Pan komendant osoba nietykalna!

Tylko jeden człowiek się nie bawi. Porucznik Czech.

*

Droga Wólka Szczęcka-Gościeradów. Koniec listopada 1943 roku

Gdzieś bardzo daleko słychać ujadanie psów. Szosa pusta. Po wschodniej stronie drogi niewielkie wzniesienia. Za nimi okopy z września 1939. Po zachodniej las. Z lasu wyskakuje pluton partyzantów. Na czele Lampart. Cicho, w kilkunastu skokach przesadzają szosę i dopadają okopów, kryjąc się za nimi. Cisza, nic nie widać. Za okopem ustawiają stanowiska

erkaemów. W lesie, po przeciwnej stronie, Zub-Zdanowicz rozstawia drugi pluton. To chłopcy z jego leśnej podchorążówki. Między nimi Dzik.

We wsi niemieckie ciężarówki, żandarmi z psami. Ładują ludzi na samochodach. Kobiety płaczą. Mężczyźni i młodzi chłopcy znikają pod plandekami ciężarówek. Wiejskie psy ujadają na niemieckie wilczury.

Kilkanaście kilometrów dalej, przy tej samej szosie Znicz rozstawia swoich ludzi po obu stronach drogi, jak wcześniej Lampart i Ząb.

Dowódcy w jednym i drugim oddziale mówią to samo:

- Sygnał do otwarcia ognia to seria z mojego peema. Sygnał wycofania się - zielona rakietka.

Na pozycjach Lamparta i Zęba zaczyna padać zimny, listopadowy deszcz.

Partyzanci leżą zmarznięci. Wpatrują się w drogę.

Samochody wyjeżdżają ze wsi. Jest ich pięć. Nieduży łaciaty kundel zrywa się ze sznurka przy budzie i biegnie za samochodem, szczekając za swym panem. Wpada pod koła ciężarówki. Skowyt. Brzydka, krwawa miazga skłębionego futra. Wilczury spokojnie siedzą, pilnując konwojowanych. Są majestatyczne i piękne.

Do innej wsi wjeżdżają takie same samochody. Są jeszcze puste. Ludzie w popłochu zamykają się w domach. Żandarmi z karabinami wyważają drzwi. Po chwili wyprowadzają mężczyzn z rękoma założonymi za głowy.

Na pozycji Znicza też zaczyna kropić. Zapada zmrok.

Światła od zakrętu. Drogą jedzie wolno piętnaście ciężarówek. Są pięćdziesiąt metrów od stanowisk Lamparta i Znicza. Stają. Wyskakują z nich pojedynczy żandarmi. Krzyczą do siebie. Pierwsza w kolumnie zepsuła się. Kierowca otwiera maskę, grzebie.

Chłopcy patrzą na dowódcę. Ząb kiwa głową. Czekać.

Niemcy chowają się przed deszczem w samochodach. Pokrzykują wesoło. Kilku z nich pije zabraną ze wsi wódkę.

Lampart kręci głową. Czekać.

Kierowca zamyka klapę wozu, odpala silnik. Motor zawarczał. Zadowolony kierowca nuci „Heidi, heido, heida!”. Samochody ruszają jeden po drugim.

Gdy pierwszy samochód jest w połowie pozycji partyzantów, Zdanowicz strzela. Niemal jednocześnie zaczyna się nieprzerwany ogień kilkunastu erkaemów i pistoletów maszynowych. Raz po raz pojedyncze strzały z karabinów. Druga z ciężarówek staje w ogniu. Słuchać niehumaniczny krzyk żandarmów. Nagle ciemności rozjarzają złociste błyski rakiet. To Niemcy z ostatnich ciężarówek oświetlają pole walki, szukając sobie celów. Póki płonie

rakieta, jest jasno jak w dzień. Widać rotmistrza wybijającego systematycznie żandarmów. Widać ludzi zeskakujących z ciężarówek i biegnących w las.

- Uciekajcie stąd! - krzyczy do uwolnionych Żab.

Erkaemy się ogniem maszynowym, gdy jeden milknie, odzywa się drugi. Niemcy odstrzelili się. Z ostatniego wozu wyskakują sami żandarmi. Szybko się organizują. Już słyszeć nieprzerwany, równy ryk ich karabinów.

- Spandau! - spluwa Lampart i w blasku rakiet próbuje upolować strzelców.

Janusz ładuje coraz to nowe magazynki. Zaczyna brakować amunicji.

Zielona raca szybuje w niebo. To Zdanowicz. Chłopcy strzelają jeszcze pożegnalną serię.

- Odwrót! - podrywa ich z pozycji. - Odwrót!

Ostrzelując się, przeskakują szosę ludzie Lamparta. Plutonowy kieruje ich przed płonąca ciężarówką. Tam nie sięga ogień niemieckich karabinów. Zdanowicz czeka, aż dołączą. Kilku rannych, wspartych na ramionach kolegów. Jeden, po leśnej stronie, nie może podnieść się z ziemi. Z ust bluzga mu krew. To Dzik. Biorą go na ręce. Unoszą w las.

Niemcy zbierają swoich rannych z drogi. Kilku żandarmów strzela na oślep między drzewa. Wracają do ciężarówek, ruszają powoli.

Spalony samochód zostaje na szosie.

Kilkanaście kilometrów dalej na drogę wychodzi Kret w niemieckim mundurze. Zatrzymuje ciężarówki. Gdy stają, rzuca się w las, z którego Znicz oddaje pierwszy strzał. Akcja zaczyna się od nowa.

Dziesiątki żołnierzy niemieckich padło. Okazało się, że bijemy się z osławioną dywizją SSowską „Wiking”, która specjalnie została przysłana na tereny lubelskie do akcji pacyfikacyjnej. Zadaniem jej było rozgromienie Armii Ludowej! Nawiasem mówiąc, dywizja ta miała wykonać zadanie przy pomocy NSZ, których dowództwo właśnie wydało rozkaz bezwzględnego likwidowania AŁowców. Tak to hitlerowcy i eneszetowcy wzajemnie się wspomagali w walce z nami.

[Tak opisał tę samą akcję po wojnie Mieczysław Moczar w słynnych Barwy walki. To nie jedyna akcja NSZ, za którą medale przyznali sobie komuniści.]

*

Obóz leśny 1 Pułku Legii Nadwiślańskiej

Z szalasu wychodzi Irtysz. Płacząc, biegnie w las. Zatrzymuje się, widząc, że do obozu ciągnie poszarpany pluton Znicza. Ociera twarz, podchodzi do rannych, pomaga im dojść do obozu. Hajduczek wychodzi jej naprzeciw. Po chwili zjawia się jeszcze kilka

sanitariuszek. Nie ma wśród nich Fali.

Przystojny szatyn siedzi na zwalonej kłodzie. W brzozowej belce ryje kozikiem „śp. DZIK”. Podchodzi do niego Kret.

- Sanowski, nie widziałeś Fali?

- Pojechała do Borowa. Ach, ty nic nie wiesz! Wasza matka przywiozła Świdra z Treblinki.

- Jezus Maria! - Kret chwyta Sanowskiego za płaszcz i podciąga do góry. Z jego rąk wypada belka „śp. DZIK”. - Naprawdę? Naprawdę wypuścili go?

- Tak - uśmiecha się Sanowski. - Wy dzisiaj uwolniliście więźniów, a AK załatwiło zwolnienie twojego brata z obozu. Życie! Ilu ich było, co?

Kret kręci głową.

- Niedużo. Uciekło może kilkunastu, a załadowanych na ciężarówki było kilkudziesięciu. Nie udało się. Niemcy za ostro grzali.

- Nie gadaj głupot. Zawsze to kilkunastu na wolności. A ilu żandarmów rozwaliliście?

- Nie wiem - wzrusza ramionami Kret. - Odskokczyliśmy, nikt nie liczył. Około stu jest rannych, jak nic. Ale zabitych mogło nie być tak wielu. Kilkunastu?

Sanowski powtarza tym samym tonem:

- Nie gadaj głupot. Zawsze to kilkunastu na świecie mniej. A rany mogą się paprać. - Puszczą oko do Kreta i poważnieje. - Dzik nie przeżył. Dostał w brzuch, był bez szans.

- Jeden zabity na taką akcję to raczej sukces. Stary ma wmontowany jakiś siódmy zmysł, mówię ci. On wie, kiedy zacząć, i wie, kiedy skończyć.

- Trafił ci się szwagier, co? - uśmiecha się Sanowski. - Drugi też zresztą niegorszy.

- Szwagier jak szwagier. - Kret otrząsa się, patrząc na „śp. DZIK”. - Dowódca nam się trafił.

Dom PorayWybranowskich, Borów. 17 grudnia 1943 roku

Przy stole w salonie pani Elżbieta, Hajduczek, Fala, Kret, Zub-Zdanowicz i reszta jego oficerów. I młody chłopak o spuchniętej twarzy. To Świder, młodszy syn. Majora Radosza nie ma.

- No dobra, to opowiedzcie o tym Dziadku Mrozie - mówi Zdanowicz.

Hajduczek i Fala parszają śmiechem.

- Dziadku Kielbasie, rotmistrzu! Ząb bezradnie rusza brwią.

- Przepraszam, przejęczyłem się. Dawno nie jadłem kielbasy, a zimno...

Fala przewraca oczami i szepce:

- Kiepski dowcip.

- Komendancie, nie ma o czym gadać. Kielbasa chadzał z bandytką. Miał trochę Polaków, trochę Żydów, paru ruskich. GLowcy chcieli go do siebie, ale za cenę likwidacji Żydów. Zgodził się, wytlukł dawnych kamratów. Ale ponoć się w szeregi GL nie wcielił.

- Wierzący niepraktykujący? - chciał podsumować Ząb, ale naraził się Fali, która się zachnęła, zacinając usta.

- Okropne żarciki.

- A panna Maria taka po poznańsku poważna - odciął się narzeczonej. Dlaczego mu się zdawało, że będzie inaczej?

- Powiedzmy, sympatyzujący. Biorą go na akcje, jak potrzebują, albo on ich. Łupami dzielą się po połowie. Koniec końców, Dziadek jest w okolicy.

- Dobra, to zapołujemy na tego Kielbasę. Nie chcę mówić „dziadka”, bo boję się narazić, nie znam państwa tradycji rodzinnych...

- Jest pan pewien, że dobrze robi, rozpuszczając oddziały na zimę? - zmieniła temat pani Elżbieta. - Dziwnie będzie tak bez wojska...

- Nie, najdroższa ma gospodyni! Nie jestem pewien, czy dobrze robię, ale nie mam wyjścia. Ojciec Jan chce się znów udać pod skrzydła AK, więc idzie. Pozostałych rozmelinuję po wsiach, w Borowie zostanie tylko pluton...

- Pretorianów... - uśmiechnął się Step.

- Nie wyżyjemy i nie utrzymamy takiej grupy. Ale wszystko jest pod kontrolą, proszę mi wierzyć. Poza tym naprawdę, ze względów bezpieczeństwa, nie powinno stać tak wielkie wojsko w jednym miejscu. Jak na partyzantkę, Legia Nadwiślańska to olbrzymia siła. Ale jak na okupację, proszę mi wierzyć, to nic.

Elżbieta PorayWybranowska zachmurzyła się. W jej pamięci był ten piękny moment święcenia sztandaru...

Fala kopnęła Zęba pod stołem.

- Jest pan okrutny i pozbawiony elementarnej dyplomacji - szepnęła.

Wieś Zdziechowice. 18 grudnia 1943 roku

Zub-Zdanowicz z oddziałem Znicza zasadza się na Dziadka Kielbasę. Ginie dziewięciu członków bandy. Herszta nie ma wśród nich. Zniczowcy bez strat.

Opustoszały obóz leśny pod Borowem. 20 grudnia 1943 roku

Po naradzie sądu wojennego Step bierze z rąk Zdanowicza wyrok na dwóch własnych żołnierzy. Jeden przyłapany na rozboju. Drugi po pijanemu zastrzelił kolegę. Pluton egzekucyjny oczyszcza szeregi. Śmierć. Krzyże, bez imion.

Dom PorayWybranowskich, Borów. 24 grudnia 1943 roku

Do wieczerzy wigilijnej zasiada rodzina i oficerowie Legii. Major Radosz przyjechał z Częstochowy. Składa życzenia córce i gdy chwyta ją za rękę, widzi pierścionek ze zboża. Łamie się opłatkiem z rotmistrzem.

- To moja ukochana córka - straszy go.

- Wiem - odpowiada zmartwiony Zdanowicz. - Postaram się.

- To rozkaz, rotmistrzu! Ja tu jestem wyższy stopniem! - grzmi Radosz.

O Chryste, ja to mam pecha - myśli Ząb. - Nie przyznam mu się...

Zdanowicz już wie, że dostał awans, na majora.

Czym prędzej tu przybywajcie!...

Wieś Pochlina

Patrol GL wrywa z wieczerzy doktora Waleriana Merchela z AK. Strzał w plecy.

Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...

Kilka domów dalej wyciągają miejscowego nauczyciela, Stefana Chrzanowskiego, z AK. Strzał w plecy.

Wieś Józefów

W chałupie strzelają do Jana Kamińskiego, z NSZ.

Wieś Łychów

Wpadają do domu Cichego. Cichy na wieczerzy z dowództwem, w Borowie. W domu jest jego ojciec. Urządzają sobie wiec partyjny w mieszkaniu starszego pana.

- A wódki nie masz? Co to za wieczerza!?

W ciemności, przez ośnieżone pola idzie pochód. Z daleka wydaje się korowodem kolędników. Dopiero z bliska widać, że to GŁowcy.

- Bój to jest nasz ostaaatni!

- Towarzysze! Oto Gwardia Ludowa zostaje przemianowana na Armię Ludową!

- Hura! Hura! Hura!

Wieś Zaklików. 5 stycznia 1944 roku, noc

Oddział Zdanowicza idzie drogą. Na czele oddziału Ząb i Kret, obok nich Biały. Rozmawiają szeptem.

- Jeśli mogę coś poradzić komendantowi - mówi Kret - to ja bym na razie ojcu nie mówił. Oczywiście, gdybym był na pana komendanta miejscu. - Śmieje się. - Ale na szczęście nie jestem!

- To się nazywa przyjaciel - zachnął się Zdanowicz. - Nie, to nie twoja wina, Kret. Ja mam całe życie pecha, ot co. Idę się...

- Ooo... - śmieje się Biały - pan komendant to się tak przyzwyczaił, że Fala krzyczy,

że już w życiu pan nie powie „odlać”.

- Gadasz - strofuje go uskakujący na drugą stronę drogi Ząb. - Ja mam pecha i tyle...

W tym samym momencie mrok rozdziera pocisk świetlny. Przechodzi dokładnie w tym miejscu, w którym przed chwilą siedł Ząb. Zduszony krzyk. Kret pada. W ostatnim ułamku światła z gasnącego pocisku widać rozlewającą się po śniegu krew.

- Do wsi! - krzyczy Zdanowicz do oddziału. - Złapać skurwysynów!...

Sam chwyta Kreta na ręce i biegnie z nim z powrotem, w stronę Borowa.

Dom PorayWybranowskich, Borów. 6 stycznia 1944 roku

Pani Elżbieta i doktor Żar przy łóżku Kreta. Fala na palcach wychodzi z pokoju do Zęba.

- Doktor mówi, że musimy do szpitala. Sam nie da rady. Potrzebna operacja.

- Dam ci oddział Cichego. Pojedziesz z bratem za Wisłę.

- A ty? - pyta Fala.

- Ja mam takie dziwne spotkanie, muszę na nim być. Armia Krajowa zaprasza...

Fala kiwa głową w roztargnieniu. Jej wzrok błądzi po łóżku brata.

- On się jeszcze nie nadaje do podróży. Zobacz, ledwie mama przywiozła Józka z Treblinki... ledwie przestała się martwić o jednego syna, a tu następny...

Opiera czoło na piersi Zdanowicza. Odskakuje, bo oparła je o zimną blachę ryngrafu. Przygląda mu się. Widzi Matkę Boską, jak lustro. Unosi wzrok na niego, w pierwszej chwili pytający, ale już w drugiej surowy.

- Pan komendant jest okropnie niepoważny! Jak tak można? Wstyd...

Szybkim krokiem odchodzi w głąb domu.

- Zakochałem się - mówi na głos Zdanowicz i patrzy na zawieszony na ścianie dworu portret. Na nim groźny huzar pod herbem Porajów. Huzar ma twarz Fali.

Droga do majątku Sobótka. 20 stycznia 1944 roku

Konno jedzie trzech dowódców. Włodziu, Okręg Kielecki AK. Rotmistrz Pobóg, AK, i Ząb, NSZ.

Każdy w towarzystwie oficera. Zub-Zdanowiczowi towarzyszy Świder. Już nie jest tak spuchnięty na twarzy, jak po wyjściu z obozu.

- Dostali w dupę pod Stalingradem i chcą się układać - mówi Włodziu.

- Wasze dowództwo o tym wie? - pyta Zdanowicz.

- Dowie się - odpowiada Pobóg ponuro.

W jasno oświetlonym salonie siedzi za stołem kilku oficerów SS.

- Jest panom wiadomym, że GL dostała zastrzyk broni od ZSRS i przy wsparciu

politycznym przekształciła się w Armię Ludową? Czy panowie z AK i NSZ będą tolerowali ten marsz propagandowy? - oficer SS jest oszczędny w emocjach. Włącza się drugi, tonem koncyliacyjnym.

- I my, i wy walczymy z komunistami. Trzeba nam połączyć siły.

- Tak - odpowiada Zdanowicz - ale my zrobimy to sami. Nie z wami.

- Oberführer Jansen - ze śmiechem odpowiada ten pierwszy - panowie nic nie wiedzą o Teheranie! Esesmani śmieją się.

- Nasza odpowiedź - mówi Pobóg, patrząc na niemiecką obstawę w drzwiach - musi zostać skonsultowana z dowództwem.

- Naturalnie - zupełnie poważnie odpowiada Jansen.

- Jesteśmy zainteresowani wymianą jeńców - zmienia temat Włodziu.

- My również - chłodno mówi ten pierwszy - ale musimy się skonsultować ze sztabem.

Coś za coś, panowie! - Unosi w górę kieliszek.

Oficerowie nie piją.

- W coście nas wpakowali?! - krzyczy Zdanowicz w drodze powrotnej. - Napiszę raport.

- My też - smutno odpowiada Włodziu. - Mieliliśmy nadzieję na wymianę jeńców. - Wzrusza ramionami. - O co mu chodziło z tym Teheranem? To jakaś podpucha?

Borów. 1 lutego 1944 roku

Zdanowicz stoi przed dworem, unosi głowę. Nad lasem krąży niemiecki patrolowy samolot. Po schodach zbiega Fala ubrana do jazdy, w krótkim kozuszu. Ktoś od stajni prowadzi dwa konie. Zdanowicz zatrzymuje ją ruchem dłoni.

- Dzisiaj nie pojedziemy.

- Jutro też nie. Jest Matki Boskiej Gromnicznej, a poza tym muszę jechać z ojcem do starostwa, z kontyngentem. Więc panie komendancie, albo dzisiaj jedziemy na spacer, albo nigdy.

- Dzisiaj nie - twardo odpowiada Ząb.

- Pietrek! - krzyczy Fala do stajennego. - Rozkulbacz Bogdanke!

- Odwraca się na pięcie i znika we dworze.

Dzień później, Matki Boskiej Gromnicznej

W pobliskim kościele poranna msza. Kościół nabity ludźmi. Para z ust. Między wiernymi grupa partyzantów. Hajduczek i Step stoją razem, blisko ołtarza.

We dworze pani Elżbieta krząta się z pokojówką w kuchni. Parzy zioła, podaje dziewczynie. Ta wchodzi do pokoju Kreta. Porucznik leży w łóżku. Uśmiecha się do

wchodzącej, próbuje podnieść. Nie może. Pokojówka pomaga mu oprzeć się na poduszkach. Widać, że Kret ma obandażowany cały tułów.

W pokoju obok Ząb, jeszcze nie ubrany. Przeciąga się.

Fala i Radosz siedzą na koźle wozu załadowanego workami mąki. Ojciec zacina konia. Wóz jedzie między domami. Gdy mijają kościół, Fala robi znak krzyża.

Drogą od strony drugiej wsi biegnie kobieta okutana w chusty, jest tak zaaferowana, że nie widzi odjeżdżających Fali i Radosza. Wbiega do kościoła. Krzyczy:

- Niemce idą! Od Szczecyn Niemce idą!...

W tej samej chwili Rzędzian wbiega do pokoju Zub-Zdanowicza.

- Panie rotmistrzu! Obława!

Ząb chwyta karabin i tak jak stoi, wyskakuje na ganek. Nad ich głowami krąży ten sam samolot co dzień wcześniej. Daleko, jakieś czterysta metrów od wsi, widać jeden przy drugim niemieckie hełmy. Tyraliera. Leżą. Nie przemieszczają się.

Na podwórzu wjeżdża Radosz i Fala.

- Ładujcie Kreta na wóz i w las! - krzyknął do nich Ząb. W tej samej chwili wpada łącznik od Stepa.

- Panie komendancie! Niemcy próbują okrążyć jednocześnie kilka wsi. Na pewno Szczecyny i oba Łązki.

- I Borów. - Zdanowicz patrzy przez podaną przez Rzędziana lornetkę. - Nie domknęli jeszcze obławy od strony Zaklikowa, dlatego nie zaczynają ataku.

Ordynans trzyma kurtkę mundurową rotmistrza. Dowódca ubiera się, wydając rozkazy.

- Cywili dołączyć do oddziałów i natychmiast wycofywać się do lasu w stronę Zaklikowa. Odpowiada za nich Step. Pluton Lamparta idzie pierwszy, przez rzekę. Niech obsadzą skraj lasu, będą osłaniali ucieczkę.

Łącznicy biegą z rozkazami. Na podwórzu chaos. Radosz wynosi rannego Kreta.

- Gdzie Świder?

- W gajówce.

- Nie zdążymy do niego posłać. Musi dać sobie radę sam.

Przez małe okienko gajówki widać poruszające się na śniegu punkty. To Niemcy w białych osłonach mundurów. Świder porywa z pieca suszące się buty. Po nocnym patrolu nie wyschły. Są wciąż mokre. Usiłuje je założyć na mokre onuce. Naciąga. Nie może. Onuce drą się. Próbuje na gołe nogi. Buty nie wchodzi. Na zewnątrz pojedyncze strzały. Chwyta pas z ładownicami. Kolbą karabinu wybija okno wychodzące na drugą stronę gajówki.

Wyskakuje boso, w śnieg. Huk granatników. W kłującej oczy bieli widzi pojedyncze trupy i za lasem unoszący się dym.

- Gnat! - krzyczy do jedyne ostrzeliwującego się jeszcze. - W las!...

W Borowie Zdanowicz pilnuje przeprawy przez płytką, niewielką rzeczkę. Mężczyźni, kobiety, dzieci, tobołki na plecach. Między cywilami kilkudziesięciu partyzantów. Zostało mu ich pięćdziesięciu, wszystkich razem.

Przez głowę przemyka mu głos pani Elżbiety: „Jest pan pewien, że dobrze robi, rozpuszczając oddziały na zimę?”.

Kreta przenoszą na noszach. Z przewracającym się wozem walczy doktor Żar.

- Rzucajcie tabory! - krzyczy do niego Ząb.

- Nie mogę! Lekarstwa!...

We wsi ruch, nie wszyscy chcą uciekać. Niektórzy barykadują się w chałupach.

Gdy główna grupa uciekinierów już niemal dopada do lasu, Niemcy otwierają huraganowy ogień. Lampart, bez rozkazu odpowiada, osłaniając ucieczkę. Krzyk. Lament. Warczenie samolotu nad ich głowami. Wybuchy. Uciekający na sekundę stają w miejscu i odwracają się za siebie. Huk granatników. Kwik palonych żywcem zwierząt. Borów staje w ogniu.

Od strony Szczecyna i Łątku unosi się czarny, śmierdzący dym. Partyzanci pomagają przewracającym się ludziom.

- Do lasu! Szybciej, do lasu!

- Nie odwracać się! - przekrzykuje karabiny maszynowe Ząb.

Świder i ranny Gnat, słaniając się, brną przez spaloną wieś. Zmarznięte i poranione bose stopy Świdra krwawią, on chyba tego nie czuje. Wszędzie czarny dym. Odległe głosy wystrzałów.

- Jeszcze walczą - sapie Gnat.

Wokół nich trupy ludzi i zwierząt. Małe dzieci. Na wpół spalone krowy. Zgliszcza. Smród spalenizny. Oczy mu łzawią, już nie wie, czy jest w Treblince, z której miesiąc temu go wyciągnęli, czy...

Gnat jest ciężko ranny. Krew zakrzepła na mundurze. Mundury zamarzają na nich, jak zbroje. Wystrzały ustają. Zapada cisza. Świder żegna się.

Wzgórze w środku lasu, kilka kilometrów od Borowa. Ludzie nie mają siły dalej iść.

- Cywile i ranni do środka. Otoczyć ich tyralierą. Tu będziemy się bronić - rozkazuje Ząb. - Nie strzelać bez rozkazu. Powiedźcie ludziom, żeby się przygotowali do dalszej drogi.

Do obozu przedzierają się jeszcze pojedynczy uciekinierzy. Zdanowicz wie, że nie

mogą tu zostać. Jedyne, co podpowiada mu instynkt, to przebić się przez niemieckie okrajenie. Wyprowadzić ludzi stąd i bezpiecznie ukryć po dalszych wsiach.

- Panie majorze! - Step z poczerniałą od dymu twarzą wyglądał nieludzko. - Jest takie przejście, ale musielibyśmy przeskoczyć szosę.

- Mów.

Po zmroku grupa kilkuset cywili pod osłoną partyzantów idzie cicho przez las. Kreta niosą na noszach. Step i Ząb stoją przy szosie. Przepuszczają małymi grupkami ludzi na drugą stronę. Wszystko odbywa się w milczeniu. Przemykają szosę Zaklików-Borów i znikają w kolejnym lesie. Niemcy są tak blisko, że słyszą ich śmiech.

W pacyfikacji Borowa, Szczecyna, Wólki Szczeckiej, Łązka Zaklikowskiego, Łązka Chwałowickiego i Karasiówki zginęło łącznie około tysiąca osób, w tym kobiety i dzieci. Borów i Wólka Szczeka zostały doszczętnie spalone. Siły niemieckie biorące udział w akcji liczyły około trzech tysięcy żołnierzy. Zmobilizowano okoliczne posterunki żandarmerii, Wehrmachtu, SS oraz osławioną Galizisches SS, składającą się z ukraińskich i rosyjskich kolaborantów. Po wojnie nie udało się ustalić, kto wydał nakaz brutalnej pacyfikacji. Według meldunków niemieckich, akcja ta była walką z 600-osobową bandą bolszewicką, a doszczętne spalenie wsi było wynikiem ostrzelania gniazd partyzanckiego oporu.

Lokal konspiracyjny, Warszawa, Generalne Gubernatorstwo. Styczeń 1944 roku

Okna zaciemnione ciężkimi zasłonami. Przy owalnym stole siedzi kilku mężczyzn. Na stole nie ma żadnych dokumentów, nic. Ani jednej kartki papieru.

- Kopie depech między rządem londyńskim a Naczelnym Wodzem dostają od zaufanego człowieka w Komendzie Głównej AK - mówi Jaxa. - Z racji na napiętą sytuację między AK i NSZ mój, nazwijmy to, „łącznik” musi postępować nadzwyczaj ostrożnie. Komendant Bór czasami przygotowuje depeche, których nie wysyła od razu i, panowie rozumieją, mogłoby dojść do dekonspiracji. Z tego powodu dopiero dzisiaj mogę panom przedstawić najnowszy bieg zdarzeń. Dwa miesiące temu Naczelny Wódz przysłał do kraju „instrukcję październikową”, na wypadek gdyby nie doszło do nawiązania polskosowieckich stosunków dyplomatycznych. Przewiduje ona zbrojne wystąpienie całego podziemia przeciw Niemcom poprzedzające wkroczenie wojsk sowieckich, ale zaznacza, iż akcja ta ma mieć wyłącznie charakter politycznej demonstracji i służyć ochronie ludności cywilnej. Naczelny Wódz wyraźnie odcina się od powstań zbrojnych i ujawniania się Sowietom. Instrukcja ta została przez Bora odrzucona, po czym wystosował własną. Nakazuje w niej ujawnienie się wobec wkraczających Rosjan dowódcom oddziałów po to, by jak argumentuje, nie powstało wrażenie pustki, poprzez brak czynnika wojskowego reprezentującego Rzeczpospolitą, które

wyzwolenie kraju przypisze Sowietaom i probolszewickiej partyzantce. I tę właśnie instrukcję Bór dopiero teraz postanowił wysłać do Londynu, jednocześnie rozpoczynając akcję o kryptonimie BURZA.

- Chce pan powiedzieć, komendancie Jaxa, że Bór odmowę wykonania rozkazu Sosnkowskiego trzymał u siebie aż do teraz?

- Nie inaczej.

- Nieprawdopodobne - zadumał się Profesor. - Jeszcze niedawno taka niesubordynacja byłaby nie do pomyślenia.

- Niesubordynacja? Pan Profesor jest zbyt łagodny. W kontekście faktu, iż na początku miesiąca Armia Czerwona przekroczyła granice Rzeczypospolitej, ja nazwałbym ten czyn zdradą!

- Doktorze. - Ton Profesora był spokojny. - Nawet my nie upatrujemy w decyzji Bora zdrady, a jedynie daleko posuniętą naiwność.

- Ta naiwność może nas kosztować tysiące istnień ludzkich!

- Panowie - Jaxa był o wiele śmielszy niż na pierwszych posiedzeniach gabinetu cieni - to nie wszystko, co mam do przekazania. To, co teraz powiem, nie ma odbicia w jakimkolwiek dokumencie, lecz pochodzi z tego samego źródła, co przekazane wcześniej informacje. Najpilniej strzeżoną tajemnicą zakończonej miesiąc temu konferencji Wielkiej Trójki w Teheranie nie jest plan operacji wojskowej zmierzającej do bezwarunkowej kapitulacji Niemiec.

Któryś z gości zakaszłał. Jaxa nabrał powietrza w płuca i dokończył:

- Za cenę szybkiego pokonania Hitlera przez Armię Czerwoną zachodni alianci sprzedali Polskę Stalinowi.

Przy stole zapanowała kompletna cisza. Można było usłyszeć terkot wozu po bruku ulicy, daleki odgłos jadącego samochodu i odległe „Halt!” niemieckiej żandarmerii.

- Granice Polski będzie ustał ZSRS. To powiedział świętej pamięci inżynier Kozłowski cztery lata temu. - Głos Profesora był matowy, głuchy.

- Wobec powyższego - przejął inicjatywę Jaxa - proponuję wydanie natychmiastowego rozkazu Dowódcy Narodowych Sił Zbrojnych. Rozkazu, który będzie jednoznacznie stwierdzał, iż wojska sowieckie wkraczające na tereny Rzeczypospolitej to wojska wrogie. Jednocześnie zaostrzyć należy walkę z agenturą sowiecką i świeżo przemianowaną Armią Ludową. Nawet jeśli Stalin nie przekonał naszych niedawnych sojuszników, że w Polsce nie ma innego podziemia jak komunistyczne, a jedynie wymusił na nich to ustępstwo w imię zakończenia wojny, to patrząc na szeroko zakrojone akcje GL/AL i

na niespotykaną wcześniej zajadłość propagandową, należy się spodziewać, iż każdy sukces partyzantki prokomunistycznej będzie beczelnie powiększany. Spodziewamy się także, iż w działaniach propagandowych AL nie cofnie się przed przywłaszczaniem sobie, w oczach międzynarodowej opinii publicznej, naszych zwycięstw.

- Zgoda - potwierdzili jednocześnie wszyscy.

- Muszę jeszcze panom przypomnieć - skinął głową Jaxa - że większość społeczeństwa polskiego myśli właśnie tak jak Komenda Główna AK, że z Sowietami da się jakoś dogadać. Że Stalin wobec współpracy z Zachodem będzie bardziej otwarty, tolerancyjny...

- Bzdura - prychnął zirytowany Doktor. - Od Katynia mają niezbite dowody na to, czym się kończy dogadywanie z Sowietami.

- Ludzie są zmęczeni wojną, otumanieni. Nie widzą, gdzie wróg, gdzie przyjaciel. Społeczeństwo jest nie tyle naiwne, co bardzo spragnione pokrzepienia.

- Ojciec Przeor mówi jak spowiednik.

- Panowie - podsumował Jaxa - wydając rozkaz o nieujawnianiu się Sowietom, wstępujemy na ścieżkę paradoksu. Oto bowiem prawowita Armia Krajowa sprzeciwia się rozkazowi Naczelnego Wodza, zaś NSZ, wciąż formalnie nie uznawane za legalne, podporządkowują się w pełni jego „instrukcji październikowej”.

*

Sielce nad Oką. Styczeń 1944 roku

Obóz Moskiewskiego Okręgu Wojskowego, opuszczony jesienią przez 1 Dywizję Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Ziemianki pokryte grubą warstwą śniegu, stelaże wojskowych namiotów ze zwiniętym brezentem. Drewniane baraki.

Wybiegają z nich żołnierze. Berlingowcy. W większości podoficerowie. Ustawiają się w karnych, równych szeregach przed swoimi namiotami. Są bez płaszczy, w samych polowych mundurach. Rozgrzewają się biegiem w miejscu.

- Istriebitielnyj batalion! - z zadowoleniem kiwa głową sowiecki major w futrzanej czapie.

Oficerowie prowadzą plutony na szkolenia. Rozkazy tylko w języku rosyjskim, zresztą cała kadra rekrutuje się z Armii Czerwonej.

- Spadochronowodesantowe za mną! - Kursanci ruszają biegiem za adiutantem podpułkownika Amintajewa.

- Spectechnika partyzancka! - kapitan Wasilij Bagdasarow i jego towarzysz kapitan Paweł Michałow to ulubieńcy kursantów. Leśne lwy.

- Zwiad! - Za kapitanem Iwanem Draginem i kapitanem Wasylem Kuczewinem należy iść cicho, jakby droga na szkolenie była już jego częścią.

- Saperzy biegiem marsz! - tubalnym głosem krzyczy Ilia Starinow.

I jedynie szkolenie politycznowychowawcze prowadzą Polacy. Chociaż odbywa się wyłącznie w duchu leninowskostalinowskim.

- Polska, o którą walczymy, to Ojczyzna ludu. Ojczyzna sojuszu robotniczochłopskiego, w którym nie ma miejsca na obszarników i wyzyskiwaczy! - grzmi kapitan Kratko. - Tamta Polska, kapitalistów i panów, skończyła we wrześniu i nie ma do niej powrotu. Walka z nazizmem nie zakończyła się. Bohaterska Armia Czerwona walczy z Niemcami na wszystkich frontach, ale wam przypadnie chlubne zadanie wsparcia jej w tej wojnie. Jeśli pomyślnie przejdziecie szkolenie, zostaniecie skierowani do kraju, jako forpoczta. Drogą powietrzną przerzucimy was do okupowanej Ojczyzny i tam nawiążecie kontakt z Armią Ludową. Wesprzecie partyzantkę miejscową, jako element wykształcony i świadomy. Towarzysze radzieccy dają nam pełne wsparcie w najnowocześniejszej broni i sprzęcie wojskowym. Tyle wam tylko powiem: będziecie wyposażeni tak, jak nikomu w kraju się jeszcze nie śniło! Wypełnicie zadania zwiadowcze i przygotowawcze dla idącej za wami Armii Czerwonej.

- Szkoda tylko, że wyjęli nas z oddziałów Berlinga - mruknął młody, ciemnowłosy chłopak w ostatniej ławce do ucha siedzącego obok podporucznika.

- Ja nie żałuję. Tu mamy większe możliwości - odpowiedział podporucznik, a z jego ust uniósł się obłok mroźnej pary.

- Co tam szepczecie? - Czujnemu oko kapitana Kratko nic nie uszło. - Oczywiście! Józek i Mirek, wieczni malkontenci. Ostatni numer „Do boju” przeczytali, ha? Mirek, zreferuj proszę.

Mirek Petelicki - w kampanii wrześniowej podchorąży Mirek. Ten, którego Zub-Zdanowicz uratował pod Krzemieniem. Pochodzi z rodziny osadników wojskowych, osiedlonej na Wołyniu. Rodzina zesłana na Syberię. Jego Sowieci zwolnili z obozu jenieckiego w grupie „tych, którzy nadają się do współpracy”. Obecnie podporucznik.

- Bardzo ciekawy artykuł o polskich faszystach - bąknął podporucznik, uporczywie chcąc sobie przypomnieć, co tam było jeszcze.

„Do boju” wziął w rękę po całodniowym wczorajszym szkoleniu spadochronowym. Był poobijany i zmęczony. Nie miał siły czytać.

- Tak? Proszę, proszę dalej! - zachęcał kapitan Kratko.

- O... polskich faszystach, którzy bronią starego ustroju, którzy walczą o pańską

Polskę - szyl z pamięci, co mu przyszło do głowy ze szkoleń. Nie czytał.

- Czołem, kursanci! - głos wchodzącego oficera ratuje Mirka z opresji.

- Czołem, towarzyszu kapitanie! - odpowiadają chórem.

- O, widzę, że podporucznik Petelicki już stoi - mówi kapitan Maks, który wszedł do namiotu szkolnego - więc nie będziecie mieli nic przeciwko, towarzyszu Kratko, że go wyprowadzę?

- Byle nie na zawsze, mamy szkolenie - urażonym głosem odpowiedział polityczny.

Kapitan Maks wyprowadził Mirka z namiotu w poszukiwaniu ustronnego miejsca. Nie było to łatwe, w obozie szkoleniowym panował nieustanny ruch.

- Wygląda na to, że jak człowiek chce spokojnie zamienić dwa zdania, to musi iść do kibla albo w krzaki - zaśmiał się Maks. - Słuchaj, chłopaku, Polski Sztab Partyzancki kazał mi montować zespół. Biorę cię do składu.

- To jest dobra wiadomość czy zła?

Maks zbył pytanie. Wyjął papierośnicę i poczęstował podporucznika.

- Skok do Polski - powiedział, zaciągając się dymem. - To jest dobra wiadomość czy zła?

*

Lokal konspiracyjny w Jasieńcu Iłżeckim. Koniec stycznia 1944 roku

Zebranie Rewolucyjnej Grupy Inteligencji Socjalistycznej „Świt”.

Są wszyscy biorący udział w akcji „Heidi”: Wrzos, Wiślicz, Baca, Łokietek i Jakub.

- A Alosza gdzie? - spytał ten ostatni.

- Powinien lada chwila być, ale zaczniemy bez niego - uspokoił Wiślicz. - To może nawet lepiej - westchnął. - Bez owijania w bawełnę, sprawa wygląda tak. Negocjowałem z PPR wejście „Świtu” w szeregi Armii Ludowej na przepisach odrębnych, z zachowaniem zasad naszej organizacji. I poległem. Każdy z was już współpracował z GL, to trochę wiecie. Ale powiem tylko tyle: to było nic. Odkąd się przekształcili w AL, to są już Sowieci. Nie ma zmiłuj, wchodzimy do nich albo na ich zasadach, albo wcale.

- Wcale? - zachnął się Jakub. - Czyli strzelą nam w łeb jak NKWD?

- A jak nie oni, to wykończy nas NSZ albo AK. U reakcjonistów jesteśmy spaleni jako lewica. U AL będziemy spaleni jako ci, co nie chcieli iść w sojuszu z ZSRR. Kurwa, gdzie my jesteśmy?

- Możemy jeszcze janosikować o wolną od Sowietów, ale lewicową Polskę - powiedział Baca.

- Kpisz - zamknął go Łokietek.

- Wolałbym jego kpinę niż twoją powagę - odezwał się nagle Jakub. - A może to nie jest takie głupie?

- Zobacz, co Sowietci zrobili z Niemcami na froncie wschodnim - pogardliwie splunął Łokietek. - To jest głupie. Albo jesteś z nimi, albo wróg.

- Na razie mamy wspólnego wroga - hitlerowskie Niemcy - a Armia Krajowa nie jest politycznie zdolna do współpracy ani z Armią Czerwoną, ani z PPR.

- Dla AK to akurat jedno i to samo - prychnął Jakub.

- Niekoniecznie. Akcja Burza, nie słyszałeś? To dla narodowców Armia Czerwona i Ludowa to jeden i ten sam wróg. Krótko mówiąc, jeśli nie chcemy stracić wpływu na losy Ojczyzny, jeśli chcemy po wojnie budować socjalistyczne, równe społeczeństwo, musimy przystać do sojuszu.

- I liczyć na to, że pepeerowców Armia Czerwona wyśle na pierwszy front? Że polegną jak dobrzy, polscy mołojcy pod Lenino? I zostaniemy my, Inteligencja Socjalistyczna „Świt”? - W głosie Jakuba była ironia, ale Łokietek klepnął go w plecy i roześmiał się.

- Nareszcie mówisz do rzeczy! Nie możemy siedzieć pod miotłą, gdy będą zamiatać Polskę. Skoro nie da się inaczej, wступujemy do AL. A potem się już nas nie pozbędą!

Łączniczka zameldowała, że idzie Alosza. Ale on nie szedł, on biegł.

- Towarzysze! Nie jesteśmy już sami. Zagon Werszihory nadciąga! Dwa tysiące partyzantów weszły do puszczy solskiej! Zbierać się! Przebijamy się do nich, na lubelską stronę Wisły.

- O co mu chodzi? - Jakub nie zrozumiał Aloszy.

- 1 Ukraińska Dywizja Partyzancka im. Dwukrotnego Bohatera Związku Radzieckiego generał majora Sidora Kowpaka pod dowództwem podpułkownika Werszihory przysłała gnać Niemców z Polski!

- krzyknął Łokietek na jednym wydechu. I padł. Pusta butelka ze stołu poleciała za nim.

*

Wieś Kluczewsko. Luty 1944

Stodoła na skraju wsi. Wrota otwarte na oścież. Przed nią przeciągają korowody mieszkańców. Kobiety, dzieci, mężczyźni. Wartę przed stodołą pełnią niemieccy żandarmi. Ludzie odchodząc od wrót, przecząco kręcą głowami.

- My ich nie znamy - tłumaczy sołtys żandarmowi. Niektóre dziewczyny ukradkiem połykają łzy.

Wewnątrz stodoły leżą dwa postrzelone ciała. Jurek i Lis z oddziału Żbika. Pilnuje ich

Reks, pies Jurka. Warczy na Niemców.

Trzy dni wcześniej patrol pod dowództwem Jurka pojechał do wsi Rudka. Odwiedzili miejscowego chłopca, Prokopa. Gdy tylko wyszli z jego chałupy, wpadli w niemiecką zasadzkę. Jurek i Lis zginęli na miejscu. Prokop uciekł w pole. Ciężko ranni Iks i Szczupak wrócili do bazy. Niemcy aresztowali żonę i córki Prokopa. I córkę sąsiadów. A ciała wystawili, licząc, że ktoś ich rozpozna. Rozpoznali wszyscy, nie powiedział nikt. Niemcy pozwolili okolicznym wziąć udział w pogrzebie partyzantów. Wiadomo, na co liczyli. Ale oddział reprezentował tylko Reks. Śledzili psa. Pies siedział tydzień na cmentarzu, przy mogile. Zmylił tropy, okropnie wychudzony wrócił.

- Niedługo będziemy wszyscy wyglądali jak Reks. Prowiant w bazie się kończy. Trzeba będzie wysłać kolejny patrol. A Niemcy polują na nas.

- I wciąż mamy kobiety Prokopa na sumieniu. I nie mamy broni, żeby je odbić.

- To zasadzka. Żandarmi liczą, że wpadniemy w nią.

- To co robić? Siedzieć na dupie źle. Ruszyć się jeszcze gorzej.

- Może postraszyć?

- Kogo?

- Komendanta żandarmerii. Przecież on nie wie, jakie mamy siły. A odkąd Niemcy dostali w dupę na froncie wschodnim, każdy z nich boi się, by go za karę nie zesłano do Rosji.

- Pomyślsz ssudowny! - Harry był za. Harnaś też. Wspólnie splodzili list. Oczywiście, po polsku.

„Zamordowaniem mi dwóch żołnierzy we wsi Rudka wydał pan na siebie wyrok śmierci.

Jeśli nie zaprzestanie pan urządzania zasadzek i deptania nam po piętach, zmuszony będę oddział pański wyciąć w pień. Nawet nie zorientuje się pan - bez względu na porę dnia czy nocy - kiedy spadną wam łby i wyrobię do nogi. Komendant Żbik”.

- „Pan” się pisze z wielkiej litery - doradził Harnaś. I podpisać się trzeba jakoś groźniej. Wie pan komendant, tak, żeby żandarmowi w pięty poszło i zimny pot poczuł na dupie.

KOMENDANT ŻANDARMERII HAUPTMANN HUSTE

Zamordowaniem mi dwóch żołnierzy we wsi Rudka wydał Pan na siebie wyrok śmierci.

Jeśli nie zaprzestanie Pan urządzania zasadzek i deptania nam po piętach, zmuszony będę oddział Pański wyciąć w pień. Nawet nie zorientuje się Pan - bez względu na porę dnia

czy nocy - kiedy spadną wam łby i wyrobię do nogi!

Dowódca Polskich Oddziałów Leśnych

ŻBIK WIELKI, PPOR.

Po kilku dniach zaczęły napływać pierwsze meldunki z terenu. Najpierw, że Niemcy zachowują się bardzo ostrożnie. Poruszają się tylko w dzień, a na noc wystawiają dodatkowe ubezpieczenia kwater i cekaemy na stanowiskach. Zaraz po tym doszła wiadomość, że u jednego z sołtysów leży list adresowany do Żbika.

- Zasssadzka! - osądził Harry.

Po dwóch dniach łącznicy mówili, że listy są u każdego sołtysa w okolicy. Wszystkie identyczne.

- Czeba podebrać!

- Mówi się „odebrać”. Ale masz rację, Harry, trzeba.

„W odpowiedzi na Pana pismo komunikuję, iż ja nie przeprowadzałem zasadzki pod Rudką. Ażeby uniknąć tego w przyszłości i przekonać Pana o prawdzie moich słów, proszę o spotkanie w dniu 9 lutego o godzinie 14-tej pod kuźnią w Kluczewsku. Przysięgam Panu, ludziom Pańskim i ludności w okolicy daleko idącą pomoc.

Huste, Hptm.”

- Po niemiecku, to nieuprzejme - zawyrokował Harry, chociaż znał niemiecki lepiej niż polski.

- „Daleko idącą pomoc”. Chce oddać kobiety z Rudki.

Nie w Kluczewsku. Czekam w Stojewisku.

Żbik W.

- Kapitan Huste - przedstawił się przystojny, młody Niemiec.

- Komendant Żbik.

- Czy będzie nam potrzebny tłumacz?

- Nie. Znam nieco niemiecki, a porucznik Harry i podporucznik Harnaś znają niemiecki świetnie.

- A więc to prawda - spojrzał na Harry'ego Huste - oficer RAF. Harry w oddziale miał niewiele okazji do tego, by spełniać wyobrażenie o chłodnych i wyniosłych Anglikach. Teraz odbił to sobie w dwójnasób. Gdyby nie to, że sytuacja była nadzwyczaj poważna, Żbik parsknąłby śmiechem. Omal nie zrobił tego Harnaś. Huste odwrócił się do Żbika.

- Od dawna bardzo chciałem spotkać się z polskimi partyzantami na stopie przyjacielskiej i poznać pana, komendancie Żbik.

„Wildkatze” - ostatni raz słyszałem to z niemieckich ust w dniu aresztowania.

- Jest pan słynny, nie tylko jako Żbik. Gestapo zna pana prawdziwe nazwisko, a ja pozwoliłem sobie zasięgnąć informacji. Ucieczka z transportu do Oświęcimia. Czy pan wie, że ten żandarm, którego wyrzucił pan z pociągu, zabił się? Drugi siedzi w więzieniu, a pan na wolności. Jest pan szczęściarzem. Tak. A w sprawie Rudki. Proszę - podał Żbikowi zaświadczenie ze szpitala. - Tu ma pan dowód, że nie kłamię. W dniu, kiedy miał miejsce tamten incydent, byłem w szpitalu. Jak pan widzi, nie oszukałem was. I naprawdę chcę wam pomóc. Tak przy okazji, nie jestem Niemcem. Jestem Austriakiem.

Żbik przyjrzał mu się uważnie. Nie, nie był w niczym podobny do Hansa, co obmacywał Kasiulkę. No, może tylko tym, że blondyn.

- Skoro tak, panie kapitanie, to zależy mi na uwolnieniu aresztowanych w Rudce. To kobiety i są niewinne. Nie należą do żadnej organizacji, ich bliscy też nie. Po prostu moi żołnierze byli głodni i wstąpili do pierwszego domu, jaki wpadł im w oko.

- Rozumiem. Jutro pojedę w tej sprawie na gestapo do Jędrzejowa. Za wynik nie ręczę, w końcu to gestapo. Ale moje władze mogą w zamian za to zażądać czegoś od pana.

- Jestem oficerem i pan jako oficer powinien mnie rozumieć. Do niczego się nie mogę zobowiązać.

- Rozumiem. Ale jest wojna, którą wszyscy chcemy przetrwać w świętym spokoju. Ja na przykład marzę o powrocie do żony i córeczki. W Austrii bombardowania i głód. Co mogę, to im podsyłam, ale my tu też nie mamy lekko. Z aprowizacją problem... Postawmy sprawy inaczej. Ja zrobię wszystko, by wam pomóc. Dzisiaj i w przyszłości. A pan, komendancie Żbik, nie będzie robił na moim terenie awantur.

- Ja nie sprowokuję - odpowiedział Żbik.

Żbik zameldował do swych przełożonych o całym wydarzeniu i spotkał się z dowódcami miejscowych oddziałów AK, kapitanem Marcinem i porucznikiem Andrzejem, mówiąc im o rozmowie z Hustem.

- Gratuluję. Albo będzie pan wisiał, albo przejdzie pan do historii - ucisnął mu rękę kapitan Marcin.

Dwa dni później, gdy wszyscy aresztowani z Rudki wrócili do domu, a Prokopom w dodatku zwrócono zgrabiony majątek, Marcin przekazał mu jedno słowo: „Historia”.

A Żbik, po radzie z Harrym i Harnasiem, przy współudziale okolicznych chłopów przesłali na posterunek kapitana Hustego dwie zarżnięte świnię.

- Skoro w Austrii taka bieda - pokiwał głową Harnaś.

- Gównu mnie obchodzi ich bieda. Chcieli Anschluss, to mają. Ale cholernie nie lubię być komuś dłużny.

*

Dom Poli i Jakuba w Lelkowie. Luty 1944 roku

Całe gospodarstwo obsadzone przez partyzantów. W domu „świtowcy” - Wrzos, Baca, Wiślicz, Jakub i Łokietek. Ten ostatni wodzi wzrokiem za Polą. Pola wychodzi do sypialni, w której śpią chłopcy, Jakub idzie za nią, zamyka drzwi.

- Przestań furczeć. Dzięki nim wojna może się skończyć jeszcze w tym roku, a ty robisz fochy jak primadonna! - Jakub jest wściekły, Pola też. Dopada do brata, chwytą go za kurtkę i zduszonym głosem szepce:

- Oszalałeś? Ja mam dzieci! Nie dość, że na wsi ledwie mnie tolerują, to jeszcze mi komunistów do domu sprowadzasz? Już nie raz i nie dwa nachodzili mnie nocą partyzanci. Nie wiem, czy ktoś ich na mnie nasłał. Gdyby nie to, że Arek spalił te wasze cholerne ulotki, wisiałabym na gruszy jako komunistyczna dziwka! Nie rozumiesz tego? Ja się boję, Jakub! Ja się boję! Ty latasz po lasach i wymachujesz bronią, a ja mam dwoje dzieci i nie mam co do garnka włożyć. To jest wojna. A nie twoja bohaterszczyzna... - Pola rozplakała się nagle. Usiadła na skraju łóżka, Jakub obok niej. Na ścianie nad nimi portret ślubny rodziców. Florian i Apolonia uśmiechnięci nauczyciele wiejscy, krzewiciele równości i czystego jak oni, sprawiedliwego socjalizmu. Gołębek z wydrapanym okiem.

- Co się z nami stało? - Łka. - Co się z nami stało?... Matka i ojciec nie darowaliby ci... zginęli za oficera września...

- Matka i ojciec żyli w innych czasach. Wszystko się zmieniło. Ale wojna się skończy, pošlesz chłopców do szkoły, może wyjedziemy razem do Lublina, co? Władza Ludowa otworzy teatry prędzej, niż myślisz... Pomóż nam. Pomóż mi. Przywiozłem jedzenie. Zrób dobrą kolację. Przebierz się. Chcę, żebyś znów wyglądała jak moja Pola.

- Dlaczego u nas? Dlaczego nie możecie go gościć gdzie indziej?

- Nie ma „gdzie indziej”. Świtowcy są zza Wisły, spod Starachowic. Nie mamy tu innej meliny.

- Jak długo to potrwa?

- Dzień, może dwa. To... doświadczony dowódca, nie będzie chciał stacjonować we wsi.

- Jezu... - Pola jest zrezygnowana. - On tu przyjdzie z wojskiem?

- Nie, nie. Wojsko zostanie w lesie. Musimy zapewnić kwaterę tylko dowódcy. Dobrą, przyjazną kwaterę.

>Wieczór następnego dnia

Pola w sukience, umalowana i uczesana. Pola piękna jak Loda Halama. Na stole

wódka, bigos, chleb, mięso. Przy stole obok Poli Jakub, po drugiej stronie Alosza. Dalej Wrzos, Wiślicz, Baca. Na wprost Poli szerokie plecy wysokiego mężczyzny w mundurze pułkownika Armii Czerwonej. Obok niego trzech innych oficerów. Za pułkownikiem stoi adiutant.

- Na zdrowie! - Wznosi toast tubalnym głosem pułkownik. - Piękna Polka!

Pola kopie Jakuba pod stołem.

- Mam na imię Pola, nie Polka. - Uśmiecha się sztywno Pola, ale unosi kieliszek.

- Jeśli wszystkie Polki są takie piękne jak Pola, wyzwolimy was szybko, ale będziemy okupować długo! - śmieje się pułkownik. Wtórują mu pozostali. Tylko nie ona.

- A pan pułkownik jak ma imię? - pyta Pola.

- Piotr Piotrowicz, ale ty mów mi Petro!

Petro Werszihora - pułkownik Armii Czerwonej. Przed wojną perkusista w orkiestrze wojskowej, aktor i reżyser. Instytut Muzyki i Dramatu w Odessie. Akademia Filmowa w Moskwie. Reżyser filmowy w Studiu Kijów. Wielką karierę przerwała wojna. Zastępca legendarnego generała Kowpaka, dwukrotnego bohatera Związku Radzieckiego. Wsławił się trzema wielkim rajdami partyzanckimi na tyłach wroga i objął po Kowpaku dowództwo 1 Dywizji Partyzanckiej.

Werszihora odwraca się do adiutanta. Ma bujne, ciemne włosy zaczesane do tyłu. Wielką brodę, jak u popa. Jasne oczy głęboko schowane pod krzaczastymi brwiami. Silna, męska twarz.

- Iwan,igarety!

Adiutant podaje papierośnicę z czerwoną gwiazdą. Ku zdumieniu Jakuba Pola wyciąga rękę po papierosa. Zaciąga się dymem. Werszihora nie może od niej oderwać oczu.

Rozmowa, śmiechy. Alosza i Łokietek nadskakują czerwonoarmistom, podpytują. Werszihora nic nie mówi, odpowiada jego oficerowie.

- Uzbroimy was, a jak! Musicie szybko stworzyć partyzanckie wojsko.

Pułkownik mruży oczy, wpatrzony w Polę. Pola gasi papierosa, speszona. W tej samej chwili Werszihora podrywa się i idzie do drzwi. Pola i reszta gości odwracają się gwałtownie.

W drzwiach stoi mały Felek.

- Malczik! - Werszihora bierze go na ręce i unosi w górę. Pułkownik jest bardzo wysoki, Felek wystraszył się, pewnie ta broda... Uderzył w bek. Natychmiast zjawia się Arek. Stoi zaskoczony, wpatrując się w Werszihorę. Pola podchodzi, wyciąga rękę po syna.

Werszihora patrzy na obu chłopców uważnie i nie zważając na płacz Felka, przyciska go do piersi. Potem oddaje Poli.

- Priwiet'! - mówi Arek, wyprężając się jak na baczność. Werszihora kuca, by być równym z nim, wyciąga rękę.

- Kak tiebia zawod? Jak imię? - pyta.

- Aaron - odpowiada.

Wczesny ranek, jest jeszcze ciemno. Sypialnia rodziców Jakuba i Poli. Dzieci zniknęły. Z portretu na ścianie patrzą wprost na łóżko Florian i Apolonia, uśmiechając się ślubnie. Wtóruje im gołąbek z wydrapanym okiem.

W łóżku Pola i Werszihora. Nie śpią. On patrzy na nią, ona w ścianę.

- Długo czekałem na ciebie.

- Mówiłeś to każdej dziewczynie, przyjmując ją do filmu?

- Nie. Nie każdej - śmieje się. - Tylko tym, którym dałem angaż.

- Jaki tytuł nosi film, w którym gram?

- Wielka Wojna Ojczyźniana - mówi poważnie Petro, gładząc jej ramię.

- Nie jesteś w swojej ojczyźnie. Jesteś w mojej ojczyźnie.

- Ale wroga mamy wspólnego. - Całuje ją. - Masz synów, musisz myśleć o tym, co będzie później. Gdzie ich ojciec?

- Nie wiem. Chyba nie żyje. Był już w więzieniu, gdy urodził się Felek. Nie wyszedł.

- To jak mały dorośnie, będzie chciał go pomścić.

- Obiecywałeś, że wojna nie potrwa tak długo!

Werszihora wyciąga ramiona po Polę. Okręca ją, chce patrzeć na jej twarz. Całuje jej oczy.

- Niedługo powinnaś stąd uciec. Z dziećmi. Tędy będzie szedł front, to złe miejsce dla kobiety. Widziałem na Wołyniu, co robią z Polakami bandy atamańskie... Nie możesz tu zostać sama. Nie możesz...

- To prawda, co mówią o banderowcach? Że gwałcą, mordują kobiety, mężczyzn i dzieci? Że śpiewają „Abo bude Ukrajina, abo lacka krow po kolina”?

- Cokolwiek słyszałaś, prawda jest okropniejsza... - Werszihora siada, sięga po papierosa. Zaciąga się, podaje Poli. Palą jednego, na zmianę.

- Opowiesz?

Kręci głową. Długa broda opiera mu się na nagiej piersi.

- Ja jestem prosty Ukrainiec. Ja tego nie mogę zrozumieć. Dla mnie jest jeden wróg - Niemiec. I trzeba go bić!

- A co zrobicie z nami po wojnie?

- Nie zostawimy was, nie bój się. Pomożemy. Przeszkolimy takich dzielnych

mołojców jak twój brat i będą wam socjalistyczną Ojczyznę sami budować. - Obejmuje ją potężnym ramieniem. - Słuchaj? A ty tylko tańczysz? Czy tańczysz i śpiewasz, co? Napisałem taki scenariusz, o wielkiej artystce, która na wojnie jest łączniczką. Tylko tam trzeba śpiewać. Rozprawimy się z Germańcem i wrócę po ciebie. Weźmiemy chłopców i pojedziesz ze mną, do Kijowa. Nakręcimy film! No, jak?

- A co, zdjęcia próbne już przesłałam? - poważnie pyta Pola, a potem wkładając rękę pod kołdrę, parska śmiechem.

- No co? - Werszihora całuje ją w piersi. - No co się śmiesz, ja gotów!

- Znałam taką jedną tancerkę rewiową. Miała dobre powiedzenie: Nie oświadczaj się, póki ci chuj stoi!

*

Polna ośnieżona droga, na horyzoncie las. Luty 1944 roku

Pustą furmanką jedzie Fenix, powozi Wacek. Ataman Dzidek pod kożuchami śpi na wozie, pijany.

- Cholera by ich wzięła - pociąga nosem Wacek. - Za każdym razem, jak oddajemy Niemcom kontyngent, to widzę, jak nasze świny na nas patrzą. Dzisiaj ta łaciata, pan ekonom widział, co? Normalnie miała w oczach łzy. Jakby chciała powiedzieć: „Nie pójdę za Niemca, nie pójdę za Niemca, Wacusz tyś mnie od warchlaka odchował i ty mnie do Niemca oddajesz?”.

- Histeryzujesz, chłopie. Świni to akurat wszystko jedno, kto ją będzie na kielbasę przerabiał. - Fenix okręca szyję mocniej grubym wełnianym szalem. Zacina śnieg.

- Zaraz będzie lepiej - pociesza Wacek, chowając nos w kołnierz.

- Ino za te drzewa wjedziemy, to nas osłoni.

- Nie lubię tej drogi. Tu nam furkę zarekwirowali, jak po pas transmisyjny pojechaliśmy.

- Ale tamtej bandy już nie ma! Pan ekonom takie stosunki teraz z partyzantką zaprowadził, że hej! Kultura. Przychodzą, biorą z rozdzielnika i skończyły się napady! Pan ekonom to ma łeb jak jaki minister!

Zza drzew wyskakują trzej żołnierze. Czapki uszanki, płaszcze prawie do ziemi.

- Armia Czerwona? - jęknął Wacek. - Jezus Maria...

- Stoj! - Lufy karabinów wycelowane w piersi Wacka i Fenixa. - Wodka, chleb? Kołbasa?

- Niet? - spokojnie mówi Fenix, patrząc, jak dwaj z nich idą sprawdzić, co na wozie. - Kolegę wieziemy.

- Gdzie?

- A tu, do majątku. Pracujemy tu...

- U Germańca? - Oczy czerwonoarmisty są skośne, kałmuckie. Fenix boi się ruszyć głową, ale ma wrażenie, że w lasu jest ich więcej.

- Puście nas, towarzysze - stara się mówić spokojnie. - My nic nie mamy, my po prostu chcemy wrócić do domu...

- Do Germańca?

- Zabieraj ich, Alosza - cicho mówi po rosyjsku do Kałmuka drugi żołnierz. - Lejtnant kazał przynieść jedzenie i przyprowadzić języka. Żarcia nie ma, weźmy ich na spytki. Koń i wóz też się przydadzą.

- Z wozu!

Leśny obóz Wersihory, Lasy Janowskie

Obóz rozłożony wokół zajętej przez partyzantów leśniczówki. W leśniczówce kwateruje sztab. Żołnierze w szałasach z gałęzi. W wykopanej w śniegu i ziemi jamie nakrytej drewnianą kratą siedzi Fenix, Wacuś i Dzidek. Ich wóz załadowany workami z mąką.

- Nie wypuszczą nas żywych - lamentuje Wacuś. - Widzieliśmy ich kryjówkę, widzieliśmy, ilu mają ludzi...

- A ilu? - pyta go wściekły Dzidek.

- Dużo - łka Wacuś.

- Uspokój się, chłopie! - grzmoci go po karku Ataman. - Ty naprawdę byłeś w wojsku?

- Ale tylko za młodszego mechanika - pociąga nosem Wacek.

- Przestańcie. Jakby nas chcieli rozstrzelać, już by to zrobili. W tej samej chwili nad kratą pochyla się skośnooka twarz.

- Wylazić!

- No i wykrakał pan Fenix...

Dwóch krasnoarmiejców prowadzi ich przez polanę, w stronę lasu. Fenix ogląda się, bo ma wrażenie, że widzi znajomą sylwetkę. Kałmuk uderzył go kolbą w bark.

- Jakub! - krzyczy ile sił Fenix do idącego w stronę leśniczówki. - Jakub!

Jakub ma zarzucony na ramiona wojskowy, sowiecki płaszcz. Podbiega do nich.

- Co wy tu robicie? - pomaga wstać Fenixowi ze śniegu, a czerwonoarmista widząc płaszcz z dystynkcjami lejtnanta, odsuwa się.

- Złapali nas na drodze i przyprowadzili tutaj. Chcą nas rozstrzelać, bo mówią, że

jesteśmy germańskie pacholki. Jakiś taki... wasz... rozpoznał, z jakiego majątku, i powiedział, że współpracujemy z narodową partyzantką. Mają nas za polskich faszystów.

- Odprowadź ich do kwatery dowódcy. Zaszło wielkie nieporozumienie - mówi Jakub po rosyjsku do Kałmuka.

W leśniczówce tłoczno. Wersihora przy stole ogląda mapy. Jakub zdejmuje płaszcz, oddaje Aloszy. Prócz oficerów sowieckich jest jeszcze komisarz okręgowy PPR.

- Petro! - Jakub sili się na dobry humor. - Zaszło fatalne nieporozumienie. Ci ludzie pracują dla mnie.

- Co? - Wersihora obrzuca Fenixa i Dzidka przelotnym spojrzeniem. - To germańskie pacholki.

- I pomagają polskim narodowym faszystom - uzupełnia Stach, komisarz PPR.

- Nie - śmieje się Jakub. - Pracują w zaanektowanym przez Niemców majątku, ale od pół roku współpracują z nami. Żywią mój oddział, narażając własne życie.

- Ja słyszałem tylko, że żywią akowców i eneszetowców - pogardliwie mówi Stach.

- Co wy tam wiecie, na górze, towarzysze! Dla niepoznaki, żeby narodowcy ich nie spalili, dają im czasem worek maki. Ale gdyby nie on - Jakub klepie Fenixa w plecy - mój oddział by z głodu zdechł.

- Ot, pomyłka! - Kiwa głową Wersihora i podchodzi do Fenixa, wyciągając wielką dłoń. - No, poznajmy się!

- Fenix - podaje mu sztywno rękę Fenix.

- Petro! - Wersihora przypatruje się ciekawie jego twarzy.

- Fenix był bokserem, walczyliśmy przed wojną na ringu.

- Widać, że bokser! To on ci złamał nos? - wskazuje na Jakuba.

- Nie. Van Klaveren, mistrz Holandii.

- Szkoda. Lepiej by było, żebyś ty pokonał imperialistę. Boks to dobry, proletariacki sport. Walczyłeś kiedyś z jakimś naszym zawodnikiem?

- Niestety, nie miałem okazji - powiedział Fenix i w tym samym czasie pomyślał, że nawet gdyby zdobył mistrzostwo Związku Radzieckiego, to by się nie przyznał. Oszacował też, że Wersihora to waga grubo ciężka. Waligóra, czy coś. Wyobraził sobie go szybko w podkoszulku i spodenkach, z tą brodą. Z rzędem orderów na podkoszulku... z włochatą piersią pod podkoszulkiem... Siebie, jak go nokautuje...

- No dobra. Wypuście ich - rozkazał pułkownik.

- Drugi raz ratujesz mi życie - uściskał Jakuba Fenix, gdy ten odprowadził ich aż pod Łosowo.

- Może kiedyś ty uratujesz mi? - poważnie powiedział Jakub.

- Na razie mogę ci się odwdziżyć kaszą i kielbasą. I Krysia, Dzidka żona, ma tam coś dla tych twoich dzieci.

- Nie moich, siostry. Słuchaj, oni tu nie postoją długo. Tak przynajmniej mówią. To zagon rozpoznawczy. Albo popędzą na zachód, albo zawrócą. Przez ten czas, jak będą na naszym terenie, musicie uważać. Pułkownik jest w porządku, stara się utrzymać wojsko w ryzach, ale wiesz, jak to jest...

- Skąd biorą aprowizację? Jakub wzruszył ramionami.

- A jak myślisz?

- Chłopi długo tego nie wytrzymają. Wykarmić i Niemców, i Ruskich, i swoich...

- Dlatego trzeba szybko skończyć tę wojnę. Przygotuj, co możesz, wpadnę po to z oddziałem jutro. Zawiozę i powiem Werszihorze, że daliście swoją dolę, żeby was już ominęły rekwizycje. Jak masz jakiś bimber, to dorzuć. Szepnę mu, że od ciebie.

Fenix nachylił się do ucha Jakuba i szepnął:

- To Sowiety...

Jakub odsunął się i powiedział twardo:

- Jakoś zachodni alianci nie kwapią się, by nas wyzwolić. Rządu londyńskiego też nie widać. Sami się nie uwolnimy. Co nam zostało?

Fenix pokiwał smutno głową.

- Wolę boks. Czyste zasady gry.

- Dobry, proletariacki sport! - przedrzeźniał Werszihorę Jakub i uścisnęli sobie ręce z Fenixem.

*

Obóz Zub-Zdanowicza, lasy pod Janowem Lubelskim. Luty 1944 roku

Obóz jest świetnie zamaskowany. Dopiero po dłuższej chwili widać, że jest w nim z powrotem większość żołnierzy. Po pacyfikacji Borowa major Ząb wezwał rozmelinowane po wsiach oddziały na koncentrację. Stawiają się kolejno wszyscy.

- Ojciec Jan. - Salutuje przysadzisty brunet.

- Znów odłączyłeś się od AK? - pyta Ząb.

- Major wzywa, Ojciec Jan przybywa! - uśmiecha się akowiec.

- Cichy!

- Biskup.

- Step.

- Legia Nadwiślańska prawie w komplecie! - powitał żołnierzy Ząb. - To mamy znów

około trzystu ludzi.

- Ktoś się jeszcze odnalazł? - spytał Biskup.

- Nie. Wysłałem patrol do Borowa, żeby poszukał zaginionych. Niemcy dopadli ich i zabili. Fala próbuje przepłynąć się z Kretem na drugą stronę Wisły, do szpitala. Świder ma kompletnie odmrożone nogi, wysłałem go razem z matką do zaufanego majątku w Nikisiałce. Resztę rannych opanował doktor Żar. Cywile rozproszyli się po wsiach, przed wiosną nie mają do czego wracać. Cień Borowa będzie wisiał nad nami jak widmo.

- Komuniści nas wydali Niemcom - powiedział Cichy. - Znajdę ich.

- Nie teraz. Nie będziemy się bawić w tropienie zdrajców, mamy inny problem nad głową. Armia Czerwona przekroczyła polską granicę. Zaczęła się druga okupacja sowiecka. Wywiad donosi, że idzie w naszą stronę jakiś wielki zagon.

Trzy dni później

Na skraju wzgórza Zub-Zdanowicz i Step. Obserwują przez lornetki czerwonoarmistów, którzy minują pole.

- Nie wiem, czy śmiać się, czy płakać - mówi major. - Ponoć mają taki dobry wywiad, a nas nie wytropili.

- Na razie - krzywo zerka na niego Step. - Ale wpadliśmy jak śliwka w kompot, majorze.

Szałas dowódcy, mapa. Zdanowicz ustawia na niej kamyki.

- Zagon partyzantów sowieckich przekroczył rzekę Tanew. - Ustawił dwa kamyki. - Rozbili się z podzielonym na dwie części obozem tu i tu. Trzecią stronę właśnie kończą minować, żeby ubezpieczyć się przed uderzeniem niemieckim. A z czwartej strony - ustawił kamyk w dość regularny czworobok - nadchodzą Niemcy. A w każdym razie tam zaczynają koncentrację swoich oddziałów. My zaś jesteśmy tu - ostatni kamyk wylądował dokładnie pośrodku. Jeżeli nawet jeszcze dzisiaj o nas nie wiedzą, to tylko kwestia czasu. My zaś nie możemy tu tkwić pozbawieni kontaktu z zapleczem, bo korzonki spod śniegu da się jeść najwyżej kilka dni. Od obozu Sowietów do naszego jest dziesięć kilometrów. Prędzej niż później wpadną na nas.

- O ile wcześniej nie doniosą im miejscowi komuniści - dorzucił czarną chmurę Znicz.

- Na podjęcie walki nie mamy sił. Nas jest trzystu, ich szacuję na dwa tysiące.

- Trzeba negocjować - wtrącił się Ojciec Jan. - Dyrektywy AK są takie, by tam, gdzie to konieczne, ujawniać się Armii Czerwonej i wspólnie walczyć z Niemcami.

- A dyrektywy NSZ, by walczyć z jednymi i drugimi. Nie wolno nam negocjować z komunistami. Chociaż właściwie... - Ząb okręcił się płaszczem szczelniej - ...nam nie wolno

współpracować z Sowietami. Ale negocjować?...

- Panie majorze - powiedział cicho Biskup - oni być może nie wiedzą, że my to NSZ, a nie AK?

Do szalasu wbiegł Rzędzian, śnieg z okrywających dach gałęzi obsypał go przy wejściu.

- Panie komendancie, już nas mają!

- Bałwan - zauważył Ząb.

- Łącznik sowiecki przyszedł z zaproszeniem dla pana komendanta na rozmowę. Czeka na odpowiedź.

- Gdzie?

- Czujka go zatrzymała.

- Na piśmie ma to zaproszenie?

- Nie, na gębie. - Rzędzian był wytrącony z równowagi, wystraszony.

- Nie bój się, czerwonoarmiści nie gryzą - powiedział, nie wierząc we własne słowa, Ząb.

Kwaterna pułkownika Werszihory. 15 lutego 1944 roku

Pośrodku pokoju stoi duży stół, na nim mapy. Na mapach popielniczka. Werszihora w płaszczu narzuconym na ramiona, obok niego oficerowie i adiutant. Naprzeciw nich major Zub-Zdanowicz i Ojciec Jan. Obaj są w mundurach polskich. Zdanowicz nie ma jedynie ryngrafu na piersi.

- Pułkownik Kowpak - przedstawia się Zdanowiczowi Werszihora. - Eleganckie mundury!

- Major Ząb. Dziękuję za zaproszenie pana pułkownika. O czym będziemy rozmawiać?

- O współpracy. - Werszihora pokazuje, żeby usiedli.

- Pan pułkownik wie, że mój oddział podlega rozkazom rządu polskiego w Londynie? Werszihora kiwa głową, zapala papierosa.

- U nas jest jedna armia - mówi - Armia Czerwona. A u was nie można się połapać. Armia Ludowa, Armia Krajowa, Armia Chłopska! Nu, odkąd tu jestem, ja nie nadążam uczyć się nowych armii!

- Pozwoli pan, panie pułkowniku, że krótko nakreślę panu sytuację - zaproponował Ząb i poczuł, że wraca jego talent do ludzi. - Lewica i prawica, u was już tego nie ma, ale pan pułkownik pamięta?

- Biali i czerwoni! A jak! - roześmiał się tubalnie Werszihora. - U nas są już tylko

czerwoni!

- A Polska jest zawsze białoczerwona - elegancko uśmiechnął się Ząb. - Nasi czerwoni to Armia Ludowa, polscy komuniści - przeszło mu to przez usta nawet gładko - ale jest ich niewielu. Oni nie uznają rządu polskiego w Londynie. A wszystkie pozostałe organizacje prawicowe i jednocześnie niepodległościowe podlegają jego rozkazom.

- Nu, czyli wy jesteście ta Armia Krajowa.

Zdanowicz i Ojciec Jan skinęli głowami. Ten drugi wciąż był AK, tyle że jako zbyt mała jednostka na samodzielne akcje lubił oddawać się pod rozkazy Zęba. A Ząb był przecież kiedyś w AK, więc wciąż, w jakimś sensie, mówił prawdę.

- My już współpracowaliśmy z jedną AK - kiwnął głową Werszihora - teraz możemy współpracować z wami. Chcemy oczyścić przedpole dla Armii Czerwonej. Jako niepodległościowcy przyłączycie się, jak rozumiem, chętnie.

- Bardzo chętnie - zełgał uśmiechnięty Ząb. - Proszę nam tylko dać czas na uzgodnienie tego z dowództwem. My musimy wypełniać rozkazy, a jeszcze nie otrzymaliśmy takowych odnośnie przybycia Armii Czerwonej. No i pozostaje problem broni. W tej kwestii musimy liczyć na wasze wsparcie.

- Będzie współpraca, będzie wsparcie - zakończył ten etap rozmowy Werszihora. - A na dobry początek proszę na kolację! Czym chata bogata!

Nasza chata - pomyślał Zdanowicz i gdyby nie to, że liczył na coś jeszcze, to pewnie by odmówił. Liczył na alkohol i łut szczęścia. Pod wielką popielnicą na stole leżała mapa pola minowego. Pułkownik zaprosił ich jednak do drugiego pokoju, gdzie czekał już zastawiony stół. Wódka, kiełbasa, chleb, jajka. I pech - kobieta podobna do...

- Moja Polka, przepraszam - Pola! Poznajcie się!

Poznał ją od razu, choć teraz, umalowana i uczesana, wyglądała zupełnie jak dawna Loda Halama. Nie, nawet była od niej ładniejsza. Ona chyba też go poznała.

- Oficerowie Armii Krajowej - przedstawiał kochance Werszihora. Zub-Zdanowicz zaryzykował wszystko.

- My się już znamy. Nie tak dobrze, jak pan pułkownik z panią, ale już się widzieliśmy.

- I co, Pola? To są patrioty? Dobre partyzanty?

- Tak - odpowiedziała zmieszana dziewczyna. - Armia Krajowa.

- Krzywdy ci nie zrobili?

- Nie - uśmiechnęła się i poprosiła do stołu. - Stygnie...

Była tylko kochanką Sowietów czy jego agentką? Wyda ich przynależność do NSZ, jak

wyjda, czy nie? Nie umiał tego rozszyfrować, bo rozmowa toczyła się na jakieś błahe tematy. Teatr, jakieś rewie, filmy.

- Poleczka i ja dobraliśmy się jak w korcu maku! - Wersihora podpił sobie, wstał i włączył gramofon. - Wy, towarzysze, nie wiecie, ale ja jestem aktor, reżyser! I gdzie ja mógł przypuszczać, że na polskiej wsi spotkam taką aktorkę?

- Pani jest artystką? - spytał Ząb.

- Aktorką.

- Z Lublina?

- Przed wojną grałam w Warszawie.

Więc agentka. Nie może na niej polegać. Może tylko poprosić, by się wstrzymała z donosem. Może nawet to nie. Pułkownik polewał gęsto, Zdanowicz, niepijący, cierpiał. Honory oficerskie pełnił Ojciec Jan. Wersihora miał głowę twardą jak skała. Major uznał, iż plan upicia pułkownika to niewypał.

- Musimy wracać do oddziału. Skontaktować się z dowództwem w wiadomej sprawie. Pożegnamy się.

- Ile potrzebujecie czasu na otrzymanie rozkazów? - spytał gospodarz.

- Około tygodnia.

- To pieszo będziecie do Londynu iść? Nie możecie zatelegrafować? - zaśmiał się Wersihora i zaproponował: - Służę radiostacją. Zdanowicz uśmiechnął się pięknie. - Poradzimy sobie, pułkowniku. Gdy wychodzili z kwatery, dziewczyna wsunęła mu coś w rękę.

Schował.

Ma Pan niewiele czasu. Miejskowa AL próbuje was namierzyć. Ja was nie wydam.

*

Baza Żbika w lasach olesińskich. Koniec lutego 1944 roku

Nad zgłiszczami baraków unosi się strużką resztką dymu. Partyzanci kończą zbierać dobytek, wychodzą z zimowej bazy. Mijają skupione jedna przy drugiej mogiły. Żbik zatrzymuje oddział. Odmawiają modlitwę. Gdy ruszają, chłopcy nucą cicho:

Śpij kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie

- Te groby więcej mówią o nas niż co inne. Zobacz, Grzmot, mogiły naszych chłopców, co polegli za Ojczyznę, i groby tych, co się jej sprzeniewierzyli. Jedne obok drugich.

- Nie żal ci? Po pożarze można przecież odbudować...

- Po jednym. Ale nie po dwóch. Mam dość. Podzielę oddział. Połowa pójdzie do

podchorążówki Czecha. Wiosną ich odbiorę. Nauczą się czegoś i będą bezpieczniejsi niż przy mnie. Doktor Kamiński pójdzie z nimi.

- Mniejszym oddziałem łatwiej operować - wzruszył ramionami Grzmot. - Ale czy oni się zgodzą iść do Czecha?

- To rozkaz.

Okolice wsi Zabrody, około 30 kilometrów od Częstochowy. Kilka dni później

- Krwawy Rudy, taką ksywkę nadali mu mieszkańcy, żandarm sadysta. Trzeba go sprzątnąć i to najlepiej dziś. Będzie jechał rowerem w towarzystwie dwóch innych, może nie tak krwawych...

-...ale równie rudych.

- Kiepski ten las na zasadzkę - trze czoło Żbik. - Nie podoba mi się.

- Innego nie ma, panie komendancie. Cała droga jak na dłoni.

Las jest rzadki, płaski niczym talerz. A drogą, do której przylega, w te i z powrotem jeżdżą chłopci. Dzień targowy.

- Ja mam za miękką dupę - szepce Żbik do Grzmota - nie trzeba się było zgadzać na robienie tego żandarma. Ale te baby tak wyły...

Grzmot leżąc obok niego, żuje żdźbło trawy.

- Dupę? Myślałem, że to serce masz miękkie. Ale skoro mówisz, że dupę...

- Nie podoba mi się to. Już prawie południe, a żandarma nie ma. Leżymy jak na patelni, żeby chociaż grzało. Trzeba się stąd zmywać. Ruszyli marszem ubezpieczonym do pobliskiej niemieckiej kolonii Antonielów. Wzięli od chłopów wozy i konie, żeby jak najszybciej oddalić się od tej nieszczęsnej zasadzki. Ujechali kilkaset metrów za wieś, gdy od strony lasu padły strzały. Niemcy wyszli z niego tyralierą, na oko osiemdziesięciu żandarmów. Otworzyli ogień maszynowy.

- Wycofać się przez wieś! - krzyknął Żbik. - Harry, za wsią skręć w las i okrąż ich od tyłu.

Sam z Grzmotem i kilkoma chłopcami zaczął się za linią pierwszych płotów. Niemcy szli na nich. Wieś była niemiecką kolonią, więc spodziewał się, że żandarmi będą chcieli ich z niej wywabić na otwarte pole, by nie powodować zniszczeń. Podpuścił ich na jakieś trzysta metrów i dopiero dał rozkaz:

- Ognia!

Od pierwszej serii padli zabici i zawyli ranni. Harry powinien zdążyć przedrzeć się tyłami w las. Tak. Już słyszeć jego stena!

- Wycofujemy się za Harrym!

Niemcy strzelali do nich, ale raczej zaczepnie, jakby chcieli ich czymś zająć. Coś nie grało. Przyłożył lornetkę do oczu. W lesie, tym cienkim lesie opodal drogi, tym, gdzie siedzieli zasadzeni na Krwawego Rudego, było niemieckie wojsko. Długimi skokami sadzili w stronę wsi.

- Kurwa. Zasadzka! Musimy wiać.

Chowając się za domami, przeskoczyli wieś. Została im otarta przestrzeń pola między nią a lasem. Harry osłaniał ich ogniem karabinów. W głowie Żbika jakiś ekonom liczył już wystrzelone pociski i amunicję, która została. „Słabo, słabo”. By nie tracić czasu, ponaglił.

- Do lasu!

I odstrzeliwując się Niemcom, zaczęli uciekać. W ich stronę poszły granaty. Ziemia latała w powietrzu. Huk. Widział, jak ostatni żołnierze przekraczają granicę lasu, chowając się wśród drzew. I wtedy dostał. Bolesne szarpnięcie w prawy pośladek.

Dostałem odłamkiem granatu - pomyślał trzeźwo i cofnął się między drzewa. Mógł iść. Zrobił więc kilka kroków, choć ból był okropny. Poczul ciepłą krew chlupiącą w bucie, ale jeszcze mógł iść. Zachwiał się.

- Dowódca ranny! - krzyknął ktoś, odwracając się ku niemu. Upadł. Po chwili kładł go na nosze zrobione z dwóch karabinów i pasów.

- Harry, obejmij dowództwo - pamiętał, że wydał rozkaz.

Ocknął się we młynie. Piękna pani doktor pochylała się pod nim. Pod nim? Dlaczego? Może świat stanął do góry nogami. On ją skądś zna, tę panią doktor...

- Igła? Doktor Igła?

- Nie. Sonia! - Twarz dziewczyny zniknęła spod niego i okręcając głowę w bok, zobaczył jej nogi.

Leżę na brzuchu z głową opartą o krzesło. Nie mogę się ruszyć - przeanalizował swoją sytuację.

- Soniu?

- Kto to jest Igła? - usłyszał naburmuszony głos.

- Igła, Piguła, Strzykawa, Ampuła - tak się mówi na sanitariuszki, kochanie. Chciałem ci się przypodobać i dodałem „doktorę”.

- No dobrze - głos był łaskawszy. - Zresztą zgadza się, zrobiłam ci zastrzyk, przeciwtężcowy. A lekarz już do ciebie jedzie.

- Doktor Kamiński?

- Nie. Zapomniałeś, że poszedł z twoimi do podchorążówki?

- Ach. Soniu, Sonieczko, połóż się obok mnie. Ciężko mi tak gadać, gdy patrzę w

podłogę i... - Wykręcił ramię, żeby dotknąć pośladka.

- O rany! Leżę z gołą!

- Nie z gołą, tylko z obandażowaną. Sama robiłam opatrunek. Zaskrzypiały drzwi, zaszurały buciory.

- Harry?

- Nie, Grzmot. Nie poznajesz nas po nogach?

- Przyjacielu, padnij, żebym mógł cię widzieć, nie mogę tak tyłkiem wydawać rozkazów.

Grzmot położył się na podłodze na plecach.

- Wiesz, z kim się strzelaliśmy? Z żandarmerią naszego Hustego, z Kluczevska.

- Ja nie zaczynałem. A obiecałem tylko, że nie zacznę.

- Dobra, to już palicho. Poza tyłkiem komendanta nie ma żadnych strat.

- Są moralne - jęknął Żbik.

- Mam gorsze wiadomości, nie gniewaj się, stary. Twoje pośladki się wyleczą, bo na tobie zawsze się goiło jak na psie.

- Dobij mnie.

- Podchorążówka Czecha postrzelana. Mamy zabitych i rannych. Doktor Kamiński ma ciężki postrzał w rękę...

- Prawą czy lewą?

- Nie wiem. Żandarmeria napadła na nich tego samego dnia, co nas. Więc może to była jakaś większa akcja?

- Jezu. Kto zginął?

- Czech żyje. A oddział znów buntuje się przeciwko niemu. Kazali ci przekazać, że za tobą pójdą w ogień, ale na niego już nie mogą patrzeć.

- Grzmot, uspokój ich natychmiast. Nie będę tolerował samowolki. To banda czy oddział?

Bosman Grzmot patrzył chwilę na komendanta i go nie słuchał.

- Wiesz co - powiedział, przyglądając mu się dziwnie - wyglądasz jak żbik.

- Kurwa, Grzmot, co z tobą? Ja jestem Żbik! Ranny Żbik!

- Ja wiem, tylko takie cętki ci wyszły na pysku... na twarzy oczywiście. Takie żółte cętki na zmianę z ciemnymi... i coś się dzieje z twoimi oczami...

- Babciu, dlaczego masz takie długie zęby - warknął Żbik. - Nic mi nie jest. Mam postrzeloną dupę i nie mogę się ruszać...

- To wstrząs, po zastrzyku przeciwtężcowym - orzekła Sonia. - Uczylam się tego na

kursie. Teraz dostaniesz gorączki i potów. O ile to jest klasyczny wstrząs, bo może być też taki z dusznościami i puchnięciem.

- To śmiertelne? - spytał obojętnym tonem Żbik.

- Nie wiem - spieszyła się Sonia. - Nie było mnie na drugich zajęciach...

Doktor przyjechał nazajutrz i powiedział, że nic mu nie będzie. Zmienił opatrunek, dodał, że kula weszła od przodu przez udo, a wyszła pośladkiem.

- Miał pan dużo szczęścia, komendancie! Parę centymetrów dalej i byłaby katastrofa. A tak to do wesela się zagoi.

- Panie doktorze - szepnął Żbik. - Ale czy wszystko ze mną w porządku? No wie pan, nie urwało?...

- Trzeba będzie sprawdzić, lecz jeszcze nie teraz. Teraz jest pan we wstrząsie, nie radzę. Najwcześniej za kilka tygodni.

Pożegnali się i z obserwacji podłogi zrozumiał, iż została tylko Sonia.

- Soniu - poprosił ją do siebie - czy mogłabyś jeszcze raz sprawdzić ten mój opatrunek? Doktor chyba za luźno mi go zrobił.

- Zagryzł zęby i przekręcił się na zdrowy bok, przodem do Soni. - O tutaj. Sama sprawdź...

Jednak nim ambitna sanitariuszka bez dyplomu zdążyła uspokoić komendanta, nadbiegł Grzmot z meldunkiem.

- Od Czecha.

„Radzę zmienić natychmiast miejsce pobytu i rekonwalescencji w największej tajemnicy przed wszystkimi. Dobrze się ubezpieczyć i być czujnym na wszystko. Łączników służbowych przyjmować wyłącznie w towarzystwie najbardziej zaufanych żołnierzy, nigdy samemu. Postaram się dotrzeć do Pana jak najszybciej wraz z pozostałymi ludźmi z pańskiego oddziału. Znajdziemy Pana. Por. Czech”.

- Nigdzie pana nie puścimy! - oświadczyła Sonia, jej matka i siostra, czyli gospodynie.

- My się niczego nie boimy, a pan i pańscy żołnierze mają zostać.

- I ci, którzy przyjdą, też mają zostać - dodała siostra.

Po dwóch dniach przybył Czech i rzeczywiście przyprowadził oddział, nie było tylko doktora Kamińskiego, który ranny leżał na placówce. Czech poprosił wszystkich o wyjście i gdy zostali sami, podał Żbikowi pismo.

- Jezus Maria! To jakiś koszmarny żart? - jęknął Żbik, gdy przebiegł je wzrokiem.

- Nie - pokręcił głową Czech. - To ściśle tajny rozkaz Komendy Głównej NSZ do Okręgu i Powiatu. Zostałeś zawieszony w czynnościach służbowych, oddział ma być

rozwiązany i jesteś oddany pod sąd.

- Ale za co?! - Żbik wciąż nie wierzył w to, co widział napisane.

- Za kontakty z żandarmerią niemiecką, za niestawienie się na wezwanie dowództwa do wyjaśnień. Za gwałty i rabunki na ludności.

- Jakie gwałty i rabunki?!

- Od dłuższego czasu większość lokalnych band podszywała się pod ciebie. Wcale o tym nie wiedzieliśmy. Dopiero jak odesłałeś mnie... to znaczy, jak poszedłem do komendy powiatu, okazało się, że skarg na Żbika jest cała masa. Komenda przymykała na to oko, bo wiedzieli, co jest czyją sprawką, nie dawali temu wiary, ale widocznie miarka się przebrała. Gdybyś się stawiał na to wezwanie, mógłbyś wszystko wyjaśnić.

- Ale ja nie miałem żadnego wezwania, nie rozumiesz? Nikt mi nic nie dostarczył. A Huste? Przecież sam zameldowałem o wszystkim do przełożonych. O co chodzi, Czech?

- Nie rozpaczaj, przede wszystkim musisz zmienić miejsce pobytu. Po wyroku wyślą do ciebie egzekutywę.

- Jezu. Chcą mnie strzelać? Ja się nie mogę ruszyć, widzisz moją obandażowaną, za przeproszeniem, dupę. Poza tym jak ucieknę, to się dopiero zachowam jak podejrzany.

- Dobra, Żbik. Piszemy wyjaśnienia. Albo masz szczęście i ci uwierzą, albo masz pecha i...

Wyszło im sześć stron papieru kancelaryjnego. Sześć bitych stron. Do tego Żbik dołączył prywatną wiadomość.

Czekam spokojnie w moim miejscu pobytu na wyrok i jego wykonanie, chociaż wiecie, że mógłbym postąpić inaczej, mając uzbrojony i oddany mi całkowicie oddział. Ludzie ci przeświadczeni są o mojej uczciwości i lojalności, a posądzaniem mnie i stawianiem sprawy w ten sposób bez uprzedniego zbadania jej także im wyrządziliście krzywdę.

Dni, które nastąpiły po wysłaniu gońca do Komendy Okręgu, ciągnęły się w nieskończoność. Zaczął wstawać, choć podskoki na jednej nodze w niczym nie przypominały chodzenia. Nosiło go. W końcu łącznik przywiózł odwołanie tamtego rozkazu. I polecenie zmiany pseudonimu.

- Uważają, że z racji na tamte oskarżenia „Żbik” jest spalony w terenie.

- To ci powiem, Czech, że gówno wiedzą!

Proszę o jasne postawienie sprawy. Pseudonimu nie zmieniam. Żądam komisji celem zbadania faktów na miejscu w terenie i w oddziale. Domagam się całkowitej rehabilitacji albo wyroku.

Przyjechała komisja. Przepytywała wszystkich. Spisywała protokoły. I w końcu wydała oświadczenie o rehabilitacji komendanta oddziału - „Żbika”.

- Przepraszamy pana - uścisnęli mu kolejno rękę. - Prawdopodobnie dostanie pan awans.

- A broń? - Pokuśtykał o lasce. - Bardziej od awansu potrzebuję broni, mundurów, butów i pieniędzy. Mam oddział na utrzymaniu. Duży oddział!

- Zobaczymy, co...

-...da się...

-...zrobić. Pan wie, że organizacja nie dostaje pieniędzy... Czech pakował swoje rzeczy.

- Zabierają mnie z powrotem, do powiatu. Przyszedłem się pożegnać.

- Dziękuję ci, kolego - uścisnął mu rękę Żbik. - Bez ciebie nie dałbym rady.

- Dałbyś - smutno powiedział Czech. - Ty jesteś Żbik Wielki. Podszedł do nich Harry.

- Jestem emisariuszem oddziału. Oddział chce powiedzieć, że porucznik Czech może zostać. Że nie jest zły. Oddział przekonał się.

*

Kwaterna Werszhory. 21 lutego 1944 roku

Późny wieczór. Gramofon trochę trzeszczy, ale słysząc, że to tango. Pola w oficerkach, sukience i narzuconym na nią wojskowym płaszczu tańczy przytulona do Werszhory. Sięga mu poniżej piersi. Petro nie puszczaając jej z rąk, zmienia płytę.

Zacina się Fogg.

To ostatnia niedziela, jutro się rozstaniemy

Tańczą.

- Dlaczego mi to grasz? - pyta Pola.

- Wiesz, dlaczego. Ale to może być dłużej niż niedziela. Na wojnie nie znasz dnia, nie znasz godziny.

- Nie chcę tego słuchać, przecież wiem, co będzie. - Odrywa się od niego, spada jej z ramion płaszcz. Wyłącza płytę. - Lubisz Majakowskiego?

- A jak! - Pułkownik wyciąga po nią ramiona. - Naprzód pierś podaj naga!

Pola zaczyna tańczyć fokstrota. Zbliża się i oddala od niego. W rytmie fokstrota oboje śpiewają:

Naprzód pierś podaj naga niech flaga na niebo zawiewa!

Kto tam znów rusza prawą?

Werszhora łapie ją w tanecznym obrocie, śmieją się, powtarzają: kto tam znów rusza

prawą?

Nie słyszą pukania adiutanta. Krzyczą, wyginając się jak w rewii:

- Lewa! Lewa! Lewa!

- Towarzyszu pułkowniku! - wdziera się adiutant. - Przyszli oficerowie polscy.

- Kto tam znów rusza prawą - wciąż nuci Werszihora, całuje Polę w policzek. - Jak chcesz, to zostań.

Wchodzą ci, których widziała poprzednio.

Major z pękniętą brwią, który jest w NSZ, a udaje AK. I ten drugi, zwalisty, Ojciec Jan - myśli Pola, sprząając ze stołu szklanki. Widzi, że major patrzy jej na ręce.

- No i jak? Porozumieli się z dowództwem?

- Owszem - mówi major. - Ale nasze dowództwo jest zaniepokojone represjami, jakie spadły na ludność cywilną po waszym ataku na Tarnogród. Niemcy rozstrzelali dużą grupę Polaków.

- Jest wojna, są ofiary - powiedział twardo Werszihora i Pola po raz kolejny zauważyła, iż Petro zmienia się całkowicie, kiedy jest pułkownikiem. Gdy są tylko we dwoje, jest czuły, dowcipny i znacznie bardziej wrażliwy na krzywdę. Płakał na jej piersi, opowiadając o tym, co Niemcy wyprawiali na Ukrainie. A może gra? Jest aktorem. Tylko kiedy gra? Gra pułkownika Werszihorę czy gra Petra?

- Podporucznik Podkowa, też AK, zrobił z nami udaną akcję. Zniszczyliśmy wspólnie most pod Krasnymstawem.

- Tak, słyszeliśmy - odpowiedział major.

- Na początek proponuję akcję zapoznawczą. - Werszihora podszedł do rozesłanej na stole mapy. Pola zdjęła z niej wielką jak koło młyńskie popielniczkę. Pod nią leżał jakiś złożony papier, odłożyła go razem z popielnicą na drugi stół. Gdy wracała do nich, major chwycił ją za rękę. Spłoszona spojrzała na Petra. Nie widział. Stukał palcem w mapę i gadał:

- Ja ze swoimi siłami uderzę na Stalową Wolę. Wy dacie mi dobrych przewodników i osłonicie marsz moich partyzantów. Tu i tu...

Major pod stołem pociągnął ją mocno za rękę. Werszihora grzebał w papierošnicy i w tej samej chwili major pokazał jej głową, że chce ten papier, który wypadł spod popielniczki. Poruszył tą okropną przeciętą brwią. Odeszła od stołu obojętnym krokiem, wzięła popielnicę, wyrzuciła jej zawartość do śmieci. Jedną ręką stawiała ją przed Werszihorą na mapie, drugą pod stołem podała papier majorowi.

- A broń i amunicja potrzebna do przeprowadzenia natarcia? - spytał major, jakby nic się nie stało.

- Damy. Jednak wy macie coś naszego, coś, co musicie oddać.

Pola zbladła. Zauważył? Jeśli tak, to po niej i po dzieciach. Po nich wszystkich.

- Co takiego? - Major był zaskoczony.

- W waszym oddziale są żołnierze obywatele radzieccy. Muszą wrócić do mnie.

Przejsć pod moją komendę.

Odetchnęła.

- Przyszli do mnie z własnej woli, chciałbym, żeby sami mogli zdecydować - zachnął się major.

- Ojczyzna się o nich upomina. Matka Rosja chce mieć wszystkich swoich synów.

- Pomówię z nimi.

- No, to jesteśmy umówieni! Mój oficer łącznikowy dołączy do was jutro.

Zastanawiała się, gdzie major schował ten papier. Ręce miał puste. Uścisnął dłoń Wersihory. I niespodziewanie, wychodząc, ucałował ją w dłoń. Zaczerwieniła się.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Petro dopadł do niej jednym susem. Zaczął ją całować tak gwałtownie, że się wystraszyła, iż jednak widział, i to ma być preludium do jakiegoś... Nie. On znudził się pułkownikowaniem. On pragnął jej. Albo grał? Rozbierał ją, szepcząc Majakowskiego.

Rozwijajcie się w marszu!

W gadaniach robimy pauzę.

Ciszej tam, mówcy!

Dzisiaj ma głos towarzysz Mauzer.

Została naga, w oficerkach tylko.

Dosyć już żyliśmy w glorii praw, które dał Adam i Ewa:

Sam zrzucił kurtkę munduru, rozpiął pośpiesznie spodnie. Odwrócił ją tyłem, oparł na stole i wszedł w nią gwałtowniej niż zwykle.

Zajeżdżimy kobyłę historii! - Niech się brytyjski lew pręży, niech ostrą koroną olśniewa - Komuny nikt nie zwycięży!

Gwałtownymi pchnięciami udowydniał jej, że jest dobrym komunistą, pułkownikiem Armii Czerwonej, aktorem i reżyserem miłosnego aktu.

Lewa!

Lewa!

Lewa!

I najlepszym kochankiem, jakiego miała. Zacisnęła palce na mapie. Ze stołu spadła ta kosztowna popielnica. Popiół w powietrzu.

*

Kwaterna Zub-Zdanowicza w Lasach Janowskich 21 lutego 1944 roku, późny wieczór

Ta sama mapa, na której Zub-Zdanowicz dziesięć dni wcześniej kamykami zaznaczał pozycje niemieckie i sowieckie.

- Wszystko jest jasne. Sowietci są z tej strony. Niemcy z tych dwóch. Czwarta to pole minowe. - Step pochyla się nad mapą.

Zdanowicz wyciąga z kieszeni złożony na czworo papier. Rozkłada go. Pochylają się nad nim.

- A to mapa zaminowań z sowieckiego sztabu partyzantów!

- Skąd komendant to ma?

- Dostałem od pięknej kobiety.

- To oni mają baby w sztabie? Kapitanki? Majorki? Towarzyszki? - Step był zainteresowany, ale Zdanowicz go uspokoił.

- Ty się, kolego, nie ekscytuj. My mamy siostry PorayWybranowskie. Wystarczy. Sprawa wygląda tak, że jutro Werszihora oczekuje naszego udziału we wspólnej ekspedycji na Stalową Wolę. Ojciec Jan zdecydował się, że on i jego oddział chcą przyłączyć się do Sowietów.

- Co? - Oficerowie spojrzeli na Ojca Jana. On wzruszył ramionami.

- Dowództwo AK i tak nakazuje ujawnianie się oddziałów wobec Armii Czerwonej i udział w akcji Burza. Jeśli nie chcę, by mnie na dobre wykluczono z szeregów organizacji, prędzej czy później muszę to wykonać. Teraz jest najlepsza okazja. Ten Werszihora vel Kowpak, czy jak mu tam, nie sprawia wrażenia politruka, raczej żołnierza. Wolę dzisiaj przyłączyć się do niego, niż później trafić w łapy NKWD. Jako akowiec jestem mniej zagrożony przez Sowietów niż wy, eneszetowcy. A przy okazji zrobię dobry uczynek i odwdzięczę się majorowi i Legii Nadwiślańskiej za wspólne akcje. Nie, nie gadajcie już nic. Przemyślałem to i w drodze powrotnej przedyskutowaliśmy tę sprawę z majorem.

- Ojciec Jan jutrzejszej nocy wyśle przewodników do „kowpakowców”. W czasie kiedy oni będą prowadzili zagony Werszihory na Stalową Wolę, my prześlizgniemy się przez pole minowe i wyjdziemy z okrążenia. Pozostaje jeszcze sprawa naszych własnych Rosjan. Nie chcę wydać swoich żołnierzy Werszihorze, bo nie wiem, co on im robi. Sowietci są nieobliczalni, nawet jeśli jak mówi Ojciec Jan, ten tutaj nie wygląda na politruka.

- Zapytaj ich, majorze. Niech sami zdecydują.

Kiedy stanął przed swoją Legią, zadrżał mu głos.

Gruzini odmówili przejścia do Werszihory. Kilku Rosjan też powtórzyło to, co w

dniu, gdy przyszedli zaciągnąć się do oddziału.

- Dla nas Gitler czy Stalin odin diabeł. Wybor miezdu złom a złom. My wybierajem Zub.

Kilkunastu zgłosiło się do przejścia. Pożegnali się i jeszcze tej nocy ruszyli z przewodnikiem do 1 Ukraińskiej Dywizji Partyzanckiej im. Dwukrotnego Bohatera Związku Radzieckiego generała majora Sidora Kowpaka pod dowództwem pułkownika Wersihory.

I tej samej nocy zginęli. Zostali rozstrzelani przez swoich za zdradę ZSRR.

- No dobra, panowie! - Wrócił do swego łupu Zub-Zdanowicz.

- Kto z was potrafi czytać mapę zaminowań? Cisza.

- Czy mogę poprosić o papierosa?

- Przecież pan major nie pali.

- Palę, Step, ale tylko w wyjątkowych sytuacjach.

Ruszyli nocą. Nie mieli zbyt dużo ze sobą. Wszystko, co niepotrzebne, zostawili w obozie. Każdy z dowódców oddziałów - Step, Znicz, Cichy i Biskup, a nade wszystko major - przysięgali sobie w duszy, że jeżeli wyjdą z tego cało, odbiją sobie na Niemcach nawet najmniejszy zostawiony garnek.

Zdanowicz szedł pierwszy. Z mapą minerską w ręku. Modlił się.

Do Anioła Stróża, by prowadził jego krokami. Do Opatrzności Bożej, by nad nimi wszystkimi czuwała. Do Matki Boskiej z ryngrafu o rysach jego narzeczonej Fali. Do swego brata Wiktora, sapera, by gdziekolwiek teraz był, przelał na niego swój talent do spraw wybuchowych i nauczył go prawidłowo czytać te minerskie znaki.

Ciemna, lodowata noc lutowa. Dwustu pięćdziesięciu partyzantów Legii Nadwiślańskiej pomiędzy pozycjami Niemców i Sowietów przemykało slalomem za majorem Zub-Zdanowiczem przez pole minowe.

I ktokolwiek nad nimi czuwał, czuwał skutecznie.

Gdy tylko weszli pomiędzy drzewa, gdy mapa skończyła upstrzony punkcikami szlak, odetchnęli, jakby zaszumiał las. I ruszyli forsownym marszem przed siebie. Omijając łukiem pozycje niemieckie, przedarli się w stronę powiatu krasnostawskiego.

Tam 10 marca odnalazł ich łącznik od Komendanta Okręgu Lublin NSZ i przekazał wiadomość.

- Narodowe Siły Zbrojne i Armia Krajowa scalały się. Odtąd jesteśmy jednym wojskiem.

*

Lokal konspiracyjny Komendy Głównej AK, Warszawa. 31 marca 1944 roku

W pomieszczeniu jest około dwudziestu osób, wyraźnie podzielnych na dwie ustawione naprzeciw siebie części. Po jednej stronie Bór Komorowski w świącie oficerów AK. Po drugiej Jaxa i Otmar. Nie stoją w pierwszym rzędzie, przeciwnie, zajęli miejsca z tyłu. Można próbować dopatrzeć się wśród obecnych mężczyzn, z którymi Jaxa spotyka się w gabinecie cieni. O ile ktoś zdołał zapamiętać, jak wyglądają. Z przodu pułkownik Kurcysz - Żegota, dowódca NSZ.

- Uznajemy pozycję Narodowych Sił Zbrojnych i ich zasługi w walce podziemnej. Uznajemy, iż głównym niebezpieczeństwem chwili jest okupacja sowiecka. Komenda Główna AK gwarantuje, iż nie pójdzie do powstania, które mogłoby spowodować katastrofę dla ludności cywilnej i wojska. A także potwierdzamy, iż wobec zaistniałej sytuacji należy przegrupować Biuro Informacji i Propagandy, wprowadzając doń żywioł narodowy.

Przedstawiciel AK skończył czytać oświadczenie i po obu stronach sali pokiwno głowami.

Otmar pochylił się do ucha Jaxy i szepnął z celowo grobową miną:

- Burza oklasków. Kwiaty, bomboniery, toasty, szampan...
- Hymn narodowy, uściski, łzy wzruszenia - odpowiedział Jaxa.
- Że też mamusia tego nie doczekała - rozbawił się Otmar i Jaxa nie tracąc wyrazu skupienia na twarzy, nieznacznie kopnął go.
- To ta chora noga - zachnął się Wawrzekowicz. - Zobacz, kolega sobie nowy krawat kupił.

Dość przystojny, na oko czterdziestoletni mężczyzna w eleganckim garniturze oraz Bór w tym samym czasie pochylili się, by złożyć podpisy pod umową scalającą NSZ i AK.

Zbigniew Stypułkowski - adwokat, poseł na sejm od 1930 z ramienia Stronnictwa Narodowego. Aktywny polityk endecji. Jako poseł zasłynął rozwiązywaniem sporów politycznych przez pojedynki oraz hasłem skierowanym z sejmowych trybun do starszych kolegów posłów: „I tak was przekrzyczę, bo jestem o dwadzieścia lat młodszy!”. To on wymyślił nazwę „Narodowe Siły Zbrojne” i to on wprowadził do nich kilkadziesiąt tysięcy ludzi z NOW i innych pomniejszych grup, które nie weszły wcześniej w skład AK. Był twarzą TNRP - Tymczasowej Narodowej Rady Politycznej, tworu politycznego, który reprezentował NSZ w rozmowach z Komendą Główną i Naczelnym Wodzem. O wiele bardziej elastyczny i ugodowy niż Jaxa i gabinet cieni. I w przeciwieństwie do nich, akceptowalny dla AK, albowiem endecy byli częścią Wielkiej Czwórki, partii rządowych. A ONR nie.

Stypułkowski i Bór uścisnęli sobie ręce.

Pułkownik Kurcysz w imieniu Narodowych Sił Zbrojnych złożył przysięgę Armii Krajowej i nastąpiła mniej oficjalna część uroczystości scalenia, choć wcale nie weselsza.

- Owszem, dowódca NSZ ma być pełnomocnikiem komendanta AK do spraw waszej organizacji - mówił do Jaxy na stronie mężczyzna w oficerskim mundurze - ale jeśli nie ustąpicie i szefem NSZ pozostanie Kurcysz, to zaczną się kłopoty.

- Bór wiedział od początku, że nie zamierzamy zmieniać dowódcy, i w rozmowach przedscaleniowych wyraził akceptację.

- Ale teraz usztywnia stanowisko.

- Umówmy się tak - zaproponował Jaxa - sprawę dowództwa i osoby Kurcysza omówimy osobno. Wyłączmy ją, by nie hamowała akcji scaleniowej. Umowa jest podpisana i po prostu trzeba ją wykonać, dla dobra kraju.

W drugiej części sali Bór, komendant główny AK, stał z kieliszkiem wina i patrzył na gości. Do jego ucha pochylił się adiutant.

- Ze Stypułkowskim byśmy się dogadali razdwa, a Jaszczury nie odpuszczą.

- Ja też nie.

- Dlaczego tak upierają się przy Kurcyszu? Bór uśmiechnął się lekko i odstawił kieliszek.

- Bo jest im całkowicie i bezwzględnie oddany. A Związek Jaszczurczy niczego nie lubi wypuszczać z rąk.

- Związku Jaszczurczego już nie ma, odkąd powołali NSZ. - Adiutant uniósł brwi i zerknął tam, gdzie kierował wzrok Bór.

- Tak się panu wydaje, poruczniku? - odpowiedział komendant główny, patrząc na Jaxę.

*

Lokal konspiracyjny, Warszawa. Trzy tygodnie później

Okna zamknięte i zasłonięte, jak zwykle. Jednak przez szczelinę w ciężkich ciemnych zasłonach wpada smuga wiosennego światła. Jest wąska i ostra, niczym długa zastrzona laska.

- Panowie, Bór podpisał rozkaz regulujący warunki scalenia. Nie udało nam się uzyskać wszystkiego, o co walczyliśmy. Tylko zbliżająca się groźba ofensywy sowieckiej skłoniła nas do podpisania umowy. Będę bezwzględnie przestrzegał jej wykonania. Postulaty w kwestii uznania awansów wojskowych naszych żołnierzy zostały spełnione. Komisje akowskie uznały, iż programy nauczania eneszetowskich podchorążówek są godne pochwały, choć oczywiście nie odpuścili i zastosowali formalny system weryfikacji, co oznacza, iż będą

sprawę nieco ciągnąć. - Jaxa mówi to tonem beznamiętnym, informacyjnym, bez cienia satysfakcji. - Zaopatrzenie naszych oddziałów w broń, środki sanitarne, sprzęt łączności i finanse ma być regulowane sukcesywnie. Dzięki naszym emisariuszom w Londynie uzyskaliśmy kody radiowe do nawiązania bezpośredniej łączności ze sztabem naczelnego wodza. Niestety, doskonała radiostacja, którą zrobili nasi specjaliści w zakładach na Pradze, wpadła. Więc chwilowo, nawet gdybyśmy chcieli, nie mamy do tej komunikacji dostępu.

- Co z pułkownikiem Kurcyszem?

- Bór podpisał jego nominację na pełnomocnika, ale oczekuje od nas, iż jak najszybciej zastąpimy pułkownika kimś, kto będzie dla AK do zaakceptowania. Kurcysz jest przedwojennym pułkownikiem dyplomowanym, czyli najwyższym starszeństwem oficerem polskim w kraju. Nikt o tym nie powie głośno, ale jest jasnym, iż to główny powód sprzeciwu Komorowskiego wobec osoby Kurcysza. Doświadczenie bojowe naszego dowódcy, jego szarża i pozycja oraz fakt, iż nie licząc NOW, to NSZ wprowadził najwięcej żołnierzy do AK, sprawiają, iż Kurcysz musiałby zostać zastępcą komendanta głównego AK. A tego, jak wiemy, Bór uczynić nie chce. W sprawie pułkownika na razie gram na zwłokę, bo coś innego budzi mój niepokój.

- Proszę mówić.

- Stypułkowski spotkał się prywatnie z Borem, oczywiście za moją cichą aprobatą. Nie mam złudzeń, iż Bór właśnie Stypułkowskiego widzi swym partnerem w rozmowach.

- Po to go wystawiliśmy - sucho powiedział Profesor. - O czym mówili?

- Komendant Główny AK przekonywał Stypułkowskiego, że cały świat idzie na lewo.

- W imię Ojca i Syna - szepnął Przeor - więc to prawda...

- Jak zareagowały doły naszej organizacji na scalenie?

- Raczej entuzjastycznie. Żołnierze w terenie od dawna współpracują z AK i połączenie organizacji jest według ich mniemania najślusniejszą drogą służenia Ojczyźnie. Ale nie wiemy, jak zachowają się, jeśli AK nie wycofa się z akcji wspierających Sowieców, bo nasi żołnierze są im zdecydowanie przeciwni.

- W założeniach scaleniowych zgodzili się z nami, że Sowieci są wrogiem narodu polskiego - wolno cedził słowa Mecenas. - Uważa pan, iż mogą się z tego nie wywiązać i brnąć w straceńczą i bezsensowną akcję Burza?

- Uważam, że żaden z ich ruchów po podpisaniu scalenia nie wskazuje, iżby chcieli się z niej wycofać. W dodatku moją uwagę zwraca fakt, iż Bór nie przekazał Naczelnemu Wodzowi w Londynie informacji o dokonaniu scalenia. Wiem to z najpewniejszego źródła. Rozkaz scaleniowy nie został oddepeszowany do Londynu.

- Chce pan powiedzieć, że generał Sosnkowski nie wie, iż połączyliśmy się?

- Wie, ale sposób, w jaki został poinformowany przez Bora, świadczy o tym, że komendant główny AK stara się pomniejszyć wagę tego wydarzenia.

Zapanowała niedługa chwila ciszy. Smuga światła zaczęła niknąć, jakby tam, gdzieś, słońce przysłoniły chmury.

- Jaka jest wobec tego szansa, że uda nam się wyrzec wpływ na akowski BIP i powstrzymać płynącą z Biuletynów prokomunistyczną propagandę?

- Z racji na wszystko, co zakomunikowałem panom wcześniej, uważam, że i ten punkt ustaleń nie zostanie spełniony.

Mężczyźni wstali. Zasunęli krzesła i głos, który należał do najstarszego z nich, powiedział:

- Wie pan, co robić, komendancie Jaxa.

*

Wieś Krężnica Okrągła, powiat lubelski, Generalne Gubernatorstwo. Marzec 1944 roku

Mężczyzna w cywilnym ubraniu wjeżdża konno między pierwsze zabudowania wiejskie. Zatrzymują go chłopcy, także w cywilu. Odbierają konia i prowadzą do położonej na uboczu chaty.

- Podpułkownik Marcin czeka na pana majora.

Ząb wchodzi do domu. Wita go wysoki mężczyzna w mundurze.

Marcin - podpułkownik Kazimierz Tumidajski. Komendant lubelskiego Okręgu AK.

- Majorze!

- Pułkowniku!

- Zgodnie z rozkazem scaleniowym melduję się - mówi Zub-Zdanowicz. - I oddaję pod pańskie rozkazy.

- Bardzo się cieszę, że będziemy teraz wspólnie, ramię w ramię. A rozkazy? Sam pan wie, majorze, że w partyzantce wszystko jest kwestią chwili. Oczekuję od pana współpracy z Kedywem AK Okręgu Lublin i niezaczepiania komunistów.

Zaczął się - pomyślał Ząb. - A mogło być tak pięknie...

- Majorze? - pułkownik Marcin zauważył zawahanie i wiedział, co nie pasuje. - Nakaz zaprzestania walk z AL jest absolutnym wymogiem. W obecnej sytuacji powinniśmy respektować go z powodów zarówno politycznych, jak i patriotycznych. Musimy skończyć ze strzelaniem do komunistów, bo to w końcu Polacy...

- Co? Pan to naprawdę powiedział, pułkowniku?! - Ząb poczuł, jak jego spokój ulatuje

przez komin chałupy, i nie policzył ani do trzech, ani do dziesięciu, mówiąc: - Nawet własnego brata bym zastrzelił, gdyby działał na szkodę Ojczyzny!

Zapanowała cisza, podczas której pułkownik Marcin zrozumiał, że nadciągają kłopoty.

- Oczekuje pan, panie komendancie - zaczął po chwili Ząb - że gdy Armia Czerwona wkroczy w lubelskie, to ja co? Chlebem i solą?

- Najlepiej będzie, jeśli całym pułkiem przejdzie pan Wisłę i ruszy w Kieleckie - odpowiedział spokojnie komendant. - Ale oczywiście jeszcze nie teraz. Zagon Werszihory wykonał zwiad i zdaje się, że będzie zawracał. Teraz proszę zostać ze swoim wojskiem tu.

- Wobec tego proszę o pozwolenie udania się na kielecką stronę dla oddziału porucznika Stepa.

- Z przyjemnością - odetchnął Marcin. Jego mina mówiła sama za siebie. Lepiej nie mieć słynnego z rajdów na AL Stepa zbyt blisko. Pożegnali się w smutnej przyjaźni, a pięć dni później major odprowadzał stepowców za Wisłę.

- Legia Nadwiślańska operować teraz będzie po obu stronach Wisły - powiedział ponuro Step, gdy stali nad brzegiem, nadzorując przeprawę taborów.

- To jeszcze nie powód, by zmieniać nazwę na Legia Obu Brzegów czy coś w tym guście. - Major bardzo chciał nie okazać się sentymentalny.

- Może mi pan powiedzieć, majorze, czy to jest rodzaj zesłania? Zdanowicz podzielił się z oficerami rozmową z pułkownikiem Marcinem, ale nie aż tak szczegółowo. Nie chciał, by stepowcy czuli się odsunięci czy ukarani.

- Przeciwnie. To nagroda. - Błysnął zębami w uśmiechu. - Za zasługi.

Step wyciągnął rękę na pożegnanie, ale major wzruszył ramionami.

- Jadę z wami. Chyba pan nie myślał, że puszczę ulubiony oddział w ciemno?

- Ale...

- Ale jak się zorientuję, że na nowym terenie wszystko gra, wrócę do Cichego i Znicza.

Step uśmiechnął się pod nosem zadowolony. Ukrył jednak wzruszenie i krzywiąc się, zapytał:

- Jak długo będzie mi major matkował?

- Dopóki śmierć nas nie rozłączy, synu - odpowiedział, udając starca, major.

- W tym jednym zgadzam się z Fałą, ma pan okropne poczucie humoru.

Po powrocie na lubelską stronę pierwsze, co dostał Ząb, to odpis przechwyconych meldunków miejscowych PPRowców.

Konferencji z reakcją odbyliśmy wiele, ale nie dochodzi na nich do niczego konkretnego, tylko do zapewnień, że nie będziemy do siebie strzelali. Podporządkować ich można, lecz tylko siłą.

- Jest jeszcze jeden, panie komendancie, ten się panu szczególnie spodoba.

Reakcja jest z nami w kontakcie, jednak musimy z nimi raz na zawsze skończyć, ponieważ do porozumienia z nimi nie dojdziemy, bo mają hrabiów i tych pacholków wojskowych.

Cichy, który mu to wręczył, śmiał się.

- Bo pan komendant to podchodzi pod „hrabiów”, prawda?

- Nie, ja jestem prosty szlachcic. No dobra. Z nami nie konferują, więc ta „reakcja”, z którą muszą raz na zawsze skończyć, to AK. Przygotuję pułkownikowi Marcinowi meldunek, niech wie, do kogo nam zabraniają strzelać.

- To nie wszystko, panie komendancie. Jak pana nie było, poszarpaliśmy się z nimi trochę. Oni mają rozkaz nas rozbrajać, my się nie dawaliśmy. A potem to już było tylko gorzej. Alowcy jakiś czas temu rozstrzelali trzech ruskich ze swojego oddziału, za karę, za bandytkę. A teraz, jak im niepolitycznie mieć krew ruskich na rękach, to zastrzelili dwóch swoich, którzy wcześniej wykonali na Sowietach egzekucję. Chcieli po prostu zlikwidować świadków, najwyraźniej boją się Armii Czerwonej i nie ufają nawet własnym ludziom. Zaś dla zatarcia śladów zaczęli krzyczeć po wsiach, że to endecy, czyli my, kropnęliśmy tych egzekutorów.

- Rany. W życiu bym nie zapisał się do endecji. Musimy im przeprowadzić jakieś szkolenie, żeby nas nie mylili.

- Tak czy inaczej, dobrzy mołojcy ruszyli na nas z krucjatą. Najpierw zastrzelili trzech naszych koło Zaklikowa, potem w Łychowie, i tam to już poszaleli. Komendanta placówki, nauczyciela, inżyniera i dwóch innych eneszetowców. A na końcu kropnęli jeszcze akowca. Ruszyli też na wioski i zbiorowo karzą chłopów za sprzyjanie prolondyńskim. Przymusowe rekwizycje, publiczne poniżanie, bicie. Ludność jest zastraszona.

- Nic dobrego z tego nie będzie. A ja muszę was zostawić, wezwali mnie do Warszawy, do dowództwa.

- Po ordery czy za karę?

- Na ordery nie liczę, a kara mi się nie należy - zachnął się Ząb.

- Może po pochwałę, co? Tak czy inaczej, zostawiam ci dowództwo i proszę: bądź rozsądny. Uważaj tu na chłopaków i nie dajcie się zjeść alowcom.

Lokal konspiracyjny dowództwa NSZ, Warszawa. Początek kwietnia 1944 roku

Zub-Zdanowicz po raz pierwszy był w siedzibie głównej własnej organizacji. Gdyby nie fakt, iż przyprowadził go tutaj łącznik, nie wiedziałby, że jest w sztabie. Mieszkanie wyglądało jak mieszkanie. Usiadł w gabinecie, przy pustym biurku i czekał. Patrzył na niewielki stolik pod oknem, z maszyną do pisania i plikiem czystych kartek. Po chwili zjawił się mężczyzna, który przedstawił się jako „podpułkownik Wacław”.

- Majorze, za godzinę ma pan spotkanie z dowódcą, pułkownikiem Kurcyszem. Ale najpierw muszę pana poprosić o złożenie wyjaśnień. Chodzi o zdarzenia, które zaszły pod Borowem.

- Ma pan na myśli pacyfikację wsi?

- Nie, nie. Mam na myśli likwidację komunistycznej bandy Słowika.

- Ale ja już wysyłałem meldunek w tej sprawie.

- Owszem, lecz komendant główny AK ponownie żąda wyjaśnień. Wie pan, w związku ze scaleniem... Jest pan gotów?

Na skinienie Wacława weszła młoda dziewczyna i usiadła przy maszynie. Zdanowicz dyktował jej raport monotonnym głosem. Mówił, a jednocześnie zastanawiał się, co by było, gdyby nie przeszedł do NSZ, a został z Kontrymem, tu, w Warszawie. Czy pracowałby w takim tajnym sztabie? To ma jakieś swoje uroki. Sekretarka, maszynistka, herbata. Czysty garnitur, czysta koszula. Własne łóżko. I tak dalej. Podpisał się pod raportem i łącznik poprowadził go na spotkanie z dowódcą.

Pułkownik Kurcysz był ponad sześćdziesięcioletnim mężczyzną. Trzymał się prosto, nawet zbyt prosto, jak ktoś, kto przyzwyczajony do wojskowego „bacność”, nie może przejść w „spocznij”.

- Panie majorze.

- Pułkowniku.

- Nie wezwaliśmy pana do Warszawy po to, by pisał pan raport z Borowa, to tylko dodatkowa formalność. Powodem głównym, dla których wzywamy wszystkich naszych dowódców z terenu, jest konieczność zakomunikowania panom ściśle tajnego rozkazu. Plan operacyjny „Z” w obecnej sytuacji nie może być wykonany.

Plan operacyjny „Z” - tajna dyrektywa NSZ mająca swe początki w koncepcji Związku Jaszczurczego. Dotyczył zajęcia ziem zachodnich, Pomorza i Śląska, by postawić zarówno Niemców, jak i następnie aliantów przed polityką faktów dokonanych i uzyskać dzięki temu granice na Odrze i Nysie.

- Wobec tego - kontynuował dowódca - sens istnienia i tworzenia oddziałów leśnych przestaje być rzeczą realną i pożyteczną. Zamieniamy okupację niemiecką na sowiecką.

Rozkazuję rozformować oddziały leśne i przejść do najgłębszej konspiracji.

- Panie pułkowniku, nie mogę się zgodzić. Może tu, w Warszawie, byłoby to realne, ale nie w terenie. Mam pod rozkazami około trzystu żołnierzy, ogromna większość z nich jest zdekonspirowana. Jeśli ich rozbroję i puszczę do domów, komuniści wymordują ich w ciągu tygodnia. Przypuszczam, że po rozkazie demobilizacji większość uciekłaby w las. Oni nie mają dokąd wracać. Pan wybaczy, ale ja nie mogę tego zrobić swoim żołnierzom. Zwłaszcza teraz, kiedy poluje na nas AL.

- Poluje? - skrzywił się pułkownik.

- Oczywiście. AK negocjuje z nimi zawieszenie broni, licząc na wspaniałomyślność, a alowcy w tym samym czasie rozbrajają ich i nas. Może z Warszawy tego nie widać, ale w Lubelskiem alowcy krok po kroku chcą przejąć władzę. „Oczyszczają teren” - tak meldują swoim przełożonym. Oczyszczają go z akowców i nas. I jeśli pozwolimy im na to, pochowamy się gdzieś, czy jak pan woli, rozformujemy i przejdziemy w głęboką konspirację, to mniejszość stanie się większością i nic nas przed Armią Czerwoną nie obroni. Alowcy wyjdą ze swych nor, powitają sojusznika i zgodnie z prawdą powiedzą: „Tu nie ma innego polskiego wojska, tylko my”. Jak jest okupacja sowiecka, to ja jako żołnierz rozumiem, że muszę z nią walczyć. I jako żołnierz, i jako żandarm Rzeczypospolitej, rozumiem, że mam walczyć z każdym wrogiem Ojczyzny. Z komunistycznym zdrajcą z AL też.

Nim Zdanowicz wyjechał z Warszawy, Kurcysz swój rozkaz odwołał.

*

Droga w stronę Lelkowa. Kwiecień 1944 roku

Jasne, kwietniowe południe. Na wozie jedzie Pola, obok niej Jakub. Z tyłu jakieś pakunki. W polu chłopci.

- Chłopcy nie mogą się ciebie doczekać. Pyskowska też. - Jakub się śmieje. - Oczywiście złego słowa na nich nie powie, zwłaszcza na Arka. Ale widać, że kobiecina już ledwie się rusza, ciężko jej było takich urwisów upilnować.

Pola milczy. Patrzy przed siebie.

Jakub odwraca głowę, zerka na siostrę. Zaciska szczęki. Po chwili znów mówi:

- Tego, co ci tu naładował Petro, starczy na kilka miesięcy. Pola milczy, przytyka oczy.

- Ale ogród powinnaś obsiać teraz. Pyskowska i sołtys dadzą ci nasiona, mówiłem z nimi... - Jakub jest coraz bardziej spięty z powodu tego, że siostra się nie odzywa. - Słuchaj, ja będę musiał was zostawić. Idziemy w las, AL szykuje ofensywę, a Łokietek chce, byśmy utworzyli własny oddział, świtowców. Prawdopodobnie ruszymy za Wisłę, w Kieleckie. Nie

będzie mnie w domu przez dłuższy czas. Weźmie cię pod opiekę miejscowy komisarz PPR, od czasu do czasu kogoś przyśle... Pola odwraca od niego głowę. Patrzy na zieleniejące przy drodze łożyny.

- Odezwij się do mnie - prosi Jakub - powiedz: jestem wściekła, nienawidzę cię, ale powiedz cokolwiek!

Pola zaczyna się śmiać histerycznie, aż płyną jej po policzkach łzy. Ociera je rękawem swetra i odchyła się na ławce wozu w tył. Niebo i gałęzie rozmazują się. Nuci. Jakub patrzy na nią z niedowierzaniem. Pola śpiewa.

Kilka godzin wcześniej

Obóz Werszhory. Czerwonoarmiści pakują swoje wozy taborowe i półciężarówki. Przy kwaterze stoi niewielka fura, Kałmuk ładuje na nią jedzenie dla Poli i chłopców.

Pola stoi przy oknie, patrzy. Werszhora podchodzi do niej, zrzucając kurtkę. Obejmuje dziewczynę od tyłu, całuje.

- Wiem, jak tańczysz - mruczy jej do ucha - ale wciąż nie wiem, jak śpiewasz...

- Miłość ci wszystko wybaczy... - śpiewa dla Werszhory Pola.

Smutek zamieni ci w śmiech

Miłość tak pięknie tłumaczy

Zdradę i kłamstwo i grzech

*

Powiat pińczowski, Generalne Gubernatorstwo. Kwiecień 1944 roku

Tuż przed świtem. Drogą w wąwozie leśnym jedzie zwiad konny. Żołnierze w polskich mundurach. Po chwili kolumna kawalerii. Około pięćdziesięciu ludzi. Piechurzy. Na oko setka, może więcej. Wozy taborowe. Na nich śpią zwinięte w kłębek, przykryte płaszcami dziewczyny i kilku żołnierzy. Osobno jadą wozy sanitarne. Ranni pod kocami, przy nich czuwają sanitariuszki. Konna straż zamyka kolumnę wojska. Gdy słońce niemal przekracza linię horyzontu, skręcają z drogi w las. Wojsko rozkłada się z obozem na dużej polanie. Z wozów zeskakują śpiący wcześniej żołnierze, przeciągają się, biorą broń, kromkę chleba i idą na czujki. Oficer rozstawia warty. Żołnierze pomagają sanitariuszom znieść rannych z wozów. Dziewczeta, które spały obok wartowników, naciągają na rękawy opaski z czerwonym krzyżem, biorą torby i ziewając, idą między żołnierzy. Wyciągają opatrunki, bandażują poranione stopy. Powoli część obozu zapada w sen.

- Panie komendancie? - Do Żbika podchodzą oficerowie.

- Jesteśmy jak dzikie zwierzęta. W nocy polujemy, a z nastaniem dnia udajemy się do legowisk. Nigdy nie możemy spać spokojnie...

Bosman Grzmot rozpinając kurtkę, włącza się na wpół sennym głosem:

- Wataha wilków. Każde zwierzę ma z góry przypisaną rolę. Wilki tropiciele namierzają zdobycz i donoszą o niej watasze. Naganiacze płoszą stada i zagarniają upatrzoną ofiarę do watahy. Męczą ją długim pościgiem i dopiero wtedy zabijają. Pozycja basiora, samca przewodnika w stadzie jest niepodważalna. On pierwszy je i tylko on się rozmnaża. Nigdy nie wymierza kar swoim wilkom osobiście. Robi to za niego egzekutor, zastępca. Biegnać, sznuruje, to znaczy stawiają łapy w trop pierwszego wilka. Niewprawne oko nie rozróżni, ile ich biegło, bo widzi tylko jeden ślad.

- O rany - jęknął Dąb. - Skąd bosman Grzmot to wie?

- Z książki. - Grzmot ziewnął i kłapnął zębiskami na koniec.

- Pasuje - uśmiechnął się Ryś. - Jak wyszliśmy z olesińskiej bazy, to po wioskach mówiło się na niemowlęta „Żbiczątka”.

- Nie! Jedno było moje! - zaprotestował Harry. - Nie tylko basior się rozmnażał.

- Koniec dyskusji - otrząsnął się z wilczej opowieści Żbik. - Moje nie było żadne! Podkreślam: żadne. Ale z tym sznurowaniem to niegłupie. Tylko kto nauczy konie sznurować?

- Pan Harry ma Sowietów. Trzech. Chcą do nas - przypomniał sobie angielski porucznik, z czym przyszedł.

- Zachar, oficer.

- Michał, sierżant.

- Kola, matros.

Przedstawili się nowi, stając przed Żbikiem na baczność.

- Uciekinierzy z niemieckiej niewoli. Mówiłem im, że będziemy bić alowców, że w bandach mogą stanąć naprzeciw swoich, ale upierają się, że chcą do oddziału - wzruszył ramionami Grzmot. - Jak ich zostawimy, to zginą, we trzech sobie nie poradzą.

- Dobra, bierz ich. Tylko wytłumacz, że agitacji im robić nie wolno. Jak przyłapię na jakiejś bolszewickiej gadce, to w łeb. To znaczy, ty im dasz w łeb, bo ja jestem basior.

- O rany, na drugi raz się powstrzymam, zanim ci jakąś książkę opowiem.

Dwa dni później dwudziestoosobowy patrol aprowizacyjny w czasie nocnego marszu natknął się na Niemców. Mieli ze sobą furę, wrócili bez niej. I bez Koli.

- Komendancie, gdyby nie nasz ruski, to nie wiem, czy byśmy z tego wyszli. Tak grzał z erkaemu, że w życiu czegoś takiego nie widziałem. Krzyczał do nas: „Bieżał!” i wziął całe natarcie na siebie. - Stella relacjonował Żbikowi i miał łzy w oczach. Wytarł je, bo mu było głupio. - Powiem tyle: ja się nie dziwię, że oni Niemców pod Łukiem Kurskim rozjechali.

Na porannym apelu szef kompanii odczytał rozkaz pożegnalny. Że walczył z Niemcami, zginął śmiercią bohatera, oddał życie za oddział.

Zachar i Michał chodzili chmurni, ale czas było ruszać w drogę.

O tym, że Żbik jeszcze niedawno był przez własną organizację oskarżony o zdradę, nikt nie pamiętał. Ale jemu odbijało się tym ciągle. Za oddziałem ciągnęły korowody ludzi, zwłaszcza jeśli w okolicy było po łapance. Matki, ojcowie, żony - szukali komendanta Żbika i płacząc, błagali, by wyciągnął z gestapo mężów i synów. Za każdym razem, mówił sobie, że to po raz ostatni. A potem łzy, błagania na kolanach i co? Miał odmówić?

Mimo pamiętej dla pośladków Żbika potyczki pod Anielowem Hauptmann Huste wywiązywał się, jeśli mógł. Czasami nie mógł. Ale kilkudziesięciu ludzi z gestapo uwolnił. Potem za oddziałem szedł drugi korowód, tych, co chcieli podziękować.

W połowie marca dostarczono mu rozkaz dowódcy NSZ zabraniający wszelakich kontaktów z Niemcami, nawet w celu wspólnego zwalczania band bolszewickich. To akurat jasne. A co zrobić z tymi nieszczęśnikami, co do niego właśnie przyszli?

W ciągu czterech dni zgłosiło się ponad czterdzieści osób. Pokłósie masowych aresztowań w powiatach miechowskim, jędrzejowskim, włoszczowskim i kieleckim. Niektórzy z nich dreptali pieszo po kilkanaście kilometrów. I co? Miał ich wszystkich odesłać do domów z kwitkiem? I nie chodziło mu o to, że oni wierzyli w Żbika jak w wiadomo Kogo. Ale o to, że Huste naprawdę mógł wrócić nieszczęśnikom bliskich.

- Masz miękkie serce - mówił Grzmot. - Ale ty jesteś wilk przewodnik. Ty podejmujesz decyzje.

- A samica? Mówiłeś, że one są parą - jęczał przytłoczony odpowiedzialnością Żbik.

- Możesz sobie znaleźć jakąś waderę. Bo póki co w naszej watasze wcale nie ma samic. Są tylko sanitariuszki.

Z dnia na dzień przybywało ochotników do oddziału. Trzeba ich było ubrać, wyszkolić, wyżywić. I wziąć na siebie odpowiedzialność.

- Ile macie lat?

- Siedemnaście! - wrzasnęli chórem dwaj chłopcy.

- Chyba razem. - Powątpiewał, bo wyglądali młodo.

- Szesnaście i... pół... na każdego...

-...ale większe pół... panie komendancie. Proszę nas przyjąć. Nie możemy wrócić do domu. Pracowaliśmy przymusowo w Skarżysku, w fabryce amunicji. Wie pan, mieszałyśmy proch dobry z trefnym i majster przyłapał nas na sabotażu. Trzeba było wiać.

- Ale się ubezpieczyliśmy! To znaczy nie siebie, rodziny. Posłaliśmy do matek

pocztówki, z Częstochowy. Napisaliśmy, żeby się o nas nie martwiły, że idziemy do Niemiec, do organizacji Todt.

- Zuchy - pochwalił. - A teraz powiedzcie, ile macie lat?

- Szesnaście.

- Kmicic, daj im buty, mundury, po dwa granaty i na początek te urzynki, coś je wczoraj złodziejom odebrał. Nakarm i przeszkól.

Kmicic od czasu, gdy poprosił Żbika, by odroczył mu wyrok, zmienił się nie do poznania. Dzisiaj chyba nikt nie pamięta, że kiedyś był pospolitym złodziejem. Stał się żołnierzem, nie wiadomo kiedy. Zgarnął chłopaków i prowadzi do wozów taborowych.

- A co to jest urzynek, proszę pana?

- Bandycka broń, z uciętą lufą i kolbą.

- Och! Dziękujemy panu - paplają do niego młodzi.

- Jam nie pan, jam Kmicic.

Wieczorem zaś po obozie przechodzi fala gromkich, radosnych okrzyków. Żbik wstaje od ogniska i nie wierzy w to, co widzi.

Kola. Kola, którego „pochowali” i opłakali. Idzie szerokim krokiem matrosa, marynarza. Na plecach dwa erkaemy. Za pasem porządny rewolwer. Idzie, śmieje się od ucha do ucha i klnie.

- Wot Germańce! Horki, zajcy! Uciekali...

Część VII

ZERWANI

Warszawa. Koniec kwietnia 1944 roku

Lokal konspiracyjny.

Przy pustym stole siedzą naprzeciw siebie Otmar i Jaxa.

Między nimi jedna kartka papieru.

Pokój z przysłoniętymi oknami. Gabinet cieni. Na stole przed Jaxą ta sama kartka papieru.

- Panowie! Moje źródło przekazało mi depeszę od Naczelnego Wodza. Wynika z niej niezbiecie, że Bór nas okłamał - mówi twardo Jaxa. - Naczelnny Wódz dał wytyczne do scalenia AK i NSZ na dużo lepszych warunkach niż te, które zaoferował nam Komendant Główny AK i które, pod presją sytuacji bieżącej, musieliśmy podpisać. Tym samym Bór zignorował sugestie Naczelnego Wodza odnośnie niezależności NSZ w ramach Armii Krajowej.

Jaxa wziął przerwę na oddech. Gotował się w nim gniew, a on nade wszystko chciał być opanowany.

- Jednocześnie, jak widać po meldunkach z terenu, nie wszędzie scalenie przebiega zgodnie z tą, choć niedobłą dla nas, ale umową. Są miejsca, gdzie nawet te warunki nie zostały respektowane i oficerowie AK niżsi stopniem od oficerów NSZ zmuszają naszych do podporządkowania się im. Chlubnym wyjątkiem jest Mazowsze Północ i okręg kielecki, ale to tylko wyjątki. Nasi nie dostają obiecanej broni, o wsparciu finansowym nie mówiąc. W dodatku weryfikacja stopni oficerskich naszych żołnierzy przebiega co najmniej opieszale.

- Chce pan powiedzieć, że nie dość, iż nas oszukano, to jeszcze z tych ochłapów scaleniowych nie chcą się wywiązać?

- Tak. Stypułkowski machnął ręką na niezależność NSZ.

- O, on idzie do AK jak do swoich - odezwał się Profesor. - Endecy są w rządzie, nawet jeśli nikt ich tam nie traktuje dzisiaj poważnie, to jednak są. On też zrobi wszystko, nawet za cenę NSZ, byleby być w kręgu oficjalnej elity władzy.

- My jednak nigdy w rządzie nie byliśmy i nie zapowiada się, że w nim będziemy. Dlaczego więc mamy poświęcić niezależność? Za chwilę obudzimy się jako ci, co podpisali się pod sowieckim zaborem? Nigdy!

- Panowie - wrócił do głosu Jaxa. - Wobec powyższego uważam, iż to, co się stało, to zamach na NSZ. To nie scalenie, ale wcielenie. Szaniec się na to nie może zgodzić.

*

Jedna z kwater NSZ. Parę dni później

W pokoju zajmują miejsca ci, z którymi Jaxa powoływał do życia Związek Jaszczurczy.

Otmar Wawrzkowicz

Tadeusz Todleben

Olgierd Iłakowicz - jego żona, piękna Irena, agentka wywiadu ZJ odbita przez NSZ z Majdanka, nie żyje od pół roku. Przed śmiercią zajmowała się rozpracowaniem radiostacji w Otwocku, która służyła do koordynowania zrzutów skoczków sowieckich na tereny polskie. Za jej śmiercią stoi albo NKWD albo PPR.

Nie ma Tadeusza Salskiego - od pół roku przebywa w Londynie, pełniąc rolę emisariusza politycznego reprezentującego interesy Narodowych Sił Zbrojnych.

Jest oczywiście Jaxa.

Jaxa wstaje, chce zacząć spotkanie, lecz w tej samej chwili drzwi otwierają się i do środka usiłuje wejść Stypułkowski.

Zbigniew Stypułkowski - ten w ładnym krawacie, który miesiąc wcześniej podpisywał umowę scaleniową AKNSZ. Był twarzą TNRP - Tymczasowej Narodowej Rady Politycznej, tworu, który reprezentował NSZ w rozmowach z Komendą Główną i Naczelnym Wodzem.

Zatrzymują go żołnierze NSZ.

- Co to za narady beze mnie?! - krzyczy. - Co to za bezprawne zatrzymanie? Ja jestem szefem TNRP!

Otmar daje znak żołnierzom, by puścili Stypułkowskiego. Ten poprawia garnitur, wchodzi i widzi, że przy stole nie ma dla niego miejsca. Żaden z obecnych się nie podniósł. Stypułkowski patrzy na nich i narasta w nim wściekłość.

- Wyjaśnię to panu od końca - spokojnie mówi Jaxa. - Grupa Szańca właśnie wystąpiła z TNRP. Najwyraźniej nie był pan w swojej kwaterze i nie odebrał od nas wiadomości. Tak więc, nawet jeśli nadal chce być pan twarzą, to proszę bardzo, ale już na własny rachunek. O przepraszam, wizerunek. Powiadomiliśmy czynniki krajowe i Londyn o naszej decyzji. Nie chcemy mieć z wami nic wspólnego.

- Ale jak to? Przecież NSZ... - Obejrzał się za siebie, jakby dopiero teraz do niego dotarło, że ci, którzy go przed chwilą zatrzymali, byli właśnie żołnierzami NSZ.

- Nagonka na dowódcę, na szacownego pułkownika Kurcyusza, za którą osobiście jest pan odpowiedzialny - Jaxa nieznacznie wzmacnia głos - jest dla nas nie do przyjęcia. Jednoznacznie pokazał nam pan swoje prawdziwe oblicze. I pan, i Bór zmierzaliście nie do

faktycznego uznania roli NSZ, ale do wchłonięcia naszej organizacji wojskowej.

- Waszej? Czy wyście poszaleli?! NSZ było naszą organizacją! - krzyczy Stypułkowski. - Zapominacie, że to ja wprowadziłem do niej kilkadziesiąt tysięcy ludzi, a wy ledwie kilka!...

- Proszę nie podnosić głosu - hamuje go Otmar.

- Wkład ideowy i organizacyjny, na którym powstały Narodowe Siły Zbrojne, należy do nas. Do Związku Jaszczurczego i Grupy Szańca. Pana wkładem, za wybaczeniem, była twarz. I gdyby był pan rozsądnym politykiem i wypełniał nasze dyrektywy skrupulatnie, pozwolilibyśmy panu ją zachować. Lecz ugodowość pańska wobec AK i przyzwolenie na prosowiecką politykę jest sprzeczne z naszymi fundamentalnymi założeniami.

Stypułkowski czerwienieje, nie wierzy w to, co słyszy. Todleben, dotychczas milczący, włączył się:

- Pan najwyraźniej nie zrozumiał, iż cały sens powstania i istnienia odrębnej organizacji wojskowej polegał na tym, by była ona niezależna od dzisiejszej polityki. Pan wciąż nie przyjmuje do wiadomości, że oficjalna polska polityka jest infiltrowana przez wrogów narodu polskiego i nie reprezentuje polskiej racji stanu.

Stypułkowski wzruszył ramionami i prychnął.

- Jesteście opętani własnymi ideami! Ten absurdalny pomysł stworzenia tajnego rządu! Wyobrażaliście sobie, że podpisując umowę z AK, przejmiecie władzę?... Czy wy nie rozumiecie, że w podziemiu polałaby się krew? Jesteście politycznie niedojrzali do jakiegokolwiek jedności!

- A pan nie dojrzał do zobaczenia spraw takimi, jakie są w istocie - chłodzi Jaxa. - Czy pan wiedział o tym, że Naczelny Wódz zaproponował lepsze warunki scalenia NSZ i AK, niż dał nam Bór? Niech pan odpowie. Wiedział pan?

- Dowiedziałem się o tym po czasie - wzrusza ramionami Stypułkowski. - Najważniejsze, że doszło do scalenia.

Patrzą na niego i milczą. I to milczenie szybko doprowadza go do szału. Krzyczy:

- Kurcysz musi ustąpić!... Bór go nie zaakceptuje! Ja też! Jest wam całkowicie podległy!... A wy jesteście chuliganami politycznymi!...

- Czyżby? - Jaxa daje znać, by żołnierze pokazali panu Stypułkowskiemu wyjście.

Gdy zamykają się za nim drzwi i zapada cisza, Otmar patrząc na Jaxę, pyta:

- Co dalej?

Ten sam gabinet. Kilka dni później

Przy stole jest jedno krzesło więcej. Zajmuje je pułkownik Kurcysz. Postarzał się od

ostatniego spotkania. Ma zaczerwienioną, obrzękłą twarz, z trudem porusza głową.

- Panowie! Zdecydowałem się ustąpić ze stanowiska dowódcy NSZ - mówi.

- To niemożliwe, panie pułkowniku - odpowiada Jaxa. - Nie może pan się teraz ugiąć.

- Ja nie mam siły, panowie! - Kurcysz wypowiada słowa wolno, dobitnie. W jego głosie jest coś niepokojącego. - Te ataki... zniszczyli mnie moralnie. Dowódca to autorytet, a oni mi go nadszarpnęli. Dla dobra organizacji, muszę ustąpić.

- Nie! - zrywa się Otmar. - Dla dobra Organizacji nie może pan ustąpić! Po prostu nie może!

- Pułkowniku! - Jaxa, o dziwo, także nieco podnosi głos. Otmar podchodzi do Kurcysza i krzyczy:

- Chcemy, by to pan był dowódcą! Nie pozwolimy, by ktokolwiek dyktował nam warunki! Życzymy sobie pana na tym stanowisku i ani Bór, ani AK nie mają nic do tego!

- AK zrobiła na pana zwykłą nagonkę! - głośnie mówi Hłakowicz.

- Proszę jej nie ulegać!

- Nie ma zgody na pańską rezygnację! - zdecydowanie stawia sprawę Jaxa.

Pułkownik wstaje od stołu. Chwyta się blatu. Ciężko łapie oddech.

- Nie zmuszajcie mnie!... - Wychodzi chwiejnym krokiem.

Ten sam gabinet. Noc

Jaxa siedzi przy stole, wpatrując się w mroczny prostokąt okna. Otwierają się drzwi i wpada przez nie smuga światła z korytarza. Kuśtykanie Otmara.

- Zmarł na atak serca - mówi Wawrzkowicz, siadając na parapecie. - Co dalej?

- Pośmiertnie mianujemy go generałem brygady. Trzeba podpisać rozkazy. Mianować nowego dowódcę. Najlepiej, by był to ostatni rozkaz świętej pamięci Kurcysza.

- Kto?

- Podpułkownik Nakoniecznikow. Pseudonim Kmicic.

Otmar kiwa głową i sięga do swego notesika. Coś sprawdza i mówi:

- Rozumiem. Był kiedyś w AK, ale się z nimi skonfliktował. Nie będzie skłonny do żadnych ugód.

- To też. Ale najważniejsze, że jest dowódcą uwielbianym przez żołnierzy. Wykazał się brawurą, szaleńczą odwagą. Wiesz, jak się dzieli dowódców?

- Na tych, co przed atakiem zajmują pozycję i krzyczą: „Walczcie za Ojczyznę!”, i tych, co stają na czele, krzycząc: „Za mną, chłopcy!”?

- Kmicic nigdy nie opuścił swoich żołnierzy. On zawsze powie „za mną, chłopcy”.

Ten sam gabinet. Ranek

Otmar Wawrzkowicz, Iłakowicz i Jaxa.

- Bór mianował dowódcą NSZ Albina Raka.

- Rak... - pogardliwie stuka palcem w stół Jaxa - ...chodzi na ich smyczy.

- Więc?...

- Znajdźcie go i skłońcie do zmiany decyzji. Na piśmie. Ja przygotuję informację do ludzi w terenie, by rozkazy przyjmowano wyłącznie od naszego dowódcy, pułkownika Kmicica.

*

Lasy Janowskie. Koniec kwietnia 1944 roku

- Pan major? - Rzędzian nie był pewien, czy poznaje swego dowódcę. - Co się panu stało?

Zub-Zdanowicz miał świnkę. No tak, dorośli mężczyźni w stopniu majora nie powinni mieć świnki. Tym bardziej gdy są komendantami poważnego oddziału. Po powrocie z Warszawy musiał meldować się u dowódcy Okręgu Lublin, Boguckiego. Świnka Zęba rozwinęła się majestatycznie i lekarz położył go do łóżka, grożąc powikłaniami. Wiadomo jakimi.

Ale jak Zub-Zdanowicz mógł leżeć, skoro Legia walczyła? Dostał meldunek o regularnej bitwie z komunistami pod Marynopolą, w której jego Cichy stanął naprzeciw oddziałów AL pod dowództwem niejakiego Cienia. Bitwie, w której stracili dziewięciu żołnierzy! Jest wojna, to się zdarza, ale od tego jest dowódca, by dowodzić! A p.o. dowódcy Legii był niejaki Witold, przysłany przez Boguckiego na zastępstwo za chorego Zęba. Wszystko to, co wyczytał z meldunku, i to, co nie było w nim napisane, a wycierało między zdaniem, sprawiło, że szlag trafił świnkę i Zdanowicz nie zważając na protesty doktora, zaczął się zbierać. Do tego doszły wiadomości wywiadowcze z terenu, w tym przechwycony meldunek AL:

Oddziały Błyskawicy, Cienia i Przepiórki jako oddziały szturmowe dostały rozkaz tropienia i rozbijania oddziałów NSZ aż do ostatecznego ich zlikwidowania i rozbicia. Wszystkie zgodnie z rozkazem wyszły w teren.

Wstał z łóżka i ruszył.

- Niech pan choć głowę szalikiem okręci! - załamała ręce żona komendanta. - Na litość boską! Dorosły mężczyzna, a się nie słucha!...

Okręcił się i wrócił.

- Rzędzian, gdzie p.o. dowódcy?

- Melduję panie komendancie, że p.o. Witold się schował. - Rzędzian ściszył głos. -

Boi się, bo chłopaki po bitwie byli na niego tak wściekli, że usłyszał, jak mu grożą, że go kropną.

- Co robił w czasie bitwy?

- Melduję, że powiedział, że ma grypę. Schował się w taborach i stamtąd wydawał rozkazy. A Cichy, nauczony od pana komendanta, że rozkazy się wykonuje, wykonywał. No, potem już nie, bo potem, jak bitwa się, że tak powiem, zaogniła, to p.o. już nic nie wydawał.

- Sam go kropnę! - Ząb poczuł, jak mu rośnie świnka.

- Tylko tak, żeby się nie wydało... - jęknął usłużnie Rzędzian. Wciąż na Zagłobę za cienki - pomyślał Zdanowicz i oświecił ordynansa:

- Żart.

Żarty się jednak skończyły. Witolda odesłał.

Jastrzębiec od Cichego wziął pod Bychawą do niewoli czterech skoczków sowieckich. Rozbroili ich i puścili, bo przecież „rozkazy”.

- AL czekało na ten zrzut, krążyli po okolicy, ale zupełnym przypadkiem napatoczyliśmy się na nich. Nie wiedziałem, czy to wszyscy.

- Cichy jest nieszczęśliwy, że zrobił, jak AK każe. - Nie chciałem, by się potem okazało, że dwóch jeszcze gdzieś siedzi po norach i zادهpeszują do swoich, jak to ich krwawo witają polscy faszyci. Udzieliłem ostrzeżenia, że są na terenie Rzeczypospolitej Polskiej i jeśli wystąpią przeciw ludności, to potraktujemy ich jak okupantów.

Wypełnianie sojuszniczych rozkazów podpułkownika Marcina z AK przynosiło coraz więcej frustracji.

Znicza i Cichego puścił z oddziałami rekrutacyjnymi w kraśnickie, lubartowskie i janowskie. Skoro AL wydała wyrok, muszą się dozbroić, w ludzi. Z żalem myślał o Stepie na tamtym brzegu Wisły. I wtedy, przez łącznika, dostał wiadomość.

Cień AL wybił we wsi Owczarnia oddział Krycha AK. Proszę o pomoc w obławie. Por. Zapor, AK.

- Psiakrew. Znicz i Cichy w terenie. Mam tylko trzydziestu ludzi Biskupa. - To się nazywa słynny pech Zub-Zdanowicza!

Puścił łączników do obu z rozkazem szybkiego powrotu. I kolejnego, do majątku Radlin. Krzyżakowi, komendantowi tamtejszej placówki, wydał polecenie zmobilizowania wszystkich zaprzysiężonych eneszetowców.

Z akowcami spotkał się w drodze. On z oddziałem ciągnął pod Radlin, by połączyć się ze ściągniętymi przez Krzyżaka ludźmi, akowcy szukali go, by uzgodnić szczegóły.

- Porucznik Mały, AK.

- Porucznik Zapora, AK.

- Major Ząb, NSZ.

- Tak właśnie sądziłem, że pan to pan - powiedział Zapora, uśmiechając się. - Kmiciców, Wilków, Rysiów w konspiracji dostatek, ale Ząb zdarza się rzadko. „Ząb Zub-Zdanowicz” - jak ktoś chciał dokuczyć porucznikowi Tulletowi, powtarzało się to szybko, ale wyraźnie. No i po tym - poruszył brwiami - bym pana poznał.

- Skoczek? Mam rozumieć, że się znamy? Czy to coś nieprzyjemnego?

- No raczej! Largo Haus! „Życzenie śmierci 1”. Uściskali sobie dłonie ponownie.

- Pan wybaczy, poruczniku, byłem tak poobijany, że niewiele pamiętam. Ale miłego Szkota, podpułkownika RoperCaldbecka, owszem. A ten sztywniak? Tullet? Gnębił was bardzo?

- Nie, tylko na krótko wrócił na kursy, potem go gdzieś wysłali. Ale nowy instruktor już nikomu nie przepuścił nocnych skoków z balonu.

Oficerowie z obstawą pojechali do Radlin, do majątku. Żołnierzy pod okiem Biskupa Ząb rozpuścił po lasach.

- Oddział Krycha liczył niespełna pięćdziesiąt osób. Zgodnie z dyrektywami naszego dowództwa nawiązali kontakty z AL, z oddziałem Cienia. Krych mówił, że są w niemal koleżeńskich stosunkach, że będą razem bić Niemca. Tydzień temu Krych stacjonował ze swoim oddziałem we wsi Owczarnia, czekali na zrzut, który mieli ubezpieczać. Nagle posterunki wokół wsi zaalarmowały, że idzie na nich jakiś spory oddział, tyralierą z trzech stron. Ludzie Krycha wyskoczyli i odpowiedzieli ogniem, ranili kilku napastników. Może i zabili, ale o tym potem. Krych się zorientował, że to alowcy, nie Niemcy, i kazał przerwać ogień. Ałowcy, za zgodą Krycha, wmaszerowali do wsi. Cień przywitał się z Krychem. Przeprosił, że zaszła pomyłka, mówiąc, iż myślał, że to Niemcy albo NSZ. - Zapora wzruszył ramionami i dodał: - Co ci poradzę? Was tępią jawnie, nas skrycie. Dalej było tak: Żeby uspokoić żołnierzy, Cień kazał się swoim ustawić w dwuszeregu i oddać honory zaprzyjaźnionemu oddziałowi. Krych zrobił to samo. Tamtych było dwa razy więcej. Cień i Krych stali pośrodku, między oddziałami i rozmawiali, z nimi był jakiś oficer AL i zastępca Krycha, Mars. I nagle Cień wyjął z kabury pistolet i strzelił Krychowi w głowę. Ten drugi strzelił do Marsa. Zanim zdeorientowani nasi sięgnęli po broń, tamci jak na komendę rozstąpili się i siali do nich seriami z pepesz.

- Egzekucja. - Sięgnął po papierosa Ząb.

W tej samej chwili do domu wszedł Rzędzian, bardzo błądy.

- Panie poruczniku, chłopcy znaleźli w lesie dziewczynę. To znaczy, przepraszam,

sanitariuszkę. Jest ledwie żywa.

Dziewczyna okazała się sanitariuszką z wybitego w Owczarni oddziału Krycha. Chowala się po lasach.

- Oni obdzierali naszych z ubrań... z obrączek... z zegarków... z butów... - Miała czerwone, przerażone oczy, jakby wciąż od nowa przeżywała koszmar. - Ja dostałam w ramię i upadłam. Na mnie upadł szeregowy Lolek, on jeszcze żył, charczał, dostał pod obojczyk... Ciebie go dobił... zobaczyłam buty, że idzie do nas, zamknęłam oczy, modliłam się. Lolek charczał, on widział, że żyje, i dobił. - A po chwili dodała: - Ja widziałam coś jeszcze...

Ząb patrzył na nią i myślał o Fali. O Marii, która chce być sanitariuszką. Myślał o tych wszystkich młodych dziewczynach, które powinny zakładać buty na obcasie, pończochy i w sukienkach w kwiaty iść, śmiejąc się i falując włosami.

...Cień i ten, co zabił Marsa, dobijali tylko takich, co myśleli, że żyją. Ale panie poruczniku, oni dobijali nawet swoich!... Ciebie powiedział: „Te ścierwa nas spowolnią, jak byli tak głupi, żeby dać się zabić, to ja ich nie chcę”. Zdejmował mi ktoś zegarek, a ja udawałam, że nie żyję, panie poruczniku...

Ząb oddał dziewczynę pod opiekę Irtysz. Spojrzeli po sobie z Małym i Zaporą.

- Obława.

- Walka z Cieniem.

- Jest jeszcze jedna sprawa, panie majorze - powiedział niepewnie Zapora.

- Wiem, wam nie wolno bić alowców. Ja dostaję podwójne rozkazy, od AK i od NSZ. Wasze mówią „nie ruszać”, moje mówią, że to wróg. I ja się z nimi zgadzam. Nie ma sprawy, możecie to zrzucić na mnie.

Obława trwała tydzień. Cień był nieuchwytny. Ale w końcu wpadł. Wpadł na akowców Małego pomiędzy wsiami Majdan, Rudnik i Dębin. Mały pchnął łącznika do Zęba. Zdanowicz wypatrzył ich nad ranem uciekających spod ostrzału Małego i przegrupowujących się. Nie miał jeszcze Znicza i Cichego. Ale miał oddział Biskupa i zmobilizowanych przez Krzyżaka, razem prawie czterdziestu pięciu ludzi. I miał gdzieś, że nieprzyjaciół jest dwa razy liczniejszy. Krzyknął:

- Za mną! - i spiął konia. Koń po kilku susach przesadził płot, Zdanowicz kładł się na jego szyi i myślał o sanitariuszce, o dziewczynie, na której plecach upadł szeregowy Lolek. Słyszał za sobą tętent koni. I krzyknął:

- Ognia! - strzelając do cieni przed sobą.

Nacierali na siebie i odskakiwali. Pepesze warczały na nich jak wściekłe psy. Widział młodego chłopca, który z zaciśniętymi szczękami strzelał z mauzera. Tak długo, że musiał już

strzelać na pusto.

- Załaduj! - krzyknął do niego, lecz nie dostrzegł, czy ten w ogóle słyszał.

Kilkunastu „cieniowców” przebiło się przez ogień Zęba i jechało na północ. Wtedy usłyszał odsiecz. Mały wykończył swoich i dojechał pomóc im.

Zdanowicz ładował i strzelał. Popędzał konia i zawracał. Nagle zobaczył, że dnieje. Nie. To nie słońce wstawało. To pożoga. Ruszył ku płonącym domom.

Boża Wola - pomyślał. - Tak się nazywa ta wieś.

- Gasić! - krzyknął do swoich. W powietrzu wirowały czarne strzępy spalonej słomy.

„Gasić, gasić” przebiegało gdzieś z tyłu. „Cieniowcy” wycofywali się. Zostało ich na polu walki ledwie kilku.

Usłyszał krzyk i ruszył w tamtą stronę. Uciekający alowcy strzelali w strzechy domów. Z daleka widział jednego, który właśnie przeładowywał karabin, więc spinając konia, skoczył ku niemu. I strzelił mu w łeb.

Jazgot pepesz spod chałup po drugiej stronie wsi, popędził tam. Dwie sowieckie, czy alowskie sanitariuszki pod osłoną swoich towarzyszy podpalały kolejne chałupy. Zagotowała się w nim krew. Nim przeładował broń, jedna po drugiej padły. Ktoś był szybszy od niego. Odwrócił się w kierunku strzałów. Jastrzębiec.

Nagle podjeżdża do niego w galopie łącznik AK.

- Musimy się wycofać! - przekrzykuje strzały. - Nasze dowództwo nie zgodziło się na tę akcję!...

Wskutek gęstego ostrzału wieś zaczęła płonąć.

/MELDUNEK AL/

- Podpalili dwadzieścia domów - mówi Mały, gdy widzą się dzień po akcji. - Najwięcej w Bożej Woli.

- Pięć ugasił. Jastrzębiec pierwszy raz w życiu strzelał do kobiet. I powiedział, że ostatni. - Przypomina o sanitariuszkach podpalaczkach Zęb. - Wychodząc, zastrzelili czterech chłopów. Ani to byli wasi, ani nasi. Z bezsilnej zemsty. Ja mam dwóch zabitych, dwóch rannych.

- Ja tylko rannych.

- A ja - powiedział, dochodząc do nich, Znicz - nie zdążyłem. Ale za to ująłem po drodze dwóch. Wyśpiewali wszystko. Jednego rozstrzelałem, a drugiego, tego, który sam podpalał, powiesiłem. Na spalonym kominie w wiosce Boża Wola.

Majątek Wola Gałęzowska, nieopodal Bożej Woli. Dzień później

Oprawa oficerska. Obecni: porucznik Zapora, AK, porucznik Mały, AK, major Zęb,

NSZ, i dowódca okręgu - podpułkownik Marcin, AK.

- Panowie, to, co się stało, jest sprzeczne z dyrektywami Komendy Głównej i Delegatury Rządu. - Marcin pochyla się, stojąc nad stołem, jest wysoki. - Nam nie wolno atakować Armii Ludowej.

- Panie pułkowniku! - Major Zdanowicz zdaje się nie rozumieć sytuacji. - Albo teraz wspólnymi siłami wybijemy komunistów, kiedy są jeszcze słabi, albo rozmnożą się i wybiją nas. Przecież Cień zaatakował wasz oddział w Owczarni i dokonał ohydnej egzekucji! Czy pan tego nie widzi? Czy pan pozwoli, by akowcy szli jak owieczki na rzeź?

- Pan nie słucha, majorze - ostro przerywa mu Marcin. - Powiedziałem, że mamy rozkazy, by nie walczyć z AL.

Mały i Zaporą stają za Zębem. Zdanowicz mówi:

- Ja nie mogę wykonywać rozkazów, które są sprzeczne z polską racją stanu. Skoro nie chcecie pomóc mi w niszczeniu komunistów, zrobię to własnymi siłami.

Konferencja dowództwa lubelskiego AK. Kilka dni później

- Tematem spotkania są wzajemne stosunki między AL i AK w obecnej sytuacji politycznej - mówi Paśnik, delegat rządu. Podpułkownik Marcin milczy. Zebranie trwa. Gdy zbliża się ku końcowi, delegat oznajmia:

- Po zapoznaniu się z meldunkiem podpułkownika Marcina w sprawie ostatnich zajść należy uznać, iż działalność oddziału majora Zęba szkodzi sprawom Armii Krajowej i pracom podległej mi delegatury. Tym samym należy zmierzać do usunięcia z terenu lubelskiego całego oddziału Zęba, nawet w obliczu scalenia AK i NSZ.

Adiutant notuje.

- Czy pan skończył pisać? - pyta podpułkownik Marcin.

- Tak.

- Panie delegacie, major Ząb działał na prośbę moich podwładnych. To była akcja odwetowa za ohydny mord w Owczarni. Jak mam go potępić?

Paśnik wzdycha.

- Proszę tego nie protokołować - mówi do adiutanta i odwraca się do podpułkownika. - Normalnie. Głośno i wyraźnie. Jest pan żołnierzem i wykonuje pan rozkazy Komendanta Głównego AK.

Zaporą, AK - Hieronim Dekutowski. Nie ujawnił się i nie złożył broni w 1945. Wstąpił do WiN i jako wybitnemu dowódcy podporządkowała mu się większość oddziałów niepodległościowych na Lubelszczyźnie. UB i NKWD przeprowadziło wielką obławę na niego i oddział. Ujęty w wyniku zdrady w 1947. Po trwającym rok bestialskim śledztwie

zamordowany w katowni bezpieki na Rakowieckiej, w Warszawie.

Cień, AL - Bolesław Koźmirak. Po wojnie w MO, na życzenie generała RoliŻymierskiego zmienił nazwisko na Bolesław Kowalski i został przyjęty do LWP. Dowodził specjalnym oddziałem pacyfikacyjnym, a metody jego postępowania z miejscową ludnością wzbudziły sprzeciw nawet u sowieckich doradców. Aresztowany za mordy na Żydach. Szybko wyszedł z więzienia i awansował na pułkownika. Jego grób znajduje się na Powązkach. Oczywiście w Alei Zasłużonych.

Paśnik, wojewódzki delegat rządu londyńskiego - Władysław Cholewa. Latem tego samego roku po wkroczeniu do Lublina wojsk sowieckich aresztowany przez NKWD. Przewieziony do Moskwy. Więziony w obozach w Charkowie i Diagilewie. Uwolniony w 1947, ale z wilczym biletem. Nie odzyskał zdrowia, nigdzie nie dostał pracy.

Marcin, AK - pułkownik Marcin Tumidajski. Komendant lubelskiego Okręgu AK. W rozmowach z Sowietami w ramach akcji Burza uprawniony przez AK do używania tytułu generała. Spotkał się z Berlingiem po jego wkroczeniu na Lubelszczyznę, ale nie wyraził zgody na wcielenie podległych mu akowców do 1 Armii Wojska Polskiego. Podjął decyzję o rozbrojeniu oddziałów. Aresztowany przez NKWD latem tego samego roku. Więziony w obozie w Charkowie i Diagilewie. Podjął strajk głodowy. Uduşony podczas przymusowego karmienia.

*

Droga między polami, nieopodal majątku Łosowo. Koniec maja 1944 roku
Furmanka. Powozi Fenix, obok niego Zacharewicz.

Piotr Zacharewicz - dowodził akcją odbicia Fenixa z Pawiaka. Oficer NSZ.

- Uff - wzdycha Fenix - minęliśmy ten piekielny las. Ile raz tędy przejeżdżam, zastanawiam się, co wyskoczy z krzaków. Rusek czy polski Rusek!

- Ten zarządca, Dzidek, wie o tobie?

- Ataman swój chłop. Ale on ma specyficzne podejście do konspiracji: uznaje, że jest, ale rozróżnia tylko niepodległościowców i komunistów. Inne podziały go nie interesują i mówi, że w nie nie wierzy.

- Pozazdrościć! - wykrzywia się Zacharewicz. - W Warszawie to wygląda coraz gorzej. Teraz nawet nasi sami między sobą się kłócą. NSZ ma dwóch dowódców.

- Słyszałem, ale nie wierzyłem. Robię swoją robotę, jak kazałeś. Przysłali cię na kontrolę?

Piotr śmieje się i kręci głową.

- Na wizję lokalną, powiedzmy! Mają meldunki z terenu, a mimo to chcą potwierdzić,

czy nic się nie zmieniło, czy polscy komuniści nadal uprawiają bandytkę i tępienie naszych, zamiast walczyć z Niemcami. Odwiedzę placówki, pozbięram informację, zrobię raport i wrócę do Warszawy.

- Czym Armia Czerwona bliżej, tym Armia Ludowa zuchwalsza. Oczywiście nie wobec Niemców, ale wobec chłopów i niepodległościowców! - Splunął Fenix, niestety pod wiatr. - Odkąd na Boże Narodzenie i Nowy Rok AL urządziło ten swój korowód kolędników, bo tak się u nas na wsi mówiło o marszu propagandowym, rosna w siłę. Jeszcze niedawno było nie do pomyślenia, by jakaś cała wieś sprzyjała komunistom. Teraz są już takie. Policzysz je na jednej ręce, ale są.

- Wszystko przez to polityczne zamieszanie po połączeniu z AK. Wystarczyło na chwilę przestać ich bić i rozplenili się jak szczury.

Fenix pomyślał, że on jest najlepszym przykładem, że teoria nie idzie w parze z praktyką. Żyd, którego uwolniło z Pawiaka antysemita NSZ. Antybolszewik z przekonania, a życie już dwa razy mu ratował komunista Jakub. A jak mu ktoś chciał palnąć w łeb, jako „burżujowi”, to drugi Żyd. Jak w tych sprzecznościach żyć?

- Nie dałoby się jakoś dogadać? - westchnął po chwili do Zacharewicza. - No wiesz, odcedzić dobrych komunistów od złych i razem z nimi Niemca pracować?

- Po pierwsze nie ma dobrych komunistów. Po drugie Niemca pracować może i owszem, ale z chwilą gdy pozbędziemy się ostatniego, oni, wzmocnieni przez Armię Czerwoną, wytlukną nas. Sprawa jest prosta, przyjacielu.

- No właśnie nie jest - zachmurzył się Fenix. - Masz jakieś wiadomości o Poli? Trafiliście na jej ślad?

- Nie. Zniknęła. Pewnie zmieniła nazwisko i wyjechała z Warszawy.

- Pytaliście jej kolegów z teatru?

- Nic nie wiedzą.

- No przecież taka piękna dziewczyna nie może rozpuścić się w powietrzu, do diabła!

- Powiem tak: wszystkie placówki w Warszawie mają jej zdjęcie, jak się tylko pojawi, znajdą ją. A może ona po prostu cię rzuciła, co?

- Gdyby nie to, że nie chcę znów jechać koło złodziejskiego lasu, i gdyby nie to, że jesteś moim przełożonym, odwiózłbym cię na stację, ale już! Nie nadajesz się na przyjaciela!

- W Warszawie co innego mówiłeś - obraził się Zacharewicz. - Zgrubiały ci maniery na prowincji.

*

Lelków, Generalne Gubernatorstwo. Boże Ciało, czerwiec 1944 roku

Poranek. Wieś ustrojona kwiatami, gałęziami brzozy. W oknach domów święte obrazy, na płotach wstęgi, gdzieniegdzie kilimy. Między domostwami kręci się sporo ludzi w odświętnych ubraniach. Niektórzy w strojach ludowych. Kobiety przekrzykując się wzajemnie, robią ostatnie poprawki przy ołtarzach. Sołtys Rzepecki nerwowo wygląda na drogę.

Tylko dom Poli nie ustrojony. Pola zakłada fartuch na zwykłą sukienkę, przewiązuje włosy chustką.

- Nie możesz iść dzisiaj do ogrodu! - karci ją Arek.

- Bo co?

- Boże Ciało! - Chłopiec wygląda przez okno, kręci głową. - Powinniśmy ustroić dom. Pola wzrusza ramionami.

- Muszę wypielić zagony. Bóg i jego ciało nas nie nakarmi, a kapusta i groch, owszem.

Wbiega mały Felek. Jest podobny do Poli, ma jej delikatną urodę ale i jakiś odległy rys Fenixa. Nos? Podbródek? Arkowi odrastają ciemne włosy. Jego brązowe oczy stają się przez to bardziej wyraźne. Ogląda się w małym lusterku. I krzywi z niesmakiem, patrząc na odrosty. Pola łapie jego niezadowolone spojrzenie i staje za nim. Przeczesuje palcami loki Arka.

- Prosiłam Jakuba, żeby przywiózł z miasta perhydrol, ale miał ważniejsze sprawy na głowie. Słuchaj, a może obetniemy? Może już nie musimy farbować? Przyzwyczaili się tu na wsi do ciebie.

Arek kręci głową.

- Może i przyzwyczaili, ale na procesję w czapce nie pójde. Nie wolno.

- Wybierałeś się na procesję?!

- Tak. I Feli też musi iść.

- Nie pozwalam. - Jest oburzona. - To jakaś maskarada.

- Polu droga. - Arek mówi do niej jak dorosły do dziecka. - Umówiliśmy się, że ja biorę na siebie wieś, więc mi nie przeszkadzaj. Musimy być na procesji i koniec. Włosów nie obetnę, bo będzie widać, że te nowe całkiem czarne. Wieś pamięta, że jestem blondynem! Obandażuj mi głowę na czubku, powiem, że się uderzyłem. Spadłem z drabiny i rozbiłem głowę...

Pola kuca przy Arku i kładzie mu ręce na ramionach.

- Dziecko, Pawliszcze też nie idą na procesję, daj sobie spokój... Chłopiec stanowczo kręci głową.

- Pawliszcze to Ukraińcy. Oni nie muszą. A my, póki mieszkamy w Lełkowie, jesteśmy prawdziwi Polacy, katolicy. Powiem, że jesteś chora, rób tylko na tych zagonach za domem, co od drogi nie widać. Felkowi się spodoba sypanie kwiatków, zobaczysz.

Kilka godzin później

Procesja dobiega końca. Głosy śpiewających kobiet też coraz bardziej zmęczone. Poduszki z wstążkami, ministranci, dzwonki. Droga usłana zdeptanymi kwiatami. Baldachim. Sołtys i jakiś inny Nowacki prowadzą wikarego, trzymając go pod ramiona. Chłopcy idą wmieszani w tłum. Arek z obandażowaną głową wpatrzony w Najświętszy Sakrament trzymany przez wikarego. Felek zbiera z ziemi kwiatki i robi bukiecik.

- Dla mamusi!

Arek nie widzi tego, jest skupiony, by na czas powtarzać to wszystko, co robią ludzie.

Drogą od strony lasu przemykają do wsi partyzanci. Chłopi idący w procesji zauważają ich.

- Spóźnili się - mruczy jeden, przykładając do oczu dłoń i patrząc w ich stronę.

- Oj, Walenty - szepce do niego drugi. - Ja nie wiem, czy to nasi. Po chwili widać, iż partyzanci mają na noszach rannych i że nie przyszli na procesję. Niosą rannych do domu Poli. Ludzie robią znak krzyża, ze zgorszeniem i przerażeniem. Tłum szemrze. Arek ciągnie Felka za rękę, by nie odstawali od korowodu. Już ostatni ołtarz, ludzie łamią brzoźowe gałęzie, zabierają naręcza. Ale rozchodzą się z ociąganiem, zerkając w stronę domostwa Poli.

Sołtys i ten drugi mężczyzna, może Nowacki, pomagają się rozebrać z szat wikaremu.

- Niech będzie pochwalony! - dyga przed nim Arek. - Chciałbym się na ministranta zapisać.

- Nie teraz, chłopcze - macha dłonią ksiądz. - Przyjdź do mnie po oktawie.

Arek wraca do domu, wchodzi i mówi:

- Boże Ciało pogoda darzy, rok będzie dobry dla gospodarzy!

W kuchni na podłodze dwóch rannych czerwonoarmistów i jeden partyzant od Jakuba. Pola przynosi im miskę z wodą. Jest zdenerwowana. Mówi do nieznajomego sierżanta:

- Opatrzcie ich i zmykajcie. Nie mogę was tu trzymać.

Wigilia Świętego Jana, dwa tygodnie później

Wieczór. Po wsi przemykają dziewczęta, chłopcy. Baby i starzy gospodarze gromadzą się przy płotach. Patrzą, gadają.

Daleko, na skraju wsi płoną ogniska. Dzieci ukryte w krzakach podglądają. Kilku chłopców skacze przez ogień. Dziewczyny biorą się pod boki, chichoczą. Na głowach mają wianki. Chłopcy po przeskoczeniu ognisk biorą się za dziewczyny. Jeden z nich zagląda w

krzaki i przepłasza czeredę dzieciaków. Dzieci z piskiem uciekają w las.

Las. Ogniska.

Ale nikt przez nie nie skacze. Ogniska są w regularnych odstępach. Przy nich partyzanci. Czekają na zrzut. Nie widać, czy to AL, czy AK, czy NSZ. Księżyc zaszedł za chmury, pada drobny, ciepły deszcz. Partyzanci szybko dorzucają do ognia, z niezadowoleniem patrząc w zachmurzone niebo.

Pola sprawdza, czy Arek i Felek śpią. Okrywa ich kocem, cicho zamyka drzwi. W kuchni ma zdezelowany gramofon. Włącza płytę, siada, kładzie bosc stopy na stole i zapala papierosa.

- To ostatnia niedziela, jutro się rozstaniemy - śpiewa razem z Foggiem.

Na stole napoczęta butelka wódki. Pola nalewa sobie odrobinę do szklanki. Pije, otrząsa się i śpiewa dalej.

Potem śmiejąc się, wychodzi na podwórze. Rozkłada ramiona, tańczy w letnim deszczu. Przez uchylone drzwi wciąż jeszcze słyhać Fogga. Coraz słabiej, bo Pola oddala się od domu. Szumi padający równo deszcz. Pola rozplywa się w powietrzu.

Wielki, wyzywający księżyc w pełni wyszedł zza chmur. We wsi panuje cisza. Ogniska przygasły. Chłopcy i dziewczęta śpią przytuleni w stodołach, na sianie.

Od strony lasu idzie grupa mężczyzn. To chłopci, mieszkańcy Lelkowa. Ci sami, którzy szli w procesji Bożego Ciała, nie ma z nimi tylko sołtysa. Mają zacięte, nic nie mówiące twarze. Przechodząc obok domu Poli, spluwają.

- Ladacznica.

- Czerwona dziwka.

- Tfu. Należało się jej.

Idą dalej. Mijają leżący na drodze zdeptany wianek.

*

Ulewa. Strugi deszczu, błoto. Przy grobie Arek, Feli, Jakub. Pyskowska. W oddali sołtys. Jeszcze dalej mały Alek Pawliszcze. Grób Poli jest w odległej części cmentarza. W deszczu wracają do domu. Gdzieś w chałupach ktoś patrzy. Widząc idących, opuszcza brudną firankę.

Pod domem Jakuba zatrzymują się. Pyskowska podnosi twarz na Jakuba.

- Wezmę ich do siebie - mówi niepewnym, łamiącym się głosem.

- Nie, lepiej ja ich wezmę - twardo wchodzi jej w zdanie sołtys, który w tej chwili doszedł do nich.

- Moja mama powiedziała, że mogą przyjść do nas - obojętnym tonem dorzuca Alek

Pawliszcze.

- Tylko na kilka dni, panie Rzepecki - mówi do sołtysa Jakub. - Załatwię siostrzeńcom jakieś... - Zaciska szczęki i pięści.

- Tak. - Rzepecki wyciera nos. - Musisz pan ich stąd zabrać. Nie będą mieli życia. Ale póki co, nikt ich nie ruszy.

*

Majątek Łosowo

Jeszcze pada, choć już coraz słabiej. Jakub wchodząc na podwórze majątku, mija się z Zacharewiczem. Obaj są w cywilnych ubraniach. Obrzucają się uważnym wzrokiem. Zacharewicz uchyla czapki.

- Pan ekonom w domu? - pyta Jakub.

- W kancelarii - odpowiada Zacharewicz.

- Jak ty wyglądasz? - Fenix zrywa się zza biurka.

Z ubrania Jakuba cieknie woda. Ubłocone buty zostawiły ślady na podłodze.

- Pomóż mi - mówi Jakub, zdejmując mokrą marynarkę. - Tylko tobie mogę...

- Ale rozmiar mamy inny - Fenix bierze marynarkę od Jakuba.

- Może wezmę coś z rzeczy Dzidka.

- Zostaw to - Jakub macha ręką na ubranie.

Ale Fenix już wybiegł, po chwili wraca z suchymi rzeczami i butelką wódki.

- Zostaw to - powtarza Jakub.

Fenix dopiero teraz widzi, że coś jest z nim nie tak. Twarz Jakuba jest ściągnięta, nieswoja. Fenix wytrącony z równowagi kręci się bezradnie po kancelarii, rzuca suche ubrania na krzesło, buty odstawia na stół. Chwyta je z powrotem, sycząc.

- Aj, na stół nie wolno, to przynosi pecha. - Stoi głupio z tymi butami w ręku.

- Zostaw to, kurwa mać! Zabili mi siostrę.

- Kto?!

Jakub wzrusza ramionami.

- Chłopi mówią, że partyzanci.

- Jacy? Którzy? - Fenix odstawia buty na podłogę, polewa wódkę do szklanek, podaje Jakubowi. Wypijają jednym haustem.

- Chłopi - splota Jakub - mówią, że radzieccy. Ale to niemożliwe. Niemożliwe.

Fenix polewa drugą szklankę. Jakub wypija i opiera ciężko głowę na dłoniach.

- Sami ją zabili. Czuję to. Nienawidzili jej od początku. Młoda, ładna i do kościoła nie chodziła. Z dwójką dzieci. - Nagle zaczyna szlochać. - A może to ja ją zabiłem? To ja

kazałem jej spotkać się z Werszihorą. Potem gadali po wsi, że czerwona dziwka. Może to ja ją zabiłem? Kurwa mać!... Fenix, ratuj mnie!

Fenix ogłupiały, nie wie, co ma robić. Nalewa wódkę, ale trochę mniej. Podsuwa szklankę Jakubowi i stuka się z nim.

- Co się stało, to się nie odstanie - mówi niepewnie.

- Muszę zabrać z Lelkowa jej dzieci. Na razie są u sołtysa, ale nie mogę ich tak zostawić, bo ten ciemnogród wykończy i chłopców. Weźmiesz ich do siebie? Fenix, weźmiesz ich? U was będą bezpieczni.

Fenix spuszcza powietrze.

- No dobra. Przecież ci nie odmówię - rozkłada ręce. - Dwa razy uratowałeś mnie od pewnej śmierci. - Minę ma niewyraźną. - Przywieź je, Dzidek i Krysia mają małego synka, jakoś tu się tego, razem będą bawili...

- Tylko na jakiś czas, wojna niedługo się skończy. - Jakub rozmazuje po twarzy łzy. - Idzie już do nas Wojsko Polskie i Krajowa Rada Narodowa...

Łosowo. Kilka dni później

Na schodach dworu stoi Krysia, Dzidek i ich synek Krzyś. Po podwórzu biegają kury i kaczki, szczeka pies. Wacek klnie z głębi stodoły. Leon o kabłąkowatych nogach opiera się o futrynę obory, przysłania oczy dłonią.

Jakub zsadza z wozu Felka. Arek zeskakuje sam. Fenix podchodzi do nich. Jest spięty, ale uśmiecha się.

- Mały ma na imię Felek - mówi Jakub, zdejmując ich tobołki. - A to jest Arek. Chłopcy, to mój przyjaciel, a wasz wujek, Fenix. Bokser z Warszawy! - sili się na uśmiech.

Aron uważnie lustruje złamany nos Fenixa i drapie się za uchem. Fenix w zakłopotaniu patrzy na odrastające ciemne włosy Arka. Na jego ciemne oczy. I odruchowo drapie się tak samo jak on. Chłopiec podnosi wzrok, patrzą sobie w oczy.

- Dzień dobry, wujku - mówi Arek i podaje mu rękę.

*

Lubelskie, Generalne Gubernatorstwo. Czerwiec 1944 roku

Drogą do Janowa jedzie konwój niemieckich ciężarówek.

Z lasu po obu stronach drogi padają strzały. Major Zub-Zdanowicz celuje do kierowcy pierwszego samochodu. Chwilę później partyzanci Cichego i Znicza wyskakują na drogę. W tej samej chwili siedzący w ciężarówkach więźniowie padają na podłogę. Żołnierze siedzący z tyłu stają się łatwym celem dla partyzantów. Cała akcja trwa kilkanaście minut.

- Rozbierać ich! - Wskazuje trupy żandarmów Ząb, a partyzanci szybko i sprawnie

zdejmują ze zwłok buty, pasy, ładownice. Zbierają broń. Z ciężarówek kolejno wyskakują więźniowie, dziękują majorowi.

- Tylko nie wracajcie od razu do domów. Babom przekazcie, że żyjecie, i tyle.

- Tak jest, panie komendancie!

- Jeden ranny - melduje Cichy - ale lekko. Poza tym pełen sukces. - Zerka na zegarek.

- Po minucie na Niemca.

- Liczyłeś ich?

- Piętnastu, nikt nie uciekł. I piętnaście minut akcji! - śmieje się Cichy. - Szybciej się zabija, niż rozbiera. Zdanowicz patrzy na niego dziwnie.

- Przepraszam, panie majorze, tak mi się wyrwało.

- Znikamy - zarządza Ząb.

Obóz leśny majora Zęba, Lasy Kraśnickie. Czerwiec 1944 roku

Fala opatruje rannego w akcji. Cichy i Znicz dzielą zdobyczne buty między partyzantów. Zub-Zdanowicz czyta jakiś meldunek, woła oficerów. Pociera pękniętą brew.

- Dostaliśmy rozkazy z dowództwa - mówi, gdy zjawiają się wszyscy. - Ja muszę niezwłocznie ruszyć na odprawę do Kielc, a potem do Warszawy. Cichy, tobie powierzam dowództwo Legii. Każą nam przeprowić się na drugą stronę Wisły, jak tylko wkroczy Armia Czerwona.

- Mamy uciekać? A kto będzie walczył? - burzy się Znicz.

- Nie, nie uciekać. Zwołują w Kieleckim koncentrację wszystkich oddziałów NSZ. Właśnie dlatego wzywają mnie do Warszawy. Na razie zostańcie, pilnujcie spraw na miejscu. Rozpuścić zwiadowców, mieć na wszystko oko. I jeśli się uda, dozbroić się. - Poklepał po ramieniu Cichego. - Jest koncentracja, będzie walka. Falę zabieram ze sobą.

Oficerowie pogwizdują, śmiejąc się.

Kilka dni później, noc. Gęsta mgła. Słysząc rżenie i parskanie koni, plusk wody. W końcu kopyta stąpają po twardym gruncie.

- Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę - nuci cicho Ząb. Odwraca się do Fali, która jedzie na Bogdanie tuż za nim.

- Panie komendancie! - Świder, brat Fali, wita ich na drugim brzegu Wisły.

- Prowadź do stepowców! - śmieje się Ząb.

Obóz Stepa, we wsi Potok

Żołnierze stoją na uroczystym apelu, Zdanowicz dokonuje przeglądu. Step nie zmienił się, ma taką samą brodę, może tylko bardziej schudł.

- Spocznij! - rozkazuje major.

Fala dopada do Hajduczka, wita się z siostrą i śmiejąc się, odchodzą w głąb obozu.
Step pyta:

- Kiedy będziemy mogli wrócić do domu? Major kręci głową.

- Obawiam się, że nieprędko. Dowództwo nakazało koncentrację po waszej stronie Wisły, zabieram was na to zgrupowanie i jadę dalej. Sowieci idą jak burza.

- Jak burza - powtarza Step.

Posiedzenie sztabu, kwatera dowództwa Okręgu Kielce NSZ

- W majątku Mirogonowice, po północnej stronie Gór Świętokrzyskich stały się oddziały podporucznika Nowiny, kapitana Wojskiego i oczywiście oddział porucznika Stepa z Legii Nadwiślańskiej - melduje Boguckiemu Ząb. - W najbliższych dniach mają dołączyć do nich oddziały Bema, Wilka, Boppa, Łosia i Żbika. Przed opuszczeniem zgrupowania zdążyłem nawiązać kontakt z dowódcą 2 pułku piechoty Legionów AK, kapitanem Nurtem. Nurt, jak się dowiedziałem, zastąpił Ponurego.

- To też skoczek, jak pan - zauważył komendant.

- Jeden i drugi. Znamy się z dawnych czasów.

Z bardzo dawnych - skonstatował po chwili, przypominając sobie odwiedziny generała Sikorskiego, później szła Anglików na punkcie Sowietów. I własne marzenia, że wylądują w Polsce i natychmiast stworzą polskie wojsko. Wtedy myśleli tylko o wojnie z Niemcami. Teraz mieli Armię Czerwoną w przedpokoju, kontrolowane przez NKWD zdradzieckie Rady Narodowe, Armię Ludową stworzoną z dawnych bandziorów i kto wie, co jeszcze.

- Pierwszą armię generała Berlinga - poinformowało go dowództwo - którą najprawdopodobniej połączą w jedną jednostkę z Armią Ludową i okrzykną wojskiem polskim.

- To żart? - domyślił się Zdanowicz.

- Nie. Informacja wywiadu. Musi pan, majorze, niezwłocznie udać się do Warszawy. Oczekuje pana pułkownik Kmicic. Przygotowaliśmy papiery dla pana i pańskiej narzeczonej.

Pociąg relacji Częstochowa-Warszawa. Czerwiec 1944 roku

Tłok. Zdanowicz i Fala stoją w przejściu, oboje w cywilnych ubraniach. Major, zgodnie z fotografią w nowych dokumentach, z brodą. Fala z głową opartą o pierś Zęba, z zamkniętymi oczami. Pociąg wjeżdża na jakąś stację, babina z tobołkami pcha się do wyjścia.

- Tam się zwolniło miejsce, posadzi pan córkę - skrzeczy do Zub-Zdanowicza. Major rozzłoszczony całuje Falę w usta na oczach babiny i jeszcze pokazuje jej język.

- W imię Ojca i Syna... - jęczy kobieta i wysiada prędko.

Kwatera dowództwa NSZ, Warszawa

- Jak to dwóch dowódców?! - Ząb nie panuje nad sobą, słysząc, iż jest dwóch komendantów NSZ. Jeden popierany przez endeków Stypułkowskiego, drugi przez oenerowców. - W dupach się wam przewraca - kończy szeptem, bo do pomieszczenia wchodzi postawny mężczyzna.

- Panie pułkowniku - melduje mu adiutant - major Zub-Zdanowicz, Legia Nadwiślańska NSZ.

- Zapraszam - tubalnym głosem pułkownik kieruje go do gabinetu i sam wchodzi pierwszy.

- A ten to który? - pyta cicho Ząb adiutanta.

- Jedyne słuszne. Pułkownik Kmicic.

Kmicic - pułkownik Stanisław Nakoniecznikow. Od dwudziestego roku życia bez przerwy w czynnej służbie wojskowej. Po kampanii wrześniowej uciekł z niemieckiej niewoli. W ZWZ - AK był zastępcą dowódcy podokręgu Mazowsze Północne. W 1942 po konflikcie z dowództwem na tle bezczynności tegoż w sprawie aresztowań wśród członków AK, przeszedł do NSZ. Dostał za to w AK wyrok śmierci za dezercję, oczywiście nie wykonany. W NSZ odpowiadał za okręgi WarszawaPółnoc i Białystok, które błyskawicznie uporządkował od strony wojskowej. Po śmierci pułkownika Kurcyusza mianowany dowódcą NSZ przez grupę działaczy związanych z dawnym Związkiem Jaszczurczym. Wybitny żołnierz i dowódca.

- Ja panu powiem, co myślę, majorze Zub-Zdanowicz. - Kmicic wygląda właśnie na tego, co mówi wyłącznie to, co myśli. - W dupie mnie strzyka od tych polityk. Ci z tym, tamci z tamtym, jasna cholera, Sowiety zaraz wpław przejdą Wisłę i jeszcze po drodze ryby wyłowią, a oni będą gardłować! Jak się panu nie podobam, może pan iść i pokłonić się temu drugiemu, który też używa tytułu „dowódca NSZ”. Pułkownik Lesiński. I powiem panu na zachętę: Bór go uwielbia. Więc niech pan się zdecyduje, czyich rozkazów pan słucha, skoro Narodowe Siły Zbrojne chwilowo są niczym krowa, co z dwóch wymion naraz mleko daje. Ale niech sobie pan nie wyobraża, majorze, że pan będziesz jak to pokorne cielę, co dwie matki ssie! - Kmicic zakończył tyradę i przyjrzał się, co Zub-Zdanowicz robi z brwią.

- A nie - machnął ręką - pomyliłem się. Pan nie możesz być cielę. - Pułkownik potarł ręką czoło, jakby sobie coś przypominał, i klepnął się w udo zadowolony. - Pan jesteś ten byk. Ten byk, co w Borowie rozwalil oddział Słowika i nie przeprosił. Moje gratulacje.

Major uśmiechnął się bardzo ładnie i spytał, wskazując krzesło:

- Mogę?

- Ale to nie jest poczekalnia, ostrzegam! - pogroził mu Kmicic.

- Zdecydowałem, kto jest moim dowódcą - odparł Zdanowicz i się rozsiadł.

- No dobra, to do rzeczy! Co w terenie?

- Spodziewamy się wejścia Sowietów w ciągu paru tygodni. Trwa koncentracja jednostek, zgodnie z rozkazem, w okręgu kieleckim. Dwa moje największe oddziały, Znicza i Cichego, zostały na razie w Lubelskiem.

- To je pan sprowadź bez zwłoki. Małe oddziały nic nie wskórają przeciw Armii Czerwonej, a mogą stać się łatwym łupem. Plan mój jest taki, by utworzyć dużą jednostkę NSZ, nazywam ją roboczo Grupa Operacyjna „Zachód”.

- Bardzo ładnie - pochwalił Ząb.

- Pan mi też się podoba - odwdzieczył się Kmicic. - Poza tym pan nie jest politykiem. I właśnie postanowiłem, że mianuję pana, majorze, dowódcą Grupy „Zachód”. Nie, proszę nie dziękować, żaden to zaszczyt, raczej odpowiedzialność. Zadania będziecie mieli proste, pierwsze: likwidować bezwzględnie dywersję sowiecką, która poprzedza nadejście Armii Czerwonej, mam w tym przypadku na myśli także konfidentów, politruków i całą siatkę szpiegowską, którą na nas zrzucili. Drugie: samemu nie dać się zlikwidować. Trzecie: dać dowód ludności cywilnej, że jeszcze Polska nie zginęła, nawet jeśli sowiecka zaraza u bram. Czwarte: bronić przed Niemcami ludność i majątek narodowy. Zaczepiać ich specjalnie nie ma co, oni już przegrywają wojnę i srają w gacie ze strachu przed Stalinem i jego dziką hordą. Więc uderzać na nich, ale po to, by zyskać broń, aprowizację, uwolnić więźniów i by pokazać skuteczny opór. Lecz nawet jednego życia żołnierskiego szkoda na walkę z nimi, której celem ma być tylko czcza pokazówka czy demonstracja siły. Już ich Armia Czerwona wykończy, a my potrzebować będziemy każdego żołnierza, by z Sowietami walczyć. W najgorszym wypadku, jeśli nadal nie dogadamy się z AK, by wspólnie postawić się Armii Czerwonej i pokazać aliantom, że nie uznajemy takiego sprzymierzeńca, dostaniecie rozkaz marszu na Zachód i połączenia się z armią generała Andersa. Prawdopodobieństwo, że po pokonaniu Niemców alianci wypowiedzą wojnę Stalinowi, jest duże. Wielka Trójka nadal się całuje do fotografii, ale już tam w łonie aliantów tarcia! - Sam zatarł ręce pułkownik Kmicic. - Wtedy jedno polskie wojsko stawi im czoło i wyzwoli kraj spod sowieckiej okupacji. Żeby było jasne: żadne akcje Burza i ujawnianie się wrogowi nie wchodzi w grę. Już mamy dane, że Sowietci wywożą akowców, którzy się im ujawnili, w nieznanym kierunku. A nieznanym kierunek jest tylko jeden: Sybir! Póki co jednak obowiązuje zasada Kmicica numer jeden: po każdej akcji stan broni oddziału musi wzrastać. Nie toleruję fanfaronady i bezproduktywnego wymachiwania szabelką. Za mundurem panny sznurem i inne dyrdymały gównu mnie

obchodzą.

- No to się dogadaliśmy - z zadowoleniem przyjął rozkazy Zub-Zdanowicz.

- I vice Wersal!

Pociąg relacji WarszawaSkarżysko Kamienna

Zub-Zdanowicz, Fala i podchorąży Jurand.

Fala wygląda przez brudne okno pociągu. Zielone pola. Sielski widok psuje jadący drogą między nimi konwój niemieckich ciężarówek. Odwraca się od okna. Poprawia trzymaną na kolanach torbę pełną lekarstw. Otacza ją ramionami. Skarb sanitariuszki.

- Skończył kolega podchorążówkę NSZ w Warszawie? - pyta Ząb szeptem.

- Tak. Pułkownik Kmicic, zanim został komendantem, sam mnie do niej skierował. To nasz legendarny dowódca. Ilu on ludzi przez granicę przeprowadził! Padłem przed nim Rejtanem i poprosiłem, by mnie panu majorowi polecił, do partyzantki. - Jurand jest młody, uśmiechnięty. Ma na nogach saperki do cywilnego ubrania.

- Buty już masz. Tylko mogłeś schować je do plecaka. Zwracają uwagę.

- Nie miałem innych - czerwieni się chłopak i chowa nogi. Pociągi do Lublina już nie kursują - myśli Ząb. - Pojedziemy do Ostrowca. Tam spróbujemy dowiedzieć się, gdzie jest Step z oddziałem.

Gospodarze drapią się po głowach.

- Właśnie byli.

- Wyszli.

- Mieli być, ale się nie pojawili.

- Chyba pociągnęli na drugą stronę Kielecczyny. Przy piątym meldunku Zdanowicz śmieje się.

- Szukaj Stepą w polu!

- Majorze. - Fala unika okazywania bliskości w towarzystwie ludzi. - Jesteśmy tak niedaleko Nikisiałki. Tam powinna być moja mama i Kazia, pokojówka. Może byśmy wpadli je odwiedzić? Martwię się o jej zdrowie, po pacyfikacji Borowa nie doszła do siebie...

- Jedziemy! - decyduje Zdanowicz, a szef miejscowej placówki daje im bryczkę z koniem. Gdy wczesnym popołudniem zajechali na dziedziniec dworku, wszyscy troje wiedzieli, że to był kiepski pomysł. Na ganku stoją uzbrojeni partyzanci AL.

*

Warszawa, Generalne Gubernatorstwo. Lipiec 1944 roku

Otmar Wawrzkowicz mimo upalnej pogody jest w płaszczu. Idzie szybko, utyka jak zwykle zręcznie. Obok niego dwaj mężczyźni. Wyglądają jak obstawa i są obstawą. Jakies

dwadzieścia metrów za nimi i tyle samo przed nimi idą wmieszani w tłum inni żołnierze NSZ. Jedni w garniturach, drudzy w zwykłych ubraniach. Żaden nie ma jednak wojskowych butów ani bryczesów. Szpica przednia dochodzi do bramy lokalu konspiracyjnego. Po drugiej stronie ulicy akurat spacerują żandarmi z psem. Na nich jednak nie zwracają uwagi. Ich wzrok przykuwa młody mężczyzna w koszuli o podwiniętych rękawach, który najwyraźniej na kogoś czeka. Dalej drugi podobny do niego i trzeci. Chłopcy z NSZ przyspieszają kroku, zaczynają się rozglądać. Ci, z podwiniętymi rękawami, już ich zauważyli. Szpica idąca przed Otmarem skręca nagle w boczną uliczkę i zaczyna biec. Podwinięte rękawy za nimi. Obstawa idąca po obu stronach Wawrzkowicza dochodzi do bramy, rozgląda się i spokojnie wpuszcza Otmara na podwórze. Ten zgrabnie przeskakuje po kilka schodów i wchodzi do mieszkania.

Wewnątrz, w pokoju o przysłoniętych kotarami oknach, siedzi Jaxa. Otmar zrzuca płaszcz i zamiast usiąść chodzi, dookoła stołu, jakby był nakręcaną zabawką, która musi chodzić tak długo, aż jej mechanizm wytraci energię.

- Oczywiście miałem, kurwa, rację!

- Otmar! - głos Jaxy jest chłodny.

- A co, nie jesteśmy sami?

- Nawet kiedy jesteśmy, proszę, byś się wyrażał przyzwoicie.

- Kiedy sprawa jest tak gruba, że mnie nosi! Tak jak przypuszczałem, za morderstwami członków AK z BiP stoją nie Niemcy, a sami, kurwa, przepraszam, akowcy! Egzekutywa ich wykończyła, a winę zrzucili na nas! Ja pierd...

- Masz problemy gastryczne? Idź do toalety.

- Ciebie to nie rusza? Jaxa, nie rusza cię, że dawni koledzy z AK dorobili nam gębę morderców i sami na nasze konto wycięli pięć osób!

- Akurat te pięć osób, które usunęli z BiPu, nie rusza mnie ani trochę. To byli kryptokomuniści. A że w oczach opinii publicznej dorobiono nam gębę morderców i chuliganów? Zdążyłem się przyzwyczaić.

- Co ci jest? - Otmar dopiero teraz zauważa, że Jaxa nawet jak na siebie, jest dziwny.

Ten zamiast odpowiedzi podsuwa mu papier.

- Depesza Szyfr, Lawina. Na 1205 z 12 VI. Zjednoczenie wysiłku zbrojnego Polaków... bla, bla, bla... elementarnym nakazem... bla, bla, bla... W ostatnich czasach w trakcie definitywnego scalania organizacji wojskowych w kraju doszło ze strony radykalnych czynników Narodowych Sił Zbrojnych do niedopuszczalnych wystąpień... Stwierdzam, że na mocy prawa Armia Krajowa jest jedynym wojskiem polskim na terenie Kraju. - Otmar unosi wzrok na Jaxę, jakby chciał powiedzieć „o kurwa”, ale nie mówi tego, czyta dalej: -

Wszystkie organizacje o charakterze wojskowym, które pozostają poza nią, nie podlegają jej Komendantowi Głównemu, a przez to samo legalnym władzom Rzeczypospolitej - nie stanowią w sensie prawnym części Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej...

Otmar siada. Pociera głowę, mruga.

- Zabraniam wszystkim obywatelom... bla, bla, bla... należenia do jakichkolwiek bądź organizacji wojskowych poza Armią Krajową... bla, bla, bla. - Odkłada papier na stół. - Ale nas załatwili.

- Bór dwa tygodnie temu wysłał do Londynu depeszę, w której nas napiętnował za to, że nie uznaliśmy mianowanego przez niego Lesickiego, dowódcą NSZ. Naszego kandydata nazwał tam dezterem z AK.

- Pułkownika Kmicica.

- Tak. Oczywiście nie omieszkał poinformować Wodza, żeśmy Lesickiego zmusili do podpisania zrzeczenia się stanowiska, krótko mówiąc, naubliżał nam od warcholów, słowem nie wspominając, że za naszym buntem stało jego osobiste oszustwo w sprawie warunków scalenia.

- No dobra, ale co dalej? Odmawiając nam rozkazem prawa bycia legalnymi żołnierzami Polski Podziemnej, odmawia naszym żołnierzom stopni wojskowych, awansów...

- I prawa do konwencji haskiej, w razie niewoli. Chwilę milczą. Potem Otmar chrząka i pyta:

- Gadałeś już z...

Jaxa podnosi na niego wzrok, Otmar się peszy.

- No, z tymi... hmm... twoimi...

- Tak. Wiesz, co powiedzieli?

- A chcę wiedzieć?

Jaxa śmieje się, ale niezbyt serdecznie.

- Powiedzieli, że oni całe życie są nielegalni i zawsze w opozycji, więc nie widzą w tym nic nowego.

- Uff...

- Zatem co dalej? Na kolana nie padniemy, przepraszać nie będziemy.

- Autotomia - opowiada Jaxa.

- Co?

- Pojęcie z zakresu herpetologii.

- Jaxa, możesz jaśniej?

- Jaszczurki posiadają zdolność obronną, polegającą na umiejętności odrzucenia części

własnego ciała w sytuacji zagrożenia życia.

Twarz Otmara rozpromienia się.

- Mogłeś powiedzieć normalnie! Co to, ja ogonów jaszczurkom nie odrywałem w dzieciństwie? I taki ogon potem odrasta!

- Zatem zabieramy naszą część oddziałów NSZ. Tę, którą wprowadziliśmy wprost ze Związku Jaszczurczego. I walczymy na własną rękę, nie oglądając się na AK, Stypułkowskiego i całą tę resztę, która będzie się Sowietom chciała poddać w myśl zasady „sprzymierzeńcy naszych sprzymierzeńców”. Fakty są takie, że Armia Czerwona łada dzień stanie na linii Wisły. Bór oświadcza, że powstania nie będzie. Zatem wycofujemy się wszyscy na koncentrację wojsk NSZ w kieleckie.

*

Obóz wojsk NSZ, województwo kieleckie. Lipiec 1944 roku

Nowo sformowana jednostka: 204 Pułk Piechoty Ziemi Kieleckiej. W jego składzie: oddziały porucznika Nowiny, Dymszy i Stepa. I największa część obozu - oddział Żbika.

Trwa normalna krzątanina. Musztra, czyszczenie broni. Kilkanaście pięknych dziewczyn w mundurach, z torbami sanitariuszek, odbywa osobno szkolenie wojskowe. Bosman Grzmot i Żbik śledzą je wzrokiem. Wjeżdżają furmanki, na nich kolejne ładne dziewczyny. Grzmot w rozpiętym mundurze, drapie się we włoską pierś.

- A to co?! Rany boskie...

- Szkolenie z łączności - kiwa głową Żbik.

Przy dziewczynach jest już Harry, pomaga im zsiąść, zagaduje.

- Jak długo to potrwa? - krzywi się bosman Grzmot. Żbik wzdycha, obejmuje ramieniem przyjaciela.

- Nie chcę cię straszyć, ale to jeszcze nic...

Godzinę później

Oddział Żbika na szkoleniu. Chłopcy siedzą na ziemi. Do pierwszych rzędów wysłali młodych, ci, na rozkaz Żbika, siedzą prosto. Za nimi starszyzna. Harry śpi, opierając się o Kolę. Tygrys, piegowaty jak indyjskie jajo, czyści czubkiem noża paznokcie. Dąb i Lisowski grają w kółko i krzyżyk. Ryś z Cyganem, odwracając głowy, palą papierosa na spółkę. Grzmot wyłapuje pluskwy i zgina w palcach. Żbik poleruje ryngraf brudną chustką do nosa.

- Zadaniem naszego szkolenia - tłumaczy elegancki major Kazimierz - jest podniesienie morale i sprawności bojowej żołnierza, tym samym przygotowanie do ostatecznych rozgrywek, które wkrótce nastąpią. Nie wykluczam przy tym możliwości przeprowadzenia kilku poważnych akcji...

Na słowo „akcji” Harry i Kola budzą się gwałtownie, zrywając na równe nogi. Major Kazimierz patrzy na nich zaskoczony, przygląda nienaganną grzywkę i kontynuuje:

-...plany wykonania ewentualnych akcji opracowują już nasze oddziały specjalne i „dwójka”.

Koledzy śmieją się z nich. Harry i Kola siadają niezadowoleni.

- Podczas trwania szkolenia ja przejmę dowodzenie nad oddziałem - kończy z uśmiechem Kazimierz.

- Uuuu... - zaczynają buczeć.

Żbik składa brudną chusteczkę na równiutki kwadracik i ucisza swoich żołnierzy.

- No, to na dzisiaj tyle - kończy major. - Pytania są?

- Kiedy ta akcja? - Ryś zgasił papierosa.

- Pan nie słuchał, panie plutonowy. Mówiłem, że jak oddziały specjalne przygotowują plany. Jeszcze jakieś pytania?

- Co na obiad? - zahuczał Grzmot.

Major pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Panie poruczniku Żbik, proszę ze mną do sztabu.

W budynku parafialnym w Drogowlach mieściła się kwatera dowództwa sztabu. Biurko majora Kazimierza wyglądało tak samo przyzwoicie, jak on sam. Poukładane ołówki, notesy, równo przycięty papier kancelaryjny.

- Podobno ma pan w oddziale Rosjan?

- Mam też Anglika.

- Proszę nie kpić, poruczniku. Pytam o bolszewików. Ilu ich pan ma?

- Dwóch - odpowiedział ponuro Żbik.

Jeszcze parę tygodni temu było ich trzech: Kola, Zachar, Michał. Jednak Zachar zaczął szerzyć propagandę komunistyczną, mimo napomnień dowódcy. Dostał dwa ostrzeżenia. Trzeciego nie było, bo Zachar wdał się w bójkę z chłopami we wsi, która ich gościła. Gadał im te swoje bzdety o wyrównaniu klasowych krzywd, chłopci nakrzyczeli na niego, a on się wyrwał do bicia i jednego ranił. Żbik musiał oddać go pod sąd wojenny.

- Nie chcę mieć ich w pułku - przerwał mu rozważania Kazimierz. - Trzeba ich zlikwidować.

- Jak mam to rozumieć?

- No, komu jak komu, ale panu chyba nie muszę tłumaczyć... Pan zaczynał karierę w egzekutywie...

- Panie majorze, ja żadnej kariery nie robię - ostro zareagował Żbik. - I na

rozstrzelanie Koli i Michała się nie godzę. To są dobrzy żołnierze. Walczyli ze mną i przeciw Niemcom, i przeciw komunistom. Cieszę się szacunkiem kolegów. Mowy nie ma, odmawiam wykonania rozkazu. I nie wydam go żadnemu ze swoich podkomendnych.

- Dlaczego? - naprawdę zdziwił się major elegancki Kazimierz.

- Bo skończyłbym się jako człowiek, panie majorze!

- To niech pan robi, co chce, ale ja nie życzę sobie ich obecności w pułku!

Żbik wychodząc ze sztabu, mija idące parami sanitariuszki. Śmieją się i przesyłają mu całusy dłonią. Któraś pokazuje na jego kolana. Zamyślony Żbik pochyła się i patrzy, o co jej chodzi. Mała dziurka i duża plama. Rozkłada ręce.

- Ja chętnie się tym zajmę, panie poruczniku! - woła za nim blondyneczka z dołkami w policzkach. - Mam na imię Janka!

- Ryś, Tygrys, Dąb i Lisowski, pójdziecie na zwiady.

- Tak jest, panie komendancie!

- Dziękujemy! Dupy nas już bolą od tego szkolenia!

- Nareszcie robota!

- Ćśśś... - Żbik powstrzymał ich emocje. - Gdzieś w okolicy krąży oddział AL...

- A bo to jeden, panie komendancie! My chętnie...

- Cicho, bo was do majora Kazimierza na adiutantów oddam! Milkną speszeni.

- Poszukajcie oddziału AL Świt, majora Łokietka.

- Już majora? - wyrwało się Tygrysowi. - Niedawno był porucznikiem, u nich chyba są awanse za ładne wypucowanie... - zamilkł, bo Żbik spojrzał na niego.

- W oddziale Łokietka jest taki blondyn, Jakub. Znajdźcie go i powiedzcie, że Żbik chce z nim mówić.

- Ale panie komendancie, przecież jak alowiec usłyszy „Żbik”, to w życiu nie przyjdzie!

- Ten przyjdzie, spotkaliśmy się parę razy w Łosowie, u wirtuoza zaopatrzenia partyzantki, niejakiego Fenixa.

- To Fenix im też dawał?

- Fenix dawał wszystkim, ale nie po równo. No, dalej, jakbym chciał pogadać, to bym poszedł na kurs łączniczek, do roboty!

Żbik spotkał się z Jakubem sam na sam, w gajówce dwadzieścia kilometrów od miejsca stacjonowania Pułku. Spotkał się sam na sam, ale przyjechał z obstawą, to jasne. Nie to, żeby nie ufał, wspólny przyjaciel zobowiązuje, ale lepiej dmuchać na zimne.

- Możesz mi obiecać, że krzywdą im się u was nie stanie? - spytał Żbik.

- Skąd taki pomysł? - obruszył się Jakub.

- Żebyście ich nie potraktowali jak żołnierzy NSZ.

- Zabijali naszych?

- To dobrzy żołnierze. Naprawdę dobrzy. Gdybym nie musiał, nie oddawałbym ich.

Jakub westchnął.

- Biorę. Nic się nie bój. Uścisnęli sobie ręce.

- Co u Fenixa?

- Po staremu - uśmiechnął się sucho Jakub. - Zarządza, rozdziela, dystrybuje. Karmi i żywi całą Polskę walczącą.

- Ten to ma łeb! Na ministra gospodarki z nim! Oczywiście, po wojnie.

Umilkli, bo temat był średni. Jakub westchnął i powiedział:

- Mam pytanie i proszę o szczerą odpowiedź. Czy wiesz coś o jakimś waszym, albo akowskim oddziale, który w noc świętojańską czekał na zrzut koło wsi Lelków?

- Lelków? To lubelskie, ja siedziałem cały czas po kieleckiej stronie Wisły. Ale jednego możesz być pewien: NSZ nie dostaje zrzutów. Więc ktokolwiek na nie czekał, to nie byli nasi.

Jakub kiwnął głową.

- Dobra, dawaj tych mołojców, późno się robi.

Po powrocie chciał zameldować majorowi Kazimierzowi, że wykonał zadanie, ale trafił w sam środek narady.

- Pułkownik Kmicic, dowódca NSZ, przyjechał z Warszawy na inspekcję - zdążył mu szepnąć adiutant majora.

Postawny mężczyzna o tubalnym głosie robił wicher w uporządkowanym gabinecie Kazimierza.

- Unikamy walk zaczepnych - tłumaczył się major - bo mamy niskie stany amunicji. No i opracowujemy plany...

- Jakie plany? Dobry wywiad i do roboty! A walczy się i po to, by poprawiać uzbrojenie oddziału! Co to za potyczka, po której stan broni i amunicji zmaleje? Zwołać mi, proszę, dowódców batalionów i kompanii na odprawę!

Potem było jeszcze lepiej. Pułkownik Kmicic podejmował decyzje błyskawicznie i równie szybko wydawał rozkazy. Skończyło się spanie na szkoleniach, zaczął się ruch i walka. Pułkownik każdego dnia wybierał sobie inny oddział i nim dowodził. Rozbili rabunkową bandę Maślanki i choć on sam im uciekł, to dwudziestu ośmiu komunistów wzięli do niewoli. Zaraz po tym znalazła ich delegacja miejscowych Batalionów Chłopskich.

- Koledzy, ratujcie! Niemcy zrobili obławę. Kilkanaście samochodów, obstawiają wsie i aresztują naszych. Mają imienne listy...

- Idziemy! - podjął decyzję Kmicic i zwrócił się do bechowców.

- A wy wracajcie, obserwujcie ruchy Niemców i za dwie godziny na skrzyżowaniu pod Żarnowcem dacie nam najnowsze informacje. Żołnierze! Na ramię broń i batalionami do kościoła! Msza święta, a potem Niemiec nas popamięta!

Skrzyżowanie dróg. Dwie godziny później

Kmicic wydaje rozkazy.

- Pan - pokazuje na Żbika - okrężną drogą osiągnie ten las i od strony lasu poprowadzi natarcie na wieś. Porucznik Step zamknie Niemcom drogę odwrotu. Ja z batalionem porucznika Nowiny urządzimy zasadzkę na cofających się Niemców w tym miejscu. Mysz się nie prześlizgnie!

Żbik z trzystoma ludźmi pomaszerował szybko, rozwijając batalion. W złotym zbożu raz po raz migały koszule i kobiece chustki, niczym maki i chabry. Przerażeni ludzie, którzy przed Niemcami uciekli ze wsi.

- Niemców nie ma! Byli, zabrali chłopów i odjechali pół godziny temu! - płaczą kobiety.

- Mój już nie wróci! Zamooorduj gooo!...

Chwilę później Żbik z powrotem meldował się dowódcy.

- Co macie takie zawiedzione miny? - Kmicic spojrzał po oddziale. - Nieprzyjaciela trzeba szukać! On sam do nas nie przyjdzie, panowie! Panie poruczniku - zwrócił się do Żbika i stuknął patykiem w mapę. - Idziecie drogą na Czarnocin. Gdzieś musimy ich dopaść!

I nie mylił się. Dopadli ich kilka kilometrów przez Czarnocinem. Limuzyna, wóz ciężarowy z żandarmerią i przyczepionym do niego działkiem przeciwpancernym. Cztery ciężarówki pełne żołnierzy.

- Karna ekspedycja - warknął Żbik, leżąc z plutonem straży przedniej w łanie przydrożnego zboża i czekając na najlepszy moment.

- Ognia! - ryknął.

Rozszczękały się karabiny maszynowe i odpowiedział im krzyk Niemców. Wielu padło od pierwszej salwy, ci, którzy przeżyli atak, wyskoczyli i zajęli stanowiska, odstrzeliwując się gęsto. Automaty i karabiny przekrzykują się w ujadaniu.

- Do ataku! - krzyknął Żbik, widząc, iż choć Niemców jest mniej, to świetnie uzbrojeni, chcą bronić się do upadłego.

Gdy ruszył na nich Grzmot, grzejąc ze zdobycznej pepeszy, przygięło ich na chwilę do

ziemi. Część nie wytrzymała gwałtownego natarcia i zaczęli cofać się. Żbik poderwał pluton i okrążyli ich, pochylając się w gęstym ziele. W zgiełku natarcia Niemcy nie usłyszeli i nie zobaczyli zachodzących od tyłu ludzi Żbika.

- Do ziemi! - krzyknął, strzelając.

I zrobili to nie pierwszy raz, przygważdżając nieprzyjaciela tak, że ani nie wstał, ani się nie odwrócił.

- I po wojnie, spocznij!

Gdzieś tam pojedyncze strzały, Ryś, Tygrys i Dąb przepatrywali rowy i żyto, szukając niedobitków. Kmicic - ten jego Kmicic, dawny bandzior - przeładował automat i skierował w głowę Niemca w mundurze majora.

- Nie strzelaj! - wrzasnął Żbik.

- I co z nim zrobimy? - z trudem dał się oderwać od roboty Kmicic. - Zawieziemy sanitariuszkom, by mu opatrzyły łeb?

Rzeczywiście, major był ranny.

- Jeszcze nie wiem, ale póki gra nie skończona, nie warto wyrzucać asów z rękawa. Na samochód z nim. W nagrodę pojedziesz do pułkownika z meldunkiem.

Kmicic bandzior, odkąd do pułku przybył Kmicic pułkownik, chodził z uniesioną dumnie głową. Pochlebiali mu, że on i dowódca NSZ czytali tę samą książkę.

- Osiemnastu zabitych. Zdobył działo przeciwpancerne i czterdzieści sześć sztuk amunicji do niego, karabiny policzymy później. Leć, melduj.

Po półgodzinie batalion był pozbierany. Obsiedli zdobyte samochody i postanowili sobie podjechać. Żbik usiadł za kierownicą czarnej limuzyny. Kmicic biegł naprzeciw nim drogą i zdębiał, widząc swego dowódcę w roli szofera.

- Co tam, żołnierzu? - wychylił się przez okno.

- Pułkownik Kmicic prosi o to działo, natychmiast. W Czarnocinie żandarmi zabarykadowali się na posterunku granatowej policji. A w środku są ci uwięzieni chłopcy, cośmy im jechali na odsiecz.

- A granatowi też są wewnątrz?

- Też.

- To zamiast działa przeciwpancernego użyjemy naszego Niemca. O ile pułkownik się zgodzi, oczywiście!

Zgodził się. Z działa przewróciliby komendę jak domek z kart, ale nie wiadomo, ile by zginęło chłopów i granatowych policjantów.

Niemiecki major negocjował z bronią Żbika przy skroni. Posterunek poddał się,

rozbroili żandarmów, wypuścili więźniów.

- Zabije mnie pan teraz? - zapytał major.

- A czy jest w pańskiej mocy uchronić okolicę przed represjami za dzisiejszą akcję? - odpowiedział pytaniem na pytanie Żbik.

- Jestem, za darowanie mi życia. Przysięgam, że włos z głowy nikomu z miejscowych nie spadnie.

- Pomówię z dowódcą - powiedział Żbik i poszedł do pułkownika.

- To pana jeniec i pana teren, za który pan ponosi odpowiedzialność. Ja, choć zwierchnik, jestem tu na gościnnych występach. Panu pozostawiam decyzję.

Żbik wrócił do majora i oznajmił:

- Chcę mieć pana przysięgę na piśmie. Jeśli cokolwiek złego komukolwiek się przydarzy, wrócę i dopadnę pana, majorze.

- Jeden cekaem, trzy erkaemy, sześć pistoletów maszynowych, dziewiętnaście karabinów ręcznych, pięć pistoletów, czterysta pięćdziesiąt granatów i fura amunicji.

- I działo przeciwpancerne!

- Tak jest!

- Straty własne?

- Sierżant Czarny ranny w głowę.

- Poruczniku Żbik, podobasz mi się pan! - Pułkownik klepnął go w plecy, aż ten jęknął. - Siadaj pan ze mną i przeglądaj.

- Co to? - spytał Żbik.

- Meldunki radiowe.

Na biurku kiedyś majora eleganckiego Kazimierza kłębiły się stosiki kartek.

Ofensywa bolszewicka. Rosjanie atakują na wszystkich frontach. Niemcy likwidują urzędy w Kielcach, Krakowie i Warszawie. Ucieczka na zachód. NKWD morduje podziemie. Giną żołnierze AK biorący udział w akcji Burza. Mordują BCh, PPS, NSZ i akowców nieujawnionych. Mordują nawet polskich komunistów. Niemcy zaostarzają represje, za pomoc Sowiecom rozstrzeliwują na miejscu. Sowieci rozstrzeliwują za sprzyjanie Niemcom. Gwałty, rabunki, mordy znaczą szlak marszu Armii Czerwonej.

- Apokalipsa - jęknął Kmicic.

- Azjatycka dzicz - przeżegnał się Żbik. Pułkownik otrząsnął się i wstał.

- A w dupę z ambicją! Wracam do Warszawy i jadę prosto do Bora. Zamelduję mu się osobiście. W tej sytuacji nie ma żadnych „ale”. AK i NSZ muszą razem stawić czoło czerwonej zarazie! Nawet jeśli politykom to się nie podoba!

*

Majątek Nikisiałka, niedaleko Opatowa, kieleckie. Lipiec 1944 roku

- Stać! - krzyczą alowcy, widząc, iż major Zub-Zdanowicz zawraca bryczkę. Mierzą do nich z kałasznikowów.

- Wy co za jedni? - pyta sierżant, wpatrując się w saperki Juranda i macając torbę Fali.

- Co tu macie?

- Warszawiacy - spokojnie odpowiada Zdanowicz. - Przyjechaliśmy szukać jedzenia. Skupujemy wszystko, jak leci. Schab, rąbanek, boczek, jaja, warzywa...

- Wysiadać! Do środka! - Pod lufami prowadzą ich do dworku. Ząb przysuwa się blisko Fali. Wchodzą do środka. I wpadają na Kazię.

- Jaśnie panienka! - krzyczy pokojówka, mimo iż Fala kładzie palec na ustach. - O jejciu, a starsza pani właśnie wyjechała! - Kazia orientuje się, że powiedziała coś nie tak, i robi minę tak bezdennie głupią, że aż jej szkoda. Niestety, usiłuje naprawić swój błąd.

- E, to znaczy, ta starsza pani, której panienka nie zna, wyjechała. I ja też nie znam panienki, tylko tak mówię...

Alowiec chwyta Kazię za włosy.

- Kto to jest?

Kazia przeczy głową. Z oczu płyną jej łzy. Na to wszystko wchodzi młody mężczyzna w mundurze leśniczego.

- Tych tu zamknąć pod kluczem. A pokojówkę zaprowadź do mojego pokoju. Będę ją bił, aż puści farbę - mówi to, patrząc Fali w oczy. Falę zamykają razem z Jurandem w bawialni. Zęba osobno, w alkowcie.

Tylko dwóch strażników i niestrzeżone okno - myśli - rozbroiłbym ich bez trudu. Ale jeśli zwieję, zabiją Falę. Niech to szlag.

Słyszał fortepian. Grają, żeby zagłuszyć krzyk Kazi?

Chyba tak, bo po chwili zaprowadzili go do bawialni i ustawili obok Fali i Juranda. Ten w mundurze leśnika popychał przed sobą Kazię. Miała podbite oko, z nosa płynęła jej krew. Dołączył do nich nowy, w cywilu.

- Cześć, Góral - przywitał się z leśnikiem. Obecni alowcy patrzyli na niego z szacunkiem.

Pewnie jakiś politruk - pomyślał Ząb i się nie mylił. Cywil prowadził konfrontację.

- Kto to? - spytał Kazię.

- Hrabianka Wybranowska.

- Nie jestem żadną hrabianką! - tupnęła Fala.

- A ten? - pokazał na Juranda.
- Nie znam. - Kazia opuściła głowę, otarła krew wierzchem dłoni.
- A ten?
- Major Ząb, dowódca z lubelskiego.
- No to mamy cię, Ząbeczku! - ucieszył się Góral.

Popchnęli go w kierunku alkowy, w której siedział wcześniej. Cywil i Góral weszli do środka i przyglądali się mu, jakby był egzotycznym zwierzęciem.

- Z ciekawości spytam - zagadnął wesoło cywil - co pan by zrobił, gdyby spotkał człowieka, co zabijał pańskich ludzi?

- Strzeliłbym mu w łeb - odpowiedział szczerze Ząb.
- No i dobrze, że chociaż w czymś się zgadzamy! Bo to właśnie pana czeka!

Wyszli. Jego dwaj strażnicy zostawili otwarte drzwi i zasiedli w nich na wyściełanych krzesłach. Zdanowicz sięgnął po pierwszą z brzegu książkę. Położył się na łóżku i czytał.

Rękopis znaleziony w Saragossie
Romans wydany pośmiertnie
Z dzieł Hrabiego Jana Potockiego

- Hrabie to tylko hrabiów czytają - parsknął z oburzeniem alowiec.
- O, to miło, że pan potrafi czytać - pochwalił dobry wzrok junaka Zub-Zdanowicz.
- A niech mi pan powie - alowiec przyjął pochwałę z zadowoleniem - do czego wy dążycie? Czy naprawdę wydaje się hrabiom, że można utrzymać kapitalistyczne przeżytki?
- Wierzą w księcia Czartoryskiego - pokiwał głową drugi - to antypostępowi reakcyjniści. Hamulcowi socjalistycznej rewolucji. Właściciele niewolników i kolonialistów.

Zub-Zdanowicz parsknął śmiechem.

- Ależ wam pranie mózgu zrobili! - pożałował ich. - Powinniście mieć wśród siebie chociaż jednego wykształconego, coby wam ziarno od plew oddzielał. Wiecie, kto politycznie stoi za Narodowymi Siłami Zbrojnymi?

- Wiemy - odpowiedzieli, przecząco kręcąc głowami.
- A pamiętacie postulaty ONR sprzed wojny? Radykalizm społeczno-gospodarczy, nacjonalizacja przemysłu i reforma rolna. Obóz Narodowo-Radykalny - zaakcentował ostatnie słowo. - Jak mnie puścicie, przyniosę wam nasze pismo, poczytacie sobie o reformach dla Polski.

- Nie słuchaj - poradził szeptem jeden drugiemu. - To kapitalistyczny lep, którym chce zamydlić nam oczy.

Wrócił do Potockiego. Z bawialni znów dało się słyszeć fortepian. Ktoś bez wątpienia

uzdolniony muzycznie próbował grać Międzynarodówkę ze słuchu. Janko Muzykant? Raz po raz wybuchały śmiechy. Rozróżnił głos cywila, który ich przesłuchiwał.

- Co jak co, ale wino to hrabiowie mają niezłe! Uhm, zdobywają piwniczkę - skonstatował.

Po jakimś czasie rozległo się wołanie:

- Obiad! Obiad!

I majora wyprowadzono. Przy dużym stole w jadalni, na ćmielowskiej porcelanie podano posiłek. Do stołu zasiedli oficerowie, Fala i Jurand, Ząb i jeszcze kilku niższych rangą. Kazia z umytą od krwi, ale wciąż napuchniętą twarzą, podawała.

- To jest nóż do ryby - szepnął złośliwie Zdanowicz, widząc, jak cywil nie może odkroić kawałka mięsa.

- Co za gówno - zdenerwował się ten i odrzucił nóż ze wstrętem.

- Coś ty mi podała? - ryknął na Kazię.

- Równość równością, ale miło, jak ktoś obsłuży, prawda, towarzyszu? - Zdanowicz pogryzał się nieustannie.

Gdy wstawali od stołu, Fala wetknęła mu w rękę karteczkę. Natychmiast mu ją odebrali.

- Modlitwa do Najświętszej Marii Panny! Też coś! - zaśmiał się Góral i oddał mu kartkę, robiąc komiczną minę. - Proszę, Ząbeczku, na pewno panu pomoże.

Złowił smutne i oburzone spojrzenie Marii Wybranowskiej.

- No dobra, żarty żartami. - Politrak wszedł do jego więziennej alkowy i bezceremonialnie przeglądał rzeczy Zdanowicza. Wybrał sobie płaszcz i portfel z pieniędzmi i dokumentami.

- Panu i tak już nic się nie przyda - oświadczył całkiem poważnie.

- Jeszcze zegarek - równie poważnie pokazał mu nadgarstek Ząb. Cywil nachylił się nad nim i machnął ręką.

- E, mam lepsze.

Na dowód podciągnął rękaw marynarki. Złote bransolety, dobre skórzane paski. Jeden obok drugiego, pięć.

- Ten drugi jest damski - uświadomił go Ząb.

- Tak? To będzie dla żony.

Gdy poszedł, Zdanowicz nie zważając na obecność obu strażników uklęknął i zaczął powtarzać modlitwę przekazaną mu przez Falę. Nie omieszkiał obiecać Bogu i Najświętszej Maryi Pannie, że jeśli wyjdą z tego cało, będzie tę modlitwę powtarzał codziennie.

Zaczął zapadać późny, czerwcowy zmierzch. Zub-Zdanowicz wciąż klęczał. Nagle usłyszał tupot na zewnątrz i okrzyki: „Alarm!”.

Stepowcy - pomyślał.

- Wyprowadzić go! - rozkazał Góral strażnikom i sam wybiegł na zewnątrz.

- Chcę pożegnać się z przyjaciółmi - powiedział do nich Ząb.

- Nie!

Gdy go wyprowadzali, popychając przed sobą, mignęła mu tylko blada twarz Fali. Na zewnątrz zobaczył kilkunastu cywili z rękoma uniesionymi do góry. Za ich plecami otwarta furtka prowadziła do parku.

To tylko kilkanaście metrów - pomyślał. Góral wydawał pośpieszne rozkazy.

- Pakować wozy i do lasu!

Ząb dostrzegł, że kilku cywili skorzystało z zamieszania i wymknęło się furtką do parku, znikając w ciemności starodrzewu.

- Jeden pluton zabezpiecza ewakuację, drugi tabory! - krzyczał Góral.

- A co z nim? - zawołał strażnik, wskazując na Zęba.

- Walcie w łeb! - rozkazał i pobiegł w głąb podwórza.

Słyszał, jak przeładowują broń. Wiedział, że musi wiać. Poczuł szturchnięcie, nie chcieli rozwalać go na ganku. W tej samej chwili krzyknął za bieżącym Góralem:

- Panie komendancie!

Góral odwrócił się, jego strażnicy spojrzeli w stronę dowódcy. Tego ułamka minuty potrzebował major. Skoczył w stronę otwartej furty.

Rozległy, dawno nie strzyżony trawnik. Z boku kępa krzaków. Biegł ku nim. Usłyszał serię z pepeszy i jednocześnie poczuł, jakby go przewiało z lewej strony. Następna seria. Zrobił kilka zwodniczych susów, jak goniony zając i skoczył w krzaki.

Kurwa, głóg! - jęknął i potoczył się po skarpie w dół.

Krzaki osłaniały brzeg sporego stawu. Zarył ostro, wczepił się palcami w mokrą trawę i poderwał, wyrywając jej kępy. Ruszył biegiem dookoła. Zobaczył, że równolegle z nim biegnie alowiec.

Wyrwać mu karabin - pomyślał. I jednocześnie zobaczył po przeciwległej stronie stawu drugiego. - Nie. Jak wyrwę temu, drugi mnie strzeli.

Od strony dworu słychać było serię za serią. I nagle, nie wiedząc czemu, krzyknął do obu alowców:

- Strzelają, uciekajmy! - I w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że oni naprawdę nie gonią go, ale zwiewają swoim. Staw kończył się rzeczką płynącą gdzieś, na wprost. Alowcy

biegli równo z nim, słyszał ich rwący oddech. Przeskoczyli płytką rzeczkę wspólnie, woda spod nóg biegnącego przed nim prysła mu w twarz, na chwilę zalała oczy. Poczuł, że spadają mu buty, więzną gdzieś w mulistym dnie. Biegł dalej, boso.

Zobaczył na wprost odkryte pola, a po prawej wąwóz. Skręcił w niego gwałtownie. Alowcy pobiegli prosto i któryś z nich zawołał:

- Powodzenia, panie majorze! Ku chwale wolnej Ojczyzny!

Biegł w górę wąwozem, aż dotarł na skraj pola. Żółtozielony łąn nie skoszonego żyta. Wyobraził sobie, jak zostawia w nim ślad, niczym robak drążący dojrzałe jabłko. Cofnął się i gwałtownie odwrócił w bok - zabudowania wsi, przed nimi gęste łożyny. Ruszył ku nim i tuż przy pierwszej z brzegu chałupie zapadł w krzaki.

Przeczekam do późnej nocy - pomyślał. - Skoro ktoś ich wypłoszył z Nikisiałki, nie będą szukać mnie zbyt gorliwie.

Uspokajał gwałtownie bijące serce. Fala, Fala, Fala. Dowódca nie powinien mieć ani narzeczonej, ani świnki. Miłość to nie pomysł na wojnę. Oczywiście w tej samej chwili nasunęły mu się przed oczy obrazy. Fala dająca mu modlitwę. Fala ładująca rannego Kreta na wóz w Borowie, pod ostrzałem. Fala naga w lesie, w dzień powołania Legii. Fala podglądająca leśniczówkę Brzoza przez lornetkę. Dla równowagi usiłował sobie przypomnieć Falę wredną, ale dzisiaj to już było trudne.

Słyszał tupot i głośny oddech pogoni.

- Chuj by go strzelił, hrabia ZąbPotocki! - Poznał po głosie sapiącego strażnika.

- Widział ojciec gdzie uciekiniera? - To ten drugi.

- Jakiego? - zaskrzeczały drzwi chałupy i starzec.

- Taki hrabia jeden. Z popsutą brwią.

- E, synkowie, tutaj nikogo oprócz was nie było! A Burka mojego nie widzieli? Polazł ladaco i nie mogę się nawołać...

- Dobra, wracamy. Pewnieśmy go ustrzeli i leży gdzie w krzakach. Burka? Tylko kundla zabłąkanego mi trzeba - pomyślał Ząb. Wracając, przeszli tak blisko niego, że czuł zapach spoconych mundurów, słyszał buciory rozgniatające wilgotną, gliniastą ziemię.

W środku nocy, w absolutnej ciszy, wstał i ruszył, omijając wieś. Wcześniej odtwarzał w myśli mapę terenu po wielokroć i kierował się na Opatów. Było niemal jasno i jak stwierdził, patrząc na zegarek, którym pogardził politruk, przed piątą, gdy spotkał chłopca z furmanką.

- Dobry człowieku! Napadli mnie jakieś zbójce! - poskarżył się, pokazując boscie nogi. - Zabierzesz mnie do miasta?

- A wsiadaj pan! Tyle się tego tałatajstwa namnożyło! Moja stara mówi, że im czerwoni bliżej, tym gorzej! Już niedługo i psy nam zaczną po rusku szczekać!

Razem dojechali do Opatowa. Wiedział, że jeśli zatrzyma go żandarmeria, trafi do aresztu za brak dokumentów. Najlepszym, choć ryzykownym wyjściem, wydało mu się zgłosić samemu na posterunek granatowej policji. Tak zrobił.

- Przyjechałem z Warszawy, rozumie pan władza, na handel. Jajek kupić, mięsa. I w majątku Nikisiałka napadli mnie zbójce z AL. Dokumenty i pieniądze zabrali.

- Ano, my już wiemy o bandyckim napadzie. Żandarmeria z Opatowa właśnie przepędziła z Nikisiałki bandziorów. Wystawię panu taki dokument zastępczy, żeby pan mógł bezpiecznie dotrzeć do Warszawy. Ale ma pan siedem dni, żeby wyrobić prawidłowe papiery, inaczej grozi panu areszt.

- Żandarmeria z Opatowa?

- Ano tak. Tę pannę właścicielkę majątku i gości Niemcy odwieźli na pociąg do Warszawy. A czerwoną zarazę pogonili.

Najświętsza Mario Panno! - jęknął w duchu Ząb. - Codziennie modlitwę z karteczki...

Wyszedł z komisariatu. Zrobił kilkanaście kroków, gdy usłyszał, że ktoś za nim biegnie. Odwrócił się. Granatowy policjant.

- Panie komendancie - szepnął tamten - pamięta mnie pan? Uratował mi pan życie... chciałbym się odwdziżyć.

Patrzył w jego twarz i nie pamiętał.

- Pan major Ząb - uklonił się nieznacznie policjant. - Ujął mnie pan. Pańscy oficerowie chcieli mnie strzelić, a pan nie pozwolił i puścił. Chcę panu pomóc.

- Pomylił mnie pan z kimś - odrzekł po namyśle Ząb. - Ale jeśli ma pan zbędne buty...

Na ulicach o tej porze było pusto. Policjant kiwnął głową i schylił się. Po chwili w ręku Zęba była para jego butów.

- Ku chwale Ojczyzny, panie komendancie! - szepnął mężczyzna.

Ząb dotarł do Warszawy, jadąc pociągiem na gapę. Ani razu nie pomyślał, że ma pecha. Stawił się w komendzie NSZ, a tam zajęto się wyrobieniem dla niego papierów.

- To potrwa, ale pańska narzeczona też tu jest i nasz Jurand - uśmiechnęła się ujmująco sekretarka sztabu. Po godzinie ścisnął Fałę w ramionach.

- Modlitwa do Najświętszej Marii Panny - szepnęła, gdy zdążyli się sobą nacieszyć.

- Tak, pomogła - ucałował jej czoło, policzki. Popchnęła go lekko.

- Na kolana, majorze! Trzeba podziękować!

Spędzili miodowe dwa tygodnie w Warszawie, czekając na nowe dokumenty. Gdy

były gotowe, zjawił się adiutant Kmicica.

- Pan pułkownik na pana czeka.

- Byłem na inspekcji w Kieleckiem! - oznajmił, zacierając ręce dowódca. - Cudowne dzieci! Co za chłopcy! 204 Pułk Piechoty Ziemi Kieleckiej, tak nazwaliśmy nowo sformowaną jednostkę! Niech pan rusza do Kielc, tam osobiście dostarczę rozkazy, by objął pan dowództwo Grupy Zachód. Sowieci stanęli nam na linii Wisły. Sucze syny! Byłem dzisiaj u Bora, w komendzie głównej AK. Pytałem, co zamierza. Powiedział: „Powstania nie będzie”. Ja mu na to: „I dobrze, bo to był najgłupszy pomysł, o jakim słyszałem!”. Będziemy wobec tego ewakuować eneszetowców z Warszawy na zachód. Wszystkie siły na Kielecczynę, majorze!

Na drugi dzień Ząb i Fala wsiedli do pociągu do Częstochowy. Do Kielc akurat nie było, do Lublina już nie chodziły. Kiedy wysiedli na dworcu w Częstochowie, zobaczyli na peronach zwiększone patrole. Żandarmeria, psy.

- Co się stało? - spytał major kolejarza.

- Nie wiesz pan? W Warszawie wybuchło powstanie!

Część VIII

BRYGADA

Częstochowa. Pierwsze dni sierpnia 1944 roku

Kwatera majora Radosza (Jana PorayWybranowskiego), komendanta okręgu częstochowskośląskiego NSZAK.

NSZAK - ta część Narodowych Sił Zbrojnych, która po niedawnym rozłamie pozostała „scalona z AK”, czyli podlegała rozkazom pułkownika Lesickiego i Bora.

- Tatuś! - Fala rzuciła się ojcu na szyję, a Zub-Zdanowicz stał jak listonosz w przedpokoju.

- Majorze. - Radosz skinął mu w końcu głową, wcale nie uwalniając się z objęć córki.

- Mi też miło pana widzieć, komendancie.

- To się jeszcze okaże! Pan jesteś w którym NSZ? - zagrmiał ojciec jego narzeczonej.

- Nie rozumiem - odrobinę skłamał Ząb.

- Podlegasz pan Lesickiemu czy Kmicicowi?

- Kmicicowi - z dumą oświadczył Zdanowicz.

- Błąd! Ja jestem w legalnym NSZ!

- A ja w tym, które walczy - wyrwało się Zębowi i trzeba było stu słodkich całusów Fali, by uśmierzyć konflikt majorów oraz przyszłych teścia i zięcia. Gdy w końcu usiedli przy stole, Radosz oznajmił:

- Diabli wiedzą, jak to dalej będzie. Koncentracja w Kieleckiem i komu podporządkują te oddziały?

Kmicic mówił, że mnie - pomyślał Ząb, ale dosyć miał swarów na dzisiaj i taktownie, jak mu się zdarzało, przemilczał.

- 204 pułk piechoty utworzyli, nasz Step też wszedł w jego skład - perorował Radosz, a Fala wcale nie delikatnie kopła Zęba pod stołem.

Niepotrzebnie, przecież wiedział, że jak stary major mówi „nasz Step”, to mu się wtrącał nie będzie.

- Żbik wszedł z wielkim oddziałem w skład pułku, Bem, Wilk i inni. Przyznać im trzeba, że przez miesiąc jak tam siedzą, to nie siedzą, tylko Niemcom pióra poprawiają. A my tu meldunki czytamy, psiakrew! Mówię ci, chłopcze - grzmiał major, a Fala parsknęła śmiechem, nie wiadomo na co - co duże wojsko, to duże! Niemiec już się boi nos z posterunku wyściubiać! Ha! A wy też macie szczęście, co? Wyjechaliście z Warszawy dzień

przed powstaniem! Kto by przypuszczał!

- Komendant Główny AK jeszcze dwa dni wcześniej zapewnił NSZ, że powstania nie będzie - Ząb wreszcie zdołał się przebić przez autorytarny głos Radosza.

- To głupota! Powstania nie wygrają, a...

-...a zginą tysiące - weszła ojcu w słowo Fala. Jej drobna twarz, blada i poważna, była w tej chwili tak podobna do tej na ryngrafie. Oczywiście, gdyby miała porządne, długie włosy, takie jak Ząb lubił u kobiet. - To stolica... Niemcy zemszczą się na Warszawie okrutnie, Sowietci zduszą ją ze wschodu... Boże Wszechmogący, odpuść im winy...

- Amen - zakończył zmieszany Radosz. Odchrząknął. - Wywiad sprawdza, czy drogi do Warszawy przejezdne, bo rozważa się i pomoc walczącej stolicy.

- Pan w to wierzy, majorze?

- Tak tylko mówię.

Nazajutrz Radosz obudził Zęba wcześniej. Oczywiście mowy nie było o jakimś wspólnym łóżku z Falą.

- Wstawać - szepnął.

Gdy Zdanowicz wyszedł do kuchni, major miał zafrasowaną minę.

- Słuchaj, chłopcze. Przyjechali po ciebie.

- Kto?

- Jaszczury.

Zdanowicz przez sekundę pomyślał, że jeszcze śpi, ale zaraz otrząsnął się i mniej więcej obudził.

- Taki major NSZ z Warszawy, Jaxa. Wiesz, kto to?

- Tak. Związek Jaszczurczy.

- Uhm. I drugi, pseudonim Nałęcz, z wywiadu, psiakrew. Wyznaczyli ci spotkanie w majątku Zdrowa, to niedaleko. - Radosz patrzył na niego z czymś w rodzaju sympatii. - Bardzo cię lubiłem, chłopcze. Dlatego poradzę: może uciekaj?

Zdanowicz roześmiał się.

- W życiu. Przed przeznaczeniem nie można uciec, majorze. A rozkaz to rozkaz.

Radosz pokiwał głową.

- Słusznie. Ale jeśli chcesz jechać, to dam ci obstawę. Mojego własnego syna, Świdra!

- Jestem zaszczycony! - powiedział Ząb i uściśnął mu rękę. Gdyby stary wiedział, że jadę przyjąć stanowisko dowódcy, to by trupem padł - pomyślał zyczliwie, ubrał się i wraz ze Świdrem ruszył w drogę.

Majątek Zdrowa pod Częstochową. 12 sierpnia 1944 roku

Przywitał go szczupły blondyn o trudnej do zapamiętania twarzy.

- Major Jaxa, komenda NSZ. - Uścisnął mu dłoń.

- Major Nałęcz - przedstawił się drugi i Zdanowicz domyślił się, że to gość z wywiadu.

Jednak jego uwagę przykuwał ten nijaki. Więc to jest mózg Związku Jaszczurczego?

- Panie majorze - odezwał się do niego stonowanym głosem - zanim zaczniemy rozmawiać, muszę upewnić się, czy pan jest świadom obecnej sytuacji. NSZ uległy podziałowi.

- Ja też muszę panom coś oświadczyć. Przyjąłem rozkazy od pułkownika Kmicica.

- Wobec tego jesteśmy po tej samej stronie - skinął głową Jaxa i Ząb z zaciekawieniem zauważył, iż można mówić, niemal nie poruszając twarzą. - Niestety, pułkownik Kmicic został odcięty od nas przez powstanie. Miał dołączyć do zgrupowania w Kieleckiem, ale wobec słowa danego przez Bora, że powstania w stolicy nie będzie, został jeszcze na miejscu celem uporządkowania spraw sztabowych.

- Ilu naszych zostało w Warszawie? - spytał Ząb, który miał świadomość, że wyjechali z Falą w ostatniej chwili.

- Nie wiem. Ewakuacja była w toku. Szacuję, że między tysiąc a dwa tysiące żołnierzy, oczywiście licząc łącznie, z obu podzielonych części NSZ. Ale pozwoli pan, majorze, że to ja będę pytał?

- Oczywiście.

- Co obiecał panu pułkownik Kmicic?

- Dowództwo Grupy Operacyjnej Zachód - odpowiedział Zdanowicz, myśląc, że właściwie lubi grę w otwarte karty.

- Powstanie pokrzyżowało nam plany. Nie ma Grupy Operacyjnej Zachód. Wczoraj z wojsk zgromadzonych na zgrupowaniu powołaliśmy główną, a między nami mówiąc, jedyną, jednostkę strategiczną Narodowych Sił Zbrojnych - Brygadę Świętokrzyską.

- Godna nazwa.

- Ja wymyśliłem - przyznał się bez cienia radości Jaxa. - I jestem zastępcą jej dowódcy. A major Nałęcz jest szefem wywiadu.

- Gratuluję - powiedział Ząb, konstatuując, że naprawdę plany się zmieniły.

- Dowódcą Brygady został podpułkownik Bohun z kieleckiego Okręgu NSZ. A pan...

- A ja nie - domyślnie stwierdził Ząb i przypomniał sobie o pechu. Dlaczego Kmicic został w Warszawie?

- A panu proponujemy dowództwo jednego z dwóch pułków wchodzących w skład

Brygady.

Zub-Zdanowicz poruszył pękniętą brwią i nic nie powiedział. Zaległa więc cisza.

- Albo - odezwał się po chwili Jaxa z nieruchomą twarzą - stanowisko szefa sztabu całej Brygady.

Zdanowicz nadal milczał. Ale wiedział, że skoro dowódca i zastępca są naznaczeni, to jemu nic wyżej nie pozostaje.

- I bardzo nam zależy, by pan, jako doświadczony w walce partyzanckiej, zaszczyt ten przyjął.

I prowadził was za rękę, drodzy chłopcy z miasta - pomyślał Zdanowicz. Potem zaś, jak zawsze w chwilach, gdy było mu źle, przypomniawszy sobie „ciotki” i spacer rehabilitacyjny po Warszawie. Albo państwa Smith śpiewających Kalinkę. I jakby wbrew jego intencjom, wyrwał mu się obraz Borowa, pacyfikowanego przez Niemców. I jego chłopaków, Stepa, Cichego, Znicza. Nawet tego bystrzacha, Rzędziana. Pomyślał, że dość już było w tym kraju targowania się o władzę. I wyciągając rękę do Jaxy, powiedział:

- Zgoda.

Gdy wyszedł z dworku na świeże, sierpniowe powietrze, nie pamiętał już jego twarzy. Lepiej się jej naucz - skarcił się w duchu. - To będzie twój dowódca.

*

Lasocin, województwo kieleckie. Dzień wcześniej

Oddziały maszerują na miejsce zbiórki i ustawiają się w czworobok. Przybywa ich. Żołnierze ustawiają zdobyczną broń maszynową przed frontami oddziałów. Cekaemy, erkaemy.

- Ale tylko my mamy działko przeciwpancerne! - szczerzy zęby bosman Grzmot. Chce się nawet z radości podrapać po włochatej piersi, ale zapomina, że ma zapięty mundur na tę wielką uroczystość.

- O rany, chłopcy, aleśmy ładni!

Młodzi są spięci. Starzy zresztą też. To będzie ich pierwsza defilada. Ci dwaj, co dołączyli do nich wiosną, Robercik i Dzidziur, co Żbik oszacował, że szesnaście lat to mają chyba na spółkę, stoją na końcu kompanii. Ale już nie na samym końcu. Zmężnieli. Saperki wypucowali, że mogą się w nich przeglądać. Mundury zmniejszyła im kobiecina ze wsi, co mówiła o nich „wnusie”. Nosili jej wodę, rąbali drewno i wyglądają teraz zawodowo.

Na piersiach lśnią ryngrafy. Ci, którzy mają pistolety i rewolwery, mają też do nich sznury. Smycze, mówią na nie i noszą z dumą. Plecione z miękkiej skóry albo z kawałków jakiegoś materiału, wszystko zależy od talentu dziewczyny, która smycz robiła i ofiarowała.

Niektórzy mają po kilka smyczy, choć nawet sam Żbik i Ryś, i Tygrys raczej nie prześcigną Harry'ego. Robercik, Dzidziur i chłopcy z końca kompanii nie mają żadnych smyczy, to jasne. Babcie nie robią takich rzeczy.

Podpułkownik Bohun jest szczupłym, ciemnowłosym, ogorzałym mężczyzną, na oko po czterdziestce. W furażerce, bryczesach z lejem, zgrabnych oficerkach. Spokojny. Chyba uśmiechnięty, choć na pewno nie roześmiany. Dosiada równie opanowanego jak on sam konia. Za nim jadą konno oficerowie sztabu.

Dowódcy batalionów i kompanii raportują.

- Porucznik Żbik zgłasza trzecią kompanię pierwszego batalionu dwieście czwartego pułku piechoty!

- Baczność! Defilada na prawo! Dudni ziemia.

- Żołnierze! - przemawia Bohun. - Kochani żołnierze! Dumny jestem, że dane mi dowodzić wami!

Bosman Grzmot pociąga nosem, pewnie ma katar. Robercik i Dzidziur płaczą, na szczęście nikt na nich nie patrzy. Wszyscy utkwili wzrok w dowódcy.

- Dziś, kiedy wojna ma się ku końcowi, kiedy Niemcy są już zdychającą szkapą, a klęska ich jest kwestią czasu, na naszej drodze do wolności staje drugi potężny wróg i nasz ciemieżca - Rosja Sowiecka. Żbik patrzy na swoją trzecią kompanię pierwszego batalionu z końskiego grzbietu i zza pleców nowego dowódcy. Patrzy na te ogolone dzisiaj pyski. Widzi wzruszenie. Sam też ma jakiś ucisk w żołądku.

-...zbrodnie dokonane na ciele Rzeczypospolitej Polskiej, świeże rany z 1939, Katynia, masowych mordów niewinnej ludności w czasie bolszewickiej okupacji i rozbrajania polskich oddziałów leśnych na Wołyniu, Wileńszczyźnie, Lubelszczyźnie pokazały rzeczywiste oblicze czerwonego imperializmu w stosunku do Polski.

Myśli o Koli i Michale. Pewnie Jakub dotrzyma słowa, ale co będzie, kiedy AL odda ich Armii Czerwonej?

- My obraliśmy drogę prostą i czystą. Podjęliśmy walkę ciężką i trudną, bo walkę na dwa fronty. Zdając sobie sprawę, że zachodni okupant jest bezwzględny dla naszej cywilnej ludności, musimy działać rozumnie. Narażenie każdego polskiego życia przez nas, przez nasze nierozważne i lekkomyślne posunięcia, byłoby zbrodnią! Ale tam, gdzie zaistnieje konieczność obrony, będziemy bezwzględni.

Żbik nie jest wolny od niepokoju. Słucha dowódcy i zgadza się z każdym jego słowem. Ale do tej pory sam sobie był dowódcą. Czy będzie potrafił być podkomendnym?

- Idziecie tyle lat wśród trudów i niebezpieczeństw, narażając swoje życie. Idziecie nie

za dolary, nie dla stopni i odznaczeń, wszak jesteśmy nielegalni! Idziemy, bo tak nam nakazują nasze polskie serca i sumienia. Z wami nie obawiam się żadnych trudów i niebezpieczeństw. Pójdziemy naprzód, pokonując każdą przeszkodę, razem aż do ostatecznego zwycięstwa w walce o wolność i niepodległość naszej ukochanej Ojczyzny. Niech żyje wolna i niepodległa Polska!

- Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

*

- No dobra! Gdzie ten Legion Wyklętych? - zapytał Ząb przewodnika, którego dali mu Jaxa i Nałęcz po tym, jak przyjął ich ofertę.

- To będzie już tutaj. Parę minut i jesteśmy na miejscu.

I żadnego „byli, ale wyszli”, „przyjdą jutro”? - pomyślał i skarcił się. Fala prosiła go tyle razy, żeby zrobił coś z twarzą.

- Taki się urodziłem - tłumaczył narzeczonej.

- Nieprawda. Żadne dziecko nie rodzi się takie skrzywione.

- Zobaczysz nasze! - straszył ją, ale wiedział, że dziewczyna ma rację.

I wiedział, dlaczego nie został dowódcą, choć Kmicic tego właśnie chciał. Po pierwsze, był politycznie niepewny. Żaden z niego oenerowiec. W Związku Jaszczurczym nie był i nawet do NSZ trafił jakby przypadkiem. Po drugie, nie był podporządkowany okręgowi Kielce, a na skutek wybuchu powstania i odcięcia znacznej części oddziałów wraz z dowódcą głównym to Kielce przejęły dowodzenie w NSZ. Po trzecie, w czasie faktycznego formowania Brygady był w Warszawie i miał tę nieszczęsną przygodę z Nikisiałką. I po czwarte, co bolało go najmocniej, nie zdołał z racji na bieg wypadków ściągnąć z lubelskiej strony oddziałów Cichego i Znicza. Tak więc choć w skład Brygady mógł wprowadzić całą Legię Nadwiślańską, w praktyce miał w niej tylko oddział Stepa. Tylko? Bez zbędnej samokrytyki z pewnością był to oddział z największym stażem bojowym i doświadczeniem.

Ledwie weszli na teren stacjonowania Brygady, jak usłyszał:

- Jezusie! Pan major!

- Rzędzian! Ile razy mam ci mówić, że nie trzeba oddawać mi czci boskiej!

- Rany... aleśmy pana wyglądali! Chłopaki oszaleją z radości! Step dostał kapitana i jest dowódcą pierwszego batalionu! A ogniomistrz Lampart dowódcą kompanii pod Stepem!

- Dobre i to - mruknął zadowolony Zdanowicz. - Przyjdę do was, tylko się zamelduję w dowództwie.

Jednak droga do siedziby sztabu wiodła przez cały obóz i Ząb raz po raz napotykał znajomych, którzy chcieli zamienić choćby słowo. Na miejscu czekał na niego Jaxa i

szczupły, ciemnowłosy mężczyzna.

- Podpułkownik Bohun.
- Major Zub-Zdanowicz melduje się.
- Cieszę się, że już pan jest, majorze! I że będziemy razem pracować.

Nie miał w sobie temperamentu i bezpośredniości Kmicica. Był pełen umiaru, ale jak się okazało po chwili, w czasie odprawy oficerskiej, nie brakowało mu stanowczości i uporu. Jeden z oficerów rzucił bowiem:

- Powinniśmy ruszyć na pomoc walczącej stolicy! Bohun zaś powiedział:
- Nie.

Rozpętała się burza. Jedni chcieli iść, drudzy zachowali sceptycyzm.

- Niemcy otoczyli Warszawę kordonem wojsk - powiedział major Nałęcz, szef wywiadu Brygady. - Nie widzę możliwości przedarcia się przez niego do stolicy.

- Jak długo będzie trwało powstanie? - odezwał się Ząb. - Nie wiemy. Przy braku pomocy z zewnątrz, a taki jest stan na dziś, to może być kwestia dni. Stąd mamy dwieście kilometrów i brak ciągłości lasów. W tej sytuacji Brygada nie jest w stanie dotrzeć do stolicy na czas. Ponadto dzisiejszy stan uzbrojenia jednostki jest mizerny. Z czym ruszymy na pomoc? Moim zdaniem, marsz do Warszawy byłby równoznaczny z rozbiciem ledwie powołanej jednostki.

- Tchórze! - syknął porucznik Bem.

- Już jeden zryw romantyczny mamy! Właśnie ginie polska stolica - powiedział Bohun.

- Ale nie żal panom? Mamy w Brygadzie ponad ośmiuset młodych ludzi!

- I zostawmy ich. Po nieuchronnym upadku powstania to będzie jedyne wojsko polskie - oświadczył stanowczo Bohun.

- Komenda AK Okręg Kielce jeszcze nie podjęła decyzji - wrócił do głosu szef wywiadu. - Z tego, co mi wiadomo, oni prawdopodobnie zrezygnują z marszu do Warszawy. Z tych samych powodów, co my.

- Stracimy też i nasze oddziały, których nie zdążyliśmy wycofać z Warszawy - dodał Jaxa. - Ponadto Grupa Operacyjna Pomorze, którą zaczęliśmy formować w puszczy kampinowskiej równolegle z kielecką, rozstała rozbita, razem z oddziałami AK. Oddziały, które miały do niej dołączyć na koncentrację, odcięło powstanie i w chwili obecnej nie mamy z nimi łączności. Chcę tylko oświadczyć, w imieniu czynników politycznych, iż Brygada Świętokrzyska to jedyna tak duża jednostka NSZ, która została poza zasięgiem powstania.

- W sytuacji, gdy Sowieci stoją na linii Wisły, musimy się liczyć z ich atakiem w

każdej chwili. Nie wiemy, ile zostało nam czasu do ofensywy Armii Czerwonej. Każdy dzień musimy wykorzystać na szkolenie oddziałów.

- I dozbrojenie - powiedzieli jednocześnie Ząb i Żbik.

- Co pan proponuje, majorze? - spytał Bohun.

- Nie stać w jednym miejscu, poruszać się, staczać potyczki nie całą Brygadą, lecz oddziałami. Tak, aby po każdej z nich stan broni i amunicji się zwiększał.

- Zgadzam się z moim szefem sztabu - oświadczył Bohun. - W kwestii marszu na Warszawę mówię „nie” z racji na wszystkie przytoczone w dyskusji argumenty. Oczywiście, odpowiedzialność za decyzję biorę na siebie.

Po odprawie Zdanowicz wyszedł wraz z oficerami z siedziby sztabu.

- Zapali pan? - spytał ten, co mu wszedł w zdanie.

- Porucznik Żbik?

- Żbik.

- To zapalę. - Zaciągnął się. - Widziałem się z pułkownikiem Kmicicem w Warszawie, dwa dni przed moim wyjazdem ze stolicy i dwa dni przed wybuchem powstania. Chwalił pana.

- Pan to ma szczęście, majorze! - ucieszył się Żbik. - Wiedziałem, że pan rozmawiał z pułkownikiem.

- Zasada Kmicica numer jeden - roześmiał się Ząb.

- Był z nami przez dwa tygodnie. Szatan nie dowódca. Brakuje go tu.

- Kwestionuje pan pułkownika Bohuna? - poruszył sobie brwią Ząb.

- Nie! A tak to zabrzmiało?

Wyszczerzyli do siebie zęby i ruszyli w stronę obozu.

- Z dołu życie wygląda inaczej niż z góry - filozoficznie zagadał Żbik.

- Pan porucznik w cywilu lotnik?

- No prawie! Pracowałem w LOT! Mam na myśli to, co się działo niedawno w terenie. Przyjeżdżali z komendy okręgu z rozkazami. Jedne od dowódcy Kmicica, inne od tego Lesickiego, czy jak mu tam. A co się nagadali, naszczuli. W końcu znudziło mi się i pogoniłem jednych i drugich. Powiedziałem: wróćcie, jak się pogodzicie, ja mam oddział na głowie i nie mogę słuchać sprzecznych rozkazów.

- Poskutkowało?

- Na jakiś czas. Potem przyszło wezwanie na koncentrację, zabrałem ludzi tutaj i przyjechał pułkownik Kmicic. Stałem się podkomendnym.

- Ma pan z tym jakiś kłopot? - Ząb udawał, że nie wie, o co chodzi.

- Pan, majorze, najlepiej wie, jak jest - powiedział po chwili Żbik.

- Chłopcy z lasu, którzy niejedno przeszli, mają kłopot, by słuchać rozkazów chłopców z miasta. W czasie koncentracji mieliśmy tu takie przymusowe szkolenia, za karę. Major elegancki Kazimierz prowadził. Moi wyspali się za wszystkie czasy. Ale jak przyjechał pułkownik Kmicic, skończyły się wykłady, szkolenia i te, no... narady. Na ramię broń i wio! Przyjmie pan zaproszenie do mojego oddziału? Chłopcy się ucieszą, że poznają legendarnego majora Zęba.

Legendarny przyjął. Gdy tylko wkroczyli na teren obozu trzeciej kompanii, na oko setka partyzantów ustawiła się w dwuszeregu na baczność.

- Szef sztabu Brygady Świętokrzyskiej, major Ząb! - krzyknął Żbik.

- Spocznij!

Posypały się pytania. Bosman drapał się w pierś, zadowolony. Tygrys, Ryś, Sekunda, Owies. Robercik z Dzidziurem stali na palcach. Przez tłum żbikowców przepychał się porucznik Harry. W końcu stanął przed majorem i zmuszając się do najlepszej polszczyzny, zapytał:

- Sąp SupStanowis? Pseudonim Dor?

Ząb Zub-Zdanowicz patrzył na niego i nie wierzył.

- Richard V. Tullet?

- Tak. Sąp SupStanowis? - Anglik pytał tak natarczywie, że Żbik upomniał go:

- Harry! Jak ty się zachowujesz? To nasz dowódca!

- Świat jest mały - zaśmiał się Ząb. - Tak, Ząb Zub-Zdanowicz, ale już nie Dor. Miło mi pana widzieć, poruczniku Tullet, chociaż nie mam pojęcia, co pan tu robi? Kapitanie Żbik, ma pan jakąś brygadę spadochronową w zanadrzu?

- Panowie się znają? - zdziwił się Żbik. - A to dobre...

- Znamy się, choć zapewniam pana, że porucznik Tullet nie darzy mnie nawet cieniem sympatii. Na rusztowania mnie wysyłał.

Harry sapał. Znał już masę polskich słów. Znał całe zdania, umiał przepięknie kłąć, nawet czasami nie wiedząc, iż to, co mówi, uchodzi wśród ogółu za nieco wulgarne. Cóż, uczył się języka w lesie. Teraz jednak sapał, nie mogąc z siebie wykrztusić słowa.

- Tego się nie ssspoziewałem - powiedział w końcu.

- Myślał pan, że skręcę sobie kark przy skoku? - domyślił się Ząb.

- Tylko nogę złamałem, nic więcej.

- Gratuluje - odpowiedział Harry i dodał po angielsku: - To jakiś żart...

- Pan też się zmienił, poruczniku - odpowiedział po angielsku Zdanowicz. - Służba w

partyzantce panu służy. Już nie jest pan taki sztywny jak w Ringway. I z tego, co widzę, lubią pana Polki. - Ząb ruszył brwią w kierunku czterech smyczy na szyi Harry'ego.

- Jesssteśmy w Polsce i możemy mówić po polsku - dumnie oświadczył Harry.

*

Majątek Łosowo. Koniec sierpnia 1944 roku

Po zmierzchu. Przez podwórze z łąk Wacek i Leon prowadzą krowy. W ogrodzie Dzidek i Fenix. Na stole pod jabłonią porcelanowy dzbanek do herbaty i filiżanki. Dzidek - Ataman w jasnej koszuli, bryczesach i spodniach na szelkach. Chodzi i klnie.

- Jasna dupa! Manifest PKWN! A by ich obesrało, ruskie świnię! - Wypija jednym haustem zawartość filiżanki. - Tak źle ani za Niemca, ani za alowców nie było, żebyśmy na noc, latem, musieli, kurwa, krowy chować!

- Dziduś, ty się nie denerwuj. Przeżyliśmy jedno, przeżyjemy drugie. - Fenix spokojnie, po łyeczku, pije herbatę.

- I zobacz, nie ma sprawiedliwości! Żywiliśmy partyzantów? Żywiliśmy! A teraz gdzie oni są? AK się ujawnili i zniknęli. NSZ poszli w Kieleckie. A nasz jeden jedyny dobry alowiec podrzucił nam dzieci jak kukułka jaja i też zniknął! Kto nas obroni?

- Wojsko Polskie! - zakpił Fenix i odbiło mu się. - Jeszcze herbatki?

- Lej, bo szlag mnie trafi.

O dziwo, herbata jest przezroczysta.

- Żeby chociaż ten twój przyjaciel z Warszawy został - piekli się Ataman. - My dwaj, on, Wacek, trzech parobków, Leon i buhaj Fircyk, prawie drużyna. Ale bez niego słabo.

Kapitan Piotr Zacharewicz - przyjaciel z Warszawy. Pseudonim Zawadzki. Wrócił do stolicy krótko przed wybuchem powstania. Wraz z dwoma oddziałami NSZ przygotowywał się do wyjścia na zgrupowanie w Kieleckiem. Nie zdążył. Włączył się do walk powstańczych, dowodząc Kompanią NSZ Warszawianka wchodzącą w skład zgrupowania Chrobry II.

Od strony dworu idzie ku nim Krysia. Jasna sukienka żony Atamana odbija się na tle ciemnego podwórza, niczym alarm.

- Dopijamy! - Dzidek chlusta herbatę i ociera się. - Krysiulku, kochanie! Usiądź z nami.

Krysia ma ładne, kobiece kształty, zmęczoną, ale pogodną twarz.

- Słodziutki ten mały Feluś - mówi i widząc dzbanek, dodaje: - Nie, ja za herbatkę dziękuję, już za późno. Co to mówiłam? A, o małym. Grzeczny, miły. Nasz Krzysio dla niego jak starszy brat. Dzidek, wojna się skończy i chcę mieć jeszcze jedno dziecko.

- Do usług, moja pani! - Ataman całuje jej rękę.

- Ty piłeś? - porusza nosem Krysia.

- Nalewkę żołądkową. Tak mnie jakoś kręciło.

- Fenix, a co będzie, jak pan Jakub nie zgłosi się po chłopców? - Krysia ma najwyraźniej jakiś plan.

- To nie pan, to towarzysz - przerywa żonie Dzidek. - Chociaż przyzwoity. Musiałś mi przypominać? Teraz zasnąć nie będę mógł!

Krysia unosi brwi pytająco, Fenix wyjaśnia.

- Uczył się manifestu PKWN na pamięć.

- Bzdury, to się nie utrzyma. - Krysia macha ręką. - Przecież to niemożliwe. Komunistyczna Polska? Dajcie spokój. Będzie tak, jak mówi proboszcz Prokop. Alianci czekają, aż Stalin skończy z Hitlerem, a potem będzie trzecia wojna, ze Stalinem.

- To po której wojnie ty chcesz mieć to drugie dziecko, kobieto? - Dzidek chciał sobie dolać herbaty, ale Fenix go powstrzymał.

- No właśnie, może nie ma co czekać? Zresztą ja też nie o tym. Bo pomyślcie, Feluś to sierota. Mały chłopczyk, a tyle przeżył. Może byśmy tak, Dziduś, usynowili tego Felusia?

- Zaraz, zaraz. Jakub mi powierzył dzieci i nie możemy nimi dysponować, jak się nam podoba. Feluś ma brata. A ja tego Arusia bardzo lubię. Nie wydaje wam się...? O wilku mowa!

Od strony obory biegnie Arek. Pomagał zaganiać krowy, jest umorusany. Kłania się najpierw Krysi, potem Dzidkowi i podchodzi do Fenixa.

- Wujku! Ja się dzisiaj dowiedziałem, że nie każda krowa daje mleko! O rany! Leon mi wszystko wytłumaczył, o jałówkach, o cieleniu się...

- Wszystko? Bój się Boga! - Krysia kręci głową. - Ten Leon jest okropny! Idziemy spać. I wy też długo nie siedźcie.

Wstaje i wyciąga rękę do Atamana.

- My idziemy? - dziwi się Dzidek. - Myślałem, że ty i Aruś idziecie...

- Nie, my idziemy. Fenix ma tu męską rozmowę do przeprowadzenia z dzieckiem, musi wypaczenia Leonowe wyprostować, a my idziemy razem w temacie, o którym rozmawialiśmy - uśmiecha się słodko. - Bo nie piłeś, prawda?

- Nie, nie.

- Wujku, a dlaczego wujek Dzidek nie może pić?

- Bo głupiej. Siadaj, chłopcze!

Włosy Arka nie rozjaśniane od dawna, odrosły w ciemnobrązowych lokach. Podrapał się za uchem. Fenix odruchowo zrobił to samo. Tak samo. Roześmiał się.

Chciał z małym pogadać. Ale bał się. Dzieciak, co niemal widział śmierć matki, a o ojcu nie wspominał. Ojciec musiał być Żydem, Fenix czuł to, zresztą twarz Arka mówiła sama za siebie.

Jak moja! - Podrapał się znowu.

- Jutro pojedziemy razem do Kraśnika - powiedział po chwili.

- Dobrze, wujku.

A pojutrze? - pomyślał Fenix. - Dokąd pojedziemy pojutrze?

*

Sztab Brygady Świętokrzyskiej. 20 sierpnia 1944 roku

Bohun - dowódca Brygady, Jaxa - zastępca, Ząb - szef sztabu, Nałęcz - szef wywiadu.
Stół, mapa.

- Z moich informacji wynika, że transport broni będzie jechał tędy. - Nałęcz robi długi ruch po mapie. - A tu, dwadzieścia kilometrów od Kielc, są piękne lasy jak okiem sięgnąć. A tu jest taki mostek na zakręcie...

- Na kogo kolej? - pyta z uśmiechem Bohun.

- Na drugi batalion 202 pp - odpowiada Ząb. - Major Rusin.

Szosa KielceWłoszczowaCzęstochowa

Mostek na zakręcie. Po obu stronach drogi, w pięknych lasach leżą partyzanci majora Rusina. Poprawiają się na stanowiskach, erkaemiści przygotowują magazynki. Major wypływa żdźbło trawy z zębów. Szum jadących samochodów. Gdy tylko pierwszy z konwoju wjeżdża na mostek, huk eksplozji. Sypią się kamienie, deski, ziemia. Samochód powolnym, niemal majestatycznym półobrotem ląduje w rowie. To samo robią kolejne, pierwsze odrzucił podmuch eksplozji, kolejne nie wyhamowały. Tylko ostatnie próbują na wąskiej drodze zawrócić i wycofać się. Rusza ostrzał. Równy gra cekaem. Kilku Niemców wyskakuje z ostrzelanych ciężarówek i pochylając się nisko, odstrzelując z krótkiej broni, biegnie do zawracających. Partyzanci nie czekając na koniec walki, błyskawicznie rozładują samochody.

Sztab Brygady

Major Rusin kończy składać meldunek.

- Trzysta belgijskich karabinów, półtora tysiąca amunicji, siedem i pół tysiąca amunicji do mauzerów, trzy automaty francuskie Mass.

- Francuzi może pan od razu oddać do taborów. Nie mamy chwilowo do nich amunicji.

- Co nie znaczy, że nie zdobędziemy.

- Tak jest.

Gdy dowództwo zostaje samo, pada pytanie:

- Na kogo kolej?

- Na Żbika i Bema!

Wieś Jasieniec. 23 sierpnia 1944 roku

Dnieje. Pierwsza i trzecia kompania I batalionu 204 pp wchodzi do wsi. Gospodynie machają, wylapują znanych sobie partyzantów i prowadzą do chat. Zawsze się znajdzie jakaś, która przygarnie Robercika i Dzidziura.

- Boże drogi! To już dzieci za kraj muszą walczyć!...

Żbik jest jak u siebie w domu. Zdejmuje czapkę, siada przy stole i bierze od gospodyni gliniany kubek z mlekiem. Patrzy: na kubku wygrawerowana podobizna groźnego żbika. Tego kota. Gospodyni widzi, że komendant zauważył. Chichoce, jak dziewczuszka. Spracowane ręce wkłada pod fartuch i pyta:

- A Garbatego by komendant nie załatwił? Skaranie boskie z tym łobuzem.

Jeszcze kozuch na mleku nie okrzepł, jak wpada do chałupy Grzmot.

- Niedobrze... - zaczyna, ale Żbik kładzie palec na ustach i wychodzi do niego.

- Nie będziesz mi tu kobieciny denerwował! No, gadaj.

- Od Małoszyc ciągnie sznur wozów. Jak nic, Niemcy. Są tuż pod wsią.

Bosman widzi żbika na kubku Żbika i na chwilę zapomina o Niemcach.

- Kapcie i swoją poduszkę też tu masz?

- Uciekać nie ma dokąd. Już jasno, dookoła płasko, jak na patelni. Skoro są na wozach, a nie na samochodach, to znaczy uzbrojeni tylko w karabiny. Nas jest dwustu. Załatwimy ich tutaj, nie ma rady. Przygotuj zasadzkę. - Dopija jednym haustem mleko.

Niemcy mają gęby, nie twarze, i rozkoszują się te gęby chłodem rześkiego poranka. Dziewięć fur. Żółte mundury SA. Jeden, na ostatniej furmance, jest tak szczęśliwy, że dłubie w nosie. Nogi w ślicznych oficerkach dyndają mu wesoło.

Ktoś już sobie te oficerki wypatrzył...

Zza stodół i obór. Zza drzew, krzaków porzeczek i agrestu posypał się ogień. Po prostu rozsunęły się gałęzie nad płotem i wylazł z nich gruby erkaem. Tadaadam. Tadaadam. Tadaadam.

Niektórzy skaczą do przydrożnego rowu, ale nie mają szans. Jest ich nie więcej niż pięćdziesięciu. Strzały omijają konie, woźnice przyzwyczajeni do wszystkiego, kładą się plackiem na wozach. Oszczędzać chłopów, furmanki i konie. Dobijać rannych nieprzyjaciół. Nawet tych, którzy podnoszą ręce do góry i przez pomyłkę, albo z przyzwyczajenia, krzyczą:

- Hände hoch!...

- Gott mit uns, głupku! - poucza Grzmot jakiegoś, którego zresztą kończy.

Gdy milknie ostatni strzał, otwierają się drzwi chałup. Chłopi podbiegają do Żbika.

- Trupy na wozy, wywieźć szybko, zakopać głęboko. Tych Niemców w tej wsi nigdy nie było.

- Ta, to jasne, panie komendancie!

Chłopi z Jasieńca wprawieni w boju. Przeszli cztery lata okupacyjnej szkoły powszechnej. Aresztować, bić, grozić - nie ma co. Jak wiedzą, że nie zostały po czymś ślady, pary z gęby nie puszcza. Gdy mężczyźni biorą się do roboty, kobiety wołają:

- Mleko stygnie!

- Jajek dla pana komendanta usmażyłam! Na boczku!

No i jak Żbik ma gospodyni powiedzieć, że on już nie jest komendantem?

Sztab Brygady

Żbik kończy raportować. Duperele o śniadaniu pomija. Co tam dowódcom ma być żal, że nie zjedli jajecznicy na boczku?

- Garbaty, AL. Znać się? - pyta Zub-Zdanowicz.

- Z opowiadań. Osobiście zawsze mi albo „wyszedł”, albo „był wczoraj”. Babę jego znam.

- To niedopuszczalne. - Oczy Jaxy są bardziej niebieskie niż zawsze.

- Źle się wyraziłem - Żbik jest ugodowy. - Po prostu dałem babie w dupę.

Cisza.

Zub-Zdanowicz patrzy na Żbika z żywym zainteresowaniem. Nałęcz, szef wywiadu, rusza nosem. Jaxa poczerwieniał, nie wiadomo, czy z gniewu, czy ze wstydu. Bohun, jako dowódca Brygady, jako ojciec, pyta opanowanym głosem:

- Ile razy?

- Źle się wyraziłem i jeszcze gorzej mnie panowie zrozumieli. Dałem babie lanie na gołą dupę. Bo goniłem tego Garbatego kiedyś tygodniami. Ale ten, jak złe лихо, mi się ciągle wymykał. I chłopci mi nadali jego kobietę. Miał u niej być na noc, ja przychodzę, Garbatego nie ma. Ona w zaparte, że nie zna, że nie widziała, że nie wie i nie rozumie, o co raban. No to dla przykładu spuściłem kobiecie lańsko i przekazałem parę słów, jakby wrócił.

Garbaty - Stanisław Olczyk, dowódca oddziału partyzanckiego GL, a następnie dowódca samodzielnego plutonu batalionu AL im. gen. Józefa Bema w Kieleckiem. Jego przynależność partyjna wątpliwa. Dowodził bandą rabunkową, która wsławiła się brutalnością i bezwzględnością. PPR zabiegał o porządkowanie go sobie, lecz Garbaty należał tam wtedy,

gdy było mu to na rękę.

- Rozumiem. - Uspokoił się Jaxa. - Na drugi raz proszę zamiast „dupa” mówić „pośladki”.

- Zgadzam się z majorem - poważnie powiedział Żab. - W pośladki mniej boli niż w dupę.

- Tak jest.

- AK prosi nas o pomoc w likwidacji Garbatego - powiedział Bohun. - Im nie wolno z wiadomych powodów. Chcą wesprzeć nas bronią i wywiadem.

- Nasz wywiad jest bez zarzutu - obruszył się Nałęcz.

- Nie mam zarzutów - spokojnie odpowiedział Bohun - mam jednak świeże informacje z AK. Na kogo kolej?

- Na Stepa! - z radością oznajmił Żub-Zdanowicz.

- Dorzućcie i mnie - poprosił Żbik tak ładnie, że sztab się zgodził.

Ale wywiad wywiódł ich w pole i zamiast na Garbatego, trafili na oddział Łokietka.

Gajówka w Janisławicach. 24 sierpnia 1944 roku

Trzecia kompania Żbika otacza zabudowania. Krótka strzelanina. Pada dwóch z gajówki, gdy nagle słyszą głos Jakuba:

- Żbik?! Żbik, daj, kurwa, spokój! To ja!

- Jaki „ja”?

- Ja, Jakub!

- Przerwać ogień! - krzyczy Żbik. - Kola i Michał żywi?

- Nie ma ich ze mną!

- Wyłaż, pogadamy!

Odchodzą za krzak jałowca. Obaj sikają.

- Szukam Garbatego.

- Poszedł na północ, z tego, co wiem. Ale ode mnie tego nie słyszałeś.

- A ty co tu robisz?

- Pilnuję taborów, gdy moi towarzysze wysadzają pociąg.

- Chrzanisz! AL podjęło walkę z Niemcami? Toż to w gazetach muszą napisać.

- Napiszą, napiszą. Gajowego zastrzeliliście.

- Psiakrew. Niechący. Byłem pewien, że to Garbaty! Pochowaj go.

- No przecież, że nie zostawię.

- Ty nie - mówi Żbik - ale ci twoi tak. Nie mógłbyś im morale żołnierskiego podnieść? Jak zabijacie żandarma w środku wsi, to go, psiakrew, schowajcie! Dość już mam sprzątan

po AL! Mam ci na piśmie dać listę wsi, które przez wasze popisy zostały ukarane przez Niemców? Przetłumacz to na ruski i roześlij po towarzyszach lejtnantach.

Jakub chmurnie podnosi głowę na Żbika.

- Skoro wiesz, że to nie my, to czego mi kazania prawisz?

- Bo idziecie ramię w ramię! Tylko niestety, oni dowodzą. A minowanie pól wokół wiosek, w których zakładają kwatery? Oddział wychodzi, miny zostają. Chłop idzie w pole i tylko nogi fruują po zagonach! Toż to zbrodnia!

Jakub nie odpowiada, Żbik pyta:

- Co u Koli i Michała?

- Wspominają was dobrze.

- Pozdrów ich. I nie kręć mi się tu w pobliżu, bo znów cię wezmę za Garbatego.

- A co? - Jakub zapina rozporek. - Coś ze mną nie tak? - Prostuje się.

- Wszystko w porządku, tylko serce ci bije nie po tej stronie, co trzeba.

- Jesteś fajny, ale z biologii dwójka. Normalnym ludziom bije po lewej stronie.

W tej samej chwili obaj słyszą potężną eksplozję.

- Miałeś zawał? - pyta Żbik.

- Nie. Ale kilkuset Niemców pewnie tak. Ku chwale Ojczyzny!

- Oj, żebyś ty jeszcze, przyjacielu, rozumiał, co mówisz! Cześć.

- Cześć.

Linia kolejowa CzęstochowaKielce, za miejscowością Gnieździska

Eksplozja.

Tory kolejowe. Wywrócony pociąg. Dym.

Major Łokietek biegnie na czele oddziału pod górę nasypu. Teraz widać, że to nie był pociąg pancerny, lecz osobowy. Na torach i nasypie leżą ciężko ranni. Krzyk, lament, płacz. Urwane kończyny. Krew. Sporo rannych, lecz żywych. Kaczki, gęsi, kury gdacząc, biegną na oślep.

Cywile. Polacy.

Jakiś mężczyzna widząc polski mundur, płacze:

- Pomóżcie... my niewinni... my na handel...

Żołnierze Łokietka, oddział AL Świt, ograbiają leżących z żywności. I uciekają w las, nie udzielając nikomu pomocy.

Sztab Brygady

Łącznik kończy meldować o wysadzeniu pociągu relacji CzęstochowaKielce.

Ciemne oczy Bohuna zapalają się gniewnie.

- Doktor Żar i cały personel sanitarny do pociągu! Ratować rannych! - Oddycha głęboko. - Na kogo kolej?

- Kapitan Rusin.

- Zatem drugi batalion 202 pułku! Rozkaz: pościg. Za ten pociąg Łokietek musi zginąć!

- Tak jest!

- Panie pułkowniku - mówi Żab - proponuję wzmocnić oddziały patrolujące teren. I przygotować Brygadę do zmiany miejsca pobytu.

- Zgoda.

- Oby świt dla świtowców nie nastał.

Lasy olesińskie. Tuż przed świtem

Na polanie dogasają ogniska sygnałowe. Skoczkanie składają spadochrony. To berlingowcy. Jest ich na oko dwunastu, nie więcej i są cicho. Jednak zza drzew słychać gniewne głosy. Na drugiej, mniejszej polanie oddzielonej od pierwszej ledwie parawanem brzoź, siedzą powiązani granatowi policjanci. Otaczają ich partyzanci AL.

Trzecia kompania Żbika okrąża obie polany. Żbik przekrada się niemal do ostatnich drzew, orientuje w sytuacji.

- Harry - szepce do Anglika - ty bierz skoczaków. Ja zrobię alowców. Ale bez strzelania, nie wiem, czy to Łokietek, i za blisko wieś.

Wpadają na polany jednocześnie, biorą jeńców, trzymają ich pod lufami.

- Przeszukać dokładnie krzaki, czy gdzieś nie ma zrzutu z bronią. Berlingowcy są bladzi. Ich dowódca spluwa i z pogardą kręci głową.

Porucznik Mirosław Petelicki - w kampanii wrześniowej podchorąży uratowany przez Dora. Na szkoleniu „Istriebitelnego batalionu” w Sielcach nad Oką. Wciągnięty przez kapitana Józefa Sobiesiaka, pseudonim Maks, do grupy bojowej prowadzonej przez Polski Sztab Partyzancki (pod auspicjami NKWD), z której powstał Polski Samodzielny Batalion Specjalny. Obecnie podkomendny kapitana Sobiesiaka w partyzanckiej Brygadzie Grunwald. Dowódca zrzutu wchodzącego w skład tejże.

- A więc to prawda. Nie wierzyliśmy... - mówi Petelicki.

- Co prawda? - pyta Żbik.

- Że są polscy faszyci z Matką Boską na piersiach...

- Grzmot, trzymaj mnie, bo go kropnę! - wścieka się Żbik. Podchodzi do porucznika i uspokajając się, mówi: - Ja też nie wierzyłem, jak mi mówili, że są polscy komuniści, co zaprzędali matkę Ojczyznę Sowietom. I proszę! Możecie sobie nosić orła bez korony, ale

pamiętajcie, że to wy Polskę zdetronizowaliście! Wy!

- My? To wy przegraliście Polskę we wrześniu! To wasz rząd porzucił naród i uciekał, aż się kurzyło! - Petelicki jako jedyny wśród berlingowców nie boi się.

- My? No chyba cię jednak kropnę, kolego! My nigdy nie byliśmy w rządzie! I z tego powodu powstały Narodowe Siły Zbrojne! Czego ci Rusczy was uczą, co? Może mi jeszcze powiesz, że jesteśmy pańskie wojsko? Ja, syn małorolnego chłopca! Miesiąc katowany na gestapo jak worek treningowy, ja mam być burżujem i faszystą? Jestem polskim patriotą i dlatego walczę!

- Ja też jestem polskim patriotą - twardo odpowiada Petelicki.

- Armia Czerwona ma siłę, by wyzwolić Polskę spod niemieckiej okupacji. A my jesteśmy Wojskiem Polskim w jej szeregach. Tylko że nie tracimy siły, by jak wy, wysługiwać się nazistom w walce z proletariacką rewolucją...

Żbik nie wytrzymał i zdzielił berlingowca w twarz.

- A oni? - Żbik wskazał na alowców i powiązanych przez nich granatowych policjantów. - Dlaczego chcieli zabić tych ludzi? To jest według ciebie patriotyzm? - spytał porucznika.

Ten nic nie odpowiedział.

- Służą Niemcom - odpowiada dowódca AL.

- Gównem tam służą! Macie coś na nich?

- Donosili okupantowi na AL.

- Rozwiązać policjantów - mówi Żbik do swoich. - I wypuścić. Albo nie, czekajcie.

Idzie do granatowych, kuca przy nich.

- Jeśli nie macie dokąd wracać, biorę was do Brygady. Pasuje?

- Pasuje, panie komendancie. Wraca do jeńców.

- Wyszadzaście pociąg pod Gwiazdziskami?

- Nie.

- Nie? - Lufa pistoletu Żbika na skroni dowódcy. Berlingowców nie podejrzewa, dopiero skoczyli. - A kto zrobił ten pociąg?

- Łokietek...

- A tyś kto? Kazimierz Wielki?

- Zaremba - odpowiada dowódca AL.

- Rozebrać ich do gaci, broń, buty, mundury bierzemy.

- Puścimy? - pyta zawiedziony Grzmot.

- Puścimy - z ciężkim sercem odpowiada Żbik. - A! Mam jeszcze takie pytanie, do

patrioty z Armii Czerwonej. Dlaczego sowieckie zrzuty nigdy nie zawierają żywności, co? Broń, amunicja, miny, a żarcia nie ma? Tak postępuje „polskie wojsko”? Chłopów okradać z ostatniej kromki chleba? Spieprzajcie stąd, pókim dobry, i pamiętajcie, że za każdą kradzież na wsi znów traficie do mnie!

Sztab Brygady

Bohuna i Jaxy nie ma. Zub-Zdanowicz przyjmuje meldunek od kapitana Rusina.

- W gajówce Fajniśławice znalazłem tabory Łokietka, jego samego nie było. Obstawa nie chciała poddać wozów, zabiliśmy trzech, rannego zwolniłem. Mamy amunicję, trochę pepesz, trochę drobnego wyposażenia.

- Łokietek wie, że spuściliśmy za nim pościg. Będzie się krył po lasach.

Leśna droga między kwaterą sztabu we wsi a obozowiskiem Brygady. Noc

Konno jadą Bohun i Jaxa, bez obstawy. Rozmawiają cicho.

Nagle z lasu wychodzi trzyosobowy patrol z bronią złożoną do strzału.

- Stój, kto jedzie? - zatrzymuje ich ostro dowódca patrolu, chwytając konia Jaxy za uzdę. Drugi z żołnierzy przytrzymuje klacz Bohuna. Pułkownik otwiera usta, by coś powiedzieć, i w tej samej chwili orientuje się, iż to patrol AL. Jaxa wpatruje się w dowódcę patrolu i mruga, mając okropne wrażenie déja vu.

Déja vu Jaxy

Las pod Siedlcami, jesień 1939 roku

Żyd dorożkarz wiezie porucznika Jaxę pod las. Nie bierze zapłaty. Jaxa szuka wojska. „Stój, kto idzie?” zatrzymuje go ostro dowódca patrolu. Blondyn o atletycznej sylwetce i nieodpornej na słońce karnacji.

„Swój” - odpowiada Jaxa niepewnie i podejrzliwie patrzy na zbudowanego niczym bokser blondyna.

Legitymuje go. „Szef ochrony pancernego pociągu? Tutaj?” i odbierają mu broń, całą noc prowadząc po lasach.

Jakub wpatruje się w Jaxę, mając okropne wrażenie déja vu.

Déja vu Jakuba

Siedziba gestapo w Biłgoraju, jesień 1941 roku

Obersturmführer SS Moltke kończy go bić i drąc się: „Zabierzcie do ścierwo”, wypycha Jakuba z pokoju. Dwóch esesmanów wyprowadza go do poczekalni. Odpada mu ucho, rusza mu się ząb, rusza mu się wątroba, wszystko mu się rusza, tylko nogi odmawiają posłuszeństwa. Szura. Nie chce, by te sukinsyny go prowadzili. W poczekalni siedzą dwaj świetnie ubrani mężczyźni. Brunet o niepokojąco jasnych oczach i blondyn o trudnej do

zapamiętania twarzy. W ustach zbiera mu się krew i flegma. Odpluwa i udaje mu się zrobić kolejny krok.

Jakub wpatrując się w Jaxę, widzi polski mundur, widzi dystynkcję, widzi ryngraf NSZ.

- To pan czy to mi się śni? - pyta.

- Mógłbym zapytać o to samo - odpowiada Jaxa.

- Opuście broń - mówi Jakub do patrolu. - Niech panowie oficerowie jadą wolno.

Tego spotkania nie było.

Towarzysze patrzą na Jakuba zaskoczeni, ale wykonują rozkaz. Bohun i Jaxa odjeżdżają. Jaxa odwraca się za siebie. Jakub wciąż kręci głową, powtarza:

- To sen.

Sztab Brygady. Kilka dni później

Major Zub-Zdanowicz sam siebie pyta:

- Na kogo kolej?

I woła do Rzędziana:

- Żbik!

- Kapitanie, jest robota dla pana - wita się ze Żbikiem po chwili.

- Zaszczycony jestem - sapie Żbik.

Ma podkrążone oczy, zmęczoną, nieogoloną twarz. Żab patrzy na niego i sadza, mówiąc:

- Zamienimy się. Pan tu pokomenderuje, a ja pożyczę sobie trzecią kompanię i pójdę w las.

- Tak jest!

W tej samej chwili do pokoju wchodzi Jaxa i Zdanowicz, ruszając brwią, przeprosza Żbika.

- Żartowałem.

Rozkłada mu mapę i pokazuje.

- Leśna poręba w Lasach Kurzelowskich. Codziennie wyrąb drzew ubezpiecza kompania Wehrmachtu w sile osiemdziesięciu ludzi, dwa erkaemy, trzy automaty, reszta ma karabiny ręczne. To najprawdopodobniej rezerwiści. Dla nas to osiemdziesiąt sztuk broni, mundurów, par butów i oczyszczony teren. Dla wroga strata ludzka. I posłałbym tam jakiegoś lepiej ogolonego dowódcę, gdyby nie fakt, że tu - Zdanowicz rysuje kółko na mapie - kilka kilometrów za młynem Lasek, Niemcy założyli linię umocnień obronnych, przez które trzeba przejść na paluszkach.

- Dlaczego pan kapitan nie patrzy w mapę? - wtrąca się Jaxa, który kręcąc się przy swoim biurku, jednocześnie ma baczenie na wszystko.

- Bo ja tę mapę mam tu. - Żbik pokazuje na czoło, wzdychając ciężko. - Każdy las, każdy rów, każdy krzak, mogę panu dowódcy wyśpiewać z pamięci.

- I z tego właśnie powodu muszę tam posłać pana - smutno mówi Ząb. - A dobra wiadomość jest taka, że Niemcy przyjeżdżają tam na siódmą rano, więc ma pan jakieś cztery godziny snu!

Żbik zrywa się, salutuje i już go nie ma.

Jaxa patrzy na to odrobinę zdumiony, zwłaszcza że Żbik w tym pośpiechu zasalutował wyłącznie Zębowi.

- Co z nim? - pyta majora.

- Pobiegnął spać!

Lasy Kurzelowskie. Wczesny ranek

Piękna pogoda. Mała leśna polanka między Kąparzewem a Wymysłowem. Piaszczysty trakt wiedzie przez nią, niczym przez placyk. Śpiewają ptaki. Nie tylko ptaki. Gdzieś, z głębi lasu, słychać wesoły śpiew. W pierwszej chwili zdaje się, że to „Hej ho, hej ho, do pracy by się szło!”, ale nie. To równie pogodne „Heidi, heido”. Brygada żołnierzy Wehrmachtu wchodzi na polanę. Śpiewają po raz trzeci refren, gdy z okalającego ją lasu jak na komendę rozlega się kanonada strzałów.

Ogień karabinów maszynowych jest tak silny, że Niemcy padają od pierwszej serii. Co któryś leżąc, próbuje się odstrzeliwać, ale są bez szans. Żelazny pierścień trzeciej kompanii zacisnął się i żbikowcy są już na polanie.

- Kapitulation! - krzyczą ci, którzy jeszcze żyją. Serie milkną. Partyzanci zabierają zabitym broń.

- Mamy rannych? - pyta Żbik.

- Kapral Murzyn ma przestrzelone kolano. Poza tym nic.

- Zabezpieczyć go.

- Tu też mamy rannych. - Szach pokazuje mu na kilku Niemców, którzy błagają o życie.

Tygrys kończy przemierzać obrzeża polany. Zdejmuje czapkę, pot spływa mu po piegowatej, czerwonej twarzy. Widzi w wysokiej trawie jeszcze jednego Niemca. Wzdycha, idzie w jego kierunku. Niemiec chyba próbował uciec, bo skąd by się tu wziął? Ale ma przestrzelony bok, ciemna plama krwi na mundurze. Podczołgał się i oparł plecami o kamień. Głowa opada mu na bok, oddycha. Tygrys odruchowo patrzy na jego pagony.

- Feldfebel - mruczy, a Niemiec otwiera oczy i patrzy na niego przez mgłę. Pokazuje z wysiłkiem na swoją kieszeń, kiwa głową.

- Zigarette - szepce.

- Chcesz zapalić papierosa? Czekaj. - Tygrys pochyla się, wyjmując mu z kieszeni paczkę, odpala i wkłada do ust.

- Mogę? - pyta, a tamten kiwa głową.

Kapral Tygrys siada na kamieniu, obok Niemca. Widzi, że oczy feldfebla zachodzą mgłą.

- Papieros z umierającym - wydmuchuje kółko w powietrze. - Tak się rodzą mity o polskich faszystach.

- Komendancie - Szach woła do Żbika. - Kończymy?

Pokazuje na rannych Niemców na środku polany.

„Najprawdopodobniej rezerwiści” - brzmi Żbikowi w głowie major Ząb.

- Uhm...

To są starsi rezerwiści. Gładko ogolone twarze, w większości siwe głowy. Patrzą na niego prosząco. Mówią o żonach, dzieciach, w ich imieniu proszą o litość i dodają, łkając: „Hitler kaput!”. Żbik nie może patrzeć im w oczy, zwłaszcza że chłopcy już ich rozebrali z mundurów. Te oczy bez mundurów przestają być niemieckie...

- Grzmot - prosi bosmana - dostrzel ich.

Kapral Murzyn nie może iść. Sadzają go wierzchem na koniu, Żbik robi prowizoryczne strzemię z postronka, by zabezpieczyć mu nogę. Niewiele to pomaga. Murzyn jęczy z bólu. Ale muszą się pospieszyć. Przed nimi kawał drogi przez las. O zmierzchu udaje im się przemknąć szosą KluczewskoDobromierz. Leżąc w porośniętych krzakami rowach przepuścili niemiecki patrol, który szukał zagubionej kompanii. Po chwili są w młynie Lasek.

Sonia, jej siostra i matka roznoszą chleb i mleko.

- Gdyby nie ci Niemcy, zapomniałabym, jak komendant wygląda - dąsa się Sonia. - A źle wygląda. Choć lepiej niż z przestrelonym tyłkiem - klepie go w tyłek, gdy nikt nie widzi.

- Au! Zobacz, proszę, co z nogą Murzyna. Nie mogę go zostawić. I konia chcę zmienić.

- Zabierzesz Maćka? Nie wiem, jak Gwiazda to przeżyje... widzisz, komendancie, wśród zwierząt wierność jest znacznie częstsza niż wśród ludzi...

Nagadali jej - myśli Żbik - o tej małej Jance, co mi mundur pierze i ceruje i takie tam. Ale czy mi się podoba ta Janka? Głowy nie mam do bab.

Gwiazda i Maciek to para koni, która przeżyła z nimi zimę w bazie. Po tej zimie

Gwiazda była żrebna i musieli ją odstawić do młyna, bo w partyzanckich warunkach groziło klaczce poronienie. Po jej odejściu z oddziału koń Maciek posmutniał i przestał jeść. Nie było rady i zaprowadzili go do Gwiazdy, do młyna.

- Odeślę ci Maćka - obiecuje Soni i całuje ją na pożegnanie.

- Dobrze, komendancie. Łączy nas chociaż koń.

- Cholera! - zaklął bardzo cicho i pomyślał, że baby są jakieś złośliwe.

Pod osłoną nocy weszli na linię umocnień niemieckich. Odsunęli druciane kozły bez trudu, ale za nimi były głębokie, podwójne okopy.

- Jak przeciwczołgowe... Koń nie przejdzie...

- Co ma nie przejść, komendancie! - Cygan widział w ciemności jak kot i już dźwigał pod pachą jakieś deski. - Mostek się robi, Maciek przelezie elegancko.

Nie chciał. Szarpał się, prychał. Żbik zarzucił mu swój płaszcz na łeb i w końcu ruszył. Przerzucili mostek. Ale na drugim poślizgnął się i wpadł wprost do rowu, grzbietem w dół. Okop głęboki, dno wąskie.

- Jasna cholera!

Maciek rży, stęka, dyszy, zaczyna kwiczeć żałośnie.

- Cicho, Maciek, cicho - uspokajają go. Koń choć w koszmarnym położeniu, milknie. Przeszedł z nimi szlak bojowy, niejedną zasadzkę, gdzie trzeba było stać bez szmeru. Zareagował na komendę.

- Psiakrew! Nie dam rady, nie zastrzelę go - jęczy Żbik. - A jak zostawimy, to się zamęczy...

- Panie komendancie, pasy zrobmy ratunkowe i go wyciągnijmy! Z pasków!

- Dobra, próbujemy. Tylko cicho, bo jesteśmy między dwoma posterunkami. Cicho!

Co kto miał, to dał. Założyli na łeb i przednie nogi, żeby go najpierw posadzić, a potem pociągnąć. Nic nie dało, pasy pękły.

- Podwójnie! Potrójnie! - szepce Żbik.

- Dwóch o dołu z drągiem pod grzbiet, pomagać!...

- Na „dwa”!

- Raz i dwaaa!

- Jeszcze raz...

-...i dwa!... hura!

- Cicho, do diabła, cicho! Bagnetami rozkopać bok okopu. Kopali głównie rękami.

Żbik patrzył na nich, na już uratowanego Maćka i zdał sobie sprawę, że naprawdę dobrze wychował oddział. W partyzantce nie ma to tamto. Albo ufasz towarzyszom, albo

zginiesz. Kto cię osłoni? Kto ubezpieczy? Kto czuwa, kiedy śpisz? Kto wyciągnie z rowu, gdy spadniesz na grzbiet?

Lasy Kurzelowskie. Kilka dni później

Patrol trzeciej kompanii w terenie. Grzmot dowodzi. W lesie spotyka Michała i Kola, dawnych towarzyszy.

- Kuda dowódca? - pytają, jak już wyściskali Grzmota.

- Jezu, chłopaki, nie możecie wrócić... - martwi się bosman.

- Nu, my by chcieli. Ale nie w tym dieło! Dawaj Żbiku!

- Musi być on? Nie wystarczy ja?

- No, nie. Siurpryz mamy...

Żbik jedzie konno prowadzony przez bosmana. Zeskakuje z konia, idzie za Grzmotem w las. Na polance czekają na niego Kola i Michał. Ściskają się.

- Nu, my komendantu nie dla nas... Siurpryz mamy...

Z krzaków wchodzi mężczyzna w mundurze wojsk Berlinga. Porucznik Mirek. Pyta Żbika:

- Poznaje mnie pan porucznik? Tydzień temu złapał nas pan po skoku.

- Tak, w pierwszej chwili nie poznałem, puściłem was w gaciach...

- Dobrze pan zrobił - poważnie mówi oficer. - Nie cofam niczego, co powiedziałem wówczas, ale... miałem czas zweryfikować swoje wyobrażenia o Armii Ludowej. Inaczej to wygląda, niż myślałem. To banda, nie wojsko. - Prostuje się. - Ja jestem przedwojennym chorążym, dostałem broń ze zrzutu z rozkazem, że to dla polskiego wojska.

- Staje przez Żbikiem na baczność. - I choć mam rozkaz współpracować z Armią Ludową, stwierdzam obiektywnie, że to nie jest Polskie Wojsko. Pan według mego rozeznania reprezentuje naród. I oddaję ten zrzut dla NSZ. Kola!

W tej chwili Kola z krzaków wyprowadził załadowany wóz. Pełen pepesz i amunicji.

Żbik oniemiał. Bosman też.

- Może pan chce przejść do Brygady Świętokrzyskiej? - spytał.

- Nie mogę. Moi bliscy zostali w ZSRR. Pan rozumie? NKWD ma oko na nasze rodziny... Nie mogę. Ale broń jest pańska.

- Ja jestem Żbik - mówi Żbik. - A pan? Komu mam podziękować?

Porucznik kręci głową.

- Nie powiem. Dla własnego dobra. Chciałbym w pana oczach zostać bezimiennym berlingowcem - skoczkiem.

Droga z Raszkowa na Zagnańsk, Góry Świętokrzyskie. 26 sierpnia 1944 roku

Księżycowa noc. Pohukują sowy. Gęsty splątany las. Wysokie, majestatyczne sosny, świerki, jodły. Buki i ciemne jesiony. Zapach grzybów miesza się z wonią butwiejących pni i niewielkich, zdradliwych bajorek. Raz po raz trzeba przenosić wozy nad mętną, czarną wodą. Żołnierze po kolana w błocie. Konie parskają niespokojnie. Skrzypi oś. Metalicznie obija się o coś menażka. Na wozie jęknął ranny. Uciszy go sanitariuszka. Ktoś przewraca się - zasnął w marszu. Księżyc coraz niżej. Nadchodzi pora zimnych mgieł.

Dziesięć kilometrów za nią wstaje różowy świt i las w jednej chwili ożywa tysiącem głosów. Ptaki. Przed Brygadą wzniesienia, wyniosłe pagórki. Ostatni wysiłek, wdrapać się na nie i przepchać wozy. Ubezpieczyć, by nie spadły w dół, z końmi.

- 202 pułk kwateruje w Kaniowie.

- Tak jest.

- 204 w Jasiowie. Szosa blisko, więc wystawić wzmocnione posterunki.

- Tak jest.

- Sztab w Belnie.

- Trzydzieści kilometrów przez uroczyska i góry! - przeciąga się Zub-Zdanowicz. - No, teraz można w końcu o nas powiedzieć Brygada Świętokrzyska!

- Brygada Świętokrzyska... nogi mi w dupę wlały - jęczy Tygrys.

- Ja jestem chłopak z Radomia...

- Ty się chwalisz czy płaczesz? Nie marz się, chłopie, bo się Robercik będzie z ciebie śmiał. Zobacz, buty dostał nowe, po Niemcach z poręby, nogi zdarł do krwi, a nie piszczy.

Rzeczywiście. Robercik dopadł studni, wyciągnął wiadro lodowatej wody i moczy nogi. Nie on jeden.

- Plutonowy Szach! Bierz mąkę z wozów i wydaj gospodyniom z Jasiowa. Na śniadanie będzie świeży chleb.

Chleb był, zapach rozszedł się po wsi około południa, lecz jeszcze siedział w piecach, gdy w usłyszeli strzały od strony Kaniowa.

- No i po śniadaniu!

- 202?

Łącznik wpadł do Jasiowa błyskawicznie.

- Ostlegionen! Kałmucy, duży konny oddział! Dowódca każe wam zająć pozycje bojowe na przedpolu Kaniowa!

- Już się robi! Chleb będzie na kolację - pociągnął nosem Żbik i nagle uświadomił sobie, że nie dla wszystkich, być może.

Ostlegionen - Legiony Wschodnie. Formacje wojskowe pod zwierzchnictwem Wehrmachtu złożone z żołnierzy pochodzących z nierosyjskich narodów ZSRS - Kałmuków, Tatarów, Gruzinów, Turkmenów, Ormian i innych. Często mylnie nazywane „własowcami”.

Major Zub-Zdanowicz przejął dowodzenie akcją, sytuując stanowisko naprzeciwko nasypu kolejowego.

- 202 wycofać się w głąb lasu! Kałmucy wrócą i zaatakują nas od tyłu.

- A od przodu? - zdziwił się Jaxa.

- Niech pan patrzy, majorze. - Ząb podał mu lornetkę.

I Jaxa zobaczył, jak sunie ku nim pociąg pancerny. I pomyślał, że sam był w załodze takiego pociągu. I że być może już po nich.

Nadjechały jeszcze dwa, ale nim zaczęły ostrzał artyleryjski, Zub-Zdanowicz przeniósł wszystkie stanowiska w głąb lasu. W zasadzie byli poza zasięgiem ognia, którym pluły stalowe Pancerzugi. Przeciwpancerne działko zdobyte kiedyś przez Żbika odszczekiwało się pociągom.

W tym samym czasie Bohun dowodził w otwartym polu, pieszo. Zdanowicz zobaczył go przez ułamek sekundy przez szkła lornetki, tak blisko, jakby pułkownik był tuż obok. Nie drgnął mu mięsień na twarzy, przez plecy miał przerzucony płaszcz. Wykrzykiwał rozkazy, wokół niego świstały kule. Zdanowicz słyszał jazgot karabinów i grzmot artylerii, ale Bohuna widział, niczym na niemym filmie.

Kałmucy, jak przewidywał, nadjechali znowu, niczym horda Czyngischana. Bogu dzięki, było ich mniej. Step i Żbik rażą ich ogniem, obie kompanie celne. Celina, sanitariuszka, pod gradem kul opatruje rannych. Boi się świstu, kuli ramiona przed ostrzałem. Żeby nie czuć lęku, patrzy tylko na rannych. Tamuje gwałtownie tryskającą krew.

Gdy Pancerzugi grzeją z torów, od północy nacierają Kałmucy, nagle od południa nowe natarcie. Granatniki. AL.

- Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta! - spluwa Ząb i rzuca posiłki oddziałowi 204.

Po godzinie pociągi pancerne odjeżdżają do Kielc. Niedobitki Kałmuków znikają wraz z nimi. AL nie chce zostać sam na sam z Brygadą. Pole bitwy pustoszeje.

- I po wojnie! - przeciąga się ktoś.

Sanitariuszki wołają, by pomóc im znosić rannych. Partyzanci przeszukują las. Zbierają broń odebraną poległym Kałmukom.

- Jakie straty? - pyta Bohun, sadząc kroki długie jak bocian.

- Dwóch zabitych, rannych jeszcze liczą.

- Zbieramy się, jak najszybszy odwrót. Kierunek północny zachód.

- Tak jest. Żbik krzyczy:

- Szach, weź chłopaków do Jasiowa i ładujcie ten chleb na wóz!

Miejsce postoju Brygady, w rejonie wsi Widoma - Malmurzyn. Dwa dni później

Życie wraca do normy. Ranni dochodzą do siebie pod opieką sanitariuszek.

Codziennie wychodzą patrole z zadaniem wyłapywania łączników AL oraz plutony ścigające wciąż nieuchwytnego Łokietka. Kilka zasadzek na Niemców, nieudanych. Pochwycenie Łokietka też jak walka z widmem. Jedyny wymierny sukces to złapanych trzydziestu łączników AL.

Niedaleko stacjonuje część Kieleckiego Korpusu AK. Nawiązują kontakty.

Żbik ma w końcu czas, by uzupełnić meldunki. Narzeka, że jak był komendantem Żbikiem, to pisał tylko wtedy, gdy było coś do meldowania. A teraz codziennie odrabia lekcje.

- Ale poczytać lubisz - drażni go Grzmot.

- Ja? Daj mi spokój. To ty lubisz poczytać. A w ogóle to niepoważne, żebyś rozkazy dzienne dowódcy traktował jak gazetę! „Szaniec” byś poczytał, to mi głowy za was nie będzie suszył oficer wychowawczy.

- Uuu... wpadka! Dowódca nie zna obowiązujących lektur!

„W marszu i boju” się nazywa gazeta Brygady. Uuu... dowódca spał na odprawie...

- Grzmot, rąbnę cię chyba, jak mi nie dasz spokoju. A gdzie mam spać?

Żbik ma styl pisania potoczysty. „Kiedy spadną wam łby i wyrąbię do nogi! Żbik Wielki” - to wszyscy w trzeciej (obecnie) kompanii pamiętają. Ale meldunku do podpułkownika Bohuna muszą być zwarte, oszczędne, takie naprawdę sztabowe. I to go męczy. Bo jak pić, to samogon, a jak pisać, to powieść!

- Członkinie PWSK przydzielam na następujące funkcje... - Grzmot mimo przygany przegląda rozkazy. - Czekaj, zobaczę, która nam się trafi! Mitka! Słyszysz, Mitkę nam przydzielili na gospodarczą! O nie, Lala poszła do 202! Lali im nie daruję!

Lala była woźnicą i Grzmot szalał za nią od pierwszego dnia, gdy usłyszał dziewczynę w akcji. Na żołnierzy klęła tak, że brali uszy po sobie i czmychali, jak któryś nie rozumiał, to i bata użyła. A do koni?... Do koni mówiła łagodnie, jakby to były słodkie, różowe niemowlęta.

- Awizo. Kto z żołnierzy zabrał z pokoju Szefa łączności książkę „Na wojnie i łowach”, broszurkę przeciwkomunistyczną oraz program szkolenia, proszony jest o zwrot do kancelarii Dowództwa Brygady. - Grzmot rechocze. - Żbik, ty nie masz imienin niedługo?

Może to dla ciebie chłopaki rąbnęli Na wojnie i łowach, co?

- Milcz, kanalio. I nie czytaj rozkazów dziennych. To nieładnie.

- Ktoś musi, skoro dowódca nie ma czasu, ja jako jego prawa ręką... A to dobre! Ubezpieczenie na postoju i zakwaterowaniu Brygady. Straż przednia po dojściu w rejon zakwaterowania ubezpiecza rejon zakwaterowania do czasu zaciągnięcia placówek. Rejony zakwaterowania wyznacza oficer kwaterunkowy Brygady... Ty, no po co takie rzeczy w rozkazie pisać? Przecież to oczywiste.

- Dla ciebie. W Brygadzie jest dużo nowych ludzi. - Żbik gryzie końcówkę ołówka.

- Dobra, poczytam o rekwizycjach. Celem uniknięcia nadużyć... bla, bla, bla... wszystkie nadużycia zostaną skierowane do sądu polowego, który działając odpowiednio do przepisów prawa karnego wojskowego wyrokuje aż do kary śmierci włącznie. No, to jest konkretna groźba. Sprawy przestępstw dyscyplinarnych lub kryminalnych, jak kradzieże... bla, bla, bla... należą do zadań żandarmerii, a nie wywiadu. - Znów się śmieje. - O rany! A ty wiesz, że masz obowiązek przeprowadzić spis oficerów i szeregowców według wzoru?

- Grzmot, a co ja robię?!

- A, nie wiedziałem. Stwierdzam ogólny brak baterijek elektrycznych do latarek kieszonkowych, jak i aparatów telefonicznych. Nakazuję dowódcom wszystkich patroli zwrócić uwagę na zdobywanie tychże przy każdej okazji. - Szeleści, przewracając kartki. - Stwierdziłem, że ogromna większość żołnierzy Brygady, nie wyłączając kadry, nie zna w ogóle nie respektuje zasad przestrzegania tajemnicy służbowej. - Chrząka i przestaje czytać na głos. Ale po chwili nie może się opanować i znów czyta: - Zarządzenie specjalne. Stwierdzam, że strzelcy z cenzusem przydzieleni do kompanii szkolnej uczęszczają na zajęcia bardzo nieregularnie, wobec czego zarządzam, że w razie trzykrotnego osobistego nie usprawiedliwienia swojej nieobecności kandydat zostanie automatycznie skreślony z listy kompanii szkolnej. Amen.

*

Gajówka w Lasach Kurzelowskich

Zduszone głosy.

- Nie zgadzam się.

- Nie masz wyjścia, Jaxa.

- Otmar, od samego początku ten człowiek i ten pomysł nie podobał mi się!

- Może ci oddać przysługi, których znaczenia dzisiaj jeszcze nie umiesz docenić.

Proszę, porozmawiaj z nim. Tylko tyle.

Chwilę później do gajówki, w której są tylko Otmar Wawrzkowicz i Jaxa, wchodzi

wysoki blondyn. Trzyma ręce założone za plecami, przedstawiając się Jaxie krótko:

- Tom.

Jaxa taksuje go i od pierwszej chwili zauważa, że Tom i Otmar mają w twarzy coś podobnego. Nie, nie w twarzy. W spojrzeniu. Też nie to. Oczy.

W lekko śniadej twarzy Otmara nadzwyczaj jasne oczy zawsze przykuwają uwagę. Tom, choć bladą urodą blondyna tak różni się od Wawrzkowicza, ma równie jasne oczy jak on. Prostny nos, wąskie usta, kwadratowe szczęki. Zbudowany jest z linii prostych. A przecież to, co proponuje Otmar, jest co najmniej zawile.

- Wiadomo, że gdy tylko Sowieci przekroczą Wisłę, Brygada dostanie rozkaz marszu na zachód. Będziemy musieli poruszać się wzdłuż niemieckiej linii obrony. Będziemy musieli ją przebić, skoro rozkażą nam dołączyć do Andersa. Będziemy potrzebowali wtyczek po niemieckiej stronie - mówi Otmar.

Będziemy, będziemy - przedrzeźnia go w myślach Jaxa. - Jakbyś ty tam był! Jednego dnia w Brygadzie byś nie wytrzymał, przyjacielu! Jednego dnia!

- Mogę pomóc - mówi Tom zaskakująco ciepłym jak na wrażenie, jakie robi, głosem. - Ale nie jestem wtyczką, za wybaczeniem.

- Przejęczyłem się. Wiemy, o co chodzi. - Wzrusza ramionami Wawrzkowicz.

- Jaką mamy gwarancję, iż nie jest pan niemieckim agentem? - pyta Jaxa. - Za wybaczeniem, oczywiście.

Przebywanie z Zub-Zdanowiczem nauczyło mnie ironizowania - zauważa.

- Sprawdziłem Toma - wyręcza go Otmar w odpowiedzi. - Inaczej nie byłoby tego spotkania.

- Mam dobry kontakt z kapitanem Fuchsem z radomskiego gestapo. Ale nie tylko z nim. Nad swoimi źródłami pracowałem od dawna. I śmiem twierdzić, że dysponuję dzisiaj najlepszym zapleczem informacyjnym w kraju.

Kontakt z Hauptsturmführerem Paulem Fuchsem z gestapo w Radomiu - myśli Jaxa. - To ten sam Fuchs, który próbował się z nami skontaktować przez młodego Sędka. Ten, który opowiada o rzekomych kontaktach wywiadowczych między Niemcami a Brytyjczykami. Ciekawe.

- To dlaczego AK nie chce z panem współpracować? - pyta Jaxa.

- A skąd pan wie, że nie chce?

- Ma pan wyrok śmierci. Tom uśmiecha się.

- Czy gdyby był w mocy, mógłbym spokojnie się poruszać? A może spalając mnie, koledzy z AK mieli inny cel? Albo kiedy wydawali wyrok, nie mieli jeszcze dyspozycji z

Londynu? Właściwą odpowiedź pozostawiam panom, żeby nie było, że się napraszam.

- Czym konkretnie może nam pan służyć?

- Wiarygodnymi informacjami o pozycjach dużych jednostek niemieckich.

Jaxa zastanowił się nad czymś i spytał:

- Sugeruje pan, iż działa na rzecz rządu w Londynie?

- Nic nie sugeruję.

- Jeśli tak, to powinien mieć pan jakieś hasło, coś, co pozwoli nam zidentyfikować pana jako właściwego człowieka.

- Hasło? Pan wybaczy, majorze. Nie jesteśmy w harcerstwie.

Miejsce postoju Brygady Świętokrzyskiej. Dzień później

Jaxa wie, że Zub-Zdanowicz go nie lubi. I nie przejmuje się tym. A w każdym razie, nie traktuje tego osobiście. Obaj mają stopień majora, ale przecież wie, że Zdanowicz swój dostał za ciągle narażanie życia. On, Jaxa, jest awansowany za myślenie. I dlatego musi pomówić ze Zdanowiczem poważnie.

- Majorze?

- Tak, majorze.

Ale czy można z nim mówić poważnie?

- Pan przeszedł szkolenie wywiadowcze w Anglii.

- A pan w tajnej Organizacji, której nazwy się nie wymienia.

- To nie licytacja.

- Oczywiście. Nie śmiałbym licytować się z przełożonym. Ze zwierzchnikiem.

- Chcę pomówić z panem o czymś, co ma klauzulę najwyższej poufności.

- Dlaczego nie ma z nami dowódcy?

- Dlatego, że nie pomoże mi w podjęciu decyzji. Pytanie: czy podczas szkolenia w Anglii otrzymał pan informację o tym, iż Brytyjczycy mogą posiadać na naszym terenie głęboko zakonspirowanych własnych agentów? Lub podwójnych agentów?

- Mam nawet kandydata. Richard V. Tullet, pseudonim Harry. Śledzi mnie od czasu kursu spadochronowego w Ringway.

- To ten Anglik w oddziale porucznika Żbika?

- Tak - opowiedział Ząb z kamienną twarzą, ale szybko ruszył brwią i się usprawiedliwił: - Żartuję.

- Kto wie? - Rozważył to jednak Jaxa. - Oficer RAF, ucieka z niewoli, z AK przechodzi do NSZ, a jaki on narodowiec?

- Nie, majorze. On nie do NSZ przeszedł, ale do „Żbik Division”. Tak to już jest w

partyzantce. Ludzie ciągną do dowódców... Nie, żebym się chwalił...

Jaxa zamrugał. Przez chwilę nie słuchał tego pyszałka z pękniętą brwią. Ale już wrócił do tematu.

- Zatem?

- Major Perkins z brytyjskiego wywiadu. Odwiedzał nas na kursach odprawowych. Powiedział kiedyś, że być może w swojej pracy w kraju spotkamy się z ich głęboko zakonspirowanymi agentami. I dodał jeszcze, że najlepsi z nich są krzyżowo powiązani z różnymi strukturami.

- Najlepsi z nich... - powtórzył w zamyśleniu Jaxa.

- Tak. Dokładnie tak powiedział. Ale nie podał nam hasła.

- Nie podał? Czyli go nie ma? Zdanowicz wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem. Po prostu nie podał. Może nie zdążył? Dzień czy dwa po tej rozmowie padł nagły rozkaz, że jest lot, i skoczyliśmy.

Ząb na wspomnienie skoku chwyta się za pośladki. Jaxa w zamyśleniu rozciera czoło.

Miejsce stacjonowania trzeciej kompanii. Nazajutrz

Jaxa wchodzi do chałupy, w której kwaterę ma Żbik. W tym czasie, zgodnie z rozkazem dziennym, część jego oddziału jest w podchorążówce, część ma wolne i część powinna odbywać szkolenie wewnętrzne. Służby nie pełnią.

W chałupie zastaje tylko Mitkę, dziewczynę ze służby gospodarczej. Mitka zamiata.

- Gdzie dowódca?

- Przegoniłam ich do stodoły. Śmieci tylko roznoszą.

Jaxa wychodzi szybko. Ta Mitka wydaje mu się niebezpieczna.

Na chwilę zatrzymuje się pod drzwiami stodoły. Nie, nie podsłuchuje. Po prostu jest zdumiony tym, co słyszy. Jakiś młody, dźwięczny głos czyta rozkazyienne:

-...lekarz weterynarii przeprowadzi przegląd wszystkich koni i wieczorem przedstawi raport według następujących rubryk: nazwa pododdziału, płeć i maść, użytkownik konia, nazwa konia, pseudonim i stopień woźnicy względnie jeźdźca...

Jakieś zduszone szmery, śmiechy, nie... raczej uśmiechy... Młody głos czyta dalej:

-...w zależności od możliwości i czasu postoju przychodzić z pomocą ubogim gospodarzom, u których stacjonują. W robotach rolnych przy siewach jesiennych, jak podorywce, oraniu, bronowaniu...

Jaxa jest zbudowany. Wchodzi.

- Czołem, oenerowcy! - mówi najgłośniejszym, jak potrafi. I najweselej.

Około sześćdziesięciu żołnierzy siedzi i leży na sianie. Jedni czyszczą broń, inni coś

notują. Jeszcze inni słuchają, leżąc z zamkniętymi oczami. Są tak zajęci szkoleniem, że nie usłyszeli, gdy wszedł.

- Czołem! - powtarza. - Czołem, oenerowcy! Zrywa się Żbik. Krzyczy:

- Czołem, eneszetowcy!

- Czołem, panie komendancie! - odpowiadają.

- Spocznij - mówi Jaxa, choć nikt, prócz Żbika i czytającego chłopca, nie stał. - Bardzo ładnie. Nie spodziewałem się. Rozkazy dzienne w tak powszechnym użytku. - Kiwa głową Jaxa, a jakiś podoficer w rozpiętym mundurze, przez który przeziera okropnie włochata pierś z tatuażem, staje obok Żbika i żga go.

- Pan komendant powie, czyj to pomysł.

- Tak. Bosman Grzmot - przedstawia włochatego Żbik. - Jest takim moim... sekretarzem. Poza etatem, oczywiście.

- Bardzo ładnie. Czy ma pan może talent pisarski? Potrzebujemy kogoś, kto napisze hymn Brygady.

- Nieee, ja doceniam słowo już napisane...

- No dobrze, to ja tak pod rozwagę tylko. Czy mógłbym pomówić z porucznikiem Harrym? Na osobności.

Sztab NSZ, Kielce

Otmar Wawrzkowicz musiał być w wiecznym ruchu. Kiedyś, jeszcze w Warszawie, Salski powiedział, że z połączenia Otmara i Jaxy wychodzi jaszczurka idealna. Jaxa jest tą jej częścią, która siedzi bez drgnienia na zalanym słońcem kamieniu, a on, Otmar, jest jaszczurką - zwinką, nieustannie poruszającą się. Jaxa zaimponował mu tą zoologiczną zagadką. „Autotomia”, odrzucenie własnego ogona. Dobre, dobre.

Dlatego też Otmar nie bał się Toma, w przeciwieństwie do Jaxy. Wiedział, że taki ktoś jest im niezbędny. Więcej, bał się nawet, że Tom może zbyt wcześnie zniknąć. Jest wojna, wszystko możliwe. Ktoś kropnie Toma i po wtyczkach. Trzeba samemu wejść w jego buty. Mieć dostęp do tego, co posiadał on. Gdy tuż przed powstaniem komenda NSZ ewakuowała się z Warszawy do Krakowa, Otmar został szefem dwójki na Częstochowę i Kielce. Ustalili to z Jaxą już dawno. „Wywiad NSZ będzie twój”. A NSZ dzisiaj jest właśnie tu.

- Tom! - przyjął swego nowego agenta serdecznie. - Witaj!

Tom miał kilka pseudonimów i jeszcze więcej imion i nazwisk. Hubert Jura, Herbert Jung. Augustyniak. Ale najwyraźniej lubił właśnie to.

- Mam coś nowego - powiedział tym niskim, ciepłym głosem. Otmarowi nie przeszkadzało, że Tom się nie rusza, nie oczekiwał, że ktoś będzie razem z nim krążył

dookoła stołu. Zresztą przy Jaxie przyzwyczał się do tych „kamiennych”.

- Mów, mów!

- Grupa skoczków sowieckich pod dowództwem Iwana Iwanowicza Karanajewa, kapitana NKGB. To ci zrzuceni na Kielecczyznę w lipcu. Dostali zadanie sformowania brygady sowieckiej, ale nie wolno im przejmować kadr AL. W zamian za to mają polecenie wyciągania „czarnych” z jednostek pomocniczych SS.

- Czarnych? - poruszył się zaciekawiony nagle Otmar i przejechał dłonią po swych ciemnych prostych włosach.

- Ukraińców i Rosjan służących w SSWachmannschaften. Niemcy biorą ich do służby chętnie, a jednocześnie dogłębnie nimi gardzą i przeznaczają do czarnej roboty. Jak trzeba ukarać wieś, bo nie oddała kontyngentów, tu puszczają „czarnych”. A ci gwałcą, rabują, palą i mordują z prawdziwym oddaniem i przyjemnością.

Obrzydzenie w ciepłym głosie Toma brzmi niepokojąco. Jak i jego ręce zawsze założone do tyłu.

- Ludzie Karanajewa mają od NKWD listy swych dawnych obywateli służących dzisiaj w SS. Wylapują ich z niemieckich jednostek i obietnicą darowania zdrady skłaniają do przejścia w szeregi tworzonej jednostki. Nie muszę dodawać, iż zachętą jest to, że charakter ich służby nie ulegnie zmianie. To tyle, co wiem na dzisiaj.

Tom wyszedł, a Otmar skonstatował, iż dzięki temu, że nosi ręce założone z tyłu, Tom nigdy nie podaje dłoni na powitanie czy pożegnanie. Zachichotał, ale już przygotowując informację dla Nałęcz, przestał się śmiać.

Nałęcz, Witold Gostomski - pełnił funkcję szefa wywiadu Związku Jaszczurczego od początku jego powstania. W grudniu 1942 został aresztowany w czasie zatrzymań całej siatki wywiadu zachodniego ZJ. Ale w czasie, gdy agenci jeden po drugim skazywani byli na śmierć, Gostomski jakimś cudem wydostał się niewoli i po dłuższym okresie głębokiej konspiracji ponownie wrócił do pracy w Oddziale II (wywiad). Pełnił funkcję szefa wywiadu Brygady Świętokrzyskiej.

Otmar nie mógł się pozbyć przykrego uczucia, iż źle zainwestował. To on namawiał Jaxę, by zaufała Nałęczowi gdy ten uciekł Niemcom. To on stał za Nałęczem murem. A gdy przyszło co do czego i panowie rozdawali sobie stanowiska w Brygadzie Świętokrzyskiej, o nim, o Otmarze, nie pomyśleli.

Zostawił na chwilę raport. Wstał i dla uspokojenia pochodził po pokoju. Sam nie wie kiedy, założył ręce na plecy i przestał utykać.

Głębokie lasy wokół wsi Rząbiec, powiat włoszczowski. 8 września 1944 roku
Świt. Brygada Świętokrzyska kończy nocny marsz.

Kompanie rozkładają się w wyznaczonych miejscach postoju. Woźnice wyprzęgają konie z wozów taborowych. Żołnierze zgłaszają się do sanitariuszek z otartymi do krwi nogami. Z wozu, na którym jadą torby z opatrunkami, zeskakuje Krysia, sanitariuszka. Filigranowa blondynka rozgląda się za kimś.

Kapitan Step przeciąga się. Widzi, że plutonowy Sanowski idzie w stronę Krysi.

- A ty dokąd, kolego? - zatrzymuje przyjaciela. - Ty masz dzisiaj służbę, Krysia ma służbę, całować się będziecie jutro. Bierz patrol aprowizacyjny i ruszaj do wsi!

Hajduczek, młodsza PorayWybranowska, poprawia mundur i biegnie do Stepa. Sanowski mruczy niezadowolony.

- Pewnie, dowódca to ma dobrze! Hajduczek wskakuje Stepowi na szyję.

- My mamy dzisiaj wolne! - gra na nosie Sanowskiemu. Znają się od dawna, był ich sąsiadem z Zaklikowa, gdy mieszkała w Borowie.

Step i Hajduczek całują się. Z daleka widzi ich Ząb. On ma służbę codziennie i nie ma Fali. Zazdrości.

Gajówka, parę kilometrów dalej, po drugiej stronie wsi

Wokół gajówki rozłożył się z obozem oddział AL Tadek Białego, około pięćdziesięciu partyzantów. Razem z nimi trzy razy tyle towarzyszy sowieckich z oddziału Iwana Iwanowicza Karawajewa. Jest wcześnie rano, dopiero się budzą. W teren wychodzą partole.

Plutonowy Sanowski z piątką ludzi jedzie piaszczystą leśną drogą. Ziewa. Nagle z lasu wyskakuje patrol AL. Już ich mają.

Chwilę później tryumfalnie wprowadzają powiązanych eneszetowców do obozu. Z gajówki wychodzi dowódca, Tadek Biały.

- To na śniadanie czy zamiast? - śmieje się oficer.

- Zanim ich zjemy, najpierw przesłuchamy!

Obóz Brygady. Pół godziny później

Zdyszany chłop melduje się u Stepa.

- Panie kapitanie! Waszych ludzi komuniści męczą w gajówce. Jest ich koło dwustu, jak się nie pośpieszycie...

Plac za gajówką

Sanowski przywiązany drutem do drzewa. Rozebrany do pasa. Obok niego ognisko. Jego ludzie pod nadzorem alowców kopią sobie groby. Tadek Biały chodzi wokół niego i pyta:

- Gdzie jest Brygada Świętokrzyska?

- Ilu macie ludzi?

- Jakie uzbrojenie?

Szeregowiec w sowieckim mundurze przypala plutonowego gorącym żelazem. Sanowski zagryza wargi do krwi. Nie wytrzymuje. Krzyczy. Ale po chwili, pytany, milczy.

- Gdzie jest Brygada Świętokrzyska?

- Ilu macie ludzi?

Boże Wszechmogący, w obliczu śmierci udziel mi rozgrzeszenia za wszystkie winy popełnione, za czyny niegodne...

- Jakie uzbrojenie?

- Czy jest wśród was Żbik?

- Wilk?

- Ząb?

- Step?

...nie wiem, Boże, czy mam w sobie siły męczennika... odbierz mi życie, Panie, zanim zrobi to on...

- Gdzie jest Brygada Świętokrzyska?

...przysięgam, że jeśli stanie się cud i wyjdę z tego cało, resztę moich dni ofiaruję Tobie...

Step biegnąc z oddziałem przez las, ładuje broń. Wiadomość zelektryzowała obóz niczym błyskawica. Bohun zarządził mobilizację.

- Żbik i trzecia kompania od północnego wschodu! Major Rusin pod północnego zachodu! Kapitan Step od południa!

Biegnie i widzi, jak po jego prawej stronie dogadania go Lampart z pierwszą kompanią. Odwraca się i zauważa swoich ludzi. W obliczu zagrożenia jednego z nich, a Sanowski od samego początku jest jednym z nich, kompanie i bataliony przemieszały się i nagle wokół Stepą znaleźli się ci, z którymi walczył od zawsze.

Nie usłyszał gwałtownego szumu. Przez gęste gałęzie drzew nie poczuł ulewy.

Dopadają na miejsce. Widzą pluton egzekucyjny i swoich ludzi nad grobami. Sanowskiego przywiązanego do drzewa, rozebranego, z głową spuszczoną. Widzą ognisko zalewane potokami gwałtownego deszczu. Wpadają na polanę, bez rozkazu celując w pluton egzekucyjny. Kilkanaście strzałów na raz. Pluton pada tuż przed wykopanymi dołami. Pod gajówką popłoch.

Sowieci i ałowcy ostrzeliwiają się, lecz od wschodu i zachodu wchodzi kompanie

Brygady. Żbik i trzecia kompania nie zdążyli jeszcze zamknąć okrażenia od północy i kilkudziesięciu alowców ucieka w las. Wymiana ognia trwa. Lampart wyrывa się i schylony nisko biegnie do drzewa. Odwiązuje Sanowskiego, pomaga mu iść. Ślizgają się w błocie. Gdy oddaje go w ręce kolegów, dostaje postrzał w nogę. Reszta jeńców sama wycofała się pod osłoną ognia stepowców. Wymiana ognia trwa. Rusin przekrzykując strzały i ulewę, wrzeszczy:

- Poddajcie się! Nie macie szans!

Kilku Sowietów unosi w górę ręce. Ale nim zdążyli odrzucić broń, dostali strzał w plecy, od swoich. Padli twarzami w błoto.

- Powybijajcie się, skurwysyny! - drze się Rusin, widząc to. Najmocniej broni się gajówka. Z jej okien grzeją sowieckie erkaemy.

Tam pozycję do ataku ma pluton podchorążówki. Chłopcy uzbrojeni tylko w karabiny, ogień nieprzyjaciela przydusił ich do ziemi. Na plecy bryzgają im strugi błota, lecą kępy traw. Żaden z nich nie krzyknie „na pomoc”. Nie mogą unieść głów. Ulewa.

Step przeciera oczy. Już widzi, co się dzieje. Zachodzą młodych od tyłu i wspierają erkaemami. Ogień jest tak silny, że gajówka milknie po kilku minutach. Chłopaki z podchorążówki bez rozkazu podrywają się z ziemi i biegną do niej. Z okien wiszą ciała Sowietów.

- Panie kapitanieeee! - drą się, dostrzeliwując w głębi niedobitki.

- Mamy dwa cekaemy!

- Mamy!...

-...cekaemyyy!...

Na placu przed gajówką już po walce. Stosy bezładnie leżących trupów, żywi posłusznie składają broń.

Step zajmuje się jeńcami. Wciąż leje deszcz.

- Tadek Biały z kilkoma oficerami uciekł! - spluwa wściekły major Rusin. - Karawajew też.

Jest już podpułkownik Bohun.

- Kto chce wstąpić do Brygady - woła do jeńców - podnieść ręce.

Kilkunastu zgłasza się.

- Weźcie ich na bok - mówi Rusinowi. - Ale bierzemy tylko Polaków. Ci od Karawajewa to sowieccy i ukraińscy bandyci. Nie chcę ich w Brygadzie.

- Wśród alowców też może być sporo bandziorów - mówi Step.

- Będziemy ich najpierw przesłuchiwać. Major Nałęcz już posłał po sołtysów

okolicznych wsi. Ludność najlepiej będzie wiedziała, którzy mają grabieże i krew na rękach.

Z gajówki chłopcy wynoszą zabitych. Wciąż leje deszcz.

- Panie majorze - Step mówi do Zub-Zdanowicza - jest ich ponad setka - wskazuje na jeńców sowieckich. Przez tę ulewę nic nie widać.

- Powiążcie ich i otoczcie miejsce drutem. Za gajówką stoją szpule. Chyba mieli w planach minowanie, nie zdążyli. Żbik pomoże ci porządkować teren. Weź jeszcze Lamparta.

- Lampart ranny.

- Ale jego kompania nie.

- Znaczy się, mam wziąć „stepowców” - śmieje się przez strugi deszczu Step.

- Tak. Resztę puszczam na kwatery.

- Patrole trzeba wzmocnić, panie majorze - mówi Bohun, podchodząc do nich. - Skoro dowódca uciekł, może ściągnąć posiłki.

- Albo i nie. Ale oczywiście, patrole wzmocnimy.

W tym samym czasie Jaxa i Nałęcz, szef wywiadu, przeglądają w gajówce archiwa oddziału AL.

- To nie wszystko - mówi Jaxa, wyciągając spod ławy skrzynię. Otwiera ją i odwraca się do Nałęcza. - Dziennik depesz radiowych Karawajewa do Moskwy. I rozkazy stamtąd.

- Chryste Panie! Nie pójde dziś spać!

Narada sztabu. Wieczór

- Rozszyfrowanie i odczytanie wszystkiego zajmie nam dużo czasu - mówi major Nałęcz - ale krótki instruktaż z Moskwy dla towarzyszy Karawajewa brzmi: AK to element faszystowski i wrogi. PPS to nacjonaści polscy. Bataliony Chłopskie to niebezpieczna drobna burżuazja. Z racji na wielką wagę tego archiwum chciałbym prosić pana pułkownika o zgodę na niezwłoczne opuszczenie przeze mnie Brygady. Chcę osobiście zawieźć je do zbadania do komendy NSZ w Krakowie.

Ciemne oczy Bohuna na chwilę przymykają się.

- Jeśli tak definiują swych oficjalnych sprzymierzeńców, to nie ma lepszego dowodu, iż NKWD przeznaczyła ich na śmierć. Musimy zrobić wszystko, by alianci zachodni dostali te dokumenty. To jedyna szansa, że przejrzą na oczy.

- Ma pan rację, pułkowniku - mówi Jaxa. - Nieważne, co piszą o nas. My jesteśmy nielegalni dla wszystkich. Ale AK? AK i rząd londyński wciąż są dla Churchilla oficjalnym sprzymierzeńcem.

Zdanowicz krzywi się.

- Chciałbym się w tej sprawie mylić jak nigdy w życiu - zaczyna - ale obawiam się, że

to za mało.

- Musimy spróbować - twardo przerwał mu Bohun. - I musimy powiadomić miejscową komendę AK i BCh.

- Oczywiście. Nie ulega kwestii. Lecz muszę kolegom dowódcom przyznać się do pewnej akcji. Na prośbę oficerów AK pomogłem im ścigać alowców Cienia, oddział, który dokonał masakry na żołnierzach AK we wsi Owczarnia. I zdusilibyśmy tego Cienia, gdyby nie to, że w czasie akcji przyjechał łącznik z komendy okręgu i kazał moim akowskim towarzyszom natychmiast wycofać się z walki. Ciężko nam uciekło. A na naradzie, na którą komenda okręgu AK zaprosiła mnie po akcji, wyrazili się jasno: atakować nie będą, bo polscy komuniści to bracia. Tak tylko mówię, żeby się koledzy dowódcy nie czuli rozczarowani. Boża Wola - rozłożył ręce Ząb.

- Pan jest tak religijny? - uniósł brwi major Nałęcz.

- Nie, tak nazywała się wioska. Zapadła cisza.

- Chłopi wśród ludzi Tadka Białego rozpoznali czterech bandziorów - przerwał niezręczne milczenie major Nałęcz. - Złożyli zeznania, podpisali protokoły. Wnioskuje o rozstrzelanie winnych.

- Zgoda - potwierdzili kolejno Bohun, Jaxa i Ząb.

- Większość z wziętych do niewoli Polaków wyraża gotowość przejścia w nasze szeregi, ale u znacznej części z nich może być to podyktowane strachem przed egzekucją.

- Zamknąć ich w areszcie i na spokojnie przesłuchać.

- Wśród tych, których już pytano, wielu było nieświadomych. Jest kilku byłych więźniów Oświęcimia. Trochę biednych chłopaków, co przyszli do oddziału, bo Tadek Biały dawał michę i buty. Przynajmniej połowę z nich oceniamy jako czystych. Drugiej połowie musimy się rzeczywiście przyjrzeć.

- Dobrze. Tych, których będziemy przyjmować, rozdzielać po kompaniach, z dala od siebie. Szybciej się przystosują.

- Co z Sowietami? - spytał Nałęcz. - Część z nich to dawni esesmani.

- Ja bym rozstrzelał - powiedział Ząb.

- A ja bym oddał ich kolegom z AK - po chwili namysłu odrzekł Bohun.

- Podrzucimy im kukułcze jajo. Będą musieli ich wypuścić - odezwał się Jaxa. - Ja przychyliłbym się do zdania szefa sztabu, majora Zęba.

- Co Sowieci zrobiliby z nami w odwrotnej sytuacji? - zadał retoryczne pytanie Zub-Zdanowicz.

W nocy las wokół gajówki zabrzmiał chaotycznymi z początku wystrzałami.

- Uciekają! Bolszewicy uciekają!

Po chwili z pojedynczych strzałów powstał grad. Kanonada wspiera wciąż padającym deszczem.

Zdanowicz i Bohun niemal zderzyli się, biegnąc w tamtą stronę.

- Kto pilnuje jeńców? - krzyknął pułkownik.

- Kompania Lamparta! - odpowiedział Ząb. Deszcz wciąż lał się z nieba strumieniami.

Za ogrodzeniem z drutu kłębiły się ciała zabitych. Chyba zabitych, bo w ciemnościach i ulewie niewiele było widać.

- Dowódca! - krzyknął Ząb.

- Kapral Boruta! - zameldował się w ciemnościach ktoś, kto mógł być kimkolwiek.

- Co tu się stało?

- Musieli mieć jakiś nóż, kilkunastu albo kilkudziesięciu miało wolne ręce... ale to zobaczyliśmy dopiero, gdy zaczęli uciekać... tam stał szeregowy Lolek i zabili go... poderżnęli mu gardło... w tym deszczu nie usłyszeliśmy na czas, a widać nic nie było... dopiero jak ruszyli przez drut, to się zorientowaliśmy. Dałem rozkaz strzelać... panie komendancie...

Dopiero w tej chwili, po „panie komendancie” Zdanowicz poznał chłopaka. To był dawny „Nałęcz”, zmienił pseudonim w Brygadzie, bo nie wypadało mieć takiego samego jak szef wywiadu. Nałęcz. Sumienny, odpowiedzialny.

- Mów. Mów po kolei - uspokoił go.

- Panie komendancie, mi chłopaki opowiadali o Borowie, o tym, jak pan dał rozkaz „padnij”, ale ja za późno sobie o tym przypomniałem... jak puściliśmy do uciekinierów serię, to strzelaliśmy i do siebie nawzajem...

Borucie puszczały nerwy. Płacze. Zdanowicz kładzie mu rękę na ramieniu.

- Policzyłeś swoich?

- Tak. Lolek. I pięciu rannych, w tym trzech bardzo ciężko. Postrzały w głowy i klatkę. Chyba nie wyjdą z tego...

- W tych ciemnościach mogło być was więcej - powiedział spokojnie Bohun i uścisnął chłopaka. Gdy dołączył do nich Jaxa, Bohun poprosił ich na stronę.

- Przyznaję wam rację, panowie. Niestety o kilka godzin za późno. Gdybym wczoraj zgodził się na egzekucję sowieckich jeńców, nie byłoby tych sześciu naszych. Przykro mi.

BILANS WALK

Około 30 zbiegłych, w większości z oddziału Karawajewa. W tym on sam i dowódca oddziału AL, Tadek Biały.

34 zabitych, 30 rannych

67 jeńców z oddziału Karawajewa - wszyscy rozstrzelani w czasie nocnej ucieczki.

40 jeńców z oddziału Tadka Białego AL. Część wcielono do Brygady. Resztę wypuszczono.

Straty własne: 1 zabity, 1 ciężko ranny

Straty własne w czasie tłumienia buntu: 2 ciężko rannych (zmarli), 3 ciężko rannych.

Zdobycz materiałowa: 1 ckm, 5 rkm, około 30 automatów, 1 granatnik, 100 kb, 10 pistoletów, 50 granatów, 8000 szt. amunicji, 200 sztuk amunicji ppanc. kal.

18 mm, 20 kg materiałów wybuchowych.

Dowódca Brygady nosił w sobie poczucie winy i przyjął jednego z wcielonych do oddziału alowców do siebie. Na ordynansa.

Jaxa ośmielił się skrytykować ten pomysł, jako niedorzeczny.

- Były komunista ordynansem dowódcy? A jeśli to farbowany lis, co nakradnie wiadomości i ucieknie szukać swoich?

- Więcej zaufania do ludzi, panie majorze - uspokajał go Bohun.

- Zresztą proszę na niego spojrzeć. Gdzie on się nada do jakiejś kompanii? Przecież to prawie wiejska niemota.

- Co prawda, to prawda - przyjrzał się z daleka Ząb. - Stepowcy by go zjedli, a żbikowcy najpierw oskórowali, a potem zjedli.

- Dlaczego „oskórowali”? - dopytał Jaxa i pożałował.

- Nie wie pan major? Gdy żbiki polują na...

- Panowie! Przestańcie. Może i nie wygląda godnie, ale to młody człowiek, trzeba dać mu szansę. - Bohun skinął na ordynansa. - Chodź do nas, chłopcze.

Mógł mieć lat szesnaście. Mógł i mieć dwadzieścia.

- Ile masz lat?

- Człowiek ma nie tyle, ile w metryce mu zapisano, lecz tyle, ile odcisnęło na nim piętnem życia.

Spojrzeni po sobie. Ząb szepnął Jaxie na ucho:

- To raczej częstochowski poeta, nie wiejska niemota. Bohun odchrząknął i dopytał:

- Czyli ile?

- Kilometry wydeptane w znoju i trudzie, ta krwawiąca blizna, którą jest dla Polaków Ojczyzna... - odpowiedział chłopak, przekrzywiając głowę.

- Rok urodzenia! - ryknął do niego Zub-Zdanowicz i chłopak podskoczył ze strachu.

- 1920, panie majorze! - odpowiedział, stojąc na mniej więcej baczność.

- Imię i nazwisko!

- Machejek Władysław!

- Miejsce urodzenia?

- Chodów!

- Spocznij! - Ząb dał mu spokój i odwracając się do Bohuna, kiwnął głową. - Znaczą się pełnoletni. Choć nie wiem, czy przy zdrowych zmysłach. Może się jeszcze pan pułkownik rozmyślić i dać go weterynarza. Przy koniach jest zawsze coś do roboty.

Bohun machnął ręką i postanowił, że krzyż swój będzie niósł do końca.

KOMUNIKAT

Do wszystkich żołnierzy walczących na ziemiach Polski!

Żołnierze. W okolicy Włoszczowy, w wiosce Rząbiec ósmego września banda knechtów krzyżackich, sługusów, płatnych żołdem prusackim, napadła w zbrodniczy i zdradziecki sposób na oddział Wojska Polskiego.

Atamański Bohun o klach polakożerczych i ponury od nadmiaru zbrodni Ząb przy pomocy 2000 Niemców rozbroił żołnierzy i wymordował waszych kolegów, waszych braci i ojców, którzy byli winni tyle, że walczyli o Wolność i Potęgę Polski. Pięćdziesięciu sześciu waszych kolegów pokrył partyzancki kurhan.

Nie stawiają się oni już do apelu w Wolnej waszym heroizmem wywalczonej Ojczyźnie i nie ujrzą już więcej ich oblicza. Polegli śmiercią bohaterską. Zginęli nie od kuli Niemców, z którymi wyruszyli do walki w pole, ale legli od zbrodniarzy, od pacholców i awanturników spod znaku N.S.Z.

Cześć i chwała poległym Bojownikom.

Agentom niemieckim śmierć i hańba.

*

Lasy w powiecie jędrzejowskim. 20 września 1944 roku

Noc. Brygada Świętokrzyska przemieszcza się na kolejne miejsce pobytu. Za nimi piętnaście kilometrów marszu, przed nimi jeszcze pięć.

Robercik i Dzidziur z trzeciej kompanii 204 pp maszerują, śpiąc. Jest tak ciemno, że można się zgubić. Woźnice prowadzą wozy taborowe, trzymając konie krótko przy pysku, za uzdy. Bosman Grzmot idzie, rozglądając się na boki. Nie widać nic, jakby las był czarną ścianą. Spluwa i otrząsa się, szepcząc:

- Nie wierzę w duchy.

- A ja wierzę, w jednego - mówi nagle tuż nad jego uchem Żbik. Grzmot odwraca się wystraszony.

- W Ducha Świętego! - kończy strasznym szeptem dowódca i śmieje się, jakby było z czego.

Świt

Tylko z góry, z lotu ptaka, widać, jak rozciągnięta w trasie jest Brygada. Ponad ośmiuset ludzi. Tabor. Z przodu idzie 202 pułk piechoty, 204 z tyłu.

Las się kończy. 202 już dochodzi do szosy. Muszą przeskoczyć ją szybko i zniknąć po drugiej stronie, na leśnej drodze. Piechota przeszła. Zostały wozy, ubezpiecza je kompania Bema. Lampart ranny w nogę pod Rzębcem, jedzie, leżąc na wozie sanitarnym. Nagle zamigotały światła reflektorów od strony Brynicy i w tej samej chwili usłyszeli warkot motorów. Przerazone konie z rżeniem rzuciły się do ucieczki.

- Stać, aniołki! - krzyknęła Lala, woźnica. - Wio, na drugą stronę!

Lampart poderwał się na wozie. Sanitariuszka podaje mu karabin. Patrol niemiecki. Motocykl, cztery samochody. Ubezpieczenie wali do nich z cekaemu. Niemcy hamują z piskiem opon. Cekaem Bema nie ustaje. Samochody zawracają i uciekają. Motocykl trafiony w koło, przechyła się, wywraca. To Lampart. Siedząc na wozie, posłał serię i zabił kierowcę i pasażera.

- I po wojnie! - woła Bem. - Sprzątamy na drodze!

Wieś Caców. Ranek

Brygada rozkłada się na postój. W sztabie gorączkowa narada.

- To bardzo zła wiadomość - mówi Zub-Zdanowicz. - Ale wyjaśnia, dlaczego patrol niemiecki zaatakował nasze tabory na szosie. Skoro wczoraj nocował tu oddział AK i rozbił niemiecki samochód, nieprzyjaciel szukając akowców, znalazł nas.

- Bliskość lotniska też jest niepokojąca. - Kiwnął głową Bohun.

- Mogą namierzyć nas z samolotu.

- Ludzie są zmęczeni. Zrobili dwadzieścia kilometrów i ledwo żyją. Musimy dać im odpocząć, zanim wyruszymy dalej - powiedział Jaxa.

- Brak majora Nałęcza! Wystarczy, że kilka dni nie ma szefa dwójki, a wywiad nam siadł. Trudno. Robimy rozpoznanie i wieczorem ruszamy w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

W obozie Żbika Mitka pomagała kucharzowi Gruzinowi gotować zupę. Robercik kręcił się przy nich, ale dziewczyna pogoniła go ścierą. Zresztą już darł się Grzmot:

- Młodzi do mnie! Konie i wozy w las! Sztab rozkazał pochować wszystko, co samoloty mogą wyśledzić z góry.

Zmęczeni partyzanci podnoszą się z ziemi i szybko sprzątają obóz.

- A zupa? - krzyczy Mitka. - Zupa też idzie do lasu?

- A jaka będzie? - pyta zalotnie, drapiąc się w pierś Grzmot.

- Grochóweczka!

- O, to tak. Grochowa do lasu!

W tej samej chwili nadleciały samoloty. Warkot i natychmiast po nim detonacja.

Chwilę później w płomieniach stanęła chałupa we wsi.

- Pluton Rysia gasić pożar! - krzyknął Żbik. - Reszta pomaga ewakuować tabory.

- No i po zupie, kurwa!

Major Jaxa, nominalny dowódca 202 pułku piechoty, nie miał minuty czasu do namysłu, gdy zaczęło się bombardowanie. Po prostu musiał objąć dowództwo i osłonić ewakuację 204 pp. Natychmiast z piątką kompanii zajął niewielkie, zalesione wzgórze. Przez lornetkę widział już maszerujących błyskawicznie w ich stronę lotników z Nagłowic. Wyglądało na to, że samoloty to był tylko początek.

- Wciągamy ich w zasadzkę. Puszczamy przednie ubezpieczenie i dopiero gdy główne siły wejdą na tę drogę, zaczynamy ostrzał. Ale taki, by żywa dusza nie wyszła.

- Tak jest!

I tak było. Jaxa aż wstrzymał oddech, widząc, iż Niemcy weszli między nich nieświadomi zagrożenia. Bopp, Żur, Sulimczyk, Wiesław - dowódcy kompanii wypełniali jego rozkazy co do joty i tylko przez sekundę dopadła go trema, że większość z nich to dawni podkomendni Zęba.

- Ognia! - krzyknął i zagrzmiały erkaemy, by po chwili dołączył do nich basowy cekaem.

Niemcy wycofywali się w popłochu. Nie patrzyli na rannych, zabitych, po prostu wiali. Więc w tym jednym nie spełniło się jego marzenie - jakieś żywe dusze uciekły.

- I po wojnie! - gwizdnął Bopp. - Rozbieramy!

Zabierali poległym dobre lotnicze buty, mundurowe kurtki, spodnie, czarne pasy z ładownicami. Jaxa stał zdumiony.

Dowodzić takimi ludźmi, to żadna sztuka - pomyślał - oni sami wiedzą, co robić.

Ale natychmiast skarcił się za grzech pychy. W końcu ktoś ich tego wszystkiego nauczył.

- Panie majorze! - melduje się łącznik ze sztabu. - Na odsiecz lotnikom jadą żandarmi. Cekaemy i broń automatyczna. Na razie widzimy pięć ciężarówek, nadjadą od strony Cacowa. Ma pan przygotować obronę.

- Kapitanie Sulimczyk - woła Jaxa - weźmie pan swoich ludzi na wschodnią część wzgórza, gdyby okazało się, że nasi lotnicy wrócą na odsiecz rannym. Pozostałe kompanie na

drugi stok wzgórza, od strony Cacowa.

Na sąsiednim wzgórzu szef sztabu, major Zub-Zdanowicz, obserwował przez lornetkę okolicę i rozsyłał łączników z rozkazami. Brodu na Nidzicy strzegła podchorążówka pod dowództwem Jura, rozłożona w pobliskim lesie. Taborów pilnował batalion Jerzego. Od południa ubezpieczali ich żołnierze z 2 Dywizji AK, których ścignęli tu po pierwszych atakach. Wieś Caców była u stóp wzgórza, na którym stał Jaxa, i Ząb spodziewał się, że tamtędy przyjdą główne siły niemieckie.

Nadjechały samochody i tak, jak przypuszczał, Niemcy zajęli wieś. Tam nie było już ani pół partyzanta, więc teraz będą musieli wyjść z niej i szukać ich dalej. Jednak nie. Niemcy rozłożyli się we wsi i czekają.

- Chcą nas wciągnąć do walki - zaśmiał się. - Jeszcze czego. Czas płynął. Samolot patrolowy raz po raz pojawiał się nad nimi, ale niewiele mógł zobaczyć. Było już po południu, gdy nagle akowcy zaczęli opuszczać pozycje na tyłach Brygady.

- Jedź do nich i dowiedz się, o co chodzi! - wypchnął łącznika.

Ledwie jednak łącznik ruszył, nadleciały z niskim burczeniem samoloty i rozpętało się piekło.

Siedem maszyn ostrzelało wychodzący z lasu oddział AK. Korzystając z zamieszania, Niemcy wybiegli z Cacowa i ruszyli w stronę wzgórza, gdzie czekał na nich Jaxa.

- Nie strzelać...

-...nie strzelać...

-...aż do rozkazu Jaxy... - biegnie szept po zaczajonych na lesistym wzgórzu.

Niemcy biegli ku nim, lecz gdy dopadli lasu, zatrzymali się. Padł jeden strzał. Cisza. Seria z erkaemu po poszyciu. Cisza. To ich uspokoiło. Słychać szczeknięcie niemieckiego rozkazu „Naprzód”.

Przodem biegną Kałmucy, albo inni skośnoocy, popędzani przez niemieckich żandarmów. Ostlegionen. Trzysta metrów. Pięćdziesiąt. Jaxa podnosi dłoń. Ręka mu drży.

- Ognia!

Pierwszy cekaem zaszczekał. Zaczął ujadać drugi. Trzeci. I warkot erkaemów. I broń ręczna. I szara masa zabitych i rannych kłębi się pośrodku. Kałmucy chcą się poddać. Niemcy rzucają się do ucieczki.

204 pp i tabory w lesie. Samoloty ich nie widzą, bomby lecą dookoła wsi, las zostawiają w spokoju. Dostali rozkaz: stać w odwodzie. Nie ruszać się.

Co z tego, skoro konie się płoszą. Stają dęba, kwiczą i na oślep lecą w pole.

- Jezu, nasze działko! - wyje Żbik.

Jedynie działo przeciwpancerne Brygady właśnie ciągnięte przez oszalałe konie, idzie wprost pod ostrzał. Ludzie zamarli. Żbik widział tylko to - stracone za chwilę - działo. Chlubę swoją i Brygady. Nie myśląc, wybiegł za końmi. Wokół świstają kule, ale samolot chwilowo jest nad zupełnie inną częścią lasu, lotnik nie widzi ich. Żbik dopada zaprzęgu, wiesza się na końskiej szyi.

- Stój! Stój! - wrzeszczy.

Samolot zawraca. Leci niziutko, tak niziutko, że można zobaczyć załogę. Żbik poskramia konie i trzymając je, ile sił biegnie z zaprzęgiem i działkiem w las. Wulf 189 schodzi jeszcze niżej i w tej samej chwili z lasu, gdzie stoją tabory Brygady, pada strzał.

Grzmot bierze zaprzęg od Żbika. Dowódca ryczy:

- Kto, kurwa, strzelał?! Pozabijam za niesubordynację...

Przerywa mu eksplozja. Wulf 189 spadł na ich oczach w pole i stanął w płomieniach.

- Jezus Maria...

- Zestrzeliliśmy samolot...

- Kto, kurwa, strzelał?! Do awansu!...

Woźnica. To był woźnica.

Noc po walce

Brygada ciągnie jak najdalej od Cacowa.

Dowództwo spodziewa się niemieckiego pościgu. Pada rozkaz:

- Przejdziemy przez bagna, potem przeprawa przez bród na Nidzie. Żołnierze idą. Nie odpoczęli po poprzedniej nocy. Nie odpoczęli po walce. Wozy po osie grzęzną w błocie, a to dopiero początek rozległych mokradeł.

- Nie ustrzeliło nas Luftwaffe, wciągnie nas torfowisko - mruczy Grzmot, z trudem wyciągając nogi z błota. - A W marszu i w boju napiszą: chwała bohaterom! Polegli, walcząc ze śmierdzącymi, nieprzebranymi zastępami wroga, które zdradziecko wciągnęły ich w głąb. Woźnice klną. Ludzie pomagają koniom i wozom. Ranni spod Cacowa i Rządca jęczą. Sanitariuszki zeskoczyły z furmanek, by ulżyć koniom. Zwierzęta charczą, pasy od wozów pękają. W końcu wydostają się z grząskiej matni.

Przeprawa przez Nidę. Wozy robią hałas na kamienistym dnie płytkiej w miejscu brodu rzeki. I dalej. To jeszcze nie postój.

Zrobili trzydzieści kilometrów. Odbili od Niemców na bezpieczną odległość.

Szeregowi kładą się, jak stali. Woźnice wyprzęgają zmordowane konie. Sanitariuszki zaczynają pracę. Między posterunkami warty przemyka schylona postać. Nikt nie zwraca na nią uwagi. Kończy się noc. Nastaje dzień.

*

Sztab Brygady, dzień później

- Jak to jest możliwe? - Bohun odrzuca od siebie meldunek. - Nie rozumiem tej informacji. Jak szef wywiadu Brygady mógł nagle zginąć w Częstochowie?

- Nałęcz był piekielnie ostrożny, to naprawdę dziwne - odzywa się w zamyśleniu Jaxa.

- Nie przyjmuję do wiadomości tego, co tu napisali - po raz pierwszy widzą Bohuna w gniewie. - Panowie, pojedę do Częstochowy. Chcę wiedzieć, co się stało.

- Panie pułkowniku - wchodzi mu w zdanie Jaxa. - Może lepiej ja pojedę?

- Nie - Bohun odpowiada twardo, takim go nie znali. - Pan obejmie w moim zastępstwie dowództwo.

- Nahajka bierze pan ze sobą? - nerwowo rozejrzał się Jaxa.

- Machejka? Nie. Zostawiam go panu. Ale korzystanie z ordynansa nie jest obowiązkowe. Ząb parsknął śmiechem.

- Panie majorze - zahaczył go Jaxa kilka godzin po wyjeździe Bohuna. - Ten ordynans zniknął.

- Powiedzieli mu, że teraz będzie miał służbę przy panu. Bał się.

- Czego?

- Ma pan sławę komunożercy. A w nim chyba została lewacka dusza.

Jaxa rozejrzał się niepewnie.

- Pan żartuje?

- Naturalnie - potwierdził Zub-Zdanowicz.

- Ale ja, widzi pan, nie. Nahajek zniknął.

- Co się pan przejmujesz, majorze! Skoro nasz chleb mu nie smakował? Poszedł do swojego żłobu. Jest tu taka mała grupa komunistyczna. Poślę Stepę, niech ich wyłapie. Może przyprowadzą Machejka, to się Bohun po powrocie ucieszy.

Patrole rozesłano w teren, oczywiście nie za ordynansem. Normalna robota - ochrona majątków, wyszukiwanie bandyckich melin. Wieś gminna głosiła, że Garbaty z AL miał ich tak dosyć, iż rozwiązał oddział. Jeśli to prawda, mają sukces. Wywiadowcy z terenu przekazali, iż w jednej z mniejszych grup komunistycznych znalazł się „poeta”. Rysopis zgadzał się z wyglądem ordynansa, więc mogli spokojnie przekazać Bohunowi, że chłopak żyje i ma się dobrze. I dzięki Bogu do Brygady nie wraca.

Władysław Machejek - zrobił oszałamiającą karierę po wojnie. Zaczynał jako sekretarz powiatowy PPR w Nowym Targu i redaktor naczelny „Głosu Pracy”. Aż do 1989 roku był naczelnym „Życia Literackiego”. Poseł na Sejm, członek PZPR i działacz

Towarzystwa Przyjaźni PolskoRadzieckiej. Ale przede wszystkim literat. Wydawał w gigantycznych nakładach powieści partyzanckie. Jego zasługi, jako żołnierza bohatera, wzrastały z każdym kolejnym wydaniem, aż się nawet Mieczysław Moczar zdenerwował, gdy Machejek podszył się pod jego akcję.

Po powrocie Bohuna nikt już nie pamiętał o Machejku.

- Co panom wiadomo o jakimś Tomie? - spytał. Zdanowiczowi nic. Jaxie owszem.

- Jaki związek ma jego osoba ze śmiercią majora Nałęcza?

- Nałęcz wraz z jakimś Wawrzkowiczem z kieleckiej dwójki udali się na spotkanie z Tomem, w jego lokalu. Tylko że zamiast tego Toma do lokalu wpadli Niemcy w mundurach Wehrmachtu i zastrzelili Nałęcza.

- A Otmar Wawrzkowicz? - spytał szybko Jaxa.

- Żyje, wyskoczył przez okno i uciekł. Postrzelono jeszcze kucharza, który znajdował się w lokalu.

- Ktoś jeszcze był z nimi? Ktoś z Brygady?

- Porucznik z dwójki. Żyje, zatrzymali go na razie w Częstochowie. Rozmawiałem z nim i potwierdza tę wersję zdarzeń.

- Coś budzi pański niepokój? - dopytał Jaxa.

- Tak. Poprosiłem o spotkanie z Tomem. I nikt go nie mógł odnaleźć.

- Pan mówił kiedyś - odezwał się Zub-Zdanowicz do Jaxy - że major Nałęcz już raz uciekł Niemcom. Może go tropili?

- Może...

*

Okolice wsi Gruszka, powiat konecki. 28 września 1944 roku

Kwatera sztabu 2 Brygady AL „Świt”.

Jakub czyta gazetę, leżąc na łóżku. Łokietek, już major Łokietek, kończy się golić, przeglądając w małym lusterku o posrebrzanej ramie.

- Dlaczego nie idziesz ze mną? - pyta Jakuba.

- Nie jestem zaproszony.

- Chodź, będą tańce, dziewczyny.

- Nie chce mi się.

- To mogłeś tak od razu. - Major wyciera twarz i ubiera mundur. Wychodzi.

Jakub odrzuca gazetę. Idzie się przejść po obozie. Jego uwagę przyciąga terkot silnika potężnego, wojskowego studebackera. Na platformie ciężarówki skrzynie z bronią. Nowy zrzut.

- Jakub? - z kabiny wyskakuje porucznik.

- Mirek?

Porucznik Mirosław Petelicki - szkolony w Sielcach nad Oką, następnie w Polskim Samodzielnym Batalionie Specjalnym, któremu NKWD za pośrednictwem Polskiego Sztabu Partyzanckiego przydzieliła zadania wywiadowcze na przedpolach frontu oraz specjalne rozkazy rozbijania niepodległościowego podziemia od wewnątrz. Wyłamał się, przekazując broń z sowieckich zrzutów NSZ. Ale o tym wie tylko on i Żbik. W składzie Brygady Grunwald pod dowództwem Maksa, Sobiesiaka.

- Co ty tu robisz? - Jakub ściska rękę przedwojennego kolegi.

- Góra z górą się nie zejda! - śmieje się Mirek.

- Cicho - gasi go Jakub. - Tylko nie mów, że znamy się z PPS.

- Co ja nie wiem? - wzrusza ramionami Mirek. - Ja też już, ech... dużo by gadać. Broń przywiozłem, gdzie dowództwo?

- Tam. - Jakub wskazuje głową dwór. - Ale oni chyba już po służbie.

- To nie dostaliście meldunków wywiadowczych? - czerwienieje Mirek. - Przecież od kilku dni ślemy wam wiadomości, że Niemcy koncentrują siły. Jakub, oni robią oblławę!

- Nie wiem - wzrusza ramionami Jakub. - Ja nic o tym nie wiem. Mów, co u ciebie? Jak się tu znalazłeś?

- Z nieba spadłem - zgodnie z prawdą mówi Mirek. - Nie teraz. Muszę iść do waszego sztabu. Jak cię później znaleźć?

- AL „Świt”! - Jakub pokazuje ręką kwaterę. - Czekam! Tylko nie do świtu, co?

Ogniska, przy których grzeją się partyzanci. Ktoś śpiewa. Sanitariuszka, ładna blondynka z długim warkoczem, odwraca się od ognia i uśmiecha do Jakuba.

- Porucznik nie na przyjęciu? Przysiada się koło niej.

- Już - mówi.

- Co „już”?

- Już jestem na przyjęciu.

Patrzy na partyzantów. Sami młodzi chłopcy. Szesnaście, siedemnaście lat.

- Kto z was najstarszy? - pyta.

- Ja - odpowiada dziewczyna. - Jagoda - podaje mu rękę.

- Jakub.

- Wiem. Porucznik jest znany. Jakub czerwieni się.

- Towarzyszu poruczniku - odzywa się chłopak o bardzo ciemnej, bujnej czuprynie. - Kiedy będziemy walczyć z Niemcami?

- Wystarczy „poruczniku”, bez „towarzysza” - niechętnie odpowiada Jakub. - Jak ci na imię?

- Ludwik, ale mówią na mnie Nagan. Bo przyszedłem do oddziału...

- Przyszedłeś - wchodzi mu w słowo Jagoda.

- Mówię właśnie, przyszedłem z naganem, zdobycznym. - Oczy mu lśnią, gdy pokazuje broń. Nagan wypucony.

- Chwali się - odpowiada Jakub i pyta krępego chłopca o nieśmiałą twarz: - A ty jak się nazywasz?

- Groźny - odpowiada chłopak i poprawia się, mówiąc głośniej:

- Groźny.

W tym samym czasie, w pobliskim dworze

Przy stole w jadalni siedzi kilkunastu oficerów AL, między nimi Łokietek i Tadek Biały.

Tadek Biały - Tadeusz Grochał, jego oddział dwa tygodnie wcześniej pod Rzębcem został rozbity przez Brygadę Świętokrzyską.

Jest i kilku oficerów w mundurach Armii Czerwonej. Na stole wódka, jedzenie. Nagle od szczytu stołu zrywa się niewysoki major.

- Balbina!

Przez otwarte na oścież drzwi jadalni wchodzi dziewczyna w balowej sukni i oficerkach.

- Zdrowie mojej narzeczonej! - krzyczy major.

- Zdrowie! - wypijają szybko i polewają szybko.

Balbina robi obrót i tanecznym krokiem zmierza ku majorowi. Podaje mu rękę i stawia nogę na krześle.

- Zdrowie majora Zygmunta! - woła.

Henryk Połowniak - pseudonim Zygmunt. Major AL. Syn chłopski. Prócz niego w AL pięciu braci. W kampanii wrześniowej kapral 17 pułku piechoty. Od dwóch lat w PPR. Wsławił się wykolejeniem pociągu ze zbożem kontyngentowym, uwolnieniem ponad pięciuset jeńców z obozu Budienstu w Jasicach oraz walkami pod wsią Janik, koło Ostrowca. Dowodzi zgrupowaniem AL pod Gruszką.

- Zdrowie!

- Muzyka! - klaszcze w dłonie Balbina. - W końcu to moje urodziny!

Zaczynają grać harmonie, Balbina i Zygmunt tańczą. Łokietek i Tadek Biały piją.

- Masz szczęście - trąca się z Tadekiem szklanką Łokietek - uciekłeś bandzirom z

NSZ.

- Polskim faszystom!

W głębi dworu, w sali kominkowej, straszą puste ściany. Obrazy postrzelone, pocięte. Rozbite ramy, porcelana. W pokojach na górze rozbebeszone szafy. W kuchni zabiedzony sowiecki żołnierz je zupe z puszki. Przechyla pustą puszkę, wypija resztę. Na blacie stołu stoją talerze, leżą łyżki. Słyszy grającą w jadalni harmonię. Przytupuje do rytmu.

- Zdrowie Baaalbiny! - krzyczy major Zygmunt. Balbina tańczy na stole. Jest bardzo ładna.

Łokietek i Tadek Biały piją, wznosząc toasty do jej oficerów. Porucznik Mirek wchodzi do sali. Patrzy na pijących. Kręci głową z niedowierzaniem.

- Kto tu dowodzi? - pyta głośno. - Kto tu dowodzi? Nie słyszą.

Obóz. Ognisko dogasa. Groźny i Nagan oparci o siebie pod jedną derką. Jakub stoi z Jagodą między drzewami. Patrzą sobie w oczy. Porucznik rozplata jej warkocz.

- Jestem zielona - szepce Jagoda.

- Ćśśś... - zamyka jej usta pocałunkiem. Słyszą szybkie kroki niedaleko.

- Gdzie porucznik? Widział ktoś porucznika Jakuba? - woła jakiś głos.

- Ćśśś... - całuje Jagodę w czoło i okrywa swoim płaszczem. - Zaraz wrócę.

- Panie poruczniku - melduje zasapany łącznik. - Niemcy na nas idą. Przodem puścili bataliony Kałmuków z Ostlegionen, a za nimi SS.

- Zawiadomić majora Łokietka! - wydaje rozkaz.

Biegnie w mrok między drzewami, do Jagody. Nie może jej znaleźć.

- Tutaj - szepce dziewczyna. - Tutaj.

Dopada do niej. Patrzy w oczy, szybko całuje w usta. Kręci głową przecząco.

- Bandy? - domyśla się.

- Niemcy. Budź chłopaków. - Chce ją przygarnąć.

- Nie czas na pocałunki, kiedy gwizdzą kule. - Dziewczyna wyrwa się i biegnie do swojego oddziału.

- To jakiś wiersz? - woła za nią Jakub.

- Nie! - odkrzykuje z daleka.

Od strony wsi słychać pierwsze strzały.

Przed świtem

Major Łokietek z Jakubem na skraju lasu. Łokietek wygląda paskudnie po przepitej nocy, ale trzyma się na nogach pewnie i mówi składnie. Lustrują przez lornetki horyzont.

- Nie damy się. W nocy ludzie Riaszczenki zaminowali przedpola wsi. Zrzut, który

odebraliśmy dwa dni temu, był potężny. A jeszcze to, co wczoraj dowieźli. - Gwiżdże przez zaciśnięte zęby. - Dziesięć rusznic przeciwpancernych, dziesięć moździerzy, trzysta pięćdziesiąt pistoletów maszynowych. Niemcy mogą nam skoczyć. Masz wodę?

Jakub podaje mu menażkę i mówi:

- Wygląda na to, że nas otoczyli. Dobrze się bawiłeś przynajmniej? Słysząc odległe buczenie czołgów.

- Nie najgorzej. - Patrzy w jaśniejące niebo i uśmiecha się do Jakuba. - Czas na AL „Świt”!

Cztery niemieckie czołgi osłaniają piechotę. Na stanowiskach partyzantów rozstawione moździerze i rusznice. Major Zygmunt daje rozkaz:

- Ognia!

Huk ciężkiej broni. Krzyki. Pociski trafiają o sto metrów za blisko. Dowódca pociera spocone czoło. Adiutant podaje mu menażkę. Bierze łyk i klnie.

- Co za gówno mi dajesz! Wódki przynieś!

Rozchocona nieskutecznym ostrzałem partyzantów niemiecka piechota podchodzi coraz bliżej. Major pociąga łyk wódki. Liczy do trzech i daje rozkaz:

- Ognia!

Żołnierze niemal wylatują w powietrze, czołg staje w płomieniach.

- Hura! - krzyczą partyzanci.

Pozostałe czołgi zatrzymują się na linii zaminowania. Piechota niemiecka zawraca w popłochu.

- No i po nich! - śmieje się głośno major. - Hura!

Południe

Kolejne uderzenie niemieckie. Czołgi okrążają wieś i las. Zmasowany atak piechoty, na wszystkie pozycje AL jednocześnie. Robi się gorąco. Partyzanci cofają się. Czołgi przebiły się przez pas zaminowań i wjeżdżają na drogę do wsi.

- Kurwa, a to co? - wścieka się Łokietek.

- Może ludzie tego Riaszczenki też pili, zanim zaczęli minować - wzrusza ramionami Jakub.

- Niedobrze. Tam mamy punkty opatrunkowe - syczy Łokietek do lornetki.

- Co? Przerzuciłeś sanitariuszki do wsi? - Jakub czerwienieje.

- Weź oddział i pomóż im w ewakuacji. Jakub nie słucha Łokietka. Biegnie.

Pozycje obronne 1 i 2 Brygady AL wraz ze wspomagającymi je oddziałami są rozciągnięte na cztery sąsiadujące wsie. Wszystkie cztery już płoną. Udało się ewakuować

rannych i sanitariuszki. Jagoda ma osmoloną twarz.

Wieczór

Niemcy przebili się przez pozycje partyzantów w kilku miejscach. Główny atak idzie teraz na AL „Świt”. Ranny major Zygmunt ucieka ze sztabem z płonącej wsi Gruszka. Zajmuje pozycję na niewielkim wzgórzu, krew kapie mu z twarzy, wydaje rozkazy, krzycząc:

- Nie ma odwrotu! Przegrupować się! Przekazać majorowi Łokietkowi, że nie wolno mu się cofnąć nawet na krok!

Na tyłach partyzantów zaczyna się robić pusto. Żołnierze patrzą, czy oficerowie nie widzą. Rzucają broń i uciekają.

Noc

Ostrzał artyleryjski słabnie. Zapada cisza ze strony nieprzyjaciela. Wsie dopalają się. Świtowcy nie oddali pozycji. Łokietek ranny. Jakub ma postrzał w nogę. Przybiega łącznik od Zygmunta.

- Dowódca każe atakować Niemców teraz.

- Niech nam przyśle amunicję. - Wyciera rękawem twarz Łokietek.

- Już przysłał. - Wskazuje za siebie łącznik. Major przeciąga się.

- A. To już się robi.

Jakub kończy zakładać sobie opatrunek. Wstaje, utykając lekko. Śmieje się do Łokietka, choć w ciemnościach widać tylko błyskające zęby.

- Bój to jest nasz ostatni?

- Nie pierdol! Jeszcze na Berlin pójdziemy!

- Ogniaaa!

Przed świtem

Główne siły alowców wycofują się w stronę Lasów Suchedniowskich. Oslania ich batalion Górala, lecz nieprzyjaciel nie ma ochoty na dalszą walkę. Wschodzące słońce ukazuje krajobraz po bitwie. Dopalające się wsie, rozbity niemiecki czołg. Spalone samochody pancerne. Rozbite działa. I stosy trupów alowców.

Obóz w Lasach Suchedniowskich. Ranek

W zaimprovizowanym szpitalu polowym krzątają się sanitariuszki. Między nimi Jagoda. Na noszach na ziemi leży Nagan, chłopak z czarną czupryną.

- Co z nim? - pyta Jakub, stając za nią.

Jagoda nie odpowiada. Pochyliła się nad Naganem i zamyka mu oczy. Wstaje.

- Już nic.

Za parawanem z płaszczy operuje sowiecki chirurg, oficer. Po drugiej stronie namiotu

zawieszona u sufitu płachta.

- Nie, tam nie - zatrzymuje go Jagoda. - Tam leżą umierający. Tutaj. - Wskazuje kąt namiotu, między już opatrzonymi. Pociąga Jakuba za rękę. - Zdejmij spodnie.

Dziewczyna klęka przed nim i drżącymi palcami zdejmuje mu lepki, zakrwawiony opatrunek z uda. Jakub nieśmiało dotyka jej jasnych włosów.

Bitwa pod Gruszką nazywana jest największą partyzancką bitwą na Kielecczyźnie. Do dzisiaj trudno ustalić końcowy bilans tego starcia, ponieważ w propagandzie komunistycznej, aby uzasadnić wysokie straty własne, wyolbrzymiano siły niemieckie podając, iż nieprzyjaciół wystawił około 5 tysięcy żołnierzy Wehrmachtu i SS wspieranych przez NSZ przebrane w niemieckie mundury. Według dokumentów z wewnętrznego dochodzenia przeciwko dowódcy, mjr Zygmuntowi, przeprowadzonego na zlecenie PZPR w latach 50., straty partyzantów AL można ustalić na około 70 zabitych i 70 rannych oraz faktyczny rozpad zgrupowania obu brygad, który nastąpił po chaotycznej ucieczce.

*

5 października 1944

ROZKAZ DZIENNY NR 54

Wobec upadku powstania w Warszawie zarząd zam dwutygodniową żałobę do dnia 15 października br. W okresie tym polecam nosić krepę na od znakach wojskowych i zakazuję wszelkich zabaw publicznych.

Mjr Ząb

Durchgangslager 121 Pruszków. Październik 1944 roku

Teren dawnych Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego otoczony betonowym murem. Cztery bramy, wieżyczki strażnicze. Dziewięć wielkich hal produkcyjnych, parę budynków. Wszędzie przelewa się tłum ludzi. Ci, którzy dopiero przyjechali, z tobołami, walizami, dziećmi, czekają na selekcję. Inni kręcą się między nowymi, szukając zaginionych bliskich. Przekrzykują się.

- Janina Nowowiejska z Długiej! Nowowiejska z Długiej!

- Pani kochana, z Długiej nie ocalał nikt...

- Dzisiaj przywiozą powstańców, tak mówią.

- Powstańców? To nie rozstrzelali?

W hali, będącej dawnym pomieszczeniem technicznym, ambulatorium i mały oddział. Na łóżku siedzi bardzo szczupła rudowłosa dziewczyna. Przy niej lekarka.

- Nie wypuszczę cię, Grażyno - szepce do niej wysoka, siwowłosa pani doktor. - Jesteś chora. Poza tym zdrowych wywożą na roboty do Niemiec.

- Nie zostawię swojego oddziału. Chcę wracać do nich. - Oczy Grażyny są błyszczące, nieprzytomne.

- Opamiętaj się, dziewczyno! Ani twojego oddziału już nie ma, ani Warszawy...

*

Częstochowa. 21 października 1944 roku

Major Zub-Zdanowicz i major Jaxa jechali do Częstochowy razem. Ale po drodze nie rozmawiali zbyt wiele. Oficjalnie obaj jechali na pogrzeb pułkownika Kmicica. Dowódcę NSZ, ledwie wydostał się ze stolicy po kapitulacji powstania, dopadli i zamordowali w Częstochowie komuniści.

Nieoficjalnie każdy z nich miał do spełnienia jakąś misję. Zdanowicz prywatną - chciał zabrać Falę do Brygady. Jaxa zaś...

- Otmar! Co wy wyprawiacie?! Wersja z komunistami się kupy nie trzyma!

- Bez nerwów, przyjacielu! Wawrzakowicz czuwa nad wszystkim: nie utrzymała się wersja, żeśmy go kropnęli za to, że chciał nawiązać kontakty z komunistami i podporządkować NSZ Armii Ludowej. - Otmar spacerował wokół stołu i wzruszał ramionami. - No to zareagowaliśmy błyskawicznie i podaliśmy że kropnęli pułkownika Kmicica komuniści. Co chcesz, nekrolog miał piękny, nie dostaliście w Brygadzie? Sam dyktowałem: „nieznana kula przecięła żywot”. Dobrze, nie? Jaxa czuł się jak ktoś, komu ziemia usuwa się spod nóg. Jeszcze niedawno doskonale panował nad wszystkim. To on rozdawał karty. Ale odkąd znalazł się w Brygadzie, stracił kontrolę nad biegiem zdarzeń, bo to tutaj, w Częstochowie, zaczęło bić prawdziwe serce Organizacji.

- No dobra - uspokoił głos, choć był bezbrzeżnie poruszony. - Mów, dlaczego zginął dowódca?

- Przez AK. Za bardzo chciał się z nimi bratać. Pamiętasz? Mieliśmy na niego oko jeszcze przed powstaniem, gdy wrócił z Brygady, z rozwianą grzywą, niczym bóg wojny i chciał grzać do Bora i znów nas jednoczyć z AK. - Otmar zaśmiał się tym okropnym, urywanym śmiechem, jakby się dławił. Jaxa, jak raz powziął postanowienie bycia spokojnym, tak był. Rzucił jednak chłodno:

- O zmarłych z szacunkiem.

- Dobra, dobra. W czasie powstania musiał się z akowcami zwąchać w Warszawie, bo jak tylko pojawił się w Częstochowie, zamiast się zameldować u nas w sztabie, coś tam kombinował na boku. Co? Nie wiadomo, ale na pewno nie był bez winy. A ja nie miałem na co czekać. Posłałem Toma, kropnął go i tego Żniwiarza, kapitana, żeby nie było świadków. A ty się nic nie martw, Jaxa, nic a nic. Jak się chce mieć wszystko, trzeba być twardym. Jak to

mówiłeś? Odcinać ogony! Ha! - Wawrzkowicz chciał zrobić jakiś ruch, coś jak klepięcie Jaxy w plecy. Ale powstrzymał się, bo przecież każdego, ale nie Jaxę. Zresztą ten odwrócił się już do drzwi.

- Jasne, Otmar. Jasne - powiedział cicho i nie patrząc na niego. Otmar chyba się zmieszał.

- No dobra, bracie, nie trzymam, bo panowie na ciebie czekają!

W pokoju było ciemno, ale rozróżniał znajome sylwetki.

- Majorze.

- Witam panów. - Położył na stole dwie osobne kartki. - Zacznę od dokumentu, który chociaż powstał przed ponad pół rokiem, ma dla nas fundamentalny wydźwięk. Nasz wywiad zdobył zarządzenie polityczne wydane w kwietniu 1944 dla wszystkich Frontów Ukraińskich.

- Po konferencji w Teheranie? - zaszemrali nestorzy.

- Tak jest. Po. - Skinął głową Jaxa. - Wytyczne politruków do frontowców zaczynają się od połajanki i przestrogi zarazem, by ukrócić szerzenie się w szeregach armii nastrojów pokojowych, a w dalszej fazie wyluszczać prawdziwe zamiary Sowietów. Nie chcę tego streszczać, pozwolą panowie, że przytoczę: Obecna faza wojny może być uważana jako początkowy etap walk o przebudowę świata. Przeciwnik jest zbyt silny i daleki od pokonania go. Cofanie się Niemców na naszym froncie może być raczej uważane jako pociągnięcie polityczne, skierowane przede wszystkim na pogłębienie rozdzźwięków wewnętrznych między ZSRS i państwami kapitalistycznymi, prowadzącymi razem z nami wojnę przeciwko Niemcom.

Wziął oddech. Poczekał, aż przebrzmi w słuchaczach „przebudowa świata”. I kontynuował:

- Nie ulega wątpliwości, że Anglia i Stany Zjednoczone mają na celu utrzymanie terytorialnej niepodległości Polski. Jest rzeczą zupełnie jasną - ZSRS nie może zatrzymać się na granicach z 1939 czy 1941, bowiem Partia stawia szersze zadanie - Stworzenia Europejskich Sowieckich Socjalistycznych Republik Rad. Do tego Anglia i Stany Zjednoczone nie będą chciały dopuścić i rozstrzygnąć sprawę może tylko oręż. Z chwilą pokonania Niemiec dojdzie do nieuniknionej wojny między ZSRS a Anglią i Stanami Zjednoczonymi. Jednocześnie należy się liczyć z rozpętanem wojny domowej w Europie, która nie tak łatwo pójdzie za Partią Komunistyczną.

- A nam się wydawało - przerwał zupełnie spokojnie Profesor - że szczytem sowieckiej perwersji jest uczynienie z Rzeczypospolitej siedemnastej republiki.

- Tym niemniej fakt, iż jesteśmy dla Stalina tylko przystawką przed połknięciem

Europy, nie należy do uspokajających - mruknął Mecenas.

- Czy mogę? - zadał pytanie Jaxa i wziął ciszę za odpowiedź.

- Aktualny bieg wypadków może być przez nas podzielony na następujące etapy wojny: osiągnięcie przez nas granic z 1941 roku, jako zamknięcie pierwszego etapu wojny, który faktycznie jest na zakończeniu. Jako drugi etap - moment wojskowego i politycznego pogromu Niemiec. Trzecim - ostatecznym etapem - wojna z Anglią i Stanami Zjednoczonymi z jednoczesnym rozpętnaniem walki klasowej z antykomunistycznymi elementami Europy. Jak długo trwać będą poszczególne etapy - odgadnąć nie można, lecz z całą pewnością można stwierdzić, że trwać będą jeszcze długie lata.

- Czy rząd londyński zna treść tego zarządzenia? - spytał Profesor.

- Zgodnie z przyjętą na początku wojny zasadą dzielimy się z Londynem wszystkimi zdobyczami wywiadu. I rozstanie z AK nie zmieniło naszego postępowania w tym zakresie. To, iż przebywam w Brygadzie Świętokrzyskiej, utrudnia mi realizację wielu naszych planów, lecz... - urwał. Niech sobie sami dopowiedzą resztę.

- Brakuje nam pana, majorze Jaxa - powiedział Profesor. - Musimy przyznać, że gdy pan zajmował się naszymi sprawami, szły one znacznie sprawniej.

- Dziękuję.

- Właśnie dlatego musi pan zostać w Brygadzie. Łączymy z nią dalekosiężne plany.

Więc jednak.

- Trudno mi je realizować, będąc ich nieświadomym.

- Czyżby? Przy pańskiej inteligencji spodziewamy się, iż rozumie pan ich istotę. Dbając o pana pozycję, usunęliśmy pułkownika Kmicica.

Jaxa poczuł, że robi mu się chłodno.

- Nie rozumiem - powiedział.

- To chyba jasne, że Kmicic po powrocie z Warszawy zrobiłby wszystko, by samodzielnie dowodzić Brygadą. Znając miłość, jaką darzyli go żołnierze, musieliśmy interweniować, dla pana dobra. Pan jest naszym kandydatem na wodza przyszłego wojska polskiego i temu służyć ma pańska obecność w Brygadzie. Jak przyjdzie czas, pan przeprowadzi Brygadę na Zachód i połączy z aliantami.

- Brygadę i nas - dodał Profesor.

- Mamy świadomość, że to będzie trudna misja, może najtrudniejsza. Przytoczony przez pana dokument tylko nadaje jej wagi, potwierdzając jednocześnie słuszność podjętej przez nas decyzji.

- Jestem zaszczycony. Nie zawiodę ani panów, ani Ojczyzny, ani Brygady. Tak mi

dopomóż Bóg.

- Amen. Czy może pan zostawić nam kopię tego zarządzenia?

- Oczywiście. Polecam szczególnie jego zakończenie. - Skłonił się i wyszedł.

UWAGI KOŃCOWE: walczyć z ożywioną w szeregach naszych nadzieją na szybkie zakończenie wojny i wtłaczać w pojęcie oddziałów wojskowych, że wojna jest wciąż w stadium początkowym i walka będzie jeszcze bardzo okrutna i zacięta, i trwać będzie długie lata. stopniowo, z nadzwyczajną ostrożnością i wyłącznie w prywatnych pogadankach, wpajać myśl, że najbliższym naszym przeciwnikiem będą Anglia i Stany Zjednoczone - NASI ODWIECZNI WROGOWIE - ale przy tym powinno się podkreślać i przypominać o niewyczerpanych bogactwach surowcowych ZSRR, żeby nie budzić obawy, iż kraj nasz w okresie blokady i izolowanego położenia bez pomocy z zewnątrz znajdzie się w krytycznym położeniu, szczególnie pod względem zaopatrzenia w żywność. nakreślić stopniowo przejście od idei narodowych do międzynarodowych, drogą ostrożnego usuwania z użycia słów „ojczyzna”, potem „naród rosyjski”. Szczególnie unikać słowa „Rosja”, w prywatnych pogadankach wyjaśnić to przejście. Z chwilą przekroczenia granic państwowych z 1941 pojęcia te staną się szkodliwe, a już wypełniły swe zadanie.

Gen. Mjr Kolesnikov

Major Zub-Zdanowicz w tym samym czasie spotkał się z pułkownikiem Boguckim.

- Gratuluję! - uścisnął dłoń dowódcy.

Zygmunt Broniewski, pseudonim Bogucki - przedwojenny major kawalerii WP, później pułkownik. Niemal od początku istnienia członek Związku Jaszczurczego. W 1942 komendant Okręgu Lubelskiego NSZ, to on przyjmował Zub-Zdanowicza i powierzył mu pierwsze obowiązki w terenie. W sierpniu 1944 otrzymał funkcję Inspektora Obszaru Zachód NSZ z racji czego nadzorował Brygadę Świętokrzyską. Po śmierci Kmicica mianowany Komendantem Głównym NSZ.

- Cieszę się, że znów będę pana podkomendnym. Chociaż żałuję świętej pamięci pułkownika Kmicica.

- Ja też, majorze. Uszedł z życiem z płonącej Warszawy, a zginął tu, w Częstochowie. Komuna nam nie odpuści.

- My jej też! - uśmiechnął się Ząb. - Musi pan odwiedzić Brygadę. Żołnierze potrzebują znać swego wodza.

- Naczelnny Wódz to jest w Londynie, majorze. Znajmy swoje miejsce. Ale przyjadę, chętnie poznam tych zuchów. To prawda, że ze zwykłego karabinu zestrzeliliście samolot?

- Gorzej. Zrobił to woźnica. I poszedł za to do raportu, bo mieli zakaz strzelania, żeby

nie ujawniać pozycji taborów Niemcom - śmieje się Ząb. - Ale w tym samym dniu dostał awans i pochwałę. Pod Cacowem walczyli już w naszych szeregach ludzie, których wzięliśmy mniej niż dwa tygodnie wcześniej pod Rząbcem. Byli w AL, Bohun zaproponował, że kto chce do Brygady, to droga wolna, oczywiście, jeśli nieskażony bolszewickim trądem. Ponad dwudziestu zostało i powiem panu, świetni żołnierze. Brakowało im celu i dobrej ręki. Trafili do Tadka Białego przypadkiem, szukali polskiego wojska, a ten był pierwszy z brzegu. Jak się zorientowali, że coś Sowietów się tam kręci zbyt dużo, było już za późno. Im dłużej jestem w terenie, tym bardziej mam pewność, że w szeregach AL jedna czwarta to nieświadomi, którzy szybko zamieniają się w zastraszone. Czytał pan archiwa Karawajewa?

- Tak. Odszyfrowaliśmy kolejną porcję. Włos się na głowie jeży, majorze. Tu masz pan wytyczne, na przykład wytyczne Ponomarienki, czytaj pan.

- Tak więc, siły polskie zachowywane i organizowane są w głównej mierze przeciwko nam. Rezerwy ludzkie Polski należy uważać za dostatecznie silne, bowiem po rozbiciu armii polskiej wszyscy zdolni do walki mężczyźni pozostali głównie w Polsce. W interesie państwa [sowieckiego] powinniśmy podjąć pewne działania. W Polsce należy rozpalić walkę partyzancką. To - oprócz efektu wojskowego - spowoduje duże ofiary ludności polskiej w wyniku walki z niemieckimi okupantami i doprowadzi do tego, że Polakom nie uda się w pełni zachować swych sił.

Zdanowicz oddał Boguckiemu papier.

- Ale my to wszystko wiemy od dawna - powiedział. - Tu ma pan spisane, czarno na białym instrukcje, a w terenie mamy to jakby w ilustracjach. Takie „żywe obrazy” - uśmiechnął się ujmująco.

Pułkownik Bogucki parsknął.

- Żona moja pyta o pańskie zdrowie.

- Dziękuję, doskonale. Świnka nie wróciła.

- A jak się panu współpracuje z majorem Jaxą?

Zub-Zdanowicz namyślał się nad odpowiedzią o minutę za długo.

- Bo Jaxa nadzwyczaj pana chwali - dodał pułkownik. Zdanowicz uniósł połowę brwi.

- Tak? Wobec tego ja też go chwale. Między nami mówiąc, poczucia humoru nie ma, ale pod Cacowem spisał się na cacy.

- A pułkownik Bohun?

- Przesłuchuje mnie pan, komendancie NSZ? Nie wierzę! Ale w razie czego oświadczam: moi przełożeni są fantastyczni, jestem zaszczycony i tak dalej. I mam prośbę, w ramach rewanzu za obszerne wyjaśnienia, których właśnie udzieliłem. Mógłby pan pogadać z

majorem Radoszem, żeby mi wydał córkę?

- Panna Fala została komendantką pomocniczej służby kobiet w Częstochowie. -
Rozłożył ręce Bogucki.

- Radosz zrobił to specjalnie, żebym narzeczonej nie zabrał do Brygady. Czy pan wie, że jestem od roku zaręczony z PorayWybranowską?

- Współczuję. Oczywiście nie dziewczyny, ale przyszłego teścia.

- Jak będzie jej tak strzegł, to w życiu nie zostanie moim teściem. Wstawi się pan za mną, komendancie?

- Co ja mogę...

- Porwę ją - zagroził Zub-Zdanowicz. - Przyjadę do Częstochowy z trzecią kompanią i się skończy tatusiowanie!

- Dlaczego z trzecią?

- Bo jak słyszę, imię Żbika wciąż jest tu sławne!

- O Chryste! Masz pan rację. Żbik przeciw Radoszowi to nierówna walka. Okropnie tu baby za nim szalały!

- Baby? To on się może podobać kobietom? Hmm. Myślałem, że kochają go tylko partyzanci - powiedział jakimś zawiedzionym głosem Ząb.

- Pomówię z Radoszem, ale nie obiecuję, czy skutecznie. Major, jak pan wie, nie jest moim podkomendnym. Uznaje zjednoczenie z AK i pułkownika Lesińskiego. Jesteśmy więc niejako w opozycji, choć przyznam, że tylko formalnie. W pracy nam to nie przeszkadza.

Miejsce postoju Brygady Świętokrzyskiej. Dwa dni później

Jest wieczór. Kończy się posiedzenie sztabu Brygady.

- Jeśli ma pan do nas żal, że nie upilnowaliśmy panu Nahajka...

- Machejka - poprawia z wyrozumiałym uśmiechem Bohun.

-...o nim mówię - ciągnie Ząb - to proponuję panu mojego osobistego ordynansa. Pozostanie pan w kręgu Sienkiewicza, bo chłopak ma pseudo Rzędzian.

- Doprawdy? A taki sam sprytny?

- Hmm. Sprytny to może nie - wycofuje się Ząb. - Ale bezwzględnie lojalny. I mundur panu odpicuje jak nikt.

- Nie, jakoś nie mam sumienia. Adoptuję kogoś, znów mamy spore stany nowych.

Dowódcy wychodzą z kwatery sztabu, udając się na spoczynek. Jest chłodna, późnopaździernikowa noc.

- Martwią mnie sprawy aprowizacyjne - wciąż nie może skończyć pracy Bohun. -
Kwatermistrz dokonuje cudów, ale wyżywić tysiąc ludzi to wielka sztuka.

- Myślałem o tym nie raz. Mieliśmy w Lubelskiem takiego sztukmistrza, co w tej kwestii był nie do przecenienia. Wprawdzie Żyd, ale żołnierz NSZ.

- Żyd w naszych szeregach? - Jaxa aż się zatrzymał. - Pan żartuje - uspokoił sam siebie.

- Nie. On też się nie afiszował z przynależnością. Miał jakieś swoje działania wywiadowcze i umieścili go w jednym z majątków jako sekretarza. Nie było dla niego sprawy nie do załatwienia, umiał tak żyć, że każdy go brał za swego.

- No właśnie - pokiwał głową nadąsany mocno Jaxa. - Coś okropnego.

- Przeciwnie! Mistrz swego fachu! EksportImportSztuki Niemożliwe!

- Ma pan z nim kontakt? - zainteresował się poważnie Bohun, jakby nie widział sprzeciwu Jaxy.

- Mogę spróbować nawiązać. Chciałbym osobiście, bo zostawiłem na Lubelszczyźnie dwa oddziały, Cichego i Znicza. Bardzo mi ich brakuje.

- Ściągnięcie większych jednostek w chwili obecnej uważam za niemożliwe. - Bohun mocniej okrył się noszonym na ramionach płaszczem. - Tam Sowiet. Ale proszę spróbować, może chociaż tego Sztukmistrza z Lublina ściągniemy.

Jaxa chciał zaoponować, lecz w tej samej chwili usłyszeli tumult na placu apelowym. Wszyscy trzej ruszyli w tym kierunku bez słowa.

To, co zobaczyli, było poza wszelką krytykę. Rotmistrz Piorun, z oddziału rozpoznawczego, w rozpiętym mundurze jechał konno, krzycząc:

- Nie masz pana nad ułana!...

Uciekała przed nim dziewczyna, trudno powiedzieć, czy gospodarcza, czy sanitariuszka. Zobaczyła nadchodzących dowódców i umknęła, chowając się za majorem Zębem.

- Rotmistrzu! - spokojnie powiedział Bohun. - Pan jesteś pijany.

- Z drogi! - ryknął Piorun na pułkownika i usiłował stratować ich, by dostać się do dziewczyny.

- Rotmistrzu, proszę natychmiast zsiąść z konia i oddać broń! - powtórzył zdecydowanie Bohun.

Piorun zatoczył koło. Nie był pijany. Był kompletnie pijany i to nie po raz pierwszy. Kilka dni wcześniej stanął do karnego raportu. Jak widać, oficjalne metody wychowawcze nie poskutkowały.

Zub-Zdanowicz błyskawicznie wyrwał z kabury rewolwer i wymierzył w rotmistrza.

- Z konia! - krzyknął głosem obudzonego nagle żandarma. - Natychmiast z konia!

Piorun zaśmiał się.

Zdanowicz wymierzył i strzelił. Rotmistrz spadł z konia, którego złapał za uzdę pułkownik Bohun. Piorun leżał w kałuży krwi. Jaxa pochylił się nad nim, podniósł w górę pobladłą twarz.

- On nie żyje - powiedział.

- I umarł ze śmiechem na ustach - dodał Ząb.

*

Żbik siedzi na łóżku. Obok niego rozłożony na części pistolet. Grzebie w nim.

Bosman Grzmot przy stole przegląda papiery.

- Skrytobójcza dłoń przecięła nić życia ś.p. płk Kmicica - czyta.

- Nie mogę uwierzyć, że pułkownik nie żyje. Pamiętam, jak walczył z nami. To był ktoś!

- Uhm - mruczy Żbik. Bosman przerzuca rozkazy.

- Ten Bogucki, jego następca. My go nie znamy, co?

- Uhm. Wodza Naczelnego w Londynie też nie znasz i przeszkadza ci to?

- Nie. Ale zauważyłem, że za każdym razem, jak umiera nam dowódca, to dzień przed śmiercią wyznacza rozkazem swego następcę.

Żbik uniósł oczy znad lufy i zamrugał.

- Myślałem, że tylko mi to się wydaje dziwne.

- Ten, co umarł na zawał albo inny wylew, wyznaczył Kmicica, Kmicic wyznaczył Boguckiego.

- Strach pomyśleć, kogo wyznaczy Bogucki.

- Dobra, nie nasza rzecz. My jesteśmy od walczenia, nie od kombinowania. Posłuchaj: Wszystkie członkinie PWSK w terminie do 22 bm. obetną sobie włosy a la garson. Równocześnie postarają się o furażerki jednakowego kroju i koloru.

- No i po dziewczynach! - rozłożył ręce Żbik. - Teraz będziemy mieli tylko wojsko.

- Komu to przeszkadzało? Warkocze, loki, koki... ach... a co z majorem Zębem? Naprawdę Bohun chce go postawić przed sądem za Pioruna?

- Taki jest regulamin. Ale już po wszystkim. Uniewinniono go.

- No chyba jasne. Jeszcze czegoś takiego nie było, żeby żołnierz rzucił się na dowódcę.

- Doceniacie teraz komendanta Żbika? Ja was tylko lałem. A mogłem zabić.

- E, komendant, nie rozbestwiał się. Nie mogłeś zabić, bo w „Żbik Division” nikt się na ciebie z bronią nie rzucił!

- Też prawda. Co jest, Robercik?

Chłopak wreszcie wyglądał na swoje szesnaście lat.

- Panie komendancie, znalazłem dziewczynę.

- O, to się chwali! Widzisz, na każdego przyjdzie pora. Ładna?

- Chyba nie... ruda i chuda... Ale ja, panie komendancie, ją znalazłem, tak dosłownie.

- Takie czasy, wszyscy jesteśmy chudzi - pokiwał głową Bosman i drapnął się w pierś.

- Byliśmy z patrolem i ja ją znalazłem w krzakach. Leżała nieprzytomna. To było jakieś dwieście metrów od torów kolejowych, mogła wypaść z pociągu albo wyskoczyć. Okropnie poobijana i półprzytomna.

- Co z nią zrobiłeś?

- Zostawiłem na razie u chłopca, wie pan, u Ludwisiaka. Ale jak odchodziłem, ona złapała mnie za rękę i błagała, żebym jej nie opuszczał. Widziała mundur polski i błagała, że ona chce do wojska. Takie oczy miała... panie komendancie... niech się pan ulituje... weźmy ją. Na sanitariuszkę się wyszkoli albo na coś...

Żbik westchnął.

- Idźcie po nią.

- Ludzki pan - powiedział Bosman głosem, którym zwykle mówił „miękką dupa”.

Izba chorych

Dziewczyna leżała na boku, patrząc na własne dłonie. Poruszała palcami, odkrywając, że należą do niej. Krótko obcięte rude włosy nadawały jej twarzy niemal dziecięcy wygląd. Była bardzo chuda i blada tą przezroczystą bledością rudzielców.

Irtysz pochyliła się nad nią.

- Naprawdę nic nie pamiętasz?

- Nic. - Dziewczyna uniosła na sanitariuszkę jasne oczy. - Jakbym się dzisiaj urodziła.

- Wydaje się, że przeszedł tyfus. Masz też tę ranę na głowie - pogłaskała dziewczynę. - Jakby ktoś z całej siły cię uderzył czymś ciężkim. Ale to musiało być ponad tydzień temu. Mój mąż mówi, że mogłeś od uderzenia stracić pamięć.

- Wróci?

Irtysz uśmiechnęła się smutno i przykucnęła tak, aby znaleźć się twarzą w twarz z dziewczyną.

- Nie wiadomo, co lepsze. Ja wielu rzeczy, które widziałam, nie chciałabym pamiętać.

- Dzień dobry - nieśmiało mówi Robercik, wchodząc do izby chorych.

Irtysz wstaje.

- A jego pamiętasz?

- Tak. Uratował mnie.

- Nie... - peszy się chłopak. - Ja tylko znalazłem... Jak się czujesz? Dziewczyna siada na łóżku.

- Chcę walczyć - mówi dobitnie.

Kwatera Żbika. Kilka dni później

Dziewczyna i Robercik stoją przed nim.

- Proszę o przyjęcie mnie do oddziału - mówi ona.

- Na przeszkolenie cię pošlemy, będziesz sanitariuszką.

- Nie. Proszę o przyjęcie mnie do oddziału, jako żołnierza.

- Dziewczyno! Co to jest? Koncert życzeń? Ja nie mam w oddziale, za przeproszeniem, bab żołnierzy, ja mam gospodarcze, łączniczki albo sanitarne. A ty na dodatek nie wiesz nawet, kim jesteś! Co ja powiem oficerowi politycznemu, jak mnie zapyta? Przyjmuję taką jedną, chociaż nikt nie wie, kim jest? Przecież to będzie mi policzone jak sabotaż. A jak ty jesteś jakiś mały szpieg?

- Nie jestem - twardo mówi dziewczyna. - Przysięgam, że nie będzie miał pan ze mną żadnych kłopotów. Wszystkiego się nauczę i nie będzie mnie musiał pan traktować ulgowo.

- Nie wytrzymasz forsownych marszów. Nie udźwigniesz karabinu, nie mówiąc o chlebaka i amunicji. Nie możesz liczyć na pomoc żołnierzy, bo oni sami padają na pysk.

- Przysięgam panu, że ja nie padnę.

- Jezus Maria - rozkłada ręce Żbik i nerwowo chodzi od okna do okna. - I co ja mam z tobą zrobić, dziewczyno?

- Przyjąć do oddziału. - Ruda jest twarda.

Mała, chuda, blada jak śmierć i nieustępliwa. Żbik taksuje ją spojrzeniem. Jest tak - chciał pomyśleć: brzydka, ale pomyślał jakoś zręczniejsz - że może chłopaki nie potraktują jej jako dziewczyny? Szkoda małej. Pamięć straciła, ale przecież to Polka i chce walczyć z Niemcami.

- Pseudonim? - zapytał pojednawczo.

- Może być nawet Ruda! - W jej oczach zalśniły łzy.

- Nie! - zaprotestował Robercik, czerwieniąc się. - Ja chciałem zgłosić...

- No, mów. Jako znalazca masz swoje prawa. - Żbik mrugnął do rudej.

- Bożena. Jeśli się zgodzisz - spojrzał na dziewczynę. - Że od Boga...

- Wszystko mi jedno. Mogę być Bożeną.

- Jesteś za nią odpowiedzialny. Zaprowadź do kaprała na przeszkolenie, znajdźcie jej jakiś mundur i załatw ze swoimi babcinami, żeby dziewczynie zmniejszyły. Chyba że ona

umie szyć?

- Nie wiem - odpowiedziała szczerze Bożena.

Szkolenie Bożeny poszło zaskakująco szybko.

- Melduję, że ruda chuda ma talent do broni - powiedział kapral Dąb. - Składa karabin szybciej i zręczniejsz niż chłopaki.

- Nie mów ruda chuda. Mów „Bożena” - zganiał go Żbik.

- Bożena ma też dobre oko - poprawił się kapral. - Ale co będzie, jak ruszymy? Nie wiem.

- Okaże się najdalej jutro. Pierwsza kompania właśnie załaziła Niemcom za skórę, spodziewam się, że rozkaz do wymarszu padnie dzisiaj wieczorem. Haubicę zdobyli - z pewną nutą zazdrości dorzucił Żbik.

- Przyda się drugie działo w Brygadzie. Ale szkoda, że nas zdetronizowali. Nie możemy się czymś odkuć?

- Dobra, dobra. To nie wyścigi, to wojsko.

Przemarsz Brygady. Noc

Wieje ostry, przenikliwy wiatr i leje deszcz.

Przodem kompania ubezpieczająca. Za nią dowództwo. Potem batalion za batalionem. Tabory. Na końcu ubezpieczenie tylne.

W ciemności bataliony tracą łączność. Tabory gubią drogę. Zawracają. Wiatr przygina ludzi do ziemi.

Robercik idzie przy Bożenie. Dziewczyna dźwiga karabin, chlebak. Ma twarz mokłą od deszczu.

- Daj coś. Daj amunicję. Pomogę ci.

- Nie.

Wstaje świt, ale do miejsca postoju daleko. Bożena ma czerwone, zgrabiałe ręce. Idzie, jakby spała. Obok niej ślania się Robercik. Ruda bez słowa zdejmuję mu z ramienia chlebak i zakłada sobie. A on nawet nie zauważył.

Kwaterna sztabu Brygady

Rzędzian roznosi gorącą herbatę w blaszanych kubkach. Z ust dowódców bucha para przy każdym słowie. Jaxa ma szyję owiniętą szalikiem.

- Idzie zima i musi być zimno - mówi Bohun. - Trzeba zrobić ten magazyn we Włoszczowie.

- To niebezpieczne - szczeka zębami Jaxa. - Sto metrów od magazynu są koszary SS.

- Sto pięćdziesiąt - poprawia go Zub-Zdanowicz. - Proponuję trzecią kompanię.

- Znowu? - pyta dowódca. - Niektórzy żołnierze buntują się, że jak prawdziwa akcja, to albo Step, albo Rusin, albo Żbik.

- W kwestii buntów mamy wśród nas niewątpliwego specjalistę - mówi chyba złośliwie Jaxa.

- Nie przeczę, że mam talent do ludzi - zgadza się Zub-Zdanowicz. - I dlatego, jako szef sztabu, proponuję trzecią kompanię. Porucznik Żbik był przez jakiś czas szefem egzekutywy i dywersji we Włoszczowie. Zna teren.

- O ile mnie pamięć nie myli, był wtedy w NOW, nie w NSZ - wtrąca Jaxa.

- A jakie to, do cholery, ma dzisiaj znaczenie?! Każdy gdzieś był. Ja byłem w AK, o ile pana Organizacja o tym nie wie! - Ząb wybuchał rzadko, ale w tej chwili Jaxa i te jego polityczne wieczne pretensje i nieustanne węszenie wyprowadziły go z równowagi.

- Panowie, to nie czas i miejsce. - Bohun nie po raz pierwszy był rozjemcą w sporze między Jaxą a Zębem. - Zgadzam się na Żbika.

Południe.

Żbik z Grzmotem wybierają ludzi.

- Ty.

- Ty.

- I ty.

- A ja? - jęczą Robercik i Dzidziur.

- A wy nie.

- Pan komendant nas dyskryminuje z racji na wiek - odważa się Dzidziur, bo to już kolejna akcja, do której idzie ta sama ekipa.

- Odwrotnie - klepie go po ramieniu Żbik. - Chronię was, z podanego przez ciebie, żołnierzu, powodu.

Robercik i Dzidziur z zazdrością patrzą za wybrańcami. Tym bardziej że są wśród nich dwaj byli alowcy, z tych, co przeszli do Brygady pod Rząbcem. Berlingowiec i Bill. Obaj saperzy.

- Stary faworyzuje komuchów - mruczy Robercik.

- Zamknij pysk - szepce mu do ucha Grzmot. - Odkąd złożyli przysięgę, są twoimi druhami.

Włoszczowa. Późny wieczór

Czterdziestu ludzi z trzeciej kompanii, trzy puste wozy. Każdy z żołnierzy ma pistolet maszynowy, do tego osiem erkaemów. Granaty, tak „w razie Niemca”. Trzy godziny marszu za nimi. Podchodzą na kilometr od Włoszczowy. Przed nimi łąka, pierwsze zabudowania

miasta. Młyn wodny.

Żbik wyjmuje kartkę papieru i robi szkic.

- Tu jest ulica. Po jednej stronie magazyn, po drugiej knajpa. Siedzą w niej teraz esesmani i Kałmucy z Ostlegionen i chleją.

- Zrobimy ich? - wrywa się Ryś.

- Nie. Celem naszej wyprawy jest magazyn.

- Żarcie?

Żbik rysuje, co będą obrabiać. Ale żaden z niego Esman, bo Grzmot pyta:

- Pranie?

- Dobra, koniec tych kalamburów. Chciałem was przygotować do akcji, jak to się kiedyś robiło we Włoszczowie. Ale wy niereformowalni jesteście.

- Ty nam, komendancie, tylko wytłumacz - uspokaja go bosman.

- Magazyn od strony miasta przez ulicę graniczy z knajpą i koszarami. Ale od drugiej strony ma zabudowania gospodarcze, ogród, sad i te łąki, przez które podejdziemy. Więc wchodzimy od tyłu.

- Rozumiemy.

- W budynku magazynu jest mieszkanie prywatne. Wejdziemy przez nie. Polak, który tam mieszka, jest właścicielem budynku. Samotny, alkoholik. Nie wiadomo, jak długo w knajpie naprzeciwko będą się bawić esesmani, więc musimy zachować absolutną ciszę. Jeden wystrzał kończy naszą akcję sromotną porażką. A pamiętacie, że teraz w glorii i chwale chodzi Bem z haubicą?

- Pamiętamy - szepcą chórem.

- Dla dobrej akcji zdejmujemy buty i przejdziemy całe podwórze boso. Tygrys i Szach, dzisiaj na was wypadło, przebierać się. - Rzucił im niemieckie mundury przywiezione na wozie.

Jest koniec listopada. Zimno jak w psiarni.

- Nie wiem, ile towaru zastaniemy w magazynie. Brać będziemy ciepłą odzież, buty, płaszcze. Taki jest cel akcji: zaopatrzenie zimowe Brygady. Wozy i woźnice zostają, czekają na ładunek. Jasne?

- Jasne.

Musieli zdjąć buty. Większość z nich miała podkute, zdobyczne buty niemieckie. Na ile pijani są kałmucy i Niemcy w knajpie naprzeciwko? Słyszeli ich rechot i radosne „Heidi”. Żbik położył chłopaków w ogrodzie. Z Szachem, Tygrysem i Grzmotem ruszył do budynku. Dwaj pierwsi przebrani wprawdzie za żołnierzy Wehrmachtu, bo mundurów SS chwilowo w

magazynie Brygady nie było, stanęli pod oknem mieszkania i zapukali.

- Kto tam? - po chwili ziewnął męski głos.

- Soldaten.

- Was wollen Sie?

- Machen Sie auf.

- Ein moment, bitte...

Gdy gospodarz otworzył i zobaczył Żbika, zbladł.

- Zapraszamy się - weszli cicho. - Przykro nam, ale musimy uszczuplić niemiecki magazyn. Pan rozumie, zima.

- Panowie - lamentował - to mi grozi śmiercią...

- Nic się panu nie stanie. Na koniec zwiążemy pana ładnie, a pan oświadczy, że...

-...to Sowietów? - domyślił się, pociągając nosem, Polak. - To lepiej od razu mnie zwiążcie. - Poczłapał do kuchni po sznurek i sam usadził się na krześle. Przetaskował je bliżej stołu. - Tam wieje od okna, przepraszam. Wolę tutaj. Drzwi z pokoju prowadzą do magazynu. - Pokazał które i poprosił Grzmota. - Będzie pan tak dobry?

- Będę. - Grzmot związał go.

- Jasna dupa - oświadczył Szach, gdy udało mu się otworzyć drzwi. Za nimi była ściana z desek.

- Nie wiedziałem - przeprosił gospodarz. - Musieli od swojej strony zabić.

Deska po desce, a były grube, solidne. Każdy trzask w ciszy nocnej wydawał się hukiem. W końcu się udało. Tygrys ruszył po chłopaków czekających w ogrodzie.

- Ile tu dobra! - Grzmot podrapał się po mundurze.

Buty, grube swetry, kalesony, wełniane skarpety, mundury. Mydło. Pościel. Lekarstwa.

- Mydło? - skrzywił się bosman. - Nie, no bierzemy, co każesz. Z prześcieradeł wiązali toboły, w które ładowali jak leci. Tygrys i Szach, w niemieckich mundurach, ubezpieczali na zewnątrz ruch wahałowy. Do wozu i z wozu.

- Rany - po trzech godzinach nieustannego kursowania jęknął Żbik. - Szkoda, że nie możemy zabrać wszystkiego.

- Nie da rady. Trzeci wóz już pełen. Konie nie uciągną. I chłopaki też coraz wolniej chodzą, a przed nami droga powrotna. Żbik, trzeba się zbierać.

- Dobra. Ostatni kurs i ściągamy posterunki.

- Przylać panu? - troskliwie zapytał na odchodnym Grzmot.

- Nie, dziękuję. - Gospodarz zawahał się. - A ruski by mi przylał?

Gdy na boso przemykali przez ogród, usłyszeli idących ulicą Niemców. Podkute buty, nierówny krok. Czkawka.

Zniknęli.

Jeden z wozów zapadł się po osie na moczarach koło młyna.

- Wyprzęgać!

Nawet dwa dodatkowe konie nie pomogły.

- Zjechał z grobli i tyle. Musimy przeładować. Psiakrew!

Toboły z wozu, na plecy. Po pas w zimnej wodzie, na drugą stronę przez bród. Jeden po drugim. Pusty wóz wypchnąć. Przejechał. Przeładować.

- Co oni się tak dziwnie ruszają? - zauważa Żbik.

- Zmęczeni - sapie Grzmot, gdy wreszcie ruszają.

- To też. Ale tych pięciu jest grubych. Nie widzisz?

- Widzę - krzywi się bosman. - Dasz im popalić w obozie, jak dojdziemy.

- Masz rację, nakradli, niech się męczą.

Lekcję wychowawczą urządza im jednak, zanim weszli na teren stacjonowania Brygady. Po prostu zarządza przerwę i każe się winowajcom rozebrać. Zdejmują po trzy niemieckie swetry, cztery pary kalesonów, portki. Wśród „nadubanych” nie ma ani dawnego złodzieja, Kmicica, ani Billa i berlingowca. Za to ci dwaj pilnie patrzą, co będzie. Kmicic, niczym talizmanu, dotyka brzytwy noszonej na szyi.

- To jest kradzież - krzyczy Żbik. - A może nawet sabotaż! Tak się zachowuje elitarna trzecia kompania, którą jako najgodniejszą wysłano na zadanie?

- Panie komendancie... Bo myślimy się bali, że wszystko pójdzie do magazynu Brygady i dla nas nie starczy...

- To dlatego sobie cztery pary kalesony założyłeś, jołopie?!

- Jedne dla Harry'ego, jedno dla Sowicza, jedno dla Micha. A tylko te ostatnie dla mnie.

- Panie komendancie, myśmy dla nas wszystkich...

- Przez wasze cholerne gacie akcja mogła się nie udać! Myślicie, że ja ślepy jestem? Ruszaliście się przez ten rabunek jak muchy w smole! Jesteście w Brygadzie, a nie w bandzie.

- Niech nas pan komendant ukarze, ale nich nas nie wyda...

- Bo jak nas zdyscyplinuje major Ząb...

- Widzisz? - powiedział po wszystkim bosman. - Trzeba było od początku inaczej ich prowadzić. Zęba się boją. A swoją drogą, zobacz, jacy koleżeńscy. Zaimponowali mi, dla kolegów brali.

- Mnie też, tylko nie mogę się przyznać. Będę ich twardą ręką prowadził, zobaczysz.

Za akcję dostali pochwałę. Ciepło ubrana Brygada błogosławiła trzecią kompanię. I tylko tu i ówdzie mówiono:

- Grzmot podsłuchuje myśli, a Żbik widzi w ciemnościach, jak kot!

Robercik przyniósł Bożenie saperki. To już ostatnie, czego dziewczynie brakowało do munduru. Pokazywał, jak założyć onuce.

- Nogi najważniejsze. Partyzant walczy nogami. Głowę to musi mieć dowódca, tak nam tłumaczył bosman Grzmot, a żołnierzowi wystarczą nogi. I nigdy nie rwij się do oficerek.

- Dlaczego? - Szczupłe palce Bożeny gładziły sztywną skórę butów.

- Bo podrapać się ciężko. A w saperki łatwo wsuniesz wycior od karabinu i już.

Popatrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- Nie masz jeszcze wszy? - domyślił się. - Będziesz miała. Dobrze, jak ci się uda świerzbu nie złapać.

- Przepraszam, że przerywam rozmowę prywatną - stanął nad nimi Sowicz. - Robercik, nie zamieniłbyś się na skarpety? Dostałem z jednym paskiem.

- Ja noszę dwójkę - z lekką urazą odpowiedział młody. - Bożka, a tobie co dali?

Dziewczyna wyjęła porządne wełniane skarpety z przydziału, oczywiście z obrobionego magazynu we Włoszczowie. U góry miały trzy poziome paski. Robercik wziął je od niej i dał Sowiczowi, biorąc w zamian jego skarpety. Dyskretnie sprawdził, czy nowe i czyste.

- O co chodzi? - spytała. - Skarpety jak skarpety...

- A nie, koleżanko - odpowiedział zadowolony Sowicz. - Niemcy lubią porządek, nawet w sprawie skarpet dla Wehrmachtu. Te paski to nie ozdoba, to rozmiar.

- Aha. - Obojętnie przytaknęła dziewczyna. Sowicz uklonił się i poszedł, a Robert wrócił do przerwanych lekcji.

- Teraz płaszcz. - Pomógł jej się ubrać. - U nas w kompanii jest zakaz noszenia pasa głównego na płaszczu albo kozuchu. Jak w Brygadzie będzie, to nie wiem.

Przyjrzał się jej.

- Bardzo ładnie. Nie przejmuj się, na mnie też wszystko było za duże. Tamtej zimy, jak jeszcze nie byliśmy z Dyzdziejem w oddziale, mieli taką akcję...

Ośnieżone wzgórze na odkrytej przestrzeni. Niemcy nadciągają. Jedna, druga ciężarówka. Żbik z oddziałem biegnie. Jeśli dopadną zalesionego szczytu, przeżyją. Stamtąd mogą się bronić, póki starczy amunicji. Nie zdążą - nie żyją. Niemcy wysypują się z

ciężarówek.

- Szybciej, szybciej!

Po kilkuset metrach podbiegu w zaspach prawie po pas ledwie dyszą. Długie płaszcze i kożuchy spowalniają ruch. Zaczynają je zrzucać. Odpinają pasy. Gubią ładownice. A Niemcy są coraz bliżej, z dołu padają pierwsze strzały.

- Szybcieeeej!

Erkaemiści dopadają szczytu pierwsi. Osłaniają biegnących kolegów. Tadam. Tadam. Tadam. Ładownice zostały gdzieś w śniegu.

- No i sama rozumiesz, Bożeno. Pasy pod płaszcze.

Noc

Na kwaterze w chałupie śpią na podłodze obok siebie Robercik, Dzidziur i Bożena.

Sen Bożeny.

Ciemne pomieszczenie. Wokół gruz. Słysząc kaszel, jęki. Z mroku wyłaniają się siedzące pod ścianami postaci. Małe dzieci okutane przez matki w chusty. Starcy, kobiety. Nie ma mężczyzn. Ciężkie oddechy. Zakwiliło niemowlę. Dziewczyna, która mogłaby być nią, bez twarzy. Chyba ma dwa splecione warkocze. Strzęp opaski. Czuje, jak coś ugniata jej piers. Próbuje to zepchnąć, szamocze się. Zaraz się udusi. Z trudem unosi rękę do piersi. Ale tam nie ma nic. Uczucie duszności nie przechodzi.

- Bożena! Bożena! - Robercik targa ją za ramię. - Wstawaj, dziewczyno, idziemy na akcję.

Lasy Kurzelowskie. Grudzień 1944 roku

Szarówka. Wczesny ranek.

Bill i berlingowiec minują szosę prowadzącą do leśnej poręby. Wokół niej rowy strzeleckie.

- Niemcy wyciągnęli naukę z poprzedniej akcji. Wiedzą, że nie pozwolimy im bezkarnie grasować po lasach. Właściwie szkoda, że nie możemy zająć tych rowów. - Kiwa wielką głową Grzmot.

- Puknij się. - Żbik rozstawia ludzi po lesie, zajmuje pozycję obserwacyjną.

Czekają.

Po chwili kolumna niemiecka pojawia się na drodze. Ale nie ma wesołego „Hej ho, do lasu by się szło”. Idą czujnie, marszem ubezpieczonym. Wypuścili szperaczy w obie strony lasu.

- Około stu żołnierzy Wehrmachtu - melduje cicho Dąb.

Są już pięćdziesiąt metrów od pozycji trzeciej kompanii, gdy niespodziewanie

skręcają w las. W ten las, w którym leżą żbikowcy. Zachodzą ich z boku.

- Jasna dupa! - syczy Żbik. - Przegrupować się! Frontem do nieprzyjaciela.

- Achtung! - Ubezpieczenie niemieckie już ich zauważyło. - Banditen! Feuer!

Ale to nie ich karabiny zagrały pierwsze, lecz erkaemy żbikowców. Grzmot przyłożył lornetkę do oczu i jęknął:

- Jezu, wodzu, musisz to zobaczyć!

Biegli jak wściekli, przeskakując zwalone pnie, nie pozwalając Niemcom skryć się za nimi. Siali z karabinów, jakby ktoś ich podpalił. Na czele, jako pierwsza, biegła Bożena. Strzelała z karabinu spod pachy. Celowała, stojąc. Mierzyła, oddawała strzał i biegła naprzód, krzycząc:

- Huraaa!

A za nią biegł Robercik, Kmicic, Dzidziur i inni. Grzmot i Żbik odstawili od oczu lornetki.

- Huraaa! - krzyknęła, przeskakując stertę równo ułożonych gałęzi. Uciekał przed nią Niemiec w białym kozuchu. Nagle spod niego wyszarpnął granat i zamachnął się w jej kierunku. Stała w miejscu i wycelowała. Trafiła. Ale zdążył rzucić. Poczula szarpnięcie. Ktoś z całej siły skoczył na nią, odpychając ją w bok. Kmicic.

Huk detonacji.

To jest piwnica. Pełna starców, kobiet i dzieci. Ona biegnie z torbą sanitarną. Huk detonacji. Sufit wali się na nią, na dzieci, kobiety i starców.

Bożena podnosi się. Otrzepuje. Widzi Niemca, który oszołomiony wybuchem nie wie, w którą stronę biec. Karabin zwisa mu na ramieniu, w ręku ma pistolet. Dziewczyna unosi swój karabin i krzyczy, celując mu w głowę:

- Huraaa!

Z tyłu nadbiega Robercik, zdejmując Niemcowi karabin, przerzuca sobie przez ramię i gna dalej. Grażyna naciska spust. Suchy trzask. Krzyk. Szeroko otwarte oczy Niemca.

Cisza.

Harry za stertą drewna. W jego kierunku ktoś siecze z erkaemu, aż kora i drzazgi lecą mu na głowę i siwy, krótki kozuszek. Słyszy „Huraaa” i wie, że to dziewczyna. Przelyka ślinę. Krzyczy:

- Kurwa mać! Bać się i skoooczyć!

Wstaje, odpychając się lewym ramieniem, przesadza stertę. Kula przelatuje tuż nad nim. Zastyga na kilka sekund. Znow słyszy dziewczynę. Krzyczy swój własny okrzyk bojowy:

- Kolera jasny! Kurwa mać!...

Kmicic z brzuchem rozerwanym odłamkiem. Przytrzymuje wypływające wnętrzności.
Żbik biegnie do niego. Widzi.

- Dostrzel mnie, komendancie - szepce Kmicic.

- Nie mogę, mój przyjacielu - pada przy nim na kolana Żbik.

Grzmot ogarnia porębę, polanę i las. Po akcji. Trzeba się zwijać. Z boku Tygrys zgarnia jeńców. Broń, pasy, ładownice. Dwudziestu, trzydziestu. Bosman gwizdkiem wzywa chłopaków. Gwizdkiem, który znaczy „już po wojnie”.

Bill zatrzymuje biegnącego Robercika.

- Synuś, leć tam, na szosę. Trzeba rozminować, żeby się jaki chłop jutro nie nadział furmanką.

Widzi, że Robercik ma dwa karabiny przerzucone przez plecy. Słyszą natarczywy gwizdek Grzmota.

- Dobra, synuś, ja sam pójde, ty masz ciężko.

Żbik wstaje, widzi rozbrojonych jeńców i skończoną akcję.

- Kto ma pepeszę?

- Ja - staje koło niego berlingowiec.

- Mówisz po rusku?

- Pytanie - pokazuje w uśmiechu zęby i ociera mokre czoło.

- Weź jeszcze dwóch od was i idźcie do jeńców. Pogadaj przy nich po rusku, zrób z nas Armię Czerwoną i wypuść. A gdzie Bill?

Silna detonacja od strony szosy.

- Chryste na niebie! Bill!...

- Dostrzel mnie, komendancie. Nie będziesz włókł trupa. Zaraz będą tu Niemcy, musicie wiać...

- Kmicic. - Żbik klęka przy nim, łzy płyną mu po policzkach. - Kmicic...

- I weźcie moje buty. Są jeszcze dobre. Tylko to mi zostaw. - Kurczowo zaciska palce na brzytwie.

- Wysadziłeś swoją kolubrynę - mówi, odbezpieczając rewolwer, Żbik.

Uciekają biegiem. Niosą kilku rannych. Prawie każdy ma po dwa karabiny na plecach. Niemcy obsadzili wszystkie drogi dookoła. Kilometr stąd tory kolejowe. Przed nimi wieś. Są osaczeni.

Żbik oddychając ciężko i nierówno, lustruje okolice przez lornetkę.

- Na bagno! - Pokazuje kierunek i pierwszy rusza przez wysokie żółte trawy.

To była niska łąka. Mokradła. Gdyby grudzień był mroźny, ściąłby ją lód i pokrył śnieg, wyglądałaby niczym zwykłe pole. Kilkanaście kęp olszyn, nic więcej. Żadnej ścieżki. Każdy miejscowy wie, że to uroczysko. Nad nimi latał patrolowy bocian. Słyszeli krzyki Niemców we wsi. Przyłgnęli do wysokich, suchych traw. Do olszynowych zarośli. Żadnych rozmów, papierosów. Ranni nie jęczeli. Cisza. Sztywnieli z zimna. Nadchodził pierwszy przymrozek. Zmoknięte mundury zaczął pokrywać szron. Przestali się nawet trząść. Przed zmierzchem ciężarówki odjechały. Samolot nie wrócił. Leżeli, aż zapadła ciemność. Gdy osłoniła ich, powstali. Ruszyli z powrotem.

Kiedy weszli w głęboki las, spłoszyli żerujące sarny. I wtedy z ciemnogrnatowego nieba posypał się na nich śnieg. Bożena rozłożyła ramiona, uniosła głowę. Wyszeptała:

- Nasz jest las...

Sztab Brygady Świętokrzyskiej. Grudzień 1944 roku

Za oknami pada gęsty śnieg. Jaxa czyta komunikat Biura Informacji NSZ.

- Rzesza niemiecka, łamiąc jeszcze raz prawo międzynarodowe, przystąpiła ostatnio do zorganizowania na terenach okupowanej Polski pomocniczej służby wojskowej złożonej z Polaków. Pobór ten, zwany na razie ochotniczym, może w każdej chwili przerodzić się w pobór przymusowy...

- Jak w powstaniu styczniowym, tylko że wtedy zrobił to car - powiedział pułkownik Bohun i okrył się płaszczem.

- Zagrożeni poborem członkowie NSZ winni szukać schronienia w oddziałach liniowych Grup Operacyjnych NSZ Północ i Zachód. Te same możliwości istnieją dla wszystkich innych żołnierzy Polski Podziemnej - dokończył Jaxa.

- Chcą wyssać z Polski, co się da - zacisnął szczęki Ząb. - Wyrąbują i wywożą nasze lasy. Rabują dwory. Rozmontowują fabryki. Wyciągają ludzi na przymusowe roboty. I jeszcze branka.

- Tymczasem Armia Czerwona osiągnęła w lipcu linię Wisły, stanęła na niej i stoi. - Jaxa patrzył na padający ciężkimi płatkami śnieg.

- Najpierw przyglądali się, jak Niemcy niszczą Warszawę, a teraz przerzucają na nasz teren jedynie enkawudzistów, którzy mają przygotować im grunt, i bandy partyzanckie z zadaniami dywersyjnymi. Nic nie wskazuje na to, że ofensywa przeciw hitlerowcom ruszy przed wiosną czterdziestego piątego.

- Do tego czasu Niemcy mogą wyłapać nawet kilkanaście tysięcy młodych ludzi i wcielić przymusowo do SS. Użyją ich jak żywych tarcz, gdy wejdą Sowietci. A Stalin rozdmucha na cały świat, że wszyscy Polacy, którzy nie wstąpili do AL, to faszyci.

- Jaki jest stan osobowy Brygady na dzisiaj?

- Osiemset sześćdziesięciu żołnierzy.

Chałupa. Noc

Na podłodze Bożena, obok niej Robercik. Leżą nakryci jedną derką.

- Robert - szepce dziewczyna - nie mogę spać. Gdy zamknę oczy, nawiedzają mnie sny.

- Może odzyskujesz pamięć?

- To, co widzę, jest straszne. Ciągłe wałęsanie się na mnie gruzy. Słyszę jęki i płacz.

Czasami widzę siebie, tylko trochę inną. Jakby większą...

- Mi też śni się, że jestem wyższy... - mruczy Robercik.

- Nie rozumiesz. Raz śnię te gruzy i lęk. A kiedy indziej śnię odwagę i niebo...

- W porębie byłaś bardzo odważna. Śpij już. - Kleją mu się powieki.

- Boję się spać.

Raszków. 15 grudnia 1944 roku

Brygada Świętokrzyska w przemarszu do nowego miejsca postoju. Dowództwo wjeżdża konno do wsi.

- Panie komendancie! - Sołtys biegnie ku niemu. - Bóg nam pana zesłał! Sowieci z bandy „Awangarda”. Grasuują tu, po wsiach. Chryste Panie, co oni wyprawiają!

- Na kogo kolej? - pyta po wysłuchaniu sołtysa Bohun.

- Poślijmy kilka kompanii - mówi pobladły Jaxa - to jest rzecz poza kolejnością. Ktoś na nich trafi.

Węgrzynów, wieś niedaleko Raszkowa. Dzień później

Dziad - żebrak o kiju idzie drogą. Wchodzi do wsi, kręci się od chałupy do chałupy. Po godzinie wychodzi i skręca w las.

- Są w tych dwóch pierwszych domach - melduje dziad Żbikowi. - Gospodarzy wyrzucili z chałup, mówiłem z nimi, to rodzina Lasowskich i Chodzików. Powiedzieli, że nawet gdyby pan komendant miał chaty z dymem puścić, to oni się zgadzają.

- Dziękuję, dziadu.

- Dziadowi - poprawia go Harry. - Mówi się „dziadowi”. No co, uczyć się.

Domy są blisko lasu, mimo to Żbik czeka do świtu. Otacza chałupy kordonem.

- Poddać się! Nie macie szans! - drze się do okien Grzmot. Berlingowiec powtarza to po rosyjsku. Obaj wycofują się za kopiec kartofli.

Cisza. Żbik odwraca się do trzeciej kompanii. Kiwa głową.

Ryś biegnie i dopada w długich susach chałupy. Za nim Bożena. Wrzuca przez okno

dwa granaty. Wybuch. Raz. I dwa.

Wyskakuje bolszewik o skośnych oczach i grubych rysach. W kożuchu na koszulę. Ścina go pepesza berlingowca.

Z drugiej chałupy, przez okna i drzwi, Sowieni się bronią. Strzelają spod samej strzechy, ze strychu. Żbikowcy ostrzeliwują ich. Chałupa jak forteca. Pocisk z piata kończy sprawę. Wychodzą z rękoma uniesionymi do góry.

Bożena, Robercik, Dzidziur i Ryś wpadają do środka. Na strych. Jeden klęczy, głowę wciskając w siano.

- Już po bitwie! Twoi poddali się - krzyczy do niego Dzidziur. Ryś kopie w wystający tyłek.

Bolszewik bezwładnie przewraca się na bok.

- Kurwa! - Robercik odskakuje. - Gdzie ten sukinsyn ma łeb?

- Piat mu urwał - rzeczowo stwierdza Bożena. Dziesięciu innych w różnych częściach chałupy leży we krwi.

Do wsi wjeżdża dowództwo.

- Panie pułkowniku. - Step, który jest dowódcą ubezpieczenia, podchodzi do Bohuna. Jego pociągłą, smagłą twarz wykrzywia ból.

- Musi pan to zobaczyć.

Bohun zeskakuje z konia, Ząb i Jaxa idą za nim.

Chłopi prowadzą do stojącej w środku wsi murowanej chałupy. Wygląda jak szkołka wiejska, czy coś. W środku siedzą pod ścianami nagie kobiety. W trzech izbach. Jest ich może ze trzydzieści.

Są przerażone, dygoczą z zimna.

Bohun zdejmuję z ramion płaszcz. Okrywa siedzące najbliżej.

Dom sołtysa

Szczupła, wysoka kobieta w płaszczu Bohuna i wojskowych butach na nagich nogach. Posiniaczona twarz.

- Wyszliśmy z Warszawy po powstaniu - mówi. - Wysadzono z pociągu i strażnicy powiedzieli, że mamy iść, dokąd chcemy. Trafiliśmy tutaj. Sołtys dał nam szkołę na zakwaterowanie. Sowieni przyjechali dwa dni temu.

Gwałcili je na zmianę. Zbiorowo, popędzali jeden drugiego. Potem rozebrali. Ubrania i buty zabrali, pojechali do miasteczka. Wymienili na wódkę. Wrócili i gwałcili znów.

Są zamroczeni bimbrem, nie spodziewali się ataku. Patrzą nieprzytomnym wzrokiem dookoła. Trzecia kompania wyprowadza ich za wieś.

- Pluton egzekucyjny wystąpi - mówi Żbik. Robercik, Czarny, Borowina, Erbe, Dzidziur.

Od strony wsi idą kobiety ubrane w wojskowe buty i płaszcze. Ryngrafy z Matką Boską.

Bożena patrzy na nie i robi krok w przód. Staje obok Robercika.

- Ognia! - mówi Grzmot. Ruda pierwsza naciska spust.

*

Klasztor jasnogórski, Częstochowa. Boże Narodzenie 1944 roku

Msza święta. Fala klęczy przed obrazem. Obok niej Zub-Zdanowicz. Modlą się.

Gdy wychodzą, Maria Poray-Wybranowska okrywa się wełnianą chustą. Wspina się na palce i mocno nasuwa majorowi czapkę. Tak, aby nie było widać tej brwi. Na Jasnej Górze kręcą się Niemcy.

- To kopia obrazu - mówi do Zęba, gdy wtapiają się w tłum. - Oryginał ojcowie schowali.

- A można modlić się do kopii? - Major próbuje objąć narzeczoną.

- A trzeba do obrazu? - wymyka mu się. - Bądź przygotowany, ojciec major w okropnym nastroju.

- Powinienem mówić do ciebie „pani komendantko” - mruczy niezadowolony Ząb.

Radosz, komendant Okręgu Śląsko-Częstochowskiego NSZAK, czyli tych, co się podporządkowali, wściekły.

Dobrze, że przyjechałem ze Stepem - myśli Ząb. Dwaj kandydaci na zięciów, major i kapitan, muszą wysłuchać krzyku tego, który nie kwapi się do bycia teściem.

- Dziewczynki! - komenderuje do Fali i Hajduczka. - Do drugiego pokoju marsz!

- Uuu - szepce Step na ucho Zębowi - egzekucja bez świadków.

- Co wy tam w tym Związku Jaszczurczym wyprawiacie?! - grzmi Radosz.

- Nie jesteśmy w ZJ - na komendę odpowiadają Step i Ząb.

- Ale Brygada Świętokrzyska to ZJ!

- Brygada to wojsko polskie, nas polityka nie interesuje. Jesteśmy żołnierzami.

- I pozwoliliście, by wam zamordowano dowódcę?! Takie z was wojsko? Pułkownika Kmicica zastrzelił wysoki funkcjonariusz tajnego ZJ!

- Kto? - Ząb miał dosyć oskarżeń. - Przecież to się nie stało w Brygadzie, tylko tu, w Częstochowie, majorze! I ponoć zrobili to komuniści. Tak przynajmniej brzmiał komunikat. Rozmawiałem z następcą Kmicica, pułkownikiem Boguckim. On też wie, że to komuniści...

- I będzie tak myślał, dopóki jego nie kropną - sapnął Radosz. Widząc, że Step i Ząb

nic nie rozumieją, powiedział:

- Spocznij. Siadajcie. - Sam też usiadł i po chwili mówił już spokojniej: - Kmicica zastrzelono wraz z kapitanem Żniwiarzem. W pokoju obok była siostra kapitana, ona jest u mnie, w NSZAK. Dziewczyna pierwszy raz widziała tego człowieka, który wszedł wtedy do domu i, jak należy przypuszczać, strzelił do jej brata i Kmicica, ale powiedziała, że go nie zapomniała. Miał bardzo, bardzo jasne oczy. I utykał. Był w kapeluszu, więc nie wie, czy blondyn, czy brunet. Otmar Wawrzkowicz - znacie to nazwisko.

- Ponoć był świadkiem zabójstwa kapitana Witolda, naszego szefa wywiadu - przypomniał Ząb.

- Popytaj o niego Jaxę, majorze. Podobno są w bliskich relacjach. My zaś wpadliśmy na trop jeszcze kogoś, to człowiek od dawna znany i w AK, i w NSZ. Mówią na niego „Tom”. Agent gestapo, wydaliśmy na niego wyrok śmierci, ale rozpułnął się w powietrzu. Dochodzą do nas jednak informacje, że dzisiaj to już nie sam Tom, lecz cała „Organizacja Toma”. Nie wiem, co tam się dzieje na górze, ale nie podoba mi się to. Rozumiecie teraz, dlaczego nie chcę, by moje córki poszły do Brygady?

- Nie - odpowiedzieli chórem.

- Ośmielę się zauważyć, że zabójstwa miały miejsce wyłącznie tu, w Częstochowie - powiedział grzecznie Ząb. - W Brygadzie nic takiego się nie zdarza. Za dyscyplinę u nas odpowiadam ja.

Wieczera wigilijna w domu Radosza

Fala i Hajduczek w sukienkach. Step, Ząb, Radosz. Gdy gospodarz łamie się z gośćmi opłatkiem, cicho wchodzi łącznik. Wywołuje go na korytarz.

Major wraca. Siadają do wieczerzy. Po chwili mówi:

- To nasza ostatnia wspólna Wigilia. Majorze Zdanowicz, kapitanie Step. Proszę, byście zabrali moje córki do Brygady Świętokrzyskiej, i czynię was odpowiedzialnymi za ich los. Wyjedźcie niezwłocznie.

- Tato. - Fala ma łzy w oczach. Radosz wzdycha.

- Mamy wyspę w szeregach NSZAK. Gestapo ruszyło z aresztowaniami. Zamordowano Pacholczyka, oficera naszego sztabu. Za jednym i drugim z pewnością stoi Tom i jego organizacja.

*

Majątek Łosowo, Lubelszczyzna

Krysia w kuchni lepi pierogi. Jej synek Krzys i mały Felek biegają dookoła. Dzidek podpija nalewkę z kredensu. W oborze tylko połowa krów, ale jest Firek. Para bucha z

nozdrzy zwierząt. Leon w kącie obory rozmawia cicho z partyzantem w mundurze AL.

Arek i Fenix wracają z lasu z choinką.

- Bóg się rodzi, moc truchleje! - drą się obaj. Arek staje i wyciera czerwony od mrozu nos.

- Ty wierzysz w Boga, wujku?

Od strony chlewni ktoś idzie ku nim, chowając się w cieniu zabudowań. Fenix dostrzega postać i mówi do Arka:

- Idź, Arusiu, do domu, ja zaraz wrócę. Chłopiec patrzy i kiwa głową.

- Partyzanci czy Armia Czerwona?

- Partyzanci. Armia Czerwona już nie musi się tutaj kryć.

- Znicz? Nie poznałem cię, przez tę brodę - wita się Fenix.

- Co, że podobny do Stepa?

- To były czasy.

- Kto wie, może powrócą. Mam dla ciebie propozycję, od majora Zęba.

- O, ja znałem jeszcze rotmistrza. Co z nimi?

- Brygada stacjonuje w Górach Świętokrzyskich. Major chciałby cię widzieć w jej szeregach. No wiesz, przydałby im się zręczny kwatermistrz.

- Znicz, ja tam nikogo nie znam, spółdzielnię można utworzyć tylko z ludzi, których się zna.

- Tutaj też byłeś obcy i ci się udało.

- Nie mogę. Mam dwójkę dzieci.

- Dzieci? Myślałem, że to Atamana i Krysi.

- Nie. To taki dług honorowy, który muszę komuś spłacić.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że to żydowskie bękarty? - zaciąga się papierosem Znicz.

- Ani jedno, ani drugie. To moje dzieci - twardo odpowiada Fenix. Znicz przygląda mu się uważnie, Fenix udaje, że tego nie widzi.

- A ty? Ciągniesz z oddziałem do Brygady?

Kręci głową. - To niemożliwe. Próbowiałem kilka razy, Cichy też. Można się przebić tylko w pojedynkę, a ja nie mogę porzucić oddziału. Zresztą ktoś musi tu zostać. Czerwona zaraza rozlała się.

- Idź do Krysi, ma dla was jedzenie.

- Z Bogiem, Fenix. - Znicz ściska mu rękę. Fenix kiwa głową.

Moc truchleje - myśli.

*

Maciejów Nowy, Wielki Książ, Giebułtów, Święcie Wielkie, Buczkowice - wsie kilkanaście kilometrów od Miechowa

W zamieci śnieżnej Brygada Świętokrzyska batalionami zajmuje kwatery we wsiach. Doktor Żar w jednej z chałup urządza szpital. Kobiety przynoszą dla chorych pierzyny.

Kwatermistrzowie wydają gospodyniom jedzenie. Zapach pieczonego chleba dochodzi nawet do rozstawionych daleko posterunków. Trzaskający mróz.

Bohun wysyła patrole konne. Jeden z nich rozbija drużynę Wehrmachtu. Kapitan Sulimczyk rozbija Niemców i puszcza wolno.

Do Maciejowa dociera dowódca NSZ, pułkownik Bogucki z żoną.

- Nie ma majora Zęba? - smuci się pułkownikowa. Jaxy też nie ma, ale nikt nie pytał.

Kapelan Brygady spowiada partyzantów. Długa, długa kolejka.

- Ale mróz! - Przeszują z nogi na nogę.

- Kapelan Mróz!

Franciszek Błaż, pseudonim Mróz - kapelan Brygady Świętokrzyskiej. Dołączył do partyzantów, gdy UPA wymordowała mu wiernych w czasie mszy.

- Dostałeś rozgrzeszenie? - pyta Robercik Dzidziura.

- Tak. Ksiądz powiedział, że pluton egzekucyjny to powinność. Przez otwarte drzwi stodoły widać żołnierzy kończących stawiać ołtarz. Bożena pochyla się do ucha Robercika.

- Powiedział mi, że jestem białą kartą, że Bóg dał mi drugie życie i mam uszanować ten dar. Ale... - szepce tak, aby nikt ze stojących za nimi nie słyszał -...ale ja się boję tego pierwszego życia... te sny, Robert, ja nie wiem, kim jestem. A jeśli byłam kimś podłym, złym?

Bosman Grzmot kładzie rękę na ramieniu Robercika.

- Synu, zaczynasz wartę, co ty tu jeszcze robisz?

- Może ja pójdę za niego? - pyta Bożena. - On się jeszcze nie wyświadczył.

- Nie trzeba. Skoro Dzidziur dostał rozgrzeszenie, to tak jakbym i ja też. Zobaczymy się na kolacji! Gospodyni racuchy będzie smażyła!...

Pułkownik Bohun chodzi od kwatery do kwatery z opłatkiem. Łamie się z żołnierzami, z chłopami. Sołtys odzywa się:

- Panie komendancie! My byśmy i chałupy, i żywność oddali, bylebyście nie szli dalej.

- Tak, tak. - Kiwa głową starzec w kącie izby. - Święta miną, wojsko odejdzie, Polska odejdzie, wróci okupacja.

Kapelan Mróz robi znak krzyża, błogosławi dom, gospodarzy, wychodzą.

Nim dojdą do kolejnej chaty salutuje przed Bohunem chłopak w kozuchu i żołnierskiej czapce. Prowadzi dowódcę w bok, w las. Tam wielkie ognisko, przy nim żołnierze z różnych kompanii. Na świerku rosnącym na skraju lasu wiszą zrobione z papieru harcerskie lilijki. Ryngrafy Brygady. Kilka świec.

- Druhu komendancie, w imieniu wszystkich harcerzy rozsianych po świecie i tych, co są w Brygadzie Świętokrzyskiej, składam najlepsze życzenia. Obyśmy przyszłe święta mogli już spędzić w wolnej Polsce.

Bohunowi łamie się głos.

- Na cześć wolnej Polski i wolnego harcerstwa: czujczuj, czuwaj!

- Czuwaj, czuwaj, czuwaj!

Robercik poprawia karabin. Na brwiach i rzęsach ma szron.

- Czuwam - mówi zachrypnięty. - Czuwam. Rozgląda się po lesie. Nuci razem z nimi. O rycerzach znad kresowych stanic, o obrońcach naszych polskich granic...

Obóz 2 Brygady AL „Świt”

Ktoś na organkach gra Cichą noc. W izbie chorych Jakub i Jagoda, za parawanem z prześcieradła. Na stole biała chusta z czerwonym krzyżem, zamiast obrusu. Świeca wsadzona w wypucowaną puszkę po konserwie. Gałązka świerku. Jakub bierze do ręki talerz, na nim kromka chleba. Podaje ją Jagodzie. Łamią się chlebem.

Cicha noc milknie i zamienia się w Oczy czornyje.

Jagoda szybko bierze chustę ze stołu, zawiązuje na głowie. Słysząc kroki przez izbę chorych. Jakub zdmuchuje świecę.

*

Sztab Brygady Świętokrzyskiej, Maciejów. Styczeń 1945 roku

- Jak narzeczona? Zaaklimatyzowała się w Brygadzie? - pyta Bohun.

- Tak, tak - przygryza wargi Ząb. - Mam nadzieję, że mój pech minął.

- Pech? Myślałem, że jest pan szczęściarzem - wtrącił się Jaxa, myśląc o Aleksandrze.

- Być z narzeczoną w oddziale. Ja, co najwyżej, mogę dostać list od żony, a i to raczej sporadycznie.

- Do tej pory za każdym razem, kiedy dołączała do mnie, to albo pacyfikacja, albo wpadka i aresztowanie.

- To dowcip?

Ząb odchrząknął, zamiast odpowiedzieć. Nie chciał skłamać, a tak jakoś głupio wyszło.

- To co z tą reorganizacją? - zmienił temat.

- Uważam, że podział Brygady na trzy bataliony zamiast na dwa pułki, jak obecnie, ma uzasadnienie taktyczne. Łatwiej będzie się nam poruszać i dowodzić.

- Po jednym na każdego? - uśmiechnął się Zdanowicz, ale widząc niepokój na twarzy Jaxy, szybko zastrzegł: - Żartowałem.

Właściwie Jaxa denerwować się nie powinien. W fali zaszczytów, jaka popłynęła z okazji wizyty dowódcy NSZ, on właśnie dostał złoty Krzyż Walecznych. Bohuna awansowano na pełnego pułkownika, a im obu, Zębowi i Jaxie, obiecano podpułkowników w najbliższej przyszłości.

- Proponuję nazwać bataliony: Jasnogórskim, Świętokrzyskim i Nadwiślańskim, to ostatnie jako kontynuacja pana Legii. - Bohun trzymał się faktów.

- Rozdzielenie batalionów nie byłoby złe, z racji na łatwiejsze zakwaterowanie i aprowizację. Jednak moje doświadczenie podpowiada, że rozpuszczenie wojska na zimę może skutkować ośmieleniem przeciwnika. Niemcy nie atakują nas, bo szkoda im wojska na potyczki z dużą jednostką. Po Cacowie wszystkie starcia prowadzili wyłącznie z naszymi patrolami albo pojedynczymi kompaniami. Brygady, jako całości, nie atakowali. Teraz i tak musimy się ruszyć, przerwa świąteczna się skończyła, ludzie odpoczęli.

- Powinniśmy przekroczyć Pilicę. Najlepiej koło wsi Zawada. Tam jest most, który Niemcy ufortyfikowali. Strzeże go posterunek żandarmerii.

- Więc pošlijmy jakąś kompanię, która go rozbroi i przygotuje na przemarsz Brygady.

- Niech zgadnę - wtrącił się Jaxa. - Kolej na Żbika?

- Cała trzecia kompania to za dużo, niech weźmie połowę.

Kapitan - po ostatnich awansach także i podwójnie odznaczony - Żbik nie był zachwycony tym, że już koniec wolnego. Ciepła chałupa, łóżko i, cóż robić - rozkaz.

- Ty, ty i ty. - Wyznaczał sobie ludzi, patrząc po kozuchach i butach.

Stella, Granat, Jastrząb, Gryf, Jeleń, Bogdan. Dorzucił saperów z berlingowcem. I Tygrysa.

- A ja? - upomniał się po cichu Grzmot.

- Ty obejmiesz w zastępstwie dowództwo. Spotkamy się dopiero na moście, to kilkadziesiąt kilometrów w śniegu, z taborami i tak dalej. Trzeba twojej ręki, żeby ten przemarsz ogarnąć.

- A ja? - Harry też czuł się pominięty.

- Ty sobie najpierw załatw dobre buty.

- Najszybciej przy komendancie - nie dawał za wygraną Harry.

- Nie, nie. Mam rozkaz unikać walki, unikać Sowietów, Niemców i wszystkiego. Więc tym razem musisz zdobyć buty przy Brygadzie. Idźcie już, muszę jeszcze pogapić się w mapy.

Właściwie to nie był jeden, tylko dwa mosty, węzeł szos WłoszczowaCzęstochowa.

Pogoda sprzysięgła się przeciw nim. Najpierw zamarznięte grudy lodu i starego śniegu, potem ostro zaczęło sypać. Kluczyli między posterunkami żandarmerii. Gubili drogę w zamieci. Żbik jak modlitwę powtarzał: „No przecież jestem szczęściarzem”. Pięć dni w mrozie, tyle zajął im marsz do Zawady. Zajęli kwatery w niedalekim majątku Cielętniki i Żbik nawiązał kontakt z wywiadem radomszczańskej placówki NSZ. Granat miał odmrożone palce u stóp.

- Wziąłem cię na dobre buty! - krzyczał na niego Żbik.

- Były dobre, ale się skończyły. Się komendant nie denerwuje, od tego się nie umiera.

Łącznicy z tutejszych placówek też nie poprawili mu humoru.

- Odradzamy atak na posterunek. Coś się kroi, Niemcy są podminowani.

- Most jest podminowany, a ja mam go rozbroić.

- Nie w tym rzecz, panie kapitanie. Kręcą się po drogach, wzmocnili posterunki. Jeśli nawet uda się dotrzeć pana oddziałowi pod most i zdjąć żandarmów, zaraz będzie pan miał na głowie następnych. Od kilku dni jeździ patrol za patrolem.

- Przyszedłem zrobić most i muszę go zrobić! - kłął Żbik.

W nocy śniło mu się, że nadciągnęła cała Brygada Świętokrzyska i zastała go śpiącego na pełnym Niemców moście. Obudził się przerażony.

- Panie komendancie - targał go za ramię Tygrys. - Kłopoty.

- Brygada? - Skoczył na równe nogi, czując, jak go Zub-Zdanowicz skóruje po niewykonanym zadaniu.

- Własowcy. Pułk kawalerii rozkwaterował się dzisiaj w nocy w dwóch sąsiednich wsiach. Musimy stąd zmiatać, bo jak puszcza patrol aprowizacyjny, to zupa u własowców będzie dzisiaj z trzeciej kompanii.

- Kurwa, ja to mam szczęście! Szykować się do wymarszu! Puścił łącznika do tutejszych palcówek i zameldował odwrót. Granat nawet nie jęknął, choć widzieli, że na tych odmrożonych palcach ledwie stał. Czekał ich forsowny marsz. Po drodze zostawiał wiadomości dla Brygady. Śnieg, lód, śnieg. Leżenie w zaspach przy szosie, by przepuścić jadące kordonem ciężarówki niemieckiej żandarmerii. W środku nocy dotarli do wsi Konstantynów pod Koniecpolem. Sołtys otworzył im ciepłe obory, spali pokotem. O świcie na równe nogi zerwał ich wybuch.

Nie jeden, lecz cała głucha seria. Ziemia trzęsła się w posadach, krowy ryczały. Byk bił rogami w żłób. Detonacje, jedna przechodząca w drugą, bez pojedynczych wystrzałów.

- Koniec świata? - spytał spokojnie Tygrys.

- Nie. Ruszył front.

Część IX.

MARSZ

Sztab Brygady, Giebułtów. 13 stycznia 1945 roku

Głuchy, odległy pomruk. Przy jego wtórze bataliony pospiesznie szykują się do marszu.

Bohun, Jaxa i Ząb trzymają w ręku właśnie dostarczony rozkaz.

Ofensywa sowiecka rozpoczęła się.

Brygada ma wykonać rozkaz wycofania się na Śląsk.

Pomocy żadnej udzielić nie możemy. Należy liczyć tylko na własne siły.

Gen. Bogucki

Dowódca NSZ

- Słowo stało się ciałem - przeżegnał się pobladły Jaxa.

Dowódcy batalionów kolejno meldują gotowość do wymarszu. Jako straż przednia rusza kompania Leonarda. Zawieja. Sypie śnieg.

- Trzymać odległość!

- Nie zostawać w tyle!

Konie taborowe płoszą się raz po raz. Przed nimi i za nimi głuchy huk armat, granie ciężkich karabinów maszynowych. Niebo w oddali rozjaśnia czerwona luna. W nocy płoną odległe wsie. Ciemność zwielokrotnia daleki blask ognia. Nie czuć spalenizny. Mróz.

O świcie, po całonocnym marszu bez chwili przerwy, wyłania się przed nimi wieś Kępie.

Ze wsi strzały z erkaemów. Oddział rozpoznawczy podejmuje walkę. Ałowcy wycofują się ze wsi. Pogwizdów, Marcinkowice, Uniejów. Trzy, położone jedna przy drugiej, wioski. Miejsca wystarczy dla całej Brygady. Zaczyna się kwaterunek. Wyprzęganie koni, ranni do chałup, sanitariuszki do pracy. Złowrogi huk dalekich detonacji nie milknie. Partyzanci są tak zmęczeni, że jest im wszystko jedno.

Bożena stoi i zamiast iść spać, wpatruje się w czerwona lunę. Robercik widząc ją, wstaje. Narzuca na siebie płaszcz i wychodzi.

- Gdzie kwateruje sztab? - pyta przebiegającego oficera.

- Panie majorze. - Staje na baczność przed Jaxą. Chciał iść z tym do Bohuna, ale ani jego, ani Zęba nie było na kwaterze. - Czy pan umie znaleźć człowieka, który nie wie, kim jest?

Gdy wychodzi ze sztabu, nie wie, czy dobrze zrobił, czy źle. Bożena wciąż stoi, gdzie stała. O niczym jej nie mówi, Jaxa nic nie obiecał. Zgarnia dziewczynę siłą i prowadzi do stodoły, gdzie komenderuje Grzmot.

Pomaga jej zdjąć buty, kładą się na sianie, nakrywając płaszcami. Zmarznięte siano ostro kłuje policzki. Podnosi się z trudem, wkłada pod głowę plecak. Zapadają w sen. Dzidziur mija się z nimi. Bierze chleb w kieszeń i idzie. Ma wartę.

Stacja kolejowa Tunel, 3 kilometry od miejsca stacjonowania Brygady

Z pociągów wyskakują żołnierze Wehrmachtu. Batalion w sile 400 ludzi. Ruszają w stronę Pogwizdowa i Uniejowa. Ubrani w zimowe maskujące okrycia. Otaczają obie wsie.

W południe zaczyna się strzelanina. Nie żaden tam rozpoznawczy ostrzał. Niemcy walą z erkaemów i cekaemów. W Uniejowie stacjonuje oddział kapitana Kazimierza. Jedna trzecia to nowi, dopiero przyjęci. Słabo uzbrojeni, na początku szkolenia. Niemcom wystarcza pół godziny, żeby ich rozbić. Zmuszają partyzantów do ucieczki. Zostają tylko starzy żołnierze, by ubezpieczać odwrót młodych. Niemcy idą przez wieś, jakby kosili łąn. Wrzucają do chat granaty zapalające. Krzyk kobiet i dzieci. Ryk krów. Wycie psów. Apokalipsa. Kapelan Mróz pod ostrzałem udziela ciężko rannym rozgrzeszenia i ostatniego namaszczenia. Idzie wyprostowany, w mundurze oficera, z krzyżem i karabinem.

W Pogwizdowie dowodzi Bopp.

- Diegtariw na stanowisko koło drugiego domu! Browning na wzgórzu! Reszta za mną!

- Celowniczy i amunicyjny od Browninga! Celowniczy!

Bopp ustawia swoich za płotem. Na nim opierają karabiny. Jest jeszcze chwila, by nastawić celownik. Tyraliera białych punktów zbliża się. Słońce odbija się od śniegu, aż bołą oczy.

- Ognia! - czystym głosem krzyczy Bopp.

- Erkaemy ognia!

Parę metrów przed lufą prują ziemię.

- Co jest?

- Nie mogę go nastawić, panie poruczniku! - Młody chłopak jest bliski łez. Trzęsą mu się zmarznięte ręce.

Bopp spokojnie przeładowuje i strzela.

- Teraz dobrze. Masz i grzej w imię boże.

Niemcy prują serię za serią. Serię za serią. Bopp czuje, że z pozycji płotu strzela sam. Odwraca się. Młody wisi na sztachetach z przestrzeloną głową.

- Panie poruczniku! Amunicja się kończy... Za ich plecami płonie Kępie.

W Marcinkowicach Grzmot rozstawił wszystkich na pozycjach wokół wsi. Słyszą strzały z Pogwizdowa i Kępia. U nich cisza. Prawie cisza.

- Pan porucznik Harry wstał i nie spał. Harry chciał spać, kazali wstawać. I kolera jasny, gdzie Niemcy? Kolera, kolera!

- Harry, zamknij się - warczy do niego Grzmot. - Robercik, weź od gospodyni białe prześcieradło i leć do Kępy po rozkazy. Bożena, ty idź z nim, ty przynosisz szczęście.

- To niech ona zostanie z panem Harrym! Może być i pod prześcieradło... Ja chcę w końcu mieć szczęście!

Przemknęli między wsiami niezauważeni. Ostrzał najwyraźniej przeniósł się w stronę Pogwizdowa. Kępie dopalały się. Ostrożnie stąpali między chałupami. Chłopi gasili domy. W dymie, w parujących od wody zgłiszczach, wieś wyglądała jak widmo.

- Są tu jacyś żołnierze? - pytali każdego napotkanego.

Ludzie płaczą, kręcą głowami. Pokazują na ziemię. Nagle Bożena złapała Robercika za rękaw. Aż podskoczył. Pociągnęła go do domu po lewej. Jeszcze syczał i płonął, przez otwarte drzwi jęzory ognia. I nogi w oficerkach. Bożena jakby nie bała się płomieni, buchającego ze środka gorąca, skoczyła i odrzucając karabin przez plecy, pociągnęła za nogi. Dzidziur dopadł i pomógł jej. Głowa i tułów ofiary były spalone. Całkiem czarne.

- Wrzucili rannego do płonącego domu - powiedziała szeptem Bożena. - Tylko Niemcy są do tego zdolni.

Natknęli się jeszcze na zwłoki porucznika. Miał wyszarpnięty z munduru ryngraf, rzucony na twarz. Robercik trząsał się. Bożena nie.

- Idziemy do Pogwizdowa. Tu nikt nie da żadnych rozkazów. Pobiegli przed siebie.

- Panie pułkowniku! - Łącznik krwawi z lewej dłoni. - Wiadomość od kapitana Kazimierza! Niemcy chcą się wycofać.

- Co? Mają nad nami przewagę! - Bohun opuszcza lornetkę od oczu i wpatruje się, czy chłopak nie oszalał.

- Tak, panie pułkowniku. Wysłali emisariusza do kapitana, że chcą tylko zabrać rannych i zabitych. Kapitan pyta, czy pan pułkownik się zgadza, czy możemy zawiesić ogień.

- Tak.

- Trzymajcie ich jednak na celowniku - wtrąca się Ząb. - I nie pozwólcie wejść do wsi. Sami wynieście im rannych.

- Tak jest. - Łącznik odwraca się i biegnie.

- Dlaczego? Dlaczego chcą nam odpuścić? - pyta Bohun.

- Dłatego. - Zdanowicz pokazuje na lunę dalekich wystrzałów od strony Częstochowy.
- My też musimy stąd wiać.

- Odmaszerować - poprawia go Jaxa.

Ziemia jest zamarznięta na kość. Saperzy wysadzają ją ładunkiem wybuchowym, żeby móc pochować poległych. Dziewięć ciał owiniętych tylko w koce. Błogosławi je kapelan Mróz.

- Składamy ofiarę z tych, co przekroczyli bramę wieczności. Tarcza wasza niesplamiona, żołnierze! Wy zostajecie w Ojczyźnie.

Śpij kolego w zimnym grobie niech się Polska przyśni tobie.

Seria z erkaemu, wieczny odpoczynek. Nocny marsz.

*

Szosa Częstochowa-Kielce. 15 stycznia 1945 roku

Drogą suną sowieckie czołgi. Jeden za drugim. Żbik z oddziałem leży w lesie.

- Wycofujemy się na Radomsko - mówi, wstając i otrzepując płaszcz ze śniegu.

- A niech to chuj strzeli! - Kopie w kamień Tygrys, aż jego piegowata twarz czerwienieje z wysiłku.

W tej samej chwili na szosie eksplozja. Tygrys zastyga w bezruchu, Żbik przykłada lornetkę do oczu.

- Ciężarówka zjechała z drogi i wpadła na minę. Granat ciągnie Tygrysa za płaszcz.

- Ty, zrób to jeszcze raz!

- A niech to chuj strzeli! - Tygrys kopie kamień. Nadśluchują. Nic.

- Wystrzelałeś się - kwituje Żbik. - Panowie, po prostu nie mamy jak wrócić do Brygady. Front przetoczył się przez tych kilka dni dokładnie między nami a jednostką. Zostaliśmy odcięci. Łącznik z tutejszej placówki przekazał wiadomość, że Brygada dostała wczoraj rozkaz marszu na zachód. Będą się przebijać przez Czechy i Morawy do aliantów.

- To dlaczego my się nie możemy przebić? - jęknął Stella.

- Co miałeś z geografii, chłopcze? - wyręczył Żbika Gryf.

- Nic - wzruszył ramionami. - Nie miałem geografii.

- Słuchajcie: Brygada idzie teraz korytarzem między niemiecką obroną a sowieckim natarciem. My nie możemy się do nich przebić, bo musielibyśmy przedostać się przez obie linie. Jako dowódca oddziału muszę zachować rozsądek i nie mogę podjąć takiej decyzji, to byłoby samobójstwo. Nie doprowadzę nas do Brygady, nawet gdybym był nie wiem jakim szczęściarzem. Teraz módlcie się, żeby nam się z tej awantury udało wyjść w całych portkach.

Ruszyli przez las poprzecinany rowami przeciwczołgowymi. Raz po raz napotykali pojedynczych Niemców, którzy widząc oddział, z daleka krzyczeli: „Hitler kaput!” - i oddawali im swoją broń. Wieczorem każdy dźwigał po dwa karabiny.

- Koniec zbiórki charytatywnej - splunął Żbik. - Zostawcie sobie po najlepszym i resztę w krzaki.

Wciąż szli marszem ubezpieczonym, a szpica i boczne ubezpieczenie raz po raz wdawały się w krótką grę. Ale strzelali do nich tylko żołnierze SS, Wehrmacht podnosił ręce. W pierwszej wsi napotkanej nocą - komuniści. Ominęli ją łukiem, ruszyli do drugiej. Tam czołówka zmotoryzowana Armii Czerwonej. Skręcili do trzeciej.

- Nie, panie komendancie! Uciekajcie stąd, u nas Sowiety i dantejskie sceny. Jest ich trzy razy więcej niż was. Ani nas nie obronicie, ani siebie. Spróbujcie do młyna, tam, łój! - Chłop wskazał ręką drogę i rozglądając się na boki, pobiegł do wsi.

Na horyzoncie drgająca luna. Stella przyłożył ucho do ziemi.

- Jęczy. Ziemia jęczy.

Spojrzeli na niego, bo nie wyglądał na poetę, w każdym razie nigdy wcześniej.

- Szosa chyba ugina się od czołgów - powiedział, wstając. We młynie tłoczno. Gospodyni mówi:

- Wejdźcie, przynajmniej ciepło. Wszystko to uciekinierzy - pokazuje na siedzących na podłodze. - Nie pytam, kto, skąd. Wpuszczam i daję mleko. To wszystko, co mam.

Pocałował ją w rękę. Zawstydyła się.

Uciekinierzy nie śpią. Rozprawiają podnieceni.

- Wyzwolenie! Częstochowa wolna! Chwała Bogu!

- Armia Czerwona!

- Wojsko Polskie!

- Nasz rząd uciekł, ale Bogu dzięki, sojusznik nas nie porzucił. Gospodyni patrzy smutno na Żbika, rozkłada ręce. A kiedy przynosi mu kubek z gorącym mlekiem, szepce:

- Mój ojciec zginął w Katyniu.

Gdy zaczynają śpiewać na cześć bolszewików, nie wytrzymuje. Jest śpiący, zmęczony do nieprzytomności, ale nie może tego słuchać.

- Z czego się cieszyacie?! - krzyczy do nich.

- Z wyzwolenia przez Armię Czerwoną!

- A co pan pytasz? Pan wojskowy, a nie Polak?

- Kim pan jest?

- Jestem Żbik. I wspomnicie moje słowa nie dalej jak za pół roku: Polska jeszcze

zapłacze, jak nam wystawią rachunek za to wyzwolenie.

Zapanowała cisza. Żbik położył się. Ledwie jednak zasnął, gospodyni obudziła go.

- Panie komendancie! Niemcy! Cały młyn otoczony.

Zerwał się na równe nogi. Chłopaki też. Jak to możliwe? Wystawili ubezpieczenie.

Patrzy przez okno. Na podwórzu pełno żołnierzy Wehrmachtu. Posiadali na zwalonych pniach, pod płotem, pod murem. Nie ruszają się. Karabiny na plecach.

- Idziemy - kiwnął na swoich.

Do okiem młyna szturmem ruszyli goście. Patrzają wystraszeni, co będzie.

Niemcy nawet się nie ruszyli, gdy ludzie Żbika stanęli z bronią na wprost nich.

Szepcą:

- Essen... Trinken...

- Hitler kaput...

Niektórzy przewracają się na śnieg.

- Rozbroić ich - mówi cicho Żbik.

Wraca do młyna. Uciekinierzy odskakują od okien, jakby się bali, że zastał ich na podglądaniu.

- Ty, ty i ty - wskazuje palcem tych, co najgłośniejsze wiwatowali na cześć Armii Czerwonej. - Odprowadzicie Niemców do tamtej wsi i przekazacie bolszewikom. No dalej, co, nie chcecie pomóc sojusznikowi?

Gdy zabrali żołnierzy, poszukał swoich. Jeleń, Jastrząb, Włoch. Zasnęli na warcie w mundurach sztywnych od mrozu. Nawet nie krzyczał na nich, zgarnął do domu.

- Dwie godziny uczciwego snu i w drogę - rozkazał i sam usiadł przy oknie. Poczuł ciepłą dłoń na ramieniu.

- Niech pan się położy. Ja będę czuwała.

Nad ranem wyruszyli. Nim wyszli, raz jeszcze pocałował gospodynię w rękę. O świcie dotarli do wsi najlepszej z możliwych. Wsi jak ziemia obiecana.

- Własowcy wyszli dwa dni temu, ruskich jeszcze nie było - zameldował sołtys.

- Spać i jeść - poprosił go głosem niewiele różniącym się od tych z Wehrmachtu, na podwórzu młyna. Z trudem zdjął buty. Zasnął na siedząco.

- Komendancie! Panie komendancie! Niemcy!!!

Zerwał się. Nie był pewien, gdzie jest. Aha, wieś, sołtys. Zaczął naciągać mokre buty na opuchnięte nogi.

- Ratuj, panie Żbik! Dwustu Niemców weszło do wsi. Żądają jedzenia i furmanek z woźnicami. Zrób pan coś, przecież ci ludzie pojedą na pewną śmierć. Bolszewiki ich

zatrzymają z Niemcami, to zastrzelą bez pytania! No zmiłuj się pan!...

- Zbiórka oddziału! - krzyknął Żbik, zapinając pas.

Wybiegł na dwór. Dziewczyna w męskim kożuchu i walonkach biegła ku nim.

- Niemcy zwiali do lasu! Zwiali!... Bolszewiki! Do wsi wchodzi bolszewiki!

Przez ułamek sekundy pomyślał, że to sen. Rozejrzał się po wsi.

- Z której idą?

- Stamtąd!

- Biegiem do tych domów pod lasem! - rozkazał.

Wpadli do środka. Gospodarze już wiedzieli, co się święci.

- Będzie trzecia wojna? - spytała go starowina.

- Jeszcze się druga nie skończyła, babciu - odpowiedział spokojnie.

- Aha. - Przyjęła do wiadomości i opierając się o piec, zapadła w sen.

Bolszewicy nie zamierzali się tu zatrzymywać. Przeciagnęli przez wieś. Przed zmrokiem wydaje się, że już po wszystkim. I właśnie wtedy gospodarz filujący przez okno mówi:

- Idą.

Jest ich pięciu, idą swobodnie, pewnie.

- Czterech z automatami do mnie!

Wyskoczyli na podwórze, spotkali się przy furtce. Wycelowali w nich.

- Ruki na wierch! - krzyknął Żbik to, co w takich chwilach krzyczeli Ruscy.

Azjata o grubych rysach zaczął przeraźliwie wrzeszczeć.

- Nie krzycz, byku krasny! - przywalił mu w głowę Stella.

- Cicho! Ticha! - Żbik usiłował mówić po rosyjsku. - Nie boj się, towariszcz. My polskie partyzanty!

- A, da! Charoszo! Wot tak, i pajdiotie s nami na Germańca?

- Pajdiom, pajdiom. Ino potem. Da, da. Ja pryjdu k'wam, ale teraz nie magu. Ja tu majem mnogo, mnogo żołdatów. W liesu i na dieriewni! Tysiące. Ja ich wsiech zbieru i pryjdu k'wam. No, paszli, paszli.

Jak tylko zniknęli, pokręcił głową. Żbik Wielki. Tysiące. Kurwa mać.

- Znikamy.

Wskoczyli tylko do domu po resztę rzeczy.

- Będzie czwarta wojna? - obudziła się babina.

- Kochana ty moja - jęknął Żbik i machnął ręką, bo głupio mu się zrobiło, że nie ma siły wygrać drugiej.

Dopadli do lasu. Uszli może pół kilometra i usłyszeli strzały. To do nich strzelano.

- Tyraliera bolszewików. - Przystawił do oczu lornetkę.

Są zmordowani, uciekają kilometr, drugi. Odstreliwują się, ale dystans między nimi a bolszewikami się zmniejsza. Pada Czarnecki.

- Nie żyje! - charczy Tygrys, który zatrzymał się, by sprawdzić. Osuwa się Granat. Ranny. Wracają po niego, biorą pod ramiona. Biegą coraz wolniej. Zaczyna sypać śnieg. Gryf, Jeleń, Jastrząb, Włoch. Zostają w śniegu. Zabici. Zabici. Bogdan ranny. Żbik i Stella chwytają go. Las się kończy, skręcają w zagajnik. Każde zwierzę ma z góry przypisaną rolę. Wilki tropiciele namierzają zdobycz i donoszą o niej watasze. Naganiacze płoszą stada i zagarniają upatrzoną ofiarę do watahy. Męczą ją długim pościgiem i dopiero wtedy zabijają. Biegnać, sznurują, to znaczy stawiają łapy w trop pierwszego wilka. Niewprawne oko nie rozróżni, ile ich biegło, bo widzi tylko jeden ślad. Strzały za nimi coraz rzadsze. Dopadają gajówki. Cofają się, w środku bolszewicy. Bogdan nie żyje, nie zorientowali się, ciągnęli go nie wiedzieć jak długo. Granat oddycha ciężko.

- Słyszysz, co do ciebie mówię? - pyta go Żbik. Granat kiwa głową.

- Zdejmiemy ci mundur i zostawimy pod gajówką. Dasz radę się doczołgać do drzwi? Kiwa głową.

- Powiesz, że postrzelili cię Niemcy. Kiwa głową.

Żbik całuje go w czoło. Uciekają. Granat nie żyje.

O świcie ledwo powłócząc nogami, docierają do jakiejś wsi. Pytają kobiecinę, co wyszła z wiadrem po wodę:

- Gdzie jesteście?

- W Kijowie - odpowiada.

Stella robi znak krzyża. Pada na kolana. Babinka kręci głową.

- Kijów, gmina Kruszyna, synku. Niech będzie pochwalony!

- Na wieki wieków.

Broń i mundury zostawili u chłopów. Przebrali się w co im kto dał.

- W dwuszeregu zbiórka - zawołał Żbik do oddziału łachmaniarzy. - To nasz ostatni apel. Z przysięgi złożonej nikt nas nie zwolnił i ja was od niej nie zwalniam. Ale jako siła zbrojna w tym starciu gigantów dzisiaj nie znaczymy nic. To nie znaczy, że mam prawo wydać was na śmierć. Przebijajcie się po dwóch, trzech. Mówcie, że uciekliście z Niemiec, z robót. Spotkamy się znów, bo... - Głos mu uwiązł w krtani.

- Bo babinka powiedziała, że będzie trzecia wojna, a może i czwarta - wyręczył go Tygrys. - A starzy ludzie nigdy się nie mylą.

*

Brygada Świętokrzyska, marsz z Pogwizdowa ku Pilicy. 15 stycznia 1945 roku

Żołnierze zmęczeni po walce z Wehrmachtem. Na wozach ranni. Konie z trudem idą po oblodzonej ziemi. Zabezpieczenie tylne i boczne w gotowości. Oddział rozpoznawczy zapuszcza się daleko przed Brygadę. Ci, którzy idą w kolumnie, prawie śpią. Nie przeszkadzają im detonacje i łuny. Przed nimi umocnienia niemieckiej obrony. Goni ich ofensywa sowiecka.

- Panie majorze! - Łącznik z rozpoznania dopada sztabu jadącego z czoła Brygady. - Nie przejdziemy pod Jedlnią. Odcinek obsadzony przez kilkuset Niemców. Musieli zająć go w ciągu ostatnich dwóch godzin, bo jak szedł zwiad, to jeszcze ich nie było. Wygląda na to, że dowożą kolejnych, słyszeliśmy ciężarówki.

- Potrzebujemy informatora - mówi Jaxa. - Niemca, najlepiej oficera zorientowanego w sytuacji.

- Blondyna czy bruneta? - pyta Ząb.

Jaxa nie odpowiada na zaczepkę. Zwraca się wprost do Bohuna.

- Pułkowniku, pojedę z oddziałem rozpoznawczym.

- Zgoda - kiwa głową Bohun. - Zatrzymać Brygadę. Kwadrans odpoczynku.

Jaxa odjeżdża z porucznikiem.

- Tam jest wieś, Koryczany. Zawróćmy do niej, zamiast czekać na otwartym polu. Tabory potrzebują czasu, żeby się nie pogubić.

- Zgoda. Brygada zawraca na Koryczany - wydaje rozkaz Bohun.

- Ale my, z ubezpieczeniem, zostaliśmy tutaj.

W trzydziestoosobowym oddziale dowództwa jest Fala. Starszy strzelec Fala. Siedzi na Bogdance, klaczy, którą uratowała z płonącego Borowa. Zdanowicz kierując przeprawą uciekających przez rzeczkę, krzychał do niej: „Zostaw Bogdankę! Uciekaj!”. A ona nie posłuchała rozkazu, jej oczy mówiły: „Prędzej ciebie rzucę niż klacz”. Maria PorayWybranowska i Bogdanka są równie nieustępliwe i rasowe.

Z jednej stajni - myśli, patrząc na nie, Ząb.

Chłopcy z dawnego oddziału, którzy ją znają, kochają Falę. Inni nie rozumieją, dlaczego na postoju, gdy dopadają zmęczeni miski z zupą, Fala zjawia się jak spod ziemi i mówi do nich: „Zdejmijcie czapki. Nie jesteście zwierzętami, żeby jeść jak psy”.

Odkąd dołączyła do Brygady, nie spędzili sam na sam nawet godziny. Ale przynajmniej może na nią patrzeć.

Oddział rozpoznawczy wraca. Prowadzą grupę jeńców. Dziesięciu żołnierzy

Wehrmachtu, dwóch oficerów i kilku własowców. Ząb z uznaniem kiwa głową Jaxie.

- Pan major to jak coś powie! Wziął pan pełen asortyment! Odprowadzają oficerów na bok, żeby ich przesłuchać. W tym samym czasie własowcy wykorzystują chwilę zamieszania i usiłują uciec w stronę pobliskich zarośli. Skaczą za wóz sanitarny i dalej susami w krzaki. Dwa strzały położyły ich.

- Tu jest trzeci! - Porucznik wyciąga spod wozu postawnego, wysokiego mężczyznę o śniadej twarzy. Przystawia mu pistolet do skroni.

- Zostaw! - krzyczy Fala i zeskakuje z Bogdanki. - Zostaw go natychmiast!

- Co jest? Własowca będziesz bronić?

- To lekarz, idioto! - Fala pokazuje na ubłoconą opaskę z krzyżem na rękawie płaszcza. Porucznik trzyma własowca za ramię i pyta:

- Doktor?

- Da - kiwa głową tamten. - Ja Gruzin, doktor.

- Brakuje nam lekarzy. Idę do dowództwa - zdecydowanym głosem oświadcza Fala.

- Panie pułkowniku! - melduje się u Bohuna. - Panowie!

- Mamy naradę - pokazuje jej przesłuchiwanym oficerów Ząb.

- Może potem.

- Nie. Ludzkie życie nie może czekać. Proszę o uwolnienie lekarza Gruzina i skierowanie go do kolumny sanitarnej.

- Skąd lekarz?

- Z tej grupy, którą przyprowadził major Jaxa.

- Panno Fala, nie mamy teraz czasu na sprawdzenie, kim jest jeniec - spokojnie mówi Bohun. - Trwa ofensywa, to może być zwykły zbój, który założył na rękaw opaskę, żeby uratować życie. Proszę oddać go oddziałowi rozpoznawczemu.

- Odmawiam. - Twarz Fali jest zacięta.

- Odmawia pani wykonania rozkazu? - Bohun zirytował się.

- Odmawiam zabicia lekarza.

- Proszę o przychylenie się do prośby strzelca Fali - mówi Zdanowicz. - Biorę na siebie zbadanie jeńca w pierwszej możliwej chwili.

- Zgoda.

Fala nie obdarza żadnego z nich ani podziękowaniem, ani uśmiechem. Odwraca się na pięcie i biegnie do Gruzina.

- Jak panu na imię?

- Siejczas.

- Doktorze Siejczas, jest pan wolny. Proszę pomóc mi przy rannych.

- Dziękuję pani.

- Nie ma za co.

Jaxa, Ząb, Bohun. Weszli w las, by nie stać na widoku. Brygada, jak przekazał łącznik, spokojnie dotarła do wsi Koryczany. O ile nie liczyć przewróconych po drodze wozów. Nie mają w ręku mapy, to w tej chwili już zbędne.

Patrzą na łunę od strony Częstochowy. Na ośnieżone pole dzielące ich od wsi. Na wzgórza okalające dojście do Pilicy. I do jedyne go wysadzonego mostu na rzece.

- To szaleństwo. Ofensywa sowiecka rozpoczęła się...

- Nie wolno nam rozdzielić Brygady. Każdy oddział, który się teraz odłączy, spotka ten sam los, co Żbika. Brygada ma wykonać rozkaz wycofania się na Śląsk.

- Na moście ostatnie umocnienia niemieckiej obrony. Za kilka godzin będą tu Sowietci. Jesteśmy w potrzasku. Pomocy żadnej udzielić nie możemy.

- Będziemy negocjować z Niemcami przejście mostu. Innej szansy uratowania Brygady nie widzę. Należy liczyć tylko na własne siły.

Nurt Pilicy jest rwący i bystry. Rzeka płynie w głębokim, zwężającym się wąwozie. Po lewej rzeka, po prawej lesiste wzniesienia, które opadają na wysokości mostu. Do mostu jeszcze daleko.

Brygada Świętokrzyska maszeruje wąwozem zwartą kolumną. Z tyłu wozy taborowe, by nie opóźniały tempa brygady. Dowództwo i jeńcy spod Jedlni na przedzie. Ciągącą się dwukilometrowym pochodem kolumnę zamyka to, co pozostało z trzeciej kompanii Żbika.

- Kolera jasna! Jak wróg na przedzie, to pan porucznik Harry na przedzie! Jak wróg w tyle, to oni śląc pan Harry na tyle! Kolera! Kolera!

Teren rozmokły, grząski, rozryty butami tych, którzy przeszli przed nimi. Wozy z rannymi wciąż zostają w tyle. Robi się niebezpieczna przerwa w kolumnie. Sierżant Cichy mówi do Grzmota:

- Dowódco, ja zostanę z sanitariuszkami. Potrzebuję sięść na wóz, bo... - pokazuje nogi.

- Dobra. - Grzmot jedzie do przodu, skąd dochodzą krzyki. - Kurwa!

Wywrócił się wóz z amunicją. Podnoszą go. Skrzynki więzną w błocie. Koń, uwolniony od ładunku, rusza naprzód, tratując ludzi.

Nawet szkapy wariują - myśli Grzmot.

Tracą czas na wydobywanie wozów, załadowanie. Brygada zniknęła za zakrętem wąwozu.

- Gonimy! - krzyczy Grzmot i popędza konia, by sprawdzić, co na czele. Wyjeżdża z zakrętu i staje jak wryty. Na płaskim w tym miejscu wzgórzu stoi czołg. Metalicznym zgrzytem zwraca wieżyczkę w ich kierunku i oddaje dwa strzały. Przeleciały nad ich głowami i wyrzuciły fontanny błota z brzegu rzeki.

Tego jeszcze w kinie polowym nie grali - myśli szybko Grzmot. - Sowieci idą równolegle do Brygady, tyle że górą. Pewnie kierują się na ten sam most co my.

- My polskie partyzanty! - Harry macha rękami w kierunku czołgu, który jest na przedzie tylnego ubezpieczenia.

- Wot' dawajcie s' nami na Germańca! - odkrzykują Sowieci.

- Da, da! My dołem pójdziemy, wy górą! - ryczy do nich bosman. Czołg wycofuje się.

Most na Pilicy

Przed wejściem na most zasieki. Obok nieduży murowany budynek posterunku żandarmerii. Sześć armat, artylerzyści stoją bezczynnie.

Pułkownik Bohun, major Ząb i Jaxa. Z nimi rotmistrz Zalewski i podchorąży Topaz, tłumacze. Między Zębem a Jaxą dwaj niemieccy oficerowie wzięci do niewoli.

Zza wzniesienia słysząc sowiecką kanonadę. Zbliża się. Wychodzi do nich dowódca posterunku.

- Chcemy rozmawiać z dowódcą odcinka - mówi rotmistrz Zalewski po niemiecku.

- Po co?

- Będziemy rozmawiać tylko z dowódcą odcinka.

- Zaprowadź nas do niego żołnierzu! - woła niemiecki oficer jeniec. - Prowadź i nie marnuj czasu!

Wchodzą na most. Zdanowicz widzi, że armaty są puste. Nie ma przy nich żadnej amunicji.

Most jest w kiepskim stanie. Trzeszczy. Posterunek po drugiej stronie przepuszcza ich. Żołnierz melduje dowódcy przybycie. Wchodzą do budynku. W korytarzu stoją skrzynie spakowane do wyjazdu. Portret Hitlera jeszcze wisi.

- Co panów sprowadza do kwatery, którą ja właśnie opuszczam? - pyta spokojnie młody pułkownik w mundurze Wehrmachtu.

- Pułkowniku, musimy przejść przez most i wasze linie obronne całą jednostką. Żądamy pańskiej zgody, na piśmie.

Niemiec marszczy brwi. Odzywa się oficer jeniec:

- Panie pułkowniku. To duża, świetnie uzbrojona jednostka polska. Wzięli nas do niewoli pod Koryczanami. Jeśli pan ich nie przepuści, zabiją nas i naszych żołnierzy. Nie

wiem, co panu powiedzą za chwilę, ale mam pewność, że w razie odmowy będą zdobywać most siłą.

- Co to za wojsko polskie? - pyta pułkownik.
- Antykomuniści. Brygada Świętokrzyska NSZ.
- Narodowcy?
- Chyba tak.

Pułkownik zwraca się do tłumacza:

- Mogę wydać zgodę na wasze przejście, jeśli podporządkujecie się moim rozkazom.

To oznacza, że będziecie razem z nami walczyć przeciw Sowietaom.

Bohun odpowiada wolno, by rotmistrz tłumaczył.

- Nie będziemy wspólnie z wami walczyć z Armią Czerwoną. Nie zgadzamy się na wykonywanie pańskich rozkazów, ani rozkazów innych dowódców niemieckich. Żądamy przejścia przez most. W razie odmowy natychmiast zaczynamy ostrzał waszych pozycji.

Do pokoju weszła sekretarka.

- Hans! Gdzie spakowałeś moje... - zamilkła, widząc, co się dzieje. Wycofała się.
- Nie mam upoważnienia, by wydać panom rozkaz przemarszu.
- Nie chcemy rozkazu przemarszu, chcemy zgodę na przemarsz.
- Panie pułkowniku - odezwał się oficer jeniec. - Oni są zdeterminowani i nie cofną się. Im, tak samo jak nam, zagraża Armia Czerwona.

Pułkownik wzruszył ramionami i sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Gdybym musiał ginąć, wolałbym, żeby mnie zabili ci niż sowiecka dzicz - szepnął.

Tłumacze uśmiechnęli się pod nosem.

- Koncert życzeń - cicho powiedział Ząb. A w duchu pomyślał: Z przyjemnością, tylko tak się składa, pułkowniku, że was jest więcej. On, Jaxa i Bohun na tyle znali niemiecki, że widzieli, w czym rzecz.

Pułkownik nie mógł się dodzwonić do swojego sztabu.

- Hana! - krzyknął zniecierpliwiony, a sekretarka zjawiała się w tej samej chwili. Pewnie podsłuchiwała pod drzwiami.

- Łącz ze sztabem dywizji.

Sprawnie wybrała numer. Raz, drugi. Zza mostu odezwała się dwakroć silniejsza kanonada.

- Sztab miał się wycofywać na trzecią pozycję. - Rozłożyła bezradnie ręce i odłożyła słuchawkę.

- Panie pułkowniku, nie mamy czasu, ani my, ani pan. Za chwilę będą tu Sowieci.

Chcemy pisemną zgodę na przemarsz. Nie będziemy przeszkadzać w waszej ewakuacji. Proszę podjąć męską decyzję. - Gdy rotmistrz Zalewski kończył mówić, usłyszeli dwa wystrzały, jeden po drugim. Zadrżały szyby w oknie.

- Dobra. Hana! Pisz!

Dyktował sekretarce pismo. Stukała w klawisze maszyny w tempie erkaemu. Ze zgrzytem walca wyjęła papier i podała pułkownikowi. On chciał wręczyć go Bohunowi.

- Podchorąży Topaz, przeczytaj.

- Wszystko jest! - Chłopak przebiegł pismo wzrokiem.

- Nie. - Ząb wziął do ręki papier. - Tu, pieczętka i podpis! Pułkownik kręcąc głową, podpisał się, Hana stuknęła pieczęcią.

- Pierwsi przejdą nasi jeźdźcy - oznajmił Bohun. - Za nimi piechota i tabory. Na końcu oddamy wam jeńców.

- Nie - uśmiechnął się niemiecki pułkownik. - Najpierw przejdziemy my. Myśleliście, że puścimy Brygadę, a swoich zostawimy za mostem? Niemcy przodem!

- Heil Hitler! - zaszalutowali mu oficerowie jeńcy.

Wozy sanitarne w połowie kolumny Brygady. W tym samym czasie

Stoją, czekając na rozkazy. Prószy śnieg. Fala okrywa derką trzęsącego się chłopaka. To Osa, ma postrzał w brzuch. Obok niego dwaj ranni w nogi. Bogdanek uwiązała do wozu.

Nad ich głowami śmigają pociski. Konie rżą, biją łbami. Każde ich szarpnięcie otwiera rany leżącym na wozie. Łoskot czołgów. I dziwny, nieznany jej, jakby świszczący okropny dźwięk.

- Co to? - zrywa się jeden z rannych, który wcześniej zapadł w gorączkowy sen.

- To śpiewają katusze - mówi Siejczas. - Kto raz usłyszysz, nie zapomni.

- A przeżyje? - pyta Fala. Doktor wzrusza ramionami.

- To daleko, kilkanaście kilometrów niesie.

Nagle niebo przecina messerschmitt. Za nim drugi. Ranni, leżąc na wznak, wpatrują się w nie szklanymi oczami.

- Sto dziewiątka - szepce Osa - myśliwiec. Zatoczyły koło i zniknęły.

- Chwała Bogu - przeżegnała się Fala. Wróciły. Tym razem zeszły niżej.

- Lufy działek mają w śmigłach, widzicie? - Osa nie odrywał oczu od czerwonych piast śmigieł. - Zabijają nas.

Na niebie pojawiły się jasne paciorki sowieckich pocisków. Messerschmitty zniżyły lot. Pęd powietrza i grzmot silników przydusił wszystkich do ziemi. Konie kwiknęły przeraźliwie i szarpnęły wozem. Myśliwce odleciały. Pociski sowieckie spadły gdzieś daleko.

- Zimno mi - zatrząsł się Osa.

Siniał na twarzy. Fala nie miała już nic więcej, czym mogłaby go przykryć. Siejczas zdjął swój płaszcz i rzucił na nich, ale to wszystko było mało. Fala wskoczyła na wóz i położyła się obok Osy, rozcierając mu sztywne ręce.

Czoło Brygady. Popołudnie

Brygada wchodzi na most. Batalion po batalionie. Dowództwo czeka na nich po drugiej stronie rzeki. Ostrzał się wzmacnia. Zza wzgórza pojawiają się lufy sowieckich czołgów. Grzeją. Na szczęście, są źle wstrzelone, pociski lądują w wodzie po obu stronach mostu. Płoszą się konie. Wybuch panika na środku mostu. Wóz łączności wywraca się. Skrzynie spadają, podcinają ludzi.

Zub-Zdanowicz biegnie przez most.

- Spokój! - krzyczy, chwytając konia. - Jeśli zatamujecie ruch, zgubicie Brygadę. - Lala! Pilnuj koni!

- Tak jest, panie majorze! - Dziewczyna zeskakuje i zarzuca najbardziej niespokojnym derki na łeb. - Już, moje maleńkie, już dobrze. Lala idzie z wami.

Ktoś usiłował jej podać zgubioną w pośpiechu torbę. Odwróciła się do żołnierza gniewnie:

- Spieprzaj, dziadu! Wrzuć na wóz albo sam nieś. Cicho, malutkie, cicho, aniołki, Lala idzie...

Kolumna ruszyła.

Tyły Brygady. Ten sam czas

Harry patrzy przez lornetkę.

- Przechodzą - mówi do Rysia.

W tej samej chwili z tyłu i boku dostają ostrzał.

- Kolera! - krzyczy Harry. - W las!

Las to tylko kępy bezlistnych drzew i zarośli, strzegących brzegu Pilicy. Minęli je właśnie, lecz nie mają innego wyjścia. Między nimi a mostem, na który weszła już cała Brygada poza „Żbik Division”, odkryta przestrzeń.

Bożena i Robercik przypadają do krzaków. Odstrzeliwują się.

- Ogień na szczyt wzgórza - drze się Grzmot i nastawia erkaem.

- Oślonić wozy!

Ale wozy zginęły. Te dwa, z sanitariuszkami, rannymi i Cichym. Zostały trzy inne i jednokonna biedka ciągnąca cekaem. Biedka już dopadła zarośli, pędzi ku rzece.

- Na pomoc! - krzyczy Grom, powożący biedką. - Toniemy!... Rzuca się ku nim kilku

ludzi. Odpinają konia, ratują cekaem. Grzmot, Harry, Robercik, Bożena i Dzidziur wzięli na siebie ogień.

Grzmot ma pozycję na skraju.

- Jezu Chryste! - Widzi dwie sanitariuszki, ranne, oblepione błotem. Biegną do nich.

- Bosmanie! - Mają przerażone oczy. - Cichy nie żyje, ranni nie żyją...

Bożena na chwilę wstrzymuje ogień, słucha, co mówią dziewczyny.

- Dopadli nas Sowietci. Sierżant próbował negocjować, zastrzelili go...

-...potem dobijali rannych, kolejno... a nas...

-...wzięli nas na bok... pan rozumie?...

-...wyrwałyśmy się i skoczyłyśmy w to bagno...

Bożena przykłada oko do celownika i strzela do końca magazynka. Nie słyszy, gdy dziewczyny kończą mówić:

- Zapuściliśmy się jeszcze głębiej, do samej rzeki. Pilica w tym miejscu jest płytka.

Po drugiej stronie mostu, Żarnowiec. Wieczór

Niskie zabudowania miasteczka. Po obu stronach drogi stoją niemieckie czołgi pomalowane na białą maskującą farbą. Włazy otwarte, obsługa w czarnych pancerniackich mundurach przy kaemach i działach. Gotowi do strzału. Za nimi wielkie Elefanty, niszczyciele czołgów, grzeją silniki. Żołnierze z pistoletami gotowymi do strzału. Celują do nich.

Przez szeregi Brygady przechodzi rozkaz Bohuna, szeptem, z ust do ust.

Nie prowokować, nie zaczepiać. Jeśli zaatakują, bronić się.

Wchodzą na rynek Żarnowca. Przepuszczają wozy. Przy każdym z koni oficer, prowadzi je za pysk. Ustawiają wozy w okrąg, dookoła rynku. Przed wozami staje piechota z bronią przygotowaną do obrony. Na chodnikach wokół nich Niemcy. Niemcy celują do nich z erkaemów. Obie linie dzieli tylko parę metrów. Stoją. Czekaają na rozkazy, trzymając się wzajemnie na celownikach.

Po półgodzinie przychodzi rozkaz. Niemcy puszczają Brygadę dalej. Kolumna w szyku ubezpieczonym wyjeżdża z miasteczka. Zapadł już zmierzch. Na rogatkach ludność. Wciskają im w ręce zawiniątka z chlebem, dzbany z mlekiem. Fala jedzie na Bogdance, wciąż odwraca się za siebie. Ludzie żegnają ich w ciszy, znakiem krzyża. Kobiety machają chusteczkami, płaczą. Fala też.

Wieczór

Grzmot z dwudziestką ludzi, koniem i cekaemem wchodzi w nurt Pilicy. W ciemności nie widzi mostu, do którego nie doszedł. Powinien być jakiś kilometr stąd. Słyszy za to

sowiecki ostrzał na plecach. Żołnierze są nieludzko zmordowani walką z mokradłami, błotem i Sowietami. Kilku chciało zostać. Usiąść i zostać. On sam myślał tylko o tym, że Żbik mu powierzył oddział. Chciało mu się wyć. Zamiast tego uśmiechnął się i powiedział:

- Teraz pan bosman wam pokaże, co daje służba w marynarce wojennej. ORP Grzmot przodem! - I ruszył w wodę pierwszy.

- Czy są tu ryby? - pyta Harry, idąc za nim.

Porucznik RAF ma twarz siną ze zmęczenia i zimna. Sadzi bocianie kroki swymi długimi nogami.

- Czy są tu ryby? Pan Harry bardzo lubi fish and chips. Parę metrów od nich ląduje w wodzie pocisk.

- Chips to ty będziesz, jak cię Ruscy usmażą z katuszy.

Są w połowie rzeki. Wody mają po kolana. Nawet koń idzie rażno. Robercik i Bożena w ubezpieczeniu tylnym.

- Przeprowałaś się kiedyś wpraw przez rzekę? - pyta chłopak.

- Skąd mam wiedzieć. W tym życiu jeszcze nie.

Dopadają brzegu. Zmęczenie minęło od lodowatej kąpieli.

- Dobra, dobra - pogania ich Grzmot. - Nie cumujemy, gonimy Brygadę. Nie wolno nam się rozłączyć.

Szybko dopadają do Żarnowca. Miasteczko wygląda jak opustoszałe. W posterunku niemieckim drzwi otwarte na oścież. Jakaś kobiecina wychodzi przed dom.

- Szło tędy polskie wojsko, matko? - pyta Grzmot.

- Szło, synu, ale przed zmierzchem. Tam poszli - pokazuje drogę.

- A Niemcy gdzie?

- Uciekli. Tędy - wskazuje inną.

- Jak pobiegniecie, to ich dogonicie - radzi dobra kobiecina, nie wiedząc, ile godzin już biegają.

- Ruszamy - sapie Grzmot.

Z domów wychodzą pojedynczy mieszkańcy. Wynajdują jeszcze trochę jedzenia. Kromka chleba na dwóch. Ale idącym z tyłu Robercikowi i Bożenie babcia wciska po dwie kromki. Kręci głową, patrząc na ich drobne postaci.

- Boże Przenajświętszy, dzieci... brat i siostra w wojsku...

Za Żarnowcem mijają puste niemieckie okopy. Z polnej drogi wychodzą na szosę. Mróz wzmacnia się po zmroku. Mokre mundury sztywnieją. O północy zatrzymuje ich ubezpieczenie tylne Brygady. Major Rusin ściska Grzmota.

- Myśleliśmy, że już po was! Biegnij do dowódcy, pułkownik Bohun wciąż wysyła łączników z pytaniem o третią kompanię!

- Już lecę - jęczy bosman i zdaje sobie sprawę, że legendarne szczęście Żbika albo zostało w kompanii, albo przeszło na niego.

*

Marsz na zachód. 17-27 stycznia 1945 roku

Brygada przemieszcza się batalionami. Rozkaz: iść, nie zatrzymywać się. Odskokzyć na zachód od linii frontu. Wiadomości wywiadowcze ściągają z terenu nie dalszego niż kilka, kilkanaście kilometrów. Front jest dynamiczny. Gdzieś tam, za jego linią na zachodzie, muszą być alianci. Gdzie dokładnie?

Łącznicy przenoszą wiadomości między oddziałami. Z aprowizacją słabo. Konie taborowe jak widma. Poobijane, chude. Raz po raz widać uciekających Niemców. To znów szpice sowieckie. Oddziały ubezpieczające marsz strzelają. Zdarza się, że czoło Brygady broni się przed jakimś urwanym oddziałem Kałmuków w mundurach Ostlegionen, a tył w tym samym czasie odstrzeliwuje się Armii Czerwonej. Dowódca każe unikać walk, stan amunicji maleje. Ranni kurczowo trzymają się desek wozów, by nie wypaść, gdy konie niosą spłoszone wybuchem działa. Sanitariuszki przestały bać się kul. Opatrują pod ostrzałem. Jest im wszystko jedno.

W Lublińcu Niemcy zagradzają im drogę. Nie pomagają glejty z Żarnowca. Nie chcą puścić. Major Rusin prowadząc straż przednią, wydaje rozkaz:

- Idziemy.

I Niemcy widząc, że naprawdę idą, nic sobie z nich nie robiąc, rozstępują się. Ale za miasteczkiem zasadzka żandarmerii. Wywiązuje się walka, przerywana warkotem samolotów.

- Messerschmitt! - krzyczą tryumfalnie Niemcy.

- Pomyłka. - Rusin patrzy w niebo. - Ruskie jaki!

Z powietrza piloci jaków rozróżniają tylko Niemców. Ostrzeliwują ich, żandarmeria ucieka w bok, jaki z warkotem za nimi. Brygada nie ogląda się za siebie, rusza dalej.

Kilka godzin później kolejny niemiecki posterunek. Szybka narada sztabu.

- Na kogo kolej? - żartuje Zub-Zdanowicz.

- Ja pójdę - poważnie mówi Jaxa.

Wraca po godzinie.

- Mamy zgodę na przejście granicy.

- Z pieczętką?

Jaxa patrzy na Zęba i wybucha śmiechem.

- Majorze, oni mieli telefon z przeciętą linią, dziurawy namiot dowództwa i rozkaz Hitlera „Stać i nie cofnąć się ani o piędź”.

- Nie przyszło im do głowy, by nie wykonać rozkazu?

- Po minach sądząc? Myśleli wyłącznie o tym. Ale to Niemcy.

- Ruszamy, zanim zmienią zdanie, albo naprawią linię.

- Pół kilometra do granicy.

-...pół...

-...do granicy...

Szeptem, z ust do ust. Zamarznięty śnieg chrzęści pod butami. Bohun każe zatrzymać Brygadę. Na pniach sosen wytarte znaki graniczne.

- Od sześciu lat nikt ich nie odnawiał. - Ząb głaszcze pień. Fala chowa twarz w kołnierz. Ząb widzi jej łzy.

- Żołnierze! Za chwilę przekroczymy granicę polskoniemiecką - mówi dowódca Brygady. - Musimy mieć oczy otwarte i być przygotowani na wszystko. Nie pozwolimy się rozbroić. Będziemy szli przez kraj, który należy do wroga, ale musimy iść odważnie, z poniesioną głową, bez strachu. Kto jest słaby, może odejść, nie trzymam nikogo. Pozostałym obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by doprowadzić was do zamierzonego celu, a jest nim Drugi Korpus generała Andersa.

Szlaban graniczny jest uniesiony w górę. Staje przy nim kapelan Mróz, unosi krzyż. Dowódcy zeskakują z koni, pozostali jeźdźcy też. Zdejmują czapki, pieszo przechodząc przez granicę.

W nocy docierają do opuszczonej wsi. W niej znajdują magazyn wojskowy. Marmolada, cukier, konserwy. Ładują wszystko na wozy. Sanitariuszki szukają koców. Ranni na wozach zamarzają. Przed nimi most na Odrze w miejscowości Otmęt, rotmistrz Zaremba w oddziale rozpoznawczym.

Żandarmeria niemiecka pilnuje Brygady, Zaremba negocjuje. Wraca po godzinie i informuje dowództwo:

- Glejt z Żarnowca wystarczył tylko na zgodę na przerzucenie taborów, ale możemy iść śmiało, nie sędzę, by nas zaatakowali. Miasto słabo ufortyfikowane. Ta załoga na moście to większość wojska. W dodatku koło dupy im się pali, bo sowieckie szpice szperają już po ich stronie Odry.

Kilkadziesiąt wozów i prawie dziewięćset ludzi obstawy. Niemcy patrzą nieufnie, ale puszczają. Znów, nieświadomie, pomagają im Sowieci. Czołgi z czerwoną gwiazdą grzmia zza Odry. Nad ranem docierają do opuszczonych baraków po jeńcach.

- Nasi tu byli! - drze się radośnie Harry, wyciągając spod pustego łóżka plakat wycięty z gazety. Biuściasta blond piękność pali papierosa w długiej lufce. Rzeczywiście, to był obóz jeńców angielskich. Harry myszkuje, ale poza plakatem żadnych zdobyczy. Zostają na noc w barakach. Trzaskający mróz. Żal im koni, wprowadzają je nad ranem między śpiących.

Posuwają się wzdłuż Odry. Grzmot idzie w rozpoznaniu. Od strony rzeki słychać strzały, zdaje się, że płonie wieś. Skrajem drogi ciągnie kilku Niemców, skrajnie zmęczeni, wloką na sankach zabitego. Patrzą na nich spode łba.

- Zejdźcie z drogi - mówi z wysiłkiem Niemiec.

- Bo co? - butnie pyta Grzmot.

- Bo jest pod ostrzałem. Granatniki sowieckie, stamtąd - pokazuje ręką las.

- Oddział, na pobocze - wydaje rozkaz Grzmot. Sam idzie środkiem. - Nie będę słuchał niemieckich rad - wzrusza ramionami.

Świst i za nim jęk. Pocisk trafił w sam środek drogi, dziesięć metrów przed bosmanem. Grzmot udaje, że go to nie rusza. Powoli odchodzi na bok, dołącza do oddziałów.

- Tam Odertal, wioska po drugiej stronie rzeki - znów odzywa się Niemiec ciągnący sanki. - Sowieci już ją zajęli. Ale las obsadzony przez Volksturm. Bardzo silny oddział.

- To czemu do niego nie dołączysz, jak taki silny? Niemiec wzrusza ramionami.

- Harry, weź Bożenę i skoczcie zobaczyć, czy w lesie naprawdę jest wojsko.

- O, jak pošlesz pan Harry, to ono tam być!

- Nie, czekaj. Ja nie chcę, żeby było. Ryś! Niech idzie Ryś. Oczywiście nie ma żadnego wojska, Volksturmu ani innych Niemców.

- Były tylko porzucone stanowiska artylerii. Amunicję pogubili, ale nie pasowała do naszych dział, to nie brałem.

Przez dziesięć dni szli niemal bez przerwy. Krótkie postoje. Niemcy pod ciągłym ostrzałem sowieckich dział mieli gdzieś Brygadę. Bali się o własne pozycje i tyłki. To nie byli bitni i waleczni zimni żołnierze Hitlera. To byli zmarznięci ludzie przerażeni ogniem ze wschodu. Brygada minęła Kuźnicę Ligocką, Łambinowice, Kubice koło Ząbkowic Śląskich. Huk wystrzałów przycichł. Odbili około stu kilometrów od linii frontu. Dopiero wtedy Bohun dał rozkaz:

- Spocznij.

„Spocznij” było tylko dla nieprzytomnie zmęczonego wojska. Dowództwo już miało na karku Niemców z Ząbkowic Śląskich.

- Dowódca odcinka żąda spotkania z dowództwem Brygady pod groźbą rozbicia jej - zaanonsował niemiecki wysłannik.

- Stawimy się jutro - oświadczył Bohun. - Proszę przekazać, że nie zamierzamy uchylać się od spotkania z pańskim dowództwem.

Niemiec pojechał precz. Oni spojrzeli na siebie i Jaxa spytał:

- Czyja kolej?

Ząb i Bohun unieśli ręce jednocześnie i w tej samej chwili na podwórze przed domem, w którym zakwaterował sztab, wjechała ciężarówka. Na niej żołnierze w mundurach NSZ. Zeskoczyli z wozu i stanęli w dwuszeregu.

- Kapitan Gustaw melduje oddział Akcji Specjalnej NSZ Kielce! - zasalutował dryblas o wielkich dłoniach.

- Skąd wyście się tu wzięli?

Dryblas uśmiechnął się i wtedy z szoferki ciężarówki wyszedł wysoki blondyn o jasnych oczach, ubrany w połowy mundur i niemiecki krótki lotniczy kożuch.

- Kapitan Tom - zasalutował, stając przed Bohunem na baczność w sposób tak daleki od żołnierskiej kanciastości. Po czym założył ręce za plecy.

Jaxa zbladł. Zdanowicz chwycił za rewolwer. Tom udał, że nie widzi tego gestu.

- Przywiozłem parę przydatnych rzeczy. Lekarstwa, amunicję, mapy wojskowe. Łączność. I whiskey.

- Ja nie piję - warknął Ząb.

- A przejść na stronę aliantów chciałby pan, majorze? Zapewniam, że niepotrzebnie się pan unosi. Gramy w tej samej drużynie.

- Ale nie wiem, czy strzelamy do tej samej bramki.

Sztab

Brygady Bohun, Ząb, Jaxa. I kapitan Tom.

- Minęliście pierwszą linię frontu - mówi Tom. - Co nie oznacza, że dalej będzie łatwiej. Przeciwnie. Niemcy na Pilicy i Odrze byli przerażeni Armią Czerwoną. Chcąc iść na zachód, Brygada będzie musiała kluczyć między niemieckimi pozycjami. I mogę panów zapewnić, że to już nie będą wystraszeni frontowcy.

- Dziękujemy za wykład - powiedział Ząb. - Oczekujemy wyjaśnień.

- Służę - odrzekł Tom i czekał.

- W jakim charakterze pan tu przyjechał? - spytał Bohun.

- Doradczym.

- To znaczy komu pan będzie doradzał, Niemcom, jak mają nas wytropić?

- Przeciwnie. Będę służył wam, byście niczym jaszczurki przemknęli pomiędzy niemieckimi pozycjami.

- Zagrajmy w otwarte karty. - Bohun wciąż był opanowany. - Jaki interes mają Niemcy, by nas przepuścić?

Kwaterna niemieckiego dowództwa, Kaubitz bei Frankenstein/Kaubice koło Ząbkowic Śląskich. 28 stycznia 1945 roku

Czterech oficerów niemieckich, w tym dwóch majorów, jeden Oberstleutnant i jeden Oberst, pułkownik.

Pułkownik Bohun i major Ząb nie zabrali ze sobą kapitana Toma. Nie skorzystali też z jego usług, choć polecał się jako tłumacz. Wzięli ludzi, którym ufali - rotmistrza Zarembę i porucznika Wolfa.

Wypucowany na wysoki połysk stół konferencyjny. ZubZadnowicza posadzono tak, że na wprost siebie ma duży, olejny portret Adolfa Hitlera z ręką na piersi, a la Napoleon. Nie może się skupić. Ostre, styczniowe słońce przedziera się do gabinetu. W jego promieniach warstwy olejnej farby na portrecie układają się tak, że Hitler albo się uśmiecha, albo płacze. Zupełnie jak amerykańska pocztówka puszczejaca oczko. Żeby nie patrzeć na Hitlera, spuszcza wzrok i ma przed sobą przystojnego Oberstleutnanta. Ząb dyskretnie rozejrzał się po pomieszczeniu, gdy wchodzili. Oczywiście, nie był naiwny i wiedział, że od początku wojny ma pecha. Ale wchodząc do kwatery Wersihory, też nie liczył na to, że zwędzi mapę zaminowań, a tak się stało.

- Wiemy, iż wasza jednostka, Helig Kreuz Brigade...

- Brygada Świętokrzyska - poprawił Zdanowicz. - Świętokrzyska.

Adolf Hitler puścił mu oczko, ale Oberstleutnant nie.

- Helig Kreuz Brigade - powtórzył i dodał z wyższością: - Jesteśmy w Rzeszy i będziemy mówić po niemiecku. Wiemy, iż Brygada jest nastawiona antykomunistycznie, że toczyła boje z sowiecką partyzantką i Armią Czerwoną.

Zdanowicz i Bohun taktownie nie przerywali. Owszem, w głowie Zęba jak na złość spadał samolot Luftwaffe pod Cacowem, ale wystarczyło, że poniósł wzrok i widział, iż płacze z tego powodu Hitler, więc dał sobie spokój ze wspominkami i słuchał dalej.

-...z tego powodu, iż łączy nas wspólny nieprzyjaciół - ciągnął Oberstleutnant - oczekujemy, iż wasza jednostka obejmie odcinek frontu wschodniego pod Ottmuchi.

- Nie ma takiej możliwości - powiedział spokojnie pułkownik Bohun, a rotmistrz Zaremba przetłumaczył.

Zaremba - vel Zaręba. Rotmistrz Jerzy DobrzańskiZaleski. Brat stryjeczny legendarnego majora Hubala. Został, podobnie jak dowództwo, przedstawiony Niemcom wyłącznie z pseudonimu. Co wie Abwehra, to jej sprawa.

- Skoro tak, to pošlemy jednostki Wehrmachtu do miejsca waszego stacjonowania - równie spokojnie odrzekł Oberst. - Z rozkazem zlikwidowania brygady.

- Nie przyszlismy do panów - tłumaczył Bohuna Zaremba - ani z propozycją kapitulacji, ani rozbrojenia Brygady. Przyszlismy z propozycją chwilowego paktu o nieagresji. Wy puście nas na zachód, my nie będziemy po drodze atakować waszych pozycji.

Oficerowie niemieccy roześmiali się. Adolf Hitler na obrazie też się ubawił.

- To może jeszcze mamy was dozbroić i wyżywić? - rzucił jako ostatni żarcik jeden z niemieckich majorów, którzy do tej pory nie zabierali głosu.

- Jeśli to nie kłopot - uśmiechnął się Zub-Zdanowicz.

- Albo obejmiecie odcinek i będziecie razem z nami walczyć przeciwko Sowietom, albo was rozbijemy! - wydarł się pułkownik i jasne było, że nawet jeśli portret się wciąż uśmiecha, to jest już czysta iluzja. Gra światła.

- Panowie są strategami - zmienił front Zub-Zdanowicz - zatem nie muszę panom długo tłumaczyć.

Porucznik Wolf przekładał coraz wolniej, coraz ostrożniej dobierając słowa.

- Jednostka partyzancka, a taką jest Brygada Świętokrzyska, to nie regularne wojsko. Tak, w walce partyzanckiej jesteście najlepszą z jednostek operujących na tym terenie. Lecz w walce konwencjonalnej nie tylko, że nie sprawdzimy się, ale i poniesiemy straty, zarówno osobowe, jak i, co za tym idzie, taktyczne. Oddziały partyzanckie nie sprawdzają się w walkach liniowych. Nie nadają się do obrony umocnień. Po prostu żołnierz nasz nie posiada stosownego wykształcenia i umiejętności.

- To tylko wybieg.

- Rozumiem, że jeżeli obsadzicie nami odcinek otmęcki i poniesiemy na nim nieuniknione straty, czyniąc wyłom w linii niemieckiej obrony, to pan swoim przełożonym zamelduje, iż to był nasz celowy wybieg? Czy też powie im pan, że na własną odpowiedzialność, w zgodzie z własną wiedzą wojskową, skierował partyzantów do obrony umocnień?

Wolf tłumaczył długo i póki mówił, była cisza. A kiedy skończył, zapadła jeszcze głębsza. Niemcy myśleli.

- Ten z krzywą brwią chce nas wykiwać - zaszwargotał szeptem po niemiecku podpułkownik do pułkownika. Oczywiście Wolf i Zaremba nie tłumaczyli.

- Fakt, jest brzydki i źle mu z oczu patrzy, ale w jednym ma rację. Ja się nie chcę tłumaczyć przed generałem. Jaki z nich będzie pożytek?

- To wyślijmy ich, by chociaż osłonili nasze tyły, jak będziemy robić odwrót!

- Pan zwariował, majorze. My mamy rozkaz Führera wytrwać do końca. Mowy nie ma o żadnym odwróceniu.

- To tym bardziej. Zostawmy ich sobie na tyłach.

- Panowie - pułkownik wrócił do oficjalnej rozmowy. - Stanowczo żądamy, aby wasza jednostka stawiała czoło Armii Czerwonej razem z nami.

- Przydzielimy wam odcinek na Odrze - wyniosłym głosem dodał podpułkownik.

Wóz albo przewóz - pomyślał Zub-Zdanowicz i wstał od stołu.

- Nie! - krzyknął. - Jeśli panowie wyobrażają sobie, że Brygada Świętokrzyska będzie Józefem Poniatowskim upadającej Trzeciej Rzeszy, to są w błędzie! - odwrócił się do Wolfa.

- A ty im to, kurwa, przetłumacz słowo po słowie.

Na twarz porucznika wystąpiły krople potu. Ale Niemcy wiedzieli, kim był marszałek Napoleona, książę Pepi. Do Lipska też było bliżej niż dalej.

- Oficerowie wycofują żądanie objęcia odcinka. Muszą skontaktować się ze swoim dowództwem, by uzyskać dla Brygady warunkową zgodę na przemarsz przez Czechy. Jutro oficerowie niemieccy przyjadą przekazać nam wiadomość.

Po powrocie do Brygady Bohun wezwał wszystkich dowódców.

- Jutro mamy wizytację niemieckich oficerów. Oficjalnie przyjadą tylko po to, by nam przekazać zgodę swojego dowództwa na przemarsz. Ale nie mamy z majorem Zębem wątpliwości, że chcą na własne oczy zobaczyć stan jednostki. W obozie ma panować idealny porządek. Mundury, orły, ryngrafy. Jasne?

- Tak jest, panie pułkowniku.

Tom, podobnie jak Otmar, nie lubił siedzieć. Tyle że nie łąził w kółko jak Wawrzkowicz. Stał. Zresztą Bohun nie prosił go, by usiadł.

- Wehrmacht planuje natychmiastowe odsunięcie Hitlera i przejęcie władzy w Rzeszy. Od dłuższego czasu oficerowie ze specjalnie zakamuflowanych komórek są kontakcie wywiadowczym z armią brytyjską. Odwrócenie frontów, poprzez stworzenie Ligi Antykomunistycznej, wciąż jeszcze jest możliwe i dyskutuje się szanse tego projektu.

- To fantazje! - jęknął Ząb. - Brytyjczycy nie porzucą Stalina nie dlatego, że się go boją, ale dlatego, że są do bólu pragmatyczni.

- Czyżby? - irytująco ciepłym głosem zapytał Tom. - Wiem, że pan major widział brytyjskie wojsko od podszewki, ale zapewniam pana, że od tamtej pory wiele się zmieniło.

- Czyżby? - powtórzył Ząb, ruszając brwią.

- Panowie mi nie ufają. - Tom założył ręce za plecami. - Powiem tak: jutro przyjadą

oficerowie, z którymi dzisiaj rozmawialiście. I przekażą propozycję swoich przełożonych. A ona będzie zgodna z tym, co przed chwilą naświetliłem. Zaproponują udział w tajnej Lidze Antykomunistycznej, jako potwierdzenie deklaracji Brygady. Nie mam tylko pewności co do formy oferty. Przypuszczam, że będzie to coś w rodzaju sabotażu na tyłach Armii Czerwonej. Wiem, że montują samodzielne grupy spadochroniarzy dywersantów złożone z Czechów, Słowaków, zatem sądzę, że ich propozycja będzie mniej więcej taka.

- Dlaczego nie złożyli jej dzisiaj? - spytał Bohun.

- Bowiem nie byli wtajemniczeni w plany przełożonych. To byli tylko żołnierze, wysocy stopniem, ale żołnierze. Dlatego chcieli, by Brygada osłaniała Odrę i szła do walki. Zupaki, nic więcej.

- Takie same zupaki jak my - uśmiechnął się Ząb. - Proste, frontowe chłopy.

Kapitan Tom nie mylił się. Po wizycie „zupaków” z Kaubitz wszyscy trzej dowódcy Brygady nie potrzebowali więcej dowodów na to, że Tom wie więcej niż Oberstleutnant i reszta, z portretem Hitlera włącznie. Za cenę pięćdziesięciu ochotników na szkolenie spadochronowe i przyszły zrzut do Polski Brygada dostała pozwolenie na marsz przez Czechy.

Z jedynym warunkiem: omijanie wszystkich większych miejscowości i nieatakowanie pozycji niemieckich. Sprawę wyżywienia mieli załatwić bezpośrednio z Czechami.

- Będziecie zakładnikami, kapitanie Skalski, co do tego nie mamy wątpliwości - powiedział Ząb do adiutanta Bohuna, który zgodził się wziąć komendę nad szkoleniem skoczków. - Dlatego żołnierze muszą zgłosić się na ochotnika, a pan, rozmawiając z nimi, przedstawi im jasno sytuację. Skok do Polski to oficjalny powód szkolenia. Ale nie mamy pewności, jak będzie się zmieniała sytuacja i czy do skoku rzeczywiście dojdzie. Niemcy będą obstawali przy tym, by po przeszkoleniu z łączności zrzucić was na tyły Armii Czerwonej. Będą oczekiwali, iż wykonacie działania wywiadowcze i przekażecie im, poprzez drogi ustalone na kursie, informacje o ruchach i stanie Armii Czerwonej. Przypuszczam, iż w dalszej kolejności będą sobie roić także i działania dywersyjne. Ale prawda jest taka, że niezależnie od tego, w jaki sposób będą was przerzucali, zrobią to w małych grupach. Maksimum dziesięć osób, jak sądzę. Jeżeli do takiej grupy skoczków z Brygady dołączą dywersantów niemieckich, to będą to pojedyncze osoby. W tej sytuacji natychmiast po wylądowaniu pozbędziecie się ich. I wykonacie wyłącznie rozkazy otrzymane bezpośrednio od nas.

- Jakie to będą rozkazy?

- Skontaktowania się z dowództwem NSZ w kraju. Przekazania im wiadomości o

sytuacji i planach Brygady. Na miejscu, w czasie szkolenia, obejmie pan swoich ludzi żelazną dyscypliną. Nie przypuszczam, by ze strony Wehrmachtu cokolwiek wam groziło. Ale Gestapo, SS, SA - z nimi nigdy nic nie wiadomo. Zaczął się taniec na trupie Rzeszy. Myślą, że wciągną nas w tę grę. A my musimy tak tańczyć, by nie spaść z liny nad przepaścią. Zatem ochotnicy muszą dzisiaj wiedzieć tylko tyle, że decydują się na szkolenie i skok do Polski. Dopiero przed samym odlotem przekaze im pan właściwy cel misji. Mówię to dzisiaj, bo nie wiem, czy pozwolą nam spotkać się z wami przed odlotem. I jeszcze jedno. Dam panu kontakt do czeskiego ruchu oporu, ale proszę korzystać z niego tylko w nadzwyczajnych okolicznościach.

Skalski uśmiechnął się.

- Sądziłem, iż od dnia wymarszu z Polski jesteśmy w nieustających nadzwyczajnych okolicznościach.

Zdanowicz zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką. Skalski dopytał:

- Czy pan przewiduje, że w ramach kursu mogą chcieć nas wykończyć?

- Nie. Chcą was użyć w swej grze. W szukaniu ostatniego alibi, by ocalić głowy po kapitulacji Niemiec. Gdyby chcieli nas wykończyć, zrobiliby to teraz. Chociaż - Zdanowicz zawahał się - nie mamy pewności, co będzie jutro. Na ten moment wydaje nam się, iż kursanci skoczkowie są zakładnikami. Gdybyśmy, jako Brygada, zrobili coś, czego się nie spodziewają, wtedy tak, mogą chcieć was zlikwidować.

- Więc coś mi pozostaje, panie majorze? Muszę, choć podkomendny, prosić dowództwo, by Brygada była grzeczna.

- Będę się starał, kapitanie.

- Kolera jasny! - ryknął Harry, gdy Grzmot przekazał rozkaz, że ochotnicy na skok do Polski mają się zgłosić na szkolenie. - Pan porucznik Harry mógłby szkolić! RAF wygrał z Luftwaffe w niebie! Niemiec? Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!

- Ty masz się zgłosić do dowództwa Brygady osobno - uspokoił go Grzmot. Podrapał się po włochatej piersi. - Ja nie skaczę. Ja jestem bosman, nie jakaś podfruwajka.

- A ja bym chyba chciał - powiedział do Robercika i Bożeny Dzidziur. - A może wszyscy pójdziemy, co? Byśmy byli jak cichociemni!

- Ja mam lęk wysokości - przyznał się Robercik. - I rzygam nawet w pociągu, co dopiero w samolocie.

- Uspokójcie się, to nie zabawa. - Bożena przygładziła odrastające włosy i schowała je pod czapkę. - Wiecie, co ze skoczkami z Brygady zrobią Sowietci, jeśli wpadną w ich ręce?

- Oskórują - wyjaśnił Ryś, który włączył się niespodziewanie. - Ale ja bym skoczył,

żeby odnaleźć komendanta. Jak znam Żbika, to walczy. Nie to, co my. Idziemy, Niemców kupa, a nam nie wolno ich strzelać.

- Jeszcze sobie pan postrzela, panie plutonowy.

- Pani Bożena? - zaczepił wieczorem dziewczynę wysoki blondyn w mundurze kapitana. Szła właśnie do sanitariuszek. - Kapitan Tom - przedstawił się, trzymając ręce za plecami. - To pani szuka wiadomości o swym pochodzeniu?

- Skąd pan wie? - zmarszczyła nos niespokojnie.

- Zastępca dowódcy Brygady, major Jaxa, prosił mnie o uruchomienie wszelkich kontaktów w pani sprawie.

- Sprawdza mnie?

- Nie - uśmiechnął się ciepło Tom. - Ma pani oddanych przyjaciół w kompanii. Chcieli pomóc.

Robercik - domyśliła się Bożena - tylko on wie, że sobie nie radzę z własną głową.

- Ma pan coś dla mnie, panie kapitanie?

- Jestem na tropie, tak bym to nazwał. Zapraszam na krótką pogawędkę.

- Pan wybaczy - niespokojnie zabiło serce Bożeny. - Nie mogę, mam zaraz służbę.

- No to powiem wprost: zapraszam na szkolenie skoczków spadochronowych. Jeśli cokolwiek będzie można się o pani przeszłości dowiedzieć, podam to pani podczas szkolenia.

- To szantaż.

- Nie, pragmatyzm. Brygada lada dzień ruszy, a ja zostaję tutaj. Będę was, to znaczy skoczków, szkolił z łączności.

*

Lelków, gospodarstwo po rodzicach Jakuba. Luty 1945 roku

Zaniedbane podwórze przykrywa śnieg. Wybite szyby w kuchennym oknie. Jakub w kufajce zabezpiecza okna. Naprawia drzwi. Skaleczył się, z rozciętej dłoni leci krew.

- Ktoś pana szuka! - krzyczy sołtys Rzepecki pod płotem. Obok niego stoi okutana w chusty kobieta.

- Kto?! - wściekle pyta Jakub, próbując zatamować krwawienie.

- Sanitariuszka! - odzywa się kobieta i wchodzi na podwórze.

- Jagoda! - Jakub chce ją objąć, dziewczyna chwyta go za rozciętą rękę.

- Poczekaj, najpierw obowiązki. Rzepecki stoi i przygląda się.

Wieczór

Siedzą w płaszcach pod kołdrą w sypialni. Dziewczyna ma na głowie wełnianą czapkę. Nad nimi portret Floriana i Apolonii. Na stoliku obok łóżka pali się okrawek świecy.

- Jestem w ciąży - mówi Jagoda.

- No to będziemy mieli dziecko.

- Boję się, Jakubie. To zły czas na dziecko.

- Gadanie. Wojna niedługo się skończy.

- Jedną się skończy, ale czy nie zacznie się następna? Boję się. - Jagoda przytula się do Jakuba. Obejmuje ją tą zabandażowaną ręką.

- Poza tym ty masz dzieci, po siostrze.

- Już nie - kręci głową Jakub. - Fenix chce chłopaków usynowić. Przywiązał się do nich.

- Zgodziłeś się? - Jagoda odsuwa się od niego. - Jest dla nich obcy. Ty jesteś rodziną.

- To skomplikowane. Zgodziłem się. Wiesz co? Sprzedam gospodarstwo. Przeniesiemy się do miasta.

Dziewczyna przygląda się Jakubowi z niedowierzaniem. Naciąga czapkę na uszy.

- Zawsze chciałam mieszkać na wsi. Hodować kury, gęsi.

- Daj spokój, Jagoda. Przed wojną byłem nauczycielem, jak otworzą szkoły, znów mógłbym uczyć.

- Pan od matmy! W milicji dostaniesz lepszą pensję. I przyjmują już teraz. Nie moglibyśmy tu zostać? Podobają mi się.

- Nie mogę patrzeć na ten dom. - Jakub gwałtownie odrzuca kołdrę i wstaje z łóżka. - Tu zginęli moi rodzice, siostra!... Nienawidzę tej wsi i tych ludzi! - wyrzuca z siebie słowa, jak pociski. - Nienawidzę siebie w tym domu!...

Otwiera wielką szafę z dzielonym na trzy części lustrem. Wewnątrz wisi kilka sukienek. Jedną Poli, taką ładną, którą włożyła na pierwsze spotkanie z Werszihorą. Potrójne lustro odbija Jagodę siedzącą w łóżku, Jakuba i pustą przestrzeń ciemnego korytarza wiodącą do kuchni. Sukienka Poli buja się na wieszaku. Jakubem wstrząsa dreszcz, jakby widział wiszącą siostrę. Zamyka szafę kopniakiem. Siada na skraju łóżka. Jagoda łagodnie odwraca go w swoją stronę. Świeca dopaliła się. Gaśnie.

- Pola zawsze mówiła - szepce Jakub zduszonym głosem - że tu mieszkają tępą, ciemni chłopcy, i miała rację. Ona jedna miała rację. Matka i ojciec chcieli nieść kaganek, uczyć...uczyć... - zaczyna się na tym słowie nie to śmiechem, nie szlochem. - A Pola wiedziała, że to na nic... ciemni, tępą... Kurwa mać!...

Wrywa się z rąk Jagody. W półmroku pokoju w lustrze odbija się tylko zarys jego ciemnej sylwetki.

- To ja - powtarza głośniejszym głosem. - To ja ją zabiłem. Wepchnąłem ją w ramiona Werszihory,

a potem zostawiłem samą.

Jagoda cicho wstaje z łóżka. Wychodzi. Po chwili wraca z lampą naftową. Jakub odwraca się od lustra i przygląda dziewczynie ustawiającej lampę na stoliku. Jest zimno. Jagoda zaciera ręce, naciąga czapkę i wchodzi z powrotem do łóżka.

- Lelków - mówi, naciągając na siebie kołdrę. - Lelek kozodój. Znasz bajkę o lelku przynoszącym dusze? - pyta, unosząc na niego oczy. - Jedni umierają, drudzy się rodzą, a ptaszek kursuje z zaświatów na ziemię...

Jakub kładzie się obok niej, patrzy na czerwony z zimna nos dziewczyny.

- Może znajdziemy inną, lepszą wieś, co? I innego, lepszego Jakuba, niż ten, co w kółko gada o sobie. - Całuje ją w czoło.

- Mi wystarczy ten, którego znam. - Para leci jej z ust. Układa głowę na piersi Jakuba.
- Wiejski nauczyciel matmy i wiejska pielęgniarka. Ładnie, prawda?

- Przed chwilą chciałaś, żebym poszedł do milicji - poprawia jej poduszkę. - Zdecyduj się kobieto.

- Wszystko mi jedno, Jakub. Chcę tylko normalnie żyć.

*

Miejsce postoju Brygady. Początek lutego 1945 roku

Trzecia kompania przygotowuje się do drogi. Pogotowie marszowe wyznaczono na wczesny ranek. Dzidziur czyści broń, Robercik pakuje plecak.

- A ty co? - zaczepia Bożenę. - Nie szykujesz się?

- Robert - przysuwa się do niego dziewczyna. - Ja nie idę z wami.

- Co?!

Zamyka mu usta dłonią, nie chce, by ktoś słuchał.

- Zgłosiłam się na skoczka.

- Grzmot wie? Bożena kiwa głową.

- Dlaczego dopiero teraz mi mówisz?

- Nie chciałam, żebyś się martwił, że... że to przez ciebie. Ćśśś. Ten kapitan, który przyjechał ciężarówką, ten z wywiadu. Powiedział, że może znaleźć moje papiery, że wie, jak szukać.

- O rany, Bożka! Co ja narobiłem...

- Ćśśś. Dobrze się stało. Robert, jeśli nie wrócę z kraju do Brygady, albo jeśli Brygada nie przyjdzie z Andersem do kraju, znajdziemy się przez Czerwony Krzyż. Obiecuję ci. Muszę spróbować.

- A jeżeli ten kapitan nic się nie dowie i tylko cię wziął pod włos, żebyś poszła na

spadochroniarza?

- To nie skoczę. Wrócę do trzeciej kompanii. Przysięgam. No, nie becz. Przecież ty, Dzidziur i nasz oddział to jedyne życie, jakie przeżyłam naprawdę.

- To po cholerę?

- Chcę wiedzieć.

Marsz na Kotwitz, w stronę granicy czeskiej. Luty 1945 roku

Brygada w szybkim marszu zrównuje się z kolumną jeńców pędzonych w głąb Niemiec. Są obdarci, zmordowani.

- Wojsko Polskie? - pytają z niedowierzaniem.

- Brygada Świętokrzyska NSZ.

- Chryste! A wy dokąd?

- Na zachód. Polskę zajmują bolszewicy.

- Uciekacie?

- Nie! Chcemy dołączyć do Andersa.

- Uderzenie z zachodu?

- Tak!

Jeńcy odczekują, aż strażnicy przejdą dalej. I przeskakują ze swojej strony na ich. Dwusereg Brygady zręcznie zamyka się jak woda, w którą wpadnie kamień. Ale to za mało. Po szeregu jeńców wiadomość niesie się jak iskra.

- Skąd jesteście?

- Z Warszawy, z powstania.

- Akowcy?

- AK!

-...i NSZ! Mieliśmy dołączyć do zgrupowania pod Kielcami, nie zdążyliśmy.

- To my jesteśmy z tego zgrupowania.

- Jezu!

- Chryste!

- Poczekajcie, pojedę do dowódcy - mówi jeńcom kapitan Step. Oni wpatrują się w polskie mundury. W orły w koronie. Ryngraf. Łzy.

- Panie majorze. - Step dogania Zub-Zdanowicza. - Mogę na słówko?

Gdy Ząb odjeżdża na bok, Step wali prosto z mostu.

- Jest szczęście i jest problem.

Step wraca po dłuższej chwili, jego brodata twarz jest uśmiechnięta.

- Gotowi? - pyta jeńców.

- Tak jest, panie kapitanie! - szeptem powstańcza kolumna.

Trzy minuty później wóz taborowy Brygady wywraca się w poprzek drogi. Lecą toboły, tamują ruch. Porucznik Lampart drze się na Lalę, Lala drze się na porucznika, konie kwiczą, szeregi po obu stronach zablokowanej drogi stają. Kapitan Step manewruje koniem tak, że oddziela żandarmów od jeńców.

- Verfluchte Banditen! - spluwają dozorczy. Step rozkłada ręce. Lala krzyczy:

- Kurwa mać i danke schön! Wio!

Ponad stu jeńców znika w dwuszerogu Brygady. Żołnierze natychmiast narzucają im swoje płaszcze, robią miejsca. Gdy Lali udaje się okiełznać konie, a plutonowi Lamparta pozbierać bagaże, obie kolumny ruszają jakby nigdy nic.

- Skrzyżowanie dróg - idzie po dwóch kilometrach szept od czoła - jeńcy w lewo, Brygada w prawo.

Tym, którzy zostali na lewo, partyzanci przerzucają swój chleb.

Postój, sztab Brygady

- Zrobimy z nich osobny batalion.

- Powstańczy czy Znaleźny? - pyta Ząb.

- Proponuję „Poznański” - mówi Jaxa. - I w całości wcielmy tam tego dryblasa z Akcji Specjalnej, Gustawa.

- Pan go nie lubi?

- Przeciwnie. Po prostu uważam, iż w czasie marszu nie należy dowódców dociążać nowymi obowiązkami. Skoro Gustaw jest taki gieroj, że przyjechał do nas przez front...

- A więc pan go nie lubi - z satysfakcją przyznaje Ząb. - Ja też. Ale tylko za to, że jechał samochodem, podczas gdy my...

Sudety

Konie, które mają za sobą już przejście przez Góry Świętokrzyskie, z początku idą karnie. Łagodne podejścia nie robią na nich wrażenia.

Ale te kończą się po dniu forsownego marszu. - Bogu dzięki, że idziemy w dzień! - Bosman nasadził futrzaną czapę na łeb. - Po ciemku bym nie dał rady.

- Pan porucznik Harry wolałby tego nie widzieć.

Mają przewodników, czeskich górali. Ci, z małymi plecakami, w kożuszkach, śmigają jak kozice. Żołnierze z karabinami, w kiepskich butach, ślizgają się. Lala klnie na woźniców przed sobą:

- Patrz, kurwa, jak jedziesz i nie zajeżdżaj drogi, jołopie! Koniki mi płoszysz, kruszynki moje. Kasztanki grzeczne, partyzanci to łotry.

- S pluwa.

Przy ostrych podjazdach z wozów spadają skrzynie. Trzeba je łapać szybko, by nie poleciały w przepaść. Bohun zabrania obciążania wozów własnym ekwipunkiem. Zimno, szron osiada na brodach i wąsach. Oszczędza ich tylko śnieżycy, ale nikt nie mówi tego głośno, jakby się bali, że wywołają śnieg. Gdy docierają na kolejny szczyt i jest piętnaście minut przerwy, Grzmot odruchowo wyciąga machorcza. Jest tak zziębnięty, że zapomina go zapalić.

- Pięknie. Nigdy nie byłem w górach, a w tym roku już dwa razy - mówi wesoło Dzidziur, ale odpowiada mu cisza.

Myśleli, że najgorsze za nimi, jak weszli na szczyty. Ale najgorsze okazało się zejście. Musieli po czterech, na wąskiej drodze, przytrzymywać wozy, by się nie obsunęły. Lala klęła i waliła batem. Oczywiście, nie konie. Ci, co wcześniej chwalili się świetnymi, niemieckimi butami, podkuwanymi na całej podeszwie, teraz wyzywają.

- Pieprzone łyżwy!

- Nie krzycz na buty. Buty dobre, tylko że nie na śnieg.

Wreszcie zejście się kończy, choć wciąż mają wrażenie, że są w górach. Kwaterują ich w jakiejś wsi. Dzidziur i Robercik dostają przydział do starszej pani. Skromny dom z okrągłych drewnianych bali, ale w środku ciepło. Maminka nagotowała im wody, umyli się. Nakarmiła jakąś zupą, która była gorąca i tak dobra, że obaj, niczym wygłodniałe psy, jedli miskę za miską. W końcu zaprowadziła ich do izby, a tam czyste, ubrane w białą pościel łóżko.

- Nie - pokazuje Robercik na podłogę - nam wystarczy pościelić tutaj, łóżko nie.

- Mój syn mel take wsi, kdysz se wratil s wojny... - pogłaskała ich po głowie, jak dzieci.

Zawstydzili się, kiwnęli głowami. Maminka wyszła.

- Tęsknię za domem - pociągnął nosem Dzidziur.

- Ja też.

Klękali przy łóżku, żeby się pomodlić, gdy skończyli i się przeżegnali, zobaczyli, że maminka stoi w drzwiach z dodatkowym kocem. Stoi i płacze.

- Nemecko wzał syna na predni wschodni... ja newim. Jestli je naziwu?

- Na pewno żyje, proszę się nie martwić... - odpowiedział Robercik, choć myślał dokładnie na odwrót. Front wschodni, Boże! Pocałował maminkę w rękę. Co więcej mógł dla zapłakanej kobiety zrobić?

Rano czekało na nich śniadanie w kuchni. Gospodyni miała zaczerwienione oczy. Ze

spizarni przyniosła dwa węzelki jedzenia.

Szli dalej, w kierunku na Morawy. Znow spotykali wycofujące się niemieckie wojsko. Apatyczni, nieogoleni, często ranni. Jechali na wozach i było im wszystko jedno. Najczęściej spali, kolebiąc się rytmicznie. Jeśli któryś z nich się budził, patrzył na Brygadę zdumiony. Szli po dwóch stronach tej samej drogi, tyle że Brygada w szyku ubezpieczonym, w mundurach dopiętych na ostatni guzik, z bronią na ramieniu.

- Kapralu Ryś. - Grzmot maszerował na czele dawnej trzeciej kompanii. - Czy nie wydaje ci się, Rysiu, że po drugiej stronie szosy jedzie parę rzeczy, które by się nam przydały?

Ryś łypnął na niemieckie wozy.

- Ten kozuch.

- E, twój nie jest gorszy. Zapaść żurawia głębiej. Czy tam w koszu aby nie ma czegoś do jedzenia?

Wóz był ostatnim w kolumnie. Czterech Niemców spało na nim zwiniętych pod kozuchami. Woźnica nawet nie zaciął konia. Ryś zręcznie podsunął się do wozu i równie zręcznie wrócił z niego z dwoma plecakami.

- O! - pochwalił Grzmot, gdy zajrzeli do środka. - Papieroski, czekolada, chlebuś, kiełbasa!

- I mięso w puszcze. I kalesony.

- Kalesonów po Niemcu nie będę nosił! - Grzmot poruszył nosem.

- A ja chętnie, bosmanie, bo bosman zerknie, z metką, znaczy się nowe!

Gdy zapadł wczesny, lutowy zmrok, łasowali po innych wozach. Jednak nikt nie dorównał Cyganowi, który zwędził dwie skrzynki z pancerfaustami. Wszystkie łupy lądowały w wozach taborowych.

Za to powtarzanego w każdym rozkazie dziennym zakazu jakichkolwiek rekwizycji na ludności cywilnej przestrzegali surowo. To byli dla nich Czesi, prawie jak Polacy. Maminki i tatinki.

- Czeszki też niczego sobie, bardzo przyjemne.

- Czeszki? - wściekał się Harry. - Kapral Lisowski nie wie, co mówi. Tylko Polki są najpiękniejsze. Pan porucznik Harry po wojnie wróci się i ożeni.

- Ze wszystkimi?

Kolejnej nocy znow kwatrowali we wsi. Grzmot, Harry, Ryś i Szach pili z gospodarzem dobry sudecki bimber. Rano gospodarz zawołał ich do chlewni i pokazał cztery dorodne świniaki.

- Vezmete!
- Co? Świniaki chcesz dać, gospodarzu?
- Ano, vezmete!
- Naprawdę?
- Bolsewicy ne dal.

Lotnisko polowe. Połowa lutego 1945 roku

Siedmioro żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej idzie ze spadochronami w stronę samolotu. Heinkel He-111 grzeje silniki. Dołącza do nich major Jaxa.

- Czy Tom dawał wam jakieś specjalne rozkazy? - pyta.
- Nie - mówi pewnie porucznik Bogusław, dowódca grupy.
- Nikomu? - dopytuje Jaxa.
- Nikomu, panie majorze - potwierdza porucznik Rumba, zastępca dowódcy. - Chyba że Bożenie.

Kawałek dalej w samochodzie wojskowym siedzi Bożena i kapitan Tom. Słyszą głośny huk silników. Tom jednak nie unosi głosu.

- Brygada DyspozycyjnoZmotoryzowana „Koło”, zwana Grupą „Koło”, przed powstaniem to była Kompania Akademicka NSZ. Działała w ramach Grupy AKPółnoc. Obrona Starego Miasta. Twój brat miał pseudonim Litawor, więc ty byłaś Grażyną. Poczytaj kiedyś Mickiewicza, jak znajdziesz czas - dorzuca Tom, widząc, iż Bożena marszczy brwi.

- Jak go odnajdę?
- Nie wiem. Nie jestem cudotwórcą, Grażyno. Obiecałem, że odnajdę twoją tożsamość, ale nie mówiłem, że znajdę wszystkich. Twój brat był w kompanii saperów, ty w sanitarnej. To wszystko.
- Litawor - powtarza dziewczyna. - Litawor. Ile ma lat?
- Nie powiedziałem? To twój bliźniak.

Brat bliźniak, saper - gorączkowe emocje podchodzą dziewczynie do gardła - to dlatego czasami śniłam odwagę i wolność, za niego. A za siebie przygniatający lęk. Litawor był odważny i wyszedł. Szedł pod niebieskim niebem. Ja się bałam, skulona w piwnicy, z tymi ludźmi. Litawor! - Zaciska drobne pięści. - Znajdę cię. Twoja Grażyna nie jest już tchórzem.

Tom przekręca kluczyk w stacyjce i jedzie w stronę bombowca. Zatrzymuje auto. Dziewczyna bierze plecak ze spadochronem, wysiada.

- Dziękuje panu, kapitanie Tom.

Pod Heinkelem He-111 zbiórka. Bożena dołącza do oddziału. Salutują Jaxie,

zaczynają wchodzić na pokład. Podmuch powietrza zdmuchuje Bożenie czapkę. Major Jaxa patrzy na jej rude włosy.

- Grażyna! - krzyczy. - Grażyna!

Dziewczyna podnosi czapkę, znika w brzuchu bombowca.

Niewiasta, choć ją męska zbroja kryje.

Niewiasta z wdzięków, a bohater z ducha!

Ja się zemściłem, lecz ona nie żyje!

Rzekł, bieży na stos, upada na zwłokach, Ginie w płomieniach i dymu obłokach.

*

Teren dawnego poligonu niemieckiego, Rozstání, na północny wschód od Brna, Czechy. Połowa marca 1945 roku

Wyludniona wieś wśród lasów. Porzucone baraki koszarów. Brygada Świętokrzyska zajmuje kwatery.

Bohun, Jaxa i Ząb konno, w asyście patrolu. Przejeżdżają okolice poligonu. Patrzają przez lornetki.

- No i zostaliśmy internowani - ciężko oddychając, mówi pułkownik Bohun.

- Tak bym to rozumiał - potwierdza Ząb, patrząc na odległe o dwa kilometry umocnienia niemieckie.

- Ja też - mówi Jaxa, widząc z południa i zachodu zwarte obozy Wehrmachtu.

- Umarł w butach? - pyta adiutant Bohuna, rotmistrz Zaremba.

- Nie - odpowiada zdecydowanym głosem dowódca. - Czyja kolej?

- Moja - major Jaxa ma dzięki Bogu nieprzeniknioną twarz.

Praga. Połowa marca 1945 roku

Major Jaxa, ongiś komendant i założyciel Związku Jaszczurczego, został przewieziony na konferencję Ligii Antykomunistycznej w Pradze samochodem należącym do generała SS.

Nie tylko pozwolono, ale nawet zasugerowano mu, iż powinien być w mundurze. Gdy wraz z porucznikiem Wolfem, tłumaczem, wszedł na salę, zrozumiał dlaczego. I po raz pierwszy w życiu zaklął.

Oto za długim stołem konferencyjnym siedzieli:

Przedstawiciele rumuńskiej Żelaznej Gwardii, Garda de Fier, ubrani w zielone mundury z czarnym, poczwórnym krzyżem. Crucea Arhanghelului Mihail. Krzyż Świętego Michała Archanioła. Bezwzględni naziści, nacjonaści i antysemita, którzy jeszcze przed wojną zamordowali dwóch premierów Rumunii, by w 1940 objąć władzę i oddać kraj w

ramiona i władzę III Rzeszy. Czarnoocy i czarnowłosi niczym hrabia Drakula, pozdrowili go, wyciągając ramię i sycząc basem swe zawołanie:

- Ziemia i krew.

Przy nich towarzysze węgierscy. Strzałokrzyżowcy, Nyilaskeresztesek. Wyznawcy Ferenca Szálasiego z zielonym krzyżem na czerwonej fladze w białym kole. Twórcy idei chrześcijańskofaszystowskonacjonalistycznych, którzy wzięli władzę w bratnich Węgrzech i pokłonili się Adolfowi Hitlerowi. Złamane Strzały. To mają być potomkowie Hunów? Awarów? Błękitnoocy i kruczowłosi unoszą ramię w pozdrowieniu:

- Ébredj, Magyar!

Powstańcie, Węgry? - tłumaczy sobie Jaxa, komentując w myślach jednocześnie: - Narodowcy wszystkich krajów łączcie się w czułym uścisku swastyki. Chuj wam w dupę, zboczeńcy!

- Jeszcze Polska nie zginęła! - mówi głośno Jaxa, a w duchu dodaje: „A Hitler kaput”.

- Liga Antykomunistyczna cieszy się z przystąpienia Polski - wita go niemiecki generał.

- Narodowe Siły Zbrojne walczą z bolszewikami od 1939 roku. To znaczy, dwa lata wcześniej, nim przystąpiła do wojny III Rzesza - odpowiada Jaxa. - To my was, a nie wy nas, możemy uczyć, czym jest terror sowiecki.

- Proszę się nie unosić, majorze - osadza go generał. - Chętnie skorzystamy z waszych doświadczeń, bo nadszedł czas, gdy narodowe ugrupowania Europy Środka muszą stawić zdecydowany opór bolszewii.

- Owszem, lecz stan na dziś jest taki, iż koledzy rumuńscy i węgierscy oficjalnie znajdują się po stronie III Rzeszy, zaś Polska jest od niemal sześciu lat w stanie wojny z Niemcami.

- To tylko kwestia czasu, majorze - uśmiecha się generał. - Wasi zachodni alianci negocjują z nami antysowieckie porozumienia.

- Mam nadzieję - kłamie Jaxa - lecz jako żołnierz wypełniam rozkazy. To znaczy czekam, aż to, co mówi pan generał, usłyszę z Londynu.

- Chce pan powiedzieć, iż nie posiada kompetencji do podjęcia decyzji? - unosi się Niemiec.

- Przykro mi, generale, lecz ma pan całkowitą rację.

- Więc puściliśmy was przez granicę, a wy nie chcecie stanąć przeciw bolszewikom? - generał traci cierpliwość.

Jaxa odwrotnie, odnajduje ją. Czerpie koszmarną naukę z tego zgromadzenia. W

duchu wyklina wiele rzeczy, w które niedawno wierzył. Lży je i poniewiera. Wzywa imienia swego druha, Otmara, i ubliża mu od nacjonalistów, idiotów. Złamane strzały, poczwórny krzyż. Gdzie jesteś, Wawrzkowicz? Wyjąłbyś swoje listy Baldura von Schiracha i czułbyś się jak w domu, co, złamasie?

- Przeciwnie, panie generale, ubolewam, iż wciąż nie możemy nawiązać łączności z polskim rządem.

- To tylko wymówka, majorze! - piekli się Niemiec, a Drakule przytakują mu gniewnie.

- Proszę mnie zrozumieć, generale! - W Jaxie podnosi ogon jaszczurka. - Jestem żołnierzem. Czy pan chciałby działać wbrew swemu Führerowi? Nie? Otóż to. Ja także muszę czekać na rozkazy.

Jestem szańcem - trzyma się tej myśli. Dzięki temu spotkanie kończy się niczym.

Sztab Brygady, Rozstání, Czechy

- Panowie, siedzimy na beczce z prochem, paląc papierosy - powiedział Jaxa po powrocie. Bohun odruchowo zgasił swojego. - Działania Niemców są desperackie i dlatego śmiertelnie groźne. W ich dowództwie zwalczają się przeciwstawne frakcje. Jedni chcą zgładzić Hitlera i dogadać się z aliantami, inni zgładzić Hitlera, by nie dogadać się z aliantami.

- A jedni i drudzy wzajemnie straszą się Stalinem i udają, że nie pamiętają, iż to oni rozpętali wojnę.

- Gdzieś pośrodku tego siedzimy my i według informacji wywiadu brakuje nam jakieś pięćset, sześćset kilometrów, by przebić się przez front i dołączyć do 3 Armii generała Pattona.

- Z nasłuchu radiowego wynika, że Amerykanie w szybkim tempie dochodzą do Renu. To oznacza, że lada dzień zacznie się wyścig o Berlin.

- Nie sądzę, by Stalin dał sobie wydrzeć sukces. Choćby miał zmusić czerwonoarmistów do forsowania Odry wpław, zrobi to.

- Z tego samego powodu za kilka tygodni znów możemy mieć Sowietów na karku. Pragi też sobie nie odpuszczą.

- Dlatego cierpliwość Niemców wobec Brygady jest na wyczerpaniu. Musimy wymyślić coś nowego, co pozwoli nam uciec z Rozstání.

Za oknem poligon. Intensywne szkolenie żołnierzy Brygady. W czasie marszu przez Sudety i Czechy przybyło ponad dwustu nowych. Batalion Poznański.

- Jaki jest stan osobowy?

- Tysiąc dwustu żołnierzy. Jednostki niemieckie, które stacjonują wokół, szacujemy na dwa, trzy razy tyle, więc w starciu z nimi jesteśmy bez szans.

- Panowie - pułkownik Bohun podniósł głos - zdaje się, że mamy wizytację.

Z samochodu wysiada kilku oficerów Wehrmachtu.

Adiutant Bohuna nieznacznie oddala się w stronę ćwiczących na strzelnicy żołnierzy.

Ząb i Jaxa dołączają do oficerów niemieckich.

- Jak przebiega szkolenie Brygady? - pyta niemiecki major.

- Zgodnie z planem - odpowiada Ząb. Niemcy kierują się w stronę strzelnicy.

W oddali szeregowcy zdejmują portret Hitlera z tarczy do ćwiczeń i zakładają Stalina.

Oficerowie kiwają z zadowoleniem głowami.

- Kiedy będziecie gotowi? - pytają Bohuna.

- To musi potrwać. Sami panowie widzą, że większość naszej Brygady to niemal dzieci.

- Bez przesady! - unosi się Niemiec. - W Hitlerjugend szkolimy młodszych!

- Czekamy na rozkazy z Londynu - wchodzi w zdanie Zub-Zdanowicz. - Niestety, nie nadchodzą.

- To użycie naszej radiostacji!

- Majorze - Bohun udaje oburzenie - to wykluczone. Wzięto by nas za zdrajców.

- Aha.

- Ale gdybyśmy wysłali kurierów - podsuwa Jaxa. - Kurierów do rządu w Londynie...

- O tak, sprawa mogłaby ruszyć z miejsca.

- I do generała Andersa - dorzuca do puli Zdanowicz. - Panowie wiedzą, jakim jest wrogiem bolszewików...

- Na kurierów możemy się zgodzić - kiwa głową niemiecki major.

- Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że równolegle wyślecie do Polski wszystkie grupy skoczków dywersantów.

Baraki, w których stacjonuje trzecia kompania. Popołudnie

- Major SupStanowicz - salutuje Harry.

- Spocznij, poruczniku V. Tullet. Mam dla pana zadanie.

- Bojowe?

- Powiedzmy. Pójdzie pan na zachód, jako kurier Brygady.

- Dokąd?

- Do Naczelnego Wodza, generała Andersa. Dostanie pan papiery, które przepuszczą

pana przez front niemiecki, a dalej musi sobie pan radzić sam.

- A więc to rewanż za Ringway! - kiwa głową Harry. - Sąp SupStanowicz każe mi skakać na główkę do pustego basenu.

- Może pan odmówić.

- Mogę. Ale nie chcę.

Szopa na uboczu poligonu. Noc

Dowództwo Brygady i dwaj mężczyźni w cywilu.

- Kapitan Bohumil.

- Porucznik Ondra. Czeski ruch oporu.

- Panowie, potrzebujemy informacji o rozmieszczeniu wojsk niemieckich w stronę zachodnią.

- Chcecie opuścić Rozstání? - dziwi się Bohumil. - Szkoda, myśleliśmy, że pomożecie nam wyzwolić Pragę.

- Pragę? A jakimi siłami dysponuje czeskie podziemie?

- No, nie tak dużymi jak wy...

- Aha - rozumieją wszystko dowódcy.

- Ale w Pilźnie mam świetnie zorganizowane oddziały - rewanżuje się Ondra szybko.

- To się dobrze składa, bo my chcemy iść w stronę Pilzna. Pomóżcie nam wydostać się z Rozstání i robimy razem powstanie w Pilźnie.

- Na spokojnie, panowie, na spokojnie. Z tym powstaniem...

- Żartowaliście? - zasmucił się Ząb.

- Nie, nie. Ale bez pośpiechu. Amerykanie są za daleko. Trzeba się dobrze wstrzelić, tak w sam raz.

- Jak daleko stąd jest armia amerykańska? - szybko pyta Jaxa.

- Daleko! Może i sto kilometrów - mówi Ondra.

Sto? Tyle Brygada przeszła pod ostrzałem sowieckoniemieckim.

- Pomożecie nam wyjść z Rozstání?

Noc

Zub-Zdanowicz i Fala leżą na pryczy okryci jednym płaszczem. Patrzą w niewielkie okno. Na pękniętej szybie osiadł od środka szron. Fala unosi rękę. Dotyka palcem szyby.

- Myślisz, że kiedykolwiek wrócimy do Polski?

Ząb całuje ją w głowę. Nie odpowiada. Fala lekko skrobie szybę. Zadaje drugie pytanie:

- Myślisz, że wyjdziemy z tego żywi?

- Chcę być z tobą, póki śmierć... - odpowiada Ząb i odrywa dłoń

Fali od okna. Zakłada sobie jej ramiona na szyję. Całuje ją.

Na szybie, wydrapany w szronie, rozgrzany jej palcem, okrągły otwór, przez który widać noc.

Kościół pod wezwaniem Świętego Józefa, Domazlice. 2 kwietnia 1945 roku, dzień Zub-Zdanowicz i Fala w mundurach przed ołtarzem. Kapelan Mróz wiąże ich ręce białym płótnem.

-...ślubuję ci miłość i wierność...

-...póki śmierć...

Wychodzą z kościoła. Pusto. Pada deszcz. Fala odwiązuje Bogdankę. Jadą konno po grudach nie zaoranego pola. Ziemia paruje. Łoziny na jego obrzeżu pokrywa zieleń, jak mgła.

Rozstání. 12 kwietnia 1945 roku

Budynek sztabu Brygady. Fala, Hajduczek, sanitariuszki w rękach trzymają bukiety z zielonych gałęzi brzoź. Bohun, Jaxa, Ząb, kapitan Tom stoją na schodach.

Rzędzian wygląda na drogę. Woła:

- Jest! Naprawdę jest!

Na podjeździe staje niemiecki samochód. Wysiada kapitan Fuchs z SS. Podaje rękę wychudzonej kobiecie w skromnej garsonce. Ostre kwietniowe słońce. Kobieta mruży oczy. Gdy je otwiera, stoi przed nią pułkownik Bohun.

- Nie wierzyłam - szepce.

- Pani Cecylia...

Cecylia Mikołajczyk - żona Stanisława Mikołajczyka, premiera rządu londyńskiego. Więźniarka KL Auschwitz, później KL Ravensbrück.

Mikołajczykowa dotyka ryngrafu na piersi pułkownika. Dotyka orzelka na jego czapce. Na zapadniętych policzkach łzy. Fala zaciska palce na ręce Hajduczka. Obie patrzą na nogi premierowej. Piszczele obciągnięte skórą.

- Frau Mikołajczyk, jest pani wolna - mówi uroczyście Fuchs. Nadjeżdża drugi samochód. Czterech niemieckich majorów. Mikołajczykowa reaguje skuleniem ramion.

- Nic pani nie grozi - mówi Bohun, całując jej rękę. - Nasze sanitariuszki zaopiekują się panią.

Otacza ją ramieniem, prowadzi wolno, jakby niósł filiżankę napelnioną po brzegi.

- Panno Falu.

Dziewczyny zabierają Mikołajczykową. Niemcy i dowództwo wchodzi do środka.

- Daliśmy panom kolejny dowód naszej dobrej woli, uwalniając Frau Mikołajczyk z

Ravensbrück - mówi Fuchs.

Hauptsturmführer Paul Fuchs we własnej osobie. W końcu widzą go na własne oczy.

- Zresztą, to nie wszystko - wtrąca się major niemiecki - proponujemy uwolnienie z obozów koncentracyjnych działaczy NSZ. W zamian za rekrutację wśród więźniów.

- Rekrutację? - Ząb zaciska szczęki, wyobrażając sobie armię złożoną z ludzi chudych jak Mikołajczykowa.

- Do Ligi Antykomunistycznej.

- Aha. Nie widzę większego sensu w dalszym pobycie Brygady w Rozstání. - Zub-Zdanowicz był świetny w rolach cynicznych. - Z panów zgodą lub bez będziemy kontynuowali nasz marsz na Zachód.

Major się zagotował.

- Pan żartuje! Możemy was bez trudu zlikwidować w Rozstání!

- Spróbujcie - powiedział Bohun. - Skoro takie od początku były wasze zamiary, spróbujcie.

- Pan nam grozi?

- Nie, to wy grozicie nam. Ja tylko odpowiadam, że Brygada Świętokrzyska nie jest na przetarg. I że nie podda się bez walki.

Dwie godziny później

- Pogotowie marszowe!

- Pogotowie marszowe!

Gońcy biegną we wszystkie strony obozu.

- Kapitanie Tom!

- Słucham, majorze.

- Ciężarówka, oddział Akcji Specjalnej, niemieckie mundury, te pańskie szemrane papiery i jazda na rozpoznanie. Przypuszczamy, iż Niemcy nie przepuszczą nam tak łatwo i mogą zgotować nam krwawe pożegnanie.

- Zgadzam się z panem, majorze Jaxa.

Tom kłania się i odchodzi eleganckim, spokojnym krokiem. Dopiero gdy jest poza zasięgiem wzroku Jaxy, wyjmuje z kieszeni gwizdek. Na jego dźwięk zajeżdża ciężarówka. Tom nie spiesząc się, wydaje cicho kilka poleceń kierowcy, ten biegnie dokąś. W tym czasie kapitan wyjmuje z szoferki skrzynię. W środku kilka różnych tablic rejestracyjnych. Wybiera jedną, przykręca. Po dziesięciu minutach przed ciężarówką melduje się oddział do złudzenia przypominający Waffen SS. Wskakują na pakę i odjeżdżają.

Rotmistrz Zaremba i pułkownik Bohun.

- Dopóki będzie pan w niemieckiej strefie wpływów, proszę pokazywać to. - Bohun wręcza Zarembie glejt. - To potwierdzenie, że Niemcy wyrazili zgodę na pańską misję kurierską. Gdy tylko przedostanie się pan do aliantów, niech nic pana nie powstrzyma od dotarcia do rządu londyńskiego. Sprawa pani Mikołajczykowej to osobna rzecz i proszę zadbać, by jak najszybciej wiadomość o jej uwolnieniu dotarła do premiera. Niemcy mogą chcieć grać na jego uczuciach, musi wiedzieć, że żona jest bezpieczna.

- Naprawdę wychodzicie? - drapie się w głowę porucznik Ondra.

- Ruszamy w stronę Pilzna, więc sprawa powstania jest aktualna. W każdym razie z naszej strony - uśmiechnął się Ząb.

- O, z naszej też! Damy wam łącznika do Czeskiego Podziemnego Ruchu Oporu.

- Brzmi groźnie.

- Ano.

- Jest jeszcze jedna sprawa, o której musicie wiedzieć, zanim ruszycie w głąb Czech. - Kapitan Bohumil wydaje się zawstydzony. - U nas jest trochę inaczej niż u was.

- Kapitan chciał powiedzieć, że Czesi nie są tak przeciwni Armii Czerwonej jak wy - wyraził się wprost Ondra. - Po okupacji niemieckiej wielu ludzi wprost cieszy się na nadejście Rosjan.

- Och, Ondra! My, Polacy, też kochamy Rosjan, tylko bolszewii nie trawimy.

- No właśnie! - ucieszył się Bohumil. - I w tym rzecz. Potrzebujecie pomocy Czechów, kwatery, jedzenia, wiadoma rzecz. Jak będziecie przechodzić przez miasta, bądźcie po prostu mili i nie mówcie im, że Stalin to wróg. Po prostu, mówcie jak najmniej. Idziecie do swoich, a kto tam będzie wnikał, co i po co. Czesi lubią spokój.

- I piosenki - dorzucił Ondra do uwag operacyjnych. - Bardzo lubią, jak wojsko maszeruje i śpiewa takie wesołe, żywe piosenki.

*

Łosowo. Kwiecień 1945 roku

Furmanka zaprzężona w dwa konie. Na wozie trochę tobołów. Fenix powozi. Obok niego siedzi Arek i Felek. Wóz oddala się od Łosowa.

- Co będziemy robić w Warszawie, wujku? - pyta Arek. - Ciocia Krysią mówiła, że tam same gruzy, że to nie miejsce dla dzieci.

- Ech, Aruś! A gdzie dzisiaj jest miejsce dla dzieci?

- Zobacz, wujku! Zając! - przerywa Felek, pokazując uciekającego polem szaraka. - Zając! Zając!

- Wujku? - Arek drapie się za uchem. - A jak to się stało, że teraz Leon jest panem

majątku?

- Leon nie jest panem, jest towarzyszem, jak się okazało - splunął za siebie Fenix.

Po prawdzie, to pluli sobie obaj z Atamanem - w brodę, że przez tyle czasu się nie zorientowali. Psiakrew. Przyszła nowa władza, z manifestu PKWN, co to według Krysi „miał się u nas nie przyjąć”, a wraz z nią Leon wyszedł z obory, założył marynarkę i koszulę, i okazał się towarzyszem wszystkich towarzyszy. Rękę mu ściskali, całowali i gratulowali, że taka pepeerowska szycha się całą wojnę w spokoju uchowała. Chryste Panie! Fenix ma zgagę na samo wspomnienie! Prawie dwa lata siedzieli z bombą zegarową pod bokiem, nieświadomi jak cieleta! Leon zaś, czy raczej: towarzysz Leon, miał w głębi, za żłobem Fircyka, skrytkę, w której trzymał radiostację i bezpiecznie cały czas nadawał. Te jego kilkudniowe, przeciągające się wyprawy z buhajem nabrały od razu innego znaczenia, niż tylko rozplodowy. Leon, jak zrozumieli z suto zakrapianej kolacji powitalnej, którą wyprawił dla swych towarzyszy, koordynował zrzuty sowieckich skoczków. Jasny gwint! A oni tyle razy przy nim nie krępując się niczym, rozmawiali! Nawet jak Zacharewicz był... Jak to możliwe, że Leon udawał przygłupa, jebakę na kabłąkowatych nogach, takiego, co tylko Fircyka na krowę wsadzić potrafi? Wyglupili się, nie ma co. On, Dzidek Ataman, Zacharewicz. A na końcu jebaka Leon zachował się honorowo, o ile w tej sytuacji można mówić o honorze. Przejął Łosowo w imieniu nowej władzy, uściśnął rękę Dzidkowi i jemu, dziękując za uczciwą pracę. Powiedział: „Dbaliście po gospodarsku o majątek i naród jest wam wdzięczny, bo go teraz w jego ręce oddajecie”. Jednym słowem: do widzenia. Ale mógł ich wydać jako reakcjonistów? Mógł. Nie zrobił tego. Towarzyszom powiedział, że ekonom i zarządca bezpartyjni, z pańskim wojskiem nic wspólnego nie mieli. Tamta kolacja powitalna, oni z Dzidkiem skwaszeni, spięci, jak tu się zachować, gdy Leon wznosi toasty, a jego goście pluja na AK, NSZ i BCh? „Przyszło nowe! - krzyczą. - A stare wytępimy, żeby chwastem nie siało!”. Fenix uśmiechnął się wtedy polubownie i nieśmiało spytał: „A może by tak wszyscy razem? Kraj wielki, miejsca w nim starczy dla każdego”. Komunista spojrzał mu prosto w oczy i powiedział: „Jestem u siebie. Nie będzie mnie Żyd uczył, jak mam urządzić Ojczyznę”.

- Ja to bym chciał pojechać do Ameryki - mówi poważnie Arek i przerywa wątpliwe wspominki.

Fenix patrzy na niego zaskoczony.

- Skąd wiesz? Dzidek ci powiedział?

- Co, wujku?

- O Ameryce.

- Nie. Ja tylko tak sobie, zamarzyłem. Fenix śmieje się, targa czuprynę starszego.
- Słuchaj, kto wie? Mam tam rodzinę. W Ameryce, w Australii. Chcę się starać przez Czerwony Krzyż. No i chciałbym was ze sobą zabrać, chłopaki.
- W Ameryce są zabawki? - pyta mały Felek.
- I czekolada! - dodaje Arek. - Z UNRY. I wytwórnie filmowe! A ja mam talent aktorski, wujku!
- Czekolada - powtarza Felek. - Ja chcę do Ameryki.
- Ech, chłopaki! A gdzie dzisiaj jest lepsze miejsce dla dzieci? - Wesóło zacina konie batem Fenix.
- Przy rodzicach - odpowiada Arek. Fenix chrząka.
- No właśnie, chciałbym cię o coś spytać, Arusiu - drapie się po głowie. - O coś bardzo osobistego i trochę mi głupio, rozumiesz. Chciałbym cię spytać o twojego ojca...
- Arek patrzy na Fenixa poważnie, niemal karcąco. Kiwa głową i mówi:
- Ty mnie lepiej spytaj, wujku, o ojca Felka.

*

Marsz na Pilzno. 18 kwietnia 1945 roku

Poranek. Brygada Świętokrzyska rusza w marsz. Oddziałowi rozpoznawczemu zajeżdża drogę ciężarówka z napisem „Pracownicy rolni”, po czesku i niemiecku. Na niej kilkunastu mężczyzn, łopaty, grabie. Z szoferki wyskakuje kapitan Tom, ubrany w waciak. Zamienia kilka zdań z majorem Rusinem, wciska mu do ręki mapę i odjeżdża.

Major Rusin popędza konia i jedzie do dowództwa Brygady.

- Pułkownik! - melduje się. - Kapitan Tom ma dwie informacje.
- Proszę zacząć od tej dobrej - kiwa głową Bohun.
- Najprawdopodobniej oddziały liniowe na szpicy wojsk amerykańskich należą do 3 Armii generała Pattona. „Lew wojny i wróg Sowietów” tak miałem przekazać. A druga wiadomość jest spodziewana: Niemcy nie mają zamiaru wypuścić nas spokojnie z Rozstání. Zastawili zasadzkę na trasie przemarszu, w lesie pod miejscowością Tabor. Kapitan Tom sugeruje zmienić trasę.

Po chwili Brygada skręca w polną drogę na Drażyce. Gdy przemaszerowują przez wieś, śpiewają. Czesi wnoszą mleko, chleb, jaja i bimber.

- Kdymś walka skonczy? - pytają maminki.
- Dej pus!
- Polibek! - krzyczą dziewczyny i same ich całują.
- Jesteśmy pierwszym wojskiem, jakie widzą od czasu zajęcia Czech - mówi Bohun

do Zęba.

- Szczęściarze. Byli pod okupacją, ale chyba nie wiedzieli, czym jest wojna.

Kilka godzin później

Pościgówka Wehrmachtu, kilka ciężarówek z wojskiem. Jadą spod Taboru, szukając Brygady. Skręcają do Drażyc. Oficer wyskakuje z samochodu i zatrzymuje chłopów, tych samych, którzy wcześniej dali Polakom bimber.

- Szukamy dużej, polskiej jednostki wojskowej.

- Polskiej? Panie kapitanie - Czech zdejmuje czapkę - no jakże to tak? Przecież tu jest niemiecki protektorat!

- My na oczy nie widzieli wojska! - potakują maminki.

Trzecia kompania Bez Żbika, Tygrysa, Harry'ego i Bożeny. Robercik jęczy.

- Jezusie, myślałem, że najgorszy w życiu marsz to był pod Pilicą. A teraz każą nam wyciągać po czterdzieści kilometrów dziennie! Ledwie żyję...

- Czterdzieści to zrobiłeś godzinę temu, chłopie! - sapie bosman i odsuwa Bergmana, który kołysze mu się na szyi. - Chcesz postrzelać?

- Chcę, panie poruczniku!

- To nie marudź, idź!

- O rany, jak tu ładnie! - chwali Dzidziur wieczorem.

Pod nimi, w dolinie rozpościera się wieś jak z bajki. Kolorowe dachy, białe ściany, kwiaty. Jakby wojny nigdy nie było.

- Niech będzie pochwalony! - witają się, wchodząc na kwaterę. Maminka daje kartofle z masłem i zsiadłym mlekiem. Jej syn pokazuje miejsce do spania - podłoga w sporej stolarni. Siana ani słomy nie ma.

- Który tu dzisiaj ledwie żył? - pyta Grzmot, myszkując po „sypialni”.

- Ja, panie poruczniku! - przyznaje się Robercik. Bosman popycha go lekko za przepierzenie. - O Jezu! - krzyczy chłopak.

Cztery nowiutkie, pachnące drewnem trumny stoją wśród jasnych ostrużyn.

- Wieczny odpoczynek!

Všekary, 300 kilometrów od Rozstání. 28 kwietnia 1945 roku

Brygada w szyku marszowym wchodzi do miasteczka. Ludność wybiega przed domy. Dziewczyny rzucają kwiaty, maminki powiewają chusteczkami. Na placyku pośrodku wsi stoi dobosz i radośnie uderza w werbel. Obok niego śliczna dziewczyna z flagą amerykańską i druga z transparentem:

VÍTEJTE AMERIČANY!

Chłop biegnie do dobosza i dziewcząt, machając rękami i krzycząc:

- To nie Amerykanie! Nie Amerykanie!

Dziewczęta szybko wyjmują drugi transparent i czerwoną flagę z sierpem i młotem.

Dobosz wali w werbel.

VÍTEJTE RUSY!

Maminki machają radośnie. Tatinki przyglądają im się nieufnie. W końcu któryś mówi:

- To nie Rosjanie!

A piękna blondyneczka woła:

- To Polacy!

Komitet powitalny natychmiast znajduje białoczerwoną flagę i transparent:

VÍTEJTE POLÁCI!

- Ile ich jeszcze mają? - pyta major Jaxa.

Miejsce postoju Brygady, okolice miasteczka Všekary

Wokół obozu wysunięte posterunki wartownicze. Oddziały zwiadowcze konno ruszają na patrole. Porucznik Wolf, tłumacz, wraz z kapralem Igłą, w cywilnych, porządnym ubraniach, wsiadają na rowery i jadą polną drogą. Sanitariuszki krążą z opatrunkami, forsowne marsze wykończyły nogi żołnierzy. Parują kuchnie polowe. Bosman Grzmot usiłuje poderwać grochówkę.

W kwaterze dowództwa goście. Czeski Podziemny Ruch Oporu.

- Kapitan Tonda.

- Kapitan Honza. Gratulujemy wojska, panie pułkowniku! - ściska rękę Bohuna Honza.

- Dziękuję, kapitanie. Jesteśmy trzydzieści kilometrów od Pilzna.

- Bohun patrzy na mapę.

- Trzydzieści dwa.

- Kiedy powstanie? - przeszedł do rzeczy Zub-Zdanowicz.

- Jeszcze nie teraz - pokręcił głową zafrasowany kapitan Honza.

- Za wcześniej.

- Ależ panowie! Sowieci postępują szybko, wojna może się skończyć za dziesięć dni!

- O, pułkowniku, wojna może się skończyć i za dwa, ale na powstanie za wcześniej.

- Bo Amerykanie za daleko - wyjaśnił kapitan Tonda. - 3 Armia generała Pattona ledwie przeszła Ren.

- Nie, Tonda, Ren przeszli miesiąc temu - poprawił go kolega - teraz są w zagłębiu

Ruhry, ale to też kawał drogi.

Zdanowicz, Jaxa i Bohun popatrzyli na siebie, nie wierząc.

- Bo my uważamy, że powstanie to jest niebezpieczna rzecz - wyjaśnił kapitan Tonda.
- Słyszeliśmy, co Niemcy zrobili w Warszawie, i za wszelką cenę chcemy uniknąć zniszczeń.
- Rozumiemy was, ale jeśli będziecie tak zwlekać, to Pilzno wam zdobędą Sowieci.
- Wolelibyśmy nie.
- No to skorzystajcie z naszej propozycji i...
- Nie, nie. Nie ma takiej potrzeby. Wy, Polacy, jesteście w gorącej wodzie kąpani.

Poczekamy na Amerykanów.

- Nie gniewajcie się, przyjaciele - spokojnie, koncyliacyjnie zaczął Bohun, pokazując Zębowi, by raczej milczał. - Ale wobec tego nie możemy czekać tu razem z wami. Ruszymy dalej.

- Tu, w pobliżu, jest obóz koncentracyjny Holýšov - powiedział Tonda. - Wydaje nam się, że Niemcy...

Rozmowę przerywają odgłosy strzałów gdzieś z krańca obozu.

- Wszystko w porządku - melduje major Rusin po chwili - dwie ciężarówki z żołnierzami Wehrmachtu wycofywały się. Wjechali do wsi i postrzelali się trochę. Uciekli.

- Widzicie, panowie? - mówi Ząb do Tondy i Honzy. - Niemcy naprawdę nie chcą już walczyć. To najlepszy moment, by wyzwolić Pilzno.

- Przeciwnie! Oni strzelali! - protestuje Honza.

Miasteczko Bischofsteinitz, 16 kilometrów od miejsca postoju Brygady we Všekary

Na ulicach miasteczka ruch. Pełno niemieckiego wojska w nerwowym oczekiwaniu. Motory grzeją silniki. Z okna jednego z domów zwiesza się transparent z nieudolnie namalowaną swastyką i powitaniem „Vítejte Němce”. Po drugiej stronie ulicy duży budynek, wyglądający na szkołę. Na nim tablica „Hauptquartier der Wehrmacht”.

Porucznik Wolf i kapral Igła wjeżdżają do miasteczka na rowerach, są w cywilu. Nikt ich nie zatrzymuje, nikt o nic nie pyta. Zostawiają rowery pod gospodą. Poprawiają rewolwery ukryte pod marynarkami.

- Igła. Wóz albo przewóz. Mam przecucie, że to mój dobry dzień. Pilnuj rowerów i z nikim nie gadaj. Jeśli nie wyjdę za pół godziny, pedałuj do Brygady i wypij za mnie „wieczny odpoczynek”.

- Tak jest!

Wolf zdecydowanym, pewnym siebie krokiem wchodzi do „Hauptquartier der

Wehrmacht”.

- Heil Hitler! - krzyczy Wolf nienaganną niemczyzną i podsuwa wartownikowi pod nos wyjęte z kieszeni papiery. Ten puszcza go z szacunkiem. Drugi wartownik to samo. Nie tracąc pewności siebie, Wolf wchodzi do kancelarii i przedstawia się:

- Sonderbeauftragter agent der Aufklärungskommando 202!

- Czym mogę służyć? - pyta sekretarka, najwyraźniej Czeszka.

- Chcę natychmiast rozmawiać z szefem sztabu. Sprawa tajna.

W tej jednak chwili, gdy słodka Czeszka już otworzyła drzwi do gabinetu obok, do kancelarii wszedł starszy sierżant sztabowy.

- Pan do mnie? - spytał.

- Sonderbeauftragter agent der Aufklärungskommando 202 Wolf do szefa sztabu! - wyrecytował beczelnie Wolf i podsunął sierżantowi swe papiery. Papiery były ostatnim arcydziełem kapitana Toma, zanim zniknął z Brygady.

Sierżant wsadził nos w papiery i cyknął.

- Dziwne. Nie słyszałem o Aufklärungskommando 202.

- Bo to tajna jednostka. Zakamuflowana w strukturach - zniecierpliwionym głosem szczechnął Wolf. Lubił udawać esesmana, gestapowca i tajnego agenta.

- Jorge - odezwał się z wnętrza gabinetu starszy głos - przyprowadź gościa do mnie.

- Tak jest, panie majorze! - strzelił obcasami Jorge, sierżant sztabowy.

Za biurkiem siedział elegancki mężczyzna około sześćdziesiątki.

- Słucham pana?

- Nasza rozmowa ma charakter poufny. Sonderbeauftragter agent der Aufklärungskommando 202 Wolf. Heil Hitler!

- Heil Hitler - machnął ręką major, jakby gonił muchę. - Wyjdź, Jorge, i zamknij drzwi.

- Moja jednostka przygotowuje się do dywersji na pierwszej linii armii amerykańskiej - oznajmił specagent Wolf. - Zrzucono nas ze spadochronów dzisiejszej nocy. Misja poufna. Musimy zadbać o kontakt z Amerykanami, zanim dotrą do nich agenci sowieccy przebrani w niemieckie mundury - szedł na całość kapitan.

- O tak! - westchnął major. - Koniaczku?

- Jestem na służbie - oburzył się Wolf - ale skoro pan nalega.

- O tak! - powtórzył major, gdy unieśli kieliszki w górę. - Obyście zdążyli. Wie pan, panie Wolfram, ja jestem oficerem rezerwy, profesorem Heidelbergu. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, co by było, gdybyśmy musieli poddać się Armii Czerwonej.

- W tym rzecz, profesorze majorze! W tym rzecz! Widzę, że rozumie pan istotę mojej misji. Zatem, nie uchybiając pańskiej gościnności, proszę o podanie mi pozycji naszych wojsk, tak abym mógł pokierować Amerykanami, rozumie pan?

- Rozumiem! - Profesor zrobił dłonią ruch przypominający rybi ogon lub nawet węgorza.

Po czym wziął mapę taktyczną i pokazał, gdzie stacjonują jednostki niemieckie i w jakiej są sile. Uwagę podporucznika przykuło szczególnie rozmieszczenie artylerii i dział przeciwlotniczych Flak AchtAcht.

- Mógłbym? - Wolf przesunął mapę do siebie i złożył na pół. Pomyślał, że jeśli to mu się uda, przebije Zub-Zdanowicza i Wersihorę.

- Mam tylko jedną - westchnął major.

- To może - nie rezygnował podporucznik - przeniosę po prostu pozycje na moją mapę. Dla niepoznaki wyposażono nas w turystyczne - mrugnął do majora i wyjął mapę.

- Pan pozwoli - wyciągnął rękę gospodarz. - Nie mówiłem, że jestem profesorem?

- Mówił pan - niepewnie oddał mu mapę Wolf.

- Profesorem rysunku - uśmiechnął się major i sięgnął po komplet kolorowych ołówków.

Kwatera sztabu Brygady. Trzy godziny później

- Ja byłem po prostu bezczelny - ściska rękę Wolfa Ząb - ale pan, kolego, jest wirtuozem! Stawiam panu whiskey i gumę do żucia.

- Świetnie, bo się zmordowałem - rozgościł się Wolf.

- No, nie teraz! Jak dołączymy do Amerykanów. - Wyszczерzył zęby dowódca.

- Nie było nam do śmiechu, gdy wracaliśmy: dwóch cywili na rowerach, droga pusta, nad nami dwa brytyjskie MosquitoFighter. Zniżyły lot i siały do nas seria po serii. Tadatadadam. Wskoczyliśmy z Igłą do rowu...

- Dobrze, że nie w stóg.

- Nie było - machnął ręką wirtuoz.

Noc

Otwarte okna kwatery. Słowik. Dalekie nawoływanie wart. Zdanowicz siedzi przy stole i pisze. Fala podchodzi do niego na boso.

- Idziesz spać? - pyta czule.

Zub-Zdanowicz odwraca do niej twarz. Jest spocona.

- Nie - mówi krótko i wraca do papierów.

Kopia mapy profesora Heidelbergu z wykazem niemieckich pozycji, zaminowań i

celów do bombardowania przez lotnictwo alianckie. Meldunek do generała Pattona informujący o datach, kierunkach posunięć Brygady i celach bojowych, zaczynający się od jutra. W obecnej sytuacji ten scenariusz wydał się Zdanowiczowi jedynym sensownym: rozpocząć z Všekear działania bojowe na tyłach XIII Armii niemieckiej, aby odciąć jej zaopatrzenie frontowe dla oddziałów pod Bischofsteinitz. Na końcu major dołącza do tego długi, osobisty list do amerykańskiego dowódcy.

Ranek, 30 kwietnia

Wolf zatrzymuje samochód przed kwaterą sztabu, wysiada. Widzi w otwartym oknie Zub-Zdanowicza, który kończy składać papiery.

- Melduję, że XIII Armia niemiecka zatrzymała 3 Armię amerykańską pod Bischofsteinitz. Amerykanie przegrupowują się.

- Dziękuję, wirtuozie.

Z kwatery wyszedł Bohun i Jaxa. Zub-Zdanowicz pokazał im teczkę.

- Zrobione. Wysyłamy pełen meldunek do Amerykanów. Sygnałem, że go odebrali i potraktowali nas poważnie, będzie bombardowanie fabryki amunicji w Holýšov. My powinniśmy zgodnie z tym, co przekazałem aliantom, zacząć od dywersji na drogach linii BischofsteinitzStankovHolýšov.

- Od kiedy? - pyta Jaxa.

- Od dziś.

- Pogotowie bojowe!

- Pogotowie bojowe!

Robercik i Dzidziur wyskakują z kwatery i rzucają się sobie na szyję. Bosman grzmi i całuje Bergmana. Sanitariuszki z torbami na ramieniu stoją w dwuseregach przed sztabem. Kapitan Step jedzie konno przez obóz, śmiejąc się. Zdanowicz i Bohun patrzą na radość Brygady. Jaxa staje za ich plecami i mówi:

- Aż żal, że nie ma z nami kapitana Żbika.

Bataliony wymaszerowują z obozu. Dawna Legia Nadwiślańska śpiewa:

- Za wrzesień, za Katyń,

- Za krew, za bój

Zapłaci Cichego piechota.

- Od Pogwizdowa minęło dziesięć tygodni. Dziesięć tygodni bez poważnej walki - mówi Ząb. - Sukces tu obecnego dowództwa nie w tym, że wyłgaliśmy się Niemcom, ale w tym, że utrzymaliśmy w karności Brygadę przez tak długi czas bez walki.

Podporucznik Wolf z dwoma Czechami leży w lesie i przez lornetkę obserwuje obóz

koncentracyjny Holýšov. Widzą Niemców grodzących drutem kolczastym stojący osobno barak. Widzą ciężarówkę, która przywiozła beczki z benzyną.

Brygada zajmuje stanowiska na pagórkach i w opuszczonych rowach przeciwniczych wokół wyznaczonych dróg. Wchodzi w las. Każdy z batalionów kryje inną drogę. Ustawiają gniazda cekaemów. Czekają. Bosman Grzmot podnosi głowę. Patrzy w korony drzew prześwietlone wiosennym słońcem. Szepce:

- Miasta wasze, lasy nasze!...
- Szeffie - syczy do niego plutonowy Ryś.

Na drodze pojawiają się ciężarówki Wehrmachtu.

- Ognia! - drze się bosman głośniej niż erkaem.

*

Kwaterna sztabu Brygady. 4 maja 1945 roku

Trzech tatinków zdejmując grzecznie czapki, wchodzi do środka. Prowadzi ich Rzędzian.

- Panie komendancie, tutejsi z jakąś ponoć pilną sprawą.
- Prosimy.
- My w sprawie tego obozu - skromnie mówi najstarszy z Czechów.
- Obozu koncentracyjnego - dodaje drugi.
- Tak, wiemy - kiwa głową Bohun. - Bądźcie spokojni, to już tylko kwestia godzin.

Czesi patrzą po sobie skonfundowani.

- Ale panie generale... na „tak” czy na „nie”?
- Bo nam kapitan Tonda powiedział, że wojsko polskie chce ten obóz wyzwalać.
- Oczywiście - przytaknął Bohun, a Zdanowicz szepnął:
- Czeski Podziemny Ruch Oporu. Nie mają w nazwie „konspiracyjny”.
- No właśnie, my w tej sprawie, panie generale...
- Pułkownik - grzecznie poprawił Bohun.
- ...żeby nie wyzwalać. - Kiwnęli głowami wszyscy trzej.
- Co?!
- Nie wyzwalać - śmieiej powiedzieli Czesi. - No bo po co?
- Po co to się spieszyć? Jak zaraz tu będą Amerykany, albo Sowiety, albo inne ogólne

wyzwalanie? To po co się tak wrywać?

- Represje - syknął najstarszy. - Niemieckie represje spadną na Holýšov.
- Chryste, trzymajcie mnie! - jęknął Ząb i wyszedł. Owiało go chłodne powietrze i mógł sobie ulżyć.

- Pieprzone Pepiczki! A żeby was...!

Życzenie, jakie miał dla Czechów, przerwała rytmiczna kanonada bomb. Świst i głucho uderzenia. Świst i uderzenia.

- Nalot dywanowy! - krzyknął. - Amerykanie dostali nasze meldunki!

Obóz koncentracyjny Holýšov. 5 maja 1945 roku

Piętrowy barak służbowy. Na drewnianych stopniach równo stukają obcas. Cztery kobiety w czarnych uniformach schodzą w dół. Chwila ciszy. Śmiech. Znów stuk, tym razem nierówny. Zakończony seledynowym pomponem klapki na niewielkim, zgrabnym obcasie. Skraj jedwabnego szlafroka. Za nimi klapki błękitne.

- Ach! - Obcas przekręca się i kobieta seksownym pluśnięciem opada na pośladek. Śmiech.

- Guten Morgen! - dźwięczny głos właścicielki błękitnych bucików i ona sama, w liliowym szlafroku z falbankami. Jasne włosy przewiązane jedwabną chustką. Ślad wczorajszego makijażu.

- Frau Inga! - wita ją męski głos.

Przy długim stole siedzi jedenastu mężczyzn w mundurach, cztery kobiety w uniformach i jedna w seledynowym szlafroku. Frau Inga jest siedemnasta, spóźniona.

- Pan wybaczy, komendancie! Przez ten nalot całą noc nie mogłam spać! - Gdy Frau Inga mówi „spać”, mężczyźni przy stole sztywnieją.

- Jednak na obiad wypadałoby się ubrać - kontruje postawna brunetka w mundurze.

Wzgórze na północ od obozu

Dawna trzecia kompania wspina się na nierówną wzniosłość. Siąpi drobny majowy deszcz. Gliniasta ziemia lepi się do butów. Zalesione wzgórze poszarpane jest lejami po wczorajszym nalocie. W powietrzu wciąż unosi się zapach prochu.

- Czujecie? - szepce Ryś, a nozdrza mu drgają.

Zajmują pozycje. Las dochodzi do szosy. Za nią wysokie podwójne ogrodzenie obozu. Ze wzgórza mają świetny widok na cały jego teren. Obóz okala coś w rodzaju fosy, głęboki rów melioracyjny, a może naturalny strumień?

- Pilica przy tym to ocean - drapie się po piersi Grzmot.

Do środka prowadzi jeden wąski mostek. Wieżyczki strażników obstawione.

- Niby tak - mówi Ryś. - Ale wystarczy, że gruchną z cekaemów na most i, kurwa, Termopile.

- Co?! - dziwi się Grzmot.

W niebo szybuje zielona rakietka.

- Ognia! - ryczy bosman i w dupie ma zagadki Rysia.

- Och mein Gott! - Podrywa się Frau Inga, gdy do jadalni wpadają żołnierze w mundurach khaki. - Amerikaner! - Rozkłada ręce jak Bette Davis w filmie W niewoli uczuć.

Na zewnątrz słysząc broń maszynową. Ale tylko przez chwilę.

- Raus! - krzyczy brodaty, smukły żołnierz, przystawiając Frau Indze lufę do pleców.

Ona odwraca się do niego wdzięcznie, wydyma usta, robi złęknięte oczy i mówi:

- Miau...

Lecz on albo nie ma klasy, albo nie zna kina, bo uderza ją lufą w głowę, krzycząc:

- Nie chce mi się z tobą gadać!

Trzecia kompania dostrzeliwuje niedobitki strażników. Robercik i Dzidziur biegną wzdłuż drutów.

- Melduję, że ogrodzenie czyste!

- Puść saperów.

Na placu otoczona przez sześć setek żołnierzy Brygady załoga. Około dwustu ludzi. Esesmani, strażnicy i kobiety w mundurach.

- Panie pułkowniku! - kapitan Step saltuje przed Bohunem. - Opór stłumiony. Są ranni wśród Niemców.

W tej samej chwili wybucha szamotanina między esesmankami a pilnującymi. Grzmot opędza się od kobiet, które atakują go gołymi rękami.

- Ryś! Ryś, ratuj! Weź te baby ode mnie!

Ale plutonowy broni się przed pazurami tak samo jak wódz. Robercik nie zastanawiając się, uderza wysoką blondynkę w szlafroku kolbą karabinu.

Z baraków nieśmiało wychodzą kobiety. Cienie w pasiakach skradają się w lęku, że to, co widzą, jest kolejnym z głodowych majaków. Iluzją ogłupiałego umysłu. Są niczym wylęknięte, dzikie koty.

- Otwórzcie pozostałe baraki - mówi Bohun.

- Polacy? - szepcą po polsku cienie. - Polacy?...

- Polonais? - jak echo po francusku wtórują im drugie.

Wychodzą na światło. Majowe słońce po deszczu. Parująca ziemia. To nic, że paruje smrodem. Są jak kłącza traw, co rosły pod kamieniem. Błede. Niepewne. Wiotkie.

- Polacy?

- Polonais?

Suną cichym, szaroniebieskim korowodem. Ludzki wąż wysuwający się niepewnie przez otwarte drzwi. Dopadający zielonych mundurów. Ubłoconych oficerek. Rąk.

Karabinów.

- Polacy? Polonais?

Oczy w zapadniętych lejach oczodołów. Sine usta. Bezbarwne dłonie oplatające ich dłonie. Łzy, niczym śluz, płynące z otwartych szeroko oczu. I wyprężają się krąg po kręgu kręgosłupy i zrywają czapki z ogolonych głów.

- Jeszcze Polska nie zginęła

- Allons enfants de la Patrie

- Póki my żyjemy

- le jour de gloire est arrivé

- Panie pułkowniku - dotyka ramienia Bohuna Step. - To chyba te baraki, o których mówił Wolf. - Wskazuje na stojące osobno, otoczone drutem kolczastym.

Przez mostek do lasu żołnierze wynoszą rannych strażników i esesmanów. Fala zakłada włosy za ucho.

- Tylko Niemcy? - pyta.

- Tak. Z naszej strony żadnych strat.

- A...?

Szeregowy kręci głową.

- Nie powinna pani tam iść. - Ociera rękawem łzy. Kładzie rannego przy stopach Fali.
- To zwierzęta - mówi, pociągając nosem. Kapral SS ma przestrzelony bark. Mruga nerwowo. Jest błąd. Maria PorayWybranowska przyklęka przy nim i otwiera torbę.

- Ja... ja... ja nie jestem Niemcem - wyrzuca z siebie słowa ranny.

- Jestem Austriakiem i musiałem... wykonywałem rozkazy...

Fala wyjmuje z torby bandaż i nożyczki. Przez chwilę trzyma je w dłoni. Są ostre.

- Ja musiałem. Nie chciałem tu być... rozkazy...

- Ja też - odpowiada Fala i zakłada mu opatrunek.

Wokół baraków czuć ostrą woń benzyny. Beczki po niej stoją tuż obok. Oba baraki otoczone są podwójnymi zasiekami z drutu kolczastego.

- Kurwa! - odskakuje Step. - Pod napięciem!

- Przyprowadź komendanta - prosi Bohun i po chwili żołnierze ciągną skurczonego, okrągłego człowieczka.

- Jestem tu od kilku dni - jęka - tylko od kilku dni, może pan sprawdzić w aktach.

- Nie rozumiem po niemiecku - mówi Bohun. - Wyłącz prąd i otwórz bramę.

Pistolet przy jego skroni trzyma Step.

Drewniane drzwi są zaryglowane od zewnątrz. Żołnierze ze zgrzytem podnoszą

żelazne zasuwę. Odskakują.

Z baraku najpierw wylewa się rzeka ludzkich odchodów. Potem jęk. Na czworakach wypelzają ludzie. Szkielety obciążone brunatną skórą, pokryte lepka mazią wydzielin. Dopadają rąk i nóg Bohuna. Oblepiają go.

- Skąd jesteście?

- Jude...

Miasteczko Holýšov. W tym samym czasie

Druga część sił Brygady otacza miasteczko pod dowództwem Zub-Zdanowicza. Wszystkie drogi wjazdowe blokują potężne zapory przeciwczołgowe i kozły z drutu kolczastego.

Obserwują żandarmów niespokojnie krzątających się na posterunkach. Niemcy co rusz patrzą w niebo. Ząb wyczekuje, aż jego ludzie zajmą stanowiska. Przez lornetkę spokojnie lustruje punkt po punkcie. Bierze wdech i krzyczy:

- Ognia!

Kompania po kompanii, wpadają punktowo. Ludność natychmiast znika w głąbi domów. W bramach kryją się żandarmi, nieliczni żołnierze Wehrmachtu i najzjadlej broniący miasteczka - oddziały Volksturm. Młodzi chłopcy, starsi mężczyźni. Wyposażeni w broń maszynową, pancerfausty. Walka od bramy do bramy. Od ulicy do ulicy.

Obóz koncentracyjny Holýšov

Marsylianka miesza się z Mazurkiem Dąbrowskiego. Kobiety w pasiakach wrywają bruk. Rzucają kamienie na głowy esesmanów i esesmanek. Wrywają deski z drzwi baraków. W ludzkie cienie wstąpiła energia. Plują i rwą za włosy niedawnych katów. Major Rusin nadjeżdża konno.

- Chłopcy! Nie pozwalajcie na to dłużej! To są jeńcy wojenni! Niemka w seledynowym jedwabnym szlafroku wpada w błoto.

Więźniarki chwytają ją za włosy i ciągną po bruku.

- Mein Gott! - krzyczy.

- Panie majorze! - Grzmot trzyma palec na spuście karabinu. - Czuwamy.

- Jak, kurwa, czuwacie, skoro tu odchodzi jakiś samosąd! - krzyczy Rusin.

- Majorze! - Bosman staje okrakiem. - Tym kobietom za lata męki coś się chyba należy! Żaden sąd nie da im prawa zemsty! Da im tylko pieprzoną, szlachetną sprawiedliwość!

Wrzeszczące kapo otacza siny krąg widmowych Żydówek. Jakby nagle uniosła się zimna mgła.

W Holýšov uwolniono około tysiąca kobiet. 400 Francuzek, 167 Polek, 280 Żydówek. Pozostałe więźniarki były narodowości ukraińskiej, rosyjskiej, węgierskiej, belgijskiej, angielskiej i holenderskiej. Wszystkie wcześniej były w KL Ravensbrück. Zeznania komendanta obozu i strażników potwierdziły wiadomości dostarczone przez wywiad: baraki z Żydówkami były przygotowane do podpalenia w chwili amerykańskiego ataku.

Miasteczko Holýšov. Noc

Ostatnie strzały. Na rynku otoczona przez żołnierzy Brygady kolumna jeńców. Jednak w ciemności wciąż, uparcie broni się jeden samotny budynek z wielką czarną gapą na froncie.

Strzelec, bo zdaje się, że jest tylko jeden, dobrze usadzony w oknie na piętrze. Snajper, celnie mierzący do każdego, kto próbuje podejść. Na tyłach dwóch rannych żołnierzy Brygady, przy nich sanitariuszki.

Zdanowicz woła Rzędziana.

- Idź do sołtysa, czy jak mu tam i poproś, żeby tu przyszedł.

Po chwili chłopak idzie z jednym z tatinków, którzy byli wcześniej w sztabie prosić o niewyzwalanie obozu.

- Jest jakieś tylne wejście do budynku? - pyta go Zdanowicz. Czech kręci głową. Drapie się i mówi:

- Dajcie mi jakąś białą szmatę i przestańcie strzelać, na chwilę.

- Wstrzymać ogień!

Tatinek wychodzi, machając białą koszulą na kiju. Snajper strzela, ale wyraźnie obok niego.

- Hedvika! - krzyczy. - Hedvika! Daj spokój, kobieto.

- Ne! - Celny strzał dziurawi koszulę. Tatinek upuszcza flagę.

- Hedvika! Już po wszystkim. Nic nie poradzisz, Hitler kaput. No złaż, wojsko nic ci nie zrobi, złaż. Jakoś to będzie.

Po chwili z budynku wychodzi około czterdziestoletnia, przystojna kobieta w uniformie Volksturnu. Ma krótko obcięte włosy, ręce na karku i karabin przewieszony przez szyję. Odbierają jej broń i prowadzą do grupy jeńców. Zub-Zdanowicz wzdycha.

Rzędzian wspina się na budynek tak zaciekle broniony przez Hedvikę, wyłazi na balkon i kolbą rozbija gipsową czarną gapę. Ptak Hitlera sypie się na bruk. Z domów powoli wychodzą mieszkańcy. Sołtys gdzieś znika, ale po chwili wychodzi na placzyk wraz z dwójką tamtych tatinków, co byli z nim w obozie Brygady. Przy nich dziewczyny z transparentem:

Vítejte poláci!

Zdanowicz kiwa głową i mówi:

- Proszę przygotować kwatery dla kobiet uwolnionych z obozu.

W tym samym czasie

Kompanie, które wyzwalały obóz, przesuwają się na pozycje wzdłuż głównych dróg dojazdowych do Pilzna. Zgodnie z planem przekazanym pięć dni wcześniej przez Zdanowicza do amerykańskiego dowództwa. Lasów mało, ale wzdłuż dróg są głębokie rowy. Zajmują je pod osłoną nocy, zakładają ładunki wybuchowe. Po chwili zaczyna się ruch.

- Chryste Panie - szepce Bohun - żebyśmy się w tych ciemnościach nie pomylili.

- Bez obaw pułkowniku - uspokaja go Step. - Na pierwszej czujce leżą tacy, co lepiej widzą w noc niż w dzień.

Przepuszczają furmanki wiozące cywili i rannych, ale gdy na drodze pojawiają się ciężarówki z żołnierzami Wehrmachtu, ładunki na drodze eksplodują. Samochody stają w płomieniach. Z obu stron drogi zaczynają grać cekaemy.

Nieopodal Staňkov. 6 maja 1945 roku

Ranek. Droga z jednej strony ciągną oddziały Brygady Świętokrzyskiej. Naprzeciw nich maszeruje zwarty oddział piechoty.

Bosman Grzmot drapie się po bergmanie i pociąga nosem.

- Noc w robocie i dzień przed nami.

- Oni się chyba mnożą.

- Dlaczego kapitan nie daje rozkazu?

Kapitan Wojski zatrzymał konia. I zamiast rozkazu krzyknął:

- To amerykańska piechota!

Major Zub-Zdanowicz jechał spod Holýšov do Staňkov tak szybko, jak pozwalała mu Bogdanka, którą, nie mając pod ręką konia, musiał pożyczyć od Fali. Żaden z dowódców u Wojskiego nie mówił po angielsku. A w każdym razie nie na tyle, by się dogadać. Żeby skrócić drogę, jechał polami, na przełaj. Bogdanka, choć z jakiegoś powodu nie lubiła Zęba, zachowała się profesjonalnie. Skakała przez leje, rowy i nawet nie zawahała się, gdy spiał ją nad kłębowiskiem kolczastego drutu. Już widział sznur Brygady na drodze. Widział naprzeciw niego drugi. I kilka zwalistych sylwet czołgów. Jednak obie jednostki dzieliło kilkanaście metrów wolnej przestrzeni.

- No, Bogdanka, zaraz się okaże!

Odpowiedziała mu grudami gliniastego błota spod kopyt.

Brygada Świętokrzyska stała w zwartym szyku naprzeciw amerykańskiej kompanii. Zub-Zdanowicz zawołał do kapitana:

- I co?

- I nic, panie pułkowniku. Powiedzieliśmy im „Made in Poland”, ale to wszystko, na co nas stać.

Ząb podjechał do oficera amerykańskiego.

- Major Zub-Zdanowicz, Brygada Świętokrzyska, wojsko polskie.

- Major Gilbert, szpica pancerna drugiej Dywizji Piechoty - zasalutował Amerykanin.

- To pańscy ludzie zablokowali tamte drogi?

- Tak. Ale chwalić się będziemy później, majorze. Widzi pan to miasteczko?

- Owszem. Hradistovy. Jechaliśmy sprawdzić, co tam jest, gdy zatrzymała nas pańska jednostka.

- Tam jest sztab XIII Armii i nie więcej niż czterystu ludzi. Kwatera mieści się w centrum miasteczka. Dwie nasze kompanie już zablokowały drogi wyjściowe, lecz pozostają jeszcze dwie inne. Zatem jeśli się pospieszymy i jeśli te czołgi są pod pańskimi rozkazami, majorze, to...

- Nie mogę oddać panu dowództwa.

- Nie oczekują tego. Zresztą nie bardzo mamy czas na konwenanse.

Zdanowicz miał tu około dwustu ludzi, Amerykanie podobnie, no i czołgi. Zajęcie Hradistovy było błyskawiczne. W sztabie XIII Armii pojmali dwóch generałów i ponad siedemdziesięciu oficerów. Błyskawicznie zabezpieczono archiwa. Oczywiście, wzięli je Amerykanie. Zdanowicz pomylił się o jedną setkę, jeńców było pięciuset.

- To była przyjemność - uściskał mu rękę major Gilbert. - Mam tylko jedno pytanie.

- Słucham? - Ząb uniósł brew, a major patrzył na to z uwagą.

- Właściwie nie. Nie mam pytań. - Pokiwał głową. - Powinniście się zameldować w naszym dowództwie.

*

Radomsko. Maj 1945 roku

Na ulicy gwar. Z ustawionego w oknie radioodbiornika komunikaty z walk o Berlin. Żbik i Tygrys w cywilnych ubraniach stoją przed słupem ogłoszeniowym. Czytają.

POSZUKIWANY GROŹNY BANDYTA ŻBIK.

WYCHOWANEK GOEBBELSA. KOLABORANT. ZDRAJCA.

MORDERCA, WYRZUTEK I GWAŁCICIEL.

REAKCJONISTA I ARYSTOKRATA.

ZA WIADOMOŚĆ O MIEJSCU POBYTU PRZESTĘPCY POWIATOWY URZĄD BEZPIECZEŃSTWA WYZNACZYŁ WYSOKĄ NAGRODĘ.

TEP BANDYTÓW Z N.S.Z.!

- Gdyby nie to, że to nie możliwe, pomyślałbym, że ten portret rysował Esman - krzywi się Żbik. - Czy ja naprawdę jestem taki brzydki?

Tygrys przygląda mu się.

- Dzień dobry, panie komendancie! - kłaniają się przechodzące obok kobiety. Zerkają na plakat i chichoczą. - Zupełnie pan do siebie niepodobny.

Za ich plecami zebrała się spora grupka ludzi. Żbik jest zmieszany, naciąga czapkę na oczy i chce się wycofać. Ktoś chwyta go za rękę.

- Pamięta mnie pan? - szepce starsza kobieta. - Wyciągnął pan mojego Staszka z gestapo. - Kobieta całuje go w rękę. Żbik zawstydzony.

- Nie trzeba...

- Panie komendancie, po wsiach stacjonują bolszewicy. Przydałby się nam pan. Nie ma kto porządku zaprowadzić...

- Panie komendancie... - Chłopi zdejmują czapki i kłaniają mu się. Kobiety szlochają, rzucają się Tygrysowi i Żbikowi na szyję. Poznaje go coraz więcej ludzi, tłumek gęstnieje. Pod plakatem „Tęp bandytów z NSZ” radosna scena powitania. Wtem, po drugiej stronie ulicy, patrol milicji. Chłopi natychmiast otaczają Żbika i Tygrysa zwartym murem, wszyscy udają, że czytają ogłoszenia. Patrol przechodzi na ich stronę. Żbik i Tygrys zasłanianiani przez chłopów wymykają się.

Włochy pod Warszawą. Kilka dni później

Żołnierze NSZ ubezpieczają spotkanie dowództwa z komendantami z terenu.

Generał Bogucki, komendant NSZ.

- W obecnej sytuacji utrzymanie większych jednostek w terenie zakrawa na szaleństwo. Kraj pełen sowieckiego wojska i nie wiadomo, czy będą tu siedzieć i nas okupować, czy wrócą na wschód. Majątki ziemskie kompletnie zniszczone, wyżywienie oddziałów bez szans. Jestem przeciwny tworzeniu dużych, stałych jednostek, ale w sytuacji lokalnej, gdy zajdzie potrzeba ochrony ludności, zostawiam wam wolną rękę...

Okolice Włoszczowy. W tym samym czasie

Leśny obóz Żbika. Gwar, szczęk broni, ryk krów.

Trzystu ludzi. Umundurowanie niekompletne, słabe. Uzbrojenie niezłe. Z dawnych żołnierzy tylko Tygrys. Reszta to pozbierane niedobitki NSZ i AK. W tym cała uzbrojona i umundurowana kompania Poleszuków, berlingowców. Po obławie na niepodległościowców, w której LWP brało udział po stronie milicji i UB, zmienili barwy i przeszli do AK. Gdy oddział rozbito w kolejnej pacyfikacji, stawili się u Żbika.

Kuchnie polowe pracują pełną parą. Dwadzieścia krów pędzonych przez żołnierzy

wkracza truchtem do obozu. Fura z workami mąki. Kwatermistrz drapie się w głowę. Dopiero teraz widać, że w głębi lasu jest paśnik pod gołym niebem, w którym już stoi pięćdziesiąt krów.

- No żal było nie zabrać - tłumaczy się plutonowy. - Sowiety pędzą te krowy z Niemiec na wschód tabunami. A co taka krowa winna?

- Dawaj! Co nie zjemy, sprzedamy, będzie za co kupić mąkę i cukier.

W szalasie - kwaterze siedzi Żbik. Przed szalasem kolejka chłopów.

- Panie komendancie. Ten Miśkiewicz to kanalia. Kabluje do UB na waszych, na akowców, sypie każdego, kto był w podziemiu.

- Jest w podziemiu - poprawia go Żbik.

- Tak, jest. No takie czasy, że uczciwy człowiek zawsze w podziemiu. Ale Miśkiewicz nie tylko na żołnierzy kabluje. Jeździ po majątkach, niby robi spisy rzeczy, co zostały po Niemcach, a w gruncie rzeczy kradnie. I już mu mało, teraz zaczął i nas skubać. Przyjeżdża i robi rewizje po obejściach, niby pod hasłem, że szuka poniemieckich...

- Dobrze, chwileczkę. - Żbik wstaje, wychodzi do kolejki. - Czy ktoś jeszcze w sprawie Miśkiewicza?

- Ja!

- Ja!

- Ja!

- To proszę do środka, będziemy go robić całościowo. Wśród tych, co wchodzą „na Miśkiewicza”, kobieta.

- Alina? - poznaje ją Żbik. Alina płacze na zawołanie.

- Ratuj mojego męża, proszę...

- Alinka, poczekaj, teraz robimy Miśkiewicza.

- Ale właśnie o Miśkiewicza chodzi... - Żbik prowadzi kobietę pod łokieć.

- Mój mąż - mówi Alina do wszystkich - był w AK. Ujawnił się, jak kazano. Został sekretarzem biura milicji w Woźnikach. I Miśkiewicz teraz nachodzi nas wieczorami i grozi. Wczoraj krzyczał do niego, że go zabije.

- Po co mu grozi, skoro twój się ujawnił?

- Bo inni, jego koledzy... no wiadomo, są w lesie... chce, żeby ich wydał...

- To alkoholik i furia - rzuca ktoś. - Dzieciaka własnego zastrzelił, po pijaku broń czyścił, cztery lata, córka. Panie komendancie, to degenerat.

- No dobra, chłopcy. Weźmiemy się za niego. Tylko dajcie mi czas, żebym to dobrze przemyślał. Tu wieś na wsi, a trzeba go zrobić na uboczu, żeby wam się nic nie stało.

Gorzej. Teren odkryty, żyta nie ma, pszenica za niska. Miśkiewicz jedzie rowerem. To dopiero oryginał - za pasek spodni wsadził dwa granaty, w kieszeni pistolet i obok niego pies. Kundel, ale czujny jak myśliwski. Na szczęście każdy kundel, nawet Miśkiewicza, lubi kielbasę. Zaprowadzili ubowca w krzaki. Odczytali mu listę zarzutów, wyrok. Strzał.

Pochowali. W drodze powrotnej spotykają patrol milicji. Żbik jest z dwudziestką ludzi, milicjantów trzech. Rozbrajają ich.

- Jakub?! - Żbik nie wierzy własnym oczom. - Co ty tu robisz?

- Nie znam pana - odpowiada Jakub. - Jestem komendantem milicji w Borowej. Proszę nas puścić, albo przynajmniej moich podkomendnych.

- Chłopaki, zostawcie ich - rozkazuje Żbik.

Kwatera Żbika. Wieczór

Jakub i Żbik siedzą razem, piją mętną wódkę.

- Pamiętasz Garbatego z AL? - pyta Jakub.

- Ty to lubisz mi dokuczyć. Wymykał mi się tyle razy, że go nie zapomnę.

- On ciebie też. Jest komendantem milicji w Dąbrowie, ma pod sobą duży posterunek. Oczywiście ode mnie tego nie wiesz, ale właśnie planują obławę. Na „degenerata i arystokratę”, Żbika.

- Nie pierwszą, nie ostatnią.

- Jak długo? - spytał po chwili milczenia Jakub. - Kiedy chcesz to skończyć? Nie możesz całe życie być w partyzantce.

- Nie słyszałeś o wojnie? - zadziornie odpowiada Żbik. - Alianci przeciw Stalinowi. Posłuchaj innych rozgłośni niż te wasze propagandówki.

Jakub kręci głową.

- Dzisiaj trafiłeś na mnie, napijemy się wódki, podamy sobie ręce i rozejdziemy się. Jutro trafisz na Łokietka albo Garbatego. Nie popuszczają ci, Żbik.

- Przejdź do mnie - stuka szklanką w jego szklankę Żbik - mam berlingowców, mogę mieć pepeesowca! No co? - Poważnieje nagle.

- Chyba nie powiesz, że o taką Polskę walczyłeś? Jakub wypija swoją wódkę. Wstaje.

- Ja już nie chcę walczyć, Żbik. Ja chcę normalnie żyć.

Ta sama polna droga, na której Żbik zabił Miśkiewicza. Przed świtem

Jakub wraca chwiejnym krokiem. Pogwizduje. W ręku trzyma pustą butelkę, jakby pił sam, po drodze. Gdzieś od strony gęstych zarośli słychać inny gwizd. Jakub milknie, nadśluchuje.

- Kos! - Przeciąga się, patrząc na zegarek. Potem unosi głowę. - Zaraz świt. - Ziemia i

wyrzuca butelkę w krzaki. Natychmiast wyskakują z nich trzech mężczyzn w mundurach milicji.

- Stać! - krzyczą do Jakuba. - Ręce do góry!

- Zaraz podniosę... Co jest?... Jestem komendantem z Borowej... Jakub tłumaczy się niemrawo. Jest zaskoczony, trochę pijany. Nie wierzy w to, co się dzieje. Milicjanci odbierają mu broń i trzymają na muszce.

- Komendant z Borowej! - kpiącym głosem powtarza mężczyzna w stopniu kapitana. - A może morderca? Dawajcie!

Prowadzą go w zarośla, do rozkopanego grobu Miśkiewicza.

- Co o nim wiecie? - pyta kapitan, popychając Jakuba w stronę zwłok.

- Miejskowa szuja - odbija się Jakubowi, z odrazą odwraca głowę od obrzękniętej, ubrudzonej ziemią twarzy nieboszczyka.

Kapitan uderza go w twarz.

- Więc przyznajecie się, że zamordowaliście towarzysza Miśkiewicza?

- Nie. Mówię tylko, że go poznaję.

- Jeśli to nie wy go zamordowaliście, to kto? I skąd wracacie o tej porze? Pijani?

- Z majówki - odburkuje Jakub, poważniejąc.

- Ze spaceru, na który zabrał was poszukiwany listem gończym eneszetowski bandyta! A może wasz wspólnik, co? - szturcha Jakuba kapitan. - Od dawna was mamy na oku, farbowany pepeesowski lis! Za utrzymywanie kontaktów z bandytami z eneszetu kula w łeb! Albo...

- Albo co? - butnie pyta Jakub.

- Albo wskażecie miejsce ich pobytu i przyprowadzicie nam Żbika na postronku.

- I dopiero wtedy kula w łeb? - Trzeźwieje Jakub.

Przygląda się milicjantom, jakby ważył siły. Ich jest dwóch i ten kapitan. Jeden z nich to młodziak, pryszczata twarz, nie ma więcej niż osiemnaście lat. Drugi muskularny, korpulentny. Jakub spuszcza z tonu.

- Chłopaki, dajcie spokój, to jakaś farsa. Chodźmy na komendę, złożę...

- Nigdzie nie będziemy iść - powoli mówi kapitan, dając głową znak tym dwóm. Milicjanci popychają Jakuba, on przewraca się, wpadając do płytkiej rozgrzebanej mogiły. Wypluwa piach, zrywa się szybko, depcząc po brzuchu Miśkiewicza. Chce wyskoczyć z dołu, podciąga się. Ale korpulentny kopie go w dłoń. Jakub odeskuje na przeciwną stronę, tam, gdzie stoi młodziak. Chwyta go za nogi, ciągnie w dół. Pryszczata twarz chłopaka jest blada i wystraszona. Strzał.

Palce Jakuba zaciskają się na butach młodzika i natychmiast rozluźniają.

Osuwa się w dół, na kolana, podpira ramionami. Pod nim siny, martwy Miśkiewicz.

Szuja... miejscowa szuja... - przebiega Jakubowi przez myśl, jakby to miało teraz jakąkolwiek wagę. Rwący, pulsujący ból pod obojczykiem. Gorąco zalewające falą. W jej przypiływie chce krzyczeć swe ostatnie życzenie: Idźcie do mojego domu. Zastrzelcie Jagodę i to dziecko w niej! Nie chcę, żeby żyli w zakłamanym, obłąkanym świecie...

Próbuje się podnieść.

- Jezu! - drze się młody, widząc go zalanego krwią, wstającego z grobu.

- Nie wzywaj imienia Pana Boga - mówi z wysiłkiem Jakub. - Przynajmniej udawaj, że jesteś prawdziwym komunistą... udawaj, że o taką Polskę walczyłeś... naucz się dobrze udawać... ja już nie...

Strzał.

-...muszę... - tak cicho, że nikt nie słyszy. Jasne włosy Jakuba spryskane krwią.

- Ale... mnie wystraszył... - szepce sinymi wargami młody. Robi kilka kroków w tył, na niepewnych nogach. Otrzepuje buty.

- Ale mnie wystraszył... - szepce sinymi wargami młody. Robi kilka kroków w tył, na niepewnych nogach. Strzał.

- Gówniarzeria! - krzyczy kapitan i mierzy z pistoletu do przyszczonego. - Coś ty narobił? Teraz sam będziesz dygał, żeby mi Żbika przyprowadzić?! Kurwa mać! Z kim ja pracuję!

Młody nic nie rozumie. To nie on strzelał.

- No przecież sam towarzysz kapitan mówił, że to zdrajca i degenerat - otrzepuje ręce korpulentny.

-... do... do... grobu mnie ciągnął... - głos młodzika łamie się. Patrzy to na kapitana, to na kolegę. Mruga. Nie wie, co myśleć. Był przekonany, że strzelał kapitan.

- Obszukać. Zakopać. - Rozkazuje kapitan i wyjmując papierosa. Korpulentny podaje mu ogień. Kapitan zaciąga się i mówi, jakby czytał gazetę: - Dwaj funkcjonariusze milicji, komendant posterunku w Borowej i sekretarz, w czasie pełnienia obowiązków służbowych, zostali bestialsko zamordowani przez bandytów z oddziału Żbika NSZ. Zwłoki okradziono.

Nad polami wstał świt. Zielona, niska pszenica. Rozświergotały się ptaki. Od wsi wolno jedzie furmanka. Chłop śpiewa:

- Chwalcie łąki umajone, Góry, doliny zielone, Trzech mężczyzn w mundurach milicji wychodzi z gęstych zarośli.

Chłop uchyla czapki. Gdy tylko ich mija, robi trwożliwy znak krzyża.

- Chwalcie cieniste gaiki...

*

Kwaterna 741 Batalionu Czołgów 2 Dywizji amerykańskiej, Staňkov. 7 maja 1945 roku
Pułkownik Bohun i major Ząb zostali zaproszeni do pomieszczenia, gdzie jeszcze dzień wcześniej kwaterowali Niemcy. Ciemna plama na ścianie po portrecie wiadomo kogo.

Zameldowali się u podpułkownika Roberta W. Skagsa. Spojrzał na nich ponuro, kiwnął głową i oświadczył:

- Żądam natychmiastowego rozbrojenia waszej Brygady.

Zdanowicz przetłumaczył Bohunowi słowa podpułkownika. Dowódca Brygady zbłądł.

- Jak to możliwe? Żołnierz polski, który tyle lat walczył z sowieckim i niemieckim najeźdźcą... który wylał tyle krwi... który z narażeniem życia przeszedł przez linię frontu... teraz spotyka się z taką zniewagą?! To z pewnością sprawka czeskich komunistów!

Zub-Zdanowicz pozwolił sobie nie przetłumaczyć słów dowódcy. Wszystko to prawda, pomyślał, ale to nie czas na martyrologię, tylko na konkrety.

- Podpułkowniku. W ostatnich dniach kwietnia wysłaliśmy waszemu dowództwu szczegółowy raport, w którym wyjaśniliśmy, jakim cudem - to słowo akurat skromnie podkreślił - Brygada przedarła się na teren Czech. I przekazaliśmy cenne informacje operacyjne na temat niemieckich pozycji. Śmiem przypuszczać, iż na szczeblu dowódczym zostały one właściwie odczytane i przyjęte, bo świadczy o tym nalot waszych samolotów na fabrykę broni w Holišov. Dlatego proszę o skontaktowanie się z dowództwem i przekazanie informacji o naszej dzisiejszej wizycie. Mamy poczekać tu, u pana?

Lieutenant Colonel Robert W. Skags zamrugał i kiwnął głową.

- Jasne. Proszę siadać, panowie.

Po czym wyszedł. Słyszeli, jak telefonował, słyszeli rozmowę. Mogli odetchnąć, nim wrócił.

- Przepraszam - rozłożył ręce - po prostu przepraszam. Oczywiście, nasze wyższe władze wojskowe już wiedzą o was i uznały Brygadę za jednostkę aliancką. Ze wszystkimi prawami, obowiązkami i przywilejami. Dostałem też rozkaz, by wydać wam pełne zaopatrzenie w żywność na stan dwóch tysięcy żołnierzy. - Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę. - Witamy!

Kwatery Brygady, Všekary. 9 maja 1945 roku

Major Gilbert i Zub-Zdanowicz przechadzają się po obozie.

- Nasza 3 Armia - mówi Gilbert - należy do generała Pattona, wie pan, co mam na myśli? To wódz. Oczywiście politycy i sztabowcy dorabiają mu głębię chama, a on sam od

czasu do czasu robi coś, co im w tym bardzo pomaga. Słyszał pan, jak odlał się do Renu?

- Jak to robił, nie słyszałem, ale że zrobił, owszem. Wasi żołnierze kochają to opowiadać.

Gilbert zaśmiał się.

- W tym rzecz. Byliśmy osiemdziesiąt kilometrów od Berlina. Pod dowództwem Pattona zdobylibyśmy miasto tydzień temu. I co? Polityka! Eisenhower zakazał nam marszu na Berlin, bo przywilej rozpieprzenia Reichstagu wspaniałomyślnie oddali Stalinowi. Nas zesłali w Alpy, żebyśmy tropili jakąś wymyśloną przez Sowietów „redutę narodową” Hitlera. Owszem, Niemcy w Alpach bronili się jak lwy, ale żadnej „reduty” nie było. A teraz Praga! - Major Gilbert kopnął kamień, aż potoczył się w krzaki. - Zatrzymali nas, bo Pragę też mają zdobyć Sowietci. A pierwsza była wasza stolica. Czerwone kutasy stały przed Wisłą, a wasi liczyli, że przyjdzie sojusznik. Mówię ci to, majorze Ząb, bo wiem, że twoja Brygada ma z Sowietami na pieńku, a tu, nawet w wolnej armii mojego demokratycznego kraju, obowiązuje cholerna polityka i głośno na Stalina nikt nic nie powie. I nie wiem, kto gorszy, nasi czy Anglicy.

- Byłem w Anglii, kiedy Hitler zaatakował Sowietów. Wiem, co to za miłość, widziałem na własne oczy, jak z jedyne go alianta Brytyjczyków stawaliśmy się przeszkodą w dobrych kontaktach z Sowietami.

- Patton im wczoraj wygarnął. Zrobili uroczystość z okazji wielkiego zwycięstwa, a nasz stary na konferencji tak przysolił, że dzisiaj burza. Kto wie, czy go nie odwołają. Ale jeśli tak się stanie, wojny z Sowietami nie będzie. Podrzucę ci później gazetę, tam oczywiście przedrukowane są skróty, ale chłopaki od nas mają całe przemówienie Pattona. Nie wiem, co wam radzić. Mały oddział łatwiej zgubić, wiesz, co mam na myśli. Jesteśmy tu bardzo blisko Sowietów, Czechy już przepadły. Może idźcie do Andersa? Zawsze to jedno wojsko, a jeżeli stanie się cud i wojna ze Stalinem wybuchnie, to i tak będziecie wzywani. To, co ci dzisiaj powiedziałem, miej w pamięci, bo zaraz zaczną zjeżdżać do was tacy różni. Jesteście sensacją, jak tylko trochę opadnie kurz wokół kapitulacji Niemiec, będziecie mieli tu ruch.

- Szampan, order, uściski rąk?

- Coś około tego. A! - Gilbert klepnął Zdanowicza w ramię. - Coś jeszcze ci powiem. Przez pierwsze dwa dni po tym, jak połączyliście się z nami, był mały chaos informacyjny. Wasz rząd w Londynie zrozumiał, że przedarła się przez front duża jednostka Armii Krajowej. Mało nie zwariowali ze szczęścia, prawie zbiórkę na pomnik robili. - Gilbert śmieje się gardłowo. - No, jak się zorientowali, że to Narodowe Siły Zbrojne, to miny im zrzedły. Głupio im było czy co? W każdym razie wyhamowali entuzjazm.

- Jakbym to widział - skrzywił się Ząb.

- Jeśli tylko dadzą ci szansę, staraj się dostać bezpośrednio do generała Pattona. On od dłuższego czasu mówi o tworzeniu armii narodowych z wojsk krajów, które przypadły Sowietom, i o zbudowaniu z nich wielkiej liniowej jednostki do wojny ze Stalinem. Dla niego wasza Brygada będzie dowodem, że ma rację. Jesteście żywym potwierdzeniem jego pomysłu.

*

Kwaterna Brygady, Všekary. 16 maja 1945 roku

Brygada Świętokrzyska pod własnym sztandarem. Białoczerwonym. Mundury, świeżo wydane z magazynów amerykańskich, dopięte na ostatni guzik, lśniące buty. Ryngrafy na piersiach. Na ramię broń.

Ustawieni w czworobok. 1200 żołnierzy. Sygnał trąbki.

Pułkownik Bohun, major Zub-Zdanowicz i Jaxa. I ktoś jeszcze. Jeszcze jeden pułkownik, dla nich szczególnie. Z kwatery Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, Alojzy Mazurkiewicz. Defilada.

Kobiety z obozu w Holišov, Polki. Ubrane w zwykłe sukienki. Z naręczami kwiatów. Podchodzą do dowództwa speszzone, ale gdy są blisko, gdy widzą, jak w oczach Bohuna lśnią łzy, zaczynają płakać i rzucają się mu na szyję. Dostaje od nich serce uszyte z więziennego pasiaka.

- To najwyższe odznaczenie - mówi - jakie dostałem w życiu. Zapamiętam tamten dzień na zawsze. - Łamie mu się głos.

Nie mówi tym szczęśliwym kobietom, że w dniu, w którym wyzwalał ich obóz, w Krakowie zmarła jego żona. Zresztą nikomu nie mówi. Przemówienia zostawia gościowi.

- Jestem dumny, że mnie pierwszemu przypada w udziale przywitać wasz oddział. Jesteście jedynym oddziałem z kraju, któremu udało się przejść przez wszystkie trudy i znoje życia żołnierskiego; i to z bronią w ręku - mówi pułkownik Mazurkiewicz. - U Amerykanów macie opinię jak najlepszą. Tę opinię zjedналиście sobie swoją postawą żołnierską i swym zachowaniem się. Tę opinię przekażę dalej. Przybyłem po to, aby żołnierzom uwolnionym z okupacji niemieckiej przywracać prawa żołnierza. Wam tych praw nie potrzebuję przywracać, albowiem zdobyliście je sobie w walce i trudach żołnierza. Byliście i jesteście żołnierzami polskimi, a czyny wasze przejdą do historii.

Kwaterna Brygady, Všekary. 17 maja 1945 roku

Rzędzian niesie skrzynkę whiskey. Po bokach, na drewnianych deseczkach, ostemplowana granatową pieczęcią magazynu U.S. ARMY. Nie jest ciężka, ledwie sześć

butelek. Za nim idzie Zub-Zdanowicz.

- Pan major to tak na mnie patrzy, jakby pilnował. - Odwraca się za siebie. - Jakby myślał, że ja, wierny ordynans, mógłbym nie donieść.

- Znam cię. Ty byś doniósł, ale kto wie, czy na miejsce.

- To do sztabu? Przecież pan major niepijący.

- Nie gadaj, bo się potkniesz. Do sztabu.

Wchodzą po schodach. Rzędzian zręcznie wymija drzwi, które omal nie uderzają idącego z tyłu Zęba. Oczywiście, nie widzi tego, gada.

- O, to znów jakaś okazja, znaczy się. Teraz to my mamy same okazje. A panu majorowi to smakuje ta farbowana? Ja to się nie znam, ale chłopaki mówili, że...

- Rzędzian, postaw skrzynkę na stole i idź po pułkownika Bohuna i majora Jaxę. - Wznosi oczy do nieba Zdanowicz.

- O, to widzę całe dowództwo będzie świętować...

- Biegiem! - krzyczy na ordynansa Ząb i skutkuje.

Otwiera skrzynkę i wystawia butelka po butelce, oglądając je uważnie. Na tym zajęciu zastają go Jaxa i Bohun.

- Majorze? - niepewnie pyta dowódca, widząc sześć butelek whiskey na stole.

- Panowie! Mam coś nadzwyczajnego! - Ząb dalej grzebie w skrzynce.

Jaxa krzywi się.

- Za alkohol to ja podziękuję.

- Podziękuję pan, majorze, jak pan posłucha! - Zdanowicz tryumfalnie wyciąga ze skrzynki kilka kartek maszynopisu. - Rzędzian, zamknij drzwi od drugiej strony i pilnuj, by nikt dowódcom nie przeszkadzał. Mamy pilne posiedzenie sztabu!

- Tak jest! - kiwa głową chłopak, wychodząc i patrząc tęsknie na sześć butelek. - Pilne posiedzenie...

Zdanowicz przegląda kartki, które wyjął ze skrzynki, coś szepce do siebie, kiwa głową, w końcu mówi na głos:

- Panowie, to stenogram z konferencji prasowej generała Pattona. Dostałem od amerykańskich kolegów i wiercie mi, to, co generał powiedział, upaja bardziej niż whiskey.

- Czy to nielegalne? - spytał Jaxa, wskazując głową na pustą skrzynkę.

- No cóż, jakby tu powiedzieć... konferencja prasowa Pattona była legalna, tyle że powiedział na niej tak dużo, iż...

- Iż w prasie zmieściłby się tylko skróty? - domyślnie uśmiechnął się Bohun. - Niech pan nam czyta. To znaczy, tłumaczy.

- Ta wojna zakończyła się dokładnie tam, gdzie się zaczęła. Na podwórku Hunów. Ale na tym nie koniec. To, co zrobili dzisiaj politycy w Waszyngtonie i Paryżu, podobni do ołowianych żołnierzyków, to historia, o której będziecie pisać przez jakiś czas. Pozwolili nam wykopać w cholerę jednego gnoja, a jednocześnie zmusili, żebyśmy pomogli usadowić się następnemu, równie złemu albo jeszcze gorszemu niż tamten.

- Święte słowa! - przerwał mu Jaxa.

Zdanowicz uniósł wzrok znad stenogramów i uśmiechnął się ironicznie.

- Wygraliśmy tylko szereg bitew, nie wojnę o pokój.

- Święte słowa! - tym razem powiedział Bohun, a Ząb znów skwitował to dwuznacznym uśmiechem. Czytał dalej:

- Będziemy potrzebowali nieustającej pomocy Wszechmogącego, jeśli mamy żyć na jednym świecie ze Stalinem i jego morderczymi zbirami. Po raz pierwszy od stuleci pozwoliliśmy siłom Czyngischana wejść do Europy Środkowej i Zachodniej. Zastanawiam się, jak się czują politycy, wiedząc, że w naszych czasach nie będzie pokoju, a Amerykanie, także ci, którzy się dopiero urodzą, będą musieli walczyć z Rosjanami jutro albo za piętnaście czy dwadzieścia lat. Dzisiaj powinniśmy powiedzieć Rosjanom, że mają iść w cholerę, zamiast ich słuchać, kiedy nam mówią, że mamy się cofnąć!

- Święte... - jęknął Jaxa, zrywając się z krzesła, a Ząb dokończył na jednym tchu:

- To my powinniśmy im mówić, że jeśli im się nie podoba, niech idą w pizdu, i wydać im wojnę. W pizdu - powtórzył dobitnie.

Jaxa zaczerwienił się aż po szyję.

- Mocne... - chrząknął.

- Ale prawdziwe! - klepnął się stenogramem w kolano Ząb. - Przecież Patton mówi to, co my powtarzaliśmy od lat! Mamy czarno na białym! Tak widzi świat generał zwycięskiej armii! Słuchajcie: Pokonaliśmy jednego wroga ludzkości, ale umocniliśmy drugiego, znaczenie gorszego, w którym jest więcej zła i zjadłości niż w pierwszym.

- Panowie! - Bohun był blady i wzruszony. - Po raz pierwszy ktoś miał odwagę jasno wskazać na sedno tej wojny! Święte słowa...

- Niech się pan pułkownik ze świętością już nie wrywa - roześmiał się Jaxa, pocierając czoło. I nagle krzyknął radośnie: - Jezus Maria!... prawda, prawda i raz jeszcze prawda!

- Niestety - Zdanowicz czytał dalej - niektórzy z naszych przywódców są po prostu cholernymi durniami i nie mają pojęcia o historii Rosji.

- To mógł być przypadek, ale Ząb szczególnie akcentował przekleństwa. - Cholera,

mam wątpliwości, czy wiedzieli chociaż tyle, że Rosja jeszcze niecałe sto lat temu zajmowała Finlandię, wyssała krew z Polski i zrobiła z Syberii więzienie dla własnego narodu. Wyobrażam sobie, jak szydził Stalin, kiedy uzyskał od nich wszystko podczas tych nibykonferencji. - Odłożył kartki i z uśmiechem patrzył na dowódców.

Jaxa chodził w uniesieniu po pokoju. Bohun też wstał i aż kręcił głową. Sięgnął po jedną ze stojących butelek i odkręcił. Ząb i Jaxa, choć niepijący, potwierdzili skinieniem głowy. Dowódca Brygady połał whiskey i podał im szklanki, wznosząc toast.

- Panowie! Nazywali nas nielegalnymi. Nazywali nas chuliganami. Kto wie, co jeszcze mówiono za naszymi plecami. Ale dzisiaj słowa generała Pattona przywracają sens całej naszej szaleńczej wyprawie! Za Brygadę Świętokrzyską i połączenie z Amerykanami!

Stuknęli się szklankami. Wypili. Ząb starał się nie skrzywić. Jaxie się nie udało. Otarł usta i spytał Zdanowicza:

- Majorze, ja oczywiście rozumiem, że pan generał Patton ma taki nieco grubiański język. Ale może jest tam jeszcze, prócz prawd oczywistych, które nas tak bardzo radują, też coś takiego wznioślejszego, o Bogu?

Zub-Zdanowicz przebiegał wzrokiem stenogram. Marszczył brwi, zwłaszcza tę pękniętą, aż poważny zwykle Bohun zaczął się śmiać.

- No, jak mój szef sztabu znajdzie w słowach generała to, czego potrzebuje major Jaxa, polewam jeszcze jedną kolejkę!

- Lej pan, pułkowniku! - zaordynował Ząb. - Już cytuję: Na Boga, powinniśmy podrzeć te cholerne, podle porozumienia z Sowietami i ruszyć prosto na wschodnie granice.

Kwatery Brygady, Všekary. 18 maja 1945 roku

Płyną podziękowania od przedstawicieli rządów: Francji, Belgii, Anglii, Holandii - za uwolnienie ich obywateli z obozu.

Codziennie goście. Albo dowództwo w gościach.

- Festiwal Brygady Świętokrzyskiej!...

Bohun musi w rozkazie dziennym pisać, że prosi o nieupijanie gości amerykańskich. O nienocowanie kobiet spoza Brygady.

Robercik pyta Grzmota:

- Bosmanie, kiedy wrócimy do domu?

Przychodzi rozkaz z kraju, od dowódcy NSZ. Bogucki awansował Zęba i Jaxę na podpułkowników. Ze starszeństwem od 15 stycznia. Od dnia, gdy Brygada ruszyła w marsz.

Zub-Zdanowicza bolą szczęki. Odkąd spotkali się z armią amerykańską, tłumaczył. Oficjalne spotkania, nieoficjalne i całkowicie prywatne - te ostatnie, niestety, najrzadziej,

choć Amerykanom niezmiennie podobały się polskie sanitariuszki.

Do kwatery dowództwa właśnie wchodził niewysoki pułkownik w brytyjskim mundurze i z daleka uśmiechał się do niego.

- Dor! Zub-Zdanowicz! I już podpułkownik! Wszystkim, wszystkim opowiadam, że pan jest moim wychowankiem.

- Major Perkins? - Poznał go po dłuższej chwili. - Przepraszam, już pułkownik!

- Jak widać, ja awansowałem wolniej niż pan! - Ścisnął jego rękę.

- Jestem bardzo dumny. Nadzwyczajnie. Jak tylko dowiedziałem się, że polski oddział przeszedł przez dwie linie frontu, zapytałem, mój adiutant potwierdzi! Smith? Potwierdź.

- Tak było, panie pułkowniku.

- Otóż zapytałem, czy aby to nie jest oddział jakiegoś skoczka. Wszyscy tu wiedzą, że ja osobiście szkoliłem polskich skoczków w zakresie wywiadowczym. No i co się okazało? Że to prawda! - Perkins wciąż potrząsa dłońią Zdanowicza. - Gratuluję! Gratuluję panu, Brygadzie i sobie, nieskromnie, ale też gratuluję. Przyniosłem angielską whiskey, bo pamiętam, że wszyscy skoczkowie kochali whiskey!

- Ja akurat nie piję - mówi Ząb i zabiera butelkę z ręki Perkinsa.

- Obiecałem porucznikowi Wolfowi. To ten zuch, który wy dostał z niemieckiego sztabu mapę taktyczną.

- Oczywiście! Nie butelka, a skrzynka mu się należy, oczywiście! Mam nadzieję, że nie poczyniliście żadnych obietnic wobec Amerykanów? Słyszałem, że chcą was wcielić bezpośrednio do swojego korpusu?

- Jesteśmy niezależną jednostką i będziemy starać się o połączenie z Polskimi Siłami Zbrojnymi na Zachodzie.

- Tak, tak, rozumiem. To oczywiście kwestia pewnych decyzji. Musicie być cierpliwi, czynniki polityczne podejmują w tej chwili próby uporządkowania sytuacji.

- Ma pan na myśli przegrupowanie sił przed kolejną kampanią? Pułkownik Perkins zastygł na chwilę.

- Jaką kampanią? Co pan przez to rozumie?

- Wojnę z Sowietami. Perkins roześmiał się.

- To utopia. W obecnej sytuacji nie ma o tym mowy - powiedział z miną, którą Zdanowicz akurat świetnie pamiętał z kursu. Przybierał ją za każdym razem, gdy Polacy wyśmiewali się z miłości Brytyjczyków do Rosjan.

- Wy, Polacy - dodał po chwili z wyższością - musicie nieco utemperować swe oczekiwania.

- Oczekiwania? Oddajecie nas z jednej okupacji pod drugą i mówicie, że mamy się utemperować? - Zdanowicz aż zacisnął szczęki.

- Kwestię połączenia Brygady z korpusem generała Andersa trzeba na spokojnie zrewidować. Wojna się skończyła, podpułkownik Dor, i nie ma potrzeby zwiększania polskich sił zbrojnych na Zachodzie. Polityka globalna nie przewiduje w chwili obecnej wzniecania nowego konfliktu. Świat jest zmęczony wojną. Narody też.

*

Všekary

Zub-Zdanowicz i Fala wracają ze spaceru. Oboje w mundurach.

- Naprawdę masz wolny wieczór?

- Chyba tak. - Wzrusza ramionami Ząb.

- Co to za oficerowie przyjechali dzisiaj? Widziałeś, wszyscy mają „jaszczurki”.

- Dużo ich, co? Nie miałem pojęcia, że NSZ ma tylu oficerów! - rozkłada ręce Ząb.

Fala chwyta go za rękę.

- Nie podoba mi się to - mówi.

- Mnie też - zupełnie serio opowiada on.

Godzinę później

Ząb wchodzi do kwatery sztabu. Zatrzymuje się przed drzwiami. Słyszycie wiele głosów. Krzywi się. Drzwi się otwierają i staje w nich Jaxa z Bohunem. I ktoś jeszcze. Mężczyzna o mysiej twarzy, w garniturze.

- O, o wilku mowa! - radośnie, jakby nigdy nic mówi Jaxa do mężczyzny. - To właśnie podpułkownik Zub-Zdanowicz.

- Witam i żegnam jednocześnie - usłużnie wymija go mężczyzna.

- Pięknie panom dziękuję!

Ząb wchodzi jednak do środka. Przy stole widzi nieznanym sobie facetów w mundurach oficerskich NSZ. Bohun i Jaxa szybko wchodzi za nim.

- To był pan Stefan Lityński - tłumaczy Zębowi Bohun - dziennikarz. Pisze artykuł o Brygadzie do brytyjskiej prasy.

- Czy wyście rozum stracili?! - nie panuje nad sobą Zdanowicz.

- Lityński?! Nie wiecie, kto to jest? To jest Stefan Litauer, pieprzony sowiecki agent i mason! W Anglii byle chłystek wie, że ten facet zrobił dla Polski więcej złego niż dobrego! To on rozpętał kampanię przeciw Polakom w brytyjskich mediach, zaraz jak Sowieci przystąpili do wojny!

Stefan Lityński, vel Stefan Litauer - agent GRU. Korespondent, a potem dyrektor

Polskiej Agencji Telegraficznej w Londynie. Późniejszy dyplomata PRL w USA. Autor pamfletu oskarżającego Niemców o mord katyński. Jak się wkrótce okaże, nie tylko.

- Pan przesadza, podpułkowniku - koncyliacyjnie wycofuje się Bohun. - On się bardzo ciekawił Brygadą, był bardzo dumny z naszych osiągnięć... chociaż, może to niezręcznie, że rozmawialiśmy z nim bez pana... Nie przypuszczałem...

- Jak widzę, sztab Brygady się rozrósł o nowych członków - powiedział, co myślał Ząb - nawet takich, o których nie wiedziałem, że istnieją.

- Debaturujemy właśnie - chciał pokryć jego wybuch Bohun - nad skontaktowaniem się z generałem Andersem. Panowie z rady politycznej NSZ uważają...

- To my mamy „radę polityczną”? A gdzie ona była, kiedy na własną rękę przedzieraliśmy się przez front?!

Trzaska drzwiami.

- Rzeczywiście, furia! - kwituje jego wyjście Iłakowicz.

- Co on ma z tym okiem? - zaciekawił się Otmar i ruszył dookoła stołu. - Z tą brwią?

Ząb był wściekły. To, że nagle w sztabie Brygady, której był szefem, zaroilo się od Jaszczurek, wypinających piersi do orderów, doprowadzało go do pasji. Bohun widząc jego stosunek do rady politycznej NSZ, też wolał korzystać z usług innych przy tłumaczeniu rozmów z amerykańskim i brytyjskim dowództwem. Nieoczekiwanie Ząb miał dużo wolnego czasu.

- Panie komendancie! - Rzędzian leciał za nim przez pół obozu.

- Panie komendancie...

- Policz do pięciu i zamelduj.

- Raz, dwa...

- Po cichu!

-...melduję, że ten major Amerykaniec czeka na pana w kantynie, ale kazał powiedzieć, że to poufne!

Ząb niemal nie poznał Gilberta. Poufne znaczyło, że major był w cywilu. Kolorowa rozpięta koszula. Kapelusz.

- Whiskey? - spytał.

- Woda.

- Lepiej whiskey. Wiesz, Ząb, woda nigdy nie jest pewna, a alkohol...

- A gadacie potem, że Brygada rozpija amerykańską armię. Mów, co jest takie poufne?

- Czescy komuniści przy poklasku polskich i pod auspicjami swoich nadzorców z

NKWD wytoczyli przeciw wam grube działa. Negocjują wydanie was Sowiecom. Oficjalnie - „sprowadzenie do Polski”.

Zub-Zdanowicz łyknął ciepłą whiskey i skrzywił się niemiłosiernie.

- I? - spytał.

Major wstał i klepnął Zdanowicza w ramię.

- Zbieraj się, jedziemy.

- Na piknik? - Ząb ocenił koszulę Gilberta.

- Życzeniem Starego jest, by Angole tak właśnie myśleli! Wyszli przed kantynę.

Kierowca grzał silnik.

Jaxa przeżywał najdziwniejsze dni w swoim życiu. Oto bowiem dokonali tego, co zamierzali: przedostali się na Zachód i połączyli z armią amerykańską. Sukces i jego oszałamiający smak. Kwiaty, alkohol, zaszczyty. Nie, nie, żeby się tym upajał. Po prostu cieszył się, choć niepewność o dalsze losy dudniła w nim niczym wskazówka zegarka zamkniętego w zaciśniętej dłoni. Konflikt Zachodu ze Wschodem oddalał się. Wszystko wskazywało na to, że granice ustalone w Teheranie i Jalcie pozostaną faktem. Owszem, Polska dostała to, o czym sześć lat temu śmiał marzyć tylko obóz narodowy - ziemie piastowskie na zachodzie. Piękne, prawda? Ale Kresy przepadły. To tak, jakby bochen chleba podzielić na pół...

I na dodatek ten bochen schować za drzwiami z pancernego szkła. Do kraju nie ma powrotu. Nie oni, nie on. Ten kraj, o który walczył, ta Rzeczpospolita została zgwałcona przez bolszewickiego żołdaka. A on, jej ukochany i oddany mąż, może jedynie płakać nad jej upodleniem. Otrząsnął się z tych myśli.

Rzecz w czymś jeszcze. Wstydlive, choć bardzo osobiste. Doznawał lekcji pokory i goryczy. I to właśnie teraz, kiedy płynął strumień zaszczytów. Brygada Świętokrzyska na ustach wszystkich. On na ustach wszystkich, jako zastępca dowódcy. Podpułkownik Jaxa.

Mimo to?...

Dlaczego wadziła mu nagle obecność dawnych przyjaciół? Otmar, Hłakowicz, Żochowski? I ci, najtajniejsi z tajnych, jego dawni mentorzy z gabinetu cieni? Wraz z ustaniem działań wojennych wszyscy przekroczyli granicę i znaleźli się w Brygadzie. I mówią „my”. I mówią mu, co ma robić.

Kwatera sztabu. Koniec maja 1945 roku

Okna przysłonięte słabo, bo tu nie ma ciężkich aksamitnych kotar. Po raz pierwszy widzi dokładnie ich twarze. Bruzdy, cienie pod oczami. Opadające kąci ust.

- Ssspisał się pan lepiej, niż mogliśmy przypuszczać.

Czy to możliwe, że przez pół roku profesor postarzał się aż tak?

- Dziękuję.

- Ha, ha! I pomyśleć, że jeszcze rok temu Sssosnkowski wyzywał nas od nielegalnych! Teraz to musi sobie w brodę pluć, co? Jego Armia Krajowa go nie posłuchała i zrobili powstanie w Warszawie!

I tylko my wykonaliśmy rozkaz wyprowadzenia z Polski wojska! Ha! Nikt tego nie dokonał, tylko nasza Brygada!

- Zatem trzeba myśleć o przyszłości - głos mecenasa trzęsie się.

- Ten pomysł z połączeniem naszej Brygady z Andersem jest niedorzeczny. Przecież nie chcemy pozwolić, by ONI przejęli kontrolę nad jedyną zwycięską polską jednostką.

Jaxa nie jest „nimi”. Jest BożenąGrażyną, rudowłosą kobietą żołnierzem, która skoczyła do Polski. Jest grudą gleby pod Pogwizdowem, gdy chowali poległych; mróz taki, że saperzy wysadzali ziemię. Jest...

- Tak więc pan, nasz drogi Jaxa, pojedzie do Andersa i tak będzie prowadził te rozmowy, żeby nic z tego nie wyszło. Brygada Świętokrzyska - głos profesora dziwacznie szeleści - musi pozostać niezależną od wszelkich knowań aliantów, skażonych prosowiecką polityką. Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy! Wolna Ojczyzna powróci!

Jaxa zamyka powieki i wie, co robić: po raz kolejny odgryza własny ogon.

A potem otwiera oczy, mówiąc głośno i wyraźnie:

- Powróci, bo oni przeżyli.

Nestorzy mrugają niepewnie, jakby nie rozumieli. A Jaxa nie jest uprzejmy, jak do tego przywykli.

- Nie mówię o was i nie mówię o sobie. Tylko o nich, młodych. O chłopcach, którzy dzięki Brygadzie nie zginęli w powstaniu, lecz walczyli tam, gdzie to jeszcze miało sens. O chłopcach, których uchroniliśmy przed więzieniem i śmiercią. To oni kiedyś staną się szansem!

Profesor i mecenas bledną, jakby brakło im powietrza. Jaxa przeciwnie. W końcu oddycha pełną piersią, powtarzając im słowa swego pierwszego i prawdziwego mentora.

- Cały wysiłek Organizacji musi być podporządkowany zachowaniu najcenniejszej tkanki społecznej - pokolenia młodych. Jeśli oni zginą, naród polski nie przetrwa tej próby.

„NEWS CHRONICLE”, 30 LIPCA 1945

STEFAN LITAUER, KORESPONDENT SPECJALNY

POLSCY FASZYŚCI RZĄDZĄ PIĘCIOMA CZESKIMI WSIAMI

Chociaż trudno w to uwierzyć, 1500 w pełni uzbrojonych Polaków z osławionej profaszystowskiej armii podziemnej NSZ faktycznie okupuje pięć wsi w okolicy Boehmerwald, 35 mil na zachód od Pilzna.

Kwatera sztabu 3 Armii Amerykańskiej. Koniec maja 1945 roku

Major Gilbert i podpułkownik Zub-Zdanowicz wchodzą po szerokich schodach eleganckiej, secesyjnej willi. Gilbert znów jest w mundurze. Gwar, ruch. W górę i dół biegają oficerowie amerykańscy, pozdrawiając się hałaśliwie. Na korytarzu krzyżują się dźwięki dochodzące przez otwarte drzwi pomieszczeń. Skoczna muzyka. Wiadomości radiowe. Transmisja sportowa. Na ścianach obszernego holu wiszą portrety Wittelsbachów i Habsburgów. Pod nimi skrzynka z cocacolą. Obok duża, korkowa tablica upstrzona rojem poprzipinanych pineskami kartek. Uwagę Zęba przyciąga plakat filmowy.

IT HAPPENED TOMORROW

Zatrzymuje się i nie czyta, tylko patrzy. Wojna się skończyła. Ale kino.

- Idziemy! - Gilbert pociąga go za łokieć. - Widziałem to, komedia. Wyobraź sobie, facet znajduje gazetę, w której są wiadomości z następnego dnia. No wiesz, „zdarzyło się jutro”. To tutaj. - Wchodzą do obszernego sekretariatu. - Lucy! Jesteśmy umówieni z generałem. - Gilbert uśmiecha się do skromnie ubranej kobiety, która mogłaby być jego matką.

- Wiem, wiem. Macie tylko pięć minut, Rob. - Panna, czy pani Lucy otwiera im drzwi gabinetu.

George Smith Patton wyglądał na sześćdziesiąt lat i dokładnie tyle miał. Ogorzałą twarz przecinały jasne zmarszczki, ślad po mrużeniu oczu w ostrym słońcu. Spłowiałe, krzaczaste brwi. Cztery generalskie gwiazdki na kołnierzyku koszuli i równo dociśnięty węzeł piaskowego krawatu.

- Podpułkownik Ząb Zub-Zdanowicz, szef sztabu Brygady Świętokrzyskiej NSZ - zameldował się Ząb.

Patton kiwnął głową i stał chwilę bez ruchu, wpatrując się w Zdanowicza. Po czym zrobił dwa kroki w przód i wyciągnął do niego rękę.

- Wyruchaliście Sowietów i Niemców. Gratuluje! - Uśmiechnął się szeroko i potrząsnął dłonią Zęba. - Całe życie powtarzam moim żołnierzom, że honor nie polega na „polec za Ojczyznę”, ale na „zabić jej wrogów”. - Klepnął Zdanowicza w plecy tak nieoczekiwanie, że Ząb o mało się nie zachwiał. Patton roześmiał się.

- Pyszne! Pyszne! Wężowa Unia?

- Związek Jaszczurczy - poprawił generała podpułkownik, choć to akurat nie bawiło

go ani trochę.

- Sprawy wyglądają tak, że nasi brytyjscy sojusznicy nie chcą powiększać waszej armii na Zachodzie, więc będą przeciwni wcieleniu was do korpusu generała Andersa. Ich argumentacja o końcu wojny to oczywista bzdura. Po prostu wszyscy srają na baczność przed Stalinem. Ja nie, żeby była jasność.

- Nie wątpię - skinął głową Zdanowicz, zwłaszcza że generał stanął właśnie w rozkroku, na szeroko rozstawionych nogach i założył ręce na plecy.

- Sowietci chcą waszą Brygadę pożreć żywcem i próbują się do was dobrać na tysiąc sposobów. Prawdopodobnie postawią na „kolaborację z Hitlerem”. Czeskie władze pójda im na rękę.

- Mamy świadomość, że Czesi są pod całkowitą kontrolą NKWD. Było już kilka incydentów sprowokowanych przez miejscowych.

- Ja was nie oddam - nieoczekiwanie oświadczył generał. - Po pierwsze, wbrew politykom widzę konieczność wojny ze Stalinem. Po drugie, jeśli do niej dojdzie, to oddziały złożone z narodów podbitych dzisiaj przez Sowieców, czy też, jak wolą nasi przywódcy, objętych ich wpływem, będą stanowiły szpicę zachodniej armii wyzwolającej swe kraje. Po trzecie, w żadnym wypadku nie możecie wrócić. Tak więc podtrzymuję: nie oddam Brygady Świętokrzyskiej. Po moim trupie!

- Żeby pan generał nie wykrakał! - zażartował Ząb.

Patton wyciągnął palec i skierował w jego stronę, jakby chciał Zdanowicza ukłuć w oko. Ale rozmyślił się i zamiast tego podrapał się w lewą brew.

- Pojedynek na szable? - zapytał.

- Wygrany! - uśmiechnął się Ząb i poruszył przeciętą brwią. Przerwało im ciche pukanie i skrzypienie otwieranych drzwi. Przez szparę w nich wsunęła się głowa panny lub pani Lucy. Przewróciła oczami i postukała palcem w zegarek na swym nadgarstku.

- The end - szepnęła.

NAPISY KOŃCOWE

*

BRYGADA ŚWIĘTOKRZYSKA ZOSTAŁA ZMUSZONA DO ZŁOŻENIA BRONI ALIANTOM W DNIU 6 SIERPNIA 1945.

Nie doszło do połączenia całej Brygady z 2 Korpusem generała Andersa. Staraniem pułkownika Bohuna, przy poparciu sztabu 3 Armii generała Pattona, przekształcono ją i wcielono do Kompanii Wartowniczych podległych amerykańskim władzom okupacyjnym w Niemczech.

GENERAL PATTON - po kolejnych kontrowersyjnych wypowiedziach na temat polityki międzynarodowej został odsunięty od dowodzenia 3 Armią i przeniesiony na niewiele znaczącą placówkę w Bawarii. Zmarł 21 grudnia 1945 roku w wyniku ran odniesionych w wypadku samochodowym. Dochodzenie w sprawie jego śmierci błyskawicznie zamknięto, podobnie jak w przypadku śmierci generała Sikorskiego.

SKOCZKOWIE, członkowie Brygady wysłani z Czech do Polski mieli różne koleje losu. Część z nich została złapana przez UB, poddana torturom i skazana na karę śmierci (m.in. Grażyna), wyszli po amnestii. Inni wykonali rozkazy i skontaktowali się z dowództwem NSZ, a następnie zostali przydzieleni do oddziałów partyzanckich. Po ich rozwiązaniu kilku skoczków przedostało się na Zachód i dołączyło do Brygady w Kompaniach Wartowniczych. Znany jest tylko jeden wypadek śmierci przy lądowaniu - porucznika Rumby, który wpadł na minę.

LEONARD SZCZĘSNY ZUB-ZDANOWICZ, ZĄB - na własną prośbę odszedł z Brygady wraz z Fałą. Od 1 X 1945 służył w 2 Korpusie generała Andersa we Włoszech, w Centrum Wyszkożenia Broni Pancernej. Rok później przeniósł się do Wielkiej Brytanii i wstąpił do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Był w nielicznej grupie oficerów NSZ, którym uznano stopnie nadane w Brygadzie Świętokrzyskiej (do majora). W 1952 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie pozostał wraz z rodziną. Na emigracji aktywnie wspierał KUL, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Solidarność. Mieli z Fałą dwoje dzieci - córkę Elżbietę i syna Melitona. Zmarł w 1982. Pośmiertnie został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

ANTONI SZACKI/DĄBROWSKI, BOHUN - był pierwszym dowódcą Oddziałów Wartowniczych, po zwolnieniu ze stanowiska w 1946 roku osiedlił się w Niemczech, później we Francji. W 1950 roku na wniosek władz PRL w Paryżu został aresztowany pod zarzutem kolaboracji z Niemcami. Sądzony w Tuluzie. W jego procesie świadczyły między innymi więźniarki uwolnione z Holišov. Uniewinniony. Wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Zmarł w 1992.

WŁADYSŁAW KOŁACIŃSKI, ŻBIK - po rozpuszczeniu oddziału w kraju przedostał się do II Korpusu generała Andersa, gdzie służył w batalionie komandosów w Macerata. W 1946 dołączył do Brygady w kompaniach wartowniczych. Później osiedlił się w Stanach Zjednoczonych. Zmarł w 1995.

WŁADYSŁAW MARCINKOWSKI, JAXA - zamieszkał w Kanadzie. Utrzymywał bardzo selektywne kontakty z dawnymi żołnierzami Brygady Świętokrzyskiej.

OTMAR WAWRZKOWICZ - po wojnie został usunięty ze środowiska NSZ. Zamieszkał w Kanadzie. Popęłił samobójstwo w latach pięćdziesiątych.

HUBERT JURA, KAPITAN TOM - na rozkaz generała Andersa przewieziony do II Korpusu z zamiarem sądenia za kontakty z kapitanem Fuchsem z gestapo. Po przesłuchaniu nie postawiono mu oficjalnych zarzutów. Skierowano do pracy na klasyczną placówkę wywiadowczą w Polskim Czerwonym Krzyżu w Pilźnie. Po jej wysypie przeniesiony do PCK w Norymberdze. Tam trop po nim się urywa.

FRANCISZEK BALCAR, SANOWSKI - porucznik złapany i torturowany przez Tadka Białego AL pod Rzębcem. W 1945 opuścił Brygadę i wstąpił do seminarium duchownego w Rzymie. Wyjechał na misję do RPA. Był proboszczem polskiej parafii w Johannesburgu. Tam zmarł w 1962 roku.

JAN PORAYWYBRANOWSKI, RADOSZ, wraz z żoną Elżbietą, Ghandi - w 1946 udało im się wydostać z Polski. Elżbieta, po traumatycznych przeżyciach związanych z pacyfikacją Borowa, nigdy nie wróciła do sił. Zmarła w 1946 roku w Niemczech. Major Radosz wyemigrował do Argentyny, później do Kanady.

JÓZEF PORAYWYBRANOWSKI, ŚWIDER - do 1946 roku walczył z komunistami jako członek PAS - Pogotowia Akcji Specjalnej NSZ w Okręgu Śląsko-Częstochowskim. Potem przedostał się do kompanii wartowniczych w Niemczech. Dalej emigrował do Argentyny i USA, zamieszkał w Kalifornii.

KAZIMIERZ PORAYWYBRANOWSKI, KRET - pozostał w kraju, jako okręgowy komendant PAS NSZ na Śląsku. Przeprowadził się do Poznania, pracował w Spółdzielni Inwalidów „Świerczewski”. UB aresztowało go w 1952 roku. Brutalnie torturowany, skazany na 15 lat, z racji na stan zdrowia wypuszczony w 1956. W 1963 ponownie aresztowany, podstawą do jego zatrzymania był podpis Kreta (pseudonim) pod petycją do władz AK i NSZ o jak najszybsze scalenie organizacji (patrz: odbicie więźniów z Biłgoraja). Petycja bowiem stwierdzała, iż ZSRS, tak jak Niemcy, są wrogiem Polski. Wypuszczono go w 1970 roku. Nigdy nie odzyskał zdrowia, zmarł w 1983 roku w Polsce.

HENRYK FIGUROPÓDHORSKI, STEP - ożenił się z młodszą PorayWybranowską, Hajduczką, po połączeniu Brygady z Amerykanami. Wyemigrowali do Argentyny, później do Kalifornii.

WACŁAW PIOTROWSKI, CICHY - podkomendny Zęba z czasów Legii Nadwiślańskiej. W czasie koncentracji NSZ na Kielecczyźnie pozostawał w oddziale po lubelskiej stronie Wisły. Nie udało mu się przejść i jego oddział nie wszedł w skład Brygady. Walczył z komunistami do końca 1945 roku. Później, nie widząc szans na dalsze prowadzenie

walki, zdemobilizował oddział. Z grupą najbliższych partyzantów, którzy podobnie jak on, nie mogli wrócić do domu z racji na zagrożenie ze strony władz komunistycznych, przedostał się na Zachód. Osiadł w Kanadzie, nigdy nie założył rodziny. Zmarł w 1982 roku. UB nie mogąc dopaść Cichego, zemścił się na jego rodzinie. Ojca torturowano i więziono, w wyniku czego zmarł w 1947. Młodszego brata zesłano na Sybir. Do połowy lat 50. nękaną jego matkę, siostrę i szwagra, ale i mieszkańców rodzinnej wsi, których oskarżano o współpracę z Cichym.

HARRY V. TULLET - podporucznik RAF, żołnierz w oddziale Żbika. Wysłany przez dowództwo Brygady jako łącznik do generała Andersa. Misję wykonał, ale później słuch o nim zaginął. Po wojnie historycy brytyjscy poszukiwali jego akt wojskowych. I nie znaleźli.

WERSZIHORA -???????????????????? - od 1944 Bohater Związku Radzieckiego, po wojnie wykładał w Akademii Sztabu Generalnego oraz oddał się pisarstwu. Wydał pięć książek, wszystkie dotyczyły partyzantki i Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Zmarł w 1963 roku.

TADEUSZ MAJ, ŁOKIETEK - wcześniejszy pseudonim: Różga. Nim założył Rewolucyjną Grupę Inteligencji Socjalistycznej „Świt”, był podoficerem AK. Według sowieckiego oficera Juskiewicza, biorącego udział w bitwie pod Gruszką, Łokietek zdezerterował podczas odwrotu AL. Po wojnie oskarżony i skazany za mord na Żydach z Kotyski. Wyszedł po dwóch latach więzienia, wyrok zrewidowano. Dosłużył się stopnia pułkownika LWP, był attaché wojskowym w Atenach. Powązki, Aleja Zasłużonych.

POSŁOWIE / OD AUTORKI

Kiedy po raz pierwszy usłyszałam historię Brygady Świętokrzyskiej pomyślałam:

BĘKARTY WOJNY!

Nielegalni, niepokorni, nieprawomyślni. I skuteczni.

Nielegalni, bo na skutek tarć politycznych Narodowe Siły Zbrojne Związek Jaszczurczy wyłamał się spod dowództwa AK i Naczelnego Wodza. Niepokorni, bo nie chcieli wykonywać rozkazów, które ich zdaniem szkodziły, a nie pomagały Polsce. I nieprawomyślni, bo wbrew wszelkim konfiguracjom światowych sojuszy nigdy nie uznali Stalina za sojusznika ojczyzny. I mieli rację, czego dowiodła historia. Skuteczni? A jak inaczej nazwać przeprowadzenie liczącej ponad tysiąc żołnierzy Brygady przez linię rozszalałego frontu i połączenie jej z amerykańską armią generała Pattona? Dokonali tego, czego nie zrobiła żadna inna polska formacja partyzancka, co nawet dziś brzmi niemal fantastycznie.

ZŁOTO DLA ZUCHWAŁYCH?

PRZECIWNIE!

Po wojnie całe Narodowe Siły Zbrojne, a zwłaszcza wywodząca się z nich Brygada Świętokrzyska, stały się wrogiem państwa ludowego nr 1 - wszak od września 1939 do maja 1945 roku ich zaplecze polityczne nie zmieniło zdania - mówiąc, że Sowieci są wrogiem Polski, tak samo jak Niemcy. W czasie wojny walczyli więc z Niemcami, Sowietami i polską partyzantką komunistyczną. Przy czym w tym ostatnim przypadku, była to głównie walka z bandami rabunkowymi, rzeczywista ochrona ludności przed gwałtem i bandytyzmem.

Komuniści oddziały propagandy mieli przygotowane lepiej niż jednostki liniowe, więc to one „pisały historię”. Zdarzało się, że historycy komunistyczni na koncie Armii Ludowej księgowali zwycięstwa, odniesione przez żołnierzy NSZ. Zagrzebywali zřęcznie wstydlive tajemnice, a NSZ i Brygadzie na wieki przypięli łatkę polskich faszystów, przypisując im wywołanie bratobójczej wojny i zarzut najcięższy - kolaborację z Niemcami. Za to ich sądzono, torturowano i skazywano. Żołnierze Brygady Świętokrzyskiej brawurowo wyprowadzeni przez swoich dowódców na Zachód w większości nie wrócili do kraju - i uratowali życie. Czy ich dalsze losy potoczyły się tak, jak tego oczekiwali? Oczywiście, że nie. Chcieli wolnej ojczyzny, a dla nich maj 1945 roku to był tylko koniec wojny z jednym wrogiem. Nie byli samobójcami, nie wrócili, by walczyć z wiatrakami. Podzielili losy tysięcy innych Polaków rozproszonych na emigracji. Do tego, politycznie skłóceni z Londynem, także w rządzie na uchodźctwie nie mieli specjalnego oparcia. Mimo to jest coś, w czym tkwi niezwykle potencjał tej historii i co wyróżnia dzieje Brygady Świętokrzyskiej spośród setek naszych wojennych opowieści:

IM SIĘ NAPRAWDĘ UDAŁO.

Większość opowieści o żołnierzach wyklętych to historie pisane przez pryzmat ich tragicznego losu - stalinowskich katowni, tortur, polowania na ostatnich partyzantów po lasach. Umęczeni bohaterowie spod znaku „Bóg - Honor - Ojczyzna”. Moralnie zwycięscy, ale po prostu przegrani.

Kiedy zaczęłam pracować nad tą książką, w głowie pojawiła mi się natrętna myśl: „Brygada jest zapomniana, bo im się udało?” Czy to możliwe, byśmy kochali tylko przegranych? A może zaważyło nad nimi odium narodowców? Jeżeli, to zupełnie niesłusznie. Czytając dziesiątki wspomnień, nie tylko szeregowych żołnierzy Brygady, ale i jej oficerów, czarno na białym otrzymujemy odpowiedź: wstąpiliśmy do Narodowych Sił Zbrojnych nie dlatego, byśmy przed wojną byli członkami ONR, SN, czy innych skrajnie prawicowych formacji - po prostu ich oddziały były „pod ręką”. Większość ludzi szła do polskiej partyzantki, często o tym, czy to była AK, czy NSZ decydował przypadek. Chcieli tylko mieć pewność, że nie idą do komunistów, nic więcej. Mnogość przykładów na współdziałanie

oddziałów AK, NOW, NSZ; na przechodzenie ludzi z oddziału do oddziału, w poszukiwaniu nie tyle idei politycznej, ile dobrego dowódcy i stylu działania, świadczy o tym, że polityka była u góry, a u dołu zwykłe, normalne życie. To współczesna i właśnie polityczna, a nie strictly historyczna narracja, przypisuje tym wyborom dużo większe znaczenie, niż miało ono miejsce w czasach wojennej zawieruchy.

Oczywiście, należy też podkreślić, że czarna legenda Brygady Świętokrzyskiej była wynikiem powojennej peerelowskiej propagandy. Ale dzisiaj dajmy już sobie z nią spokój. Żyjemy w wolnym kraju, wiemy, że terror stalinowski był faktem i ile pociągnął ofiar, i, jeśli tylko nie straciliśmy poczucia humoru, wolno nam się cieszyć, że komuś się udało.

W posłowiach do swoich książek zwykle staram się Czytelnikom zaznaczyć ramy - co w fabule jest faktem, co fikcją. Oczywiście, podział ten nigdy nie będzie precyzyjny i traktuję go jako sygnał dla dociekliwych, wskazanie, gdzie mogą szukać dalej. Piszę powieść na faktach, nie rozprawę naukową.

Cała historia oddziałów Zęba i Żbika, a później Brygady Świętokrzyskiej i jej marszu na zachód oparta jest na faktach i dość bogatych, choć nie zawsze kompletnych, archiwaliach. Oczywiście, z przyczyn fabularnych, musiała zostać skrócona. Staralam się także jak najwierniej oddać tło polityczne powstania Związku Jaszczurczego, a później Narodowych Sił Zbrojnych, burzliwe dzieje scalania z Armią Krajową i rozłamów. Z racji na tajny charakter Organizacji Polskiej i wewnętrznych struktur ONR, nie zawsze możliwym jest odtworzenie rzeczywistego przebiegu pewnych procesów, ale też nie były one dla mnie głównym tematem tej opowieści, a raczej jej tłem.

Bohaterowie Legionu to w większości postaci autentyczne. Żbik - Władysław Kołaciński, Jaxa - Władysław Marcinkowski, Bohun - Antoni Szacki/Dąbrowski zostawili po sobie wspomnienia. Czasami bardzo lakoniczne, jak w przypadku Jaksy i Bohuna, lub przeciwnie, niezwykle żywiołowe i obfitujące w szczegóły, jak książka Kołacińskiego. Obszerną biografię Zub-Zdanowicza napisał Marek Jan Chodakiewicz. Z kolei postać Feniksa w swych najważniejszych rysach, była inspirowana wspomnieniową książką Feliksa Pisarewskiego-Parry, choć Fenix z Legionu nieco odbiega od pierwowzoru. Robercik i Dzidziur to bohaterowie stworzeni na motywach wspomnień Roberta Ćwikło, także postać Grażyny - Bożeny jest częściowo oparta na wspomnieniach Żbika i Roberta Ćwikło. Otmar Wawrzkievicz i Kapitan Tom, dwie najbardziej zagadkowe postaci Brygady, są tajemnicami dla historyków do dziś. Porucznik Harry to postać autentyczna, lecz czy był tym, za kogo się podawał, czy nie, trudno rozstrzygnąć. Po wojnie ślady po nim zniknęły z brytyjskich archiwów państwowych. Jakub, Pola i dzieci to bohaterowie fikcyjni, stworzeni z ułamków

różnych wspomnień. To samo zresztą dotyczy wielu postaci trzeciego planu; by nie zgubić fabuły, musiałam łączyć losy różnych bohaterów w jedno i, czasami, jak w przypadku Łosowa i Lelkowa, tworzyć dla nich „własne miejsca”.

Specjalne podziękowania za pomoc w dostępie do tekstów źródłowych i wielkie wsparcie w historycznej materii opowieści należą się panu Leszkowi Żebrowskiemu. Dziękuję też panu Lechowi Kowalskiemu za uważną lekturę i merytoryczne uwagi.

Marcin Lutomski, twórca Walhalli, grupy specjalizującej się w inscenizacjach historycznych, pomógł mi poradzić sobie z bronią i meandrami partyzanckiego życia a pani Anna Strzeżek, znawczyni knajp przedwojennej Warszawy, przeprowadziła mnie przez nie na rzecz Fenixa.

Oddaję Czytelnikom książkę, której się po mnie nie spodziewali, której sama, siedząc od lat w historii średniowiecza, się nie spodziewałam. Ale przypominam, że przecież w 2008 roku już byłam na wojnie, wraz z moją bohaterką, Etką Daum, w czeluściach łódzkiego getta. Dzieje powstania większości z moich książek, są nie mniej burzliwe i zaskakujące niż historie, które opowiadam. Zawsze na ich początku jest jakiś zbieg okoliczności, zaskoczenie, czasami przypadek, z którego rodzi się pasja. Tym razem był to telefon. Po drugiej stronie mój Wydawca: „Skończyłaś już? - spytał o moją poprzednią powieść.

- „To posłuchaj, muszę ci o czymś opowiedzieć. Ta historia zrobiła na mnie niesamowite wrażenie”. Po godzinie wiedziałam, że napiszę o Brygadzie. Na szczęście nie miałam pojęcia, ile tysięcy stron dokumentów będę musiała wcześniej przeczytać.

Wciąż, do natręctwa, powtarzam: cieszymy się naszą historią. Poznawajmy ją z ciekawości i radością. Pomniki zamieniają bohaterów w kamień, a historię czynią twardą i nieprzystępną. Opowieści mogą otwierać przeszłość i oddawać ludziom/historii życie. Bierzmy je takim, jakim było. W nas też jest Las.